

Michael Paterson

Czas wojny

Tytuł oryginału **A Time of War**

*Dla Patty, która cierpiała z powodu każdej mojej rany.
Claytonowi i Toddowi, by ich cierpienia pozostały tylko moim złym
snem.*

Zabitym

i tym, którym nie możemy ulżyć w cierpieniu.

*Jest pora na każdą rzecz i jest czas na każdą sprawę pod
niebem;*

*Czas miłowania i czas nienawidzenia; czas wojny i czas
pokoju.*

Eklezjasta (tłum. Czesław Miłosz)

*To tragedia - powiedział król-że ta nieszczęsna wojna się w ogóle
zaczęła.*

„Le Morte d'Arthur”

Od Autora

Powieść ta dotyczy pewnych aspektów konfliktu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Północnym Wietnamem w latach 1967-1968. Działający wówczas politycy i dowódcy wojskowi stanowią elementy tła, na którym rozwija się akcja powieści. „Czas wojny” jest fikcyjnym sprawozdaniem Bradleya Lawrance’a Marshalla, na temat tego, co przydarzyło mu się w tamtych latach na Półwyspie Indochińskim. Misja Marshalla w Sajgonie powstała w mojej wyobraźni, podobnie jak jego rozmowy z postaciami historycznymi, na przykład z prezydentem Lyndonem B. Johnsonem, czyjego udział w rzeczywistych wydarzeniach, jak ofensywa Tet. Te fikcyjne rozmowy, pomysły i działania mają na celu uatrakcyjnienie akcji powieści i stworzenie wrażenia autentyczności. Zmieniłem również topografię bazy Khe Sann. Każdy, kto tam był, wie, nie ma tam ani piasków, ani pustyni.

I

Marshall, patrząc przez weneckie okna Gabinetu Owального obserwował prezydenta, jak kroczył przez Ogród Różany. Wyglądał tam tak samo nie na miejscu jak niedźwiedź polarny. Potężny mężczyzna szedł dziwnie niezgrabnymi krokami. Jego granatowy garnitur był już wymięty, chociaż zbliżało się dopiero południe. Wędrował tak przez ogród wśród morza kwiatów. Gdyby miał parasol, pomyślał Marshall, wyglądałoby to jak scena namalowana przez oszalałego Moneta.

Prezydent wbiegł po schodach patio i zniknął we wnętrzu Białego Domu.

Bradley Lawrence Marshall znajdował się w Gabinetcie Owalnym sam. Stał, patrząc na ogród. Potem odwrócił się. Pokój ten, jak zwykle, zadziwił go. Był wielki, a jednak mniejszy, niż to sobie wyobrażał. Powodem było zapewne przekonanie, że pomieszczenie, w którym drzemała taka potęga, nie powinno być ograniczone ścianami, a tym bardziej nie powinno być zastawione meblami, na których stoją aparaty telefoniczne i telewizory, i leżą w nieładzie gazety.

Ta elektronika jest tu nie na miejscu, pomyślał Marshall. Jest zbyt przyziemna jak na taki przybytek dostojności, ale cóż - poczucie elegancji było czymś zgoła obcym Lyndonowi Johnsonowi. Mała wieża wiertnicza z brązu, figurki krów i słomiana wycieraczka z napisem CZĘŚĆ leżąca na dywanie ze wzorem godła Stanów Zjednoczonych były bardziej w stylu Johnsona.

Marshall nie czuł pogardy. Pozostawienie go tutaj samego było jednak tak starannie zaaranżowane, że przykro mu było, iż nie osiągnęło zamierzonego efektu. Miał się tu poczuć pomniejszony i przytłoczony, tymczasem dekoracyjny przepych rozbudził w nim tylko negatywne odczucia.

Marshall znał jednak prezydenta bardzo dobrze. Współpracował z nim zbyt blisko, żeby dać się nabrać na takie prostackie sztuczki, a to przedstawienie, które się odbyło tu w ciągu ostatniej godziny, było, niestety, szyte zbyt grubymi nićmi. Wielki występ, niezwykle teatr, ale w rezultacie oklaski zebrał aktor, a nie sztuka.

Marshall omal nie wybuchnął śmiechem, kiedy sobie przypomniał, jak prezydent siedząc naprzeciwko niego pochylił się i zbliżył do niego twarz. Jego obwisłe policzki drżały, a żalose spojrzenie przywiodło na myśl pełne smutku oczy baseta. Przemawiał tonem usilnej prośby.

- Musisz mi pomóc, Bradley. Nie zostawiaj mnie samego tym wilkom na pożarcie.

Wspomnienie odleciało i Marshall skrzywił się. Bolała go ręka. Masował ją delikatnie. Nadwężył ją, a może nawet zwichnął.

Sam też był potężnym mężczyzną. Miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i był w świetnej formie, jak na swoje czterdzieści dwa lata, a jednak skrzywił się w miazdzącym uścisku prezydenta. Johnson lubił chwycić swoich rozmówców - jedna wielka łapa wyciągała się do uścisku, a druga natychmiast rozpoczynała działanie głaszcząc, pieszcząc, szarpiąc, ciągnąc, poklepując i podając swoistym oględzinom. Ścisnął rękę, jakby sprawdzał twardość mięśni, obejmował za ramiona, przyciągał rozmówcę bliżej do siebie. Marshall widywał sytuację,

kiedy to Johnson chcąc kogoś przekonać, obejmował go za szyję i dosłownie włókł za głowę dookoła pokoju, cały czas nalegając, przekonując i wzywając kwiecistymi zwrotami do zachowania rozsądku.

Marshall widział wiele takich przedstawień i chociaż sam się już uodpornił, chętnie oglądał je, kiedy kto inny był ich przedmiotem. Była to polityczna opera buffo w najlepszym wydaniu lub raczej wspaniała operetka. Johnson starczał sam sobie za cały teatr. Kiepski aktor udawał kiepskiego aktora. Jego głos rozbrzmiewał gniewem lub przycichał w smutku. Ciężkie powieki przysłaniały oczy.

Wspominał swoje cierpienia, niesprawiedliwości i zdrady, jakie go dotknęły, wygłaszał wzruszające apele do poczucia obowiązku i honoru.

Któż mógłby się oprzeć, gdy prezydent Stanów Zjednoczonych pochyła się nad nim, opiera czoło o czoło, wlepia w niego błagalny wzrok i mówi, jakby od tego zależał los całego wolnego świata: „Pomożesz mi”?

Rozmowę rozpoczęli siedząc naprzeciwko siebie w skórzanych fotelach przy kominku. Johnson przeszedł od razu do sprawy.

- Co wiesz o Wietnamie, Bradley?

- Potrafię go znaleźć na mapie, panie prezydencie.

Ręce prezydenta zaczęły się poruszać i już spektakl się potoczył.

- To tylko dlatego, że on wciąż tam jest... Tylko dlatego, że nie pozwoliłem Curtisowi LeMayowi przemienić go w krowi placek. Bombardować, bombardować i bombardować! Tylko to wciąż słyszę! - wykrzyknął, wymachując wokół siebie, jak gdyby odganiał grad bomb wybuchających na dywanie.

Jego urażony ton zmienił się nagle, a oczy się zwęziły. Co się stało z jego oczami? - zastanawiał się Marshall. Zatonęły wśród zmarszczek i fałd skóry, czy zginęły zupełnie?

- Nie wiedziałeś nic o Ameryce Środkowej, kiedy cię tam wysyłałem, ale szybko się zorientowałeś we wszystkim. Bieda. - Pochylił się do przodu. - Powiedziałeś do mnie: „Głodu nie zaspokoi się pięknymi słówkami. Piechota morska też ich nie nakarmi”. Pamiętam doskonale, Bradley. Chłopi pieprzą komunizm, interesuje ich tylko żarcie.

To chyba nie były moje słowa, zastanowił się Marshall.

- A jak było z Żydami i Arabami? Pamiętasz, co mi powiedziałeś, kiedy wysłałem cię na Bliski Wschód?

Marshall nadstawił ucha, ciekaw, jaką też postać przybiorą jego słowa wówczas wypowiedziane.

- Nie mieszać się! - krzyknął Johnson.

Mniej więcej coś takiego, zgodził się w duchu Marshall.

- Niech te głupie sukinsyny pourywają sobie nawzajem łby.

Marshall nawet się nie skrzywił, słysząc tę absurdalną wersję własnych słów.

- Pamiętam dokładnie, że to była jedyna rozsądna rada, jakiej mi udzielono. - Johnson ścisnął rękę Marshalla z wdzięcznością. - Nie mieszać się... Dziesięć wieków wojny pomiędzy muzułmanami, chrześcijanami i żydami. Kilku żołnierzy piechoty morskiej nie rozwiąże problemu. Cezar August i Ryszard Lwie Serce nie mogli nic zrobić i ty też nic zrobić nie możesz... Tak powiedziałeś.

Tym razem zacytował dokładnie, przypomniał sobie Marshall. W tym, co Johnson przywoływał z pamięci, kryło się zawsze pewne niebezpieczeństwo, ponieważ

zazwyczaj słyszał tylko to, co chciał usłyszeć, i pamiętał tylko to, co chciał zapamiętać. Jego wspomnienia były zatem wybiórcze i służyły do załatwienia bieżącej sprawy, podlegając natychmiastowym niezliczonym zmianom.

Nagle głos prezydenta posmutniał. Rozparł się i osunął niżej w fotelu, posępny i zadumany.

- Pamiętasz ten początek, ten straszny okres po zabójstwie Johna?

Któż mógłby o tym zapomnieć, pomyślał Marshall. Chociaż zdarzyło się to już prawie cztery lata temu, zabójstwo Kennedy'ego było wciąż dla niego żywym wspomnieniem, jakby się zdarzyło wczoraj po południu.

Nawet wpadający przez okna blask słońca nie mógł rozjaśnić tej chwili. Johnson zdjął okulary i trzymał je na kolanach, wpatrzony w grę promieni słońca na parkiecie. Marshall mimowolnie spojrzał na bujany fotel, inny niż fotel z giętego drewna, jakiego używał Kennedy, a jednak przywołujący wspomnienia

o zabitym prezydencie.

Marshall zaczął pracować w administracji rządowej za czasów Johna Kenne-dy'ego. W Harvardzie był kolegą młodszego brata prezydenta i to właśnie Robert przekonał go, żeby zaangażował się do służby w administracji. Jako prawnik

i znajomy Roberta spodziewał się, że znajdzie pracę w Departamencie Sprawiedliwości. Jednak zamiast tego prezydent zaproponował mu stanowisko zastępcy szefa protokołu.

Z początku czuł się dumny i cieszył się swoim stanowiskiem, ale wkrótce przestało mu się ono podobać. Ilu mizdrzących się dygnitarzy można powitać, ile spotkań zaaranżować, w ilu przyjęciach uczestniczyć? Czuł się poza tym wykorzystywany i nie bardzo podobały mu się powody, dla których został wybrany, a były nimi pozycja jego rodziny, równa pod względem zamożności Kennedym, ale

znacznie od niej starszej tradycją, jego aparycją i młodością. Był młodszy od Johna Kennedy'ego o osiem lat, dzięki czemu prezydent nie wydawał się tak niepokojąco młodym zagranicznym ministrom i głowom państw.

Już miał otworzyć prywatną praktykę, kiedy zamordowano Kennedy'ego.

Świetnie pamiętał ten straszny okres i Lyndona Johnsona, manewrującego wśród wielu z tych pierwszych dni, poszukującego najwłaściwszej postawy w czasie narodowej żałoby, przełamującego niechęć i obawy, a nawet podejrzliwość zwolenników Kennedy'ego, a następnie starającego się dobrze wypaść w oczach zagranicznych przywódców, którzy przybyli na pogrzeb do Waszyngtonu.

Johnson dziękował mu później za pomoc w ciągu tych pierwszych dni.

- Byłeś jednym z cholernie nielicznych ludzi Kennedy'ego, którzy próbowali jakoś mnie wesprzeć.

Teraz jego głos był przepojony goryczą, policzki drżały, ręka zaciskała się gniewnie na wspomnienie tych, którzy zwrócili się przeciwko niemu, i na wspomnienie niechęci oraz nienawiści, z jakimi zetknął się, obejmując stanowisko po Kennedy'ym.

- Nigdy nie traktowałeś mnie z wyższością ani pobłażliwością. Nigdy się ze mnie nie wyśmiewałeś ani mi nie dokuczałeś, a kiedy zjawił się tu ten cały korowód obcokrajowców - de Gaulle, Mikołaj i ludzie, których nazwisk nie potrafiłem nawet wymówić, stałeś przy mnie i mówiłeś, co i jak mam powiedzieć, komu uściśnić

rękę, a komu nie, komu ukłonić się tak, a komu inaczej, i nie robiłeś tego, dając mi bezustannie do zrozumienia, że zjadłeś wszystkie rozumy.

Przechylił się, chwycił Marshalla za rękę i uściśnął mocno na znak, że go docenia.

- Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Pewnego dnia, kiedy ty będziesz w potrzebie, możesz na mnie liczyć.

Tak, pomyślał Marshall, ale sytuacja była odwrotna. To Johnson potrzebował pomocy, choćby w przypadku Ameryki Środkowej.

Zatoka Świń stała się największą porażką Kennedy'ego. Johnson, zdecydowany uniknąć podobnego niepowodzenia, prosił Marshalla, żeby udał się jako specjalny wysłannik do Ameryki Środkowej. Marshall wahał się jednak ze względu na swoją dopiero co rozpoczętą prywatną praktykę i ze względu na to, że niewiele wiedział o tym rejonie.

Johnson od razu rozprawił się z jego zastrzeżeniami.

- Nie chcę nikogo, kto znałby Amerykę Środkową. Chcę kogoś, kto nie ma z góry wyrobionej opinii. Chcę świeżego spojrzenia. Nie rozumiesz, Bradley? Potrzebuję ciebie. Kraj cię potrzebuje. Nie brakuje ci przecież pieniędzy. To tylko chęć skłania cię do pracy w tej firmie prawniczej i dla tych korporacji, które wynajmują cię po pięćset dolarów za godzinę.

Pojechał więc, nie wiedząc prawie nic o Hondurasie, Gwatemali ani Salwadorze

I powrócił po kilku miesiącach z mnóstwem obserwacji, których mógł dokonać nawet ślepy. Podstawowy problem stanowiło ubóstwo i niesprawiedliwość społeczna. Palącą potrzebą było przeprowadzenie reformy rolnej. Należało też rozprawić się z korupcją polityczną i wyzyskiem ekonomicznym.

- To nie Castro i komunizm są problemem - powiedział Johnsonowi - tylko ubóstwo i korupcja. Jeżeli nie zrobimy czegoś, żeby tym ludziom pomóc, wygrają komuniści. Wysyłanie broni nic nie da w sytuacji, gdy potrzeba żywności. Piechota morska nie zwalczy ubóstwa i ciemnoty.

Może nawet Marshall i powiedział, że to głód, a nie żadne „izmy”. Miał nadzieję, że tak było. To było trafne i słuszne sformułowanie.

Johnson słuchał z takim przejęciem, jakby mu Marshall położył na biurku tablicę z dziesięciorgiem przykazań, podziękował mu wylewnie i stwierdził, że rozwiązał wszystkie jego problemy. Trzy miesiące później prezydent wysłał do Dominikany piechotę morską, właśnie wtedy, kiedy jego córka, Lucia Baines, została królową festiwalu azalii.

Marshall nie był ani zaskoczony, ani zły. Lubił i rozumiał Johnsona. Chociaż bardzo się różnili, potrafili się ze sobą porozumieć. Marshall był przekonany, że mimo bombastyczności w sposobie bycia i pewnej dwulicowości, człowiek ten ma w sobie wiele dobroci i autentycznego poczucia sprawiedliwości. Jego Wielkie Społeczeństwo to nie było tylko hasło. Prezydent szczerze współczuł ubogim i uciskanim. Marshall wiedział, że dla Johnsona Wietnam znaczył niewiele. To Wielkie Społeczeństwo miało znaczenie, a nie jakaś tam wojna na drugim końcu świata.

Marshall rozumiał jednak dylemat Johnsona. Był człowiekiem, który nie mógłby przyznać się do

błędu i odejść. Jaki Tekszańczyk byłby gotów wycofać się z walki, ryzykując, że zostanie okrzyknięty tchórzem? Jak mógł uciec z podwiniętym ogonem? Czy tak postąpiono by pod Alamo? Czy Sam Houston uciekłby? A John F. Kennedy? Johnson został wciągnięty w to stopniowo przez doradców Kennedy'ego i własnych generałów, i ani się obejrzał, jak miał do czynienia z regularną wojną. Chociaż nie miał do niej serca, przekroczył już tę granicę, przed którą mógł jeszcze, jak sam to twierdził - „powiedzieć «przepraszam» i wrócić do domu”.

Chętnie by to jednak zrobił i Marshall o tym wiedział. Wietnam go nie interesował. Interesowała go wyłącznie idea Wielkiego Społeczeństwa. Johnson był nieznośnie sztuczny, był notorycznym kłamcą i prawdopodobnie był również nieuczciwy, bo jak ktokolwiek może stać się multimilionerem na rządowej posadzie? A jednak ten człowiek wychowany w biedzie nad Pedernales, którego pierwszą pracą było stanowisko nauczyciela w szkole meksykańsko-amerykańskiej w Cotulla w Teksasie, ten człowiek tak pełen wad, mściwy, przyziemny i małostkowy, nieufny ; wiecznie zagoniony - pragnął pomagać ludziom.

Johnson, chociaż nie ufał patrycjuszom ze Wschodniego Wybrzeża i bał się ich, widział w Marshallu, urodzonym w luksusie, pochodzącym z najbardziej uprzywilejowanej klasy, przystojnym, wykształconym w najlepszych szkołach, zawsze otoczonym kobietami, dumnym i bogatym, człowieka, który pragnie czynić dobro i pomagać ludziom.

W 1966 roku Johnson ubłagał Marshalla, żeby pojechał jako specjalny wysłannik na Bliski Wschód.

- Musisz mi pomóc, Bradley. Ten cały rejon jest bliski wybuchu. Oczywiście, że nie nie wiesz o Libanie. Kto o tym wie cokolwiek? Pojedź i sprawdź. Powiedz mi, co tam trzeba zrobić, Bradley. Twój kraj liczy na ciebie.

Przez sześć męczących tygodni jeździł pomiędzy Kairem, Jerozolimą, Bejrutem, Damaszkiem, Ammanem i Rijadem, rozmawiał z Naserem, Husajnem i Eszkolem, a nawet z wodzami plemion pustynnych, i przywiózł sprawozdanie, w którym stwierdził, że nie widzi możliwości szybkiego rozwiązania problemów.

Jego radą było „nie mieszać się”. Batalion piechoty morskiej nie mógł rozwiązać wielowiekowego konfliktu pomiędzy chrześcijanami, muzułmanami i żydami. Powiedział Johnsonowi, że nie może liczyć na sukces tam, gdzie nie poradzili sobie cesarz August i Ryszard Lwie Serce. Z pewnością nie powiedział jednak: „Niech te głupie sukinsyny pourywiają sobie nawzajem łby”.

Nie wyrażał się, ani nie myślał w ten sposób. Przekonania innych to zawsze sprawa poważna i nie można ich deptać ani usiłować ich zmieniać. Prowadziło to w efekcie do wojny, a tego nie życzył sobie ponownie oglądać.

Kiedys Johnson pokazał Marshallowi jego akta personalne, rzucając mu je niedbale na biurko.

- Mam nadzieję, że w twoim życiu zdarzyło się coś więcej - powiedział. - To jest najnudniejsza lektura, jaką kiedykolwiek czytałem.

Marshall przejrzał akta, zbytnio się nim nie przejmując. Jego życie wcale nie było takie nudne. Istniały, oczywiście, rzeczy, o których nie chciał czytać, a tym bardziej nie chciałby, żeby czytali o nich inni.

Johnson miał jednak rację. Akta były nudne. Kiedy Marshall dowiadywał się, że akta jakiegoś asystenta są „kompromitujące”, czuł jakby zazdrość i bardzo ciekawiło go, co kwalifikowało je jako kompromitujące. Później zdał sobie oczywiście sprawę,

że różnice w tym zakresie są jedynie wynikiem niedociągnięć, przeoczeń i błędów agencji.

Przesadna zwięzłość sformułowań w jego własnych aktach była wyjątkowa. „1942-1945, służba wojskowa. Zwolniony z honorami”. I znowu: „1951-1953, służba wojskowa. Zwolniony z honorami”.

Rzadko o tym myślał i nigdy na ten temat nie mówił. Dlatego te pięć słów „służba wojskowa, zwolniony z honorami” wydawało mu się wystarczające, chociaż można było jeszcze dodać dwa słowa: „Guadalcanal” i „Chosin”, co w poważnym stopniu zmieniłoby kontekst notatki i dało pewne pojęcie o złożoności i głębi psychiki opisywanej osoby.

Nawet jednak lakoniczne sformułowanie tej notatki, już nasuwało pewne refleksje. Dlaczego urodzony w 1925 roku siedemnastolatek z jednej z najstarszych rodzin amerykańskich uciekł na wojnę? Dlaczego w wieku dwudziestu sześciu lat ponownie zgłosił się na ochotnika?

Zanim jednak wspomnienie zabitych na plażach i tych leżących martwo na śniegu Korei zdążyło podziałać na niego przynębiająco, Marshall zamknął akta i położył je na biurku.

- Chciałbyś coś dodać? - zapytał Johnson.

- Nic, sir. Tu jest wszystko - powiedział spokojnie. - Jak dotąd moje życie nie było zbyt podniecające.

- No to, do cholery, zrób coś - powiedział Johnson.

Teraz znowu znalazł się w Białym Domu. Siedział naprzeciw prezydenta. Krótka chwila wspomnień minęła.

Oczy Johnsona zwęziły się konspiracyjnie, gdy rozglądał się podejrzliwie wokół. Zniżył głos do szeptu i Marshall z trudem powstrzymał się, żeby nie spojrzeć za siebie i upewnić się, czy są sami, tak jakby szpiegdy swobodnie snuli się po korytarzach Białego Domu.

Johnson przysunął bliżej krzesło. Ich kolana zetknęły się. Gdyby chciał przysunąć się jeszcze bliżej, pomyślał Marshall, musiałby usiąść mi na kolanach. Wkraczanie na osobiste terytorium, dosłownie włożenie na inną osobę, było częstym chwytem Johnsona, ale Marshallowi to nie przeszkadzało, ponieważ nie miał poczucia zagrożenia, ani nie obawiał się zastraszenia.

- Znowu cię potrzebuję - powiedział prezydent. - Wietnam. - Skinął głową powoli i zawiesił głos dla uzyskania większego efektu. - Muszę wyleźć z tego gówna.

Johnson pochylił się gwałtownie, jakby pod wpływem czegoś, co na niego za chwilę spadnie - ustawodawstwo, budżet, programy kosmiczne i wojny. Wietnam to była zniewaga, która spotkała jego osobiście, to było zagrożenie dla jego miejsca w historii i dla nadziei na powtórny kadencję. Ponuro pokręcił głową.

- Och, Bradley. Zrobiłem, co mogłem. Wyszedłem w pół drogi, ale nie udało mi się zbliżyć się do tych sukinsynów.

Marshall nie był pewien, czy Johnson ma na myśli Hanoi, czy własnych doradców.

- Ten pieprzony Wietnam załatwi moją prezydenturę - powiedział, przyciskając dłonią swoje biedne, zawiedzione serce. - Nic się nie udało. Bombardowałem, przerywałem bombardowania, prosiłem, obiecywałem, groziłem.

Znowu pochylił się.

- Modliłem się.

Z miną człowieka odtrąconego i zdradzonego nawet przez Boga, powiedział złamanym głosem:

- Nie wiem, co jeszcze można zrobić. Dlatego cię wezwałem.

- Co mnie właściwie obchodzi ten przeklęty kraj? - powiedział, zrywając się z fotela, i zaczął chodzić po gabinecie. - Nie chcę tam być. - Powiedział to tak, jakby właśnie z przewieszonym przez ramię karabinem brnął przez pola ryżowe.

- Co to ma wspólnego z ubóstwem, głodem i ciemnotą? Nic! - krzyknął do lampy.

Zachwiał się i chwycił się krzesła, zupełnie jakby zdradzieccy doradcy wbili mu sztylet w plecy.

- Od kiedy tu jestem, słyszę tylko: bombardować, minować porty, bomby, napalm, więcej żołnierzy, więcej dział, bombardować. - Wykonał ruch, jakby uchylał się przed pociskiem. - Jeszcze trochę i załamie się. Już widać światełko na końcu tunelu.

Wyciągnął ręce jak ślepiec w kierunku światełka.

- I to jest wyjście, prowadzi mnie donikąd.

Marshall wiedział, że samoloty przywożą do kraju coraz więcej aluminiowych trumien, i że Johnson obawia się, że jeśli nie osiągnie szybko zwycięstwa, nastroje obrócą się zdecydowanie przeciwko wojnie i przeciwko niemu. Nie zostanie wybrany na następną kadencję, jeżeli wojna szybko się nie skończy.

- Wlazłem w wielkie gówno, Bradley. - Wymachiwał rękami w powietrzu, a potem chwycił za poręcz krzesła i potrząsnął nim. - Musisz wypłatać mnie z tej wojny. Przez trzy lata wysłuchiwałem ludzi opowiadających mi o Wietnamie, i wiesz co? Nikt nie ma o tym pojęcia. Potrafią tylko mówić o bombach i o wysyłaniu wciąż nowych ludzi. To nic nie daje. Zapadam się coraz głębiej i głębiej w to gówno.

Złapał się za gardło, jakby właśnie dusił się od zalewającego go łajna.

- Pojedź tam w moim imieniu. Powiedz mi, co robić. Powiedz mi prawdę. Na jego twarzy malował się tragizm, zmarszczki pogłębiły się, policzki i kąciki ust opadły żałośnie.

- Tam umierają nasi chłopcy, Bradley. Sam jesteś ojcem. Pomóż tym chłopcom. Kraj cię potrzebuje. To jest najważniejsza rzecz, jaką możesz zrobić. Kiedy byłeś żołnierzem, narażałeś życie dla kraju. Teraz, jako wódz naczelny, proszę cię, żebyś znowu ratował kraj.

Marshall miał ochotę bić brawo. Siedział jednak spokojnie i czekał. Johnson pochylił nad nim swą twarz.

- Jedź w moim imieniu do Wietnamu. Rozmawiaj ze wszystkimi. Zobacz, co się tam dzieje. Ja tutaj nie mogę wierzyć nikomu. Kolegium Szefów Sztabu mówi jedno, Departament Obrony drugie, a CIA jeszcze coś innego. Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, kogoś, kto widzi rzeczy jasno, kogo nie można oszukać i kto mnie nie okłamie. Potrzebuję cię. Wróć i powiedz mi, co mam zrobić, żeby skończyć tę wojnę.

Umilkł na chwilę, a potem podniósł ręce w błagalnym geście. Teraz jakaś przynęta, pomyślał Marshall.

- To żadna tajemnica, że niektórzy członkowie rządu chcą się w to mieszać

- Zawiesił głos dla większego efektu. - Zrób to dla mnie, a będziesz mógł prosić o co zechcesz.

Jak gdyby ta propozycja nie była wystarczająca, rozsiadł się w fotelu, pozornie pogrążony w myślach.

- Wiesz, że osoba, która zakończy tę wojnę, zapewni sobie Pokojową Nagrodę Nobla?

Na jego twarzy zagościł wyraz smutku. Przybrał najlepszą minę baseta, na jaką go było stać, najwyraźniej zdruzgotany niesprawiedliwością tego świata.

- To, oczywiście, nie będę ja. Mógłbym odbyć pielgrzymkę na kolanach do Hanoi i pocałować Ho Szi Mina w dupę o dwunastej w południe na środku ulicy Ding Dong, a tylko obrzucą mnie obelgami. To będzie ktoś inny... Ten, kto znajdzie sposób na zakończenie tej wojny.

Spojrzał w okno, zafascynowany widokiem zdobywcy nagrody, paradującego triumfalnie po ulicy.

Dobry Boże, pomyślał Marshall. Niedługo będę musiał włożyć kalosze, żeby móc : brodzić w tym gównie. Nic dziwnego, że Ogród Różany tak pięknie rośnie. Oni po prostu otwierają drzwi i wywalają wszystko łopata na zewnątrz.

Teatr skończył się, ale Marshall siedział spokojnie, niewzruszony.

- No, i? - spytał Johnson z chytrą miną.

Marshall wciąż nie odpowiadał, wiedząc, że Johnson, skoro już raz się zaangażował, musi brnąć dalej. Nie mógłby pogodzić się z odmową po tym, jak ujawnił swoją desperację.

Johnson skulił się w fotelu, zdając sobie sprawę, że nie potrafi zmusić, ani skłonić Marshalla do przyjęcia propozycji. Teraz miało nastąpić ostre targowanie się, jak na targu końskim, tylko że Johnson popełnił błąd ujawniając, jak bardzo pragnie mieć konia, podczas gdy Marshall nawet nie dał do zrozumienia, że koń jest na sprzedaż.

- Bradley, tu nie chodzi chyba o pieniądze. Wiem, że w ciągu godziny zarabiasz więcej w tej swojej kabotyńskiej firmie prawniczej, niż wynosi dniówka, którą mógłbym ci zaoferować. Jesteś bogatym człowiekiem, Bradley. I nie mów mi o swojej kancelarii i o tych wszystkich czekających na ciebie sprawach. Ja mówię o życiu, nie o firmach.

Johnson patrzył wyczekująco na Marshalla. Wreszcie wybuchnął.

- O co ci, do cholery, chodzi?

- Panie prezydencie - powiedział lekko Marshall. - Tu nie chodzi ani o pieniądze, ani o moją kancelarię. Ja po prostu nie chcę jechać. Nie ufam panu.

- Co? - Szok Johnsona był autentyczny. - Co to znaczy, że nie chcesz jechać? Co to znaczy, że mi nie ufasz, do cholery!

- Myślę, że pan po prostu prowadzi jakąś grę, panie prezydencie. Myślę, że nie jest pan jeszcze gotów zając się zdecydowanie sprawą i podejmować trudne decyzje.

Johnson już miał się zerwać z krzesła - nikt jeszcze z nim w ten sposób nie rozmawiał. Marshall jednak powstrzymał go ruchem ręki, kładąc kres dalszym teatralnym gestom.

- Wiem, jak ta gra jest rozgrywana, panie prezydencie. Ma pan problem, z którym nie może pan sobie poradzić. Gra więc pan na zwłokę, powołując komitety dla przeprowadzenia badań i wysyła pan ludzi, żeby przywieźli więcej informacji. Wie pan tak samo dobrze jak ja, co należy zrobić w sprawie Wietnamu. Trzeba się wycofać. Dlaczego miałbym marnować czas, zbierając informacje, które już pan

posiada? Wykorzystuje mnie pan, żeby zyskać na czasie i żeby uniknąć decyzji, która, jak pan wie, jest słuszna.

Johnson przyłożył rękę do serca, jak gdyby zaczynał mu się atak, ale Marshall znowu przerwał jego aktorskie występy.

- Mam lepsze rzeczy do roboty niż zabawę w te gierki. Musiałby pan złożyć mi znacznie lepszą propozycję i nie mówię tu o stanowisku w rządzie czy o tytule ambasadora. Nie potrzebuję zaszczytów, tak samo jak nie potrzebuję pieniędzy, panie prezydencie.

Johnson przez chwilę wydawał się zdezorientowany. Jeżeli Marshall nie jest zainteresowany ani stanowiskiem, ani pieniędzmi, to o co mu chodzi?

- Pojadę do Wietnamu, panie prezydencie, i przeprowadzę uczciwe i obiektywne badania, ale jeżeli przywiozę jakieś zalecenia, chciałbym, żeby pan coś z nimi zrobił.

- Oczywiście, że zrobię, Bradley. Wiesz, że...

- Jeżeli stwierdzę, że wojska mają być wycofane, będę oczekiwać, że pan je wycofa lub zrezygnuje z ponownego wyboru.

Marshall wskazał gestem na rząd telewizorów.

- Niech pan wystąpi publicznie i powie, że nie będzie pan kandydować, i że w interesie pokoju zrezygnuje pan z wyścigu do prezydentury.

Johnson chciał coś powiedzieć, otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Chciałbym to otrzymać na piśmie. Jest wrzesień. Dam panu sześć miesięcy. Marzec. Jeżeli nie będzie miał pan odwagi wycofać wojsk do pierwszego marca, wtedy złoży pan oświadczenie. To, oczywiście, zależy od tego, czy będę zalecać wycofanie wojsk i czy nie pojawi się wyraźny postęp w przebiegu wojny.

Oczy Johnsona zabłyśły. Dostrzegł w tym otwierającą się drogę ucieczki.

- Co rozumiesz przez słowo „wyraźny”?

- Rozumiem oczywistą, łatwą do określenia i powszechnie uznawaną poprawę sytuacji militarnej. Nie mam tu na myśli kolejnych bzdur na temat światełka na końcu tunelu. Myślę o końcu tunelu.

Johnson pokręcił smutno głową.

- Zaszokowałeś mnie, Bradley. To szantaż.

- Nie, sir. My, prawnicy, nazywamy to kontraktem. Jeżeli ja zrobię to a to, ty, w uznaniu moich wysiłków, zrobisz tamto. Wszystko jest proste i oczywiste. Dlatego właśnie nalegam, żeby wszystko było na piśmie, jako dowód naszego postępowania w dobrej wierze, naszej otwartości i jawności działania.

- I będziesz mógł mnie szantażować, używając tego świstka papieru. Nie próbuj mnie oszukać.

- Dlaczego miałbym to robić? Jako człowiek honoru i tak wypełni pan warunki kontraktu.

- Cóż... Muszę to przemyśleć - powiedział Johnson z rozdrażnieniem.

- Świetnie - zgodził się Marshall wstając. - Proszę mnie powiadomić.

- Dobrze, do cholery. Zgadzam się.

Johnson wstał, spojrział z gniewem Marshallowi głęboko w oczy i uśmiechnął się.

- Chyba jesteś wart wszystkich tych pieniędzy, jakie ci płacą.

Marshall skinął głową z powagą godną stylu Johnsona.

- Prawda i sprawiedliwość nie mają ceny, panie prezydencie. Johnson wybuchnął śmiechem i klepnął go w plecy.

- Jak tam twoja żona, Catherine? Jestem zaskoczony, że jeszcze nie dostała skurczy palców od pisania - powiedział, wskazując na biurko. - Mam już chyba ze sto petycji z jej podpisem, żeby się wycofać z Wietnamu. Nazywa mnie zbrodniarzem wojennym. Zbrodniarz wojenny! Słyszę o niej tak często, jak o tej Fondue z Hollywood i o tej cholernej śpiewaczce Joan Buzz. Mogę się założyć, że się ucieszy na wiadomość, że jedziesz tam w tej swojej misji szantażysty.

Marshall uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Nie zrozumie, po co tam jadę. Uważa, że jedyna rzecz, jaką trzeba zrobić, to wycofać wojska.

Johnson nic nie powiedział. Podeszedł do okna i patrzył na trawnik za domem.

- Kobiety mają cholerny sposób myślenia, prawda? Lady Bird... - przerwał i pokręcił powoli głową. - Ty masz synów, nie?

- Tak, sir. Dwoch.

Johnson, nie odwracając się od okna, odezwał się ze szczerym przekonaniem:

- Niech Bóg się nad nimi zlituje. Marshall stał przy oknie obok niego.

- Tak, sir - powiedział.

Patrzyli dalej niż trawnik, dalej niż oceany, w stronę odległych krajów. Marshall czuł ciężar, jaki spoczywa na tym człowieku.

- Zawsze uważałem, że drugi jeździec Apokalipsy jest najstraszniejszy.

- Tak - zgodził się Johnson.

- Nie możemy zrobić wiele wobec pozostałych - głód, zaraza, śmierć. Wygrają z nami niezależnie od tego, co zrobimy. Ale wojna... Z tym możemy sobie poradzić.

Johnson odwrócił się do Marshalla i położył mu rękę na ramieniu.

- Mój Boże, mam nadzieję - powiedział szczerze i uśmiechnął się. - A teraz jedź i spróbuj przekonać tego skurwysyna Ho, Westmorelanda i Roberta McNamare.

Podszedł do biurka i wcisnął guzik interkomu.

- Proszę przygotować nominację dla ambasadora Marshalla. Wychodzę na lunch. Pozwoliłem sobie - dodał złośliwie, ściskając Marshallowi dłoń - podpisać już tę nominację, zanim pan przyszedł, licząc na pańskie poświęcenie i patriotyzm.

Przeszedł przez pokój do drzwi prowadzących do Ogrodu Różanego i odwrócił się. - Musi pan rozsupłać ten węzeł - zakończył i wyszedł.

Asystent prezydenta, czując, że Marshall niecierpliwi się i chciałby jak najszybciej wyjść, wszedł pośpiesznie, niosąc skórzaną teczkę z wytłoczoną prezydencką pieczęcią. Marshall nie wziął jej do ręki.

- Niech pan zostawi ją na biurku. Trzeba dodać jeszcze poczynione uzgodnienia. Po uzupełnieniu proszę mi ją przesłać.

- Dobrze, panie ambasadorze. Pańskie biura będą po sąsiedzku z budynkiem administracji. Załatwiliśmy sekretarki i asystentów oraz zorganizujemy odprawy z Departamentem Stanu, Departamentem Obrony, Kolegium Szefów Sztabu, CIA i z kimkolwiek pan zechce się spotkać. Jeżeli czegokolwiek będzie pan potrzebować lub jeżeli będzie pan miał jakiegokolwiek pytania, natychmiast się tym zajmiemy.

Prezydent pragnie pana zapewnić, że otrzyma pan wszystko, o co pan poprosi i kiedykolwiek to będzie potrzebne.

Kiedy Marshall wyszedł, musiał podnieść rękę, żeby osłonić się od blasku słońca. Odetchnął głęboko dusznym, wilgotnym powietrzem. Przynajmniej uniknę lata w Waszyngtonie, pomyślał. Czy w Sajgonie jest teraz zima? Czy Wietnam leży poniżej równika? Przypomniał sobie mapę w odwzorowaniu Mercatora. Oczywiście, że nie. Rozzłościł się na siebie z powodu swojej ignorancji. Agent Tajnej Służby otworzył drzwi limuzyny. - Do widzenia, sir.

No, zaczyna się, pomyślał Marshall. Stoi teraz za mną cała potęga prezydenta. Asystenci, ochrona, szacunek, limuzyny, helikoptery, samoloty - szybkość i potęga w najwyższych przejawach. Użyję jej w słusznej sprawie. Samochód ruszył spod Białego Domu.

Dokonał wielkich rzeczy. Położę kres tej strasznej wojnie. Ocalę życie ludzi. Dzięki Bogu nie ma tam moich synów, pomyślał. Chris ma dopiero piętnaście lat, a Ryanowi odroczone wojsko ze względu na studia. Tego nie mógłby znieść. Wiedział o tym. Stały mu nagle przed oczami dała pływające w wodzie, leżące, rozdęte na plaży, zamrożone w śniegu. Guadalcanal. Chosin. Odegnął te wspomnienia i westchnął głęboko. Spojrzał w okno. Był piękny letni dzień. Jego dzieci są bezpieczne. Znajdzie jakieś rozwiązanie. Świat będzie lepszy.

Limuzyna minęła bramę i, przyspieszając, skręciła w Pennsylvania Avenue. Marshall spojrzał na tłum przed Białym Domem. Ludzie. Dla niego nie stanowili bezimiennego tłumu, nie byli abstrakcją. Wierzył, że są w zasadzie dobrzy, i ufał ich lepszym instynktom.

Limuzyna mknęła aleją. To piękne miasto, pomyślał. Uosabia najszlachetniejsze ludzkie idee: wolność, sprawiedliwość, równość.

Rozsiadł się wygodniej. Sajgon. Kilkakrotnie powtórzył to słowo w myślach. Brzmiało egzotycznie i tajemniczo. Wietnam jest tak odległy.

Jest silny. Ma dobry wzrok i serce. Ma jasno sprecyzowane i słuszne cele. Czyż może zawieść?

II

Sung zawsze myślała o tej ziemi jako o zielonym oceanie dżungli i tropikalnych lasów, ale teraz ta ziemia poznaczona była lejami wybuchów i odarta z roślinności. Pola ryżowe i plantacje drzew kauczukowych, które kiedyś wyglądały jakby je pomalowano zieloną farbą, teraz były okaleczone i poorane bliznami. Miało się wrażenie, jakby jakiś zagniewany bóg niszczył w szaleństwie co popadło.

Między grobami jej przodków widniały leje po bombach. Martwi zostali po raz drugi zabici w czasie nalotów.

Świątynie, w których modliła się, były zaniedbane i popadły w ruinę. Wzruszające niewielkie kapliczki, gdzie, jak wyobrażała sobie, żyły pomniejsze bożki żądne resztek ryżu i małych, ościstych rybek składanych im w ofierze, teraz były puste, a bożki skryły się gdzieś w ciemnych kątach i wiodły ze sobą sprzeczki.

Teraz Sung siadywała wieczorami z ojcem na werandzie, patrząc na przytłaczającą ogromem, wilgotną dżunglę, niknącą powoli w mroku i w oparach mgły.

Kim są ci ludzie, którzy chcą mojej ziemi i moich przodków? - zapytywał w ciemności. Ta ziemia należała do jego rodziny od pokoleń. Nie może jej opuścić. Tu są groby jego przodków. Kto będzie im składać hołd, kiedy, on odejdzie? Co będzie z nim, jeżeli zostanie bez ziemi, kto i gdzie go pochowa, i będzie się opiekować jego grobem?

Sung Le Vinh miała siedemnaście lat i prawie sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu. Była wysoka jak na Wietnamkę. Miała długie czarne włosy i rysy jak laleczka z porcelany.

Urodziła się w tym domu, w Bań Me Thuot na Płaskowyżu Centralnym w prowincji Darlac, niedaleko od cesarskich rezerwatów łowieckich. Była najmłodszą z pięciorga dzieci i jedyną dziewczynką. Jej ojciec pochodził z rodziny właścicieli ziemskich i mandarynów, a matka była daleką krewną cesarza Bao Daia, który kiedyś rezydował wraz ze swym dworem w Hue.

Matka zabrała kiedyś Sung, jeszcze jako małą dziewczynkę, żeby odwiedzić babkę cesarza. Była to kobieta tak stara i wysuszona, że kiedy powiedziała, iż Sung przypomina jej nią samą z lat dzieciństwa, Sung nie mogła uwierzyć, że babka kiedykolwiek była młoda.

Nie mogła oderwać oczu od paznokci cesarzowej. Wyglądały jak długie ostrza i kiedy staruszka wyciągnęła rękę, żeby ją dotknąć, dziewczynka przestraszyła się, ale dotknięcie było łagodne jak muśnięcie piórkiem.

- To już wyszło z mody - powiedziała staruszka cichym głosem, wyciągając przed siebie ręce i pokazując paznokcie. Kiedyś były jeszcze dłuższe. To miało pokazywać, że nigdy nic dla siebie nie robimy. Teraz to już do niczego nie służy - dodała ze słabym uśmiechem.

Kiedy cesarzowa skończyła drzemkę, wezwała ponownie dziecko do siebie.

Sung dostała kaptur, żeby móc chodzić po drewnianych podłogach pałacu, tak wypolerowanych, że widziała w nich swoje odbicie. Podłoga skrzypiała głośno, że

aż dziewczynka była skrępowana, ale matka wyjaśniła jej, że zrobiono tak specjalnie, żeby głośne dźwięki ostrzegały rodzinę królewską.

Cesarzowa posadziła ją obok siebie na sofie w swojej prywatnej komnacie. Jadły owoce i piły herbatę, podczas gdy staruszka opowiadała Sung o jej przodkach,

- Słabi mężczyźni. To przywara naszej dynastii - powiedziała cichym, śpiewnym głosem. - Gdybyśmy my - miała na myśli kobiety - rządziły, nie byłoby ani Francuzów, ani Japończyków i tron nadal byłby nasz.

Jej wnuk, cesarz Bao Dai, abdykował dziesięć lat wcześniej i uciekł do Paryża. Babka została

w Hue.

- Urodziłam się za panowania cesarza Tu Duć, czwartego władcy z dynastii Nguyen i ostatniego przed tym, nim Francuzi zrobili z nas niewolników. - Pokręciła głową z niesmakiem. - Słabi mężczyźni. Tysiąc lat rządów chińskich, aż wreszcie pojawił się silny mężczyzna, Gia Long, w 1802 roku. Minh Mang, jego syn, też był silny, ale potem z krwi zrobiła się woda i kiedy pojawili się Francuzi, nasi cesarze postarali się wyświadczyć im przysługę, tak jak się wyświadcza przysługę złodziejowi wpuszczając go do domu.

Zamknęła oczy, złożyła ręce na kolanach i wyprostowała się.

- Francuzi przyjechali po przyprawę, jedwab i klejnoty. Myśleli, że u nas jest jak w Indiach albo w Chinach. Kiedy jednak stwierdzili, że nic nie mamy im do zaoferowania oprócz siebie do niewolniczej pracy, zostali, sprowadzili misjonarzy, złych ludzi w czarnych szatach, którzy ropęzli się po kraju jak karaluchy.

Otworzyła oczy, ale nie poruszyła się. Gniew bijący z jej oczu i głosu sprawił jednak, że wyglądało to, jakby stała wyprostowana w pozie pełnej oburzenia.

- Tu Duć zrezygnował z niepodległości w ostatnich latach panowania. Był słaby i przerażony. W 1882 roku miałam tyle lat co ty, kiedy zostałam niewolnicą.

- Niewolnicą? - zapytała ze zdziwieniem Sung. Jej rodzina miała wielu służących. Cesarzowa wdowa z pewnością nie kłaniała się i nie zginała karku, jak to czyniła służba.

- Wietnam stał się kolonią. Mrówki żyją w koloniach. Ludzie, którzy żyją jak mrówki, to niewolnicy. Cesarz stał się marionetką, kierowaną przez Francuzów pociągających za sznurki. Tylko w czasie wojny za sznurki pociągali Japończycy. Potem marionetka stała się szmacianą lalką, rzuconą w kąt i zapomnianą.

Staruszka wstała.

- Słabi mężczyźni - powiedziała kończąc rozmowę. Podeszła do starej tekowej komody i wyjęła z niej lalki, żeby pokazać je Sung. Poukladała je na poduszkach i krzesłach. Pachniały kamforą.

Innym razem Sung pojechała z cesarzową wdową nad Rzekę Perfumową. Była to tylko krótka wycieczka, ale przygotowania przeprowadzono bardzo starannie. Pojechały starą czarną limuzyną z szoferem w żółtej liberii. Żółty był kolorem cesarskim. Towarzyszyły im również trzy damy dworu.

Cesarzowa wysiadła nad brzegiem rzeki, żeby się pomodlić. Chociaż była bardzo stara i słaba, nikomu nie pozwoliła sobie pomóc. Modliła się do duchów rzeki. Powiedziała Sung, że wojownicy dawnych cesarzy tak czynili, żeby odpędzić zło. Teraz żołnierze nie wierzą w duchy i nie ma już cesarzy, ale, jak stwierdziła cesarzowa wdowa, zło nadal istnieje.

Sung dowiedziała się później, że cesarzowa wdowa została wypędzona z Hue, a służba ją porzuciła. Przerażona stara kobieta uciekała pieszo, przyciskając do piersi zawiniątko z czystą bielizną, potrącana i spychana z drogi przez uciekających żołnierzy, którzy już i tak dawno opuścili należącą do przeszłości dynastię.

Chociaż w żyłach matki Sung płynęła krew dynastii cechującej się brakiem zdecydowania, to ona właśnie wykazała tego zdecydowania więcej niż jej ojciec.

- Musimy wyjechać z Bań Me Thuot - powiedziała. - Nie możemy tu zostać dłużej.

- Wyjechać? Zostawić ziemię? Opuścić przodków? Dokąd pojedziemy? Ogromny majątek, obejmujący pola ryżowe i plantacje kaczuki, zapewniał

luksusowe życie. Cztery bracia Sung studiowali na uniwersytecie w Hue, ona zaś pobierała lekcje prywatnie, świetnie nauczyła się francuskiego i angielskiego.

Ponieważ ojciec Sung trzymał się z dala od Francuzów, mógł powiększyć swoje posiadłości po upadku Dien Bien Phu. Potem jednak nie potrafił znaleźć złotego środka pomiędzy zwalczającymi się frakcjami. Sajgon, partyzantka antyfrancuska, katolicy, buddyści, sekta Cao Dai, Amerykanie - to było dla niego za wiele.

- Pokoju nie będzie - powiedziała matka. - Nie ma też sensu sprzymierzać się z jednymi, bo drudzy obrócą się przeciw tobie. Musimy wyjechać. Nasz czas minął.

- Ale przecież wszystko, co mamy, to ziemia - powiedział ojciec.

- A oni właśnie tego chcą - upierała się. - Zabiją nas dla zdobycia ziemi. Dlatego musimy wyjechać.

Sung obserwowała matkę. Siedziała tak samo, jak kiedyś siedziała cesarzowa wdowa - z wyprostowanymi plecami i rękami złożonymi na kolanach. Mówiła do męża ze spokojną

stanowczością.

Ojciec nie mógł się jednak pogodzić z jej stanowiskiem. Był człowiekiem uczciwym, który dobrze traktował robotników. Nie mógł zrozumieć, dlaczego go opuścili.

- Boją się - powiedziała mu żona. - Viet Minh pozabija ich, jeżeli będą dla ciebie pracować.

Potem uciekła służba domowa.

Inni właściciele ziemscy wyjeżdżali całymi rodzinami.

Pola leżały odłogiem. Bracia Sung wrócili z Hue, żeby pomagać, ale ich ziemia stała się polem bitwy, na którym działali żołnierze obu walczących stron.

Nocą, kiedy nieprzyjaciel krążył w ciemnościach na zewnątrz, cała rodzina przyczajala się wewnątrz domu, jak czuwający w zapomnianej świątyni strażnicy oczekujący najazdu barbarzyńców.

Pewnego dnia do domu przyszli przywódcy Wietkongu. Byli uprzejmi, ale przerażający. Zażądali dziesięciu milionów plastrów jako - jak stwierdzili - spłaty długu dawno zaciągniętego wobec ludu.

- Jaki dług? Jaki lud? - zapytał ojciec.

- Ty i twoja rodzina byliście pasożytami. Żyliście z pracy innych. Musicie oddać ziemię ludowi, jej prawowitym właścicielom, a cała rodzina musi się przesiedlić i poddać reedukacji. Byłoby dobrze dla was, gdybyście popracowali dla innych i gdyby synowie zmyli hańbę z rodziny, przyłączając się do nas.

Kiedy odeszli, ojciec udał się do szefa prowincji w Bań Me Thuot. Człowiek ten, mianowany przez władze w Sajgonie, wysłuchał go z niekłamanym współczu-

ciem. Powiedział jednak, że niestety wszystkie siły, którymi dysponuje, są obciążone ponad miarę. Oczywiście, gdyby ojciec był gotów pokryć koszty stacjonowania żołnierzy, może mógłby coś załatwić, ale będą to wysokie koszty.

- Jesteście tak samo źli jak tamci! - wykrzyknął ojciec. - Chcecie wymusić pieniądze. Wszyscy jesteście skorumpowani.

- Czy teraz rozumiesz, że musimy wyjechać? - powiedziała żona.

On jednak jeszcze bardziej się uparł. Nie ugnie się przed terrorem i korupcją. Nigdy nie odda swojej ziemi takim ludziom.

Sung była z matką w kuchni tego ranka, kiedy przyszli żołnierze.

- Uciekaj - powiedziała matka nie podnosząc głosu i tak normalnym tonem, że Sung nie zrozumiiała, o co jej chodzi.

Powtórzyła polecenie jeszcze raz, tym razem z naciskiem i gniewem. Wreszcie wrzasnęła na nią i Sung uciekła w panice, ale nie wiedziała, dokąd i dlaczego ma uciekać. Pobiegnęła na tyły domu, mając nadzieję, że uda się jej uciec przez pola do dżungli, ale wtedy właśnie ich zobaczyła. Siedmiu żołnierzy z karabinami. Mieli

już jej braci i ojca.

Oni dostrzegli ją w tym samym momencie. Trzech żołnierzy rzuciło się w pościg, ale Sung i tak nie mogła biec. Była porażona widokiem, który miała przed oczami.

Ojciec i bracia mieli ręce związane na plecach. Potykali się i padali, gdy żołnierze popychali ich i szturchali. Nawet z tej odległości widziała krew. Po ich zgarbionych i spokorniałych sylwetkach poznała, że zostali pobici.

Matka znalazła się przy Sung w tej samej chwili, kiedy dobiegli do niej żołnierze. Walczyła z nimi i wbiła paznokcie w szyję żołnierzowi, który chwycił Sung. Inny uderzył matkę w bok tak mocno, że upadła, ale zaraz się zerwała i znowu rzuciła się na żołnierza. Jej krzyki rozdzierały ciszę poranka. W końcu trzeci żołnierz uderzył ją kolbą karabinu w głowę.

Sung nie mogła nic zrobić dla matki leżącej u jej stóp. Teraz już nikt nic nie mógł zrobić. Przerazenie na myśl o tym, co ma się stać, zupełnie ją sparaliżowało. W akcie samoobrony jej umysł jakby oderwał się od ciała. Patrzyła na wszystko jak widz z dużej odległości.

Kiedy żołnierze przyprowadzili ojca i braci bliżej, ci uparcie patrzyli w ziemię.

Matka poruszyła się, gdy zobaczyła męża i synów pochylonych nad nią i zaczęła czołgać się w ich stronę. Objęła rękami nogi stojącego najbliżej syna i próbowała wstać, ale jeden z żołnierzy nadepnął jej na ręce. Sung usłyszała trzask łamanych kości.

Żołnierze nie odzywali się ani słowem. Jeden z nich chwycił matkę za włosy i powłókł na dziedziniec przed dom, podczas gdy inni poprowadzili za nimi Sung, jej ojca i braci.

Żołnierze zmusili mężczyzn, żeby usiedli, i posadzili matkę opartą o nich, poszturchując ją,

dopóki nie dała znaku życia. Trzech żołnierzy z karabinami stanęło za nimi. Pozostałych czterech chwyciło Sung.

Zdarli z niej ubranie, jeden z żołnierzy, najmłodszy, chłopak niewiele starszy od niej, szybko ściągnął spodnie, ale inni odepchnęli go.

Zanim zaatakowali Sung, zawlekli ją tam, gdzie siedziała rodzina, i zmusili ich, żeby patrzyli, trącając ich karabinami w szyję, podnosili im głowy do góry,

wciskając lufy pod brody. Ojdec i bracia zamknęli zakrwawione oczy, ale matka spotkała jej wzrok.

Sung widziała, jak zaciska zęby, jak potem gniew gaśnie powoli w jej oczach i zastępuje go prawdziwa, przepelniona smutkiem miłość. Nie odrywała wzroku od córki, a wyraz jej twarzy nie ulegał zmianie.

Żołnierze gwałcili ją na różne sposoby, a gdy skończyli, przyłożyli lufy do głów ojca, matki i braci, i oddali po jednym strzale.

Sung leżała na ziemi z głową zwróconą w stronę matki, wpatrywały się w siebie, dopóki głowa matki nie przemieniła się w krwawą masę.

Najmłodszy żołnierz pochylił się nad nią i uśmiechnął się. Wsunął lufę karabinu do jej pochwy, potem pchnął mocniej, jakby ją chciał nadziać jak na rożen. Jego oczy zalsniły dziko i pociągnął za spust.

Szczęk zamka przerwał ciszę poranka. Chłopak roześmiał się i wycofał lufę karabinu.

Nieustające brzęczenie much otrzeźwiło ją. Muchy były wszędzie. Całymi rojami siadały na krwi i nasieniu zasychających na jej kroczu. Siadały na ustach, nosie i oczach, a gdy opędzała się, wracały brzęcząc zachłannie.

Matka leżała na ziemi. Muchy pożywiały się w jej otwartych oczach, ale kiedy Sung chciała do niej się podczołgać, nie mogła się ruszyć.

Wtedy zobaczyła swojego ojca.

Ale to nie był jej ojciec.

Z początku nie mogła zrozumieć, co się stało. Gdzie się podziała głowa?

Ogarnęło ją przerażenie. Szlochając, starała odepchnąć się dalej, ale jej palce tylko ryły piach.

Ciało ojca leżało zaledwie pięć metrów od niej. Głowa została gładko odcięta od szyi, z której wypłynęła kałuża krwi.

Nagle ręka ojca poruszyła się. Palce wyprostowały się, jakby sięgały ku niej. Wrzasnęła. W tym samym momencie wszystkie ciała zaczęły się poruszać. Wiły się koło niej. Ucięta szyja drgała. Wypłynął z niej następny strumień krwi.

Krzyczała, dopóki nie straciła przytomności.

Kiedy ją odzyskała, było jej zimno. Słońce zachodziło. Muchy zniknęły.

Odwróciła głowę w stronę, gdzie leżał ojciec. Palce ręki były sztywne, a całe ciało dziwnie napięte w pośmiertnym zeszywnieniu. To samo stało się z braćmi i matką.

Chciała poruszyć się, ale nie mogła zdobyć się na żaden wysiłek. Było zupełnie tak, jakby ona też leżała martwa. A jednak odczuwała ból. Znowu straciła przytomność.

Kiedy obudziła się po raz kolejny, księżyc świecił tak jasno, że widziała rany wylotowe od kul na czołach braci. Wydawało się, że śpią spokojnie pod gwiazdzistym niebem. Nie chciała się więc poruszyć, żeby ich nie obudzić. Oparła głowę na rękach i zasnęła.

Ptaki zbudziły ją o świcie. Ręce miała zeszywniałe i bolały ją przy każdym ruchu, jak tylko drgnęła, zewsząd rozległy się tajemnicze szelesty. Odwróciła się i krzyknęła. Szczury dobrały się do ciała. Wzerały się w rany i otwory. Jeden szczur wypełznął z klatki piersiowej brata i wyszczerzył na nią zęby.

Wymachiwała rękami i wierzgała nogami i nie mogła przestać krzyżeć. Wreszcie udało jej się wstać i pobiegła na przełaj przez pole, machając rękami przed twarzą, żeby odegnać obraz szczurów pożerających ciała jej rodziny.

Biegła na ślepo, aż upadła łkając i oddychając ciężko. Pola były mokre od porannej rosy i Sung cała oblepiona była błotem. Leżała drżąc, dopóki nie zaczęła oddychać spokojnie.

Kiedy dotarła do domu sąsiadów, starych przyjaciół ojca, zapukała do drzwi. Słyszała ludzi w środku, ale nikt nie otwierał.

- Pomóżcie! - wołała. - Pomóżcie!

Drzwi wreszcie uchyliły się nieco i zobaczyła, że przyjaciel ojca kryje się za nimi.

- Odejdź - syknął.

Zdała sobie sprawę, że już wiedział. Wszyscy wiedzieli, co się stało, i bali się.

- Idź - powiedział, rzucając jej kilka banknotów.

- Już nic więcej nie mogą mi zrobić - powiedziała, podnosząc pieniądze.

- Zawsze jest jeszcze coś, co będą mogli zrobić - powiedział i zamknął drzwi. Nie, pomyślała.

Zrobili już najgorsze.

Matka powiedziała, że powinni uciekać do Sajgonu. To było jedyne bezpieczne miejsce. Pójdzie do Sajgonu. Tam jej ktoś pomoże.

Wsunęła pieniądze do kieszeni podartej bluzki i poszła w kierunku drogi. Nawet o tak wczesnej godzinie panował na niej ruch. Przejechało kilka samochodów, ale głównie były tam rodziny ciągnące wózki. Wszyscy szli na południe w stronę Sajgonu. Poszła za nimi i po kilku godzinach dotarła do przedmieść Bań Me Thuot. Po prawej stronie drogi widać było kilka nadzianych na tyki ludzkich głów zwróconych przodem do podróżnych, zbliżających się do miasta. Wśród nich była głowa jej ojca z wybaluszonymi oczami i wywalonym językiem, jako ostrzeżenie dla tych, którzy nie chcą pomagać komunistom.

Zbierało jej się na płacz, ale nie miała już czym płakać. Odwróciła głowę. Nie będę myśleć, postanowiła. Nie będę czuć.

Z upływem dnia na drodze pojawiało się coraz więcej ludzi. Szła z kobietą, której mąż został zabity pełniąc służbę wojskową. Udawała się do Sajgonu, żeby prosić... Nie wiedziała nawet kogo. Nie miała pieniędzy, a władze lokalne nie chciały dać jej ani grosza dla niej, ani dla dzieci.

Sung pomogła jej nieść niemowlę. Było zbyt słabe, by płakać, a nawet, by ssać.

Trzeciego dnia kobieta wyciągnęła ręce w stronę Sung, chcąc, żeby poniosła jej dziecko. Dzień stał się gorący, a nad drogą unosił się kurz. Nie odzywały się do siebie już od wielu godzin, tylko wlokły się wraz z tłumem.

Gdy tylko palce Sung dotknęły dziecka, zorientowała się, że jest martwe. Oskoczyła, a kobieta, trzymając maleństwo, pozostała na drodze z rękami wyciągniętymi ku niej.

Kobieta długo patrzyła na swe martwe dziecko, a potem położyła je na środku drogi i odeszła na przelaj przez pole, prowadząc drugie dziecko, aż zniknęła w oddali.

Ludzie mijali dziecko, nawet nie patrząc. Jego brzuszek był wydęty, a otwarte wrzody pokrywały ciało.

Kilka psów podbiegło do dziecka, ale Sung odpędziła je. Psy uciekły w pole, a potem zawróciły i czekały.

Sung patrzyła na dziecko leżące na drodze, na mijających je ludzi, na czekając! psy. Wreszcie odwróciła się i poszła dalej. Nie obejrzała się. Nie nasłuchiwała; szczekania psów. Nic nie myślała ani nic nie czuła.

Codziennie było więcej ludzi na drodze. Tysiące. Na plecach dźwigali swój dobytek. Starzy i słabi, dzieci, kaleki, ranni, wdowy, sieroty - uciekali z granic objętego klęską obszaru do jego centrum.

Sung szła wraz z tymi tysiącami. Była sześć dni w drodze. Uciekinierzy stawali się ofiarami rabusiów mieszkających w budach zrobionych ze skrzyń po amunicji wzniesionych wzdłuż drogi. Wrywano ludziom z rąk to, co nieśli lub zdzierano odzież z pleców. Nocami kulila się wraz z innymi na poboczu drogi, a rabusie przebierali wśród nich, jak w stosach śmieci. Leżała bez ruchu wśród drapieżników ze świata owadów, szczurów i ludzi.

Droga była jak zbyt wąska żyła, którą skażona krew płynie do chorego serca. W końcu jednak Sung zorientowała się, że zbliża się już do miasta.

Miasto zaczynało się wiele kilometrów od centrum. Najpierw były budy sklecone z tekturowych pudeł, przed którymi apatycznie siedziały zniszczone kobiety, a wychudzone jak szkielety dzieci patrzyły zamglonymi oczami. Dwa miliony uciekinierów trafiło do miasta, zostali przez nie wchłonięci, a potem wypłuci, bo nie mogli nic dla siebie znaleźć. Wypływali z miasta jak strumienie i wracali na zdewastowane, bagniste tereny, by obozować wzdłuż dróg.

Droga poszerzała się w miarę zbliżania się do miasta. Wielkie wojskowe pojazdy załadowane żołnierzami i amunicją, rycząc klaksonami, spędzały z drogi mniejsze pojazdy, wozy i uciekinierów. Wydzielały trujące spaliny i wzniewały dokuczliwy hałas. Żołnierze naśmiewali się z uciekinierów i wykrzykiwali do nich różne sprośności. Czasami ciskali w tłum żywność, co powodowało jeszcze większy chaos, bo ludzie rzucali się na zdobycz jak szaleni.

Tekturowe pudła i skrzynie po amunicji ustąpiły miejsca lepiankom, a gruntowa droga przeszła w

szosę pełną dziur i wybojów. Lepianki zdawały się przyklejone jedna do drugiej. W pewnym momencie pojawiły się pierwsze znamiona działalności gospodarczej - uliczny sprzedawca zupy, warsztat naprawy rowerów. Można było zobaczyć poruszające się po jezdni ryksze i motocykle. Lepianki skończyły się. Pojawiły się jakieś ruiny domów z kamienia i cegły, a także małe domki, w których gnieździło się po pięć, a nawet po dziesięć rodzin.

Szosa zmieniła się w szeroką aleję ze sklepami i wielopiętrowymi domami mieszkalnymi. Wszędzie gniły śmieci i odpadki. Tłumy żebraków, kalek, złodziei i dzieci poszturchiwały ją i odpychały. Miasto kipiało pośpiechem, wciągało ludzi w siebie, jak szczury do środka przepelnionej klatki.

Nagle znalazła się sama, zagubiona na bocznej ulicy, otoczona przez ludzi o przebiegłych, zaciętych twarzach. Próbowwała wrócić na aleję, ale trafiła na inną boczną ulicę.

Przez cały czas powtarzała sobie: „Wszystko będzie dobrze, jak dotrę do Sajgonu”, jakby oczekiwała, że znajdzie tam schronienie, że ktoś będzie na nią czekać. Teraz jednak zrozumiała, że nie ma tu dla niej nic, i że nikt na nią nie czeka.

Błąkała się beznadziejnie zagubiona do późna w nocy po dzielnicy Cholon, aż wreszcie poprosiła dwie dziewczyny, które wynajmowały pokój w pobliżu, żeby

pozwoły jej zostać ze sobą na noc. Dziewczyny pracowały w barach i wracały Wieczorem do siebie tylko wtedy, kiedy żołnierze nie zabierali ich na noc do hotelu. Siedziały we trójkę na podłodze prawie pustego pokoju i piły zimną herbatę. Niczym nie przysłonięta żarówka rzucała ostre światło, kołysząc się w lekkim powiewie wpadającym przez okna bez szyb.

- Znajdź sobie mężczyznę - powiedziała jedna. Oko miała podbite i zapuch-jnięte, a włosy sklezione brudem. - W czasie wojny kobieta ma tylko swoją cipę. Naucz się jej używać, jeżeli tylko jej ktoś zechce. - Będzie lepiej, kiedy przyjdą komuniści - powiedziała druga. Pierwsza splunęła.

- Przecież to takie samo mięso, takie same kości i takie same kutasy.

- Idź do Chińczyka - powiedziały. - Są gorsze rzeczy niż być kurwą.

Trzy dni później, kiedy stwierdziła, że nie ma co ze sobą zrobić - bez pieniędzy, bez jedzenia i mieszkania - poszła do Chińczyka.

Burdel mieścił się w dwupiętrowym zaniedbanym budynku, zagubionym gdzieś w plątaninie bocznych uliczek. Za murem pokrytym spękanym tynkiem rozciągało się niewielkie podwórze zawalone śmieciami, na którym nie rosły żadne rośliny, tylko koty wygrzewały się na ciepłym betonie.

Chińczyk ją jednak przepędził.

- Mam dosyć kurew - powiedział. Sung mimo wszystko potulnie znowu wspięła się po schodach.

- Nie mam pieniędzy i nie mam dokąd pójść. Mówię językiem Amerykanów. Roześmiał się. Był niski i bardzo stary. Jego oczy na pół przykryte powiekami były

mętne i nabiegłe krwią, a zęby, jakie mu jeszcze pozostały, żółte i połamane. Był brudny, a biała szczecina pokrywała mu twarz. Ślinił się i ciągle wycierał usta rękawem. Mówił szybko, z dziwnym akcentem. Jego dłonie i stopy były w ciągłym ruchu.

- Cóż znaczą słowa? Potrzebujemy dźwięków. Dźwięków zwierzęcych. Powinnaś jazgotać jak pies. - Roześmiał się. - Czy potrafisz naśladować amerykańskiego psa?

W niewielkim brudnym pokoju znajdowały się jeszcze cztery kobiety. Pokój był właściwie pusty, poza ławką, na której siedziały. Podniosły głowy, kiedy wchodziła po schodach, ale odwróciły się, stwierdziwszy, że nie jest to klient.

- Niech na cię obejrzę - powiedział Chińczyk piskliwym głosem. Zerwał z niej sukienkę. Kiedy wsunął w nią dwa palce, roześmiał się.

- Z Amerykanami będzie cię bolało. Narobisz niezłego hałasu. Gładził jej plecy i pieścił pośladki.

- Weź mnie do ust - powiedział.

Cofnęła się. Inne kobiety spojrzały na nią z pewnym zainteresowaniem.

- To wynoś się. Jak myślisz, co robisz tutaj kurwy?

Opuściła głowę i nie poruszyła się. Po chwili jednak uklękła przed nim.

- Pomyśl o tym, co dzieje się w dzisiejszych czasach - powiedział znudzonym głosem. - Czy ma jakiegokolwiek znaczenie to, co ty robisz, córko?

Otworzyła oczy i zobaczyła jego członka kilka centymetrów przed twarzą. Inne kobiety patrzyły z pewną dozą zaciekawienia, ale kiedy wzięła członek do ust, straciły zainteresowanie i odwróciły

głowy.

- Nie jesteś dobra - powiedział i cofnął się. - Oni jednak płacą za to, co robisz, a nie za to, jak to robisz. Jak - nie jest ważne dla Amerykanów.

Zaprowadził ją do sąsiedniego pomieszczenia, które podzielone było na piętnaście pokoiów porozwieszanymi prześcieradłami. W każdym stało łóżko. Wskazał jej jeden.

- Ten będzie twój. Hałasuj, stękaj, jęcz i poruszaj się szybko, żeby jak najprędzej skończył. To łatwa robota. Umyj mężczyznę przedtem, a siebie potem - powiedział, wskazując na miednicę w kącie. - Jeżeli coś złapiesz albo zajdziesz w ciążę, będziesz musiała odejść. Płacę trzysta piastrow od klienta i daję ci wyżywienie.

Zaprowadził ją następnie do poczekalni i posadził na ławce. Nikt się do niej nie odzywał. Obciągnęła na sobie podarte ubranie i siedziała skulona, oparta o ścianę, tak zawstydzona i przerażona, że nie mogła podnieść oczu. Co zrobią jej ci mężczyźni? Co się z nią stanie? Pomyślała o matce i zaczęła płakać.

Jakaś ręka spoczęła na jej ramieniu. Podniosła głowę i napotkała wzrok kobiety niewiele starszej od niej. Miała tak mocny makijaż, że twarz była pozbawiona zupełnie wyrazu, jak u aktora teatru kabuki. Ręka na jej ramieniu wydawała się żyć własnym, ledwo pulsującym życiem, ostatnim przejawem ginącej duszy.

Sung opuściła głowę. Ręka gładziła ją delikatnie. Zasnęła, ale prześladowały ją złe sny. Zamordowany ojciec, żołnierze, szcputy, dziecko. Obudziła się nagle.

Oparła głowę o ścianę i starała się zapomnieć o wszystkim. Za każdym razem, kiedy jakaś myśl lub wspomnienie pojawiały się, starała się je przepędzić. W ten sposób można przeżyć. Stanie się taka jak ta kobieta siedząca obok - ciało wykonujące tylko podstawowe ruchy i pozbawione myśli.

Obudziła się, gdy w pomieszczeniu wzrosło napięcie. Było już ciemno. Wszedł Chińczyk, wyjrzał przez okno, a następnie podreptał do szczytu schodów i spojrzał w dół.

Usłyszała krzyki i śmiech na dziedzińcu. Kobiety przysunęły się bliżej do siebie. Na ich twarzach malowało się napięcie.

Po chwili czterech mężczyzn wpadło do środka. Byli więksi i głośniejsi niż mężczyźni, których Sung kiedykolwiek widziała. Śmiali się i żartowali między sobą. Jeden z nich oparł rękę na ramieniu Chińczyka.

- Ile za numerkę, *papa-san*?
- Tysiąc piastrow. Dziewica dwa tysiące - dodał, wskazując na Sung. Ryknęli śmiechem.
- Nie ma dziewic w Wietnamie.
- Nie truj, *papa-san*. Dwa tysiące piastrow za cipę? Kobiety przysunęły się do siebie - nie rozumiały ani słowa.
- Pięćset piastrow, *papa-san*. Pięćset. Chińczyk gwałtownie kręcił głową.
- Tysiąc, żołnierzu. Tysiąc. Wspaniałe dziewczyny. Numer jeden. Biorą do buzi.
- Dobrze już, dobrze.

Wybrali kobiety i zniknęli za zasłoną z paciorków. Sung słyszała brzęk miednicy, niezrozumiałe rozmowy i śmiechy. Wreszcie dobiegły ją odgłosy kopulacji i krzyki dziewcząt.

- Jesteś duży, żołnierzu!
- Dobrze pieprzysz!
- Jesteś numer jeden, żołnierzu!

¹ Pozostałe dziewczyny rozsiadły się na ławce, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się za ścianą. Kiedy dziewczyny wróciły, Chińczyk dał każdej po koraliku. Później przyszła inna grupa żołnierzy i jeden z nich wybrał Sung. Nie patrzyła na niego, jej wzrok sięgał mu najwyżej do piersi. Umyła go i zaprowadziła do łóżka. Zrzuciła sukienkę i kiedy położył się na niej, zacisnęła powieki. Usiłowała wyłączyć się, ale ból był zbyt silny. Straszliwe ukłucia przypominały jej tamtych. Wiła się pod nim, a on odbierał to jako przejaw rozkoszy. Nawet nie zauważył, kiedy zaczęła płakać.

Potem zmęczony leżał na niej i wydawało się Sung, że ją zmiążdży. Wreszcie wyslizgnęła mu się i pobiegła się umyć. Kiedy wyszła z pokoju, Chińczyk dał jej koralik. Nie miała gdzie go schować, więc ścisnęła go w dłoni tak mocno, że w końcu straciła czucie.

Później przyszli żołnierze wietnamscy i jeden z nich wybrał Sung. Nawet się do niej nie odezwał. Położył się na łóżku i zmusił ją, żeby go wzięła do ust. Poruszał jej głowę w górę i w dół. Dusila się, a kiedy osiągnął orgazm, zakrzuszyła się i zwymiotowała na łóżko. Żołnierz roześmiał się, ubrał i wyszedł dumnie

z pokoju.

Tej nocy, kiedy siedziała bezwładnie na ławce, ktoś ujął ją za rękę. Jęknęła i cofnęła się, ale ręka rozwarła jej dłoń i wsunęła do niej małą szmacianą laleczkę. Nie miała ubrania, a wata, którą była wypchana, wyłaziła w miejscach, gdzie kiedyś były oczy z guziczków.

Nigdy nie dowiedziała się, kto dał jej tę laleczkę. Może ta kobieta, która wcześniej głaskała ją po ramieniu? Nigdy jej o to nie zapytała, a wkrótce tamta kobieta zniknęła. Inna usiadła na jej miejscu, a potem też odeszła. Nowe kobiety pojawiały się i odchodziły. Sung zachowała jednak laleczkę i głaskała ją siedząc na ławce,

a kiedy była z żołnierzem, chowała ją starannie pod łóżko. Była jedną ze stu ; tysięcy kurew w mieście, kobietą dla każdego na piętnaście minut i za pięć dolarów. W ciągu drugiego tygodnia Chińczyk dał jej heroinę po tym, jak trzech żołnierzy zapłaciło pięć tysięcy piastrow, żeby mieć ją równocześnie. Okaleczyli ją tak jak tamci żołnierze na podwórzu i gdy wyszli, nie mogła się ruszyć. Chińczyk dał jej

heroinę. Podobało jej się. Czowała się wolna i odprężona, i wkrótce oddawała mu -wszystkie swoje pieniądze. Leżała cały dzień otumaniona. Tylko po południu

wychodziła do sąsiedniego pokoju. Nie przejmowała się tym, co się z nią dzieje.

Nigdy się nad niczym nie zastanawiała i tylko głaskała laleczkę, z której unosił się lekki zapach kamfory.

III

Lukę Bishop dotąd nie wiedział, co to jest strach. Strach bolał tak bardzo, iż myślał, że zwymiotuje. Czuł się, jakby jakaś potężna ręka sięgnęła aż do dna jego żołądka i ścisnęła tak, że zapragnął zgiąć się w pół, ale nie mógł się poruszyć i wiedział, że gdyby jednak to zrobił, toby się zesrał.

Helikopter zakręcił ostro i przez otwarte drzwi Lukę zobaczył w dole dżungłę.

Ciężki ostrzał artyleryjski przygotował teren, ponieważ oczekiwano, że będą lądować pod ogniem. Dostrzeżono batalion nieprzyjaciela. Helikoptery miały ich wysadzić na wzgórzach, z których w tej chwili unosił się dym pożarów, wznieconych wybuchami pocisków.

Dżungla w dole kojarzyła mu się z zielonym smokiem, z którego paszczy bucha ogień i dym.

Jego pierwsza akcja. Był na linii dopiero od sześciu dni. Trudno mu było oddychać. Tylko wielkim wysiłkiem woli zdołał wyciągnąć nogi i oprzeć się o wibrującą ścianę kabiny. Starał się uspokoić. Nie mógł przecież dopuścić, by jego ludzie zauważyli, że się boi.

Niecały tydzień, pomyślał. Dokładnie tyle, ile przeżył Keith Stem, pierwszy oficer z jego kursu, który zginął. Kula w czaszkę. Też w czasie pierwszej akcji.

- Równie dobrze mogli zastrzelić sukinsyna w obozie szkoleniowym. Oszczędziłoby to przynajmniej rządowi kosztów przelotu - zażartował sobie ktoś, kiedy nadeszła wiadomość, że ciało Sterna jest już transportowane do kraju, podczas gdy większość uczestników szkolenia nawet nie trafiła jeszcze do Wietnamu.

Lukę Bishop wiedział, że na jego temat też będą żartować. Myślał jednak, że kompromitacja jest gorsza od perspektywy śmierci. Hańba może i jest gorsza od śmierci, ale na pewno gorzej jest stać się obiektem żartów. „Słyszeliście o Luke'u? Ten frajer nawet ani razu nie wystrzelił ze swego karabinu”.

Jego ludzie widzieli, że się trzęsie. Muszą wiedzieć, jak bardzo się boi.

Poza nim tylko jeden żołnierz w plutonie, Scott Sutherland, szczupły blondyn

0 przenikliwych zielonych kocich oczach, nie uczestniczył jeszcze w walce. Był jednak tylko strzelcem i nikt od niego niczego nie oczekiwał. Przykleił się do Rona Meada od czasu, gdy przydzielono go do jego drużyny. Teraz siedział obok Meada

1 usiłował bez powodzenia naśladować jego spokój. Zdradzały go jednak rozbiegane oczy i zaciśnięte pięści. Tak. Sutherland bał się.

Wydawało się, że Mead śpi, a z tego, co Bishop o nim słyszał, można było przypuszczać, że rzeczywiście zasnął. Mead był bohaterem. Prezydent Johnson udekorował go osobiście w zatoce Cam Ranh. Wyglądało na to, że obawia się go nawet starszy sierżant Anthony Brock, a przecież Brock, trzykrotnie rozwiedziony, weteran z Korei i po odsłużeniu już jednej tury w Wietnamie, nie jest człowiekiem, który dałby się łatwo zastraszyć.

Bishop przyglądał się Meadowi, żeby sprawdzić, czy jego nonszalancja jest autentyczna. Prezentował się jak żołnierz piechoty morskiej z plakatu. Wysoki, muskularny, o ostrych, wyrazistych rysach twarzy, w których nie sposób było - o ile Bishop mógł

to ocenić - doszukać się jakichkolwiek cech życzliwego podejścia i poczucia koleżeństwa. Bishop od drugiego roku studiów grał w drużynie futbolowej w Oklahomie na pozycji pomocnika w obronie i pół życia spędził na boiskach i w szatniach, ale nie spotkał jeszcze nikogo takiego jak Mead. Przez tydzień, który spędził w plutonie, Bishop nie widział, żeby Mead z kimkolwiek rozmawiał. Był samotnikiem, a w rozmowach z Bishopem powtarzał tylko Jak jest, sir" i „Nie, sir”.

- Czy on odzywa się kiedykolwiek? - zapytał Bishop Brocka.

- Rzadko. Robi, co mu się każe, nie zadaje pytań, ma umysł i jaja byka. Tyle o nim wiem.

- Nie lubisz go?

Brock zastanowił się chwilę.

- Nie ufam mu. Wydaje mi się, że lubi zabijać. Tacy ludzie mnie niepokoją. Mead wydawał się starszy niż pozostali żołnierze, chociaż miał zaledwie

dwadzieścia lat. Żołnierze traktowali go z ostrożnym szacunkiem. Bishop wiedział, że jeżeli chce zjednać sobie ten pluton, jedyną osobą, na której musi wywrzeć wrażenie, jest Mead. Miał jednak wątpliwości, czy uda mu się to osiągnąć.

Nagle Mead otworzył oczy i spojrzał wprost na Bishopa, jak gdyby przez cały czas wiedział, że jest obserwowany. Kiedy Bishop wytrzymał jego wzrok, Mead ziewnął i znowu zamknął oczy.

Bishop odwrócił się i zaczął wyglądać przez otwarte drzwi. Dla niego ta dżungla w dole była jakby przedłużeniem boiska piłkarskiego w Oklahomie. Piechota morska była mu przeznaczona, a wojna nieunikniona, ponieważ tam, skąd pochodził, patriotyzm nie jest cechą nabytą, lecz dziedziczną. Nie był wystarczająco dobrym graczem, żeby zająć się futbolem zawodowo. Wstąpił do piechoty morskiej, ponieważ wierzył w swój kraj i w to, co mu mówiono. Jego przekonania były tak prostolinijne, że nawet sam się z siebie śmiał, że jest takim prostakiem. Zdziwił się głęboko, kiedy dziewczyna, z którą chciał się ożenić, zerwała znajomość ze względu na różnicę poglądów politycznych.

- Nie mogę się pieprzyć z nazistą! - wykrzyknęła w czasie jednej z kłótni

1 obydwójce roześmiali się, ponieważ Bishop nazistą nigdy nie był i obydwójce o tym wiedzieli. Pozostali dobrymi przyjaciółmi, bo nie można było nie lubić Luke'a Bishopa.

- Co chcesz zrobić? Zastrzelisz mnie za to, że jestem patriotą? - zapytał.

- Ja nie, ale ktoś to pewnie zrobi, ty głupi zwierzaku - powiedziała wtedy. Teraz właśnie oni siedzą tam, w dżungli, i tylko czekają, żeby go zastrzelić. Nagle zorientował się, że wszyscy się na niego gapią. Landis, radiooperator

siedzący obok, mówił coś do niego, ale Lukę nie mógł usłyszeć co, z powodu ryku silnika. Wtedy Brock dał mu sygnał, klepiąc się po głowie i wskazując na krocze.

Bishop spojrzał w dół, żeby sprawdzić, czy nie ma rozpiętego rozporoka, ale zaraz pomyślał, że to idiotyczne. Kogo teraz coś takiego mogłoby obchodzić? Wreszcie Landis postukał w hełm Bishopa, chwycił się mocno za krocze i gestem pokazał pocisk nadlatujący z dołu.

Bishop rozejrzał się i zobaczył, że wszyscy siedzą na hełmach z wyjątkiem jego i Sutherlanda. Wszyscy się śmiali.

Nagle helikopter zaczął się zniżać. Żołądek podskoczył mu do gardła. Ładowali.

Mead wyprostował się, ale nie otworzył oczu. Pozostali gapili się przez drzwi. Wojownicy w pełnym uzbrojeniu o zaciętych twarzach - byli gotowi ruszyć do boju, a jednak strach i niewinność w ich oczach kłóciły się z marsowym wyglądem.

Nie spodziewał się nigdy, że jego żołnierze będą tacy młodzi. Po prostu chłopcy po szkole średniej. Chociaż sam miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, czuł się od nich starszy co najmniej o pokolenie. Nie powinni być tacy młodzi, pomyślał. Nawet nie wiedzą, po co tu są.

Poczuł na sobie wzrok Meada. Zastanawiał się, dlaczego człowiek, który po raz pierwszy uczestniczy w akcji bojowej, uśmiecha się.

Karabiny maszynowe z pokładu helikoptera otworzyły ogień. Kadłub maszyny trząsł się tak gwałtownie, że Bishop był przekonany, iż helikopter rozleci się w powietrzu.

Paszczka dżungli otworzyła się szerzej. Żołnierze pośpiesznie odpinali pasy siedzeń i wstawali, chwytając się sznurów pod sufitem kabiny, gdy helikopter bujał się i szarpał.

Bishop słyszał tylko huk karabinów maszynowych i ryk silnika.

Maszyna zawisła tuż nad ziemią. Żołnierze rzucili się do otwartych drzwi i Bishop wyskoczył jako czwarty.

Pobiegł za żołnierzami pędzącymi w stronę linii drzew. Wszyscy strzelali przed siebie. Trzymał swojego *M-16* na wysokości biodra i też zaczął strzelać, biegnąc zygzakami w stronę lasu.

Wszystko skończyło się, zanim zorientował się, co się dzieje. Helikoptery odleciały. Zapanował spokój. Landis skulił się obok niego i podał mu słuchawkę radiostacji.

Bishop trzymał ją w rękę i nie bardzo wiedział, co ma z nią zrobić. Landis zaczął mu tłumaczyć, niczym niedorozwiniętemu dziecku.

- Powinien pan wywołać dowódcę i zameldować, że strefa lądowania jest zabezpieczona. Jezus, pomyślał Bishop. Byle kto mógłby poprowadzić ten pluton lepiej ode mnie.

Połączył się z dowódcą kompanii, a następnie dał znak dowódcom drużyn, żeby ruszali. Z pewnym niedowierzaniem patrzył, jak jego ludzie wykonują rozkaz, ruszając tyralierą w dżunglę.

Ulga, jaką poczuł, kiedy nie napotkali oporu, graniczyła prawie z uniesieniem, ale i drugiej strony żałował, że strefa lądowania nie jest broniona, bo pierwszą walkę miał wciąż jeszcze przed sobą. Jeszcze się nie sprawdził.

Przez pierwszą godzinę pluton posuwał się ostrożnie wśród krzaków. Żołnierze badali gąszcz karabinami. Nie słychać było nic prócz brzęczenia owadów i szelestu liści. Ani śladu nieprzyjaciela.

W ciągu drugiej godziny Bishop rozmieścił drużyny dalej od siebie i przyspieszył. Przez trzecią godzinę maszerowali jeszcze szybciej w klasycznej formacji klina - dwie drużyny z przodu, jedna z tyłu. Dotarli do wyznaczonego celu około południa. Było to wzgórze wznoszące się nad górną częścią doliny A Shau, nieopodal granicy laotańskiej i około trzydziestu kilometrów od Strefy Zdemilitaryzowanej. Poniżej pod nimi dolina lśniła jak zielona folia. Wierzchołki drzew odbijały oślepiający blask słońca.

- Tam są - powiedział Brock stając obok Bishopa. - Wysłać tam pluton to tak, jakby wysłać gołą cipkę.

- To nie należy do naszych zadań - powiedział Bishop.

- Dzisiaj nie, ale wyślą nas tam niedługo. - Brock wskazał gestem żołnierzy, którzy bez rozkazu zajęli pozycje obronne. - Powinniśmy zatrzymać się, żeby coś zjeść, panie poruczniku. Te cztery godziny marszu to kawałek czasu. - Powiedział to z pewnym wyrzutem, ale też i z pewną dozą respektu, zaskoczony, że Bishop z taką łatwością odbywa pierwszą długą misję pozornie mniej zmęczony upałem i napięciem niż ktokolwiek inny.

Bishop zdjął hełm i przesunął ręką po krótko przystrzyżonych włosach.

- Sierżancie - powiedział - jestem tu dopiero szósty dzień i nie mam pojęcia, co trzeba robić. Musi pan mi mówić różne rzeczy i, na Boga, będę pana uważnie słuchać. - Uśmiechnął się szczerym uśmiechem, którym zjednał sobie nawet Brocka. - Kiedy zbliżaliśmy się do strefy lądowania, omal się nie zesrałem. Jeżeli zobaczy pan, że robię błąd, niech pan mi powie.

- Niech się pan nie martwi, panie poruczniku. Jeżeli coś pan spieprzy, powiem panu natychmiast.

Brock zarządził odpoczynek. Żołnierze natychmiast posiadali, zrzucili hełmy i kamizelki przeciwodłamkowe, poodkładali broń i zaczęli pić łapczywie z manierek.

Brock wrócił do Bishopa. Zrzucił swoje wyposażenie i otarł pot z twarzy. Miał trzydzieści pięć lat. Był twardym człowiekiem, który brał udział w dwóch wojnach, ale teraz, chociaż starał się to ukryć, miał świadomość, że jest dwa razy starszy od niektórych swoich podkomendnych. Rysy twarzy miał delikatne, wszakże skażone surowością, która z niego emanowała.

Zorientował się, że nowy oficer przejawia wobec niego respekt.

- Wszyscyśmy omal się nie zesrali - powiedział pojednawczo.

- Mead się nie bał. Myślę, że spał.

- To dlatego, że Mead nie przejmuje się tym, czy zostanie zabity. Jest tu już zbyt długo. Tylko czeka na kulę. Dobrze by było, gdyby pan szybko go się pozbył. Już widziałem takich facetów jak Mead. Zostają bohaterami, a potem muszą to swoje bohaterstwo udowadniać za każdym razem. Jakiś czas temu mieliśmy podobnego faceta w oddziale. Nazywał się Bobby Yates. Wielki bohater. Miał Srebrną Gwiazdę. Chciał zdobyć Krzyż Marynarki albo Medal Kongresu. Głupi fiut.

- Co się z nim stało? - zapytał Bishop, właściwie nie mając ochoty słuchać opowieści o stratach w czasie swojej pierwszej misji bojowej.

Brock tylko pokręcił głową i stracił popiół z papierosa. Wskazał na resztki leżące na ziemi.

- Widzi pan ten popiół? To nawet więcej niż to, co pojechało do domu w trumnie.

Zaciągnął się głęboko papierosem.

- To może się skończyć tylko w jeden sposób. Z Meadem jest jeszcze gorzej, ponieważ on nie chce wracać do domu. Nie ma tam po co wracać.

Brock pogładził lufę karabinka i wskazał na dżunglę w dole. Bishop spojrzał w tym kierunku. Dżungla była tajemnicza i wspaniała, żywa i przyzywająca.

- Jak można po czymś takim wrócić na farmę? - zapytał Brock. Odwrócił się do Bishopa z uśmiechem.

- Wojna jest zupełnie jak moja pierwsza żona, panie poruczniku. Była straszną suką, ale potrafiła

włać życie w mojego kutasa.

Odłożył karabinek na ziemię i odszedł.

Bishop już miał się położyć, kiedy pojawił się radiooperator. Nosił radiostację i akumulator, ponieważ był najsilniejszy w oddziale. Ukończył naukę po dziewięciu klasach, a z tego, co Bishop o nim wiedział, cały czas spędzał w sali gimnastycznej. Miał niesamowite mięśnie i poza dźwiganiem radia musiał znosić docinki żołnierzy, którzy twierdzili, że wszyscy kulturyści to pedały.

Matt Landis podał słuchawkę Bishopowi.

- Czas na raport sytuacyjny, panie poruczniku - powiedział z wymówką w głosie. - Musi pan ciągle informować dowódcę, gdzie jesteśmy i co robimy.

Po złożeniu meldunku radiowego Bishop sprawdził swoich ludzi pogrupowanych w czteroosobowe drużyny na stanowiskach obronnych. Spędził chwilę z każdą grupą dopytując się, jak sobie radzą, i odpowiadając na pytania.

- Od razu widać, że jesteśmy nowicjuszami, Sutherland - powiedział Bishop, wracając do swojej drużyny. - Nawet nie wiemy, jak chronić nasze jaja.

Nawet Mead uśmiechnął się słabo na taką samokrytykę.

- Żółtki w życiu nie trafią w taki mały cel, jaki ma Sutherland. - Ktoś zażartował.

- W moje też by nie trafili - powiedział Bishop. - Podchodziły mi do gardła. Zostawił ich śmiejących się i wrócił na miejsce, gdzie położył plecak. Właśnie

otwierał puszkę z jedzeniem, kiedy zbliżył się Brock i wyjął mu puszkę z rąk.

- Niech pan nigdy nie je moreli w polu, panie poruczniku.

Chociaż Bishop słyszał o tym przesądzie, nie przypuszczał, żeby Brock też mógł w coś takiego wierzyć.

- Każdy z chłopaków, którzy jedli morele, został załatwiony. Powiedziałem porucznikowi Taggartowi na tydzień przed pańskim przyjazdem, żeby nie jadł. Śmiał się ze mnie. Następnego dnia, po ataku na nas, nie mogliśmy znaleźć nawet tyłu kawałków porucznika, żeby było czym zapełnić kopertę, nie mówiąc już o worku na ciało.

- Wiem, że może mi pan podać dziesięć naukowo uzasadnionych powodów, dla których coś takiego jest całkowicie niemożliwe. - Brock rozpoczął swój ulubiony temat. - Jestem tylko tępym żołnierzem, który nawet nie skończył szkoły średniej. Widziałem swoje akta. Mój iloraz inteligencji wynosi sześćdziesiąt dwa, co prawdopodobnie znaczy, że jestem kretynem, ale swoje widziałem i to już coś znaczy.

- Mam trzydzieści pięć lat. Mógłbym być ojcem niektórych z tych chłopaków. Byłem w Korei, a teraz jestem tutaj po raz drugi. Spędziłem więcej czasu na froncie niż pan na uniwersytecie. Ganiałem za dziwkami w Pusan, kiedy pan bawił się gumową kacuszka. Tego właśnie nauczyłem się - powiedział zrzucając puszkę moreli po stoku w dolinę. - Nie jeść moreli.

Przykucnął obok Bishopa.

- Chłopaki uważnie się panu przyglądają, panie poruczniku. Nasze życie jest w pańskich rękach. Jeżeli pan coś spieprzy, zginiemy. Jeżeli pomyli pan współrzędne albo nie będzie wiedział dokładnie, gdzie jesteśmy, i wezwie wsparcie

artyleryjskie albo lotnicze, załatwią nas wszystkich. Jeżeli pójdziemy nie tym stokiem albo jeżeli pan źle odczyta tę mapę, to koniec. Jak dotąd chłopakom wydaje się, że jest pan w porządku. Poprowadził pan pierwszą akcję i nic się nie stało. Może ma pan szczęście, a to nawet lepsze niż być Bogiem. Widzieli, jak maszerował pan przez cztery godziny, nawet nie pocąc się. Widzieli, że sprawdził pan, czy są wszyscy, zanim zabrał się pan do jedzenia. Rozmawiał pan z nimi i żartował. Jak dotąd idzie panu bardzo dobrze. Tylko tak dalej, a wszyscy wrócimy bezpiecznie do domu. Czynię pana osobiście odpowiedzialnym za mój tyłek - powiedział wstając. - Więc niech pan nie je tych pieprzonych moreli. Odszedł, ale zaraz zawrócił.

- Sir - dodał.

Przez następne dwie godziny pluton posuwał się przez dżunglę, nie natrafiając na żaden ślad nieprzyjaciela. Sześćsetosobowy batalion nie mógł zniknąć bez śladu, więc Bishop zaczął przypuszczać, że wywiad pomylił się.

Powoli odprężał się. Jego ludzie działali fachowo. Nie miał żadnych problemów z dowodzeniem nimi czy z odczytywaniem mapy. Wiedział, że wojna w dziewięćdziesięciu procentach to nuda, długie dni i tygodnie takich jak ten patroli i brodzenia po dżungli bez kontaktu z nieprzyjacielem. Wiedział też, jakie niebezpieczeństwo kryje w sobie zmęczenie i nieostrożność, i zdał sobie sprawę, że nie

powinien zapuszczać się zbyt daleko.

Nagle w radio rozległy się trzaski i Landis podał mu słuchawkę.

- Brawo Jeden, mam tu coś, co powinieneś sprawdzić.

- To Mead - powiedział niepotrzebnie Landis.

Bishop wydał pozostałym drużynom rozkaz, żeby się zatrzymały, a sam ruszył na lewe skrzydło.

Chociaż starał się poruszać tak ostrożnie, jak tylko potrafił, czuł się, jakby jechał przez dżunglę na słoniu. Kulił się z powodu hałasu, jaki sam powodował, i minąłby Meada, gdyby kapral nie chwycił go za nogawkę spodni i nie pociągnął na ziemię.

Mead wskazał na zarośla przed nimi. Bishop wpatrywał się w nie, ale niczego jnie dostrzegł. Mead wskazał ponownie, ale w dalszym ciągu Bishop nie widział nic. Mead gestem dłoni pokazał mu wzgórek. Bishop rozumiał, że Mead sygnalizuje mu zasadzkę, ale chociaż wyteżał wzrok, nie potrafił nic zobaczyć.

Kulili się jeden przy drugim. Ich twarze oddalone były od siebie zaledwie

0 centymetry. Mead oparł rękę na ramieniu Bishopa, zmuszając go do położenia się na ziemi. Chociaż Bishop był potężnym mężczyzną - powyżej stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, czuł, że nie może się równać z Meadem. Teraz dowodził Mead. Chciał, żeby Bishop się w to nie mieszał.

Mead dał znak Sutherlandowi, żeby ich osłaniał. Następnie gestem polecił pozostałym członkom drużyny okrążyć zamaskowany bunkier.

Dwóch żołnierzy, Coney i Frizzell, przesunęło się na prawą stronę przygotowanej zasadzki. Trzeci z nich, Dutton, przesunął się w lewo. Tylko Mead był odsłonięty

1 czołgał się prosto w stronę bunkra.

Bishop wstrzymał oddech, kiedy Mead pełznął coraz dalej. Nagle zobaczył, że Mead zatrzymał się. Nie ruszał się przez moment, a następnie zaczął macać

delikatnie w gęstych zaroślach. Dwukrotnie cofał ręce, żeby otrzeć pot. Wreszcie Bishop zobaczył, że znalazł drut, a potem drugi, ponad sobą, na wysokości kolan. Przeciął go.

Uniósł się i przesunął za bunkier, dając znak, że znalazł podziemne wejście.

W momencie kiedy odczepiał granat od kamizelki przeciwodłamkowej, z bunkra wyszedł nagle nieprzyjacielski żołnierz. Uśmiechał się, jakby przed chwilą ktoś opowiedział mu żart. Kiedy zobaczył Meada, znieruchomiał, ale natychmiast sięgnął po karabin.

Mead nie miał czasu, żeby chwycić własną broń. Z całej siły rzucił granatem w twarz żołnierza i kopnął go w krocze. Żołnierz zatoczył się w tył, z powrotem do bunkra.

Mead padł na ziemię. Eksplozja wstrząsnęła dżunglą.

Dwóch żołnierzy wyskoczyło z okopu tuż przed Sutherlandem. Trzeci wyłonił się z kryjówki zaraz za plecami Duttona.

Sutherland podniósł broń do ramienia i wypalił do najbliższego. Drugi rzucił karabin i padł przed nim na ziemię.

Bishop nie mógł oddać pewnego strzału do nieprzyjacielskiego żołnierza za plecami Duttona. Zerwał się więc na nogi dając Duttonowi znaki, żeby padł. Dutton kompletnie zgłupiał. Patrzył na Bishopa i kierował broń w stronę żołnierza leżącego na ziemi. Znowu spojrział na Bishopa, nie rozumiejąc, kiedy ten dawał mu rozpaczliwe znaki i podnosił broń do ramienia celując prosto w niego. Przechylił głowę pytająco, wiedząc, że porucznik przecież go nie zastrzeli, ale w dalszym ciągu nic nie rozumiał. Raptem usłyszał za sobą szcęk broni. Odwrócił się rzucając jeszcze Bishopowi pełne rozpaczy, przepaszające spojrzenie. Odwracając się, trafił wprost na lufę karabinu nieprzyjaciela. Seria pocisków powaliła go na ziemię.

Kiedy Dutton padł, Bishop otworzył ogień. Kule trafiły Wietnamczyka w plecy i rzuciły go na pień drzewa. Karabin wypadł mu z rąk.

Mead podbiegł do Duttona. Przyklęknął przy nim i od razu zorientował się, że jest już za późno. Krew przesiąkała przez mundur Duttona. Mead spojrział na jego twarz i zobaczył, jak chłopak zagryza wargi tak silnie, że krew zaczyna mu ciec z ust.

Mead wstał.

Bishop nie mógł porffszyć się i tylko patrzył, jak Mead zbliża się do nieprzyjacielskiego żołnierza na ziemi. Człowiek ten klęczał z rękami zaplecionymi z tyłu głowy. Twarz Meada pozbawiona była wyrazu.

Mead podniósł broń do ramienia i pochylił się. Wylot lufy oddalony był zaledwie o kilka

centymetrów od głowy żołnierza, który wpatrywał się w lufę, a potem podniósł wzrok na Meada. Ten spojrział głęboko w oczy żołnierza i pociągnął za spust.

Głowa mężczyzny rozprysnęła się. Kawalki ciała, kości i krew zbryzgały mundur Meada i lufę karabinu.

Coney i Frizzell wyskoczyli z krzaków i znieruchomieli patrząc, jak Mead zabija klęczącego przed sobą człowieka.

Bishop poruszył się pierwszy. Podbiegł do Duttona i rozpiął mu mundur.

Pociski weszły w ciało z jednej strony, rozszarpały nerki i wyszły z drugiej strony, tworząc jedną wielką ranę wylotową. Dutton chwycił powietrze i chciał koniecznie coś powiedzieć, ale z ust wydobywały mu się tylko krwawe bańki.

Mead ukląkł przy nim i chwycił go za rękę. Dutton zacisnął dłonie rozpaczliwie, jakby tylko Mead mógł go ocalić. Jego paznokcie wbiły się w rękę Meada rozdzierając skórę. Pojawiła się krew. Mead nawet się nie skrzywił.

Bishop rozdarł opakowanie opatrunku. Dutton patrzył na niego z nadzieją. Uniósł się lekko. Jego oczy wypełniało przerażenie. Nagle chwycił go gwałtowny skurcz, opadł na ziemię i znieruchomiał.

Reszta plutonu wyłoniła się z krzaków.

Bishop wstał powoli, trzymając w rękę nasiąknięte krwią bandażę.

Sutherland opuścił karabin, podszedł do drzewa, oparł się o nie i ukrył twarz w dłoniach.

Bishop, wciąż oszołomiony, rozglądał się wokoło i patrzył na żołnierzy gapiących się na tę krwawą scenę. Nagle ogarnęła go wściekłość, że stracił żołnierza, że nie umiał go ocalić. Był wściekły na siebie i na Meada.

- Rozejść się! - wrzasnął. - Zająć pozycje obronne. Podaj mi radio - warknął do Landisa.

Składając raport sytuacyjny, obserwował Meada.

Mead odwracał ciała nieprzyjaciół. Przyklęknął przy tym, którego zastrzelił, a następnie spojrzął w stronę bunkra.

Brock zatrzymał się obok Bishopa i dał znak Landisowi, żeby się oddalił.

- Wszystko w porządku, poruczniku? Bishop skinął głową.

- Nic nie mógł pan zrobić. Coney i Frizzell twierdzą, że Dutton zasłaniał żółtka i nie mogli strzelać. Tak często się zdarza. Ktoś wejdzie na minę, ktoś zostanie trafiony. Nie może pan za to winić siebie.

- Wiem, ale to wszystko...

- Stało się tak szybko.

Mead zbliżył się do nich. Wyraz jego twarzy nie zmienił się.

- W tym bunkrze musi być co najmniej jeszcze jeden, panie poruczniku. Żaden z tych zabitych nie jest tym, w którego rzuciłem granatem.

Bishop nie mógł powstrzymać gniewu.

- Skąd możesz wiedzieć. Ten, którego zastrzeliłeś, w ogóle nie ma twarzy.

- Ten w bunkrze był starszy - powiedział Mead spokojnie. - Miał zęby zabrudzone betelem.

- Oglądasz ludziom zęby, zanim ich zabijesz? - zapytał Brock z niedowierzaniem. Mead zignorował tę uwagę.

- Ten facet, którego widziałem, wciąż tam jest, panie poruczniku. Może nie żyje, a może żyje.

Był znacznie starszy. Może to oficer. Może tam jest kompleks bunkrów.

Bishop spojrzął na Brocka.

- Trzeba wrzucić ładunek wybuchowy - poradził sierżant. - Wysłać kogoś do środka to zbyt duże ryzyko.

- Może to jest to, czego szukamy. Mielśmy znaleźć dowództwo batalionu. Trzeba sprawdzić.

- To wezwijmy Szczury Tunelowe. Będą wiedzieć, co należy zrobić. Jest taka drużyna w batalionie. Tylko oni mają wystarczające kwalifikacje, żeby tam wejść.

- Zanim tu dotrą, zrobi się ciemno.

- Panie poruczniku - powiedział Brock, oddychając głęboko. - Jeżeli wyda pan rozkaz, będziemy musieli go wykonać, ale ja nikomu nie rozkazywałbym, żeby wlał do tej dziury.

To brzmiało wyraźnie jak ostrzeżenie.

- Chcacie mi powiedzieć, sierżancie...

- Nic nie mówię - powiedział Brock.

Mead zapalił papierosa i przyglądał się Bishopowi.

- Nie powiedział panu, sir, że jeżeli coś przydarzy się temu, kogo pan wyśle do tej dziury, to jego kolesie pana załatwią. Nawet gdyby się nic nie stało, wystraszyłby pan wszystkich. Przestaną panu ufać.

Mead wypuścił dym z ust i spojrzał prosto w oczy Bishopowi.

- Załatwiliby pana, sir.

- Zamknij się, Mead - syknął Brock. - To, co mówisz, zaprowadzi cię przed sąd polowy.

Mead nie odwrócił wzroku.

- Myślę, że jest dobrym oficerem. Próbuję ocalić mu tyłek.

Bishop patrzył w te bezlitosne oczy, a następnie rozejrzał się po ludziach. Wszyscy ich spokojnie obserwowali.

Odetchnął głęboko, a potem zdjął hełm i odpiął pas. Wiedział już, co musi zrobić. Ostatecznie po to tu jest.

- Nie ma powodu, żeby tam włączyć, panie poruczniku - powiedział Brock. Bishop sprawdził pistolet i wprowadził nabój do komory.

- To proste, sierzancie. Jestem oficerem, a to coś dla mnie znaczy. Nie mógłbym pogodzić się z myślą, że wycofałem się podczas pierwszego zadania, jakie otrzymałem. Dostałem rozkaz zlokalizowania nieprzyjacielskiego punktu dowodzenia i mam zamiar ten rozkaz wykonać.

- To nie jest jakiś pieprzony film z Johnem Wayne'em, panie poruczniku?! -wybuchnął Brock, wskazując na otaczającą ich dżunglę. - To wszystko to wielkie gówno. Nikt z tych chłopaków nie wie, o co tu chodzi, i ja też nie wiem. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy to to, że wszystko to jakaś gra. My się bawimy, panie poruczniku. To jest zabawa w kowbojów i Indian dla dorosłych. Dutton nie żyje. Za co on zginął? Za nic. To nie pańska wina, że zginął. Nie musi pan niczego udowadniać.

- Dla mnie to nie jest gra, sierzancie, i nie usiłuję niczego udowadniać. Bishop ruszył w stronę wejścia do bunkra.

Mead zastąpił mu drogę. Zrzucił hełm i kamizelkę przeciwodłamkową, i wyciągnął rękę.

- Niech mi pan da pistolet. Ja pójdę.

Bishop chciał go wyminąć, ale Mead się nie ruszył.

- Panie poruczniku, potrafię to zrobić lepiej niż pan. Pan jest jedynym, który może nas stąd wyprowadzić. My nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy. Sierżant nie potrafi czytać mapy, tak jak nie potrafili by przeczytać „Wojny i pokoju”. Wtedy żółtki nas na pewno załatwią.

Bishop nie drgnął. Mead ciągnął dalej.

- Wiem, że wierzy pan we wszystko, co pan tu powiedział. Ja też kiedyś w to wierzyłem, podobnie jak sierżant. Lepiej będzie, jeżeli pan zostanie na górze.

Wziął czterdziestkępiątkę z rąk Bishopa i wskoczył do bunkra.

W ciasnym wnętrzu panowała wilgoć i pachniało prochem strzelniczym. To był prawdziwy bunkier, a strzelnica otwierała pole ostrzału na jedyną ścieżkę prowadzącą przez dżunglę. Chociaż bunkier przeznaczony był dla kilku żołnierzy, Mead musiał schylać się, ponieważ sufit był niski, a kiedy odnalazł tunel, przeląkł się, że się nie zmieści ze swymi szerokimi ramionami.

Bunkier nie stanowił punktu dowodzenia. Nie było tu ani radia, ani kabli łączności prowadzących do innych bunkrów. Była to tylko placówka osłonowa, odizolowane umocnienie, którego zadanie polegało na ostrzeganiu głównej jednostki, kiedy zbliża się nieprzyjaciel. Do tej pory ta jednostka albo już uciekła, albo miała dość czasu na przygotowanie się do odparcia ataku. Ci ludzie zginęli, chroniąc batalion.

A Dutton?

Mead nie myślał już o nim. Urodzony w Arkansas jako najstarszy syn robotnika rolnego, Mead wstąpił do piechoty morskiej po ukończeniu szkoły średniej - nie po to, żeby z kimkolwiek walczyć, ale żeby się stamtąd wyrwać. Nie chciał być farmerem, a innych możliwości nie miał.

Rozumiał porucznika i szanował go za jego przekonania, ale sierżant miał rację. Wojna to jest gówno, tyle że Arkansas to też było gówno.

Został bohaterem już w trzecim tygodniu służby, kiedy to pluton dostał się w zasadzkę. Wszyscy rzucili się w poszukiwaniu kryjówek, on natomiast odpowiedział ogniem, zabił czterech,

a reszta uciekła.

Został przedstawiony do odznaczenia Krzyżem Marynarki i prezydent Johnson udekorował go na uroczystości w zatoce Cam Ranh.

Wrócił do jednostki z ponurą miną i nigdy słowem nie wspominał o tym zaszczycie. Wyglądało na to, że nie ceni sobie odznaczenia. Odsunął się od wszystkich i stał się zgorzkniały. Nie miał przyjaciół i, mimo podejmowanych prób, ludziom w plutonie nie udało się go polubić. Darzyli go szacunkiem i równocześnie czuli przed nim strach. Nikt inny nie odważyłby się wejść do tego bunkra.

Położył się na ziemi i, trzymając pistolet przed sobą, zaczął się czołgać, ocierając się ramionami o ściany tunelu. Klepisko tunelu było przesiąknięte wodą, ale w pewnym momencie natrafił ręką na kałużę czegoś innego niż woda. Podniósł dłoń do nosa. To była krew.

Wtedy usłyszał czyjś ciężki oddech.

Przeczołgał się jeszcze ponad sześć metrów, zanim go znalazł.

W tym miejscu tunel rozwidłał się. Jedna odnoga prowadziła do kryjówki, a druga do ukrytego wyjścia, z którego wyskoczyło dwóch żołnierzy tuż przed Sutherlandem.

Wietnamczyk siedział oparty o ścianę przy rozgałęzieniu. Mead mógł rozpoznać tylko ciemny zarys skulonej postaci i na pół przymknięte oczy człowieka w agonii.

Mead wiedział, że tamten nie ma broni. Karabin został porzucony u wejścia do bunkra.

Nagle rozległ się trzask zapalniczki i pojawił się płomień.

Światło oślepiło Meada. Kiedy fosfor się wypalił, Mead podniósł wzrok.

Żołnierz przybliżył zapalniczkę do twarzy, żeby Mead mógł go zobaczyć.

Scena jak z filmu grozy.

Odlamki granatu poszarpały twarz żołnierza, odrywając żuchwę. Krew płynęła mu z ust i innych ran na ciele.

Zapalniczka zgasła.

Mead przycisnął twarz do ziemi.

Żołnierz zapalił drugą zapalniczkę.

Mead znowu podniósł głowę i spojrzał. Żołnierz przybliżył zapalniczkę do piersi, oświetlając poroźdierane przez metal ciało i dwie wielkie rany, w których pojawiały się bąble krwi przy każdym wydechu i zaraz znikwały przy wdechu.

Zapalniczka znowu zgasła. Ciszę mącił tylko ciężki oddech żołnierza.

Wtedy zaczął mówić. Błagał. Mead zrozumiał.

- Nie - jęknął. - Nie.

Żołnierz znowu się odezwał. Rozpaczliwie prosił. Nalegał. Zapalił kolejną zapalniczkę i znowu przybliżył ją do twarzy. Płakał, a jego oczy prosiły o wybawienie.

- O, Boże! - jęknął Mead. Nie może zastrzelić go w tunelu. Huk spowodowałby pęknięcie bębneków. Nie może go także zostawić, żeby tak umarł.

Żołnierz, chyba rozumiejąc, zaczął coś mówić. Słowa musiały sprawiać mu ból, a krew tamowała dźwięki. Ton głosu brzmiał jak błaganie. Mead zrozumiał, że żołnierz się modli. Odetchnął głęboko i podczołgał się do niego. Żołnierz zamknął oczy i modlił się nadal, podczas gdy Mead się zbliżał.

- Przepraszam! - zawołał Mead zamykając oczy, żeby powstrzymać łzy. Wyciągnął rękę, chwycił go za szyję i zaczął dusić.

Żołnierz nie bronił się.

Mead dusił go. Palce ślizgały mu się we krwi, kiedy je mocniej zaciskał.

Gdy ciało zwiotczało, Mead chwycił pistolet i wyczołgał się z tunelu. Rzucił się do wyjścia i wyskoczył, zasłaniając oczy przed oślepiającym światłem dnia.

Stał wśród żołnierzy jak wampir - z twarzą i rękami ociekającymi krwią. Żołnierze cofnęli się przerażeni. Mead zatoczył się w stronę Bishopa.

- Jezu Chryste - powiedział Bishop, niezdolny wykonać najmniejszego ruchu. Mead stanął przed nim. Nie mógł skupić wzroku. Oddychał ciężko. Podał pistolet

Bishopowi.

Porucznik spojrział na ręce i twarz umazane krwią.

- To nie był punkt dowodzenia, sir. Tam nie było nic oprócz konającego żółtka. Nikt się nie odezwał. Wszyscy patrzyli na Meada.

Bishop wreszcie wziął od niego pistolet i, nie wycierając go, włożył do kabury.

- Ruszamy. Szyk klinowy - powiedział, a następnie złożył przez radio meldunek i poprosił o wycofanie, ponieważ ich pozycja została ujawniona i nie mogli ryzykować pozostania na noc w bezpośrednim sąsiedztwie batalionu nieprzyjaciela.

Po powrocie do bazy i odprawie u dowódcy kompanii Bishop poprosił o przeniesienie Meada.

- Nie wiem, co stało się w bunkrze, ale trzeba go odesłać na tyły. Sierżant ma rację. On szuka śmierci.

- Jesteś pewien, Luke? To dobry żołnierz. Twój najlepszy dowódca drużyny.

- To prawda, ale swoje już zrobił. Jesteśmy jego dłużnikami.

- Żaden problem - powiedział kapitan. - Już wcześniej przewidywaliśmy, że go przeniesiemy. Batalion ma obsadzić kilka miejsc w osłonie ambasady w Sajgonie. Twój kapral pasuje do tego jak ulał. Ma odznaczenia. Już dalej na tyły wyjechać nie można. Wyślij go jutro. Reszta wyrusza tutaj - dodał, wskazując na mapę.

Bishop dostrzegł kółeczko narysowane w odległym górskim rejonie. - Khe Sann - przeczytał.

Kapitan splunął tytoniem na worek z piaskiem.

- To będzie cholernie długa wojna, poruczniku. Jest pan tu już tydzień, prawda? Niech pan tylko pomyśli, zostało panu zaledwie pięćdziesiąt pięć tygodni.

Bishop wezwał Meada i obydwaj poszli na niewielkie wzniesienie, z którego widać było linie obronne obozu. Noc była chłodna, a gwiazdy świeciły tak jasno, że mogli dostrzec w oddali wyrastające z równiny góry.

Bishop wziął do ręki garść piasku i przesypywał go między palcami.

- Wysyłam cię jutro na tyły. Byłeś zbyt długo w polu. - Roześmiał się, odrzucając resztę piasku. - Ja też byłem już zbyt długo. Sześć dni to bardzo dużo. Ty byłeś dziesięć miesięcy. To wystarczy.

- Ja się dobrze czuję, panie poruczniku. Bishop pokręcił głową.

- Dzisiaj uratowałeś mój tyłek. Teraz ja chcę uratować twój. Jutro jedziesz na tyły. Będziesz należał do osłony ambasady w Sajgonie. Gorące żarcie, prysznic, dziwki. Sam bym się zgłosił, ale to nie miejsce dla oficerów.

- Nie chcę jechać do Sajgonu, panie poruczniku.

- A ja nie chcę jechać do Khe Sann, kapralu.

- Czy to rozkaz, sir?

- Tak. Rozkazuję ci jeść gorące żarcie, wziąć gorącą kąpiel, zalać się i przespać z dziewczyną. Załatwione?

Mead uśmiechnął się.

- Myślę, że wykonam ten rozkaz.

Milczał przez dłuższą chwilę, a następnie powtórzył jakby z wahaniem w głosie:

- Sajgon.

Bishop nie słyszał. Patrzył poza zasięki na góry i myślał, że ma przed sobą jeszcze pięćdziesiąt pięć tygodni.

IV

Bernard Lacouture przebiegł przez ulicę przed Zgromadzeniem Narodowym w Saj-gonie i celowo nie spojrzął w lewo, wolał wpaść pod riksę, niż patrzeć na to szare obrzydlistwo, za jakie uważał pomnik piechoty morskiej.

Szczęśliwie dotarł na przeciwny chodnik, podniósł wzrok, westchnął z zadowoleniem na widok osłoniętego zieloną markizą tarasu hotelu „Continental Pałace”. Omal nie klasnął w ręce z zadowolenia.

Był późny poranek. Najlepsza pora, pomyślał. Nie jest zbyt gorąco i jeszcze nie pojawili się Amerykanie. Dziesiąta rano, to cywilizowana pora, ale wyraźnie nie odpowiada Amerykanom. Będzie miał cały taras dla siebie. Zniknęli już ci okropni ludzie jedzący *breakfast*, a dziennikarze jeszcze nie wytrzeźwieli, żeby przywlec się na jeszcze okropniejszy *lunch*. Lacouture zadrżał na dźwięk tego słowa. Przypominało odgłos żujących szczęk, co było bardzo odpowiednie dla sposobu, w jaki jedli Amerykanie. *Dejeuner*, znaczyło jeść elegancko, *lunch* -tylko jeść.

Nagle ogarnęło go podniecenie, a zaraz potem przeraził się. A co się stanie, jeżeli nie będzie sam? Wyobraził sobie hordy barbarzyńców siedzących przy każdym stoliku i mówiących po angielsku.

Ta perspektywa wydawała się zbyt straszna. Cały piękny bezchmurny dzień zmarnowany. W końcu westchnął ciężko, odsuwając myśl o barbarzyńcach z tarasu. Zobaczył, że mankiety jego białych spodni są poshlapanie błotem, a na jego lśniących bucikach pojawiły się jakieś smugi. Boże, spraw, żeby to było tylko błoto.

Prawie się potknął u podnóża schodów.

Wtedy pojawił się Trinh. Stał u szczytu schodów i zapraszał go gestem. Był w białej marynarce, z czarną muszką pod brodą. Przez rękę miał przewieszoną serwetkę. Lacouture odetchnął z ulgą. jednak wszystko jest w porządku.

Wyprostował się, poprawił białą płócienną marynarkę, strzepnął pyłek ze spodni i wszedł na schody.

- *Bonjour. Bonjour, Monsieur* Lacouture - powitał go Trinh tonem zachowującym idealną równowagę pomiędzy przyjaźnią a szacunkiem.

Lacouture zauważył, że taras jest pusty. Horda odjechała. Następnego najazdu spodziewano się dopiero w południe. Żaden dziennikarz nie zwieszał się nad stołem. Nie było widać żadnego amerykańskiego żołnierza. Nie kręciły się kurwy.

- *Bonjour, garcon* - powiedział i oznaczało to coś więcej niż powitanie. Był to wyraz zadowolenia i gratulacje dla Trinha. Pusty taras to było zwycięstwo. Dzień będzie jednak udany.

Lacouture, niski nienagannie ubrany mężczyzna o tuszy stosownej dla sześćdziesięciodwuletniego Francuza, szedł za jeszcze niższym i jeszcze bardziej nienagannym pod każdym względem wietnamskim kelnerem, mijając puste stoły i zmierzając do swojego ulubionego miejsca w głębi tarasu, przy stole nieco odsuniętym od innych i zapewniającym dobry widok na cały taras i na znajdującą się poza nim ulicę.

Trinh przytrzymał mu krzesło i zniknął, ale prawie natychmiast pojawił się znowu ze srebrną tacą. Postawił na stole koszyczek z pieczywem - jeden rogalik, jedna bułeczka i dwie grzanki, małe porcelanowe naczynka z masłem i dżemem, a do dużej filiżanki nalał mocnej francuskiej kawy.

Lacouture wypił łyk, a Trinh czekał, jak czeka na reakcję klienta kelner od win. Takiej kawy nie podawano Amerykanom, tylko coraz mniejszej grupie stałych klientów z pobliskiej ambasady francuskiej i nielicznym wysoko postawionym Wietnamczykom, którzy służyli jeszcze władzom kolonialnym i Bernardowi Lacouture.

Lacouture zamknął oczy i westchnął. Mieszanina kawy z cykorią była utrafią.

- *Bien. Tres hien* - mruknął.

Trinh uklonił się i odszedł, zostawiając dzbanek z kawą na stole.

Zapowiada się cudowny dzień, pomyślał Lacouture. Teraz wszystko pójdzie dobrze, a jeżeli coś się nie uda, to i tak nie będzie to miało znaczenia, skoro jest pod opieką Trinha i skoro pije tak wyśmienitą kawę.

Trinh pojawił się znowu ze srebrną tacą. Leżała na niej sterta gazet. Umieścił tacę na stole tak, żeby nie naruszyć nakrycia, ale żeby jednocześnie łatwo można było do niej sięgnąć. *Petit dejeuner* nie było po to, żeby czytać gazety. Gazety były po to, żeby ktoś mógł skorzystać z nich podczas *petit dejeuner*.

Lacouture nawet nie spojrzął na gazety. Podziwiał pękata bułeczkę, wygięcie rogalika, gałązkę bugenwillii na stole, której purpura podkreślała biel obrusa, i połysk srebrnych sztućców. Delektował się chłodem panującym na tarasie, przypominającym nieco meczet ze swymi kolumnami i kafelkami w roślinne wzory.

Uspokojony, mógł teraz spojrzeć poza taras, na nerwowy pęd życia, przed którym znalazł chwilowe schronienie, ponieważ wierzył, że potrzebny jest ogień piekielny, żeby móc docenić chłód świętości. Potrzebował spokoju tego tarasu, żeby docenić zmysłowe przyjemności, które ofiarował Sajgon.

Kochał Sajgon. Siedząc tutaj - nieco wyżej nad poziomem ulicy - rozpieszczony i odpoczywający, drżał na myśl o przyjemnościach i podniecających wydarzeniach, jakie niesie ze sobą miasto.

Dla niego Sajgon był wyjątkowym *fleur du mai* - kwiatem zła, którego przejrzała zarodnia pęka od nasion, a wonny aromat jest ciężki i odurzający. Złodzieje i żebracy, kurwy i kaleki. Śmierzący, rakowaty karnawał potworów na zasłanych odpadkami i cuchnącymi ekskrementami ulicach. Oszałamiająca, pikantna trupiarnia, równocześnie trująca i zjełczała. Robaczywe, wijące się i zawszone miasto. Grób rojny i pełen życia.

Odlamał kawałek grzanki, posmarował ją masłem i dżemem śliwkowym. Włożył do ust i żuł wolniuteńko. Otrzeptał okruszki z palców.

Wziął jedną z gazet z tacy.

Gazety, wszystkie francuskie, były sprzed tygodnia. Przynosiły przestarzałe wiadomości - opisywane w nich wielkie kryzysy zostały już rozstrzygnięte. Czytał z zainteresowaniem, z rozbawieniem i z pewnym dystansem, wiedząc, że wydarzenia, wyglądające tak poważnie w druku, w rzeczywistości nie pociągały za sobą najmniejszych skutków.

Uwielbiał stare gazety. Były jak drukowana śmierć, jak żółknący, pomarszczony, łatwy do usunięcia kamień nagrobny.

Skończył jeść grzankę i wytarł usta serwetką. Spojrzął wyczekująco w stronę ulicy. Kto dzisiaj przyjdzie? - zastanawiał się. Siedział niczym cierpliwy koneser sztuki w oczekiwaniu na spektakl, który zaoferuje mu miasto.

I oto, jakby na zawołanie, pojawił się ojciec Dourmant. Och, cudownie, pomyślał Bernard Lacouture. Chciał zawołać „A//ó/ alló!” do swojego drogiego przyjaciela, ojca Dourmanta.

Wysoki, wychudły białowłosy ksiądz, czując prawdopodobnie na sobie jego wzrok, spojrzął w stronę tarasu, a widząc Lacouture'a, wyraźnie zadrżał i odwrócił wzrok, minął róg ulicy i skręcił w prawo.

Dokąd on idzie? - zastanawiał się Lacouture. Chyba nie do katedry położonej dalej na tej samej ulicy? Ten jezuita zdecydowanie odmawiał przekroczenia jej progu, odkąd Rzym mianował arcybiskupem starszego brata prezydenta Diema.

Lacouture'owi brakowało rodziny Diemów. Kiedy panowali, stanowili największą atrakcję w tej całej zabawie. Diem, *Madame Nhu*, arcybiskup, buddyści podpalający się na każdym rogu ulicy. Zabawa stała się tandetna po ich zniknięciu. Mały i Duży Minh, Thieu i Ky byli tylko marnymi substytutami. Swego czasu jednak żywił pewne nadzieje w odniesieniu do rodziny Ky, z ich okularami słonecznymi ozdobionymi imitacjami diamentów, kombinezonami lotniczymi z niezliczoną ilością zamków błyskawicznych i lśniących guzików. Niestety Ky był zbyt głupi, a pani Ky, chociaż miała dzięki chirurgicznemu zabiegowi okrągłe oczy i ostry makijaż, była jak niegroźna jaszczurka gekon w porównaniu ze wspaniałym smokiem, jakim była *Madame Nhu*. Pieczeń z buddysty - przypomniał sobie z zachwytem. Kochana *Madame Nhu*. Wracaj! Potrzebujemy cię!

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego jego eminencja arcybiskup tak cię denerwuje - powiedział Lacouture do ojca Dourmanta, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali. -To, co zrobił Watykan to nic

nowego. Sprzedawali przecież przywileje od wieków wraz z kapeluszami kardynalskimi, mszami i nowennami, handlując niebem i piekłem, a czyściec wprowadzając na giełdę. Cóż znaczy jakaś mała diecezja w Indo-chinach? Jesteś niepoprawny. Idź, ucałuj jego pierścień i przestań się upierać.

Uwielbiał ojca Dourmanta. Cóż za dobry człowiek. Prawdziwy święty. Obserwowanie jego bezowocnej walki było dla Lacouture'a źródłem nie kończącej się radości. Mało miał przyjemności tak konkretnych i dających mu zadowolenie, jak ta, którą osiągał widząc, jak ten bezinteresowny człowiek na każdym kroku napotyka przeszkody, klęski i upokorzenia. Nie ma nic złego w zwyczajnym dobroci, rozumował Lacouture, ale to takie nudne. Kłopot z dobrem polega na tym, że ono po prostu nie jest zabawne.

- Bez wątplenia będziesz miał łożę w piekle - odpowiedział mu kiedyś ksiądz. Łożę, a to dobre! Lacouture podniósł kawę w toaście za znikającym mu z oczu

księdzem. Pewnie biedny jezuita wraca z kolejnej, nieudanej wyprawy do ambasady francuskiej po pieniądze dla sierocińca i szpitalika.

Pomysł, że można coś uzyskać od ambasady francuskiej, przyprawił go o chichot. Tylko ojciec Dourmant mógł sobie wykoncypować, że to możliwe, i z uporem próbować się nadziać na ten złamany, tępy miecz.

Ależ, nie! - prawie wykrzyknął na głos. Amerykanie również myślą, że to możliwe. Czyż nie płacą Surete Generale za informacje? Francja straciła imperium.

Jej armia została pokonana, jej informatorzy zostali zdyskredytowani i stali się niegodni zaufania, a przecież CIA płaciła za ich wiedzę. Lacouture klasnął w ręce. Głupi uczy głupiego. Wspaniałe!

Lacouture znał wszystkich w ambasadzie francuskiej, znał szpiegów z Surete i wszystkich ich informatorów. Znał też amerykańskich agentów i ich informatorów oraz wszystkich szpiegów i informatorów Wydziału Specjalnego rządu wietnamskiego. Znał wreszcie co do jednego szpiegów Wietkongu i chińskich.

Znał w Sajgonie wszystkich. Był jak swatka. Kojarzył właściwego człowieka z właściwą informacją za cenę odpowiadającą jej wartości i umiejętnościom szpiega. Był czarnym rynkiem informacji. Każda ważna albo nieważna informacja była u niego do nabycia.

Nie obciążony takimi przesądami, jak ojczyzna, obowiązek, zasady, a motywowany jedynie chęcią zabawienia się i kierowany pragmatycznym, bezbłędnym instynktem samozachowawczym, stał się punktem kontaktowym wszystkich szpiegów i informatorów, posiadaczem wszystkich informacji i jedynym niezbędnym ogniwem w tym całym beznadziejnie nieudolnym łańcuchu.

Lacouture urodził się w Sajgonie w 1904 roku za panowania marionetkowego cesarza Tanh Thai, którego Francuzi wkrótce uznali za szalonego i zastąpili go jego siedmioletnim synem.

Ojciec Lacouture'a, najmłodszy syn w rodzinie bogatych armatorów z Marsylii, przywiózł ze sobą umiejętności rodzinne do Indochin w 1882 roku. Przywiózł ze sobą również żonę, która w odróżnieniu od innych francuskich żon uważała wszystko w tym egzotycznym kraju za miłe. Ich życie w kolonii oznaczało przyzwolenie na robienie wszystkiego, pławienie się w luksusie bez żadnych ograniczeń moralnych, praktycznych czy finansowych.

Wychowany, by uznawać przyjemność za jedyny godny cel, i w miejscu, gdzie nienormalność była regułą, Lacouture stwierdził, że ograniczenia i konformizm narzucane przez religię, kraj czy społeczeństwo są nie do przyjęcia.

Kiedy po pierwszej wojnie światowej pojechał do szkół do Paryża, Europejczycy nudzili go swoją afektacją i egoizmem. Jak tylko skończył naukę, wrócił do Indochin.

Europa wydawała mu się pozbawiona życia, natomiast Indochiny nim pulsowały. Sajgon rozkwitał nieprzerwanie, nie tracąc starych, a zyskując wciąż nowe barwne płatki. Japończycy pojawili się i odeszli. Jego rodacy też przeważnie odeszli, ale pojawili się Amerykanie, przynosząc ze sobą do „Continental Palace” nowe podniety i nowe wyzwania wraz z prostackim zachowaniem. Wiedział jednak, że i z tego też muszą płynąć jakieś korzyści. Poza tym istniały sposoby, żeby takich niedogodności unikać. Po prostu zmieniał program dnia, żeby unikać Amerykanów.

Ta niedogodność była bez znaczenia w porównaniu z tym, co Amerykanie mu zapewniali. Był to bezcenny czas. Dadzą mu jeszcze pięć lat, myślał sobie. Dotrwają do 1972 roku. Do tego czasu będzie już miał prawie siedemdziesiąt lat i przejdzie na emeryturę gdzieś w Nicei albo Antibes. Wątpił, żeby Amerykanie przetrwali dłużej niż do 1972 roku, ale do tego czasu z pewnością się utrzymają. Nie chciał jednak stawiać wszystkiego na jedną kartę i już wyprowadzał pieniądze z kraju. Nie można tak całkowicie na Amerykanach polegać. Byli zbyt wybuchowi i niedoj-

rzali. Nie mieli pojęcia o sztuce uwodzenia, a umieli tylko pieprzyć się - tak samo, jak nie umieli jeść, tylko żarli.

Ale, myślał z sympatią, kochani Amerykanie zapewniają mu czas. Wiedział, że komunistów nie przetrzyma. Byli dokładni, dogmatyczni i pełni zasad. Byli okrutni i bezkompromisowi, głupi, całkiem ślepi i śmiertelnie niebezpieczni, a co najgorsze - nudni.

Westchnął głęboko. Jego prześliczny Sajgon zwiędnie i umrze. Nie będzie już zabaw i rozrywek. Rozchmurzył się jednak. On przecież będzie już wtedy na Lazurowym Wybrzeżu. Amerykanie wrócą do domu. A gdzie podzieje się biedny ojciec Dourmant? Co się stanie z jego sierotami?

Ojciec Dourmant był w tym samym wieku co on. Może zabrać go ze sobą do Nicei? Tak - zdecydował. Będą siedzieć razem z pledami na kolanach, i będą wspominać. Ojciec Dourmant ani nie jest nudny, ani nie jest faryzeuszem. A to wszystko, co potrafił jeszcze opowiedzieć po czterdziestu latach pobytu w Wietnamie! Musiałby jednak obiecać, że nigdy nie wspomni o Teresie Hawthorne. Są przecież pewne granice! Już chyba lepsi byłiby komuniści niż ta święta Teresa ze swoimi sierotami po amerykańskich żołnierzach, pomyślał.

Kiedy Lacouture usłyszał o niej po raz pierwszy, o tej amerykańskiej byłej zakonnicy, obudziła się w nim nadzieja na prawdziwą odmianę. To na pewno będzie zabawna osoba. Podobno pracowała dla fundacji Pearl Buck, która pomagała nieślubnym dzieciom Azjatek i amerykańskich żołnierzów.

Sądził, że jest to, oczywiście, tylko przykrywka. To, że ktokolwiek miałby przejmować się losem nieślubnych dzieci żołnierzy amerykańskich i azjatyckich kurew, przechodziło wszelkie wyobrażenie. To czysta fantazja. Potem dowiedział się, że to jednak prawda, ale wciąż miał nadzieję, że Teresa Hawthorne jest w rzeczywistości agentką CIA albo nimfomanką, albo wreszcie ma jakiś inny cel. Niestety okazało się, że ta cała obrzydliwa sprawa (zawsze wyobrażał sobie małe azjatyckie dzieci wyłaniające się z kubłów spermy) była prawdziwa aż do znużenia, aż do mdłości.

- O! - krzyknął głośno Lacouture na widok Bui Cao Kima. Można było według niego regulować zegarek. Pojawił się akurat w porę, żeby uwolnić go od dalszych myśli o Teresie Hawthorne.

Chociaż na tarasie nie było nikogo oprócz Lacouture'a i chociaż Kim przychodził tu co rano o tej samej godzinie, mały, pomarszczony Wietnamczyk rozejrzał się ukradkowo, zanim przysiadł się do stolika.

Lacouture nazywał go Muchą, bo Bui Cao Kim był wszędzie, w każdym zaułku, pod każdą ścianą, pasąc się odchodami i odpadkami, zapuszczając wszędzie swe czułki i włącząc wszędzie, a potem odlatując z małymi okruchami brudów, które przynosił Lacouture'owi, ten zaś przesiewał je, czyścił i polerował, a następnie sprzedawał jako bryłki złota.

Wiązała ich ze sobą wzajemna potrzeba i lata znajomości, które zaczęły owocować zaufaniem.

Kim przysunął się nerwowo do stołu i położył przed Lacouturem brudny skrawek papieru zapisanego stawianymi z trudem japońskimi ideogramami. Lacouture nie raczył go dotknąć, ale pochylił się i przeczytał.

Kim nauczył się japońskiego, kiedy był więźniem w latach 1940-1945. Był dumny z tej umiejętności i prawie żałował, że Japończycy odeszli. Nie byli gorsi od Francuzów, a on był już za stary na to, by uczyć się angielskiego. Teraz nie miał z kim rozmawiać po japońsku, mógł tylko z Lacouturem. To był ich tajny kod.

Znajomość japońskiego była u Lacouture'a umiejętnością, którą zdobył z czysto praktycznych względów, podobnie jak znajomość angielskiego. Przed czterdziestu laty uznał, że Japonia wyrasta na wielkie mocarstwo azjatyckie. Wtedy nauczył się języka. Kiedy Amerykanie zaczęli mieszać się we francuską wojnę w Indochinach, Lacouture zrozumiał, że wkrótce zastąpią Francuzów. To tylko kwestia czasu. Jeżeli byli gotowi wysłać pieniądze, nie zawahają się wysłać żołnierzów. Nauczył się języka. Rozwiązanie to miało jeszcze jedną praktyczną zaletę. Nie musiał słuchać, jak kaleczą francuski.

Ku jego przerażeniu jednak niektórzy Amerykanie upierali się, żeby mówić po francusku, bo tak byli dumni z tego, czego nauczyli się na uniwersytetach lub „za granicą”, jak nazywali cywilizowany świat.

Lacouture stwierdził, że pod tym względem największymi zbrodniarzami są wyżsi urzędnicy CIA. Wyszkoleni na najlepszych amerykańskich uniwersytetach, chełpili się swoją erudycją. Klasycznym przykładem był tu ich wódz, zabawny, ale też i prawdziwie odrażający Wilson Abbot Lord. Lacouture prawie przestał się z nim widywać właśnie ze względu na jego francuski. Ten człowiek znał słownictwo. Nawet jego gramatyka była poprawna, ale te dźwięki, które z siebie

wydawał! Oczywiście można zagrać poprawnie „Ode do radości” młotem na kowadło, ale jaki byłby przy tym hałas!

Nawet Lord był jednak lepszy, niż jego protegowany Jeffrey Gibbon, który wyglądał, jakby uciekł z beznadziejnego hollywoodzkiego filmu ze swymi kwadratowymi, jakby wyciosanymi z granitu rysami i starannie zmierzwionymi blond włosami. Był piękny, myślał Lacouture, ale na taki śliski, zimny sposób, jak piękna jest kobra. Można ją podziwiać, ale nikomu nie przyjdzie do głowy jej dotknąć.

To właśnie tutaj, przypomniał sobie Lacouture, przy tym stoliku, Gibbon wypowiedział zdanie, takie jedno zdanie, że Lacouture'a zupełnie zamurowało.

Kiedy Gibbon mówił, wycyzniał z ustami dziwne rzeczy, tak że Lacouture nie mógł oderwać oczu od tych ust, zębów i języka, wijących się i kurczących w jakimś obscenicznym tańcu.

- Kocham francuski - powiedział Gibbon. - Jest taki wilgotny i miękki, że przypomina mi cipę.

Lacouturebwi tak zadrzała ręka, że aż oblał się kawą. Mimo jego urody, pomyślał, nigdy mu tego nie wybaczę.

Lacouture pochylił się niżej nad pozólką brudną kartką Kima. Ideogramy nakreślono wyjątkowo pięknie. Ucieszyłyby cesarza Hirohito. Były jednak pomyłone i niewłaściwie umieszczone, jakby namalował je artysta z dysleksją. Drzewa rosły na niebie, a ludzie chodzili do góry nogami. Lacouture zrozumiał jednak, o co chodziło. Nasiliła się infiltracja Wietkongu. Założono kilka nowych kryjówek z bronią. Południowi Wietnamczycy mianowali generała Trana dowódcą okręgu sajońskiego. Północnowietnamski generał Khanh był ciężko chory na dyzenterię.

Wspaniałe wiadomości, pomyślał Lacouture. Jak ten Kim to robi? Sięgnął do portfela i położył na kartce cztery pięćsetpiastrowe banknoty.

Kim wyciągnął rękę, kiedy Lacouture położył drugi banknot, ale kiedy banknotów przybywało, cofnął rękę zaskoczony i prawie zaniepokojony.

Lacouturebwi zebrało się dzisiaj na hojność. Dzień jest wspaniały. Wszystko jest w porządku, a on jest szczęśliwy.

Kim skłonił się lekko, dziękując mu po japońsku. Lacouture również się skłonił, dając mu do zrozumienia, żeby się oddalił.

Kim wepchnął pieniądze do kieszeni spodni, ale kartkę, nad którą się tak napracował, złożył starannie i schował do kieszeni koszuli. Ukłonił się jeszcze raz i oddalił.

Sama informacja o skrytkach z bronią warta była dziesięć razy tyle, ile dał Kimowi. Niezwykłej wagi była wiadomość o generale Tranie. Tran jest uczciwy, kompetentny i odważny. Jest ostatnią osobą, którą mógł mianować prezydent Thieu. Co się więc stało? Oczywiście, pomyślał. Nawet gdyby mianowano wodzem Aleksandra Wielkiego, też by to nic nie dało. Klęski już nie można było odwrócić. Kompetencja mogła w najlepszym przypadku doprowadzić do zamachu stanu.

Czy generał Khanh jest chory? - zastanawiał się. Ta ważna informacja nadawała się do sprzedania. Teraz wystarczyło tylko znaleźć właściwego klienta.

Może napiję się trochę koniaku, żeby to uczcić, zdecydował. Rzadko kiedy pozwalał sobie na to tak wcześnie, ale dzisiaj był szczególny dzień. Podniósł wzrok, żeby przywołać Trinh.

- Nie! - jęknął. Trinh właśnie prowadził do pobliskiego stolika jakiegoś oficera.

To niemożliwe, pomyślał Lacouture i prawie się zerwał, żeby przepędzić ich machając serwetką.

Co za paskudny dzień, pomyślał i prawie się rozplakał. Co amerykański podpułkownik robi tutaj o tej porze? Będzie zachowywać się głośno, obraźliwie i agresywnie.

I będzie mówić po angielsku. Lacouture miał ochotę tupnąć. On nie ma prawa popsuć mu dnia. Jak mógł Trinh do tego dopuścić? Przeklęty mały żółtek.

Amerikanin wybrał stół nieco oddalony od Lacouture'a. Usiadł plecami do ulicy, tak że siedzieli zwróceniem twarzami do siebie. Uprzejmie skinął Lacouture'owi głową siadając.

Jego twarz wydała się Lacouture'owi znajoma. Był przystojny, ale nie urodą gwiazdora, jak ten Gibbon z CIA. Nie był też szczególnie męski. Wygląda jak ładne duże dziecko, uznał Lacouture. Krótko ostrzyżone blond włosy potęgowały jeszcze to wrażenie.

Dziwne. To duże dziecko w sztywnym, zadbanym mundurze zachowywało się z całkowitą swobodą, jakby w tym mundurze się urodziło.

Co on tu robi o tej porze? Oficerowie nigdy nie przychodzili tak wcześnie. Nigdy nie odważyliby się urwać z biura przed południem. Siedzieli za swoimi biurkami jak na stanowisku bojowym, uzbrojeni w papier i pióro, dopóki wyżsi oficerowie nie oddalą się, i rzadko jadal lunch w

„Continentalu". Oficerowie chodzili na lunch do hotelu wojskowego, do Brinksa, jedli hamburgery, pili piwo i rozmawiali o sprawach wojskowych i o dziewczkach.

Wojna rozwija się w niebezpiecznym kierunku, jeżeli oficerowie zaczynają włączyć do „Continentalu" już późnym rankiem, pomyślał Lacouture. Takie odważne działanie nie pasowało do zwykłego podpułkownika. Coś tu jest nie tak.

Nagle Lacouture zdał sobie sprawę, że Trinh i oficer rozmawiają po francusku. Przechylił głowę i słuchał. Niezwykłe! Żaden Amerykanin nie mówił tak dobrze po francusku! Oczywiście, mówił z pewnym akcentem, ale nie był to akcent nieprzyjemny, a jedynie wskazujący, że francuski nie jest jego ojczystym językiem. Wtedy Lacouture zrozumiał. Nic dziwnego, że twarz jest znajoma! Widział jego zdjęcie tysiące razy w gazetach, czasopismach, na plakatach i w kronikach filmowych. To jest wielki bohater wojenny, zbawca Francji, Robert R. Romer.

Idiota, pomyślał. Przecież Romer od dwudziestu lat nie żyje. To jest jego syn.

Nie ma mowy o pomyłce. Twarz jest zbyt charakterystyczna. Po wyzwoleniu Romera prawie tak samo fetowano jak de Gaulle'a. Słyszało o nim każde dziecko. Był nie tylko wielkim generałem. Był inteligentny i wykształcony, bystry i otwarty i świetnie mówił po francusku.

Wszystko to przypomniało się nagle Lacouture'owi. To jest prawdziwa legenda. „Wściekły" Romer - tak o nim mówiono. Wściekał się na swoich ludzi, zmuszając ich do nadludzkiego wysiłku. Wściekał się na Zjednoczone Dowództwo Alianckie, gromił swych przełożonych wojskowych i cywilnych za potulność i niekompetencję. Wściekał się na Niemców i wściekał się na Rosjan. Szalał i miotał się po Europie, a po zakończeniu wojny chciał ruszyć na Moskwę.

Był postacią wyjątkową, kimś, kto musiał zginąć po ostatniej bitwie. Jego śmierć była tak banalna, że Lacouture nawet nie pamiętał, jak zginął. Chyba w jakimś wypadku.

Teraz jest tutaj jego syn, też żołnierz, tylko na innej wojnie. Wzdrażał się przed tą myślą. Jak w ogóle można być synem Romera? Lacouture zastanawiał się nad tym, jak można stawić czoło wymaganiom takiej reputacji, czy też spełniać oczekiwania, które muszą być związane z tym nazwiskiem? A w dodatku przywdziać mundur i wkroczyć na tę samą scenę, z której zniesiono jego ojca w blasku chwały? Tylko bardzo silny albo bardzo słaby mężczyzna może tak postąpić. Interesujący przypadek psychologiczny.

To jest zbyt podniecające! Musi już iść. Gdyby się napił koniaku, to chyba zemdlałby.

Położył pięćsetpiastrowy banknot na stole, przetarł usta serwetką, otrzepał ubranie i wyszedł, żegnając Romera lekkim skinieniem głowy.

Cóż za ciekawy, pedantyczny, mały zabojad, pomyślał Robert R. Romer III. Coś takiego zobaczyć w środku wojny? - dziwił się. Ostatecznie tutaj nie jest tak, jak się tego spodziewał. Sajgon okazał się kolejną instytucją produkującą papiery.

Wiedział jednak, że lepiej jest siedzieć za biurkiem tutaj, niż w Waszyngtonie. Prawdziwa wojna dotrze wkrótce i tu. Dostanie stanowisko dowódcze w ten czy inny sposób. Tego był pewien. Będzie musiał jednak o nie walczyć. Tak długo, jak ma opiekunów, wyższych oficerów, którzy pamiętają i szanują jego ojca, będzie miał również wrogów, także wyższych oficerów, którzy żywią do niego niechęć -również ze względu na ojca.

Wiedział, że traktują go nie jak odrębną osobowość, ale jako syna wielkiego ojca. Od dawna się z tym pogodził. Walka z bezspornymi faktami nie miała sensu.

Teraz zainteresowany był głównie wydostaniem się z wydziału analiz i przejściem do dowodzenia. Generał Arthur Shaw, kiedyś dowódca batalionu w jednostce

„Wściekłego" Romera, człowiek, który wzorował się na bohaterze drugiej wojny światowej - aż po noszenie takiego samego pistoletu i palenie cygar, został wysłany do Wietnamu w celu zbadania, czy jeszcze kilka dywizji mogłoby się przyczynić do wygrania wojny.

Odpowiedź, jaką można osiągnąć pytając wojsko, czy potrzebuje więcej ludzi i amunicji, była oczywista. Jak stwierdził generał Shaw: „Będziemy się ich pytać, czy niedźwiedzie srają w lesie".

Shaw przywiózł ze sobą Romera, odrywając go od pracy w Pentagonie. Byli w Sajgonie już od miesiąca i dokumentowali „niedźwiedzie gówno" zgodnie z teorią Shawa. Teraz jednak Romer chętnie by zmienił zajęcie.

W tej chwili fakt, że jest synem „Wściekłego" Romera, uniemożliwił mu objęcie dowództwa batalionu, ale pozwalał mu wyjść z budynku MACY, czyli Military Assistance

Command, Yietnam, i posiedzieć sobie na tarasie w „Continentalu”.

Wiedział, że coś się w końcu nadarzy, a raczej, że sam coś wynajdzie. Tymczasem będzie cieszył się tym, co może być w Sajgonie i ćwiczył francuski, którego nie używał od młodości spędzonej we Francji, gdzie mieszkał z matką, po tym, jak owdowiała.

Ojca Dourmanta widok Lacouture'a tak wytrącił z równowagi, że potknął się o kalekę leżącego na chodniku.

- Cholera - zaklął. Od wielu dni marzył o tym, by wypić kawę w „Continentalu” nie w nagrodę za coś, tylko tak, dla podtrzymania sił. Godna pożałowania słabostka. Wiedział o tym. Ale czy to może komuś zaszkodzić? Widocznie mogło. Pan nie chciał ofiarować mu nawet tej drobnostki i dlatego sprawił, że Lacouture tam się znalazł.

Ale co też Pan Bóg wymyślił? To nie jest tylko napomnienie za tę ziemską słabostkę czy nawet skarcenie. To zwykła małostkowość, pomyślał ksiądz.

Dla ojca Dourmanta Pan Bóg był bardzo konkretną osobą. Już dawno przeszedł od teologii i filozofii do zażyłości z Panem Bogiem, a im stawał się starszy, tym bardziej się złościł i tym bardziej był rozczarowany rosnącą małostkowością oraz nieudolnością Pana.

Po czterdziestu latach pracy misjonarskiej trzeba było pogodzić się z faktami. Niepowodzenia tego świata, wszystkie jego nieszczęścia były albo zamierzone, albo wynikały z nieporadności. Bóg tak chciał, albo nie mógł z tym sobie poradzić. Szelma albo głupiec. Jedno albo drugie. Można było zapomnieć o wolnej woli. Dla większości nic takiego nie istniało. Klinika Teresy Hawthorne była wypełniona istotami, które nie miały wyboru. Nikt tam nie pakował się w nieszczęście z własnej woli.

Obejrzał się ze złością na budynek hotelu. Chciał tylko filiżanki kawy. Tylko tyle, ale Pan wiedział, że gdyby nawet Chrystus zmartwychwstał na tarasie hotelu „Continental”, ojciec Dourmant nie pojawiłby się tam pod obecność Bernarda Lacouture'a. Bez wątplenia czysta złośliwość.

Kiedy minął zakręt, zobaczył przed sobą katedrę. Zatrzymał się i popatrzył. Westchnął. Może jednak Pan chciał mu dać nauzkę. Czy to, kto jest arcybiskupem, ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy On naprawdę przejmuje się takimi rzeczami albo

sierotami, albo kalekami? Czy to są tylko przejściowe próżnostki? A kawa? Ojciec Dourmant zwiesił głowę.

Odetchnął głęboko. Wróci do kliniki w akcie pokuty za swoje zaniedbanie względem Pana. Spędzi wieczór w klinice Teresy Hawthorne, w ramach pokuty pracując z niezamężnymi matkami i ich chorymi na syfilis, opóźnionymi w rozwoju dziećmi.

Westchnął nad swoją niegodziwością. Jeden wieczór pokuty, podczas gdy ona robi to dzień w dzień i noc w noc.

Była denerwująca, a on się na nią złościł, ale wiedział, że pewnie to święta.

Znowu się rozzłościł. Nawet nie wierzy w Boga. Ta przeklęta kobieta to heretyczka.

Kolejna złośliwość Boga. Rozzłoszczony z powodu Teresy Hawthorne, arcybi-Skupa oraz filiżanki kawy kroczył ulicą w rozwianej sutannie.

W biurze na najwyższym piętrze budynku sztabowego generał Huy Chi Tran, nowo mianowany dowódca okręgu sajgońskiego, patrzył przez okno na budynek amerykańskiego dowództwa po drugiej stronie ulicy.

Dowiedział się o swojej nominacji dopiero wczoraj. Musiało się to stać pod naciskiem Amerykanów i przy gwałtownym sprzeciwie starszych, wyższych rangą generałów, a zapewne także samego prezydenta Thieu.

Drzwi otworzyły się i wszedł adiutant, któremu Tran polecił, żeby mu nie przeszkadzano, niezależnie od tego, kto będzie telefonował.

- Chciałby z panem rozmawiać generał Westmoreland.

- Majorze, prosiłem, żeby mi nie przeszkadzano - powiedział Tran, zdobywając się na cierpliwość. Wiedział, że przeprowadzenie zmian będzie trwało długo.

Adiutant stał zakłopotany. Nie wiedział, co ma powiedzieć adiutantowi Westmo-relanda.

- Powiedz generałowi Westmorelandowi, że zadzwonię, jak tylko będę mógł. Adiutant

zawahał się, zasalutował i wyszedł.

Tran był wysokim, mocno zbudowanym, muskularnym mężczyzną o twardych, prawie grubych rysach, ale jego sposób bycia pozostawał w sprzeczności z jego wyglądem. Mówił głosem łagodnym, z pełnym elegancji spokojem mandaryna. Jego spokój nie pasował do kilku rzędów baretek na mundurze.

Generał siedział w wygodnym fotelu, z nogami wyciągniętymi przed siebie i głową na oparciu - jednocześnie zadowolony i odczuwający ciężar zmęczenia.

Pragnął tego stanowiska, ale również się go bał. Był jedynym, któremu może udać się ocalić kraj, najlepszym generałem, któremu może się udać zmobilizować wojsko. O tym wiedział. Co będzie jednak, jeżeli mu się nie powiedzie?

Czekała go zacięta walka nie tylko z komunistami, ale także z korupcją i tchórzostwem własnego rządu. Jak można zmobilizować niedoświadczoną armię dowodzoną przez tchórzliwych, pozbawionych skrupułów oficerów, żeby walczyła za skorumpowany rząd?

No, i istnieli jeszcze Amerykanie. Wiedział, że odnoszą się do Wietnamczyków z pogardą. Był generałem żółtków, łajz i maluchów. Śmiali się z jego armii i z jego ludzi. Nienawidził ich pobłażliwego samozadowolenia, a równocześnie wstydził się

z powodu niepowodzeń swojej armii i za przywódców, którzy działali tylko we własnym interesie.

To był jednak jego kraj i kochał go. Chciał, żeby jego naród cieszył się pokojem i wolnością. Ale czy jest sposób na to, żeby ludzie stali się odważni i uczciwi?

Amerykanie tak gładko mówią o demokracji i są tacy we własnym przekonaniu uczciwi. Są też - trzeba to przyznać - hojni i szczerzy w pragnieniu udzielenia pomocy. Wiedział, że mają dobre intencje. Są wreszcie sto razy lepsi od komunistów.

A jednak nie rozumieją całej złożoności problemu. Nie rozumieją historii i pogardzają nią, jak niedouczony dzieciak. Ich skłonność do klasyfikowania wszystkiego przy całkowitym ignorowaniu subtelnosci i odcieni powodowała, że byli nieelastyczni i naiwni, co przynosiło fatalne skutki w stosunkach z resztą świata.

Chcieli pomóc, ale niczego nie rozumieli. Czyż miliony ludzi mogły nagle zapomnieć tysiąc lat dominacji chińskiej, całe wieki skorumpowanych cesarzy i francuskich wyzyskiwaczy, i ot tak po prostu napisać konstytucję, znaleźć uczciwego prezydenta i od razu stać się narodem wolnym i demokratycznym?

Teraz dzwonił Westmoreland. Co się z wami dzieje, żółtki? Dlaczego nie możecie wziąć się w garść?

Westmoreland chciał mu powiedzieć, co trzeba zrobić i gdzie należy rozmieścić oddziały. Westmoreland nie chciał słuchać i na pewno nie chciał dowiedzieć się

o koncentracji wojsk nieprzyjaciela, ani o tym, że Tran obawia się, iż nieprzyjaciel podejmie poważniejszą ofensywę podczas Bożego Narodzenia, albo święta Tet, czyli obchodów nowego roku księżycowego. Tran mu o tym jednak powie.

Zadzwoił do adiutanta.

- Połącz mnie z generałem Westmorelandem.

Westmoreland pewnie zacznie żałować, że nalegał na jego nominację.

W krytej strzechą chacie w odległej wsi położonej prawie sto kilometrów od Sajgonu, północnowietnamski generał Xuan Tien Khanh leżał na słomianej macie. Musiał znowu iść do ubikacji. Miał nadzieję, że uda mu się wstać. Nawet perspektywa hańby leżenia we własnych odchodach nie dodawała mu siły, żeby się poruszyć.

Czy ta walka, te ofiary poniesione w ciągu ostatnich trzydziestu lat tak się miały skończyć? - zastanawiał się.

Byli już tak blisko przedmieść Sajgonu. Tak blisko zwycięstwa po pokonaniu Japończyków i Francuzów, że ogarniała go rozpacz. W końcu jednak roześmiał się sam nad własnym losem i nad tym, że traktuje siebie zbyt poważnie. Myśli w kategoriach osobistych, zapominając o podejściu historycznym.

Dawno temu, zanim przyłączył się do Ho Szi Mina, żeby walczyć z Francuzami, był

nauczycielem historii, naukowcem, który nawet teraz potrafił spojrzeć na sprawy z perspektywy historycznej.

Leżąc na macie zastanawiał się, jak czuł się Mojżesz, kiedy wszedł na górę

1 zobaczył Ziemię Obiecaną, wiedząc doskonale, że nigdy do niej nie wejdzie. Czy był zły? Czy pozostało mu dość poczucia humoru, żeby dostrzec całą ironię tej sytuacji?

Lata wyrzeczeń pozbawiły go poczucia humoru i ironii. Wszystko to rozplynęło się w nieustannych trudach walki o niepodległość.

Może Mojżesz również stracił poczucie humoru, pomyślał. Skończył prawdopodobnie jako zły, pomylony starzec.

Konfucjusz i Budda zachowali poczucie humoru, ale oni o nic nie walczyli. Nie ¹ byli rewolucjonistami.

To mógłby być ciekawy temat do dyskusji ze starym przyjacielem, generałem Vo Nguyen Giapem, pomyślał. Humor i ironia rewolucjonistów. Znał Giapa jeszcze z czasów, kiedy byli uczniami w Hue, czterdzieści lat temu. Uczyli się razem w liceum Alberta Sarrauta w Hanoi i razem ukończyli studia prawnicze na tamtejszym uniwersytecie.

Pamiętał, że wtedy mieli poczucie humoru. Giap pierwszy je stracił, kiedy jego żona i małe dziecko zmarły we francuskim więzieniu w 1941 roku, a jego siostra została ścięta w Sajgonie za terroryzm.

Jak można było się po tym śmiać? Czy on sam śmiał się po pogrzebie synów?

Ho Szi Min wciąż mógł się śmiać, ale ostatecznie on nie miał rodziny. Cierpiał i walczył, ale nie ponosił strat osobistych. Był wciąż łagodnym i delikatnym człowiekiem.

Ani on, ani Giap tacy nie byli. Stracili zbyt wiele. Walka trwała zbyt długo i była zbyt ciężka. Dien Bien Phu oznaczało zaledwie połowę drogi. Przedtem, przez trzynaście lat, walczyli z Japończykami i Francuzami. Od tego czasu minęło znowu trzynaście lat.

Odwrócił głowę w stronę słonecznego blasku wpadającego przez drzwi chaty. Ten niewielki wysiłek zmęczył go ponad miarę, ale chociaż wyniszczyła go biegunka amebowa i malaria, wciąż płonęła w nim chęć życia. Odczuwał ją i teraz, tak jak odczuwał ją w innych, wcześniejszych momentach swego życia, kiedy był więźniem Japończyków, kiedy był torturowany przez Surete i w najstraszniejszym momencie, kiedy chował swoich synów.

Pamiętał, jak kopał tunel rękami, jak wyszarpywał ziemię, aż zdarł sobie ciało z palców, aż inni go odciągnęli. Pamiętał, jak kopał grób syna.

Podniósł ręce do twarzy. Były brudne i pokryte bliznami. Nie mógł opanować ich drżenia. Ręce, które dotykały martwych synów, które zabijały, które nie pieściły i nie kochały od niepamiętnych czasów. Pokrwawione, pokryte bliznami, poparzone ręce, które przez trzydzieści lat służyły walce o wolność.

Ręce, które i teraz go nie zawiodą. Wygra. Poprowadzi swoich ludzi do zwycięstwa. Jego synowie nie zmarli na próżno. Cierpienia będą pomszczone.

Oczy mu się zwężyły, chroniąc się przed ostrym blaskiem słońca, a ręce wyciągnęły się. Poczł chłodną ziemię. Palce wryły się w nią i zaczęły go wlec ku drzwiom i ku światłu.

Bernard Lacouture był tak podniecony, że musiał pójść na długi spacer, żeby się uspokoić. Miasto go uspokoi. Niech tylko zobaczy, że wszystko jest na swoim miejscu, a równowaga sama mu wróci.

Rzeczywiście. Znowu był jak zawsze pewny siebie, kiedy stwierdził, że wszystko jest tak, jak być powinno. Wszystkie odpadki pływały po powierzchni. Nic nie zatoneło.

Szedł szczęśliwy i zadowolony. Czarny rynek prosperował. Ulica Tu Do roiła się od kurew, handlarzy narkotykami i waluciarzy. Żebracy i kaleki byli tam, gdzie być powinni. Głodująca kobieta ze swym umierającym albo już martwym dzieckiem w ramionach, naprzeciwko hotelu „Catinat”, była na swoim stanowisku. Szum i huk ruchu ulicznego, śmieci i odpadki, zapach zgnilizny - wszystko trwało niezmiennie.

Lacouture szedł rozpromieniony. Teatr był czynny. Grand Gignol prezentował swoje widowisko na deskach Sajgonu.

V

Światło poranka wpadało przez wykuszowe okna jadalni, połyskując i tańcząc na kryształach i srebrze śniadaniowej zastawy.

Pokój był duży, urządony tradycyjnie, ale wygodnie. Sąsiadowały tu ze sobą meble chińskie i europejskie z palisandru oraz mahoni. Na podłodze leżał stary perski dywan z Isfahanu z wyszukаныmi wzorami z epoki szacha Abbasa, którego lazuruowa barwa przywiodła Marshallowi na pamięć pobyt nad Zatoką Omańską. Na ścianach coś zgoła odmiennego - flamandzkie gobeliny przedstawiające sceny dworskie i łowieckie, tworzące stonowane tło dla seledynowej porcelany i świetnie z nią komponujących się waz z epoki Ming.

Dla Marshalla sztuka była nie tylko dekoracją. Każda rzecz miała swoje znaczenie i żyła własnym życiem. Dywan to był dla niego cały islam. Widział kalifów z zakrzywionymi szablami, słyszał nawoływania do modlitwy płynące z minaretów, widział spalone słońcem wioski, w których tkacze siedzieli przed swoimi warsztatami. Gobeliny przywoływały nieco inny świat. To były nie tylko dzikie oczy broczącego krwią niedźwiedzia czy też jednorożec o melancholijnym spojrzeniu. To także namiętni rycerze i zalotne damy, gotyckie wieże i płynące z dala dźwięki gregoriańskich śpiewów. To były średniowieczne miasta w zimowej szacie, w których tkacze drżeli z zimna i ciężko pracowali przy swoich warsztatach.

Sztuka przez swą trwałość dawała mu poczucie godności i ciągłości pracy człowieka. Piękno było w tym, co człowiek mógł osiągnąć nie indywidualnie w postaci obrazu, poematu czy symfonii, ale zbiorowo w artyzmie zawartym w gobelinach, dywanach, architekturze, a także w aranżacji i w samym pomysle.

Sztuki nie można było unieważnić, skreślić. Isfahan przetrwa zbrodniczych mułłów, szachów i emirów, a gobeliny przetrwają NATO, Układ Warszawski, jak już przedtem przetrwały inne sojusze, tyranów i wojny. Dzieła sztuki można było zniszczyć, podrzeć, zrujnować, spalić, ale osiągnięcia, którym były, nie da się przekreślić.

Gdyby tak można było wprowadzić sztukę do polityki, pomyślał. Istniały już: Deklaracja i Konstytucja, „Utopia” i „Republika” - pomysły, ale nie ich wcielenie. Tak mało artyzmu przenikało do stosunków międzyludzkich.

Ludzie jednak próbowali, pomyślał patrząc na wielki trawnik i ogród. On sam nie czuł się artystą. W jego pracy nie było artyzmu, nie było symfonii, Pięty czy Króla Leara. Był tylko jednym z tkaczy, członków gildii siedzących w ciemnej pracowni i snujących wątek oraz osnowę. Krótka misja tu, zbieranie informacji tam, współpraca przy formułowaniu traktatu. W swoim umyśle dostrzegał również ogólny wzór - światowy pokój, a to już mu wystarczyło, żeby pracować jak mało znaczący rzemieślnik w swoim warsztacie.

Może osiągnie coś w Wietnamie. Wyjeżdża pojutrze. Może, ale tylko może, uda mu się utkać coś pięknego, trwałego, znaczącego.

Usłyszał, że Catherine zaczyna krzątać się na górze w sypialni. Zejdzie na dół **za** kilka minut.

Myśl o niej przygnębiła go. Porcelana przemieniła się w plastik, wazy z epoki Ming w odpustowe szkiełka, perski dywan w słomianą matę, a gobeliny w tapetę.

Roześmiał się jednak i sięgnął po kawę. Catherine jest miła i dobra, hojna i troskliwa, jest wspaniałą osobą, która wspomaga biednych, opiekuje się chorymi i wylewa szczere łzy nad nieszczęściami tego świata. Jest inteligentna i atrakcyjna. Nie pali, pije mało i nie ma żadnych nonsensownych poglądów na żaden temat. Jest wierną żoną i kochającą matką.

Nie miał ochoty zobaczyć się z nią tego ranka i tyle. Ich małżeństwo nie należało do udanych, i to

z jego winy. Nie chciał, żeby jej obecność mu o tym przypomniała.

Zastanawiał się bez końca nad ich małżeństwem. Obsesyjnie i niestrudzenie starał się zgłębić tajniki swej duszy i istotę ich małżeństwa, podobnie jak niektórzy pisarze żydowscy analizowali swoją żydowskość. Doszukiwał się motywów, przekopywał się przez słabości i niedociągnięcia. Rozgrzebał wszystkie pokłady i nie dotarł do żadnych kruszców na dnie - tak samo jak żydowscy pisarze nie potrafili odkryć, na czym polega to, że się jest Żydem. To co usiłował znaleźć, jakieś swoje szczególne cechy, okazało się tylko zwykłym brudem, jaki kryje się u każdego na samym dnie.

Problemem był seks. Nic wzniosłego. Nic wyjątkowego. Niepowodzenie było zwyczajne i banalne i aż lepkie od brudu. Za mało seksu - oto i cały kłopot. Kiedy pobrali się, mając po dwadzieścia dwa lata, on najchętniej cały dzień spędzałby w łóżku. Uwielbiał seks. Seks go pochłaniał. Teraz jest tak samo.

Był człowiekiem wykształconym i delikatnym, dowcipnym i pełnym ogłady, ale miał członek jaskiniowca. Człowiek renesansu z kutasem Huna! Nie potrafił go po prostu opanować. On reagował na wszystko.

Catherine była ciepłą, zmysłową kobietą, lubiła seks i reagowała na niego. Była bardzo kobieca i na ogół bez zahamowań, ale nie miała obsesji seksu i nie chciała spędzać całego dnia w łóżku.

Problemem nie była ani technika, ani jakość, tylko ilość.

On chciał się tarzać w seksie.

- W zasadzie jesteś osobą z rynsztoka - powiedziała mu kiedyś, ale nie było w tym chęci obrażenia go.

To była prawda. Wiedział o tym. Kiedy w młodości służył w piechocie morskiej, uwielbiał burdele, kochał zwykły, wesoły seks i nie chciał z tego zrezygnować. Będąc niewolnikiem swojego kutasa o apetytach Huna, szukał seksu poza małżeństwem. Miał wiele kobiet i poczucie winy. Nie lubił niewierności. Zdrada wywoływała u niego wyrzuty sumienia, a poczucie winy wciąż go prześladowało.

- Jesteś człowiekiem z wyższej klasy społecznej, masz pragnienia kogoś z klasy niższej, a moralność klasy średniej - powiedziała mu.

To było również prawdą. Najpierw poszukiwał możliwości zdrady, a potem żałował, że się jej dopuścił.

- Nie będę przejmować się innymi kobietami, jeżeli będziesz dla mnie dobry - powiedziała mu kiedyś.

To jednak nie było już prawdą. Nie mogła pogodzić się z istnieniem innych kobiet i nie potrafiła mu wybaczyć. Ona go nie zawiodła. To on ją zawiódł. Zdradzał ją. Wyrządzał jej krzywdę. Ludzie nie powinni spędzać całego dnia w łóżku.

To wszystko kryło się za fasadą uprzejmości.

Za tą fasadą była Deborah. Zakładał, że to kryzys wieku średniego. Wygodne wytłumaczenie i alibi do przyjęcia wyjaśniające ich różnicę wieku. Miała dwadzieścia dwa lata. Niedawno ukończyła studia i pracowała w Smithonian Institution, gdzie on zasiadał w zarządzie.

Może to jednak nie był kryzys wieku średniego, zastanawiał się. Nie był oszołomiony, nie był zakochany. Catherine była znacznie inteligentniejsza i bardziej interesująca. Chodziło tylko o seks. On nie wydorósł. Stał się tylko starszy i chciał sypiać z jakąś dziewczyną.

Deborah byta pod wrażeniem jego bogactwa. Imponowało jej, że zwracano się do niego „panie ambasadorze”, i że spotyka się z prezydentem. Wiedział, że jest zbyt młoda i zbyt dobra dla niego. Wyjazd do Wietnamu był więc wygodnym pretekstem, żeby się z tego wyplątać. Nie będzie bardzo cierpieć - przekonywał sam siebie. Nie wierzył, żeby kobieta w jej wieku mogła zakochać się w mężczyźnie w jego wieku. To nie było właściwe z psychologicznego punktu widzenia, a z pewnością on nie był jedynym bogatym i ustosunkowanym mężczyzną w Waszyngtonie.

Catherine tworzyła swoją fasadę z rozlicznych interesów - dzieci, różne akcje, sprawy i zobowiązania, posiedzenia zarządów, fundacje i akcje dobroczynne. Teraz poświęcała się sprawie zakończenia wojny.

Pracuje zbyt ciężko, pomyślał. Jest ogarnięta taką obsesją i przymusem, jakie on odczuwa w sprawach seksu. Jest perfekcjonistką w świecie pozbawionym perfekcji. Działa z fanatyzmem godnym Araba. Chce zaprowadzić porządek we wszystkim i naraża się na rozczarowania. Zawadzili ją wszyscy i wszystko. Wszystko sobie utrudniała. Byłoby znacznie lepiej dla niej i dla wszystkich, gdyby spędzała więcej czasu w łóżku, pomyślał.

- Byłabym wspaniałą królową świata - powiedziała kiedyś. - Nie byłoby ubóstwa, niesprawiedliwości ani wojen.

Wiedział, że to jest prawda, ale byłyby to również świat ludzi z odciętymi głowami, a on poszedłby na ścięcie jako pierwszy. Powiedział jej o tym. Śmiała się.

- Nie. Tobie odciąłabym kutasa, I na to samo by wyszło - dodała po chwili zastanowienia.

Tak sobie właśnie ułożyli stosunki - uprzejmość, skoro nie można się pogodzić. Kiedyś przecież dzieci dorosną i ruszą w świat.

Ryan w wieku osiemnastu lat studiował i nie groził mu pobór do wojska. Dobrze sobie radził. Szesnastoletnia Sarah i piętnastoletni Chris radzili sobie gorzej.

- Seks, narkotyki i hipisi - to wszystko przez tę twoją, cholerną wojnę, Brad - powiedziała Catherine. W rzeczywistości jego żona pod wieloma względami podobna jest do Lyndona Johnsona, pomyślał Marshall. Nie byłoby sensu przekonywać jej, że ta wojna wcale nie jest jego wojną.

- Dzień dobry, Brad - powiedziała Catherine, wchodząc do pokoju swoim zdecydowanym, energicznym krokiem i poruszając się, jakby chciała od razu stawić czoło czekającemu ją wyzwaniu. Była wysoka, miała prawie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, i nieco cięższa niż w młodości, ale stwarzało to wrażenie pewnej gładkości i miękkości.

Podchodząc do stołu, dotknęła jego ramienia.

- Wcześniej wstałaś - powiedział.

- Tak. Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia, zanim przykuję się do bramy Białego Domu po południu.

Marshall spojrział na nią znad gazety. Uśmiechnął się.

- To niepotrzebne. On wie, co myślisz. Przeczytał wszystkie twoje petycje. Powiedział, że częściej dochodzą go sygnały od ciebie, niż od tej serowej damy.

Catherine przyniosła kawę i talerz jajek na bekonie do stołu. Nie zrozumiała, o kim mówi.

- Jane Fonda - powiedział.

W dalszym ciągu nie rozumiała.

- Fonda - *fondue*. Usiadła.

- A ty w jakim bagnie będziesz dzisiaj tkwił?

- CIA. Podniosła rękę.

- Mam nadzieję, że dostaniesz za to Medal Wolności. W zeszłym tygodniu Kolegium Szefów Sztabu i Departament Stanu. W tym tygodniu CIA. - Pokręciła głową. - Nie. Zapomnij o medalu. Poproś go o stanowisko ambasadora. Pojedźmy do Francji.

- Myślałem, że przykujesz się do bramy. On może cię tam zostawić.

- Lady Bird wypuściłaby mnie. Popsuła jej program upiększania. Poza tym teraz, kiedy już uzyskałaś wszystkie informacje z Pentagonu i z Departamentu Stanu, i po dzisiejszym przeszkoleniu przez CIA, powinieneś skończyć z tą wojną do piątku.

Uśmiechnął się.

- To nie takie skomplikowane, Brad. To nie żadna tajemnica, na litość boską. Wystarczy tylko przyznać się do błędu.

- Dziwne, że to mówisz, Catherine. Czy Królowa Kier tak łatwo przyznaje się do błędu?

Zacisnęła usta z irytacją.

- Zaczniemy od tego, że ja takiego błędu nie popełniłabym.

- Oczywiście, że nie. To był głupi pomysł.

Tak. Musiał przyznać, że ona takiego błędu by nie popełniła. Nawet gdyby jednak, na pewno szybko wycofałaby się - nie tyle przyznając się do błędu - bo tak samo tego nie potrafiła jak Lyndon Johnson - ale po prostu zmieniając zdanie. Nie byłoby to stwierdzenie w stylu: „Ta wojna nie pasuje do mojej sukienki” - no, ale decyzje kobiety nie są tak powiązane z jej ego, jak decyzje mężczyzny. Prawo do zmiany zdania nie jest słabością kobiety, tylko jej siłą. Natomiast mężczyzna nie potrafi zmienić zdania czy sposobu postępowania nie tracąc przy tym twarzy

1 godności - i nie wchodzi tu w grę członek, jak by powiedziała zaraz Catherine

1 właśnie wyglądało na to, że o to chodzi w Wietnamie. Gdyby pominąć wszystko to, co

usłyszał w Departamencie Stanu i w Pentagonie, te wszystkie dane i wykresy, wszystkie żelazne kurtyny i zasady domina, nie pozostawał nawet dumny wzwód, tylko zwykły, odsłonięty i bezbronny członek.

Na odprawie w Pentagonie pokazano mu wszystko od A do Z, chociaż był to rodzaj wspaniałego pokazu, oszałamiającej imprezy w rodzaju światła i dźwięk, której brakowało tylko wymiany ognia w korytarzu E i szefów sztabu wciągających flagę na maszt w gabinecie.

Marshall jednak wiedział, że nie wszystko da się ująć w zestawienia i wykresy. Nie można było ująć w liczby tego, co czuł w łodzi desantowej na plaży Guadalcanal, a na wykresach i wśród danych, które mu przedstawiono, nie zobaczył żołnierzy nieprzyjacielskich w Wietnamie.

Marshall uważał, że prawdziwą próbą siły jest nie ilość i skuteczność tych, którzy są gotowi zabijać, ale tych, którzy są gotowi umrzeć. Tego czynnika jednak nie brano pod uwagę w analizach Pentagonu.

W Departamencie Stanu pokazano mu podobne widowisko. Inne kostiumy, inna sceneria i dekoracje, bardziej ponure oświetlenie i przytłumione dźwięki, ale treść była ta sama. Przedstawiono Marshallowi obraz ogólny świata zagrożonego upadkiem, ułożony jak kostki domina, i z drobiazgową dokładnością pokazano mu demokratyczne państwo powstające w Południowym Wietnamie.

Ale ani słowa na temat perspektywy historycznej. Zastanawiał się, czy w wydziale Azji Południowo-Wschodniej Departamentu Stanu jest choćby jedna książka na temat historii Wietnamu, a jeśli tak, to czy ktokolwiek ją przeczytał?

- Wciąż masz zamiar wyjechać we środę? - zapytała.
- Tak. W CIA nie powiedzą mi nic nowego.
- Wątpię, żeby wiedzieli coś więcej niż ty. Mogliby ci co prawda powiedzieć co robią, ale na to nie masz co liczyć.

- Catherine, stałaś się strasznie cyniczna. Pochyliła się i poklepała go po policzku.
- Kochany Brad. Ja się tylko postarzałam. Ty nie byłeś całkiem szczery w tym, co robiłeś przez ostatnie dwadzieścia lat, nie myślę więc, żeby CIA była gotowa na szczerą odnośnię różnych swoich małych grzeszków.

- Dlaczego wszystkie nasze rozmowy muszą się zawsze tak kończyć, Catherine?
- Chodzi ci o grzeszki? - zapytała niewinnie. - Może właśnie dlatego, że wszystko się od tego zaczyna.

- Jezu, przecież nie ma jeszcze ósmej - powiedział z rozdrażnieniem. Uśmiechnęła się i poklepała go po ręce.

- Wiem, że to nie było miłe. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, zanim wyjedziesz?
- Dziękuję, ale wydaje mi się, że wszystko już załatwione. A czy ja mogę coś zrobić dla ciebie?

Pokręciła głową.

- Dobrze, że zostałeś przynajmniej, dopóki dzieci nie wróciły do szkół. To mi wszystko bardzo ułatwiło. Kłopoty ze szkołą są niczym po tym całym lecie...

- Kiedy martwiliśmy się tym, gdzie one, u diabła, się podziewają.

- To było ciężkie lato - przyznała.

Przestali mówić o dzieciach. Poruszali już ten temat wiele razy i nie doszli do niczego. Czy zawiedli jako rodzice, czy też czasy są takie? A może nie ma o co się martwić, może niepokoją się na wyrost?

- No, cóż - powiedział z rezygnacją. - Co się stało, to się nie odstanie.

- Mój Boże, Brad, mówisz, jakbyśmy wychowali jakichś psychopatów. Ryan radzi sobie świetnie. Sarah... jest...

- Na pewno nie jest słodką szesnastką i to nie jest szczenięca miłość do tego... jak mu tam... Bosco. Bosco - na litość Boską!

- Brad...

- Wiem, że czasy się zmieniły. Wiem, że wszyscy mają teraz długie włosy i się nie myją, a małe dziewczynki stosują prezerwatywy i środki antykoncepcyjne dla swoich laleczek Barbie, a Ken ma...

- Twoje oburzenie pachnie mi trochę hipokryzją - zauważyła spokojnie. - Pokaż kogoś - nie

wyłaczając nawet twojego kochanego Jacka Kennedy'ego - kto nie byłby rozpustny. Jakie dzieci mogą mieć tacy rodzice? Jeżeli ty dasz lepszy przykład, twoje dzieci może bardziej się do tego wzoru zbliżą. Spójrz na nasze społeczeństwo. Niewolnictwo, segregacja rasowa, przesady od stuleci. Nasze dzieci się buntują przeciw temu. Urządzają demonstracje i protesty. No i słusznie. Rząd wciska nam kłamstwo za kłamstwem na temat Wietnamu i wysyła młodych ludzi na śmierć. Nasze dzieci protestują, I Bogu dzięki.

Pochyliła się ku niemu. W jej głosie brzmiało napięcie.

- Cieszę się, że nasze dzieci nie akceptują tego, co się dzieje. Wcale nie jestem zachwycona, że Sarah sypia z tym chłopakiem, ale ona jest dobrą i otwartą dziewczyną. Ty robisz różne rzeczy, których nie lubię i których nie pochwalam, ale jesteś dobrym i uczciwym człowiekiem. Cieszę się, że jedziesz do Wietnamu. Mam wielką nadzieję, że ci się uda. Gdyby Ryan albo Chris musieli też tam jechać, chyba bym tego nie zniosła.

- Ryan jest studentem. Ma odroczenie, a Chris... Jest mało prawdopodobne, żeby został powołany.

Catherine opadła na krzesło i stłumiła westchnienie. Obydwoje nie wiedzieli, co robić - i czuli się niezręcznie z powodu tego, co z podejrzeń przemieniło się w fakt - ich syn miał skłonności homoseksualne. Chris nigdy nie lubił gier, w które grywali chłopcy. Gdy zaczął się okres dojrzewania, jego skłonności homoseksualne objawiały się coraz wyraźniej. Tego lata wszystko stało się jasne.

Nie było płaczu ani potępienia, jedynie smutek i rezygnacja. Zostało to przyjęte do wiadomości, ale w rozmowach nie poruszano nigdy tego tematu. Catherine zrozumiała ból, jaki odczuwa jej mąż, i podziwiała spokój, z jakim go przyjmuje. Nawet takie lekkie napomknienie było rzadkością.

Marshall wstał od stołu.

- Chyba już pójde. Samochód czeka.

Siedziba CIA w Langley w Wirginii przypominała klasztor. Była oazą spokoju, doskonałości, pewności siebie i skuteczności. Stanowiło to wyraźny kontrast z Pentagonem, gdzie panowało wieczne napięcie, i z rozlazłą uprzejmością Departamentu Stanu.

Rozległe trawniki, ciche korytarze i prawie senna atmosfera działały uspokajająco. W takim otoczeniu żadna decyzja nie mogła być nieprzemyślana lub podjęta pochopnie. Rozważne, zimne, trzeźwe oceny rodziły się właśnie z tego wszechobecnego spokoju.

Nie odczuwało się atmosfery kryzysu. Nic ukradkowego. Najkrótszy pobyt tutaj wystarczał, by rozwiązać wszelkie podejrzania o skrytość działań, o knowania, zamachy i zabójstwa.

Marshall wiedział jednak, że mistrzowie udawania będą potrafili przybrać właściwą pozę. Dlatego właśnie lubił Langley. Ich dzieła zawsze były perfekcyjne. Wystąpienia FBI były zbyt techniczne i przekombinowane - jak gdyby każdy odczytywał przygotowany tekst, wchodził i wychodził na sygnał. Widać w nich było wyraźnie twardą rękę reżysera. W Langley tak się nie zdarzało. W Langley wszystko było bezbłędne, prawdziwy teatr w odróżnieniu od teatralności, występy królewskiej trupy w wyrafinowanym przedstawieniu w przeciwieństwie do popo-ludniówki wystawianej przez komików z objazdowego teatryku. Oczywiście, bzdura wystawiana przez Królewski Teatr Szekspirowski nadal pozostawała bzdurą, ale przynajmniej można było podziwiać wykonawców.

Marshall nie miał złudzeń, że będzie to pokaz. Znał wiele niepowodzeń CIA, ale spodziewał się, że przedstawi mu dokładniejszy i bardziej wyważony obraz niż Pentagon czy Departament Stanu.

Nie zawiódł się.

Dyrektor i wyżsi urzędnicy siedzieli wokół stołu konferencyjnego i dyskutowali z nim na temat wojny. Zamiast prezentacji materiałów, Firma przygotowała naradę. Wygłaszano różne teorie i snuto rozważania. Przedstawiano wątpliwości i stawiano pytania bez odpowiedzi. Zastanawiano się raczej, niż prezentowano wnioski.

Marshall wiedział, że jest to oczywiście dobrze przygotowana, zamaskowana prezentacja, z której wynikało jasno, że sytuacja militarna nie jest wcale taka optymistyczna, jak przedstawia ją Pentagon, a sytuacja polityczna jest gorsza, niż Departament Stanu gotów jest to przyznać.

Przedstawiony obraz był w sposób oczywisty negatywny. Marshall wiedział, że jest to tradycyjnie odgrywana przez CIA rola Poncjusza Piłata. Umywali ręce od klęski, przed którą właściwie nie ostrzegali. Chronili stołki, ale w dalszym ciągu mieszały w kotle.

Byli zgodni, że zwycięstwa nie osiągnie się zwiększając liczebność wojsk. Więcej ludzi i broni nie zmieni ostatecznego wyniku. Jedynie bezpośrednia, militarna polityczna i gospodarcza

konfrontacja z Północą na jej terytorium mogłaby coś zmienić.

Na zakończenie programu pozostawiono Marshalla samego z Andrew Maynardem, jego przyjacielem z czasów, kiedy służyli obaj w stopniu poruczników piechoty morskiej w Korei. Maynard był obecnie jednym z wyższych urzędników CIA.

- Czy oni spodziewają się, że ci uwierzę? - zażartował Marshall. - Jesteś największym kłamcą, jakiego kiedykolwiek znałem.

- Nie wiedzą, czego się po tobie spodziewać, Brad - powiedział Maynard poważnie. - Nie wiedzą, w co grasz. Nie wiedzą, jakie masz wpływy u prezydenta. Nie wiedzą, jakie są twoje słabostki.

- Boże, przecież to proste. W nic nie gram, nie mam wpływów i nie mam słabych punktów.

- Właśnie to im powiedziałem. Bradley Lawrence Marshall jest najbardziej oddanym i bezinteresownym urzędnikiem państwowym w Ameryce, Nie jest zainteresowany władzą ani powiększeniem wpływów. Powiedziałem również o twoich słabostkach.

- Tak? - powiedział Marshall z zaciekawieniem w głosie.

- Powiedziałem im, że masz świra na punkcie dupczenia. Marshall roześmiał się.

- Opowiedziałem im o tym burdelu w Seulu, kiedy ty...

- Rany boskie, czy tu jest podsłuch?

- Możliwe. Przecież to nasz zawód. W tej chwili jednak moim zadaniem jest odpowiedzieć na wszystkie pytania, które niewygodnie ci było zadawać innym.

- I oczywiście odpowiesz zgodnie z prawdą. Maynard zastanowił się.

- Chyba wiesz, że nie będę cię okłamywać. Jeżeli nie będę mógł udzielić ci odpowiedzi, to jej nie udzielę, więc formułuj swoje pytania starannie... Jak tam Catherine i dzieciaki?

- Catherine czuje się świetnie, a dzieciaki, cóż... jak to nastolatki. Maynard podniósł rękę.

- Ani słowa więcej. Nie wiem, co ja takiego zrobiłem, że Bóg pokarał mnie dziećmi.

- Może to, że chodziłeś ze mną do tego burdelu w Seulu.

- Ciii... W tym pokoju jest podsłuch - powiedział ze śmiechem Maynard. - Dobrze wyglądasz, Brad. - Poklepał się po wystającym brzuchu. - Poświęciłem się prawdzie, sprawiedliwości i amerykańskiej drodze, i wszystko, co z tego mam, to tłuszcz.

- To są skutki jedzenia za państwowe pieniądze. Za dużo służbowych obiadków.

- Nie. To ta siedząca praca. Za dużo narad. Za dużo gadania. Muszę znowu wyruszyć w teren.

- Jesteś już za stary na szpiega, Andy. Poza tym, każdy cię rozpozna. Musisz się z tym pogodzić. Jesteśmy urzędnikami w średnim wieku.

Maynard westchnął. Był wzrostu Marshalla, ale potężniejszy. Podstarzały sportowiec, wciąż jeszcze silny i szybki. Byli bliskimi przyjaciółmi od czasów, kiedy służyli razem jako młodszy oficerowie. Ich zajęcia zawodowe pozwalały im czasami spotykać się i chociaż widywali się rzadko, wciąż istniały między nimi więzy zadzierzgnięte podczas wspólnej walki i wspólnie spędzonej młodości.

- Przeszliśmy już długą drogę - powiedział Maynard. - Ale wróciłbym do tego w każdej chwili. A ty?

Marshall pokręcił głową.

- Nie, Andy. Ja nie.

Maynard skinął głową i wyciągnął rękę, ujmując Marshalla za łokieć. Maynard był jedyną osobą, która wiedziała, co się stało w Korei i jaki to wywarło wpływ na Marshalla.

- Powiedz mi o Diemie - powiedział Marshall, uśmiechając się prowokatorsko.

- To nie my pociągnęliśmy za spust, kiedy zginął Diem i jego brat - powiedział spokojnie Maynard, nie spuszczać oczu z Marshalla.

- Kambodża?

- Laos. Działamy w obu krajach, ale to tylko drobne akcje. Jakies dostawy broni, zrzuty, wypadki, loty Air America*. Tajlandia stanowi główną bazę.

* Finta lotnicza CIA, działająca na Półwyspie Indochińskim w latach 60. i wczesnych 70. [przyp. redj.]

- Thieu i Ky?

- George Washington i Ben Franklin wietnamu.
- Co tam robicie, gwałcąc zasady przyzwoitości i demokracji? Maynard wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu jakieś morderstwo. Czasami tortury albo działalność terrorystyczna. Staramy się nie zardzewieć.

- A co naprawdę sądzi CIA o sytuacji?

- No, tak. Mamy już pierwsze pytanie.

- Na które nie możesz odpowiedzieć?

- To jest pytanie, na które nie ma odpowiedzi, a może jest kilka. Niektórzy uważają, że Wietnam to trzęsawisko i powinniśmy go natychmiast opuścić. Inni są zdania, że mamy tam istotne interesy, i myślą, że powinniśmy wytrwać. Widzisz, to nie jest nasza wojna. W odróżnieniu więc od wojska i Departamentu Stanu nie mamy własnej polityki, tylko udzielamy wsparcia.

- A ty osobiście?

- To jest trzęsawisko. Wydostań nas stamtąd. Marshall uśmiechnął się.

- A teraz jedna rada, Brad... Potraktuj ją raczej jako ostrzeżenie. Tam musisz być ostrożny. Mówię zupełnie poważnie. Powiedziałem ci, że w Firmie opinie na temat Wietnamu są podzielone. Są tacy, którzy wierzą, i jeżeli dojdą do wniosku, że chcesz osłabić nasz wysiłek wojenny, będą próbowali cię załatwić. Mówię poważnie, Brad. Oni wierzą w wojnę i nie zapominaj, że są zawodowymi mordercami. Zapamiętaj to nazwisko. Wilson Abbot Lord. Uważaj na niego, Brad. On wierzy.

Kiedy limuzyna zostawiła go późnym popołudniem pod domem w McLean, zaskoczony Marshall stwierdził, że na podjeździe stoi samochód syna. Zaniedbany, bezpretensjonalny, dziesięcioletni, mały i praktyczny, w epoce przesadnie zdobionych samochodów z chromami i pletwami wydawał się nie na miejscu w tej willowej dzielnicy, i to jeszcze z nastolatkiem za kierownicą.

Ryan kupił go za pieniądze zarobione poprzedniego lata, nie chcąc przyjąć grosza od rodziców. Nie robił z tego żadnej sprawy. Zresztą w ogóle nie robił wokół siebie szumu. Wszystko chciał robić po swojemu. Prawdziwy syn swojej matki. Uparty i niezależny, jak ona.

Przypomniał sobie kalendarz. Wrzesień. Święto Pracy zaznaczone na czerwono. Nie było innych świąt, a na egzaminy jeszcze za wcześnie. Semestr zaczął się dopiero trzy tygodnie temu. Ryan był na drugim roku w Brown. Nie widział żadnego powodu, dla którego miałby wrócić do domu.

Pełen niepokoju, skinął tylko głową pokojówce, która otworzyła mu drzwi, i już stał u podnóża schodów.

- Ryan? - zawołał z niepokojem.

Syn schodził po schodach. Był w dzinsach i w koszuli w kratę, którą nosił chyba od 1964 roku.

- Czy wszystko w porządku? Boże, co się stało z twoją głową?

Ryan zatrzymał się, podniósł rękę do głowy, a potem uśmiechnął się i zbiegł ku ojcu.

Marshall przytulił syna dotykając jego karku.

- Jak nosiłeś te swoje długie włosy, zapomniałem, że masz szyję i uszy. Jezu, Ryan, ty masz uszy!

Ryan roześmiał się i odsunął.

- Przestań, tato. Nie było aż tak źle. Wszyscy mają długie włosy. Sarah ma jeszcze dłuższe - dodał z udanym oburzeniem - ale o jej włosach nigdy nic nie mówisz. Dlaczego czepiasz się tylko mnie? To niesprawiedliwe. Już dłużej tego nie zniosę. Zawsze bardziej kochałeś Sarah.

- Czy to ty nauczyłeś tego Chrisa? Mógłbym przysiąc, że wczoraj użył tych samych słów. A może cytat pochodzi z podręcznika nastolatka pod tytułem: Jak doprowadzić rodziców do szału?" Co właściwie robisz w domu? Przecież nie mogłeś jeszcze wszystkiego oblać. - Nie potrafił ukryć zaniepokojenia. - Masz jakieś kłopoty?

- Nie.

- Możesz mi wszystko powiedzieć, Ryan. Wiesz o tym. Zawsze będę po twojej stronie, w każdej

sytuacji. Nawet się nie wścieknę. Co się dzieje?

Ryan spuścił głowę. Bezwiednie udeptywał dywan.

- Chodzi o tę dziewczynę i 7-Eleven. - Wzruszył ramionami ze spuszczoną głową. - Była w ciąży, no i... nie mieliśmy forsy i nic do jedzenia... i... Boże, cóż mogliśmy zrobić? Włamaliśmy się do tego sklepu 7-Eleven w Providence i wzięliśmy trochę żarcia...

- Co!?

- Powiedziałeś, że nie będziesz się wściekać, tato.

- Cholera, Ryan, jak mogłeś? A co ty tu właściwie robisz? Dlaczego się ostrzygłeś? Nie strzygłeś się od szkoły średniej. Teraz wyglądasz zupełnie normalnie. Co się z tobą dzieje?

Ryan cofnął się o krok. Chociaż byli prawie tego samego wzrostu i tej samej budowy, nie byli do siebie podobni. Ryan był znacznie jaśniejszy i miał rysy łagodniejsze, mniej kanciaste.

- Może usiądziemy i pogadamy - powiedział Ryan. - Może powinniśmy poczekać na mamę. Czy wraca niedługo? - dodał, usiłując zyskać na czasie.

- Pogadamy od razu - zdecydował Marshall kierując się w stronę gabinetu. - Nie wiem, kiedy matka wróci. Może dopiero za parę godzin. Miała się dzisiaj przykuć do bramy Białego Domu.

Usiadł na obitym skórą fotelu i wskazał Ryanowi fotel naprzeciwko.

- Czy będę potrzebować kielicha?

- Ty nigdy nie potrzebujesz kielicha, tato, ale ja bym się napił. Marshall podszedł do barku.

- Na co masz ochotę? Ryan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Co się pije z własnym starym?

Marshall czuł w sercu dziwne ściskanie. Wiedział, że musiało się stać coś strasznego. Cały świat uległ zmianie. Nie mógł zmusić się, żeby spojrzeć na syna. Dziwne, ale to, co zdarzyło się, wydało mu się nieważne. Ważne było to, że nadeszła ta chwila. Ta mistyczna granica pojawiła się bez jego wiedzy, bez ostrzeżenia, nie dając mu szansy, żeby Ryana przygotować lub ochronić, a ten bezbronny chłopak tę granicę przekroczył.

Boże, pomyślał, nie spodziewałem się, że to się stanie tak wcześnie. Jeszcze wczoraj był niemowlakiem. Potrzebuję więcej czasu.

Niezgrabnie podniósł karafkę, potrącając nią szklanki. Starał się uspokoić.

- Nie wiem - powiedział. - Mój stary był pijakiem, więc nigdy z nim nie piłem. Może być burbon?

- Może.

- Tak, jak jest?

Ryan uśmiechnął się niepewnie, r - Rzadko piję. Co to znaczy, „tak, jak jest”?

- To znaczy, że nie mam lodu.

: Przyniósł mu drinka, usiadł i podniósł swoją szklankę.

- Twoje.

Ryan wypił duży łyk i skrzywił się mimo woli. Ich oczy spotkały się. Wreszcie Ryan odezwał się.

- Rzuciłem studia, tato.

Marshall nic nie powiedział. Czekał.

- Zaciągnąłem się do wojska.

Marshall wciągnął głęboko powietrze. To był prawdziwy cios.

- Już wszystko podpisałem. W poniedziałek muszę zameldować się w Fort Bragg.

Wyciągnął z kieszeni kopię rozkazu i pokazał.

Marshall rzucił na nią okiem, wypił łyk burbona i odetchnął.

- Woląłem tę historię z dziewczyną i żarciem - powiedział usiłując się uśmiechnąć.

- Nie jesteś na mnie wkurzony? - zapytał Ryan z niepokojem.

- Wkurzony? - Zły.

- Wiem, co znaczy „wkurzony”, idioto. - Marshall zerwał się z furią. - Oczywiście, że jestem wkurzony. Co się, u diabła, z tobą dzieje?

Ryan roześmiał się.

- Teraz już lepiej. Teraz możemy rozegrać to zgodnie z założeniami. Marshall poczuł się głupio, stojąc tak nad swoim synem z rozlanym burbonem

ściekającym po palcach.

- Wiesz, że cieszę się w międzynarodowych kołach opinią tego, który potrafi zachować spokój. Słynę z mojej pewności siebie i z tego, że nigdy się nie denerwuję. Bez mrugnienia wysłuchiwałem, co

mają do powiedzenia notoryczne dupki tego świata. Tylko ty i twoja matka potraficie w ciągu kilku sekund zrobić ze mnie trzęsącą się galarete.

Strącił krople burbona z palców na dywan.

Teraz dotarło do niego całe przerażające znaczenie tego, co usłyszał.

- Nie rób tego - zaczął prosić.

- Muszę, tato.

- Dlaczego, Ryan? Na litość boską, dlaczego?

. - Bo jeśli nie pójdę, ktoś inny będzie musiał pójść zamiast mnie. Nie potrafiłbym się z tym pogodzić.

- Nie rozumiem - powiedział Marshall. Ryan skończył burbona i odstawił szklanę.

- Kiedy wróciłem na uczelnię, wszyscy opowiadali sobie dowcipy na temat Wietnamu, poboru i jak można się z tego wykręcić ze względu na odroczenie dla studentów. Tylko ciemniaki muszą iść. Ciemniaki i czarnuchy. Tak oni mówią. Niech się przemienia w mięso armatnie. Nikt nie będzie za nimi tęsknić. Nikt na uczelni nie musi się zgłaszać i wszyscy sobie z tego żartują. Podejmują studia magisterskie, potem doktoranckie. Robią wszystko, żeby pozostać w szkole i nie iść na wojnę.

Patrzył na ojca.

- Tak nie można. Sam wiesz, tato, że tak nie można. Nie muszę iść. Nikt, kogo znam, nie musi iść. Wszyscy możemy się z tego wykręcić. Każdy, kto ma pieniądze i stosunki, może się z tego wykręcić. Ktoś jednak iść musi. Za każdego z nas, który się wykręci, musi pójść ktoś inny. Ktoś też musiałby pójść zamiast mnie. Może zginąłby. Nie mogę do tego dopuścić.

Uśmiechnął się.

- Lubię ten mój gówniany mały samochodzik. Jest mój. To jest najniebezpieczniejszy wóz w Brown, a może nawet w całej Nowej Anglii, ale jest mój. Mnóstwo chłopaków spośród tych, których znam, ma Porsche. Wiem, że i ty kupiłbyś mi taki.

- Jeszcze czego... Ryan roześmiał się.

- No, dobrze. To może Oldsmobila. Potrafiłbyś wykręcić mnie z poboru albo "przenieść mnie do jakiejś jednostki rezerwowej, ale... Czy nie rozumiesz? Nie mógłbym się na to zgodzić.

- Ryan...

- Tato, myślę, że wiem, jak się czujesz. Wiem, jak się o nas troszczysz. Wiem może nawet, co myślisz o wojnie, chociaż nigdy o tym nie mówiłeś. Ojcowie innych chłopaków trzymają swoje medale pod szkłem w gabinetach, mają zdjęcia w mundurach, w pełnym oporządzeniu i w gotowości do szturmowania plaży. Opowiadają w kółko te same wojenne historyjki.

Marshall pochylił głowę, zamknął oczy i pocierał skronie.

- Rozumiem, tato.

- Nie - szepnął Marshall. - Nie rozumiesz. - Podniósł wzrok i przez łzy zobaczył tylko krwawą mgłę. Ogłuszyły go wybuchy pocisków i krzyki. Szklanka wypadła mu z ręki.

- Boże, Ryan, nie rób tego. Proszę.

- Ojcie, muszę.

To słowo było jak cios. Ojcie. Tak. Był przede wszystkim ojcem. Najsilniejsza więź między mężczyznami, najbardziej złożony gen - opiekuńczy i niszczący zarazem, hojny i zazdrosny, kochający i nienawidzący, ofiarny i morderczy. Mężczyzna mógł walczyć ze swoimi dziećmi przez cały czas ich dorastania, a równocześnie gotów był oddać za nie życie, poświęcić nazwisko i majątek, znieść ból, kłamać, kraść, zdradzać i zabijać.

- Nie - powiedział gniewnie wstając. - Nie możesz iść. Nie pozwolę ci.

- Tato...

- Nie! Ryan wstał.

- Jest już za późno, tato. To ja podjąłem decyzję i to jest moje życie. Marshall chwycił go gwałtownie za ramiona.

- Nic nie rozumiesz. Ty nie wiesz, jak to jest - potrząsał nim. - Zginiesz. Mój Boże, Ryan, zabijają cię. Wiem, że tak będzie.

- Potrafię się zatroszczyć o siebie.

- Wojna nie jest taka, jak myślisz. Zginiesz. Należysz do tego typu ludzi. Ludzie tacy jak ty nie wychodzą z tego cało. Ryan!

Ryan cofnął się.

- Myślisz, że nie jestem dość silny? Myślisz, że ty możesz, a ja nie? Myślisz, że inni mogą iść? Synowie innych ojców mogą iść i zginąć? Czy wojna jest zła tylko wtedy, kiedy dotyka nas osobiście?

- Jeżeli uważasz, że wojna jest złem, protestuj, demonstruj, spal kartę powołania, zrób cokolwiek!

- Tylko nie idź!

- Właśnie!

Ryan pokręcił głową.

- Wojna skończy się dopiero wtedy, kiedy dotknie ludzi takich jak my. Muszę iść. Wiesz, że muszę. - Podeszedł do ojca i objął go. - A co ty byś zrobił?

Ryan puścił go, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Marshall patrzył za odchodzącym synem, chciał podnieść rękę, ale nie mógł się ruszyć. Chciał pobiec za nim, chwycić go, zatrzymać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Podejmował wysiłek, ale nie mógł się ruszyć, jakby biegł w wodzie.

Tak, znowu był w wodzie, wybuchały pociski, słyszał krzyki, wszędzie była krew, przed nim pływało jakieś ciało twarzą do dołu, a on biegł i biegł, i wreszcie dobiegł, odwrócił ciało i trzymał je w ramionach. To był Ryan, jego syn. Uniósł jego twarz ku niebu i krzyknął: - Nie! - i powtarzał w kółko... - Nie! Nie! Nie!

VI

Wilson Abbot Lord skończył lekturę depeš na temat misji ambasadora Marshalla. Przeczytał je po raz drugi i odłożył teczkę na biurko w swoim gabinecie na trzecim piętrze ambasady w Sajgonie.

Poza tym na jego biurku leżała tylkoteczka zawierająca dane personalne Marshalla i jego życiorys. Te też przeczytał dwukrotnie, odłożył starannie na teczkę z depešami z Langley i usiadł wygodniej w fotelu. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o szerokich ramionach.

Słyszał co nieco o wcześniejszych misjach Marshalla podejmowanych dla prezydenta, ale teraz, po zapoznaniu się ze wszystkimi faktami, był poważnie zaniepokojony.

Mimo obojętnego tonu depeš z Langley prawie miał pewność, że Marshall nie przyjeżdża tu po to, żeby dokonać obiektywnej analizy. Marshall przyjeżdża po to, aby znaleźć dla Johnsona sposób wyplątania się z wojny.

Inni też przyjeżdżali w tym celu, czym prawdopodobnie można było wytłumaczyć nonszalancję Langley, ale Lord czuł, że Marshall jest inny, bardziej niebezpieczny, a wszystko, co przeczytał w aktach, potwierdzało jego obawy.

Adnotacje „służba wojskowa 1942-1945” i „służba wojskowa 1951-1953” mówiły Lordowi bardzo wiele. Siedemnastolatek z jednej z najzamożniejszych i wybitnych rodzin Ameryki nie powinien był wstępować do piechoty morskiej i lądować na plażach Pacyfiku ani też ten sam mężczyzna w wieku dwudziestu sześciu lat nie powinien był trafić do Korei, jeżeli nie musiał.

Lord zrozumiał, że to jest prawdziwy mężczyzna, a nie jakiś zawodowy dyplomata czy też dyletant polityczny. Nikt go nie oszuka. W odróżnieniu od waszyngtońskich dyplomatów i kongresmanów nie uda się przeprowadzić mu prania mózgu na pokazie w MACY dla wizytujących dygnitarzy. Potrafi dostrzec fiasko polityczne i niepowodzenia militarne.

Lord był pewien, że Marshall dojdzie do wniosku, iż wojna jest nie do wygrania i że Johnson powinien się wycofać. Zawiezie to zalecenie prezydentowi i może przyczynić się do tego, że Ameryka sprzeda Wietnam.

Lord siedział nieruchomo z kamiennym wyrazem twarzy, nie zdradzającym w najmniejszym stopniu, że opanowała go furia.

Też był w Korei. Ta walka skończyła się remisem i to było największe osiągnięcie Ameryki w walce z komunistami. Na innych frontach poniosła klęski. Nawet na? Kubie.

Poprzysiągł sobie, że tutaj klęski nie będzie. Nie po to poświęcił cztery lata życia na walkę z komunizmem w Wietnamie, żeby Bradley Lawrance Marshall zniszczył jego wysiłki i nadzieję, że ten kraj pozostanie wolny.

Wietnam zniszczył jego małżeństwo. Po dziesięciu latach napięć i rozstań, jakich wymagała jego praca, Wietnam - to już było za wiele. Kiedy skierowano go tutaj, żona oświadczyła, że musi wybrać. Albo będzie mężem i ojcem, albo szpiegiem. Kochał żonę i dzieci, ale przyjechał tutaj. Żona uzyskała rozwód rok później. Poczul

się rozgoryczony, ale rozumiał ją i nie miał do niej żalu. Sąd orzekł podział majątku i nakazał wypłacanie jednej trzeciej pensji na utrzymanie dzieci. Oddał jej cały majątek i wysyłał połowę pensji.

Nie uważał, żeby przyczyną jego rozwodu stał się Wietnam czy też jego praca. Nie winił również żony. Lord był człowiekiem praktycznym i rzadko doszukiwał się przyczyn w jakichś drobnych błędach. Rzadko też stosował kryterium dobra i zła. Uważał, że istotne jest, by umieć się dopasować i ułożyć. Ani cele, ani środki nie stanowiły dla niego przeszkody w znajdowaniu

rozwiązań wszelkich problemów. Kiedyś podsumował swoją filozofię w rozmowie ze swoim protegowanym, Jeffreyem Gibbonem. Nigdy nie ma „albo - albo”. Zawsze jest „i” oraz „ale”.

Poświęcił życie rodzinne dla swoich przekonań. Wierzył, że komunizm to zło, które trzeba zniszczyć. To był jeden z jego nielicznych pewników. Teraz przyjeżdża Bradley Marshall po to, żeby jego poświęcenie poszło na marne, a praca straciła cel.

W dalszym ciągu nie poruszył się. Furia ustąpiła jednak miejsca twardemu postanowieniu. Nie dopuści do tego.

Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. Już po siódmej. Wiele później, niż zamierzał tu zostać. A przecież ani Gibbon, ani jego sekretarka nie wyjdą, póki on nie wyjdzie, chociaż powtarzał im niezliczoną ilość razy, że mają kończyć pracę o piątej, albo kiedy zrobią to, co mają do zrobienia. Często opuszczał biuro wcześniej, żeby wrócić zaraz po ich wyjściu do domu.

Wilson Abbot Lord potrafił zarazić swoim zapalem innych. Ci, którzy dla niego pracowali, robili to z wielkim oddaniem.

Podniósł akta i wstał. Skrzywił się, czując ból w nogach i w plecach. Nigdy by się tak nie skrzywił, gdyby ktoś był w pokoju. Nikt, nawet jego żona, nie miał pojęcia, jakie tortury czasami znosi. Ukrywanie bólu przed oprawcami w Korei było najtrudniejszym zadaniem, jakiemu stawiał czoło w życiu. Ukrywanie go przed innymi było już łatwe. Kiedy był sam, mógł poddać się bólowi, mógł się odprężyć. W Korei obserwowano go bez chwili przerwy i nie mógł sobie na to pozwolić. Nauczył się nawet spać, podczas gdy część jego mózgu nadal czuwała, żeby mógł zachować kamienny wyraz twarzy i milczenie.

Pokuśtykał przez pokój, ale tuż przy drzwiach, ruszył zdecydowanym, sprężystym krokiem.

Idąc korytarzem zauważył, że wszyscy poszli do domu. Światła pogaszono, a drzwi do pokoiów pozostawiono otwarte, zgodnie z zasadami obowiązującymi na placówce. Wszystko, co ważne, pozamykano w sejfach. Panował spokój, tylko jego sekretarka pisała coś na maszynie w swoim pokoju.

- Carol - powiedział wchodząc - jeżeli nie pójdziesz do domu, wyrzucę twoją maszynę przez okno.

- Oh, przestraszył mnie pan. Nie słyszałam, jak pan wchodził.

- Szpiedzy nie tupią po korytarzach.

- Słyszę wszystkich innych.

- Nawet Jeffreya?

- Tak. Zwłaszcza Jeffa.

- Czy on już wyszedł?

- Nie, sir. Wciąż jest w swoim pokoju.

- Chcę, żebyś poszła do domu. Pogadam z Jeffem przez kilka minut i też idę.

- Właśnie skończyłam - powiedziała.

- Świetnie. Idź do domu - powtórzył, wychodząc z pokoju. - Dobranoc, Carol. Lord zapukał lekko w jedyne zamknięte drzwi i wszedł.

Jeffrey Gibbon, bosy i w spodenkach gimnastycznych, podniósł się z podłogi, gdzie wykonywał ćwiczenia. Cały lśniący od potu, stał wyprostowany na baczność i uśmiechał się niepewnie.

- Dobry wieczór, panie Lord.

- Jeff, już po siódmej. Co ty tu robisz? Widzę, że ćwiczysz, ale dlaczego nie pójdziesz do klubu sportowego? Przecież załatwiłem ci członkostwo.

- Tak, sir. Doceniam to... Pomyślałem tylko, że ja... rozruszam się trochę przed wyjściem.

Przestąpił przez sztangę i sięgnął po ręcznik.

- Nie robi to na mnie wrażenia. No, może twoje ćwiczenia, to tak, ale siedzenie do późna w biurze - nie.

Gibbon wytarł pot z klatki piersiowej i uśmiechnął się. Miał dwadzieścia osiem lat. Był wysokim, dobrze zbudowanym blondynem. Służył kiedyś w Zielonych Beretach i był pilotem helikoptera, ale od trzech lat pracował w CIA. Była to jego pierwsza placówka zagraniczna.

Nie bał się Wilsona Abbota Lorda. Nie bał się nikogo. Nie siedział długo w biurze, żeby zrobić wrażenie na Lordzie. Siedział, bo sądził, że może się przydać, a także może nauczyć się czegoś od Lorda. Gibbon nie chciał, żeby Lord dowiedział się, iż uważa go za swojego idola, i nawet sam czuł się nieswojo, gdy myślał

O uczuciach, jakie żywi wobec Lorda. Były to podziw i szacunek, jakich nigdy nie odczuwał w stosunku do nikogo. Podejrzywał jednak, że Lord o tym wie. Wydawało się, że Lord w ogóle wie wszystko, nikt natomiast nie wiedział tak do końca, co Lord naprawdę robi.

Był starszym agentem w ambasadzie. Teoretycznie podlegał rezydentowi, ale był to tylko zapis w diagramie podziału kompetencji, Lord działał całkowicie autonomicznie. Otrzymywał rozkazy wprost z Langley i tylko tam wysyłał sprawozdania.

Miał sekretarkę i chociaż mógłby mieć licznych asystentów, w dodatku takich, których by sam sobie wybrał, jego jedynym asystentem był Gibbon. Kazał Gibbonowi zwracać się do siebie po imieniu, ale Gibbon nie umiał się na to zdobyć. Wszyscy mówili do niego „panie Lord”, z wyjątkiem rezydenta i kilku innych wyższych rangą i znacznie starszych agentów.

W ich tajemniczym świecie, jedynym agentem, którego otaczała aura oddzielająca go od innych, był Lord.

Lord ostrożnie ominął sztangę i usiadł na metalowym składanym krzeselku, jedynym meblu w pokoju, poza biurkiem i fotelem Gibbona. Lord wiedział, że jest to naśladownictwo jego własnego skromnego gabinetu, wyjątkowo spartańskiego

1 pozbawionego jakichkolwiek akcentów osobistych.

Prawie niezauważalnie skinął głową i Gibbon natychmiast usiadł, ale szybko odsunął krzesło od biurka, żeby nie wyglądało na to, że to Lord jest przepytany.

- Czy masz coś dla mnie dzisiaj? - zapytał Lord.

Lord bardzo rzadko przychodził do jego gabinetu, Gibbon był więc dowartościowany i zadowolony.

- Nie, sir. Tyle że pański asystent dostał dzisiaj w dupę.

- Jak to, Jeffrey?

- Ta glista Lacouture naprawdę dał mi dzisiaj w kość. Jezu, na jego widok dostaję gęziej skórki. To prawdziwa glista. Cały czas patrzył się na moje krocze. Jak tylko go zostawiłem, wróciłem do domu i musiałem dwukrotnie zerznąć Ca Li. Zupełnie nie wiedziała, co jest grane. Wpadam tak w środek dnia i od razu się do niej zabieram, ale musiałem po prostu pozbyć się wszelkich śladów Lacouture'a z mojego organizmu. Kiedy wróciłem tutaj, ciągle jeszcze mnie prześladował. Właśnie dlatego zabrałem się do ćwiczeń, żeby wypocić złość.

- Nie możemy więc mówić o całkowitej stracie czasu. Spotkanie Lacouture'a dobrze wpłynęło na twoje libido i muskulaturę. Powiedz mi, co ci wcisnął *Monsieur* Lacouture?

- Skontaktował się ze mną wcześniej i powiedział, że ma do sprzedania ważną informację. Dlatego się z nim spotkałem. Cały czas drapałem się w krocze, dopóki nie spuścił z ceny.

- I co kupiłeś za te swoje podrapane jaja?

- Okazuje się, że pieprzone nic. Ta tak ważna rzekomo wiadomość to to, że północnowietnamski generał Khanh jest poważnie chory na dyzenterię amebową.

Lord siedział z nieprzeniknioną miną. Skrzyżował długie nogi, założył ręce i oparł się wygodnie na krześle.

- Potem wróciłem tu i sprawdziłem, że Khanh nie żyje. Zmarł dwa dni temu na gangrenę. To było w raportach wywiadowczych MACY.

Lord drapał się w podbródek. Nie mówił nic przez chwilę, patrząc tylko na Gibbona, wzrokiem pozbawionym wyrazu.

- Powiedz mi, Jeffrey, skąd ta pewność, że generał Khanh zmarł na gangrenę, a nie jest chory na dyzenterię?

- No... sir, bo wywiad MACY ma kategorię pierwszą, a Lacouture jest glistą kategorii dziesiątej.

- Jeffrey, Jeffrey - powiedział Lord z łagodną naganą w głosie. - Czy ty nie mieszasz wiadomości z posłańcem?

Wyprostował nogi, wstał zwinnie nie objawiając najmniejszych oznak bólu w połamanych przed laty kolanach, pochylił się sprawnie i podniósł sztangę.

- Powiedz mi, Jeffrey, czy to jest moralnie dobre, czy złe?

- Co, sztanga? To jest... tylko martwy przedmiot, sir.
- Dartmouth to dobra szkoła! Tak. Masz rację. Jeżeli wykorzystam ją, żeby rozwijać mięśnie i rozładować gniew, jest dobra. Natomiast jeżeli spuszczę ją sobie na nogę, jest zła.
- Może jednak nie zdobyłem aż tak dobrego wykształcenia za moje pieniądze w Dartmouth, sir. Nie rozumiem...

- Nauka w Dartmouth nie kosztowała cię ani pensa. Miałeś stypendium spor-towe. Chodzi mi o to, że nie powinieneś bawić się w moralizowanie. Moralność, wartości i przesady tylko przeszkadzają, Jeff. Moralność jednego człowieka jest przesadą dla drugiego. To wszystko zaśmieca umysł. Musisz się tego pozbyć. Nie możesz normalnie myśleć, jeżeli jesteś obciążony różnymi z góry przyjętymi założeniami. Myśl powinna być tak jasna i swobodna, jak obserwacja gwiazd przez teleskop, a nie przez kalejdoskop.

Odłożył sztangę.

Gibbon spuścił oczy po tej reprimendzie.

- Ocenę moralną mają tę złą cechę... - powiedział Lord łagodnie.
- Że zaciemniają widzenie - dokończył Gibbon.
- Stają się widzeniem, Jeffrey - poprawił go Lord ostrzejszym głosem. - Musimy zachować jasne spojrzenie i skoncentrować się na tym, co jest ważne. Jestem zadowolony, że lubisz się pieprzyć z dziewczynami. Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? To komunizm jest zły, a nie komuniści. Demokracja jest dobra, ale nie wszyscy demokraci są dobrzy.

- Tak jest.

- Powiedzmy, że mamy świetnego gracza w baseball, który potrafi pokonać wszystkich graczy z drużyny przeciwnej. Czy obchodzi cię to, że on lubi małe dziewczynki albo lubi, jak go ktoś pieprzy pod prysznicem? Jeżeli chcesz, żeby drużyna wygrywała, to cię nie obchodzi. Z tego wynika wniosek...

- Że trzeba brać prysznic w osobnej kabinie.

- Właśnie.

Lord rzucił akta na biurko Gibbona.

- Mamy kłopot, Jeff. Chciałbym, żebyś przeczytał to uważnie, ale nie dzisiaj Zamknij to w sejfie i zabierz się do tego zaraz rano ze świeżym umysłem.

Przekroczył sztangę i podszedł do drzwi.

- I otwórz okna. Zaduch tu jak w sali gimnastycznej.

- Tak jest. Dobranoc, panie Lord.

Kiedy Lord wszedł do swego domu, jasnoniebieskiej piętrowej willi we francuskim stylu kolonialnym, położonej w spokojnej dzielnicy willowej, zaledwie dziesięć minut jazdy samochodem od ambasady, z dywanu, gdzie bawił się klockami, zerwał się chłopczyk, zrobił trzy niepewne kroki i znowu upadł. Podniósł się, zrobił trzy kroki i jeszcze raz się przewrócił. Wreszcie ruszył na czworakach w stronę Lorda. Ten wziął go na ręce i zaczął podrzucać do góry, aż dziecko zapiszczało z radości.

Potem Lord postawił go na ziemi i zaczął bawić się z nim w jego ulubioną zabawę. Mały uciekał tak szybko, jak tylko potrafił, a Lord łapał go za stopę albo za pieluchę i przyciągał z powrotem, aż wreszcie chłopaczek dotarł bezpiecznie do kuchni, ojciec zaś tupał tuż za nim po dywanie, dopóki mały nie dotarł bezpiecznie do matki.

- Szybko! Szybko, Lance! - wołał Lord goniąc dziecko, które wrzeszczało z podniecenia, sunąc po kamiennej podłodze kuchni i wreszcie rzuciło się w wyciągnięte ramiona matki.

Lord zmierzwił czarne włosy chłopaka i pocałował kobietę przeciągłym pocałunkiem. Dla małego to było jednak za długo, więc wsadził Lordowi palec do oka.

- Ty mały potworze z kompleksem Edypa - powiedział Lord cofając się. -Przepraszam za spóźnienie, Ahne.

- Zawsze się spóźniasz - powiedziała z uśmiechem.

- Wiem. Przepraszam.

- Wychodzisz dzisiaj znowu?

- Nie. Położymy spać dzieciaka wcześniej i pójdziemy do łóżka.

- Zdążymy przedtem zjeść kolację?

- Jeżeli się pośpieszymy - powiedział z uśmiechem. - Jestem skonany. W moim wieku trzeba korzystać z okazji.

- Czterdziestka to jeszcze nie starość, Wilson.

- To właśnie powinna powiedzieć kochanka. Dziękuję. Czterdziestoletni mężczyzna wie jednak, co to znaczy, a posiadanie piętnastomiesięcznego syna jeszcze pogarsza sprawę. Wiesz, że jak zechce zagrać ze mną w piłkę, to nie będę mógł, bo będę za stary i będzie się ze mnie śmiać?

Lord pstryknął małego w policzek.

- Wolałbym, żeby to nie nastąpiło, ty mały bękarcie.

Ahne psykała, próbując uciszyć Lorda. Nie lubiła przekleństw i słowa „kochanka”, a zwłaszcza nie spodobała się jej aluzja do nieślubnego pochodzenia dziecka. Lord wziął małego z jej rąk.

- Pobawię się z nim w salonie, dopóki kolacja nie będzie gotowa.

Położył się na dywanie i poukładał na sobie duże kolorowe klocki. Chłopaczek je zbierał i starał się ułożyć na jego piersi.

Nie chciał tego dziecka. Starał się przekonać Ahne, żeby zdecydowała się na aborcję. Ona jednak chciała mieć jego dziecko i żadne argumenty, jak mieszanie ras, fakt, że dziecko będzie nieślubne, wiek ojca, rodzaj pracy ani wojna nie zniechęciły jej. Kiedy jednak wyraziła pragnienie nadania dziecku jego nazwiska, Lord nie wytrzymał.

- Nigdy nie lubiłem swojego nazwiska - powiedział jej. - Brzmiałoby głupio dla półwietnamskiego dziecka.

- Mnie się podoba - powiedziała mu. - Jest dystyngowane, a ja nie chcę, żeby dziecko miało wietnamskie imię.

Wtedy Lord zaproponował Lancelot i to imię jej się spodobało, zwłaszcza kiedy, jej wytłumaczył, kim był rycerz Okrągłego Stołu. On jednak wybrał to imię dlatego, że w zdrobieniu brzmiało Lance i miało pewien orientalny posmak.

- Dlaczego nie wybierzesz i dla mnie imienia? - zapytała.

- Podoba mi się Ahne. Gdybym miał ci wybrać imię amerykańskie, brzmiałoby tak samo - Anna.

Zrobiło to jej dużą przyjemność. Wszystko, co było z nim związane, robiło jej przyjemność. Tak było od samego początku, od ich pierwszego spotkania.

Lord przyjechał do Wietnamu w 1963 roku, cztery lata temu, pod koniec rządów Diema. Ojciec Ahne, pułkownik armii południowowietnamskiej, został skazany przez Diema na śmierć w czasie jednej z czystek przeprowadzanych przez jego brata wśród buddystów. Ona ze względu na koneksje rodzinne i biegłą znajomość języka francuskiego po skończeniu osiemnastu lat znalazła pracę urzędniczką w ambasadzie francuskiej. Poznała Lorda, kiedy składał wizytę w celu nawiązania kontaktów z Surete. Wszyscy inni Amerykanie zwracali się do niej łamaną angielszczyzną, ale wszystkich odrzucała, podobnie jak odrzucała Francuzów, ponieważ była bardzo wstydliwą, skromną i dobrze wychowaną dziewczyną.

Lord zwracał się do niej grzecznie i mimo że uważał jego francuski za niezbyt dobry, mówił z nią bez skrupowania i traktował jak dorosłą kobietę, której należy się szacunek.

Pewnego dnia, kiedy wróciła z pracy, zastała go w domu rozmawiającego z jej matką i stryjem, u którego mieszkali. Wyjaśnił im swoją sytuację rodzinną i zapytał, czy nie będą mieli nic przeciwko temu, jeżeli będzie się starał o jej względy.

Wywarło to na nich wrażenie i zgodzili się. Potem zaprosił Ahne na kolację. Cztery miesiące później wynajęli razem dom, a ona odeszła z pracy. Niepokoił się, jak zareaguje jej rodzina, ale Ahne powiedziała mu, że w Wietnamie kobiety muszą być silne i niezależne.

- Wietnamki nigdy nie krępowały stóp i nigdy nie zobaczysz Wietnamki chichoczącej oraz zakrywającej twarz, kiedy rozmawia z mężczyzną, jak to robią Japonki.

- Oczywiście, że to zauważyłem - odpowiedział Lord. Jej bezpośredni sposób bycia często odsłaniał jej upór.

- Wietnamki zawsze mogły posiadać majątek i zarządzać nim, a wydaje mi się, że to wciąż jest nowością w wielu społeczeństwach zachodnich.

Jej upór doprowadził do tego, że teraz mieli dziecko. W końcu był zadowolony, że mu się przeciwstawiła. Nie oglądał swoich dzieci, jak były malutkie. Patrzył, jak Lance rośnie, i odkrywał po raz pierwszy cud dzieciństwa.

Gdy Lance rozkładał klocki, Lord sprawdził jego pieluchę.

- Hej, śmierdziuchu, kiedy nauczysz się używać nocniczka?

Nikt, kto kiedykolwiek pracował z Lordem, nie mógłby go sobie wyobrazić zmieniającego pieluszkę. Zrobił to jednak sprawnie i z zadowoleniem.

- Kolacja za piętnaście minut - powiedziała Ahne wchodząc do pokoju. Obaj znowu leżeli na podłodze.

Usiadła przy nich na dywanie i pogłaskała Lorda po czole.

- Wyglądasz na zmęczonego. Czy coś cię martwi?

- Skąd wiesz? - uśmiechnął się.

- Nie gwizdałeś, kiedy zmieniałeś pieluchę, a zawsze to robisz.

- Kiedy się gwizdże, nie czuć zapachu - powiedział ze śmiechem.

- Wiem, ale dzisiaj nie gwizdałeś. To znaczy, że masz jakiś kłopot.

- Czy można ukryć coś przed kobietą?

- Po co? Wszystko, co mężczyźni robią po cichu, jest najprawdopodobniej złe.

- I to tyle na temat CIA - powiedział śmiejąc się.

- Co cię niepokoi? - nalegała.

Dziecko wspięło się na niego i usiadło mu okrakiem na piersiach.

- Właściwie nic. Kłopoty w pracy.

Skinęła głową wiedząc, że nigdy nie będzie rozmawiać z nią o swojej pracy. Najmniejsza aluzja oznaczała koniec rozmowy. Tym razem ją zaskoczył.

- Robisz wszystko najlepiej, jak potrafisz, poświęcasz na to całe lata i chcesz naprawdę pomagać ludziom, a potem pojawia się jakiś dupek i w ciągu minuty wszystko psuje.

Przez cztery lata zaledwie raz wspomniał o swojej pracy. Nic nie powiedziała i tylko siedziała cicho obok niego.

Lord chwycił syna i podniósł go nad sobą, wciąż leżąc na plecach na dywanie. Puścił go i znowu złapał, i znowu, i znowu. Malec był zachwycony.

- Zasłużył na to, żeby być wolnym, prawda?

- Tak - powiedziała.

- I ty też?

- Mnie obchodzi tylko on - powiedziała z uśmiechem. - Nieważne, co się ze mną stanie.

Położył dziecko i wziął ją za rękę.

- Dla mnie ważne.

Teraz dopiero ją zaskoczył gwałtownym wybuchem gniewu i determinacji.

- Niech mnie diabli wezmą, jeżeli pozwolę mu sprzedać ten kraj. Podniósł syna wysoko do góry.

- Prędeż go zabiję - powiedział tonem przysięgi.

VII

Teresa Hawthorne trzymała w ramionach noworodka. Dziecko oddychało spokojnie tylko wtedy, kiedy trzymała je na rękach. Uspokajało się, jakby wchłaniało jakąś siłę podtrzymującą życie. Przez resztę czasu marudziło, wzdrygało się, kręciło. Żalosa istotka zarażona syfilisem, odczuwająca głód heroiny, wychudzona i pokryta ropiejącymi wrzodami.

Teresa kołysała dziecko i cicho nuciła. Nie czuła przytłaczającego upału i dusznego powietrza, nie słyszała wrzasków z oddziału, jęków, krzyków kobiet i dzieci.

Dziecko, które trzymała na rękach, wkrótce umrze. Była tego pewna. Już teraz miało konwulsje. Nie potrafiło ssać. Umrze z powodu odwodnienia. Szpitale beznadziejnie przepełnione i nie będące w stanie zająć się nawet rannymi żołnierzami, nie przyjąłoby takiego dziecka.

Takie dzieci trafiały zazwyczaj na śmietnik. Teresa widziała wiele noworodków porzuconych wśród śmieci jak szmaciane lalki. Zbierała te maleńkie ciała i odnosiła do kościoła, żeby je pogrzebano, dopóki zakonnice nie powiedziały jej, że już więcej przyjmować ich nie mogą. Teraz zostawiała je tam, gdzie leżały.

Wczoraj dziewczyna w wieku może dwudziestu lat, bosa i brudna, weszła wodząc wzrokiem pustym od narkotyków i podała jej jednodniowe niemowlę. Jak tylko Teresa je wzięła, dziewczyna odeszła wracając na ulicę albo do burdelu.

To chyba nie była nawet nadzieja, która przygnała dziewczynę do hospicjum, tak samo jak nie zło skłoniłoby ją do pozostawienia dziecka na śmietniku. Prawdopodobnie był to taki sam nieświadomy akt, jak akt jego poczęcia i jak jego śmierć, która wkrótce nastąpi.

Klinika Teresy zajmowała budynek dawnego hospicjum, prowadzonego przedtem przez zakonnice, położony w spokojnej kiedyś dzielnicy. Teraz biały piętrowy dom zaczynał się walić i otoczony był slumsami. Stał przy brudnej ulicy zatłoczonej motocyklami i rykszami. Frontowe wejście zamknięto na głucho przed rabusiami, a do kliniki wchodziło się z bocznej uliczki zasłanej odpadkami, gdzie obozowali żebracy i kaleki. Wewnątrz prycze i łóżeczka dla dzieci ustawione były tak blisko siebie, że miejsca między nimi było zaledwie tyle, żeby można było stanąć. Trudno było przecisnąć się przez długi, wąski pokój do pozbawionej drzwi ubikacji. Teresa wraz z personelem składającym się z sześciu kobiet zajmowała małe pokoiki wykrojone z pomieszczenia, które kiedyś było składem. Dawne cele zakonnice zaadaptowano na pokoje dla dzieci chorych i dla kobiet, które jeszcze nie urodziły. Z części kuchni wygospodarowano salę porodową.

Hospicjum jednak było czystutkie. Jeżeli ktoś nie miał w danym momencie nic do roboty, natychmiast dostawał do ręki szczotkę albo ścierkę. Sprzątanie było jedyną powszechną czynnością poza malowaniem, jeżeli udało się akurat zdobyć farbę.

Wnętrze pomalowano na niezwykle kolory. Jasnoniebieski i czerwony, żółć i purpura, biel i zieleń pojawiały się na ścianach w zależności od tego, jaką farbą

akurat dysponowano i jaką wybrał malarz. Sprawiało to jednak sympatyczne wrażenie, niczym w wesołym żłobku. Tu i ówdzie na ścianach widać było małe rysunki - jak wyrazy nadziei, tęsknoty czy też wspomnień tworzących je kobiety: jakiś kwiat, ptak albo słońce.

Liczba kobiet i dzieci była stała, zależna od liczby prycz i łóżeczek, i wynosiła sto pięćdziesiąt. Kobiety przychodziły rodzić, a potem wracały do domów publicznych lub po prostu znikaly. Dzieci umierały albo były umieszczane w sierocińcach. Ich miejsca zajmowały inne.

Teresa Hawthorne prowadziła hospicjum od roku. W Sajgonie mieszkała już od trzech lat. Przedtem była na Tajwanie i na Filipinach. Na Dalekim Wschodzie spędziła już trzynaście lat, czyli jedną trzecią życia. Przedtem była katolicką zakonnicą, a co było jeszcze wcześniej, tego już prawie nie pamiętała. Nosila w sobie jakieś ulotne wspomnienia samotnego dzieciństwa, dziecka nie z tego świata, dużego, niezgrabnego i cudaczego, razem ze swoimi dziecinnymi troskami i zabawami.

Prosta - tak o niej mówiono. Teraz też uważała, że jest prosta. Brzydka, szkapowata, prosta, chociaż wcale tak nie wyglądała i inni też jej tak nie odbierali.

Była jak jej klinika - wyniszczona i niepozorna z zewnątrz. Wysoka szatynka z krótko obciętymi włosami i piwnymi oczami. Wewnątrz były kolory i humor, i życie tak bogate i pulsujące, że prześwieślało skórę nadając jej świetliste piękno. Chociaż twarz naznaczona była śladami ciężkiej pracy, nie było na niej widać zmęczenia ani smutku, przeciwnie - promieniowała z niej świeżość i nadzieja.

Była córką starszych, bogatych i bardzo pobożnych rodziców. Wychowana samotnie w dobrobycie, była nadmiernie chroniona. Żadnych kosmetyków, żadnych powiewnych sukienek, nic jasnego i frywolnego. Życie jest sprawą poważną i ma być poświęcone Bogu.

Teresa jednak nie miała głowy do nauki.

- Nie ma głowy do niczego - zrzędził ojciec.

- Jest od wszystkiego oderwana - powiedziała matka. - Wielkie odosobnienie.

- Raczej wielka tępota. Ta dziewczyna to gamoń - odpowiedział ojciec.

Nie bawiła się z innymi dziewczynkami, nie interesowała się lalkami, kosmetykami, strojami, nie czytała kryminałów, ani romansów i nie rozglądała się za chłopakami. Nawet, kiedy rodzice uznali, że już nadszedł czas, i zaczęli kupować jej stroje i posyłać do kosmetyczki, przyjmowała to obojętnie. Lubiła mieć ładne ubrania i nowe fryzury, ale ubrania wkrótce gniotły się lub darły, a fryzury rozsypywały się, a ona wcale tego nie zauważała. Nie miała zdolności muzycznych. Bez protestu chodziła przez lata na lekcje gry na skrzypcach, ale o ile jej ojciec mógł się zorientować, nie zapamiętała choćby jednej melodii. Nie umiała tańczyć. Szafa pełna sukienek i baletek coraz większych rozmiarów wywoływała u ojca tylko przykre wspomnienia. Pamiętał, jak siedział na widowni zaciskając pięści aż do bólu, podczas gdy jego córka miotła się po scenie gubiąc rytm, wykonując piruety, o których nie wiadomo było, gdzie się skończą. Czasami przewracała się, a kiedyś nawet spadła ze sceny między widzów.

Miała w sobie jednak ciepło i humor i gdy przybyło jej lat, zyskała przyjaciół. Ludzie lubili ją. Była szczerą i rozsądną. Dziewczęta powierzały jej swoje sekrety,

ona zaś z łatwością nawiązywała kontakt z chłopcami, bo żaden z nich nie myślał

o niej jako o partnerce seksualnej.

Kiedyś jeden z najlepszych sportowców ze szkoły średniej - założywszy się z kolegami - umówił się z nią na randkę. Na pustej uliczce zatrzymał samochód, zaczął ją przytulać, miażdżył jej usta swoimi, wkładał ręce pod ubranie, aż wreszcie rozpiął spodnie, ale wtedy przestał. Cofnął się zawstydzony. Przepraszał. Była przerażona, ale później śmiała się z tego i nie miała do niego żalu. Zapanowała wokół niej specyficzna atmosfera. Nigdy już nikt nie umówił się z nią na randkę. A jednak żywe w niej było pragnienie, żeby dzielić się z kimś miłością, którą była przepelniona. Nie miała w sobie wrodzonej powściągliwości ani nie cofała się przed kontaktami, czy seksem - i był w niej żar tęsknoty za mężem i dziećmi. To jednak było dla niej niedostępne. Chłopcy i mężczyźni wyczuwali głębię jej miłości

1 oddania. Wiedzieli, że jest dla nich zbyt wielka.

To, co jej matka nazywała oderwaniem, a ojciec tępotą, było w rzeczywistości czystością ducha. Była tak dojrzała duchowo jak Mozart muzycznie, ale ponieważ dobroć i uczciwość nie dają się oznaczyć, uważano ją po prostu za prostytutkę.

Jej przekonania były rzeczywiście proste, zbyt proste, żeby można je było traktować w kategoriach wiary. Z katechizmu skorzystała tyle samo, ile z lekcji muzyki i tańca. Liturgia i rytuał, pompa i ceremonia nie robiły na niej żadnego wrażenia. Nauka Chrystusa, żywoty świętych, wyrzeczenia, ofiara i męczeństwo też dla niej niewiele znaczyły. Podobnie nie rozumiała obrzędu Bożego Narodzenia - wieszania bombek, światełek i cynfolii na choince, która i tak była piękna sama w sobie.

To, czego Kościół nauczał - wyrzeczenia, pomoc i dawanie u niej przychodziło instynktownie. To, czego żądał - modlitwy i posłuszeństwa - ignorowała. Rzecz jasna, wykluczało to jej przynależność do Kościoła. Idea Boga nigdy nie zakorzeniła się w jej umyśle. Nigdy nie potrafiła wyobrazić sobie istoty stojącej ponad dobrocią i łagodnością. Jej działania też nie były motywowane miłością do Niego ani strachem przed Nim.

Tak jak jej czystość duchową mylono z prostactwem, jej dobroć była mylona z pobożnością. To nie oddanie Bogu było tym, co sprowadziło ją do klasztoru. Powodem było raczej przekonanie, że

jako zakonnica będzie mogła lepiej pomagać innym.

Instynktownie wiedziała, że pożądanie niesie ze sobą ból, nigdy nie daje się zaspokoić i niszczy człowieka. Chciała się więc wyzwolić od pragnień i pożądania, ale przegrywała tę walkę sama z sobą, bo tak bardzo pragnęła pomagać innym. Rozumiała, na czym polega ten paradoks. Ta chęć ulżenia innym w bólu i cierpieniu sama w sobie jest pragnieniem. Jeszcze ostrzej objawiał się ten paradoks na Wschodzie, gdyż tu było znacznie więcej cierpiących.

Odeszła od Kościoła katolickiego, kiedy zdała sobie sprawę, że nie jest jej do niczego potrzebny. Pobożność i posłuszeństwo nakazywane przez Kościół odrywały ją od zwykłego dobra, które pragnęła czynić.

W końcu Bóg też przestał być dla niej istotny. Nie potrzebowała tajemnic i przeistoczenia. Wystarczył jej duch - jedność i nicość myśli Wschodu.

- Jesteś zwykłym masonem - powiedział jej ojciec Dourmant. - Wolnomyślicielką - jak Voltaire, Rousseau czy Ben Franklin. A także buddyści. To wszystko

taki sam przeklęty nonsens - duch - natura - nirwana. Teologia pozbawiona, mózgu.

Może ma rację? - gotowa była przyznać. Teraz jednak nie ma czasu na myślenie

o takich rzeczach.

- Nie znam na to odpowiedzi - powiedziała mu. - Nie staram się też stawiać sobie pytań na ten temat.

Po jakimś czasie trafiła do Fundacji Imienia Pearl S. Buck działającej na Dalekim Wschodzie, niosącej pomoc dzieciom Azjatek i żołnierzom zachodnich. Poprzez kontakty z kościołami i sierocińcami zetknęła się z ojcem Dourmantem. Ostatniej jesieni z jego pomocą przejęła hospicjum, jednakże usługi, jakie świadczyło, okazały się żałośnie niewystarczające. Kobiety i dzieci były zbyt schorowane i nic nie można było zrobić dla uzależnionych od narkotyków. Praktycznie na wszystko brakowało pieniędzy. Zaledwie starczało na żywność i podstawowe zaopatrzenie. Lekarstwa rozkradano, zanim dotarły do hospicjum.

Fundusze docierały w małych ilościach z różnych instytucji dobroczynnych, a ojciec Dourmant przychodził prawie codziennie z kilkoma piasrami. Nie miała pojęcia, skąd je zdobywał, prawdopodobnie z tacy, bo banknoty były podarte

i brudne. Jej próby zdobycia pieniędzy z ambasady amerykańskiej nie powiodły się. Rząd nie chciał przyjąć do wiadomości istnienia nieślubnych dzieci. Uważał, że to problem dla władz miejscowych, ale władze miejscowe nie interesowały się nieślubnymi dziećmi żołnierzy amerykańskich oraz prostytutek i narkomanek.

To dziecko, które trzymała na rękach, umrze. Może to i lepiej. Śmierć rozwiąże wszystkie problemy - syfilis, wrzody, deformacje, ojca Murzyna.

W drzwiach pojawił się wysoki, chudy, siwy mężczyzna. Schylił się i wszedł. Jego czarna sutanna stanowiła jedyny poważny akcent w kolorowym pomieszczeniu.

Ruszył w jej stronę z determinacją, ale zaraz zwolnił, bo musiał przeciskać się między pryzkami i łódeczkami. Wreszcie zatrzymał się - głaskał, pocieszał, a jego twarz - z początku zacięta, nawet gniewna - rozjaśniała się na dobre. Kiedy dotarł do niej, był już odprężony i łagodny.

- Dobry wieczór, ojcie. Jak się ojciec czuje?

- Dobrze, dziękuję. A ty?

- Bardzo dobrze.

Ksiądz pochylił się, żeby wziąć dziecko. Oczy maleństwa otworzyły się, ciało zeszywniało, ale kiedy ksiądz objął je ramionami i przytulił do siebie, dziecko uspokoiło się. - Tego jeszcze tu nie widziałem - powiedział.

- Przywieziono ją wczoraj. Nie umie ssać i ma coraz częstsze konwulsje.

- Czy chcesz, żebym przyniósł trochę heroiny?

- Ojciec teraz handluje narkotykami? - Roześmiała się. Wzruszył ramionami.

- Cóż znaczy trochę heroiny dla celów leczniczych? Będiesz mogła stopniowo zmniejszać dawki, chociaż nie przypuszczam, żeby wyżyła tak długo.

Oddał dziecko Teresie.

- Powiniennem ją ochrzcić.

- A co to da, ojciec? Czy ojciec wyobraża sobie, że Bóg zatroszczy się o coś takiego?

- Nie mam pojęcia, o co mój Bóg troszczy się ani jakie ma zamiary. Nie mogę nawet na niego już liczyć, kiedy chcę się napić kawy, ale chyba nie zaszkodzi, jeżeli wyślemy to dziecko do tej twojej

idealnie harmonijnej nicości ochrzczone?

Potem, przypomniawszy sobie jej uwagę na temat heroiny, ciągnął gniewnym głosem: - Wysyłam te wszystkie nieszczęsne kobiety z parafii do ciebie po pigułki i środki antykoncepcyjne. Cóż to może zaszkodzić, jeżeli użyjemy narkotyku dla złagodzenia bólu? Masz.

Podał jej duży zwitek banknotów. Przyjęła je z wdzięcznością.

- Aż strach wyobrazić sobie te grzechy, które mają być odkupione za te pieniądze. Ten człowiek nawet się nie wypowiedział. Pomodlił się kilka chwil, podszedł do mnie i wręczył mi pieniądze.

- Te pieniądze przeznaczył na kościół - powiedziała Teresa.

- Dał te pieniądze, żeby ocalić swoją bezwartościową duszę, ale Bóg nie przyjmuje łapówek.

Teresa uśmiechnęła się.

- Poza tym gdyby Kościół zatrzymał te pieniądze, biskup by je ukraść. Lepiej, żebym to ja zrobił - dodał, wzruszając ramionami.

- Dziękuję - powiedziała. - Ojciec jest dla nas bardzo dobry.

- jestem pewien, że Bóg mnie wynagrodzi.

- Wszystko będzie odpowiednio przygotowane na przyjęcie ojca w niebie - powiedziała poważnie.

- Nie wątpię w to.

Rozejrzał się po sali. Wszędzie dostrzegał tylko ból. Nawet go słyszał.

- Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, jak On urządził tamten świat. No, dość już tych rozważań teologicznych. Czy udało ci się z amerykańską ambasadą?

Pokręciła głową.

- Sukinsyny - stwierdził.

- Boją się. Jeżeli raz przyznają, że ich żołnierze mają nieślubne dzieci, będą musieli zawsze na nie łożyć.

- I powinni - powiedział ksiądz z oburzeniem.

- A Francuzi?

- Oczywiście nie. Od kiedy to byliśmy przykładem moralności? Przecież zakłada się, że jesteśmy hipokrytami. Amerykanie nie. Jest wiele komplikacji - ciągnęła. - Opieka zdrowotna, sprawy obywatelstwa, rodziny zastępcze, sierocińce.

- Pieniądze - mruknął. - I wiesz, co jeszcze? - zapytał grożąc jej palcem. - Nie mogą znieść myśli, że ich ukochani synkowie są tutaj i pieprzą się z Azjatkami. Oni mają przynieść dzikusom demokrację, a nie dzieci i narkotyki.

Roześmiała się. Uwielbiała jego gniew i oburzenie. Uwielbiała, jak się podniecał. Wtedy z ust jego padały słowa zupełnie nie licujące ze stanem duchowym.

- My przynajmniej byliśmy szczerzy - powiedział. - Nie chcieliśmy tych nieślubnych dzieci we Francji, chociaż wiedzieliśmy, co się dzieje.

Chwycił przestraszone dziecko na rękę.

- Coś trzeba z tym zrobić - powiedział.

- Wiem - przyznała, patrząc na dziecko z niepokojem, w oczekiwaniu, że za chwilę zacznie wrzeszczeć, ale ruch księdza był tak zwinny, a chwyt tak pewny i kojący, że dziecko natychmiast się uspokoiło.

- No? - nalegał. ; Pokręciła głową.

- Nie wiem, co można zrobić. Mają już na mnie wypracowaną metodę. Kiedy przychodzę, odsyłają mnie od jednego do drugiego. Wszyscy są uprzejmi, współczujący i zachwyceni tym, co tu robię. Kręcę się w kółko jak głupia i nic nie mogę załatwić. Będzie coraz gorzej. Im więcej będzie tych dzieci, tym mniej będą skłonni zrobić cokolwiek.

Ojciec Dourmant spokojnie kołysał dziecko w swoich starczych powykręcanych dłoniach. Zamknął oczy, ale Teresa po zmarszczonych brwiach i zaciśniętych ustach wiedziała, że wcale nie jest spokojny.

- Ktoś wpadł na pomysł, który być może skłoni Amerykanów do udzielenia pomocy - powiedział, otwierając oczy. - Nigdy przedtem nie pogwałciłem tajemnicy konfesjonatu. Nigdy nikomu nie powtórzyłem, co do mnie mówiono. Księża znosili męczeństwo dla ustrzeżenia tajemnicy spowiedzi.

Przerwał, rozważając ogrom swojego grzechu.

- Wczoraj przyszła do mnie kobieta - ciągnął. - Jedna z matek stąd. Powiedziała mi, że ma

zamiar spalić siebie i swoje dziecko przed ambasadą amerykańską. Prosiła o przebaczenie i rozgrzeszenie.

Z początku mówił spokojnie, ale po chwili zaczął wpadać w coraz większy gniew.

- Powiedziałem jej, że rozgrzeszenia nie dam, że będzie skazana na ogień piekielny na wieki, i że płomienie z benzyny, którą obleje siebie i swoje dziecko, wydadzą się jej pieszczotą w porównaniu z tym, co cierpieć będzie w piekle. Byłem prawie gotów wywlec ją z konfesjonału i udusić przed ołtarzem.

Fala gniewu opadła. Teraz ojciec Dourmant był już tylko zatroskany.

- Nie myślę, żebym ją przekonał. Rozmawialiśmy długo, ale odeszła zdecydowana zabić siebie i dziecko.

Teresa słuchała spokojnie z rękami złożonymi na kolanach.

- Myślę, że ona może to zrobić - powiedział ojciec Dourmant. - Jej rodzina nie żyje. Nie ma dokąd pójść i twierdzi, że piekło nie może być już gorsze od życia tutaj. Dziecko jest podobne do tego tu twojego. Ma czarnego ojca i też prawdopodobnie jest chore. Kobieta uważa, że śmierć będzie dla niego najlepszym wyjściem. Twierdzi z uporem, że nie wróci do burdelu. Zaproponowałem jej, że znajdę dla niej pracę gdzieś w parafii, ale uznała, że to niczego nie rozwiąże, bo i tak będzie coraz więcej prostytutek, i więcej dzieci. Powiedziała, że ktoś musi coś zrobić, żeby to powstrzymać, tak jak zrobili to mnisi buddyjscy, żeby pomóc ludziom. Przypomniała, że kiedy mnisi buddyjscy palili się, była telewizja, protesty i demonstracje, co doprowadziło do upadku Diema.

- Ma rację - powiedziała Teresa. Ojciec Dourmant zacisnął zęby.

- Nie interesuje mnie zupełnie, co było dobre dla buddystów czy Tatarów. Nie zgodzę się jednak na dzieciobójstwo w mojej parafii.

Teresa wzięła od niego dziecko, które zaczynało się kręcić, wyczuwając podniecenie księdza.

- To co powinna zrobić? - zapytała.

- W każdym razie nie palić dziecka. Opuścił głowę i oparł ją na rękach.

- Mój Boże, pigułki antykoncepcyjne, narkotyki, złamanie tajemnicy spowiedzi, a teraz rozmawiam z kobietą na temat palenia dzieci na ulicy Tu Do.

- Co ksiądz chce, żebym zrobiła? - zapytała łagodnie Teresa. Ojciec Dourmant popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Czy myślisz, że chcę, żebyś zapaliła zapałkę? Chciałbym, żebyś tę nieszczęsną kobietę powstrzymała! - wykrzyknął. - Chcę, żebyś z nią porozmawiała!

Teresa uśmiechnęła się.

- Kościół palił kiedyś heretyków na stosie. Istnieje wiele precedensów w dziedzinie palenia ludzi.

Ksiądz już chciał zerwać się rozgniewany, ale odetchnął głęboko i opadł na łóżko.

- Mówisz tak, żeby mnie zdenerwować - powiedział. - Jestem już starym, słabym człowiekiem, Tereso, któremu należy się dobroć i szacunek. Powinnaś się wstydzić.

- Wcale nie chcę księdza zdenerwować - zapewniła. - Wcale też nie sugerowałam Lin, bo to musi być ona, żeby coś takiego zrobiła. Tylko Lin ma w sobie dość siły.

Wstała. Poczula się nagle zmęczona i słaba. Położyła dziecko do łóżeczka, wyprostowała się i przeciągnęła. Odsunęła kosmyki włosów z twarzy i zwróciła się do ojca Dourmanta.

- To dziecko umrze. Czy to nie wszystko jedno, czy umrze od konwulsji spowodowanych głodem narkotycznym w łóżeczku, czy na śmietniku w jakimś zaułku, czy wreszcie spalone przez matkę przed ambasadą amerykańską?

Spojrzała na drżące dziecko.

- Może to przyniesie coś dobrego. A co dobrego si? stanie, jeśli umrze w inny sposób?

Ksiądz pokręcił smutno głową.

- Oto skutki tego, że ktoś odsuwa się od Boga, moje dziecko. Wiem, jesteś zmęczona i pełna goryczy, nie mogę cię potępić, ale istnieje dobro i zło, trzeba dokonać moralnego wyboru. O ile wiem, to jednak cel nie może uświęcać środków. Takie postępowanie to niegodziwość. Może ta biedna kobieta w swoim nieszczęściu nie widzi zła, ale ty potrafisz je dostrzec. Wysłuchaj głosu swego serca.

Wstał uśmiechając się, pogłaskał ją po ramieniu i po głowie.

- Odpocznij, Tereso. Nie myśl. Zrobisz, co uznasz za słuszne. Biedacy tacy jak ja muszą walczyć ze swoim sumieniem, zanim postąpią słusznie. Ty robisz to instynktownie. Zajrzę jutro. Do widzenia.

Gdy wyszedł, Teresa znowu wróciła do dziecka. Leżało wyprostowane w łóżeczku drżąc gwałtownie na całym ciele, jego oczy uciekły w głąb czaszki, małe języczek wysunął się. Dziecko dusiło się.

Teresa stała przy łóżeczku z założonymi rękami i patrzyła.

Drżenie nasilało się. Rączki i nóżki zeszywniały. Palce były sztywne jak patyczki. Twarzyczka robiła się coraz bardziej sina. Zasinienie rozprzestrzeniało się jak rozlany barwnik. Nagle dziecko, jakby uderzone, szarpnęło się, a potem zwiotczało. Twarz Teresy pozbawiona była wyrazu, kiedy tak patrzyła na martwe ciało.

Gdy podniosła wzrok, zauważyła, że obserwuje ją młoda kobieta. Kiedyś była piękna. Teraz połowa włosów jej wypadła, twarz miała obrzmiałą, a na obu rękach widać było ślady po zastrzykach. Trzymała dziecko, żalostną istotkę, ślepa, z uszkodzonym mózgiem i z rozszczepionym podniebieniem, tak że ledwo mogło ssać.

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie. Wreszcie Lin odwróciła się i wyszła niosąc w ramionach dziecko.

Teresa spojrzała na martwe niemowlę w łóżeczku. Czy to przyniesie jakieś dobre skutki? - zastanawiała się. Boga nie obchodzi, co się z nimi stanie, czy przeżyją, czy umrą. Amerykanów też to nie obchodzi. Może jednak, kiedy jedno z nich spłonie przed ambasadą amerykańską, zastanowią się.

Ona sama spróbuje jeszcze raz pójść do ambasady. Tylko raz. Jeżeli nikt nie będzie chciał jej wysłuchać albo pomóc, nie będzie powstrzymywać Lin.

VIII

- Hej, bohaterze!

Roń Mead znieruchomiał, słysząc ten szyderczy głos. Stał jak skamieniały w korytarzu ambasady, zwrócony tyłem do mężczyzny, który wypowiedział te słowa. Trzech żołnierzy piechoty morskiej, idących razem z Meadem też się zatrzymało.

- Chodź tu, zasrańcu!

Żołnierze stojący obok Meada poczuli, jak ten zeszytniał. Jeden z żołnierzy położył ostrzegawczo rękę na ramieniu Meada.

- Spokojnie - szepnął.

- Powiedziałem, żebyś tu przyszedł, dupku!

Wreszcie Mead odwrócił się. Towarzyszący mu żołnierze szybko odsunęli się na bok.

Sierżant piechoty morskiej, mężczyzna wzrostu Meada, pod trzydziestkę, sprężony i napięty, jak bokser, w nienagannym mundurze ze lśniącoymi guzikami, świeżym i wykrochmalonym pomimo upału, skinął na żołnierzy stojących obok Meada.

- Możecie odejść.

- Zobaczymy się później, Roń - powiedział jeden z nich cofając się. - Spokojnie... Spokojnie - dodał szeptem.

Sierżant kiwnął palcem na Meada.

Mead odzyskał już panowanie nad sobą. Ziewnął, odwrócił się do sierżanta Robsona Holmana, stając tak blisko niego, że ich piersi prawie się stykały. Stali tak twarzą w twarz i patrzyli sobie w oczy.

- Cofnij się, kutasie - warknął Holman. - Tak blisko dopuszczam do siebie tylko kogoś, kogo chcę zerznąć albo zabić.

- Zdechniesz, czarnuchu, jeżeli spróbujesz albo jednego, albo drugiego.

- Ciągle się zastanawiam, co mam wybrać, białasie - powiedział Holman, przysuwając twarz jeszcze bliżej.

Mead był zaskoczony tym nagłym i intensywnym wybuchem nienawiści. Dystans utrzymywany przez niego wobec innych utrudniał nawiązywanie przyjaźni, ale również i pojawienie się antypatii. Jednakże między nimi niechęć zrodziła się natychmiast i była wprost porażająca.

- Będzie chciał cię załatwić - powiedzieli inni *Marines* w ambasadzie zaraz po przyjeździe. - Masz więcej medali niż on. Aż do twojego przyjazdu to on był bohaterem. Ty masz Krzyż Marynarki, a on go nie dostanie. Zrobi wszystko, żeby cię złamać. Podobnie było z innym facetem parę miesięcy temu. Też przysłali go z linii, jak ciebie. Miał Srebrną Gwiazdę, podobnie jak Holman. Holman od razu dobrał mu się do dupy. Większość z nas tutaj nigdy nie brała udziału w walce. Trafiliśmy tu prosto ze szkoły ambasadzkiej w Waszyngtonie i Holman może podtykać nam pod nos swoje medale oraz baretki, ale z tobą ten numer nie przejdzie. Tamten gość wytrzymał tylko dwa tygodnie.

- To trep - powiedział inny z pogardą. - Wygląda dobrze, bo załatwia innych tak, że wyglądają źle. Dla kariery gotów cię dźgnąć w plecy. Możesz się cieszyć, że nie jesteś czarny, jak ja. Czarny z Krzyżem Marynarki - to by go dopiero wnerwiło.

Jednak nawet bez niechęci Holmana Mead miał problemy. Był już kilkakrotnie pouczany przez oficerów i grożono mu sądem polowym.

Nigdy nie pełnił służby w garnizonie. Po unitarce wysłano go do Wietnamu i cały czas był na linii. Przystawienie się z życia frontowego na wymogi ambasady, inspekcje, dbanie o prezencję, musztry i parady dla wizytujących dygnitarzy były wyzwaniem, z którym ledwo mógł sobie poradzić.

Był też zbyt spięty. Denerwował go każdy hałas. Trzaśnięcie drzwi, spadająca książka, wystrzał z

rury wydechowej sprawiały, że szukał kryjówki. Tłumy ludzi na ulicy, a nawet grupki na korytarzu ambasady wprawiały go w zdenerwowanie.

Jeszcze gorsze były sny. Czerwone od krwi powodowały, że budził się nagle zlany potem, łapiąc gwałtownie powietrze. Ręce miał czasami zdrętwiałe, gdyż we śnie tak mocno ścisnął pięści. Śniło mu się, że ścisną ociekającą krwią szyję Wietnamczyka. Zmarli nie dawali mu spokoju. Co noc słyszał ich wrzaski i błagania, i widział ich okaleczone ciała.

Widział ich wszędzie. W barze widział Mitchella, który zginął cztery miesiące wcześniej postrzelony w głowę. Donnadio tańczył z jakąś kurwą na kikutach nóg, a Gonzalez wznosił toast własną krwią, mrugając makabrycznie. W barze na sąsiednim stołku siedział Dutton, którego silny chwyt jeszcze teraz wywoływał dreszcz, a przed nim na podłodze klęczał nieprzyjacielski żołnierz bez twarzy.

Bał się zasnąć. W jego snach wszystko było jak żywe - jak dżungla, i tak samo jak ona mroczne, groźne. I czaił się w nich strach. Alkohol i narkotyki tylko potęgowały ten stan, wynaturzając obrazy i przemieniając sen w koszmar pełen

demonów.

- Czy można was dotknąć, kapralu? - powiedział Holman i nie czekając na odpowiedź dotknął palcem gardła Meada, zaczął naciskać, dopóki ten się nie cofnął. - Nigdy więcej nie podchodź do mnie tak blisko. Nie lubię twojego zapachu. Nie lubię niczego, co dotyczy ciebie, Mead. Rzygać mi się chce na twój widok. Jesteś słaby. Dostałeś odznaczenie i myślisz, że należy ci się specjalne traktowanie. Mamy ci współczuć, ponieważ cierpiałeś. Widziałeś, jak giną twoi kumple. Nie możesz spać. No to co, kurwa. Jesteś po prostu beznadziejną cipą.

Naciągnął skórę na policzkach Meada, odsłaniając białka oczu i, zanim Mead zdążył zareagować, Holman podciągnął jego rękaw, odsłaniając przedramię poznaczone ukłuciami po zastrzykach.

Trzymając Meada w żelaznym uścisku, przyparł go do ściany i dotknął kolanem jego krocza.

- Rusz się tylko, fiucie, a znajdziesz swoje jaja w gardle.

Mead aż zeszytniał z furii. Każdy mięsień jego ciała był napięty. W oczach pojawiły się ogniki.

Holman cofnął się z pogardą.

- Nie odważysz się. Nie masz jaj. Zwykła cipa otumaniona narkotykami. No, spróbuj.

Tak jak setki razy w czasie walki, Mead ochłonął, strząsając z siebie wszelkie emocje. Teraz już w pełni panował nad sobą. Był taki pewien siebie i odprężony, że Holman, który sam przetrwał dzięki podobnej umiejętności, zrozumiał, że Mead teraz nie popełni błędu.

- Chciałem ci to ułatwić, Mead, ale ty nawet nie potrafisz zdobyć się na porządną rozróbę. Będę musiał pozbyć się ciebie w bardziej przykry sposób.

Stanął na stopach Meada i chwycił za mosiężną sprzączkę u pasa.

- Ponieważ nie chce ci się porządnie wyczyścić butów i wypolerować oporządzenia, znalazłem dla ciebie inną robotę. Zwalniam cię ze służby wartowniczej. Zostałeś wyznaczony jako osobista ochrona, lokaj, kelner i przydupiec specjalnego wysłannika prezydenta. Masz odpowiadać za jego bezpieczeństwo, potrzeby i nastroj, podawać kawę, czyścić buty, podcierać tyłek i oczywiście wszystko spieprzysz.

Holman uśmiechnął się złośliwie.

- Nie będziesz tego lubił. Będziesz się nad sobą użalać. Żadnych narkotyków, bo inaczej dostaniesz się do pierdła tak szybko i w takim miejscu, że nawet to zadupie, skąd pochodzą takie białe kutasy jak ty, wyda ci się rajem.

Nagle zupełnie zmienił ton.

- Ja tu nic nie zawiniłem. Wyznaczyłem tylko bohatera wojennego, kawalera Krzyża Marynarki, żeby chronił człowieka prezydenta. Skąd mogłem wiedzieć, że to popieprzony narkoman i rozmazana cipa?

Holman opuścił rękaw Meada i poprawił jego mundur.

- To ważny facet, Mead. Osobisty przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kiedy on mówi „skacz”, generał Westmoreland pyta się: „Jak daleko?”, a stary Ellsworth Bunker bez pytania skacze po korytarzu. Martwię się o niego, Mead. Słyszałem również, że jest twardy. Był w piechocie morskiej. Możesz wyobrazić sobie, jak będzie zbudowany, kiedy spotka takiego zasańca jak ty.

Holman złapał Meada za kurtkę munduru i pociągnął za sobą.

- Chodź ze mną. Pokażę ci, gdzie od dziś pracujesz.

Mead był wściekły, ale szedł za Holmanem korytarzami ambasady i w górę po schodach na najwyższe piętro budynku.

Malarze, stolarze i inni robotnicy kończyli przygotowywać specjalne skrzydło oddzielone od reszty pomieszczeń.

W gabinetach na końcu korytarza siedziało czterech mężczyzn - dwóch oficerów i dwóch cywilów oraz dwie kobiety.

- Sierżant Holman melduje się z kapralem Meadem. - Holman zwrócił się do zadbanego pułkownika po czterdziestce.

Pułkownik John C. Waggoner, wyznaczony jako główny asystent przybywającego wysłannika, spojrzął na Meada, a widząc jego zaniedbany wygląd pomyślał, że mogą być z nim kłopoty.

- Cieszę się, że będziesz z nami, kapralu - powiedział oschłym tonem. - Zostaliśmy wszyscy wybrani do wypełnienia tego zadania. Będziemy pracować z ambasadorem Bradleyem Marshalllem. Będziecie podlegać mnie, ale waszym bezpośrednim przełożonym będzie kapitan Latham. Zapozna was z waszymi obowiązkami.

z

Wskazał na dwie atrakcyjne kobiety w wieku nieco ponad dwadzieścia lat, jedną blondynkę, a drugą z długimi czarnymi włosami. Mead, jako wartownik w ambasadzie, znał wszystkich, którzy mieli wstęp do budynku, ale nigdy tych kobiet wcześniej nie widział.

- Panna Toland - pułkownik wskazał na blondynkę - jest sekretarką ambasadora.

- Dolores - powiedziała obojętnie, a potem dodała, żeby nigdy nie było wątpliwości, co do ich znaczenia w zespole: - Kapralu.

- Ann Fisher jest asystentką administracyjną - powiedział pułkownik Waggoner, przedstawiając drugą kobietę, która uśmiechnęła się chłodno.

- Panowie Beecher i Navasky są z Departamentu Stanu i są cywilnymi asystentami ambasadora - powiedział o dwóch mężczyznach około trzydziestki, którzy zaledwie raczyli spojrzeć na Meada.

Pułkownik Waggoner ruchem ręki odprawił Holmana, i zwrócił się do młodszego oficera:

- Kapitanie Latham, proszę powiedzieć kapralowi, co ma robić.

Kapitan Latham, mocno zbudowany i wyglądający jak żołnierz z podręcznika, nieco niższy niż Mead, dał mu znak, żeby wyszedł z nim na korytarz.

- Po pierwsze, wypolerujecie wszystkie mosiężne części ekwipunku i buty. Nigdy nie chciałbym widzieć was w stanie poniżej idealnego. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Ostrzyżcie się i jeszcze raz się ogólcie. Chcę, żebyście zawsze byli na blachę. Tak się określa u spadochroniarzy stan idealny. Zapomnijcie, kapralu, o piechocie morskiej. Teraz służycie u mnie, a moje wymagania są znacznie wyższe. Kiedy będziecie na blachę, a stanie się to o drugiej po południu, wróćcie tutaj i zameldujecie się u mnie. Odmaszerować.

Mead zrozumiał, jak wspaniale wrobił go Holman. Ci ludzie postawią go przed sądem za najmniejsze niedociągnięcie.

Wrócił o drugiej wypolerowany, ostrzyżony i przez następne tygodnie znosił upokorzenia w roli służącego. Przynosił kawę, wypróżniał kosze na śmieci, ostrzyż ołówki, zmywał i wycierał kurze.

Nikt do niego się nie odzywał, chyba tylko po to, żeby mu wydać polecenie.

Zaczął ich nienawidzić i narastała w nim mordercza furia na myśl o człowieku, któremu miał służyć. Przybywający wysłannik, Bradley Lawrence Marshall, zdawał się uosabiać wszelkie poniżenia i poniewierkę. Dla Meada reprezentował wszystkich kłamców i tchórzy, pochlebców i podstępnych krętaczy, których spotkał w Sajgonie.

Inni mówili o Marshallu ze zgrozą i przerażeniem. Pewnego dnia, kiedy Mead przestawiał meble pod kierunkiem obu cywilów, podsłuchał ich rozmowę.

- Przysłali jego biurko samolotem z Filipin. Słyszałem, że należało do MacAr-thura - powiedział Navasky z Departamentu Stanu o masywnym, rzeźbionym lękowym biurku, które właśnie Mead ustawiał na miejscu.

- Wszystko przyleciało z Manili razem z tą cipą - dodał Jerry Beecher. - Ten biedny sukinsyn nie będzie się do niczego nadawać, jak z nim skończą. Podobno Dolores potrafi podniecić nawet B-52.

- Nie powinni się przejmować. On na pewno wie, jak grać w tę grę. Nie trafia się na sam szczyt tylko pieprząc coś szefowi za uszami. On nie po to tu przyjeżdża,

żeby wrócić ze złymi wiadomościami. Zresztą i tak takich wiadomości byśmy mu nie przekazali. Beecher udał przerażenie.

- Co? Chcesz powiedzieć, że oczekuje się od nas, że nie będziemy całkiem szczerzy?
- Mówiąc obrazowo, oczekuje się od nas, żebyśmy też podniecili parę #-52.

Roześmiali się i zostawili Meada, żeby skończył ustawianie mebli. Był przyzwyczajony do takiego traktowania. Wiedział, że dla nich jest do tego stopnia nieważny, że nawet nie zwracają uwagi na jego obecność.

- Oni myślą, że takie koły jak my nie mają ani mózgow, ani uszu - powiedział innym żołnierzom.

Jego gniew z dnia na dzień przybierał na sile, a sny stawały się okropniejsze. Teraz widział zabitych. Ich ciała blade od utraty krwi i okaleczone, wyśmiewane przez ludzi w cywilnych garniturach i wykrochmalonych mundurach. Kobiety z obrzydzeniem wskazywały na okaleczone kikuty.

Mitchell, Dutton, Donnadio, Gonzalez i wszyscy inni zginęli na próżno. Zostali zabici nie przez nieprzyjaciela, ale zamordowani przez takich jak ci tutaj i w Waszyngtonie.

Był głupcem. Wszyscy byli głupi.

Ta myśl zakorzeniła się w jego umyśle.

Zabici nie dawali mu spokoju. Nie tylko jego koledzy, ale także i ci, których sam zabił.

Wciąż na nowo patrzył w oczy Wietnamczykowi, który klęczał przed nim i błagał o życie.

Żołnierz w tunelu był ostatnim, którego zabił. Pierwszy człowiek, którego zabił, wywołał u niego podniecenie i poczucie dumy. Zyskał też wtedy szacunek innych. Nigdy nie myślał o żołnierzach nieprzyjaciela, których zabił. To były tylko liczby, ale w końcu i tak stracił rachubę.

Teraz jednak do niego wracali. Widział ich wszystkich - znieruchomiałych na moment przed śmiercią, zanim pociągnął za spust wysyłając pocisk, który rozerwie ich kręgosłup, rozszarpie serce albo rozsądzi głowę. Widział ich śmierć w zwolnionym tempie i widział siebie nachylającego się nad nimi.

Zmarli przychodzili co noc, ale już nie krzyczeli. Teraz milczeli i tylko wpatrywali się w niego jak ten człowiek w tunelu błagający o zmiłowanie.

Pod koniec tygodnia poprzedzającego przyjazd ambasadora Mead dostał dwa wolne dni, ponieważ w biurze dokonywano ostatnich zabezpieczeń.

Zaczął pić w swojej kwaterze późnym popołudniem z zamiarem spicia się do nieprzytomności, ale żołnierze piechoty morskiej, też mający wolny weekend i kieszenie wypchane po wypłacie żołdu przekonali go, żeby wybrał się z nimi do miasta. Zaczęli od śródmieścia, od ulicy Tu Do, od barów i handlarzy narkotyków. Przesuwali się powoli do ciemniejszych i bardziej tajemniczych rejonów Szolonu. Z początku było ich ośmiu. Rozwrzeszczana grupa szukająca głównie przygód i rozróby. Kilku jednak wykruszyło się po drodze, zachęconych wyglądem, ceną lub obietnicami poszczególnych kobiet, i tylko pięciu, wśród nich również Mead, oszołomionych narkotykami, trafiło poprzez płataninę bocznych uliczek do walącego

się piętrowego budynku, przed którym stał stary Chińczyk i zapraszał ich do środka.

Sung usłyszała ich na zewnątrz, na dziedzińcu. Mieszkała w burdelu już pięć miesięcy. Choć teraz była prawie zupełnie oszołomiona narkotykami, zadrżała słysząc odgłosy zbliżających się mężczyzn, przestraszona ich krzykami i gardłowymi, prymitywnymi dźwiękami dochodzącymi z dołu. Zacisnęła powieki, ale wyczuwała ich obecność na zewnątrz, słyszała ciężkie kroki, wyobrażała sobie dzikie oczy i spocone ciężkie ciała.

Ścisnęła w dłoniach swoją szmacianą laleczkę. Przytuliła ją mocniej do siebie. Poczula, że kobiety siedzące obok niej na ławce również są napięte.

Ubrana była w luźny brązowy szlafroczek z paskiem w talii. Nie nosiła bielizny. Włosy miała brudne i rozczochrane. Jej skóra pozbawiona była blasku, ciało zupełnie zobojętniałe, a oczy puste i zaczerwienione. Siedziała na ławce bezwładnie, jak szmaciana lalka z szeroko rozstawionymi nogami i boso.

Narkotyki nie sprawiały już jej przyjemności, przynosiły jedynie ulgę. Nie czuła też już bólu, niezależnie od tego, co mężczyźni z nią robili. Znosiła wszystko, co się przydarzało, ponieważ nie trwało to długo.

Kiedy mężczyźni przychodzili do burdelu, nigdy na nich nie patrzyła. Czasami któryś z nich ją chwycił, czasami Chińczyk ściągał ją z ławki i popychał w stronę mężczyzny, a jeszcze kiedy indziej

mężczyźni urządzali sobie zabawę, wybierając kobiety. Zdejmowali z nich odzież, żartowali i wyśmiewali się z nich, dopóki nie

podjęli decyzji.

Nieliczne kobiety, które nie mogły już pracować w barach, bo były zbyt stare lub zbyt brzydkie, z wybitymi zębami lub zdeformowanymi od pobicia twarzami, czasami chichotały i kokietowały, żeby zostać wybrane, ale dziś nawet one nie próbowały zachęcać tych mężczyzn. Kulily się razem, przytulone do siebie ciasno, żeby uniknąć wyboru, ponieważ mężczyźni wyglądali niebezpiecznie.

Jeden z nich zatrzymał się przed Sung. Czują, że przy niej stoi, widziała jego buty. Nie mogła się jednak zdobyć, żeby podnieść wzrok.

Dziewczyna siedząca obok niej została ściągnięta szarpnięciem z ławki. Jeszcze dwie inne dziewczyny pochwycono i zawleczono za zasłonę z koralików, ale mężczyzna stojący przed nią tylko spokojnie czekał.

- Świetnie się pieprzy. Bierze do buzi. - Stary Chińczyk podskakiwał koło Meada.

- Lubi od tyłu.

Chińczyk zmusił ją, żeby wstała, a potem chwycił jej rękę i zmusił do dotknięcia krocza Meada, pocierania i macania.

Nie mówiąc ani słowa, Mead wyciągnął z kieszeni kilka banknotów i dał je Chińczykowi, a potem wziął ją za ramię i poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia.

Przy miednicy rozpięła mu spodnie. Trzymała go w rękach. Jeszcze nie widziała tak dużego mężczyzny. Spojrzała na niego ze strachem, wiedząc, że sprawi jej ból. Zobaczyła jego oczy. Wpatrywał się w nią intensywnie.

Trzymała go nadal, jakby zahipnotyzowana jego wzrokiem, aż cofnął się.

- Jestem czysty - powiedział.

Poprowadziła go do łóżka i zdjęła szlafroczek. Czekala, aż się rozbierze, ale kiedy nic nie robił, zbliżyła się, żeby mu pomóc. Powstrzymał ją jednak.

- Nie chcę się pieprzyć.

Zsunęła się z łóżka i klękła przed nim sięgając do jego spodni, ale on podniósł ją jedną ręką i posadził obok siebie na łóżku.

- Powiesz mi tylko, kiedy będę musiał iść.

Już zdarzali się jej mężczyźni, którzy nic nie robili. Niektórzy leżeli na niej bez ruchu, inni po prostu siedzieli, dopóki nie minął czas. Niektórzy ją bili. Kiedyś spytała o takich mężczyzn Chińczyka.

On tylko machnął ręką z rezygnacją i chodził tam i z powrotem swoim nerwowym krokiem.

- Może są zakochani w innych żołnierzach, a przychodzą tu tylko po to, żeby pokazać, że są mężczyznami. Może kochają jakiegoś boga. Religia nie oznacza nic dobrego dla kobiet ani dla alfonsów. Czasami wstydzą się swoich organów. Ci są najgorsi. Mały kutas jest przekleństwem świata.

Ten mężczyzna był jednak inny. Zażywał heroinę. Mogła to rozpoznać, ponieważ wzrok jego najpierw koncentrował się z groźną przenikliwością, ale zaraz potem rozplýwał się, i wtedy miała wrażenie, jakby zaglądała do pustego pokoju. Głowa mu opadała, ale natychmiast ją podnosił, ostrożny i czujny.

Wyjął z kieszeni garść banknotów i wypuścił je z ręki, tak że opadły na łóżko i na podłogę.

Bała się poruszyć, więc sam schylił się, żeby podnieść pieniądze i jego ręka natrafiła na lalczkę leżącą pod łóżkiem.

Zaczęła płakać. Bała się po nią sięgnąć. Bała się, że ją uderzy. Widząc lalczkę w jego wielkich dłoniach była pewna, że zaraz ją rozszarpie.

Opuściła głowę. Nie chciała, żeby zobaczył, że płacze.

Trzymał obszarpaną lalczkę z ciekawością. Potem włożył ją jej do rąk. Przytuliła ją do siebie mocno. Zauważył, że drży.

Trzymał przez chwilę pieniądze w ręku, a potem dał jej. Nie chciał położyć ich na jej nagim ciele, więc je trzymał w ręku, dopóki nie wzięła ich wstydliwie, wciąż nie podnosząc na niego wzroku.

Siedzieli obok siebie na łóżku przez kilka minut. Potem odezwał się.

- Zapomniałem. Potrzebuję pięćset piastrow na taksówkę. Podała mu pieniądze. Spojrzał na

nią z ciekawością.

- Rozumiesz mnie? Mówisz po angielsku?

- Tak - powiedziała, nie podnosząc wzroku.

Skinął głową. Siedzieli w ciszy jeszcze przez kilka minut. Potem Mead wstał i wyszedł.

Po jego wyjściu policzyła pieniądze. Dziewięć tysięcy piastrow. To było tyle, ile zarobiłaby przyjmując trzydziestu klientów. Schowała pieniądze do szlafrocza i kiedy wróciła do poczekalni prawie zapomniała o koraliku, który Chińczyk dawał za każdego klienta.

Myślała o tym mężczyźnie, ponieważ nie знаła innego. Przypominała go sobie z powodu laleczki, z powodu pieniędzy i także jeszcze z innej przyczyny. Jego oczy, postawa. Wiedziała, że on też cierpi. Chciała, żeby przyszedł jeszcze raz.

Minęły cztery dni. Mead nie mógł jakoś o niej zapomnieć. Kiedy widział, jak dwie dziewczyny w biurze wciąż się zajmują swoimi strojami i makijażem, przy-

pominał sobie tę kobietę z burdelu, nagą i drżącą na łóżku. Utkwiła mu w głowie.

Niezależnie od tego, gdzie był i co robił, widział ją trzymającą laleczkę, płaczącą i przerażoną.

Zaczęła się pojawiać nawet w jego snach i pozwoliła odpocząć zmarłym.

Jego sny nie były jednak erotyczne. Nie miał takich snów od dłuższego czasu. Nie myślał też o niej z namiętnością czy pożądaniem. Przed wojną, w szkole średniej, miewał dziewczyny na tylnym siedzeniu samochodu albo w jakiejś opuszczonej szopie. Seks był łatwy i przyjemny bez najmniejszego przejawu gniewu lub

użycia siły.

To zmieniło się z chwilą, kiedy zaczął brać udział w walkach. Okaleczył pierwszą kobietę, jaką miał w Sajgonie. Kiedy leżał w burdelu w ramionach kobiety, stawał się brutalnie agresywny. Potem za każdym razem seks wyzwalał brutalność, którą wcześniej odczuwał tylko w czasie walki. Chciał zadawać ból i użyć swego ciała do zadawania bólu. W momencie kiedy miał wzwód, nie potrafił się kontrolować, ale ta chęć zadawania bólu budziła w nim wstręt. Czuł do siebie odrazę i wstyd.

Nie miał stosunku od miesiąca, a to dlatego, że kiedy jednej nocy leżał z kobietą w burdelu i uderzał ją swym ciałem nieświadomy jej jęków i krzyków, poczuł nagle, że jakieś małe piąstki biją go i gdy podniósł głowę, zobaczył dwoje szlochających dzieci broniących swej mamy, podczas gdy on ją pieprzył.

Bardzo pragnął kobiety. Pragnienie to było tak silne jak ból, ale już sobie nie ufał.

A jednak nie mógł zapomnieć o tej kobiecie.

Jak większość żołnierzy piechoty morskiej, Mead miał swój zaniedbany pokój w mieście, a nie w koszarach, dokąd się krył, żeby się spać albo brać narkotyki, ale, w odróżnieniu od innych, nie miał kobiety.

Teraz myśl o tym zaczęła kielkować w jego głowie. Ta kobieta jest inna niż pozostałe. Jest nieszczęśliwa. Byłoby miło mieć kogoś... Kogoś, z kim można by się spotykać i rozmawiać.

Wreszcie, cztery dni później, wrócił do burdelu.

Mężczyźni rzadko przychodzili przed zmrokiem i prawie nigdy samotnie, więc Sung podniosła głowę, kiedy usłyszała stukot ciężkich butów na schodach. Siedziała na ławce razem z innymi kobietami. Poznała go natychmiast, chociaż teraz wydał się jej jeszcze wyższy i groźniejszy, niż pamiętała.

Zastanawiała się, czy chce zwrotu pieniędzy, czy zrobi jej krzywdę, żeby je odebrać, i mocno przyciskała do siebie laleczkę.

Nawet Chińczyk wydawał się zaniepokojony i trzymał się w pewnej odległości od niego.

Mężczyzna przyjrzał się kobietom siedzącym na ławce. Z wyjątkiem Sung, wszystkie odwróciły wzrok. Po raz pierwszy czuła coś pozytywnego. Chciała, żeby ją wybrał. Nie dla pieniędzy, które może jej da. Chciała tylko, żeby ją poznał. Taka zwykła rzecz - żołnierz w burdelu wskazujący właśnie na nią.

Tak też zrobił. Zapłacił Chińczykowi i dał jej znak. Wstała i poprowadziła go za zasłonę z koralików, trzymając go delikatnie za końce palców, i skierowała się

do miednicy.

- jestem wciąż czysty - powiedział, kiedy chciała mu rozpiąć spodnie. Podeszła do łóżka i rozwiązała pasek szlafrocza.

- Nie trzeba - powiedział. - Przecież nie jesteś kurwą.

- Żadna z nas nie jest - odpowiedziała.

Usiadł obok niej na łóżku i patrzył na nią z zainteresowaniem.

- Jak to się stało, że tak dobrze mówisz po angielsku?

Opuściła głowę na wspomnienie tego wszystkiego, o czym tak bardzo chciała zapomnieć.

- Kiedyś się uczyłam... Bardzo dawno temu.

Zauważył, że ręce jej drżą. Uniósł jej twarz i zajął w oczy, gdzie dostrzegł ślady otumanienia narkotykiem.

- Chodź ze mną - powiedział.

Nie mogła poruszyć głową, bo trzymał jej twarz w dłoni. Zamknęła oczy.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział. - Obiecuję, że nigdy nie sprawię ci bólu. Chodź ze mną.

- Nie mogę stąd odejść - powiedziała, nie otwierając oczu.

- Oczywiście, że możesz. To najłatwiejsze.

Otworzyła oczy i zobaczyła jego twarz bardziej twardą i surową niż twarze innych mężczyzn, jakie kiedykolwiek widziała. A jednak była pewna, że nie skrzywdziłby jej, i wiedziała, że pójdzie za nim, ponieważ była przekonana, że przy jego boku może będzie miała jakąś szansę. Jaką, tego nie wiadomo.

Podniósł ją z łóżka i wyprowadził, ale nagle zatrzymał się i zawrócił. Przyklęknął na jedno kolano przy łóżku i wrócił z lalczką w rękę. Wyszli razem przez zasłone z paciorków i szybko minęli Chińczyka. Zbiegł po schodach, ciągnąc ją za sobą na dziedziniec, a potem na ulicę.

Zawiózł ją do piętrowego budynku wtłoczonego pomiędzy inne, prawie zupełnie takie same, i poprowadził zaśmieconym korytarzem do pokoju, gdzie ze ścian zwieszała się podarta tapeta, a u otwartego okna powiewała obszarpana zasłona.

W pokoju nie było mebli. W jednym rogu leżały dwa zwinięte śpiwory. W drugim kącie stała miednica i klozet.

- Możesz tutaj zostać tak długo, jak będziesz chciała, i możesz wyjść, kiedy zechcesz. Przyniosę ci coś do jedzenia.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego mi pomagasz?

- Ponieważ nie jesteś kurwą - powiedział - i ponieważ nie jestem... zwierzęciem. Chciał powiedzieć mordercą, ale zamiast tego zamilkł i odwrócił wzrok.

- Chińczyk powiedział, że będzie mnie bardzo bolało, jeżeli przerwę branie narkotyku.

Tego wieczoru czekała, że coś powie albo o coś zapyta, ale tego nie zrobił, a kiedy położyli się na śpiworach, nie dotknął jej i zasnął natychmiast.

Obudził ją ból. W gardle jej zaschło, a mięśnie zeszytywniały. Odsunęła się cichutko od niego, ale on poderwał się i chwycił ją za gardło. Natychmiast jednak jego dłoń rozluźniła się i puścił ją. Opadł z powrotem na posłanie i patrzył. • - Musisz być ostrożna, kiedy śpię - powiedział.

- Chciało mi się pić.

Podeszła do kranu i piła łączywie.

Zapalił papierosa. W ciemności mogła dostrzec tylko czerwony punkcik, ale wiedziała, że on ją widzi.

Wyrzała przez okno na okoliczne rudery. Z każdego okna zwieszały się ubrania, a chociaż jeszcze nie nadszedł świt, ludzie kręcili się już po ulicy. Ciężarówka przejechała z hakiem, wioząc piwo i lód do barów.

- Co się ze mną stanie? - zapytała.

Patrzyła, jak czerwony ogień porusza się powoli w ciemności.

- A co chciałabyś, żeby się stało? - zapytał zmęczonym głosem. Odwróciła się do okna i wyglądała przez nie długo. Nie myślała teraz o niczym.

Wróciła do posłania i popatrzyła na niego z góry. Spał, ale wydawało się, że jest spięty. W jego śnie nie było nic łagodnego ani niewinnego.

Rano już go nie było, ale przyszła jakaś kobieta, znacznie starsza i wyglądająca prostacko.

Była dość otyła i miała szeroką, mięsistą twarz. Uśmiechnęła się i przyniosła Sung wody, kiedy ta się obudziła.

- Boli cię? - zapytała.

Sung skinęła głową. Skóra ją paliła, w kościach coś pulsowało. Starła się jednak wziąć się w karby i nie jęczeć.

- Kim jesteś?

Kobieta powiedziała, że ma na imię Hań. Kiedyś, przez wiele lat, pracowała w barach na ulicy Tu Do, zanim zamieszkała z wartownikiem z ambasady. Od tego czasu przechodziła z rąk do rąk w miarę, jak wartownicy się zmieniali.

- Masz szczęście, że Roń cię wziął do siebie. Teraz zawsze już będziesz miała chłopca, który się tobą zaopiekuje.

- To on tak ma na imię? Nie powiedział mi.

- Tak. Roń Mead. Jest przyjacielem mojego chłopca. Prosił mnie, żebym została z tobą, kiedy go nie będzie. Gadają, że on jest niebezpieczny i zabił wielu ludzi. Z moim chłopcem czuję się bezpieczniejsza. On nazywa się Bili. Podobno to jest popularne imię w Ameryce i pewnie tak jest. On tylko zje, pije i pieprzy, i jest bardzo zwyczajny. Masz szczęście, bo gdy Roń wyjedzie, znajdziesz sobie następnego. Oni są bardzo o siebie zazdrośni i chcą podrywać kobiety innym. Na ulicy może być tysiące kobiet, ale oni wolą te, które są w łóżkach innych.

Uśmiechnęła się, odsłaniając liczne braki w uzębieniu.

- Potem znowu będziesz dziewczicą dla każdego. Będą cię pieprzyć i dawać różne rzeczy. W normalnym świecie najpierw dają ci różne rzeczy, a potem dopiero pieprzą. Co roku jeden wyjeżdża i jeden przyjeżdża.

- Na jak długo?

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał cię pieprzyć i dawać prezenty, dopóki nie będziesz za stara, ale wtedy, to już nie pytaj, co robić.

Kiedy Sung opowiadała jej o sobie, Hań słuchała ze stoickim spokojem, z twarzą bez wyrazu, taką, jaką miały kobiety w burdelach, a potem powiedziała:

- Mogłabyś płakać nad losem z każdym spotkaniem na ulicy.

- A ty? - zapytała Sung.

- Mogłabyś płakać i nad moim losem, ale miałaś szczęście. Narkotyk był dla ciebie błogosławieństwem. Wszyscy Chińczycy to alfonsi, Francuzi to kurwy, nasi mężczyźni to głupcy, a Amerykanie - dzieci. Co za miejsce dla kobiety!

- Co ci żołnierze robią?

- Pilnują ambasady amerykańskiej. To piechota morska. Podobno są wspaniali. - Roześmiała się.

Mead wrócił po zmroku. Odczuwała wielki ból i tylko czasami odzyskiwała przytomność. Nie mogła jeść i musiał pomagać jej pić, ponieważ tak bardzo drżały jej ręce.

Krzyczała i chciała zderzyć z siebie skórę, musiał więc mocno ją przytrzymywać, żeby się nie pokaleczyła. Zapadała w krótki, niespokojny sen i on wtedy też drzemał. Budził się i siedział przy niej, kiedy ból był zbyt wielki.

Trzymał ją w ramionach i kołysał delikatnie, kiedy jęczała. Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi i weszło dwóch żołnierzy piechoty morskiej. Była czwarta rano, a przez całą noc spał może godzinę.

- Wysłali nas po ciebie, Roń. Twój facet przyjeżdża.

- Ma przyjechać dopiero za parę dni. Teraz nie mogę. Nie mogę jej tak zostawić.

- Hań się nią zaopiekuje. Zbieraj się. Panika w całej ambasadzie. Przed chwilą przyszła wiadomość, że Marshall przyjeżdża wcześniej. Pewnie dlatego, żeby narobić im kłopotu. Biegają jak karaluchy. Masz być na lotnisku Than Son Nhut, kiedy przyjedzie.

- Pieprzę go - powiedział Mead. - Pieprzę ich wszystkich. Obaj żołnierze przykucnęli przy nim.

- Musisz iść - powiedział Bili Catton. - Wsadzą cię do pierdła, jeżeli się nie pokażesz. Jak jej wtedy pomożesz? Zawołam Hań, a ty się ubieraj. Wszystko będzie w porządku.

- Cholera - powiedział Mead, płacząc prawie ze zmęczenia i złości, ale położył Sung na śpiworach i wstał.

Założył wykrochmalony mundur i wyglansował buty. Wypolerował mosiężne części

wyposażenia. Wszystko miał już od kilku dni przygotowane. Potem wrócił do Sung, która leżała jęcząc i drżąc na śpiworach.

Hań siedziała skulona obok niej owinięta w koc. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nigdy nie widziała jeszcze takiego wyrazu. Był łagodny i pełen litości, a równocześnie zimny jak śmierć.

Pochylił się, włożył laleczkę w dłoń Sung i wyszedł.

IX

Stos ustawionych jedna na drugiej metalowych trumien odbijał światło słoneczne tak intensywnie, jakby sam był źródłem energii, płonącym oślepiająco rdzeniem zdolnym przepalić asfalt lotniska Than Son Nhut.

Podnośnik układał ostatnią srebrzystą trumnę na wierzchołku stosu, jak pudełko zapalek. Było tam dwadzieścia trumien w czterech równych rzędach po pięć, ustawionych na palecie nieco z boku pasa startowego. Były gotowe do załadunku i powrotu do Stanów Zjednoczonych.

Przeszkadzały. Mogły stanowić wstrząsający widok dla specjalnego wysłannika prezydenta. Przeniesiono je więc w mniej eksponowane miejsce. Nie byłoby właściwe, gdyby przedstawiciel prezydenta został po przybyciu oślepiony przez zmarłych.

Wokół stosu trumien kręciło się kilku żołnierzy, starając się przykryć je brezentem, ale brezent był zbyt ciężki, żeby go zarzucić, a stos trumien zbyt wysoki, żeby go przykryć z ziemi.

Roñ Mead patrzył na trumny stojące nieopodal pasa startowego, na którym za kilka minut miał wylądować samolot wysłannika.

Żołnierze śpieszyli się, ale każda próba przykrycia trumien kończyła się niepowodzeniem. Wreszcie wspięli się na nie i podnieśli brezent do góry, przesuając je nieco przy okazji i psując symetrię.

Zleźli z trumien, otrzepali się i wytarli ręce o spodnie. Następnie zasznurowali brzeg brezentu i przymocowali sznury do kołków wbitych w ziemię.

Mead ruszył gniewnie w stronę trumien, ale zaraz powstrzymał się. Nie mógł jednak oderwać od nich oczu, jakby chciał zobaczyć, co jest w środku.

Wyobrażał sobie nie twarze, ale martwe ciała, nagie, anonimowe, obciążone plastikowym workiem, z przywieszką i zabalsamowane. Wszystkie części ciała, jeśli jakieś utracili, też były zapakowane w oddzielne torebki.

Dwudziestu zabitych - policzył. Może tam jest Landis i porucznik Bishop, albo Sutherland, albo Opieniek? Miał nadzieję, że to nie Opieniek, bo on właśnie kończył turę i miał wracać do domu. Skoncentrował się i starał się wyobrazić sobie ich twarze, ale daremnie - były zupełnie obce, pozbawione rysów i wyrazu, po prostu martwe twarze.

Przewożono tędy Mitchella i Gonzaleza, Donnadio i Duttona. Wszystkich.

Czy ich też ukrywano? - myślał zatroskany. Czy ich też odsunięto na bok, żeby nie razili oczu jakiegoś dygnitarza?

Chciał zedrzyć brezent i przeciągnąć trumny do miejsca, w którym wielki człowiek miał się pojawić, otworzyć je i zmusić go do zajrzenia do środka.

- Mead!

Aż podskoczył.

- Obudźcie się, na litość boską. Stańcie tutaj. Tu macie stać, kiedy przyjedzie. Mead przeszedł na miejsce wskazane przez pułkownika Waggonera.

- Nie. - Waggoner zmienił zdanie i kazał mu stanąć o kilka metrów dalej. Mead przesunął się.

Waggoner znów się zastanowił, pokręcił głową i kazał mu wrócić. Jak mebel, pomyślał Mead i cofnął się.

- Dobrze - powiedział Waggoner. - Zostańcie tutaj i uważajcie. Wiecie, co madę robić?

- Tak jest.

- Powtórzcie.

- Mam go ochraniać i pilnować, żeby nikt nie podchodził zbyt blisko, chyba że ambasador zechce nawiązać kontakt.

- Co wy pieprzycie, cholera.

- Wiem - powiedział Mead nieco zmieszany nie tym, że nie zna swoich obowiązków, ale tym, że nie wie, jak to wyrazić. - Nie chodzi o generała Westmorelanda, czy ambasadora Bunkera, ale o... plotki.

- Właśnie. Macie to załatwić dyskretnie. -Jak?

- Jezu! - warknął Waggoner. - Czy zamierzacie odpychać ich z drogi, kłuć ich bagnietem?

- Nie, sir. Będę ich tylko blokować, jak w futbolu.

- Właśnie... Ale bez dotykania.

- Wiem, co mam robić - powiedział Mead.

- I ja wiem, że wiecie - powiedział Waggoner, klepiąc go po ramieniu. - Wszyscy jesteśmy trochę zdenerwowani.

Otarł pot z czoła i odszedł. Mead zauważył, że pocili się prawie wszyscy. Wszystkie nowo założone mundury były już przepocone, z wyjątkiem munduru Meada i kilku innych osób.

Zbliżała się już jedenasta i chociaż po pięknym, jasnym poranku nastąpił bezchmurny dzień, wcale nie wydawało mu się, że jest gorąco. Zaznał przecież upału panującego w dżungli, podczas gdy oni wszyscy pracowali w klimatyzowanych biurach i spali w klimatyzowanych kwaterach. Tylko bardzo ważna osobistość mogła ich skłonić do wyjścia na słońce w taki dzień.

Ze swego dobrego punktu obserwacyjnego przed frontem grupy, gdzie się znalazł, żeby móc stanąć za Marshalllem zaraz po jego pojawieniu się, Mead mógł podziwiać cały ten taniec komitetu powitalnego.

Nawet kiedy prezydent Johnson dekorował go w zatoce Cam Ranh, nie było tylu generałów i dygnitarzy. Wtedy też Mead stał godzinami na słońcu, kiedy ćwiczyli bez przerwy tę uroczystość. Bohaterowie ustawieni w szyku, marsz do przodu po odznaczenie, powrót.

Jakiś dziwnie wyglądający major, bez przerwy gestykulujący i wymachujący rękami, poustawiał wszystkich według stopnia, a osoby w tym samym stopniu według wzrostu. Czterech trzygwiazdkowych generałów też ustawiono według wzrostu, podobnie jak innych generałów i cywilów, żeby wszystko wyglądało estetycznie. Z przodu stali tylko ambasador Bunker i generał Abrams, zastępca Westmorelanda.

Mead z nudów usiłował policzyć gwiazdki, ale było ich za dużo, a blask słońca odbijał się od lśniącego srebra na mundurach, tak że małe punkciki blasku lśniły jak miniaturowe repliki stosu trumien.

«tjtj»

Mead rozpoznał jedynie ambasadora Bunkera, generała Abramsa, kilku innych generałów i wyższych urzędników z Departamentu Stanu i Zjawę, jak żołnierze piechoty morskiej z ambasady nazywali Wilsona Abbota Lorda, który oficjalnie występował jako konsul, ale wiadomo było, że jest wyższym urzędnikiem CIA.

Lord nie pocił się, co Mead zauważył bez zdziwienia, a na jego twarzy, w odróżnieniu od wszystkich innych, malowało się znużenie. Abrams był zmartwiony, Bunker zaniepokojony, a wszyscy pozostali - niepewni i zdenerwowani. Jedynie Lord nie wykazywał żadnego zainteresowania tym, co się wokół działo. Mead kilka razy poczuł na sobie jego wzrok prawie tak intensywny jak promień lasera, ale za każdym razem, kiedy na niego spojrział, Lord wydawał się daleki i obojętny.

Lord był jedyną osobą, która wzbudzała zainteresowanie Meada. Wszyscy inni wydawali się nie tak ważni i potężni ze swoją nadwagą zniekształcającą ciała, spoceni i starzy. Lord był inny. Mead wyczuwał, że jest niebezpieczny jak mało kto. Gdyby miał wybierać sojuszników w walce, wybrałby przede wszystkim Lorda. Lord też był ostatnią osobą, którą chciałby mieć jako wroga.

Chociaż Lord stanowił część komitetu powitalnego, trzymał się z boku i wydawał się odprężony, a pomimo to czuło się, że jest napięty jak sprężyna.

Pracownicy ambasady bawili się w wykrywanie pracowników CIA i zgadywanie ich stanowisk. Ponieważ wartownicy z piechoty morskiej prowadzili rejestr wchodzących i wychodzących z budynku, i wiedzieli, kto ma dostęp do jakich części gmachu, uznali Lorda za wyższego urzędnika i nazwali go Zjawą, ponieważ nie trzymał się ustalonych godzin, często przychodził do pracy w środku nocy, nigdy nie widywano go w towarzystwie innych pracowników i nigdy z nikim nie rozmawiał. Tyle przynajmniej wiedzieli wartownicy.

Kilkakrotnie o trzeciej czy czwartej rano Mead spotykał Lorda legitymującego się swoją przepustką. Na jego „dzień dobry, panie Lord”, tamten odpowiadał lekkim, zwyczajnym skinieniem głowy, bez wyższości czy gburowatości.

To właśnie obecność Lorda, a nie Bunkera czy Abramsa, pozwoliła Meadowi zrozumieć

znaczenie przyjeżdżającego człowieka.

Szczególnie wyrazisty profil Lorda o prostym nosie był zwrócony w stronę zbliżającej się orkiestry i kompanii honorowej. Nagle Mead zobaczył sznur samochodów wyjeżdżających na pas startowy zza budynku dworca lotniczego, eskortowany przez policjantów na motocyklach i żołnierzy w dżipach.

- Żółtki. - Mead usłyszał chór zaskoczonych głosów, który podniósł się w reakcji na wyjące syreny i migające światła oznaczające przybycie przedstawicieli rządu Wietnamu Południowego.

Dygnitarze zeszytywnieli na widok zbrojnego konwoju, a Mead odbezpieczył karabin. Teren wokół nich został otoczony przez wietnamskich spadochroniarzy. Dwóch z nich ustawiło się bezpośrednio przed Meadem.

Kłopotliwa sytuacja została wyjaśniona przez ambasadora Bunkera, który wysunął się do przodu, żeby powitać najwyższego rangą Wietnamczyka. Już po chwili wszyscy ściskali sobie dłonie. Spadochroniarze stojący naprzeciw Meada skinęli mu przyjaźnie, a potem wskoczyli do dżipa i odjechali.

Amerykanie przesunęli się, żeby zrobić miejsce Wietnamczykom, okazując im głęboki szacunek. Zbyt głęboki, pomyślał Mead. Wyjątkiem był Lord. Powitał on

człowieka, który stanął obok niego, takim samym skinieniem głowy, jakim witał Meada.

Znowu pojawił się major i zmienił ustawienie, ale cała symetria została zupełnie zrujnowana. Ponieważ niżsi wzrostem od Amerykanów Wietnamczycy stali głównie po lewej stronie, cały pas startowy wydawał się nachylony. Patrząc na komitet powitalny, Mead czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

Nie miał pojęcia, kim są ci ludzie. Prezydent Thieu i wiceprezydent Ky byli jedynymi Wietnamczykami, których mógłby rozpoznać, oprócz Ho Szi Mina. Chodził jednak na kurs protokołu i wiedział, że najważniejszy Wietnamczyk w tej grupie musi zajmować stanowisko równe stanowisku przyjeżdżającego Amerykanina.

Poczuł na sobie wzrok Lorda, ale kiedy szybko spojrział na niego, ten patrzył już w przestrzeń na niewielki srebrzysty punkcik, który pojawił się na horyzoncie.

Młody oficer Sił Powietrznych dotknął delikatnie ramienia Marshalla.

- Lądujemy za kilka minut, sir.

Marshall otworzył oczy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest i na kogo patrzy.

- Sajgon - podpowiedział mu oficer. Marshall uśmiechnął się.

- Dziękuję. Wiedziałem, że dzisiaj miałem dokądś pojechać.

Spojrzał na zegarek. Wskazywał godzinę trzecią, ale Marshall nie wiedział, czy w dzień, czy w nocy. W kabinie było ciemno. Na oknach zaciągnięto zasłony.

- Trzeba przestawić zegarek, sir. Jest jedenasta rano. Spał pan prawie cztery godziny. Czy mogę coś panu podać? Kawę? Sok?

- Czy macie może amfetaminę?

Oficer był tak zdziwiony, a potem pełen powątpiewania, jakby zastanawiał się, czy pytanie jest poważne i jak ma na nie odpowiedzieć. Marshall roześmiał się.

- Dziękuję. Kawa wystarczy.

Wstał i poszedł do łazienki, żeby się umyć.

Patrząc w lustro uznał, że pomimo tak długiego lotu nie wygląda wcale źle. Lot prosto z Waszyngtonu z międzylądowaniami w Anchorage i Tokio dla uzupełnienia paliwa trwał już osiemnaście godzin. Łącznie udało mu się przespać może sześć godzin.

Przybywał o trzy dni za wcześnie.

W godzinę po starcie z Waszyngtonu zawiadomił Tokio, że nie zatrzyma się, tylko uzupełni paliwo i uda się prosto do Sajgonu. Chciał uniknąć kłopotliwego i czasochłonnego pobytu w Tokio oraz ceremonii w Sajgonie.

Podczas gdy wielu tylko udawało pogardę dla ceremonii, Marshall szczerze nienawidził pompy protokolarnej. Jego niechęć zrodziła się w czasach koreańskich, kiedy to jednostka, w której służył, otrzymała rozkaz przygotowania się do inspekcji przez generała. Ranni zbierali papierki i wrywali chwasty na pobojuwisku. Dół latryny został zasypany, żeby oszczędzić zapachów grupie inspekcyjnej, a kiedy Marshall odmówił wydania rozkazu swoim ludziom skoszenia trawy przy rowie odpływowym, zagrożono mu sądem polowym, sam więc wykonał tę pracę.

Generał dokonał inspekcji nie wysiadając z dżipa. Samochód nawet nie zwolnił, przejeżdżając

przez teren jednostki.

Teraz, kiedy rozpoczynał misję, dał wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnego komitetu powitalnego, kompanii honorowej ani powitalnych przemówień. Wolał nie odczuwać niechęci ludzi, którzy zostali zmuszeni do uczestnictwa w powitaniu. Nienawidził tego widowiska publicznego podlizywania się. Czuł się wtedy obrzydliwie.

Ryan był już w Fort Bragg. Za trzy miesiące znajdzie się w Wietnamie. Marshall ze straszliwą pewnością wiedział, czym to się skończy.

Szkoda mu było tracić trzy dni w Tokio czy choćby trzydzieści minut na ceremonię powitalną w Sajgonie, skoro miał ocalić swego syna.

To co czuł, nie było strachem. Strach to uczucie niskie i małostkowe. Odczuwał strach o siebie na Guadalcanal i pod Chosin. To, co odczuwał w odniesieniu do Ryana, było przerażeniem, tak ciężkim i bolesnym, że nawet zastanawianie się nad tym przytłaczało go.

Kiedy wrócił z łazienki, zasłony w oknach były rozsunięte, łóżko złożone i kabina przemieniła się w wygodny gabinet. Kawa i skromne śniadanie już na niego czekały.

Popijając kawę wyglądał przez okno. Samolot zniżał się i można było dostrzec kontury ziemi w dole: Morze Południowochińskie, dżungla i Delta, przez którą wiała się rzeka Sajgon. Błękity i zielenie tak ostre, że aż mieniło się od nich w oczach. Z tej wysokości kraj wydawał się pogodny i spokojny, pokryty zielenią, lazuruwy.

Lecieli coraz niżej. Piękno zaczęło wykazywać skazy i braki. Dżungla była pozbawiona liści. Tu i ówdzie świeciły wielkie łysiny nagiej ziemi. Krajobraz psuły metalowe bąble baraków w bazach wojskowych, wieże ciśnień, ciężarówki, czołgi, samoloty.

Wreszcie ukazało się miasto. Unosiła się nad nim chmura zanieczyszczeń.

Prezydencki samolot oznaczony godłem Stanów Zjednoczonych zaczął podchodzić do lądowania. Sampany i bawoły w wodzie, pola poprzecinane zwojami drutów kolczastych, baraki i obozy wojskowe tworzyły brudny strup wokół miasta, a samo miasto zdawało się rozlewać na równinę. Wyglądało jak jakiś potworny owad wszędzie zapuszczający swoje czółki.

Marshall zapiął pas i położył ręce na kolanach. Obserwował przez okno, jak samolot wchodzi w ostry skręt, a potem jak strzała mknie w kierunku pasa startowego.

Zobaczył orkiestrę, kompanię honorową i czerwony chodnik, zanim jeszcze samolot dotknął kołami ziemi.

- Cholera - powiedział tak głośno, że oficer, który przed lądowaniem zajął miejsce w przedniej części kabiny, wyjąkał „przepraszam, sir” myśląc, że Marshall tak zareagował na twarde lądowanie.

Kiedy samolot kołował, Marshall dostrzegł wielkość oczekującej grupy i zdenerwował się. Nie chciał tego. Przecież powiadomił ich, że powitania ma nie być. Za kogo oni go uważają?

Gniew jednak przycichł i przeszedł w irytację. Nic nie można zrobić. Nie warto podnosić szumu wokół nieporozumienia czy dobrych intencji.

Odpiął pas i wstał zrezygnowany, gotów poddać się rytuałowi.

Nie był jednak przygotowany na falę upału, która go ogarnęła, na oślepiający blask słoneczny, na kakofonię dźwięków wywołanych przez grającą orkiestrę

i ryczące silniki. Upał, światło i hałas oszołomiły go. Opanował chęć cofnięcia się. Zaczął nieco chwiejnym krokiem schodzić ostrożnie po schodkach.

Gniew powrócił, wywołany tym razem jego własną nieporadnością, dokuczliwą sytuacją i niespodziewaną uroczystością powitalną. Hamował się tylko dlatego, że chciał być uprzejmy wobec siedemdziesięcioletniego ambasadora Bunkera.

Odbyli formalny rytuał i wymienili powitania. Następnie starszy poprowadził Marshalla po czerwonym chodniku, żeby przedstawić mu innych.

Oficerowie salutowali, Marshall wymieniał z nimi uściski dłoni i przyjął od generała Abramsa przeprosiny Westmorelanda, że pilne sprawy wojskowe uniemożliwiły mu udział w powitaniu.

Następnie pojawił się wietnamski minister spraw zagranicznych i nastąpiła kolejna tura prezentacji.

Orkiestra odegrała oba hymny narodowe, pochyłono sztandary, Bunker wygłosił krótkie przemówienie powitalne, a minister spraw zagranicznych dłuższe, wyrażając wdzięczność za pomoc udzieloną w przeszłości i obiecując współpracę w walce

0 wolność.

Marshall nie miał przygotowanego przemówienia i kiedy dano mu do ręki mikrofon, nie mógł przypomnieć sobie nazwiska ministra spraw zagranicznych. W dławiącym upale uciekły mu z głowy nawet najzwyczajsze zwroty grzecznościowe.

- Panie ministrze, panie ambasadorze, panowie. Dziękuję za tak miłe powitanie. Jestem tu na prośbę prezydenta Stanów Zjednoczonych i przywożę wam...

W tym momencie podmuch z silników odrzutowych zerwał brezent przykrywający trumny. Południowe słońce odbiło się w osłepiającym wybuchu blasku od ich metalowej powierzchni zmuszając Marshalla do podniesienia ręki i przysłonięcia oczu.

Po chwili opuścił rękę i spojrzął na stos ustawionych trumien. Słońce połyskujące na metalu hipnotyzowało go. Światło było takie samo jak na plaży w Guadalcanal

1 tak samo go osłepiało jak blask odbity od śniegu pod Chosin. Zobaczył swego syna. Wyraźnie widział Ryana w tych trumnach. We wszystkich. Ryan leżał w każdej z tych trumien.

Wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć, na co patrzy Marshall, kiedy przerwał swoje przemówienie. Przez moment panowała grobowa cisza.

Mead, stojący tuż za nim, odniósł wrażenie, jakby Marshall został trafiony pociskiem. Cofnął się, potem powoli się wyprostował, ale z gniewu pozostał lekko przygarbiony. Mead czuł, jak ten gniew z niego emanuje.

Lord również dostrzegł gniew. Zauważył, jak brezent napina się i szarpie za kołki, a kiedy podmuch go zerwał, odwrócił się, żeby zobaczyć, jak zareaguje Marshall.

Najpierw był szok, potem zrozumienie tego, co się ukazało jego oczom, dziwna mieszanina cierpienia i poczucia klęski, jakiejś bardzo osobistej boleści, a potem gniew rosnący do takiej furii, że Lord, którego rzadko cokolwiek zaskakiwało, aż znieruchomiał.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że Langley zupełnie pomyliło się co do Marshalla. To on miał rację. To jest prawdziwy wróg, pomyślał Lord.

Ogarnęło go nagłe obrzydzenie. Marshall reprezentował sobą wszystko to, czym pogardzał. Był naiwnym, ściskającym wszystkim dłonie liberałem z otwartym sercem, który pozwolił komunistom wygrać wojnę i zdradzi właśnie tych ludzi, których trumny tak go poruszyły.

To on, zrozumiał Lord, jest najniebezpieczniejszym człowiekiem w Wietnamie. To on może osiągnąć to, czego Wietnam Północny i Wietkong nigdy osiągnąć nie zdołały - zwycięstwo.

Marshall nie przyjechał tutaj obserwować. Był tu po to, żeby załagodzić konflikt w drodze ustępstw i zdradzić. Lord wiedział, że Marshall mógłby to osiągnąć.

On mu jednak na to nie pozwoli. On, Lord, przejrzał go i teraz go powstrzyma.

Lord przeniósł wzrok z Marshalla na stojącego obok niego żołnierza piechoty morskiej. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a gdy Mead poczuł na sobie jego wzrok, Lord nie odwrócił głowy. Ich oczy się spotkały i Lord lekko skinął głową.

- ...pozdrowienia - powiedział Marshall ostro i cofnął się od mikrofonu. Ambasador Bunker jeszcze raz uściśnął mu rękę i poprowadził do czekającego samochodu.

Otwarto drzwi i wymieniono ostatnie powitalne gesty. Marshall wsiadł, a Mead stojący tuż za nim pochylał się, żeby wsiąść także.

- Kto to jest? - zapytał Marshall ostrzej, niż zamierzał. Mead cofnął się gwałtownie.

- Sir, jestem... Jestem...

Generał Abrams podszedł do samochodu.

- On stanowi pańską ochronę, sir.

Grupka dygnitarzy stanęła półokręgiem przy samochodzie. Mead stał niepewnie pośród nich, upokorzony widowiskiem, którego stał się przyczyną.

- Ochrona? - powiedział Marshall niechętnie. - Myślałem, że to Sajgon, a nie Hanoi. Czy tu nie jest bezpiecznie? Przypuszczam jednak, że te trumny są wystarczającym wyjaśnieniem.

Abrams, z twarzą poważną i nieustępliwą, pochylał się przy samochodzie.

- W strefie walk nie ma bezpiecznego rejonu. Ja odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo i ja rozkazałem, żeby stosować ochronę.

- Nie chcę ochrony, generale.
 - Przykro mi, ale to jest konieczne, ekscelencjo.
- Obaj mężczyźni patrzyli na siebie. W końcu Marshall ustąpił.

- Jeżeli to jest pańska przemyślana decyzja, to oczywiście.
- Dziękuję - powiedział Abrams, po czym prawie wepchnął Meada na tylne siedzenie.

Mead usiadł tak daleko od Marshalla, jak tylko to było możliwe. Marshall ignorował go. Wciąż patrzył na trumny.

Mead nie wiedział, co ma robić. Też patrzył w okno. Lord stał samotnie ze wzrokiem skierowanym prosto na niego.

X

Lukę Bishop siedział w podziemnym bunkrze na zewnętrznym stoku Wzgórza 742 na północnym skraju bazy Khe Sanh. Patrzył przez noktowizor na łańcuch wzgórz zajmowanych przez nieprzyjaciela. Poszarpana linia wznosząca się nad równiną w odległości półtora kilometra wydawała się Bishopowi mroczną fortecą zła.

Przez urządzenie wzmacniające światło gwiazd równina rozciągająca się między ich pozycją a pasmem odległych wzgórz wyglądała jak krajobraz księżycowy, nieruchomy i opuszczony, poznaczony kraterami i absolutnie martwy.

Bishop jednak wiedział, że tej nocy nieprzyjaciel tam jest. Czuł to. Przesuwał szkła powoli, ale nie dostrzegł żadnego ruchu na równinie. Wreszcie odłożył noktowizor i przetarł oczy. Wyczerpany oparł głowę o worek z piaskiem.

Pluton Bishopa tkwił na tym wzgórzu od miesiąca. Dwie noce temu patrol nieprzyjacielski zaatakował ich. Zginęło dwóch jego ludzi. Zostało jeszcze dwudziestu trzech.

Wzgórze było ostatnią placówką przed Strefą Zdemilitaryzowaną, ugięciem oznaczonym wybuchami pocisków, pozbawionym roślinności, który kiedyś, przed wojną, był zielonym oceanem dżungli. Na szczegółowej mapie bazy Khe Sanh ich placówka była zaznaczona małym niebieskim kółeczkiem. Jeszcze mniejsze kółeczko znaleźć można było na mapach batalionowych i pułkowych, i maleńką kropkę na mapach dywizyjnych. Na mapach korpusu i grupy armii w ogóle jej nie zaznaczono. Na mapach nieprzyjacielskich została zaznaczona czerwonym kółeczkiem, czerwoną kropką, a na mapach większych jednostek też jej nie było.

Tuż za granicą Strefy Zdemilitaryzowanej ciągnęło się pasmo wzgórz, na których znajdowały się wysunięte placówki nieprzyjaciela. Te dwie pozycje, mieszczące się naprzeciw siebie po dwóch stronach zdewastowanej równiny, były jak dwie kolonie bakterii na zakażonej ranie.

Dni w Strefie Zdemilitaryzowanej były upalne. Światło słoneczne drżało nad rozgrzanym piaskiem, a ludzie kryli się w bunkrach przed upałem. Noce jednak były chłodne. Wiatr wiał od pustyni, a pagórki wyglądały w świetle księżyca jak wzburzone morze.

Bishop wiedział, że nieprzyjaciel tam teraz jest. Obowiązek kazał mu podnieść głowę i jeszcze raz zbadać teren.

Trzy miesiące walk pozostawiły na jego twarzy ślady napięcia. Wyglądał na tak zmęczonego, że zwykły sen nie mógłby przywrócić mu sił. Wyglądał też starzej niż na swoje dwadzieścia dwa lata.

Od czasu pierwszej bitwy i śmierci Duttona zginęło jeszcze siedmiu ludzi. A jednak Bishop nadal wierzył w wojnę. Teraz jego wiara przeszła w zajadłą determinację - za wszelką cenę udowodnić, że te jatki nie były daremne. Święty ogień jego patriotyzmu został przytłumiony. Ołtarz, na którym postawił wielką sprawę, legł w gruzach. Teraz już nie wiedział, w co wierzyć. Był jednak pewien, że wierzy. Poniesiona ofiara była święta. Zabici uświęcali ogień. Ich krew namaściła ołtarz.

Za jego plecami zaskrzypiały schody z desek pod ciężarem butów. Bishop odwrócił się i zobaczył, że do bunkra wchodzi Brock. Jest doskonałym sierżantem, pomyślał Bishop, ale również męczącym towarzyszem, był zbyt naładowany cynizmem i gniewem.

- Oni dzisiaj tam są, sierżancie.

Brock usiadł na skrzynce z amunicją, zrzucił buty i zaczął masować stopy.

- Oni tam są co noc, panie poruczniku. Oni tam mieszkają. To jest ich pieprzony kraj.

Bishop nie chciał, żeby Brock jak zawsze wygłosił swoją tyradę, więc znowu podniósł

noktowizor do oczu. Brock potrafił mówić tylko o kobietach, opowiadać stare historie wojenne i opisywać bezsens ich obecnego położenia, toteż Bishop miał uczucie, jakby byli małżeństwem od dwudziestu lat. Tak naprawdę, pomyślał Bishop, gdyby żył z kobietą przez dwadzieścia lat, nie chciałby poznać jej tak dobrze, jak poznał Brocka.

Nagle rozległ się trzask i bunkier wypełniły piski szczura.

- Ten cholerny Landis - syknął gniewnie Brock. - Mówiłem mu już setki razy, żeby przestał zastawiać pułapki.

Brock chwycił karabin i podszedł do szamoczącego się i piszczącego zwierzątka, starającego się wyrwać z pułapki zmiażdżoną nóżką. Opuścił karabin, który opadł całym ciężarem, rozgniatając głowę szczura, i wrócił na swoje miejsce na skrzynce.

- Pewnego dnia szczury zbuntują się i wszystkich nas załatwią - powiedział Bishop, nie odwracając się od noktowizora.

- To niech się pośpieszą, bo inaczej żółtki wykończą nas wcześniej - mruknął Brock. Masował sobie wielkie palce u nóg i przyglądał się martwemu szczurowi. -Dlaczego nie robi się pułapek, które od razu zabijają szczury?

Brock przez chwilę zastanawiał się nad własnym pytaniem.

- A może to lepiej, że nie zabijają ich od razu. Jeżeli sukinyś cierpi, inne go słyszą i trzymają się z dala.

Bishop rozglądał się po pustkowiu.

- To dlaczego roi się tu od szczurów i dlaczego ciągle wpadają do pułapki? Brock zastanowił się chwilę.

- Z tego samego powodu, dla którego pan i ja siedzimy w tym przeklętym bunkrze, panie poruczniku - powiedział wreszcie, a potem, żeby Bishop dobrze zrozumiał, co ma na myśli, chwycił karabin i pokazał mu kolbę umazaną krwią. - Piechota morska nie kryje się w bunkrach, panie poruczniku. Piechota morska nie siedzi na jakimś tam pagórku. Mrówki tak robią i Armia - oznajmił z lekceważeniem.

- Niech pan nie zaczyna, sierżancie - powiedział Bishop, odkładając noktowizor. - Mam rozkaz utrzymać to wzgórze. Wie pan, że uważam to za głupotę, ale - tu wskazał na swoje dystynkcje porucznika - co mogę zrobić?

- To pieprzone miejsce, to nic innego jak Dien Bien Phu. Wiem, że jestem tylko sierżantem i nie studiowałem strategii, ale...

- Obejmiesz pierwszą wartę, dobrze? - zapytał Bishop, zbywając Brocka. -Muszę przespać się parę godzin. Przez pewien czas nic się nie stanie.

Podszedł do swojego śpiwora leżącego w kącie. W bunkrze było ciemno i cicho. Podłogę stanowiła ubita ziemia, wilgotna, nasiąknięta wodą, a nisko umieszczony

wzmocniony dach całkowicie zatrzymywał w nim zduszone powietrze, cuchnące spoconymi ciałami i tytoniem.

Bishop zdjął podartą kurtkę i położył się, wsuwając ją sobie pod głowę jak poduszkę, i okrywając się pałatką. Nie kapał się od dwóch tygodni. Czuł na sobie skorupę brudu. Usta miał zaschnięte.

Analizując swoje samopoczucie poczuł krótki przeblysłk pożądania, jakieś pulsowanie w kroczu, ale wyczerpanie szybko je stłumiło.

Może i zasnął, tylko że sny, wspomnienia i rzeczywistość były tak ze sobą przemieszane, a sen tak niespokojny, że czasami nie był pewien, czy śpi, czy nie. Wezwanie przez polowe radio od razu go otrzeźwiło.

- Brawo Jeden, Brawo Jeden, tu Brawo Sześć. Brock włączył mikrofon.

- Brawo Sześć, tu Jeden Alfa.

- Brawo Jeden, tu Brawo Sześć - powtórzył jednak dowódca kompanii z obraźliwym naciskiem.

Brock odłożył mikrofon.

- To musi dotyczyć ogólnego wysiłku wojennego albo jakichś wielkich problemów strategicznych. Nie chce rozmawiać z sierżantami. Chce mówić z panem, panie poruczniku.

Bishop zwłókł się ze śpiwora, uśmiechając się, chociaż przerwano mu sen.

- Brawo Sześć, tu Brawo Jeden.

- Brawo Jeden, przygotuj się do zanotowania współrzędnych punktu nasłuchowego. Chociaż Bishop usłyszał wyraźnie, jeszcze raz włączył mikrofon na nadawanie.

Dwuosobowy punkt nasłuchowy nie ma prawa być wysłany tak późno. Nocny wymarsz na otwartym terenie, gdy nieprzyjaciel też jest w ruchu, mógłby okazać się samobójstwem.

- Brawo Sześć, tu Brawo Jeden. Powtórz.

- Jeden, tu Sześć. Zanotować współrzędne punktu nasłuchowego.

- Sześć, odmawiam. Rozkaz niewykonalny - powiedział Bishop, czując narastający gniew.

Nastąpiła chwila ciszy. Zaraz jednak radio odezwało się znowu z naciskiem.

- Brawo Jeden. Wyślesz patrol nasłuchowy. Istnieje możliwość, że nieprzyjaciel zainstalował wyrzutnię rakiet. Współrzędne... Gotów do zanotowania?

Bishop chciał spierać się dalej, ale tylko wpatrywał się w mikrofon wiedząc, że decyzja została już podjęta przez przełożonych i musi się zastosować.

- Gotów - powiedział wreszcie.

- Podać czas wyjścia patrolu - powiedział kapitan Evans, kończąc nadawanie. - Utrzymywać łączność na tej częstotliwości, żeby móc nadzorować sytuację.

- Jezu - szepnęła Bishop, wciąż trzymając mikrofon w rękę. Brock spokojnie oliwił rozłożony karabin.

- Trzeba się połączyć z nim za piętnaście minut i zameldować, że patrol właśnie wyszedł, a potem udawać, że rozmawiamy z nimi przez radio. Niech pan nawet nie myśli o wysyłaniu kogokolwiek w teren tej nocy. To taki dupek z wyższym wykształceniem - powiedział Brock oliwiąc lufę karabinu. - Przepraszam, panie poruczniku.

- Za co? - odparł Bishop, bardziej do siebie niż do Brocka.

- On się bawi, panie poruczniku. Siedzi sobie czyściutko i spokojnie w Khe Sanh ze swoimi mapami i kredkami, i nie wystawia swojej dupy na niebezpieczeństwo tu, na linii. Pieprzę go.

Brock złożył karabin, nawet nie patrząc na to, co robi.

- Taki jest rozkaz, sierżancie.

- Jezu, panie poruczniku - powiedział Brock z obrzydzeniem. - Niech pan mi nie wciska kitu. Nie mam ochoty wdawać się w akademickie spory na temat obowiązku, etyki i całego tego gówna. Niektóre rozkazy są słuszne, inne nie. Niektóre się wykonuje, a innych nie. Pan jest tu na tyle długo, że już pan się w tym orientuje. A teraz niech pan przestanie pieprzyć i idzie spać. Ja wszystko za pana załatwię.

- Sierżancie - powiedział Bishop łagodnie. - Przecież pan wie, że nie mogę nie wykonać rozkazu.

- Lepiej, żeby pan go nie wykonał, panie poruczniku. Nie jest pan jakimś zielonym poruczniczyką, który dopiero co wysiadł z samolotu. Pan doskonale wie, że tak się ludzi nie wysyła.

Brock zdawał sobie jednak sprawę, jak młody i niedoświadczony jest Bishop. Dostrzegając niebezpieczeństwo kryjące się w obecnej sytuacji, podszedł do niego i chociaż niższy, położył mu ręce na ramionach i zmusił, żeby usiadł na skrzynce z amunicją. Potem pochylił się tak, że oczy ich były na tym samym poziomie, i przybliżył twarz tak, że Bishop mógł dostrzec kropelki potu nad górną wargą i szczecinę na brodzie.

- Niech pan posłucha, panie poruczniku. Służę w Korpusie od dwudziestu lat. Spędziłem więcej czasu w polu niż pan w szkole. Widziałem...

Przerwał, a w głębi jego oczu Bishop dostrzegł mroźną pustkę Korei, żołnierzy brnących przez śnieg, zgiętych wół i kulących się w krwawej, lodowatej brei. Głębiej dostrzegł dżunglę i więcej krwi, i pustynię, i to wzgórze, na którym byli.

Bishop zamknął oczy, a gdy je otworzył, zobaczył swoje odbicie w oczach sierżanta.

- Jest pan dobrym oficerem, panie poruczniku, ale coś panu powiem. W rozkazach nie ma nic świętego. Czasami rozkazy są błędne, panie poruczniku. Nie można zawsze robić tego, co każą.

- Może ta wyrzutnia rakiet jednak tam jest - powiedział Bishop.
- Pewnie jest. Mają pewnie też kantinę.
- Placówka nasłuchowa mogłaby ją wykryć.
- Na litość boską! - wykrzyknął Brock. - Placówka nasłuchowa nie przetrwa tam nawet godziny. Zauważą ich, jak tylko przejdą przez zasieki. Jeżeli wyśle pan tam dwóch ludzi, panie poruczniku, to pan ich zabije.

- Nie mam wyboru, sierżancie - powiedział niemal błagalnie Bishop.

- Nie ma pan prawa - sprzeciwił się Brock. - Nikt nie ma prawa zabijać dwóch ludzi w ten sposób. Nawet na rozkaz. Żaden powód nie jest wystarczająco dobry.

Brock wyciągnął rękę i potrząsnął nim.

- Ilu ludzi straciliśmy? Jedenastu? Dwunastu? Nawet dokładnie nie pamiętam. Pan ich jednak nie zabił. Starał się pan, jak mógł, i nie popełnił pan żadnych

błędów, no... może wtedy, kiedy pozwolił pan Meadowi wejść do tunelu, ale nawet i to dobrze się skończyło. Nie ma pan nikogo na sumieniu, panie poruczniku, ale teraz to koniec. Nie rozumiem, jak pan wciąż może wierzyć w tę pieprzoną wojnę. To już jednak pańska sprawa. To, w co ludzie wierzą, to ich sprawa. Nawet takie szaleństwa jak religia. Ale, do diabła, to przestaje być pańską sprawą, jeżeli zaczynają ginąć ludzie.

Spojrzał Bishopowi prosto w oczy.

- Niech pan tego nie robi, panie poruczniku. Nie można tam posłać dwóch ludzi.

- Przecież nie mogę nie wykonać rozkazu, sierżancie. Nie mogę wybierać, który rozkaz mam wykonać, a którego nie. Jestem tylko porucznikiem. Dowódca nie wydał mi rozkazu sprzecznego z prawem, a my nie jesteśmy cholernym trybunałem norymberskim. Rozkaz jest ważny.

- To jest wyrok śmierci i pan o tym wie. Po wygłoszeniu tego zdania Brock zamilkł.

- Myślałem, że pan jest inny, panie poruczniku - odezwał się po chwili. - Myślałem, że jest pan lepszy od innych.

- Nie jestem - powiedział cicho Bishop, spuszczać głowę. Brock stał nad nim jak góra lodowa.

- W takim razie niech pan napisze nazwiska tych ludzi na kartce, panie poruczniku. Niech pan napisze nazwiska tych ludzi, których chce pan zabić. Niech pan zapisze te nazwiska na kartce, wsadzi do portfela i nosi je ze sobą do końca życia, ponieważ to pan ich zabije.

Bishop odwrócił się. Był w pułapce. Brock ma rację, ale tu nie chodzi o rację. Przez wiele minut patrzył w pustkę przez noktowizor. Nic się nie zmieniło. Jeżeli śmierć zajmuje jakieś konkretne miejsce w przestrzeni, to właśnie tam, pomyślał Bishop.

Napisał wreszcie dwa nazwiska na kartce i podał ją Brockowi.

Brock nie wziął kartki, tylko przeczytał ją i bez słowa wyszedł z bunkra.

Bishop długo patrzył na kartkę. Rozejrzał się po ciasnym bunkrze. Zobaczył l w rogu swój karabin i sprzęt, leżący na ziemi śpiwór, puszki z żywnością i amunicją luzem. Od miesiąca to był jego dom. Nie mam wyboru, pomyślał. To nie była moja decyzja. Taki jest rozkaz. To było tak samo, jakby wybrał ich prezydent Stanów Zjednoczonych lub Kongres przegłosował ich wydelegowanie. Włożył kartkę do portfela i ścisnął go mocno w ręce. Zamknął oczy. Boże, proszę, żeby im się udało. Już dosyć śmierci. Proszę.

Na stanowisku zwróconym w stronę łańcucha wzgórz Scott Sutherland i Larry Miller kulili się w ciemnościach, pochyleni nad karabinem maszynowym, usiłując zobaczyć, co dzieje się na równinie za zasiekami.

Miller miał dziewiętnaście lat, żonę i dziecko, i bez przerwy był przerażony, przez całe siedem tygodni, odkąd trafił do oddziału. Kiedy dwa dni temu nieprzyjaciel zaatakował, klęczał bezradnie przy człowieku poważnie zranionym przez odłamki, bijąc pięściami w ziemię i słuchając jęków, następnie mieszał piasek palcami, kiedy jęki i prośby ucichły, a potem siedział nieruchomo, kiedy ranny zmarł.

Teraz chciał coś powiedzieć, przerwać tę pełną lęku ciszę, ale żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Pojawiały się tylko obrazy. Stawali mu przed oczami zabici i wyobrażał sobie siebie pomiędzy nimi, a oni otwierali oczy i wpatrywali się w niego.

- Sutherland?

- Co?

- Ciągle mam przed oczami Mitchella.

Miller objął się rękami. Przerazenie było tak silne, że aż sprawiało ból.

- Nikt nie powinien umierać w ten sposób. Sutherland wzruszył ramionami.

- Nie ma dobrego sposobu. Zabity to zabity.

Miller umilkł. Pogrzeżył się w nocy, a przed oczyma wciąż miał zmarłych.

- Jezu, tak się boję, Scott.

Sutherland też dopiero skończył dziewiętnaście lat. Był szczupły i opalony na brąz, a włosy miał rozjaśnione od słońca prawie do białości. Przeżył serię zaciętych bojów od czasu pierwszego starcia, kiedy to siedział przerażony obok Rona Meada w helikopterze i starał się tak usilnie ukryć strach. Było to tego dnia, kiedy zginął Dutton. Od tamtego czasu zginęło jedenastu innych, a przecież to jeszcze nie koniec.

Te śmierci nie miały żadnego sensu. Jemu samemu też mogło się coś takiego przydarzyć wiele razy. Wtedy, w czasie tej pierwszej walki, był zaledwie o kilka metrów od Duttona. Ten żółtek mógł równie dobrze zastrzelić jego i to on gnąłby od trzech miesięcy w ziemi, a nie Dutton.

Ta myśl rozgniewała go. Miał poczucie, że został zwabiony podstępem na tę wojnę i wysłany tu na darmo. Nikogo to nie obchodziło. Nikogo też nie obchodzili zabici i nikogo nie będzie obchodzić on, jeżeli zostanie zabity. Ta myśl jeszcze bardziej rozpałała w nim gwałtowną chęć przeżycia.

Uda mu się. Przyrzekł to sobie. Przeżył swego ojca i matkę, których obchodził tyle co zeszłoroczny śnieg. Przeżył wojny gangów w Los Angeles, przeżyje i to. Ale to było jednak coś innego.

- Wszyscy się boją - powiedział łagodnie. - Nawet sierżant i porucznik.

- Ty też? - zapytał Miller, który widywał Sutherlanda tylko szydzącego lub chełpiącego się. Wydawało się, że Sutherland nigdy nie odczuwa strachu. Postępował tak zdecydowanie i z taką zajadłością, że Miller nigdy nie przypuszczał, iż on może się bać.

Sutherland patrzył w noc.

- Czasami - powiedział spokojnie. - Czasami boję się tak bardzo, że mi się chce rzygać, ale... - zamilkł, czując bezsens takiej rozmowy. Odłożył karabin, wyciągnął się i zwinął kurtkę pod głowę.

- Obejmiesz pierwszą wartę, dobrze?

Owinął się pałatką i próbował zasnąć, ale zaczęli przychodzić do niego zabici. Wciąż te same krzyki zabitych, od trzech miesięcy. Zacisnął mocniej powieki, żeby przepędzić zabitych. Zamiast nich pojawiły się kobiety. Jęknął w duchu i skulił się mocniej.

Przez dłuższy czas po zaśnięciu Sutherlanda Miller wpatrywał się w noc. Nagle poderwał się, chwytając karabin maszynowy.

- Scott!

Sutherland obudził się natychmiast. Serce mu waliło. Wpatrywał się w mrok. Czas mijał. Nic nie zobaczył ani nie usłyszał. Zmęczenie zwyciężyło. Oczy mu się zamknęły. Trzymał je zamknięte przez chwilę, a potem nagle otworzył. Wreszcie jednak poddał się.

- Nic nie widzę.

- Tam coś jest. Sutherland splunął.

- Jasne. Cała armia żółtków.

Położył się i po kilku minutach już spał. Znowu śniły mu się kobiety. Po chwili Miller znowu coś zobaczył.

- Scott!

Niepokój w jego głosie poderwał Sutherlanda. Wycelował karabin, zanim jeszcze zdążył skoncentrować wzrok na zasiekach.

- Gdzie?

- Tuż za drutami.

Sutherland badał czarną przestrzeń.

- To krzaki - powiedział z niechęcią. Rozluźnił się, przetaił oczy i odłożył karabin.

- Lany, muszę się przespać. Oni nie przedostaną się poza druty. Przez dwa dni zakładaliśmy na nich pułapki. Nikt nie przekradnie się przez zasieki teraz, kiedy pułapki są dobrze założone - powiedział pogardliwym głosem, otulając się kurtką i szczelniej owijając pałatką. - Pamiętasz, jak kapitan zobaczył ten cholerny film z Johnem Wayne'em i potem spędziliśmy osiem godzin wieszając puste puszkę na zasiekach, żeby żółtki nie mogły się prześlizgnąć? W nocy zerwał się wiatr i zrobił się taki pieprzony hałas od tych puszek dzwoniących jedna o drugą, że żółtki mogły zajechać na Harleyach, a i tak byśmy ich nie usłyszeli. Teraz przez druty nikt się nie przedostanie, więc pozwól mi

spać.

Śnił o miękkich nagich ciałach, kiedy poczuł ostrego kuksańca w bok i usłyszał głos Millera:

- Są tuż za drutami.

Znowu się zerwał. Strach chwycił go za kark. Drżąc przysunął się bliżej do karabinu maszynowego, ale kiedy udało mu się skoncentrować wzrok, znowu nic nie zobaczył.

- Larry, cholera, to znowu ten sam pieprzony krzak. Podniósł karabin i wstał.

- Idę do Coneya i Frizzella, żeby się przespać.

- Właśnie się poruszył - szepnął Miller.

- Zerwał się wiatr. Boże! Już chciał odejść.

- Scott, przysięgam, że się przybliżył.

Sutherland westchnął, ale znowu przykucnął. Wpatrywał się w noc, a następnie zaczął powoli podnosić karabin. Miller przysunął się bliżej i też uniósł broń.

- Widzisz coś?

Sutherland skinął głową. Leżał już na ziemi z karabinem przy ramieniu.

- Tak.

Miller zeszywniał i odsunął bezpiecznik karabinu.

- Co?

- Widzę krzak.

- Cholera, Scott.

- Spokojnie - powiedział Sutherland siadając. - Myśl o czymś innym.

- O czym? O Mitchellu i Donnerze? O Blake'u z flakami wiszącymi na zasiekach i tych jego kawałkach, których nie mogli znaleźć? Na litość boską, nie chcę myśleć o Mitchellu, ale wciąż słyszę jego wrzaski.

Miller odłożył karabin i zgarbił się.

- Chcę tylko jednego: wydostać się stąd. Chcę zobaczyć żonę i dzieciaka. -Jego głos stawał się płaczliwy.

- Jezu - jęknął Sutherland i wstał. - Znowu zaczynasz?

Miller patrzył za nim, kiedy tamten oddalał się skulony. Przerazająca ciemność przytłaczała go. Przysunął do siebie bliżej karabin maszynowy. Przy zasiekach usłyszał jakieś odgłosy. Natychmiast zapomniał o żonie i dziecku i chciał przywołać Sutherlanda, ale już go nie było. Boże! - pomyślał Miller, przypominając sobie wydarzenia sprzed dwóch dni.

Sutherland przemykał się bezszelestnie po wzgórzu. Jego cień zlewał się z mrokiem nocy. Karabin w rękach wydawał mu się lekki, jakby metal był przedłużeniem dłoni. W ciemnościach wszystko zlewało się w jedno.

Nagle znieruchomiał z odbezpieczoną bronią.

- To ja, Sutherland - powiedział szybko.

- Gdzie idziesz?

- Zerznąć kogoś.

- Kto pilnuje twojego stanowiska? - odezwał się inny głos z ciemności.

- Czternastu żółtków.

Rozległy się chichoty, a on podszedł do nich i wskoczył do bunkra, gdzie przy wejściu czuwało dwóch żołnierzy nieruchomych jak zapomniane posągi wojowników wśród ruin. Mrok zasłaniał rysy ich twarzy, w których tylko oczy żyły.

- Dobrze trafiłeś - powiedział Matt Landis. - Właśnie miałem udusić Opieńka, jeżeli jeszcze raz powie, ile czasu mu zostało.

- Czterdzieści dwa dni, fiucie - powiedział Opieniek.

Landis chwycił bagnet i rzucił. Ostrze wbiło się w worek z piaskiem zaledwie kilka centymetrów od głowy Opieńka.

- Czterdzieści dwa dni, fiucie - powiedział niewzruszony Opieniek.

- To nie jest mało - zauważył Sutherland.

- To już jutro w porównaniu z twoim czasem, Sutherland. Ile ci jeszcze zostało? Trzysta? A Landis w ogóle nie jedzie do domu. Nawet nie będą mieli czego wysłać do kraju. Czy wiecie, co zrobię zaraz po powrocie?

- Nie - powiedzieli Sutherland i Landis chórem.

- Będę uprawiał miłość francuską.

Landis roześmiał się. Greg Pozinski, krzepki blond, przeżył prawie rok walk. Nazywano go Opieniek, ze względu na połamane i dziwnie pokrzywione zęby, których wygląd psuł wrażenie, jakie robiła jego przystojna twarz.

- Jeżeli jakaś baba dopuści cię, to jakby przyłożyła sobie piłę tarczową do cipy - szydził Landis.
- Cała sztuka polega na użyciu języka - zaproponował Pozinski.
- Przecież ty masz zęby też i na języku, chamska gębo - upierał się Landis. Opieniek przyglądał mu się przez chwilę.

- Czterdzieści dwa dni, fiucie - powiedział z głęboką satysfakcją. Sutherlandowi nie wydawało się to wcale mało. Wszyscy wiedzieli z dokładnością co do dnia, ile czasu pozostało im jeszcze w Wietnamie. Jedna tura służby wynosiła trzynaście miesięcy i Sutherland miał do odświadczenia jeszcze trzysta cztery dni. Radiooperator Landis miał przed sobą sto siedemdziesiąt dziewięć dni.

Sutherland trzymał się z Pozinskim i innymi weteranami, którzy przetrwali, w nadziei że odkryje ich sekret.

Najpierw nauczył się od Rona Meada, że trzeba być odważnym i zaufać instynktom. Nie znosił sierżanta Brocka, ale Brock nauczył go dyscypliny i ostrożności. Opieniek nauczył go trzymania się ustalonego celu i absolutnego panowania nad sobą. Nigdy nie wściekał się i nigdy nie tracił cierpliwości. Potrafił siedzieć godzinami w zasadzce i nawet nie drgnąć. Inni też go wiele nauczyli. Zabici i ranni mieli wiele do przekazania.

- Czy stajesz się tym ostrożniejszy, im bardziej się zbliżasz? - zapytał Sutherland, przełamując tabu, które zakazywało zadawania bezpośrednich pytań.

Opieniek jednak nie chciał przełamać tabu.

- Nie. Kiedy się zbliżasz, bierzesz po prostu głęboki oddech.

Sutherland wyskoczył z bunkra i ruszył do następnego, kontynuując swoją conocną turę wizyt. Nie znosił samotności i uwielbiał koleżeństwo. Czuł się wtedy jak w domu, kiedy to przesiadywali z kumplami na maskach samochodów w kinach na wolnym powietrzu i gadali.

Zbliżał się do bunkra, który zajmowali jego dwaj najlepsi przyjaciele, Dennis Coney i Leslie Frizzell.

- Hasło na dziś - pocałuj mojego kutasa.

- To musi być żółtek - powiedział Coney. - To wczorajsze hasło. Zastrzel go, Frizzell.

Sutherland wsunął się do bunkra. Chwycił papierosa zwisającego z ust Coneya. Pasemka dymu wiry się koło twarzy Sutherlanda, podkreślając jeszcze jego ostre rysy.

- Dzisiaj możecie się nie przejmować. Miller jest tak przerażony, że nawet pierdnięcie nie przeniknie przez zasieki. Budził mnie chyba z dziesięć razy, bo jakiś krzak się do niego skradał.

Coney odebrał mu papierosa.

- Jasne, że oni tam są, jak muchy na gównie.

- Jezu - powiedział Frizzell. - Znowu zaczynasz?

Frizzell miał osiemnaście lat i sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Był w dobrej formie. Nad czołem zwieszała mu się burza włosów, które ciągle zasłaniały oczy. Na jego twarzy zawsze gościł uśmiech. Uśmiechał się nawet teraz. Odwrócił się do Sutherlanda. Cieszył się, że monotonia nocnej warty została przerwana.

- Hej, powiedz, co to jest semafor? Pytałem się Coneya. - W jego głosie zabrzmiał udawany szacunek. - Bo chodził przez rok do koledżu, ale on też nie wie.

- Jak to się pisze? - zapytał Sutherland.

Coney splunął. Był starszy od nich o dwa lata. Wysoki, przystojny mężczyzna, który uciekł od żony i więzów małżeńskich.

- I tak nie będziesz wiedział, choćby Frizzell powiedział ci, jak to się pisze. Ale on i tego nie wie.

Słowo „pisać” przypomniało coś Sutherlandowi.

- Słuchajcie, chłopaki, czy mieliście w szkole odpytki z pisowni? Każdy musiał wstawać i odpowiadać, dopóki się nie pomylił. Zawsze wygrywała jakaś pieprzona brzydula w okularach albo zezowaty gówniarz. Ja odpadałem już po pierwszym słowie. Czasami nawet nie próbowałem wstać - dodał z uśmiechem, zwracając się do Coneya. - No, powiedzcie, co to jest semafor. Przeczytałem to w opowiadaniu na temat pokoju.

- Pokoiku w burdelu?

- Nie. O innym pokoju. Takim, który jest, kiedy nie ma wojny. Zaraz je wam pokażę.

Ukląkł i zaczął szukać w plecaku.

Sutherland przewrócił oczami w stronę Coneya, na znak, że myśli to samo o Frizzellu, i zaraz urwał się z bunkra.

- Boże, nigdzie nie znajdę dziś miejsca do spania. Po jaką cholere mam wiedzieć, co to jest semafor. Chyba to jakaś roślina. Może to jest to coś, co skrada się do Millera.

Frizzell znalazł czasopismo, ale Sutherlanda już nie było.

- Scott ma rację - powiedział Coney, kręcąc głową. - Jesteś tuman. Hordy żółtków kręcą się dokoła naszych zasieków, a ty się dopytujesz, co to jest semafor.

Frizzell wcale się nie przejął. Był przyzwyczajony, że wszyscy się z niego nabijali.

- Jesteś wkurzony, bo nie wiedziałeś, co to jest semafor.

Usiadł, opierając się o worki z piaskiem, kontynuując czuwanie i patrząc na niebo. Nagle przypomniał sobie o czymś, o co już dawno miał zapytać.

- Dennie, jak to jest, że czasami gwiazdy są, a czasami ich nie ma?

Coney podniósł wzrok ku czarnemu sklepieniu nieba, starając się uszanować pytanie Frizzella i pamiętając, że chłopak otaczał go prawie bałbochwalczą czcią.

- Bo są zasłonięte chmurami.

Frizzell zastanowił się nad tą odpowiedzią.

- Och - powiedział, a potem odwrócił się do Coneya. - Nigdy nie powinienem był rzucać szkoły - dodał, kiwając głową z zadumą. - Wkurzało mnie to całe gówno o rzeczownikach i takich tam innych. Zastanawiałem się, na co to może się komu przydać, ale teraz... Teraz myślę, że chyba wrócę do szkoły. Wrócę - zdecydował. - Nie można być tumanem przez całe życie.

Brock siedział na podłodze w kącie bunkra. Objął rękami kolana i wpatrywał się w Bishopa.

Bishop czuł jego palący wzrok, ale skoncentrował się na mapie, wyznaczając współrzędne dla artylerii. Potem podszedł do noktowizora, żeby ponownie zlustrować przedpole czekające na wyznaczonych żołnierzy.

Po kilku minutach ich buty zadudniły na schodach. Bishop odwrócił się.

- Melduję się, sir - powiedział Pozinski.

- Ty też jesteś gotów, Miller? Miller nie mógł spojrzeć mu w oczy. Skinął tylko głową.

- Musicie utworzyć stanowisko nasłuchowe tam na pustkowiu na trasie infiltracji. To nie zasadzka. Nie atakujcie nieprzyjaciela, tylko obserwujcie i słuchajcie. Głównie chodzi o sprawdzenie, czy nie mają tam wyrzutni rakiet.

Pozinski patrzył na niego sceptycznie.

- Wiem - powiedział Bishop uspokajająco. - Nie wysła się placówek nasłuchowych nocą, ale to jest sprawa specjalna i bardzo ważna.

Podał im współrzędne i pokazał pozycję na mapie, a potem określił trasę marszu.

- Są pytania? - zapytał, kończąc wyjaśnienia.

Stali przed nim w milczeniu. Hełmy rzucały cień na ich napięte twarze wojowników. Ale to było tylko złudzenie wojowniczości, bo z ich oczu wycierał strach. Miller założył na plecy polowe radio.

- Wasz sygnał wywoławczy jest Mały Tim - powiedział Bishop.

Zwlekali jeszcze parę sekund, a potem wycofali się niezdarnie w stronę schodów i odeszli.

Przez dłuższy czas Bishop patrzył w miejsce, gdzie przed chwilą stali.

- Wie pan, co to jest wojna, panie poruczniku? - powiedział Brock ze swojego kąta. Zapalił zapałkę. Trzasnęła draska i płomień rozjaśnił cuchnący, ciemny bunkier. - Wojna to nie mapy i plany, generałowie i prezydenci, taktyka i wielka strategia. Wojna to osobiste tragedie, panie poruczniku, to pojedyncze zgony, to ludzie umierający jeden po drugim.

Zdmuchnął zapałkę.

Miller i Pozinski schodzili ze wzgórza w kierunku przerwy w zasiekach. Skulili się, nasłuchując i szukając oznak obecności nieprzyjaciela. Wreszcie pogrążyli się w mroku.

Miller drżał i trząsał się, odwodząc bezpiecznik karabinu.

- Rozwał nas. Jestem pewien - powiedział do siebie, ale Pozinski go usłyszał. Szli prosto na zachód, zatrzymując się co sto metrów, żeby nasłuchiwać. W ciągu

trzydziestu minut dotarli do wyznaczonego stanowiska, niewielkiego wgłębienia na środku pustkowia na trasie infiltracji. Oddalili się o półtora kilometra od wzgórza. Wyglądali teraz jak ledwo widoczny punkcik na powierzchni rozległego jeziora.

Bishop obserwował ich przez noktowizor, wstrzymując oddech za każdym razem, kiedy znikali za nierównościami terenu. Wreszcie odprężył się nieco, kiedy już dotarli do stanowiska.

- Jak na razie wszystko w porządku - powiedział do Brocka, który nie ruszył się ze swojego kąta.

Pozinski usadowił się na piasku. Poczł się trochę lepiej, kiedy już bezpiecznie dotarli do stanowiska. Może wszystko dobrze się skończy, pomyślał. Księżyc dawał tyle światła, że mógł zobaczyć brud za paznokciami. Zajął się ich czyszczeniem nastawiając uszu, żeby wyłowić jakikolwiek hałas. •

Siedzący obok niego Miller nie odprężył się. Myślał tylko o tym, jak daleko odeszli od wzgórza i że są sami.

Zaczął wiać wiatr. Zrobiło się chłodniej.

Bishopa bolały oczy od intensywnego wpatrywania się w noktowizor. Po godzinie ; czuł się jak zahipnotyzowany surowym krajobrazem oglądanym przez soczewki. ., Był tak spokojny, a zarazem pełen życia. Wyglądał, jak czarno-biała fotografia j; samowyołująca się surrealistyczne w miarę patrzenia. \ Nagle podskoczył i chwycił mikrofon radiostacji. ¹⁵ - Mały Tim, ruch na południe od was. Czterech.

Miller i Pozinski poruszyli się, równocześnie patrząc w stronę południową. Radio zatrzeszczało znowu i rozległ się spokojny i pewny głos Bishopa.

- Widzę jeszcze dwóch na zachód od was. Nie wiem, czy was zauważyli. Strach ścisnął żołądek Millera. Poczł mdłości.

Palce Pozinskiego lekko głąskwały lufę karabinu. Dwie małe grupki, to jeszcze nic złego, a porucznik nie wyglądał na zaniepokojonego. Nieprzyjaciel prawdopodobnie wlezie prosto na nich. Poczł przyspieszony puls na myśl, że ich zabije.

Miller zaczął drzeć i nie mógł się opanować. Musiał zaryć się rękami w piasek, żeby się nie zerwać i nie uciekać.

Pozinski wyczuł zdenerwowanie Millera. Wyciągnął rękę i dotknął go. Miller aż podskoczył, ale Pozinski utrzymał kontakt.

Nagle powietrze zaczęło nabrzmiwać jakimiś odgłosami, jakby wiatr nasilał się, ale wiedzieli, że jest to mylne wrażenie.

Bishop też nagle zrozumiał sytuację. Zobaczył piętnastu ludzi zbliżających się do placówki od północy. Chciał krzyknąć, ale się powstrzymał i odezwał się do mikrofonu tak spokojnie, jak tylko potrafił.

- Wycofać się. Szybko.

Patrzył z przerażeniem, jak żołnierze nieprzyjaciela pokonują nierówności terenu, biegnąc prosto w kierunku jego dwóch ludzi. Pułapka zamykała się.

- Pośpieszcie się. Wycofać się natychmiast. Otaczają was.

Słowa Bishopa podziały na Millera jak pocisk. Zerwał się i chwycił Pozinskiego. Wygrzebali się ze swego stanowiska.

Bishop zaalarmował placówki na wzgórzu i wezwał artylerię, a potem wybiegł z bunkra, żeby zorganizować obronę przy zasiekach. Nagle rozległo się głucho dudnienie moździerzy i wszyscy na wzgórzu rzucili się na ziemię, starając się ukryć. Nieprzyjacielskie pociski nadlatywały.

- Biegnijcie, biegnijcie! Nie zatrzymujcie się! - krzyczał Bishop do mikrofonu. Miller był przerażony. Nigdy jeszcze nie słyszał strachu w głosie Bishopa. Nagle

zobaczył wybuchy pocisków na wzgórzu. Radio ciążyło mu na plecach, a stopy zapadały się w piach. Miał wrażenie, jakby biegł pod wodą. Potknął się. Pozinski chwycił go i zaczął ciągnąć za sobą.

Pociski uderzały w ziemię pod ich stopami i przelatywały ze świstem dookoła. Miller upadł pod ciężarem radia. Wrzasnął z przerażenia. Pozinski wrócił do niego. Pierwsze pociski

artyleryjskie spadły sto metrów od nich. Eksplozje oślepiły ich przewróciły. Zaczęli czołgać się, wlokąc się w stronę zasieków. Pociski uderzały w ziemię dokoła.

Bishop uderzał pięścią w worki z piaskiem i patrzył.

- Biegiem! Biegiem!

Pozinski dotarł do zewnętrznych zasieków. Słyszał już krzyki żołnierzy na wzgórzu. Zobaczył, że Brock czołga się między drutami, żeby mu pomóc. Za jego plecami Miller coś wrzasnął.

Nagle całe wzgórze i zasieki zniknęły w eksplozji.

Brock rzucił się na druty i przeciągnął Pozinskiego. Rozglądał się za Millerem, ale nigdzie go nie zobaczył. Widział tylko nieprzyjacielskich żołnierzy biegnących w jego stronę. Druty szarpały mu ciało. Czyjeś ręce chwyciły go i wciągnęły w górę po stoku.

Bishop kierował ogniem artylerii, kiedy przyniesiono Pozinskiego do bunkra. Z początku nie mógł zorientować się, kto jest ranny, tyle było krwi. Bishop ukląkł i wytarł ją, a następnie rozdarł mundur Pozinskiego. Krew wypływała wraz z bąbelkami z rany na piersiach, ale zaraz została wessana z powrotem.

- Poruczniku? - odezwał się Pozinski słabym głosem. Bishop nie mógł oderwać oczu od rany.

- Boli, poruczniku. Boli. Niech pan mi pomoże. Bishop uniósł go w swoich objęciach.

- Greg... Greg - błagał łagodnie.

Pozinski otworzył oczy, poszukując osoby wołającej go imieniem z dzieciństwa, ale nie widział nic. Był już daleko i szybko odchodził z tego świata. Od ostatecznego zaśnięcia dzieliły go tylko sekundy.

- Mama?

Potem wydał cichy jęk i głowa mu opadła, przetaczając się bezwładnie na bok.

Przez chwilę Bishop nie wiedział, co się dzieje. Trzymał Grega w ramionach, czuł wilgotny zapach ciepłej krwi i słyszał krzyki dochodzące od strony zasieków. Opanował go strach.

Rozejrzał się dokoła z przerażeniem, potem opanował się nadludzkim wysiłkiem woli, położył ciało na ziemi i zbiegł w dół stoku. Kule uderzały w ziemię u jego stóp.

- Ognia! - krzyknął. - Ostrzelać zasieki!

Zobaczył żołnierzy nieprzyjacielskich zbliżających się już do zewnętrznego pasa drutów. Nikt nie strzelał. Tylko on stał przy zasiekach i prowadził ogień seriami.

- Tam jest Miller! - wrzasnął do niego Sutherland.

- Ognia! Oczyszczyć zasieki! - rozkazał Bishop.

- Nie! Larry! Larry! - wrzeszczał Sutherland biegnąc w kierunku umocnień. Inni żołnierze chwycili go i przewrócili na ziemię. Rozszczękał się karabin

maszynowy, rażąc nieprzyjaciela z bliskiej odległości. Bishop zobaczył, że napastnicy zawahali się. Niektórzy padli rzućeni na ziemię impetem trafiających ich pocisków. Przez pięć minut grad kul zasypywał zasieki.

Nagle wszystko się skończyło. Nieprzyjaciel wycofał się i strzelanina ustała. Cały rejon zasieków spowity był dymem.

Bishop rozkazał ludziom wracać na wierzchołek wzgórza. Sutherland nie ruszył się.

- Tam jest Larry.

Bishop przykucnął przy nim.

- Scott, on nie żyje. Znajdziemy go rano.

- To ty go zabiłeś, skurwysynu! - wrzasnął Sutherland. - Zabiłeś go! ; Chciał rzucić się na Bishopa.

Żołnierze powstrzymali Sutherlanda, a Bishop wrócił do bunkra. Brock dokonywał inspekcji i rozmieszczał ludzi na stanowiskach.

• Przez wiele godzin Bishop siedział na stoku i wpatrywał się w linię zasieków. Wreszcie nad horyzontem pojawił się brzask, jakby ktoś podnosił pokrywę. Wstawała szara mgła i toczyła się w stronę wzgórza. Unosiła się nad leżącymi bezwładnie ciałami i przysłaniała je. Potem mgła się podniosła i zabici zaczęli pojawiać się znowu jeden po drugim w jakimś upiornym procesie

zmarłychwstania, ale wciąż martwi. Leżeli na równinie, jakby byli jej stałą częścią.

Bishop poszedł do bunkra i wrócił z zieloną torbą na ciało.

- Czy mam pójść z panem? - zapytał Brock bez oskarżycielskiego tonu czy potępienia.

Bishop pokręcił przecząco głową i zszedł w dół po stoku. Samotnie przekroczył linię zasieków i szukał wśród zabitych, dopóki nie znalazł Millera.

Zabił go pocisk moździerzowy odrywając mu głowę i rozszarpując pierś. Wysiłkiem woli Bishop przepędził wszelkie myśli i przez dwadzieścia minut zbierał szczątki, układając ciało i kości w worku. W końcu sięgnął po głowę, sam zamykając oczy, i delikatnie umieścił ją w worku. Z drżeniem w sercu wytarł dłonie

o rękawy munduru.

Smród oszołomił go. Poczł mdłości. Kręciło mu się w głowie. Odwrócił się tyłem do wschodzącego słońca i zobaczył, że jego cień pada na ciała zabitych. Przesunął się nieco, ale nie mógł znaleźć miejsca, z którego jego cień nie przesłaniałby któregoś z ciał.

Zobaczył, że żołnierze obserwują go ze wzgórza. Podniósł zieloną torbę z ciałem

i jak rabuś zwłok zaczął się wspinać na wzgórze.

Godzinę później rozległ się klekot helikoptera. Maszyna wykonała kilka okrążeń i opadła ciężko na ziemię.

Z wibrującego kadłuba wyskoczył tęgi mężczyzna średniego wzrostu po czterdziestce. Na jego ramionach i na hełmie lśniła pojedyncza srebrna gwiazdka.

Bishop wybiegł z bunkra i zaszalutował.

Generał nie oddał honorów, tylko przyglądał mu się zimnymi szarymi oczami.

- Ostatniej nocy nieprzyjaciel zaatakował wszystkie wysunięte placówki w Strefie Zdemilitaryzowanej, poruczniku. Pańska placówka okazała się jedyną, której nie zdobyto. Pański dowódca kompanii złożył wniosek o Krzyż Marynarki dla pana. Już go zaakceptowałem.

Mówił bez nacisku, jakby wiedział, że te słowa nic nie znaczą.

Generał spokojnie rozglądał się po wzgórzu. Zauważył dwie torby z ciałami.

- Proszę za mną - powiedział do Bishopa i ruszył w kierunku wierzchołka wzgórza, z którego otwierał się rozległy widok na pustkowie.

Stali obok siebie, przez dłuższy czas nie mówiąc ani słowa.

- Niech mi pan o tym opowie, poruczniku - odezwał się wreszcie generał. Bishop patrzył na pustkowie. Było bardzo samotne, opuszczone i wiatr wyl nad piaskami.

Otworzył usta, ale nie mógł powiedzieć ani słowa.

- Ja... Ja... - zamknął oczy i pochylił się do przodu, chwytając się za żołądek. Generał położył mu rękę na ramieniu, a Bishop przytulił twarz do jego piersi i zaczął płakać.

- Niech pan płacze, poruczniku - powiedział generał, patrząc na pustkowie z twarzą bez wyrazu. - Przyjdzie taki dzień, kiedy będzie chciał pan zapłakać, ale zabraknie łez.

Sutherland stał samotnie na wierzchołku wzgórza obok dwóch worków z ciałami. Przyciągała go tu nieodparta chęć zrozumienia.

Jak to się mogło stać? Rozmawiali. Opieńiek żartował. Patrzył na worki i starał się odtworzyć w pamięci wczorajszą noc. Musiał być jakiś znak, coś, co przeoczył, a co mogło to wszystko wyjaśnić.

Miller, tak. Mógł przewidzieć śmierć Millera. Ale nie Opieńka. On nie powinien był zginąć. Nie było ostrzeżenia. Nie było znaku.

Ukląkł i otworzył suwak worka.

Z twarzy, którą odsłonił, nie wyczytał żadnej tajemnicy, żadnego sygnału. Szara lodowata śmierć - i to wszystko.

Jeżeli mogło się to przydarzyć Opieńkowi, to mogło też i jemu. Chyba że był w tym jakiś zamysł, którego on nie potrafił rozszyfrować. Może o tych sprawach decyduje Bóg? Czy Bóg mógł dotrzeć aż tu, do dżungli, i sięgnąć po człowieka w ten sposób?

Nie. Wiedział, że On nie mógł tak zrobić. Żaden Bóg nie zaprzętał sobie głowy Opieńkiem

ani Millerem. Nie ma tu żadnego zamysłu. A jeżeli jest?

Może po prostu nie dopisało mu szczęście? Czy nic nie można było zrobić, żeby się ochronić? Czy on też skończy tak samo, bez ostrzeżenia, tak szybko jak każdy głupi skurwysyn złapany, wykorzystany, zmiażdżony, zapakowany do worka i odesłany do domu?

Zasunął suwak worka i wstał.

Nie. Niezależnie od tego, co by się działo, nie skończy w ten sposób. Nie umrze.

Patrzył twardym zdecydowanym wzrokiem na worki z ciałami i dalej, tam gdzie stali Bishop i generał, i jeszcze dalej, tam gdzie krył się nieprzyjaciel.

- Nie ja - powiedział głośno, składając butną obietnicę. - Ja przetrwam niezależnie od tego, co będę musiał robić.

XI

Marshall obudził się na dźwięk powolnego, rytmicznego terkotania zawieszono pod sufitem wentylatora. Prześcieradła nie były zgniecione. Spał zdrowym snem. Najwyraźniej nie przewracał się. Czuł się wypoczęty.

Jedyny dźwięk, który słyszał, wywołany był pracą wentylatora. Obserwował go sennie ukołysany łagodnym powiewem i cichym szumem. Patrzył w sufit. Zdziwił się wzorom przedstawiającym jaszczurki. Nagle jedna się poruszyła, potem druga. Wydawało się, że niespodziewanie cały sufit ożył.

Gekony. Odprężył się. To dlatego spał tak dobrze. Nie przeszkadzały mu ani muchy, ani komary. Jest w Sajgonie. Siódma czterdzieści pięć rano. Przespał trzynaście godzin.

Wstał sztywno, czując ból spowodowany długim leżeniem w łóżku. Odsunął zasłony i wyjrzał przez szpary w drewnianych okiennicach. Okna sypialni wychodziły na ogród i tylne podwórze willi. Jakiś mężczyzna strzygł krzewy oleandrów obsypane białym kwieciem. Ogród był nieco zapuszczony, podobnie jak i cała willa stara już i nadszarpnięta zębem czasu.

Willa należała do poselstwa francuskiego, ale przyjeżdżający tu dygnitarze rzadko z niej korzystali, woląc bezpieczeństwo i obsługę w hotelach. Pośpiesznie wypożyczono ją od Francuzów, kiedy Marshall oświadczył, że nie chce mieszkać w hotelu ani też nadużywać gościnności ambasadora Bunkera.

Jego żądanie całkowitej prywatności sprawiło wiele kłopotu personelowi ambasady i willa była ostatecznie gotowa zaledwie parę minut po zakończeniu ceremonii powitalnej. Przydzielona obsługa pracowała przez całą noc, przygotowując pomieszczenia dla specjalnego wysłannika prezydenta. Kiedy jeszcze spał, sprzątano willę, przywożono zaopatrzenie i meble zabrane z domów niższych urzędników.

Ogrodnicy rozpoczęli pracę na długo przed świtem, usuwając chwasty, strzygąc żywopłoty, przycinając gałęzie i usuwając ślady wieloletnich zaniedbań. Oczyszczono fontannę, spuszczone wodę z sadzawki z rybami, napełniono ją na nowo i wpuszczono nowe ryby.

Po zakończeniu tej gorączkowej działalności teraz w willi panował spokój. Na zewnątrz słychać było tylko szcęk nożyc ogrodnika. W kuchni przygotowywano śniadanie.

Marshall zauważył, że jego biały płócienny garnitur został wyprasowany i ubranie jest gotowe do włożenia. Panował miły kolonialny nastrój i Marshall wcale nie miał wyrzutów sumienia z powodu zamieszania, jakie spowodował.

Obstawał przy swoim życzeniu prywatności nawet wtedy, kiedy mu powiedziano, że takiego zakwaterowania nie można zapewnić „ze względów bezpieczeństwa”.

- Po co mi, u diabła, ochroniarz? - zapytał generała Abramsa. - Jeżeli mam mieszkać w hotelu, mogę zawsze wezwać obsługę, gdy będę czegoś potrzebować. Jeżeli nie możecie załatwić mi lepszego zakwaterowania niż pokój w hotelu i będziecie w kółko wygłaszać formułkę o konieczności zapewnienia mi bezpie-

czeństwa, to wszystko, co będę chciał zrobić, będzie zwykłą stratą czasu. Mogę zaraz zatelefonować do prezydenta i przedstawić mu swoją analizę.

Abrams przelknął złość i kazał przygotować willę.

Następnie Marshall poinformował ambasadora Bunkera, że nie będzie uczestniczyć w żadnych przyjęciach i wystąpieniach oficjalnych.

Marshall zrobił na wszystkich jak najgorsze wrażenie. Był to jednak efekt w pełni zamierzony. Chciał, żeby uważano go za człowieka trudnego i wymagającego. Chciał, żeby się go obawiano, i miał zamiar wykorzystać pełnię władzy przyznanej mu przez prezydenta.

Największym wyzwaniem będzie poradzenie sobie z biurokratami, przekopanie się przez całą otoczkę propagandową zawartą w raportach i prezentowaną na odprawach oraz dotarcie do ukrytej prawdy, bez względu na to czy to szlachetny klejnot, czy zwykły piach, tkwiącej gdzieś na dnie. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby nim manipulowano albo go ukierunkowywano. Musiał zapewnić sobie mocną pozycję od samego początku.

Znał wojsko i znał biurokratów. Nie sposób ich do czegokolwiek nakłonić. Są jak bagno, które nie daje nogom żadnego oparcia, wsysa przy pierwszej próbie zrobienia kroku, wciąga nieostrożnych głębiej i połyka w całości każdego reformatora z dobrymi intencjami.

Brnął już przez takie bagno wcześniej - na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Środkowej, tutaj jednak nie zamierzał się w to bawić. Ma zbyt mało czasu, a jego misja jest zbyt ważna. Rozpieprzył to wszystko. Już zaczął.

Na przyjęciu był uprzejmy, ale nieprzystępny, sprawiając, że czcza gadanina zamierała na ustach rozmówców, a głupstwa rozbrzmiewały w głuchej ciszy. Powiedział przedstawicielowi Departamentu Stanu, że nie będzie odbywać żadnych spotkań i nie będzie przyjmować żadnych zaproszeń ani gości. Sam będzie organizować sobie czas i powiadomi, jeżeli zajdzie potrzeba jakiejś pomocy.

Opuścił przyjęcie zdając sobie doskonale sprawę z obaw i niepokoju, jakie zasiał.

Kiedy ogolił się i ubrał, wspominając z zadowoleniem miniony wieczór, otworzył drzwi sypialni pewien siebie i gotów stawić czoło wszelkim wyzwaniom.

Roń Mead zerwał się przestraszony i nieprzygotowany, przewracając krzesło, na którym siedział, i niezgrabnie stanął na baczność trzymając przed sobą karabin.

- Dzień dobry, sir - krzyknął zdecydowanie zbyt głośno.

- Jezu - powiedział Marshall cofając się.

Mead stał sztywno z karabinem blokując wyjście.

- Na litość boską - powiedział Marshall z niechęcią, przypominając sobie

0 żołnierzu piechoty morskiej, który ma go ochraniać.

Mead opuścił karabin widząc zakłopotanie ambasadora i odsunął się.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedział Marshall. - Boże, myślałem, że chcesz mnie zastrzelić. Odłóż ten cholerny karabin. Idę na śniadanie, a nie żeby znaleźć

1 zniszczyć nieprzyjaciela.

- Tak jest, sir - powiedział Mead i zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby odłożyć swoje *M-16*, ale ponieważ go nie znalazł, położył je na ziemi i stanął w pozycji na spocznij.

Marshall przyglądał mu się. Zauważył zakłopotanie chłopaka i zaniepokojenie, i przypomniał sobie z nieczystym sumieniem swoje chłodne zachowanie poprzedniego dnia.

- Odpręż się - powiedział i wyciągnął rękę, żeby ustawić Meada w wygodniejszej pozycji. - Zaczniemy wszystko od początku - powiedział z uśmiechem. - Jak się nazywasz?

- Mead. Kapral Mead, sir.

- Ale jak się nazywasz naprawdę?

Mead patrzył na niego jeszcze bardziej zdezorientowany i niepewny.

- To jest moje prawdziwe nazwisko, sir. Marshall uśmiechnął się.

- Ale jak matka się do ciebie zwraca? Chyba nie „kapralu Mead”?

- Och, nie, sir. Roń. Roń Mead. Kapral Ronald F. Mead. Marshall skinął głową i spojrzał na przewrócone krzesło.

- Jak długo tu jesteś?

Mead poruszył się niepewnie.

- No... Całą noc, sir.

- Czy to znaczy, że spałeś tu na tym krześle? Czy nikt ci nie powiedział, że masz jechać do domu?

- Nie, sir. Myślałem, że mam pozostawać w pobliżu. Tak mi powiedziano... Miałem... pilnować pana.

Marshall skinął głową i starał się zachować poważny wyraz twarzy.

- Dobrze się spisałeś. - Poklepał go po ramieniu. - Chodź, idziemy na śniadanie. Mead ani drgnął.

- Z panem, sir? - zapytał zupełnie zdezorientowany.

- A może wolałbyś, żebym ci tutaj przyniósł?

Mead opanował uśmiech, wyobrażając sobie ambasadora niosącego mu śniadanie.

- Nie, sir. Chciałem powiedzieć, że nie myślałem, żeby pan chciał... Marshall jednak schodził już po schodach, więc Mead pośpieszył za nim.

U stóp schodów stał cały personel willi ustawiony według hierarchii zajmowanych stanowisk - majordomus, lokaj, kierowca, kucharz, gospodarz domu i dwie pokojówki. Każdy występował krok do przodu i przedstawiał się, a Marshall kłaniał się każdemu i dziękował, z żalem myśląc o prywatności, z której musiał zrezygnować upierając się przy osobnej willi.

Stół w jadalni nakryto na jedną osobę. Marshall polecił przynieść drugie nakrycie i wskazał Meadowi krzesło. Żołnierz jednak stał, dopóki Marshall nie zajął miejsca. Potem szybko sam usiadł, siedział sztywny i skrzepowany.

Służący nalał kawę, ale Mead nie wypił, dopóki nie zrobił tego Marshall.

Ambasador przyglądał mu się przez chwilę, a potem odezwał się łagodnym głosem.

- Musimy trochę pogadać, kapralu, bo inaczej czeka nas bardzo trudny okres. Przykro mi, że wczoraj zachowałem się tak oschle. Nie powinienem był. Byłem po prostu zaskoczony, bo nie spodziewałem się, że będę mieć ochronę osobistą. Tu nie chodzi akurat o ciebie, tylko o to, iż nie myślałem, że ktoś będzie mi towarzyszył bez przerwy. Wyobrażam sobie, że ty też nie jesteś zbyt zachwy-

cony tym, że musisz mnie niańczyć. Na pewno znalazłby się ktoś inny, z kim wolałbyś spędzić czas. Wygląda jednak na to, że złączono nas na dłużej i musimy to ułożyć najwygodniej dla nas obu.

Podano jajecznicę na bekonie i różnorodne pieczywo.

Mead nie tknął niczego, dopóki Marshall nie wydał polecenia.

- Jedz.

Obserwował Meada, sztywnego i formalnego, bojącego się odezwać, pilnującego się, żeby czegoś nie rozlać, krojącego bekon i smarującego grzanki prawie wykwinicie. Marshall omal nie roześmiał się, kiedy przypomniał sobie ostatnie śniadanie z prezydentem i jaki kontrast stanowiło ono w porównaniu ze śniadaniem z tym żołnierzem piechoty morskiej.

Johnson z serwetką zatkniętą pod brodą sięgał przez cały stół, żeby nabić ciasteczko na widelec, rozlał sok pomarańczowy, oblizywał masło z palców, zsunął gazety i sprawozdania na podłogę, okrzykami domagał się gorętszej kawy i siedział przy stole rozparty jak średniowieczny lord na ucztach. Mało rozmawiali, za to Johnson prowadził nieustający monolog. Narzekał na niesprawiedliwe traktowanie go przez prasę i dźgał widelcem w talerz, jakby miał przed sobą nie jajecznicę, ale Waltera Lippmana.

- Opowiedz mi o sobie - powiedział Marshall.

Mead przestał jeść. Wyglądał, jakby przed chwilą trafiono go kamieniem.

- Skąd pochodzisz? - dopytywał się Marshall.

- Z Arkansas, sir.

- Z dużej rodziny?

- Nie, sir.

- Żonaty?

- Nie, sir.

Marshall uśmiechnął się.

- Opowiem ci o sobie. Mam dzieci w twoim wieku. Syna, który właśnie wstąpił do wojska, a dawno temu ja też byłem w piechocie morskiej. Potem zostałem prawnikiem, teraz zaś pracuję dla prezydenta i o tym musimy pogadać, kapralu.

Kiedy Marshall wspomniał o prezydencie, Mead jeszcze bardziej się wyprostował.

- Spędzimy dużo czasu w swoim towarzystwie. Na to przynajmniej wygląda. Chyba wolałbym mieć tylko ciebie zamiast kilku ochroniarzy. To uczyniłoby wszystko znacznie prostszym. Musisz jednak zrozumieć jedną rzecz. Pracujesz dla mnie, tylko dla mnie i dla nikogo innego. Nie podlegasz żadnemu sierżantowi, kapitanowi czy majorowi. Tylko mnie. Rozumiesz? Nikt nie wydaje ci rozkazów. Jeżeli zaistnieje jakiś konflikt, odsyłaj wszystkich do mnie. Czy to jasne?

- Tak, sir.

- Ja pracuję dla prezydenta i dla nikogo innego. Nikomu nie podlegam. Nikt nie może mnie

zwolnić. Nikt nie jest wyższy stopniem ode mnie, ani generał Westmoreland, ani ambasador Bunker tylko Lyndon B. Johnson. Pracuję bezpośrednio dla niego, a ty pracujesz bezpośrednio dla mnie. Będę musiał ci całkowicie zaufać. Twoim wodzem naczelnym jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Ja jestem jego bezpośrednim osobistym przedstawicielem. Czy masz jakieś wątpliwości albo pytania?

- Nie, sir. Rozumiem.

; - Świetnie. Teraz chcę, żebyś pojechał do domu.

- Sir? - zdziwił się Mead.

- Jedź do domu albo do koszar. Masz dziewczynę? Mead zarumienił się.

- Doskonale. Jedź do niej albo prześpij się. Nie obchodzi mnie, co będziesz robić. Ja jadę do ambasady i spędzę tam dość dużo czasu. Nie będę cię wtedy potrzebować. Tam nikt mnie nie zastrzeli, chociaż może właśnie tam zechcą do mnie strzelać, ale tym już się nie zajmuj. Leć i zamelduj się... o drugiej.

- Sir, ja przecież... nie mogę.

- Dla kogo pracujesz, kapralu?

- Dla pana, sir.

- A co ci przed chwilą poleciłem? Mead przełknął.

- Czy masz pieniądze?

- Nie rozumiem, sir.

- No, żeby pojechać do domu. Na taksówkę. - Marshall uśmiechnął się. - Kapralu, ja też kiedyś byłem kapralem. Jestem stary, ale nie zgrzybiały. Pamiętam, jak to wtedy było. - Wyjął portfel i podał Meadowi kilka wietnamskich banknotów. -Zwrócisz mi później. Skończyłeś już?

Mead spojrział na pieniądze, a potem na swój pusty talerz.

- No, to leć. Zobaczymy się o drugiej.

Mead wstał, odsunął krzesło, rozejrzał się niepewnie, szukając miejsca, gdzie mógłby odłożyć serwetkę, wsunął ją w końcu do kieszeni, a potem wycofał się zakłopotany z pokoju.

- Dziękuję, sir - wybełkotał i uciekł.

Trzęsąc się na tylnym siedzeniu taksówki torującej sobie drogę przez zatłoczony jak zawsze rano Sajgon, Mead starał się uporządkować myśli. Oczekiwał, że znienawidzi Marshalla, a w każdym razie nie spodziewał się od niego żadnych uprzejmości.

Od czasu, kiedy objął służbę w ambasadzie, nikt na wyższym stanowisku nawet nie zwrócił na niego uwagi, chyba po to, żeby mu wydać polecenie albo mu dokuczyć. Ostatnią osobą, która wykazała zainteresowanie nim, był porucznik Bishop, a teraz, niespodziewanie, najważniejszy człowiek w Wietnamie, człowiek, który mógł wydawać rozkazy generałom, zapytał się go, jak ma na imię i usiadł z nim razem do stołu, żeby zjeść śniadanie i w ciągu kilku chwil dał mu więcej ciepła, niż jego ojciec okazywał przez wiele lat.

Wyglądał - jedyne słowo, jakie mu przychodziło do głowy, było „mile”, a Mead nie mógł sobie przypomnieć nikogo, kto odnosił się do niego w miły sposób. Zazwyczaj go ignorowano i był do tego przyzwyczajony.

Mead nie przypuszczał, żeby postępowanie Marshalla było wykalkulowane albo sztuczne. Wiedział, że znaczy zbyt mało, żeby ambasador starał się wywrzeć na nim wrażenie. Postępowanie Marshalla było więc jeszcze bardziej niezwykle.

Pamiętał starego kundla, którego mieli na farmie przez kilka lat. Pies jakich wiele. Pewnego dnia gdzieś polazł albo został przejechany czy też zastrzelony. Po

prostu zniknął. Jak wszystkie psy, był przeważnie ignorowany i pozostawiony samemu sobie. Rzucano mu jakieś ochłapy, nie wpuszczano do domu, nigdy się z nim nie bawiono. Może tylko od czasu do czasu poskrobano za uchem. Zwykły wiejski kundel, a nie pieszczoł. Pewnego dnia pojechali z ojcem do miasta. Pies jechał na skrzyni ciężarówce. Kiedy wyszli ze sklepu, zobaczyli, że dwóch małych murzyńskich chłopców bawiło się z psem, głaskali go i postawili przed nim miseczkę z mlekiem.

Mead pamiętał to dokładnie, ponieważ wydało mu się to bardzo zabawne. Jak można było pieścić takiego starego parszywego psa i dawać mu mleko? Jeszcze zabawniejsze było to, że pies

w ogóle nie rozumiał, co się dzieje. Stał zupełnie zagubiony i nie wiedział, dlaczego go dotykają. Wpatrywał się nie podejrzliwie, ale raczej z zaciekawieniem w postawioną przed nim miseczkę. Wrócił z nimi do ciężarówki, ale kiedy już ruszyli, Mead zauważył, że patrzy na chłopców. Wiedział też, że na niego pies zawsze patrzył z zadumą, jakby zadawał mu pytanie, dlaczego nigdy go nie pogłaszcze. Zawsze miał poczucie winy, a mimo to nigdy go jednak nie pogłaszał.

Przypomniawszy sobie także pytanie Sung: „Dlaczego mi pomagasz?”

Właściwie dlaczego? To było coś więcej niż współczucie i żal. Marshall był dla niego miły, też nie powodując się współczuciem. Nie umiał odpowiedzieć na pytanie Sung, tak samo jak nie potrafił wyjaśnić sobie postępowania Marshalla.

Taksówka podskakiwała na wybojach bocznych uliczek, klakson wył, aż wreszcie zatrzymali się przed domem. Kiedy płacił kierowcy, zbiegły się dokoła dzieciaki, a jakaś stara żebraczka zaczęła go ciągnąć za łokieć i coś skrzeczała.

Rzucił monety i banknoty na chodnik, i wbiegł po schodach, kiedy tamci walczyli o pieniądze. Starucha była najbardziej zajadła i drapała dzieciaki paznokciami.

Mead przeszedł przez zaśmiecony korytarz pełen niepokoju, nasłuchując, czy nie dobiegną go krzyki Sung. Panowała jednak cisza. Zanim wszedł, stał przez chwilę roztrzęsiony pod drzwiami.

Poczuł zapach moczu i wymiotów.

Sung leżała na podłodze z rękami skrępowanymi paskiem. Han pochylała się nad nią.
j.

Sung miała oczy otwarte i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w sufit. Z jej ust wydobywał się nieustający monotony jęk. Kołysała się z boku na bok. Skórę miała zaczerwienioną i podrapaną, włosy zlepione potem i brudem.

Mead ukląkł obok i pogłaszał ją po czole. Jej skóra była sucha i rozpalona, ciało pokryte szarą bladością, oczy zapadnięte.

Hań podniosła się sztywno.

- Woda - powiedziała. - Trzeba zmusić ją, żeby się napiła.

- Czy będzie w porządku? - zapytał Mead.

- Co to znaczy w porządku? - odparła Hań. Wydawała się zmęczona i staraj Bezzębna kobieta w średnim wieku usiłująca przeżyć wojnę, spijająca z uzbrojonymi chłopakami, którzy mogli być jej dziećmi.

- Wróć, jak będziesz wychodzić - powiedziała i poszła do siebie.

Przez kilka minut Mead stał na środku pokoju, patrząc na Sung, na otaczający ich brud i bałagan.

Puste puszkę po konserwach i jakieś zgniecione opakowania po herbatnikach, rzucone w kąt po zjedzeniu śniadania.

Mead poszukał w kieszeni serwetki. Była z białego płótna i wciąż czysta, z wyjątkiem niewielkiej plamy po maśle. Wygładził ją i złożył. Trzymał ją teraz w obu rękach. Kontrast między tym pokojem a pokojem, który przed chwilą opuścił, był ogromny. Potężny człowiek siedzący w swojej willi, otoczony służbą, i otumaniona narkotykami kobieta leżąca na podłodze pod opieką bezzębnej starej kurwy. Przed oczami stanął mu stos lśniących trumien na płycie lotniska i poszarpana odłamkami twarz żołnierza kryjącego się w tunelu. Spojrzał na swoje dłonie, którymi go udusił, i przypomniał sobie, jak ociekały krwią, ale zobaczył tylko pięknie wyprasowaną serwetkę z maleńką, lśniącą plamką masła.

Wypuścił z rąk serwetkę, która spadła na ziemię niedaleko miejsca, gdzie leżała Sung. Zdjął mundur i ułożył go starannie w kącie.

Całe ciało bolało go ze zmęczenia, ten rodzaj wyczerpania różnił się jednak od bitewnego. Był zmęczony psychicznie - nie strachem, ale myślami. Wszystko wydawało się poprzekręcane i pomyłone, wszystkiego miał dosyć, ale myśli wciąż kołowały i ciążyły mu.

Przysunął swój śpiwór bliżej Sung. Leżał koło niej i obserwował jej twarz zmienioną bólem. Usta wykrzywił grymas, nadając im wyraz groteskowy. Była zbyt słaba, żeby się rzucać, i tylko kołysała się z boku na bok. Ręce napinały krępujący je pas, a nadgarstki były otarte do krwi.

Zakrztusiła się wodą, którą jej podał, ale udało mu się wlać jej trochę do gardła. Chciał wytrzeć rozlaną wodę, ale ona cofnęła się z krzykiem.

Wreszcie zamknął oczy i zapadł w sen, a ona leżała koło niego, jęcząc i kołysząc się.

XII

Dzipy wypełnione uzbrojonymi żołnierzami i policją prowadziły z wyciem syren limuzynę Marshalla przez zatłoczone ulice. Kiedy patrzył na przewracane wózki i rowerzystów, narastał w nim gniew. Jeszcze bardziej niepokojący wydał mu się wyraz twarzy żołnierzy i policjantów, a także ludzi, których przepędzali z drogi.

Na twarzach uzbrojonej eskorty malowała się arogancja, zimne poczucie władzy i okrucieństwo, chociaż ich władza stanowiła jedynie pochodną. To była jego władza i autorytet, które wykorzystywali w jego imieniu - ze złością i zupełnie niewłaściwie. Małeńcy Martinowie Bormannowie z karabinami i pistoletami, w dżipach i na motocyklach. Jego kierowca również był taki. Wszyscy byli jak robaki pasożytujące na władzy. Tutaj czy w Waszyngtonie. Wszędzie.

Ludzie na ulicy patrzyli na przejeżdżających z zaciśniętymi ustami, z nienawiścią lub z jawną wrogością, jakby w ich sercach już rodziła się rewolucja. Byli jak *Madame Defarge* u stóp gilotyny.

A jednak na tych twarzach było coś jeszcze. Zazdrość.

To napelniało go obawą. Wiedział, że ludzie ci mogą zamienić się miejscami. Ci z ulicy wsiądą do dżipów, a rozbrojeni policjanci trafią do ryszotki. Wyraz twarzy zachowają ten sam. Defarge zamieni się w Bormanna. Tyran czy niewolnik to ostatecznie kwestia urodzenia. Żebrak czy książę - może to być kwestia zamiany w kołysce albo efekt żartu jakiegoś złego ducha lub może Boga.

Jest też możliwe, snuł dalej rozważania Marshall, zaciągając zasłony w limuzynie i myśląc o tym żołnierzu piechoty morskiej oraz o sobie, że to nic innego jak różnica pomiędzy Newport i Arkansas. Troja i Agamemnon - martwi. Wietnam i Lyndon Johnson - tylko dreszcz w łędźwiach.

Rząd samochodów wjechał z wyciem syren na teren ambasady, przy akompaniamencie salutowania i prezentowania broni.

Urzędnik z Departamentu Stanu, z którym się kontaktował, powitał go przy drzwiach.

- Nie życzę sobie tego więcej - powiedział Marshall, wskazując głową na dzipy i motocyklistów, żołnierzy i policjantów w hełmach lśniących w promieniach słońca. - Pozbyć się ich.

- Ależ, ekscelencjo, to dla bezpieczeństwa. Generał Westmore...

- Pozbyć się ich - powtórzył Marshall zimno, wchodząc do budynku i pozdrawiając stojących na baczność, i prezentujących broń wartowników.

Urzędnik z Departamentu Stanu pośpieszył za nim.

Wewnątrz potężny hol wypełniony był ludźmi pragnącymi zobaczyć wysłannika prezydenta. Kordon żołnierzy powstrzymywał napór tłumu.

Marshall przeszedł między żołnierzami. Rozglądał się z zaskoczeniem, stwierdzając, że znalazł się w centrum zainteresowania i nie wiedząc, dokąd ma pójść. Urzędnik z Departamentu Stanu wreszcie go dogonił.

- Czy oczekują, że coś zrobię? Może mam pokazać jakąś sztuczkę? - zapytał Marshall.

- Nie... sir - jąkał się zakłopotany urzędnik. - Przykro mi z tego powodu. To Się nie powtórzy. Proszę tędy.

Poprowadził Marshalla korytarzem do prywatnej windy, która zawiozła ich na najwyższe piętro. Wartownik czekał przy wejściu i skierował do skrzydła odciętego kuloodporną szybą. Po drugiej stronie, od wewnątrz, inny wartownik nacisnął przycisk otwierający szklane odsuwane drzwi.

- Czy to wszystko jest naprawdę potrzebne? - zapytał Marshall.

- Mamy nadzieję, że nie - powiedział urzędnik - ale nie świadczyłoby to dobrze o nas, gdyby coś się stało przedstawicielowi prezydenta w czasie pobytu tutaj. Wcale nie mamy zamiaru wprawiać pana w zakłopotanie ani cokolwiek utrudniać, Sir. Chodzi tylko o...

- Rozumiem - powiedział Marshall - ale z pewnością te środki ostrożności

i zabezpieczenie mogłyby być mniej nachalne. Nie potrzebuję tej całej pompy i ceremonii.

Róbcie, co musicie. Ja również byłbym zaniepokojony, gdyby coś się stało przedstawicielowi prezydenta w czasie pobytu tutaj, ale proszę to robić w miarę możliwości tak, żebym tego nie widział.

- Dobrze, sir. Jesteśmy w pańskim biurze - powiedział, wprowadzając Marshalla do luksusowo urządzonego pokoju recepcyjnego, w którym zgromadził się cały personel.

- Zostawię pana z pułkownikiem Waggonerem, pańskim asystentem. Mój gabinet znajduje się w sąsiednim korytarzu. Jestem do pańskiej dyspozycji w każdej chwili, żeby pomóc, uzgodnić, pośredniczyć, cokolwiek będzie konieczne. Oczywiście bardzo dyskretnie.

- Dziękuję bardzo - powiedział Marshall, ściskając mu rękę, a następnie odwrócił się do personelu swojego biura.

- Pułkownik John Waggoner, sir - przedstawił się asystent, wysuwając się nieco do przodu i prezentując innych. - Dolores Toland, pańska sekretarka, Ann Fincher, kierowniczką sekretariatu, Jerry Beecher i Tim Navasky z Departamentu Stanu, kapitan Benjamin Latham.

Marshall ścisnął wszystkim ręce, uśmiechając się mile i usiłując ukryć irytację. Nie chciał dużego personelu. Może to tylko doprowadzić do tego, że utkną wśród bezużytecznych papierów.

A ta Dolores Toland! Chryste, skąd oni ją wytrzasnęli? Z tymi platynowymi włosami, wysokimi obcasami i wyzywającym makijażem wyglądała, jakby właśnie zeszła z planu filmu pornograficznego. Za kogo oni, u diabła, go uważają?

Nie mając im absolutnie nic do powiedzenia i nie widząc sensu wygłaszania Jakiejś budującej przemowy, ruszył w kierunku drzwi, które jak przypuszczał, prowadziły do jego gabinetu, ale okazało się, że jest to pokój sekretarki. Dalej był gabinet Waggonera, a jego na samym końcu.

- Po co mi ci wszyscy strażnicy? - zapytał. - Napastnik tak zmęczy się pokonywaniem ich po kolej, że kiedy wreszcie się tu wdrze, nie będzie miał siły zrobić mi żadnej krzywdy. Czy nie ma jakiejś krótszej drogi, z której mógłbym korzystać?

- Ma pan prywatne wejście z korytarza i wtedy nie musi pan przechodzić ani przez biuro Dolores, ani moje, ale wciąż będzie pan w tym samym korytarzu, Jedyne wyjście znajduje się z tej strony.

- A co jeśli z tej strony wybuchnie pożar? Czy mam wtedy wyskoczyć przez okno? Co się stanie, jeżeli Wietkong zaatakuje od strony korytarza, a panna Toland nie będzie w stanie ich powstrzymać, pan zaś będzie akurat w toalecie? Którędy mam się wydostać?

Waggoner patrzył na niego, nie wiedząc, czy Marshall kpi, czy mówi poważnie. Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania.

- Nigdy o tym nie pomyślałem, sir. Chyba nikt o tym nie pomyślał. Czy chciałby pan mieć jakieś tylne wyjście, sir?

- Czy pożar jest możliwy? Czy można spodziewać się ataku?

- Pożar? Przypuszczam, że tak. Chyba tak. Atak? Nie, sir. To nie do pomyślenia. Ale i tak sądzę, że jednak powinno być inne wyjście. To bardzo słuszna uwaga. Ktoś powinien był o tym pomyśleć. Zaraz się tym zajmę.

- Niech się pan nie przejmuję, pułkowniku. Jak będzie trzeba, wyskoczę przez okno, a jeżeli Wietkong zaatakuje, co jest nie do pomyślenia, zaś panna Toland nie będzie w stanie ich zatrzymać, to może uda mi się wymknąć, kiedy będą ją gwałcić.

Waggoner był zupełnie zdezorientowany. O dziwnym zachowaniu specjalnego wysłannika mówili już wszyscy pracownicy ambasady. Jego pojawienia się oczekiwano z niepokojem lub wręcz ze strachem. W każdym razie Waggoner nie spodziewał się żartów i wciąż nie był pewien, czy Marshall rzeczywiście żartuje. Bał się również, że może mu się przytrafić, iż źle zinterpretuje jakąś poważną uwagę Marshalla - bądź co bądź człowieka o wielkiej władzy i reputacji.

Marshall, czując zakłopotanie i zaniepokojenie Waggonera, i widząc, że jest on niewątpliwie wysoce kompetentnym oficerem zawodowym pełnym dobrych intencji, poprosił go, żeby usiadł na jednym z obitych skórą foteli z wysokimi oparciami.

Jak na gust Marshalla gabinet był zbyt duży i urządzony za bardzo po męsku. Był za ciężki i za ciemny. Wyglądał jak pokój magnata z epoki Tudorów. Brakowało tylko wypchanego niedźwiedziego łba i zbroi. Zasłony były beżowe, dywan brązowy, ściany w wojskowym kolorze khaki, meble zaś ze skóry i mahoniu, z wyjątkiem pięknie rzeźbionego lękowego biurka.

- Nie pasuję do tego pokoju. Albo będę musiał włożyć przepaskę na biodra, albo musimy ten pokój czymś ożywić - stwierdził Marshall, rozglądając się i pamiętając o swoim białym płóciennym garniturze.

Waggoner uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Zdobędziemy panu przepaskę na biodra, sir. Może kapral Mead ma zapasową.
- Wątpię, czy by na mnie pasowała. Waggoner zmarszczył brwi.
- Co się zaś tyczy kaprała...
- Załatwia dla mnie sprawy.

Marshall usiadł na skórzanej kanapie i założył nogę na nogę.

- To nas wprowadziło w temat, który chciałbym z panem przedyskutować - powiedział wskazując w stronę biur. - Chodzi o mój personel. Zupełnie go nie potrzebuję. Generał Abrams był gotów stoczyć ze mną walkę o ochroniarza, a ponieważ wyglądał na człowieka, który rzeczywiście pasuje do tego pokoju, ustąpiłem. Natomiast nie potrzebuję dwóch asystentów wojskowych, dwóch z Departamentu Stanu i dwóch sekretarek. Jeżeli ambasador Bunker zechce ze mną o to walczyć, wiem, że uda mi się go pokonać. On ma siedemdziesiąt trzy lata. Marshall zatoczył ręką łuk.

- Wcale tego nie potrzebuję. Jestem tu po to, żeby patrzeć i słuchać. Następnie j mam zamiar wsiąść do samolotu, polecieć do Waszyngtonu i opowiedzieć prezydentowi, co widziałem, co słyszałem i co o tym myślę. Nie mam zamiaru przelewać myśli na papier. Nie mam zamiaru sporządzać pisemnego raportu. Nie potrzebuję szaf na akta, ponieważ nie mam zamiaru tworzyć dokumentów. Nie mam zamiaru dyktować ani wysyłać memorandów. Nie widzę tu żadnej pracy dla tak licznego personelu i nie widzę potrzeby wykonywania niepotrzebnej roboty. Nie lubię, kiedy ktoś udaje, że pracuje, a nie ma nic do roboty. Zostawiam więc kierowanie tym biurem i ludźmi panu. Może ich pan zwolnić, jeżeli uzna pan to za stosowne. Chciałbym jednak, żeby pan rozumiał, że będę mieć bardzo ograniczone potrzeby i wymagania. Potrzebuję kogoś, kto będzie odbierać telefony, umawiać spotkania, organizować wyjazdy i przekazywać mi sprawozdania oraz informacje.

- Myślę, panie ambasadorze, iż problem polega na tym, że nikt nie wiedział, czego się należy spodziewać, żeby móc poradzić sobie z każdą sprawą, jaka może wyniknąć.

- Rozumiem. Chciałbym jednak, żeby pan wiedział, że nie potrzebuję tak licznego personelu, podobnie jak nie potrzebuję osobnego skrzydła, wartowników i kuloodpornego szkła. Zamierzam spędzić dużo czasu w podróżach i na obserwacjach. Wątpię czy udałoby mi się zdobyć coś wartościowego dla prezydenta siedząc tu, w Sajgonie, czytając raporty i chodząc na odprawy. Nie mam też zamiaru uczestniczyć w wycieczkach przygotowanych przez kogoś innego. Na razie będę się tylko rozglądać.

- Czy jest coś, co mogę dla pana zrobić?

- Tak. Niech pan prowadzi to biuro. Niech pan zbiera materiały i przekazuje mi to, co pan uzna za pomocne w osiągnięciu zrozumienia wojskowej i politycznej sytuacji w Wietnamie. Nie chodzi mi o liczenie zabitych i zdobytych sztuk broni.

- Ale o wielkość zbiorów ryżu?

- Właśnie. Opieka medyczna, sierocińce, uczestnictwo w nabożeństwach, szkolnictwo, narkotyki, podatki, reforma rolna - wszystko, co składa się na społeczeństwo i na państwo. Takie rzeczy, jak ile jest więzień w tym kraju, jakie jest najpoważniejsze przestępstwo, które jest najsurowiej karane, za co ludzie siedzą.

Pochylił się w stronę Waggonera.

- Widzi pan, panie pułkowniku, bardzo mało wiem o Wietnamie. Nie przypuszczam, żeby wielu Amerykanów wiedziało o tym kraju cokolwiek. Informowanie mnie jednak, ilu żołnierzy Wietkongu zabito wczoraj, ile zdobyto sztuk broni, ile zrzucano bomb i jaka część kraju jest pod naszą kontrolą, niewiele się przyczyni, bym dobrze pojął sytuację.

- Rozumiem, sir - powiedział Waggoner, a potem ciągnął wyraźnie przejęty. - Myślę, że robi pan dokładnie to, co trzeba zrobić. Będę bardzo wdzięczny, jeżeli pozwoli mi pan dalej dla siebie pracować. To jest tak samo jak z tą drogą pożarową. Nikt wcześniej o tym nie pomyślał. Ja też nie.

- No właśnie - powiedział Marshall. - Myślę, że zamiast zamykać się za kuloodpornym szkłem, upewnijmy się, czy jest drugie wyjście. Drogi ewakuacyjne

nie są potrzebne, dopóki nie wybuchnie pożar, ale przecież nie czeka się na pożar z ich utworzeniem.

- Zrobię wszystko, co będę mógł, sir, ale to dla mnie są zupełnie nowe tematy i czasami będę potrzebować szczegółowych wytycznych.

- Myślę, że będzie nam się dobrze współpracować, panie pułkowniku. Wkrótce przekażę panu listę ludzi, z którymi chciałbym się spotkać. Będą na niej prezydent Thieu, przywódca polityczni,

dowódcy polowi. Ustali pan spotkania.

- A czy jest coś konkretnego, co mógłbym zrobić w tej chwili? Nie chciałem przygotowywać dla pana programu, dopóki wcześniej nie porozmawiamy. Przysłano panu zaproszenia na liczne spotkania, odprawy, przyjęcia, różne imprezy.

- Proszę podziękować za wszystkie i poinformować mnie o nich, ale wezmę udział tylko w niektórych. Mój czas jest bardzo ograniczony i nie chcę go tracić wysłuchując...

- Propagandy...

- ...a wiem, że mi to będą wciskać. Ludzie będą mi mówić rzeczy, które z góry można przewidzieć, i których nie muszę słuchać.

- W takim razie mogę odmówić wszystkim zaproszeniom na dzisiaj.

- Może jest jednak coś, w czym powinienem według pana wziąć udział? Waggoner zastanowił się, a potem potrząsnął głową uśmiechając się lekko.

- Biuro generała Westmorelanda zwróciło się z pytaniem, czy nie zechce pan wziąć udziału w odprawie DWWPBP, ale nie będzie pan musiał uczestniczyć w całości, żeby się zorientować, o co chodzi.

- DWWPBP - powtórzył Marshall przypominając sobie ten skrót ze spotkań w Waszyngtonie. Podniósł rękę dając Waggonerowi znak, żeby nic nie mówił. Chciał sobie przypomnieć ten skrót zarówno jako test dla pamięci, jak i żeby uzmysłwić sobie, z kim na ten temat rozmawiał, w jakich okolicznościach i jaki wtedy kto miał wyraz twarzy oraz ton głosu.

Marshall na pozór siedział zupełnie rozluźniony i niezbyt zainteresowany, ale gdy Waggoner przyjrzał się mu, dostrzegł w oczach ogromną koncentrację. Jego wzrok wbity był w przestrzeń z intensywnością wiązki lasera. Siedział tak nieruchomo przez prawie minutę.

- Działania Wojenne w Wietnamie. Piechota i Broń Pancerna. Jest to analiza prowadzona przez Departament Obrony w celu ustalenia, czy większa ilość wojska może przyczynić się do zakończenia wojny - powiedział lekko. - Siedziałem na odprawie na temat DWWPBP w Pentagonie z sekretarzem McNamarą. Wspomniano

0 tym tylko marginesowo. To badanie ma na celu ocenę przydatności bojowej

1 stwierdzenie czy jeszcze kilka dywizji piechoty zmechanizowanej oraz czołgów może przyspieszyć zwycięstwo - dodał rozsiadając się wygodniej. - Chyba potrafię zgadnąć, jakie będą stwierdzenia i wnioski. - Uśmiechnął się. - O której jest ta odprawa?

- Dzisiaj o drugiej w kwaterze generała Westmorelanda w MACY. To tylko kilka minut jazdy stąd.

- Pojadę. To, jak się mówi i kto to mówi, jest czasem ważniejsze niż to, co się mówi. Proszę zadzwonić do MACY i powiadomić, że będę. Niech mi lunch przysła tutaj. Coś lekkostrawnego. Resztę czasu spędzę na zapoznawaniu się z tym,

co pan dla mnie przygotował. - A ta panna Toland... Czy ona umie pisać na maszynie? - zapytał, unosząc brwi. Waggoner wybuchnął śmiechem.

- Tak... Trudno w to uwierzyć, ale rzeczywiście umie. Jest naprawdę bardzo kompetentna. Nie wiem, czy Wietkong zdołałby się przedrzeć przez jej biuro.

- Trudno mi sobie wyobrazić, po co mieliby to robić.

- Czy chciałby ją pan zatrzymać, czy może wolałby pan kogoś... mniej wyzywającego?

Marshall uśmiechnął się.

- Niech zostanie. Rzadko spotyka się kogoś takiego jak Dolores. Chyba że w erotycznym śnie - dodał, kręcąc głową. - Kto ją dla mnie wybrał? Mniejsza z tym. Mogę się domyślić. Niech zostanie. Myślę, że uda mi się uniknąć tej pułapki.

Kiedy Marshall wychodził ze swego biura o pierwszej czterdzieści pięć, uśmiechając się sympatycznie do sekretarki i do innych pracowników, z którymi przez cały dzień nie zamienił ani słowa, Mead zerwał się z metalowego krzeselka, na którym siedział w korytarzu.

- Jezu - powiedział Marshall podskakując. - Musisz przestać tak robić. Rozejrzył się po korytarzu, na którym znajdowało się tylko metalowe krzeselko.

- Czy tutaj jest twoje miejsce? Znajdziemy dla ciebie coś lepszego. Nie możesz tak przecież siedzieć w korytarzu. Przespałeś się trochę?

- Tak, sir. Dziękuję - powiedział Mead, sięgając do kieszeni, z której wyciągnął pieniądze w czystych nowych banknotach, po które stał godzinę w kolejce w banku wojskowym. Podał je Marshallowi. Ten schował je starannie do portfela.

- W porządku. Jedziemy.

W holu było pusto. Najwyraźniej usunięto z niego ludzi. Limuzyna czekała przed drzwiami z włączonym silnikiem. Poprzedzało ją dwóch policjantów na motocyklach, a za nią czekał dżip z czterema żołnierzami.

Dwóch wartowników zasalutowało. Jeden z nich przytrzymał drzwi. Mead usiadł na przednim siedzeniu i ruszyli przy wyciu syreny.

Tuż za bramą ambasady Marshall polecił kierowcy zatrzymać się. Samochód natychmiast zjechał do krawężnika. Motocykliści dojechali aż do następnej przecznicy i stamtąd pognali z powrotem. Żołnierze wyskoczyli z dżipa. Marshall i Mead wysiedli z samochodu. Mead obiegnął limuzynę z odbezpieczonym karabinem.

- Panowie - powiedział Marshall do stojących przed nim zaniepokojonych żołnierzy i policjantów. - Nastąpiło chyba jakieś nieporozumienie co do moich poleceń. Nie chcę eskorty. Źle się z tym czuję, a poza tym przez was moja obecność przyciąga uwagę, wskutek czego łatwo mogę stać się celem zamachu. Chcę, żebyście zawrócili. Proszę powtórzyć swoim przełożonym, co powiedziałem. Proszę również przekazać, że jeżeli ktoś nie zastosuje się do moich poleceń, zostanie natychmiast zwolniony.

Marshall wszedł do samochodu, poczekał, aż Mead wskoczy na przednie siedzenie, i polecił kierowcy jechać dalej. Tamci pozostali, patrząc za znikającym samochodem.

- Co jest w tym budynku? - zapytał Marshall kierowcę, wskazując na potężne gmazyszko, nad którym powiewała flaga wietnamska. Chociaż najwyraźniej mieściło

się w nim coś ważnego, ponieważ otaczały go wojsko i policja, wyglądał na zaniebany i potrzebował remontu.

- To jest sztab generalny żółtków, sir - wyjaśnił kierowca.

Marshall tylko skinął głową. Limuzyna zjechała przed pięknie utrzymany, podobny do fortecy kompleks budynków, nad którym powiewała flaga amerykańska. Samochód zatrzymał się. Wartownicy rozstąpili się, salutując.

Kiedy Marshall zaczął wchodzić po schodach, z budynku wyszedł generał Westmoreland w świeżo wyprasowanym mundurze polowym. Jego cztery gwiazdki i spadochroniarskie skrzydełka lśniły w promieniach słońca. Zasalutował sprężyście i wyciągnął rękę na powitanie.

- Witamy w Wietnamie, panie ambasadorze. Miło pana poznać. Cieszę się, że mógł pan dziś do nas dołączyć.

Spojrzał ponad ramieniem Marshalla na samotną limuzynę stojącą przed budynkiem i uśmiechnął się lekko. Oczy błysnęły pod krzaczastymi brwiami.

- Zaskoczył nas pan tym razem.

- Następnym razem wezmę taksówkę - odpowiedział Marshall z humorem.

- Mamy bardzo ostre zasady rozliczania diet - odparł Westmoreland. - Mogą nie uznać przejazdów taksówkami.

Poprowadził Marshalla do wnętrza gmachu. Ambasador szedł za nim myśląc, że generał robi nawet większe wrażenie niż na zdjęciach. Wyglądał, jakby był stworzony na dowódcę, ze swoją kwadratową szczęką, orlim nosem, ostrymi rysami i przesywającym spojrzeniem.

Marshall odniósł wrażenie, że to wszystko wygląda jak w kinie. Zupełnie jakby wszedł na plan jakiegoś filmu w Hollywood. Wszystkim kierowano bezbłędnie. Całość aż pulsowała potęgą i pewnością siebie. Wszystkie ruchy były dokładnie wypracowane. Nawet najmniejszy szczegół nie uszedł uwadze. W drugoplanowych rolach występowali wypróbowani fachowcy. Światło, kostiumy, dźwięk - wszystko było idealne, z góry przygotowane. Tego Marshall był pewien. Ile razy podejmowano w ten sposób jakiegoś dygnitarza, prowadząc go czystym korytarzem, a doborowe oddziały rozstępowały się przed nim jak fale przed dziobem okrętu? Któż mógłby się temu nie poddać? - pomyślał Marshall. Panowała atmosfera imperialnego splendoru. Zbrojni rycerze w mundurach jak spod igły i wyglansowanych butach dudniących po marmurowych posadzkach. Kwatera wielkiej armii w odmęcie wojny.

- Nie przypuszczam - powiedział Westmoreland gładko, prowadząc Marshalla przez wypełniony legionem wojowników hol - żeby generał Abrams miał wczoraj okazję poinformować pana o naszej gotowości udzielenia wszelkiej pomocy.

- Nie. Nasza rozmowa ograniczyła się do kwestii ochrony osobistej. Westmoreland uśmiechnął się.

- Tak, a dzisiaj zwolnił pan całą eskortę. Jak tak dalej pójdzie, to może będziemy musieli poprosić pana o podpisanie oświadczenia, że bierze pan na siebie całą odpowiedzialność. Jestem jednak pewien, iż pan wie, że jesteśmy do pańskiej dyspozycji i zrobimy wszystko, żeby panu pomóc. Rozumiem pańskie życzenie, żeby pozostać anonimowym. Nie będę więc marnować pańskiego czasu ani nie będę stawiać pana w kłopotliwej sytuacji, zmuszając do odrzucania zaproszeń. Proszę mi tylko powiedzieć, czego pan potrzebuje lub czy jest jakiś problem, który możemy pomóc rozwiązać.

- Dziękuję. Ja też będę się starać nie narzucać, chociaż byłbym wdzięczny za fachowe oceny i analizy. Chciałbym też spotkać się z panem przed wyjazdem.

- W każdej chwili. Czy mogę coś zrobić dla pana teraz?

- Będę potrzebować samolotu - odparł Marshall. - Nie mam ustalonego programu ani planu podróży, a decyzje mogą być podejmowane pod wpływem chwili. Nie chciałbym osłabiać wysiłku wojennego, ale też nie chciałbym rekwirować samolotu za każdym razem, kiedy podejmę decyzję, żeby gdzieś pojechać.

Westmoreland skinął głową.

- Będzie pan mieć samolot do swojej dyspozycji, gotów w każdej chwili, tak jak używam go ja. Będzie to maszyna odrzutowa albo helikopter. To zależy, dokąd będzie pan chciał polecieć. Czy będzie pan potrzebował pilota, czy też zajmie się pan tym osobiście, tak jak własnym bezpieczeństwem? - dodał z uśmiechem.

- Poproszę o pilota - powiedział ze śmiechem Marshall.

Doszli do drzwi, przy których stali uzbrojeni wartownicy. Zasalutowali. Marshall usłyszał okrzyk „Baczność!”, a Westmoreland odstąpił na bok, żeby go przepuścić przed sobą. Weszli do sali przypominającej aulę.

Trzydziestu oficerów, przeważnie w stopniu pułkownika, i drugie tyle cywilów stało, dopóki Westmoreland nie zaprowadził Marshalla do jednego z trzech foteli w pierwszym rzędzie, zwróconych przodem do niewielkiego podium, a następnie wszedł na to podium i poprosił wszystkich, żeby usiedli. j Marshall przywitał się z siedzącym obok generałem Abramsem, a następnie / zwrócił się do siedzących za nim i skinął głową. Rozpoznał wśród nich kilka osób, ¹ które były na lotnisku, a między innymi Wilsona Abbota Lorda, o którym wiedział, że pracuje dla CIA, choć występuje jako urzędnik Departamentu Stanu.

- Panowie - powiedział Westmoreland głosem nacechowanym pewnością siebie, a jednocześnie z gracją człowieka z Południa. Był to głos nawykły do wydawania rozkazów i do publicznych wystąpień. Miesiąc wcześniej Westmoreland w taki sam sposób wystąpił z powodzeniem przed Kongresem. - Chciałbym powitać w MACV ambasadora Bradleya Marshalla. Pan ambasador przyjechał do Wietnamu jako przedstawiciel naczelnego wodza, prezydenta Johnsona. Pan ambasador nie przepada za ceremoniami.

Generał Abrams parsknął.

- Chciałbym więc tylko powitać go oraz życzyć mu owocnej i pełnej sukcesów wizyty w Wietnamie. Jest mi miło, że pan ambasador zechciał poświęcić swój czas zaledwie w dwadzieścia cztery godziny po przyjeździe, żeby wziąć udział w odprawie na temat może najważniejszej i najdokładniejszej analizy działań wojennych w Wietnamie. Analiza ta została zlecona przez sekretarza McNamarę. Generał Arthur Shaw stał na czele grupy składającej się z ekspertów wojskowych i cywilnych analityków systemu. Proszę, panie generale.

Na podium wkroczył potężnie zbudowany mężczyzna. Chociaż był starszy od Westmorelanda, miał tylko dwie gwiazdki. Ze źle ukrywaną niecierpliwością czekał, aż Westmoreland usiądzie. Następnie spojrzał na słuchaczy z wyrazem twarzy, \ który można było określić jedynie jako wojowniczy.

No cóż, pomyślał Marshall zaintrygowany. W czasie tego wystąpienia nikt nie będzie spać. Powinni byli sprzedać mi bilet. Arthur Shaw był jedną z żywych legend Armii. Znany był także poza Armią.

W czasie II wojny światowej dowodził batalionem pod komendą Pattona. Miał stopień pułkownika, kiedy Westmoreland był zaledwie młodym porucznikiem, ale w czasie ostatnich dwudziestu lat awansował tylko o dwa szczeble i teraz ludzie, którzy kiedyś służyli pod jego rozkazami, stali się jego przełożonymi, chociaż wcale nie wpłynęło to na sposób, w jaki on ich traktował ani oni jego.-

Buńczuczny, zawadiacki mężczyzna o znanej wszystkim odwadze, śmiały i błyskotliwy, podobnie jak jego mistrz i nauczyciel Patton, pasował tylko do czasów wojny. Trudno było znaleźć dla niego miejsce w czasie pokoju, ponieważ nie można było go zakonserwować jak pancernika, żeby potem znów przywrócić do służby. Musiał być akceptowany takim, jakim był, a był człowiekiem bardzo trudnym, szczególnie kiedy był absolutnie trzeźwy - wówczas bowiem cały jego intelekt i osobowość podlegały silnej koncentracji.

Wietnam zdarzył się zbyt późno dla Arthura Shawa. Chociaż nie doszedł jeszcze do sześćdziesiątki, był już zbyt stary, żeby dowodzić w polu. Młodszy korpus oficerski, nie sprawdzony w walce, zajmował teraz stanowiska dowódcze i kierował batalionami, pułkami i dywizjami. Mając dwie gwiazdki, był też za niski stopniem, żeby dowodzić armią albo określać strategię. Narobił sobie zbyt wielu wrogów, a wojna wietnamska była zbyt zaplątana w politykę, żeby można ją było prowadzić metodami konwencjonalnymi. Curtis LeMay atakami z powietrza i Arthur Shaw dowodzący operacjami naziemnymi, cofnęliby Wietnam do epoki kamiennej, a tymczasem ta wojna miała być cywilizowana, prowadzona przez technokratów, a nie przez neandertalczyków.

Niepoprawny neandertalczyk Shaw, który mawiał, że jedyną rzeczą lepszą od pieprzenia jest walka, a ci, którzy mają największe jaja, są najlepsi w jednym i w drugim, wiedział, iż jego czas minął, ale nie umiał odejść z wdziękiem. Jego kariera o mało co nie zakończyła się sądem wojennym. Zamiast tego wyrzucono go z Pentagonu i zesłano do Sajgonu, żeby kierował grupą badawczą, która miała przygotować z góry znane wnioski. Teraz, kiedy jej prace zakończyły się, miał wrócić do Waszyngtonu i przejść na emeryturę.

To zesłanie stanowiło kompromis. Szef sztabu Armii chciał go postawić przed sądem, a Shaw tylko o tym marzył. Sekretarz obrony, pragnąc uniknąć rozgłosu i zrobić na złość obu oficerom, mianował Shawa szefem grupy badawczej. Shaw publicznie wyrażał się pogardliwie o sposobie prowadzenia wojny i obrzucał inwektywami generała lotnictwa Earle'a Wheelera, przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabu oraz generała Harolda Johnsona, szefa sztabu Armii. To wszystko jednak bladło w obliczu tego, z jakim obrzydzeniem traktował cywilów, którzy wtrącali się w najdrobniejsze problemy dotyczące prowadzenia wojny.

Dokładna przyczyna jego ostatniego wybuchu nie była znana. Najprawdopodobniej była wynikiem narastającej frustracji, chociaż nie wykluczano Martini wypitego podczas lunchu. Nie było natomiast wątpliwości co do istoty ostatniego wybuchu.

Wracając z lunchu, Shaw spotkał szefa sztabu na korytarzu Pentagonu, nieopodal gabinetu sekretarza obrony.

- Chce mi się rzygać na jego widok - powiedział Shaw do adiutanta, mijając Johnsona.

Ta uwaga była słyszana wyraźnie przez około dwadzieścia osób będących na korytarzu i nie pozostawiała wątpliwości co do tego, kogo Shaw miał na myśli.

Generał Johnson zatrzymał się na chwilę, ale zaraz opanował się i poszedł dalej.

Shaw trzymał się za gardło i udawał, że coś go dławi, a następnie zaczął wydawać odgłosy rzygania i zgiął się w pół.

Johnson zatrzymał się i odwrócił. Shaw wyprostował się i wrzasnął.

- Ty cipo bez warg!

Johnson aż się zachwiał, ale zaraz zaatakował tak samo jak Shaw.

Istnieje różnica zdań co do tego, co stało się później. Czy Shaw rzeczywiście usiłował udusić szefa sztabu, pozostaje kwestią sporną. Wszyscy jednak są zgodni, że w zamieszaniu Johnson znalazł się na marmurowej podłodze, a Shaw na nim.

Dwa dni później Shaw był już w drodze do Wietnamu.

Teraz stał przed audytorium z oczyma błyszczącymi jak u odyńca. Za kilka dni wróci do Waszyngtonu, przejdzie na emeryturę i zostanie zapomniany. Wiedział, że nie przedstawi swoich uwag ani McNamarze, ani prezydentowi. Marshall był najwyższą postawioną osobą, do której będzie miał szansę się zwrócić. Stanowił dla niego ostatnią możliwość wyrażenia poglądów i nie miał zamiaru jej przegapić.

Złożył kartki z uwagami, które trzymał w ręku, i położył je na mównicy.

Marshall poczuł, że siedzący obok Westmoreland sztywnieje.

Shaw wyjął z kieszeni okulary i powoli zaczął zakładać druciane końcówki za uszy. Potem spojrzął na słuchaczy. Jego zadziorność przemieniła się nagle w ojcowską dobroduszość, a głos brzmiał nisko i łagodnie.

- Jestem starym żołnierzem - zaczął. - Starszym, niż żołnierz być powinien. Nie będą już do mnie strzelać, bo nie będę brać udziału w walkach. Poświęciłem swoje życie wojaczce i kochałem ją. Jest to szlachetne powołanie, męskie i chwalebne, i prawdą jest to, co powiedział Homer, że mężczyźni prędzej znudzą się snem, miłością, śpiewem i tańcem, niż wojną. Achilles i Ulisses, Cezar i Hannibal, Wellington i Lee byli mi braćmi. Widziałem ludzi umierających dzielnie i innych żyjących jak tchórze. Widziałem niewłaściwych ludzi obsypywanych zaszczytami i słabych osiagających zwycięstwo. Tak jak śmierć w polu nie jest niczym haniebnym, przegrana w słusznej sprawie nie przynosi hańby. Niesławę przynosi natomiast życie przeżyte po tchórzowsku, a wstyd zwycięstwo w niesłusznej sprawie. Jestem wojownikiem. Wy też jesteście wojownikami. Naszym zadaniem jest dzielnie walczyć i, jeżeli taka będzie wola Boża, dzielnie umrzeć. Mamy obowiązek pomagać sobie wzajemnie i być litościwymi dla wroga. Jesteśmy zobowiązani nie krzywdzić kobiet i dzieci. Musimy wypełniać nasz obowiązek. Jako oficerowie musimy przede wszystkim dbać o naszych ludzi i o ich los. Nie wiem, czy nasza sprawa w tej wojnie jest słuszna, ale jestem pewien, że zasady, którymi się kierujemy, są słuszne. Nie czuję się jak Galahad poszukujący Świętego Graala. Może bardziej jak Hektor pod Troją, pełen wątpliwości i niepokoju, nie na tyle jednak, by przytłumiły oddanie mojemu krajowi i zaufanie do króla. Jak już wcześniej powiedziałem, nikt więcej nie będzie do mnie strzelać i nie będę brać udziału w bitwach. Nie będę już dowodzić wojskiem i nie zetknę się z nieprzyjacielem.

Podszedł do stołu stojącego na podium i podniósł grube tomisko.

- Pozostał mi tylko raport do sporządzenia. Podniósł księgę w górę, a potem odłożył ją na stół.

- Otrzymacie panowie informacje na temat raportu, ale nie ode mnie. Moim obowiązkiem jest odciąć się od niego zupełnie. Nie zgadzam się z niczym, co jest w nim napisane. Nie jest to przepis na zwycięstwo, tylko na kontynuowanie dotychczasowych działań. Dwie aspiryny dla pacjenta, który wykrwawia się na śmierć. Jeszcze więcej ludzi zginie dla sprawy słusznej czy nie, ale nie posuniemy się do przodu. Moim obowiązkiem jest powiedzieć panom, że działania, które prowadzimy, są błędne, tchórzliwe i niemoralne. Zaniedbałbym swój obowiązek, gdybym tego nie powiedział. Wojownicy kochają walkę, a nie jatki. Wolą pole bitwy, a nie - tu wykonał szeroki gest ręką - to. Albo zewrzymy się z nieprzyjacielem, albo zabieramy manatki. Trzeba poprowadzić armię w pole. Musimy zaatakować nieprzyjaciela na jego terenie. Nie możemy mu pozwolić, żeby się zakradał nocą i mordował naszych ludzi, podczas gdy my siedzimy na pagórkach, w bunkrach i za liniami obronnymi, naruszamy każdą zasadę walki, każdą regułę znaną wszystkim żołnierzom. Pozwalamy na to, żeby nasi ludzie ginęli. Chcę powiedzieć: dość! Albo mamy wygrać tę wojnę - wiemy jak i możemy to zrobić - albo zabieramy się z pola walki. W imię honoru i uczciwości mówię: Na litość boską, przestańcie zabijać naszych braci i naszych synów.

Zdjął okulary, schował do kieszeni, zeszedł z estrady i opuścił salę. Zapadła absolutna cisza, ale nagle jeden mężczyzna zaczął klaskać. Westmoreland odwrócił się i spojrzał gniewnie na niego, on jednak nie przestawał. Wreszcie wstał i wszedł na podium.

- Powinniście byli pobierać opłaty za wstęp - powiedział Marshall pochylając się do Westmorelanda.

- Będziemy pobierać opłaty za wstęp na jego egzekucję - powiedział Abrams ze śmiechem, ale Westmoreland tylko zacisnął zęby.

Mężczyzna, który wszedł na podium, wysoki blondyn w randze podpułkownika, wydał się Marshallowi znajomy. Był pewien, że tę twarz gdzieś już widział. Podpułkownik robił wrażenie zupełnie spokojnego, pewnego siebie i rozluźnionego.

- Generał Shaw i mój ojciec służyli razem. Darzyli się wzajemnie głębokim szacunkiem. Mój ojciec najprawdopodobniej wygłosiłby takie samo przemówienie, potem by wyszedł, poszedł do baru i skłął nas wszystkich. W końcu może by wrócił, żeby dokończyć odprawę, a może nie. Kiedy zmarł mój ojciec, generał Shaw traktował mnie jak syna. Szanuję i poważam ich obu. Kocham ich. Obecnie mam zaszczyt przedstawić panom... raport większościowej grupy studyjnej.

Potem nastąpiła najbardziej błyskotliwa prezentacja, jaką Marshall kiedykolwiek słyszał: bez notatek i jakichkolwiek przerw, pewna i fachowa, bezbłędnie przeprowadzona, nie nudząca ani protekcyjna czy sztuczna. Mówca tak panował nad materiałem i słuchaczami, że Marshall

czasami nawet zapominał, iż słucha syna Roberta R. Romera, „Wściekłego” Romera, którego ludzie posuwali się do przodu nawet wtedy, kiedy czołgi Pattona utknęły z braku paliwa.

Podpułkownik Romer nakreślił przed oczami zebranych obraz potężnej armii pod natchnionym przywództwem, zwyciężającej w walce z siłami zła i ciemności.

Tylko zaporowy ogień artylerii albo zmasowany nalot mogłyby uczynić prezentację bardziej atrakcyjną.

Po dwóch godzinach generał Shaw został zupełnie zapomniany. Zwiększenie sił nie byłoby zwykłą tabletką aspiryny, ale transfuzją, ożywczym zastrzykiem krwi prowadzącym do zwycięstwa. Zwiększenie sił doprowadzi do ograniczenia strat, ponieważ przyspieszy zakończenie wojny i triumf wolności oraz demokracji. Bez nowych dywizji wojna będzie się ciągnąć, zakończy się później i poniesione zostaną niepotrzebne straty. Operacje wojskowe w Wietnamie były niezaprzeczalnym sukcesem, co potwierdzały mapy pokazujące rozległe tereny pod kontrolą amerykańską i południowowietnamską w zestawieniu z niewielkimi obszarami zajęтыми przez Wietkong, i armię Północnego Wietnamu. Świadczyły też o tym dane dotyczące liczby zabitych nieprzyjaciół, zdobytej broni i zarekwirowanego ryżu.

Z każdego punktu widzenia działania w Wietnamie stanowią niekwestionowany sukces. Jedynym możliwym sposobem dalszego podniesienia skuteczności jest zwiększenie sił piechoty i broni pancernej. Dodatkowe dwie dywizje z zapleczem logistycznym będą miały znaczący wpływ na skuteczne prowadzenie wojny.

- Czy są pytania? - powiedział Romer kończąc prezentację. Wstał generał Westmoreland.

- Sądzę, że nie będzie żadnych pytań, pułkowniku. Nikt chyba nie jest taki tępy, żeby nie zrozumieć wszystkiego, co pan tak prosto i jasno wyłożył.

Następnie zwrócił się do sali.

- Są jakieś pytania?

Nie było. Odwrócił się do Romera.

- Dziękuję, pułkowniku. Chciałbym pogratulować panu i grupie studyjnej wspaniałej roboty. Naprawdę pierwszorzędny materiał. Zaakceptuję dzisiaj raport bez zmian i uwag. Chciałbym, żeby grupa zawiozła ten raport natychmiast do Pentagonu oraz żeby Kolegium Szefów Sztabu i sekretarz obrony ocenili ten raport jak najszybciej. Jeszcze raz dziękuję.

Westmoreland zwrócił się z wyczekującą miną w stronę Marshalla, w nadziei, że ten wstanie i będzie mógł go wyprowadzić z amfiteatru. Marshall jednak siedział nadal.

- Panie generale. Moja wiedza wojskowa nie może się równać z wiedzą pozostałych tu obecnych, stąd też jedna czy dwie sprawy wydają mi się niejasne. Nie chciałbym nikogo facygować powtarzaniem mi wszystkiego od początku, w związku z czym prosiłbym, żeby pułkownik Romer został tu ze mną i wyjaśnił mi te sprawy.

Westmoreland patrzył na niego z kamienną twarzą.

- Oczywiście - powiedział zaledwie poruszając ustami. Odwrócił się i wyszedł tak szybko, że już go nie było, zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć „baczność!” i wszyscy zerwali się.

Generał Abrams uśmiechnął się przechodząc obok.

Kilka rzędów dalej Wilson Abbot Lord szukał niby czegoś w papierach i w teczce, żeby znaleźć się pośród ostatnich wychodzących z sali. Gdy przejścia między fotelami wypełniły się ludźmi zmierzającymi ku drzwiom, on wpatrywał się nieustannie w Marshalla.

Przez całą odprawę uważnie obserwował wysłannika prezydenta, notował sobie w pamięci jego reakcje i wychwytywał wszystkie szczegóły.

Ambasador był zachwycony Arthurem Shawem. Chłonał każde słowo tego starego ochlapusa, a kiedy ten pijany pozer kończył swój cikliwy apel, żeby ratować „synów”, Lord zauważył, że Marshall wyraźnie drgnął.

Trumny. Synowie. Jego synowie. Wszystko jest jasne. Wnioski już wyciągnięte, Raport dla prezydenta skryształizowany w ciągu dwudziestu czterech godzin i nic już tego nie zmienia.

Nie było innego wyjścia. Lord rozumiał, że albo trzeba zdyskredytować Marshalla, albo w jakiś sposób przechwycić jego raport.

Z pozoru Marshall uważnie słuchał prezentacji Romera, ale Lord wiedział, że nie przyjął z niej do wiadomości ani słowa.

Raport Romera trafi do Waszyngtonu. Będzie wychwalany przez Kolegium Szefów Sztabu i Departament Obrony, ale Marshall będzie mógł go storpedować jednym słowem. Cała analiza zniknie gdzieś bez śladu.

Lord był wściekły. Jak ludzie pokroju Marshalla mogą być tacy ślepi? jak można wciąż i wciąż powtarzać ten sam błąd, że trzeba ułagodzić komunistów? Ile razy jeszcze Ameryka ma zostać wystrychnięta na dudka, zanim jej przywódcy zaczną postępować zdecydowanie i twardo?

Anglia jest spruchniałą pustą skorupą, której serce i siły wyszano od wewnątrz. To nie koń trojański wprowadził ją w błąd. Została sprzedana przez wewnętrznych zdrajców, a nie przez zewnętrznych nieprzyjaciół czy też przez niezadowolone klasy społeczne. Przez ludzi uprzywilejowanych z wyższych klas, intelektualistów z Oksfordu i Cambridge.

Marshall nie jest zdrajcą takim jak Kim Philby, Madean i Burgess, nie jest szpiegiem sprzedającym tajemnice nieprzyjacielowi, ale zamęt, jaki może rozpętać, przyniosłoby podobne skutki. Jakie znaczenie miałyby intencje, skoro skutki byłyby oplakane? Naiwność może być tak samo zła jak zdrada. Nie miało znaczenia, czy wolność i zasady zostaną sprzedane czy oddane. Tak czy inaczej nie będzie ich. Słowne popisy i pokrętne interpretacje nie obronią się przed pięścią tyrana ani nie rozerwą kajdan niewolnika.

Ludzie tacy jak Marshall, z zasadami, ideałami i czystymi rękami, klórzy nie dostrzegali ciężkiego trudu tych, co pracowali w bocznych uliczkach, w rynsztokach i brudzie, mogą sobie z minami świętoszków wykrzykiwać ze swoich pałaców: „demokracja”, „sprawiedliwość”, „wolność” - grzmieć pobożnie i potępiać cele zbru-kane przez użyte środki.

Lord, jak każdy, kto musiał ubrudzić sobie ręce, przeorując się przez brud wolności i sprawiedliwości innych, wiedział, że cele de istnieją. Są tylko środki. Gdzie tu sprawiedliwość, gdy biedni walczą i giną za bogatych? Synowie! Hipokryta, pomyślał Lord z obrzydzeniem. Te biedne chłopaki w trumnach! A co z tymi nieszczęsnymi sukinsynami w rynsztokach i slumsach, schorowanymi i w szponach nałogu, niewykształconymi sukinsynami, którzy nie potrafiliby nawet napisać słowa demokracja, a tym bardziej powiedzieć, co ono oznacza?

Cele i środki. Co za bzdury, pomyślał Lord. Istnieją tylko środki. Można je też nazwać celami. To bez różnicy. Ostatecznego rachunku ustalić się nie da. Istnieje

tylko suma albo różnica w danym momencie i ciągle rosnąca liczba indywidualnych rachunków.

Przejścia między fotelami opustoszały. Już tylko kilka osób kręciło się koło Marshalla i Romera.

Lord wyjął z teczki maleńki, niezmiernie czuły magnetofon, owinął go pogniecionym papierem i starannie ułożył na podłodze. Zamknął teczkę i wyszedł za ostatnim uczestnikiem odprawy, zamykając drzwi za sobą. Pożegnał skinieniem głowy dwóch wartowników przed drzwiami.

Przecież on, Lord, też ma syna. Czy Marshalli się nim przejmował? Nie, pomyślał gorzko. Tego sukinsyna nie obchodzą ani trochę synowie Wietnamczyków, których sprzedaje. Pewnie nigdy o nich nie pomyślał. Nawet mu nie przyszło do głowy, że inni ludzie, tacy jak Lord, tak samo troszczą się o swoich synów.

XIII

Kiedy drzwi się zamknęły, Marshall wstąpił i podszedł do podium.

- To była bardzo dobra prezentacja, panie pułkowniku. Przykro mi, że sprawiam panu kłopot, ale jestem tylko cywilem i w kilku sprawach potrzebuję nieco więcej wyjaśnień.

- A mnie jest przykro, że moja prezentacja nie była wystarczająco jasna, sir. Marshal! uśmiechnął się.

- Wina nie musi leżeć po pana stronie, panie pułkowniku, ani też po mojej. Romer również się uśmiechał.

- Czy przypuszcza pan, że może kryć się w danych?

- Trudno to sobie wyobrazić, ale cofnijmy się do kilku spraw. Czy mógłbym jeszcze raz zobaczyć te przeźrocza z Deltą Mekongu i Płaskowyżu Centralnego? Chyba miały numery 27 i 31.

Romer skinął ze zrozumieniem głową i podszedł do projektora. Po chwili obrazy pojawiły się na ekranie. Marshall przyglądał się im uważnie.

- Dziękuję, a teraz może numery 42 i 46 oraz dane techniczne i logistyczne uzbrojenia.

Na ekranie pojawiły się kolejne przeźrocza.

- Dziękuję. Wreszcie numery 7, 14 i 85 na temat obecnego i planowanego rozmieszczenia jednostek.

Po ich obejrzeniu Marshall skinął głową, a następnie przysunął sobie krzesło do stołu i gestem wskazał Homerowi, żeby usiadł naprzeciw niego.

Sposób bycia Romera nie zmienił się. Był pewien siebie i rozluźniony. Nie wydawał się ani speszony, ani zaniepokojony obecnością Marshalla.

- A teraz, pułkowniku - powiedział Marshall - proszę mi powiedzieć, czego w tym raporcie nie było. Chciałbym, żeby mi pan powiedział, co pan myśli.

- Co ja myślę? - powtórzył Romer z kamiennym wyrazem (warzy. - Jestem tylko podpułkownikiem.

- Po osiągnięciu jakiego stopnia oficerskiego można zacząć myśleć? - zapytał Marshall.

- Niektórzy dochrapali się czterech gwiazdek bez ani jednej myśli - odparł Romer.

- Tak. Znam niektórych z tych generałów. To są właśnie ci, którzy wydumali tę analizę i wnioski z niej płynące. - Marshall usiadł wygodniej i złożył przed sobą ręce na stole. - Są jednak generałowie, którzy mają tylko dwie gwiazdki i wydaje się, że dużo myślą.

Romer skinął głową.

- Generał Shaw powiedział wszystko, czego nie ma w tym raporcie, Marshall popatrzył na niego, a potem na ekran.

- Jak to możliwe, żeby broń pancerna nie ugrzęzła w Delcie? - zapytał wreszcie. Romer nie odwrócił wzroku, a potem pochylił się nad stołem i popchnął ciężkie

tomisko po blacie, aż spadło z hukiem na podłogę.

- Ten cały raport ugrzęźnie w Delcie.

- Razem z dodatkową piechotą i czołgami?

Romer dłonią wykonał gest wyobrażający, jak piechota i czołgi zapadają się w bagno.

- Czy możemy wygrać?

- Oczywiście.

- Jak?

- Oddać dowództwo generałowi Shawowi, zaatakować Północ, rzucić bombę wodorową i użyć gazu paraliżującego-drgawkowego.

Marshal! nie wyobrażał sobie, żeby mógł przedstawić takie zalecenia Johnsonowi.

- Myślę - powiedział - że prezydent może odrzucić taką propozycję.

- Zawsze pozostaje jeszcze to - powiedział Romer, wskazując raport leżący na podłodze. - Przypuszczam, że dotrze do niego po zaakceptowaniu przez Pentagon. Za sześć miesięcy dywizje zostaną wysłane.

- Mój syn będzie w jednej z nich, jak przypuszczam - powiedział Marshall ze smutkiem większym, niż zamierzał to okazać.

- Na pewno może pan uzyskać dla niego odroczenie - odparł Romer.

- On nie chce odroczenia.

- Z pewnością nie wierzy w tę wojnę - powiedział Romer z większym zdziwieniem i cynizmem, niż zamierzał.

- Nie, ale ma jakieś swoje pojęcie o zasadach moralnych. Uważa, że ktoś inny będzie musiał pojechać

zamiast niego i może zginąć, jeżeli on nie pojedzie. Zupełnie nie mogłem się z nim porozumieć.

- Rozumiem - uśmiechnął się Romer. - To jeden z tego typu synów.

- A pan zna ten typ. - Marshall roześmiał się. - Czy pański ojciec chciał, żeby pan wstąpił do wojska?

- Ojciec zginął, kiedy miałem szesnaście lat, czyli zanim sprawa stała się aktualna, ale zawsze mi powtarzał, żebym nie został oficerem zawodowym, i chyba mówił to poważnie. Armia zawsze sprawiała mu zawód. Chyba tylko w czasie bitwy nie narzekał. Podobnie jak generał Shaw, był okropnym żołnierzem czasu pokoju. Uważał, że w Armii pełno jest ludzi małych i niekompetentnych, i chociaż wojnę kochał z całego serca, co potwierdzają matka, jego pamiętniki i listy, myślę, że kochał ją jako zajęcie tylko dla siebie i chyba nie zniósłby tego, że jego syn też jest gdzieś na polu bitwy. Na pewno nie mógłby dowodzić mną w czasie walki. Nie wybaczyłby sobie nigdy, gdyby Jego syn został zabity. Gdzieś w głębi serca był miękkim i czułym człowiekiem, podobnie jak generał Shaw. Oczywiście Shaw robi wiele krzyku i mnóstwo rzeczy na pokaz, ale to co dzisiaj mówił, powiedział z przekonania. Jestem pewien, że tata wygłosiłby podobne przemówienie. Obydwaj są... byli prawdziwymi ludźmi.

- Gdzie si? tacy dzisiaj podzieli? - zastanowił się Marshall.

- Jeszcze nie zostaliśmy generałami - powiedział Romer z uśmiechem. - Ja nigdy nim nie zostanę, jeżeli nie otrzymam dowództwa batalionu.

- Czy to .dla pana takie ważne?

- Najważniejsze.

- Jestem przekonany, że wielu oficerów uzyskało stopień generała bez doświadczenia bojowego. Jakies miernoty, które nie potrafiłyby nawet przeprowadzić interesującej odprawy.

Spokój Romera wreszcie przysł.

- Syn „Wściekłego” Romera? Bez doświadczenia bojowego? Niesprawdzony na polu bitwy? Podpułkownik, który prowadzi odprawy? Oficer sztabowy? - W jego głosie pojawiło się wiele bólu i goryczy. - Mój ojciec był bohaterem wojennym. Żywą legendą, jak Waszyngton, Grant, Lee, Sherman czy Pershing. Kiedy się wspomni drugą wojnę światową, to padają nazwiska MacArthura, Eisenhowera, Pattona i mojego ojca. Nie sprzeciwiam się temu, nie przemawia przeze mnie zazdrość, nie rozbudza to mojej nienawiści, ale chcę po prostu być sobą. Na litość boską, nie mam zamiaru wygrywać wojny w Wietnamie czy triumfalnie wkraczać do Hanoi. Za pięćdziesiąt, za sto lat pozostanie ślad tylko po jednym Romerze, po moim ojcu. To mi nie przeszkadza. Chodzi mi tylko o to, żeby dzisiaj wiadano, kto to jest Romer i że to jestem ja.

Romer przerwał, zasępiiony.

- Przepraszam, sir. Normalnie się tak nie zachowuję. Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło. Jeszcze raz przepraszam. Przecież nie jesteśmy tu po to, żebym żalił się przed wysłannikiem prezydenta. Chyba to dlatego, że wspomniał pan

o swoim synu. Mój ojciec miałby straszne sny, gdyby wiedział, że jestem gdzieś na polu walki, chociaż on sam polecałby nagi i bez broni, żeby się tam znaleźć.

Marshall uśmiechnął się.

- Dlaczego nie chcą dać panu batalionu? - zapytał spokojnie. Romer wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie ma jakiegoś jednego konkretnego powodu. To, że jestem synem „Wściekłego” Romera i nikt nie chce być pomówiony o protekcję, jakaś zastarzała niechęć do mojego ojca i generała Shawa. Wielu ich nienawdziło, chociaż obaj byli bohaterami. Jakies obawy, że mogę coś spieprzyć i zniesławić nazwisko. To byłby znakomity kęs dla mediów, gdyby syn „Wściekłego” Romera poprowadził swoich ludzi na stracenie albo sam dostał się do niewoli. A z drugiej strony, co by było, gdybym też został bohaterem? Gdybym wkroczył do Hanoi i pojmał Ho Szi Mina? Jak armia poradziłaby sobie z drugim Romerem, primadonną po primadonnie? No

1 wreszcie dobrze prowadzę odprawy. Właśnie dlatego wysyłają mnie pojutrze do Waszyngtonu.

- A pan nie chce jechać?

- Chcę dostać batalion - powiedział zdecydowanie Romer, pochylając się w stronę Marshalla.

Ambasador przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Niech Bóg i pański ojciec mi wybaczą. Może zawrzemy umowę? - powiedział wreszcie.

Romer spojrział mu prosto w oczy.

- Jaką?

- Jeżeli będzie pan moim asystentem przez najbliższy miesiąc, załatwię panu batalion.

- Na czym to będzie polegać? Jaka będzie moja rola?

- Będzie pan moim asystentem. Potrzebuję kogoś, kto zacznie tu dla mnie pracować. Mam już oficera, który kieruje moim biurem, ale potrzebuję człowieka posiadającego te wszystkie informacje, które ma pan. Chciałbym pojechać do miejsc,

o których mowa w raporcie. Przypuszczam, że mógłbym zachęcić generała Shawa, ale wątpię, czy potrafilibyśmy się w pełni porozumieć. Po miesiącu, czy coś koło tego, załatwię panu batalion. Jakies tam wpływy mam.

- Nie wątpię - roześmiał się Romer.

- Nie mam pojęcia, jaki będzie z pana dowódca batalionu. Ale na pewno będzie pan moim idealnym asystentem. Jest pan szybki, dobrze zorientowany, nie da się pan zastraszyć i ma pan, jak mi się wydaje, jasny i nie wypaczony obraz sytuacji. Mógłby pan oszczędzić mi wiele czasu wskazując kierunki, na które ja natrafiłbym znacznie później. Czy umowa stoi?

- Niech pan nie uzna tego za pochlebstwo, ale... będę zaszczycony mogąc pracować dla pana. Jestem wdzięczny za zaufanie, a tak na marginesie - będę fantastycznym dowódcą batalionu.

Marshall wstał.

- Świetnie. Porozmawiam z generałem Westmorelandem. Będzie zawiedziony, że to nie pan dokona prezentacji w Waszyngtonie, ale jestem pewien, że przychylił się do mojej prośby.

- Tak - powiedział Romer, kiwając głową. - Myślę, że tak. Rozpakuję się i będę !/ czekać na przyłączenie się do pana.

i Uścisnęli sobie ręce i Marshall wyszedł.

Kilka chwil później do sali odpraw wrócił Lord. Pokazując swoją legitymację, | oświadczył, że zostawił poufne notatki na podłodze i zabrał magnetofon.

Po odprawie Lord spędził około dwudziestu minut z Westmorelandem i wyższymi oficerami, zaznajamiając się z wynikami działań bojowych prowadzonych ; w ciągu dnia.

Jedynym godnym uwagi wydarzeniem było to, że Westmoreland był wściekły na Marshalla i jego prośba, żeby samolot i pilot były stale do dyspozycji ambasadora, nie doczekała się realizacji. Zarówno gniew generała, jak i zgłoszone przez Marshalla zapotrzebowanie na pilota były Lordowi bardzo na rękę. Chyba wiedział już, jak to się da wykorzystać.

Kiedy Marshall wrócił do ambasady, hol był znowu opróżniony. Towarzyszący mu Mead rozglądał się z niepokojem.

- To niesamowite - powiedział.

- Głupie - parsknął Marshall. - Dlaczego ludzie nic nie mogą zrobić normalnie? Musi chyba być coś pośredniego pomiędzy zbiegowiskiem na jego widok

a zupełnie pustym holem, pomyślał. Nie może przecież wchodzić i wychodzić wśród gapiącego się tłumu, ale też nie może zmuszać ludzi do siedzenia w zamkniętych pokojach za każdym razem, kiedy przyjeżdża.

Przeszli już przez hol i zbliżali się do windy, kiedy jakiś głos zawołał za nimi:

- Hej, wy tam! Zatrzymajcie się!

Marshall i Mead odwrócili się i zobaczyli, że zbliża się do nich jakaś kobieta. Coś się zaczęło dziać za jej plecami. Obejrzała się i, zobaczywszy, że ścigają ją wartownicy, zaczęła biec w kierunku Marshalla.

Marshall zawahał się, nieco zdezorientowany i zaniepokojony, ale Mead zareagował natychmiast. Stał przed Marshalllem zasłaniając go i podniósł karabin w poprzek piersi.

Wartownicy dognali kobietę. Jeden chwycił ją, ale wyrwała się z krzykiem.

- Dzieci! - wołała. - Musi pan ratować dzieci!

Mead postąpił do przodu, żeby ją powstrzymać, dotykając karabinem jej piersi.

- Jak śmiesz! - wrzasnęła, a potem cofnęła się i uderzyła go w twarz. - Zejdź mi z drogi!

Policzek był tak głośny i tak niespodziewany, że wartownicy, Marshall, Mead i kobieta znieruchomieli.

Kobieta oprzytomniała pierwsza.

- O mój Boże - powiedziała. - Ogromnie mi przykro. - Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć już czerwieniejącego policzka Meada.

Mead ani drgnął, tylko powstrzymywał ją zdecydowanie karabinem. Wtedy zaczęli działać wartownicy. Chwycili ją i odciągnęli, wykręcając jej boleśnie ręce do tyłu.

Wreszcie Marshall też oprzytomniał i wysunął się przed Meada.

- Puśćcie ją - powiedział. Wartownicy zawahali się.

- Puśćcie ją!

Wartownicy posłuchali z ociąganiem, ale stali w gotowości, żeby ją znowu pochwycić.

- Muszę z panem porozmawiać - powiedziała pośpiesznie kobieta, podchodząc bliżej. - Proszę.

Dzieci poumierają, jeżeli pan nie pomoże. Proszę!

Marshall patrzył na nią. Chociaż jej odzież była w nieładzie, a włosy rozczochrane, Marshall uznał, że nie jest szalona. Jej twarz, na której malował się ból i rozpacz, była uderzająco inteligentna i pociągająca.

- Co mogę dla pani zrobić? - zapytał.
- Proszę mnie wysłuchać. Tylko pięć minut. Proszę. Jej oczy przepelniało błaganie i nadzieja.
- Oczywiście - powiedział Marshall i dał znak wartownikom, żeby odeszli.
- Sir - odezwał się jeden z nich. - Ona jest... Marshall tylko machnął ręką.
- W porządku. Dziękuję - powiedział do wartowników. Cofnęli się niechętnie.
- Proszę - zaprosił gestem kobietę. - Pójdziemy do mojego biura. Poprowadził ją do windy.

Wszyscy troje wsiedli. Jeszcze raz wyciągnęła rękę,

żeby dotknąć policzka Meada.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałam, żeby pana zabolalo.

Marshall uśmiechnął się.

- Myślę, że raczej poczuł zakłopotanie, niż ból.

- Mógł mnie pan zastrzelić - powiedziała do Meada.

- Mamy bardzo surowe przepisy na temat zabijania kobiet w holu ambasady | zauważył Marshall.

Mead cofnął się w kąt windy. Chciał uniknąć dalszych przeprosin.

- Jestem Teresa Hawthorne - powiedziała, wyciągając rękę do Marshalla. - :•. Dziękuję bardzo, że zechciał pan ze mną porozmawiać. Nikt nie chce.

- Bradley Marshall - powiedział, ściskając jej dłoń.

- Pan musi być bardzo ważną osobą.

- Nie wiedziała pani, kim jestem, kiedy krzyczała pani, żebym się zatrzymał?

- Nie. Wiedziała tylko, że musi pan być kimś ważnym. Przed pańskim przybyciem wszystkich wyproszono. Zapędzali nas jak bydło i powtarzali: Już jedzie. Już jedzie". Stąd wiedziałam, że pan musi być kimś. Pan jest kimś ważnym, prawda?

- Obawiam się, że tylko wysłannikiem. Dyplomata.

- Rzeczywiście? Powinna była się zorientować. Wygląda pan jak dyplomata. Całkiem dystyngowanie. Tę całą sytuację w holu też załatwił pan zupełnie jak dyplomata. Działał pan na zdecydowanie. Zrobiło to na mnie wrażenie.

- Dziękuję. Proszę tędy.

- Mój Boże - powiedziała, widząc wartownika czekającego przy wyjściu z windy i prowadzącego ich do szklanej przegrody. - Jestem zaskoczona, że on mnie jednak nie zastrzelił tam na dole.

Przy wejściu do biura Marshall zwrócił się do Meada:

- Kapralu, zaczekacie, dopóki pani Hawthorne...

- Panna Hawthorne.

- ...panna Hawthorne i ja skończymy rozmowę, a potem odprowadzicie ją na dół. Może będą ci potrzebne posiłki, ale mam nadzieję, że nie - dodał z uśmiechem, zwracając się do Teresy. - Chyba nie skrzywdzi mnie pani ani nie zaatakuje mojego żołnierza?

W biurze Marshall podprowadził Teresę do fotela.

- Napije się pani kawy, herbaty czy może czegoś innego?

- Och, nie. Dziękuję. Jest pan ogromnie uprzejmy. Nigdy bym nie przypuszczała, że zostanę tak miło potraktowana. Ojciec Dourmant w ogóle w to nie uwierzy. To jest ksiądz. Francuz. Obawiam się, że nie ma zbyt wygórowanej opinii o Amerykanach.

- Jeszcze nigdy nie spotkałem Francuza, świeckiego czy duchownego, który miałby o nas dobrą opinię.

Teresa rozglądała się wokół nieco zażenowana. Zauważyła bogaty wystrój biura i podświadomie wyglądała sukienkę w miejscu, gdzie puścił szew.

Wyglądała na wyczerpaną i przybitą, ale Marshall dostrzegł na jej twarzy jakąś niezwykłą dobroć, zupełnie jakby była istotą nie z tego świata.

- Chyba napiję się kawy - powiedział, wstając i podchodząc do drzwi. - Czy na pewno nie skusi się pani na nic? To żaden kłopot.

- No... dobrze. Będzie wspaniale napić się kawy. Rzadko pijam kawę. Na czarnym rynku jest bardzo droga.

Marshall otworzył drzwi.

- Pułkownika Waggoner, czy panna Toland mogłaby podać dwie kawy i jakieś ciasteczka? Co tam ma pod ręką. Robi się już późno. Nie ma potrzeby, żeby pan czy ktokolwiek inny siedział tu dłużej. Jest wiele spraw, które chciałbym omówić z panem rano. Będę w biurze koło ósmej. Dobranoc.

Usiadł na fotelu naprzeciw Teresy.

- Co mi pani chciała opowiedzieć? Czyje dzieci mogą ocalić?

Teresa mówiła prawie przez godzinę. Opowiedziała mu o klinice i o sierocińcu, o swojej pracy i o kłopotach. Opowiedziała o licznych wyprawach do ambasady w poszukiwaniu pomocy i o tym, że za każdym razem odprawiano ją z kwitkiem, że jest zrozpaczona, a rząd Południowego Wietnamu nie chce pomagać.

- Jest u mnie w klinice kobieta, która chce się spalić razem z dzieckiem - jakoś akt protestu, tak jak to robili mnisi buddyjscy. Ojciec Dourmant jest oburzony, ale ja muszę szczerze przyznać, że nie wiem, co jej powiedzieć. <•

- Mam szczerą nadzieję, że powie jej pani, żeby tego nie robiła.

- Dlaczego? - zapytała Teresa zmęczonym głosem. - Przecież ona wraz z dzieckiem może zginąć od bomby albo umrzeć z głodu. Dziecko jest kalekie i zapóźnione w rozwoju. Dużo jest takich dzieci. Są także uzależnione od narkotyków i całe ich ciało pokryte jest ranami. Nie ma dla nich żadnej nadziei. Może pan sobie wyobrazić, jakie będą miały życie, jeżeli przeżyją? Odrzucone dzieci z wadą mózgu, snujące się po ulicach i grzebiące w śmieciach. Czy to będzie wielka różnica, jeżeli ta kobieta spali siebie i dziecko? Ich życie nigdy nie ulegnie poprawie. Czeka ich tylko więcej bólu i cierpienia. To okrutne ofiarowywać nadzieję komuś, czyj los nikogo nie obchodzi.

W pokoju robiło się ciemno. Przez okno Marshall zobaczył, że zapalają się światła. Migwały jakieś neony zwiastujące, że rozpoczyna się nocny karnawał. Westchnął, zbyt zmęczony i przybity, żeby zapalić światło we własnym biurze. Nie spodziewał się czegoś takiego. Ogarnęło go przerażenie.

Kim jest ta kobieta, która właśnie wdarła się w jego życie, ta niezwykła kobieta, która jest tak atrakcyjna, że musiał odwracać wzrok?

- Ile jest takich sierocińców? - zapytał wreszcie. - Ile dzieci? Pokręciła głową.

- Nie wiem. Nawet nie wiem, ile takich klinik i sierocińców jest w Sajgonie, ale w całym kraju muszą być ich setki, a dzieci, tysiące, i codziennie ich przybywa. Nie tylko tych osieroconych w wyniku bombardowań i zabójstw, ale też dzieci -pozamałżeńskich. Są ich setki. Szpitale katolickie nie podejmują się aborcji, żołnierze zaś nie używają środków antykoncepcyjnych.

Westchnęła i uśmiechnęła się.

- Nigdy nie wpadam w takie zniechęcenie, dopiero kiedy zaczynam o tym myśleć. Teraz, kiedy opowiedziałam o wszystkim, wydaje mi się, że zrobienie czegokolwiek jest niemożliwe. Czuję się absolutnie zdruzgotana i to jest straszne.

- Rzeczywiście - powiedział Marshall, zdobywając się na słaby uśmiech. - Boże, nie wiem, co mam pani powiedzieć. Nie mam gotowych odpowiedzi na pani pytania, ani propozycji rozwiązań. Szczerze mówiąc, nigdy nawet nie pomyślałem o tym, co mi pani opowiedziała. Nie zdawałem sobie sprawy, że coś takiego się dzieje. Mogę zrozumieć, dlaczego chciano się pani stąd pozbyć. Problem jest chyba ogromny, a politycznie... Cóż, trudno wyobrazić sobie, kto mógłby bronić sprawy dzieci żołnierzy i prostytutek.

- Ale z moralnego punktu widzenia... Marshall podniósł rękę.

- Powiedziałem - politycznie. Moralność i polityka spotykają się tylko przypadkowo i tylko wtedy, kiedy to jest wygodne dla polityki. Obiecuję jednak, że zrobię, co będę mógł. Zajmę się tą sprawą jutro.

Wstał i podszedł do biurka.

- Czy mogłaby pani napisać swoje nazwisko i adres kliniki, a także numer telefonu, jeżeli go macie.

Napisała i podała mu kartkę.

- Jestem bardzo... Marshall machnął ręką.

- Proszę przestać. To pani należą się podziękowania. Ja... Ja nie jestem pewien, czy będę mógł w czymkolwiek pomóc.

- Pan już pomógł. Natchnął mnie pan nadzieją.

- To może się okazać okrutne.

- W każdym razie dziękuję - powiedziała, wyciągając rękę i ściskając jego dłoń. - Dziękuję

również za kawę i ciasteczka, ale przede wszystkim za to, że mnie pan wysłuchał. To czasami ogromnie pomaga. Chciałabym, żeby ojciec Dourmant mógł się z panem spotkać. Jestem pewna, że pana polubi.

- To wprowadziłyby zamieszanie w jego system wartości i zrujnowało utrwalone przekonania.
- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała, kiedy odprowadził ją do drzwi.
- Dobranoc, panno Hawthorne - powiedział i spojrzał na rękę, którą mu podawała.

Wziął ją w swoje dłonie. Była taka ciepła, że mógł wyczuć płynącą z niej łagodną, kojącą siłę, i nie miał ochoty jej puścić.

- Kapral Mead panią odprowadzi - powiedział wreszcie, a następnie patrzył za nią, jak się oddalała. Stał nieruchomo w drzwiach jeszcze długo po jej odejściu.

Lord kończył po raz drugi przesłuchiwać nagranie w swoim biurze na innym piętrze. Miał rację. Nie było wątpliwości co do stanowiska Marshalla. Zaangażowanie Romera jako asystenta okazało się mistrzowskim pociągnięciem. Będzie w stanie autorytatywnie udokumentować swoją negatywną ocenę raportu DWWPBP. Lord nabrał przekonania, że z Marshalla jest bardzo bystry i niebezpieczny skurwysyn, który musi zostać powstrzymany.

Zastanawiał się długo. Potrafił siedzieć bez ruchu przez niezwykle długi czas, tak długi, że koledzy z Firmy porównywali tę jego umiejętność do zdolności jaszczurki. Wreszcie sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do Da Nang. Zapewni Bradleyowi Lawrance'owi Marshallowi odpowiedniego pilota.

Po załatwieniu sprawy, poszedł do gabinetu Jeffreya Gibbona.

Kiedy Lord wszedł, Gibbon wstał, podszedł do sejfu, wyjął akta Marshalla i oddał je Lordowi.

- Ledwo się tu pojawił, a już strasznie namieszał - powiedział Gibbon. - Skąd wiedziałeś, że będą kłopoty? W tych aktach ani w charakterystyce środowiskowej nie ma nic, co by na to wskazywało.

- Jest - powiedział Lord, siadając wygodnie na składanym metalowym krzeselku.

- Musiałem to przegapić - powiedział Gibbon. - Dla mnie wygląda on na klasycznego przedstawiciela kół rządzących. Ellsworth Bunker to przy nim hippis.

- Ależ, Jeffrey. Ojcowie Założyciele pochodzili z najlepszych rodzin. Rewolucjoniści przeważnie też z takich rodzin pochodzą. Skuteczni rewolucjoniści rząd-

ko wywodzą się z motłochu. Pochodzą z warstw uprzywilejowanych, znających system i mechanizmy jego działania, co czyni ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Marks, Engels, Lenin, Mao, Che i Ho nie wywodzili się z uciskanego proletariatu.

- Czy myślisz, że Marshall jest...

- Komunista? Skąd! W Ameryce nie ma komunistów, Jeffrey. W naszym społeczeństwie jest najmniej komunistów na świecie. Czy znasz jakichś komunistów? Czy spotkałeś choć jednego? Dwie trzecie obecnych na zebraniach komórek komunistycznych to agenci FBI. Tylko świry z prawicy mają kota na punkcie komunistów w Ameryce, a to przecież największa bzdura na świecie, bo ich po prostu nie ma.

Lord lubił Gibbona. Podobały mu się jego oddanie i stała gotowość, ale zaczynał dostrzegać, że Gibbon jest dokładnie takim człowiekiem, na jakiego wygląda - zbyt piękny, żeby być prawdziwym. Nie był tak bystry i inteligentny, jak Lord oczekiwał. Może, myślał, jest to związane z jego wyglądem. Przystojni mężczyźni i piękne kobiety nie mogą powstrzymać się od patrzenia w lustro. Jest to nieszkodliwa próżność, ale przeszkadza w koncentracji, a w tej pracy już druga pomyłka może okazać się fatalna.

Mimo to Lord uznał, że będzie mógł posłużyć się Gibbonem.

- Powiedziałem, kłopoty, Jeff. Marshall sprawi nam wiele kłopotów. Jest gorszy niż komuniści i znacznie bardziej niebezpieczny.

- Czy jest liberałem? - zapytał Gibbon z uśmiechem.

- W najgorszym wydaniu - powiedział Lord. - Prawdziwy, uczciwy, zatroskany człowiek z...

- Z głową w chmurach.

Lord skinął twierdząco i wstał.

- W dalszym ciągu masz licencję pilota, prawda?

- Tak jest.

- Pamiętasz jak działa *Hueyl* Gibbon uśmiechnął się.

- Latanie jest jak pieprzenie. Tego się nie zapomina. Lord patrzył na niego zimno.

- A pamiętasz, jak *Huey* nie działa?

- Sir? - zapytał Gibbon, nie rozumiejąc.
- Może jednak będziesz musiał przejrzeć podręcznik na temat *Hueya UH-1B*, Jeffrey. Masz wiedzieć o nim wszystko od początku do końca i umieć znaleźć każdy detal z zamkniętymi oczami.

Gibbon w dalszym ciągu się uśmiechał.

- *Huey* jest jak kobieta. Z obydwojma mogę sobie poradzić po ciemku. Nie potrzebuję podręcznika.

Lord ruszył do drzwi.

- Jeżeli nasze rozmowy mają być owocne, Jeffrey, to albo ty musisz urosnąć, albo ja muszę zmaleć.

Gibbon skinął poważnie głową.

- Myślę, że powinien pan zmaleć, sir.

- Zlituj się, Jeff! Weź się za ten podręcznik. Dobranoc.

Marshall wyszedł z biura po telefonie do MACY z prośbą o oddelegowanie Romera.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed willą, polecił kierowcy i Meadowi wracać do domu.

- Idę do łóżka i będę spać chyba ze szesnaście godzin. Nie będę was potrzebować, kapralu. Jeżeli ktoś będzie chciał mnie zastrzelić, to niech strzela.

- O której mam się zameldować rano, sir? - zapytał Mead.

- Rano nie będziesz potrzebny. Masz wolne. Pójdź gdzieś ze swoją dziewczyną. Zamelduj się po lunchu.

Marshall zaczął wchodzić zmęczonym krokiem po schodach. Otwarto przed nim drzwi, a cały personel witał go stojąc na baczność z uśmiechami na twarzach.

Mój Boże, jęknął w duchu Marshall.

Mead wsiadł z powrotem do samochodu. Limuzyna wyjechała z ogrodu i skierowała się do ambasady.

- Nie wracam do ambasady - powiedział Mead. - Wysadź mnie na rogu. Złapię taksówkę.

- Masz jakąś żółtą cipę na mieście? - zapytał kierowca, zatrzymując się przy krawężniku.

- Nie - odparł Mead wysiadając i zatrzaskując drzwi. Podbiegł do taksówki, która zatrzymała się w korku ulicznym.

Francuz w średnim wieku aż zapiszczał przerażony i zaskoczony, kiedy Mead wskoczył na siedzenie obok niego.

- Taksówka jest zajęta - powiedział rozdrażniony.

- Zamknij się - odparł Mead, podtykając mu karabin pod nos i podając kierowcy adres.

- Miło podwieźć pana - powiedział Bernard Lacouture do Meada, a potem zwrócił się po francusku do kierowcy: - Zabierz naszego zbawcę tam, dokąd chce jechać.

Lacouture rozsiadł się wygodnie, ale jednocześnie kręcił się nie mogąc usiedzieć spokojnie, podziwiając siedzącego obok żołnierza. Był to chyba najprzystojniejszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek widział. Zupełnie oszałamiający okaz - dziki i niebezpieczny. Przypominał Lacouture'owi francuskiego legionistę, z którym żył wiele lat temu. Omal nie zemdleł pod wpływem wspomnienia o tamtym i bliskości tego, zupełnie zapomniał o celu swojej wyprawy, jakim było obejrzenie rezydencji nowego amerykańskiego wysłannika.

Przysunął się nieco bliżej.

- Czy mogę pana zaprosić...

- Nie gadaj do mnie, pedziu - warknął Mead.

Lacouture aż westchnął z rozkoszy. Wspaniale, pomyślał. Muszę go zdobyć. Kiedy taksówka zatrzymała się, Mead sięgnął po portfel.

- Nie... nie - zaprotestował Lacouture. - Ja zapłacę. *Enchante*.

- Dziękuję - mruknął Mead. Zatrzęsnał drzwi taksówki i wbiegł po schodach. Taksówka ruszyła.

- Stój! - krzyknął Lacouture. - Cofnij się!

Taksówka cofnęła się, a Lacouture wychylił się z samochodu i dostrzegł światło zapalające się w jednym z pokoi na górze.

- *Bien* - powiedział, zapisując sobie adres. - Jedziemy! - krzyknął szczęśliwy do kierowcy. Miał plan. Wspaniały plan, który pozwoli mu zdobyć dość pieniędzy, żeby zapewnić sobie emeryturę na Riwierze, a także zdobyć tego centuriona. Wyjątkowy plan!

XIV

Lukę Bishop otrzymał zawiadomienie, że ma opuścić wzgórze, zaledwie na pół godziny przed terminem odlotu razem z ciałami zabitych.

- To rozkaz, poruczniku - powiedział dowódca kompanii, który otrzymał polecenie z batalionu, dokąd dotarło ono z pułku, a do pułku bezpośrednio od generała Haggana z dowództwa dywizji.

- Zdejmijcie go z placówki na parę dni - powiedział Haggan po powrocie ze wzgórza, gdzie widział, w jakim stanie znajduje się Bishop. - To jedyna placówka, która ubiegłej nocy nie została zdobyta. Żółtki wróć, ale nie tak szybko. Chcę, żeby nasi byli dobrze przygotowani. Nie mogę wygrać wojny z oficerami padającymi ze zmęczenia.

- Czy powinienem coś zrobić, kiedy pana nie będzie? - zapytał sierżant Brock, stając obok porucznika.

Bishop wzruszył ramionami.

- Wiecie, sierżancie, tyle samo co ja. Nie przypuszczam, żeby znowu zaatakowali w ciągu najbliższych trzech albo czterech dni. Myślę, że można ograniczyć służbę wartowniczą do minimum i niech wszyscy się wyśpią. W ciągu dnia niech pracują przy zasiekach i pozakładają pułapki. Nie ma właściwie nic do roboty, tylko czekać. Nie dajcie się pozabijać.

- Postaramy się, panie poruczniku.

Brock chciał powiedzieć jakiś dowcip na temat dziewczyn i o tym, że oficerom zawsze trafiają się najlepsze rzeczy, ale zamiast tego rzucił okiem na dwa zielone worki z ciałami leżące obok nich na ziemi i tylko pokręcił głową. Potem popatrzył na zbliżający się helikopter.

Bishop zabrał jedynie swój karabin i przybory do golenia. Nie wziął nawet zmiany ubrania. W czasie krótkiego lotu siedział przypięty parcianym pasem, a u stóp miał dwa worki z ciałami. W dole widział potężnie rozbudowaną bazę Khe Sanh. Biegnące pierścień za pierścieniem bunkry i okopy wyglądały, jak odrażający wrzód pośród terenów kompletnie oczyszczonych na kilka kilometrów wokół. W oddali mógł dostrzec niewielkie wypryski wysuniętych placówek, ale nie potrafił zidentyfikować Wzgórza 742.

W dowództwie dywizji w Quang Tri zarezerwowano mu miejsce na pokładzie *C-130* lecącego do Da Nang. W manifeście ładunkowym odnotowano: BISHOP, LUCAS M., PPOR. 0104422 I SZCZĄTKI LUDZKIE.

Kiedy wylądowali, czekało na nich dwóch marynarzy. Chwycili worki i wrzucili je na pudło ciężarówki. Bishop też zaczął wsiadać na tył ciężarówki, kiedy jeden z marynarzy zawołał:

- Może pan jechać z nami w szoferce.

Nic nie odpowiedział, tylko skulił się obok worków, nie zwracając uwagi na kurz i oślepiające słońce.

Ciężarówka przetoczyła się przez lotnisko do odległego białego budynku, dokąd zawieziono worki z ciałami. Bishop przekazał dokumenty i rzeczy osobiste, a następnie stanął bezradny nie wiedząc, co ma dalej robić.

- Nie ma pan tu nic do roboty, panie poruczniku - powiedział sanitariusz. -Dlaczego nie pojedzie pan do BOQ*? Tam można się odświeżyć i odpocząć. Musi pan zabrać niektóre kopie dokumentów z powrotem do oddziału, ale będą gotowe dopiero jutro.

Wskazali mu drogę przez ogromną bazę do BOQ, gdzie dostał pokój. Rzucił się na łóżko w ubraniu i zapadł w głęboki sen bez snów.

Obudziło go nagle walenie do drzwi. Rzucił się na podłogę, szukając karabinu, zupełnie nie mógł się zorientować, co się dzieje.

Wreszcie oprzytomniał i podszedł do drzwi. Spojrzał na zegarek. Było już późne popołudnie. Przed drzwiami stał jeden z marynarzy z kostnicy, żując gumę.

- Ktoś spieprzył robotę i nie podpisał właściwych dokumentów. Musi pan przyjść i zidentyfikować ciała.

Bishop chciał zamknąć drzwi.

- To są na pewno oni. Byłem z nimi przez cały czas.

- I tak musi pan przyjść, panie poruczniku. Nie można wysłać do domu niewłaściwych chłopaków.

- Mówię ci, że to oni. Spływaj stąd.

- Panie poruczniku, komandor Hartman powiedział, żeby pan przyszedł, a to znaczy, że musi pan przyjść, sir.

Bishop już wyciągnął rękę w kierunku wykrzywionej szyderczym grymasem twarzy, ale po marynarzu nie było już śladu.

Droga do kostnicy zajęła mu około pół godziny. Starannie wymalowana biała strzałka wskazywała: DO REJESTRACJI.

Wewnątrz poprowadzono go długim korytarzem do szarego aseptycznego pokoju, w którym stało wiele stołów. Na stołach leżały ciała. Inne leżały jak pnie drzew pod ścianami. Wszystkie w mundurach. Niektóre już zupełnie sztywne.

Ciała na stołach były nagie. Niektóre bez rąk i nóg, inne powykęcane i strasznie zdeformowane. Na jednym ze stołów leżał Pozinski - umyty i oczyszczony, bezbarwny, jak bezbarwne były ściany, z krwią odsączoną do kubłów i ze zwisającymi ze stołu rękami. Oczy miał utkwione w lampy jarzeniowe.

Bishop odwrócił się, ale na sąsiednim stole leżały kawałki ciała Millera.

Bishop chwycił się za żołądek i odwrócił na pięcie.

Oficer Marynarki w poplamionym krwią fartuchu lekarskim podtrzymał go.

- Przykro mi, panie poruczniku. Nie powinni byli pana tu przyprowadzać. Już ja sobie z nimi pogadam. To makabryczna praca. Ma na nich taki wpływ, że czasami odgrywiają się na innych. Czy dobrze się pan czuje?

Bishop skinął głową, wbijając wzrok w podłogę.

- Czy może pan ich zidentyfikować?

Bishop znowu skinął głową, a następnie wyprostował się i odwrócił do stołów.

- Kapral Pozinski, Gregory S. - powiedział obojętnym głosem. - Nazywali go Opieniek. A to jest starszy strzelec Lawrence F. Miller. Czy to wszystko, ^sir?

- Tak, poruczniku. Dziękuję. Niech pan tylko podpisze te formularze.

Podpisał się pewnie i ręce mu nie drżały, kiedy zwracał dokumenty.

- Czy mogę mieć jedną prośbę, panie komandorze?

- Oczywiście.

- Nie chciałbym wracać do BOQ, sir.

- Rozumiem, poruczniku. Czy ma pan jakichś przyjaciół w Da Nang? Mógłbym polecić jednemu z kierowców, żeby odwiózł pana do ich jednostki.

- Dziękuję. Mam przyjaciela w lotnictwie piechoty morskiej. Chodziliśmy razem do szkoły.

- Ależ oczywiście. - Patolog spojrzał ponad ramieniem Bishopa na stół. - Ja... - Pokręcił tylko głową. - Niech pan uważa na siebie, poruczniku.

Kiedy Bishop zapukał do drzwi baraku i wsunął głowę do środka, potężny mężczyzna w podkoszulku stał pochylony nad torbą leżącą na łóżku. Podniósł głowę zaciekawiony.

Patrzył przez chwilę niepewnie z przechyloną głową, ale zaraz wyprostował się.

- Rany boskie! Lukę!

Skoczył przez pokój i objął Bishopa w niedźwiedzim uścisku.

- Mój Boże! Co się z tobą stało? Bishop odepchnął go.

- Nic mi się nie stało. Byłem na wojnie, a nie obrastałem w tłuszcz jak ty -dodał, chwytając w rękę fałdy ciała przyjaciela.

- Tak? To nic dziwnego, że przegrywamy wojnę. Wyglądasz gorzej niż ten żółtek, którego wczoraj zbombardowałem.

Chwycił Bishopa za ramiona, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Kurczę. Wyglądasz okropnie. Nie widuję wielu piechociarzy. Czy wszyscy tak wyglądacie?

Wojna musi być kurewską sprawą.

- Jest - przyznał Bishop ze śmiechem.

- Dobrze, że nie biorę w niej udziału - powiedział, kręcąc głową. - Nawet cię nie poznałem. Wyglądasz, jakbyś nie spał od miesiący. Straciłeś chyba z dziesięć kilo.

- Czy rzeczywiście tak źle wyglądam?

Jim Magnuson zaciągnął go przed lustro. Stojąc obok przyjaciela, Bishop mógł ocenić różnicę. Grali razem w futbol w Oklahomie. Kiedyś byli takiej samej tuszy i wzrostu. Bishopowi wydało się, że skurczył się i wysechł. Magnuson tryskał zdrowiem. Z jego pełnej twarzy biła energia. Twarz Bishopa była chuda. Oczy miał zapadnięte. Wyglądał na wyniszczzonego.

- W porządku - powiedział, wzruszając ramionami. - Powiniennem być zostać pilotem.

- A nie mówiłem ci w obozie szkoleniowym, dupku? Ale, nie. Ty chciałeś zostać bohaterem. Chciałeś walczyć wręcz z żółtkami. Co za bzdura!

Magnuson rzucił wszystko z łóżka i posadził na nim Bishopa. Podbiegł do małej lodówki, wyciągnął tackę z lodem, napełnił dwie szklanki kostkami i nalał do pełna Jacka Danielsa. Wrócił z nimi do łóżka, śpiewając wojenną pieśń Oklahomy.

- Jim, jeżeli to wypiję, to padnę.

- No to co? I tak gorzej nie będziesz wyglądać, ani gorzej pachnieć.

- Zdrowie - podniósł szklankę.

* BOQ - *Bachelor Officer's Quarters* - kwatery nieżonatych oficerów [przyp. red.].

Bishop stuknął się z nim szklanką, wypił łyk i zakrzuszył się.

- Skandal! - wykrzyknął Magnuson, po raz drugi podnosząc szklankę do góry. - Za studenckie czasy.

Bishop znowu wypił. Tym razem udało mu się przełknąć.

- W porządku - powiedział Magnuson. - A teraz powiedz mi, co tu robisz. Nie. Najpierw musimy wypić zdrowie Barbary.

Bishop był drużbą na weselu Magnusona. Wypił więc zdrowie żony przyjaciela.

- Teraz pijemy za Korpus - powiedział Magnuson. Obaj wstąpili do piechoty morskiej po ukończeniu studiów i byli razem w Quantico, dopóki Magnuson nie poszedł do szkoły lotniczej.

- Albo nie. Pieprzyć Korpus - powiedział, wylewając whisky na podłogę. - Co tu robisz?

Bishop opowiedział mu, a Magnuson wysłuchał spokojnie. Po czym rozlał resztę zawartości butelki do obu szklanek.

- Przypomina mi to kawał o kobiecie, która miała dwie cipy. Opowiedział historyjkę Bishopowi, potem inną, a wkrótce śmiali się, żartowali, opowiadali kawały, popychali się i rzucali w siebie kostkami lodu.

Wreszcie, kiedy w pokoju zrobiło się ciemno, Bishop był już spokojny i rozsiadł się na łóżku.

- Nic nie opowiedziałeś mi o sobie, Jim. Zupełnie nie wiem, co robisz. Wskazał na torbę i ubrania rozrzucone po podłodze.

- Wyjeżdżasz gdzieś?

Magnuson wzruszył ramionami i uśmiechnął się leciutko.

- Jestem pilotem. Cóż można powiedzieć? Zrzucam wielkie bomby na małych żółtków, niszczyć lasy. Nic takiego.

- A gdzie się wybierasz?

- Do Sajgonu. Dzisiaj do nas dzwonił. Potrzebują pilota na Tan Son Nhut. Wybrali mnie.

- Do Sajgonu? Po co im pilot z piechoty morskiej? Tam działają tylko Siły Powietrzne.

- Nie mam pojęcia, ale tutaj jest tak samo jak w piechocie. „Nie do nas należy pytać dlaczego”. Mamy robić, co każą.

Chcąc zmienić temat, wyciągnął rękę i poderwał Bishopa na nogi.

- Weź prysznic i pójdziemy coś zjeść. Wyjeżdżam dopiero jutro. Mamy całą noc na zabawę. Zawiozę cię w różne miejsca i pokażę ci takie rzeczy, że twój mały mózdek z Oklahomy nie będzie w stanie ich pojąć.

- Zapomnij o tym - powiedział Bishop, idąc do łazienki. - Pokaż mi coś, co mój wielki kutas z Oklahomy mógłby zerznąć.

Po umyciu się wyszli z baraku, przepychając się w drzwiach i opleceni ramionami szli śpiewając przez bazę, żeby wziąć dżipa na wyjazd do miasta.

- Jezu - powiedział Bishop, kiedy zajechali z fantazją przed budynek dowództwa. - Nie chcę tu

wchodzić.

- Muszę tu zostawić dżipa. Nie mogę parkować na ulicy w mieście, bo podłożą bombę. Poza tym fajnie jest pojechać motorówką do miasta. To jedyna służba na morzu, jaką mogę pełnić.

- Motorówką?

- Marynarka przewozi z klubu oficerskiego do miasta. To fantastyczne. Człowiek wytacza się z klubu, a tu jakiś marynarz saltuje, pomaga ci wsiąść do łódki i wiezie cię do burdelu. Tak właśnie powinna wyglądać wojna.

Magnuson zaparkował obok klubu oficerskiego i weszli do środka na kielicha, ale Bishop czuł się tam źle. Był skrepowany. Jego mundur był podarty i brudny, buty nie wyczyszczone, podczas gdy wszyscy mieli na sobie świeżutkie mundury, a ich buty i mosiężne części wyposażenia lśniły.

- Spływajmy stąd - powiedział, jak już wypili po jednym. Wyszli tylnymi drzwiami i przez strzyżony trawnik dotarli na nabrzeże, gdzie dwaj marynarze zaszalowali sprężyscie.

- Cholera - powiedział Magnuson. - Chciałem popłynąć łodzią admirała.

- Admirał używa swojej łodzi, sir - powiedział marynarz. - Popłynął do „Kamiennego Słonia” i łódź czeka tam na niego.

Magnuson wskoczył na pokład.

- Admirał ma własną motorówkę - wyjaśnił Bishopowi. - Chyba nie trzeba ci mówić, że jest znacznie ładniejsza niż ta. Ma kabinę. Jest pierwsza klasa. Kiedy admirał z niej nie korzysta, też przewozi ludzi przez rzekę. Może nią wrócimy.

- Co to jest Kamienny Słoń?

- To dawny francuski klub oficerski. Wygląda jak restauracja na Riwierze. Możemy tam pójść.

Bishop pokręcił głową.

- Jestem nieodpowiednio ubrany. Chodźmy raczej coś zerznąć.

- Na to zawsze jest czas. Musisz zobaczyć „Kamiennego Słonia”. To jest naprawdę właściwy sposób prowadzenia wojny. Woda, dziewuchy, trzygwiazdkowe knajpy. To byłaby tragedia, gdybyśmy przegrali tę pieprzoną wojnę.

Kiedy jednak dotarli do „Kamiennego Słonia”, eleganckiej restauracji cofniętej od wysadzanego drzewami bulwaru, otoczonej ogrodami, gdzie z pięknie strzyżonych drzew zwieszały się latarnie, Bishop nie został wpuszczony ze względu na stan jego munduru.

Szef sali w białym smokingu zdecydowanie zastąpił mu drogę.

- Ten człowiek samotnie bronił bazy Khe Sanh! - wrzasnął Magnuson, odpychając kierownika na bok, ale natychmiast trzech innych kelnerów w smokingach zatrzymało i jego.

- Aresztować ich! - zawołał ktoś i Bishop zobaczył admirała, sunącego w ich stronę przez salę.

Bishop uderzył jednego z kelnerów kolanem w krocze i obalił drugiego ciosem z prawej. Magnuson wyrwał się i zaczęli uciekać, ścigani przez admirała i ze dwudziestu innych gości.

- Jutro ostrzelam tę spelunę! Usmażę wam dupy napalmem! - wrzeszczał Magnuson przez ramię. Przebiegli przez ogród i przeskoczyli żywopłot. Pobiegli ulicą i skręcili w zaułek.

Kiedy Magnuson zorientował się, że pościg zaniechano, zatrzymali się, żeby odetchnąć, ale natychmiast jak spod ziemi pojawiły się, żebrzące dzieci. Dzieci było tak dużo, że Bishop nie był w stanie ich policzyć. Zaczął się cofać, ale Magnuson

chwycił go za rękę i równocześnie rzucił przed siebie garść monet oraz banknotów. Przecisnęli się między dziećmi, które rozbiegły się, by zbierać pieniądze.

- Tu jest gorzej niż w Strefie Zdemilitaryzowanej - jęknął Bishop, kiedy dotarli do głównej ulicy, ale tutaj też nie mogli się zatrzymać, bo żebracy i kaleki ścigali ich bezustannie.

- Ten wygląda na żółtka, któremu dałem dolę w zeszłym tygodniu - powiedział Magnuson na widok beznożnego, jednookiego mężczyzny leżącego z wyciągniętą ręką na chodniku. Zatrzymał się jednak, wyciągnął z portfela banknot i dał mu go.

Potem Magnuson zatrzymywał się jeszcze wiele razy przy kalekach.

- Powodem, dla którego tak rzadko wybieram się na dupy, są wysokie koszty. Sama cipa nie jest droga, tylko te opłaty dodatkowe...

Bishop szybko oprzytomniał, widząc cienie wylaniające się z zaułków i mroków nocy. Starał się iść możliwie daleko od budynków. Szedł prawie po jezdni, ale tam motocykle i samochody omal go nie rozjechały, trąbiąc nieustannie.

- Wiesz - powiedział Magnuson, nie zdając sobie sprawy z rosnącego zdenerwowania Bishopa -

Da Nang był kiedyś niewielkim, sennym kolonialnym miastem. Wszystko zmieniło się cztery lata temu. Mieszkało tu około osiemdziesięciu tysięcy ludzi. Piękna zatoka i plaże, atrakcyjne małe sklepiki... Podobno to wszystko wyglądało jak francuska Riwiera. Teraz jest tutaj co najmniej osiemdziesiąt tysięcy kurew, a jedyne, co mają do sprzedania, to narkotyki i cipy.

Magnuson przekroczył leżące na chodniku kalekę.

- Ale to jest wszystko, co chciałbym kupić, więc się tym specjalnie nie przejmuję.

Bishop zeskoczył z krawężnika. Rozglądał się nerwowo. Jego wyostrzony instynkt i zmysły, dzięki którym udało mu się przeżyć w ciągu ostatnich miesięcy, ciągle wysyłały mu ostrzeżenia.

- Jak możesz z tego żartować?

- Z Da Nang czy z wojny?

Magnuson zatrzymał się i chwycił Bishopa za rękę.

- Musimy sobie coś wyjaśnić - powiedział, wskazując na otaczające ich domy. - Francuska architektura kolonialna. Kiedyś były tu piękne domy w pastelowych kolorach różu, żółci i błękitu. Teraz to wszystko jest pokryte kurzem i brudem, a przedtem wyglądało jak pocztówka z Nicei. W tej zatoce admirał ma swój okręt i tam jeździ swoją zasraną łódeczką, kiedy chce się poczuć marynarzem. Po obu stronach ciągną się piękne plaże. Ale spójrzmy na to chłodnym okiem. Francuzi wylądowali tutaj sto dwadzieścia pięć lat temu. Zrabowali i rozkradli wszystko, co się dało. Z ludzi porobili niewolników. W końcu zwiali i pojawiliśmy się my. Teraz zrobił się z tego jeden wielki burdel.

Bishop popatrzył na niego z zainteresowaniem.

- Jim, nigdy tak nie mówiłeś. Nie byłeś taki, zanim tu przyjechaliśmy.

- Masz rację, stary. Nauczyłem się tego dopiero tutaj. Może ty w dalszym ciągu wierzysz w tę pieprzoną wojnę, ale dla mnie to zwykłe gówno. Jedno wielkie kłamstwo nałożone na kłamstwo francuskie. Wielkie kłamstwo Zachodu o ratowaniu żółtków czy kogokolwiek innego, o przemienieniu ich w białych ludzi takich jak my, nawet gdyby w tym celu trzeba było wystrzelać ich wszystkich.

Wskazał na dzieci i kaleki.

- Tutaj nie ma żadnych serc i umysłów do pozyskania. Są tylko kaleki, inwalidzi, kurwy i dzieciaki. Pozostałych zabijamy. Tak. Właśnie to robimy. Rozumiesz? Zabijamy ludzi. Ty i ja. Luke Bishop i Jim Magnuson z zadupia w Oklahomie. Zabijamy ludzi. To jest nasza robota. Do takiej roboty się zatrudniliśmy. Zabijamy ludzi i to jest nasze źródło utrzymania. Czy chcesz, żebym to traktował poważnie?

Magnuson pokręcił głową.

- Myślałem, że ta wojna będzie jak film z Johnem Wayne'em. Wierzyłem w te komiksy. Przyjechałem tu, żeby walczyć o demokrację, prawdę i amerykański styl życia. Poszedłem do szkoły lotniczej, żeby być jak Czerwony Baron, a nie żeby zrzucić bomby z dziesięciu tysięcy metrów i atakować bawoły napalmem. Nie przyjechałem tutaj, żeby ogałacać lasy z liści czy robić inne rzeczy.

- Jakie inne rzeczy? - zapytał Bishop. - Co się z tobą stało? Jesteś zupełnie inny.

- Jasne, że jestem inny. Teraz tylko chcę z tym skończyć. Nie chcę o niczym myśleć, Luke. Mam robotę. Wykonuję ją. Jutro moim zadaniem jest polecieć do Sajgonu. Polecę. Płacą mi za to. Nikt mi nie płaci za zaciskanie zębów, uczucia, żale i wyrzuty sumienia. Nie płacą mi za myślenie, a myślenie nie zmieni ani jednego pieprzonego faktu. Najwyżej wezmą kogoś innego na moje miejsce. Na twoje też.

Objął ramieniem Bishopa.

- Jasne, że sobie żartuję. Gdybym nie żartował, jeszcze bym uwierzył w to, co robię!

Wyciągnął rękę w stronę jasnych świateł i migających neonów kilka przecznic dalej.

- Czy chcesz kontynuować dyskusję geopolityczną, czy chcesz wreszcie sobie pociupciać?

- Może już zapomniałem, jak to się robi? - powiedział Bishop.

- Zorganizuję ci dziewczynę z podręcznikiem.

Wkrótce przepychali się chodnikiem zatłoczonym marynarzami i żołnierzami piechoty morskiej. Mijali bary i burdele.

W pierwszym barze, do którego weszli, do Bishopa podbiegła dziewczyna.

- Jaki przystojniak! Jaki ładny chłopak! - wołała. - Zerzniesz mnie? - złapała Bishopa za krocze.

Bishop odwrócił się z uśmiechem do Magnusona.

- Czuję się zupełnie, jakbym znowu był na uczelni.

- Słusznie - przyznał Magnuson, kierując się w stronę baru i pozbywając się dwóch dziewczyn, które się do niego przyczepiły.

Po chwili Bishop dołączył do niego, wciąż w towarzystwie dziewczyny. Jej ręka była pograżona w rozporoku Bishopa.

Magnuson podał mu piwo i spojrzał w dół.

- Ciągłe go szuka?

Bishop popijał piwo i patrzył, jak dziewczyna go pieści.

- Wiesz, zaczynam wierzyć, że dzisiaj coś zaliczę.

- Daj spokój - powiedział Magnuson. - Sprawdźmy jeszcze kilka innych miejsc.

- A to jest złe?

Kobieta pochylała się i oddechem ogrzewała podnoszącego się członka.

- Podoba mi się tutejsza atmosfera.

Magnuson ściągnął go ze stołka, a Bishop zapiął spodnie.

- Coraz trudniej mi się powstrzymać. Minęły już całe miesiące, Jim.

- Znam znacznie lepsze miejsce - powiedział Magnuson. - Nie ma tam takiego zamętu. Można to zrobić spokojnie, jak się należy.

Wyprowadził Bishopa na zewnątrz i poszli płataniną uliczek, aż znaleźli się w spokojniejszej dzielnicy. Przeszli przez nie oznaczone niczym drzwi w rzędzie domów i znaleźli się na podwórzu. Nie było tam żadnej roślinności. Kilka przestraszonych kotów uciekło przez mur. Magnuson zapukał do drzwi niegdyś eleganckiego domu. Starszy mężczyzna, który otworzył, przyjrzał im się dokładnie, zanim wpuścił ich do środka.

Zaprowadził ich do niewielkiego, ciemnego pokoiku i gestem wskazał, żeby usiedli.

- Chcemy być szczęśliwi, *papa sań*. Chcemy zapomnieć - powiedział Magnuson, wyciągając portfel.

Mężczyzna był drobny i bardzo stary. Jego na pół zakryte powiekami oczy były zamglone i przekrwione, a zęby, jakie mu jeszcze pozostały, żółte i połamane. Chwycił banknoty niczym drapieżny ptak i zniknął za zasłoną z koralików.

- Jak znalazłeś to miejsce? - zapytał Bishop, patrząc wyczekująco na przyjaciela. Może to on, Bishop, zmienił się, jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, ale wewnętrznie to Magnuson był prawdziwie odmieniony. - Co właściwie robisz?

Magnuson podniósł ostrzegawczo rękę, ale nie odpowiedział.

Po chwili wrócił starzec niosąc tacę, na której stała fajka wodna oraz leżał kawałek czegoś, co wyglądało jak ciasto. Starzec podgrzał opium nad płomieniem świecy, ulepił z niego kulkę na wypukłym dnie długiej na trzydzieści centymetrów bambusowej fajki. Potem odwrócił fajkę zagłębieniem do góry, wsunął do zagłębienia opium i podtrzymał fajkę nad płomieniem świecy. Kiedy opium zaczęło bulgotać, podał fajkę Magnusonowi, który zaciągnął się głęboko i przekazał Bishopowi.

- Co to jest?

- Magia.

Bishop wciągnął dym do płuc i wstrzymał oddech. Znieczulające odrętwienie opanowało rozkosznie jego ciało. Pociągnął jeszcze raz, ale Magnuson odebrał mu fajkę.

- Za dużo magii jest niebezpieczne - powiedział.

Chociaż Bishop nie poruszył się i siedział wyprostowany, odnosił wrażenie, że obsuwa się w fotelu i zapada w poduszki, podczas gdy umysł krąży wysoko, odrywa się od ciała i unosi się ze wspaniałą swobodą.

Kiedy odezwał się, każde jego słowo żyło własnym życiem.

- Co się z nami stało, Jim?

- Jesteśmy chłopakami z Oklahomy, którzy znaleźli się daleko od domu, Lukę.

- Ale...

Magnuson ponownie podniósł rękę. Bishopowi wydało się, że ta ręka zawieszona jest niezależnie w przestrzeni pomiędzy nimi.

- Nie myśl, Lukę. Zapomnij. Przyjechałem tutaj, żeby zostać Czerwonym Baronem. Zamiast tego... robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny... rzeczy, o których nigdy nie będę chciał pamiętać.

- Co? - wyszeptał Bishop.

Twarz Magnusona była nieruchoma jak maska.

- Nie - powiedział cicho. - Nie zmuszaj mnie, żebym o tym myślał. Nie potrafię na ten temat żartować.

Nagle Bishop zdał sobie sprawę, że koło niego znalazła się dziewczyna. Ze swojej pozycji gdzieś w górze jego umysł rejestrował, jak dziewczyna siada mu na kolanach. Jej ręce rozpinają guziki munduru i gładzą go po piersi.

W końcu poprowadziła go na piętro do ciemnego pokoju i odczuwał tylko wspaniały dotyk dłoni i ust na swym ciele, aż wreszcie był zupełnie nagi i patrzył na nią leżącą na łóżku, przyzywającą.

Ukląkł na łóżku i położył się na niej. Otworzyła się dla niego i wprowadziła do środka. Zagłębiał się coraz bardziej, wciągany powolnym kołysaniem jej bioder. Minęło jednak tyle czasu odkąd ostatni raz był z kobietą, że już nie mógł się powstrzymać. Orgazm wstrząsnął nim jak wyzwajająca eksplozja. Wił się i chciał jeszcze bardziej się w nią zatopić, i patrzył w jej twarz, ale to już nie była ona - przed nim leżał Pozinski, a gdy Bishop się cofnął, przyciągnął go z powrotem. Uniósł się z trudem, ale oto na stole leżało okaleczone ciało Millera. W rękach trzymał nie głowę dziewczyny, tylko głowę Millera. Odrzucił ją od siebie z krzykiem.

Nagle wszędzie było pełno krwi i rozległ się przeraźliwy krzyk. Pokój zappełnił się ludźmi. Jakieś ręce ciągnęły go, biły. Dziewczyna krzyczała bez przerwy. Wreszcie Magnuson chwycił go za ramię i pomógł mu się ubrać.

- Zwiewamy! - wrzasnął Magnuson, wypychając go z pokoju i ciągnąc w dół po schodach.

Bishop zaczął biec. Byli już na zewnątrz wśród płataniny bocznych uliczek. Nagle Bishopowi zrobiło się niedobrze. Zwymiotował zgięty w pół. Krztusił się i nie mógł oddychać. Wreszcie przyszedł do siebie i spojrzał na Magnusona. Ten przyglądał mu się ciekawie.

- Najwyraźniej zapomniałeś przeczytać instrukcję obsługi - powiedział. Wtedy Bishop zaczął płakać.

- Boże, Jim, ja ich zabiłem. Opadł na kolana na ulicy.

- Zabiłem ich, o Boże! - lkał.

Magnuson klęknął obok niego. Jego głos był cichy i pełen bólu.

- Lukę, nie możesz o tym myśleć ani teraz, ani kiedykolwiek. Inaczej nigdy sobie z tym nie poradzimy.

- Ale ty przecież nic nie zrobiłeś! - zawołał Bishop. - Nie zabiłeś ich. Ja to zabiłem! Nie mogę z tym żyć.

Kłęczeli razem na środku zaśmieconej ciemnej uliczki. Magnuson oparł rękę na ramieniu Bishopa i zmusił go, żeby podniósł wzrok.

- Czy wiesz, co robię oprócz bombardowania i obrzucania napalmem żółtków? Pracuję dla CIA. Moim samolotem zabieramy tych biednych sukinsynów, żeby wydusić z nich informacje. Czasami są to oficerowie północnowietnamscy, a czasami zwykli chłopci.

Zamilkł na chwilę.

- Czy widziałeś kiedyś faceta wypychanego z otwartych drzwi samolotu na wysokości tysiąca siedmuset metrów, wrzeszczącego, szczającego i srającego w portki ze strachu? Chciałbyś być jednym z tych, którzy się nad nim znęcają i wyśmiewają się z niego, a facet odgryza sobie język, nie dlatego, żeby powstrzymać się od mówienia, ale dlatego, że tak bardzo się boi? Czy widziałeś kiedyś faceta spadającego z tysiąca siedmuset metrów, kiedy pęd powietrza tłumi jego wrzask? Potem trzeba sprzątać jego szczyny, gówna i robisz to nie raz, tylko wiele razy, bo oni chcą, żeby to zawsze był ten sam pilot.

Magnuson też zaczął płakać.

- Nie zmuszaj mnie, żebym o tym myślał, Lukę. Nigdy nie chcę myśleć o tym, co się tutaj stało.

Rano pojechali na lotnisko. Rejs Magnusona do Sajgonu był o wcześniejszej godzinie. Jim wyciągnął rękę.

- Musimy szybko powtórzyć taką imprezę. Co najmniej w ciągu najbliższych pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat.

- Już nie mogę się doczekać - roześmiał się Bishop. - Czy w końcu zerznąłem jakąś dziewczynę wczoraj wieczorem, czy nie?

- Człowieku, nie wiem, jak ty nazywasz, to co zrobiłeś, ale uczyn jakiejś dziewczynie uprzejmość i nie żeń się z nią.

- Może kiedyś przyjadę do Sajgonu. Pokażesz mi, jak się tam można zabawić

- jakieś rzeczy, których moje oczy z Oklahomy nigdy nie widziały.

- Bishop, jeżeli trafisz do Sajgonu, trzymaj się z dala ode mnie. Masz zostać na północy i zabijać żółtków. Taka jest rola piechoty morskiej.

Bishop uściśnął mu dłoń.

- Nie przejmuj się. Jak będziesz miał chwilę czasu, poszukaj jednego z moich ludzi. Nazywa się Roń Mead. Został kapralem w ambasadzie. Jest w porządku. Pozdrów go ode mnie.

- Dobrze, Lukę.

Dał mu kuksańca w ramię i stali zakłopotani naprzeciw siebie. Potem chwycili się szybko w objęcia, odwrócili się i rozeszli.

- Rany boskie, panie poruczniku, wygląda pan gorzej niż przed wyjazdem - powiedział sierżant Brock, kiedy Bishop dotarł późnym popołudniem do swojego oddziału. - Kiedyś na Okinawie wybrałem się na dupy na cały tydzień i wróciłem w lepszej kondycji niż pan.

- Myślę, że jeszcze nie nabrałem praktyki - powiedział z uśmiechem Bishop.

- Może będę musiał wybrać się powtórnie, żeby potrenować... Chociaż drugi taki trening może skończyć się fatalnie - dodał, kręcąc głową.

- To niech pan, do cholery, coś opowie.

- Jestem oficerem i dżentelmenem, i nie zrobiłem nic, co mogłoby zdyskredytować Korpus, a nawet gdybym coś takiego zrobił, nigdy bym ci o tym nie opowiedział, sierżancie.

- Ale z pana numer! - roześmiał się Brock.

- A co tu się wydarzyło?

- Nic. Może znowu powinien pan wyjechać. Naprawialiśmy zasieki, tak jak pan powiedział, ale głównie objaliśmy się.

- Ja powinienem być zrobić to samo - powiedział Bishop, siadając na swoim śpiworze. - Muszę się przespać choć parę godzin. Obudź mnie, jak się ściemni.

- Myśli pan, że dziś zaatakują?

Bishop przekreślił się na bok i naciągnął na głowę kurtkę od munduru.

- Nie wiem, ale powinieneś zobaczyć, co się dzieje w samym Khe Sanh. Szykuje się coś dużego.

- A my jesteśmy tylko pieprzoną przynętą - powiedział Brock z obrzydzeniem.

Dennis Coney przysypiał, siedząc na stoku zwróconym w stronę nieprzyjaciela. Otrząsnął się wysiłkiem woli i znów zaczął patrzeć w mrok, ale wreszcie zmęczenie zaważnęło nim całkowicie. Spojrzał na żołnierza śpiącego obok z głową złożoną na zwiniętej kurtce munduru, uśmiechnął się i znowu spróbował czuwać. Nie chciał budzić Frizzella wiedząc, że Les robi dla niego wszystko, a nawet zgodzi się na kolejną wartę, żeby on mógł się przespać.

Lubił Frizzella, ale, Jezus, co to było za utrapienie. Coney nie znał dotąd nikogo lask prostodusznego - tak, prostota to było najbardziej eleganckie słowo, jakie mu przyszło do głowy. Nikt go też nigdy tak nie traktował jak Frizzell. Coney uczestniczył w walkach już od pięciu miesięcy. Był jedynym żołnierzem w plutonie oprócz Bishopa, który chodził na studia. Obserwował, jak pomiędzy żołnierzami rodziły się przedziwne więzi i układy prawie jak związki małżeńskie, i z początku starał się nie dopuścić do powstania ściślejszych związków między sobą a Frizzellem, kiedy stworzono z nich zespół. Jednakże Frizzella trudno było zniechęcić i teraz Coney czuł się całkiem niezłe w roli starszego brata.

Głowa mu opadła i poczuł, że znów przysnął na moment.

- Frizzell - powiedział ostro zdając sobie sprawę, że za chwilę zaśnie zupełnie. Nie było odpowiedzi. Szturchnął go.

- Frizzell, obudź się. Ja już dłużej nie mogę. Jest już po drugiej. Frizzell jęknął, spróbował podnieść się i znowu opadł na ziemię.

- Pieprzę to.

Coney trącił go kolbą karabinu.

- Musisz wstać, bo ja padam.

Frizzell coś mrucał z zamkniętymi oczami.

- Dobra... dobra... Już się obudziłem.

Coney położył się, podłożył sobie kurtkę od munduru pod głowę i przykrył się pałatką.

Frizzell podniósł się niechętnie. Położył sobie karabin na kolanach i patrzył w ciemność. Gdzieś daleko widać było słabe rozbłyski wybuchów pocisków.

- Ale jestem kurewsko zmęczony - powiedział. - Jestem tak zmęczony, że nawet mi nie stanął w czasie snu. Zwykle...

- Zamknij się, Frizzell.

Frizzell szukał menażki i paliwa w tabletkach.

- Chcesz kawy?

- Nie, dupku. Chcę spać - powiedział Coney, ciałniej okrywając się pałatką.

- Jezu, jak ja nienawidzę czuwania.

Frizzell wsypał paczkę kawy rozpuszczalnej do gorącej wody i zaczął ostrożnie popijać.

- Dennie, o czym myślisz, kiedy stoisz na warcie? Ja nigdy nie potrafię znaleźć niczego, żeby móc o tym myśleć. To bardzo głupio tak siedzieć w ciemności i nie wiedzieć, o czym by tu pomyśleć. To tak jak pieprzony pies łańcuchowy. O czym myślą psy, żeby nie zasnąć?

Frizzell zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale nie potrafił wyobrazić sobie,

o czym myślą psy, więc zrezygnował. Popijał kawę.

- Muszę znaleźć coś, o czym mógłbym myśleć podczas warty, żeby nie zasnąć. Landis myśli o swoim samochodzie, wiesz, jaki kupić, jakiego koloru

i takie inne pierdoły. Jediną rzeczą, o jakiej myśli Sutherland, jest cipa, ale ja tego nie potrafię, bo przez cały czas na warcie waliłbym konia. O czym ty myślisz?

Nie było odpowiedzi.

- Dennie, nie śpisz?

- Śpię.

- Ale spokój, co?

- Tak.

- Chcesz zasnąć? Coney odrzucił pałatkę.

- Jezu, w porządku, pogadam z tobą przez parę minut, ale musisz pozwolić mi zasnąć.

Frizzell podał mu menażkę z kawą.

- O czym chcesz pogadać, Dennie?

- Ja nie chcę gadać o niczym, ty tępy cymbale. To ty gadasz bez przerwy. Gadaj więc, a ja posłucham.

Frizzell z wysiłkiem zmarszczył brwi.

- Mam kłopoty z myśleniem, Dennie. Nie to, że jestem tępy...

- Słuchaj, jeżeli moje dziecko będzie tak tępe jak ty, to je utopię.

- Pieprzę cię. Chodzi tylko o to, że nie mogę znaleźć nic, o czym mógłbym myśleć. Wiesz, może powinienem zapisać się na któryś z tych kursów korespondencyjnych? Czyta się ogłoszenia, że przysyłają podręczniki i mogą dać ci dyplom szkoły średniej. Czy uważasz, że powinienem tak zrobić?

- A kiedy odrabiałbyś lekcje?

- Po patrolu albo rano, albo tak jak teraz. Przynajmniej miałbym co robić.

- Co będzie, jak się przeniesiemy? Będziesz taszczył książki po całym tym pieprzonym kraju?

Frizzell westchnął.

- Tak. To nie najlepszy pomysł. Niech to szlag. O czym, w takim razie, powinienem myśleć? O czym ty myślisz?

Coney odetchnął głęboko.

- O różnych rzeczach. O żonie, o dziecku, o tym, co będzie, jak wrócę do

- Ja nie mam ani żony, ani dziecka.

Frizzell milczał przez chwilę, a potem znowu zaczął mówić, cicho i wstydliwie.

- Wiesz, w życiu miałem tylko jedną dziewczynę, z którą chodziłem. Pieprzyłem się z nią tylko kilka razy. Trzy razy. Potem znalazła sobie innego faceta. Później trafiła się druga dziewczyna, Becky. Becky flecistka. Inaczej tego nie robiła, ale za to robiła to z każdym. Robiłem to tylko z tymi dwiema dziewczynami.

Spojrzał na Coneya.

- Jak to jest, kiedy się jest żonatym i... No, wiesz?

Na myśl o żonie Coney zamknął oczy. Milczał przez długą chwilę. Seks zawładnął jego myślami. Cieleśność ogarnęła go jak potop. Odetchnął gwałtownie.

- Nawet o tym nie wspominaj.

- Wiem - powiedział nagle Frizzell, bo przyszło mu na myśl coś, o czym można by rozmawiać.

Jeszcze nigdy nie miał takiego przyjaciela jak Coney, nikogo tak bliskiego, nikogo, na kim by mu tak zależało. Kochał Coneya. Kiedyś mu to powiedział i Coney dostał szału. Frizzell uśmiechnął się,

przypominając to sobie.

- Tak się na mnie wkurzyłeś. To było wtedy, kiedy Donnadio i Perez oberwali. Myślałem wtedy o nas i powiedziałem ci...

- Pamiętam - powiedział Coney sucho.

- Byłeś taki wnerwiony.

- Faceci nie powinni gadać takich rzeczy.

- To nie chodziło wcale o seks. Chodziło tylko o miłość, jakbym miał brata. Nigdy nikogo nie kochałem.

Coney poczuł się niezręcznie.

- Dajmy temu spokój, co?

- Dobra - powiedział Frizzell, przypominając sobie pytanie, które chciał zadać. - Po co się robi obrzezanie? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

Coney popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Czy ktoś podpowiada d te kretyńskie pytania, żebyś mi je zadawał?

Frizzell uśmiechnął się.

- Nie. Po prostu zastanawiałem się nad tym. Jest mnóstwo takich rzeczy, o których chciałby się człowiek czegoś dowiedzieć. Nie takie gówniane rzeczy jak rzeczownik odsłowny albo stolica Peru i te inne bzdury, których nas uczą, ale rzeczy ważne, o których nikt nigdy nam nie mówi. Trzeba wtedy znaleźć kogoś, kto mógłby ci odpowiedzieć. Ja nigdy nikogo takiego nie spotkałem. To jest jeden z powodów, dla których lubię być z tobą. Ty wiesz o różnych rzeczach. Wiesz w każdym razie znacznie więcej niż ja i wcale nie zachowujesz się jak mądrała. Po co się robi obrzezanie?

- Po pierwsze, człowiek jest czystszy.

- Gówno tam. Nie jesteś wcale czystszy ode mnie.

- To jest lepsze dla kobiet.

- Dlaczego?

- Bo kiedy pieprzysz, nie kończysz za szybko.

Frizzell przyglądał mu się, żeby się upewnić, czy Coney się z niego nie nabija.

- To co z tego wynika? - zapytał wreszcie.

- Jezu - powiedział Coney i opadł na ziemię, znowu zwijając kurtkę, żeby z niej zrobić poduszkę.

- Co jest?

- Nic. Jestem zmęczony. Muszę się przespać. Dlaczego nie zapiszesz się na korespondencyjny kurs seksu?

Owinał się pałatką i wtulił pomiędzy worki z piaskiem.

- Nigdy nie pomogłeś mi znaleźć czegoś do myślenia - powiedział Frizzell opryskliwie.

Coney schował głowę pod kurtkę.

- Może się pomodlisz albo zwalisz konia?

Scott Sutherland wpatrywał się w mrok poniżej linii obronnej. Próbował wyobrazić sobie podkradających się nieprzyjaciół i wyteżał wzrok w ciemności, ale i tak nic nie mógł zobaczyć poza drutami.

Wszystkie rzeczy, które należały do Millera, zostały odesłane razem z ciałem. W bunkrze nie było nic oprócz karabinu i plecaka Sutherlanda. Położył sobie karabin na kolanach i siedział za skrzyżowanymi nogami, patrząc przez otwór wejściowy w noc.

j

Po raz pierwszy w czasie tej wojny był sam i chociaż starał się zachować w pamięci Millera, nie mógł ani rusz przywołać przed oczy obrazu jego twarzy. Przetarł dłonią twarz. Ręka opadła mu na karabin. Gładził go nieświadomie.

Przed wojną wszystko wydawało się proste. W Los Angeles było ciężko. Człowiek próbował przetrwać na ulicy, pilnować się, żeby ktoś go nie pociął, unikać starego, popieprzyć sobie, znaleźć ką do mieszkania. To było nic w porównaniu z tym, co się działo tutaj.

Zaczął rysować kółka na piasku. Tamto było zwykłe gówno w porównaniu; z tym tutaj. Teraz muszę martwić się, żeby przeżyć. Jeżeli nie będzie ostrożny, skończy jak Miller. Kogo to będzie obchodzić? W Los Angeles na pewno nikt się tym nie przejmie, podobnie jak nie interesuje to dupków, którzy go tu przysłali. Wrobiono go, a on dał się nabrać jak tępy sukinsyn, tak samo jak Miller, który już za to zapłacił.

Kiedy spojrział w pusty kąt, gdzie kiedyś siadywał Miller, ogarnął go nagle smutek. Wyszedł z bunkra i ruszył wzdłuż linii obronnej.

Przy najbliższym stanowisku natknął się na Frizzella i wskoczył do okopu obok niego.

- Nie mogłem już dłużej tam wytrzymać zupełnie sam - powiedział cicho. - Ciągle myślałem o Millerze.

Zamknął oczy i ciągnął dalej drewnianym głosem.

- Wiesz, pierwszy facet, którego zabiłem, to było wtedy z Meadem. Znalazł się ze trzydzieści metrów ode mnie. Strzeliłem mu w pierś. Kiedy podszedłem do niego, gapił się na mnie. Odwróciłem go. W plecach miał wielką dziurę. Potem ich liczyłem. To była taka gra. Najważniejsze były liczby. Podobne do gry w kręgle. Zdobywasz coraz więcej punktów, a jedyna rzecz, którą możesz wygrać, to następna gra. Całe pieprzone życie można spędzić obserwując, jak rośnie ilość

punktów, a ty grasz ciągle w tę samą grę. Po jaką cholere? Wtedy przestałem liczyć. Oni przestali być nawet liczbami. Opuścił głowę.

- Z wyjątkiem Millera.

Odwrócił się, żeby Frizzell nie mógł tego zobaczyć, i wytarł oczy.

- Wiesz, tego wieczoru gadaliśmy, pokazał mi fotografie żony i dziecka, a teraz... Jego ciało przebiegł dreszcz. Pochylił się do przodu i zaczął płakać. Frizzell, zakłopotany, objął go ramieniem.

- O, Jezu, tak mi przykro - płakał Sutherland. Leżący obok. nich Coney jęknął.

- Na litość boską! Czy można w ogóle spać, kiedy się słucha tego całego gówna? Przykro mi z powodu Millera, Opieńka i wszystkich innych biednych sukinsynów. Przykro mi także i za was, i za nas wszystkich. Miller nie powinien być zostawiony na patrol. Porucznik spieprzył sprawę, ale tak to już jest. Nikt z nas nie powinien być tutaj, ale jesteśmy. Co z tym teraz zrobimy? Będziemy płakać przez całą noc? Ja też spieprzyłem sprawę przyjeżdżając tutaj. Przedtem spieprzyłem sprawę, bo się ożeniłem i zrobiłem dzieciaka. Mam dwadzieścia lat. Mam żonę i dziecko, których wcale mieć nie chcę, a milion pieprzonych żółtków chce mnie zabić, bo siedzę na ich wzgórzu, na którym wcale nie chcę być, a teraz nawet nie mogę się przespać, bo jakiś kutas płacze, że mu przykro.

Sutherland odsunął hełm z czoła.

- Czy nie będzie wam przeszkadzać, chłopaki, jeżeli zostałbym z wami tutaj dziś w nocy? - zapytał cicho.

- Jeżeli będziesz siedział spokojnie, możesz zostać przez cały czas. Tylko dajcie mi spać.

Frizzell pochylił się z zadowoleniem.

- Dlaczego w ogóle się do nas nie przyłączysz? Jest dość miejsca. - Frizzell /apadał się coraz bardziej. - Zawrzemy pakt, że będziemy trzymać się razem, leżeli tak zrobimy, wszystko dobrze się skończy.

Brakowało mu słów. Chciał powiedzieć to mocniej, lepiej, chciał, żeby zrozumieli, co czuje. Patrzył im w twarz.

- Zawrzemy pakt? Kumpie, co? Coney naciągnął pałatkę na głowę.

- No, co, Dennic? Kumpie?

- O, Boże - jęknął Coney. - Już dobrze... Dobrze. Będę twoim pieprzonym kochankiem, jeżeli tylko pozwolisz mi spać.

- W porządku. Scott?

Sutherland popatrzył na obojgu i skinął głową.

- Tak.

- Ale to musi być oficjalnie - powiedział Frizzell. - Wiem, co zrobimy. Każdy da coś drugiemu. No, Dennic. - Ściągnął pałatkę z Coneya. - Daj coś Scottowi. Masz.

Wyciągnął spod koszulki nieśmiertelniki, odczepił jeden i podał Coneyowi.

- Teraz ty daj coś Scottowi.

V Co ty? Robisz ze mnie balona?

- Mówię poważnie. To nas będzie chronić. Wszystko będzie w porządku, jeżeli zawrzemy pakt.

Coney trzymał w ręku nieśmiertelnik Frizzella.

- Co mam z tym zrobić? No, już dobrze. Jezu! - Ściągnął szkolny sygnet z palca i podał Sutherlandowi.

- Nie zgub tego. Chcę go z powrotem, kiedy wszystko się skończy albo kiedy j raz się dobrze wyśpię. Nie wiem, co będzie pierwsze.

Sutherland przyglądał się sygnetowi przez dłuższą chwilę, a potem włożył go na palec.

- Teraz ty daj mi coś - powiedział Frizzell.
- Ja nic nie mam.
- Na pewno coś masz.

Sutherland sięgnął po wiszący na szyi odłamek, który wydłubał sobie z nogi i który stał się jego sekretnym talizmanem. Ten odłamek przypieczętował jego prywatny pakt z Bogiem. Patrzył na Frizzella i już zaczął ściągać amulet z szyi, ale zatrzymał się, sięgnął do kieszeni i znalazł scyzoryk.

Frizzell wziął go uroczyście i schował.

Coney przyglądał się im przez chwilę, odebrał swoją pałatkę i narzucił na głowę.

- Chryste!

Frizzell i Sutherland uśmiechali się do siebie. Siedzieli tak blisko, że prawie się dotykali.

Nagle łańcuch wzgórz przed nimi rozbłysnął jasnymi smugami ognia. Rozległ się głuchy huk moździerzowy.

- Nie! - wrzasnął Frizzell i rzucił się na ziemię, przygniatając Sutherlanda. Wzgórze zatrzęsło się od eksplozji. Sutherland wił się pod ciężarem Frizzella.

Zdawało im się, że świat się kończy w huku i blasku eksplozji.

Odłamki uderzały w piasek dookoła nich. Łańcuch wzgórz znowu się rozświetlił. Sutherland uwolnił się od Frizzella i chwycił swój karabin maszynowy. Włożył do gniazdka magazynek.

Coney przekazał meldunek przez radio, a następnie znowu przywarł do ziemi, kiedy grad odłamków zasypał wzgórze. Gdy podniósł głowę, flara uruchomiona potykaczem rozświetliła się białym fosforycznym blaskiem zaledwie kilka metrów przed nim. Oświetliła trzech mężczyzn przy zasiekach.

Frizzell poderwał się, przestawił *M-16* na ogień ciągły i zaczął strzelać, zanim jeszcze Sutherland otworzył ogień z karabinu maszynowego.

- Są przy zasiekach! - krzyczał Coney do mikrofonu.

Wybuchy pocisków moździerzowych rzuciły Bishopa i Brocka na ścianę bunkra, ale okrzyk Coneya spowodował, że chwycili karabiny. Brock wybiegł po schodach, klnąc wściekle.

Bishop uspokoił się. Nastawił radio na częstotliwość kompanii.

- Są przy zasiekach - powiedział opanowanym głosem.

- Ilu?

- Nie wiem. Dajcie ostrzał artyleryjski na pasmo wzgórz.

- Się robi.

Bishop odłożył mikrofon, wprowadził pocisk do komory naboju karabinka i zaczął powoli iść po schodach. Skulił się przy wejściu, starając się zorientować wśród zamętu blasków i dźwięków, co się właściwie dzieje.

Flary oświetlały całą linię obrony. Siedem placówek otaczających wzgórze prowadziło regularny ogień.

Wpatrywał się w noc, cały sprężył się, poderwał i przebiegł przez wzgórze do placówki strzelającej najgęściej.

Wskoczył do bunkra, w którym byli Frizzell, Coney i Sutherland, właśnie w chwili kiedy za jego plecami wybuchł pocisk moździerzowy. Rozpłaszczył się na ziemi.

- Ilu? - wrzasnął wśród huku eksplozji. Coney pokręcił głową.

- Flara...

Bishop krzyknął do Frizzella, ale ten nie słyszał. Mechanicznie ostrzeliwał zasieki.

- Przerwij ogień! - wrzasnął na niego Bishop, a gdy Frizzell strzelał dalej, chwycił jego karabin. Frizzell odwrócił się i Bishop zobaczył na jego twarzy furję, która wydała mu się aż niemożliwa. Bishopa przeszył wzrok, w którym płonęła histeryczna, natchniona nienawiść. Jeszcze nigdy nie widział takiego spojrzenia.

Frizzell chciał chwycić karabin, ale Bishop odepchnął go. Frizzell rzucił się na niego, Bishop jednak uderzył go w pierś kolbą karabinu przewracając na ziemię. Frizzell spojrział tępo na niego.

- Ilu? - krzyknął Bishop do Sutherlanda.

- Widziałem tylko trzech, panie poruczniku. "- Dostaliście któregoś?

» Nie wiem, sir.

Nad nimi przelatywały z wyciem pociski artyleryjskie, wybuchały czerwonymi i pomarańczowymi płomieniami na utrzymywanym przez nieprzyjaciela paśmie wzgórz. Kiedy ogień ustał i w pustce brzmiało już tylko echo, jedna z placówek wystrzeliła pojedynczą raketę. Niebo nad

zasiekami rozjaśniało się powoli, w miarę jak słabe światelko opadało ku ziemi.

Nad równiną zaległa niesamowita cisza. Kłęby dymu unosiły się nad ziemią, snuły się nad zasiekami i wreszcie zaczęły się rozwiewać jak znikające duchy.

Żołnierze patrzyli z napiętymi twarzami, nasłuchiwali i rozglądali się w milczeniu.

Bishop odwrócił się do Sutherlanda, szukając śladów takiej samej nienawiści, jaką widział u Frizzella, ale ich nie znalazł. Twarz pod hełmem pokryta potem i brudem była napięta, a w oczach płonęła determinacja. Nie było w nich jednak nienawiści.

- Skurwysyny - powiedział Sutherland, rzucając hełm na ziemię.

W gasnącym świetle Bishop odszukał twarz Frizzella. Złość zniknęła z niej. Nie było też śladów furii, która go opanowała. Wydawało się nawet, że nie jest już niczym zainteresowany. Stał spokojnie, jakby znalazł się w przydrożnej knajpie w piątkowy wieczór.

Bishop jeszcze raz spojrzął na pasmo wzgórz i wrócił do swojego bunkra, żeby złożyć raport.

W bunkrze otrząpiał się i przyklęknął, żeby zrobić kawę. Kiedy paliwo w tabletkach buchnęło błękitnym płomieniem, Bishop trwał dalej na klęczkach jak

w hipnotycznym transie, wpatrzony w ogień, nieludzko wyczerpany. To stało się już tyle razy... Próba podejścia, ostrzał mózdzierzowy, strzelanina i... nic.

Ochłonął na odgłos gotującej się wody. Westchnął i zaczął masować skronie. Potem wsypał granulki kawy do wody i oparł się o ścianę. Ręka opadła mu na krocze. Zacisnął ją mocno, powstrzymując rosnącą erekcję. Na początku był zaskoczony erotyczną reakcją na walkę. Teraz uważał to za normalne.

W oczach Frizzella natomiast nie było ani odrobiny seksu. Była w nich tylko nienawiść.

Nagle schody zatrzeszczały pod wściekłymi stąpnięciami Brocka., Bishop puścił krocze.

Brock rzucił hełmem o ścianę.

- Cholerne żółtki. Prawie już nas mieli.

- Ale wszystko już w porządku. Nie udało się im.

- Cholera, panie poruczniku. Dziś mieliśmy szczęście. O tym, jakie to było szczęście, wiemy tylko pan i ja. Zdechniemy, jeżeli się stąd nie wydostaniemy. I za co? Za to pieprzone wzgórze?

Bishop podniósł kawę i dotknął ustami gorącego kubka.

- Zginiesz za Khe Sann. Tak będzie w porządku.

- Khe Sanh! - wybuchnął Brock. Był tak wściekły, że nawet nie chciało mu się dalej wymyślać, i opadł na skrzynkę z amunicją. - Na litość boską!

Bishop nalał kubek kawy i podał sierżantowi.

- Mam rozkaz utrzymać to wzgórze. Nie chcę więcej słuchać takiego gadania, sierżancie.

Brock chwycił kubek. Bishop oparł się o ścianę, przyglądając się twarzy sierżanta. Dostrzegwał w niej inne uczucia niż u żołnierzy. Nie było w niej ani gniewu, ani nienawiści, tylko oburzenie i obrażona godność - reakcja na wypaczenie pojęcia obowiązku i naruszenie zasad składających się na kodeks wojny oraz wojowania.

- Co myślisz o Frizzellu? - zapytał Bishop. Brock spojrzął na niego zaskoczony.

- Frizzell? Co myślę o Frizzellu? A kto, u diabła, w ogóle myśli o Frizzellu?

- No, dobrze. Opowiedz mi o nim.

Brock wziął swój karabin i zaczął opróżniać magazynek. Jego słowa padały jak pojedyncze wystrzały.

- Ma osiemnaście lat. Pochodzi z Kansas. Iloraz inteligencji około osiemdziesięciu. Mniej więcej tak samo skomplikowany, jak doberman i tak samo łatwo zdobyć jego zaufanie. Poklepać go, pogłaskać, nakarmić i jest twój.

Wytarł karabin i rozsmarował na nim cienką warstwę oliwy.

- On i Sutherland to najlepsi ludzie, jakich mamy. Najlepiej zabijają. Frizzelij dlatego, że jest tęp, Sutherland dlatego, że jest cwany. Nie są tchórzami i niej zadają pytań. Czego więcej trzeba?

- Czy rzeczywiście myślisz, że Sutherland jest dobry?

- Tak. Wychował się na ulicy podobnie jak ja. Jest twardy i cwany, niełatwo go nabrać. Pochodzi z Los Angeles. Jego stary to pijak, a matka - kurwa. To zły| skurwysyn i załatwi pana bez wahania, jeżeli uzna, że tak trzeba.

- Nie ufa mu pan?

Brock podniósł wzrok znad karabinu.

- Panu też nie ufam, panie poruczniku. Pan też byłby gotów załatwić mnie bez wahania.

Bishop wyraźnie poczuł się urażony. Pokręcił głową.

- Nie. Wiesz, że tego bym nie zrobił, sierzancie.
- Nie po to, żeby ocalić własną dupę. Tego by pan nie zrobił. Ale z innych powodów... Dla tego wzgórza albo gdyby dostał pan taki rozkaz.

Bishop, pełen urazy, odwrócił wzrok, a Brock zajął się z powrotem czyszczeniem karabinu.

- Każdy może stać się Judaszem, panie poruczniku. Nie może pan opowiadać się za czymś, nie będąc równocześnie przeciw czemuś. Kwestia wyboru. To się chyba nazywa etyką. Nauczyłem się tego w szkole i w pierdłu. Kłopot polega na tym, że zawsze dokonuję niewłaściwego wyboru.

- Co możesz powiedzieć o Coneyu?

- Kłopoty. Jest bardziej cwany niż tamci dwaj, ale nie tak twardy. Jest zgorzkniały. Kutas wpędził go wcześniej w kłopoty, podobnie jak to było ze mną. Nie można odwrócić sytuacji, kiedy raz się już zerznęło dziewczynę albo wsadzić jej dziecko z powrotem.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Od tego zależy moje życie. Mogę panu opowiedzieć o każdym z tych dupków. Wiem wszystko. Mogę panu powiedzieć dokładnie, jak mocno każdego można nacisnąć i jak zareaguje. Nie popełniam błędów, jeżeli chodzi o moje życie, panie poruczniku. Zrobiłem tylko jeden wielki błąd, że dałem się wsadzić do tej piekielnej dziury.

Bishop skończył pić kawę i przeczesał zmęczonym ruchem włosy.

- Już nic nie wiem. Chyba jednak zabijanie stało się zbyt łatwe.

- Zabijanie jest łatwe, panie poruczniku, i zajmuje mniej czasu niż walenie konia. - Brock skończył czyścić karabin i oparł go o ścianę. - Twardy kutas nie ma sumienia - tak samo jak pusty żołądek. Jak człowiek jest śmiertelnie przerażony, też nie ma sumienia. Sumienie odzywa się, kiedy człowiek ma dużo czasu. To pojawia się dopiero później, jak dzieci, jak poczucie winy, jak historia.

Brock wylał resztkę kawy na ziemię i rzucił kubek w stronę ognia. Bishop oparł głowę na kolanach.

- Boję się, sierzancie - powiedział spokojnie. - Nie chciałbym nikogo więcej stracić. Myślę, że bym tego nie wytrzymał.

Spojrzał na niego błagalnym wzrokiem.

- Nie lubię zabijać, sierzancie.

Brock podniósł wzrok na niego. Porucznik był młodszy od niego o trzynaście lat. Prawie chłopiec.

- To dobrze, że pan się boi, panie poruczniku. Martwiłbym się, gdyby pan się nie bał, a byłbym zmartwiony jeszcze bardziej, gdyby pan lubił zabijać. Niech pan się dalej boi i nienawidzi zabijania, i niech pan nas stąd wyciągnie.

Bishop uśmiechnął się.

- Gdybyś potrafił postępować z kobietami, jak potrafisz postępować z porucznikami, to wciąż miałbyś tę samą żonę, sierzancie.

Brock roześmiał się.

- Nigdy nie chciałem mieć jednej żony, panie poruczniku.

- Możesz też zechcieć innego porucznika, jeżeli jutro polecę ci pójść na patrol i sprawdzić, czy nie dostaliśmy któregoś. Chciałbym, żebyś dotarł do tego łańcucha wzgórz. Chciałbym wiedzieć, co tam jest.

- To mogę powiedzieć panu bez wychodzenia na patrol. Tam są żółtki. Mnóstwo małych i dużych, chudych i grubych żółtków.

- To dobrze. Będiesz potrafił ich rozpoznać, kiedy ich zobaczysz. Podniósł mikrofon, żeby połączyć się z dowództwem kompanii i złożyć meldunek. Po drugiej stronie wzgórz trzech żołnierzy stało w swoim bunkrze.

- Którejś nocy te sukinsyny nas załatwią - powiedział Coney gniewnie. Sutherland kopnął grudę piachu.

- Mnie nie dostaną - powiedział wyzywająco, zapalając papierosa. - Skurwysyny.

- Pomachał papierosem, jakby dawał sygnał. - Chodźcie, zajebańcy. Strzelajcie!

Rzucił papierosa w stronę zasieków i oparł się o ścianę bunkra.

- Pieprzę to.

Coney położył się na śpiworze i owinął pałatką.

- Idę spać. Miałem wspaniały sen. Poderwałem genialną dupę. Już mnie trzymała za kutasa.

Sutherland popchnął go lekko.

- To nie był sen. To był Frizzell.

Roześmiali się i napięcie minęło. Zrobiło się spokojnie. Frizzell i Sutherland palili papierosy, połączeni strachem przed śmiercią.

- Oni wciąż tam są - powiedział Frizzell. - Czy myślisz, że któregoś załatwiliśmy?

- Nie.

Frizzell zastanawiał się przez chwilę, a potem westchnął.

- Jezu, mam już tego dosyć. Czy myślisz, że oni też mają już tego dosyć?

- Kto? Żółtki?

Ta myśl zaskoczyła Sutherlanda. Nigdy nie wyobrażał sobie, że nieprzyjaciel też ma uczucia. Zastanawiał się nad taką możliwością, ale zaraz odrzucił tę myśl. Nie ufał myśleniu. Wolał zmysłowe wrażenia i działania. Wiedział, że te mroczne głębie powinny pozostać raczej zamknięte.

Myślenie nie miało poza tym żadnego wpływu na nic. Dobro i zło zawsze było przedmiotem rozmów, ale nic nigdy nie ulegało zmianie. Złych rzeczy było wiele

- wojny, zabójstwa, kłamstwa, ale z myślenia o nich nie wynikało nic dobrego. To było tak jak z semaforem Frizzella. Może i miało to sens, ale nie wpływało na nic. Albo się zabijało, albo nie, i to było wszystko.

Frizzell patrzył w czarne nocne niebo.

- Zastanawiam się, jak długo to jeszcze będzie trwać.

- Dopóki wszyscy nie zdechniemy - powiedział gorzko Sutherland, ale zaraz się pohamował i odezwał do Frizzella, a może bardziej do siebie, i do tego, od którego to zależało.

- Wyjdziemy z tego - stwierdził z westchnieniem pozbawionym wszelkiej emocji. - Nie ma się co wściekać. Nie chciałem chodzić do szkoły, ale mnie zmusili. Nie chciałem przyjeżdżać na tę pieprzoną wojnę, ale mnie zmusili.

Odwrócił się do Frizzella.

- Nie zrobiłem jeszcze żadnej cholernej rzeczy, którą miałem ochotę zrobić. Dotąd tylko traciłem czas. Któregoś dnia jednak zrobię właśnie to, co chcę. Scott Sutherland przeciwko całemu światu. Wtedy uważajcie. Najpierw jednak muszę wygrzebać się z tego gówna. Wygrzebię się. Możesz na to liczyć.

Leżący obok nich Coney odwrócił się i wyjrzał spod pałatki.

- Teraz, kiedy zawarliśmy pakt, nie masz się czym martwić. To dobrze, że miałeś mój sygnet, Sutherland, bo inaczej te moździerze wystrzeliłyby twoją dupę na Księżyc. Gdybym nie miał nieśmiertelnika Frizzella, te żółtki przelazłyby przez druty i urznąłyby mi jaja. Lepiej jednak prześpijmy się, żebyśmy byli gotowi jutro na patrol.

- Jaki patrol? - zapytał Sutherland z niepokojem.

- Jutro wyjdzie patrol, żeby poszukać żółtków, których dziś nie zabiliśmy. O to tu głównie chodzi, tępaki. O zabijanie żółtków. Jeżeli dziś spudłujesz, musisz wybrać się jutro i spróbować jeszcze raz.

Odwrócił się na drugi bok i naciągnął na głowę pałatkę. Ani Frizzell, ani Sutherland nie odezwali się. Usiedli bliżej siebie i patrzyli na mroczną równinę.

Sutherland podniósł bezwiednie rękę i pogładził amulet.

XV

Tonął pogrążony w oceanie krwi. Bronił się i wreszcie wychynął na powierzchnię. Brak powietrza rozdzierał mu płuca. Krzyknął. Chwytał rękami powietrze.

Zaskoczony nagłym blaskiem sięgnął po karabin, ale ktoś obok niego też poruszył się gwałtownie i krzyknął. Mead rzucił się na niego, ale nieznana osoba walczyła zajadle. Jego nozdrza wypełniał zapach krwi. Krew miał też na rękach.

Krew była prawdziwa, a osoba krzycząca z przerażenia, z którą walczył, była kobietą.

Mead cofnął się i oprzytomniał.

Sung leżała na podłodze obok niego. Jej oczy i usta były otwarte. Twarz i ręce miała umazane krwią.

Mead starał się zrozumieć. Był poranek. Znajdował się w swoim pokoju i leżał na swoim śpiworze. Sung była obok niego. Co się stało? Skąd krew? Dlaczego krzyczy?

Miał krew na rękach, ale przecież jej nie skaleczył. Był tego pewien. Chociaż miała krew na twarzy i rękach, nigdzie nie znalazł zadrapań.

Nagle zorientował się, że to jest krew miesięczkowa, a sznur, który krępował jej ręce, rozwiązał się. Zbliżył się do niej.

- Już dobrze - powiedział. - Nie zrobię ci krzywdy. Przepraszam, że ci\$ przestraszyłem. Coś mi się przyśniło.

Nie spojrzała na niego. Nie był pewien, czy słyszała, co mówił. Ton głosu musiał jednak ją uspokoić, ponieważ powoli przestała drżeć.

Podszedł do kranu i przyniósł kubek wody. Uniósł jej delikatnie głowę i pomógł się napić. Potem wziął ściereczkę i wytarł twarz oraz ręce. Nie dotykał jednak między nogami, żeby jej nie przestraszyć.

Jej oczy wydały się mu bardziej przejrzyste, a drgawki spowodowane brakiem narkotyku ustały.

- Czy coś ci podać? - zapytał. - Chcesz coś zjeść?

Kiedy nie odpowiedziała ani nie poruszyła się, odwrócił delikatnie jej twarz ku sobie.

- Czy mnie słyszysz? Czy pamiętasz, co się stało? Czy wiesz, gdzie jesteś? Patrzyła na niego, a potem spróbowała coś powiedzieć zwilżając wargi i poruszając nimi, ale nie udało się jej.

- Zawołam Hań - powiedział.

Było już po dziewiątej. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz spał tak długo, ale w ambasadzie musi się zjawić dopiero przed południem. Miał trzy godziny i nie był zmęczony. Czuł się tak, jak jeszcze nigdy od czasu przyjazdu do Sajgonu,; a nawet przedtem. Czuł się prawie dobrze, jakby płonęła w nim iskierka szczęścia.^

- Wrócę wieczorem - powiedział. - Coś ci przyniosę. }• Ubrał się, wyszedł na korytarz i zapukał do sąsiednich drzwi.

Drzwi uchyliły się nieco, zanim zdążył zapukać powtórnie. Twarz Hań byłaj niespokojna. W głębi zobaczył Billa Cattona śpiącego nago na materacu leżącym; na podłodze. Hań wyszła na korytarz.

- Śpi. Służba długo w nocy. Potem *beaucoup* pić. Obudzi się... będzie kłopot. Mead rozumiał. Kiedy Bili Catton był pijany, stawał się gwałtowny. Kilka razy

Mead interweniował, kiedy Bili bił Hań. Niezależnie od tego, jak bardzo Catton był pijany, nigdy nie zadzierał z Meadem. Nikt się nie odważył. Nawet najbardziej agresywni żołnierze w koszarach bali się czując, że Mead jest wojownikiem.

- Muszę iść - powiedział Mead. - Czy możesz zajrzeć do Sung? Myślę, że czuje się lepiej, ale krwawi. Czy możesz... no, wiesz... pomóc jej? Czy możesz coś jej dać?

Hań spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co to znaczy, krwawi? Co jej zrobiłeś?
- Nie. Krwawi... z tego... no, wiesz - jękał się Mead i wskazał na krocze. Hań mruknęła coś i kiwnęła głową.

- Musisz jej kupić różne rzeczy. Idź do kantyny.

W jej oczach pojawiła się iskierka ciepła i humoru. - Dziewczyna, wielki kłopot, Roń. To nie to samo co szybkie bum-bum na Tu Do.

- Dobrze, pójde do kantyny - powiedział. - Zaopiekujesz się nią dzisiaj?

- Kupisz też coś dla mnie? - zapytała Hań, wskazując gestem na zamknięte drzwi. - On nigdy nie pamięta i nigdy nic mi nie kupuje - dodała niezadowolona.

- Kupię ci coś - powiedział Mead. - Zostaniesz z Sung?

- Zostanę.

Jej twarz zmieniła się. Skóra na twarzy pokryła się zmarszczkami. Była podniecona. Wyglądała jak przedwcześnie postarzała mała dziewczynka.

- Co mi kupisz?

- A co chcesz?

Zapiszczała, a potem szybko zasłoniła usta przypominając sobie o śpiącym BLllu.

- Jakiś prezent - powiedziała ze szczęściem w oczach, a potem dodała ostrożnie. - Jakiś ładny prezent.

- Dobrze - powiedział. - Wróce wieczorem. Chwyciła go za rękę.

- I coś słodkiego. Batony Hersheya. Ale bez orzechów - dodała wskazując na swe bezzębne usta.

- Całuski Hersheya. Wiesz, które to są? - zapytała pokazując mały trójkącik palcami.

- Wiem - powiedział.

Zostawił ją na korytarzu, patrzącą gdzieś nad jego głową, jakby mogła już tam dostrzec obiecane czekoladki.

Główna kantyna była ulubionym adresem wszystkich kierowców taksówek. Na przedmieściu Cholon, jakieś trzydzieści minut jazdy ze śródmieścia Sajgonu, znajdowała się kantyna będąca ziemskim odpowiednikiem niebiańskiego raj. Żołnierze wchodzili tam z pieniędzmi i wychodzili obciążeni wszelkimi cudami. Wydawało się, że cuda, jakie można było znaleźć w tym budynku, zajmującym całą przestrzeń między przecznicami, nigdy się nie wyczerpią.

Statki i samoloty przywoziły te wspaniałości, które całe konwoje ciężarówek wiozły z lotniska i z portu. Były tam nie tylko zwyczajne skarby - takie jak papierosy i alkohole, perfumy i słodycze, żywność i odzież, ale też takie czaro-

dziejskie rzeczy jak telewizory, magnetofony, radia stereofoniczne. Były też luksusy nad luksusami przekraczające nawet marzenia kierowców taksówek - jak biżuteria i zabawki.

Po opędzeniu się od kierowcy, który chciał, żeby mu kupić papierosy, alkohol i telewizor, Mead musiał się wymknąć całej zgrai waluciarzy, handlarzy, kobiet, dzieci, kalek i inwalidów.

Minął stoiska sprzedające Fordy i Chryslery, encyklopedie, polisy ubezpieczeniowe, akcje i obligacje, i dotarł do ogromnego kompleksu towarowego, gdzie znajdowały się wielkie stoiska z odzieżą, aparatami fotograficznymi, kosmetykami, artykułami gospodarstwa domowego i wszelkimi innymi towarami. Sklep ten był znacznie większy niż jakikolwiek, który Mead w życiu oglądał.

Oszołomiony ilością oferowanych towarów, nie wiedział, gdzie ma czego szukać. Chodził między stoiskami w nadziei, że natknie się na to, czego potrzebuje Sung, bo nie pamiętał jak się to nazywa.

Na jednym ze stoisk zobaczył zabawki. Cała jedna półka zapełniona była lalkami. Zatrzymał się przy niej. Były tam lalki, które moczyły pieluszki i wołały „mama”, lalki Barbie z wyposażeniem plażowym i balowym, lalki Heidi i inne, w sukienkach i kostiumach ludowych. Wreszcie zobaczył tę, którą chciałby kupić dla Sung. Kopciuszek. Książniczka w długiej białej sukni z maleńką ozdobioną klejnotami koroną. Podniósł delikatnie pudełko z lalką i wsadził je sobie pod pachę. Potem znalazł baloniki Hersheya i złapał sześć torebek. Musiał jednak wrócić do wejścia, żeby wziąć wózek na zakupy.

Trudno mu było wybrać cokolwiek dla Hań. Nie chciał kupić czegoś zbyt osobistego, żeby nie wzbudzić zazdrości Cattona, ale też nie chciał jej rozczarować czymś zbyt praktycznym. Wybrał wreszcie bransoletkę, która podobno była z ja-deitu i chyba rzeczywiście była, bo kosztowała aż dwadzieścia pięć dolarów.

Kiedy wreszcie ją zapakowano, było już po jedenastej i Mead wiedział, że musi się śpieszyć,

jeżeli ma zdążyć do ambasady przed południem, a wciąż jeszcze nie miał najważniejszej rzeczy, po którą tu przyjechał.

Wreszcie zebrał się na odwagę i zwrócił się do jednego ze sprzedawców, chociaż dość długo musiał szukać mężczyzny.

- Gdzie mogę znaleźć... coś dla kobiety, kiedy ona... no, wie pan, krwawi.
- Myśli pan o plastrze?
- Nie. Kiedy ona ma miesiączkę - wybełkotał wreszcie.
- Podpaski?
- Właśnie.
- W przejściu szóstym przy wywieszce „Potrzeby kobiet”.

Dupek, pomyślał Mead, wiedząc, że szeregowy intendentury specjalnie tak powiedział, żeby zrobić z niego głupka.

Stojąc przed półką i patrząc na wielki wybór różnych marek, poczuł się zupełnie zagubiony. Ludzie przepychali się obok niego, a on się czuł głupio i niepewnie. Sięgnął po pudełko, ale szybko cofnął rękę, bo znowu ktoś się zbliżał.

Ten kupujący, oficer Marynarki, nie minął go jednak. Zatrzymał się obok Meada i zdjął z półki duże niebieskie pudełko. Kiedy odwrócił się, Mead chwycił podobne pudełko i jeszcze jedno i jeszcze dwa dla Hań.

Oficer Marynarki zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Dużo tego Kotexu - powiedział.

Mead, stojący w przejściu z czterema pudełkami, aż znieruchomiał w szoku.

- Jeżeli tak bardzo krwawi, powinna pójść do lekarza. Oficer zauważył zakłopotanie i zagubienie Meada.

- Czy może wam pomóc?

- Nie wiem, co powinienem kupić - powiedział Mead, wzruszając ramionami. Oficer skinął głową i spojrzał na pudełka.

- Chyba będziesz musiał też kupić pas. - Wziął pudełko z półki i podał Meadowi.

- Czy jest bardzo mała?

Mead patrzył na niego z przerażeniem. Oficer zrozumiał jednak, że zaszło nieporozumienie.

- Nie... Miałem na myśli w pasie i w biodrach. Wietnamki są tak drobne, że czasami majteczki dziewczęce są lepsze, ale spróbujcie najpierw pasa - powiedział i odszedł, powstrzymując śmiech.

Mead chwycił jeszcze jeden pas, wrzucił wszystko do wózka i ruszył do kasy.

Kiedy wysiadł z taksówki przed ambasadą kilka minut przed południem, wiedział, że nie ma dość czasu, żeby schować zakupy do swojej szafki w koszarach, i będzie musiał zanieść je do biura.

Żołnierze piechoty morskiej przy wejściu znali go i nie sprawdzili torby z zakupami, ale kiedy dotarł na piąte piętro, uprzytomnił sobie, że nie ma gdzie schować zakupów.

Dolores Toland wychodziła na lunch, kiedy Mead pojawił się na korytarzu.

- Chciałabym tak pracować jak ty, kapralu - powiedziała miło. - Do pracy w południe, zakupy w kantynie. Powinnam była wstąpić do piechoty morskiej. Co kupiłeś?

- Nic. Zwykle rzeczy - powiedział, cofając się.

- Pułkownik Waggoner chce cię zobaczyć. Bardzo mu się śpieszy - powiedziała mijając go. - Jest w gabinecie ambasadora. Chce wszystko poprzestawiać, zanim ambasador wróci. Pośpiesz się.

Właśnie w tej chwili pułkownik Waggoner wyszedł z gabinetu Marshalla na korytarz.

- Najwyższy czas, Mead - powiedział. - Chodźcie tu. Potrzebuję pomocy. - Postawcie to za drzwiami - polecił Meadowi, wskazując na torbę. - Pomóżcie mi z tym biurkiem. Ambasadorowi się nie podoba. Trzeba przynieść inne z sutereny. Musimy się śpieszyć. Je lunch z ambasadorem Bunkerem, a potem jedzie na odprawę do dowództwa armii południowowietnamskiej. Pojedziecie z nim.

Przez półtorej godziny Mead przenosił meble i wieszał nowe zasłony, aż w końcu Waggoner wysłał go do biura Bunkera, żeby tam czekał na Marshalla.

Bui Cao Kim od wczesnego ranka stał po drugiej stronie ulicy przed budynkiem, w którym mieszkał Mead, i chociaż wyszło z niego kilku Amerykanów w wyjściowych mundurach, takich, jakie noszą w ambasadzie, wiedział, że żaden z nich nie jest tym, którego Lacouture opisał jako Dzikusa - *Le Sawage*,

Kim kucnął na chodniku z ręką wyciągniętą po datki. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Zaczął w końcu zastanawiać się, czy nie przegapił tego człowieka. Mógł pojechać do pracy o świcie albo wyjechać, po tym jak Lacouture widział go wieczorem, i jeszcze nie wrócił.

Lacouture przesłał mu wezwanie poprzedniego wieczoru przez jeden z ich kontaktów. Lacouture dosłownie szalał. Ostatni raz Kim widział go w takim stanie siedemnaście lat temu, kiedy Lacouture spotkał tego młodego francuskiego legio-nistę. To był jedyny błąd, jaki zdaniem Kima popełnił Lacouture. Francuz zakochał się jak idiota w żołnierzu, obsypywał go pieniędzmi i prezentami. Stracił do tego stopnia rozsądek, że później przez całe lata Kim nie miał do niego zaufania. Cała afery z żołnierzem skończyła się w odpowiednim momencie, pomyślał Kim. Ten młody człowiek zaczynał fizycznie znieważać Lacouture'a i w końcu mógł go nawet zabić. Całe szczęście, że wdał się w bójkę na noże z innym żołnierzem i został tak ciężko ranny, że ewakuowano go do Francji. Lacouture był niepokieszony i chociaż w miarę upływu czasu zaczęli pojawiać się inni żołnierze, nigdy nią nawiązał z żadnym z nich tak bliskich stosunków jak z tym legionistą.

Kim nie osądzał go. Homoseksualizm nie był ani lepszy, ani gorszy od innych form ludzkich zachowań. Homoseksualista, buddysta czy rybak - to było bez znaczenia. Kolekcjonowanie chłopców, dziewczyn, znaczków albo monet, sympatia do szczeniąt, miłość do kwiatów, dbałość o stopy - to była tylko kwestia wyboru, zajęcie samo w sobie bez wartości i znaczenia.

W stosunkach Lacouture'a z żołnierzami niepokoiło Kima to, że wydawał na nich pieniądze, a wtedy, na początku ich znajomości, Lacouture był dla Kima jedynym źródłem dochodów. Lacouture'a wtedy tak pochłonęła jego obsesja, że w ogóle nie mógł pracować, a każdy posiadany grosz wydawał na legionistę.

Ostatniego wieczoru, kiedy Lacouture zachwycał się Dzikim Amerykaninem, Kim był, oczywiście, zaniepokojony wiedząc dobrze, że ze wszystkich głupców największym głupcem jest stary głupiec. Lacouture był, zdaniem Kima, zbyt stary, tak samo z resztą jak i Kim. W tym wieku Kim nie pozwoliłby sobie na taki wyskok. Zostało zbyt mało czasu. Komuniści wkrótce wygrają i będzie musiał wyjechać, a to oznaczało, że potrzebne będą pieniądze, mnóstwo pieniędzy.

No cóż, pomoże Lacouture'owi, ale tylko trochę. Pod warunkiem, że nie będzie to zbyt kosztowne i nie ograniczy jego dochodów.

- Musisz dowiedzieć się wszystkiego - powiedział Lacouture. - Kim jest, gdzie pracuje, w jakich godzinach, co robi po pracy, jakie są jego słabości, wszystko. Bardzo dobrze ci zapłacę, mój kochany Kim.

Dlatego właśnie Kim od wczesnego ranka czekał na Amerykanina po drugiej stronie ulicy pod budynkiem, który opisał Lacouture.

- Trzecie piętro, czwarte okno na lewo od klatki schodowej - powiedział Lacouture.

Ponieważ Kim nie zauważył żadnego ruchu, postanowił zajrzeć do środka.

Przeszedł przez ulicę i już zaczął zbliżać się do budynku, kiedy wyszedł z niego mężczyzna. To musiał być on. Nie mogło być co do tego wątpliwości. Równocześnie Kim zauważył, jak bardzo niebezpieczny jest ten człowiek, i uznał, że nie może dopuścić, żeby Lacouture się z nim związał. Z drugiej strony Kim wiedział, że

każdy ma swoją cenę, i że wszystko można kupić, a jeżeli czegoś nie da się kupić, to można to ukraść lub wymusić.

Lacouture mógł zdobyć tego mężczyznę. Nie było co do tego wątpliwości. Lacouture na pewno też dobrze Kimowi za to zapłaci. Kim był gotów pomóc, ale teraz, kiedy zobaczył tego mężczyznę - cena tej pomocy będzie musiała znacznie wzrosnąć. Jak już Kim zdobędzie pieniądze, postara się, żeby ten związek trwał krótko.

Po wyjściu z budynku mężczyzna zatrzymał się, rozejrzał uważnie dokoła. Spojrzał prosto na Kima. Potem dalej i znowu wrócił wzrokiem do niego, jakby czuł, że coś nie jest w porządku.

To niespodziewane spotkanie oraz intensywność spojrzenia Amerykanina zaniepokoiły Kima. Czy powinien odejść, czy też będzie to jeszcze bardziej podejrzane?

Kierując się intuicją, Kim zbliżył się do mężczyzny i uśmiechnął się przymilnie.

- Daj papierosa, żołnierzu. Amerykanie dobrzy. Komuniści źli. Daj papierosa, żołnierzu.

Kim czekał, co mężczyzna odpowie. W ciągu dwudziestu lat, kiedy zwracał się do żołnierzy o papierosa albo o pieniądze, otrzymywał prawie zawsze tę samą odpowiedź - „Spierdaj, żółtku”, której towarzyszyło przeważnie odepchnięcie. Często go po prostu ignorowano. Rzadko tylko ktokolwiek zatrzymywał się, żeby mu dać papierosa.

Ten żołnierz nie zrobił jednak nic takiego. Przyjrzał się uważnie Kimowi.

- Ja też nie palę - powiedział.

Kim początkowo nie rozumiał słowa „też”, ale ze sposobu w jaki żołnierz na niego patrzył oraz z tonu jego głosu wywnioskował, że żołnierz zauważył, iż on nie pali. Zdradziły go jego zęby. Był z nich dumny. Były białe i bez żadnych plam od papierosów ani od betelu.

Wiedząc, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie stać dalej z głupią miną i udawać, że nic nie rozumie, Kim nie ruszył się i trzymał wyciągniętą rękę. Grymas uśmiechu nie opuścił jego twarzy.

Przez kilka sekund żołnierz przyglądał mu się, wreszcie zszedł na jezdnię i zatrzymał ryksę.

Nie obejrzał się na Kima. Nie było potrzeby. Kim wiedział o tym. Uznał prawdopodobnie, że ze względu na wiek Kim nie stanowi zagrożenia. Był za stary jak na partyzanta. Mógł być informatorem, ale nie aktywnym agentem. Żołnierz zignorował go, ale przypomni go sobie, jeżeli znowu się spotkają. Kim będzie musiał być bardzo ostrożny.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, stał tam jeszcze przez pół godziny, wrócił przez jezdnię i wszedł do budynku.

Pewność siebie przywrócił mu odór zatkanych ubikacji i gnijących odpadków. Wreszcie coś znajomego. Ten świat rozumiał.

Na trzecim piętrze nasłuchiwał odgłosów dobiegających z pokoju za czwartymi drzwiami. Po chwili otworzył je i wszedł do środka.

W pokoju były dwie kobiety. Starsza siedziała na podłodze obok znacznie młodszej, leżącej na wojskowym śpiworze. Mimo otwartego okna w pokoju czuć było zapach wymiocin i krwi.

Młoda kobieta nie odwróciła się, kiedy wszedł, ale starsza poderwała się.

- Czego chcesz? - spytała ostro. - Kim jesteś?

Znał ten typ kobiety. Niewiele młodsza od niego, przetrwała korzystając ze swego ciała i powabów. Łatwo będzie z nią postępować, bo rozumiała, jak ten świat funkcjonuje.

Przeszedł przez pokój i przykucnął obok niej. Zauważył zniszczoną narkotykami twarz młodszej.

- A kim chcesz, żebym był, siostrze? - zapytał. - Kto może ci pomóc?

Wydała dźwięk, jakby splotła, kiedy przyglądała się jego twarzy. Nie przedstawia sobą nic. Widziała, że nie malują się na niej żadne uczucia. Był zimny jak trup. Znała takich mężczyzn. Sypiała z takimi mężczyznami, wiła się i jęczała pod ich ciężarem, a potem ich splawiała, a teraz jeden z nich przyszedł po nią, czego zawsze się obawiała. Miała nadzieję, że nie dojdzie do tego. Owszem, obsługiwała ich, ale nie dopuszczała, żeby pozostali, a teraz jeden z nich otworzył drzwi i wkroczył w jej życie.

- Jesteś za stara, żeby się pieprzyć z Amerykanami - powiedział. - Masz za luźną cipę. - To było proste stwierdzenie faktu. - Ale masz szczęście, siostrze. Ktoś się tobą zainteresował. Masz coś, czego on chce.

Nie odezwała się. Słowa były niepotrzebne. Powie jej, czego chce, a ona mu to załatwi, zapewniając sobie możliwie najlepsze warunki. W innym przypadku wymusi to na niej za darmo. Taki był los. Wystarczyło otworzyć drzwi. Potem drzwi się zamkną. W pokoju i w powietrzu znowu zapanuje spokój. Nic się nie zmieni.

Kim siedział w kucki w milczeniu przez całą minutę. Przyglądał się jej, a potem kobiecie leżącej na podłodze. Widział, że jest piękna, ale też brudna i chora.

- Twoja córka? - zapytał wreszcie. Han potrzęsła głową.

- Młoda kurwa z ciasną cipą lepszą do pieprzenia się z Amerykanami. Kim roześmiał się i uderzył ręką w podłogę.

- Ha! Stare kurwy są najlepsze.

- Ile mi zapłacisz? - zażartowała Hań, rozsuwając nogi.

- Może zapłacę ci dużo. Może więcej, niż sobie wyobrażasz. Może więcej, niż kiedykolwiek widziałaś. Kim jest ten człowiek, który stąd wyszedł? Ten duży Amerykanin, którego oczy widzą wszystko?

To może oznaczać dużo pieniędzy, pomyślała, ale też może być bardzo niebezpiecznie. To musi mieć coś wspólnego z tą ważną osobą, o której mówią wszyscy żołnierze piechoty morskiej. To chyba

jest bardzo śmierdząca sprawa.

Im mniej wiedziała, tym będzie w lepszej sytuacji.

- Ile mi zapłacisz? - zapytała.

Wyciągnął z kieszeni pognieciony banknot dwudziestodolarowy. Wzruszyła ramionami.

- Mój chłop daje mi tyle, kiedy wezmę do ust.

Kim tylko na nią spojrział. Nie trzeba było jej grozić. Nie musiał wyciągać noża ani jej bić. Wiedziała, że jest zdolny do paskudnych czynów. Rozumieli się bez słów. Będzie musiała powiedzieć mu to, czego on chce się dowiedzieć i co według

niej warte będzie oferowanych pieniędzy, a kiedy on uzna, że powiedziała mu już dość za te pieniądze, przestanie mówić.

- Nazywa się Ron Mead. Jest żołnierzem piechoty morskiej w ambasadzie amerykańskiej. To jest jego kobieta.

Opowiedziała mu też o Sung.

- Dlaczego zabrał ją z burdelu? - zapytał Kim. - Jest ładna, ale...

Nie mógł tego zrozumieć. W każdym burdelu były ładne dziewczyny. Na ulicach też pełno było dziwek i żołnierzy, i nie rozumiał, dlaczego Lacouture uparł się właśnie na tego. To na pewno nie była miłość.

Han dotknęła piersi.

- Obcy są słabi tam, gdzie my nie jesteśmy. Nawet najtwardszy z nich to ma. Litość. - Wzruszyła ramionami. - A także i nadzieja.

Kim coś mruknął. Potem sięgnął do kieszeni i wyciągnął gruby zwitek banknotów. Wyciągnął banknot studolarowy i położył przed Hań.

- Opowiedz mi o nim - powiedział.

Myślała, że chce dowiedzieć się czegoś o tym ważnym Amerykaninie. Żadna informacja na temat Meada czy innego żołnierza piechoty morskiej nie może być tyle warta. Dlatego właśnie Kim tu przyszedł. Chce dowiedzieć się o Marshallu.

- Ron nie rozmawia o nim dużo nawet z moim chłopem, chociaż są przyjaciółmi. Ron mówi, że jest ważniejszy niż ktokolwiek inny i mieszka w willi z wieloma służącymi, ale wszystkich traktuje dobrze. Mogę powiedzieć, że Roń go lubi. Tylko w czasie ostatnich dni widziałam, że jest szczęśliwy.

Kim nie miał pojęcia, o kim mówi Han, ale lata praktyki nauczyły go, żeby nie przerywać odpowiedzi na zadane pytanie i że jeżeli tylko się uważnie słucha, to da się wyłuskać wszelkie ważne informacje.

Z początku myślał, że Han mówi o bogatym, potężnym Amerykaninie, który utrzymuje Meada, tak jak chce to zrobić Lacouture, ale stopniowo pojął, że chodzi

o wysokiego urzędnika, który dopiero co przyjechał i dla którego Mead stanowi ochronę osobistą.

Ten człowiek jest tak ważny, że wszyscy w ambasadzie usuwają mu się z drogi i miał też prywatne spotkania z generałem Westmorelandem.

Kiedy skończyła mówić, sięgnęła po pieniądze, a on był tak zaabsorbowany tym, co mu powiedziała, że jej nie przeszkodził.

Siedział po turecku na podłodze, starając się wszystko zrozumieć. Było to jednak dla niego zbyt wiele. Lacouture nie wie o tym ważnym Amerykaninie, a nawet jeżeli wie, to nie jest świadom jego powiązań z tym żołnierzem, którego Lacouture pożąda.

Co zrobić z tą informacją? Jak ma ją wykorzystać?

Wiedział, że nie jest tak sprytny jak Lacouture. Umysł Francuza jest tak pokrętny.

Może nie powinno się przekazywać tej informacji Lacouture'owi? Ile Wietkong zapłaciłby za taką informację? Czy można im ufać, że zapłacą?

Będzie musiał długo w skrytości zastanawiać się nad tą sprawą i przeżuć ją jak pies, który zaciągnął kość do budy.

Miał już właśnie zapytać o Meada, kiedy rozległ się hałas otwieranych drzwi.

- Han, gdzie jesteś?

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wtoczył się nagi młody mężczyzna.

- Hań, chce mi się pieprzyć. Chodź do łóżka. Zobaczył Kima.

- Co to za żółtek? - zapytał, podchodząc bliżej. - Co tu się dzieje? Podszedł groźnie do Kima.

- Wstawaj, dupku! Kim jesteś?

Hań dała znak Kimowi, żeby wstał. Bili Catton był wyższy o co najmniej trzydzieści centymetrów i cięższy o co najmniej czterdzieść kilo. Hań skoczyła między nich.

- Billy, on doktor. Sung bardzo chora.
- Gówno, a nie doktor. Nie wygląda na doktora.

Hań położyła mu rękę na udzie i mówiła uspokajająco, gładząc go delikatnie coraz bliżej krocza.

- Nie jak doktor amerykański, Billy. Chiński doktor. Robi specjalne rzeczy. Daje specjalne herbaty do picia, które pomagają. Potrafi wbijać igły w ciało. Da Sung specjalne rzeczy przeciw heroinie. Będzie się czuła lepiej.

- Tak? No, cóż. Powinien sam coś zażyć. Wygląda jak kawałek psiego gówna. Tymczasem Bili przestał się interesować Kimem, bo już prawie mu stanął.

Chwycił Hań i przyciągnął do siebie.

- Chodźmy.

Zaczęli już wychodzić, ale Bili zatrzymał się nagle.

- Hej, a może on ma coś na ból głowy. Boli jak diabli. Hań chwyciła go za członka i pociągnęła za sobą.

- Ja mam coś na ból głowy.

Przyciągnęła do siebie jego głowę i polizała mu ucho. Roześmiał się i wtulił twarz w jej szyję. Wyprowadziła go z pokoju i drzwi się za nimi zamknęły.

Kim odetchnął z ulgą i usiadł na podłodze. Kiedy patrzył na żołnierza wychodzącego z kobietą, nagle poczuł się stary. Dość już miał wystawiania się na pośmiewisko i dość samotności. Japończycy, Francuzi, Amerykanie... upokorzenia przez całe życie. Teraz naśmiewała się z niego młodość. Ten potężnie zbudowany żołnierz demonstrował przed nim swoją siłę.

Uczucia te jednak szybko minęły. Nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Życie mogło skończyć się błyskawicznie, jak życie owada schwytanego przez jaszczurkę.

Leżąca obok niego dziewczyna poruszyła się.

- Wody - wyszeptwała.

Kim przyglądał się jej. Co ta stara kurwa powiedziała? Na co cierpią cudzoziemcy? Litość i nadzieja?

Patrzył na wykrzywioną bólem twarz dziewczyny i na wyniszczone ciało. Było mu jej żal. Żal mu też było tej starej kurwy oddającej się temu nieokrzesanemu dzieciakowi i żal mu było siebie samego. Nie było w nim jednak litości, tylko żal, że los nie zrządził inaczej. A nadzieja? Nie. Nadzieja w ogóle nie istniała. Nadzieja jest sprzeczna z przeznaczeniem. Nadzieja to jak gaszenie pragnienia solą.

Kim chwycił dziewczynę za podbródek i odwrócił jej twarz ku sobie. Jej wzrok skupił się. Pozbędzie się wpływu narkotyku za kilka dni. Najgorsze już minęło. Poniósł jej głowę, ciągnąc za włosy, i zbliżył jej twarz do swojej.

- Słyszysz mnie, córko?

Jej oczy rozszerzyły się z bólu i strachu. Potrząsnął nią jeszcze raz.

- Czy mnie słyszysz?

Jej usta poruszyły się. Chciała coś powiedzieć.

- Pieprz się dobrze z Amerykaninem. Uczyń go szczęśliwym. Rozumiesz? Znowu szarpnął ją za włosy.

- Rozumiesz?

- Tak - szepnęła.

Litość była dobra, pomyślał, ale miłość jest lepsza, a seks najlepszy ze wszystkiego.

Przyciskał jej twarz do swojej. Nie mogła uciec przed tymi oczami, które były straszniejsze niż śmierć.

- Och, córko, co ja bym z tobą zrobił - wychrypiał. - Musisz go ucieszyć. Opuścił jej głowę na podłogę i wstał. Trzeba to starannie przemyśleć. Ta stara

kurwa i ta dziewczyna są jego. Nikomu nic nie powiedzą. Ale ten młody żołnierz mógłby, gdyby go zapamiętał. Może wspomnieć Meadowi o jakimś dziwnym starym żółtku, który przyszedł do Sung, i Mead przypomni sobie, że go widział pod domem. Ta stara kurwa coś wyjaśni i może mu to jakoś ujdzie.

Co ma jednak powiedzieć Lacouture'owi? Miał się spotkać z Francuzem dziś po południu w „Continentalu”. Będzie szalał z niecierpliwości.

Gdybyż tylko wiedział, co ma robić.

XVI

Marshall siedział przy stole w jadalni i jadł lunch z Ellsworthem Bunkerem, w rezydencji ambasadora amerykańskiego, oddalonej o kilka przecznic od ambasady.

Marshall przyszedł wysłuchać opinii starego człowieka. Bunker, siedemdziesięcioletni zawodowy dyplomata, też pochodził z Nowej Anglii. Jego opinie były konkretne i nieodmiennie zjadliwe. Przyjechał do Wietnamu kilka miesięcy wcześniej i Marshall wiedział, że jego wrażenia będą świeże i będą miały swoją wagę.

Po raz pierwszy spotkali się, kiedy Bunker był ambasadorem przy Organizacji Państw Amerykańskich, a Marshall specjalnym wysłannikiem prezydenta w Ameryce Środkowej. Choć Bunker był starszy niż ojciec Marshalla, ich stosunki miały charakter koleżeński, a ze względu na intelekt, wigor i przyjazne zachowanie Bunkera, Marshall zwykle zapominał o dzielącej ich różnicy wieku.

Posiłek był lekki, stosownie do upalnego popołudnia, i podany nienagannie. Skończyli już jeść, ale Marshall celowo zwlekał, popijając wino. Minione dwie godziny upłynęły bardzo miło, a rozmowa była niezmiernie interesująca, tak że w efekcie okazał się to jedyny naprawdę przyjemnie spędzony czas, odkąd Marshall przybył do Wietnamu. Uznał więc, że jeszcze trochę mu się należy. Poza tym w jego willi podawano gorsze wino.

Bunker zaproponował, żeby przeszli do ogrodu, ale Marshall grzecznie odmówił. Choć oleandry i bugenwilia były piękne, a Bunker nalegał, żeby obejrzał jego rzadkie orchidee, Marshallowi nie chciało się wychodzić. Na zewnątrz panowała zbyt wysoka temperatura i wilgotność, a w powietrzu unosił się swąd spalin. Nie chciał rozstać się z kryształami, srebrem i białym obrusem. Meursault uspokajało go, a monotony stukot wiatraka pod sufitem usypiał.

- Złożę wizytę Thieu i Ky później - powiedział Marshall, oglądając kieliszek bladej wódki - Czy może pan to sobie wyobrazić?

Bunker popijał wino drobnymi łyżkami.

- Nguyen Van Thieu jest generałem bez charyzmy, pomysłów, zdolności i osiągnięć. W zeszłym miesiącu wybrał się prezydentem. Przedtem był marionetkowym szefem państwa całkowicie zależnym od Nguyen Cao Ky, generała lotnictwa, który szczególnie lubi czerwone kombinezony spadochroniarskie dobrze się prezentujące przy ubraniach jego żony. Dziwaczny człowiek. Teraz Ky jest wiceprezydentem wymanewrowanym przez Thieu, który ma wpływy wśród generalicji.

Bunker odstawił kieliszek i osuszył usta serwetką.

- Sfałszowali wybory w zeszłym miesiącu, a mimo to uzyskali tylko trzydzieści pięć procent głosów. Mamy właśnie do czynienia z tego rodzaju brakiem kompetencji. Na drugim miejscu znalazł się prawnik o złej sławie, który kiedyś zaoferował swoją żonę jako zastaw pod pożyczkę. Czy może pan to sobie wyobrazić?

- Żałuję, że przegapiłem kampanię wyborczą - powiedział Marshall z uśmiechem. - Jak ludzie tego rodzaju mogą zjednoczyć ten kraj?

- Nie mogą. Thieu zastąpił Ky. Ten był przywódcą wojskowego zamachu stanu, który obalił rząd doktora Quata, który doszedł do władzy w drodze zamachu stanu

cztery miesiące wcześniej. Przedtem były inne zamachy stanu. Od czasu zabójstwa Diema cztery lata temu rząd zmienił się siedem razy. W porównaniu z tym republiki bananowe mogą uchodzić za bastiony stabilności. Ale jaki mamy wybór? Komunistów? Nie może tu być zwycięstwa politycznego - zakończył Bunker. - Tylko militarne.

- Ale czy ono jest możliwe?

- Jestem optymistą, Brad - powiedział Bunker. - Armia Wietnamu Południowego robi duże postępy. Nominacja generała Trana na dowódcę okręgu to pozytywny objaw.

- Spotykam się z nim, zaraz jak stąd wyjdę - powiedział Marshall. - Słyszałem, że to ich najlepszy generał. Chciałbym dowiedzieć się, jak on ocenia sytuację. Czy myśli pan, że będzie mówić szczerze?

- Myślę, że tak. Jest bardzo otwarty. - Bunker uśmiechnął się. - Kosztowało mnie to mnóstwo czasu, żeby przekonać Thieu do tej nominacji. Thieu zdobył władzę dzięki intrygom i knowaniom, dlatego wszędzie je węszy. Większość czasu poświęca na umacnianie swej władzy, nie ma go więc na kierowanie państwem i na konsolidację narodu. Kompetentny generał, taki jak Tran, przeraża go. Kompetencja może oznaczać zamach stanu. Musiałem go zapewnić, że udzielimy mu wsparcia w razie kłopotów z Tranem. Chciał nawet, żebym mu dał moją żonę jako zabezpieczenie.

- Czy Tran jest aż tak dobry?

Kiedy Marshall zbierał się już do wyjścia, poruszył jeszcze sprawę dzieci żołnierzy amerykańskich.

- Czy można coś dla nich zrobić? Bunker zacisnął usta.

- Nie - powiedział.

Marshall spodziewał się przynajmniej symbolicznej obietnicy ze strony Bunkera, że personel ambasady zbada sprawę, kilku jakichś uspokajających słów. Jak widać polityka Departamentu Stanu w tym zakresie polega po prostu na nieprzyjmowaniu tej sprawy do wiadomości.

Marshall uznał, że da temu spokój na pewien czas. Otwarcie go zapytał. Bunker udzielił mu kategorycznej odpowiedzi. Zasady dyplomacji wymagały, żeby zmienić temat dla uniknięcia niezręcznej sytuacji.

Kiedy limuzyna zajechała przed budynek sztabu, bez wycia syren i poprzedzających ją dźwięków z żołnierzami, Marshall mógł wyczuć rozczarowanie oczekującej na niego grupy. Żaden ważny przedstawiciel nie jeździł w ten sposób.

Generał Tran, oczekujący go na stopniach budynku, jednak to rozumiał. Był człowiekiem, który nie lubił pompy, a ponadto był pewien swojej potęgi. Wysoki, wyglądający jak słynni wodzowie mandżurscy, sam chciał otworzyć drzwi samochodu Marshalla, ale zanim zdążył, żołnierz piechoty morskiej wyskoczył z przedniego siedzenia i zastąpił mu drogę.

Mead patrzył z niepokojem na Trana i uzbrojonych wartowników wietnamskich, i wahał się przez chwilę z otwarciem drzwi samochodu, aż wreszcie Marshall zrobił to sam. Obszedł Meada dokoła i wymienił uścisk dłoni z Tranem.

- Pański orszak, chociaż skuteczny - tu Tran skinął bez uśmiechu w stronę Meada - rozczarował moich ludzi. Spodziewali się, że przybędzie pan w lektyce jak rzymski cesarz. Tutaj władza kojarzy się z dekoracjami cyrkowymi.

Sposób mówienia generała był agresywny, prawie groźny.

- W moim kraju również - odpowiedział Marshall lekko. Tran skinął głową.

- Nie byłem w Rzymie, ale przypuszczam, że takie rzeczy można tam spotkać jeszcze teraz. Czy nie noszą tam papieża w złotej lektyce?

Marshall pozostawił tę wypowiedź bez komentarza.

- Myślę, że mój orszak nie czuje się pewnie. Chyba żywi obawę, czy ma dość naboii.

- Chyba nie pomyli nas z Wietkongiem?

Marshall nie mógł wywnioskować z nieruchomej twarzy Trana, czy ten żartuje, ale zorientował się natychmiast, że ma do czynienia z człowiekiem, który onieśmiela.

Tran poprowadził Marshalla do wnętrza nieco zaniedbanego budynku, do niewielkiej salki konferencyjnej.

- Nie przygotowałem formalnej odprawy, ponieważ nie byłem pewien, czy panu o to chodzi. Może chce pan zadać jakieś pytania?

- Tak - przyznał Marshall siadając przy niewielkim stole naprzeciw Trana. -Chciałbym, żeby to była rozmowa nieformalna. Jestem w Wietnamie po to, żeby potem podzielić się wrażeniami i pomysłami z prezydentem Johnsonem. Suchych danych ma już dość.

- Sekretarz McNamara jest istnym gejerem danych - powiedział ironicznie Tran.

- Właśnie - przyznał Marshall, uderzając w ten sam ton. - Czasami jednak liczby nic nam nie mówią.

Brwi Trana wyraźnie się uniosły.

- Moje dzieci bardzo lubiły rysować i rysowały dużo. Były to ładne obrazeczki, ale zapewne nie była to wielka sztuka.

Marshall skinął głową.

- Wojna, którą prowadzi sekretarz McNamara, też nie jest wielką wojną, prawda? Tran rozłożył ręce.

- Nie jest ani artystą, ani generałem.

Marshall uśmiechnął się z uznaniem. Najwyraźniej problem szczerości mieli z głowy, pomyślał i postanowił dążyć prosto do uzyskania odpowiedzi na pytanie, czy wojna może być wygrana. Pochylił się i oparł łokcie na stole.

- Powiedziano mi dzisiaj, że zwycięstwo polityczne nie jest możliwe. Czy pan się z tym zgadza?

- Można by osiągnąć zwycięstwo polityczne, ale w Wietnamie jest tylko jeden polityk, a Ho Szi Min nie jest po naszej stronie - powiedział spokojnie.

Tran siedział wyprostowany jak mandaryn, z dłońmi spoczywającymi płasko na stole.

- Będę mówić jak Wietnamczyk, a nie jak żołnierz. Panowanie francuskie trwało tu, dopóki kraj nie został podzielony, trzynaście lat temu. Południe przypadło Diemom, którzy byli okrutni, próżni, skorumpowani, kierowali się nienawiścią i pogardą, i byli popierani przez wasz kraj. Diem i jego brat zostali zabici cztery lata temu. Od tego czasu zamachy stanu następowały jeden po drugim. Żaden z rządów nie zyskał społecznego poparcia. Na północy był i jest człowiek, który walczył przez czterdzieści lat o jedność narodową. Walczył z Francuzami, z Ja-

pończykami, z marionetkowymi cesarzami, a teraz walczy z niepopularnym rządem i z Amerykanami. Niech pan mi powie, kto tu może wygrać walkę polityczną? - zapytał Tran, rozkładając ręce.

Marshall wyprostował się na krześle nieco oszołomiony.

- Dlaczego więc walczy pan z Ho Szi Minem?

- Jestem katolikiem i nie lubię komunizmu. W pańskim kraju słowo komunizm oznacza coś okropnego i wszyscy ludzie jednoczą się, żeby z tym walczyć. Macie wiele słów, takich jak: „wybory”, „demokracja”, „wolność”, które są zrozumiałe dla

wszystkich. Tutaj te słowa nic nie znaczą. Kiedy pójdzie się do wsi i zacznie się je wykrzykiwać, nikt nie będzie rozumiał, o co chodzi. Efekt jest taki, że rozmawia się z ludźmi używającymi słów magicznych - „wolność”, „sprawiedliwość”, „demokracja” i manipulującymi nimi. Uważa się, że nawiązano dialog, podczas gdy w rzeczywistości słyszy pan tylko powtórzony pański wcześniejszy monolog. Tran uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Rozumiem znaczenie tych słów, w odróżnieniu od większości moich rodaków, i mam nadzieję, że któregoś dnia w tym kraju będzie demokracja, sprawiedliwość i wolne wybory. Wiem też, że do tego nigdy nie dojdzie pod rządami komunistów.

Marshall skinął głową.

- Oznacza to, że musicie wygrać wojnę. Powiedziano mi, że do tego celu potrzebne będą wam bomby wodorowe i gaz paraliżujący. Czy zgadza się pan z tym?

Tran w dalszym ciągu się uśmiechał.

- Czy prezydent Johnson użyje nam bomb wodorowych?

- Prawdopodobnie nie, ale czy możecie wygrać bez nich?

- Tak, z czasem, jeżeli będziemy mieć dość czasu i jeżeli będziecie chcieli stać przy nas wystarczająco długo. Wy jesteście jednak bardzo niecierpliwi. My, którzy żyliśmy przez tysiąc lat pod panowaniem chińskim i sto lat pod francuskim, bardziej po stoicku podchodzimy do problemu czasu niż wy, Amerykanie. Wszystko w Ameryce dzieje się tak szybko. Wierzycie w zmiany i rzeczywiście zmiany następują szybko. Sto lat temu byliście kowbojami, dwieście lat temu - rewolucjonistami, a trzysta lat temu - pierwszymi osadnikami. Przedtem byliście dzikimi Indianami. Tutaj nic tak szybko się nie zmienia. Myślicie, że jesteśmy nieodgadnieni, podczas gdy my jesteśmy po prostu powolni. Nasze pojmowanie i perspektywy są inne niż wasze. Wy działacie na podstawie programów. My nie. Wasze życie polityczne odmierzone jest czteroletnimi cyklami - wyborami prezydenckimi. Dla nas to tyle co życie muchy.

- Świetnie nas pan rozumie - powiedział Marshall.

- Nie jesteście skomplikowani. Zbliżają się wybory. Prezydent staje się nerwowym.

- Tak. Jedne z tych cholernie wolnych wyborów, których rezultat trudno przewidzieć.

- To bardzo smutne. Pod tym względem wojny są inne. Niestety, nie jestem w stanie zrobić przyjemności prezydentowi Johnsonowi i zwyciężyć armii Północ-; nego Wietnamu przed wyborami.

Wręcz przeciwnie. Myślę, że w tym właśnie czasie wojna się jeszcze bardziej zaostry.

- Generał Westmoreland jest pełen optymizmu. Tran skinął głową.
- Ja też. Znów jednak różnimy się w ocenie czasu. Czas szybko mija, jeżeli śledzimy ruch wskazówek zegara, ale znacznie wolniej, jeżeli patrzymy na kalendarz.

- Tego się obawiałem - powiedział Marshall. - Pan myśli w kategoriach lat.
- Wielu lat, chyba że użyjemy bomby wodorowej, gazu paraliżującego i dokonamy inwazji. Armia Północnego Wietnamu również myśli o wojnie w kategoriach lat. Ho i Giap prowadzili wojnę przez czterdzieści lat. Ho Szi Min jest jednak stary i przewodzi innym starcom w walce o sprawę komunizmu, niesłuszną i nie do wprowadzenia w życie. Czas nie pracuje ma ich korzyść, chyba że zrobi się im z niego prezent, kiedy zabraknie wam cierpliwości albo zajmiecie się czymś innym.

Twarz Trana była jak maska pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Przyszedł pan do mnie, żebym odpowiedział na pytania, na które tylko pan sam może sobie odpowiedzieć, bo dotyczą stopnia waszego zaangażowania. Czy jesteście gotowi wspierać nas jeszcze przez wiele lat?

- Myślę, że to będzie zależało od rozwoju sytuacji wojennej oraz od tego, co ludzie uważają za zwycięstwo.

- To mnie właśnie niepokoi - powiedział Tran. - Przypuszczam, że wkrótce komuniści podejmą wielką ofensywę, ryzykując ogromne straty właśnie w imię ustalenia pojęcia zwycięstwa.

Uśmiech rozjaśnił twarz Trana.

- Problem społeczeństwa otwartego, które jawnie rozstrzyga kontrowersje, polega na tym, że jest ono otwarte dla wszystkich, którzy chcą w nie wejrzeć. Moskwa i Hanoi czytają te same gazety co prezydent Johnson. Wiedzą, że w Ameryce istnieje opozycja przeciwko wojnie, i że zbliżają się wybory. Manipulację pojęciami nazywa się wojną psychologiczną. Jest to potężna broń, którą komuniści dobrze poznali. Uderzając niespodziewanie, podczas gdy Ameryka żyć będzie w przeświadczeniu, że wygrywa wojnę, mają nadzieję złamać wolę walki Amerykanów i ich chęć wspierania nas.

- Czy wyjaśnił pan to generałowi Westmorelandowi?

- Wspominałem o tym często, ale on jest przekonany, że atak taki byłby zbyt kosztowny. Giap jest ostrożnym, działającym powoli strategiem i nieprzewidywalnie powolnym taktikiem. Czy będzie zatem gotów zaatakować z zaskoczenia z dużą odwagą, w nadziei, że zada niespodziewany i potężny cios, który złamie wolę walki nieprzyjaciela? Tutaj nie zgadzamy się z amerykańskimi generałami.

Tran wzruszył ramionami.

- To jest różnica zdań między fachowcami. Za ich stanowiskiem przemawiają wcześniejsze dokonania Giapa oraz koncentracja sił wokół Khe Sann, które według nich wygląda dokładnie tak samo jak to było wokół Dien Bien Phu.

Oczy Trana zwięzły się.

- Khe Sann to tylko manewr. Dien Bien Phu wydarzyło się trzynaście lat temu, kiedy Giap miał do czynienia ze słabym nieprzyjacielem, niezdolnym do szybkiego rozmieszczania oddziałów, podciągania odwodów i przerzucania zaopatrzenia. Giap nigdy nie zastosowałby takiej taktyki przeciwko Amerykanom. Wie, że nie udałoby się mu osiągnąć zwycięstwa. Liczy na waszą próżność. Wie, że Amerykanie rozpaczliwie pragną takiego ataku, który by im pozwolił udowodnić swoją przewagę. Ma nadzieję, że kiedy skupicie uwagę na Khe Sanh, zignorujecie inne miejsca koncentracji. Wkrótce nastąpi poważny atak - albo w czasie Bożego Narodzenia,

albo podczas święta Tet. Jeżeli dalej będziemy upewniać samych siebie, że nieprzyjaciel jest zbyt słaby, by zaatakować, tenże nieprzyjaciel osiągnie zwycięstwo psychologiczne, właśnie podejmując atak.

Marshall poczuł, że serce zatrzymało mu się na chwilę. Atak taki zniszczyłby wszystko, co miał nadzieję osiągnąć. Lyndon Johnson przyjąłby taki atak jako osobistą obrazę. Nigdy nie wycofa się pod presją, ponieważ będzie się bał, że zostanie oskarżony o tchórzostwo. Jest gotów wycofać się tylko, jeśli mieć będzie silną pozycję - byłby to wielkoduszny gest dobrej woli.

Marshall odsunął krzesło, dając znak, że uważa spotkanie za zakończone.

- Dziękuję. Powiedział mi pan więcej, niż mogę w tej chwili przetrwać. Muszę to wszystko przemyśleć.

Tran wstał.

- Pan jest wspaniałym słuchaczem. Jeszcze żaden Amerykanin tak uważnie mnie nie wysłuchał.

Pan ograniczył się tylko do zadawania pytań.

- Przyjechałem się uczyć. Nie miałem tu nic do powiedzenia.
- Rzadko kiedy powstrzymuje to ludzi od mówienia.

Kiedy Marshall wrócił do ambasady, poziom ochrony był już obniżony do poziomu stosowanego wobec ambasadora Bunkera. Nie usunięto ludzi z holu, ale wartownicy odprowadzili go do prywatnej windy. Widząc, że Mead ich zna, polecił mu, żeby poczekał na niego na dole.

W biurze Waggoner przedstawił mu informacje, jakie napłynęły, i program na następny dzień.

- Dzwonili z biura generała Westmorelanda. Pułkownik Romer zamelduje się tu jutro rano.
- To dobrze. Zna pan Roberta Romera?

- Słyszałem o nim, ale nigdy go nie spotkałem.

- Będzie ze mną wyjeżdżać, żeby obejrzyć rejony objęte studium DWWPBP. Jego obowiązki nie będą kolidować z pańskimi.

- Tak jest. Biuro Westmorelanda powiadomiło, że pański samolot i pilot są w gotowości. Ma pan do dyspozycji samolot odrzutowy i helikopter. Pańskim pilotem będzie porucznik James Magnuson z piechoty morskiej. Przysłali go z Da Nang.

- Świetnie. Pułkownik Romer się tym zajmie. On będzie odpowiadać za operacje polowe, a pan za sztabowe. Aha, właśnie. Co się tyczy operacji sztabowych, potrzebuję dwóch rzeczy. Najnowszych danych na temat infiltracji nieprzyjaciela i jakiegoś opracowania dotyczącego strategii generała Giapa pod Dien Bien Phu. Chciałbym to dostać możliwie jak najszybciej.

- Zajmę się tym dziś wieczorem. Coś jeszcze? Marshall pokręcił głową i Waggoner wyszedł z gabinetu.

Ambasador zgasił światło, zaciągnął zasłony i usiadł na kanapie. Lubił spokojny odpoczynek po ciemku i w ciszy. Teraz, kiedy siedział w mroku, odsunął od siebie wszystkie wrażenia, pozostał tylko przy myślach. Zrozumiał, że Tran ma rację. Szukał odpowiedzi w niewłaściwym miejscu. To on, Lyndon Johnson i wszyscy Amerykanie muszą znaleźć odpowiedź na pytanie, czy Wietnam obchodzi ich na tyle, żeby zaryzykować długotrwałe zaangażowanie.

Trzeba zapomnieć o retoryce. Czy Wietnam obchodzi nas na tyle, żeby pozwolić naszej młodzieży ginąć za sprawę?

Ryan. Nagle jego myśli potoczyły się zupełnie innym torem i przed oczyma stanął mu Ryan, jako małe dziecko siedzące na dywanie z głupią czapczką baseballową przekrzywioną na bakier i z niteczką śliny cieknącej z ust. Nagle było już stu Ryanów, jakby w fotomontażu. Niemowlęctwo, dzieciństwo, młodość. Ze? stawienie twarzy śmiejących się, płaczących, zaciekawionych, urażonych, aż wreszt cię było zbyt wiele twarzy, żeby mógł sobie z nimi poradzić, i zatrzymał ten film na twarzy osiemnastolatka, gniewnej i buntowniczej.

Ryan. Niedługo tu przyjedzie.

Jeżeli jego misja ma być uwieńczona sukcesem, jeżeli ma przekonać Johnsona żeby wycofał wojska, musi zapobiec ofensywie nieprzyjaciela. Ofensywa przedłuży wojnę o całe lata, pograży Johnsona głębiej w to, czego wcale nie chce.

Musi zatem w jakiś sposób nawiązać kontakt z Północnymi Wietnamczykami; Musi przekonać ich, że atak przyniesie zupełnie odwrotne skutki, niż tego oczekują, Jak to zrobić? W jaki sposób można spotkać się w tajemnicy z przedstawicielem armii północnowietnamskiej? Kto mógłby zaaranżować takie spotkanie?

Jakiś pośrednik? Może. Czy da się znaleźć kogoś takiego?

Wstał. Tak. To jest teraz sprawa najważniejsza.

i

Pożegnał się z personelem i wyszedł.

i

Kiedy na dole otworzyły się drzwi windy, żołnierze piechoty morskiej przerwali rozmowę i stanęli na baczność. Potem odprowadzili go do samochodu.

Ci młodzi ludzie wywarli na nim przygnębiające wrażenie. Byli przecież także czyimiś synami - jak ci w trumnach, jak ci wszyscy zabici po obu stronach. Zdał sobie sprawę, że właśnie taka jest wojna. Walczą czyiś synowie. Nie chodziło

o troskę o nich. Troska o własnych synów była ważniejsza.

Lyndon Johnson jest dobrym człowiekiem, pomyślał Marshall. Czy jednak jego troska jest wystarczająca, by zaryzykować dla wolności Wietnamu własne dobre imię

1 reputację, i wynik wyborów? Troszczy się o walczących i ginących ludzi. Czy jednak troszczy się wystarczająco, żeby zaryzykować przegraną w wyborach dla ich ocalenia?

Nagle ktoś zapukał w okno samochodu.

- Pan zostawił to w biurze, sir - powiedział urzędnik z Departamentu Stanu, podając mu torbę z zakupami.

Marshall w zamyśleniu wziął torbę, nie dostrzegając przerażonej miny Meada.

Samochód ruszył. Nadal zamyślony, Marshall zajrzał do torby. Wyciągnął Kopciuszka, a potem paczkę Kotexu.

Z początku nie bardzo wiedział, co to jest, potem jednak włożył je z powrotem do torby i podał na przednie siedzenie. Mead nie odwrócił się i z pochyloną głową sięgnął po paczkę.

- Dziękuję, sir - wymamrotał.

Limuzyna wyjechała z terenu ambasady i pomknęła w kierunku willi Marshalla.

W świecie filozoficznych wątpliwości jedna prawda jest absolutnie pewna, pomyślał Lacouture. Bóg nie jest Francuzem. Żaden francuski Bóg nie zezwoliłby, żeby Jego język był tak kaleczony, jak to robił Wilson Abbot Lord.

Może Bóg jest Anglikiem. A może diabeł jest Anglikiem i to jest jakaś wymyślna tortura? Siedział właśnie na tarasie „Continentalu” czekając na Bui Cao Kima, a zamiast niego pojawił się Lord mówiący francuszczyzną rodem z CIA.

Lacouture ledwo mógł się opanować.

- Porozmawiamy o pieniądzach - powiedział Lord.

Zupełnie jak dziewczka uliczna! - pomyślał Lacouture i aż się wzdrygnął.

- Jeżeli mamy rozmawiać o pieniądzach - powiedział Lacouture - rozmawiamy we właściwym języku, po angielsku. Ile?

- Więcej, niż może pan sobie wyobrazić - powiedział Lord obstając przy francuskim. Lacouture kręcił młynka palcami.

- Bardzo łatwo mi wyobrazić sobie milion franków - powiedział, ale zamiast tego wyobraził sobie Lazurowe Wybrzeże i dzikusów w małych slipkach.

- Znacznie więcej.

- Ach - powiedział Lacouture, zapominając o Kimie i machając ręką na francuski

Lorda.

- Mówię o milionie dolarów lub jego odpowiedniku w dowolnej walucie, której pan zażąda, wpłaconym do wskazanego przez pana banku. Zadanie jest jednak skomplikowane i musi być wykonane bez zarzutu. Jeżeli zostanie wykonane zgodnie z naszym porozumieniem, pieniądze już są pańskie. Szczegółowe warunki płatności i wszelkich zabezpieczeń, jakich pan zażąda, będą skrupulatnie spełnione. Podkreślam jednak, że zadanie musi być wykonane idealnie.

- Zadanie wykonane zbyt idealnie często sprawia, że wypełniający je stają się zbędny - powiedział gładko Lacouture.

- Człowiek z pańskim doświadczeniem i tyloma latami działalności w tej dziedzinie może zapewnić sobie takie zabezpieczenia, które zagwarantują mu... że jego wartość nie dozna uszczerbku. Nie oczekuję, że będzie pan mi ufał, ale spodziewam się, że za milion dolarów będzie pan w stanie zapewnić wystarczającą ochronę własnej osoby. Człowiek, którego miałby pan załatwić, jest dla mnie właśnie tyle wart - martwy.

s - Załatwić kogoś? Och, to brudna robota - powiedział Lacouture z odrazą. * - Ale pańskie ręce, oczywiście, pozostaną czyste.

- Zależy mi na tym. Pańskie, oczywiście, też.

- Oczywiście.

- To kto odwali tę brudną robotę?

- Naturalnie nieprzyjaciel.

- Nasuwa się pytanie, kto tu jest nieprzyjacielem.

- Armia północnowietnamska. Komuniści. Lacouture postukał się w głowę.

- Cóż za głupie pytanie zadałem. Oczywiście. Ale jaką zachętę można zaoferować nieprzyjacielowi?

- Będą szczęśliwi, jeżeli uda im się zabić tego człowieka. Zadadzą w ten sposób bolesny cios swemu wrogowi, czyli Stanom Zjednoczonym.

Lacouture rozłożył ręce i przyglądał się swoim dłoniom.

- Czy ja dobrze rozumiem? Pan chce, żebym skontaktował się z Północą i przekonał ich, by pomogli zwabić jakąś tam ważną osobę... Załatwią ją, na co mają wielką ochotę. A to w jakiś tam

sposób będzie zgodne z pańskimi planami.

Lacouture złożył ręce na stole i ciągnął dalej pogodnie.

- Po skontaktowaniu się z Północą w celu zorganizowania tego „załatwienia” mam skontaktować się z tym ważnym Amerykaninem, żeby zapewnić, iż znajdzie się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Pana interesuje tylko czas i miejsce spotkania, żeby móc się upewnić, że wszystko poszło gładko.

- Brawo, Lacouture!

- Trudności będą głównie polegać na zwabieniu ważnej osobistości we właściwe miejsce. Można to będzie osiągnąć przekonując ją, że ma tam negocjować poufnie z komunistami, którzy jednak pojawią się tam w zupełnie innym celu. Potem przedstawi się tego człowieka jako frajera i głupca, że dał się wystawić na takie niebezpieczeństwo, a komunistów jako perfidnych zdrajców. Pan pozbędzie się źródła kłopotów i osiągnie równocześnie sukces propagandowy w walce z komunistami. To ja mam zorganizować to spotkanie pomiędzy tym człowiekiem a komunistami. Pan będzie odradzać. To umożliwi panu odcięcie się od sprawy.

- Mój drogi Lacouture, pan mnie zadziwia. To prawdziwa przyjemność współpracować z człowiekiem o pańskich zdolnościach zrozumienia sytuacji. Tracę tyle czasu z innymi, usiłując wskazać im subtelności, które pan chwytą w lot.

- Cóż, rozmawiamy tylko o zasadzce i morderstwie - mruknął Lacouture. - To nic subtelnego.

W tej chwili właśnie Bui Cao Kim wślizgnął się po schodach na taras „Continentalu”. Widząc go, Lacouture sapnął i wstał z fotela. Kim odebrał tę reakcję jako ostrzeżenie, widząc Lacouture’a w towarzystwie agenta CIA odwrócił się i zbiegł po schodkach.

- Nie! Nie! - zawołał Lacouture.

Lord odskoczył na bok, spodziewając się ataku, ale kiedy zobaczył, że znikającym człowiekiem jest Kim, z nonszalancką miną usiadł z powrotem.

- Widzę, że ma pan kolejne spotkanie - powiedział gładko. - Muszę iść - dodał wstając. - Myślę, że się rozumiemy. Skontaktuję się wkrótce, kiedy pan zastanowi się nad tym, o czym rozmawialiśmy.

Lord zauważył, że uwaga Lacouture’a skoncentrowana była już na czymś innym. Człowiek ten zawsze był nerwowy i kapryśny, ale takim jeszcze go nie widział. Co go tak poruszyło?

Jeżeli ma wykorzystać Lacouture’a, musi się tego dowiedzieć. Tylko głupiec gra nieznaczonymi kartami.

Lord wyciągnął rękę na pożegnanie, ale Lacouture był zbyt rozkojarzony, żeby oddać uścisk.

- Do widzenia, mój drogi Lacouture. Będę w kontakcie.

Lacouture nawet nie zauważył, że Lord wyszedł. Wciąż rozglądał się za Kimem, który gdzieś zniknął. Cholerny mały żółtek! Zrobił to na złość. Teraz będzie go musiał szukać. Musi dowiedzieć się o Dzikusie! Zwłaszcza teraz. Tak! Kupi go! Obsypie go prezentami. Weźmie ten milion dolarów i zamieszka na zawsze na Lazurowym Wybrzeżu z tym dzikusiem, który będzie chodził w maleńkich czarnych kąpielóweczkach.

Och, wspaniale! Przebiegł go dreszcz i opadł na fotel

Może jednak Bóg jest Francuzem.

XVII

W podziemnym bunkrze płomyk świecy migotał w przeciągu i pryskał woskiem. Dźwięk ten przestraszył Bishopa leżącego na pałatce między snem a jawą. Patrzył na skwierczącą i migocącą świecę, dopóki nie zgasła.

Brock spał w drugim kącie, po przeciwnej stronie bunkra. Radiooperator Landis drzemał oparty o ścianę.

Bishop wpatrywał się w sufit z desek, nie myśląc o niczym. Jego ręka prześlizgnęła się po nagiej piersi masując wilgotne ciało. Następnie ręka przesunęła się gładząc mięśnie płaskiego brzucha i przemknęła po budzącym się kroczu do ud. Zaciśnął powieki i wyobraził sobie pochylającą się nad nim kobietę. Jej ręka pieściła go. Usta dotknęły jego ust. W odpowiedzi jego wargi rozchyliły się bezwiednie. Jęknął i usiadł gwałtownie, odpychając od siebie wszystkie te przywidzenia.

Landis spojrział na niego. Wiedział przez co wszyscy przechodzą. Pokiwał więc tylko głową ze zrozumieniem, potem zaś oparł ją na kolanach.

Bishop popatrzył na zegarek. Była piąta rano. Nie udało mu się zasnąć od czasu wypadu nieprzyjaciela kilka godzin temu. Włożył spodnie i buty, przeszedł na drugą stronę bunkra, przykleknął przy Brocku i dotknął go lekko. Sierżant natychmiast otworzył oczy, czujne i wrogie.

- Jest piąta - powiedział Bishop. - Chcę, żebyś poprowadził patrol jeszcze przed świtem. Trzy osoby. Pójdę po nich.

Bishop wspiał się po schodach. Zatrzymał się na chwilę przy wyjściu, jak zwierzę wypełzające ze swej nory. Chciał sprawdzić, czy jest bezpiecznie, a upewniwszy się co do tego, wyszedł.

Poranek był spokojny jak woda w stawie. Bishop wysusiał się, opryskał twarz wodą i przeciągnął się.

Przez chwilę patrzył w stronę Khe Sanh, a następnie ruszył przez wzgórze.

Tylko niewielu żołnierzy nie spało i patrzyło obojętnie w pustkę przed sobą i na pasmo wzgórz. Ciemność stopniowo ustępowała. Na horyzoncie pojawiły się pasma szarości. Mgła napływała w kierunku wzgórz. Zdawało się, że wypływa z otworów w ziemi. Wkrótce całe wzgórze spowite było oparem. Frizzell czuwał w jednym z bunkrów. Głowa zaczęła mu opadać, ale stłumiony szloch Sutherlanda przestraszył go. Było to jakies zduszone łkanie płynące z samych trzewi. Często słyszał żołnierzy płaczących we śnie i budzących się ze strachu. Przypuszczał więc, że i sam też tak robi, ale widok płaczącego Sutherlanda zdumiał go niesłychanie. Przecież on zawsze wydawał się taki pewien siebie.

Słyszając nagły hałas, odwrócił się, chwytając jednocześnie karabin. Zobaczył zbliżającego się Bishopa i uśmiechnął się zadowolony, że skończyła się samotność. Mówił szeptem, żeby nie obudzić Coneya i Sutherlanda.

- Co pan tu robi, panie poruczniku?

- Tak kocham wojnę, że chciałem dzisiaj wcześniej zacząć.

Frizzell uśmiechnął się. Lubił żarty, nawet jeżeli żartowano z niego, ale zaskoczyło go to, że oficerowie również żartują.

- Spokojniutko, co, panie poruczniku?

Bishop wyjrzał w ciemność. Wyczuwał ten spokój. Skulił się koło Frizzella.

- Tak. Poranki są przyjemne - powiedział, rysując coś palcem na ziemi. Takie chwile były dla niego najtrudniejsze. Musiał zdecydować, kto pójdzie na patrol, i powiedzieć mu: „Ty pójdiesz”.

- Zostało wam trochę kawy?

Frizzell podał mu ledwo już ciepłą kawę w kubku.

- Czy mamy dziś patrol, sir?

- Tak - odpowiedział Bishop do wnętrza kubka. Frizzell westchnął.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli dzisiaj wychodzić, ale Coney wiedział, że pójdziemy. Tak sobie myślałem, że byłoby fajnie, gdyby choć tak na jeden dzień...

Bishop wypił duży łyk.

- Wiem. Ja też wolałbym, żebyśmy nie musieli wychodzić, ale gdybyśmy nie wysyłałi patroli, mogliby się do nas podkraść.

Frizzell przyglądał mu się przez chwilę. Oto człowiek, który jest panem jego losu. Ale zaraz odwrócił się do zasieków.

- Czy myśli pan, że wkrótce wyniesiemy się stąd, sir?

- Mam nadzieję - powiedział Bishop. M Pili kawę w
spokoju. Po chwili Frizzell znów odwrócił się do Bishopa. *H*

- Ile czasu trwało, zanim uzyskał pan stopień oficerski, sir?

- Z oficerami jest inaczej. Zaraz po ukończeniu studiów poszedłem do szkoły oficerskiej. Trwało to dziesięć tygodni. Dostaje się stopień podporucznika. Potem idzie się do centrum szkolenia podstawowego, gdzie uczą wszystkiego, co powinno się wiedzieć - artyleria, taktyka, uzbrojenie.

- Dziesięć tygodni - powiedział Frizzell z niedowierzaniem. - Ile ma pan lat, sir?

- Dwadzieścia dwa.

- Tylko tyle? A więc jest pan zaledwie o cztery lata starszy ode mnie i o dwa lata od Coneya. Myślałem, że ma pan koło trzydziestki. Nie wiedziałem, że można zostać oficerem w tak młodym wieku. Od dziewięciu miesięcy jestem starszym szeregowym i myślę, że nigdy nie zostanę kapralem.

- Czy nie dobrze być starszym strzelcem? Frizzell wzruszył ramionami.

- Dobrze, ale to jest trochę podobne do roboty, którą kiedyś miałem w restauracji. Sprzątałem ze stołów i przynosiłem ludziom małe koszyczki z krakersami. Ludzie przychodzili, a ja przynosiłem im te pieprzone koszyczki. Potem wychodzili i mieli dokąd pójść, a ja wciąż tam tkwiłem i zmywałem talerze. Chodzi mi o to, że człowiek powinien robić coś, z czego jest dumny.

- Myślisz, że porucznik to już coś?

- Jasne - uśmiechnął się Frizzell. - Może ja jednak jestem typem człowieka, który nadaje się tylko na starszego szeregowego.

- Wiesz, podporucznik to taki starszy szeregowy wśród oficerów.

- Nigdy nie przypuszczałem, że oficerowie żartują. Zawsze myślałem...

- Że jesteśmy starzy, brzydzy i stuknięci? Frizzell roześmiał się.

- Coś w tym sensie. Kto jeszcze pójdzie na patrol?

- Chciałem wysłać tylko ciebie, bo myślisz, że jestem taki stary.

- Może Coney i Sutherland, sir? Jesteśmy teraz kumplami. Zawarliśmy pakt i wiemy, że przetrwamy, jeżeli będziemy trzymać się razem. Wyśle nas pan razem?

Bishop zastanawiał się. Nie zamierzał wysłać akurat tych ludzi, ale żołnierze, których coś łączy, zawsze działają najlepiej, podobnie jak w sporcie, gdzie rodzaj związków mógł wpłynąć na różnicę wyników.

- W porządku - powiedział Bishop i trącił śpiącego Coneya nogą. Coney jęknął.

- Ty kutasie, jeżeli jeszcze raz mnie kopniesz, to tak ci przyłożę, że usiądziesz na dupie.

Frizzell był przerażony.

- Dennie, to porucznik. Coney zerwał się.

- Nie wiedziałem... Nie chciałem...

Bishop udawał gniew. On i Coney byli podobnego wzrostu, ale Bishop był lepiej umięśniony. Stanął tuż przed Coneym.

- Jak mnie nazwałś? Co chcesz ze mną zrobić? Coney cofnął się.

- Nie wiedziałem, że to pan, sir. Nigdy bym... Bishop uśmiechnął się.

- Jezu. Najpierw Frizzell mówi mi, że jestem starym pierdołą. Teraz ty nazywasz mnie kutasem i chcesz mi dać kopa w dupę. Już nie mogę się doczekać, co powie Sutherland.

- Sutherland nic nie powie - rozległo się spod pałatki. - Sutherland wyjechał. Nie wróci i nie zostawił nowego adresu. Gdyby jednak tutaj był, to powiedziałby: „Niech pan bierze ten patrol i wsadzi go sobie w dupę, sir”.

- Chyba będę musiał postawić całą tę placówkę pod sąd wojenny - powiedział Bishop.

- Och, nie! - odezwał się Sutherland spod pałatki. - Wtedy wyślą nas do Wietnamu. Będziemy musieli jeść żywność z puszek i chodzić na patrole.

- Dziesięć minut - powiedział Bishop. - Za dziesięć minut macie być gotowi przy moim bunkrze.

Wyszedł, kręcąc głową. Sutherland zrzucił z siebie pałatkę.

- Ty dupku - powiedział do Frizzella. - Dlaczego powiedziałeś mi, że chcemy iść? Ja nie chcę iść. Możesz się wypchać tym pieprzeniem o kumplach.
- Co?! - wrzasnął Coney. - Powiedziałeś mi, że my chcemy iść? Zgłosiłeś nas na ochotnika na patrol? Na wzgórze? Czy już zupełnie straciłeś ten swój pieprzony rozum?
- Ktoś musiał pójść - tłumaczył się Frizzell. - Będzie lepiej, jeżeli pójdziemy razem.
- Ty tępy pierdolcu! - krzyczał Coney. - Nikt tam nie powinien chodzić.

Frizzell wyglądał na zaskoczonego.

- To nieprawda. Patrole są ważne. Musimy patrolować. Gdybyśmy tam nie chodzili, wzgórze zajęliby żółtki.
- Ty głupi bałwanie! Co to za różnica?

Oczy Frizzella zwięzły się i zaczął mówić z hamowaną wściekłością.

- Jeżeli zdobędą to wzgórze, potem zajmą Wzgórze 558, a później może Khe Sanh, a jeszcze potem cały kraj.
- Och, na litość boską! - powiedział Coney z obrzydzeniem. Gniew Frizzella rozpałał się. Utkwił wzrok w Coneyu.
- Musimy pomóc tym ludziom. Musimy zatrzymać nieprzyjaciela.
- Jezu! Ty nic nie rozumiesz. Nikt w to nie wierzy. W głosie Frizzella brzmiał szczerzy gniew.
- Wierzę w mój kraj i umrę za niego, jeżeli będę musiał. Wcale się nie wstydzę tego powiedzieć. Jeżeli tak nie uważasz, to po co tu przyjechałeś?
- Ponieważ nie mogłem wytrzymać już dłużej z moją żoną - powiedział pogardliwie Coney. - Chciałem się znaleźć jak najdalej od niej, a reszta jest tutaj z poboru. Ty natomiast jesteś tutaj, ponieważ jesteś taki tępy, że nie potrafiłeś wymyślić nic innego.

Frizzell rzucił się na niego i przewrócił go na ziemię. Coney był tak zaskoczony, że mógł jedynie skulić się i osłaniać twarz. Frizzell uderzył go kilka razy, zanim Coney, większy i silniejszy - odepchnął go. Zerwał się i cofnął przed furją, jaka malowała się na twarzy Frizzella.

- Przestań, Les!

Twarz Frizzella zamieniła się w maskę nienawiści. Nic do niego nie docierało.

- Les! Les!

Wreszcie Frizzell ochłonął. Wyglądał na oszołomionego i zagubionego, jakby wyszedł z transu.

- Spokój... Spokój - powiedział Sutherland, który przyglądał się im z ciekawością. - Prawdziwi kumple nie powinni się tak bić.

Coney położył dłoń na ramieniu Frizzella.

- Zapomnij o tym, co powiedziałem. Wcale tak nie myślałem. Frizzell opuścił głowę.
- Nie powinieneś tak mówić, Dennic - powiedział glucho. - To, co tu robimy, jest ważne. Walczymy za nasz kraj i pomagamy tym ludziom.

Coney spojrzał na Sutherlanda, który wznosił tylko oczy do nieba.

- Wiem... Wiem - powiedział Coney uspokajająco.

Sutherland przygotował swój sprzęt, sprawdził karabin i taśmy z nabojami. Potem zapalił suche paliwo, żeby podgrzać puszkę z jedzeniem. Najbardziej lubił fasolę z parówkami i chował ją na dni, w które chodzili na patrol. Kiedy sos zaczął bulgotać, zaniósł puszkę do swojego kąta i zaczął jeść plastikową łyżką, przyglądając się, jak Coney i Frizzell szykują swój sprzęt.

Wszystkie należące do nich rzeczy mieli poukładane w kątach. Coney nawet uporządkował listy według dat.

Sutherland zajrzał do swojego kąta, gdzie jego rzeczy, listy, rozkładówki i czasopisma poniewierały się w beładzie. Zebrał do kupy parę przedmiotów, ale prawie zaraz dał sobie spokój, przestał się nimi interesować i odwrócił się do Coneya, czując, że narasta w nim zazdrość. Chciałby, żeby jakaś kobieta na niego czekała, żeby istniał ktoś, kto go naprawdę kocha. Toni była tylko ostatnią z wielu dziewcząt, jakie znał, kimś, z kim można było włączyć się, dobrze się bawić i przespać się, ale to nie była miłość. Nawet on o tym wiedział. Żona. Coney narzekał na żonę i dziecko, ale Sutherland wiedział, że to tylko poza. Podobnie było z amuletem, który wisiał na jego szyi, i którego dotykał ukradkiem. O prawdziwie ważnych rzeczach się nie mówiło. Sutherland zapalił papierosa.

- Wiesz, nigdy nie opowiadałeś mi o swojej żonie i dziecku - powiedział obojętnie.

- Rany boskie! - jęknął Frizzell. - Niech nie zaczyna tej gadki.

Coney podniósł wzrok znad karabinu, który oliwił, i spojrzął na Sutherlanda, starając się zgadnąć o co mu chodzi.

- Co chciałbyś wiedzieć? Sutherland wzruszył ramionami.

- No, tak w ogóle. - Wskazał na leżące rozkładówki. - To tylko cipa. Mam dziewczynę. Nazywa się Toni, ale cóż... Nie mogę wyobrazić sobie małżeństwa dzieciaków. To takie... trudne.

Coney skinął głową. Rozumiał zainteresowanie Sutherlanda. Sam podlegał cza-sami podobnemu uczuciu, zwłaszcza przed patrolem, przed opuszczeniem okopów czy przed przekroczeniem tej bezpiecznej linii wyznaczonej zasiekami.

- Chcesz zobaczyć zdjęcie mojego dziecka?

- Jasne.

Coney odłożył karabin i sięgnął do plecaka. Przerzucił fotografie i podał jedną Sutherlandowi, który przyjrzał się jej w milczeniu.

- No i co?

Sutherland nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Tak - odezwał się wreszcie.

- Co, tak?

- No, cóż... jest...

Coney był prawdziwie zagniewany.

- Pieprzę to. Oddaj mi zdjęcie.

- O, rany, Coney, to fajny chłopak. Coney chciał chwycić zdjęcie.

- Oddaj! Sutherland cofnął się.

- Podobny do ciebie. Jak to możliwe?

- Wcale nie jest do mnie podobny. Jest łysy i brzydki. Sutherland dalej przyglądał się zdjęciu.

Uśmiechał się.

- Rzeczywiście jest brzydki, prawda?

- Wszystkie niemowlaki są brzydkie, dupku, ale nie mówi się facetowi, że jego dziecko jest brzydkie. Powinno się skłamać i powiedzieć coś miłego, na przykład, że jest sympatyczny.

- Sam powiedziałaś, że jest brzydki - zaoponował Sutherland, oddając zdjęcie. Nie wściekaj się. To fajny chłopak. Naprawdę. A jak już mówimy o brzydalach,

TO trzeba było zobaczyć mnie, kiedy byłem dzieckiem.

Sutherland palił papierosa zamyślony, zagubiony we wspomnieniach.

- Zdjęcia trzymano w takim starym albumie. Czasami je przeglądałem. Lubiłem być sam w domu, bez żadnych wrzasków i awantur. Tylko wtedy lubiłem być w domu. Potrafiłem oglądać zdjęcia godzinami. Nawet nie znałem tych wszystkich ludzi na fotografiach. Zwykli ludzie w takich ubraniach, jakie dawniej noszono. Większość pewnie już nie żyje. Oglądałem też zdjęcia moich rodziców, kiedy byli młodzi, roześmiani i szczęśliwi. Teraz wyglądają zupełnie inaczej. Jedno zdjęcie przedstawiało moją matkę, kiedy była małą dziewczynką. Stała w białej sukience i patrzyła w aparat wielkimi, płochliwymi oczami. Ciągle gapiałem się w tę fotografię. Kiedyś tak było naprawdę. Była małą dziewczynką w ogrodzie. Wtedy jeszcze się nie urodziłem, ale już istniałem. Istniałem w niej. Tam było coś, co potem stało się mną. Na tym zdjęciu było wszystko. Przyszłość, terażniejszość i przeszłość. Nie wszyscy to widzą.

Spojrzał na Coneya nagle zakłopotany.

- W każdym razie byłem brzydalem.

Coney wziął papierosa od Sutherlanda i usiadł obok niego na ziemi. Zaciągną) się i powoli wydmuchał dym, który odpłynął w mrok.

- My też mamy zdjęcia. Jest jedno takie, na którym jestem w piłkarskiej koszulce, uśmiechnięty i nadęty. - Pokręcił głową. - Nienawidziłem futbolu. Człowiek nabiega się na treningu, a potem tylko go poobijają.

- To dlaczego grałeś? Coney wzruszył ramionami.

- A co? Miałem grać na klarnecie? Coś trzeba było robić. Obok tego zdjęcia piłkarskiego jest moje zdjęcie w mundurze zaraz po obozie rekruckim. Nie miałem więcej włosów niż jajo. Wyglądałem jak dupek, ale wciąż byłem dumny i uśmiech nięty.

Uderzył się ręką w czoło.

- Boże, co za osioł!

Popatrzył na fotografię swojego dziecka, a potem schował ją do plecaka. Frizzell słuchał uważnie.

- Ja kiedyś grałem na pianinie - powiedział cicho. - Niezbyt dobrze, ale grałem. Milczeli. Przez chwilę siedzieli spokojnie w swoich kątach z karabinami w rękach. Każdy pogrążony był we własnych myślach. Wreszcie Sutherland wstał.

- Myślę, że trzeba iść.

Popatrzyli na zasieki i ruszyli w stronę podziemnego bunkra. W rękach nieśli karabiny. Obciążeni amunicją, wlekli się po piachu.

Kiedy Bishop wrócił do bunkra, Brock porządkował stos pudełek z racjami żywnościowymi.

- Frizzell, Coney i Sutherland. Będą tu za kilka minut - powiedział Bishop. Brock mruknął coś z niezadowolaniem, a potem z satysfakcją, kiedy znalazł puszkę wieprzowiny.

Wyciągnął z kieszeni otwieracz do puszek i pokrytą zaschniętym jedzeniem plastikową łyżeczkę.

- Nie podgrzejesz? - zapytał Bishop.

- Czy ciepłe gówno smakuje lepiej niż zimne?

Bishop oparł się o worki z piaskiem i patrzył na sierżanta. Sos ciekł mu z ust, więc wytarł go wierzchem dłoni. Potem wydał z siebie mruknięcie oznaczające, że coś sobie przypominał. Bishop potrafił już rozróżniać jego mruknięcia. Sierżant sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął portfel i rzucił go Bishopowi.

Powtarzali ten rytuał za każdym razem, kiedy Brock wychodził poza zasieki.

Bishop spojrział na portfel, który, jak wiedział, zawierał tylko kilka zdjęć, cztery dolary, kartę identyfikacyjną oraz złożoną na pół kopertę, na której sierżant starannie wykaligrafował: „Dla mojej żony, jeżeli zostaną zabity”, i schował go do kieszeni kurtki.

- Jaka jest pańska żona? - zapytał z szacunkiem, gdyż przy takich okazjach wyraźnie odczuwał, że jest młody i niedoświadczony. Brock znał się na ludziach i na wojnie. On należał do „starej gwardii”, o której żołnierze piechoty morskiej wiedzieli, że są uosobieniem tradycji i strażnikami uświęconych obowiązków picia, pieprzenia i narzekania. Jego pochodzenie w pierwszej linii od zahartowanych w boju zawodowców nie było kwestionowane ani przez młodych żołnierzy, ani przez oficerów.

Chociaż miał trzydzieści pięć lat, prawie dwa razy więcej niż niektórzy żołnierze na wzgórzu, wcale nie widać było po nim wieku. Był ponadczasowym wojownikiem.

Brock, wychowywany przez babkę w St. Louis, już w wieku czternastu lat znudził się cyframi na tablicy, przesiadywaniem w kozie i ciągłymi pouczeniami starej kobiety. Uciekł. Wędrował na zachód, pracując dorywczo, kradnąc i sprzedając swoje ciało, a w wieku szesnastu lat zabił w Kolorado człowieka w walce na noże. Sąd dla nieletnich nie uznał za celowe skierować go do poprawczaka i nakazał mu wstąpić do piechoty morskiej.

Tam znalazł swój dom. Mając siedemnaście lat ożenił się z kobietą o cztery lata starszą. Gdy miał osiemnaście lat, był już rozwiedziony i walczył w Korei. Lubił walkę i szybko awansował, ale pokój przyniósł nudę i monotonię, które starał się zagłuszyć pijąc, wdając się w bójki i zadając się z podejrzanymi kobietami. Awansował, był degradowany i zmieniał kobiety, z którymi nie mógł się dogadać.

- O której żonie pan mówi, panie poruczniku? - zapytał, wycierając sos z ust i patrząc na Bishopa zmrużonymi oczami.

- O tej, którą masz teraz, o tej, do której piszesz trzy razy dziennie, o tej, która przybiła ci kutasa do podłogi.

- Po co chce pan o niej wiedzieć? - dopytywał się podejrzliwie.

- Ponieważ oddajesz mi ten cholerny wyszargany portfel za każdym razem, kiedy wychodzisz na patrol. Staram się wyobrazić sobie, jaka ona jest, skoro potrafiła cię tak ujarzmić.

Bishopa ciekawiła żona Brocka, ponieważ sierżant nigdy o niej nie mówił. Opowiadał o innych kobietach i o swoich pierwszych dwóch żonach, ale nigdy o niej.

Brock rzucił pustą puszkę w kąt i popatrzył na Bishopa. W życiu Brocka było wiele kobiet, a on nie wierzył, że kiedyś spotka tę jedną, którą pokocha. Miłość była dobra w kinie i w piosenkach country, dla kobiet i dla frajerów.

A jednak zakochał się. Spotkał ją trzy lata temu w Pendelton, gdzie był na szkoleniu koniecznym

dla uzyskania stopnia starszego sierżanta. Ona uczyła

gramatyki i zauważyła, że chociaż taki nieokrzesany i gburowaty, naprawdę chce się uczyć. Była wstydliva i niezbyt ładna, i miała trzydzieści jeden lat, ale on dostrzegł w niej taką miłość, zaufanie i uczciwość, jakich istnienia nigdy nie podejrzewał. Dla niej on stanowił ucieczkę od monotonii, samotnych nocy i doprowadzającego do obłędu nagabywania przez matkę chcącą koniecznie wiedzieć, czy znalazła już wreszcie jakiegoś mężczyznę.

Kiedy pobrali się, jego agresywne, samolubne uprawianie miłości przemieniło się w czułość, a ona stała się dla niego wszystkim. Dziewięć miesięcy po ślubie został wysłany ponownie do Wietnamu.

Nie mówił o niej, żeby los go nie podsłuchał. Nie bał się zazdrości bogów. Bał się ich przewrotności. Wzruszył ramionami.

- Jest żoną. Jeżeli pan pozna kilka żon, panie poruczniku, sam pan zrozumie, co mam na myśli.
- A dlaczego nie macie dzieci?
- Mogą się okazać jak te dupki tutaj.
- Czy płakała, kiedy wyjeżdżałeś? Brock uśmiechnął się.
- Tak. Bardzo. Powtarzała: „Nigdy cię już nie zobaczę. Nigdy cię już nie zobaczę”.
- I pewnie miała rację. Brock uśmiechnął się złośliwie.
- Niech pan o mnie się nie martwi. A na pana czeka tylko mama?
- Mnóstwo osób na mnie czeka. Czy opowiadałem ci kiedykolwiek o dziewczynie, którą spotkałem w Waszyngtonie? Byłem na urlopie i...
- Nie chcę słuchać żadnych cholernych bajeczek o tym, jak sobie pan popie przył, panie poruczniku - powiedział Brock przerywając Bishopowi, a następnie, słysząc trzech żołnierzy zbliżających się do wejścia, zaczął wołać: - Zostańcie na górze. Nie chcę, żebyście zdeptali mi bunkier.

Wziął do ręki karabin, wcisnął na głowę swój wysłużony kapelusz i wspiał się po schodach. Bishop poszedł za nim.

Brock sprawdził wyposażenie Coneya, Frizzella i Sutherlanda, i poprowadził ich w milczeniu w dół stoku.

Bishop patrzył, jak znikają we mgle. Pozostał sam.

Dygocząc z zimna, wsadził ręce do kieszeni i patrzył w stronę, gdzie zniknęli żołnierze. Przechylił głowę, starając się wyczuć, co się może zdarzyć, ale wśród porannej ciszy nie działo się nic, co zwiastowałoby coś złego. Jeszcze raz spojrzął w kierunku pasma wzgórz i szedł po schodach do bunkra.

Landis siedział skulony w kącie przy radiu, walcząc ze snem. Ziewnął, odsunął włosy spadające na oczy i wywołał kolejno posterunki, dokonując rutynowego sprawdzenia. Potem oparł się o worki z piaskiem i znowu zaczął myśleć o samochodzie, jaki sobie kupi po powrocie do domu. To wypełniało mu czas i długo zastanawiał się nad typem, kolorem i wykończeniem wnętrza. Czasami zastanawiał się też, co będzie robić, jak już kupi samochód, ale żadna możliwość nie wydawała mu się atrakcyjna. Coś jednak znajdzie. Tymczasem musiała mu wystarczyć sprawa samochodu.

Znowu ziewnął i oparł głowę na kolanach.

Bishop patrzył na niego, stojąc na schodach. Landis przetarł pięścią oczy i znowu się skulił. Oprócz Brocka, Bishop najlepiej znał swojego radiooperatora, ale przepaść między nimi była ogromna.

Bishop zbliżył się i stanął nad nim.

- Landis.

Głowa uniosła się. W bunkrze panował przytłaczający spokój. Słowa Bishopa jakby zawisły w ciężkim powietrzu.

- Ile masz lat?
- Osiemnaście, sir.
- Czy jakaś dziewczyna czeka na ciebie?
- Tak, sir.

Bishop skinął głową. Już miał się o nią zapytać, ale właściwie nie chciał o niej wiedzieć. Wyciągnął rękę i pogładził Landisa po głowie, żeby poczuć kontakt z inną ludzką istotą. Landis popatrzył na niego ciemnymi spokojnymi oczyma. Bishop cofnął rękę.

- Prześpię się trochę - powiedział.

- Obudzę pana, jeżeli coś się będzie działo, sir.
- Tylko nie zaśnij.
- Nie zasnę. Przecież pan o tym wie, sir. - Landis był urażony.
- Tak. Wiem.

Landis otulił się pałatką.

- Myślałem o moim samochodzie. Bishop usiadł na śpiworze.
- Jaki to samochód?

- Jeszcze go nie mam i dlatego o tym myślę. Zastanawiam się, co kupić. A pan Jaki ma samochód, panie poruczniku?

Bishop spojrział na zaniepokojoną twarz Landisa, zamknął oczy i położył się.

- Sprzedałem samochód, zanim tu przyjechałem. Landis skinął głową z powagą.
- To bardzo ważna rzecz kupić samochód. Muszę to dobrze przemyśleć. Głos Bishopa brzmiał martwo we wnętrzu bunkra, a słowa, które wypowiedział, wydały mu się nie jego własne.
- Tak, to bardzo ważne.

Czterej mężczyźni skulili się przy zasiekach i tak trwali przez kilka minut. Wreszcie Brock skinął na Sutherlanda.

- Idziesz na czujkę.
- Pan naprawdę chce mnie zabić. Brock wzruszył ramionami.
- Lepiej ty niż ja.

Ciało Sutherlanda prężyło się w miarę, jak narastało w nim podniecenie. W mroku odbierał każdy dźwięk, odsuwając wszystkie myśli z wyjątkiem myśli o terenie i nieprzyjacielu. Ruszył naprzód i zwinnie przeszedł między zasiekami. Skulony dotarł do miejsca, w którym wybuchła flara, i znalazł cztery pary śladów.

Wskazał je Brockowi, a potem idąc śladem poprowadził ich na ziemię niczyją, która rozciągała się pomiędzy ich wzgórzem a łańcuchem wzgórz. Było to półtora kilometra krajobrazu księżycowego, pozbawionego roślinności i poznaczonego lejami po bombach.

Niecałe pięćset metrów od zasieków Sutherland znalazł więcej śladów, które zdawały się prowadzić od strony łańcucha wzgórz, ale zmieniały kierunek wprost na wschód, omijając z dala ich wzgórze. Przykleknął obok wydeptanego szlaku i skinął na Brocka, żeby się zbliżył.

Coney i Frizzell rozdzielili się, podczas gdy dwaj pozostali badali ślady.

- Ilu? - zapytał Brock.
- Trudno powiedzieć. Trzydziestu pięciu, może czterdziestu.
- W nocy widziałeś tylko trzech.
- Te ślady nie prowadzą w stronę naszego wzgórze, tylko na jego tyły. Brock wstał. Nie brał takiej sytuacji pod uwagę, ponieważ za wzgórzem

znajdowało się Khe Sanh. Baza jednak była odległa prawie o pięć kilometrów. To było zbyt daleko, żeby zapewnić szybką reakcję na niespodziewany atak w środku nocy.

- Niech pan spojrzy na to - powiedział Sutherland, wskazując na głębsze ślady.
- Niosą ciężki sprzęt, moździerze, karabiny maszynowe, amunicję.

Ruszył, żeby zbadać teren nieco dalej na północ, zostawiając Brocka samego, ale po chwili wrócił i zaprowadził sierżanta do innego szlaku.

- Tędy szła następna grupa trzydziestu lub czterdziestu. Tu się roi od żółtków. Musimy stąd zniknąć.

Brock ukląkł obok niego.

- Jak dawno przechodzili?
- Parę godzin temu. Musieli przejść tędy zeszłej nocy, a kto wie, ilu przedostało się tędy wcześniej. Oni mają ze stu ludzi za naszymi plecami, panie sierżancie. Musieli przechodzić obok naszych stanowisk każdej nocy. A te wypadły tylko, żeby odwrócić naszą uwagę.

Brock wiedział, że Sutherland ma rację. Wstał, starając się nie okazać podniecenia.

- Chodźmy. Sutherland nie ruszył się.
- Dokąd?
- Do pasma wzgórz.
- Oszalał pan?
- Musimy zbadać ten teren. Jedyne sposobem, żeby dowiedzieć się, co tam jest, to pójść i zobaczyć.
- Pan zupełnie oszalał! - wybuchnął Sutherland. - Oni tam mają swój rejon koncentracji. Nie

mam zamiaru wleźć na tysiąc złotych. Musimy stąd spieprzać. Na pewno mają placówki rozmieszczone wszędzie dokoła. A co z tymi ścieżkami? Setka złotych jest gdzieś tam za wzgórzem.

- Chyba nie rozumiesz, o co tu chodzi, Sutherland - powiedział zimno Brock.

- Mamy robotę do wykonania i to jest bez znaczenia, czy masz ochotę ją wykonać, czy nie albo czy się boisz. Powiedziałem, idziemy, a to znaczy, że idziemy.

Tkwili tak, skuleni twarzą w twarz i wpatrywali się w siebie. Sutherland odwrócił się powoli w stronę pasma wzgórz. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, starając się wyczuć niebezpieczeństwo. Dotknął amuletu zwisającego na szyi, jakby zaklinając go, żeby go chronił przed śmiercią. Jego oczy zwężyły się, szukając na wzgórzach miejsc, skąd zagrażała śmierć.

Odwrócił się do Brocka.

- W porządku - powiedział. - Ja dam sobie radę, ale mam nadzieję, że ty oberwiesz po dupie.

- Nie oberwę. Ruszamy.

Coney i Frizzell przybliżyli się do siebie, i cała czwórka ruszyła przez pustkowie oddzielające pozycje amerykańskie od pasma wzgórz. Pierwszy szedł Sutherland, korzystając z mgły, wyprowadził patrol na niewielki pagórek położony o kilkaset metrów od stoków przed nimi.

Brock leżał na brzuchu i badał teren z tyłu. Ich wzgórze wyglądało jak wyspa pośród widmowego morza. Otulała je mgła i wydawało się, że za chwilę z oparów wyłoni się pradawny szkuner.

To, co obecnie jest pustynią, kiedyś było tropikalną dżunglą. Defoliacja, naloty i ostrzał artyleryjski spowodowały, że cały teren stał się nagi i jałowy.

Wzgórze za nimi, na które patrzył Brock, wznosiło się samotnie, niczym forteca wśród zniszczonej równiny.

Przed nimi ciągnęło się pasmo wzgórz jak skalisty półwysep pokryty krzakami i okaleczonymi, nadpalonymi drzewami.

Nagle leżący obok niego Frizzell przyłożył broń do ramienia i ułożył się w pozycji strzeleckiej.

Brock spojrzał w stronę, w którą Frizzell skierował lufę karabinu, i dostrzegł Wietnamczyka patrzącego obojętnie w stronę wzgórza.

Sylwetka żołnierza znalazła się na muszce Frizzella. Strzelec skoncentrował się na obrazie tak, że widział tylko zarys muszki na środku piersi mężczyzny. Ręka Frizzella nie drżała, kiedy zaczął ściągać język spustowy. Naciskał go tak, jak to robił tysiące razy w czasie szkolenia na strzelnicy.

Brock obserwował wręcz zafascynowany podręcznikowym wykonaniem procedury oddania strzału. Potem natychmiast spojrzał na nic nie spodziewającego się żołnierza, który miał zaledwie kilka sekund życia przed sobą, ale nagle Wietnamczyk zniknął.

Frizzell opuścił broń niezadowolony.

Brock skinął na pozostałych i wskazał na łańcuch wzgórz. Poruszali się do przodu skokami, osłaniając się nawzajem dotarli do podnóża stoku i w końcu przyczaili się wśród krzaków.

Brock samotnie zaczął posuwać się w górę, a następnie dał znak pozostałym, liy szli za nim.

Cała czwórka skupiła się tuż u wierzchołka wzgórza i wyjrzała na oczyszczony teren. Przed sobą mieli duży, prawie już skończony kompleks bunkrów z dwoma stanowiskami moździerzowymi.

Brock wyczołgał się na otwarty teren i przywarł do ziemi przy stanowiskach moździerzowych. Lufy moździerzy były skierowane na ich wzgórze.

Nieprzyjaciel jeszcze nigdy nie podszedł tak blisko. Wystarczyłyby zaledwie dwie noce, żeby bunkier został ukończony. Wtedy pozycja byłaby tak silna, że wytrzymałaby nawet nalot. Skoro jednak nieprzyjaciel przekradł się na tyły, ich wzgórze mogłoby zostać całkowicie odcięte.

Sutherland przypadł do ziemi obok Brocka.

- Tu się roi od złotych - szepnął. - Wyprowadź nas stąd.

- Nikogo tu nie ma - odpowiedział Brock. - Wciąż budują bunkry. Nie zaryzykują, żeby pokazać się tu w ciągu dnia.

- A co z tym złotkiem, którego widzieliśmy? Zapomniałeś o nim, ty tępy weteranie? - szydził Sutherland.

Brock uśmiechnął się ze złym błyskiem w oku.

- Pieprzyłem już twardsze cipy niż ty, Sutherland. Zostajemy. Przywołał skinieniem Coneya i Frizzella.

- Zniszczyć moździerz. Założyć pułapki w bunkrze. Nie możemy tego tak zostawić.

- A co z tym złotkiem? - nalegał Sutherland.

- Śpi albo uciekł. Oni też mają różnych cwaniaczków. Potrafię ich odróżnić bez pudła,

Sutherland. Do roboty.

- Któregoś dnia zabiję tego zajebańca - powiedział Sutherland do Coneya. Przez dwie godziny pracowali przy bunkrach niszcząc, stanowiska moździerzy i zakładając pułapki z granatów ręcznych.

Kiedy skończyli, Brock wskazał na północ w stronę łańcucha wzgórz.

- Nie ma mowy - powiedział Sutherland, groźnie ściskając karabin.

Coney i Frizzell cofnęli się instynktownie, obserwując starcie pomiędzy Brockiem a Sutherlandem.

Brock stanął przed żołnierzem tak blisko, że ich twarze prawie się stykały.

- W dalszym ciągu nic nie rozumiesz, Sutherland. Taka jest nasza robota. Powiedziałem, idziemy.

Stali naprzeciw siebie. Żaden z nich nie drgnął. Wpatrywali się w siebie nieruchomymi oczyma. Sutherland wreszcie odwrócił się wolno, żeby nikt nie myślał, że robi to ze strachu albo pod przymusem, przekrzywił głowę i podniósł twarz, jakby wachał wiatr, a potem odwrócił się z powrotem do Brocka, tak że dotykał prawie ustami jego ust.

- Tym razem zgoda, zajebańcu - powiedział i ruszył. Jego ruchy były tak niewymuszone i płynne, iż zdawał się zlewać z terenem.

Pozostali szli za nim, zachowując odpowiednią odległość. Posuwali się szybko, sprawdzając bunkry i ukryte tunele.

Następnie Sutherland przemknął przez otwarty teren z zaskakującą szybkością i pewnością siebie, i zapadł gdzieś w krzakach. Był zlany potem, ale drżał, gdy ciepło jego ciała walczyło z chłodem poranka. Adrenalina pulsowała w nim gwałtownie. Jego podniecenie było więcej niż seksualne. Było dzikie.

Wiedział, że jest tuż przy głównych pozycjach nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel, drapieżnik, a równocześnie ich ofiara, kryje się za drzewami. Instynktownie chwycił swój amulet. Gwałtownie gładził odłamek, a potem ścisnął go tak mocno, że aż stracił czucie w ręce, ale ta czynność dodała mu sił.

Jeden błąd, jeden fałszywy krok skończy się tym, że kula roztrzaska mu czaszkę. Był tego pewien. Najbardziej bał się rany w głowę, utraty oka, jakichś nieodwracalnych uszkodzeń, które uniemożliwią pogrzeb z otwartą trumną.

Patrzył między drzewa. Widział tam coś. To była jego trumna. Widział ją wyraźnie, a w niej siebie. Widział szare metalowe wieko zatrzasujące się i zamykające go we wnętrzu na zawsze. Dziewiętnastolatek zatrzaśnięty i zapieczetowany w pułapce.

Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, trumna zniknęła. Wiedział, że wszystko będzie w porządku. Nie popełni błędu. Oddech miał przyśpieszony. Skóra go piekła. Oczy zwięzły mu się. Szykował się do działania. Cały strach gdzieś uleciał, a zamiast niego pojawiła się jakaś fanatyczna żądza działania, która wypływała z broni. Wszystko stało się dla niego oczywiste, jak gdyby był już tutaj kiedyś wcześniej.

Leżący obok niego Brock obserwował tę przemianę. Coś takiego widział już wielokrotnie, kiedy człowiek pozbywał się wszelkich myśli, a zdawał się na odczucia. Przemieniał się w zwierzę, przeżywał spazm jak przed orgazmem, nadchodziła szalona chwila mordowania, krocze drżało, ręce zadawały ciosy. Ogarniał go szal i meprzenia i zabijania.

Sutherland gotów był skoczyć do przodu, ale Brock go pochwycił, rzucił się na ilego i przycisnął całym ciałem do ziemi. Sutherland walczył, oczy miał dzikie, ednak Brock przydusił mu gardło ramieniem, aż tamten osłabł.

Kiedy odzyskał oddech, Brock wskazał na drzewa.

Z początku Sutherland niczego nie zauważył. Miny były dobrze ukryte wśród gałęzi i tak ustawione, że wybuch uderzał na poziomie klatki piersiowej. Nie spojrzał wcześniej na drzewa, tylko rozglądał się po ziemi, poszukując potykaczy, ale żadnych drutów nie było widać.

Przekręcił się na plecy. Nie mógł oddychać. Chwycił się za boki myśląc, że zwymiotuje. Otarł się o śmierć i wcale o tym nie wiedział.

Spojrzał wzrokiem pełnym wdzięczności na Brocka. Przecież już w tej chwili by nie żył. Gotów był uściskać sierżanta.

- Jesteś mi coś winien, dupku - powiedział Brock obojętnym głosem, a następnie podał Sutherlandowi karabin. - Idziemy.

Teraz Frizzell szedł przodem, poprowadził ich w dół zbocza i przez otwarty teren do wzgórza. Kiedy dotarli do zasieków, Brock dał znak Coneyowi i Frizzellowi, żeby szli dalej.

- Chcę z tobą pogadać - powiedział do Sutherlanda.

Odczekał, aż tamci odejdą, a potem zwrócił się do Sutherlanda prawie ojcowskim tonem.

- Nie chciałbym, żebyś miał jakieś niepotrzebne myśli w związku z tym, co się stało. Tak już jest. To mogło się przytrafić każdemu.

- Mogłem zginąć - powiedział Sutherland wciąż przejęty. - Byłbym martwy, i;dyby mnie pan nie powstrzymał. Skąd pan wiedział?

- Sam powiedziałeś, że jestem weteranem, ale nie zawsze oznacza to coś złego. Obijałem się tu i tam. Samo przetrwanie to już coś. Tak byłeś zajęty przeszukiwaniem ziemi, że zapomniałeś spojrzeć do góry. To jest tak jak z wyszukiwaniem

drobiazgów. Kiedy się tym zajmiesz, większe sprawy przestają mieć znaczenie. Kiedy zajmiesz się większymi sprawami, zapominasz o drobiazgach. Trzeba pamiętać o wszystkim, Sutherland.

Sutherland poruszył się niepewnie, nie przyzwyczajony do okazywania wdzięczności.

- Słusznie pan mówi, że jestem panu coś winien. Dziękuję.

- Jesteśmy tutaj po to, żeby sobie pomagać. Nikt sam nie przetrwałby w tym górnym. Musisz to sobie lepiej przyswoić. Nie ma się czego wstydzić, jeżeli popełni się błąd albo jeżeli przyjmie się od kogoś pomoc. Byłem nawet młodszy od ciebie, kiedy trafiłem do Korei, ale jakoś ciągle się trzymam. Jesteś bardzo podobny do mnie z tamtych czasów. Jesteś dobry. Mówię poważnie. Dlatego właśnie nie chciałbym, żebyś sobie robił wyrzuty z powodu tego, co się stało. Nie przejmuj się tym. Nie powinieneś też być zbyt ostrożny. To jest równie niebezpieczne. Zaufaj instynktowi. Tylko pamiętaj, musisz spojrzeć do góry tak samo uważnie jak do dołu. Jasne?

Sutherland skinął głową z wdzięcznością.

Brock wyciągnął rękę.

Sutherland z uśmiechem podał mu swoją, ale jak tylko to zrobił, Brock zdzielił go pięścią w brzuch z taką siłą, że Sutherland się zwinął. Wtedy Brock przewrócił go na plecy, tak że ten leżał bezwładnie na piasku.

Brock oparł kolbę karabinu na jego gardle, a nogę postawił ciężko na kroczu Sutherlanda. Nadepnął mocniej i równocześnie docisnął kolbę.

- Nigdy nie nazywaj mnie zajebańcem - warknął. - Nigdy nie mów do mnie Brock. Będiesz zwracał się do mnie „panie sierżancie”. Jasne? Następnym razem rozdepczę ci jaja na miazgę.

Nadepnął jeszcze mocniej i odszedł, zostawiając Sutherlanda wijącego się na piasku, jęczącego i trzymającego się za krocze.

W podziemnym bunkrze Brock opowiedział Bishopowi, co odkryli.

- Niech pan siada do radia, panie poruczniku, i powie im, co tam jest na wzgórzach i co znajduje się za naszymi plecami, i niech pan im powie, że chcemy się wycofać, i to zaraz. Nie opowiadaj żadnych bzdur, panie poruczniku. Nie mamy żadnych szans przeciwko temu, co tam zgromadzili, a ja nie mam zamiaru umierać za to pieprzone wzgórze i stać się pokarmem dla sępów.

- Dobrze... Dobrze, sierżancie. Zaraz to zrobię.

- Wzgórza roją się od tych skurwysynów. Mają bunkry, stanowiska moździerzy i pieprzoną autostradę, którą wydeptali, żeby nas omijać. Nie jestem tchórzem, ale mam już trzydzieści pięć lat, żonę, a za dwa lata mogę przejść na emeryturę po dwudziestu latach służby w Korpusie. Mam po co żyć i nie zamierzam przepieprzyć tego na tym cholernym wzgórzu czy też dlatego, że ktoś nie miał dość pomysłu albo jaj, żeby zrobić właściwą rzecz.

- W porządku, sierżancie. Powiedziałem, że zaraz się połączę. Brock jednak dalej naciskał.

- Musi ich pan przekonać, panie poruczniku. Jeżeli nas tu zostawią, to znaczy, że posyłają nas na śmierć. Nie zostawią nas tutaj, jeżeli będą znali prawdę.

- Nie wiem, sierżancie - powiedział Bishop spokojnie. - To może nie być takie proste.

- To jest proste, panie poruczniku. Zginiemy, jeżeli tu zostaniemy.

- Ale Khe Sanh...

- Pieprzę Khe Sanh! To takie samo wzgórze jak to, tylko trochę większe. To zwykły kawałek terenu. Piach. Jesteśmy ludźmi. Ludzie nie powinni umierać za nic. Ludzie powinni umierać za... rzeczy ważne... za dzieci... kobiety i... za siebie nawzajem - dodał łagodniej.

Bishop połączył się z dowódcą kompanii. Opisał koncentrację nieprzyjaciela, powiedział o ścieżkach i proponował natychmiast wycofać placówkę.

Dowódca kompanii zadał kilka pytań, a następnie powiedział, że przekaże sprawę do batalionu. Bishop odłożył mikrofon i patrzył na worki z piaskiem.

- Nie zostawię nas - powiedział Brock z przekonaniem. - Nie zrobią tego. Bishop wyszedł z bunkra. Słońce w zenicie świeciło ostro. Blask bijący od piachu hipnotyzował. Odległy łańcuch wzgórz był ledwo widoczny. Wyglądał jak pulsująca smuga na horyzoncie.

Gdzieś tam za plecami, poza zasięgiem wzroku, leżało Khe Sanh, a między nimi i wszędzie dokoła był nieprzyjaciel.

Zobaczył Sutherlanda mijającego wierzchołek wzgórza. Kuśtykał w stronę swojego stanowiska. Coney i Frizzell wyszli z okopu, żeby mu pomóc. Rozmawiali przez chwilę, potem Sutherland wykonał gest w stronę bunkra. Kiedy zobaczyli Bishopa, odwrócili się szybko i poszli dalej.

Bishop patrzył za nimi. Z bunkra wyszedł Brock. Wyglądał na zagubionego, prawie oszołomionego, a w rękę trzymał kawałek papieru.

- Powiedzieli „nie” - wybełkotał. - Przed chwilą dzwonił dowódca. Kazał przekazać, że nie ma zgody na wycofanie. Powiedział, że chce, żeby się pan przeciwstawił. O co tu, do cholery, chodzi?

- Mamy ich zatrzymać.

Brock patrzył, jakby nic nie rozumiał.

- Powiedział, że batalion nie ma żadnych informacji o ruchach nieprzyjaciela. Przecież właśnie przekazaliśmy im informację. Czego jeszcze chcą? Nazwisk i adresów?

- My widzimy tylko naszą sytuację - powiedział Bishop uspokajająco jak do dziecka. - Myślimy tylko o tamtych wzgórzach i o naszych pozycjach. Oni myślą o całym obszarze działań, który jest znacznie większy niż nasz odcinek.

Brock nie ukrywał dezaprobaty.

- Niech mi pan zaoszczędzi tych bzdur, panie poruczniku. Tam są ścieżki. Tam są tunele i bunkry. Na wzgórzach jest tego pełno. Załatwią nas, jeżeli się stąd nie wyniesiemy.

Zobaczył Sutherlanda oglądającego się w ich stronę.

- Nie można wymagać zbyt wiele od ludzi. Wiele więcej nie zrobią.

- Mówisz o nich czy o sobie, sierżancie?

- O wszystkich. Kiedy człowiek dojdzie do linii oddzielającej życie od śmierci, kiedy ją widzi narysowaną przed sobą na piasku, a pan mu powie, żeby ją przekroczył...

Bishop czekał. Zobaczył, że Brock patrzy na Sutherlanda.

- Co takiego, sierżancie? - zapytał.

Brock popatrzył na niego ostro, jakby chciał mu zajrzeć na dno duszy.

- Kiedy mu pan powie, żeby przekroczył tę linię, ten człowiek może uznać, że nie ma na to ochoty, i wysłać pana zamiast siebie.

- O czym mówisz, sierżancie? Brock pokręcił głową.

- Mówię o tej etyce, o której już raz rozmawialiśmy, panie poruczniku. To nie jest w porządku - powiedział poważnie - żeby oni mówili nam, że mamy tu zostać. To jest niesłuszne. Oni nie są odważni. Oni chcą, żebyśmy my byli odważni. Zupełnie jak te cipy z Waszyngtonu. Zawsze gotowi wysłać piechotę morską. To przecież takie łatwe.

Mówił z bólem, jakby został zdradzony przez tych, którym ufał.

- To nie jest słuszne. Zrobię, co każą. Jestem przecież tylko starszym sierżantem i takie jest moje zadanie, ale każą nam umierać za nic.

Bishop uśmiechnął się i szturchnął go żartobliwie w ramię.

- Za bardzo filozofujesz jak na mój gust, sierżancie. Jestem tylko żołnierzem piechoty morskiej, który zwyczajnie chce walczyć i pieprzyć. Zupełnie jak w tych filmach z Johnem Wayne'em - wykonać zadanie, zdobyć to wzgórze.

Brock splunął.

- Widziałem ten film. Nazywa się „Alamo”*.

* Nazwa fortu w San Antonio, bronionego przez Teksaszczyków przed siłami meksykańskiego generała Santa Anna. Po zdobyciu fortu wszyscy obrońcy zostali zabici. (przyp. red).

XVIII

Mead obudził się. Sung spała przytulona do niego. Czuąc jej dotyk i miękkie ciało, jęknął. Przytulił ją mocniej.

Sung ani nie broniła się, ani nie reagowała. Leżała tylko z zamkniętymi oczami i czekała.

Naprężony członek dotykał jej. Pragnienie i pożądanie aż bolało, ale kiedy położył się na niej i zobaczył jej twarz i to, że przygryza dolną wargę, cofnął się.

Otworzyła oczy, przytuliła się do niego i ująwszy jego członek gładziła go pieszczotliwie. Chciał się cofnąć, ale dotyk jej dłoni to było już za wiele i zaczął poruszać biodrami. Ona chwyciła członek drugą ręką i mocno ścisnęła. • - O, Jezu - jęknął i napał na nią uderzając mocniej, aż przyszedł orgazm. Jeszcze wciąż ruszał biodrami, i wreszcie zadrzał po raz drugi. Teraz już leżał spokojnie.

Przewrócił się na plecy i przyciągnął ją do siebie.

- Dziękuję - powiedział. - Ale nie musisz tego robić. Niczego nie musisz robić. Nie po to cię tu przywiozłem.

Leżała obok niego bez ruchu.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał. Odwrócił się do niej, podnosząc się na łokciu i spojrzał jej w twarz. Oczy miała zamknięte.

- Spójrz na mnie.

Wciąż chciała mieć zamknięte oczy, ale w końcu na niego spojrzała. k Szybko odwrócił się, bo w oczach jej dostrzegł tylko przerażenie. ' Spojrzał na miękki członek i na jej ręce mocno zaciśnięte i ociekające spermą, f i poczuł wyrzuty sumienia oraz obrzydzenie do siebie. f - Przepraszam - powiedział i usiadł.

Ujął jej ręce i pocierał je, dopóki się nie rozluźniły.

- Nigdy cię nie skrzywdzę - powiedział. Spojrzał w dół na jej twarz, zajrzał w oczy i pogłodził po policzku. - Nie rób tego więcej - powiedział łagodnie. - Nie rób nic, na co nie masz ochoty.

Zerwał się i pobiegł do torby z zakupami leżącej w kącie, przyniósł pudełko z lalką i usiadł po turecku na śpiworze obok niej.

- Kupiłem ci to - powiedział, podając jej pudełko. Spojrzała na niego nie rozumiejąc.

- To dla ciebie. - Włożył jej pudełko do rąk. Trzymała je, dopóki nie pomógł Jej usiąść i otworzyć je. W dalszym ciągu tylko patrzyła.

- To lalka - powiedział wyjmując ją z pudełka i wkładając jej ponownie do rąk. - Chyba to Kopciuszek. Słyszałaś o Kopciuszku? Była księżniczką i coś jej się stało. Zasnęła i jakiś księżę ją pocałował.

Pokręcił głową.

- Nie. To nie tak. To był ktoś inny. Królowna Śnieżka. Tak. To była Królowna Śnieżka. Wszystko mi się popieprzyło. To Kopciuszek miał złe siostry i szklane pantofelki. Były tam jeszcze myszy. Najbardziej lubiłem Gusa. Był taki mały l tłuściutki. Był jeszcze bal i dynia.

Czuł się szczęśliwy i podniecony tymi wspomnieniami.

- Zgubiła pantofelek na balu, bo musiała wyjść wcześniej, ale księżę ją odnalazł, oczywiście, a potem żyli długo i szczęśliwie.

Poczuł się głupio, opowiadając jej bajki i siedząc nago na śpiworze.

- Tak. To jest Kopciuszek - wzruszył ramionami z nonszalancją. - Tamta twoja laleczka była już taka zniszczona, więc pomyślałem, że... może będziesz chciała inną.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Nie bała się już. Wciąż jednak nie opuszczał jej lekki niepokój. Spojrzała na lalkę. Delikatnie dotknęła palcami jej jedwabnej sukienki i maleńkich szklanych pantofelków. Potem spojrzała znowu na niego.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale żadne słowa nie padły. Zwilżyła usta językiem i przełknęła.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Ma również koronę - powiedział - ale nie przypuszczam, żeby to były prawdziwe klejnoty.

Nie oderwała od niego oczu, by spojrzeć na lalkę, a on pod wpływem jej spojrzenia poczuł się zakłopotany.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytał. - Będzie cię bolało jeszcze przez jakiś czas, ale czy już czujesz się lepiej?

- Tak - wyszeptała, a wysiłek ten spowodował ból gardła.

- Czy uda ci się? Wiem, że to bardzo trudne. Ja też trochę próbowałem narkotyków. Mnie jednak nie wciągnęło. Z początku wydawało mi się, że po narkotykach wszystko jest łatwiejsze, ale już nie musisz ich brać. Jeżeli jednak chcesz, jeżeli naprawdę potrzebujesz, powiedz mi. Wiem, jak bolesne mogą być różne rzeczy. Jeżeli mi powiesz, to będę mógł ci pomóc.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Znowu zerwał się i poszedł do kąta.

- Mam też dla ciebie czekoladki.

Przyniósł torebkę batoników Hersheya, i usiadł rozdierając torebkę. Włożył jej jedną czekoladkę do ust.

- Dałem Hań pięć torebek. Już pewnie wszystkie zjadła. Nic dziwnego, że nie ma zębów.

Słabiutki uśmiech pojawił się na twarzy Sung.

- Hań... to... dobra kobieta - powiedziała przerywanym głosem.

- Tak - potwierdził Mead - ale zębów nie ma. Rozwinął następną czekoladkę, którą Sung zjadła łapczywie.

- Założę się, że umierasz z głodu. Dziś wieczorem przyniosę jakieś jedzenie. Dam Hań trochę pieniędzy, żeby mogła pójść teraz kupić dla ciebie coś do jedzenia.

Dotknął jej rozdartej bluzki.

- Kupię też jakieś ubranie albo dam ci pieniądze i sama coś sobie kupisz -dodał, przypominając sobie straszne przeżycia w kantine.

Spojrzał na zegarek. Była szósta czterdzieści pięć.

- Muszę już iść. Czy mogę coś jeszcze zrobić dla ciebie? Potrząsnęła głową.

Ubrał się. Kiedy skończył, zatrzymał się na chwilę. Bardzo mu się nie chciało jej zostawić. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Muszę iść - odezwał się, stojąc przy drzwiach. Nie spojrzała na niego, tylko wpatrywała się w trzymaną w rękach lalkę.

Kiedy zapukał do drzwi Han, Bili Catton zawołał ze środka, żeby wszedł. Catton czyścił buty i wskazał z obrzydzeniem na Hań siedzącą za stołem pokrytym stertą kawałków srebrnej folii.

- Dlaczego dałeś jej te wszystkie cukierki? Wczoraj myślałem, że od nich wykituje. Myślałem, że dostała szoku insulinowego. Mam tu tyle folii, że mógłbym otworzyć zakłady blachy aluminiowej.

Han nie wyglądała dobrze. Uśmiechnęła się słabo i wstała.

- Zajrzę do Sung - powiedziała.

- Szkoda, że nie widziałeś jej wczoraj - powiedział Catton. - Jadła te baloniki jak pieprzony robot. Wyciągała rękę, odwijala jeden, wkładała do ust, mlasnęła raz, ciach, i już ręka wyciąga się po następnego. Pięć cholernych torebek. Około dziesięciu tysięcy batoników. Mdliło mnie od samego patrzenia. Następnym razem, jak będziesz chciał kupić coś mojej babie, wybierz cokolwiek innego. Może pastę do zębów i Pepto-Bismol.

- Wiesz, że kupiłem je, bo pomagała Sung.

- Wiem... Wiem. Żaden problem. Następnym razem nie kupuj aż tyle. Przez pół nocy jęczała i stękała. Wcale sobie nie pospałem, a mam służbę przez następne trzy dni.

- Ale teraz już dobrze się czuje?

Catton skończył się ubierać i chwycił karabin.

- Tak. To była po prostu zmiana diety. Do tej pory jadła tylko ryż i lizala kutasa - powiedział ze śmiechem. - Może pomoże jej ten żółtek lekarz.

- Jaki żółtek lekarz?

- Ten mały żółtek, który oglądał wczoraj Sung. Han powiedziała, że to doktor, ale on bardziej wyglądał na trupa.

Sprawdził swój wygląd w lustrze i odwrócił się.

- Gotów? Weźmiemy razem taksówkę. A może nie jedziesz do ambasady? Mead położył rękę na ramieniu Cattona i zatrzymał go.

- Czekaj. Opowiedz mi o tym żółtku.

- Właśnie ci opowiedziałem. Żółtek. Taki zwyczajny, normalny żółtek. Mały, stary i brzydki. Był wczoraj rano u Sung. Poszedłem szukać Han. Ona też była u Sung i był tam ten stary żółtek. Han powiedziała, że to doktor, a może bardziej znachor. Dawał coś Sung. Jakąś herbatę.

- Widziałeś, jak jej dawał herbatę?

- Nie. Nic nie widziałem. Ledwo w ogóle go widziałem. Leb mnie zasuwał. -Catton pokręcił głową na wspomnienie tego wieczoru. - Szkoda, że ciebie z nami nie było. Uśmiełem się jak nigdy. Taggart był zupełnie skutny. Jechaliśmy do jakiegoś

burdelu na Cholonie i Taggart postanowił prowadzić. Wyciągnął kierownicę z taksów-ki, posadził na tylnym siedzeniu i wystartowaliśmy. Nie wiem, czy w ogóle jecha-liśmy po ulicy. Nawet przejechaliśmy przez jakąś pieprzoną knajpę. Wjechaliśmy od frontu i wyjechaliśmy od tyłu. Ludzie wrzeszczeli i gonili nas z nożami. Makaron był wszędzie, a kierowca...

Zaczął się śmiać, ale Mead pchnął go gniewnie, tak że Catton zatoczył się na ścianę.

- Chcę się dowiedzieć o tym żółtku.

Catton był wściekły. Gdyby to był ktokolwiek inny, oddałby mu, ale powstrzymał go gniew płonący w oczach Meada.

- Roń, przecież ci mówię, że dokładnie nie pamiętam. Wszyscy skuliśmy się poprzedniej nocy. Obudziłem się prawie ślepy. Poszedłem szukać Hań. Był tam ten stary żółtek. Siedział czy klęczał przy Sung. To wszystko, co pamiętam. Hań powiedziała, że jej pomaga. O co chodzi? Nic jej nie zrobił.

To musiał być ten Wietnamczyk, który stał przez domem wczoraj rano. Mead był tego pewien. Nie jest ani lekarzem, ani znachorem. Czego chciał od Sung? Czują się jednak lepiej. Tego był pewien. Czy może Hań sprowadziła kogoś, żeby jej pomógł? Hań nigdy mu nie powie, a Sung prawdopodobnie nie pamięta, więc chyba niczego się nie dowie.

Może wszystko jest w porządku. Może to tylko zbieg okoliczności, ale przecucie mówiło mu, że tak nie jest.

Ten człowiek przyszedł tutaj z jego powodu. Mead dokładnie pamiętał to spotkanie. Zaskoczenie i niepokój na jego twarzy. Prośba o papierosa. Zęby czyś-ciejsze, niż widział kiedykolwiek u Wietnamczyka. Udawanie, że nie rozumie. On był tam z powodu Meada. Ale dlaczego?

To musiało mieć coś wspólnego z Marshalllem. Może chcą dotrzeć do ambasadora za jego pośrednictwem? O kogo innego mogłoby chodzić?

Była to kwestia bezpieczeństwa i musi złożyć raport. Ale komu? Sprawa była zbyt skomplikowana jak na oddział ochrony piechoty morskiej. Nie są do tego przygotowani. Zagrożenie bezpieczeństwa powinno być meldowane wywiadowi Marynarki, ale to były beznadziejne pierdoły.

Tak. Już wie, co musi zrobić. Musi porozmawiać z panem Lordem. On już będzie wiedział, co robić.

Pałac prezydenta w centrum Sajgonu wydał się Marshallowi czystą kpina -idealnym odbicie charakteru jego lokatora i rządu, który reprezentował. Mimo wielkich rozmiarów, pałac nie wywierał wrażenia. Był zwykłym białym budynkiem zajmującym miejsce na końcu ulicy.

Wnętrze - rozległe, przewiewne i chłodne - również pozbawione było majestatu, nudne i bez ducha. Nic nie pobudza wyobraźni, nic nie daje pojęcia o bogactwie historii Wietnamu, pomyślał Marshall.

Nie było tu żadnych znaków przeszłości, stwierdził. Nie było niczego, co przypominałoby całe stulecie rozkwitu sztuki i twórczości. Nie było barw. Nie było złota i cynobru. Nie było smoków ani feniksów, jednoroźców czy zółwi. Nie było bajecznych stworów, które zaludniały wietnamską mitologię. Nie było posążków Buddy siedzącego na kwiecie lotosu. Był to budynek odzwierciedlający bieżącą, pozbawioną blasku chwilę, bez przeszłości i bez przyszłości, sterylny i bez życia.

Gdzie się podziały jadeitowe psy strzegące świątyni? - zastanawiał się Marshall. Gdzie są skryby i eunuchy? Zniknęły konkubiny. Trafiły na ulice, gdzie teraz kurwy w ciasnych spódniczkach naciągają żołnierzy na drinka lub biorą do ust za dolara.

Mandaryni w bogatych brokatowych szatach i barwnych jedwabiach z długimi rękawami, przepasani misternie splecionymi szarfami i w czarnych wysokich kapeluszach zostali zastąpieni przez nudnych facetów w ciemnych garniturach i pół-bucikach.

Marshall głęboko zniechęcony zakończył kurtuazyjną wizytę u prezydenta Thieu i wiceprezydenta Ky. Rozmowa z Thieu była jak czerpanie wody sitem. Padały banały bez znaczenia. Ky wygłosił to samo przemówienie, które skierował do Johnsona rok wcześniej w Honolulu i które napisano dla niego w ambasadzie.

Pół miliona amerykańskich żołnierzy i miliardy dolarów utrzymywały Thieu i Ky u władzy. Godzina spędzona w ich towarzystwie wystarczyła, żeby przekonać Marshalla, że to zaangażowanie było całkiem pozbawione racji. W czasie spotkania Marshall zastanawiał się, jak to się stało. Dlaczego stajemy w jednym szeregu z takimi ludźmi? Dlaczego Diem, Batista, Somoza? Co takiego w nas sprawia, że czujemy się dobrze w towarzystwie skarłałych dyktatorów, tanich wydrwigroszy i fanatyków? Przecież na pewno można było dobrać sobie lepszych przyjaciół, pomyślał. To nie zawsze muszą być głupcy i szelmy. Thieu i Ky to nie są źli ludzie. O tym wiedział. Ich polityka też nie wydaje się odrażająca. Są to jednak po prostu karły.

Siedział milcząc w samochodzie na podjeździe przez całą minutę. Nie ma mowy o osiągnięciu zwycięstwa politycznego. Tego był pewien. To właśnie powie John-sonowi.

- Czy chce pan wracać do biura, panie ambasadorze? - zapytał wreszcie kierowca.

Był późny poranek. Skrócił wizytę u prezydenta, a nie chciał wracać w tak złym nastroju do ambasady. Potrzebował czegoś, co podniosłoby go na duchu.

Postanowił spotkać się z Teresą Hawthorne. To go podbuduje i wzmocni. Poszukał w kieszeni kamizelki i podał karteczkę kierowcy.

- Zawieź mnie tam.

Kierowca spojrział na adres i odwrócił się do Marshalla.

- To chyba jakaś pomyłka, sir. To Cholon. Chyba nie chce pan tam jechać?

- Adres jest właściwy - powiedział Marshall. - Jedziemy tam.

- Ależ, sir... To bardzo zły rejon. Nie wydaje mi się, że powinien pan tam jechać.

Kierowca odwrócił się do siedzącego obok Meada.

- On chce, żebym pojechał do samego centrum Cholonu. Wiesz, co tam jest? Same burdele i handel narkotykami. Przecież nie możemy tam jechać. Powiedz mu.

- Sir, on ma rację - powiedział zaniepokojony Mead. - Nie powinien pan tam jechać. To bardzo niebezpieczne.

- Nie jadę do burdelu, tylko do sierocińca.

- Nie o to chodzi, sir. To jest... bardzo niebezpieczny rejon. Tam się wszystko może zdarzyć, a ja obawiam się, że nie będę w stanie pana tam ochronić.

- Wezmę na siebie całkowitą odpowiedzialność.

- To świetnie, sir. Tym się nie martwię. Chodzi mi o ochronę pana. - Nie bardzo wiedział, jak ubrać w słowa swoje obawy. - Nie martwię się o swoją dupę, tylko o pańską.

Marshall uśmiechnął się.

- Dziękuję za troskę, kapralu.

- A ja się martwię o dupy nas wszystkich - dorzucił kierowca.

- Chcę, żebyście dowieźli mnie pod ten adres - upierał się Marshall. - Skończmy tę dyskusję. Jedziemy.

Nie było granicy pomiędzy Sajgonem a przedmieściem Cholon, ale Marshall natychmiast zorientował się, kiedy tam wjechali. Miasto zmieniło się nagle. Znaleźli się w labiryncie.

Cholon od wieków był dzielnicą chińską. Tajemniczy i pogmatwany jak labirynt, bez początku i końca, stanowił kryjówkę dla wszelkiego rodzaju uciekinierów, przestępców, ponieważ tu nie obowiązywały zasady i prawa miasta. Cholon był kłębowskiem podstępów i intryg, zdrad i morderstw, grzechu, cielesności, narkotyków i pieniędzy.

Limuzyna parła przez ulice zapchane, zatłoczone rowerami, wózkami, rykszami i pieszymi. Nikt nie ustępował z drogi, a ludzie napierali na boki samochodu, zaglądali do okien, bujali wozem i próbowali otwierać drzwi.

- Ale wdepnęliśmy w gówno - mruzczał kierowca. - Powinniśmy stąd spieprzać. Niepokój Meada narastał, w miarę jak samochód zagłębiał się w zaułki dzielnicy.

Niebezpieczeństwo było ogromne i Mead wiedział, że nie byłby w stanie obronić Marshalla, gdyby zostali tutaj zaatakowani. Ciągłe myślał o Wietnamczyku, którego spotkał przed domem. A co będzie, jeżeli śledził nas aż tutaj? Na Cholonie bardzo łatwo można było zabić albo porwać Marshalla.

Samochód skręcił w boczną uliczkę. Była jeszcze węższa i jeszcze bardziej zatłoczona. Potem

skręcił znowu.

- To tutaj - powiedział kierowca, patrząc jeszcze raz na adres. - Czego szukamy?

- Sierocińca - powiedział spokojnie Marshall. W Syrii widział bardziej niebezpieczne tłumy.

Za następną przecznicą dotarli do wskazanego adresu, ale wejście zabite było deskami.

- Nie mogę się tutaj zatrzymać - powiedział kierowca. - Za pięć minut rozbiorą wóz na kawałki.

- To tylko mnie wysadź. Wrócę taksówką. Kierowca opuścił głowę na kierownicę.

- Nie mogę pana tu zostawić, panie ambasadorze - jęknął. - Postawią mnie przed sądem, jeżeli wrócę i powiem, że pana tu zostawiłem. Tu jest niebezpiecznie.

- Podaj mi kontrolkę - powiedział Marshall i wpisał do niej: „Otrzymał polecenie powrotu do ambasady po wysadzeniu mnie na Cholonie”. Podpisał się i postawił datę.

Otworzył drzwi i wysiadł, Mead wysunął się przed niego i zaczął odpychać tłum od samochodu.

Jak tylko Marshall wysiadł, żebracy, kobiety i dzieci naparli mocniej, krzycząc i wyciągając ręce. Niektóre dzieci prześlizgnęły się dołem, chwyciły go za spodnie i zaczęły ciągnąć. Tłum rósł. Zwierał się wokół nich. Marshall chciał wsiąść z powrotem do samochodu, ale już byli za nim, odcinając mu drogę odwrotu.

Nagle potężna ręka chwyciła go za ramię i pociągnęła, wrywając z uścisku tłumu.

Mead torował sobie drogę łokciem ł kopniakami, ciosami kolby oczyszczał przejście i ciągnął Marshalla w kierunku budynku, a potem zaułkiem.

Marshall ujrzał, że jego ochroniarz uległ przemianie. Stał się morderczy, metodyczny i brutalny. Żebrak wyciągnął rękę do Marshalla, ale Mead odtrącił ją łufą karabinu ł zaraz uniósł ją znowu, gotów do zadania następnego ciosu. Szedł za Marshalllem, ale poruszał się tak szybko, że czasami pojawiał się przed nim, torując drogę i ciągle popychając Marshalla własnym ciałem naprzód i kierując go w stronę drzwi na końcu zaułka.

Zanim dotarli do wejścia, Mead odsunął Marshalla z drogi i wszedł pierwszy z uniesionym karabinem.

Kobiety w środku podniosły wrzask, a potem Mead chwycił Marshalla i wciągnął do wnętrza. Stali teraz obok siebie u wejścia do pomieszczenia przepełnionego przerażonymi kobietami i dziećmi.

W psychodelicznie barwnym pomieszczeniu upchnięto ponad sto łóżek i łóżeczek, na których leżały chore i wyniszczone kobiety i dzieci. Wszystkie krzyczały i starały się ukryć.

Z następnego pokoju wyszła Teresa Hawthorne i zmierzała w ich stronę pełna determinacji. Rozpoznała ich dopiero, kiedy podeszła blisko.

- Boże - powiedziała. - Co za dramatyczne wejście.

Strach i adrenalina pulsowały dziko w żyłach Marshalla. Teraz poczuł gwałtowną ulgę i omal nie upadł. Z trudem chwycił oddech.

- Tak. Całkiem dramatyczne. Przepraszamy za najście - powiedział nieco histerycznie. - Miło panią znowu zobaczyć. Pamięta pani kaprala Meada? Mój Boże, ledwo dyszę.

Oparł się o drzwi i chwycił za pierś. Podbiegła, żeby go podtrzymać.

- Czy dobrze się pan czuje?

Odetchnął kilka razy głęboko i skinął głową.

- Tak. Teraz już lepiej.

Mead już zdążył przejść na drugą stronę pomieszczenia z karabinem w gotowości. Rozglądał się na prawo i lewo, nie zwracając uwagi na krzyczące kobiety. Wbiegł na górę, potem zbiegł na parter. Zdążył sprawdzić cały budynek i wrócić do drzwi wejściowych, zanim Marshall doszedł do siebie.

- Proszę, niech pan odłoży karabin - powiedziała Teresa. - Wystraszył pan kobiety. Tu nikogo nie ma. Tu jest klinika. Tu są tylko kobiety i dzieci. Większość kobiet, które są tutaj, miała bardzo ciężkie przeżycia - zwróciła się prosząco do Marshalla. - Kiedy widzą żołnierza z karabinem, bardzo się denerwują. Mogę pana zapewnić, że broń nie jest tutaj potrzebna.

Marshall wyprostował się.

- Myślę, że Teresa ma rację, kapralu. Tu chyba nie grozi nam niebezpieczeństwo. - Poklepał Meada po ramieniu. - Byłeś fantastyczny. Dziękuję. Jeżeli kiedykolwiek trafimy na wymianę ognia, chciałbym być blisko ciebie.

- Może raczej powinniśmy unikać wymiany ognia, sir - powiedział Mead z dezaprobatą, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma na myśli takie miejsca jak to.

--Czy mógłbyś poczekać tutaj przy drzwiach, podczas gdy ja porozmawiam chwilę z panną

Hawthorne? - zapytał Marshall.

- Przyniosę panu krzesło - powiedziała Teresa. Mead tylko pokręcił głową.
- W porządku. Postoję.
- Na krześle będzie znacznie wygodniej. Niech mi pan pozwoli...
- Dziękuję pani. Wolę stać.
- No, cóż - powiedział Marshall, poprawiając marynarkę i starając się zachować swobodnie, ale zaraz umilkł, widząc nędzne warunki, wyniszczone kobiety i żalony wygląd dzieci.

Teresa wzięła go za rękę.

- Pokażę panu klinikę. To bardzo miło, że pan nas odwiedził. Nie spodziewałam się tego. A może nie chce pan oglądać? - zapytała, zatrzymując się. - Może pan nie ma czasu?

- Mam czas - uśmiechnął się. - Bardzo chciałbym, żeby pani mnie oprowadziła.

Rozejrzała się z niepokojem.

- Obawiam się, że to wszystko jest nieco przygnębiające.
- Nie szkodzi. I tak miałem przygnębiający poranek. Teresa odetchnęła głęboko.
- To jest jeden z oddziałów - zaczęła pogodniej. - Drugi znajduje się na górze. Na każdym oddziale jest około siedemdziesięciu pięciu kobiet i dzieci.

- Jak długo tu zostają?

- Przychodzą i odchodzą, więc trudno powiedzieć. Niektóre kobiety przychodzą mniej więcej na miesiąc przed porodem i zostają też dłużej po porodzie. Inne odchodzą natychmiast albo po kilku dniach. Czasami wracają już bez dzieci, które najprawdopodobniej umarły. Niektóre z kolei w ogóle u nas nie zostają, tylko przynoszą nowo narodzone dzieci i zostawiają je.

- Czy to są dzieci mieszane?

- Większość. To staje się jakby naszą specjalnością. Kobiety wiedzą, że je tu przygarniemy. Gdzie indziej mogą ich nie przyjąć.

- A te kobiety... Czy wszystkie są prostytutkami?

- Jest z tym pewien kłopot - powiedziała Teresa. - Przypuszczam, że technicznie rzecz biorąc, można by je tak określić. Śpią z żołnierzami dla pieniędzy, papierosów albo jedzenia. Jak jednak mogą inaczej przeżyć? Nie mają żadnego fachu. W Wietnamie nie ma przemysłu. Co mają robić? Tu są dwa miliony żołnierzy, w tym pół miliona Amerykanów, zdrowych, młodych ludzi, którzy jako jedyni w tym kraju mają pieniądze. Wydają je na kobiety, a one rozpaczliwie ich potrzela < buja. Dla większości kobiet to jedyny sposób zarobienia pieniędzy.

Y'

- Co by się stało z tymi kobietami i dziećmi, gdyby ich pani nie przyjęła? •'

- Przypuszczam, że stałoby się to samo, co dzieje się z tymi, których już nie możemy przyjąć. Urodziłyby na ulicy, gdzieś w kanałach ściekowych albo w budach ze skrzynek po amunicji. Umierają albo one, albo ich dzieci, albo udaje im się jakoś wiązać koniec z końcem.

Marshall rozglądał się po sali szpitalnej, która uspokajała się i wracała do normalności. Dzieci płakały, kobiety popłakiwały albo jęczały, zwinięte na swoich pryczach. Inne patrzyły obojętnie w ścianę.

- Dobry Boże - powiedział.

- To jest aspekt wojny, o którym ludzie nigdy nie myślą - powiedziała Teresa. - Czasami przeglądam stare czasopisma i gazety, zawsze tam można znaleźć smutne historie o żołnierzach, jak giną, odnoszą rany i okaleczenia, o ich rodzinach i ukochanych. Wszystko to jest prawdziwe i smutne. Są fotografie i opisy zbombardowanych miast. Pisze się o stratach wśród ludności cywilnej i o sierotach błakających się po ulicach. Wszystko to jest prawdziwe i straszne. My mamy tu coś, o czym nikt nie wie i nikt nie słyszał. Nie jest to ani gorsze, ani smutniejsze, ale i tak wystarczająco straszne. Może ja to bardziej przeżywam dlatego, że nikt o tym nie wie i nikogo to nie obchodzi.

Poprowadziła go przez salę, a on kiwał głową, uśmiechał się do przestraszonych lub też obojętnych kobiet, dotykał chorych lub wygłodzonych dzieci. Wskazywała na zniszczenia spowodowane przez ich choroby - niedożywienie, uzależnienie od narkotyków, zakażenie weneryczne. Pod koniec był zupełnie przybity.

Teresa natomiast przez cały czas zachowała tę samą energię i spokój. Uśmiechała się, uspokajała, żartowała i robiła taką atmosferę wokół Marshalla, jakby uczestniczył w porannym obchodzie w towarzystwie przełożonej pielęgniarek w klinice położniczej.

- My tutaj mieszkamy - powiedziała, gdy wprowadziła go do składziku, który podzielono na sześć komórek dla personelu. - Tutaj jest kuchnia, a dalej sala porodowa. Tutaj jest sala

przedporodowa. Staramy się umieszczać przyszłe matki każdą oddzielnie, żeby mogły sobie trochę odpocząć. A tutaj - powiedziała, wprowadzając go do niewielkiego pokoiku wypełnionego pryzkami - jest... nasza sala intensywnej terapii.

Teresa przedstawiła go zawstydzonej, uśmiechniętej młodej Wietnamce.

- Mamy szczęście, że Trieu jest z nami. To dyplomowana pielęgniarka. Marshall próbował zamienić z nią kilka słów. Zapytał, czy mówi po francusku,

ale nie dała żadnego znaku, że rozumie. Kiedy wyszli, Teresa powiedziała mu, że Trieu odezwała się zaledwie kilka razy w ciągu całego roku, który przepracowała w klinice. Nigdy nie rozmawiała z mężczyznami, nawet z ojcem Dourmantem.

- Matka i siostry Trieu zostały zgwałcone i zamordowane przez Wietkong, a ona - uprowadzona i zmuszona, żeby z nimi żyć. Cudownie obchodzi się z dziećmi, ale nigdy się nie odzywa. Chyba tylko wtedy, kiedy chce pocieszyć maleństwa.

Teresa westchnęła i na moment dała upust swoim uczuciom.

- To wszystko jest takie trudne.

Marshall nie wiedział, co ma powiedzieć. Teresa natychmiast się opanowała.

- Wkrótce będzie lunch. Czy zechce pan zjeść z nami? Nic wystawnego. Tylko zupa chińska, za to naprawdę niezła.

- To by było bardzo miłe, ale chciałbym porozmawiać z panią na osobności. Może mógłbym zaprosić panią na lunch, gdzieś, gdzie moglibyśmy porozmawiać. Wiem, że pani jest bardzo zajęta, ale choćby na pół godziny.

Kiedy zawahała się, chwycił jej rękę i powiedział prawie z błaganiem w głosie, zupełnie jakby był małym chłopcem:

- Proszę. To dla mnie ma wielkie znaczenie.

- Ale tutaj nie ma... żadnych restauracji, do jakich pan jest przyzwyczajony. Nie ma karty dań ani serwetek, ani... powiedzmy, wygod. - Roześmiała się.

Nie puścił jej rąk.

- Nic nie szkodzi. Chciałbym tylko... porozmawiać z panią. Sprawilo jej to wyraźną przyjemność.

- To miłe z pana strony. Nie wychodzę na lunch. - Roześmiała się. - Ani na kolację, ani nigdzie. Tu są setki różnych małych restauracji, przeważnie chińskich. Znajdziemy jakąś sympatyczną.

Nagle dał się słyszeć jakiś hałas przy wejściu i wzburzony głos zaczął wykrzykiwać coś po francusku.

- Wpuść mnie! Faszysta! Nazista! Zejdź mi z drogi, ty poganinie! Barbarzyńco!

- To musi być ojciec Dourmant - powiedziała Teresa.

- I kapral Mead - mruknął Marshall, niechętnie puszczać jej dłoń. Przy drzwiach Mead zatrzymał księdza, zagrażając drogę karabinem.

- Jak śmiesz! - krzyczał ojciec Dourmant, starając się wdrzeć do środka, ale słaby starowina tylko odbijał się od Meada.

Nie rozumiejąc nic z tego, co wykrzykuje ksiądz, i chcąc przeszukać go, zanim wpuści go do środka, Mead przycisnął go do ściany jedną ręką i szybko obszukał drugą.

- Świętokradztwo! - wrzeszczał oburzony ksiądz.

- W porządku, kapralu - powiedział Marshall, śpiesząc do drzwi. - To ksiądz. Wpuść go.

Mead cofnął się niechętnie. Teresa stała przy ojcu Dourmancie, poprawiając mu sutannę i pocieszając go łagodnymi słowami.

- Jak to miło, że ksiądz przyszedł. Jest tu ktoś...

- Co tu się dzieje? - krzyczał ksiądz. - Dowiedziałem się, że przyjechali żołnierze. Śpieszyłem, jak mogłem. - Wskazał z wściekłością na Meada. - No i... właśnie! Czy wszystko w porządku? Czy nie zrobili komu krzywdy?

Marshall wysunął się naprzód, wyciągnął rękę i odezwał się nienaganną francuszczyzną:

- Proszę przyjąć przeprosiny. Jestem Bradley Marshall. Przyjechałem odwiedzić pannę Hawthorne i zobaczyć klinikę. Kapral Mead stanowi moją ochronę osobistą. Jest to wyjątkowo kompetentny młody człowiek i bardzo poważnie podchodzi do swoich obowiązków. Właśnie je wypełniał. Nie chciał księdzu zrobić krzywdy, ani obrazić.

- To jest ten pan, o którym księdzu mówiłam. To ambasador Marshall, którego spotkałam w ambasadzie i odniósł się do mnie tak sympatycznie.

- Bardzo mi miło - powiedział ksiądz, potrząsając ręką Marshalla, ale wcale mu nie było miło. - Nie przypuszczam, żeby pan tu przyjechał z ofertą jakiejś pomocy. Powiedziałem Teresie, żeby jej nie oczekiwała. Czy się mylę?

- Ojcie... - powiedziała Teresa karcąco. - To nie było ani uprzejme, ani miłosierne.

- W każdym razie mało dyplomatyczne - powiedział lekko Marshall. - Teraz rozumiem, dlaczego ksiądz jest tutaj, a nie w Kurii Rzymskiej.

Ojciec Dourmant przyjrzał mu się uważnie, a następnie uśmiechnął się leciutko.

- Musi pan być katolikiem albo byłym katolikiem, co wydaje się modne w ostatnich czasach - dodał, patrząc na Teresę.

- Może ksiądz wejdzie? - powiedziała Teresa. - Właśnie wychodziliśmy na lunch. Przyłączy się ksiądz do nas?

- Nie. Dziękuję. Tylko wpadłem, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Kilku parafian przybiegło do kościoła i powiedziało mi, że przyjechali tu żołnierze. Bałem się, że będą zabijać dzieci bagnietami, ale najwyraźniej chodziło im o księży. Pański francuski jest całkiem... zadowolający - dodał, patrząc na Marshalla.

- To język dyplomacji. Obawiam się, że jestem tylko zadowolającym dyplomata. Ksiądz zacisnął usta i lekko wzruszył ramionami.

- Wcale nie jest taki zły - przyznał.

- Dziękuję. A może jednak ksiądz da się namówić? Będzie nam bardzo miło, jeżeli ksiądz przyłączy się do nas na lunch.

Ojciec Dourmant pokręcił głową.

- Dziękuję. Nie - powiedział już zupełnie przyjaznym tonem. - Jestem pewien, że w kościele dzieją się jakieś głupoty, których muszę dopilnować. Wojny, głód, choroby przychodzą i odchodzą, ale kółka różańcowe pań są nieprzemijające. Może innym razem skorzystam z zaproszenia.

- Będzie mi bardzo miło - powiedział Marshall. - Często zastanawiam się, czy rozmawiam z właściwymi osobami. Rzadko mam okazję rozmawiać z ludźmi takimi jak ksiądz albo Teresa.

- To nie powinno stanowić żadnego problemu - sucho powiedział ojciec Dourmant. - Wystarczy, że ten młody pański żołnierz z oddziałów szturmowych postawi ich pod ścianą i potem może pan gadać z nimi do woli.

Ksiądz uklonił się, a wychodząc powiedział do Teresy:

- Miałas rację. Wygląda sympatycznie. Jeżeli się okaże, że się pomyliłem i on mimo wszystko ci pomoże, zapłacę za ten lunch.

- On wygaduje okropne rzeczy - szepnęła Teresa, kiedy ksiądz wyszedł. - Ale to wspaniały człowiek. Nie przetrwalibyśmy bez niego.

- Bardzo mi się spodobał - przyznał Marshall. - Jak długo tu jest?

- W Wietnamie? Chyba od zawsze. Przyjechał tu jako młody ksiądz, a teraz ma dobrze po siedemdziesiątce.

Nagle otarła łzę z twarzy.

- Kocham go. Jest jedyną osobą, która pozwala mi przypuszczać, że Bóg może istnieje, i że popełniłam błąd opuszczając zakon. Chyba nie zniósłabym, gdyby coś mu się stało.

- Źle się czuje? Jest chory?

- Nic o tym nie wiem. - Uśmiechnęła się. - Jestem po prostu głupia. Martwię się na wszelki wypadek, jakby nie było prawdziwych trosk i tragedii. No, dość tego. Chodźmy na lunch.

Patrzyła na niego przez chwilę.

- Może powinien pan zdjąć marynarkę i krawat. Chodzi o to, że... - zaczęła z wahaniem.

- Że będę się rzucać w oczy? - Uśmiechnął się, a potem zdjął marynarkę i krawat. - Czy myśli pani, że kapral Mead i jego *M-16* też będą rzucać się w oczy?

- O rany - powiedziała. - Zupełnie o nim zapomniałam. Czy on musi...? Chodzi mi o to, że oczywiście byłoby miło, gdyby poszedł z nami, ale... ten karabin...

Marshall zwrócił się do Meada.

- Wiem, że chętnie byś się do nas przyłączył, ale mam zamiar odesłać cię do ambasady.

- Nie mogę pana tu zostawić, sir. Marshall podniósł rękę.

- Wiem, kapralu. Masz całkowitą rację. Nie powinienem tego robić. To jest niebezpieczne i głupie. Wszystko może się zdarzyć. Mam jednak zamiar... Wysyłam cię z powrotem do ambasady. Wiem, co czujesz i jakie masz zastrzeżenia. Jeżeli chcesz, napiszę ci kartkę, jak napisałem kierowcy.

Cały niepokój Meada znalazł nagle upust w potoku słów.

- Nigdy w życiu nie postąpiłem wbrew rozkazowi, ale nie mogę pana tu zostawić. Mam pana chronić i upewnić się, że wszystko jest w porządku, czy to się panu podoba, czy nie, i nie tylko wtedy, kiedy pan ma na to ochotę. Nie powinien mi pan tego robić, sir. Tak mnie splawiać, jakbym był jakimś psem. To nie jest w porządku wobec mnie. Co będzie, jeżeli coś się panu stanie? Jak ja się będę wtedy czuć?

Marshall nie słyszał tylu słów wypowiedzianych naraz przez Meada, od chwili kiedy byli razem.

- No, tak - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Meada. - Masz rację i przepraszam. To się już nie powtórzy, a kiedy wrócę do ambasady, jeszcze raz przemyślę problem bezpieczeństwa, ale teraz ciebie odeślę przede wszystkim dlatego, że nikt nie wie, że tu jestem. Jeżeli będę szedł ulicą i szukał miejsca, gdzie można zjeść lunch, a ty będziesz szedł za mną z karabinem, to tylko narażę się na kłopoty. Myślę, że w tym przypadku panna Hawthorne i ja będziemy bezpieczniejsi, jeżeli będziemy sami, i zwrócimy mniej uwagi, niż gdybyś nas osłaniał. Mogę wrócić taksówką.

- Taksówką? - powtórzył Mead, nie wierząc własnym uszom.

- Kapralu, udaje mi się z reguły łapać taksówki w Nowym Jorku czy w Rzymie, więc potrafię to zrobić i tutaj. Czy pani wie - zwrócił się do Teresy - że kiedyś udało mi się złapać taksówkę w Belgradzie, chociaż podobno nikomu to się nie udało?

Mead wciąż się wahał.

- Idź, kapralu. Wszystko będzie w porządku. Czy nie uważasz, że panna Hawthorne może się mną zaopiekować? Jestem pewien, że potrafi nakopać najgorszemu nawet komuchowi.

Teresa odwróciła głowę, żeby ukryć uśmiech, i wreszcie Mead też się roześmiał.

- W porządku, sir. O której mamy spodziewać się pańskiego powrotu, żeby w razie czego wysłać ekspedycję na poszukiwania?

- Powinienem być z powrotem koło trzeciej.

- Tak jest. - Mead zasalutował i uklonił się Teresie. Wyszedł, zdecydowany udać się od razu do Wilsona Abbota Lorda. Coś trzeba z tym zrobić. Jeżeli Wietkong nie dorwie Marshalla w sposób zamierzony, może to zrobić przez przypadek. Ten Wietnamczyk, który stał przed domem, a potem wszedł do Sung, był tam w jakimś celu. Mead mógł być tylko kapralem, ale wiedział, że osobisty przedstawiciel prezydenta USA nie powinien chodzić po knajpach w strefie działań bojowych.

Opowie wszystko Lordowi. Zjawa już będzie wiedział, co trzeba zrobić.

XIX

- To bardzo sympatyczny chłopak, ten Mead - powiedziała Teresa, kiedy wyszli z kliniki.
- Tak - przyznał Marshall. - I ma rację. Nie spodziewałem się, że go urażę.
- Czy pan rzeczywiście jest tak ważny, że powinien mieć ochronę osobistą? Pokręcił głową.
- To symboliczne. To, co robię, ma o wiele mniejsze znaczenie niż to, co robi pani albo ojciec Dourmant. Prezydent Johnson poprosił, żebym tu przyjechał i po powrocie udzielił mu rad. Działam na wysokim szczeblu - generał Westmoreland, a dziś rano prezydent Thieu. To jednak nic nie znaczy. Nie robię nic konkretnego. Nikomu nie pomagam i nikogo nie pocieszam. Nie mogę nikogo dotknąć. To tylko polityka, miłka, brudna i prowadzona dla własnych celów. Przy pani czuję się brudny.

Roześmiała się.

- To niemądre. Jestem pewna, że robi pan dobrą robotę.

Przy wyjściu z zaułka zatrzymał się, położył jej dłoń na ramieniu i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie. Nie robię. Ojciec Dourmant ma rację. Nie mogę pani pomóc. Próbowałem. Poruszyłem tę sprawę w rozmowie z ambasadorem Bunkerem. Nie pomogą pani. Spróbuję znowu w Waszyngtonie. Obiecuję, że pomówię o tym z prezydentem Johnsonem, ale... nie chciałbym dawać powodów, by pani czegokolwiek oczekiwała. Przykro mi. Naprawdę. Mam wyrzuty sumienia.

- Wszystko w porządku - powiedziała łagodnie. - Nie powinnam była wmanew-rowywać pana w tę trudną sytuację. Wiem, że pan chce pomóc, i nie chciałabym, żeby pan miał poczucie winy...

- Niech pani przestanie, Tereso - roześmiał się. - Nigdy nie miałem do czynienia ze świętą. Nic dziwnego, że je dawniej palono. Przy was czujemy się okropnie.

Podniosła rękę do twarzy gestem małej dziewczynki. Myślał, że zacznie chichotać.

- Nie jestem święta - powiedziała. - Wydaje mi się, że jednym z kryteriów jest wiara w Boga.

- Nie. To jest potrzebne tylko do oficjalnego stwierdzenia, do roboty papierkowej.

Puścił jej rękę.

- W którą stronę idziemy? Niech pani prowadzi.

Chodniki były zbyt zatłoczone, by mogli iść obok siebie. Trudno mu było za nią nadążyć. Była przyzwyczajona i umiała przeciskać się przez tłum, podczas gdy jego wciąż ktoś potraçał, popychał. Wreszcie przełamał się i zaczął spokojnie przedzierać się jak inni. Nie stracił jej jednak z oczu, ponieważ była wyższa o głowę od otaczających ją Wietnamczyków. Zasapał się, zanim ją dogonił, i był mokry od potu.

Teresa zajrzała do kilku małych restauracyjek i wreszcie zdecydowała się na jedną.

- Czy ta będzie dobra? Tu są przynajmniej stoły. W tamtych nie było.

- Wspaniała - powiedział, zaglądając do zatłoczonej, hałaśliwej chińskiej restauracji.

Nie było małych stolików. Usiedli przy dużym. Inni siedzący przy nim goście, prowadzący żywą rozmowę, zupełnie ich nie zauważali.

Między stolami biegali kelnerzy, nosząc na wielkich tacach całe piramidy parujących miseczek i wykrzykując po wietnamsku nazwę potrawy.

- Nie jadłem *dim sun* od lat - powiedział Marshall.

- Czy chce pan, żebym tłumaczyła? - zapytała. - Teraz noszą wieprzowinę z węgorem.

- Zjem, co pani wybierze - powiedział. - Niech ich pani tylko zatrzyma.

Mimo hałasu i zamętu, a może właśnie z tego powodu oraz siedząc z konieczności blisko siebie, żeby mogli się nawzajem usłyszeć, czuli się zupełnie swobodnie, prawie intymnie.

Podniosła rękę i postawiła przed nimi dwie miseczki. Powiedziała coś jeszcze i na stole wylądowały dwie pary pałeczek.

- Ludzie zazwyczaj przychodzą z własnymi pałeczkami. - Pochyliła się nad pierożkami z

krewnym nadzieniem gotowanymi na parze i wchłaniała ich aromat, a potem podniosła wzrok na Marshalla i uśmiechnęła się. - To bardzo podniecające. Jeszcze nigdy nie jadłam lunchu z ambasadorem.

- Cóż to będzie dla pani za uczta. - Roześmiał się. - Trzeba pamiętać, żebyśmy rozsypywali jedzenie jak wszyscy. - To mówiąc upuścił pierożek na podłogę. -Cholera.

Wreszcie udało mu się donieść kolejny do ust i rozgryzł delikatnie.

- Wspaniale. Kiedyś jadłem obiad z królową Danii. Jedliśmy karczochy, a mój był szczególnie twardy. Chciałem odciąć listek i całe to cholerstwo spadło królowej na kolana. Potraktowała mnie uprzejmie, ale nie była rozbawiona. Królowym zdarza się to rzadko, a jeszcze rzadziej same są zabawne.

Chwycił następny pierożek.

- Czy rzeczywiście nie wierzy pani w Boga?

- Nie. Nie mogę pogodzić jego istnienia z tym, co widzę na co dzień. Albo jest bardzo niegodziwy, albo nie istnieje. Wolę wierzyć, że nie istnieje.

- Musi pani doprowadzać ojca Dourmanta do szału. Chyba łatwo wpada w gniew.

- Tak. To prawda. - Roześmiała się. - Ale jak pan wytłumaczy to wszystko? -dodała ze smutkiem.

- Och, czy musimy zagłębiać się w filozoficzne rozważania jedząc *dim sum*?

- Nie, ale pan jest mądrym człowiekiem, który widział tak wiele. Jadał pan z prezydentami, królowymi i generałami. Miałam nadzieję, że mi pan to wszystko zdoła wytłumaczyć. Na przykład dlaczego wszędzie jest tak wiele cierpienia? Po co jest ta wojna? Po co tyle sierot?

- Myślę - powiedział cicho - że leży to w samej naturze prezydentów, królowych i generałów oraz nas wszystkich, którzy im służymy, i tych, którzy chcą odebrać im władzę.

- W naturze ludzkiej - powiedziała.

- Obawiam się, że tak. Powiedziała pani, że kapral Mead to miły chłopak. On jednak zabijał i myślę, że zabił wielu. Tak przynajmniej wynika z tego, ile dostał odznaczeń. Będzie znowu zabijać. A jednak jestem pewien, że potrafi kochać, śmiać się, i być czułym. Lyndon Johnson jest dobrym człowiekiem. Jestem o tym przekonany. Nie chce, żeby ktokolwiek cierpiał, a proszę spojrzeć, do czego doprowadził. Jak to się dzieje, że miły chłopak zabija, a człowiek pełen dobrych intencji doprowadza do rozlewu krwi i cierpienia? Myślę, że nie są w stanie temu zaradzić. Żaden z nich nie jest na tyle silny, żeby zapanować nad własną naturą. Johnson panicznie obawia się, żeby mu nie zarzucono tchórzostwa. Nigdy nie był na wojnie, nie nosił broni, nigdy nie sprawdzał się w walce. Boi się, że zostanie uznany za i bojaźliwego i niemęskiego. To ciekawe zjawisko, że najbardziej zajadłe jastrzębie, i najbardziej zagorzali zwolennicy wojny wywodzą się spośród ludzi, którzy nigdy i nie powąchaliby prochu. Hałaśliwie domagają się użycia siły i zajmowania twardego i stanowiska, ale tylko pod warunkiem, że walczyć będą inni.

Skinął na kelnera niosącego kolejną tacę i postawiono przed nimi jeszcze dwie parujące miseczki.

- Smutną rzeczą jest jednak to, że ludzie lubią wojnę. Lubią walkę. Jest erotycznie podniecająca. Nie słyszałem o rozkrzyczanych kibicach na spotkaniach szachowych. Dziewczeta dopingują piłkarzy i uganiają się za chłopakami w najszybszych samochodach i z największą forsą. Myślę, że to się nazywa dobór naturalny. Dlaczego pani nigdy nie wyszła za mąż? - zapytał nagle wkładając klusieczkę do ust.

Najpierw ją to zaskoczyło, potem się zarumieniła.

- To miało coś wspólnego z doбором naturalnym. Nie byłam taka ładna. To nie jest zbyt dyplomatyczne pytanie.

- Nie chciałem już więcej rozmawiać o mężczyznach i wojnie. Chciałem usłyszeć coś o pani. Interesuje mnie pani decyzja wystąpienia z zakonu. Jak pani doszła do wniosku, że Boga nie ma?

- Nienawidzę opowiadać o sobie - powiedziała. - To mi się wydaje tak mało ważne. Podobnie jak zakon i Bóg. Myślę, że tu właśnie tkwi odpowiedź. Nie

, pamiętam, żebym podejmowała decyzję w sprawie opuszczenia zakonu lub wiary w Boga. Poraziło mnie po prostu, że tak mało dla mnie znaczą.

Podniosła do góry pierożek. , - Naprawdę są dobre. Niech pan umoczy ją w sosie rybnym. Nazywa się *moc*

mam.

Patrzyła na niego, kiedy jadł.

- A co pan chce osiągnąć? - zapytała po chwili. Pytanie zaskoczyło go.
- Nic. Mam wszystko - pieniądze, stanowisko, zdrowie, nawet miłość.
- To dlaczego nie jest pan szczęśliwy?
- Czy to widać? Do tej pory nikt tego nie zauważył albo może wszyscy zachowywali dyplomatyczne milczenie.

Skończył jeść i położył miseczki jedną na drugą. Wykonał gest w kierunku drzwi.

- Znam tę biedę i rozpacz, jaka tu panuje. Nie musiałem oglądać tych kobiet i dzieci u pani w klinice. Wiem, jak bardzo świat jest okrutny i niesprawiedliwy.

Niestety, nie mogę nic na to poradzić. Nawet nie mogę pomóc pani, tak jak nie mogę poradzić nic na te okropności, które przyjdą, jak starość, choroby i śmierć. Zbyt wiele wiem, żeby być szczęśliwym. Postawiono przed nim talerzyk.

- Czy zauważyła pani, że w żadnym obrazie Boga, wszystko jedno czyjzego Boga, nigdy nie przedstawiono Go szczęśliwym? Czy nie uważa pani, że to jest dziwne?

- Wcale nie. Jak pan myśli, jakiego Boga namalowałby ojciec Dourmant? Jaki Bóg stworzył sytuację, którą przyjechał pan naprawiać? Tym Bogiem jest prawdopodobnie Lyndon Johnson. Czy namalowałby go pan z dobrotliwym uśmiechem?

Roześmiał się.

- Czy pani sama wyszła z zakonu, czy wyrzucono panią? Podniosła rękę i pokazała mu obrączkę.
- Nie rozwiodłam się z Bogiem. Mam nadzieję, że różnice zdań między nami są do pogodzenia. To takie rozstanie na próbę.

Odłożył pałeczki i odsunął talerz. Nagle spoważniał.

- Co pani zamierza zrobić? Sytuacja się pogorszy. Więcej chorych kobiet, więcej dzieci, więcej okropności. Co pani zamierza zrobić w sprawie tej kobiety, która zagroziła, że spali siebie i dziecko?

- Nie wiem - powiedziała Teresa z westchnieniem. - Jeżeli chodzi o sprawy ogólne, będziemy robić co można jak długo się da. Nie mam pojęcia, co zrobić z Lin.

- Nie zastanawiała się pani...

- Staram się o tym nie myśleć - powiedziała. - Dziecko umrze na pewno. Jest zdeformowane, syfilityczne, uzależnione od narkotyków i ma uszkodzony mózg. Bóg nie ocali w cudowny sposób tego dziecka.

Milczała przez chwilę.

- Tak - powiedziała wreszcie. - Myślałam, żeby pozwolić jej spalić siebie i dziecko przed ambasadą Stanów Zjednoczonych. Myślałam, że to nie zaszkodzi, a może nawet pomoże.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Czy to źle? Cóż znaczy jeden więcej martwy żółtek, i do tego niemowlę? Jest możliwe... tylko możliwe, że wyniknie z tego coś dobrego. Może to spowoduje taką sensację, że rząd będzie musiał pomóc?

Marshall milczał przez dłuższą chwilę. Położył równiutko swoje talerze jeden na drugim i usunął resztki ze stołu.

- Chyba mamy do czynienia z odwiecznym pytaniem o cele i środki - powiedział wreszcie.

Uśmiechnęła się.

- Może jednak jakoś mi pan pomoże. Cele i środki to sprawa polityków i dyplomatów. Co zazwyczaj wybierają? Pan musi mieć duże doświadczenie, panie ambasadorze.

Przyglądał się jej. Czy to był żart?

- Tak naprawdę politycy i dyplomaci nie czynią rozróżnienia między jednym i drugim. Liczą się tylko cele.

- W takim razie sprawa jest przesądzona. Spalimy dziecko.

- Chciałbym mieć pewność, że pani żartuje - powiedział. - Ponadto, chciałbym pani pomóc. Chciałbym móc ofiarować coś więcej niż pocieszenie i pięknie brzmiące "słowa, ale moje doświadczenie jako dyplomaty pozwala mi tylko na to. Gdyby los tego dziecka był oddany w ręce dyplomatów, nie zostałoby ono ani ocalone, ani spalone. Umarłoby z zaniedbania.

- Pan jest inny - powiedziała. - Pan chce pomóc i pomógłby pan, gdyby pan mógł.

- Tak. I pomogę, jeżeli będę mógł. Chcę pani pomóc i chcę doprowadzić do zakończenia tej strasznej wojny. Chcę, żeby kapral Mead już nikogo nie zabił. Nie chcę, żeby przybywało sierot i kalek. Nie chcę więcej cierpień, a przede wszystkim, i niech Bóg mi to wybaczy, nie chcę, żeby

uciерpiał mój syn.

Dał znak kelnerowi, że chce zapłacić.

- Proszę wybaczyć, ale muszę już iść. Proszę zapytać, ile jestem mu winien. Czy powinienem zostawić napiwek? Albo nie. Proszę pieniądze. Niech mu pani zapłaci, a resztę zatrzyma na potrzeby kliniki. Proszę mi tylko obiecać, że nie kupi pani za nie benzyny, żeby palić dzieci.

Wstał.

- Bardzo mi było miło. Czy zgodzi się pani jeszcze kiedyś ze mną spotkać?

- Z wielką przyjemnością - powiedziała. Spojrzała na pieniądze, które przed nią położył i oddała mu je. - To mnóstwo pieniędzy. Ja nie...

- Proszę. Niech pani je zatrzyma. To pieniądze, które wyciągnąłem od rządu.

- W takim razie wezmę - powiedziała. Zapłaciła kelnerowi, a resztę pieniędzy wsunęła do portfela.

Kiedy wyszli, podziękował jej, że zechciała mu towarzyszyć, zapewnił, że skontaktuje się z nią wkrótce, i prosił, żeby nie wahała się z nim kontaktować, jeżeli uzna, że jest coś, w czym mógłby pomóc.

Stali tak na chodniku jak wrośnięci, nieświadomi przepychającego się wokół tłumu.

- Czy spotkamy się jeszcze? - zapytał i roześmiał się. - Chyba już się o to pytałem.

- Pytał się pan i potwierdziłam, że tak - odpowiedziała z uśmiechem.

- No, cóż - wyjąkał, czując się jak młody chłopak. - Muszę wracać, a raczej to pani musi wracać, bo to przecież pani robi tu pożyteczne rzeczy.

Wzięła go za rękę.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję za odwiedzenie nas. Dziękuję za lunch i dziękuję za... - opuściła głowę, a potem odwróciła się nagle i zniknęła w tłumie.

Stał jeszcze długo po jej odejściu, wciąż czując jej obecność i nie chcąc utracić tego wrażenia.

Jeszcze nigdy nie spotkał nikogo takiego jak Teresa. Żadna kobieta nie wywarła na nim takiego wrażenia. Czuł się przy niej niepewnie. Był prawie zakłopotany. Miała w sobie jakieś nieprzebrane pokłady dobroci. Podobnie było z jego żoną, tyle że działaniom Catherine towarzyszyła hałaśliwość i podkreślanie słuszności. Tutaj to dobro ujawniło się z wielką siłą, bo było w czystszej postaci. To była kobieta o bardzo głębokich uczuciach i bezgranicznej miłości. Kobieta rozumna

i z poczuciem humoru, niczego nie udająca, całkowicie naturalna i pod względem moralnym stojąca znacznie wyżej od niego.

Tłum przepychał się wokół, omal nie porywając go swoim pędem. Wybiegł na jezdnię i zatrzymał taksówkę. Okazało się to znacznie łatwiejsze niż w Nowym Jorku.

Dopiero kiedy był już blisko ambasady, zorientował się, że zostawił marynarkę i krawat w klinice.

Teresa szybko torowała sobie drogę przez tłum. Co się z nią dzieje? - zastanawiała się. Cóż za głupota, że tak od razu za nim poleciała. Zachowała się jak gaska. Tak mówił o niej ojciec. A dlaczego teraz tak pędzi? Zadała sobie to pytanie i zmusiła się, żeby iść wolniej. Dlaczego twarz jej pałała ogniem?

- O rany - powiedziała głośno i zatrzymała się na chodniku, ponieważ zrozumiała, co się dzieje. Przeżywa coś, czego wcześniej nie odczuwała.

Czuła się zakłopotana z powodu samej siebie. To było zbyt głupie, żeby można to było ująć w słowa. Zarumieniła się pod wpływem myśli.

Okazał się miłym mężczyzną, dobrym, uczciwym i zycliwym. Oczywiście, że go lubi.

- Cóż w tym złego? - zadała sobie pytanie, zatrzymując się przed sklepem z rowerami. - Nic złego - powiedziała do swojego odbicia w szybie.

Westchnęła, patrząc na odbicie. Tak rzeczywiście wygląda. Jest brzydka, niezgrabna i prostacka.

On jest silny, przystojny i pewien siebie. Jadał obiady z królowymi.

Potrafi załatwiać ważne sprawy.

Miał romanse z pięknymi kobietami.

Westchnęła znowu, patrząc na swoje odbicie. Dotknęła wytartej sukienki i poprawiła włosy.

Wreszcie odetchnęła głęboko i odwróciła się.

No, cóż. W każdym razie to był bardzo przyjemny lunch. Ruszyła z powrotem do kliniki.

XX

Mead wysiadł wcześniej przed ambasadą z taksówki. W budce strażniczej na dole sprawdził wewnętrzny informator i stwierdził, że przy nazwisku Lord nie ma numeru pokoju, tylko numer telefonu.

Nie chciał, żeby go ktokolwiek usłyszał. Poszedł więc korytarzem, aż znalazł pusty pokój, z którego sekretarka akurat wyszła.

Kiedy wykręcił właściwy numer, ktoś podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Wewnętrzny trzy-siedem-dwa-cztery - powiedział zdruzony głos. Mead rozpoznał głos Lorda.

Mead podjął decyzję pod wpływem chwili i nie przemyślał, co ma powiedzieć. Kiedy usłyszał głos Lorda i przypomniał sobie otaczającą go aurę tajemniczości i potęgi, zaczął się jąkać nerwowo.

- Proszę pana... Sir... Tu kapral Mead... Kapral Ronald Mead z piechoty morskiej. Zastanawiam się, czy... Chodzi mi o to, czy... Może mógłbym porozmawiać z panem, sir.

W odpowiedzi brak było objawów zainteresowania, czy też wahania.

- Pokój dwieście szesnaście za piętnaście minut. Potem odłożono słuchawkę.

Pokój dwieście szesnaście znajdował się blisko, na drugim piętrze. Była to jedna z salek bez obsady, z której wszyscy mogli korzystać dla odbycia krótkich spotkań. Chłodna, zwięzła odpowiedź Lorda spowodowała, że Mead zaczął się zastanawiać. Może przesadził? Może to tylko zbieg okoliczności? Lord spławi go z politowaniem. Teraz Mead czuł, że się wygłupił, że dopatrywał się spisków i konspiracji w pojawieniu się starego żółtka. Wyobrażał sobie, że będzie to tajne spotkanie ze Zjawą w „bańce”, bezpiecznym, elektronicznie sprawdzonym pokoju w sercu ambasady, ale tymczasem mieli rozmawiać w salce, gdzie przyjmuje się interesantów ubiegających się o wizę.

Sięgnął po telefon, żeby znowu zadzwonić do Lorda i odwołać spotkanie. Po co to zrobił? - wyrzucał sobie. Teraz wołałby zniknąć. Co powie Lordowi? O Sung i o burdelu? O tym nie pomyślał.

Nie mógł jednak zebrać się na odwagę, żeby zadzwonić do Lorda. Cholera, pomyślał. To był błąd. Będzie udawać, że właściwie nic się nie stało. Pójdzie do biura Marshalla i zamelduje pułkownikowi Waggonerowi, że ambasador wróci koło trzeciej, a potem pójdzie do koszar.

Wyszedł z pokoju i natknął się na oficera piechoty morskiej schodzącego ze schodów. Był to wysoki i silnie zbudowany porucznik ze skrzydełkami pilota nad kieszenią i w ciemnych okularach. Oficer piechoty morskiej, nie licząc oddziału wartowniczego, był rzadkim gościem w ambasadzie, a już pilota z piechoty morskiej w ambasadzie nigdy nie widział.

- Dzień dobry, sir - powiedział, mijając go.

Porucznik spojrział na niego, powiedział z roztargnieniem „Cześć!” i poszedł dalej korytarzem.

Mead popatrzył za nim. Piloci nie tak ściśle przestrzegali przepisów i reguła minów jak inni oficerowie, ale nie mógł wyobrazić sobie oficera mówiącego „Cześć” i przez chwilę pomyślał, że to wcale nie był oficer. Może to był agent CIA? Schodził z drugiego piętra, gdzie Mead miał się spotkać z Lordem. Może tylko był przebrany za pilota? Mead opanował się. Znowu zaczął. Znowu wymyślał spiski i knowania, które nie istniały.

Co jednak młody oficer i pilot robił na drugim piętrze i dlaczego potem schodził tylnymi schodami? Tego sobie nie mógł wyobrazić. Poczul się zaintrygowany i znowu zaczął się niepokoić o bezpieczeństwo Marshalla. Przecież nie wymyślił sobie tego starego żółtka. Znowu zmienił zdanie i zdecydował, że jednak spotka się z Lordem. Jeżeli Lord go wyśmieje, nie pierwszy raz robi z siebie głupca. Spojrział na zegarek. Teraz nie miał już czasu, żeby poinformować pułkownika Waggonera o Marshallu czy też skoczyć do bufetu, żeby wziąć coś w przelocie do jedzenia. Zaczął wchodzić na drugie piętro.

Natknął się na Lorda na schodach. Był pogrążony w myślach i najwyraźniej zaskoczony. Mead wyczuł, że mu przeszkodził, a Lord zaniepokoił się, że Mead widział kogoś na schodach. Lord nie

spodziewał się, że kapral skorzysta z tylnego wejścia. Opanował się jednak zaraz i gestem wskazał kierunek. Powiedział „proszę tędy” i ruszył przodem.

Dopiero idąc za nim Mead zdał sobie sprawę, że Lord natychmiast zgodził się z nim spotkać, nie zadając żadnych pytań, i natychmiast go poznał.

Lord otworzył drzwi i usiadł na krześle przy długim stole, zostawiając Meada przy drzwiach, żeby je zamknął i poczekał. Kapral stał tak przy drzwiach przez dłuższą chwilę, a Lord mu się przyglądał i dosłownie prześwietlał go swymi lodowato zimnymi oczami. Wreszcie wskazał Meadowi krzesło nieco oddalone od swojego.

Mead usiadł sztywno i niepewnie, czekając, aż Lord się odezwie, ale ten tylko na niego patrzył. Wreszcie pochylił się i rozłożył łokcie na stole opierając podbródek na dłoniach. Po chwili uniósł nieco głowę i ruchem ręki zaprosił Meada, żeby zaczął mówić.

- Chciałbym porozmawiać z panem o ambasadorze Marshallu - zaczął Mead. - Właściwie, to nie o nim, ale zdarzyło się coś dziwnego... Może nawet nie dziwnego, tylko coś, co mnie zaniepokoiło, i chciałem z kimś o tym porozmawiać. Myślałem... Zdawało mi się, że pan...

Lord nie uczynił nic, żeby ułatwić Meadowi rozmowę. Czekał.

- No, tak - podjął znów wątek Mead, zdecydowany opowiedzieć wszystko jednym tchem. - Mam dziewczynę, którą poznałem w burdelu. Zażywała heroinę. Zabrałem ją, żeby zamieszkała ze mną i żeby się wyleczyła. Już się czuje lepiej. Wczoraj przed moim domem stał jakiś stary żółtek, a potem dowiedziałem się, że wchodził do mojego pokoju, i wydaje mi się, że coś tu jest nie w porządku i to ma coś wspólnego z ambasadorem Marshalllem. Ten żółtek nie podobał mi się. Wiem, że to brzmi głupio, ale czuję, że coś tu nie jest w porządku. To był taki stary żółtek i poprosił mnie o papierosa, ale zęby miał idealne. Chodzi mi o to, że one rzeczywiście były idealne, nawet bez plam po betelu jak u wszystkich żółtków, a poza tym miał wszystkie zęby, a czegoś takiego też tutaj nie widziałem.

Potem on wlaźł do środka do Sung, do mojej dziewczyny, a mój kumpel, Bili Catton, starszy szeregowy Catton, spotkał go, a jego dziewczyna powiedziała mu, że to doktor, ale to nie mógł być doktor. A dzisiaj rano Sung zachowywała się Inaczej i nie mogę powstrzymać się od podejrzeń, że to ma coś wspólnego z ambasadorem. Może, na przykład, śledzą mnie, żeby się do niego dobrać. Mead opuścił głowę.

- Wiem, że to wszystko jest cholernie popieprzone i że pan pewnie myśli, że Jestem tumanem, ale... - Znów spojrzął na Lorda szczerze. - Pan wie, jak to jest, kiedy się ma przecucie? To się po prostu zdarza i człowiek od razu wie, że coś Jest nie tak. Wszystko może być piękne i proste, a potem nagle... Po prostu się wie.

Wyraz twarzy Meada zmienił się i nagle zagubił się we wspomnieniach.

- Można iść przez dżunglę i jest spokój, i ani śladu nieprzyjaciela. A raptem się wie. Można to wyczuć. Jakaś pułapka. Coś jest nie tak. Czasami też się wie, że wszystko jest w porządku, chociaż nieprzyjaciel jest gdzieś przed nami, ale się wie, że wszystko się uda. Po prostu się wie.

Głos Meada przeszedł w pełen napięcia szept.

- W każdym razie mam takie wrażenie w tej sprawie.

Lord znowu oparł podbródek na dłoniach i obserwował Meada z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wreszcie odezwał się, unosząc nieco głowę. Tylko jego wargi lekko poruszały. Oczy pozostały nieruchome. Mówił głosem cichym i obojętnym. Mead mimo woli aż się pochylił w jego stronę.

- Mówię teraz o pewnym Francuzie. Prawdopodobnie widzieliście go. Proszę sobie przypomnieć. Proszę przywołać w wyobraźni obraz tego człowieka. Starszy. Koło sześćdziesiątki, niski i okrągłutki. Ubrany bardzo elegancko. Czy widzieliście właśnie kogoś takiego? Niski, tłusty mały Francuz w białym garniturze. Jego ręce są w ciągłym ruchu, jak u dziewczyny. Łatwo się denerwuje i ciągle się kręci. Nie może usiedzieć ani ustać spokojnie. Jest, oczywiście, pedałem. To się czuje.

- Tak - szepnął Mead, przywołując w pamięci obraz Francuza siedzącego obok niego w taksówce. - Tak. Widziałem go.

Ręce Lorda wykonały oszczędny gest mówiący „opowiedzcie” i zaraz podbródek powrócił znowu na podpierające go dłonie.

- Widziałem go parę dni temu. To było na dzień przed pojawieniem się tego żółtka. Tak! Jezu! Właśnie taki, jak pan mówi. Siedział w taksówce, do której wsiadłem, i zapiszczał jak prosiak, i właśnie tak wyglądał: jak mały, tłusty prosiak w garniturze. Ma pan rację. Garnitur był biały. On kręcił się na siedzeniu, jakby miał robaki. Zaprosił mnie na kolację czy coś takiego. Jasne, że to pedał. Powiedziałem mu, żeby się odpieprzył. Potem siedział cicho, dopóki nie wysiadłem z taksówki. To

tyle.

Lord patrzył wciąż na niego i czekał cierpliwie, pozwalając Meadowi uporządkować w pamięci zdarzenia, odtworzyć okoliczności i opowiedzieć wszystko, co się stało.

- Wskoczyłem do taksówki zaledwie przecznicę od domu ambasadora. Francuz Już tam siedział. Powiedziałem kierowcy, żeby mnie zawiózł do domu, i wtedy Francuz zaczął się do mnie przystawiać, i wtedy... Tak, dojechaliśmy do mojego

domu. Francuz zapłacił i ja wysiadłem. Taksówka stała, dopóki nie wszedłem do środka, i w ten sposób on zdobył mój adres. Następnego dnia pojawił się ten żółtek.

Mead spojrział na Lorda z podziwem.

- Skąd pan wiedział? Jezu, to fantastyczne. Połączył pan wszystko w ciągu dwóch minut - ambasadora, Francuza i żółtka. - Potrząsnął głową z uznaniem. - Cholera.

Czekał na jakąś reakcję albo pytanie, ale Lord siedział tak jak przedtem zupełnie nieruchomo.

- Myślę, że to wszystko - ciągnął Mead. - Chodzi mi jeszcze o ambasadora Marshalla. To nie ma nic wspólnego z tamtą sprawą. Chodzi mi o to, że muszę z kimś o tym porozmawiać i... o Jezu, cieszę się, że mogę porozmawiać z panem. Zaraz pan zrozumie, o co mi chodzi. Chciałbym powiedzieć, że ambasador jest w porządku i niechętnie o tym mówię, bo był dla mnie miły. Naprawdę bardzo miły. Tego nigdy się nie spodziewałem. Myślałem, że okaże się zwykłym kutasem, ale jest miły dla wszystkich.

Mead nigdy w życiu nie mówił tak wiele. Teraz wszystko wylewało się z niego i chciał powiedzieć Lordowi, co czuje i co myśli. Chciał przekazać wszystko temu człowiekowi, który tak wiele rozumie.

- W każdym razie wydaje mi się, że on robi różne niebezpieczne rzeczy, które powodują, że o mało co nie zesrałem się ze strachu. Nigdy nie chciał ochrony. Przecież pan wie. Pan był tam wtedy... Pamiętam pana. Omal sięgnie pobili z generałem Abramsem.

Mead pokręcił głową na to wspomnienie i roześmiał się. Czuł się świetnie rozmawiając ze Zjawą, który wiedział wszystko i gotów był wysłuchać wszystkiego, co on ma do powiedzenia. Czuł się oszołomiony intymnością.

- Cholera, myślałem, że zdechnę, kiedy Abrams wepchnął moją dupę do tego samochodu, ale on, to znaczy ambasador, w dalszym ciągu nie chciał ochrony i splawił konwój. To mnie niepokoi. Widzi pan, mam go chronić, tylko że nie jestem w stanie. Na przykład dzisiaj. Kazał kierowcy jechać na Cholon. W sam środek jakimiś uliczkami i zaułkami do sierocińca czy szpitala, czy czegoś takiego.

Mead pokręcił głową.

- Było źle. Każdy mógł go załatwić i nic nie mógłbym zrobić. Odesłał kierowcę, a potem kazał mi wracać, a potem on i ta kobieta... No, ta od sierocińca - dodał szybko, żeby nie było żadnego nieporozumienia. - Ona jest stara i, no, niezbyt... tego... ładna. Oni są tylko przyjaciółmi. On próbuje jej pomóc. Ale teraz jest sam gdzieś na Cholonie. Mówiłem mu, że tam naprawdę jest niebezpiecznie, ale nie wydaje mi się, żeby on rozumiał, jak tam jest i że... no, tak łatwo można tam faceta załatwić.

Wzruszył ramionami.

- To jest ta druga sprawa, o której chciałem z panem porozmawiać. Dostanie w czapę, jeżeli nie będzie ostrożniejszy, a ja nie będę mógł nic na to poradzić. Oni nie będą słuchać jakiegoś tam kaprala.

Umilkł, ale po chwili zaczął mówić znowu, podczas gdy Lord tylko na niego patrzył.

- Czasami odsyła mnie. Mówi, żebym poszedł do kantyny, i nikt z nim nie Zostaje. To naprawdę mnie martwi, szczególnie teraz, kiedy pojawili się ten Francuz i ten żółtek.

Skończył, dając znak, że nie ma nic więcej do powiedzenia, i zaczął oddychać głęboko, jakby właśnie zakończył wyścig. Rozsiadł się wygodniej na krześle.

Lord też się poprawił w krześle. Jego oczy złagodniały, a w rysach twarzy odmalował się ślad ciepła i sympatii, które były takim kontrastem z poprzednim Jego zachowaniem, że Mead rozradował się jak szczeniak.

- Dziękuję, kapralu - powiedział Lord miłym głosem. - Zachowaliście się inteligentnie. Byliście uważni, lojalni i wyjątkowo pomocni. Czy mogę coś dla was zrobić?

Meadowi zrobiło się przyjemnie, aż się zarumienił.

- Nie, sir. Cieszę się, że to ja mogłem coś zrobić. Lord skinął głową.

- Jeżeli będzie cokolwiek, w czym według was mógłbym pomóc... - Rzadko pojawiający się uśmiech zagościł na jego twarzy. - Albo nawet gdyby stało się coś, a wy byście uważali, że nie będę mógł pomóc, zawsze przyjdźcie do mnie.

Nachylił się do przodu i przywołał Meada ku sobie swoim wzrokiem czarnoksiężnika.

- Ja również potrafię czuć różne rzeczy - wyszeptał. - Potrafię to. Dlatego żyję. Uratowało mi to życie setki razy. Wy też to macie. Wiem o tym. To jest bezcenna, rzadka umiejętność. Potrzebujemy jej.

Użycie przez niego liczby mnogiej wywołało u Meada dreszcz. Człowiek, którego podziwiał, który w ciągu kilku minut przeobraził magicznie jakiś tajemniczy incydent ze starym Wietnamczykiem w absolutnie prawdopodobną historię diabolicznej intrygi, ten człowiek użył najbardziej ujmujących słów, jakich Mead nie mógł się nawet spodziewać: „my” i „potrzebujemy”.

Gdyby powiedział tylko „wy”, Mead byłby i tak szczęśliwy. CIA to było coś więcej niż tajemnica i sława, to było coś więcej niż piechota morska i FBI. Dla Meada CIA była jak świątynia męskości. Nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby znaleźć się wśród takich ludzi, a jednak Lord sugerował... jasne, że tak zrobił... że może istnieje możliwość.

Dla takiej szansy Mead gotów był zrobić wszystko. Chciał powiedzieć o tym Lordowi, ale był zbyt zakłopotany. Może Lord wcale tego nie miał na myśli i wyśmiałby samą sugestię, że Mead mógłby dla niego pracować.

Mead był jak zahipnotyzowany wzrokiem Lorda. Pochylił się do przodu i odpowiedział również szeptem.

- Sir, jeżeli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić, proszę mi tylko powiedzieć.

- Powiem - zgodził się Lord. - Możecie na to liczyć. Już niedługo. Mead skinął głową.

Lord podniósł ręce jak magik rzucający czar.

- Ale nie możecie nikomu wspominać o naszej rozmowie. . Mead pokręcił głową jak w transie.

- Nigdy.

Wtedy Lord przerwał czar. Wstał szybko, intymność prysła, jego twarz i sposób bycia stały się obojętne jak przedtem.

- Dziękuję - powiedział, odprawiając Meada skinieniem głowy. Mead zerwał się.

- Tak jest. Do widzenia, sir - powiedział i wyszedł z pokoju.

Prawie zbiegł tylnymi schodami. Nie mógł opanować podniecenia i ulgi. Porozmawiał ze Zjawą. Może będzie dla niego pracować. Wszystko będzie w porządku. Powiedział o starym Wietnamczyku oraz Marshallu i Lord w ciągu sekundy wszystko powiązał. Nie do wiary.

Był tak zaaferowany, że nie potrafił się zorientować, co się dzieje, kiedy nagle ktoś przyparł go do ściany.

- Mówię do ciebie, brudasie. Nie ignoruj mnie. Myślisz, że kim jesteś, dupku? Mead spojrzał w wykrzywioną czarną twarz. Sierżant Robson Holman znowu go popchnął. Mead uderzył głową o ścianę.

- Czy myślisz, że twoje gówno inaczej śmierdzi teraz, kiedy pracujesz dla tej szczy? Kiedy mnie widzisz, chłoptasiu, masz mówić: „Dzień dobry, panie sierżancie. Jak się pan ma, panie sierżancie”.

Mead chwycił nadgarstki sierżanta w żelazny uścisk tak, że Holman nie mógł poruszyć rękami. Chciał uderzyć Meada kolanem w krocze, ale Mead ustawił tak nogę między nogami Holmana, że tamten nie był w stanie tego zrobić.

- Odpieprz się, sierżancie. Wypchaj się, sierżancie. Pocałuj mnie w dupę, sierżancie. Dwaj mężczyźni stali przed sobą, a w oczach ich płonęła żądza mordy. Mead

zwolnił uścisk. Żaden z nich nie poruszył się. Ich oddech zionął gorącem. Szyje napęczniały. Po chwili Holman uśmiechnął się złośliwie.

- To nie było mądre, Mead. To będzie cię kosztować, białasie. ' .

- Chcesz napiwek, czarnuchu? Holman gwizdnął cicho.

- Głupio. Naprawdę głupio - powiedział i odszedł.

Mead patrzył za nim, a potem odwrócił się, czując za sobą czyjąś obecność. U dołu schodów stał Lord i patrzył na niego oczyma jak zwykle bez wyrazu. Następnie Lord spuścił nieco głowę, jakby skinął do niego, i odszedł.

Mead spojrzał na zegarek. Była prawie druga. Marshall może wrócić lada chwila, a on jeszcze nie zameldował się u Waggonera. Umierał z głodu, ale nie było czasu na jedzenie. Pobiegł korytarzem do holu, a potem do windy. Zapomniał zupełnie o Holmanie, radośnie podniecony myślą o Lordzie i pracy dla CIA.

Wartownik w szklanej budce dał mu znak skinieniem, żeby przechodził.

- Gdzie szef? - zapytał.
- Nie mam pojęcia. Jestem tylko jego ochroniarzem. Wszedł do sekretariatu, żeby zameldować się u Waggonera.

Dolores Toland podniosła głowę zaskoczona, a mężczyzna pochylający się swobodnie nad jej biurkiem cofnął się szybko.

Był to pilot z piechoty morskiej, którego Mead spotkał wcześniej.

- Dzień dobry, sir - powiedział Mead do porucznika, a następnie zwrócił się do sekretarki z zapytaniem, czy pułkownik Waggoner jest w biurze.

- Oczywiście, że jest - odpowiedziała opryskliwie, odzyskując dawny spokój. - On tu pracuje. Wszyscy tu pracujemy, kiedy nie mamy wolnych poranków i popołudni, i nie latamy do kantyny jak wy.

Odwróciła się do porucznika i powiedziała.

- Kapral Mead stanowi ochronę osobistą ambasadora, chociaż rzadko ich się razem widuje.

- Porucznik Magnuson - powiedział oficer, wyciągając do Meada rękę i starając się przypomnieć sobie, gdzie go widział wcześniej. - Miło was poznać, kapralu. Mam być pilotem ambasadora.

Waggoner usłyszał głosy i wszedł do pokoju razem z podpułkownikiem Rome-rem.

- Gdzie jest ambasador? - zapytał.

- Dokładnie nie wiem, sir - odpowiedział Mead. - Jak wyjechaliśmy z pałacu prezydenckiego ambasador Marshall zdecydował się pojechać na Cholon.

- Na Cholon?

- Tak, sir. Chciał odwiedzić tę klinikę czy sierociniec, gdzie pracuje kobieta, która była tu wczoraj.

- Jezu - mruknął Waggoner.

- Potem poszli na lunch. Kazał mi wracać tutaj.

- Ambasador Marshall jest na Cholonie bez żadnej ochrony?! - wykrzyknął Waggoner.

- Rozkazał mi wracać. Co miałem robić, sir? Waggoner zwrócił się do Romera.

- Czy może pan to sobie wyobrazić? Cholerny osobisty przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych lata sam po Cholonie. To tak jakby rabin latał goły po Mekce.

Romer roześmiał się.

- Gdyby pan go widział, jak rozmawiał z Westmorelandem, mógłby pan to sobie wyobrazić.

Właśnie w tej chwili Marshall wszedł do biura. Trzej oficerowie i Mead stanęli na baczność.

Marshall popatrzył na nich.

- Co to? Wojskowy zamach stanu? - zapytał. Zobaczył siedzącą za nimi sekretarkę.

- A może panna Toland uczy was stenografii? Dolores, nie dokuczają pani? Pułkownik Waggoner wystąpił krok naprzód.

- Już mieliśmy wysłać grupę na poszukiwanie, sir.

- Dziękuję, ale dzisiaj nie będzie potrzeba bohaterskich czynów. Jednakże kapral Mead będzie musiał pojechać, żeby ocalić moją marynarkę i krawat. Zostawiłem je w klinice. Niestety, adres kliniki został w kieszeni w marynarce. Nie mam pojęcia, gdzie to jest. Może kierowca będzie pamiętać. Trzeba go zapytać. Pamiętam tylko, że to było w pobliżu kościoła św. Franciszka Ksawerego, skąd przyszedł ten ksiądz.

- To w tym kościele zabito Diema - powiedział Waggoner. - Cholon to niezwykle niebezpieczna dzielnica, panie ambasadorze. Tam się roi do komuchów.

- Wiem - powiedział Marshall. - Dlatego wysyłam kaprala po marynarkę, a nie jadę sam.

Magnuson wybuchnął śmiechem, ale natychmiast się opanował.

- Przepraszam, sir.

Marshall popatrzył na niego.

- To jest porucznik Magnuson, sir - powiedział Waggoner szybko. - Został wyznaczony przez MACV na pańskiego pilota. Pilotuje samoloty odrzutowe i śmigłowe, a także helikoptery.

- To robi wrażenie, poruczniku - powiedział Marshall ściskając mu dłoń, - Jestem pewien, że będzie nam się dobrze współpracować.

Podszedł do Romera i przywitał się.

- Cieszę się, że znów pana spotykam, pułkowniku. Nigdy nie wątpiłem w słowo generała Westmorelanda, ale wiem, że bardzo niechętnie się z panem rozstawał.

Odwrócił się z powrotem do Magnusona.

- Tak niechętnie się z nim rozstawał, że muszę pana zapytać, czy rzeczywiście jest pan pilotem. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby wysłał mnie w powietrze z oficerem zaopatrzenia.

Magnuson uśmiechnął się.

- Jestem, sir. Służyłem w jednostce powietrznej piechoty morskiej w Da Nang.

- Dlaczego przysłali pilota piechoty morskiej aż z Da Nang? - zapytał Romer.

- Nie wiem, sir - odparł Magnuson. - Może chodziło o rotację. Z tego samego powodu odesłali kaprala Meada ze Strefy Zdemilitaryzowanej. - Uśmiechnął się. -Mają pułkowników z Armii od myślenia, a paru żołnierzy z piechoty morskiej od brudnej roboty, jak przywożenie marynarek i wożenie ambasadora wszędzie, gdzie zechce pojechać.

Tylko Mead się nie roześmiał. Skąd Magnuson wie, że on przyjechał ze Strefy Zdemilitaryzowanej?

- Cóż - powiedział Marshall. - Cieszę się, że pracujecie ze mną. Wydaje mi się, że mamy bardzo dobry zespół.

To mówiąc, wskazał na sąsiedni pokój.

- Zostawmy Dolores w jej gabinecie. Czy mógłbyś odzyskać moją marynarkę od Wietkongu, kapralu? Postaram się, żebyś uzyskał jakieś odznaczenie. Będziesz musiał wziąć taksówkę - powiedział, sięgając po portfel - bo niedługo będę potrzebować kierowcy. Przywieź marynarkę jutro do ambasady. Dziś nie będzie mi potrzebna. Cholera! Nie mam pieniędzy. Dałem wszystkie... Czy ktoś pożyczycy mi pieniędzy dla kaprala Meada?

Wszyscy sięgnęli po portfele.

- W porządku, sir. Mam dość - powiedział Mead.

- Daj mu zlecenie - powiedział Waggoner do Dolores. - Będzie mógł podjąć pieniądze schodząc na dół.

- Nie - powiedział Marshall. - To jest sprawa prywatna, a nie państwowa. Czy na pewno masz dość pieniędzy, kapralu? W porządku. Jutro ci zwrócę. Przypomnisz mi, Dolores?

Marshall chciał spotkać się z oficerami i kiedy znaleźli się w gabinecie Waggonera, usiadł swobodnie na brzegu biurka.

- Pułkownik Waggoner będzie dbać o mój kalendarz. Będzie czuwać nad programem wszystkich odpraw, posiedzeń i spotkań. Pułkownik Romer będzie koordynować moje wyjazdy w teren. Pan wie, gdzie chcę pojechać, pułkowniku. Proszę to zorganizować. Jestem też otwarty na inne pańskie sugestie. Przekaze pan to

porucznikowi Magnusonowi, a on już nas tam zawiezie. Jeśli będziemy zgodnie Współpracować, wszystko pójdzie gładko. Wy robicie całą robotę, a ja się tylko dostosowuję. Są jakieś pytania? Świetnie. Teraz muszę zastanowić się nad kilkoma sprawami.

Wstał i ruszył w stronę swojego gabinetu. Zatrzymał się jednak na chwilę.

- Czy jeszcze ktokolwiek myśli o celach i środkach? Po ukończeniu pierwszego roku studiów? Czy w ogóle mówi się o tym teraz na studiach? Pan ukończył studia niedawno, poruczniku. Niech mi pan powie, czy myśli pan czasami o celach | środkach?

- Ja na studiach grałem w futbol, sir. Treścią i celem było zdobywanie punktów. Pamiętam, że trener ostrzegał nas, żebyśmy nie faulowali. To by podsumowywało środki.

- To tak samo jak kobiety i wojna - powiedział pułkownik Romer. - Nie liczy się to, jak się gra, tylko czy człowiek sobie popieprzy i nie zostanie zabity.

- Może... Może - mruknął Marshall, odwracając się i wchodząc do swego gabinetu.

Właśnie, myślał zamykając drzwi. Cóż znaczą cele i środki? Czy to tylko gimnastyka umysłu dla początkujących studentów? Hasło dla harcerzyków? Sprawy do rozpatrzenia przez trybunały zwyciężskich narodów? Mało to obchodzi tych, którzy cierpią, głodują i umierają.

- Cholon - powiedział Waggoner z niedowierzaniem w stronę zamkniętych drzwi. - Pożyczył od kaprala na taksówkę. Jezu! - Potrząsnął głową i westchnął. -Dla takiego człowieka będzie pan pracować, poruczniku.

Magnuson zmarszczył brwi i nieświadomie wypowiedział to, co go bardzo niepokoiło.

- Tak, ale podoba mi się.

Wilson Abbot Lord, najzimniejszy skurwysyn, jakiego kiedykolwiek spotkał, nie ostrzegł go przed taką możliwością, pomyślał. Lord wspominał coś niejasno o „specjalnym zadaniu”, ale on, Magnuson, wiedział aż za dobrze, co to może znaczyć, i zasygnalizował Lordowi swoją niechęć do takiej pracy. Wyraził swoją nadzieję, że już z tym skończył - Lord jednak zbył jego uwagę. Prysłano

go z Da Nang, żeby dokonał „zrzutu”, ale okazało się, że to zadanie wyznaczone przez CIA nie jest zwykłym zadaniem. Nie chodzi o wyrzucenie do morza północnowietnam-skiego agenta. To ma być coś innego, coś niezwykłego. Miał niejasne przeczucie, że sprowadzono go tutaj, żeby dokonał „zrzutu” człowieka, dla którego ma pracować, Marshalla, specjalnego wysłannika prezydenta.

Magnuson uznał jednak, że Marshall mu się podoba. Nigdy dawniej nie znał ludzi, których „zrzucali”, chociaż i tak nie zrobiłoby to różnicy. Wiedział, że nie miał wyboru wtedy i nie ma teraz. Nie mógł powiedzieć Wilsonowi Abbotowi Lordowi, że odmawia wykonania zadania. To by było samobójstwo. Wiedział, że wykona dokładnie to, co mu rozkażą.

Uświadomił sobie nagle, że pewną komplikację może stanowić kapral. Nie jest zbyt błyskotliwy, ale widział Magnusona schodzącego z trzeciego piętra, gdzie mieszczą się biura CIA. Będzie musiał powiedzieć Lordowi, że być może został rozszyfrowany. Niech Lord rozwiąże ten problem.

XXI

Chociaż nikt by tego nie podejrzewał, znając ociężałość Wilsona Abbota Lorda, najlepiej myślało mu się, kiedy był w ruchu.

Wszystko w tym człowieku mogło wprowadzić obserwatora w błąd. Znudzenie maskowało niepokój. Zdecydowane przekonania kryły się pod zewnętrzną obojętnością.

Teraz potrzebował ruchu po rozmowie z Meadem. Jego myśli tak się kłębiły, że musiał się rozładować. Musiał wytracić rozsadzającą go energię.

Wyszedł z pokoju i zszedł po schodach akurat we właściwej chwili, by zobaczyć starcie Meada z Holmanem. Przyglądał się temu chłodno, a potem poszedł dalej. Stwierdził, że Mead potrafi sobie radzić. Mógł okazać się bardzo przydatny, chociaż Lord nie lubił współpracować z kimś głupim lub mającym kłopoty ani tym bardziej uzależniać się od kogoś takiego, a dwudziestolatek, który próbował narkotyków i mieszka teraz z wietnamską kurwą, może oznaczać kłopoty. Zdał sobie sprawę, że musi to dokładnie przemyśleć.

Lord wiedział, że nazywano go Zjawą, ale ten przydomek był mylący. Nie pojawiał się w biurze o najdziwniejszych godzinach i nie snuł się w środku nocy po korytarzach, żeby straszyć, ale żeby myśleć. On dosłownie rozwiązywał problemy w marszu. Tak też miał zamiar zrobić teraz. Chciałby wyrazić swoje myśli słowami, było to jednak niemożliwe. Nogi musiały więc zastąpić język.

Milczenie, które musiał zachowywać, było w jego pracy najtrudniejszą rzeczą. To było gorsze niż życie w klasztorze, bo przecież o czym mogli rozmawiać mnisi? Jakie sekrety palą im wargi? W klasztorze słowa strają się niepotrzebne. W jego świecie można natomiast opowiadać takie historie o kłamstwach, morderstwach i intrygach, które by Borgiów wprawiły w zakłopotanie.

Nie miał jednak nikogo, komu mógłby je opowiedzieć. Był kiedyś ktoś taki, ale jego ciało - związane drutem kolczastym i okaleczone przez rekiny - fale wyrzuciły na brzeg pod Inczon siedemnaście lat temu.

Od tego czasu nie miał rozmówcy. Nie mógł opowiadać sekretów żonie, nie z obawy przed ich ujawnieniem, chociaż to było zawsze możliwe, ponieważ małżeństwa szpiegów z reguły nie bywają dobre, ale by ją chronić. To, czego nie wiedziała, nie mogło ani jej, ani jemu zaszkodzić. To jednak, co wiedziała, mogło okazać się śmiertelnie niebezpieczne.

W Firmie nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać o sprawach intymnych i osobistych.

Quis custodiet ipsos custodes? Kto ma pilnować pilnujących? Sami się pilnują. Strach i zdrada gwarantują czujność oraz powściągliwość. Jak w samoczyszczącym się piecu, błędy i wpadki CIA szybko przemieniały się w popiół.

Który jednak z tajnych agentów nie chciałby opowiedzieć o swojej pracy? Który nie chciałby opowiedzieć wszystkiego? Który nie chciałby przyciągać uwagi? Spójrzcie, spójrzcie, jaki byłem sprytny! Sprytniejszy niż inni! Na cóż błyskotliwość, skoro nikt o niej nie wiedział? To było najtrudniejsze. Zapomnieć o sobie. Pogodzić się

! faktem, że nigdy nikt nie dowie się o tym, co się zrobiło. Cisza. Jak przy morderstwie doskonałym, właśnie najtrudniejszą sprawą było zachowanie doskonałości.

Chciałby mieć teraz z kim porozmawiać. Chciałby mieć kogoś, z kim mógłby roztrząsać wszystkie możliwości i komplikacje, ponieważ to, czego właśnie się dowiedział, było bardziej zawile i złowieszcze niż cokolwiek, z czym się dotąd zetknął.

Nadszedł czas, żeby w sprawę wprowadzić Jeffreya Gibbona. Teraz można będzie go wypróbować. Starannie wybierał Gibbona. Podobała mu się jego przeszłość - Dartmouth, sport, służba wojskowa, a także jego poglądy polityczne. Wiedział, że Gibbon go szanuje, ale wolałby mieć więcej czasu na współpracę z nim, zanim podda go takiej próbie. Nie było już jednak czasu. Może się tak zdarzyć, że z powodu Marshalla wojna nie zostanie wygrana i śmierć tysięcy ludzi pójdzie na marne.

To, o co walczą Ameryka - demokracja, sprawiedliwość, wolność - jest słuszne. Komunizm jest zły. A więc: czarne, czy białe? Oczywiście czarne można rozbielić, a białe przyciemnić. Mogą być pochmurne dni i rozgwieżdżone noce, ale tylko nędzny głupek nie potrafi odróżnić dnia od nocy i białego od czarnego. Marshall jest takim głupkiem.

Lord szedł szybko korytarzem i skupiał się na stojącym przed nim problemie. Stary żółtek Meada to na pewno Bui Cao Kim. Nie może być nikt inny. Pyszni się zawsze swoimi zębami, które równocześnie oznaczały dla niego klęskę. To, że nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, iż go zdradzają, i nie nauczył się ich przyciemniać, dziwiło Lorda.

Mały, tłusty prosiaczek w garniturze i z robakami w tyłku, to oczywiście Ber-'nard Lacouture. Idealny opis, przyznał Lord. To się przynajmniej temu tępemu *Marinę* udało.

Lacouture i Kim - co za para! Co oni knują? - zastanawiał się Lord. Czy to możliwe, żeby Lacouture dostał fioła na punkcie Meada? Tak. To wyjaśniałoby, dlaczego był taki rozkojarzony w czasie spotkania. Oczywiście! Jego podniecenie nie było spowodowane strachem, tylko miłością. Chryste! Lacouture zakochał się w kapralu piechoty morskiej.

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, pomyślał Lord. Nie można było znaleźć lepszych motywów niż miłość i pożądanie. On, Lord, ma tego żołnierza, którego chciał mieć Lacouture. Może da Meada Lacouture'owi. Oszczędzi mu to czasochłonnego zonglowania rachunkami bankowymi i udawania, że przelewa pieniądze. Potem pozwoli temu biednemu, wykorzystanemu *Marinę* zabić z zemsty Lacouture'a. Załatwi to elegancko. Co więcej, mając Meada w łóżku Lacouture'a, będzie mógł śledzić wszystkie poczynania Francuza i zyska pewność, że Lacouture go nie wykołuje przy aranżowaniu spotkania Marshalla z Wietnamczykami z Północy.

To spotkanie, a raczej przekonanie Marshalla o jego aktualności, jest teraz najistotniejsze, uznał Lord. Zdyskredytuje Marshalla jako osobę wystrychniętą na dudka przez krwiożerczych, zdradzieckich komunistów. Będzie myślał, że działa w pokojowej misji, jak ten biedny, szalony Hess, kiedy Lord wciągnie go w pułapkę.

Scenariusz ten rozwiązywał także kłopotliwy problem porucznika Magnusona, który ma niestety wyrzuty sumienia, co Lord ostatnio odkrył. Przydawał się

w przeszłości i przyda się podczas tej misji, ale będzie trzeba go usunąć. Wyrzuty sumienia wywołują poczucie winy, żal, a co najgorsze, potrzebę wypowiedziania się. To wada fatalna i nie do przyjęcia.

Jeffreya Gibbona na pewno nie niepokoiło sumienie. Tego Lord był pewien. Nadeszła jednak pora, by sprawdzić, czy ma rację co do Jeffa.

Lord zawsze miał plan rezerwowy. Rzadko kiedy operacja przebiegała ściśle według planu. Na każdym kroku należało się liczyć z czymś nieprzewidzianym. Gibbon był alternatywą, w przypadku gdyby spotkanie Marshalla z Północnymi Wietnamczykami nie wypaliło.

Wszedł po schodach i ruszył korytarzem.

Gibbon siedział rozparty na krześle, z nogami na biurku. Zerwał się widząc Lorda.

- Dzień dobry, panie Lord. Podniósł instrukcję, którą czytał.
- Przypominam sobie *Hueya*.
- I czego się na nowo nauczyłeś? Gibbon pokręcił głową.
- To jak oglądanie rozkładówek. Jeżeli widziało się tę rzecz na własne oczy, nie potrzeba obrazków, żeby odświeżyć sobie pamięć.
- Chodź ze mną - powiedział Lord ostro. - Idziemy na spacer.

Wyszedł z pokoju. Gibbon rzucił instrukcję na biurko i pośpieszył za Lordem. Czuł, że to coś poważnego. Często obserwował Lorda krążącego po korytarzach i wiedział, że właśnie wtedy Lord intensywnie myśli. Czekał na taką okazję. Do tej pory Lord traktował go grzecznie i z wyrozumiałością, ale trzymał go na dystans. Gibbon zdawał sobie sprawę, że poddawano go próbie, teraz zaś kończy się okres próbny i zostanie poddany sprawdzeniu.

Lord zeszedł na parter i przez hol wyszedł na zewnątrz. Gibbon podążał z szacunkiem pół kroku za nim. Włożył swoje ciemne lotnicze okulary.

- Zdejmij je, Jeffrey. Chcę widzieć twoje oczy, kiedy będziemy rozmawiać. Gibbon posłusznie schował okulary do kieszeni marynarki.

- Zacząłem pracę w CIA w 1947 roku - powiedział Lord monotonnym głosem. - Zaraz po ukończeniu studiów.

Nie powiedział Harvardu, co Gibbon zauważył. Wiedział, że Lord właśnie tam studiował. To nie

była taka rutynowa informacja. Tego był pewien. Odnosił wrażenie, że być może jest pierwszą osobą, której Lord o tym mówi.

- To była moja pierwsza praca, moja pierwsza wyprawa do prawdziwego świata. Pochodziłem ze stosunkowo bogatej rodziny. Tymczasem Bradley Marshall -jesteśmy prawie w tym samym wieku - zdążył już walczyć w czasie drugiej wojny światowej, uczestniczył w dwudziestu trzech desantach na Pacyfiku, zdobył Srebrną i Brązową Gwiazdę, i był dwukrotnie ranny. Jego rodzina była nawet bogatsza od mojej. Jak myślisz, dlaczego wstąpił do piechoty morskiej w wieku siedemnastu lat?

- Żeby się urwać z domu - powiedział Gibbon. - Jego ojciec był alkoholikiem, a matka dziwką z Newport.

Lord skinął głową.

- W 1947 roku zacząłem pracować dla CIA, a Marshall wstąpił na uniwersytet Harvarda. We wczesnych latach pięćdziesiątych obaj wylądowaliśmy w Korei. Ja wypełniałem moją pierwszą misję zagraniczną, ale co on tam robił, Jeffrey?

Przeszli już za budynek i znaleźli się sami na rozległym trawniku.

Gibbon zdjął marynarkę i przerzucił ją sobie przez ramię. - Wiem, że nie lubi pan moich porównań seksualnych, sir, ale jedyna rzecz, do której mogę porównać wojnę, to pieprzenie. Jak to można opisać? Jest dobrze? Ziemia się poruszyła?

- Nie przeszkadzają mi twoje porównania seksualne, Jeff. Oczekuję tylko z nadzieją na więcej mówiące porównania intelektualne. - Jest taki obraz Goyi zatytułowany „Saturn pożerający swe dzieci” - powiedział Gibbon rzeczowym tonem. - Przedstawia wojnę. Saturn zjadający swoje dzieci ma wyraz twarzy szaleńca w ekstazie. Wojna jest ekstatyczna. To wyzwolony gen egoizmu udowadniający wrzaskiem swoje istnienie. Kochamy wojnę bardziej niż cokolwiek innego. Jest bardziej zniewalająca niż seks. Wojna to obnażony mężczyzna tętniący życiem, męskość w czystej postaci. Marshall poszedł znowu na wojnę,

bo ją kochał.

Lord zatrzymał się i przyglądał się Gibbonowi.

- A pan myślał, że ja jestem tylko ładnym chłopczykiem? Lord spojrzał Gibbonowi głęboko w oczy.

- Dlaczego Marshall jest taki niebezpieczny? Gibbon nie ugiął się pod badawczym wzrokiem Lorda.

- Ponieważ boi się tego, co już wie. Nie chce, żeby wojna mu się podobała, Ugryzł jabłuszko i teraz chce je zwrócić. Chce zebrać zarazki z powrotem do probówki. Chce zapędzić dzina z powrotem do butelki.

Gibbon pokręcił głową.

- Ale tego się nie da zrobić. Człowiek nie może zapomnieć wojaczki ani się jej oduczyć, jak dziecko nie może zapomnieć o ręce i oduczyć się używania palców... żeby nigdy nie znaleźć swojego kutasa - dodał z wyzywającym uśmiechem.

Lord patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem uśmiechnął się szczerze, ciepło, z dumą i zaczął iść dalej.

- Byłem chyba w twoim wieku, kiedy znalazłem się w Korei. Szczerze wierzyłem w to, co robiłem. Byłem młody i pełen pasji.

Mówił z ożywieniem, jakiego Gibbon jeszcze nigdy nie słyszał w jego głosie.

- W tamtych czasach rzeczywiście działo się to, co teraz nazywamy maska i sztylet, i naprawdę byli tam Rosjanie w szynelach i tajne spotkania. Działalem w parze z człowiekiem, którego znałem od lat. Chodziliśmy razem na uniwersytet, a nawet na randki. Nazywał się Brent Harwood.

Pokręcił głową, całkowicie zatopiony we wspomnieniach.

- Jezu, ale się baliśmy. Wypełnialiśmy misję związaną z lądowaniem pod Inczon głęboko za liniami nieprzyjaciela. Byliśmy przerażeni. Setki razy myśleliśmy, że już po nas. Opowiadaliśmy sobie o wszystkim, a nocami spaliśmy przytuleni, jak kochankowie, żeby nam było ciepło. Obiecywaliśmy sobie, że się razem zestarzejemy.

Lord zatrzymał się i odwrócił twarzą do Gibbona.

- Był jedynym człowiekiem, z którym byłem tak blisko. Chińczycy go złapali, skrupowali ostrym jak brzytwa drutem kolczastym i wrzucili żywego do morza.

Lord wyjął z kieszeni ciemne okulary i włożył je na nos. Mówił dalej spokojnym głosem.

- Jego szczątki fale wyrzuciły na brzeg kilka dni później. Starł się wyswobodzić, pokaleczył się i wtedy pojawiły się rekiny.

Znowu ruszył naprzód.

- Od tego czasu nigdy z nikim się nie zaprzyjaźniłem. Nigdy też nikomu nie opowiedziałem o Brennie.

Milczał przez kilka minut. Dotarli do ogrodzenia terenów ambasady i zaczęli iść wzdłuż płotu.

- Komunizm to złośliwa choroba. Walczyłem z nim przez dwadzieścia lat - powiedział Lord ledwie panując nad gniewem. - Jest jak krwinki, które wszędzie docierają. Teraz dotarły do Wietnamu i jeżeli wygrają, przemienią ten kraj w obóz koncentracyjny, podobnie jak to się stało z Rosją, Chinami i Koreą Północną.

Jego gniew był tak wielki, że aż wprawiło to Gibbona w zdumienie.

- Marshall ma zamiar do tego dopuścić. Myśli o swoim synu, jakby inni nie mieli synów. Przywdział na siebie płaszcz zasad, sumienia i etyki, a w efekcie jego działania komuniści zdobędą ten kraj.

- Moim zadaniem jest dopilnować, żeby mu się to nie udało - ciągnął dalej z furią - i gównu mnie to obchodzi, jak to osiągnę. Zostawiam sumienie historykom, tylko najpierw muszę zagwarantować, żeby to nasi historycy napisali tę historię. Niech się bawią w rozważania nad dobrem i złem. Niech akademicy uczeni roztrząsają najdrobniejsze szczegóły, niech liberałowie kłócą się o zasadnicze dla nich różnice jak ci, wiezieni w dwukołowych wózkach na plac Concorde kłócili się o to, czy ich głowy spadną w sierpniu czy we fructidorze, albo jak te niezliczone rzesze Żydów wiezionych do Dachau, spierali się o ważne kwestie rabiniczne.

Zatrzymał się i zdjął okulary. Spojrzał Gibbonowi w oczy i mówił dalej spokojnym głosem:

- Nie lubię gwałtu. Od gwałtu ludzie stają się brutalni i głupieją. Siła i gwałt przytępiają intelekt i rozsądek. Strach niszczy sens. Jestem zdecydowanie przeciwny programowi Feniks i przekazałem swoją opinię wszystkim, z Langley włącznie.

- Nie wiedziałem o tym, sir. Myślałem, że wszyscy popierają ten program.

- Wszyscy oprócz mnie. On się wymknie spod kontroli. Gwałt zawsze wymyka się spod kontroli. Pozwalając na to, by terenowi agenci CIA niższego szczebla oraz lokalne władze wietnamskie identyfikowały i likwidowały kadry Wietkongu, program przeistoczył się wkrótce w serię przypadkowych morderstw. Wkrótce zaczęło się współzawodnictwo w identyfikowaniu kadr nieprzyjaciela, później ustalili się kontyngenty, a cel, jakim jest zdobycie informacji zostanie zaprzeczony, najważniejsze stanie się liczenie głów.

Lord pokręcił głową.

- Gwałt prawie zawsze przynosi skutki odwrotne, niż się oczekiwało. Można zmienić zdanie, zacząć kierować się inną ideą, zrewidować teorię, ale nie naprawi się skutków gwałtu. Gwałt zostawia po sobie rany i przysparza wrogów. Jest tak łatwy, że ludzie zaczynają na nim polegać, a potem staje się dla nich obowiązujący.

Patrzył uważnie w oczy Gibbonowi.

- Jest prawie zawsze błędem. Chcę, żebyś to zapamiętał. Chcę, żebyś się tego nauczył.

- Tak jest.

- Ale są momenty, kiedy gwałt jest absolutnie niezbędny, kiedy nie ma innego wyjścia.

- Tak jest.

- Myślę, że teraz przyszła taka chwila. Mam zamiar poprosić cię, żebyś coś zrobił, ale chciałbym też, żebyś zrozumiał, że nie musisz tego robić. Nie jesteś robotem. Nie jesteś moją marionetką. Ja też nie jestem robotem ani niczyją marionetką. Zdarzało mi się odmawiać wykonania powierzonych mi zadań. To nie tylko nasze prawo. To czasami nasz obowiązek. Czy rozumiesz?

- Tak jest.

- Przysięgam ci na martwe ciało Brenta Harwooda, które wyciągnąłem z oceanu, że nie będę ci miał za złe, jeśli odmówisz. Nie zmieni to naszych stosunków ani mojej dobrej opinii o tobie.

- Tak jest.

- Chciałbym, żebyś uszkodził helikopter ambasadora Marshalla. Chcę, żeby helikopter spadł, i to w taki sposób, żeby nigdy nie można było wykryć powodu awarii.

Gibbon patrzył prosto w oczy Lorda i powiedział bez chwili wahania:

- Kiedy mam to zrobić, sir?

- Nie będę cię kryć, jeżeli coś się nie uda. Nie kazałem ci tego robić. W rzeczywistości w ogóle o

tym nie rozmawialiśmy.

- Rozumiem, sir. Lord skinął głową. - Powiem ci kiedy.

Gibbon nie odwracał wzroku.

- Nigdy nikogo w życiu nie całowałem w dupę, ale chciałbym, żeby pan zrozumiał jedno. Wierzę w pana. Dziękuję, że mi pan zaufał, sir. Zrobię wszystko, co pan powie, sir.

- Dziękuję, Jeff. Dziękuję bardzo. - Lord powiedział to naprawdę szczerze.

Bernard Lacouture sprawdził sobie puls. Był bardzo szybki. Dotknął ręką piersi. Serce waliło gwałtownie.

Och, przeklęty zółtek! Umrę przez niego, pomyślał Lacouture wściekły. Serce człowieka jest zdolne wykonać tylko określoną ilość uderzeń. Zużył co najmniej roczny zapas, czekając na Bui Cao Kima.

Było mu również zbyt gorąco, więc wachlował się gazetą, której nie przeczytał, bo był zbyt podniecony. Cały garnitur miał zasypyany okruszkami. Na marynarce widać też było plamę z dżemu. Przeklęty Kim! Gdzie się podział? Robi to oczywiście celowo. Przewrotność i tyle. Orientalne okrucieństwo. Tortury! Plama z dżemu z czarnej porzeczeki! Nigdy się nie spierze, pomyślał Lacouture.

Przyłożył rękę do piersi. Rytm był nieregularny. Będzie miał atak serca. Chyba wypił za dużo kawy. Rano z cykorią, później z mlekiem, a jeszcze później z ekspresu. Ile filiżanek wypił czekając? Siedem? Osiem? Tyle cukru dżemu i ciastek. Nic dziwnego, że jego puls wali w rytm uwertury Rossiniego.

Siedział na tarasie „Continentalu” już pięć godzin. Był zmuszony jeść lunch w obecności Amerykanów. Omal nie umarł. Ta wulgarność, ten hałas!

Kim zrobił to celowo. Złośliwy, sadystyczny karzeł. Zapłaci za to!

O Boże, pomyślał, kiedy się przekonał, że zupełnie nie ma czucia w nogach. Siedział tak długo, że mu zdrętwiały. Chciał odsunąć krzesło, ale zdrętwiałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Będzie musiał tkwić tu bez końca. Będzie musiał zjeść kolację z Amerykanami! Zmagał się z krzesłem, popychał je, omal nie przewrócił się do tyłu, ale wreszcie udało mu się je odsunąć od stołu na tyle, że mógł pomasażować zdrętwiałe nogi. Przynajmniej będzie mógł się stąd wydostać.

Żeby tylko serce się uspokoiło.

To był zmarnowany dzień. Nie udało mu się nawet przeczytać gazety ani na niczym się skoncentrować. Nawet na rozmowie z Lordem.

Zadrżał na myśl o Wilsonie Abbotcie Lordzie. Co za gad! Amerykański Bui Cao Kim, tylko niezbyt godny zaufania. Absolutnie zdradliwy, ponieważ wierzy w to, co robi.

Coś podobnego!

Gorliwiec. Niech Bóg chroni mnie przed ludźmi moralnymi, pomyślał. Zawsze wolę niemoralnych.

Wszyscy Amerykanie to gorliwcy. Są przerażający. To dlatego, że jako naród są tacy młodzi i niedojrzali.

Niemcy też są przerażający, ale w ich przypadku wynika to z tego, że zatrzymali się w rozwoju. Prawdziwe zatwardzenie. Chińczycy i Wietnamczycy też są przerażający, ale to tylko krwiożercze prymitywy.

Amerykanie są po prostu niebezpieczni. Cały ten nonsens o ideałach i zasadach! Cała ta religia. Jak Święty Mikołaj albo wróżki - nieszkodliwe w przypadku dzieci, ale groźne, gdy dotyczy to dorosłych.

1 cała ta ich energia! Ciągłe zajęci, zajęci i zajęci. Ideały, przekonania, moralność. Zbyt nużące.

Hipokryzja! Obłuda¹ Głupota!

Znów dotknął piersi i sprawdził puls. Lepiej.

Pomogło mu zastanawianie się nad Lordem i Amerykanami.

Lord. I pomyśleć, że Lord rzeczywiście przypuszczał, iż zaufa mu w sprawie otwarcia rachunku bankowego i przelewu pieniędzy!

Niesamowite!

Amerykanie chcą zabić swojego wysłannika, bo o kim innym mógł mówić Lord? Całkiem rozsądne pragnienie. Nic niezwykłego. Ale oczekiwać, że on, Lacouture, pomoże im za obietnicę przelewu na rachunek bankowy? Absolutnie oburzające!

Oczekiwano od niego, że uwierzy agentowi CIA, że wywiąże się z obietnicy? Na słowo? W

głowie się nie mieści!

Znowu sprawdził puls. Był już prawie normalny.

Gotówka! Połowa z góry. Tego będzie się domagać. Pieniądze odbierze osobiście i prześle spokojniutko przez Hongkong na swoje tajne konto w banku szwajcar* skim. Wtedy i dopiero wtedy wystawi Marshallowi przynętę, i wprowadzi w życie plan.

Jego rola jest łatwa. Politycy i dyplomaci są beznadziejnie naiwni. Trudna część - pilot, który doprowadzi maszynę do celu, i atak nieprzyjaciela - zależały już od innych. Duży stopień niepewności. Dlatego domagał się płatności z góry. Nie miał zamiaru zaprzepaścić tych pieniędzy z powodu tego, że ktoś źle odczyta mapę albo jakiś żołnierz krótkowidz użyje rosyjskiej rakiety, która prawdopodobnie nie zadziała.

Tak. Gotówka. Gotówka dla niego i dla jego Dzikusa. Jeżeli Lord mówił poważnie, zapłaci. To było proste. Jeżeli Lord będzie się wahać, sprawa stanie się nieaktualna.

Dostanie i tak dość pieniędzy od komunistów. Może nie tyle, ile Lord gotów jest zapłacić, ale i tak wystarczy mu na życie w Cannes. Oferta komunistów była szczerą. To pewne. Jeżeli proponują pieniądze, to znaczy, że chcą zapłacić. Język pieniędzy zawsze był im obcy. Nie szastają nimi jak Amerykanie, więc, kiedy mówią o gotówce, mówią szczerze.

Nawiązał kontakt z komunistami natychmiast po rozmowie z Lordem. Ich odpowiedź była wyjątkowo szybka, ale nie taka, jakiej się spodziewał. Tak. Wyznaczą czas i miejsce spotkania z ważnym Amerykaninem, ale to będzie prawdziwe spotkanie. Są gotowi negocjować z nim i nie chcą go wykończyć.

Teraz obie strony, CIA i armia północnowietnamska, były gotowe zapłacić mu za zorganizowanie spotkania. Zorganizuje to spotkanie. Co się potem stanie, negocjacje czy zabójstwo, nie ma dla niego znaczenia. Jedno, co musi zrobić, to nie ujawnić Lordowi prawdziwych motywów działania Północnych Wietnamczyków. Działanie ryzykowne, ale czuł, że sobie poradzi.

Znowu dotknął nadgarstka. Puls był zupełnie normalny. Odetchnął głęboko i wypuścił powietrze z zadowoleniem. Jednak jakoś to przeżyje.

Nagle Bui Cao Kim zaczął wchodzić po schodach, a raczej skradać się po nich jak w jakimś dziwnym melodramacie. Lacouture znów nie mógł złapać tchu, a serce zaczęło mu walić gwałtownie.

Kim rozejrzał się ukradkiem.

Idiota! - chciał wrzasnąć Lacouture. Robisz to codziennie. Wszyscy od Sajgonu po Mandalaj wiedzą, kim jesteś i co robisz.

Kim podkradł się bliżej.

Idiota! Lacouture chwycił się za pierś. Umrze, zanim ten paskudny żółtek dowlecze się do stołu!

Wreszcie Kim dotarł do niego. Rozejrzał się po raz ostatni, wyjął z kieszeni zwiniętą karteczkę i położył przed Lacouturem.

Francuz chwycił ją. Omal jej nie rozdarł, otwierając. Ręce drżały mu tak bardzo, że nie mógł odczytać znaków. Stwierdził tylko, że ideogram „dom” był do góry nogami. Kretyn!

Odepchnął się od stołu i omal nie przewrócił się, próbując wstać. Nogi mu znowu zdrętwiały. Wyprostował się i wcisnął kartkę do kieszeni marynarki.

- Chodź - powiedział, rzucając pieniądze dla kelnera na stół. Ruszył niepewnie przez taras, potrząsając nogą co parę kroków, żeby prędzej przywrócić krążenie. Równocześnie starał się zachować godność i zasłonić płamę po dżemie na marynarce.

- Gdzie byłeś? - omal nie wrzasnął, kiedy wreszcie znaleźli się na chodniku.

Kim odpowiedział po japońsku.

- Co? - wrzasnął Lacouture.

Kim powtórzył cierpliwie znowu po japońsku.

- No cóż. Pan Lord też cię widział - powiedział zirytowany Lacouture po francusku. - Zna ciebie tak samo, jak ty znasz jego. Mów po francusku. Nie mogę myśleć po japońsku.

Ludzie odwracali się na dźwięk podniesionego głosu Lacouture'a i przyglądali się dwóm mężczyznom idącym chodnikiem. Lacouture, drepcząc swymi dziwnymi, drobnymi kroczkami, zeszedł na jezdnię i omal nie wpadł pod rykszę.

- No i? - zapytał, kiedy znalazł się bezpiecznie znowu na chodniku.

- On tam mieszka - powiedział Kim tajemniczo.

- Tak? I co?

- Myślę, że powinien pan być bardzo ostrożny. Jest niebezpieczny. To bardzo twardy człowiek.

- No i? - Lacouture aż zadrzał z rozkoszy.

- Ma kobietę.

- Cóż.

- To kurwa.

- Oczywiście, że to kurwa! - krzyknął. - Któż inny mógłby to być.

- Jest narkomanką.

- Oczywiście. Jest narkomanką jak wszystkie kurwy. Nie wysłałem cię tam, żebyś dowiadywał się rzeczy, których mogłem się domyślić siedząc na tarasie.

- Wyciągnął ją z burdelu zaledwie kilka dni temu. Lacouture mruknął coś na wiadomość o takiej rozrzutności.

- W burdelu jest taniej. Nie ma dodatkowych kosztów.

- Ale nie tak wygodnie - zauważył Kim.

Lacouture skinął głową. Wygoda i koszty to sprawa indywidualnej decyzji. Nie ma o co się spierać. Rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Czy jest ładna? - zapytał i zaczął wyobrażać sobie, że ich podgląda. Kim wzruszył ramionami.

- Jest brudna.

To jeszcze bardziej rozpałiło Lacouture'a. Dzikus i brudna dziwka. Wspaniałe! Lacouture omal nie zemdlał.

- Ma zażółcone zęby - dodał Kim.

Na to już nie starczyło mu wyobraźni.

- Opowiedz resztę - powiedział niezadowolony.

- W ciągu dnia pracuje w ambasadzie amerykańskiej.

- Jaki jest jego słaby punkt? - zapytał Lacouture.

Kim spodziewał się tego pytania. Zwlekał ze spotkaniem z Lacouturem nie z przewrotności, ale żeby przemyśleć dokładnie sprawę, a potem cały dzień biedził się, żeby przenieść swoje przemyślenia na papier i pięknie wykaligrafować. Teraz kartka ta tkwiła w kieszeni Lacouture'a. Nie wspomniał o ważnym Amerykaninie.

- Myślę, że jego słabym punktem jest ta dziewczyna - powiedział Kim i popukał się w piersi. - Miłość.

- Ta kurwa? - Lacouture nie mógł uwierzyć.

- Wielu mężczyzn kocha kurwy - powiedział Kim. - Niektórzy nawet się z nimi Żenią.

Lacouture popatrzył na niego żalonym wzrokiem.

Szli ulicą Tu Do, gdzie obaj dobrze się czuli. Karnawał uliczny dopiero się zaczynał. Trwały przygotowania. Kurwy, jeszcze nie umalowane, kręciły się grupkami po ulicy. Właściciele burdeli stali przed drzwiami i podnosili twarze, wystawiając je na ostatnie promienie słońca, zanim znikną w swoich jaskiniach. Handlarze narkotyków kręcili się leniwie. Żebracy szukali dla siebie miejsca, rozkładając maty i przygotowując swoje atrybuty. Występy jeszcze się zaczęły. Świąteł jeszcze nie zapalono. Neony jeszcze nie błyskały. Z barów nie dobiegał jeszcze hałas.

- Musisz mi pomóc - powiedział Lacouture.

- To nie będzie łatwe - odparł Kim. - Ten mężczyzna jest inny niż... tamci. - Miał na myśli legionistę Lacouture'a. - Pieniądze mogą nie wystarczyć.

- Bzdura - powiedział Lacouture. - Pieniądze zawsze wystarczą. Nawet rozsądek ma swoją cenę. To się nazywa opłacalność.

Wiedział jednak, że Kim się niepokoi. Będzie musiał go przekonać.

- Mój drogi Kim - powiedział. - Mówimy o ubogim, niewykształconym żołnierzu. Chcę potargować się o jego nikłe zasoby, chociaż nie uznaję ich za nikłe. Chcę mu złożyć propozycję handlową. Chcę jego ciała. Chcę, żeby mi je sprzedał. Zapłacę. Więc o co chodzi?

To jest bardzo rozsądne, pomyślał.

Kim w dalszym ciągu był pełen wątpliwości.

- On jest Amerykaninem. Lacouture zatrzymał się oburzony.

- Czy sugerujesz - powiedział zimno - że tylko Francuzi i Wietnamczycy się sprzedają?

Piorunował go wzrokiem.

- Czy myślisz, że Amerykanie się nie sprzedają? Oczywiście, najpierw sprzedają innych, ale - znając świat kapitalistyczny - nie zawahają się sprzedać i siebie.

Kim nie potrafił tego wyjaśnić, chociaż sam jasno to rozumiał. Jakikolwiek wyjaśnienia z jego strony jeszcze bardziej zdenerwowałyby Lacouture'a. Nie mógł przecież przyznać, że tak, Francuzi i Wietnamczycy to kurwy, ale Amerykanie mają... - jak to ta bezzębna kurwa powiedziała? - serce. Ten Amerykanin ma serce. To będzie trudne i niebezpieczne.

- Może są inne sposoby? - powiedział Kim.
- Oprócz pieniędzy? - zdumiał się Lacouture. - Jakie?
- Może siła? Może trzeba będzie zabrać mu kobietę?
- Co ja bym miał robić z tą nieszczęsną kobietą?
- Porwać ją.
- Ach! - zawołał Lacouture nareszcie rozumiejąc. - Zakładniczka? Zastanawiał się przez chwilę.
- Tak na pewno byłoby taniej, prawda? Musiałbym ją tylko karmić.
- Narkotyki - powiedział Kim.
- Mój drogi Kim, jesteś cudowny. Nafaszerować ją narkotykami do nieprzytomności. Co on zrobi? Złoży doniesienie? Kogo będzie obchodzić zaginiona kurwa? Wspaniale, mój drogi Kim. Tak zrobimy. Porwiemy ją natychmiast.

Kim nie był na to przygotowany. Chociaż nikogo nie będzie obchodzić zaginiona kurwa, jeżeli osobisty ochroniarz tego ważnego Amerykanina złoży skargę, mogą wyniknąć kłopoty. Kim nie był jeszcze gotów powiedzieć Lacouture'owi o tym ważnym Amerykaninie, którego pilnuje jego dzikus.

- Najpierw trzeba zaproponować pieniądze - powiedział Kim. - To jest najłatwiejsze.
- Wydaje mi się, że tak - przyznał Lacouture po krótkim zastanowieniu. Ukrywanie kurwy i narkomanki nie będzie ani tanie, ani proste, ani pozbawione ryzyka, pomyślał. - Dobrze... Dobrze - powiedział zirytowany. - Ile powinienem zaoferować?
- Pan zna kursy walut lepiej niż ja - powiedział Kim z zamierzoną ironią. Lacouture skrzywił się - dotyczyło to zarówno Kima jak i myśli o pieniądzach.

Czy nie ma już nic świętego? Jak można mówić o pieniądzach w kontekście z taką sprawą jak miłość?

To oczywiście będzie musiała być duża suma. Suma, której żołnierz nie potrafi odrzucić. Nie ma sensu tracić czasu na targowanie się. Będzie to musiał załatwić sam.

Duża suma w transakcji, którą sam wynegocjuje. Jakie to podniecające! Potrzebował teraz jakiegoś planu nawiązania kontaktu, żeby móc złożyć propozycję. Pieniądze nie stanowiły problemu wobec tego, co Lord i Północny Wietnam mają mu zapłacić. Za to mógłby sobie kupić batalion wojska.

Nagle, zaskakując nawet Kima i przyprawiając go niemal o atak paniki, powlókł go na drugą stronę ulicy na spotkanie z Wilsonem Abbotem Lordem, który siedł za nimi od chwili, kiedy wyszli z „Continentalu”.

Lacouture wyciągnął chusteczkę i otarł czoło, a potem zamachał nią przed twarzą Lorda.

- Gotówka, mój drogi Amerykaninie. Tylko gotówka. Żadnych czeków, banków, weksli czy używanych opon. Połowa z góry do ręki, *cheri. Au revoir, cheri.*

Wymachując chusteczką, oddalił się prawie w podskokach.

XXII

Landis obserwował szczura przemykającego przez podziemny bunkier. W nocy towarzyszyły im tylko szczury. Otworzył puszkę i wrzucił kilka okruchów jedzenia za plecaki, gdzie zniknął szczur. Potem wsadził kawałek mięsa do pułapki i przysunął ją do plecaków.

Wiedział, że szczury nie są głupie. Szczur widział, jak zastawia pułapkę. Gra była więc czysta. Decyzja należała do niego. Landis czekał i rutynowo wywoływał płacówki, nie odrywając oczu od pułapki.

Szczur wysunął się spomiędzy plecaków, bez zainteresowania obejrzał przynętę i wycofał się.

Landis spojrzął na zegarek, wstał i podszedł do kąta, w którym spał sierżant Brock. Pochylił się, ale jak zawsze Brock obudził się, zanim zdążył go dotknąć. Landis wycofał się.

- Piąta.

- W porządku. Już nie śpię. Brock zamknął oczy.

Landis podszedł do drugiego kąta.

- Poruczniku?

Bishop poruszył się, odwrócił i otworzył oczy.

- Już piąta, sir. Bishop przeciągnął się.

- W porządku. Możesz już iść.

Wreszcie wolny, Landis wyszedł z bunkra i odetchnął głęboko, nabierając w płuca rześkie poranne powietrze. Ruszył w kierunku swojego bunkra, pokonując po ciemku teren z zamkniętymi oczyma. Starał się trafić bez patrzenia i tak, żeby się potknąć najwyżej raz. Chociaż nie spał przez całą noc, nie był zmęczony. Chciałby może pobiegać albo zмагаć się z kimś, lub krzyczeć na cały głos, zrobić cokolwiek, żeby poczuć, że żyje, i dać wyraz radości, jaką przeżywał. W ciemnościach jednak nie było nic i nikogo, z kim mógłby podzielić się swymi uczuciami. Tylko kilku mężczyzn owiniętych w pałatki patrzyło obojętnie w kierunku zasieków.

Przy swoim bunkrze zawahał się. Nie miał ochoty wchodzić do środka, ale nie miał też nic lepszego do roboty. Pomyślał, żeby może napisać do rodziców, tylko że pisanie listów trwa tak długo, a poza tym przypomniał sobie, że przecież napisał wczoraj. Miał tę książkę od Coneya, ale nie mógł wyjść poza trzecią stronę, bo było w niej zbyt dużo słów, których nie rozumiał, a całe opowiadanie i tak było trochę bez sensu. Coney powiedział, że jest o wielorybie, a wieloryby nie interesowały Landisa. Wszyscy spali. Nie był głodny. Podjął już decyzję w sprawie samochodu. Będzie czarny z zewnątrz i czarny w środku. Więcej nie miał już nic do roboty.

Położył się na piasku i zaczął robić pompki. Doliczy do dziesięciu i zacznie liczyć od nowa. W ten sposób nigdy nie wiedział, ile pompek zrobił w sumie, przez co cała czynność nie była dążeniem do jakiegoś celu. Kiedy zmęczył się,

przekręcił się na plecy, zaczął robić skłony, licząc w ten sam sposób. Robił to z niezwykłą szybkością. Jego ciało działało jak sprężyna. Przez cały dzień, kiedy nudził się albo był spięty, wykonywał ćwiczenia. Dysponował niezwykłą siłą i szybkością. Koledzy kpili sobie z niego na temat jego kulturystyki, która, jak wiadomo, jest dobra tylko dla pedałów.

Stękał z wysiłku i bolały go mięśnie, ale ćwiczył jeszcze usilniej, ponieważ kiedyś powiedziano mu, że ćwiczenia nie dają nic, dopóki nie poczuje się bólu.

Z bunkra odezwał się gniewny głos.

- Co tam się dzieje?

Przez otwór wejściowy wyrzwał Josh Martin.

- Zupełnie jakby świnię się pieprzyły.

przerwał ćwiczenia.

- Myślałem, że śpisz.

••• Landis

- Spałem, dupku.

Cofnął się i przykrył pałatką. Landis wszedł za nim do środka, usiadł pod ścianą i rękami zaczął ścierać pot z czoła.

- Słuchałem radia i dowiedziałem się o patrolu, który wpadł w zasadzkę. Jeden z chłopaków zaginął. Żółtki go złapały. Wiesz, jak lubią torturować. Słyszałem, że obcinają palce kawałek po kawałku, wydłubują oczy i wsadzają igły do kutasa. Czy myślisz, że nic nie wygadałbym? Człowieku, powiedziałbym im wszystko, czego chcieliby się dowiedzieć. Nie byłoby sposobu, żeby mnie zmusić do milczenia.

Martin szczelniej otulił się pałatką.

- Przecież nic nie wiesz.

- Mógłbym narysować im mapę.

- Gówno tam. I tak wiedzą, gdzie wszystko jest. Przecież to ich pieprzony kraj. Landis starał się przypomnieć sobie coś, o czym wiedział, a o czym nieprzyjaciel mógł nie wiedzieć. Wreszcie pokręcił głową.

- Masz rację. My nic nie wiemy. Rozpogodził się.

- Nie będą musieli mnie torturować.

- Słusznie mówisz. Po prostu odstrzelą ci dupę. Landis popatrzył na niego z zadowoloną miną.

- Nie dostaną mnie. - Skoczył na Martina. - Mam cię! Mam cię, ty brudny piechociarzu. Oberwę ci jaja.

Podskakiwał na wijącej się na ziemi postaci, dopóki obaj nie przewrócili się konając ze śmiechu. Potem dogadywali się, jakie puszki otworzą na śniadanie. Później umyli się i ogolili i próbowali wymyślić coś do roboty, żeby dzień minął prędkiej.

W głównym bunkrze dwaj mężczyźni wciąż leżeli i nie chcieli im się wstać. Wreszcie Bishop przekręcił się, podłożył ręce pod głowę i wpatrywał na sufit desek.

- Co będziesz robić, kiedy wrócisz do domu, sierżancie?

- Pieprzyć. Jeść. Jeść i pieprzyć. Pieprzyć i jeść.

Bishop przyglądał się szparom między deskami nad głową.

- Ja jeszcze nie wiem, co będę robić.

- Myślałem, że będzie pan grać w futbol.

- Nie zawodowo. Nie byłem na tyle dobry. Może wrócę do szkoły. Zrobię magisterium. Może zostanę w wojsku. Bywają gorsze rzeczy.

- Co?

Nagle rozległ się trzask i pojedynczy wysoki pisk. Pułapka uderzyła kilka razy o plecaki i zapadła cisza.

- Cholerny Landis - powiedział Bishop z obrzydzeniem. - Mówiłem mu setki razy, żeby tego nie robił. Któregoś dnia sam nastawię pułapkę i złapię tego sukinsyna. Teraz trzeba posprzątać. Po jaką cholere on zabija te szczury?

- Szczury są brudne - powiedział Brock.

- Nie dla innych szczurów. Może miał rodzinę? Brock spojrzał na niego spod pałatki.

- Może rzeczywiście lepiej, żeby pan został w wojsku, panie poruczniku. Wątpię, czy da pan sobie radę w prawdziwym świecie.

Radio zaczęło trzeszczeć. Bishop odrzucił pałatkę i poszedł zgłosić się. Weź wanie dotyczyło rutynowych spraw zaopatrzeniowych. Bishop udzielał zwięzłych odpowiedzi dowódcy kompanii, a potem ponowił prośbę o wycofanie. Odpowiedź była znowu negatywna.

Bishop rzucił mikrofon i przykucnął, żeby zrobić kawę. Zapalił paliwo w tabletkach pod puszką z wodą.

- A więc sprawa jest przesądzona. Muszę tam pójść.

- Gdzie?

- Na wzgórze. Pamiętasz „przeciwstawić się”? O to właśnie chodzi.

- Chce pan zdobyć kolejny medal, panie poruczniku? Bishop nalał wrzątku do manierki, wysypał kawę i zamieszał.

- Mam plan.
Brock otulił się pałatką.

- Lepiej załatwić faceta, który układa plany dla żółtków. Nie chcę słyszeć o żadnych planach pana porucznika. - Przykrył się z głową. Bishop udał, że tego nie widzi.

- Ulokuję dwuosobowy zespół na wzgórzach dziś w nocy. Jak przyjdą żółtki, wpadną w zasadzkę.
Nie było odpowiedzi.

- Dwóch ludzi z karabinami snajperskimi. Muszę to zrobić. To jedyny sposób, żeby zyskać na czasie.

- Niech pan przestanie się bawić, panie poruczniku - odezwał się Brock spod pałatki. - Zginie dwóch ludzi. Jeszcze dwóch.

- Raz spieprzyłem sprawę, sierżancie. Wiem o tym. Nie mogę jednak siedzieć tutaj i czekać, aż nas znowu zaatakują. Muszę zaatakować pierwszy. To moja szansa, żeby naprawić poprzedni błąd.

- Lub spieprzyć sprawę jeszcze gorzej. Bishop pokręcił głową.

- Dwóch ludzi może tego dokonać, sierżancie. Wiem o tym. Tylko dwóch ludzi. km luz tam był. Sutherland albo Frizzell. Który, sierżancie⁷

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, panie poruczniku. Bishop przypomniał sobie wyraz oczu Frizzella.

- Frizzell i jeszcze ktoś. Ktoś, komu można całkowicie zaufać. Zastanawiał się przez chwilę. - Landis. Frizzell i Landis. Im może się udać.

- Czy wie pan, że wybrał pan dwóch najbardziej tępych facetów na wzgórzu? - zapytał Brock.

Późnym popołudniem Bishop wyszedł z bunkra. Niebo było bezchmurne. Jeszcze ani śladu zbliżającego się monsunu. Noc będzie idealna dla strzelca wyborowego.

Landis czytał komiks, kiedy Bishop przykucał przy wejściu do bunkra. Bishop patrzył, jak uważnie przyglądał się każdemu rysunkowi, a oczy jego powoli przesuwają się po stronie. Kiedy Landis usłyszał Bishopa, podniósł głowę z pytaniem w oczach.

- Co czytasz, Malt?

- „Wonderdog”. To mój ulubiony. Będzie pan chciał przejrzeć, kiedy skończę, panie poruczniku?

- Tak. Kiedy skończysz - powiedział Bishop z uśmiechem. Landis wskazał na stos komiksów ułożonych starannie w kącie.

- Może pan pożyczyć, jak tylko pan będzie miał ochotę. - To mówiąc podniósł ciężką książkę. - Albo może pan wziąć tę pieprzoną rzecz. To Coneya. O jakimś wielorybie czy o czymś, ale nie mogę z tego zrozumieć.

Bishop patrzył na młodą, pełną zapału twarz, której nie naznaczył jeszcze wiek, na której nie było śladu niepokoju.

- Mam dla ciebie specjalne zadanie, Matt. Chciałbym, żebyś przyszedł do mojego bunkra za godzinę. Zabierz żarcie na jedną noc.

Landis skinął głową, ale zanim zdążył o cokolwiek zapytać, Bishop już odszedł. Frizzella Bishop znalazł siedzącego z Coneyem przed bunkrem. Żartował z nimi przez chwilę, a potem zwrócił się z powagą do Frizzella.

- Chciałbym, żebyś mi pokazał pozycje nieprzyjaciela na wzgórzach. Bądź gotów za godzinę. Potrzebuję kogoś, kto już tam był. Przykro mi, że musisz iść tam znowu tak szybko, ale potrzebuję cię.

- Nic nie szkodzi, panie poruczniku. Bishop spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Nie szkodzi?

- Nie mam nic lepszego do roboty. - Frizzell się uśmiechnął.

Bishop przyglądał się uważnie jego twarzy. Była pełna niewinności, otwarta, niepobruźdzona i beztroska. Spojrzał na łańcuch wzgórz, a potem znowu na Frizzella.

- Lubisz zabijać, Les? Frizzell pokręcił głową.

- Nie o to chodzi, panie poruczniku. Lubię tam chodzić. Czas szybciej mija.

Kiedy obaj stawili się w bunkrze, Bishop opasał się taśmami z amunicją. Podał Landisowi i Frizzellowi karabiny.

- Mają snajperskie celowniki na podczerwień. Widać przez nie w nocy. Podnieśli broń do ramienia i patrzyli przez celowniki noktowizyjne w ciemne

kąty bunkra. Landis gwizdnął i przyglądał się karabinowi z podziwem.

- Co to jest podczerwień?

- Coś jak prześwietlenie u lekarza - wyjaśnił Bishop. - Można widzieć w ciemności, samemu nie będąc widzianym. Wybierzemy dobre miejsce na zasadzkę i zostanieie tam, dopóki nie przyjdą.

Frizzell popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Nie zobaczą was w ciemności, a wy będziecie mogli wystrzelić przynajmniej dziesięć razy, zanim zareagują. Wtedy rzucacie granaty i spieprzacie, aż się kurzy. Sprawdzimy teren dokładnie, żeby upewnić się, że nikogo tam nie ma. Pojawią się dopiero późno. Kiedy zaczniecie strzelać, rozbiegną się. Znikniecie, zanim zdołają zareagować, a ja przekażę wiadomość artylerii, jak tylko zaczniecie się wycofywać.

Landis był pod wrażeniem.

- Myślę, że to świetny plan. Frizzell zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami,

- W porządku.

- Wybrałem was bo jesteście naszymi najlepszymi strzelcami, a poza tym ufam wam, chłopaki.

Wyglądali na zadowolonych i dalej oglądali karabiny.

- To jest naprawdę ważne. Wszystko od was zależy. - Poklepał ich po ramieniu i gestem wskazał na schody.

Czekali na zewnątrz na grzbiecie wzgórza, patrząc na ciemniejące niebo.

- Boisz się? - zapytał Bishop Landisa. Landis uśmiechnął się.

- Nie - powiedział i szturchnął żartobliwie Frizzella. Bishop pomyślał: to dziecko, zdrowe, szczęśliwe dziecko z karabinem.

Bishop zauważył, że twarz Frizzella zaczęła tężeć, zmieniając się w maskę. Nie była to maska okrutna, ale sprawiało to takie wrażenie, jakby jakaś niewidzialna dłoń przesuwała się po twarzy Frizzella, wygładzając fałdy i napinając mięśnie wokół oczu i ust. Miałem rację, pomyślał Bishop patrząc na obu prawie z dumą. Wilk-morderca i dziecko-morderca.

Zeszli we trójkę ze wzgórza, przeszli przez zaskieki i o zmierzchu znaleźli się u podnóża łańcucha wzgórz. Szybko zbadali teren, aż Bishop nabrał pewności, że na wzgórzach nie było nieprzyjaciela.

Frizzell zaprowadził ich do kompleksu bunkrów. Przyklękł i stwierdził, że pułapki nie są naruszone.

- Nikt ich nie dotykał od czasu, kiedy tu byliśmy. Dlaczego nie wrócili? Bishop przyglądał się nieprzyjacielskiej pozycji. To nie miałyby sensu, gdyby

nieprzyjaciel opuścił bunkry z powodu kilku prymitywnych pułapek. Spojrzał na niebo i obserwował, jak resztki blasku znikają na horyzoncie. Wyciągnął rękę w kierunku północy.

Posuwali się wzdłuż grzbietu wzgórza i zatrzymali się na niewielkim wzniesieniu, z którego widać było oczyszczony teren. Frizzell wskazał kilka wypukłości na grzbiecie następnego wzgórza.

Bishop zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wietnamscy strzelcy wyborowi mogą ich obserwować i czekać, aż wyjdą na otwarty teren. Tam znajdowały się główne pozycje nieprzyjaciela. Pozostałe bunkry były tylko pozoracją.

Przetarł oczy i wstrzymał oddech. Albo nieprzyjaciel tam jest i zginą, albo go tam nie ma i przeżyją. Ryzykują życie. Skoncentrował się i powoli wypuścił powietrze z płuc. Otworzył oczy i dotknął lekko ramienia Landisa.

- Idziemy na drugą stronę.

Landis żuł gumę. Spojrzał obojętnie na wypukłości, a następnie skinął głową, niczym się nie przejmując.

Frizzell wpatrywał się we wzgórze.

- Myślę, że oni tam są.

- Nie - powiedział Bishop, a potem spojrzał na Landisa.

- Gotów?

Landis uśmiechnął się.

- Niech pan chowa dupę, panie poruczniku.

Pomknęli, rozbiegając się i zmieniając kierunek biegu. Bishop nasłuchiwał huku wystrzałów, a potem rzucił się na ziemię przy grzbiecie następnego wzgórza. Landis przepatrywał wzgórze ukryty wśród drzew. Bishop dał znak Frizzellowi, żeby też przeskoczył otwarty teren i we trójkę zaczęli dokładnie przyglądać się wzgórzom.

Cały teren zajmował ogromny, już prawie ukończony bunkier ze stanowiskami moździerzowymi

i składem amunicji. Mogło się w nim łatwo pomieścić około stu ludzi. W ciągu doby nieprzyjaciel mógł wyprowadzić stąd atak, którego ich wzgórze pewnie nie wytrzymałoby.

Bishop czuł, jak krew pulsuje w nim dziko. Nadchodziła noc. Ciemność wibrowała ruchem i odgłosami. Niedaleko kompleksu bunkrów znalazł niewielkie wzniesienie pokryte gęstymi krzakami.

- Tu jest dobre miejsce - powiedział. - Macie stąd świetne pole ostrzału i dobrą kryjówkę.

Landis i Frizzell zajęli stanowiska, i zdjęli klapki z celowników noktowizyjnych. Bishop podszedł do bunkrów i sprawdził, czy nie widać pozycji wybranej na zasadzkę. Potem wrócił.

- Nie zobaczą was.

Spojrzeni na niego z niepokojem. Teraz nawet Landis miał przestraszoną minę.

- Wiecie, co macie robić - powiedział Bishop. - Przyjdą dopiero później. Nie muszę wam mówić, co to znaczy. Sami widzieliście, co oni tu robią.

Klepnął każdego po ramieniu, potem wstał, rozejrzał się po raz ostatni, ruszył szybko w dół stoku i zniknął.

Obydwaj siedzieli nieruchomo, a lekki wiatr szeleścił wśród liści. Landis gładził zimny metal karabinu. Przebiegł go dreszcz, kiedy napinał mięśnie.

Frizzell zmienił pozycję. Drętwiały mu nogi. Strach i niepokój minęły. Wiedział, że gdyby nieprzyjaciel ich zauważył, już by zaatakował. Trącił Landisa.

- Którą godzinę?

- Dziewiąta dziesięć.

Frizzell rozcierał ciało pod kamizelką przeciwodłamkową.

- Zimno mi.

Przysunęli się do siebie. Landis podniósł broń do ramienia, szukając lepszej pozycji. Przez celownik widział otwarty teren, zupełnie jakby był jasno oświetlony. Opuścił karabin.

- Dostaniemy ich. Jestem pewien.

Narastało w nim podniecenie. Chciał się opanować, ale nie potrafił dłużej wytrwać w bezruchu. Odetchnął głęboko i znów spojrzał przez celownik.

- Chryste, chciałbym, żeby już przyszli - powiedział. - Która godzina?

- Dziewiąta dwadzieścia. - Czy na pewno chodzi?

Landis przytknął zegarek do ucha. Skinął głową. - No... No... - zaczął mówić do siebie.

- Za wcześnie - odezwał się Frizzell. - Przyjdą najwcześniej za godzinę.

- Jezu, chyba nie wytrzymam.

Landis odłożył karabin i zaczął szukać puszek z jedzeniem w kieszeniach spodni. - Masz zamiar teraz jeść? - zapytał Frizzell zdumiony.

- Jestem głodny.

- Chryste, gdybym coś teraz zjadł, to bym się zaraz wyrzygał. Nie masz stracha? Landis wpychał mięso do ust.

- Porucznik wymyślił dobry plan. Jadł z zadowoleniem. Odbiło mu się.

Przed nimi krzaki zaszeleściły. Podnieśli broń. Landis spojrzał przez celownik. Napięcie minęło nagle, kiedy zobaczył rysia. Uśmiechnął się na ten widok, zdjął palec z języka spustowego, ale udawał, że pociąga za spust i ustami bezdźwięcznie udął odgłos strzału. Zwierzę przeszło przez otwarty teren i zniknęło.

Landis opuścił karabin.

- Upolowałem go. Leży.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut. Wreszcie Frizzell odezwał się.

- Która godzina?

- Dziewiąta pięćdziesiąt.

- Jezu, dopiero?

Landis nerwowo bawił się karabinem. Potem zaczął czegoś szukać po kieszeniach. Przypomniał sobie, że już zjadł swoją żywność.

- Zjesz swoje żarcie? - odezwał się szeptem.

- Ty świnię.

- Człowieku, jestem głodny. Jeżeli nie chcesz zjeść swojego żarcia, czy ja mogę? Frizzell podał mu puszkę. Landis oglądał po ciemku etykietę.

- Co to jest?

- Wszystko jedno. Zjadłbyś nawet klopsiki z gówna. I tak wszystko jednakowo smakuje.

- Po prostu lubię wiedzieć, co jem.

Landis zajął się puszką. Kiedy skończył, wytarł usta rękawem i odstawił puszkę obok poprzedniej. Potem postawił ją na wierzchu. Niezadowolony zmienił ich porządek

i wreszcie znowu ustawił je obok siebie. Podziwiał swoje dzieło, a następnie porozmieszczał gałązki wokół puszek. Zadowolony usiadł spokojnie i czekał.

- Ja tu zamarznię. - Frizzella przebiegł dreszcz. Spojrzał przez celownik, odetchnął głęboko i opuścił broń. Żałował, że nie ma z nimi Coneya. Nie lubił takich wypraw. Wiedział, że zadanie jest ważne, i wydawało mu się, że plan jest dobry, ale nie lubił zasadzek. Właściwie nie chciał zabijać nieprzyjaciela i gdzieś w głębi duszy miał nadzieję, że nie przyjdą. Jeżeli przyjdą, zabije ich, ale byłoby lepiej, gdyby się nic nie wydarzyło.

Westchnął i przytulił karabin do ciała. Drżał z zimna i próbował wymyślić coś, żeby czas mijał prędzej. Niespodziewanie poczuł gwałtowny popęd seksualny. Wyprostował się.

- Która godzina? - zapytał z irytacją.

- Dziesiąta piętnaście.

- Jezu, to najdłuższa noc na świecie. Landis położył się niezadowolony.

- Może nie przyjdą. Skurwysyny. Co będzie, jak nie przyjdą? - zapytał z gniewem.

- Jeszcze za wcześnie.

Landis znów spojrzął przez celownik. Dokładnie widział otwarty teren. Wyobraził sobie nieprzyjaciół i przyciskał na niby język spustowy układając usta w kształt słów bum, bum, bum. Odwrócił się do Frizzella.

- Stary, będzie fantastycznie, kiedy się pokażą.

Podniecenie ogarnęło Frizzella wbrew jego woli. Będą bohaterami. Na pewno zrobią coś ważnego. Nawet Coney musiałby to przyznać.

Coś zaszeleściło w krzakach. Podnieśli karabiny. Przez pięć minut obserwowali otwarty teren. Ich ciała znieruchomiały w napięciu. Nie zobaczyli jednak nic i nie dobiegły ich żadne inne odgłosy. Landis opuścił karabin, a Frizzell położył się z westchnieniem ulgi.

Landis podświadomie gładził karabin. Metal rozgrzał się od tarcia i wywoływał miłe wrażenie pod palcami. Chyba oszaleję, pomyślał. Jego niepokój narastał. Czuł, że rozsadza go energia. Uderzył nerwowo w kolbę karabinu. Kiedy przeżywał takie napięcie, zawsze robił ćwiczenia. Teraz nie mógł się rozładować.

Z nadejściem strachu Frizzell przestał odczuwać chłód. Poczuł pot na rękach i wytarł je o spodnie. Bolały go nogi i przeciągnął się bezgłośnie. Masował łydki i uda. Ten dotyk przywrócił mu świadomość własnego ciała. Masował się dalej, aż poczuł podniecenie seksualne. Przestał i nacisnął krocze skręcając się z nie spełnionego pragnienia.

- Czy coś nie tak?

- Stał mi - powiedział Frizzell z zakłopotaniem.

- Teraz?

- Nie mogę nic na to poradzić. Ciągle myślę o babach.

- Ja miałem trypra cztery razy - powiedział Landis z dumą.

- To co ty pieprzysz? Psy?

f

- Wszystko - powiedział Landis z uśmiechem. Znowu spojrzął na otwarty teren* przez celownik. - Jeżeli ci stał, to załatw to. Mnie nie przeszkadza, ale to może spowolnić twoje reakcje. Ja nigdy tego nie robię przed patrolem. Głupio byłoby

zginać z tego powodu. Może powinieneś poczekać, aż wrócimy. Robicie toFUzem z Coneyem?

Frizzell poczuł się obrażony.

- Kurwa, nie.

Landis podniósł broń do ramienia.

- Ciii.

W ciszy nocy zaszła prawie nieuchwytna zmiana. Dobiegły ich odgłosy nie pasujące do łagodnego szumu krzewów, jakiś ruch powodujący wibracje powietrza. Czuło się delikatny, przelotny nacisk na roślinność, szelesty, których nie mógł spowodować wiatr. Badali otwarty

teren, nie odrywając oczu od surrealistycznego obrazu w czerni i bieli w okularze celownika.

Nagle Landis drgnął, kiedy ujrzał powiększony obraz człowieka skulonego wśród drzew naprzeciwko. Szturchnął Frizzella. Żaden z nich nie oddychał, gdy obserwowali nieprzyjacielskiego żołnierza. Widzieli, jak jego usta zacisnęły się, kiedy wychodził na otwartą przestrzeń i zaglądał pośpiesznie do różnych bunkrów, zatrzymując się kilka kroków przed każdym. W celowniku jego obraz był tak duży, że mogli dostrzec białka jego oczu.

Frizzell naprowadził celownik na nasadę jego nosa i czekał na jakąkolwiek oznakę, że żołnierz ich zauważył. Jeżeli tylko podniesie wzrok, rozwałę mu łeb, pomyślał. Żołnierz jednak odwrócił się i gwizdnął cicho.

Natychmiast ze dwudziestu ludzi wyszło spośród drzew i weszło między bunkry. Ich głosy i padające rozkazy wypełniły noc.

Frizzell i Landis czekali, dopóki nie upewnili się, że zebrał się już cały oddział. Wtedy Landis wskazał na grupę kilku żołnierzy stojących razem, a potem na siebie. Wskazał na inną grupę i dotknął Frizzella. Frizzell skinął głową i zmienił położenie karabinu.

Landis skoncentrował się na siedmiu ludziach zgrupowanych w pobliżu bunkra. Mierzył do nich prawie przez minutę, próbując zdecydować się, w jaki sposób może dostać ich najwięcej naraz. Zastanawiał się nad kątami ostrzału. Jeżeli zastrzeli tych dwóch stojących przy wejściu, ich ciała zatarasują bunkier i łatwiej będzie mógł załatwić pozostałych. Dwóch stało tuż obok siebie. Zastanawiał się, czy nie może załatwić ich jedną kulą. Skręcał się z podniecenia, ale zaraz uspokoił się, zamknął oczy i zaczął oddychać głęboko. Otworzył oczy i znowu spojrzął w celownik. Zobaczył, że karabin mierzy w tył głowy jednego z żołnierzy. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

Frizzell widział żołnierzy tak wyraźnie, że mógł policzyć guziki na ich kurtkach. Wszystko działo się, jak powiedział porucznik. Patrzył, jak ustawiali dozory ogniowe dla moździerzy. Skurwysyny. To moździerze zabiły Opieńka i Millera. Myślał teraz wyłącznie o scenie, jaką ma przed oczami. Widział tylko nieprzyjaciela w celowniku. Lufa nie drgnęła nawet na moment. Ciało było odprężone. Zamknął oczy, a potem je otworzył i spojrzął w celownik. Karabin mierzył w pierś żołnierza.

- Teraz - szepnął Landis. Jego karabin wypalił. Zobaczył, jak wybrany cel poleciał do tyłu. Zmienił cel. Wypalił raz i drugi, a potem jeszcze raz. Jego piąta kula trafiła w gardło żołnierza wykrzykującego rozkazy. Scena przed jego oczami przypominała negatyw fotograficzny podświetlony oślepiającym światłem - nieruchomy obraz w całej swojej grozie.

Frizzell metodycznie zastrzelił po kolei sześć ludzi. Jego ostatnia kula trafiła w kręgosłup żołnierza gnającego w stronę lasu. Mężczyzna upadł na twarz, rzucając się jak wyciągnięta z wody ryba. Cała akcja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund.

Nocną ciszę przerwały krzyki i strzelanina.

Landis wyrwał zawleczkę z granatu, rzucił go, a potem jeszcze dwa. Krzyknął na Frizzella i obydwaj zerwali się. Nogi ugięły się pod nimi z powodu odrętwienia spowodowanego wielogodzinnym bezruchem. Wypadli z krzaków, pędząc ku drzewom na wzgórzu. Za sobą słyszeli krzyki i bezładną strzelaninę. Nie zatrzymując się zbiegli po stoku, przemknęli przez otwarte pole, wspięli się na następny stok i padli na ziemię wśród krzaków. Oddychali ciężko, przytuleni do ziemi, wsłuchiwali się w krzyki i strzelaninę.

Landis uderzył Frizzella w plecy.

- Udało się! Dostaliśmy zajebanców. O, Jezu! - wykrzykiwał w ekstazie, podskakując. - Stary, udało się! Udało!

Wzburzenie Frizzella ustąpiło. Wsłuchiwał się w krzyki i zamęt, a następnie skinął na Landisa. Wycofali się spokojnie, biegnąc całą drogę i zatrzymali się tylko na chwilę na otwartym terenie, żeby dać sygnał zieloną rakiętą. Kiedy dotarli do zasieków i zostali wciągnięci do środka, padli wyczerpani na piasek.

Bishop i Brock odepchnęli innych na bok i przyklękali.

Landis przerywanym głosem opowiedział całą historię.

- Było, jak pan powiedział, panie poruczniku. Przyszli grzbietem wzgórza i zaczęli...

- Ilu?
- Chyba ze stu. Cała kupa. Gapili się na...
- Było dwudziestu trzech, panie poruczniku - powiedział Frizzell spokojnie.
- Tak. Dwudziestu trzech. Czekaliśmy przez dłuższy czas i przyglądaliśmy się im. Potem zaczęliśmy strzelać. Wszystko było, jak pan powiedział. Nie mogli nas zobaczyć, a my strzelaliśmy jak do kaczek.

- Ilu?
- Po sześciu, a potem rzuciliśmy granaty.
- Na pewno? - Bishop uważnie przyglądał się ich twarzom.
- Widziałem, jak moi padali. Frizzell skinął głową.
- Są załatwieni. Byli tak blisko, że nie można było nie trafić.
- A oni otworzyli ogień?
- Tak, ale panu Bogu w okno. Jezu! Wszystko było, jak pan powiedział, panie poruczniku. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Oni w ogóle nie mieli pojęcia, co się dzieje.

Bishop wysłuchiwał opowiadania powtórnie, podczas gdy Brock przyglądał się obu żołnierzom. Kiedy skończyli, Bishop kazał im wracać do bunkrów.

- Złożę wnioski o odznaczenia dla was.
- Nie chcę medalu - powiedział Landis, kręcąc głową.
- Załatwiliście dwunastu. Prawdopodobnie ocaliliście nasze tyłki. To się kwalifikuje do Brązowej Gwiazdy.

Poklepał ich po plecach, a oni odeszli, szczęśliwi i gotowi opowiadać całą Historię każdemu, kto zechce ich słuchać znowu i znowu.

Bishop patrzył za odchodzącymi.

- Co myślisz, sierżancie?
- Jeżeli mówią, że załatwili dwunastu, to znaczy, że załatwili dwunastu. Dobrze to pan wykombinował, panie poruczniku. Może dostanie pan Srebrną Gwiazdę. - Pokręcił głową i wskazał na pasmo wzgórz. - Oni wrócą jutro i zaczną wszystko od początku. Nie zrezygnują z tego powodu. Chcą zająć to wzgórze, panie poruczniku, i zajmą je prędzej czy później, i wtedy niech Bóg ma w swojej opiece tych biednych sukinsynów, którzy tutaj będą.

Bishop jednak był szczęśliwy i zadowolony siebie.

- Starzejesz się, sierżancie.

Przed świtem Bishop sprawdził swój karabin i amunicję, przypasał torbę z opatrunkami i podszedł do Brocka śpiącego w kącie.

Kiedy się zbliżył, Brock poruszył się, stęknął i zwinął się ciałniej. Bishop przyklękła przy nim.

- Zabieram paru ludzi na wzgórze, żeby zobaczyć, ilu dostali. Chcesz pójść? Brock przekręcił się na drugi bok.

- Nie będę lecieć pięciu kilometrów, żeby zobaczyć kilku zabitych żółtków. Nie będę ryzykować własnej dupy, żeby liczyć ciała.

Bishop obudził Landisa, Martina, Frizzella i czterech innych. W ciągu piętnastu minut patrol zebrał się na stoku wzgórze. Wciąż jeszcze było ciemno, kiedy przechodzili przez zacieki.

U stóp wzgórze czekali, aż pierwsze światło poranka rozjaśni mroki nocy i rozproszy mgłę podnoszącą się jak zasłona ze wzgórz. Panowała cisza. Posuwali się w górę stoku wśród krzaków wciąż jeszcze tłących się po ostrzale artyleryjskim, którego zażądał Bishop.

Szli ostrożnie, omijając krzaki i teje, dopóki nie dotarli do wzniesienia, z którego widać było pozycje nieprzyjaciela. Bishop porozmieszczał ludzi pojedynczo wokół otwartego terenu. Czekali na sygnał od Bishopa, że nie grozi im niebezpieczeństwo.

Kiedy dał znak, wyszli na otwarty teren, na którym leżały zwłoki.

Landis biegał od ciała do ciała.

- Widzicie, mówiłem wam, że ich załatwiliśmy. Podbiegł do ciała leżącego twarzą do ziemi i odwrócił jej nogą.

- Trafiłem go prosto w głowę. Podbiegł do innego, sprawdził w bunkrach, a potem policzył

ciała.

- Szesnastu! Jezu, szesnastu!

Frizzell oglądał ciała ludzi, których zabił. Ukląkł przy nich i spojrzał na Bishopa.

- Ani razu nie chybiłem. Szkoda, że mój instruktor tego nie zobaczy. Bishop doszedł do skraju oczyszczonego terenu. Patrzył na miejsce, gdzie ukryło

się dwóch strzelców, a potem na teren, gdzie leżeli zabici. To była idealna zasadzka. Ogarnęło go uczucie dumy. Wspiął się na niewielki pagórek, przyklęknął i patrzył w dół na swoich ludzi. Położył karabin na ziemi i dotknął ręką pustych puszek * ułożonych równiutko i zamaskowanych gałązkami. Obejrzał puszkę i przyglądał się orzeź moment robactwu żywiącemu się resztkami. Znowu spojrzał na ludzi.

Frizzell i Landis kłęczeli nad ciałami nieprzyjacielskich żołnierzy. Bishop patrzył, jak inni przeszukują ich kieszenie. Następnie znów wrócił wzrokiem do puszek. Wyobraził sobie tę scenę. Dwóch żołnierzy czeka spokojnie, podczas gdy niczego nieświadomy nieprzyjaciel wychodzi na otwarty teren. Spojrzał na wykrzywione w przedśmiertnym paroksyzmie twarze. Rozszarpana twarz, rozdarta szyja, w kto-rej widnieją delikatne tkanki życia. Jeden z wietnamskich żołnierzy został trafiony w pierś i odrzucony impetem pocisku pod ścianę bunkra. Siedział tam oparty, jakby drzemał. Inny leżał twarzą do ziemi, a jego ręce sięgały do tyłu, jakby chciał chwycić przerwany kręgosłup. Bishop starał się wyobrazić sobie, jak to wyglądało. Zaskoczeni ogniem, systematycznie zabijani.

Siedział wśród krzaków, słuchając owadów i odgłosu rozmów dochodzących i z dołu. Panował zupełny spokój, przerywany tylko głosami ludzi. Spojrzał na rozświetlony błękit nieba, a potem znowu na ciała na piasku. Z miejsca, z którego patrzył, trudno je było odróżnić od ich zabójców pochylających się nad nimi. Widok ten nappełnił Bishopa zdumieniem. Twarze zlewały mu się w jedną plamę.

Spojrzał znowu na Frizzella i Landisa.

Twarz Landisa była ożywiona. Pokazywał na kolejnych zabitych i śmiał się, podnosił karabin i coś demonstrował, potem uśmiechnął się radośnie i sięgnął do kieszeni munduru po paczkę papierosów.

Twarz Frizzella była tak czysta i gładka jak polerowany marmur. Żuł gumę, a kiedy się uśmiechał, widać było zęby. Nie było złości w jego twarzy. Wyglądał na szczęśliwego, dumnego i - zdaniem Bishopa - czystego.

Bishop nie patrzył na rozlaną krew, mózg i rozszarpane tkanki. Gdzieś tam w głębi nie czuł przerażenia. Był absolutnie spokojny. Słyszał tylko szmer rozmów żołnierzy mówiących przyciszonym głosem, jakby to była grupa ministrantów w zakrystii.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył przed sobą twarz Landisa. Poruszał ustami, ale Bishop nie słyszał, co on mówi. Spojrzał na jego twarz z zainteresowaniem.

Nie dostrzegł na niej poczucia winy, zła, okrucieństwa. Patrzył na zadowolonego, szczęśliwego chłopaka.

- Hej, panie poruczniku. Pytałem się, czy pan chce, żeby ich pochować. Bishop spojrzał na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu, a potem na ciała rozciągnięte na ziemi.

- Nie - mruknął, a potem krzyknął na żołnierza odwracającego ciało: - Martin! Żołnierz podskoczył jak trafiony kulą.

- Zostaw go. Zbierajcie swoje rzeczy. Idziemy.

- Zostawimy ich tak? - zapytał Landis. • - Chcesz ich zabrać ze sobą?

Landis popatrzył z troską na zabitych. Włożył tyle wysiłku w ich zabicie, że teraz żał mu było rozstawać się z nimi. Wreszcie wruszył ramionami i poszedł za innymi.

Zostawili za sobą wzniesienie i ostrożnie posuwali się wzdłuż łańcucha wzgórz. Bishop był pogrążony w myślach. Był tak rozkojarzony widokiem tego, co zobaczył, że nie mógł skoncentrować się na ruchach patfola. Pozostał z tyłu i w zamyśleniu szedł za innymi.

Frizzell zwolnił kroku i zrównał się z nim.

- Panie poruczniku?

- Tak?

Frizzell odwrócił głowę zakłopotany.

- Czy to jest jakaś różnica, kiedy jest się obrzezanym? - zapytał prawie niedosłyszalnie.

Bishop patrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Wszyscy mówią, że podobno tak jest lepiej dla kobiet, i czyściej. Landis, który też został z tyłu, żeby posłuchać, włączył się do rozmowy.

- Dlaczego lepiej? - zapytał. Frizzell pokiwał drwiąco głową.

- Nie masz o niczym pojęcia, chłopczyku.

Landis umilkł, ale nagle rozpromienił się, odkrywając swoje nieoczekiwane szczęście.

- Ja jestem obrzezany - powiedział.

Bishop patrzył na nich z niedowierzaniem. Obudził się w nim gniew, ale szybko się wypalił. Tylko westchnął.

- Myślę, że to nie robi żadnej różnicy - powiedział wreszcie i przyspieszył kroku, żeby się od nich oddalić i iść dalej samotnie.

Na grzbiecie następnego wzgórza odwrócił się i popatrzył na miejsce, gdzie leżeli zabici nieprzyjacielscy żołnierze. Nad nimi, daleko na horyzoncie, widać było czarne chmury, pierwsze zwiastuny monsunu.

Patrzył, jak jego ludzie schodzą ze wzgórza. Na końcu szli Landis i Frizzell. Popychali się i szturchali żartobliwie.

- Chryste - powiedział. - Chryste, Chryste, Chryste.

Kiedy Bishop wrócił do bunkra, rzucił karabin, hełm i kamizelkę przeciwodłam-kową do kąta.

- W porę się pan zjawił - powiedział sierżant Brock. - Będziemy ocaleni. Bishop odwrócił się do niego podniecony.

- Czy to możliwe? Kiedy się odezwali?

Sok ściekał Brockowi z ust. Wytarł go rękawem.

- Dwadzieścia minut temu.

- Kiedy?

- Co, kiedy?

- Kiedy nas wycofają?

- Nie mówiłem nic o wycofaniu.

- Powiedziałeś...

- Będziemy ocaleni. Nie powiedziałem, że zrobi to batalion. Nie powiedziałem, że zrobi to dowództwo. Zrobi to Bóg.

- O czym ty mówisz? - dopytywał się Bishop.

- Przysyłają nam kapelana. Przyleci helikopterem. Odprawi nabożeństwo. Wszyscy będziemy ocaleni, jeżeli zdąży przed żółtkami. Alleluja, poruczniku!

- Ty dupku - powiedział Bishop z obrzydzeniem, zdejmując podkoszulek i wycierając się nim.

- A gdzie szacunek dla starszych, panie poruczniku? To nie po chrześcijańsku. Lepiej, niech się pan ubierze. Nie przypuszczam, żeby wielebny chciał oglądać nagich oficerów.

- Pocałuj mnie w dupę. Po jaką cholere przysyłają nam kapelana?

- Pewnie po to, żeby nam dał ostatnie namaszczenie. Chce pan coś zjeść?

- Cholera - powiedział Bishop ściągając buty i spodnie. Brock zaczął dmuchać na bulgocące jedzenie i uśmiechnął się.

- Nie wygląda na to, żeby pan miał miły poranek, panie poruczniku. Czy liczenie zwłok przyniosło rozczarowanie?

Bishop wyczerpany opadł na śpiwór.

- Szesnastu - powiedział bez entuzjazmu. - Tam było strasznie - dodał ponuro. Brock skończył jeść i rzucił pustą puszkę w kąt.

- Lepiej oni niż my - powiedział beznamiętnie.

Sutherland i Frizzell siedzieli przed swoim bunkrem, patrząc na ciemniejące niebo. Od północy nadciągały ciężkie czarne chmury burzowe.

- Wiesz - powiedział Sutherland - Opieniek opowiadał mi kiedyś, że widział, jak padało bez przerwy przez pięćdziesiąt dwa dni. To gorsze niż ten cholerny biblijny potop.

- Gdybym w domu zobaczył takie niebo, już leciałbym do piwnicy - powiedział Frizzell. - Jeszcze nigdy nie widziałem monsunu.

- To będzie prawdziwa ulewa. Możesz na to liczyć.

Z góry dobiegł warkot helikoptera. Patrzyli, jak okrąża wzgórze i opada ciężko na ziemię w pobliżu głównego bunkra.

Porucznik Bishop wybiegł z bunkra, zsalutował mężczyźnie wysiadającemu z dygoczącej maszyny, a potem uściśnił sobie dłonie. Helikopter natychmiast wystartował. Tamci dwaj stali przez chwilę rozmawiając. Bishop wskazywał poszczególne placówki, a potem łańcuch wzgórz.

Sutherland pochylił się do przodu i zmrużył oczy.

- To kapelan - powiedział, widząc srebrzysty krzyż na hełmie. Frizzell też przyglądał się z ciekawością.

- Ksiądz? Sutherland wstał.

- Ksiądz, kapelan, co to za różnica? Odwrócił się i wszedł do bunkra.

Przez dłuższy czas Frizzell patrzył na wzgórze. Widział, jak Bishop i ten drugi wchodzi do bunkra.

Ksiądz, pomyślał. Stały mu przed oczami obrazy mężczyzn w sutannach, uroczyste msze w oparach kadzideł, cały rytuał, w którym się wychował, i o którym aż do dziś nie pamiętał. Przypomniał sobie sobotnie spowiedzi i konieczność poszczenia przed komunią, przyciszone głosy, purpurowe i czerwone szaty oraz dźwięk dzwonów. Przypomniał sobie śmierć tak inną od śmierci tutaj, śmierć spokojną, bez przerażenia, ran i cierpienia, z wieńcami kwiatów, z Madonną o ła-godnym spojrzeniu i z ciepłym światłem przesączającym się przez szkło witraży. Łagodną śmierć, prawdziwy spoczynek dla duszy.

Podniósł nagle głowę. A co będzie z jego duszą? Co będzie, jeżeli umrze? Przecież zgrzeszył. Popenił grzechy śmiertelne.

Ta świadomość była bardziej przerażająca niż śmierć. Zaczął robić rachunek sumienia. Drobne grzeszki, myśli, pragnienia. Potem przerwał. Przecież zabijał. Wczoraj zabił sześciu ludzi. Nie. To nie był grzech, pomyślał. Musiał to zrobić.

Spojrzał w stronę głównego bunkra, potem wstał i poszedł w dół stoku. Chciał być sam, żeby móc pomyśleć.

W bunkrze Sutherland wziął do rąk karabin. Coney podniósł głowę znad gazety.

- Gdzie jest Les?

Sutherland zaczął rozkładać zamek.

- Chyba poszedł pogadać z kapelanem, księdzem czy jak mu tam... Cofnął zamek i zajrzał do komory nabojojowej.

- Pieprzony kapelan właśnie przyleciał helikopterem. Akurat był nam potrzebny. Mam nadzieję, że celnie strzela.

Coney opuścił gazetę. Był wychowany w wierze. Nauczono go kochać Boga i bać się Go. Przyjmował bez zastrzeżeń wszystkie prawdy wiary swoich rodziców. Jednak ani razu nie pomyślał o Bogu, odkąd znalazł się tutaj. Przechylił głowę zadziwiony, Jak to się stało, że wśród tego zabijania i strachu ani razu nie pomyślał o Bogu? W zamyśleniu odłożył gazetę. Przypomniał sobie pierwszego człowieka, którego zabił. Żołnierz Wietkongu kryjący się w tunelu. Przyglądał mu się zainteresowany jego strachem i własną potęgą. Wtedy, gdzieś z głębi, napłynęło przemożne pragnienie i zastrzelił go. Chciał to zrobić i nie czuł żadnych skrupułów.

Gdzie był wtedy Bóg? - zastanawiał się. Kiedy pociągałem za spust, gdzie był Bóg tego człowieka? Gdzie był mój Bóg?

Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego skupienia. Może Boga to nie obchodzi? Czy nieobecność Boga jest wynikiem tej przerażającej sytuacji, czy też On sprawił, że to wszystko się stało?

Starł się to zrozumieć, ale w końcu dał sobie spokój. Zwrócił się do czysz-czącego karabin Sutherlanda. - Wierzysz w Boga? Sutherland podniósł głowę.

- Jasne.

Czekał, aż Coney coś powie, ale ten milczał.

- A ty? - zapytał w końcu.

- Też.

Ta wymiana zdań zdziwiła Sutherlanda. Przecież każdy wierzy w Boga. Wzruszył ramionami i znowu zajął się karabinem. Jaki byłby sens czegokolwiek, gdyby nie było Boga? Poglaskał amulet wiszący na szyi. To pochodziło od Boga i przypie-czętowało jego prywatny pakt z Nim.

Po drugiej stronie wzgórza kapelan siedział na skrzynce amunicji i pił kawę, nieświadom tego, że towarzyszący mu dwaj mężczyźni źle się czują w jego obecności.

Bishop nie bardzo wiedział, jak się do niego zwracać. Kapelan był oficerem Marynarki w stopniu

komandora, czyli znacznie wyższym od Bishopa. Nie wydawało

się jednak właściwe, żeby zwracać się do pastora per „panie komandorze”, jednocześnie głupio było mówić do kogoś w mundurze „proszę księdza”.

- Jak długo planuje pan zostać u nas, sir? - wybrnął z kłopotu. Kapelan spojrzął na zegarek.
- Helikopter wróci po mnie o drugiej.

Brock uważnie przyglądał się kapelanowi. Był to wysoki mężczyzna w jego wieku, mniej więcej trzydziestopięcioletni. Miał wysokie, łysiejące czoło, nad którym porastała kępka ciemnych, krótko przystrzyżonych, poprządkanych siwizną włosów. Twarz miał pełną, a okulary w drucianej oprawie były na pół skryte pod krzaczastymi brwiami.

- Chciałbym odwiedzić ludzi i spędzić z nimi trochę czasu przed nabożeństwem. Czasami lubią porozmawiać na osobności. Dręczą ich różne rzeczy, problemy rodzinne, żony albo po prostu strach. Fakt, że ktoś ich wysłucha, czasami pomaga. Sprawy religii nie mają większego znaczenia. Nie na polu bitwy. Na polu bitwy wyznanie się nie liczy.

- A co z niebem? - zapytał Brock.
- Martwisz się, że tam nie trafisz? - zapytał kapelan z uśmiechem.
- Wcale nie - powiedział Brock. - Bóg potrzebuje sierżantów. Bardziej martwię się o oficerów, a szczególnie o poruczników, którzy piją alkohol i uganiają się za kurwami w Da Nang.

Bishop zarumienił się.

- To oficerowie powinni się martwić - zgodził się kapelan i mrugnął do Brocka. Bishop wstał.
- Zaprowadzę pana do ludzi, sir.

Poprowadził kapelana w górę po schodach, przeprosił na chwilę i zbiegł z powrotem do bunkra.

- Ty sukinsynu, załatwię cię za to - szepnął do Brocka. Brock złożył pobożnie dłonie i wzniosł oczy do nieba.

- Będę się za pana modlić, panie poruczniku. Kapelan czekał na wzgórzu i rozglądał się wokół.
- Ilu ludzi tu zginęło? - zapytał, kiedy Bishop podszedł do niego.
- Siedmiu, może ośmiu. - Bishop starał się sobie przypomnieć.
- Nie jest pan pewien?
- Staram się nie pamiętać - powiedział Bishop, odwracając głowę.
- Boi się pan?

Niebo było już zupełnie pokryte chmurami, a powietrze stało się chłodne. Bishop widział łańcuch wzgórz za zdewastowaną równiną. Stały mu przed oczami sylwetki zabitych nieprzyjaciół, ich rozmiękłe ciała i twarze zwrócone ku niebu, wystawione na działanie pogody.

- Tak - przyznał, myśląc o zabitych Wietnamczykach i o własnych ludziach. To nie był fizyczny strach. Bał się dalszych trosk i kłopotów.

Kapelan nie zrozumiał źródła jego obaw. Rozejrzał się wokół, z niepokojem uprzytamniając sobie, jak łatwo byłoby zniszczyć tę wysuniętą placówkę.

- Czy to będzie bezpieczne? Bishop spojrzął na niego pytająco.
- Czy co będzie bezpieczne?
- Odprawienie nabożeństwa.

Bishop patrzył nie rozumiejąc. Kapelan wskazał na wzgórze.

- O, tak. Będzie bezpiecznie. Oni nigdy nie atakują w ciągu dnia. Kapelan w dalszym ciągu wpatrywał się we wzgórze.

- Myślę, że wszyscy jesteście bardzo odważni. - Nie mamy wyboru - odparł Bishop głucho.

W małym bunkrze leżało dwóch nagich mężczyzn. Spali jeden obok drugiego. Bishop kopnął ich w pięty.

- Wstawać. Przyszedł kapelan. Chce z wami pogadać.

Landis i Martin zerwali się, i usiłowali przykryć swoją nagość. Rzucili się wkładać spodnie.

- Poczekam na zewnątrz - powiedział Bishop, zostawiając ich.

W bunkrze było ciasno. Panował zaduch od wilgoci zmieszanej z zapachem nagich ciał.

Kapelan siedział na ziemi. Oparł się plecami o worek z piaskiem. Dał znak Landisowi i Martinowi, żeby też usiedli.

- Jak sobie radzicie, chłopaki? - zapytał.
- Świetnie, sir. Naprawdę świetnie - powiedział Martin, kiwając głową.
- Tak. Doskonale - potwierdził Landis.
- Skąd jesteś, synu? - zapytał Martina.

- Z Newark w New Jersey, sir.
- To piękne miejsce. Dajesz sobie radę?
- Świetnie. Po prostu świetnie.
- Założę się, że wolałbyś teraz być w Newark w New Jersey. Martin uśmiechnął się.
- Tak... Chyba tak.
- A ty, synu, skąd pochodzisz? - kapelan zwrócił się do Landisa.
- Z Fort Lauderdale na Florydzie. Ja też wolałbym tam być.
- I ja bym wolał - przyznał kapelan. - Czy coś was niepokoi, chłopaki? Mam na myśli coś, w czym mógłbym wam pomóc. Takie sprawy jak poczta, jakieś problemy osobiste... W sprawach wojny nie mogę wiele zrobić. Macie co czytać? Macie Biblię?
- Landis sięgnął po książkę, którą dostał od Coneya.
- Mam tę książkę. Jest o wielorybie.
- W Biblii jest wspaniała opowieść o wielorybie. Słyszeliście o Jonaszu? Połknął go wieloryb.
- To ciekawsze niż ta książka - przyznał Landis. - Bardziej interesujące. Jak się wydostał, sir?
- Pan go ocalił. Pan Bóg Wszechmogący może ocalić nas wszystkich - Jonasza z brzucha wieloryba, a nas od grzechu. Wystarczy tylko, żebyście uznali Jezusa za swego Zbawiciela. Oddajcie się Chrystusowi, a będziecie ocaleni. Czy uczynicie tak?
- Wziął każdego z nich za rękę.
- Czy możecie oddać się Jezusowi Chrystusowi? Czy jest w waszych sercach miejsce dla Niego? Chcecie być ocaleni?
- Obaj skinęli głowami.
- Powiedzcie zatem: Przyjmuję Jezusa do serca jako mojego Zbawiciela. Ocal mnie, Jezu.
- Powtórzyli słowa. Kapelan wstał, wyjął dwie małe Biblie z torby, którą miał ze sobą, i podał im je.
- Wiercie mi, to lepsza książka niż ta, którą czytaliście. To są święte, boże słowa. Każde słowo jest prawdziwe.
- Przed odejściem zatrzymał się jeszcze na chwilę.
- Niech was Bóg błogosławi. Będziecie ocaleni.
- Podszedł do Bishopa, który siedział na piasku ze skrzyżowanymi nogami.
- Wyglądają na miłych chłopaków, poruczniku.
- Są bardzo młodzi - powiedział Bishop, wstając i otrzepując się. Kapelan uśmiechnął się.
- Wszyscy jesteście młodzi.
- Przy następnym bunkrze, obłożonym grubą warstwą worków z piaskiem i z napisem nad drzwiami AKWIZYTOROM I ŻÓŁTKOM WSTĘP WZBRONIONY Bishop wsunął głowę w otwór wejściowy. Coney i Sutherland zerwali się.
- Gdzie jest Frizzell?
- Gdzieś na zewnątrz, sir. Może przy zasiekach. Chciał się zobaczyć z tym księdzem, czy kim on tam, kurwa, jest.
- To kapelan - powiedział Bishop. - Chce się z wami zobaczyć. Bishop odwrócił się do kapelana stojącego za nim.
- Wydaje mi się, że z nim to na pewno powinien pan porozmawiać.
- Kiedy Sutherland zobaczył kapelana wchodzącego do bunkra i zauważył jego stopień, zakrył przerażony twarz.
- Nie miałem nic złego na myśli, sir. Właściwie to on to powiedział - dodał, wskazując na Coneya.
- Kapelan uśmiechnął się i rozejrzał za miejscem, gdzie mógłby usiąść. Sutherland rozłożył dla niego pałatkę. Kapelan usiadł i dał im znak, żeby usiedli naprzeciw.
- Siedzieli w napięciu i z szacunkiem patrzyli na niego.
- Kapelan czuł, że ci dwaj znacznie różnią się od tamtych. Rozejrzał się po bunkrze. W kątach stały karabiny, plecaki i racje żywnościowe. Wszędzie rozrzucona była amunicja. Przyglądał im się. Jeden był ciemny, z potężnymi ramionami i szeroką klatką piersiową. Twarz miał jednak chłopięcą, ale rysowały się na niej smutek i zmęczenie. Drugi, szczupły, o jasnej skórze i rysach tak czystych jak u dziewczyny. Oczy jednak twarde i niespokojne, jak u wygłodzonego, zamkniętego w klatce zwierzęcia. Zobaczył obrączkę Coneya. - Żonaty?
- Tak jest.

- Dzieci?
 - Mamy małego chłopaka.
 Kapelan skinął głową. Dzieci rodzą dzieci.
 - Założę się, że za nimi tęsknisz.
 - Nigdy nie widziałem mojego chłopaka. Wyjechałem, zanim... - jego głos się urwał.
 Kapelan odwrócił się do Sutherlanda, zafascynowany jasną skórą i magnetycznymi, zielonymi oczami.

- A ty?
 Sutherland zarumienił się i odwrócił wzrok.
 - Nie. Nie jestem żonaty.
 - Masz dziewczynę?
 Sutherland nadal na niego nie patrzył.

- Tak - mruknął, a potem dodał jakby pod przymusem: - Ma na imię Toni... Może się pobierzemy, kiedy... - słowa utonęły w mroku bunkra.

Zapadła kłopotliwa cisza. Kapelan nie znajdował nic, co mógłby im powiedzieć i czuł ogromny dystans dzielący go od nich. Oni zaś gapili się bez słowa, onieśmieleni obecnością oficera tak wysokiego stopniem i przedstawiciela Boga na ziemi.

- Czy jest coś, co mogę dla was zrobić? - zapytał wreszcie kapelan. - Może macie jakieś problemy z pocztą, jakieś kłopoty osobiste? W sprawie wojny wiele nie mogę zrobić. Nikt się ze mną nie konsultuje na tematy strategii.
 Nie odezwali się.
 Kapelan czuł na sobie wzrok Sutherlanda i to go wprawiało w zakłopotanie.

- Przykro mi z powodu ludzi, którzy zginęli. Odprawię za nich nabożeństwo. Czy to byli wasi przyjaciele?
 - Tak - powiedział Sutherland spokojnie, ale zaraz jego głos stwardniał. - Opieniek i Miller byli moimi przyjaciółmi. Conrad też, podobnie jak Blake, Wheeler i Perez. Wszystkich załatwiły żółtki. Mnie też chcą zabić, ale nic z tego... - jego oczy świdrowały kapelana jak dwa zielone lasery - ...bo ja ich najpierw zabiję. Zabiję każdego pieprzonego żółtka, który mi się tylko nawinie.
 Kapelan starał wytrzymać jego wzrok, ale musiał odwrócić oczy. *\$?!•
 - Nie powinieneś nienawidzić innych - powiedział cicho. 'i
 - To jak mam ich zabijać? Kapelan zwrócił się do Coneya.
 - Ty też chcesz ich zabijać? "• Coney zacisnął zęby.

- Nie, ale muszę, prawda?
 W bunkrze zapanowała cisza. Wreszcie kapelan wstał, sięgnął do torby, wyjął dwie Biblie i podał je im bez słowa.

- Do widzenia - powiedział.
 Na zewnątrz odetchnął głęboko, zamknął oczy i otarł czoło. Kiedy podniósł powieki, zobaczył stojącego przed sobą Bishopa.

- Bunkry są bardzo ciasne, panie poruczniku.
 - Tak.
 - Powiniennem znaleźć tego człowieka, który mnie szukał - powiedział z westchnieniem.
 - Nazywa się Frizzell. Jest na dole przy zasiekach.

Przeszli przez wzgórze pod ciemniejącymi chmurami. Wiatr nadlatujący znad równiny niósł piasek. Wiry powietrzne pojawiały się i znikaly.
 Bishop wskazał na człowieka siedzącego na piasku i odwróconego do nich plecami.

- Zwołam ludzi na nabożeństwo za piętnaście minut. ;;
 Kapelan skinął głową w zamyśleniu i podszedł do Frizzella. Zatrzymał się kilka kroków od niego. Chłopak płakał.

Frizzell odwrócił się i, widząc przed sobą oficera, zerwał się natychmiast.
 - Nie chciałem cię przestraszyć.
 Frizzell przetarł oczy i odwrócił wzrok. Stali tak naprzeciw siebie. Kapelan poruszał nerwowo rękami, wreszcie splótł je mocno.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytał niepewnie.
 Przez chwilę Frizzell stał niezdecydowany. Nagle wszystkie jego wątpliwości i obawy, które

dusił w sobie, wyrwały się spod kontroli i zaniósł się płaczem. Kapelan był zaskoczony. Zrobił krok w stronę Frizzella, ale zatrzymał się.

- Przestań. Podszedł bliżej.

- Przestań - powtórzył głośniejszym, bardziej zdecydowanym głosem. Frizzell zaczął szlochać. Kapelan chwycił go za ramiona.

- Spójrz na mnie!

Frizzell powoli podniósł wzrok. Kapelan spojrzał mu w twarz. Łzy spływały po brudnych policzkach.

- Co ci jest? - zapytał. Frizzell pokręcił głową.

- Nie wiem - powiedział przygnębiony. - Zacząłem właśnie myśleć o... o tym wszystkim... o Opieńku i Millerze, którzy zginęli... o powrocie do domu i...

Kapelan czekał, ale Frizzell milczał.

- Czy dlatego płakałeś?

- Nie wiem - powiedział, spuszczać głowę. - Wszystko mi się pokręciło. Kapelan patrzył na pochyloną pokornie głowę.

- Ile masz lat?

- Osiemnaście, ojcze.

- Och, nie jestem księdzem. Jestem protestanckim kapelanem, ale to tutaj nie ma znaczenia. Ojciec Todd jest moim dobrym przyjacielem. Odwiedzamy oddziały na linii na zmianę. On rozmawia z baptystami, metodystami i luteranami. W tej chwili jest z jakimś młodym człowiekiem takim jak ty, który może jest protestantem. Pomaga temu młodemu człowiekowi, jak ja chciałbym pomóc tobie. Opowiedz mi o sobie.

Frizzell wbił wzrok w piasek. Poruszył się niepewnie.

- Nie ma wiele do opowiadania, sir - mruknął. - Kiedyś byłem ministrantem. Ani razu nie opuściłem mszy.

W dalszym ciągu miał spuszczone oczy. Umilkł. Kapelan obserwował go.

- Boisz się śmierci? - zapytał. Frizzell spojrzał na łańcuch wzgórz.

- Czy się boję? - znowu spuścił oczy. - Nie chcę umierać. Chcę... - zabrakło mu słów.

- Jeżeli jesteś z Bogiem, nie ma się czego obawiać. Przecież uznajesz Chrystusa za swego Zbawiciela.

- Tak. Wierzę w Boga, w Kościół, w grzechów odpuszczenie i ciała zmartwychwstanie.

- Czy jesteś przygotowany na śmierć? - zapytał kapelan łagodnie. - Myślę o twojej duszy. Wiem, że katolicy wierzą w spowiedź i odpuszczenie grzechów. Nie mogę wysłuchać twojej spowiedzi ani udzielić ci rozgrzeszenia, ale wiem, że jeżeli szczerze żałujesz za swoje winy, uzyskasz przebaczenie. Wydaje mi się, że musisz wypowiedzieć specjalną modlitwę, ale nie mogę przypomnieć sobie, jak się nazywa.

- Akt skruchy.

- Właśnie. Ksiądz nie musi ci wybaczać. Bóg może.

- A te straszne grzechy? - zapytał Frizzell. Kapelan przez dłuższą chwilę nie odpowiadał.

- Myślę, że to już jest sprawa pomiędzy tobą a Bogiem. Bóg jest wielki. Myślę, że może wybaczyć wielkie grzechy, jeżeli grzesznik żałuje.

Znowu zapadło milczenie. Potem Frizzell spojrzał błagalnie na kapelana.

- Ale zabijałem. Kapelan był zaskoczony.

- Kiedy?

- Wczoraj zabiłem sześciu ludzi.

- Och. - Kapelan odetchnął głęboko i westchnął. - To nic. Łzy płynęły po twarzy Frizzella. Cały drżał z żalości.

- Ale czy to źle? Kapelan odwrócił wzrok.

- Bóg zrozumie - powiedział w stronę równiny. - To źle, ale to nie twoja wina. Nie masz w sobie złości. Jesteś... - chciał powiedzieć „pionkiem”, „narzędziem”, ale wydało mu się to zbyt drastyczne. - Jesteś bez winy. To nie twój grzech i On cię za to nie ukarze. Myślę, że jeżeli szczerze odmówisz akt skruchy, uzyskasz odpuszczenie.

Poklepał Frizzella po ramieniu.

- Nie bój się. Bóg jest z tobą.

Spojrzał na ciężkie, zwisające nad nimi niebo i wyjął Biblię z torby. Podał ją Frizzellowi.

- Muszę już iść. Muszę przygotować się do nabożeństwa za tych, którzy tu zginęli. Rozpocznie się za kilka minut.

Frizzell patrzył przez chwilę za nim, a potem ukląkł na piasku i zaczął się modlić.

Bishop zebrał ludzi przed głównym bunkrem. Stali tam, kiedy kapelan się pojawił.

Krótko wyjaśnił treść nabożeństwa i prosił, żeby śledzili jego przebieg w modlitewnikach, które zaraz im rozda.

Wiatr się nasilał i wył, ludzie ledwo słyszeli, co mówi. Frizzell próbował skoncentrować się na nabożeństwie, odczytywał odpowiedzi z modlitewnika, ale jego myśli biegnęły w inną stronę. Zastanawiał się, czy Bóg mu wybaczył. Martin odwracał strony dla Landisa, który nie mógł nadażyć.

Kapelan spojrział na niebo, potem na zegarek.

- To był zaszczyt - powiedział głośno - znaleźć się wśród was i chciałbym wam powiedzieć, że wszyscy wysoko oceniają to, co tutaj robicie. Wszyscy jesteśmy wam wdzięczni i wiem, że ludzie w kraju są z was dumni. Robicie świetną robotę, ważną i konieczną. Pomagacie nieświadomym ludziom prowadzić wojnę z bezbożnym nieprzyjacielem.

Bishop bacznie obserwował swoich ludzi. Wzrok jego spoczął na Frizzellu i Sutherlandzie, którzy uważnie słuchali słów kapelana.

- W tym, co robicie, jest jakiś zamiar i jakiś cel. To nie jest konieczne, żebyście je rozumieli, ponieważ nie wszystko człowiek może poznać. Nie możemy wiedzieć, dlaczego Bóg postępuje tak, a nie inaczej. Nie możemy znać Jego planów, ponieważ jesteśmy tylko pionkami w Jego rękach. Nie mogę wam powiedzieć, dlaczego ci wspaniali mężczyźni zostali zabici. Musimy po prostu wierzyć, że Bóg ma swoje plany wobec każdego człowieka. Musicie ufać.

Zamilkł na chwilę.

- Ale mówię wam, że ci ludzie są w tej chwili u boku Jezusa. Nie żyją. Nie należy się jednak bać śmierci. Możemy im zazdrościć, bo teraz są ze swoim Zbawicielem. Owieczki wróciły do swojego pasterza. Chodzą w chwale. Wy też umrzecie. Mamy nadzieję, że nie podczas tej wojny i jeszcze nie prędko. Mamy nadzieję, że nastąpi to, kiedy będziecie starzy, otoczeni wnukami i prawnukami. Jednak umrzecie. Trąba zagrzebie. Uznajcie Jezusa Chrystusa za swego Zbawiciela, a znajdziecie się koło Niego w chwale i, zaprawdę, nigdy nie umrzecie. Żyć będziecie wiecznie. Oddajcie się Chrystusowi. Przyjmijcie Go jako swojego osobistego Odkupiciela, a będziecie ocaleni.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, kapelan zebrał książeczki i stał sam jeden, tylko z Bishopem, czekając na helikopter.

Przez dłuższy czas nic nie mówili. Wiatr niósł piasek po równinie.

- To odludne miejsce - powiedział wreszcie kapelan.

- Tak. - Głos Bishopa był cichy i pełen smutku. Kapelan położył rękę na jego ramieniu. Bishop westchnął.

- Czy to wszystko jest grą, sir?

- Nie.

Bishop spojrział na łańcuch wzgórz i wpatrywał się w niego, aż oczy zaszyły mu łzami.

- Chryste, mam nadzieję, że nie.

Wiatr przyniósł z góry łopot wirnika helikoptera. Kapelan rozejrzył się po wzgórzu, po zasykach, bunkrach i ludziach przygotowujących się do nadejścia ciemności. Chciał coś powiedzieć, chciał pomóc, ale...

Odgłos silnika przybliżał się. Odwrócił się do Bishopa. Ich oczy spotkały się. Po chwili kapelan odwrócił się.

- Muszę już iść - powiedział.

Helikopter zawisł nieruchomo i opuścił się na wzgórze. Kapelan, pochylony, osłaniał się przed podmuchem wirnika. Wspiął się do kabiny i maszyna natychmiast uniosła się w powietrze.

Kapelan wyglądał przez okno. Zobaczył Bishopa odwróconego tyłem i zasłaniającego się przed niesionym podmuchami piaskiem, zobaczył bunkry i kilku ludzi patrzących w górę na maszynę.

Podniósł rękę w geście błogosławieństwa, ale zaraz ją opuścił i splótł dłonie na kolanach. Maszyna unosiła się szybko i po chwili zniknęła z oczu.

XXIII

Lacouture działał zazwyczaj jak precyzyjny stary mechanizm. Można było na niego polegać. Niespodziewane niedociągnięcia miały charakter donkiszoterii i w związku z tym nie mogły być uznane za wady, a jedynie dodawały mu uroku.

Każdego popołudnia, dokładnie o trzeciej piętnaście, Lacouture pił kawę i koniak na tarasie na najwyższym piętrze hotelu „Majestic” wznoszącego się nad rzeką Sajgon. Czasami jednak, z niewyjaśnionych przyczyn, tam się nie pojawiał. Lord wiedział o tym i czekał na niego. W zasadzie był pewien, że Lacouture przyjdzie, wcale nie dziwiłby się, gdyby się nie pokazał. Wskazówki zdobionego Klejnotami zegara w stylu empire posuwały się precyzyjnie, a jednak czasami zegar stawał.

Lacouture wszedł na taras dokładnie o trzeciej piętnaście, ubrany elegancko w biały garnitur i krawat, z chusteczką zwieszającą się z kieszonki i w getrach przykrywających czarne lśniące buciki. Jego ubranie nie było prosto spod igły, nie udawało również modnego. Przez noszenie dopasowało się do sylwetki i było eleganckie - tak samo odpowiednie dla francuskiego obywatela kolonii w tropikach, jak tweed jest odpowiedni dla Anglika w górach Szkocji. Jego wejście na taras cechowała pewność. Drobne kroczyki i lekko nerwowe ruchy rąk też były objawem pewności siebie, a bystre oczy i uniesiony w górę nos nadawały mu wyraz arystokratycznej wyniosłości.

Kierownik sali podszedł do niego natychmiast i poprowadził do stolika, który Lacouture zajmował zawsze od prawie dwudziestu lat. Teraz Lord siedział przy nim już od dwudziestu minut, wyjaśniawszy uprzednio kierownikowi, że Lacouture go oczekuje.

Zbyt łaskawy, by zmarszczyć brwi, i na tyle dobrze wychowany, by nie okazać niezadowolenia, Lacouture odczekał ułamki sekundy zanim usiadł. Skoro dał już wyraz swemu zakłopotaniu nie okazując się niegrzecznym, mógł teraz darować sobie jako zbyt dużą obłudę powitanie czy w ogóle skwitowanie faktu, że zauważa Intruza.

Lord był na tyle uprzejmy, że czekał w milczeniu, dopóki kelner nie przyniósł i kawy i koniaku.

Znając dobrze zwyczaje Lacouture'a, kelner nie zdziwił się, że Francuz, wbrew swemu nawykowi, wypił koniak jednym haustem i postawił kieliszek z lewej strony, dając w ten sposób znak, żeby go napełniono powtórnie. Francuz nie lubił, kiedy naruszano jego porządek dnia. Drugi koniak przywróci mu równowagę.

- Czy pomyślał pan o posunięciach organizacyjnych? - zapytał Lord po odejściu kelnera. Starał się za wszelką cenę ukryć fakt, jak bardzo potrzebna mu jest pomoc Lacouture'a.

- Żadne posunięcia organizacyjne nie są potrzebne, *cheri*. Jak już panu mówiłem, gotówka. Połowa z góry. Nic nie może być prostsze, czyli mniej skomplikowane.

Tylko gotówka. Żadnych rakiet, bomb ani innego towaru do sprzedania na czarnym rynku. Tylko forsa.

Wypił mały łyżeczek kawy. Lord skinął głową.

- To się da załatwić, ale za gotówkę chcę mieć coś więcej niż tylko pańskie zapewnienia. Jeżeli mam zainwestować taką sumę, potrzebuję czegoś konkretnego. Chyba pan rozumie, że nie mogę... powiedzmy, inwestować bez kompletnego prospektu inwestycyjnego. Chcę poznać nadający się do wdrożenia plan zapewniający zwrot kosztów inwestycji. Nie mogę zapłacić tak dużej zaliczki bez jakiegось gwarancji, że ma pan plan, który się powiedzie.

Kelner przyniósł następny koniak Lacouture'owi. Francuz powąchał go, przez chwilę rozkoszował się aromatem i upił łyk.

- Chcę pan zabić Bradleya Marshalla, wysłannika prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dokonałem już wywiadu na jego temat. Wkrótce będę mógł przedstawić panu plan, który gwarantuje powodzenie.

Lacouture nie wspominał, że sześć razy próbował bez powodzenia skontaktować się z Marshalllem telefonicznie. Za każdym razem uniemożliwiał mu to jakiś wojskowy asystent ambasadora. Marshall sam nie odbierał telefonów. Jego sekretarka zgłaszała się niskim, uwodzicielskim tonem. Lacouture doskonale ją sobie wyobrażał. Musiała to być tleniona blondyna z ciasną cipą, która pieprzy się ze swoimi przełożonymi nie zdejmując pantofli na szpilkach. Po wysłuchaniu Lacouture'a stawała się nieznośnie niegrzeczna i splawiała go w ten sposób, że go łączyła z asystentem wojskowym, który pragnął wiedzieć dokładnie, o czym Lacouture chce rozmawiać z Marshalllem. Ponieważ wyjaśnienie go nie zadawały, więc odkładał słuchawkę. Sześć razy.

- Czy są jakieś informacje na temat jego życia osobistego, które mogą okazać się przydatne? - zapytał Lacouture.

Lord zastanawiał się przez chwilę.

- Bardzo martwi się o swojego syna, który wstąpił do wojska i wkrótce tu przyjedzie. Marshall walczył w czasie II wojny światowej przeciwko Japończykom. Walczył długo. Odcisnęło się to na nim głębokim piętnem. Jest zdecydowanie przeciwny wojnie. Należy do gołębi. Będzie otwarty na propozycje nawiązania tajnych negocjacji pokojowych. Przede wszystkim jednak niepokoi się o syna.

Lacouture dopił koniak.

- Resztę proszę pozostawić mnie.

- Tak zrobię - powiedział Lord łagodnie, doznając ulgi, że Lacouture jest gotów pomóc. - Ale ma pan mało czasu - dodał chłodno, chcąc podkreślić pilność sprawy. - Wraca do Stanów przed Bożym Narodzeniem, a w ciągu najbliższego miesiąca będzie podróżować po kraju.

- Rozumiem, że trzeba jak najszybciej znaleźć rozwiązanie - powiedział Lacouture.

- To dobrze. Kiedy zorganizuje pan już spotkanie lub przekona go, że do takiego spotkania dojdzie, wypłacę gotówkę. Prawdopodobnie będzie chciał pana sprawdzić, konsultując się ze mną. Powiem mu, że ma pan złą opinię i nie należy panu ufać. Będzie mi przykro tak mówić - uśmiechnął się blade i przyłożył rękę do serca - ale chyba rozumie pan, że to konieczne.

- Oczywiście. Z góry panu wybaczam te obrzydliwe kłamstwa. Lord wstał, ukłonił się lekko i wyszedł.

Lacouture jest zbyt pewien siebie, pomyślał. Ta mała glista coś knuje. Musi dowiedzieć się co, a jedynym sposobem osiągnięcia tego było wmanewrować Meada do jego łóżka. Wyczuwał jakieś oszustwo, a nie mógł sobie pozwolić na takie ryzyko. Sprawa była zbyt ważna. Może lepiej byłoby zakończyć wszystko szybko i skutecznie, polecając Gibbonowi dokonanie sabotażu helikoptera? Chyba tak. To będzie pierwsza próba. Lacouture i spotkanie będą stanowić program alternatywny.

Kiedy Lord wrócił do ambasady, zadzwonił do biura Marshalla. Po kilku dzwoneczkach Dolores Toland podniosła słuchawkę.

- No, nareszcie. Tu mówi Palmer z paszportowego - powiedział Lord swoim ulubionym tonem pedantycznego biurokraty. - Jest u was Ronald F. Mead. Musi natychmiast zejść do pokoju dwieście szesnaście.

- Kapral Mead stanowi osobistą ochronę ambasadora Marshalla i chodzi tylko tam, gdzie chodzi ambasador. Nie widzę pokoju dwieście szesnaście w programie ambasadora Marshalla na popołudnie.

- Moja droga, kapral Mead nigdzie nie pójdzie, dopóki nie załatwi swojego problemu paszportowego.

- Jakiego problemu paszportowego?

- Głupstwo. Po prostu nie ma paszportu. Jak ma towarzyszyć ambasadorowi, jeżeli ambasador pojedzie ze swoją ochroną gdzieś, gdzie będzie potrzebny paszport? Nikt o tym nie pomyślał, prawda? Na co komu ochrona osobista, jeżeli kraj, do którego pojedzie ambasador, ochrony nie wpuści, co? Niech tu zaraz przyniesie swój tyłek, to uniknie mnóstwa problemów i kłopotów później. Pokój dwieście szesnaście.

Przycisnął palcem widelki, zanim zdążyła przerwać rozmowę, ale i tak z trzaskiem odłożyła słuchawkę. Właśnie w tym momencie do pokoju wszedł Romer. Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Mam już dość. - Wzdrygnęła się.

- Czego?

- Homoseksualistów.

- Dzwonią do ciebie homoseksualiści? Po co, na litość boską, mieliby dzwonić do ciebie? Skąd wiesz, że to homoseksualiści? Czy się przedstawiają?

- To można poznać po głosie. Jakiś okropny Francuz dzwonił kilkanaście razy i chciał

rozmawiać z ambasadorem, a teraz jakiś obrzydliwy facet z paszportowego chciał kaprala Meada.

Romer uśmiechnął się.

- Homoseksualiści dzwonią do kaprala Meada?
- Okazuje się, że kapral Mead nie ma paszportu.
- Żołnierze nie potrzebują paszportów - powiedział Romer. - Książeczka wojskowa wystarczy, żeby przyjechać tutaj i wrócić do Stanów.

- Ten człowiek powiedział, że Mead może potrzebować paszportu, jeżeli będzie towarzyszyć ambasadorowi gdzieś poza teren kraju.

- No tak, to prawda - przyznał Romer. - Będzie potrzebować jeżeli pojedzie na Filipiny, do Japonii czy gdziekolwiek indziej. Na wszelki wypadek pošlij go tam albo ja mu powiem.

- Pokój dwieście szesnaście - powtórzyła.

Romer przeszedł przez hol do niewielkiego pokoiku, który na polecenie Marshalla przygotowano dla Meada. Pokoik nie był wiele większy niż szafa w ścianie. Mieściło się w nim krzesło i niewielka szafka.

Kiedy Romer wszedł, Mead czyścił buty. Widząc pułkownika zerwał się. Buty poleciały na podłogę.

- Dolores powiedziała, że jakiś homoseksualista chciałby się z wami zobaczyć w pokoju dwieście szesnaście.

- Sir?

Romer roześmiał się na widok zdumionego wyrazu twarzy Meada.

- Czy macie paszport, kapralu?

- Nie, sir.

- Jakiś urzędnik na dole wpadł na pomysł, że możecie potrzebować paszportu, gdy pojedziecie gdzieś z ambasadorem. Lećcie do pokoju dwieście szesnaście i załatwcie sprawę.

- Tak jest.

- Nie zostawajcie tam za długo, bo Dolores nabierze podejrzeń... tak przy okazji... czy ktokolwiek powiedział wam, co się będzie dziać w ciągu najbliższych dni?

- Nie, sir.

- Pojutrze ambasador rozpocznie wyjazd w teren. Przez następny miesiąc, czy coś koło tego, będzie jeździł po kraju. Zaczniemy od dołu, od Delty, i będziemy się przesuwać na północ. Pierwsze wyjazdy będą jednodniowe, ale jak będziemy wizytować rejony górskie i I Korpus, będziemy zostawać na noc. Lecimy we czwórkę - ambasador, ja, pilot i wy. Nie będziecie potrzebować niczego oprócz karabinu. Wszystko dostaniecie na miejscu. Macie być tutaj o szóstej rano we czwartek. Pojedziemy na Tan Son Nhut i po drodze zabierzemy ambasadora z rezydencji. Jakies pytania?

- Nie, sir.

- Dobrze. Teraz załatwcie ten paszport.

Pierwszą myślą Meada było, że wezwał go Lord, bo to był ten sam numer pokoju, ale jeżeli Dolores mówiła, że dzwonił jakiś homoseksualista, to znaczy, że to nie Zjawa.

Zeszedł na dół rozczarowany, ale i lekko zaintrygowany.

Gdy nikt nie odpowiedział na pukanie, Mead wszedł. Na stole leżał kwestionariusz paszportowy. Przeglądał go, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Lord.

Zachowywał się tak samo jak przedtem. Był zimny i bezosobowy. Nie odpowiedział na pozdrowienie Meada, tylko usiadł i wskazał na dokument.

- Wypełnij to i niech przełożony to zaakceptuje. Potem zanieś do sekcji paszportowej.

- Tak jest.

- Siadaj.

To będzie łatwe, pomyślał Lord.

Mead usiadł na tym samym krześle co poprzednio, oddalonym nieco od Lorda, i starał się opanować rosnące podniecenie.

- Ten Wietnamczyk to Bui Cao Kim. Pracuje dla Francuza, Bernarda Lacouture'a. Lacouture będzie próbował zabić ambasadora Marshalla. Stara się nawiązać z nim kontakt. Myślę, że mu się uda.

Lord pochylał się w stronę Meada.

- Pomożesz mi - powiedział rozkazującym, chrapliwym głosem. Ten bałwan powie „tak jest”, pomyślał Lord.

- Tak jest - powiedział Mead, prawie zrywając się z krzesła. - Oczywiście, sir. Lord rozsiadł się

na krześle i patrzył na niego z uwagą. Mead starał się zachować

spokój pod tym baczным spojrzeniem. Żadnego problemu, pomyślał Lord.

- Nie masz przeszkolenia - powiedział. Mead starał się ukryć rozczarowanie.

- Czytałem twoje akta. Robią wrażenie - powiedział Lord obojętnym głosem, absolutnie nie będąc pod żadnym wrażeniem. - Ale to... czego potrzebujemy, to coś innego.

Wpatrywał się w oczy Meada, a jego głos brzmiał nisko i był pełen napięcia.

- Trudno prosić o pomoc kogoś, kto nie ma umiejętności i przeszkolenia. Bałbym się o ciebie.

Mead pochylił się do przodu.

- Potrafię działać - powiedział zarliwie.

Lord wciąż na niego patrzył. To idzie zbyt łatwo. On jest za głupi, pomyślał.

- Pozwólcie mi spróbować - powiedział Mead prawie błagalnie.

Lord nie odzywał się przez dłuższą chwilę, potem znów się pochylił. Jego oczy jakby przyciągały Meada. Głos przeszedł w konspiracyjny szept.

- Nasza praca nie jest ani łatwa, ani pozbawiona ryzyka.

Sposób, w jaki to powiedział - sugerujący jakieś knowania i sekretność akcji - sprawiły, że Mead aż zadrżał.

- Czasami musimy robić rzeczy, które nam się nie podobają. Nasi wrogowie nie stosują w grze żadnych reguł. Gra toczy się spontanicznie.

Mead skinął głową.

Kiedy Lord odezwał się znowu, jego ciało poruszało się lekko ruchem kołyszącej się kobry, a Mead nieświadomie naśladował ten ruch.

- Nie tylko nasze reguły są inne, ale czasami nie ma żadnych reguł. To co wydaje się rzeczywistością, może okazać się zupełnie nierzeczywiste.

Cicho wymawiane słowa rzucały jakiś tajemniczy czar. Mead, jak w transie, obserwował dłonie Lorda, które kształtowały i zamazywały rzeczywistość.

- Żadnych reguł i żadnych nagród, żadnych medali do przypięcia, żadnych Srebrnych Gwiazd.

Wolnym ruchem rozluźnił sobie krawat i obciągnął koszulę, przez co odsłoniła się brzydka blizna na gardle.

- Żadnych Fioletowych Serc - wyszeptał. - Żadnej chwały. Mead wpatrywał się w bliznę zafascynowany.

- Tak - wyszeptał.

- Człowiek jest samotny. Mead skinął głową.

- Samotny i nieszczęśliwy.

Mead znowu skinął głową.

- Samotny i nieszczęśliwy, a praca jest nieprzyjemna. Czasami bardzo nieprzyjemna.

- Tak - powiedział Mead.

- Rozumiesz? Samotna, niebezpieczna i nieprzyjemna.

- Rozumiem - powiedział Mead.

- Czy potraficie robić nieprzyjemne rzeczy? Rzeczy, których nienawidzicie? Rzeczy sprzeczne z waszymi zasadami, jeżeli wiecie, że są ważne? Wytrzymacie samotność i przykrości?

- Tak - powiedział Mead zdecydowanie i z powagą skinął głową.

Lord pochylił się jeszcze bardziej w stronę Meada. Dzieliło ich tylko kilkanaście centymetrów.

- Żadnych reguł. - I jego czarodziejska ręka wymazała wszystkie reguły. - Żadnych praw. - Jego ręka anulowała wszelkie prawa. - Żadnych kar.

Złączył dłonie i wyciągnął je do Meada, jakby mu ofiarowywał jakiś skarb.

- Jest tylko nasza misja i to tylko ma znaczenie. Mead wpatrywał się w jego dłonie.

- Nikogo nie obchodzi, jak wykonacie swoje zadanie. Nikt nie chce o tym wiedzieć. Chcemy tylko waszej pomocy.

- Tak, sir - wykrztusił Mead.

- Francuz będzie próbował zabić ambasadora Marshalla. Musimy go powstrzymać.

- Tak jest.

- Musicie poznać jego plan.

- Ja? - zapytał Mead szeptem, zaskoczony. - Jak ja mogę to zrobić?

- Musicie się z nim spotkać. On będzie się z wami kontaktować. Zaproponuje ci wielką sumę pieniędzy.

- Za co?

Lord patrzył na niego tak intensywnie i tak długo, że Mead wreszcie zrozumiał. Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł.

- Czas dorosnąć, kapralu - powiedział Lord. - Świat to miejsce pełne zła. Mead nie mógł się poruszyć.

- Ale ja...

- Misja, kapralu. To tylko się liczy. Bronimy życia... Bronimy naszego kraju. Nie obchodzą nas wasze delikatne uczucia.

Mead skinął głową i zaczął mówić jękając się:

- Ja... tego... Ja wyjeżdżam z ambasadorem Marshalllem we czwartek. Ja... Ja nie będę mógł... przez pewien czas.

Lord wyprostował się na chwilę.

- W takim razie zrobicie to po powrocie - powiedział ostro. Podniósł rękę, jak czarodziej podnosi różdżkę.

- Nie możecie nigdy... Mead skinął głową powoli.

- ...nic powiedzieć.

Lord opuścił rękę kończąc czary.

- Do widzenia, kapralu - powiedział energicznym tonem.

Czwartek, pomyślał. Muszę się natychmiast zobaczyć z Gibbonem. Mead zerwał się.

- Tak, sir.

Ruszył do drzwi, ale wrócił po kwestionariusz. Zatrzymał się przed Lordem.

- Sir, ja...

Lord podniósł rękę.

- Muszę poznać plan Francuza. Nic poza tym. Nie obchodzą mnie problemy osobiste, kapralu.

Jego oczy były zimne, pozbawione jakichkolwiek uczuć. Dał Meadowi ręką znak żeby odszedł.

- Zrobicie to.

Mead odwrócił się i wyszedł. Był już w połowie schodów, kiedy dopiero udało mu się swobodnie odetchnąć. Stał i przytrzymał się poręczy. Czuł się, jakby go ktoś kopnął w żołądek, a w głowie miał taki zamęt, że nie mógł zebrać myśli. Nawet nie chciał w ogóle myśleć.

Wrócił na najwyższe piętro taki rozkojarzony, że zapomniał zameldować się u sekretarki, aż zdał sobie sprawę, że w dalszym ciągu trzyma w ręku kwestionariusz paszportowy.

Przeszedł przez korytarz i wszedł do pokoju Dolores Toland, właśnie w chwili, gdy zadzwonił telefon.

Kiedy usłyszała głos w słuchawce, zasłoniła dłonią mikrofon i, patrząc prosto na Meada, zaklęła:

- Cholera! Proszę minutkę poczekać - powiedziała słodko do słuchawki, a potem znowu, zasłaniając mikrofon, odwróciła się do Meada. - Zawołaj pułkownika Romera. To znowu ten francuski pedał. Pośpiesz się!

Mead znieruchomiał.

- Pośpiesz się, głupku! Ale zaraz się zerwała.

- Dobrze. Sama go zawołam.

Wybiegła z pokoju i wróciła po chwili z Romerem. Z obrzydzeniem pokazała ręką na telefon.

Romer podniósł słuchawkę i odezwał się po francusku.

- *Allo*. Czym mogę służyć?

Na drugim końcu linii Lacouture odsunął słuchawkę od ucha i popatrzył na nią. Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewał się dzwoniąc do ambasady amerykańskiej, było, że usłyszy dobry francuski.

- *Allo* - odezwał się. - Czy to ambasador Marshall?

- Nie - odpowiedział Romer. - Mówi jego wojskowy asystent. W czym mogę pomóc?

- Może pan pomóc mnie i ambasadorowi Marshallowi, jeżeli umożliwi mi pan rozmowę z nim.

- Czy może mi pan w skrócie powiedzieć, o czym chciałby pan rozmawiać z ambasadorem?

Może mógłbym załatwić sprawę zamiast niego?

Jego francuski jest zbyt dobry. Żaden Amerykanin nie mówi tak dobrze. Nagle skojarzył. To musi być Robert R. Romer junior. To ten człowiek, którego wtedy widział w „Continentalu”. Musi być asystentem ambasadora Marshalla.

- Ach, pułkownik Romer - powiedział. - To prawdziwa przyjemność móc z panem rozmawiać! Z początku myślałem, że się pomyliłem i zadzwoniłem do niewłaściwej ambasady. Pański francuski jest

nienaganny...

Teraz z kolei Romer był zdumiony. Nie wymienił swojego nazwiska i, o ile wiedział, nikt poza biurem Westmorelanda i kilkoma osobami w ambasadzie nie orientował się, że pracuje dla Marshalla.

- Nazywam się Bernard Lacouture, panie pułkowniku. Jestem w wieku pańskiego ojca i byłoby z mojej strony nieuprzejme i niewdzięczne, gdybym nie złożył hołdu pamięci pańskiego ojca, pomimo to że pan pewnie ma już dość tego rodzaju wypowiedzi. W każdym razie byłoby niewłaściwe ze strony jakiegokolwiek Francuza nie wspomnieć o tym, co zrobił pański ojciec.

- Dziękuję - powiedział Romer uprzejmie, ponieważ czuł, że tamten mówi szczerze.

- Od dwóch dni staram się skontaktować z ambasadorem Marshalllem. Trochę mi przykro, że nie mogę zapoznać pana ze sprawą, w której dzwonię, ponieważ wiem, że jest pan człowiekiem honoru, i bardzo chętnie zaufałbym panu, ale po prostu nie mogę. To co mam do powiedzenia, przeznaczone jest wyłącznie dla uszu pana ambasadora. Zobowiązany jestem do zachowania tajemnicy. Zapewne panu przyjdzie łatwiej zrozumieć niż komukolwiek innemu, że gdybym mógł, porozmawiałbym właśnie z panem, synem człowieka, który pomógł wyzwolić mój kraj. Mogę jedynie pana zapewnić, że to co mam do powiedzenia jest niezmiernie ważne i pan ambasador będzie niechybnie bardzo zainteresowany wiadomością, którą mu przekażę. Ostatecznie zawsze może odłożyć słuchawkę, prawda?

- Przypuszczam, że może - roześmiał się Romer. - Pan Bernard Lacouture?

- Tak.

- Jeżeli zechce pan chwilę poczekać, zorientuję się, czy pan ambasador przyjmie telefon. A może zostawi pan numer? Wtedy on będzie mógł zadzwonić do pana.

- Dziękuję bardzo. Poczekał.

Romer położył słuchawkę na biurku i poszedł w stronę gabinetu Marshalla. Mead i Dolores odprowadzili go spojrzzeniami.

Mead usłyszał nazwisko Bernard Lacouture, to samo, które Lord wspomniał zaledwie kilka minut temu. Lord powiedział, że uda mu się, i okazało się, że miał rację. Przecież Romer szedł właśnie do ambasadora, żeby nawiązać kontakt.

Mead był oszołomiony. W jaki sposób Lord zawsze wie o wszystkim? Powiedział, że Lacouture będzie próbował zabić ambasadora. Lord powiedział też, że potrzebuje pomocy. Prosił go o pomoc, żeby ocalić Marshallowi życie, żeby pomóc krajowi.

Poczuł wstyd. Dlaczego nic nie powiedział?

Romer wrócił.

- *Monsieur* Lacouture? Ambasador będzie z panem rozmawiać. Łączę. Nacisnął guzik.

- Panie ambasadorze, *Monsieur* Lacouture na linii. - Poczekał chwilę, aż tamci zaczęli rozmawiać, i odłożył słuchawkę.

- Teraz przestanie ci zawracać głowę - powiedział do Dolores.

- Pułkownik Waggoner nie pozwoliłby mu rozmawiać z ambasadorem - powiedziała z naganą w głosie.

- Ambasador zawsze może odłożyć słuchawkę, prawda? Może powiedzieć, żebyś nie łączyła dalszych rozmów, jeżeli nie zechce z nim więcej się kontaktować.

Romer zwrócił się do Meada.

- Załatwiliście paszport?

Mead pokazał mu kwestionariusz.

- Muszę to wypełnić, a potem pan albo pułkownik Waggoner musi to podpisać, sir - powiedział, opuszczając głowę.

- Przyjdźcie do mnie, jak będziecie gotowi - powiedział Romer i wyszedł do drugiego pokoju.

Mead zacisnęła powieki jak w paroksyzmie bólu. Wyszedł.

- Panie ambasadorze, mam do przekazania bardzo ważną i bardzo pilną wiadomość. Nie mogę jej jednak przekazać przez telefon.

- Czy mógłby pan powiedzieć mi przynajmniej, o co chodzi? - zapytał Marshall. Lacouture zaczął szybko mówić po francusku.

- Ja jestem tylko pośrednikiem, ekscelencjo. Wasza CIA ma o mnie złą opinię, ale wiedzą też, że mam liczne i godne zaufania źródła. W tym przypadku jestem wyłącznie pośrednikiem. Opłacono mnie, żebym przekazał panu wiadomość. Mam otrzymać jeszcze więcej za zorganizowanie spotkania pana z tą drugą osobą, której nazwiska z oczywistych powodów nie mogę wymienić.

- To bardzo intrygujące, panie Lacouture - odpowiedział Marshall po francusku. - Musiałbym jednak mieć więcej informacji, żeby zdecydować się na spotkanie z panem.

- Ta osoba, która pragnie się z panem spotkać, to Wietnamczyk z Północy na wysokim stanowisku. Stracił dwóch synów na wojnie. Jest przepełniony goryczą i poczuciem krzywdy po utracie dzieci. Ma też inne dzieci, wśród nich syna, który wkrótce będzie musiał wstąpić do wojska, i córki, które są w ciągłym niebezpieczeństwie ze względu na naloty na Hanoi. Chciałby spotkać się z panem, żeby omówić... możliwości. Więcej szczegółów będę mógł przekazać osobiście, podobnie jak dowody szczerych intencji tego człowieka.

- Bardzo dobrze - powiedział Marshall. - Powiedzmy, dziś o ósmej w mojej rezydencji. Ona jest...

- Wiem, gdzie ona jest, ekscelencjo. Dziękuję bardzo. Z pewnością będę. Kiedy Marshall odłożył słuchawkę, przyszło mu do głowy, żeby skontaktować się

z szefem lokalnej placówki CIA i dowiedzieć się czegoś o Lacouturze, ale ostatecznie postanowił tego nie robić. Najpierw posłucha, co Francuz ma mu do powiedzenia, i wtedy dopiero go sprawdzi. Co prawda zbieg okoliczności jest niesamowity: pośrednik pojawia się właśnie wtedy, kiedy on go potrzebuje. Wiedział jednak z doświadczenia, że kontakty bywają nawiązywane zupełnie niespodziewanie.

Marshall orientował się dobrze, że rozmowy pokojowe w Paryżu mają się wkrótce rozpocząć. Zdawał też sobie jednak sprawę, że pertraktacje będą się wlokły w nieskończoność, bo kiedy ważne sprawy staną w końcu na wokandzie, obie ; strony zaczną udawać, stroić różne pozy i wszystko utonie w teatralności, i Tak samo mało prawdopodobne było, że w coś wyniknie ze spotkania z La-couturem. Marshall jednak musi podjąć ryzyko. Czy rzeczywiście jest nie do

pomyślenia, by nieprzyjaciel żywił takie same uczucia wobec swoich dzieci, jakie on żywi wobec swoich? Co za szczęście! - pomyślał Marshall, czując nagle przyływ optymizmu. To może być jego szansa, szansa ocalenia Ryana i zakończenia wojny.

Czytał sprawozdanie dotyczące strategii generała Giapa pod Dien Bien Phu, ale teraz nie mógł skupić na nim uwagi. Poza tym, niewykluczone, że podobieństwo z Khe Sanh jest całkiem powierzchowne.

Generał Tran miał rację. Khe Sanh to tylko pozorne działanie, mające na celu odwrócenie uwagi od innych miejsc koncentracji i od poważnego uderzenia, które będzie miało za zadanie osłabić poparcie amerykańskiego społeczeństwa dla działań wojennych.

Armia Pomocnego Wietnamu nie docenia jednak prezydenta Johnsona. Tego Marshall był pewien. Taki atak tylko przedłużyłby wojnę i spowodowałby, że dopiero wtedy prezydent stałby się nieustępliwy.

Musi się z kimś skontaktować i przekonać go o tym. Teraz Lacouture stwarza taką możliwość. Musi zaryzykować. Marshall nie wierzył w przeznaczenie, ale to mogło być nieoczekiwaną szansą na wybawienie.

Zgasił światło, powiedział do widzenia w biurze i przeszedł przez korytarz, żeby zawołać Meada.

Kapral był pochylony nad jakimiś formularzami i pracowicie wypełniał je przygryzając wargi. Ponieważ nie miał biurka, usiadł na podłodze i pisał na krześle.

Czując kogoś za plecami Mead odwrócił się, a widząc Marshalla zerwał się, rozrzucając przy tym papiery na wszystkie strony.

- Nigdzie się nie śpieszę - powiedział Marshall. - Rób swoje i skończ. Chciałbym wyjechać nieco wcześniej. Nie wiem, czy zasłużyłem sobie na to, ale co tam. Skończ to, co robisz. Zejdź na dół do bufetu. Czy tam sprzedają piwo? Mam ochotę na kufelek.

- Sir, nie może pan... Nie może pan czekać na mnie. Ambasadorowie nie chodzą do bufetu. To... no, po prostu nie chodzą.

- Nie przyszedłem tutaj prosić cię o pozwolenie. Pytałem tylko, czy sprzedają tam piwo.

- No... tak, sir. Sprzedają.

- To dobrze. Napiję się piwa. Przyjdź po mnie, jak będziesz gotów.

- Cholera - powiedział głośno Mead. Nie mógł uwierzyć, że Marshall znowu gdzieś poszedł.

Wrzucił papiery do szafki i właśnie zatrzasnął drzwiczki, kiedy pojawił się pułkownik Waggoner. Tylko nie to, jęknął w myślach Mead.

- Co tu robicie? Zdawało mi się, że ambasador Marshall wyszedł.

- Tak, sir, ale... on poszedł tylko do baru.

- Gdzie?

- Do baru, sir. - Mead aż skurczył się ze strachu. - Powiedział, że chce się napić piwa. Kazał mi skończyć to, co robię.

- A co, u diabła, robicie?

Mead niepewnym ruchem wskazał na szafkę.

- Robotą papierkową. Mój kwestionariusz paszportowy, sir. Cholera, pomyślał. Dlaczego zawsze muszę wszystko spieprzyć?

- Ty bałwanie! Waszym zadaniem jest pilnować ambasadora Marshalla. Czy nie możecie wbić sobie tego do swojej głupiej głowy? On nie może biegać samotnie po Cholonie czy popijać piwko w barze, kiedy wy robicie papierkową robotę.

Mead chwycił karabin.

- Tak jest.

Podbiegł do drzwi, ale nie mógł wyminąć Waggonera.

- Już idę do niego, sir. Jeżeli tylko zechce mnie pan przepuścić, sir. Dziękuję. Do widzenia, sir.

Wybiegł z pokoiku. Kurwa mać! - chciał krzyknąć. Dlaczego nigdy nic nie mogę zrobić jak trzeba? Wszyscy myślą, że jestem głupi.

Bar w podziemiach zajmował dużą salę z długim kontuarem. Stało tam wiele stołów i krzeseł. Chociaż sala była prawie całkiem wypełniona, stół Marshalla otaczał szeroki krąg pustych miejsc. Dla wchodzącego do sali było to tak widoczne, iż można by przypuszczać, że znajduje się tam źródło zarazy.

Rzucane spod oka spojrzenia świadczyły, że wszyscy wiedzą, kto tam siedzi, ale nikt nie ma odwagi się zbliżyć.

Mead wbiegł do sali i zatrzymał się, kiedy zobaczył siedzącego samotnie Marshalla popijającego piwo i próbującego zachowywać się swobodnie, chociaż znajdował się w centrum uwagi.

Mead podszedł do Marshalla i zatrzymał się niepewnie.

- Szybko się uwinąłeś - powiedział Marshall. - Siadaj.

Mead usiadł sztywno, świadom, że wszyscy patrzą się na nich.

- Napij się piwa - zaprosił Marshall.

- Dziękuję, sir, ale... Nie mogę pić na służbie.

- Och, to w takim razie i ja nie powinienem pić. Czy myślisz, że w tym zakresie też są jakieś przepisy? Ciekawe, czy jest gdzieś zapisane, że ambasadorowie i kaprale nie mogą pić na służbie? Jak myślisz?

- No, cóż. Nie wiem o ambasadorach, sir, ale jestem pewien, że jest przepis o kapralach. Wydaje się, że jest mnóstwo przepisów o kapralach.

Marshall roześmiał się.

- Napij się piwa. Niegrzecznie z mojej strony jest tak pić samemu, a niegrzecznie z twojej strony, że nie chcesz się ze mną napić.

Mead podszedł do kontuaru i wrócił z butelką piwa, cały czas obawiając się, że lada chwila we drzwiach pojawi się pułkownik Waggoner z dowódcą korpusu piechoty morskiej i patroliem żandarmerii, by go zaarrestować.

- Prosił - powiedział Marshall, podnosząc butelkę, kiedy Mead usiadł. - Tak mówią Niemcy. Zastanawiam się, co mówią Wietnamczycy. Każde społeczeństwo ma jakieś powiedzenie, więc pewnie i oni je mają. To całkiem niezłe piwo. Ciekawe, dlaczego nazywa się „33”. Ciekawa nazwa dla piwa. Czy może wiesz, dlaczego?

- Nie wiem, sir. Zazwyczaj piję piwo filipińskie.

- Czy jest lepsze? Mogę spróbować? - Wziął butelkę od Meada i wypił łyk nawet nie wycierając szyjki. Ktoś powiedział Meadowi, że Wietnamczyk czułby się obrażony, gdyby poprosiło się o szklanekę do piwa, bo byłoby to równoznaczne z podejrzeniem, że być może butelka jest brudna. Teraz to rozumiał, bo poczuł się w dziwny sposób mile polectany, że ambasador napił się prosto z jego butelki.

- Jest lepsze - powiedział Marshall. - Pewnie dlatego, że to jeszcze Francuzi zbudowali ten browar, a ten naród pije mało piwa. Może tylko Alzacja, ale i ona przez połowę swoich dziejów była niemiecka.

- Pan wie prawie wszystko, prawda, sir? - zapytał Mead nieśmiało. Marshall roześmiał się.

- Powinieneś pogadać z moimi synami. Im się wydaje, że o niczym nie mam pojęcia. Według

nich jestem skończonym głupkiem.

- Dzieciaki tak zawsze mówią.

- Naprawdę? Może pogadasz z nimi. Powiesz im, jaki jestem inteligentny, i że powinni robić wszystko, co im zalecę. Myślisz, że to ci się uda?

- Chyba nie, sir - powiedział Mead z uśmiechem. Marshall wysączył butelkę do dna.

- Napiłbym się jeszcze. Już się czuję znacznie lepiej.

Podszedł do kontuaru i przyniósł wietnamskie piwo dla siebie i San Miguel dla Meada, który poczuł się skrępowany, że obsługuje go ambasador, a wszyscy na to patrzają. Marshallowi było to wyraźnie zupełnie obojętne, że stał się obiektem powszechnej uwagi.

- Jak już mają nas postawić przed sądem za jedno piwo, nic już nie ryzykujemy pijąc drugie.

Podniósł butelkę.

- *Na zdrowie* - tak mówią Rosjanie. Wypił duży łyk.

- Co mówiliśmy w Korpusie? Nie mogę sobie przypomnieć czy coś takiego było?

- Po prostu piło się za Korpus.

- Właśnie.

- Czy pan też był kiedyś kapralem? - zapytał Mead.

- Tak, kiedy byłem w twoim wieku, ale myślę, że nie byłem tak dobry jak ty. Byłem łajzą. Źle maszerowałem, nie potrafiłem podawać rytmu, marnie strzelałem i przez większość czasu chodziłem śmiertelnie przerażony, ale było mi dobrze. Wolałem być kapralem niż oficerem.

- Naprawdę, sir?

- Było bardziej zabawnie. Mogłem sobie ponarzekać, pojęczeć, posiedzieć z chłopakami. Jak się jest oficerem, człowiek jest bardziej samotny. Pamiętam kiedyś, w Korei, po wyjątkowo zaciętych walkach wszyscy siedzieli razem, popijali piwo, rozmawiali i żartowali. Byłem dowódcą plutonu, ale nie czułem się jednym z nich. Chciałem się do nich przyłączyć, ale oni źle by się czuli. Zepsułoby im to całą zabawę. Siedziałem więc sam. Nie miałem do kogo gęby otworzyć.

- Nigdy o tym nie pomyślałem - przyznał Mead i z jakiegoś powodu przypomniał sobie porucznika Bishopa.

- Chciałbyś pojechać w teren? - zapytał Marshall. - To może być ciekawe i czas będzie mijał szybciej.

- Tak, sir. W Wietnamie nigdzie nie byłem, tylko tutaj i w Strefie Zdemilitaryzowanej. Właśnie o tym myślałem, kiedy opowiadał pan jak to jest być porucznikiem. Tam miałem naprawdę świetnego porucznika. To dzięki niemu tu jestem.

Odesłał mnie. Obawiał się, że zginę. Naprawdę lubiłem go. Zastanawiam się, co się stało z tymi wszystkimi chłopakami.

- Gdzie oni są?

- Gdzieś koło Khe Sanh, sir.

- Och! A chciałbyś się z nimi zobaczyć? Możemy tam pojechać. I tak miałem zamiar obejrzeć tamten rejon.

- Naprawdę, sir? Możemy tam pojechać?

- Tak, oczywiście. Polecę pułkownikowi Romerowi, żeby to załatwił. Będzie potrzebować tylko nazwy jednostki.

Mead cały promieniał.

- Naprawdę pan tak robi? To znaczy, tam pojedzie?

- I tak bym tam pojechał, ale zrobię to specjalnie dla ciebie. Mead aż się zawstydził.

- Trudno mi w to uwierzyć. Znowu zobaczę się z Opieńkiem, sierżantem, porucznikiem Bishopem i z chłopakami. Jezu! Nie będą chcieli uwierzyć... Cholerny ambasador... To znaczy... Pan, sir... A ja razem z panem w helikopterze.

Jednym łykiem dopił resztę piwa.

- Muszę to panu powiedzieć, sir. Nigdy nie spodziewałem się, że pan będzie taki. Marshall uśmiechnął się.

- Lepiej chodźmy, zanim wypijemy trzecie piwo i powiesz mi, co naprawdę o mnie myślisz.

Mead pokręcił głową.

- Nie. Mówię poważnie. Pan był naprawdę w porządku wobec mnie. Jak nikt. Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, że to doceniam i... no cóż... Jestem gotów zrobić dla pana wszystko, sir.

- Dziękuję bardzo - powiedział Marshall, wstając. - Mam jednak nadzieję, że to nie będzie zbyt

trudne. Będę się starał trzymać z dala od kłopotów, a przynajmniej nie stwarzać takich problemów, jak wtedy na Cholonie.

Mead zerwał się. Myślał nad jakimś sposobem wspomnienia mimochodem o tej sprawie, ale nie mógł wymyślić i teraz nadarzała się ostatnia okazja.

- Ten Francuz, który dzwonił, wymęczył dziś pannę Toland.

Chciał mu opowiedzieć o Lacouturze, ale nie mógł nie zastosować się do poleceń Lorda. Marshall popatrzył na niego z zainteresowaniem. Zorientował się, że uwaga Meada nie jest przypadkowa.

- O co ci chodzi?

Mead kręcił się niepewnie.

- Tylko o to... że powinienem pana chronić, sir, no i jeżeli... ktoś się naprzykrza... Ona mówiła, że ciągle dzwoni... to pomyślałem sobie, że może powinienem... no, coś o tym wiedzieć.

Marshall uśmiechnął się.

- Chyba jesteś dobrze zorientowany, prawda?

- Nie bardzo rozumiem... - odparł Mead.

Marshall poklepał go po ramieniu i poszli razem w stronę drzwi.

- To znaczy, że robisz bardzo dobrą robotę, kapralu. To znaczy, że to doceniam, ale nie przejmuj się Francuzem.

To, że nie powiedział ambasadorowi nic więcej, wywołało u Meada poczucie, iż zdradził Marshalla, ale cóż, Lord z pewnością wie co robi.

Po odprowadzeniu Marshalla do jego willi Mead złapał taksówkę i wrócił do domu.

Zapłacił kierowcy i już wchodził po schodach, kiedy w jego kierunku po chodniku zaczął biec Lacouture.

- Panie Mead, proszę poczekać! Proszę się zatrzymać! Drogi panie Mead! Proszę poczekać!

Mead odwrócił się zdumiony i zobaczył małego, tłustego Francuza pędzącego w jego stronę i wymachującego chusteczką. Odruchowo poderwał karabin.

- Nie strzelaj! - zapiszczał Lacouture, zatrzymując się gwałtownie w miejscu i zasłaniając głowę rękami. Chusteczkę trzymał, jakby go miała ochronić przed kulą. - Nie strzelaj! Nic ci nie zrobię!

Możliwość, że Lacouture może mu coś zrobić, wydała się Meadowi tak nieprawdopodobna, że wybuchnął śmiechem i opuścił karabin.

Lacouture wyjrzał zza chusteczki. Mead śmiał się coraz głośniejszym głosem ze skulonego, małego, tłustego człowieka w białym garniturze.

Obrażony, Lacouture wyprostował się, schował chusteczkę do kieszeni i z godnością ruszył w stronę Meada.

- To niegrzecznie, niesympatycznie i po chamsku tak się wyśmiewać z innych. Powinien się pan wstydzić. Poza tym skąd pan wie, że nie jestem mistrzem *ninja*, który może sprawić panu solidne lanie?

Mead nigdy w życiu nie spotkał jeszcze nikogo takiego. Zdumienie ustępowało miejsca fascynacji, ale i tak nie mógł przestać się śmiać.

- Sprawić mi lanie? - spytał. - Dobrze. Spróbuj.

Oparł karabin o ganek. Lacouture stał przed nim. Był niższy prawie o trzydzieści centymetrów.

- Pan jest bardzo odważny. Daruję panu winę. Jestem nawet gotów nagrodzić pana za odwagę. - Sięgnął po portfel.

- Nie trzeba - powiedział Mead, podnosząc karabin.

- Proszę. Musi pan pójść ze mną. Proszę. - Chwycił się za pierś. - Inaczej umrę. Mały człowieczek jest interesujący i obrzydliwy, pomyślał Mead. Zupełnie jak

jakiś okropny troll z bajki. Przypomniał mu się jarmark na wsi, gdzie pokazywano różnych cudaków.

- Czego, kurwa, chcesz? - zapytał.

- Nie mogę tego powiedzieć tutaj. - Lacouture rozejrzał się z pogardą. - Tu jest tak brzydko. - Wyciągnął rękę, żeby chwycić Meada za ramię, ale przypomniawszy sobie, że Amerykanie nie lubią dotykania, cofnął się szybko. - Niech pan zje ze mną kolację.

Mead patrzył na niego z niedowierzaniem. Czy to jest ten człowiek, który ma spróbować zabić Marshalla? Ten mały śmieszny wyskrobek? Czy to on dzwonił do Marshalla? W jaki sposób miałby być niebezpieczny?

- Proszę - powiedział Lacouture. - Musi pan. Tylko raz. Potem nie będę się panu narzucać. Mead pokręcił głową.
- Może innym razem. Teraz muszę już iść. Muszę się z kimś zobaczyć.
- Tak, wiem, ze swoją kobietą. Niech pan idzie do niej, a potem zje ze mną kolację. Musi pan. O dziewiątej.

Podał Meadowi banknot o dużym nominale.
- To na taksówkę. O dziewiątej. Spędzi pan dość czasu ze swoją kobietą. Nic się panu nie stanie. Nikt pana nie skrzywdzi. Przyjdzie pan? Prawda? O dziewiątej w „Coq d'Or”.

- Gdzie?
- To nic. Napiszę panu adres. Przyjdzie pan? - Znowu chwycił się za pierś. - Proszę powiedzieć, że tak.

- Zastanowię się - powiedział Mead.
- Proszę się zgodzić. O dziewiątej. Musi pan. Musi.
- Powiedziałem, że się zastanowię. Lacouture znów położył rękę na sercu.
- Ja chyba umrę.

Potem pogroził Meadowi palcem.
- Albo wrócę i spuszczę ci łanie - dodał, wymachując rękami w dziwny sposób w powietrzu. Odwrócił się i ruszył tanecznym krokiem ulicą. Mead patrzył za nim w zdumieniu.

Stało się dokładnie tak, jak Lord powiedział. Skąd wiedział? Telefon, kontakt z Marshalllem, a teraz to. Wszystko dokładnie tak, jak powiedział Lord. Co on jeszcze takiego powiedział? Że nie miał żadnych reguł, a to co wydaje się realne, może być nierealne.

Lacouture zniknął za rogiem. Dzikus przyjdzie. Był pewien. Będzie go miał! Potem jednak zatrzymał się na chodniku, tknięty wątpliwościami i obawami. Dzikus powiedział, że „zastanowi się”. Nie przyjdzie. Powiedział tak, żeby się go pozbyć. Ma kobietę. Brzydzi się osobami takimi jak on. Tego Lacouture był pewien. Nic z tego nie wyjdzie, pomyślał w rozpacz i chciał rzucić się pod koła przejeżdżającego samochodu.

Nie! Opanował się. Przyjdzie. Podświadomie czuł, że się uda. Wszystko będzie w porządku. Przekona Marshalla, żeby spotkał się z przedstawicielem armii północ-nowietnamskiej, dostanie pieniądze od Wilsona Abbota Lorda, a co najważniejsze, dostanie Dzikusa. Po prostu wiedział, że tak będzie.

- Taksówka! - zawołał, wybiegając na jezdnię.
Lord siedział na metalowym składanym krześle w gabinecie Gibbona.
- Jestem zakochany - powiedział Gibbon z uśmiechem.
- Nie jesteś zakochany, tylko permanentnie napalony.
- Zakochany, napalony - czy to nie to samo?
- Wydaje mi się, że u Elisabeth Barrett-Browning* można by znaleźć kilka innych określeń.
- Założę się, że słabo się różniła.
- Była kaleką, Jeff. - Lord zastanawiał się przez chwilę. - A może miała gruźlicę? Zdaje się, że to miał prawie każdy w tamtych czasach.

- To jeszcze gorsze. Nie mogła brać do buzi. Lord popatrzył na niego i uśmiechnął się.
- Mówisz tak, żeby mnie zdenerwować. W kim to się zakochałeś i co się stało z Ca Li?
- Ca Li czuje się świetnie. Ta kobieta to sekretarka Marshalla. Widziałeś ją? Lord zmarszczył brwi. Zawsze zdarza się coś nieprzewidzianego, pomyślał.

Powinienem być to przewidzieć. Jeff i piękna kobieta.
- Chyba masz różdżkę między nogami - powiedział Lord. - Tym razem trafiłeś jednak na kurzawkę. Trzymaj się od niej z daleka.

- Och, nie - jęknął Gibbon. - Czy ona jest od nas? Działa w prywatnej stajni Marshalla?
Lord pokręcił głową.
- Marshall nie zainteresowałby się Dolores.
- Jezu, dlaczego?
- Jest zbyt ostentacyjna i prymitywna.
- Właśnie - przyznał Gibbon. - Wszystko - jej usta, oczy, uszy i nos krzyczą „Zerznij mnie!” Jest wspaniała.

- Nie jest w typie Marshalla - powiedział Lord. - Jakiś amator wybrał ją i przysłał tutaj. Musiał mieć gust do kobiet taki jak ty. Marshall woli typy bardziej subtelne i z większą finezją. Kogoś, kto

nie ma wypisane na czole Jestem twoja".

- To znaczy, że on jej nie rżnie?
- Nie. Od razu wyczuł, że jest podstawiona. Nie jest głupi. To fachowiec.
- To dlaczego nie mogę się koło niej zakręcić?
- Spowodowałyby to komplikacje. Trzymaj się od niej z daleka - powiedział spokojnie Lord. -

Nie chcę, żeby nawiązały się jakiegokolwiek kontakty pomiędzy nami a jego biurem. Poza tym będziesz zajęty. Marshall wyjeżdża we czwartek w teren. Polecą helikopterem. Tym *Hueyem 1 B*, o którym mówiliśmy. Chcę, żebyś przedtem zrobił to, co jest... konieczne.

Gibbon rozparł się nonszalancko w krzesło, starając się nie zdradzić zaniepokojenia.

- To znaczy dziś w nocy. A co będzie z tym pilotem z piechoty morskiej? Lord spojrzął na niego, jakby nie rozumiał.

- A co ma być?

- Kiedy leciałem na ważną misję, nie ruszałem się od mojej maszyny. Spałem w niej w nocy przed misją.

Lord uśmiechnął się słabo.

- Dzisiaj będzie spał gdzie indziej.

Gibbon przyglądał się Lordowi przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową.

- Niech zgadnę... Dolores? - roześmiał się. - Myślisz o wszystkim.

- O, nie. Jestem wprost przerażony tym wszystkim, czego nie dostrzegam lub co zdarza mi się przeoczyć, ale w tym przypadku to kwestia kontroli i równowagi sił. Magnuson kontroluje Marshalla, a Dolores Magnusona.

- Może potrzebujesz kogoś, kto skontrolowałby Dolores? - zapytał Gibbon, wskazując na krocze.

- Dziękuję za gotowość, ale to nie będzie konieczne. Gibbon pochylił się teraz, cały pochłonięty swoim zadaniem.

- Jakie są środki bezpieczeństwa wokół helikoptera?

- Bardzo rygorystyczne - powiedział Lord z powagą. - Jest razem z samolotami Air America.

Gibbon uśmiechnął się i odprężył. Air America było linią lotniczą należącą do

Lord wstał i podszedł do drzwi. Nie miał nic więcej do powiedzenia. Gibbon wiedział, że szczegóły nie interesują Lorda, a Lordowi odpowiada rutynowe podejście Gibbona do wykonywanych zadań. Nigdy nie przestawał gadać o kobietach, kle nigdy też nie mówił o swoich misjach. Po prostu robił co do niego należało. Lord był zupełnie pewien, że helikopter rozbije się we czwartek.

- Do widzenia, panie Lord.

- Do jutra, Jeffrey.

XXIV

- Au! - krzyknęła Teresa ostro, gdy gorący płyn rozlał się jej na rękę.

Była właśnie w kuchni i nalewała zupę, kiedy kobieta trzymająca miskę upuściła ją, zachwiała się na nogach, niemal osuwając się na ziemię.

Chociaż ból był nie do wytrzymania i łyzy cisnęły się jej do oczu, Teresa rzuciła się w stronę kobiety, chcąc ją podtrzymać.

- Co ci jest? - zawołała. Ból był jednak zbyt silny i musiała ją puścić. Kobieta odzyskała przytomność, kiedy jednak zobaczyła rozlaną zupę, zaczęła płakać.

- Wszystko w porządku - powiedziała Teresa uspokajająco. - Mamy dużo zupy. - Wzięła ze stołu inną miskę i podała ją kobiecie, nalać jej zupy już nie mogła.

- Czy mogłabyś przez kilka minut nalewać zupę? - zwróciła się do innej kobiety.

- Pójdę się umyć.

Jak tylko wyszła z kuchni, podniosła rękę do góry. Były czerwone i pokryte bąblami. Wstrząsała nimi i dmuchała na nie, aż wreszcie wsunęła dłonie pod pachy starając się w ten sposób złagodzić ból.

- O Boże - jęknęła i oparła się plecami o ścianę. Oczy napełniły jej się łzami. Przekonana, że jest sama i że wszyscy zajęci są jedzeniem w drugiej sali,

pofolgowała sobie - podniosła rękę do twarzy i płakała cicho, a potem, załamana, jęknęła głośno.

Wtedy zobaczyła Lin. Siedziała na łóżku na drugim końcu sali i przyglądała się jej. Szybko opuściła rękę i otarła łyzy przedramieniem. Z rękami opuszczonymi po bokach podeszła do Lin.

- Sparzyłam się - powiedziała. - Chyba oparzenia bolą najbardziej. O Boże, ale bolało. - Strzepnęła rękami w powietrzu i usiadła na łóżku

Lin, wymizerowana i poznaczona śladami po ospie, zdawała się nie zauważać Teresy, a nawet wychudzonego dziecka leżącego u niej na kolanach. Trzymała dziecko i w otępieniu patrzyła w przestrzeń.

- Musisz coś zjeść - powiedziała Teresa. - Dlaczego nie pójdziesz i nie weźmiesz sobie czegoś? Ja potrzymam dziecko.

Lin nie odpowiedziała.

Pewnie znowu épała, pomyślała Teresa. Nie można było dopilnować wszystkich kobiet. Wchodziły i wychodziły. Czasami znikwały na kilka dni i wracały prawie nieprzytomne od narkotyków.

Historia Lin nie różniła się bardzo od historii innych kobiet. Nawet nie pamiętała, ile miała poronień. Skończyła dwadzieścia cztery lata. Urodziła się podczas okupacji japońskiej i wychowała na ulicach Sajgonu. Do burdelu trafiła w wieku jedenastu lat, ale pierwsze doświadczenia seksualne przeżyła w wieku sześciu lat z podstarzałym Francuzem.

Teresa wiedziała, że Lin przez całe życie nie zetknęła się z miłością ani czułością. To było nieustające piekło. Jedynie narkotyki albo szaleństwo przynosiły

ulgę. Śmierć też stanowiła rozwiązanie. Teresa wiedziała, że ta zupa w kuchni przedłuża tylko cierpienie.

Pogładziła dziecko po czole bolącą nadal ręką.

- Nie nadałaś jej jeszcze imienia - powiedziała łagodnie. - Powinna mieć imię. Lin popatrzyła obojętnie na dziecko.

- Każdy powinien mieć imię - mówiła dalej Teresa. Podniosła dziecko z kolan Lin i wzięła w ramiona. W jej głosie brzmiało przyjazne zainteresowanie bez żadnej wyższości czy nalegania.

- Miałaś siostrę, a może przyjaciółkę, z którą się bawiłaś, kiedy byłaś mała? Jest tyle pięknych imion. Lin to też piękne imię. Wymyślmy jakieś ładne imię dla dziecka. Czy przychodzi ci do głowy jakieś imię?

Teresa nie była pewna, czy Lin w ogóle ją usłyszała. Jej wyraz twarzy był zupełnie obojętny. Nagle jednak zmarszczyła brwi.

- Żadnego imienia - powiedziała.

Teresa zorientowała się, że Lin nie zażyła narkotyków, tylko uciekła gdzieś na chwilę w jakiś odległy świat, który Teresa zburzyła. W wyraz twarzy Lin zrobił się jeszcze bardziej ponury.

- Nie chciałabym, żeby żyła, nawet gdyby mogła.

Teresa wpatrywała się w twarz dziecka, w źle uformowany nos i okaleczone usta. Zobaczyła oczy mongola i zabrakło jej słów pocieszenia.

- To nie jej wina - powiedziała wreszcie. - Trzeba jej nadać imię, Lin.

- Może to jednak jej wina - powiedziała Lin, przypatrując się dziecku ciekawie. - Kim była w poprzednim życiu? Co takiego zrobiła, że wraca w takiej postaci?

Lin podniosła wzrok i spojrzała na Teresę.

- Co takiego trzeba było zrobić, żeby na to zasłużyć? Jaką straszną rzecz? Co gorszego niż to, co robią oni? - Gestem wskazała na okno, mając na myśli świat na zewnątrz - żołnierzy, właścicieli burdeli, złodziei, polityków.

- Zastanawiam się, co ja takiego zrobiłem - dodała, odwracając głowę. Teresa wciąż patrzyła na dziecko. Rzeczywiście, zastanawiała się. Co takiego trzeba było zrobić w poprzednim życiu, żeby zasłużyć na taki los? Los był jednak dla niej - podobnie jak dusza, wiara w niebo i piekło - czymś bez znaczenia jak babki z piasku robione przez dzieci na brzegu oceanu czy rysunki na piasku.

Teresa wzięła rękę Lin i położyła ją na dziecku.

- Nie chcę, żeby żyła i cierpiała, to jedno, ale zabić - to zupełnie coś innego. Lin trzymała rękę na ciele dziecka przez dłuższą chwilę, a potem cofnęła ją i spojrzała na Teresę.

- Nie - powiedziała. - To zupełnie to samo. Teresa odetchnęła głęboko.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie. - Niektórzy nazywają to zabójstwem z litości. Jest nawet mądre słowo określające taki czyn - eutanazja. Przypuszczam, że to było praktykowane, tak długo, jak długo ludzie byli czuli na czyjeś cierpienie i nie mogli go znieść.

Położyła dziecko z powrotem na kolanach Lin.

- To dziecko nie cierpi, Lin. Nie odczuwa ani bólu, ani cierpienia. To ty cierpisz, ale twoje cierpienie nie daje ci prawa, żeby zabić to dziecko.

Wreszcie to powiedziała. Uśmiechnęła się, bo wszystko nagle stało się dla niej jasne. Ojciec Dourmant miał rację. Teraz to rozumiała. Stało się to tak jasne jak różnica między dobrem a złem.

Lin bezsilnie trzymała dziecko. Wreszcie pokręciła głową, patrząc na jego zdeformowaną twarz i negroidalne rysy.

- Będzie cierpieć. Czy mam poczekać, aż zacznie cierpieć?

- Może nigdy nie będzie cierpieć - powiedziała Teresa. - Może umrze sama. Kto wie, co się może stać w przyszłości.

- Nie chcę znać więcej mężczyzn - powiedziała nagle Lin z gorzką determinacją. Teresa pogładziła ją lekko po ramieniu.

- Ojciec Dourmant obiecał, że ci pomoże. Znajdzie ci pracę.

- Nie chcę więcej znać mężczyzn - powtórzyła Lin. - Tutaj... - chwyciła się za głowę i potrząsnęła nią gwałtownie, jakby chciała ich z siebie strącić. - ...oni zawsze są w środku we mnie.

Przytuliła dziecko mocno do piersi i zerwała się. Jej oczy rozszerzyły się strachem. W dalszym ciągu potrząsała głową i zanim Teresa zdążyła ją powstrzymać, wybiegła z sali.

Kiedy już wszyscy zostali nakarmieni i w salach zapanował spokój, Teresa poszła na spotkanie z ojcem Dourmantem.

O ósmej wieczorem ulice Cholonu były wciąż tak samo zatłoczone, chociaż ruch utracił nieco tempo. Kiedy zbliżała się noc, ruch znowu nabierał charakteru tajemniczego i groźnego. Teraz jednak panowała atmosfera rozluźnienia, prawie swobody. Praca skończyła się, sklepy pozamykano, a noc jeszcze nie nadeszła. Drzwi domów wciąż były otwarte. Ludzie przechadzali się i rozmawiali.

Ojciec Dourmant mieszkał w zaniedbanej plebanii na tyłach kościoła z dwoma innymi księżmi i gospodynią. Ze względu na podeszły wiek zajmował sypialnię na parterze. Wiązała się z tym jednak pewna niedogodność, bo kiedy gospodyni wychodziła, musiał otwierać przychodzącym drzwi.

Ponieważ w tym tygodniu odprawiał mszę poranną, po kolacji poszedł do siebie. Właśnie skończył modlitwy i położył się do łóżka, kiedy zapukała Teresa.

- Cholera - powiedział wiedząc, że w tej chwili jest sam i że osoba przy drzwiach nie przestanie pukać, dopóki ktoś nie otworzy. Włożył wytarty flanelowy szlafrok, wsunął na nogi obszarpane kapcie i poczłapał do drzwi, wkładając po drodze na głowę czapkę i mrużąc niezadowolony.

- Och, ojciec, przepraszam - powiedziała Teresa, kiedy otworzył drzwi. - Obudziłam ojca?

- Już leżałem w łóżku - mruknął.

- Mogę przyjść jutro.

- Już nie jestem w łóżku - mruknął znowu. - Jak już wstałem, to niech tak zostanie.

Zamknął drzwi i poczłapał do kuchni. Nagle zatrzymał się i odwrócił zaniepokojony.

- Stało się coś złego?

- Nie. Chciałam tylko trochę porozmawiać.

- O tej porze?

- Jest dopiero ósma - powiedziała z uśmiechem.

Poszła za nim do kuchni, gdzie ojciec Dourmant rozpałił ogień w piecyku i zaczął szukać filiżanek do herbaty.

Żałowała, że przyszła. Ksiądz miał wygląd starego i zmęczonego człowieka, który długo już nie pożyje. Wolałaby go nie widzieć w tym stanie i uprzytomniła sobie, że w ciągu dnia zawsze starał się lepiej prezentować.

Kuchnia była mała, zagracona i słabo oświetlona jedną małą żarówką. Ojciec Dourmant siedział na stole, trzymając drżące z powodu choroby ręce na kolanach. Czekał, aż woda się zagotuje.

- Przyszłam tylko powiedzieć, że ksiądz miał rację - powiedziała Teresa, siadając naprzeciw niego. - Chodzi mi o Lin i dziecko. Nie mogę pozwolić, żeby je spaliła.

- No cóż, nawet mi nie przyszło do głowy, że postąpisz inaczej. Odejdźcie od Kościoła to jedno, a zachęcanie kobiet, żeby paliły swoje dzieci na ulicy Tu Do to co innego. Jeżeli przyszłaś tu po to, żebym ci pogratulował, to fatygowałaś się na próżno.

- Ksiądz staje się z dnia na dzień coraz większym dziwakiem - roześmiała się.

- Staję się z dnia na dzień starszy. To zupełnie wystarcza, żeby zdziwiczyć. Wysłuchiwanie bzdur i rozmów z rzekomo zdrowymi na umyśle kobietami na temat zalet palenia dzieci nie przyczynia się do mojego spokoju.

Pogładził ręką przerzedzone włosy.

- Cieszę się, że podjęłaś właściwą decyzję - powiedział łagodnie.

- Chyba po prostu zgłupiałam - przyznała. - Uważałam, że istnieje dylemat tam gdzie go nigdy nie było.

- To normalne - powiedział Ojciec Dourmant. - Dobro i zło to sprawy proste i zazwyczaj oczywiste. Nie kryje się w tym żadna tajemnica. My sami utrudniamy sobie podjęcie decyzji, ale w końcu postępujemy tak jak należy. Robimy z tego dramat. Słynne „być albo nie być” to zwykły nonsens. Od razu wiadomo, że ten wariat się nie zabije ani nie powinien się zabić. Czcza gadanina. Istne szaleństwo - produkowanie męczenników. Nagradzanie ludzi za to, co robić powinni.

Teresa wstała, żeby sięgnąć po czajnik.

- Boże! Ależ ksiądz jest surowy. Całe szczęście, że ksiądz nie będzie decydować o mojej kanonizacji.

- Nie wiem, czy ktokolwiek będzie o tym decydować, bo Kościół niechętnie robi świętych z heretyków.

- Dokładnie to powiedziałam ambasadorowi Marshallowi.

- Już daj mi spokój - powiedział ojciec Dourmant. Trzymał filiżankę, ale ręce drżały mu tak bardzo, że musiał ją postawić z powrotem na stole.

- Czy ksiądz chce powiedzieć, że święci męczennicy nie powinni być świętymi?

- Osobiście niewiele mnie to obchodzi - odparł. - Z punktu widzenia intelektualnego jednak nigdy nie widziałem sensu w wynoszeniu zasług kogoś, kto zrobił coś, co on czy ona powinni byli zrobić wiedząc, że i tak będą za to nagrodzeni. Gdzie tu ofiara? Gdzie bohaterstwo? Ludzie, którzy oczekują nagrody, nie są bohaterami. Podobnie jest z ludźmi odważnymi. Oni robią tylko to, co im przychodzi w sposób naturalny. To tchórze, którzy zrobią coś niezwykłego, coś, co zupełnie do nich nie pasuje - zostają bohaterami. Ten, co ponosi ofiarę, nie oczekując nagrody - jest święty. To właśnie heretyk jest święty.

- To jednak mam szansę? Ksiądz uśmiechnął się.

- Tylko jeśli ci, co będą podejmować decyzję, będą myśleli tak jak ja lub jeśli Bóg tak postanowi, co jest mało prawdopodobne. Coś mi się zdaje, że nasz Pan i ja mamy odmienne zdanie na każdy temat.

Teresa nalala herbaty i znów usiadła naprzeciw niego.

- A jakiej nagrody ksiądz oczekuje?

Ksiądz dmuchał w herbatę, chciał wypić łyk, ale zaraz odstawił filiżankę na stół.

- Myślisz o tej poniewierce, która mnie czeka? Niedołęstwo, popuszczanie moczu, pieluchy, rak, ból i w końcu śmierć? Spodziewam się, że zostaną porwany do nieba na skrzydłach aniołów. Zostaną mi przywrócone młodość oraz siły i będę mógł pić Sauterne przez okrągły dzień i noc, i jeść wyłącznie pasztet z gęsich wątróbek.

- A jeżeli ksiądz trafi na kuchnię angielską?

- Jestem pewien, że kuchnia angielska jest w piekle. Ja mówię o niebie. Teresa piła wolno herbatę - zostało jej jeszcze kilka łyków.

- Lin myśli, że stan dziecka może być wynikiem jego własnej winy - powiedziała z obojętną miną.

- Los... karma - zachnął się ksiądz. - Właściwie nie różni się wiele od przekonanych chrześcijan. Nagroda lub kara za wcześniejszą egzystencję. Nie ma co szydzić z czyjejś wiary, także wyznając wiarę, tyle że inną.

- To okrutne zwać winę za upośledzenie niemowlęcia na to, czego mogło się ono dopuścić w poprzednim życiu.

- To okrutne skazywać ludzi na wieczne potępienie za to, co zrobili w tym życiu i czemu nie mogli zaradzić.

- Myślałam, że to ja jestem heretyczką. - Teresa się roześmiała.

- Jesteś. Ja jestem tylko dobrym, współczującym proboszczem, jak w tych głupich amerykańskich filmach, z tym tylko, że ja nie śpiewam.

- W takim razie przysłałam pod właściwy adres - powiedziała Teresa. - Potrzebuję pomocy.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że nie przysłałaś tu tylko po to, żeby mi powiedzieć, że miałem rację. Wywlekłaś mnie z łóżka z wyższych pobudek.

- Bing Crosby byłby zachwycony, że może pomóc.

- Kto? Ach, tak. To chyba był film „Kościelne dzwony”. Tak. Ale on był w kościele Matki Boskiej z Ingrid Bergman, a nie w tej tropikalnej dziurze z heretyczką i byłą zakonnicą.

- Tym bardziej trzeba pomóc - stwierdziła Teresa słodko. - Proszę pomyśleć o ofierze i chwale, nie wspominając już o nagrodzie.

- Och, dobry Boże - powiedział z rezygnacją. - Czego ode mnie chcesz?

- Rozmawiałam z Lin o dziecku, ale nie jestem pewna, czy ją przekonałam. Możliwe, że ona w dalszym ciągu chce je zabić. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko odebrać jej dziecko.

- Ale czym to dla niej będzie? - Zastanowił się ojciec Dourmant.

- Nie wiem. Może ją skłonić do... Nie wiem, ale nie mogę pozwolić jej, żeby zrobiła krzywdę niewinnemu dziecku. Lin potrzebuje pomocy, my jednak musimy

przede wszystkim myśleć o dziecku. Musimy je umieścić w bezpiecznym miejscu. Dopiero wtedy możemy się zająć Lin.

- Tak. Chyba masz rację - przyznał ksiądz. - Czy chcesz, żebym znalazł miejsce dla dziecka?

- Tak. Jakies tymczasowe miejsce, dopóki nie dogadamy się z Lin.

- To mogę załatwić. Przynies mi dziecko, a znajdę kogoś kto się nim zaopiekuje. Przyślij Lin do mnie, a znajdę dla niej miejsce. Powiedziałem jej, że mogę znaleźć dla niej pracę ale nie była zainteresowana. Jeżeli jej obiecasz, że dostanie dziecko z powrotem, kiedy znajdzie mieszkanie, może ją to zachęcić.

- Dziecko przyniosę natychmiast, czyli jutro rano. Jutro mamy badania wszystkich niemowląt. Ważymy je, rejestrujemy problemy. Wymknę się z dzieckiem w czasie kontroli.

- Lin może wpaść w histerię albo stanie się agresywna.

- Czy widzi ksiądz inne wyjście?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- Przynies je rano.

Teresa wstała i zaniósła filiżankę do zlewu.

- Dziękuję, ojcze.

- Musisz już iść? Wyciągnęłaś mnie z łóżka, a teraz chcesz uciekać?
- Widzę, że ksiądz jest zmęczony.
- Wcale nie. Właśnie miałem ochotę sobie pośpiewać. Zniosła jego filiżankę do zlewu, umyła obie i wytarła.

- Niech ksiądz się położy. Ksiądz potrzebuje sił, żeby spełnić dzieło boże.
- Nie potrzebowałbym, gdyby On lepiej zarządzał swoimi sprawami - mruknął.
- Dobranoc, ojcze - powiedziała, dotykając jego ramienia. - Proszę mnie nie odprowadzać.

Wracała do kliniki właśnie wtedy, kiedy na ulicach panował złowrogi nastrój. Towarzyszył jej hałas zatraskiwanych okiennic i barykadowanych drzwi. Rozpoczęła się pora nocna.

Otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą. Światła nie były jeszcze zgaszone, ale większość kobiet leżała już w łóżkach. Obeszła obydwie sale, wypowiadając uspokajające słowa, przykrywając śpiące kobiety, innym pomagając przy dzieciach. Dopiero kiedy przechodziła przez salę na dole do swojego pokoiku, zauważyła, że Lin nie ma.

Zajrzała do łazienki i do kuchni, a potem spytała kobiety na sąsiednich łóżkach, czy jej nie widziały.

- Odeszła - powiedziała jedna z nich.
- Dokąd? - zapytała Teresa. Tamta rozłożyła bezradnie ręce.
- Po prostu odeszła - powiedziała.

Teresa zajrzała pod łóżko Lin. Wszystko zniknęło wraz z jej małym tobołkiem i rzeczami dziecka.

Dobry Boże, pomyślała. Ona zabije dziecko. Podbiegła do drzwi i zaczęła walczyć z kluczem, ale zatrzymała się. Przecież nie będzie jej teraz szukać. Nie po nocy. Nawet nie wiedziałaby, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Zacisnęła klucz w rękę tak mocno, że aż poczuła pulsowanie krwi. Otworzyła dłoń i popatrzyła na nią. Zobaczyła, jaka jest czerwona i zaogniona. Wspomnienie bólu spowodowało, że dłoń zaczęła pulsować jeszcze silniej.

Wyobraźnia podsunęła jej nagle przerażający obraz. Zobaczyła płonące niemowlę, usłyszała jego krzyki i trzask, i skwierczenie płomieni. Zobaczyła małe rączki dziecka wyciągające się z płomieni, a następnie rozpadające się na popiół, zwęglone.

Nagle ogarnęło ją straszne uczucie. Nabrała pewności. To jest prawda. Tak się stanie.

Mead wiedział, że spotka się z Francuzem. Przyszło mu na myśl, żeby skontaktować się z Lordem, ale Lord wyraźnie mu powiedział, że musi poznać plan Lacouture'a, nie chciał też słuchać o problemach osobistych. Szczegóły go nie interesowały.

Kiedy otworzył drzwi do swojego pokoju, pomyślał w pierwszej chwili, że się pomylił. W pokoju było czysto. Śpiwory nie leżały na podłodze, a na środku stał stolik i dwa krzesła. Zniknęła gdzieś zapach wymiotów i choroby.

Sung klęczała w kącie z gąbką i kubelkiem wody. Kiedy go zobaczyła, wstała, podniosła się jednak zbyt szybko, zachwiała się i oparła o ścianę.

Mead podbiegł do niej, żeby ją podtrzymać, ale jak tylko jej dotknął, drgnęła i zamknęła oczy. Puścił ją i cofnął się.

- Dobrze się czujesz?
Skinęła głową i otworzyła oczy, ale odwróciła wzrok.
- Wróciłeś wcześniej - powiedziała niepewnym głosem. - Chciałam skończyć.
- Nie powinnaś tego robić - powiedział. - Jeszcze nie jesteś zdrowa. Powinnaś odpoczywać.
- Poczułam się lepiej. Chciałam coś zrobić.

Rozejrzał się po pokoju. Wyczyściła i uporządkowała wszystko, z wyjątkiem jego ubrań leżących w kącie. Nie dotknęła ich. W drugim kącie starannie poukładała pudełka Kotexu, na nich położyła torebkę z cukierkami. Lalkę oparła z przodu o pudełko.

Stał niepewnie koło niej, nie wiedząc, co ma powiedzieć czy zrobić.

- Nie jesteś głodna? - zapytał wreszcie. - Może chcesz wyjść i coś zjeść? Pokręciła głową.
- Hań dała mi trochę ryżu. Nie mogę dużo jeść. Jest mi potem niedobrze.
- Musisz jeść. Jesteś bardzo chuda.
- Tak. Jutro zjem więcej.
- Musisz też kupić sobie jakieś ubrania - powiedział i wyciągnął portfel. - Jutro musisz pójść i zrobić zakupy.

Poszukał po kieszeniach banknotu, który dał mu Francuz, i podał go jej.

- Kup coś za to.

Spojrzała na pieniądze, a potem na niego.

- Dlaczego to robisz?

- Musisz mieć różne rzeczy. Każdy ma ubranie.

- Nie. Mnie chodzi o wszystko. Dlaczego ty... jesteś taki dobry dla mnie? Mężczyzna Hań nie jest dla niej taki miły. Ona mówi, że inni mężczyźni... nie są tacy dobrzy dla swoich kobiet.

l - Nie wiem. Ja tylko... Myślę, że ja... no, chciałem pomóc. l Odwrócił się i podszedł do kąta, gdzie leżały jego ubrania. Chciał się przebrać, Pale poczuł skrępowanie na myśl, że będzie musiał zdjąć przy niej mundur, więc wrócił do stołu i usiadł.

- Hań powiedziała, że możemy go używać - odezwała się Sung. - Ona ma cztery stoły.

Mead roześmiał się.

- Jej pokój jest jak skład. Napchała tego gówna aż pod sufit. Każdego nowego chłopca naciąga, żeby jej kupił meble.

- My, kobiety, musimy się zabezpieczać - powiedziała Sung łagodnie.

- Wiem - powiedział Mead. - Wiem do czego zmierza. Chce jakoś zorganizować sobie życie i sypia z tymi wszystkimi dupkami, żeby nie umrzeć z głodu. Chryste, ona ma chyba ze czterdzieści pięć lat, a wszystko, co uzbierała, to kilka stolików i odbiorników tranzystorowych. Nie potępiam jej za to, co robi. Po prostu stara się jak umie.

Spojrzał na nią.

- Nie potępiam jej też za sprowadzenie tutaj tego starego. Sung odwróciła wzrok i opuściła głowę.

Mead podszedł do niej i stał przez chwilę, milcząc i patrząc w dół na nią.

- Nie skrzywdzę cię nigdy. Obiecuję.

- Nie wiem, kto to był - powiedziała szeptem.

- Czego chciał? Pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie pamiętam wszystkiego. Sprawił mi ból i powiedział... powiedział, żebym się postarała, żebyś był szczęśliwy.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

i - Czego chciał?

| Znowu pokręciła głową.

l - Nie wiem. Tylko to mi powiedział.

l - I to dlatego... ty... wczoraj?

Skinęła głową.

Odetchnął głęboko, a potem wziął ją pod brodę i poczekał, aż spojrzy mu w oczy.

- Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek, na co nie masz ochoty. Mówię poważnie. •Nie chcę, żebyś się mnie bała. Nie mogę tego znieść. Mój stary lał nas bez opamiętania. Wściekał się albo był pijany i... rzucał się na najbliższą osobę. Zwykle to była moja matka.

• - Bił ją?

- Tak. Był dużym mężczyzną. Chyba jednak nikogo poważnie nie skaleczył. Nie mieliśmy połamanych kości ani wybitych zębów, ale nauczyliśmy się schodzić mu z drogi. Tylko moja mama nie miała dokąd uciekać. Ja mogłem zwać i nie pokazywać się w domu przez dzień lub dwa, ale ona nie mogła. Musiała to wytrzymać i widać było, że się boi. Tego najbardziej nienawidziłem. Widziałem jej strach. Widziałem, jak chodzi na palcach, żeby mu nie przeszkadzać, jak nas ucisza,

jak uśmiecha się i udaje, że wszystko jest w porządku. Nie chcę tego. Nie chcę, żebyś się mnie bała. Będę się wtedy czuł... Nie wiem... Jak chory, czy co... No, jak trędowaty. Skinęła głową.

- Mój ojciec... - umilkła i spuściła wzrok.

- Ja nic nie wiem o tobie. Opowiedz mi. Gdzie jest twój ojciec, twoja rodzina? Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Nie żyją?

- Tak - powiedziała i zacisnęła powieki. Odetchnęła głęboko i spojrzała na niego.

- Zabili ich. Moją matkę, ojca, braci.

- Kto ich zabił?

- Żołnierze.

- Amerykanie?
- Nie. Z Północy. Mój ojciec był właścicielem ziemskim. Zaczęła płakać, osłabła i łkała cicho. Położył jej delikatnie rękę na ramieniu.
- Przestań - powiedział, ale ona nie mogła się uspokoić. Stał przed nią i oparł jej delikatnie ręce na ramionach. Pozwolił, by pochyliła się i oparła głowę na jego piersi.
Po chwili uspokoiła się, wytarła oczy i cofnęła się.
- Przykro mi - powiedział.
- Staram się o tym nie myśleć.
- Nie. Powinnaś myśleć. Powinnaś o tym myśleć i płakać, dopóki nie będziesz mogła o tym myśleć bez płaczu. To jak heroina. Musisz się z tym zmierzyć i zwalczyć to sama.
Spojrzała na niego z zainteresowaniem.
- Wszyscy mężczyźni dotychczas... Ci w burdelu... nie byli dobrzy. Ty jesteś inny.
- To nie tak - powiedział. - Czasami ja... ja też nie byłem dobry. Ja również krzywdziłem ludzi. Dopiero, kiedy ciebie zobaczyłem, że cierpisz... Ja też cierpiałem. Ludzie muszą sobie pomagać. Myślę, że właśnie o to chodzi. Poza tą całą gadaniną i wszystkim, co napisano w książkach, chyba po prostu chodzi o to, że ludzie muszą sobie pomagać.
Skinęła głową i wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć o ścianę. Podprowadził ją do krzesła.
- Powinnaś się położyć - powiedział. - Za wcześniej zabrałaś się do sprzątanina. Wyciągnął z kąta złożony śpiwór i rozpostarł go na podłodze.
- Chodź, połóż się. Czy chcesz czegoś? Naprawdę powinnaś coś zjeść. Wciąż siedziała na krześle.
- Jeszcze nie powiedziałaś mi nic w sprawie tego człowieka - odezwała się. Mead wzruszył ramionami.
- A co tu jeszcze można powiedzieć?
- Nie prosileś, żebym ci powiedziała, kiedy tu znowu przyjdzie i czego będzie chciał.
Mead usiadł przy stole naprzeciw niej. Była tak blada i wychudzona, że przy niej wydawał się jeszcze większy i potężniejszy, a jednak zachowywał się delikatnie i jakby wstydliwie. Poprawił się nerwowo na krześle.
- Nie mogę ci mówić, co masz robić. Ludzie muszą sobie radzić sami. Jak Hań. Czasami ludzie muszą robić rzeczy, których nie chcą robić. Nie możesz ich potępiać, jeżeli starają się jakoś sobie radzić, żeby przeżyć.
Wzruszył ramionami i mówił dalej cicho:
- Robiłem rzeczy, których nie chciałem robić, ale obawiam się, że będę musiał robić je znowu.
Przyglądała się jego twarzy. Znowu uderzyło ją to jak bardzo jest młody. W jego rysach jednak czaił się taki smutek, a czasami ból i zmęczenie, które zupełnie nie pasowały do tak młodej twarzy.
- Powiem ci, jeżeli znowu przyjdzie i powiem ci, czego chce.
- Nie pozwól tylko, żeby cię skrzywdził i... zrób, co musisz. Wszystko jest w porządku. Rozumiem cię.
Opuściła głowę.
- Żałuję, że ci nie powiedziałam. Byłeś dla mnie bardzo dobry. Wstyd mi. Spojrzała na niego.
- Chcę odzyskać twoje zaufanie, Roń - powiedziała szczerze. Po raz pierwszy użyła jego imienia.
- Dziękuję - powiedział zakłopotany, odwracając wzrok. Wstał i podszedł do okna. - Muszę jeszcze wyjść na chwilę. Czasami nie będę wracać na noc. Zadbam o to, żebyś miała dość pieniędzy, a jeżeli będziesz czegoś potrzebować, Hań zawsze ci pomoże. Możesz również poprosić Billa. To dupek, ale jeżeli będziesz czegoś potrzebować, możesz pójść do niego i zaopiekuje się tobą. Jeżeli coś się stanie albo ktoś ci będzie dokuczać, pomoże ci.
Patrzył na ręce i wykręcał palce, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jeszcze je ma.
- Ale jeżeli zdecydujesz się... no, odejść, zrozumiem, to znaczy... jeżeli odejdziesz...
- Nie mam dokąd pójść - powiedziała i zaraz dodała, nie chcąc, by mu było przykro: - Będę tutaj. Dziękuję.
Przestał wyłamywać palce.
- Mam nadzieję, że będziesz - powiedział wstając - ale teraz musisz się położyć, a ja muszę na chwilę wyjść.
- Tak - zgodziła się. - Położę się.
Wyciągnęła się na śpiworze, ale nie zamknęła oczu. Przyglądała mu się, jak stoi przy oknie.

Patrzył na zewnątrz przez dłuższą chwilę, opierając się o ścianę i wyglądał na bardziej smutnego i zatroskanego niż zwykle. Tak jej się wydawało. Chciała mu Jakoś pomóc, ale oczy jej się kleiły. Była taka zmęczona, że wkrótce zasnęła.

XXV

Kiedy taksówka Lacouture'a zbliżała się do willi, polecił kierowcy dokonać objazdu bocznymi ulicami. Musiał mieć czas na uporządkowanie myśli. Samo spotkanie go nie denerwowało, ale wciąż myślał o żołnierzu. Czy przyjdzie o dziewiątej? Czy przyjmie pieniądze? Jaki będzie w łóżku?

Lacouture tylko powierzchownie interesował się Marshalllem. W ciągu minionych lat miał do czynienia z wieloma dyplomatami. Zazwyczaj byli nudni, próżni i pompatyczni albo grzeczni i mówiący pokrętnie. Co więcej, żaden z nich nie miał pojęcia o niczym. Żyli życiem tak oderwanym od rzeczywistości jak życie naukowców. Poświęcali tyle czasu trosce o każdy swój krok i o każde swoje słowo, że stawali się równie gładcy i bezbarwni jak wymyte prądem wody rzeczne kamienie.

Wjazdu do willi strzegli wietnamscy policjanci. Sprawdzili dokumenty Lacouture'a i otworzyli bramę.

Wietnamski służący otworzył drzwi frontowe i wprowadził go do holu.

- *Monsieur* Lacouture? Ekscelencja oczekuje pana. Proszę tędy.

Miłe przyjęcie i fakt, że nie musi czekać, zaskoczyły Lacouture'a. Tak często prowadzono grę, żeby go postawić w upokarzającej sytuacji, badano jego dokumenty, oglądano podejrzliwie, nawet leciutko kpiono z niego (był świadom swego zniewieścienia) lub zmuszano do czekania, kiedy w tym czasie dygnitarz zajmował się ważniejszymi sprawami. Tutaj nie uciekano się do żadnych takich sztuczek i kiedy wprowadzono go do salonu, ambasador szybko wstał i podszedł do niego.

- Dzień dobry. Jestem Bradley Marshall.

- Bernard Lacouture - odpowiedział, kłaniając się lekko i ściskając dłoń ambasadora.

- Może się pan czegoś napije? Dostarczyli mi raczej nędzne wina, ale jestem pewien, że przez przeoczenie otrzymałem całkiem niezłego szampana - Moet.

- Cudownie! W dzisiejszych czasach coraz trudniej go zdobyć. Czarny rynek też nie jest już taki jak dawniej. Amunicja, bomby, helikoptery, prezerwatywy - można kupić same niepotrzebne rzeczy, a nie ma dobrego szampana.

- Jak pan myśli, co mógłbym kupić za skrzynkę Moeta? - zapytał Marshall, nalewając i podając wysoki kieliszek Lacouture'owi.

- *Sante* - powiedział Lacouture, podnosząc kieliszek, i zaczął pić wolniutko. - Cóż, za skrzynkę czegoś takiego mógłbym panu dać dwa czołgi i helikopter.

- A nie francuskie płaszczyki?

- Co takiego? - zapytał Lacouture zdezorientowany.

- Francuskie płaszczyki - prezerwatywy.

- Dlaczego je tak nazywacie? - zapytał Lacouture, wyraźnie urażony.

- To Anglicy wymyślili tę nazwę, ale kto ich zrozumie?

- Właśnie - mruknął Lacouture.

- Może to był komplement po adresem francuskiego światowego sposobu bycia, podobnie jak w Ameryce określone fotografie nazywane są francuskimi pocztówkami.

- Jakie to miłe - powiedział Lacouture zimno. - Czy jest pan pewien, że jest pan dyplomatą?

Marshall roześmiał się.

- Wcale nie jestem dyplomatą. Jestem wysłannikiem. Wysłannicy nie muszą być uprzejmi. - Podniósł kieliszek i wypił łyk. - A tak przy okazji - rozmawialiśmy dziś na temat toastów. Czy Wietnamczycy mają jakieś swoje toasty? Czy coś specjalnego mówią przed piciem? Może pan wie?

- Mówią te same nudne rzeczy co inni. Piją za zdrowie, przepijają do siebie, piją za przodków. Tym, co czyni to wszystko nie do zniesienia, jest fakt, że piją

bardzo słodkie wina, paskudne wina ryżowe lub herbatę. - Zadrżał. - Sugerowałbym, żeby chodził pan wszędzie z własnym szampanem, tylko nie na spotkanie z Wietnamczykami z Północy. Oni nie piją albo udają, że nie piją, co jest jeszcze gorsze.

- Nie sympatyzuje pan z nimi?

- Nie płaci mi się za sympatie, tylko za mediację. Jak można mieć sympatię do ludzi upartych i pozbawionych poczucia humoru? Oni są tacy moralizatorscy. Nawet bardziej niż Amerykanie. Nie pasowałbym do ich społeczeństwa - powiedział z przesadnie skromną miną, osuszając usta chusteczką.

- Do nas też, oczywiście, nie żywi pan sympatii?

- Oczywiście, że nie. Chyba nie ma co do tego złudzeń. Muszę jednak przyznać, że Amerykanie mają nieco więcej poczucia humoru, no i piją. Przypuszczam też, że mógłbym się uplasować gdzieś na obrzeżach tego społeczeństwa.

- Dlaczego tak skromnie? W pewnych kręgach mógłby się pan stać rekinem. Lacouture popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Czy my też panu płacimy? Nie sprawdzałem pana jeszcze z naszymi ludźmi. Oczywiście zrobię to. Chciałbym jednak porozmawiać najpierw z panem.

- Wyrobić sobie własną opinię?

- No właśnie.

- Wszyscy mi płacą. Zajmuję się informacją i usługami. Wasza CIA jest szczególnie skąpa, ale kiedy pan sprawdzi, stwierdzi pan, że rzeczywiście jestem płatnym informatorem.

- Co mi powiedzą o panu?

- Że nie jestem godny zaufania, co będzie jedynie oznaczało, że nie jestem zwolennikiem sprawy amerykańskiej.

- Co jest prawdą.

- Co jest nieistotne. prostytutka świadczy usługi. Pan kupuje jej czas i... zabiegi. Nie oferuje panu miłości i wierności. Jeżeli się tego poszukuje, to trzeba mieć...

- Żonę.

Lacouture machnął lekceważąco ręką.

- Jakież to amerykańskie. Kochankę! Na tym polega problem z wami, Amerykanami. Jeden z problemów - poprawił się. - Tak bardzo wam zależy na tym, żebyście byli lubiani albo wręcz kochani. Miłość jest bardzo zmiennym uczuciem. Podlega kaprysom i nastrojom, często jest tak krótkotrwała jak erekcja. Istnieje wiele bardziej niezawodnych, zadowolających i z pewnością bardziej stabilnych podstaw stosunków.

- Na przykład?

- Pieniądze, strach, przydatność, wygoda.

- Na której z tych podstaw mam oprzeć swoje zaufanie do pana?

- Na wszystkich. Płacą mi dużą sumę za zorganizowanie spotkania. Boję się, więcej, jestem przerażony na myśl o tym, co mi zrobi Wietkong czy też armia północnowietnamska albo wasza CIA, gdybym ich oszukał. Wcale nie mam ochoty narazić się na gniew zawodowych zabójców. Jeżeli zaś chodzi o przydatność i wygodę, to przecież moja opinia i moje dochody zależą od moich sukcesów. Dobrzy klienci przyczyniają się do dobrej opinii agenta.

- A czym agentem jest pan w tej sprawie? - zapytał Marshall.

- Jaka szybka, konkretna reakcja. Jak bardzo amerykańska. Marshall napełnił oba kieliszki.

- Powiedział pan, że nie czuje pan sympatii do sprawy, za którą walczy mój kraj, i że opłaca pana nieprzyjaciel. Powiedział pan też, że mam panu zaufać.

- Nie czuję sympatii do niczyjej sprawy. Woląłem sprawę Francji. Niestety, zmarła ona wraz z koloniami wiele lat temu. Teraz jestem opłacany przez „nieprzyjaciela” tylko dlatego, że jestem mu przydatny. Byłbym zachwycony, gdybym mógł przyjąć pieniądze również od pana, ale jak dotąd nie zlecił mi pan żadnej pracy. Traktuję to jako pracę i tylko pracę. Nie wiem, dlaczego wy, Amerykanie, nalegacie na jakieś zaangażowanie emocjonalne. Chcecie być najbogatsi i najsilniejsi, i żeby wszystko odbywało się zgodnie z waszymi życzeniami, a poza tym chcecie być kochani. To świadczy o braku dojrzałości. To jest również bardzo niebezpieczne, bo stajecie się podatni na machinacje i manipulacje. Będą się z wami bawić jak ze spragnionym miłości młodzieniaszkiem. Nie będę was

obrażać pozorami miłości i podziwu. Mógłbym to zrobić, przedzierzgnąć się w pochlebcę i kokietkę, ale chyba tego pan sobie nie życzy?

Marshall uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie. Wolę być uczciwie zwymyślany.

- Nie. Nie. Nie. To wcale nie jest kwestia wymyślania. Proszę nie traktować sprawy tak krańcowo. Oczywiście, wołałbym, żeby Amerykanie wygrali tę wojnę, skoro nie możemy to już być my. Oczywiście, że nie oczekuję z radością zwycięstwa komunistów. To będzie straszne. Będę musiał wyjechać i dlatego gromadzę pieniądze jak ulicznica. Muszę zarobić dość, by móc osiąść w Cannes. Tu nie będzie można żyć.

- Czy zwycięstwo komunistów jest nieuniknione? Lacouture dopił szampana i otarł usta.

- Oczywiście - powiedział, wymachując chusteczką kokieteryjnie w stronę Mar-shalla. - Czy mogę prosić jeszcze o szampana? Będę pana za to bezwstydnie wychwalać.

Marshall opróżnił butelkę i podszedł do drzwi, żeby posłać służącego po następną.

- Co zrobiłby pan za butelkę Dom Perignon?

- Stanąłbym w okopach i walczył za zwycięstwo Amerykanów.

- Ale to nic by nie dało. Sprawa jest przegrana.

- Beznadziejnie - przyznał Lacouture. - Cała rzeka Dom Perignona nic tu nie pomoże.

Marshall wziął butelkę przyniesioną przez służącego i pokazał Lacouture'owi pytając, czy mu będzie odpowiadać. Potem zdjął folię i drut, i obrócił butelkę w rękach tak umiejętnie, że dało się słyszeć zaledwie ciche syknięcie przy otwarciu.

- Powiedziano mi, że bomby wodorowe, gaz paralizujący i inwazja na Północny Wietnam mogą zmienić sytuację.

- Bynajmniej - stwierdził Lacouture, podnosząc do góry kieliszek i wydając pisk zadowolenia na widok płynu pieniącego się w szkle. - Bomby wodorowe i gaz paralizujący tylko odwloką nieuniknione, ale wyniku nie zmieniają. Te nieszczęsne małe żółtki skazane są na to, by nimi rządili komuniści. Ameryka powinna po prostu przyjąć to do wiadomości i wyciągnąć z tego najbardziej korzystne dla siebie wnioski.

Marshall wiedział, że to wszystko jest prawda. Ten dziwny mały człowieczek ma rację. Wojna jest beznadziejna. Johnson o tym wie i on o tym wie. Ta wojna stała się bagnem, przez które nie da się już przebrnąć. Muszą się wycofać. Ale jak? Johnson zawierzył mu i tysiące ludzkich istnień zależy od tego, czy odniesie sukces. Straty rosną z dnia na dzień, a on nawet nie znalazł wątku prowadzącego do rozwiązania. Czy to możliwe, że ten dziwaczny relikwiarz epoki kolonialnej podsuwa mu właściwe rozwiązanie?

Lacouture rozkoszował się szampanem. Pozwalał mu spływać powoli po języku i spadać kaskadą przez gardło.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że wołałbym żebyście wy zwyciężyli? Czy myśli pan, że jakiś przedstawiciel Północnego Wietnamu poczęstowałby mnie dobrym szampanem albo chociaż przez moment słuchałby tego, co mam do powiedzenia? Komuniści nigdy nikogo nie słuchają. Całe życie spędziłem tutaj. Wychowałem się tutaj. Co za historie mógłbym panu opowiedzieć! - Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i machnął nią leciutko w stronę Marshalla.

- Urodziłem się tutaj. Czy może pan to sobie wyobrazić? Wtedy cesarzem był Tanh Thai. Był zupełnie szalony. Moja rodzina była niezmiernie bogata. Mogłem się kąpać w Dom Perignon. Mieliliśmy służących i służących służących. Niekończąca się rozpusta i niczym nieograniczona swoboda. Zniszczyliśmy ten kraj nie bez ich pomocy. Dwór w Hue był bagnem co najmniej od stu lat. Tu zupełnie nie ma tradycji rozsądnej czy też sprawiedliwej władzy. To dlatego jest tu taki potworny bałagan. A cóż to za rząd Ky i Thieu? A może odwrotnie? Chyba nie chcecie popierać czegoś takiego? I tak długo nie przetrwa.

Marshall czuł rosnące przygnębienie. Jest gorzej niż źle. Jak do tego doszło, że jego wielki kraj wpadł w takie bagno? Jak to się stało, że przyzwoici ludzie o dobrych intencjach dopuścili do takiej tragedii? Ślepa ignorancja, westchnął w duchu.

Jak to odkręcić? - zastanawiał się napełniając kieliszek Lacouture'a. Musi zaproponować jakieś rozwiązanie. Czy to możliwe, żeby ten człowiek miał dla niego odpowiedź? Cierpliwość mogła przynieść owoce, pomyślał Marshall, znów siadając. Cierpliwość to wielka lekcja, jakiej uczy dyplomacja. Miał nadzieję, że tej lekcji nauczył się dobrze.

- Ho Szi Min opuścił port w Sajgonie na pokładzie statku „Admirał Latouche-Tre-ville”

pięćdziesiąt sześć lat temu - ciągnął dalej Lacouture. - To nie było tydzień czy dziesięć lat temu, ale pięćdziesiąt sześć lat temu. Właśnie tyle lat prowadzi on walkę, a nie był on pierwszym, który rozpoczął walkę z Francuzami i z marionetkową monarchią.

Lacouture podniósł kieliszek pod światło i patrzył na maleńkie bąbelki zmierzające nieustannie ku górze.

- To jest dla mnie kompletna tajemnica, skąd biorą się te maleńkie bąbelki. Na dnie kieliszka nie ma nic. Skąd one się pojawiają?

Pogroził Marshallowi palcem.

- Proszę mi nic mówić. Jestem pewien, że pan dokładnie zna wyjaśnienie, ale ja nie chcę wiedzieć.

Opuścił kieliszek.

- Ach powiedział zaglądając do wnętrza kieliszka, natchniony pomysłem. -Użyjmy szampana jako uosobienia nieprzyjaciela. Możecie zrównać Wietnam Północny z ziemią. Możecie zniszczyć szlak Ho Szi Mina. Możecie użyć gazu paralizującego i bomb wodorowych, jeżeli zechcecie, a oni wciąż będą napływać. Oni już tu są, mówiąc w przenośni - na dnie kieliszka. Są częścią społeczeństwa i ciągle będą wypływać na wierzch. Obawiam się, że to imperatyw historyczny. Przetrwaliśmy tutaj przez sto lat. To mała chwilka. Zbudowaliśmy szkoły, drogi, prowadziliśmy interesy i handel. Zupełnie jak Brytyjczycy w Indiach. Nagle, puf - i nie ma nic! Wasza amerykańska próżność jest jeszcze trudniejsza do pojęcia. Wyobraźcie sobie, że możecie przyjechać tutaj nie rozumiejąc nic z historii i kultury, i przewrócić do góry nosami ten kraj, przerobić go na własną modłę. To się nie uda ani tu, ani gdzie indziej.

To była próżność - przyznał w duchu Marshall, w dodatku nie ograniczymy się zapewne tylko do Wietnamu, będzie to więc trwać tak długo, jak długo gorliwcy wśród nas nie przestaną widzieć świata w kategoriach czarne - białe.

Zdusił w sobie ziewnięcie - rozmowa była wprawdzie fascynująca, ale Lacouture nie mówił nic, czego by on już nie wiedział.

Lada chwila Johnson zacznie na niego naciskać. Zaczną się telegramy i telefony. Co będzie mógł zaoferowania? Może tylko to, że Lacouture stwarza możliwość nawiązania kontaktu z Wietnamczykami z Północy.

Miał niejasne przeczucie, że to może jest jakaś szansa. Ten wylewny, prawie komiczny mały człowieczek może właśnie ją daje. Ucieszyła go ta nadzieja, która właśnie zakwitła, ale nadal siedział z obojętnym wyrazem twarzy.

Lacouture odstawił kieliszek i rozłożył ręce.

- Podam panu mały przykład, żeby pan zrozumiał, o czym mówię. To zabawny przykład. Ludzie, którzy wdrażali wasz program „pacyfikacji”, uznali, że to straszne, iż wieśniacy nie mają ubikacji. Jacy prymitywni są ci Wietnamczycy! Biedne dzikusy tylko kucają na ziemi. Zbudujemy im toalety! I tak się stało. Powstały ładne drewniane kabinki, gdzie mogli sobie oni siedzieć w spokoju i samotności. Nie było oczywiście kanalizacji, tylko takie samodzielne budki rozrzucone po całej prowincji. Kiedy później sprawdzono, okazało się, że ubikacje w ogóle nie były wykorzystywane. Głupie, beznadziejne prymitywy. Nie mogą się nawet nauczyć, jak siadać w ubikacji!

Podniósł kieliszek i wypił łyk szampana.

- Kiedy sprawdzono ponownie, toalety w ogóle zniknęły. Niewdzięczne dzikusy! Tyle wydaliśmy pieniędzy, tyle drewna i pracy poszło na marne!

- A na czym polegał problem?

- Problem był natury kulturowej. Wietnamczycy na prowincji nie mogli wyobrazić sobie nic bardziej nieczystego niż usiąść w tym samym miejscu, gdzie już kto inny obnażył swoje poślądki, albo zasiąść nad cuchnącą kupą odchodów ludzkich i dodać do niego swoje. Uznali postępowanie ludzi z zachodu za niehigieniczne i nieapetyczne. Nie chcieli dotykać swymi nagimi tyłkami miejsc, gdzie dotykał już ktoś inny. Uznali, że znacznie bardziej higienicznie jest pójść na pole i sobie kucnąć. Toalety mogą oczywiście wyrastać w całym kraju jak grzyby po deszczu, ale ludzie ich nie będą używać. Rozbiorą je i wykorzystają drewno do jakichś praktycznych celów. Na przykład zbudują schrony. Wieśniacy byli wdzięczni za drewno, ale nie za toalety. Wasze dobre intencje poszły na marne. Uznali was tylko za marnotrawców i brudasów. O tym się często, niestety, opowiada.

- Dziękuję za wykład - powiedział Marshall wstając i dolewając szampana.

- Nie chciałem być nieuprzejmy ani też obrazić pana - powiedział Lacouture. - Przyjął mnie pan bardzo sympatycznie. Czuję się trochę winny, że odwdzieczyłem się takim brakiem uprzejmości. Chciałem tylko być szczerzy.

- Wcale mnie pan nie uraził. Zgadza się z panem całkowicie. Właśnie po to tu jestem, żeby się uczyć i poszukać rozwiązań pozwalających wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji.

- Wycofajcie się najszybciej, jak możecie. Po prostu odejdźcie. Przyznajcie, że to był błąd. Zwalcie winę na Francuzów. Ogłoście się zwycięzcami lub powiedzcie co innego, ale wypłaccie się z tego. Północny Wietnam w końcu wygra. Temu nie potraficie zapobiec. Następnie Wietnamczycy wszystko spieprzą. Zostaną skorumpowani od środka. Są podobni do Chińczyków. Są zbyt przedsiębiorczy, żeby dłużej pozostawać komunistami. Tylko naprawdę tępi ludzie, tacy jak na przykład Rosjanie, mogą tkwić długo w komunizmie. Potem sytuacja rozwinie się w pewnym stopniu po waszej myśli. Musicie spojrzeć bardziej perspektywicznie na historię. Mlejlł zaufanie do naszej zachłannej kapitalistycznej natury. Ona w końcu zwycięży.

Złożył ręce na wystającym brzuchu.

- Pozwolił mi pan gadać bez końca. To urocze. Napompał mnie pan wspólnym szampanem. Jest pan niezrównanym dyplomatą. Jak mogłem w to wątpić? Teraz jestem do pańskich usług.

- Miał mi pan przynieść jakąś wiadomość - przypomniał Marshall.

- Przyniosłem. Dostałem zlecenie od pewnych osób, żeby zorganizować spotkanie z panem. Jest to bardzo delikatna sprawa, jak wszystkie tego rodzaju, i oczywiście nudna.

- Im szybciej przejdziemy do szczegółów, tym szybciej będziemy mogli ją zakończyć, a tym samym pan szybciej otrzyma swoje wynagrodzenie.

Lacouture skończył pić szampana, pokręcił przecząco głową, kiedy Marshall znów chciał napełnić mu kieliszek i pochylił się w stronę ambasadora.

- Czy zna pan nazwisko Xuan Tien Khanh?

Marshall pokręcił głową zachęcając Lacouture'a, żeby mówił dalej.

- Khanh jest dowódcą wszystkich sił Północnego Wietnamu w rejonie Sajgonu. Jest najzdolniejszym generałem armii północnowietnamskiej. Był kolegą szkolnym generała Giapa w gimnazjum imienia Alberta Sarraut. Przy okazji wyjaśnię, że Albert Sarraut był gubernatorem generalnym tego, co się wówczas nazywało Indochinami, i przyjacielem mojego ojca. Potem Giap i Khanh wstąpili razem na wydział prawa uniwersytetu w Hanoi. Razem wstąpili do partii komunistycznej i razem walczyli o niepodległość przez czterdzieści lat, nie oszczędzając się. Giap był autorem wietnamskiego zwycięstwa pod Dien Bien Phu, a teraz kieruje całością działań. Khanh jest jego głównym podwładnym na południu.

Marshall starał się opanować podniecenie.

- Generał Khanh chce się ze mną spotkać? - zapytał spokojnym głosem.

- Ach, z tym jest właśnie problem. Widzi pan, podobno generał Khanh umarł dwa miesiące temu na dyzenterię. W każdym razie wywiad Wietnamu Południowego, cokolwiek jest wart, i wasza CIA uważają, że nie żyje. Wątpię, żeby widzieli ciało, ale w każdym razie jego śmierć została uznana za fakt. Ja osobiście nie widziałem ani jego, ani jego trupa. Nie mogę więc powiedzieć czy żyje czy zmarł. Mogę jedynie stwierdzić, że zwrócił się do mnie rzekomo zaufany współpracownik Khanha, który zapewnia, że generał żyje, i chce się z panem spotkać. Twierdzi, że ma dowód, iż Khanh żyje, i że proponowane spotkanie jest w pełni uzasadnione.

Marshall podparł podbródek na dłoniach i patrzył w oczy Lacouture'a, obserwował jego ręce i ruchy ciała. Słuchał uważnie rytmu słów, starając się wychwycić najmniejszy fałszywy ton czy najdrobniejszy przejaw obłudy. To wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Rósł w nim pęd do działania, wbrew wysiłkom, by się opanować i nie poddawać złudnym nadziejom. Uważał, żeby Lacouture nie dostrzegł jego podniecenia.

- Słucham dalej - powiedział spokojnie.

- Wietnam Północny planuje wkrótce poważną ofensywę. Chyba nie muszę wyjaśniać, że nie podano mi żadnej daty. Powiedziano mi tylko, że atak jest bliski. Zaskoczenie będzie tym większe, że Wietnamczycy z Południa i Amerykanie wierzą, że Khanh nie żyje. Jakakolwiek wiadomość, że Khanh żyje mogłaby spowodować zdwojenie czujności.

- A generał Khanh powierzył panu tę istotną informację?

- Czy mi zaufał? Nie. Zagrozili, że mnie zabiją w najbardziej wyszukany sposób, jeżeli ujawnię tę informację komukolwiek innemu poza panem. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że mnie

zamordują. W tym sensie można więc powiedzieć, że mi ufają.

- A czy oni też ufają mnie, że nie przekażę tej wiadomości dalej, że nie pójdę z nią natychmiast do generała Westmorelanda?

- Myślę, że ze strony Khanha nie jest to kwestia zaufania, ale raczej ryzyka. Ryzykuje wiele, w nadziei, że wygra wiele. Zawsze warto postawić pensa, żeby wygrać dolara. Czasami jednak trzeba postawić dolara, żeby dolara wygrać, a czasami trzeba zaryzykować znacznie więcej, żeby w ogóle pozostać w grze.

Zdaniem Marshalla brzmiało to przekonująco. Bał się jednak uwierzyć. Pochylił się jeszcze bardziej w stronę Lacouture'a i wpatrywał się w niego z całą mocą, starając się za wszelką cenę znaleźć pułapkę.

- Generał Khanh odpowiada za sukces tego ataku, a jednak nie chce go rozpocząć.

- Dlaczego?

- Podano mi trzy powody. Po pierwsze, nie wierzy w Jego sukces. Nie ma złudzeń co do tego, że atak może doprowadzić do klęski Amerykanów i do upadku rządu Thieu. Przypuszcza, że jego oddziały poniosą wielkie straty. Nic chce poświęcać swoich ludzi.

Lacouture podniósł dwa złożone palce.

- Po drugie, Khanh wierzy, że atak przyniesie negatywny efekt w postaci wzrostu determinacji Amerykanów. Powody tej opinii tkwią w psychologii. Pan to potrafi lepiej zrozumieć niż ja. Trudno mi to ocenić, ale Khanh uważa, że im skuteczniejszy będzie atak, tym bardziej Amerykanie trwać będą w uporze. Jego celem jest zmuszenie Amerykanów do wycofania się. Uważa, że ofensywa na wielka skalę przyniesie rezultaty negatywne.

Marshall skinął głową obojętnie, ale był zaskoczony przenikliwością oceny. Dokładnie tak mogło się stać.

Lacouture wzruszył ramionami, jakby lekceważył trzeci powód.

- Trzeci powód jest natury osobistej. Generał Khanh stracił dwóch synów na wojnie. Jego żona i córki są narażone na niebezpieczeństwo z powodu bombardowań na północy. Załamał się po śmierci synów i ciężko mu przyjdzie znosić kolejne nieszczęścia. Mnie osobiście trudno to pojąć, żeby generał mógł się poddać takiemu osłabieniu ducha i woli z powodu czyjejs śmierci lub poniesionych strat, ale tak mi powiedziano. Obawiam się, że będzie pan to musiał przyjąć do wiadomości i sam ocenić, czy człowiek, który stracił synów na wojnie, będzie raczej skłonny rozmawiać z nieprzyjacielem niż szukać zemsty ze zdwojonym wysiłkiem.

Ach, pomyślał Lacouture obserwując uważnie reakcję Marshalla. Ta informacja to był strzał w dziesiątkę. Lord miał rację. Syn Marshalla jest jego słabym punktem. Lacouture jak dotąd był bardzo z siebie zadowolony, chociaż wspomogły go w Jego wysiłkach inteligencja Marshalla i jego pragnienie spotkanie się z Wietnamczykami z Północy. Zdawał sobie z tego sprawę. Ambasador okazał się znacznie bardziej inteligentny i zręczny, niż Lacouture się spodziewał. To było łatwe, pomyślał. Trzeba tylko skłonić Marshalla, żeby zrobił coś, co bardzo chce zrobić.

Spotkanie to zakończy się sukcesem, myślał Lacouture w podnieceniu. Pomysł Lorda z synami przesądził o sprawie, był świetny.

Znowu wzruszył ramionami.

- Sentymentalny generał? Wydaje mi się to dziwne.

To oczywiście, że Lacouture'owi może się to wydawać dziwne. On nie ma dzieci, myślał Marshall. Jaki człowiek posiadający potomstwo nie byłby poruszony śmiercią dzieci? Czy mielibyśmy odmawiać nieprzyjacielowi takich uczuć? Jeżeli generał Khanh myśli w ten sam sposób co on, może też żywić te same uczucia. Ten powód wydaje się najsilniejszy, snuł rozważania Marshall. On stracił synów. Nie jest w stanie przeżyć kolejnych strat i tragedii.

Tak. Rozumiał go. Był to człowiek, który czuje i myśli tak samo jak on i który pomoże mu doprowadzić do sprawiedliwego zakończenia tej wojny.

Marshall był przekonany, że Lacouture tego wszystkiego nie wymyślił. To jest prawda. Tu tkwi możliwość zawarcia pokoju i osiągnięcia upragnionego rozwiązania. Nic powinien tej możliwości zlekceważyć. Musi jednak uważać, żeby nie zdradzić swojej rozpaczliwej gotowości.

- Jaki mamy dowód, że ten człowiek żyje? - zapytał obojętnie.

- Można to pytanie odwrócić - odparł Lacouture. - Jaki mamy dowód, że nie żyje? To jest całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, że Wietnam Północny celowo rozpuścił pogłoski o śmierci Khanha tylko po to, żeby wprowadzić nieprzyjaciół w błąd.

To prawda, ale powiedział pan, że istnieje konkretny dowód prawdziwości tej propozycji.

- Tak, ale podobnie jak w trzecim powodzie Khanha, nie mogę się w nim doszukać większego sensu. W celu sprawdzenia ma pan się udać do najbardziej nieprawdopodobnego źródła informacji, do generała Huy Chi Trana, który niedawno został mianowany dowódcą okręgu armii południowowietnamskiej.

Marshall skinął obojętnie głową.

Muszę zapisać sobie te wszystkie nazwiska. Zupełnie nie wiem, czy je zapamiętam.

- Moje źródła informują, że Tran jest wyjątkowo kompetentnym generałem. Może nawet jedynym kompetentnym. Zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób został dowódcą okręgu. Jeżeli jest kompetentny, długo nie wytrwa na tym stanowisku - stwierdził Lacouture. - Thieu nie pogodzi się z tym. Jeżeli jest kompetentny, pierwsza rzecz, którą zrobi, to go obali. Powiedziano mi także, że Tran jest lojalny i zdecydowanie nastawiony antykomunistycznie. Mógłby się pan podjąć mediacji między nimi. Khanh chciałby spotkać się z Tranem chyba z tych samych powodów. Wydaje się, że bezpośrednie spotkanie tych dwóch generałów byłoby niebezpieczne nie tylko ze względów osobistych, ale też i politycznych. Obaj zażądałoby absolutnej tajności i gwarancji bezpieczeństwa. Komunikowaliby się za pośrednictwem pana, a kiedy już podejrzenia zostaną rozwiane i ich szczerą intencje sprawdzone, spotkają się.

- Wydaje mi się, że rozumiem - powiedział Marshall. - Nie wiem, czy Khanh żyje i czy ta propozycja pochodzi od niego. Żeby to sprawdzić, mam się zwrócić do jego głównego wroga, jego zniechęconego nieprzyjaciela, który uważa, że Khanh nie żyje. Na podstawie informacji, których pan mi dostarczy, mam przekonać Trana, że Khanh żyje i pragnie się z nim spotkać. Mam przekazać serię komunikatów od jednego z tych panów do drugiego, żeby ich obu upewnić co do szczerości i zaufania, jakie mogą w sobie pokładać. Dla mnie dowodem będzie, jeżeli uznają nawzajem, że przeciwnik działa w dobrej wierze. Jeżeli zaufają sobie w oparciu o moje dobre usługi, ja też mogę zaufać generałowi Khanhowi.

- Właśnie tak - potwierdził Lacouture. - Mnie samemu zajęło trochę czasu, żeby to zrozumieć. Nigdy bym tego nie osiągnął po czterech kieliszkach szampana. Moje uznanie.

- Wydaje mi się to niepotrzebnym zawikłaniem.

- Ja też tak myślę, ale czy zgodziłby się pan na spotkanie bez jakiegoś dowodu czy możliwości sprawdzenia? Czy uwierzyłby mi pan na słowo i pozwolił na zorganizowanie spotkania gdzieś w dżungli?

Marshall uśmiechnął się.

- Prawdopodobnie nie... No, może po kolejnych czterech kieliszkach szampana...

- Jeżeli przyjdzie panu do głowy jakaś prostsza metoda, z przyjemnością przekazę ją dalej. Generał Khanh zaznaczył, że jest gotów dostarczyć każdego dowodu czy możliwości sprawdzenia jakich pan zażąda. Oczywiście z wyjątkiem osobistego spotkania. Chyba pan rozumie, że niechętnie spotkałby się z panem w śródmieściu Sajgonu.

To jest, pomyślał Marshall, dokładnie to, czego oczekiwałem. Jakiś przełom. Jakaś szansa. Rysuje się możliwość sukcesu. Jeżeli będzie mógł usiąść naprzeciw generała Khanha, jeżeli będą mogli spojrzeć sobie w oczy, jeżeli będą mogli poznać, co każdy nosi w sercu, będą w stanie zakończyć tę nieszczęsną, pełną cierpień wojnę. Dwóch ojców troszczących się o swych synów może powstrzymać rzeź.

Musi spotkać się z tym człowiekiem.

Nie miał złudzeń. To na pewno będą trudne, niekończące się negocjacje, ale on zrobi pierwszy krok, a jeszcze wczoraj wszystko wydawało się nieosiągalne.

- Poważnie się nad tym zastanowię - powiedział Marshall cicho. Lacouture nie poruszył się.

- „Piskliwy”. To musi pan powiedzieć generałowi Tranowi. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Prawdopodobnie będzie to coś znacząco dla Trana, który stosownie zareaguje, i tak dalej, aż ta nudna sprawa dobiegnie końca.

Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął wizytówkę. Podał ją Marshallowi.

- Jestem osiągalny pod tym numerem, jeżeli telefony będą działać. Można też przekazać wiadomość pod ten adres. Dziękuję bardzo, że zechciał się pan ze mną spotkać - powiedział wstając. - Dziękuję za szampana i za miłe przyjęcie.

Udało się, pomyślał pełen zadowolenia z siebie. Marshall dał się przekonać. I w tym momencie wyobraził sobie stopy banknotów i dzikusów na plaży w maleńkich slipkach. Ucisnęli sobie ręce i

Marshall odprowadził go do drzwi frontowych.

- Czy miał pan już okazję podróżować po kraju? - zapytał Lacouture.

- Jeszcze nie.

- To wspaniały kraj. Musi pan znaleźć czas, żeby odwiedzić Da Lat i Hue. Da Lat to prawdziwy raj. Kiedyś był tam cesarski rezerwat myśliwski. Nawet teraz pozostał nienaruszony, a Hue, cytadela, pałace cesarskie, Rzeka Perfumowa... Mu siałby pan pojechać do Angkor Wat w Kambodży, żeby zobaczyć coś ciekawszego.

Pogroził Marshallowi palcem.

- Musi pan pojechać do grobów cesarskich w okolicach Hue. To zupełnie oszałamiające i to nie tylko pod względem architektonicznym, ale także intelektualnie. Każdy cesarz budował swój własny grób. Jeździli tam przed śmiercią, żeby zaznać spokoju i pograżyć się w kontemplacji. To mnie zawsze intrygowało. Po co ludzie jeżdżą na własny grób, tam szukają spokoju i oddają się medytacji? Pozostawiają przyjemny pałac i konkubiny, siedzą nad swoim grobem i myślą.

o czym? Wydaje mi się, że nie potrafiłbym tego zrobić. A pan?

Marshall wyobraził sobie cesarza w pięknych szatach siedzącego samotnie w swoim grobowcu. W oddali stoją gwardziści. To prawda, że ścieżki chwały

i potęgi prowadzą tylko do grobu, ale jaki mężczyzna gotów jest wkroczyć na tę ścieżkę, zanim nadejdzie czas? Żeby popatrzeć na swoją kryptę?

Lyndon Johnson mógłby nadzorować budowę swego mauzoleum, zachwycać się jego wielkością i wspaniałością, ale żeby siedzieć w środku i zastanawiać się nad przemijaniem? Nie. On sam tego też by nie zrobił.

- Może lepiej pan zrozumie tę kulturę, jeżeli pan tam pojedzie - powiedział Lacouture.

- Postaram się pojechać - obiecał Marshall. - To będzie moja specjalna pielgrzymka.

Uścisnęli sobie ręce i spojrzeli w oczy.

Marshall uśmiechnął się, nie starając się już ukryć zadowolenia, ale ten uśmiech nie ujawnił prawdziwego szczęścia i nadziei, jakie odczuwał. Ocali wielu ludzi.

Lacouture uklonił się i zszedł zwinnie po schodach. Musiał hamować się, żeby nie popędzić na ulicę i nie wezwać taksówki.

Była prawie dziewiąta! Co będzie, jeżeli spóźni się do Dzikusa?

XXVI

- Szybko! - błagał Lacouture kierowcę taksówki podając mu adres restauracji. -Muszę tam być o dziewiątej. Zapłacę podwójnie jeżeli ci się uda. Dawaj po gazie!

- krzyknął i opadł na siedzenie, kiedy taksówka gwałtownie ruszyła.

Przygotowania poczynił już wcześniej. Jadał kolacje w „Coq d'Or” od dwudziestu lat. Wojny, rządy, reżimy, zamachy stanu - nic nie mogło zmienić jego obyczajów. Cóż znaczyła polityka, jeżeli jedzenie było dobre? I odwrotnie. Nawet dobry rząd nic nie mógł pomóc, jeżeli jedzenie było marne. Uważał, że dobry kucharz jest ważniejszy niż dobry minister i bardziej godzien lojalności.

Wiedział, że zarezerwowano dla niego najlepszy stolik, że intymny nastrój będzie zapewniony, a jedzenie doskonałe.

Siedział załamany na tylnym siedzeniu. Co będzie, jeżeli Dzikus nie przyjdzie? Oczywiście nie przyjdzie. To wszystko jest beznadziejne. Można od razu pojechać do domu albo rzucić się do rzeki. Dzikus się nie pokaże. Jego marzenia się rozwieją. Wszystko jest beznadziejne. Nie wytrzyma tego. Siedząc apatycznie na tylnym siedzeniu taksówki, nawet nie miał dość energii, żeby powiedzieć kierowcy, by go zawiózł do domu.

A jednak Dzikus wziął karteczkę z nazwą i adresem restauracji. Powiedział, że się zastanowi. Może przyjdzie. Przyjdzie! Wiedział, że przyjdzie! Poderwał się na siedzeniu. - Prędkiej! - pokrzykiwał na kierowcę.

Taksówka podskakując przebiegała się przez wieczorny ruch. Sklepy już zamykano. Ludzie wracali do domów. Wyjeżdżali z miasta. Inni, ci, którzy działali tu nocą, przyjeżdżali właśnie do miasta. Otwierano bary, burdele i dyskoteki. Migotały neony, a z co drugich drzwi dochodziło wycie muzyki splatającej się w niesamowitą kakofonię.

Była już za sześć dziewiąta, a pozostało jeszcze co najmniej dziesięć minut jazdy. Lacouture miał ochotę wyrwać kierownicę taksówkarzowi. Dzikus sobie pójdzie! Chwycił się za serce. Nie wytrzyma tego. Wyciągnął chusteczkę, żeby się nią wachlować, ale zamiast tego zacisnął na niej zęby.

Dzikusa nie będzie. Ma kobietę. Będzie czuł wstręt do kogoś takiego jak Lacouture. Przecież śmiał się z niego. Wydziwiał. Znowu opadł na siedzenie, wyjął chusteczkę z ust i otarł oczy. To było beznadziejne. Okrutny żart. Załkał nad niesprawiedliwością, jaka go spotyka.

Uczucie, które jak jakaś potężna ręka ścisnęło mu pierś, było tak silne, że aż zamknął oczy. Zawsze nawiedzała go ta sama fantazja: zadowalał przystojnego młodzieńca, który jego jednak nigdy nie dotykał, młodzieńca, który tylko leżał spokojnie i obserwował go spod zmrużonych powiek. Jego akt, jego miłość nie mogły być odwzajemnione. Młodzieniec musi pozostać nieruchomy, milczący, nieustępliwy. Fantazjował na temat ideału, którego nigdy nie udało mu się osiągnąć, który rozpadnie się w proch, gdy tylko dotknie go ręką.

Wiedział, że tak jest, ponieważ musiał kochać coś, co nie mogło odwzajemnić jego uczuć, coś co nie potrzebowało ani jego, ani jego miłości. Młodzieniec był

bogiem, któremu trzeba było dawać przyjemność, któremu trzeba było służyć i który odwzajemniał się tylko pogardą. Jeżeli Dzikus, jego bóg, będzie go chciał, to on już przestanie go pragnąć.

Lacouture rozumiał tę fantazję jako odtworzenie swojego życia. Piekło nieosiągalnej miłości. Kochać coś, co nie może odwzajemnić miłości. Najgorsze, że to mu odpowiadało. On tego chciał. Był skazany na kochanie tego, co z natury rzeczy musiało nim pogardzać.

Tak było z Jacquesem, jego bogiem, setnikiem z Legii Cudzoziemskiej. Dobrze to pamiętał.

Uwielbiał go. Żaden kapłan przed żadnym ołtarzem nie modlił się z takim oddaniem, a jednak każdy dotyk, który Jacques odwzajemniał, był złośliwy i obraźliwy. Lacouture uprzytomnił to sobie z ukłuciem bólu w sercu. Gdyby jednak Jacques odwzajemnił tę miłość, gdyby go pieścił, wówczas on, Lacouture, uciekłyby ze świątyni i poszukał innego boga.

Ze swojej udręki wyciągał wniosek, że uwielbienie Boga przez człowieka ma charakter homoseksualny, ponieważ człowiek kocha coś, co musi go uznać za istotę słabą i godną pogardy, i pożądać miłości czegoś, czego nie może posiadać. To było ponizienie splugawione - człowiek na kolanach przed piękną istotą boską, błagający

o miłość istotę, która musi nim pogardzać i w której musi budzić obrzydzenie.

Pragnął Dzikusa tak bardzo, a jednak zdawał sobie sprawę, że budzi w chłopaku obrzydzenie. Pragnął z całych sił, żeby Mead był w restauracji, a jednak wiedział, że byłoby lepiej, gdyby nie przyszedł.

Siedział nieruchomo w taksówce, rozdarty sprzecznymi uczuciami. Wreszcie zatrzymali się przed „Coq d'Or”.

Podniecenie i niepokój w końcu zwyciężyły. Zapłacił kierowcy i wyskoczył z taksówki. „Coq d'Or” znajdował się przy ulicy Catinat w centrum francuskiej dzielnicy. Chociaż restauracja ta miała już za sobą swój najlepszy okres, była wciąż modna i droga, a ze względu na wierną klientelę i wysoką klasę obsługi udało jej się utrzymać taki poziom, który uchronił ją przed inwazją żołnierzy

1 prostytutek.

Dzikusa nie było widać.

Lacouture wpadł do środka. Kierownik sali powitał go ukłonem.

- Ach, *Monsieur* Lacouture. Co za przyjemność. Jak się pan ma? Wygląda pan świetnie. Kuchnia jest do pańskiej dyspozycji, a stół przygotowany. Proszę tędy - powiedział ruszając w głąb sali.

- Nie! - zawołał Lacouture. - Czekam na kogoś. Czy nikt do mnie nie przyszedł? Kierownik sali przybrał żalony i współczujący wyraz twarzy.

- Poczekam na zewnątrz - powiedział Lacouture i wybiegł przez drzwi. Chodził tam i z powrotem przed wejściem, potem przedłużył spacer i w końcu

chodził od rogu do rogu ulicy. Jego podniecenie rosło z każdym krokiem, aż wreszcie opanowała go rozpacz. Jego Dzikus nie przyjdzie. Chciał płakać albo rzucić się pod samochód. Życie jest okrutne i niesprawiedliwe. To nie do zniesienia. Wtedy Dzikus pojawił się nagle, wychodząc zza rogu. Lacouture nie mógł uwierzyć własnym oczom. Chwycił się za pierś i omal nie upadł na witrynę pobliskiego sklepu.

- Och! - zawołał i rzucił się do przodu. - Och! Och! Och!

Mead był w mundurze polowym. Innych ubrań nie miał. Zatrzymał się widząc Lacouture'a biegnącego w jego stronę. Patrzył z zaciekawieniem, jak mały, wytworny, tłusty człowieczek pędzi ulicą. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wymachiwał nią, jakby chciał w ten sposób dodać sobie rozpędu. Przez chwilę Mead obawiał się, że zaraz rzuci mu się w ramiona.

- *Bien, bien*. Jak cudownie! Przyszedł pan! Wiedziałem, że pan przyjdzie. Po prostu wiedziałem.

Lacouture musiał powstrzymać się, żeby nie dotknąć Meada i nie sprawdzić, czy rzeczywiście istnieje. Chciał go uściskać z wdzięczności. On jest taki wspaniały. Najwspanialszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek oglądał.

- Czy już jadłeś? - zapytał Lacouture starając się uspokoić. Wiedział, że może zdenerwować Meada swoim zachowaniem.

Mead potrząsnął głową.

- Jesteś głodny? Musisz być głodny. To jest świetna restauracja. Czy lubisz francuskie jedzenie? Mead wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nigdy nie jadłem.

- Co? Nigdy?

- No, może francuskie frytki - poprawił się. - Lubię frytki. Lacouture spojrzał na niego pytająco.

- Co takiego?

- Francuskie frytki.

Lacouture powtórzył słowa z zastanowieniem.

- Nie wiem, co to jest - powiedział wreszcie.

- Wszyscy wiedzą, co to są francuskie frytki - powiedział Mead. - Smażone ziemniaki.

- Ziemniaki - zastanawiał się Lacouture. - *Pomme de...* Ach, *pommes frites!* Ależ... - pokręcił

głową. - Francuskie płaszczyki, francuskie pocztówki, a teraz francuskie frytki. Czy może jest jeszcze coś francuskiego, co lubisz?

Mead znowu wzruszył ramionami.

- Nigdy przedtem nie jadłem nic francuskiego. Co wy właściwie jecie?

- Jak to co jemy?

- No, czy jecie mięso, befsztyki i takie różne?

- Oczywiście, że jemy mięso. Wołowinę, wieprzowinę, kurczaki, kaczki, króliki. - Chwył Meada za rękę i wprowadził go do restauracji, ale czując, jak jego mięśnie zeszywniały, natychmiast go puścił. - Chodź, nie otrujemy cię.

Już w środku, Lacouture triumfalnie przedstawił go kierownikowi sali.

- Przyszędł!

Kierownik, ubrany w smoking, Wietnamczyk, który kiedyś mieszkał we Francji, skłonił przed nimi głowę, uśmiechnął się radośnie do Lacouture'a i udał, że nie widzi, w co Mead jest ubrany.

Lacouture ruszył za kierownikiem, a Mead powłókł się za nimi czując się

niepewnie i nie na miejscu. Nigdy jeszcze nie był w takiej restauracji, gdzie na

stołach stoją prawdziwe kwiaty, a same stoły przykryte są pięknymi obrusami

i zastawione kryształową oraz srebrną zastawą. Światła były przyćmione i panowała

tu spokojna atmosfera. Wszyscy inni goście byli po cywilnemu i mieli krawaty. Nikt na

Meada nawet nie spojrział.

Przy oddzielnym stoliku na drugim końcu sali kierownik przysunął krzesło dla Lacouture'a, a następnie pośpieszył, żeby usłużyć Meadowi. Nikt jeszcze nigdy nic takiego wobec niego nie zrobił i Mead zupełnie stracił pewność siebie.

- Mój młody przyjaciel jeszcze nigdy nie jadł francuskich potraw - powiedział Lacouture.

Kierownik spojrział na niego z lekkim zdziwieniem, a potem pokiwał głową jak chirurg nad beznadziejnie chorym pacjentem.

- W takim razie proponuję, żeby pan spróbował wszystkiego.

- Zgadzam się całkowicie - powiedział Lacouture. - Dla mnie też. Co na zakąskę?

- *Canard*.

- Świetnie. Aperitif? - zapytał Meada. - Czego się napijesz? - poprawił się szybko. - Może ja zadecyduję. Szampana dla mojego gościa. Ja piłem przed chwilą wspaniałego MoCta i już po prostu nie mogę więcej. Napiję się trochę Sauterne'a, a do tego poproszę *foie gras*. Potem weźmiemy Puligny-Montrachet, a później zobaczymy.

Kierownik sali skłonił się i zostawił ich samych.

Lacouture chciał chwycić Meada za rękę zarówno ze szczęścia, jak i żeby go uspokoić. Chłopak wyglądał na zdenerwowanego i napiętego.

- jeżeli jedzenie nie będzie ci smakować, nie jedz. Nie będę się czuł urażony. Może jak napijesz się trochę szampana, poczujesz się pewniej.

- Myślę, że trzeba będzie dużo szampana - powiedział Mead. - Szampana też nigdy nie piłem.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować. Możesz wypić, ile będziesz chciał. - Pokręcił głową.

- Nigdy nie piłeś szampana? Naprawdę?

Mead uśmiechnął się leciutko.

- To nie jest zbyt popularny napój w Arkansas ani w piechocie morskiej.

- Piechota morska? Czy to ma coś wspólnego z Marynarką, z okrętami? A Arkansas? W ogóle nie wiem, gdzie to jest.

- Pewnie nie ma go na francuskich mapach.

- Żartujesz - powiedział Lacouture rozradowany. - To bardzo miłe. Tylko prawdziwi mężczyźni żartują. Ja chyba jednak nie rozumiem waszych żartów, bo znam bardzo mało Amerykanów. Tylko jednego czy dwóch. Starają się mówić po francusku, ale i tak nie mogę ich zrozumieć. - Machnął ręką, jakby chciał odegnać od siebie wspomnienia o francuszczyźnie Wilsona Abbota Lorda.

Mead uśmiechnął się.

- Pod tym względem z mojej strony nic panu nie grozi. Lacouture złożył ręce.

- Och, jesteś śliczny - opuścił głowę. - Nie powinienem być tego mówić. To cię denerwuje.
- No, cóż...
- Nie podoba ci się?
- Ja tylko... no, chyba me jestem do tego przyzwyczajony. Chcę powiedzieć, że nie znałem żadnych...
- Homoseksualistów? - wyszeptał Lacouture. - Nie znałeś żadnych? W ogóle? Niemożliwe. Może znałeś, tylko nie wiedziałeś.
- Nie znam nikogo, kto by się tym chwalił.
- Jesteś zabawny. Już się w tobie zakochałem. - Zasłonił usta ręką. - Dobrze, nie będę więcej tak mówić.
; Pojawił się kelner z napojami i postawił na stole dwa niewielkie talerzyki z przekąskami. Lacouture podniósł kieliszek.
- Twoje zdrowie.
Mead podniósł swój kieliszek i wypił.
- Jak ci smakuje?
Mead zastanawiał się przez chwilę, wypił jeszcze jeden łyk i skinął głową.
- Tak. Czy to alkohol? Myślę, że mógłbym wypić tego dużo.
• - Nie będę kłamać. To jest alkohol. A to ostryga. Nie rozgryzaj tego. Trzeba ją tylko wyjąć z muszli i połknąć, o tak. - Zademonstrował. Mead zrobił tak samo.
- Jest w porządku - stwierdził.
- *Bien*. Wiele osób nie zdecydowałoby się spróbować, chociaż nie rozumiem dlaczego. Są świeże. Prosto z oceanu.
Popatrzyli na siebie. Po chwili Mead, zdenerwowany, odwrócił wzrok.
- Porozmawiajmy - powiedział Lacouture. - Taki jest zwyczaj w czasie kolacji. Pomówmy o naszej pracy. Czym się zajmujesz?
Mead zeszytywniał i stał się ostrożniejszy.
- Tylko staram się być uprzejmy - powiedział Lacouture szybko. - Nie jestem szpiegiem albo - mówiąc dokładnie - nie interesuje mnie twoja praca z punktu widzenia zawodowego. Moje zainteresowanie kieruje się zupełnie gdzie indziej. Mogę ci o tym zapewnić. Jeżeli nie chcesz opowiadać o swojej pracy, możemy porozmawiać o czymś innym.
- A co pan robi? - zapytał Mead, odprężając się nieco.
- Właściwie to jestem szpiegiem, chociaż może niezupełnie tak. Wymieniam informacje. Kupuję je w jednym miejscu, sprzedaję w innym. Nie pracuję dla nikogo, dla żadnego rządu, trudno mnie więc uznać za szpiega. Staram się tylko zarobić. Jedni handlują złotem, inni samochodami, jeszcze inni lodówkami. Ja sprzedaję informacje. Takie informacje, jakie mógłbym uzyskać od ciebie, nie interesują mnie, chyba że wiesz o czymś szczególnie ważnym. Wtedy kupię tę informację od ciebie. Czy masz jakieś tajemnice do sprzedania?
Mead roześmiał się.
- Jestem kapralem. Nie wiem niczego, co warto byłoby sprzedać lub kupić czy nawet o czym warto byłoby się dowiedzieć za darmo.
Lacouture pokiwał głową z uznaniem.
- Musisz sobie świetnie radzić z kobietami. Masz ten idealny... jak by to powiedzieć... Masz taką pewność siebie wpływającą ze skromności.
Mead wypił szampana do dna.
Lacouture skinął na kelnera, wskazując mu Meada. Po chwili jego kieliszek znów był pełen.
- Chce mnie pan upić?
- Chciałbym, ale czy to się uda?
Mead uśmiechnął się mimo woli, dobrze się bawiąc.
- Już zdarzało mi się być pijanym.
- Czy wtedy stajesz się gwałtowny?
- Tak. Jakiś czas temu pobiliśmy dwie kurwy. Od tej pory staram się mniej pić.
- Przyprawiasz mnie o zawrót głowy. Teraz, kiedy już wiemy, co ja robię i czego ty nie robisz, o czym porozmawiamy?

- Kto to był ten stary zółtek, którego pan do mnie przysłał?
- Och, domyśliłeś się? Kim dostanie hysterii. Jest tak dumny, że potrafi działać z ukrycia. Co go zdradziło?
- Zęby.
- Oczywiście. Stary głupek. Mówiłem mu tysiące razy, że jest jedynym Wietnamczykiem na świecie, który ma wszystkie zęby, a w dodatku świecą się jak latarnie. Nie mogłem go skłonić, żeby cokolwiek z nimi zrobił. Próżność. Wydaje mi się, że coś na ten temat można znaleźć w Biblii.
- Moja matka pewnie by wiedziała.
- O, rany.
- Pan też miał taką matkę?
- Zupełnie inną. Moja... nie była osobą religijną. Była kobietą, która... jak by to powiedzieć... która oddawała się przyjemnościom. Czasami z moim ojcem a przeważnie bez niego.
- A więc po co przysłał pan tego zółtka do mnie?
- Zęby się czegoś dowiedzieć o tobie.
- Dowiedzieć się czego?
- Dowiedzieć się, kim jesteś, gdzie cię można znaleźć i wszystkiego, co mogłoby się okazać przydatne.
- Przydatne do czego?
- No, już dość! Napij się szampana. Mamy nasze pierwsze danie. Czy lubisz ryby?
- Jadałem dorsze i szczupaki. Lubię.
- Dorsze i szczupaki, a francuskich ryb nie? - Zachichotał. - To był żart. Czasami wydaję się, że Amerykanie często używają przymiotnika francuski.

Postawiono przed nimi talerze i nalano Lacouture'owi wina, żeby spróbował Skinął głową i natychmiast napełniono oba kieliszki.

Mead spróbował wina i Lacouture bez trudu zorientował się, że mu nie smakuje chociaż uprzejmie wypił jeszcze jeden łyk.

- Nie... Nie - powiedział Lacouture. - Nie pij, jeżeli ci nie smakuje. Powiedz co ci nie odpowiada?

Mead wzruszył ramionami z niepewną miną.

- Wiem, że jest chyba wspaniałe i że pewnie kosztuje więcej, niż zarabiam przez miesiąc, ale jest... jakieś takie dziwne... Trochę kwaśne.
- Rozumiem. To biały burgund. Nie wszyscy go lubią. Szampan ci smakował?
- Tak. Był pyszny. Lubię też piwo.

Lacouture skinął na kelnera i zamówił butelkę szampana.

- Teraz będzie lepiej - powiedział, kiedy pojawił się szampan. - Teraz nie będziemy musieli się dzielić. Każdy ma swoją butelkę.

Chociaż Mead umierał z głodu, starał się jeść powoli i sprawdził, których sztucców używa Lacouture, zanim sam zabrał się do jedzenia.

- Ryba jest naprawdę dobra - powiedział. - Przedtem jadałem tylko smażone.
- Czy całe wasze jedzenie jest smażone?
- Nie. Nie w kantynie, ale mama na ogół wszystko smażyła. Wydaje mi się, że na wsi przeważnie jedzą smażone potrawy. Mama trzymała na kuchni wielką patelnię. Rano smażyła bekon albo szynkę i jajka. W ciągu dnia smażyła kotlety schabowe albo kurczaki, czasami befsztyki. Wydaje mi się, że smażyła wszystko oprócz jarzyn, chociaż nieraz i to też jej się zdarzało.
- Ale to ci nie zaszkodziło - powiedział Lacouture. - Urosłeś duży, wyglądasz silnie i zdrowo.
- Dobrze jedliśmy. Nie mieliśmy pieniędzy, to znaczy gotówki. Mama prawie nigdy nie chodziła do sklepu. - Wypił duży łyk. - Chyba było jej ciężko. Nigdy nigdzie nie chodziła, a kiedy już poszła, musiała dobrze uważać na każdy wydany grosz. Pamiętam, że czasami z nią chodziłem i wtedy musiała najpierw policzyć pieniądze, a potem próbowała sumować swoje zakupy.
- Chyba się rozplącę - powiedział Lacouture, wyciągając chusteczkę.
- Niech się pan ze mnie nie wyśmiewa - powiedział Mead prostując się.
- Nie! Nie! Nie rozumiesz. Naprawdę rozplącę się. Nie mogę znieść smutnych historii. Ja wszystko od razu sobie wyobrażam. To moje nieszczęście. Widzę twoją matkę w chłopskim stroju, stojącą...
- Moja matka nie była żadną pieprzoną chłopką - powiedział Mead z dumą.

- Ojej! Ojej! - powiedział Lacouture. - Nieporozumienie kulturowe. Słowo „chłopski” po francusku może znaczyć także „wiejski” inaczej niż po angielsku. Nie miałem wcale zamiaru obrazić twojej matki. Mówiłem ci, że nie znam wielu Amerykanów. Jeżeli powiem coś, co cię obrazi, będzie to zupełnie niezamierzone.

Mead przyglądał mu się uważnie.

- W każdym razie dobrze się odżywialiśmy, chociaż nie byliśmy bogaci.

- Moja rodzina była bogata. Nie zasługiwali na to. Nie pracowali ciężko, ale tak zwykle bywa albo bywało w Europie. Wychowałem się mając wszystko, czego dusza zapagnie, z wyjątkiem rodziców. Byłem otoczony służbą, ale równocześnie byłem bardzo samotny. Zawsze bawiłem się sam. Nigdy nie miałem przyjaciół. - Przetarł chusteczką oczy. - Widzisz, mnóstwo rzeczy powoduje, że płacę. - Wytarł głośno nos. - A ty miałeś przyjaciół czy byłeś samotny?

- Chyba nie byłem samotny - powiedział Mead, usiłując przypomnieć sobie dzieciństwo. Nie był człowiekiem, który się nad sobą zastanawia. - Pamiętam, że dużo pracowałem na farmie. Stary zawsze nas poganiał. Może miałem zbyt dużo zajęć, żeby odczuwać samotność, a w szkole... Tak. Miałem przyjaciół. Zawsze graliśmy w piłkę w baseball, futbol albo w koszykówkę i zawsze wtedy byłem wśród chłopaków.

- A dziewczyny? Mead uśmiechnął się.

- Tak. Później.

- Dlaczego odszedłeś z farmy?

- Jezu, a pan był kiedykolwiek na farmie? Lacouture roześmiał się.

- Czy jest tam aż tak źle?

- Źle, chyba że się lubi świńskie gówna.

- To dlatego wstąpiłeś do piechoty morskiej? Mead skinął głową.

- Nic innego nie mogłem zrobić. Przecież nie mogłem pójść do szkoły średniej. Nie z moimi stopniami. Praktycznie nie było innego sposobu, żeby się stamtąd wyrwać. I tak trafiłbym do wojska z poboru, więc zgłosiłem się na ochotnika. Okazuje się, że lepiej było zostać i przerzucać świński gnój.

- Nie podoba ci się Wietnam?

Mead szączył szampana z ciągle uzupełnianego kieliszka.

- Wietnam? Nic nie wiem o Wietnamie. Widziałem tylko kawałek dżungli i co nieco z Sajgonu. To nie byłoby uczciwe, gdybym wygłaszał opinie na temat kraju albo ludzi, których nie znam. Poznałem jedynie parę kobiet.

- To bardzo dojrzała opinia. Mądrzejsza niż ta którą mogliby wygłosić ludzie starsi i bardziej wykształceni. Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie lubisz wojny?

Mead zmarszczył brwi.

- Wie pan, to zabawne, ale momentami wojna całkiem mi się podobała. Lacouture skinął głową.

- Taki wniosek wyciągnąłem ze znajomości z żołnierzami. Narzekają na swój los, ale gdzieś tam w głębi chyba bardzo lubią wojaczkę. Kiedyś znałem chłopca... Młodego człowieka... Bardzo mi go przypominasz. To mnie właśnie uderzyło. To i fakt, że jesteś przystojny... Otóż tamten chłopak był w Legii Cudzoziemskiej...

- Czy naprawdę istnieje Legia Cudzoziemska? Myślałem, że tylko w kinie.

- Och, nie. Istnieje naprawdę. Mężczyźni uciekają, żeby do niej wstąpić. Mordercy, złodzieje i diabli wiedzą kto jeszcze. Tam nikt o nic nie pyta. Wystarczy, że jesteś dość silny i możesz wytrzymać trudy. W każdym razie, ten mój znajomy był bardzo... twardym młodym człowiekiem, ciągle narzekał na Legię i na wojsko, ale je uwielbiał. Wydaje mi się, że mężczyźni lubią być żołnierzami. Lubią chodzić z dzidami jak na starożytnych wazach, albo jak grenadierzy armii cesarskiej, albo jak legionieści, jak Jacques albo jak ty.

- Ale pan nie? Lacouture roześmiał się.

- Możesz mnie sobie wyobrazić z dzidą na greckiej wazie albo w Legii Cudzoziemskiej, a może w piechocie morskiej?

Mead nie odpowiedział. Lacouture opuścił głowę.

- Nie. Ja nigdy nie grałem w piłkę - westchnął ze smutkiem. - Nie powinienem być chłopcem. - Spojrzał na Meada. - Powinienem urodzić się dziewczynką. To prawda. Urodziłem się nie tym, kim powinienem. Nic na to nie mogę poradzić. Powinienem być dziewczynką. Zawsze poszukiwałem kogoś takiego jak ty, żeby się mną opiekował, trzymał za rękę i chronił. Chciałbym spacerować po ulicy i żeby ktoś taki jak ty obejmował mnie ramieniem.

Opuścił głowę jeszcze niżej.

- Wstyd mi, kim jestem i jak się zachowuję. Muszę budzić w tobie wstręt. Czy mnie nienawidzisz?

- Nienawidzić pana? - powiedział Mead łagodnie. - Nie. Nie nienawidzę pana. Dlaczego miałbym pana nienawidzić? Przecież przed chwilę powiedział mi pan, że nic pan na to nie może poradzić.

Lacouture załkał cicho, pochylając się nad stołem. Mead rozejrzał się wokół zakłopotany.

- Panie... Panie La...

- Mów mi Bernard - powiedział Lacouture. Ramiona mu drżały. Mead przełknął.

- Przestań, Bernard. Przestań płakać. Jezu. Ludzie...

- Co mnie obchodzi ludzkie. Zawsze chciałem mieć kogoś takiego jak ty, a ty jesteś taki dobry i cudowny.

Mead poczuł się upokorzony. Nalał sobie kolejny kieliszek szampana i wypił go duszkiem.

- Musisz przestać. Zamoczysz sobie jedzenie. Lacouture przestał, spojrzał na talerz i zachichotał.

- Masz rację. - Wytarł oczy i wyprostował się. - Życie nie jest sprawiedliwe. Dlaczego ta głupia kurwa ma ciebie? Dlaczego ja nie mogę?

Mead zeszywniał.

- Ona nie jest kurwą - powiedział. - Nie chcę, żeby pan w ogóle o niej wspominał.

- Jestem po prostu zazdrosny. Może to i miła dziewczyna. Wiele jest takich. Nie znają innego sposobu zdobycia środków do życia. Są wpędzane w narkotyki przez właścicieli burdeli. Mają dzieci albo chorują. - Westchnął. - Dla nich życie też nie jest sprawiedliwe.

Postawiono przed nimi kolejne danie i napełniono kieliszki.

- To kaczka - powiedział Lacouture. - Jadłeś kiedyś kaczkę?

- Tak. Polowaliśmy ze starym na kaczki. Odmrażaliśmy sobie tyłki siedząc w kryjówkach od wczesnego ranka. Zawsze było zimno i mokro, pogoda okropna, ale wie pan, to były jedyne miłe chwile, jakie spędziłem w towarzystwie ojca. Był trzeźwy i spokojny.

- Ja nie spędziłem ani jednej chwili z moim ojcem - powiedział Lacouture.

- Jeżeli ma się pan znowu rozpłakać, może lepiej zmienmy temat. Lacouture roześmiał się.

- Jesteś zabawny. Złamiesz mi serce.

- O tym też nie mówmy - powiedział Mead, próbując kaczki. - Hej, jest dobra. Mama nigdy tak jej nie przyrządzała.

- Czy ją też smażyła?

Mead zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba też, czasami, ale i piekła ją w piecyku. Co jeszcze można zrobić z kaczką?

- Cóż, Chińczycy potrafią zrobić mnóstwo rzeczy. Wydaje mi się, że najlepsza kaczka, jaką jadłem, była pieczona w piecu oblepiona gliną. Ta... o, widzisz ten przyrząd? To jest praska do kaczek. Najpierw obcina się nogi i piersi i potem się je zgniata. Wyciska się wszystkie soki.

- Och - powiedział Mead, odwracając się z powrotem do talerza i odkładając widelec.

- Trochę sobie pogadaliśmy - powiedział Lacouture. - Teraz porozmawiajmy o interesach.

Mead znowu się napił.

- Oczywiście nie mam zamiaru cię uwieść ani też nie mam ochoty upić cię i wykorzystać. Możemy zawrzeć bezbolesną transakcję handlową. Chcę cię kupić.

Mead uśmiechnął się szeroko.

- Nie możesz mnie kupić. Nie jestem pieprzoną kaczką. Nie jestem na sprzedaż. Lacouture syknął, żeby go uciszyć.

- Mówię poważnie. Posłuchaj. Chodzi mi o twoje ciało. Nie chodzi tu o kupno, tylko - powiedzmy - o wynajęcie. Chcę zapłacić za wynajęcie twojego ciała.

Mead powstrzymał śmiech. Spojrzał na sufit, a potem zwrócił wzrok na Lacouture'a.

- Człowieku, to głupota. Posłuchaj. Było bardzo przyjemnie. Wyobrażałem sobie, że będzie okropnie, ale było fajnie... Bardzo miło się z panem rozmawia, tylko... niech lepiej tak zostanie.

- Jesteś zakłopotany.

- No... Tak. Nie chcę o takich rzeczach rozmawiać. Ja nie jestem...

- Wiem, że nie jesteś homoseksualistą. Nie byłbym zainteresowany, gdybyś był. Nie oczekuję, że

będziesz mnie kochać.

Mead poruszył się niepewnie na krześle i rozejrzał się nerwowo dokoła. Wydawało mu się, że wszyscy słuchają ich rozmowy.

- To jest transakcja handlowa. Zapłacę ci. Chcę ci zapłacić. Wystarczy tylko, że mi powiesz, ile chcesz pieniędzy.

- Panie La... Zrozum, Bernardzie... Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy. Było bardzo miło zjeść razem kolację i na tym koniec.

- Chcę iść z tobą do łóżka - powiedział rozdrażniony Lacouture.

- Czego chcesz? - roześmiał się Mead.

- Spać z tobą.

Mead znowu się roześmiał.

- Ale to niemożliwe.

Nie czuł się ani zły, ani obrażony i nie chciał potraktować tego jako żart, żeby nie urazić uczuć Lacouture'a.

- Widzisz, Bernardzie, ja nie chodzę do łóżka z chłopakami. Nie chciałbym cię urazić, ale po prostu ja takich rzeczy nie robię. To kurwie się płaci za kładzenie się do łóżka, a ja kurwą nie jestem.

- Zapłacę ci...

- Powiedziałem ci przed chwilą, że nie chcę pieniędzy. Nie obchodzi mnie to, nawet gdybyś zapłacił mi tysiąc dolarów.

- Ale musisz!

- Nic nie muszę, do cholery. A teraz przestań. Nie chcę o tym więcej rozmawiać.

- Gniewasz się.

- Nie, ale będę się gniewać, jeżeli ty się będziesz upierać. Posłuchaj. Nie obchodzi mnie to, co robią ze sobą inni ludzie. Ich sprawa. Jeżeli lubisz chłopców i lubisz kiedy cię pieprzą w tyłek, to mnie nie obchodzi. Ja mam własne problemy i własne życie. Nie komplikuj mi go. Zostańmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi?

- Tak, przyjaciółmi. No, wiesz, będziemy spotykać się, napijemy się razem szampana, od czasu do czasu zjemy razem kolację, pogadamy i tak dalej, ale nic więcej.

- Chciałbyś być moim przyjacielem? - powiedział Lacouture ze zdziwieniem.

- Jasne.

- Spotkalibyśmy się znowu i zjedli razem kolację?

- Tak. Jasne.

- Nie czujesz do mnie obrzydzenia? Mead powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Nie. Robiłem straszne rzeczy. Zabijanie ludzi nie znajduje się na żadnej liście dobrych uczynków. Patrzę na różne rzeczy inaczej, odkąd tu przyjechałem. Widziałem, jak chłopaki umierały. Po prostu znikali. Żartowali, śmiali się, a potem już ich nie było. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tu jesteśmy, dokąd idziemy ani o co w ogóle chodzi i wiem, że nigdy tego nie zrozumieć.

Mead dopił szampana i odstawił pusty kieliszek na bok.

- Wolałbym nie oglądać śmierci - powiedział z westchnieniem. - Trudno mi to wyjaśnić, ale kiedy już raz widziało się śmierć, taką prawdziwą, okropną i krwawą, mokrą i zabłoconą, kiedy się stoi nad czymś rozszarpanym i poskręcany ciałem wiedząc, że to mogłeś być ty sam, wiedząc, że któregoś dnia to będziesz ty... wtedy wszystko staje się inne. Wszystkie drobiazgi, które ludzi martwią, wszystkie te małe bzdury przestają być ważne. Wszyscy skończymy w ten sam sposób, więc nie widzę powodu, żeby martwić się o różne rzeczy. Chyba nauczyłem się... Może to brzmi głupio, wiem, ale nauczyłem się, że trzeba troszczyć się o ludzi. Trzeba być miłym.

Wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Dlatego właśnie mógłbym być twoim przyjacielem. Lacouture wyprostował się na krześle.

- Cóż... - powiedział.

- Hej, muszę już iść. Wiem, że nie powinienem tak znikać, ale może tak będzie lepiej. Czy jestem coś winien za całe to jedzenie i szampana?

Lacouture tylko patrzył na niego. Zupełnie zaniemówił. Pokręcił głową. Mead wstał i wyciągnął rękę.

- Dziękuję bardzo. Bardzo mi było miło. Naprawdę bardzo. Odwrócił się i wyszedł.

Kiedy go już nie było i gdy upłynął stosowny czas, pojawił się kelner.

- Czy wszystko w porządku, sir?

Lacouture wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Mead.

- Nie wiem - powiedział wreszcie. - Nigdy przedtem nie byłem zakochany. Patrzył na krzesło, na którym siedział Mead. Wciąż czuł jego obecność tak wyraźnie, że aż bolało go serce.

- Czy to dobrze, jeżeli się kocha? - zapytał podnosząc wzrok. Ale kelner już odszedł, a on pozostał sam.

XXVII

Deszcz padał bez przerwy przez trzy dni, zalewając bunkry na wzgórzu. Zmarznięci i przemoknięci żołnierze spędzali czas grając w karty, czytając i śpiąc.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział chyba po raz setny Leslie Frizzell, siedzący u wejścia do bunkra i przypatrujący się ulewie.

- Przynajmniej nie będzie patroli - odezwał się Dennis Coney, nie odrywając wzroku od tygodnika, który już przeczytał trzykrotnie. - Żółtki nie będą mogły zaatakować w taką pogodę, chyba że mają czółna.

Scott Sutherland spał zwinięty w kącie w pozycji, której prawie nie zmienił przez ostatnie dwa dni. Wyglądało to zupełnie tak, jakby wyłączył cały swój system. Znudzony do ostateczności Frizzell nie mógł nic z niego wykrzesać. Frizzell nie oczekiwał, by Coney zechciał się bawić. Jest stary. Ma już dwadzieścia jeden lat oraz żonę i stanowi część świata dorosłych, do którego Frizzell nie spodziewał się dostać się kiedykolwiek. Tymczasem dziewiętnastoletni Sutherland lubi żartować i bawić się.

Sutherland przekręcił się na drugi bok i Frizzell spojrział na niego pełen nadziei, ale tylko westchnął, kiedy stwierdził, że Sutherland zmienia pozycję we śnie. Sięgnął do wnętrza bunkra i chwycił jego hełm. Umieścił go przed wejściem otworem do góry i patrzył, jak napełnia się deszczówką. Sięgnął ponownie, wziął hełm Coneya i również wystawił go na zewnątrz. Oba napełniały się znacznie wolniej, niż oczekiwał przy takiej ulewie, ale przynajmniej miał jakieś zajęcie.

Wreszcie hełmy były prawie pełne. Frizzell wniósł je ostrożnie do wnętrza bunkra i trzymając po jednym w każdej ręce zbliżył się do Sutherlanda. Coney obserwował go znad gazety.

Sutherland jęknął i ziewnął, a potem, jakby coś podejrzewał, odwrócił się przodem do Frizzella nie otwierając oczu. Frizzell chlusnął mu prosto w twarz wodą z pierwszego hełmu. Sutherland poderwał się, chwytając ustami powietrze. Wtedy Frizzell chlusnął drugą ręką, ale hełm wyslizgnął mu się z palców i uderzył Sutherlanda w głowę. Ten przewrócił się na plecy.

- O rany! - powiedział przerażony Frizzell.

- Ty kutasie! - wrzasnął Sutherland, zrywając się i trzymając się za głowę, ale Frizzella już nie było. Wygramolił się na zewnątrz bunkra.

- Zabiję! - wołał Sutherland, rzucając się za nim w pogoń.

- Nie chciałem! - wołał Frizzell pędząc po stoku.

- Skurwysyn! - wrzeszczał Sutherland, ścigając go zapamiętane.

Biegali w górę i w dół stoku dookoła bunkrów, aż wreszcie Sutherland dopadł Frizzella nieopodal ich własnego bunkra, rzucając się szczupakiem i chwytając go za nogawkę. Przewrócili się i potoczyli po stoku. Wreszcie Frizzell wybuchnął śmiechem. Trzymał się za boki, tarzając się po ziemi. Sutherland skoczył na niego z furią, ale Frizzell zwinął się w kłębek, dusząc się od śmiechu. Sutherland siedział na nim i czuł, że gniew mu mija. Dał Frizzellowi kuksańca w bok.

- Ty kutasie!

Frizzell odwrócił się. Z oczu płynęły mu łzy.

- Byłeś taki wściekły. Żebyś tylko widział swoją gębę, kiedy cię ten hełm trafił!

- Dupek! - powiedział Sutherland, a potem spojrział na siebie. Mundur miał przemoczony i oblepiony mokrym piaskiem. Wstał i zrzucił mundur. Frizzell zrobił to samo. Wtedy zobaczyli Coneya przyglądającego się im z bunkra. Spojrzeli na siebie i skinęli głowami. Zaczęli biec w górę stoku w jego stronę. Coney starał się uniemożliwić im wejście do bunkra, ale go pokonali i wywlekli na zewnątrz. Przewrócili go na ziemię i okładali mokrymi mundurami. Potem uciekli.

Coney też zrzucił mundur i pognął za nimi.

Bishop i Brock stali u wejścia do głównego bunkra i obserwowali całą trójkę biegającą wśród

ulewy, krzyczącą i skaczącą, przewracającą się.

- Co za głupole! - powiedział Brock. Bishop uśmiechnął się.
- Czy nigdy nie bawiłeś się na deszczu?
- Jeżeli było suche miejsce, to nie.

W głębi bunkra radio zaczęło trzeszczeć. Obaj weszli do środka odebrać wiadomość.

Wiadomość była zakodowana i pochodziła z dowództwa kompanii w Khe Sanh.

- Oho - powiedział Brock. - Zakodowana. To na pewno uruchomi żółtków. Założę się, że za dziesięć minut będą wiedzieli, o co chodzi.

Kiedy transmisja się skończyła, Bishop sięgnął po książeczkę kodów, ale nigdzie jej nie było. Znalazł tylko nieaktualną.

- Cholera - powiedział. - Co teraz zrobimy?

Brock przestał się interesować depeszą i poszedł do swojego kąta po puszkę z jedzeniem.

- Trzeba będzie zapytać pierwszego przechodzącego żółtka, co było w depeszy.

- Może Landis wie, gdzie są kody - pocieszał się Bishop, sięgając po mikrofon radia polowego.

Landis powiedział, że znajdują się razem z zapasowymi bateriami. Po dwudziestu minutach pracy Bishop miał już odkodowaną wiadomość.

WYWIAD DONOSI O DUŻEJ KONCENTRACJI NIEPRZYJACIELA. O WSPÓLRZĘDNYCH 1979 LUB 1579. ZWIAD POWIETRZNY NIE JEST W STANIE POTWIERDZIĆ. ZAKOŃCZENIE KONCENTRACJI OZNACZA POWAŻNE ZAGROŻENIE. WYSLAĆ PIĘCIOOSOBOWY PATROL BY POTWIERDZIŁ, LUB ZAPRZECZYŁ. NIE ATAKOWAĆ. POTWIERDZIĆ ROZKAZ I WYSLANIE PATROLU.

Bishop przeczytał depeszę dwukrotnie, a potem podał kartkę Brockowi. Ten przeczytał ją nie okazując, co myśli i oddał porucznikowi.

- Chyba nie trzeba wysyłać aż pięciu ludzi - powiedział Bishop. - Powinieneś sam dać sobie radę, sierżancie.

Kiedy Brock się nie odezwał, Bishop przeczesał włosy ręką.

- Co byś zrobił, sierżancie? - zapytał cicho.

- Potwierdziłbym depeszę. Zameldowałbym, że patrol wyszedł, a potem połączyłbym się z nimi za pięć dni i powiadomił, że patrol nic nie znalazł. Nie można

wysyłać tam pięciu ludzi. Wtedy tutaj zostanie tylko trzynastu. Za mało, żeby obsadzić stanowiska choćby po dwóch. Żółtki nie będą musiały nawet atakować. Wystarczy, że poczekają, aż wszyscy zasną, wtedy wejdą tu sobie i poderzną wam gardła.

- Sytuacja jest taka sama jak wtedy, kiedy kazano nam wysłać placówkę nasłuchową, prawda? Wtedy zginęli Opieniek i Miller.

- Właśnie, panie poruczniku. Wojna to wciąż to samo odwieczne gówno. Brock otworzył puszkę z jedzeniem.

- Żarcie też jest takie samo. Wydaje mi się, że to jest to samo gówno, które jadłem na Korei.

Nagle Bishopa ogarnęła złość. Tego Brock jeszcze nie widział. Bishop kopnął w skrzynkę z amunicją, na której przedtem siedział, zgniótł w dłoni kartkę i podsunął ją Brockowi pod nos.

- Dobrze. Jesteś zawodowym wojskowym. Skończ z tą pozą starszego sierżanta i powiedz mi, co mam robić. Jestem tylko cholernym podporucznikiem. Mam dwadzieścia dwa lata i dowodzę kupą chłopaków, którzy wiedzą jeszcze mniej niż ja. Dostaję rozkaz, który mi się nie podoba. Ty mi mówisz, że mam sobie powiedzieć: „Nie. Nie zgadzam się z tym rozkazem. Chyba się do niego nie zastosuję. Co więcej, mój twardy, ukochany sierżant też nie jest nim zachwycony, więc rozkaz olejmy”. Jestem oficerem piechoty morskiej, a ty jesteś sierżantem piechoty morskiej.

Bishop zaczął wymachiwać pięścią.

- To jest rozkaz. Nie wiem, czy pochodzi od prezydenta Johnsona, dowódcy okręgu, dowódcy pułku czy tylko od kapitana Willisa, ale jest wydany przez kogoś starszego stopniem ode mnie.

Bishop wepchnął kartkę do kieszeni Brocka.

- A teraz ja wydaję rozkaz. Poprowadzisz tam czterech ludzi. Jeżeli będziesz miał ochotę przesiedzieć z nimi ten czas w jaskini albo uciec na północ, to już twoja pieprzona sprawa. Ja wydaję rozkaz, że masz poprowadzić patrol i zobaczyć, czy jest tam koncentracja czy nie. Już mam dosyć tego całego gówna. Mam dosyć deszczu, wojny i decydowania, co jest słuszne, a co nie. Pieprzę to wszystko. Chciałbym już z tym skończyć, pojechać do domu i jak najprędzej zapomnieć o tym całym gównie. Ale dopóki siedzę tu, na tym zadupiu, będę wykonywać rozkazy, salutować regulaminowo i robić, co do mnie należy.

Brock patrzył na niego bez wyrazu, spojrzął na kartkę wystającą mu z kieszeni, a potem wrócił do

jedzenia.

- To było niezłe, panie poruczniku. Na jakim kursie tego pana nauczono? Dramat plutonu?

Bishop cofnął się wściekły, ale zaraz się roześmiał.

- Ty dupku.

- Pan wie, że nie bardzo wyznaję się na mapie - powiedział Brock. - Będzie pan mnie musiał skierować we właściwą stronę i powiedzieć mi, przez ile godzin mam w tę stronę iść. Potem wszyscy zawrócimy i ruszymy z powrotem.

- Weź Sutherlanda. On umie czytać mapę. Weź może wszystkich trzech -Sutherlanda, Coneya i Frizzella. No i Landisa. Najlepiej obsługuje radio.

- Sutherland pewnie mnie zastrzeli. Bishop wzruszył ramionami.

- To dostaniesz Fioletowe Serce*. Dopilnuję, żeby wysłali je twojej żonie. Brock rzucił puszkę o ścianę.

- Szlag mnie trafi, jeżeli zginę wcześniej niż pan, panie poruczniku. Oczy mu się zwężyły.

- Tak się jednak nie stanie. Przysięgam, że prędzej diabli mnie porwą, nim jakiś zasrany marionetkowy porucznik mnie przeżyje, sir!

Bishop popatrzył na niego pytająco.

- Czy mam adres twojej żony? Zanim pójdziesz, musisz dać mi ten adres, żebym mógł wysłać jej ten medal, no i ten twój obszarpany portfel. A co z tymi pornosami i tą cipą z „Playboya”? Czy mam to wysłać jej, czy oddasz Sutherlandowi? Brock spojrzał na niego wściekły, ale w końcu uśmiechnął się.

- Wie pan, mam nadzieję, że nam obu się uda, bo kiedy to się skończy, chciałbym spotkać pana w prawdziwym świecie, panie poruczniku. Wtedy dam panu kopa w dupę. Bishop roześmiał się.

- Chyba ci na to nie pozwolę, ale chętnie się z tobą napiję.

- I pójdziemy na dupy? Bishop wyciągnął rękę.

- Zgoda.

Brock ujął podaną sobie dłoń.

- Zgadzam się, panie poruczniku, ale pan stawia.

- Jak wrócicie z patrolu, stawiam.

Bishop wydobył swoją obciążoną plastikiem mapę i obydwaj przeanalizowali ją szczegółowo, wykreślając współrzędne i wybierając punkty orientacyjne.

- Dwa dni, może trzy w jedną stronę i dwa dni z powrotem.

Brock przeniósł współrzędne i punkty orientacyjne na swoją mapę, a potem wspinał się po schodkach bunkra, żeby rozmówić się z pozostałymi.

Przechodząc przez wierzchołek wzgórza popatrzył na pasmo wzgórz przysłonięte deszczem i dwukrotnie przystanął. Nękały go złe przecucia i nie mógł się ich pozbyć. Wszystko, co dotyczyło tego patrolu, układało się źle. Lubił Koreę. Rozumiał tamtą wojnę. Koreańczycy z południa walczyli zajadle, nieprzyjacielem był określony i wszyscy walczyli tak, jak powinni. Byli też wielcy dowódcy - MacArthur, Ridgeway i „Chesty” Puller, i wielkie bitwy. Ta wojna, myślał, to wielkie gówno. Wietnamczycy z południa nie walczyli z nieprzyjacielem. Cholera! Nawet nie wiadomo, kto jest nieprzyjacielem. Nie ma też wielkich dowódców ani wielkich bitew. Siedzi się tylko na pagórkach i w okopach.

No, ale nie jest jeszcze tak źle, pomyślał, a ponieważ innej wojny nie ma, nie ma też sensu narzekać na tę. Trzeba brać, co dają. Ostatecznie wstąpił do piechoty morskiej po to, żeby walczyć. No i zafundowali mu wojnę, może nie wielką wojnę, ale zawsze wojnę.

Jest fachowcem. Przez całe swoje dorosłe życie był w piechocie morskiej i chociaż nie podoba mu się obecne zadanie, robi, co mu każą. Ostatecznie jest tylko sierżantem.

Przy bunkrze na przeciwstoku Brock odetchnął głęboko i wsunął głowę do środka. Landis i Martin siedzieli po turecku i grali w karty.

- Zbieraj manele - powiedział Brock do Landisa. - Idziesz na patrol.

- Teraz?

- Na pięć dni.

- Pan żartuje. - Landis wciąż nie mógł uwierzyć.

- Masz być przy bunkrze dowodzenia o siódmej. Amunicja i żywność na pięć dni - powiedział Brock rzeczowym tonem.

Martin popatrzył za oddalającym się Brockiem i odwrócił się do Landisa.

- Umrzesz - zażartował.

- Nie mów tak.

- To dobrze, że rozmawiałeś z tym kapelanem, który cię zbawił.

- Przestań, Josh. - Landis odwrócił się i zaczął zbierać swój sprzęt. Odłożył na bok żywność i rozpakował amunicję. Potem rozłożył karabin i naoliwił go, żeby zabezpieczyć przed deszczem. W połowie roboty przerwał i zapatrzył się w szarość ulewy.

Jedyna rzecz, jakiej w życiu pragnął to był samochód, o którym tak dużo myślał. Ma to być czarny Firebird z czarną tapicerką. Wreszcie podjął tę decyzję. Starał się zobaczyć go oczyma wyobraźni za zasłoną deszczu. Nisko podwieszony, potężny i zły. Starał się wyobrazić sobie siebie w środku, ale deszcz był jak czarny welon i Landis nie mógł przywołać tego obrazu.

Po drugiej stronie wzgórza Coney siedział i kończył list do żony, kiedy usłyszał, że Sutherland płacze przez sen, i zobaczył, że kuli się na posłaniu.

Odłożył pióro i patrzył na dwóch śpiących mężczyzn.

Wojna im służy, pomyślał. Frizzell nigdy nie znał lepszego życia i nie miał nic lepszego do roboty. Był najmniej skomplikowaną osobą jaką Coney kiedykolwiek znał, a Sutherland, mimo wszystkich jęków i narzekań, gdzieś w głębi duszy lubił wojnę, ponieważ była podniecająca, a on lubił walkę i gdyby nie walczył tutaj, prowadziłby pewnie jakąś walkę w Los Angeles.

Jednakże on, Coney, popełnił błąd. Nie powinien być tutaj. Jest mądrzejszy. Ma żonę i dziecko. Uciekł od odpowiedzialności. Powinien był zostać i zadbać o rodzinę. Rzucił szkołę, żeby się ożenić. Rzucił małżeństwo, żeby wstąpić do piechoty morskiej. Uśmiechnął się do siebie. Teraz chciałby rzucić piechotę morską. Wziął pióro, żeby dalej pisać do żony i zapewnić ją, że kiedy wróci, postara się być dobrym mężem i ojcem. Będzie starał się, żeby małżeństwo było udane.

Nagle przy wejściu pojawił się Brock.

- Obudź ich - powiedział, wskazując na śpiących. Otarł krople deszczu z twarzy i strzepnął płaszcz. - Nie będę dwa razy powtarzać. Nie będzie wam się to podobało. Mnie też się to nie podoba, ale nic na to nie mogę poradzić. Nas pięciu - wy, Landis i ja idziemy na pięciodniowy patrol, żeby znaleźć rejon koncentracji nieprzyjaciela. Większość czasu spędzimy na jego terytorium. Zabierzcie amunicję i żywność na pięć dni. Macie być gotowi na siódmą.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Wreszcie Frizzell uśmiechnął się.

|

p - To żart, prawda?

Sutherland zrzucił pałatkę, którą był przykryty, i zerwał się.

- To nie żart. Chcesz nas wszystkich pozabijać, ty skurwysynu? Brock stał spokojnie, a głos miał cichy i opanowany.

- Powiedziałem ci, że mnie też to się nie podoba. Myślę, że to głupi pomysł, ale nie mamy wyboru. Właśnie nadszedł taki rozkaz.

Coney odłożył swój list.

- Dlaczego my?

- Ponieważ do tego zadania potrzeba ludzi, którzy potrafią współpracować ze sobą, którzy absolutnie sobie ufają i którzy nie popełnią błędu. Jeżeli którykolwiek z nas popełni błąd, zginiemy wszyscy.

- Zginiemy i tak.

- Może. Dlatego nie pobieramy czynszu za mieszkanie w bunkrze i dajemy wam tyle wieprzowiny, ile tylko zdołacie zjeść. Są jakieś pytania?

Brock czekał jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się do wyjścia.

- Chyba tym razem dorwę cię, Sutherland - powiedział na odchodnym.

Odszedł. Siedzieli w milczeniu, aż Sutherland uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

- O Jezu, nie!

Coney pokręcił głową z niedowierzaniem. Tylko Frizzell przyjął spokojnie wiadomość o patrolu.

- Wszystko będzie w porządku. Landis jest dobry, a Brock nie popełni żadnego błędu, za to jak wrócimy, będziemy mieli dalszych pięć dni z głowy.

- Jak wrócimy! Ty głupi ośle! My nie wrócimy. - Cała furia Sutherlanda skierowała się teraz na Frizzella. - Wiesz, kim ty jesteś? Jesteś takim małym Brockiem. Jesteś dożywotnim żołnierzem w pierwszym roku służby. Jeżeli pożyjesz dłużej, jeżeli nie zostaniesz zabity na tym patrolu, to któregoś dnia zostaniesz sierżantem. Sierżant Frizzell! Dupek!

Sutherland opadł na posłanie i wplótł palce we włosy.

- Pięć dni za linią frontu! Nie przetrwamy nawet jednego dnia. Nie mogą nas tak wysłać.

Poderwał się z furią.

- To morderstwo! Zwykle morderstwo! Trząśł się ze złości.

- Zabiję go. Rany boskie, tym razem go zabiję - dodał z zimną determinacją. Coney przyglądał mu się obojętnie. Już wiele razy widział takie wybuchy

u Sutherlanda i wiedział, że Sutherland w ten sposób przygotowuje się psychicznie do patrolu. Rzucił mu swoje pióro.

- Napisz, żebym eskortował twoje ciało do kraju, jak cię załatwią. - Popchnął Frizzella. - Wszyscy będziemy cię eskortować. Rozpieprzy cię na tyle kawałków, Sutherland, że cały pluton będzie miał co nieść.

Sutherland rzucił w niego hełmem.

- Ty nawet nie będziesz miał trumny, Coney. To, co z ciebie zostanie, przylepimy na pocztówkę i wyślemy do domu.

Brock wrócił do bunkra i napisał list do żony. Zawiadomił ją, że będzie przerwa w korespondencji, ponieważ wyrusza na długi patrol. Napisał, żeby się nie martwiła, że jest bezpieczny i że ją bardzo kocha. Potem zabrał się za swoje wyposażenie. Rozłożył karabin, naoliwił go, przygotował żywność i amunicję.

Późnym popołudniem zaczęło tak lać, że widoczność zmniejszyła się do kilku metrów. Brock próbował się przespać, ale nie mógł zasnąć.

- Nie ma sensu czekać do wieczora, I tak jest dość ciemno.

Bishop siedział naprzeciw niego na ziemi z łokciami opartymi na kolanach.

- Może wystarczy mniej niż pięć dni.

Brock wywołał przez radio Landisa i polecił mu wezwać pozostałych. Landis wyciągnął rękę, żeby obudzić Martina.

- Hej, muszę już iść. Zmienili czas wymarszu. - Niepewnie wyciągnął rękę na pożegnanie.

Uśmiechnęli się do siebie nerwowo i Landis wyszedł.

Frizzell położył się spać po wyczyszczeniu karabinu i przygotowaniu wyposażenia.

Coney podał list do żony i zabrał się do pisania drugiego. Zamknął oczy i wsłuchiwał się w uspokajający szum deszczu. Starał się wyobrazić sobie swoje dziecko, którego jeszcze nigdy nie widział. Znał je tylko z przysłanej przez żonę fotografii. Wyjął zdjęcie z portfela i trzymał przed twarzą. Zamknął oczy. Boże, spraw, żeby wszystko się dobrze skończyło. Proszę. Spraw tak, a o nic więcej nie będę Cię nigdy prosić. Pozwól mi zobaczyć moje dziecko.

Sutherland nie mógł zasnąć. Siedział obejmując kolana rękami i patrzył na deszcz. Małe strumyczki wody łączyły się w coraz większe i spływały po stoku wzgórza. Gniew ustąpił miejsca strachowi. Wiedział, że nie przeżyje pięciu dni za linią frontu. Szukał w myślach jakiegoś wyjścia i stwierdził, że znalazł się w pułapce. Jedynym ratunkiem było przyznać się do tchórzostwa. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, popadł w rezygnację, ale wtedy przypomnieli mu się zmarli i wypełnili jego myśli. Łzy zaczęły spływać mu po twarzy i kapać na piasek. Chciał wracać do domu.

Nagle ktoś stanął u wejścia do bunkra.

Sutherland odwrócił się szybko i wytarł oczy.

Landis odsunął brzeg kaptura z twarzy.

- Brock powiedział, że idziemy już teraz.

- Co? - Coney zerwał się.

- Idziemy. Bierzcie swoje rzeczy.

- Na litość boską, przecież leje jak skurwysyn. - Coney pokazał na kałuże. - Pewnie już się tam zaległy rekiny.

Landis pokręcił głową.

- Brock powiedział, że jest wystarczająco ciemno, możemy już ruszać. - Wyszedł z bunkra i przykrył głowę kapturem. - Weźcie proszek na rekiny.

Sutherland sięgnął po jakąś puszkę, żeby w niego rzucić, ale Landisa już nie było. Sutherland wpatrywał się w ulewę i roześmiał się nagle.

- Wiesz, Coney, czekałem na coś takiego. Wybrali najgorszy dzień, jaki się przydarzył w czasie tej całej pieprzonej wojny, żeby nas wysłać.

Coney westchnął, odłożył list i pochylił się, żeby obudzić Frizzella. Wszyscy trzej pozbiali

swój ekwipunek i wyszli z bunkra.

Brock spokojnie czekał na nich. Bishop siedział po przeciwnej stronie bunkra i przyglądał mu się w milczeniu.

Schody zaskrzypiały pod ciężarem czterech mężczyzn. Weszli do bunkra i ustawili się niepewnie.

Bishop dał im do przeczytania depezę.

- To jest rozkaz i nie mamy wyboru. Nie mam nic do dodania. Może znajdziecie coś, a może nie. Postarajcie się najlepiej, jak umiecie. Nie wdawajcie się w walkę, jeżeli nie będziecie musieli. Nie będziecie mieli żadnych szans, jeżeli tam was zauważą.

Wpatrywali się w niego z uwagą.

- Weźcie dwie zapasowe baterie do radia. Najważniejsze, żeby wam nie zamokło. Jeżeli stracie kontakt radiowy z nami, patrol zostaje automatycznie odwołany. Nie możecie tam tkwić bez kontaktu radiowego. Baterie opakowałem, więc nie powinny zamoknąć.

Popatrzył na nich i rozłożył ręce.

- To chyba wszystko.

Brock wskazał na schody i żołnierze wyszli, a Brock poszedł za nimi. U szczytu schodów sięgnął po portfel i rzucił go Bishopowi.

- Nie wysyłać pornosów i obrazków - powiedział i poszedł.

Bishop opadł ze znużeniem na skrzynkę z amunicją. Długo trzymał portfel w ręku, w końcu schował go do kieszeni spodni.

Cała piątka była już przemoknięta, zanim zdążyli dotrzeć do zasieków. Brock zatrzymał ich przy przejściu, przekrzykując szum wiatru.

- Możecie przemoknąć, nim ruszymy. Wtedy przynajmniej przestaniecie się martwić tym, żeby nie zmoknąć. Zostawcie hełmy. One wam nie pomogą.

Popatrzyli po sobie i zaczęli żartować podskakując i słuchając chlupotu wody w przemokniętych już butach. Sutherland rozpiął kurtkę i pozwolił, żeby deszcz opłukał mu pierś. Po chwili byli zupełnie mokrzy. Ubrania oblepiały się na nich ciężko.

Nie oglądając się za siebie, Brock gestem wskazał im zasięki. Dał znak Coneyowi, żeby osłaniał tyły, i ruszyli na północ.

Marsz był powolny. Coney dwukrotnie zatrzymywał ich, ponieważ zdawało mu się, że ktoś za nimi idzie, ale kiedy pozostawali w zasadzce, nikt się nie pojawiał.

Po kilku godzinach Landis zaczął potykać się pod ciężarem radia. Frizzell znalazł jakiś bunkier i wpęzli do niego, żeby z godzinę odpocząć. Landis leżał wyczerpany, podczas gdy inni siedzieli w milczeniu blisko siebie i jedli.

Omijali pasmo wzgórz od wschodu, idąc przez wypaloną dżunglę martwych drzew. Brock nadał przez radio rutynowy sygnał i w dalszym ciągu parli na północ. Szli ostrożnie wśród krzaków, prawie czołgając się i zatrzymując się co kilka chwil, żeby nasłuchiwać, ale słyszeli tylko szum wiatru i deszczu wśród martwych konarów.

Na krótko przed północą Sutherland upadł, upuszczając karabin maszynowy w błoto. Czekali godzinę, aż go wyczyści po ciemku. Musiał usunąć błoto z lufy i oczyścić zamek. Następnie inaczej rozdzielili ładunki i szli jeszcze przez trzy godziny, dopóki Brock nie spostrzegł się, że zaczynają się zachowywać nieostrożnie.

Na godzinę przed świtem dał znak Frizzellowi, żeby rozejrzał się za jakąś kryjówką. Frizzell wyruszył sam. Wrócił po pewnym czasie i poprowadził ich do dobrze ukrytej jaskini.

Brock podał przez radio ich pozycję i ułożył się pod ścianą, by się przespać. Coney i Frizzell przytulili się do siebie dla ciepła i zasnęli w ciągu kilku minut. Sutherland zrobił sobie legowisko z luźnych gałązek w kącie i zapadł w niespokojny sen.

Pierwszą wartę pełnił Landis. Siedział przy karabinie maszynowym i zmęczony wpatrywał się w mrok. Wczesnym rankiem obudził Sutherlanda i zamienili się.

Sutherland drżał siedząc przy wejściu i patrząc niewidzącym wzrokiem w wilgotną szarość. Chciał się jakoś rozgrzać, ale w żaden sposób nie mógł się uwolnić od uczucia chłodu. Popatrzył na innych. Brock oddychał cicho z otwartymi ustami. Głowę oparł na rękach. Coney i Frizzell leżeli obok siebie.

Głupie sukinsyny, pomyślał. Nikt nie wytrzyma tak przez pięć dni. Podniósł kamień, żeby go wyrzucić z bunkra, kiedy zobaczył zbliżające się sylwetki. Rzucił się płasko na ziemię.

- Kontakt. Kontakt - wyszeptał.

Inni zerwali się. Sutherland szamotał się z karabinem maszynowym. Załadował taśmę z amunicją i wprowadził nabój do komory. Inni odbezpieczyli karabiny i szukali stanowisk w ciasnym bunkrze.

Brock podpełznął do Sutherlanda i skulił się koło niego.

- Ilu?

Sutherland gwałtownie pokręcił głową, nie mogąc ich policzyć.

Brock przysunął się jeszcze bliżej do wyjścia i zobaczył duży oddział nieprzyjacielski idący prosto w ich kierunku. Usłyszał ciężki oddech Sutherlanda i zobaczył, że jego palce zaciskają się na spuście. Spojrzał na Brocka. W jego oczach czaił się strach, którego przedtem Brock nigdy u niego nie zauważył. Sutherland zaczął się trząść. Głos mu się łamał.

- Złapali nas w pułapkę. Wystarczy tylko, że rzucą granat. Nie możemy nic zrobić. Brock badał ruchy nieprzyjaciela. Potem położył dłoń na ramieniu Sutherlanda.

- Spokojnie. Nie widzą nas.

Nagle dowódca oddziału wskazał w ich kierunku.

Brock wstrzymał oddech. Przecież nie mogą spodziewać się patrolu tak daleko od linii amerykańskich.

Dowódca dał znak i żołnierze zaczęli się zbliżać. Kiedy byli już niedaleko, Brock zauważył, że są bardzo zmęczeni. Szli powoli, jakby bez celu, nie zachowując ostrożności. Ich karabiny zwieszały się na pasach.

- Nie ruszaj się. Nie strzelaj - wyszeptał Brock.

Żołnierze podeszli już tak blisko, że słyhać było ich głosy, zmęczone i zirytowane. Dowódca krzyczał na swoich ludzi. Jeden z żołnierzy był tak blisko, że usłyszeli, jak przeklina pod nosem. W ciągu następnych kilku minut żołnierze minęli bunkier.

Jeszcze przez pięć minut nikt nie poruszył się ani nie odezwał. Wreszcie Brock usiadł, chwycił radio i połączył się ze wzgórzem. Przekazał wiadomość o dostrzeżeniu nieprzyjaciela i kierunku jego marszu. Kiedy skończył, spojrzał na pozostałych i wzruszył ramionami.

Coney opuścił karabin.

- Czy ma ktoś papier toaletowy? Zesrałem się w portki. Landis odetchnął głęboko.

- Jezu, jeszcze nigdy nie byłem tak blisko. Naliczyłem czterdziestu. Już myślałem, że nas mają.

Sutherland oczyścił karabin maszynowy, otarł pot z twarzy i oparł głowę na broni.

- Musisz nas stąd wyprowadzić, Brock. To byli tylko zwiadowcy. Jak wychylimy stąd głowy, załatwią nas. Nie możemy iść dalej.

- Czego się martwisz? Przecież nas nie widzieli. Sutherlanda wściekł się.

- Chryste, było ich czterdziestu.

Frizzell nerwowo wyciągnął papierosy. Zauważył, że są zupełnie przemoknięte, i odrzucił je na bok.

- Myślicie, że poszli w stronę naszego wzgórza? Brock wzruszył ramionami i wskazał na Frizzella.

- Obejmujesz wartę. Zostajemy tu do zmroku. Położył się, podłożywszy sobie ramię pod głowę. Sutherland podczołgał się do niego.

- Wyprowadź nas stąd. Nie jestem tchórzem, ale, Jezu, nie mieliśmy najmniejszej szansy.

Brock zamknął oczy i nie odezwał się. Sutherland wpadł w furję.

- Chcesz zdobyć medal? Czy o to chodzi? Czy robimy to tylko po to, żebyś dostał medal?

- Tak. Właśnie - powiedział Brock, nie otwierając oczu. - Mam zamiar wysłać go mojej żonie, a potem przejdę na emeryturę.

- To po jaką cholere my to robimy? Nikt nie będzie wiedział, jeżeli się tu ukryjemy. Ta pieprzona wojna i tak nic nie znaczy i ty o tym wiesz.

- Ja będę wiedział. A może ta wojna jednak coś znaczy?

- Ty dupku! - wykrzyknął Sutherland. - Tu głupi sukinsynu! Ty dożywotni kutasie! Wszystkich nas zabijesz.

Inni spojrzeli na niego ostrzegawczo. Coney odwrócił się, spodziewając się wybuchu ze strony Brocka, ale sierżant tylko otworzył oczy i spokojnie popatrzył na Sutherlanda.

- Zamknij się i pozwól mi dowodzić tym patrolem. Wyprowadzę bezpiecznie stąd tę twoją nie wartą dupę.

- Sam wyprowadź swoją dupę. Ja dalej nie idę. Nie idę za tobą, Brock. Jesteś skończony, Brock. Jesteś stary dożywotniak na tyle głupi, że nie możesz podjąć normalnej roboty w normalnym świecie.

Twarz Brocka pobladła.

Frizzell trącił Sutherlanda, ale Brock tylko opuścił głowę na ziemię i oddychał rytmicznie.

- Dobrze. Przegłosujemy to. Jak się to wam podoba? Będzie zupełnie jak w pieprzonej demokracji. Coney uśmiechnął się. - Ja głosuję, żeby wszyscy szli oprócz mnie. To jest właśnie demokracja.

Brock popatrzył na niego, a potem zwrócił się do pozostałych.

- Ci, którzy chcą wracać, niech mówią teraz. Wiecie, że to jest wasza robota, i że otrzymaliście rozkaz, ale jeżeli chcecie się wycofać, ja nic nie powiem. - Spojrzał na każdego po kolei. - Nie znam się na wielu rzeczach... Sutherland ma rację. Jestem starym dożywotniakiem... Nawet nie wiem, o co tutaj chodzi, ale człowiek...

Słowa, niejasne i tajemnicze pojęcia takie, jak honor i odwaga, strach i męstwo, roztopiły się gdzieś w jego umyśle. Otworzyła się przed nim bezdenne przepaść, a on nie rozumiał co go tam wciąga i nie pozwalała mu uciec.

Coney patrzył na deszcz. Był jak jedwabna kurtyna oddzielająca go od świata. Frizzell i Sutherland oczekiwali od niego, starszego kolegi, żonatego i mającego dziecko, żeby podjął decyzję.

Nic z tego nie rozumiem, pomyślał Coney. Nie mam pojęcia, czy to ważne albo czy ma jakiegokolwiek znaczenie. Westchnął. Czy mam umrzeć dlatego, że jestem ignorantem?

Wyjrzał z jaskini i nie zobaczył nic. Zamknął oczy. Uciekł z uczelni i uciekł od małżeństwa. Uciekał od wszystkiego, co było trudne. O tym wiedział. To się jednak miało zmienić. Będzie miał jeszcze udane małżeństwo i wróci na uczelnię.

Opuścił głowę. W jaskini panowała kompletna cisza.

Wreszcie wyprostował się. Zdecydował, że nigdy więcej przed niczym nie ucieknie.

- Ja pójdę - powiedział cicho. Frizzell skinął głową.

- Ja myślę, że to ważne. Musimy to zrobić.

Landis wspominał swój strach i bliskość nieprzyjaciela. Słyszał nawet ich oddechy. Pomyślał nagle o Martinie, o matce i o pewnej dziewczynie, ale nie mógł przypomnieć sobie jej imienia. A potem stanął mu przed oczami samochód, czarny, groźny i zły. Uśmiechnął się.

- Pójdziemy - powiedział, bo też wciągnęły go etyka męskiej odwagi i czynów, historie i mity, których nawet nie znał, jak jakiś bakcyl, który tkwił gdzieś w nim głęboko i wszystkie inne rozwiązania wydały mu się niesłuszne.

- Cholera. Śmierć to jeszcze nie jest najgorsze. Sutherland patrzył na nich, a potem usiadł zakłopotany.

- W porządku. Jeżeli wszyscy tak głosują, też idę. Ja tylko nie chcę umierać. Frizzell trącił go lekko.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś równy gość.

- Wszyscy się tego boimy - powiedział cicho Coney. Landis popatrzył na niego pytająco.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że chcesz umrzeć udając bohatera - powiedział Sutherland złośliwie.

- Nie. - Frizzell pokręcił głową. - Jesteśmy kumplami, a tak długo jak będziemy kumplami, wszystko będzie w porządku.

Brock parsknął pogardliwie i zamknął oczy.

- Zamknijcie się, kumple, do cholery. Macie jeszcze cztery godziny, żeby sobie pospać.

Sutherland pokazał środkowy palec zamkniętym oczom Brocka.

Inni uśmiechnęli się i poukładali wygodniej, ale nikt nie mógł zasnąć.

XXVIII

Mead, bojąc się spóźnić, przyjechał do ambasady za wcześnie. Dochodziła dopiero czwarta. Bar był jeszcze zamknięty, więc nawet nie mógł się napić kawy. Korytarze były zupełnie puste, biura pozamykane i Mead uświadomił sobie, że może nawet nie będzie mógł dostać się do specjalnego skrzydła. Nie wiedział, czy budka wartownika jest w nocy obsadzona, a innego wejścia nie było.

Wysiadł z windy. Nie zobaczył nikogo w budce wartownika i już miał wracać na dół, ale zauważył, że pancerne drzwi są nieco uchylone.

Może w środku są sprzątaczkę, pomyślał, a może wartownik poszedł do toalety. Wszedł uważając, by drzwi pozostały w takim położeniu, w jakim je zastał, i zniknął w swoim pokoiku. Nie było w nim nawet lampy, więc po ciemku zdjął kurtkę i postawił karabin.

Przypomniawszy sobie, że Dolores ma ekspres do kawy, i już zamierzał przejść przez korytarz, żeby go uruchomić, kiedy usłyszał, że ktoś wychodzi z gabinetu Marshalla.

O tej porze na pewno nie było tu ambasadora, pomyślał Mead, chociaż to byłoby do niego podobne.

Stał cicho w ciemności, kiedy jakiś mężczyzna przechodził korytarzem.

Był to Lord. Zjawa. Mead rozpoznał go od razu, mimo że widział go tylko przez ułamek sekundy przez szparę w drzwiach.

Mead o mało co nie wyszedł na korytarz, żeby mu opowiedzieć o Francuzie, ale zawahał się. Może Lord nie chciał być przyłapany?

Przyłapany na czym? - zastanowiło go. Co on robił w gabinecie Marshalla? Czy szpieguje ambasadora?

Mead stał w ciemności, starając się uporządkować myśli. Wiedział, że nie jest w stanie zakwestionować działań wyższego urzędnika, jakim jest Lord, ale miał poważne wątpliwości co do tego, co mu Lord powiedział. Ten Francuz, Lacouture, okazał się dziwaczny, a w dodatku homo, ale Mead czuł, że to, co Lord mu naopowiadał o Lacouturze, może nie być prawdą. Francuz nie wyglądał na aż tak złego człowieka. Mead nawet zaczynał go lubić. To było tylko wrażenie, ale Mead ufał swoim wrażeniom.

Kiedy już Mead upewnił się, że Lord wyszedł z tej części budynku, podszedł do drzwi Marshalla. Były zamknięte. Następnie przeszedł przez biuro sekretarki i gabinet pułkownika Waggonera. Te drzwi też były zamknięte.

A zatem Lord miał klucz. Dlaczego? Czy Marshall o tym wie?

Zrobił sobie kawę, starając się znaleźć odpowiedź, ale to wszystko nie miało dla niego żadnego sensu. Wyczyścił więc jeszcze raz swój karabin i wyglansował buty. O piątej trzydziści pułkownik Romer zaczął dobijać się do drzwi. Mead wpuścił go, nie wspomniawszy jednak, w jaki sposób sam dostał się do środka ani

o wizycie Lorda.

- Jest kawa - powiedział.

- Świetnie. - Romer dał mu trochę pieniędzy. - Skoczcie i przynieście kilka pączków.

- Bar otwierają dopiero o szóstej. Romer tylko popatrzył na niego.

- Tak jest - powiedział Mead. - Jakiego rodzaju pan sobie życzy, sir? Z konfiturą?

- Jakie da się ukraść - powiedział Romer.

Mead zszedł na dół. Lubił Romera. Pułkownik był sprawiedliwy i wyrozumiały. Wydawało się, że nikogo się nie boi. Mead zauważył, że jego stosunek do Marshalla jest inny niż pozostałych. Zachowywał się właściwie i z szacunkiem, ale nie okazywał strachu. Miał też poczucie humoru.

Słyszał, że Romer jest synem sławnego generała, ale to sławne nazwisko niewiele mu mówiło.

Poza tym wyglądało na to, że pułkownik niewiele sobie z tego robi.

Mead zauważył też, że pułkownik czasami ma zbyt duże wymagania. Pączki okazały się tu dobrym przykładem. Pułkownik Waggoner poczekałby do otwarcia baru. Była to kwestia około piętnastu minut. Tylko Romer wpadłby na pomysł kradzieży pączków. To drobiazg, pomyślał, ale na tę cechę trzeba uważać, jeżeli od tego człowieka miałyby zależeć życie.

Może właśnie z tego powodu porucznik Bishop wysłał go tutaj. Mead przypuszczał, że Bishop obawiał się, iż on zginie wystawiając się na niebezpieczeństwo. Mead nie sądził, żeby już doszedł do takiego stanu, ale taki właśnie był Bobby Yates, a Mead dostrzegał podobne cechy u Romera.

Kiedy Mead przyjechał do Wietnamu, kapral Yates był bohaterem plutonu.

Dwukrotnie ranny, miał Srebrną i Brązową Gwiazdę, co było niespotykane wśród zwykłych żołnierzy. Był prawdziwym bohaterem, ale stał się niebezpieczny, bo starał się żyć zgodnie z wzorcem, który mu narzucała zdobyta reputacja. Nie mógł pójść zwyczajnie na patrol. Każdy patrol stawał się próbą zaatakowania nieprzyjaciela albo miał przewyższyć inne patrole pod względem długości trwania i stopnia niebezpieczeństwa.

Umarł niepotrzebnie. Pluton wspierał piechotę, prowadząc konwój zaopatrzeniowy składający się z potężnych ciągników desantowych. Te dwudziestotonowe potwory zasilane były z ogromnych zbiorników paliwa podwieszonych pod kadłubem i mogły spowodować gigantyczny fajerwerk.

Kiedy jeden z ciągników trafił na minę, jego trzyosobowa załoga wyskoczyła szukać kryjówek.

Oni uciekali od maszyny, a Yates zaczął biec w jej stronę.

Wszyscy krzyczeli, żeby trzymał się z dala, ale Yates wskoczył na ciągnik i zmierzał do wjazdu. Właśnie w tej chwili zapaliły się zbiorniki, od których zajęło się trzy tysiące litrów przewożonej benzyny. Płomienie pochłonęły Yatesa jak szmacianą lalkę. Ciągnik płonął przez sześć godzin. Pluton przyglądał się płomieniom przez pół godziny, a potem ruszył dalej. Dowiedzieli się później, że kiedy ogień zgasł i maszyna ostygła, w środku nie znaleziono nawet śladu ludzkich popiołów.

Perez żartował, że w trumnie powinni odesłać wieprzowinę jako nagrodę pocieszenia. Wszyscy śmiali się, ponieważ uważali, że Yates był stuknięty, a jego śmierć nieunikniona. Czuli ulgę, że minęło stwarzane przez Yatesa napięcie, i że nie spowodował dodatkowo jeszcze śmierci któregoś z kolegów.

Jakieś cechy Yatesa można było dostrzec u Romera, pomyślał Mead. Był zadowolony, że Romer wykonywał zadania administracyjne. Ukradnie dla niego pączki, fale wolałyby nie mieć go ze sobą na patrolu.

Nie musiał nawet kraść pączków. Wartownicy z piechoty morskiej mieli wszędzie postęp, więc po prostu wszedł do kuchni i powiedział, czego mu potrzeba.

- Dobra robota, kapralu - powiedział Romer, zaglądając do torebki, którą przyniósł Mead. Potem wziął karabin do drugiej ręki.

- Jedziemy - powiedział.

Limuzyna czekała przed ambasadą. Mead usiadł obok kierowcy, a Romer siedząc tyłu zabrał się do jedzenia pączków.

Kiedy zatrzymali się punktualnie o szóstej przed willą Marshalla, Romer strzepnął okruszki z siedzenia i wysiadł.

- Co mu jest? - zapytał kierowca, kiedy Romer oddalił się. - Jest okropnie spięty. Co on właściwie jadł - pączki czy kwas?

Zobaczyli, że drzwi się otwierają i wychodzi Marshall, skłaniając lekko głową całej armii wietnamskich służących.

Mead i kierowca wyskoczyli z samochodu, żeby zaszalutować i otworzyć drzwi.

- Dzień dobry - powiedział Marshall, siadając na tylnym siedzeniu. Miał na sobie szare spodnie, białą koszulę z krótkimi rękawami i mokasyny. - Nie powiedział mi pan, jak mam się ubrać, pułkowniku. Jak właściwie ma się ubrać cywil, który wyrusza na wojnę? Nie mam munduru, a trzyczęściowy garnitur byłby chyba zbyt oficjalny. Koszula i spodnie?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Romer. - Powinienem być zdobyć dla pana mundur. Przepraszam. Możemy to załatwić na pierwszym postoju, sir.

- Nie chcę munduru, pułkowniku - powiedział Marshall. - Mam dość munduru od czasu drugiej wojny światowej i Korei.

- Myślę, że jest pan dobrze ubrany, sir - włączył się kierowca. - Wolałbym ubierać się jak pan niż nosić to, co mam na sobie. Czy zechce się pan zamienić, sir?

Marshall uśmiechnął się.

- Nie, dziękuję.

Czuł się zupełnie swobodnie i cieszył się wyprawą w teren. Nie oczekiwał wiele, ponieważ wiedział, że zobaczy tylko to, co Westmoreland i Abrams zechcą mu pokazać. Przynajmniej jednak oderwie się od biurka, a teraz - kiedy świtała możliwość spotkania z Wietnamczykami z Północy i osiągnięcia przełomu - nie przejmował się stratą czasu.

Samochód mknął wśród porannego ruchu. Wojskowe dzipy czekały na limuzynę przy wjeździe do bazy Tan Son Nhut i z wyciem syren poprowadziły ją do miejsca, gdzie czekał helikopter. Mijali niewyobrażalną ilość odrzutowych samolotów bojowych i patrolowych.

Marshall kiwał głową ze zdumieniem.

- Jak moglibyśmy przegrać mając takie wyposażenie?

- Nie możemy - odpowiedział Romer. - Problem jest inny - że nie możemy wygrać.

Marshall wskazał na rzędy maszyn.

- Cały ten sprzęt i nie możemy wygrać?

- To jest tylko sprzęt, sir. Sprzęt nie wygrywa wojen. - Romer postukał się w piersi. - Serce wygrywa. Byliście w Strefie Zdemilitaryzowanej, kapralu - zwrócił się do Meada. - Czy samoloty i bomby pokonają żółtków?

I co Mead miałby odpowiedzieć? Romer zresztą nie oczekiwał od niego odpowiedzi. Zaraz zwrócił się do kierowcy.

- A wy, co myślicie, Stokes?

Stokes odwrócił się od kierownicy i uśmiechnął się do Marshalla.

- Myślę, że powinien pan założyć hełm oraz kamizelkę przeciwodłamkową, sir. Marshall roześmiał się.

- ! na co potrzebna jest moja misja i poszukiwanie faktów, skoro wy znacie wszystkie odpowiedzi?

Na końcu rzędu maszyn bojowych stał samotny helikopter otoczony przez sześciu żandarmów Sił Powietrznych. Był cały czarny. Na kadłubie namalowana była amerykańska flaga, a na ogonie - godło Stanów Zjednoczonych. Sprawiał imponujące wrażenie, stojąc tak samotnie i z takim oznakowaniem.

Kiedy limuzyna zajechała, porucznik Magnuson i jeszcze jeden oficer wyskoczyli z kabiny. Wszyscy zaszalutowali.

- Dzień dobry, poruczniku - powiedział Marshall, ściskając dłoń Magnusonowi.

- Dzień dobry, sir. To jest starszy chorąży Jack Ridley, drugi pilot i strzelec, a to jest *UH-1B Huey* - dodał, wskazując na oczekujący helikopter. - Zabiera sześć osób, ale trudno mówić o jakiejś wygodzie lotu.

Marshall skinął głową z powagą.

- Nie szukam wygod. Chodzi tylko o to, żeby był odporny na ogień z ziemi i z powietrza. Jest odporny?

- Absolutnie, sir.

- Gwarantuje pan, poruczniku?

- Zwracam podwójną stawkę, sir. A teraz może panowie zechcą zająć miejsca. Zaraz ruszamy. Do Delty nie jest daleko, więc nie będziemy wyświetlać filmów ani serwować drinków.

- Gdzie jest Dolores, kiedy jest nam potrzebna? - zapytał Marshall, wsiadając do maszyny.

- To pytanie należy skierować do porucznika Magnusona - odpowiedział Romer.

- Co? - zawołał Marshall z udanym przerażeniem. - Czy chciał pan powiedzieć, że wśród personelu następuje fraternizacja? Czy to dozwolone? - zapytał Romera.

- Dolores odmeldowała się u mnie - powiedział Romer. - Wyraziłem zgodę. Nie powiedziałem jej jednak, że jest pan żonaty - dodał, zwracając się do zakłopotanego Magnusona.

- Zajrzał pan do moich akt, sir? - zapytał wojowniczo Magnuson.

- Jasne, że zajrzałem, poruczniku. Jeżeli powierzam komuś swoją dupę, chciałbym coś wiedzieć o rękach, w których się znajdują. To, czy podoba się panu nosić obrączkę czy nie, to pańska sprawa, ale chcę coś wiedzieć o człowieku, któremu powierzam swoje życie.

- Pilotom zawsze trafia się najlepsze - powiedział Marshall, zapinając pas i rozładowując napięcie, jakie zrodziło się między oficerami.

Mead usiadł naprzeciw niego, położył karabin na pokładzie i przyglądał się Marshallowi, jakby stanowił on część wyposażenia zgodnie ze specyfikacją producenta.

Romer wsiadł ostatni, marszcząc brwi z powodu wymiany zdań z Magnusonem, i usiadł koło Marshalla, żeby zapoznać go z programem podróży.

Marshall był zaskoczony stosunkiem Romera do Magnusona. Z początku pomyślał, że to zazdrość. Dolores Toland była piękną kobietą. Na pewno drażniło go to, że uznała młodego pilota za bardziej atrakcyjnego. Przypomniawszy sobie jednak opowiadanie o starym Romerze. Był głęboko wierzącym chrześcijaninem. Potrafił na polu bitwy klęknąć i modlić się. Podobno także w czasie jazdy dzikiem zdarzało mu się odbywać rozmowy z Panem Bogiem. Z opowiadań o Romerze Marshall pamiętał również, że był on purytański, a jego przekonania stanowiły tę nieprawdopodobną mieszaninę przekonań religijnych i moralnej prudencji, które często idą w parze z rzeźmiami i grabieżami.

-Jtomer nie jest zazdrosny, uznał Marshall. Razi go to, że żonaty pilot wziął sobie inną kobietę.

A ja? - zastanowił się Marshall. Jak ja to odbieram? Nie odczuwał moralnego oburzenia. Nie raziło go to. Był po prostu zazdrosny.

- Zacniemy od ogólnego przeglądu sytuacji. - Romer przekrzykiwał hałas silnika, podając jednocześnie Marshallowi powleczonej folii plastikowej mapę. -Polecimy nad Deltę Mekongu do siedziby Czwartego Korpusu, żeby zorientował się pan, jaki tam jest teren. W Can Tho stacjonują kanonierki Marynarki, a także oddziały SEAL Marynarki i Siły Specjalne Armii. Po południu zatrzymamy się w My Tho, gdzie znajduje się piechota.

Helikopter uniósł się, przechylił w lewo i skierował na południe.

Marshall spojrzął na mapę, a potem odwrócił się do okna. Budy i lepianki, które obrosły jak strup wokół Sajgonu, wkrótce zniknęły. Zastąpiła je intensywna zieleń, błękit bagien i wód. Ziemia pod nimi była jak oślepiąco hipnotyczny świetlisty obraz. Marshall miał uczucie, że patrzy na akwarelę namalowaną przez dziecko, które rozsadała energia - wielka zielona plama poprzecinana błękitnymi, węzłowatymi liniami.

Uśmiechnął się pod wpływem piękna krajobrazu. Równocześnie poczuł też wewnętrzną radość, że może jego misja zakończy się jednak sukcesem. Lacouture stworzył mu tę możliwość. Postara się przekonać Johnsona, żeby z niej skorzystał.

Po półtorej godziny lotu Magnuson odezwał się przez interkom.

- Lecimy wzdłuż wybrzeża. W Vinh Binh u ujścia rzeki skręcimy na zachód i polecimy w górę rzeki do Can Tho. To jest teren całkowicie opanowany przez Wietkong.

Mead sięgnął po swój hełm i usiadł na nim. Kiedy ani Romer, ani Marshall tego nie zrobili, odpiął pas fotela i podał im hełmy.

Romer z pogardą odtrzącił swój, Marshall zaś wziął, ale nie bardzo wiedział, co ma z nim zrobić.

- To dla osłony krocza! - krzyknął Mead do Marshalla.

Marshall skinął głową, wsunął hełm pod siebie, chwiał się na nim niebezpiecznie przez kilka sekund, a potem wyjął go i wsunął pod fotel postanawiając, że jednak zaryzykuje, chociaż znał przewrotność losu. Fakt, że przeżył dwie wojny sprawił, że stał się trochę niefrasobliwy.

Helikopter obniżył lot.

Słońce odbijało się od lazurowego morza i blask był tak silny, że Marshall musiał zasłonić oczy. Ujścia rzek i kanałów roily się od flotyli sampanów, dżonek i jednostek wojskowych uwijających się na powierzchni jak wodne żuczki. Bagna wydawały się brudne i zasolone. Dym wzbijał się z setek ognisk.

Mgiełka i dym przysłoniły błękitne niebo i nawet wewnątrz helikoptera Marshalla zaczęły piec oczy.

- Defolianty! - krzyczał Romer, sam przecierając oczy i pokazując nagie dymiące brzegi rzeki.

Setki sampanów i dżonek sunęło kanałami omijając z daleka wielkie, opancerzone jednostki, z których od czasu do czasu buchały płomienie i dym wyrztałów artyleryjskich.

- To monitory! - wołał Romer wskazując jedną z takich jednostek. - Należą do Sił Rzecznych Marynarki. Patrolują rzeki i starają się utrzymać żeglugę handlową, żeby zapewnić dostawy ryżu na targ.

Helikopter jeszcze obniżył lot, dotykając prawie powierzchni wody. Byli tak nisko, że Marshall mógł dostrzec muł i błoto, teren zupełnie niedostępny dla piechoty czy broni pancernej. Pomyślał o pijawkach, moskitach i chorobach stóp. Kiedy jednak helikopter wylądował w Can Tho, zobaczyli tylko czyste wykroch-malone mundury i zostali poczęstowani przez wyższych oficerów Armii i

Marynarki informacją na temat ostatnich operacji.

Była to, jak Marshall szybko zdał sobie sprawę, ta sama informacja, którą przedstawiono autorom raportu DWWBPB. Wojna w Delcie zbliża się do zwycięskiego końca i nikt nie ma żadnych problemów. Większa liczba ludzi i sprzętu oczywiście przyspieszyłaby zwycięstwo, które i tak jest nieuniknione. Morale jest wysokie, straty niewielkie, a ludność cywilna wdzięczna i pomocna.

Marshall przyjechał tu zobaczyć prawdziwą wojnę i umknąć przed gładkimi sformułowaniami, ale w ciągu pierwszej godziny w terenie jego obawy potwierdziły się. Ma zobaczyć dobrze wyreżyserowany i wizerunek wojny, czyli to, co dowództwo chce mu pokazać. Chociaż w pewnym stopniu tego się spodziewał, poczuł się zakłopotany i urażony, że uważa się go za tak naiwnego.

Na pytanie o Agent Orange i operacje defoliacyjne uzyskał odpowiedź, że owszem, środek ten powoduje zaczerwienienie oczu i czasami podrażnienie skóry, ale efekty te nie różnią się od skutków opylania upraw w kraju, a na pewno są mniej szkodliwe niż komunistyczna kula.

Kiedy Marshall zapytał się o dwudziestopięcioprocentowy spadek dostaw ryżu do Sajgonu, został poinformowany, że jeżeli weźmie się pod uwagę, iż w Delcie, głównej twierdzy Wietkongu, działają trzy dywizje nieprzyjaciela i jedenaście samodzielnych batalionów, to spadek o dwadzieścia pięć procent oznaczał sukces, a wskaźniki wkrótce ulegną poprawie.

Marshall nie mógł przebić się do sedna spraw. Oglądał przygotowany do walki sprzęt, żołnierzy dobrze odżywionych i właściwie umotywowanych, w czystych i suchych mundurach. Odwiedzał różne jednostki - oddziały specjalne Marynarki

SEAL, Siły Specjalne Armii, oddziały rzeczne, zjadł lunch w klubie oficerskim, zobaczył pokaz siły ognia i obejrzał broń zdobytą na nieprzyjaciela oraz stosowane przez nieprzyjaciela różnego rodzaju miny i pułapki. Cały czas powtarzano mu przy tym, że wojna zbliża się do zwycięskiego końca, ale mogłaby rozstrzygnąć się prędzej, gdyby przysłano więcej wojska.

Delta jest zbyt ważna, żeby ją oddać komunistom. Był to jeden z najbardziej wydajnych regionów upraw ryżu na świecie, mieszkała tutaj jedna trzecia piętna-stomilionowego narodu.

Po kilku godzinach tego wyreżyserowanego spektaklu Marshall poczuł się pokonany.

- Anuluję następne spotkanie. Polecimy gdzie indziej. Mam dosyć tych pokazów. Jeżeli będą z góry wiedzieli, dokąd polecę, zaaranżują następne przedstawienie. Jeżeli mam coś zobaczyć, musimy działać z zaskoczenia.

- Ależ, sir - zaproponował Magnuson. - Cały ruch powietrzny musi być skoordynowany z jednostkami kierującymi ogniem. Nie mogę po prostu wybrać sobie miejsca i tam polecieć. Muszę dostać zezwolenie. W innym przypadku możemy trafić do rejonu, gdzie prowadzony jest atak lotniczy albo ostrzał artyleryjski.

Romer pokręcił głową.

- Porucznik Magnuson ma rację, sir - przyznał Romer. - W ten sposób możemy wdepnąć w prawdziwe gówno. Poza tym mogą być tam prowadzone jakieś operacje naziemne - patrole albo zasadzki, które zostaną ujawnione przez niespodziewane pojawienie się helikoptera.

- Rozumiem trudności, ale spróbujmy je pokonać - powiedział Marshall. - Nie mam zamiaru odbywać zaprogramowanych wizyt. Chcę zobaczyć prawdziwe rzeczy niezależnie od tego, w jak wielkie gówno mogę wdepnąć.

Magnuson uśmiechnął się.

- Cóż, sir. Jest takie powiedzenie, za przeproszeniem, że zasady ustala największy sukinsyn. Ponieważ jest pan wyższym stopniem niż ktokolwiek inny w tym kraju, uważam, że skoro zechce pan polecieć do Żółtkowa Wschodniego, to musimy się tam wybrać, a ja złapię się za radio i powiem im, że lecimy i żeby uważali, do czego strzelają.

Marshall skinął głową.

- Właśnie coś takiego chciałem usłyszeć. Romer spojrzał ostro na Magnusona.

- Czy to bezpiecznie wyruszać bez planu lotu? To mnie niepokoi, poruczniku. Czy osobisty przedstawiciel prezydenta może tak sobie latać nad terytorium nieprzyjaciela?

Magnuson wzruszył ramionami.

- Nie mam wpływu na to, co zrobi nieprzyjaciel, panie pułkowniku. Nie wiem, czy użyje pocisków przeciwlotniczych, czy też jakiś otumaniony narkotykami głupek wypali przypadkowo w niebo. Mogę spaść i tak, i tak. To kwestia szczęścia. Jestem jednak pewien, że używając sygnału wywoławczego ambasadora mogę natychmiast uzyskać zezwolenie na lot tam, dokąd zechcemy.

Romer zwrócił się do Marshalla.

- Pan pełni niezmiernie delikatną misję, sir. Naprawdę nie podoba mi się pomysł, żeby pańskie miejsce pobytu nie było znane. Ktoś zawsze powinien wiedzieć, gdzie pan się znajduje.

Marshall zastanawiał się przez chwilę.

- Zaryzykuję - oświadczył. - Mię chcę więcej z góry zaaranżowanych i zaplanowanych postojów. Już w powietrzu zadecydujemy, dokąd polecimy.

- Sir - odezwał się Mead z wahaniem. - Jeżeli mamy latać nad niebezpiecznymi terenami, myślę, że powinien pan założyć kamizelkę przeciwodłamkową i siedzieć na hełmie. Dla własnego bezpieczeństwa, sir.

Marshall skinął głową.

- Założę kamizelkę przeciwodłamkową, ale siedzenie na hełmie to jak wysiadanie jaja dinozaura. Zaryzykuję postrzał w tyłek czy gdzie tam jeszcze. W porządku, pułkowniku. Niech pan wybierze miejsce - powiedział, zwracając się do Romera.

Romer spojrział na Magnusona.

- Tu jest mnóstwo działań prowadzonych przez niewielkie jednostki, szczególnie w pobliżu granicy z Kambodżą. Leć w górę rzeki, dopóki nie zobaczysz jakiegoś małego oddziału. Wtedy siadaj koło nich.

Magnuson skinął głową.

- Ja się zgadzam, panie pułkowniku, ale czy ambasador zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa? - zwrócił się z szacunkiem do Marshalla. - Wciąż oferuję podwójną stawkę, sir, ale tym razem sprawa jest bardziej ryzykowna, a jeżeli mamy lecieć w stronę Kambodży... to teren kontrolowany przez Wietkong i może się zrobić gorąco. Może rzeczywiście zechce pan usiąść na hełmie, jak radzi kapral Mead - dodał z uśmiechem.

Wsiedli do maszyny i chwilę później wystartowali. Kiedy tylko unieśli się w powietrze, Magnuson zameldował przez radio, że ich miejsce przeznaczenia uległo zmianie i zamiast lecieć zgodnie z planem do My Tho, kierują się w górę rzeki.

W ciągu kilku minut eter wypełnił się żadaniami, żeby zastosowali się do pierwotnego planu lotu, a każde kolejne polecenie pochodziło z coraz wyższego szczebla dowodzenia. Na każde takie polecenie Magnuson odpowiadał, że „Wicekról”, co było sygnałem wywoławczym Marshalla, kontynuuje lot. - Odmowa - odpowiadał Magnuson na każdy taki rozkaz.

Magnuson i Ridley uśmiechali się do siebie po każdej takiej odmowie, ale Ridley skrzywił się, kiedy wywołała ich MACY - kwatera Westmorelanda.

- Co się, u diabła, dzieje, Wicekról?

Magnuson uprzejmie wyjaśnił, że Wicekról osobiście zrezygnował z postoju w My Tho i sam ustala kierunek lotu. Stwierdził, że poinformował Wicekróla o niebezpieczeństwie związanym ze zmianą procedury, ale Wicekról był zdecydowany.

- Proszę o instrukcje - powiedział Magnuson do kontrolera lotów z MACY.

- Skontaktujemy się z wami - padła odpowiedź.

- Nic nam nie zrobią - powiedział Magnuson do Ridleya. - Już wcześniej mieli spięcia z Marshalllem.

Kilka minut później MACY znowu się odezwała.

- Kontynuujcie zgodnie z życzeniem, ale podawajcie waszą pozycję. Skontaktujcie się z nami po powrocie.

Magnuson zaczął stosować uniki. Zmieniał wysokość, kierunek lotu i szybkość, kluczył po terenie.

Z tyłu w kabinie Marshall poczuł nagle podniecenie. Było to jakieś pierwotne uczucie, którego nie zaznał od czasu Korei i mimo wysiłków, żeby je poskromić, wciąż panowało nad nim z potężną siłą.

Delta była teraz na przemian bardziej zalesiona i bardziej ogołocona z roślinności. Kępy gęstej dżungli pooddzielane były od siebie zdewastowanymi pasami poznaczonymi lejami po bombach.

Helikopter mknął nisko nad rzeczkami i strumieniami, tak nisko, że mogli rozróżnić wyraz twarzy ludzi w dżonkach i sampanach. Natomiast nad licznymi wioskami rozrzuconymi na brzegach rzeki przelatywali na większej wysokości.

Dostrzegli wreszcie oddział wojska przebijający się przez bagna w rejonie, gdzie jak się Magnusonowi zdawało, może bezpiecznie wylądować.

Ludzie na ziemi ze zdziwieniem patrzyli na maszynę, wykonała nad nimi kilka okrążeń i powoli

zaczęła schodzić do lądowania.

Magnuson przede wszystkim niepokoił się, czy grunt okaże się wystarczająco twardy, żeby maszyna nie zapadła się, i żeby mógł potem wystartować. Zawiesił przez chwilę maszynę nieruchomo, a kiedy wreszcie dotknęli ziemi i kiedy płozy tylko trochę zagłębiły się w bagnie, odetchnął z ulgą.

Przez błoto brnęło ku nim kilku żołnierzy. Inni rozsypali się dookoła, tworząc pierścień obronny.

- Wszystko w porządku, chłopaki? - zawołał jeden z żołnierzy, przekrzykując hałas gasnącego silnika.

- Co to za oznakowanie? - krzyknął drugi wskazując na godło Stanów Zjednoczonych.

Kiedy Magnuson i inni wyskoczyli z maszyny, żołnierze już zupełnie przestali rozumieć, co się dzieje. Piloci i kapral z piechoty morskiej, pułkownik z Armii i cywil.

- Zgubiliście się, chłopaki? - zapytał dowódca patrolu. Marshall wystąpił do przodu. Buty zagłębiały mu się w błocie.

- Jestem ambasador Marshall - powiedział, witając się z żołnierzami. - Odwiedzam jednostki w terenie, żeby dobrze poznać, co się dzieje.

- A co z salutowaniem, żołnierzu? - odezwał się ostro Romer. - Dlaczego nie nosicie kamizelek przeciwodłamkowych i hełmów? Wyglądacie, jakbyście poszli na spacer, a nie na patrol.

- To wizyta nieformalna, pułkowniku - przerwał mu Marshall, a potem, zwracając się do żołnierzy, którzy zeszytnieli z niechęci do Romera, ciągnął dalej: -Chciałbym z wami pogadać. Czy możecie zawołać pozostałych?

- Tak jest - powiedział dowódca patrolu. - Ale ktoś powinien nas ubezpieczać. Helikopter na ziemi wywołuje duże zainteresowanie.

- Dajcie mi swój karabin - powiedział Magnuson. - Ja pójdę. Romer wziął inny karabin i obejrzał go uważnie.

- Czy jesteście pewni, że coś tak brudnego wystrzeli? - powiedział pogardliwie, ale w końcu wziął karabin i oddalił się.

Dowódca patrolu, młody sierżant piechoty, spojrzał na Meada, wznosił oczy do nieba i przywołał pozostałych.

Marshall zebrał ich wokół siebie i poprosił, żeby się odprężyli i zapalili.

- Chciałbym zadać wam kilka pytań. Tu nie ma dobrych ani złych odpowiedzi. Staram się tylko zebrać informacje.

Było ich dwunastu. Wszyscy bardzo młodzi. Chyba niewiele starsi od Ryana, pomyślał. Wyglądali na zmęczonych, a nawet wyczerpanych od nadmiernego wysiłku.

- Właśnie byłem w Can Tho - powiedział.

- Wiemy. To dlatego nas tam nie było - powiedział z uśmiechem wysoki Murzyn w podartym zielonym podkoszulku.

- Nie rozumiem - powiedział Marshall.

- Mielіśmy wrócić do Can Tho wczoraj - wyjaśnił dowódca patrolu. - Kazali nam jednak zostać. Pewnie nie chcieli nas pokazywać.

- Rzeczywiście. W Can Tho nie widziałem nikogo w zabłoconych butach -uśmiechnął się Marshall. - Można by przypuszczać, że tam w ogóle nie ma wojny.

- Ale tutaj jest - odezwał się inny żołnierz, potwierdzając tylko to, co było oczywiste.

Rozmawiali prawie przez godzinę. Marshall dowiedział się, że służą w 9. pułku piechoty. Patrolowali i oczyszczali teren starając się powstrzymać napór Wietkongu, co było zadaniem beznadziejnym ze względu na rodzaj terenu, na którym znajdowało się ponad pięć tysięcy kilometrów dróg wodnych, oraz ze względu na umiejętności i determinację nieprzyjaciela, a także ze względu na to, że ludność cywilna albo sympatyzowała z nieprzyjacielem, albo bała się mu przeciwstawić.

- Jezu - powiedział Romer, kiedy znowu wsiedli do helikoptera. - Co za banda obszarpańców. Niech pan nie myśli, że tak wygląda Armia, panie ambasadorze.

- Jestem pod wielkim wrażeniem. Dałbym im wysokie oceny - powiedział Marshall. - Świetnie znają swoją robotę i wyglądają na kompetentnych. Byli po prostu zmęczeni.

Podzielał pesymizm żołnierzy. Nie było sposobu na zwycięstwo, chyba że nastąpi potężna eskalacja działań. Wsiadając do helikoptera postanowił, że musi spotkać się z Wietnamczykami z Północy.

Helikopter wznosił się bez kłopotów i Magnuson skierował maszynę na północ, starając się trzymać w bezpiecznej odległości od granicy kambodżańskiej. Ponieważ jedyną rzeczą jakiej pragnął

ambasador była rozmowa z żołnierzami, Magnuson poszukiwał jakiejś obozującej jednostki, gdzie mogliby się napić kawy i coś zjeść.

Lecąc nad dżunglą i nad odnogami rzeki, Magnuson wypatrywał wioskę, w której było wielu żołnierzy i kilka pojazdów opancerzonych.

Kiedy helikopter osiadł na ziemi, nikt się do niego nie zbliżył, a kilku żołnierzy przyglądało się im obojętnym wzrokiem.

Mead wyskoczył szybko z maszyny.

- Niech pan zostanie w maszynie, sir! - zawołał, przekrzykując huk wirujących łopat. - Chciałbym to najpierw sprawdzić.

Magnuson wysiadł, żeby pójść za Meadem, a za nim wysiadł Romer.

- Niech pan lepiej zostanie tutaj - powiedział Mead do Magnusona.

- Dlaczego?

Mead wskazał na belki porucznika na jego ramionach.

- Proszę mi zaufać, panie poruczniku, i na litość boską niech pułkownik też się nie zbliża.

Mead podszedł wolnym krokiem do żołnierzy siedzących w transporterze opancerzonym. Zupełnie zmienił się jego sposób zachowania. Przedtem był spięty, teraz szedł rozluźniony i swobodny.

Kiedy Mead rozmawiał z żołnierzami, Magnuson ledwie mógł powstrzymać Romera. Wreszcie Marshall też wysiadł z maszyny i podszedł do nich.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Nie jestem pewien - powiedział Magnuson - ale Mead powiedział, żebyśmy tu poczekali.

- Zazwyczaj nie stosuję się do rozkazów wydawanych przez kaprali - zauważył Romer.

Wreszcie Mead wrócił.

- Lepiej darujmy sobie tę wizytę, sir.

- Co się dzieje, kapralu?

- To się nazywa wioska bum bum.

- O w mordę - powiedział Magnuson, powstrzymując śmiech.

- To jest miejsce, sir... gdzie...

- Panie ambasadorze, to jest miejsce, do którego żołnierze przyjeżdżają, żeby się rozerwać - włączył się Magnuson, żeby oszczędzić Meadowi zakłopotania. - Można znaleźć je w całym kraju w pobliżu większych baz. W miastach takich jak Sajgon czy Da Nang są całe takie dzielnice, ale w terenie to są tylko małe wioski, które zaspokajają...

- Rozumiem - powiedział Marshall. - Nie obrazi pan moich uczuć. Żołnierze przyjeżdżają tu, żeby sobie popieprzyć. Po co tyle ostrożności?

- Nie tylko, żeby sobie popieprzyć - odezwał się Mead ściszym głosem. - Tu są także narkotyki, sir. Oficerowie nie powinni tu się pokazywać. Chłopaki mogą pomyśleć, że będą mieli kłopoty. Mogą stać się gwałtowni.

- Jakie narkotyki? - zapytał Marshall.

- Wszystkie, sir. Haszysz, heroina, opium, kokaina.

Marshall spojrzał na żołnierzy, którzy wciąż im się przyglądali.

- Czy w Wietnamie jest dużo narkotyków, kapralu?

- Dużo, sir. Chłopaki po narkotykach mogą być niebezpieczni, sir. Zobacz pan tu tylko ludzi wyniszczonych narkotykami. Nie można z nimi rozmawiać, bo gadają bez sensu, a kiedy są nabuzowani, to sytuacja łatwo może się wymknąć spod kontroli. To nie jest rozmowa z ludźmi, którzy wiedzą, co jest grane. Ktoś może nie zrozumieć, co pan mówi, albo po prostu nagle dostać szału. Opuściłbym sobie to miejsce, sir.

- O tym nie było w raporcie DWWPBP, panie pułkowniku. Dlaczego nie wspomniano o wioskach bum bum?

- Jeżeli jest tak, jak mówicie, kapralu, powinni zostać aresztowani i postawieni przed sądem. Sam bym to chętnie zrobił.

- Nie zmieszczą się do helikoptera - zauważył oschle Magnuson.

- Powiniśmy polecieć prosto do My Tho i powiadomić dowódcę o tym, co tu się dzieje - powiedział Romer.

- Przeniosą się do innej wioski - stwierdził Mead.

Marshall zastanawiał się przez chwilę, a potem pokręcił głową. Wszystko, co widział,

potwierdzało bezsens tej wojny. Było tak, jak powiedział Lacouture -beznadziejnie. Odwrócił się i ruszył w stronę helikoptera.

Romer był wściekły.

- Jak dotąd, poruczniku, pokazał nam pan jakichś drapichrustów i narkomanów. Co będzie następne? Masakra cywilów?

- Pułkownik - odezwał się pojednawczo Marshall. - Widziałem oddziały specjalne Marynarki i Armii. Widziałem oddziały rzeczne wykonujące świętą robotę i broniące Deltę przed Wietkongiem. Widziałem wysoce kompetentnych młodych ludzi wykonujących bardzo trudne zadania. Widziałem wspaniałe rzeczy.

Wsiadając do helikoptera, nie mógł się jednak powstrzymać.

- Teraz niech nas pan zawiezie gdzieś, gdzie można zobaczyć masakrę, poruczniku - zawołał do Magnusona.

Późnym popołudniem wylądowali w wiosce, gdzie działała jednostka medyczna. Sanitariusze sprawdzali zęby i udzielali pierwszej pomocy, oczyszczali zainfekowane miejsca i rany, nastawiali złamane kości, robili dzieciom szczepienia. Żołnierze rozdawali żywność, rzucali dzieciom tabliczki czekolady, grali z nimi w piłkę.

Inna jednostka piechoty patrolowała ujście rzeki Rach Ba Rai nieopodal wzgórza zwanego No Snoop/ego. Był to rejon intensywnych działań Wietkongu. Żołnierze pokazali Marshallowi ukrytą broń i miny nad brzegiem rzeki wśród bagien, zademonstrowali metody poszukiwania tuneli, które nieprzyjaciel wykopał wśród błot.

- Żółtki kochają Deltę - powiedzieli mu. - Kręcą się tam jak szczury piżmowe. My gonimy ich jednym tunelem, a oni wyskakują z niego w stu różnych miejscach. Po prostu znikają w trzcinach.

Kiedy Marshall zapytał, czy uważają, że Południowi Wietnamczycy potrafiliby utrzymać Deltę, odpowiedzi były jednoznacznie negatywne.

- Czy pomogłoby, gdyby przybyło więcej oddziałów amerykańskich? - zapytał. Żołnierz wskazał gestem na rozległe bagna i na tunel.

- Można by poustawiać nas tutaj tyłu, że jeden będzie się potykać o drugiego, ale żółtki wciąż będą chować się w bagnie i będą się pojawiać, kiedy tylko będą mieli ochotę.

Zaczynało się zmierzchać.

- Lepiej wracać do bazy, sir - powiedział dowódca oddziału.

- Czy noc należy do nieprzyjaciela? - dopytywał się Marshall.

- Nie należy, ale oni są jak wampiry. Pojawiają się tylko nocą. Ciemność wyrównuje szansę. Te wszystkie samoloty, czołgi i łodzie niewiele znaczą po ciemku. Wtedy liczymy się tylko my i oni. Możemy ich pokonać i w nocy. Wyżsi oficerowie lubią ten cały sprzęt, ale stają się wystraszeni, kiedy stosunek jest jeden do jednego. W ciągu dnia oglądamy różnych generałów i pułkowników, ale nigdy w nocy, no i nigdy w terenie, jak tu.

- A szczególnie ambasadorów - wtrącił się Magnuson. - On ma rację, sir. Powinniśmy już lecieć.

Kiedy Magnuson zapędził wszystkich na pokład, spojrzął na zegarek i podświadomie zwiększył obroty silnika. Od Sajgonu dzieliła ich godzina lotu. Trzeba doliczyć jeszcze godzinę na sprawdzenie maszyny i wypełnienie dziennika lotów. Nie zdąży spotkać się z Dolores o umówionej porze.

Myśl o niej i o ubiegłej nocy spowodowała, że dostał erekcji i poderwał maszynę z ziemi tak gwałtownie, że aż Ridley spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Mam randkę - powiedział Magnuson, uśmiechając się przepraszająco.

Byli w powietrzu zaledwie dwadzieścia minut, kiedy Magnuson zauważył spadek mocy.

- Co, do cholery! - krzyknął do tablicy przyrządów migającej czerwonymi światłkami przed jego twarzą. Systemy wysiadały jeden po drugim.

Ridley patrzył z niedowierzaniem, jak wskaźniki ciśnienia spadają do zera.

- Rany boskie - powiedział cicho.

Magnuson pośpiesznie zastosował procedurę awaryjną, by przywrócić moc, ale bezskutecznie.

- Ty zajebańcu! - zaczął wrzeszczeć na maszynę, - Ty suko! Uderzył pięścią w tablicę przyrządów. Potem odwrócił się do Ridleya.

- Spadamy - powiedział z niedowierzaniem.

Helikopter zwalniał. Lecieli na wysokości ponad trzystu metrów. Silnik zaczął strzelać, a potem ucichł. Magnuson pokręcił głową.

- No to wieczór mam zupełnie spieprzony - powiedział.

Mead siedział w głębi kabiny sztywny i spokojny. Wyczuł, że maszyna traci moc, szarpie i trzęsie, i niepewnie zaczyna opadać. Wiedział, że spadają. Widział wypalone wraki helikopterów, które rozbiły się lub zostały zestrzelone, i słyszał, że od takiego wstrząsu ciałom odpadały ręce i nogi, a czaszki pękały.

Chyba jeszcze nigdy nie był tak blisko śmierci. To uczucie było tak dziwne, że analizował je dokładnie w myślach. Zdał sobie jednak sprawę, że nie jest w stanie o tym myśleć. Myślał o Sung i tylko ją miał przed oczami.

Siedzący naprzeciw niego Marshall zmarszczył brwi z niepokojem, a potem jak helikopter zaczął trząść i szarpać, i gdy awaria stała się oczywista, Mead zauważył, że twarz Marshalla uspokoiła się. Wydawał się absolutnie opanowany. W jego rysach nie było widać ani podniecenia, ani strachu. Nawet ręce spoczywały spokojnie na kolanach.

Marshall odwrócił się i wyjrzał przez okno. Wokół była czarna pustka. Taki sam mrok otaczał go, kiedy płynął łodzią na Guadalcanal i na poprzecinanych cieniami śniegach Chosin. Tym razem jednak się nie bał. Czuł spokój i zadowolenie ze swego życia, i nie rozpaczał. Zrobiło mu się trochę żal nie siebie, ale tego, czego nie zdążył załatwić, ponieważ już nie będzie w stanie wpłynąć na podjęcie decyzji o zakończeniu wojny.

Odwrócił się i napotkał wzrok Meada. Uśmiechnął się uspokajająco do chłopaka.

Uśmiech był tak ciepły, że Mead, pomimo iż czuł ściskanie w żołądku, również się uśmiechnął.

Zacząli spadać jak kamień.

XXIX

Brock skulił się przy wejściu do jaskini, nasłuchując chwilę, zanim skinął na pozostałych, żeby ruszyli w szarość późnego popołudnia. Deszcz nie ustawał. Byli już daleko w głębi Strefy Zdemilitaryzowanej. Ten teren od dawna należał do nieprzyjaciela.

Idący na czele Frizzell poprowadził ich przez szeroki pas zarośli w kierunku gęstego lasu, na którego skraju zaczął ostrożnie, wiedząc, że duża koncentracja nieprzyjaciela będzie z pewnością otoczona czujkami. Znalezienie ich po ciemku wydawało się praktycznie niemożliwe. Najbardziej prawdopodobne było, że natkną się na wartownika.

Miał właśnie ruszyć dalej, kiedy w krzakach rozległ się szelest. Usłyszał zbliżające się kroki, które jednak zmieniły kierunek i oddaliły się.

Odczekał chwilę i zaczął podchodzić do patrolu nieprzyjaciela.

Nagle w ciemności rozległo się nawoływanie i ludzie, za którymi szedł, odpowiedzieli. Spomiędzy drzew pojawił się kolejny patrol i oba oddziały oddaliły się razem.

Brock natychmiast połączył się przez radio ze wzgórzem. Ledwie mógł dostyszeć głos Bishopa, przebijający się przez intensywną statykę.

- Zauważyliśmy dwa kolejne patrole. Idą w waszym kierunku. Łącznie około dwudziestu ludzi. To razem sześćdziesięciu.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

- Zrozumiałem. Co jeszcze?

- Dotrzemy do pierwszej pozycji mniej więcej za dwie godziny. Koniec. Sutherland przejął teraz prowadzenie patrolu i posuwali się zygzakami dalej.

Dotarli do pierwszej wyznaczonej współrzędnymi pozycji około północy. Przeszukali teren o powierzchni ponad dwóch kilometrów kwadratowych, ale niczego nie znaleźli.

Brock zebrał wszystkich razem.

- Czy to na pewno tutaj?

Sutherland leżał wyczerpany pod drzewem.

- To tutaj. Wiem co robię. Brock rzucił mapę na ziemię.

- Cholera! Odpocznijmy przez piętnaście minut i zatoczmy większe koło. To musi być gdzieś tutaj. Nie mam ochoty wlec się jeszcze jeden pieprzony dzień do tego drugiego miejsca.

Jednakże kolejne poszukiwania też nic nie ujawniły. Ruszyli więc dalej.

Potykali się już ze zmęczenia, kiedy pojawiła się pierwsza szarość świtu. Brock znalazł resztki starego nieprzyjacielskiego obozu może jeszcze z czasów wojny z Francuzami. Wskoczył do walącego się bunkra, sprawdzając skrzypiące sklepienie. Gestem wezwał pozostałych.

Landis wskoczył do środka i trafił w kałużę.

- Cholera! Jest zalany wodą.

Frizzell zajrzał do środka z powątpiewaniem.

- Tu pewnie są węże.

Landis rzucił się do wyjścia, ale Brock złapał go za kołnierz.

- Nie ma żadnych węży.

Z kolei Sutherland zajrzał do bunkra.

- Fantastycznie, Brock. Gdybyśmy tylko mieli sprzęt do nurkowania...

- Zamknij się, Sutherland. - Brock rzucił plecak na ziemię i usiadł na nim. - Od wody nie umrzecie. Ładujcie tu swoje dupy.

Wchodzili do środka z obrzydzeniem i ostrożnie stąpali po wodzie.

- Obejmij pierwszą wartę - powiedział Brock do Landisa. Sutherland podszedł do wyjścia.

- Ja wezmę wartę. Nie potrafię spać w takiej pieprzonej studni, a zapomniałem zabrać swojej

deski surfingowej.

Brock wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Sutherland usiadł przy wejściu i słuchał, jak inni powoli zapadają w sen. Nogi miał w wodzie i z obrzydzeniem rzucał małymi kamyczkami do kałuży. Oparł głowę o ścianę i patrzył w szarość wieczoru. Tylko wilgoć i chłód uniemożliwiały mu zaśnięcie. Całe ciało bolało go ze zmęczenia. Skulił się, żeby się rozgrzać, i zaczął chuchać na ręce.

Głupie sukinsyny, pomyślał patrząc na innych. Głupie sukinsyny.

Nagle bunkier zatrząsł się od niewiarygodnie silnej eksplozji. Podmuch rzucił go na ścianę. Dalsze eksplozje spowodowały zapadnięcie się tylnej części bunkra. Belki sklepienia skrzybiały. Ziemia i kamienie sypały się ze stropu.

Żołnierze obudzili się przerażeni. Zakrywali głowy i leżeli płasko w wodzie. Nastąpiła kolejna seria ogłuszających wybuchów i bunkier rozsypał się.

Jedna z belek spadła na Landisa, przygniatając mu nogę.

Wrzasnął, a inni rzucili się usuwać rękami gruz i siłowali się z belką, aż go wyswobodzili. Podciągnęli go do wyjścia i tam przycupnęli, patrząc na wybuchy dookoła.

W powietrzu latały kamienie i gałęzie.

W górze samoloty przygotowywały się do kolejnego ataku. Rzucili się na ziemię, kiedy seria bomb znowu przeorała polanę. Do bunkra posypały się wielkie odłamki metalu.

- To nasze! - zawołał Frizzell, kiedy maszyny zaczęły ostrzeliwać drzewa, zasypując opustoszałą dżunglę deszczem pocisków, a potem wzbijając się i nurkując znowu. Żołnierze tulili się do ziemi i błota, podczas gdy samoloty przeprowadziły dwa kolejne ataki.

Hałas był ogłuszający.

Trzęśli się jeszcze długo po tym, jak samoloty odleciały. Coney zgiął się w pół i Sutherland przytrzymał jego głowę między kolanami. Frizzell nie mógł opanować dygotu.

Brock podczołgał się do Landisa i obmacał mu nogę, sprawdzając, czy nie jest złamana.

- Możesz chodzić?

Landis próbował wstać, ale krzyknął tylko, przewracając się na Brocka.

- W porządku. Spokojnie.

Brock usiadł na ziemi i z niepokojem oglądał trzeszczące sklepienie. Frizzell patrzył ze zdumieniem na tłącą się polanę.

- Mogli nas załatwić. Co by się stało, gdybyśmy zostali zabici przez własne samoloty?

Sutherland splunął.

- Co to za różnica? Zabity to zabity. Kogo będzie obchodzić, kto nas zabił?

- Zwariowane sukinsyny.

- Nie są tacy zwariowani. Nie siedzą w wodzie aż po dupę, prawda? Mają sucho i dostają gorące posiłki. Wrócą sobie teraz do klubu oficerskiego i będą mieli...

- Zamknij się, Sutherland - rozkazał Brock.

- Pieprzę ich - powiedział Sutherland. - Nienawidzę pilotów. Latają trzy kilometry w górze i zrzucają bomby na ludzi. Nawet żółtki nie zasługują na coś takiego, a kiedy któryś z nich zostanie zestrzelony i dostanie się do niewoli, wszyscy mamy go żałować. Pieprzę ich.

Coney pokręcił głową ze zdumieniem.

- Jezu, to było moje najgorsze przejście w życiu.

Brock ułożył się wygodniej i patrzył na pozostałych. Byli odrętwiali, zmęczeni i przerażeni. Starali się znaleźć jak najwygodniejsze miejsca w zrujnowanym bunkrze. Wiedział, że muszą się przespać, bo inaczej zaczną popełniać głupie, fatalne błędy.

Zanim jednak ktokolwiek zdążył zasnąć, Frizzell wypatrzył kolejny nieprzyjacielski patrol. Wszyscy kulili się u wejścia, dopóki oddział ich nie minął. Dopiero kiedy Brock ruszył się, żeby zawiadomić wzgórze, zorientowali się, że nie ma radia. Grzebali w gruzach przez dwadzieścia minut, zanim je znaleźli, ale mikrofon był strzaskany.

- No... To koniec - powiedział Sutherland z ulgą. - Nie możemy iść dalej bez radia. Musimy wracać

- Jesteśmy zaledwie o godzinę drogi od następnego punktu - zaprotestował Brock. - Słyszałeś, co mówił porucznik? Poza tym Landis nigdzie nie może iść.

Ukląkł obok Landisa.

- Możesz wstać?

Landis podniósł się z trudem, krzywiąc się i starając się nie krzyknąć.

- Będzie w porządku - powiedział - ale chyba nie wytrzymam tempa.

- Wszyscy niech się zamkną - rozkazał Brock. - Muszę to przemyśleć. Sutherland wznosił oczy do nieba.

- Moglibyśmy od razu się tutaj powystrelać i skończyć z tym.

- Nie kuś mnie, Sutherland - powiedział Brock. - Zjedz coś i oczyść broń. I wszyscy macie zamknąć gęby.

Brock przyglądał się jedzącym. Żaden z nich nie spał dłużej niż parę godzin w ciągu ostatnich dwóch dni. Wyczerpanie malowało się wyraźnie w ich oczach i objawiało się w niespokojnych ruchach.

- Posłuchajcie, co zrobimy - powiedział wreszcie. Sutherland podniósł karabin i wycelował go we własną głowę.

- Landis, możesz zrobić dwie rzeczy. Możesz poczekać tutaj, dopóki nie wrócimy, albo możesz wracać sam w stronę wzgórza, a my cię dogonimy. Reszta idzie do drugiego wyznaczonego punktu.

- To jest nawet gorsze, niż myślałem - stwierdził Sutherland. - Czy istnieje jakaś specjalna szkoła strategii, gdzie wysyłają takich starych dożywotniaków jak ty? Wspaniały pomysł. Rozdzielić ludzi, zostawić rannych i działać bez łączności radiowej. A co z bronią? Czy mamy ją też tu zostawić? A co z mundurami? Może sobie porobimy stroje klaunów?

Brock nie zareagował.

- Co chciałbyś zrobić? Poczekaasz na nas czy ruszysz z powrotem? Landis pokręcił głową.

- Nie wiem - powiedział cicho. - Jeżeli ruszę z powrotem, zyskałbym może parę godzin i nie opóźniłbym waszego marszu, ale...

- Będzie sam. Trudno mu będzie chronić się i może zablądzić - wtrącił się Sutherland.

- Tak - powiedział Landis. - Chciałem powiedzieć, że tam jest pełno żółtków i...

- Dobrze - zgodził się Brock. - Zostań tutaj. Zabierzemy cię w drodze powrotnej.

- A co się stanie, jeżeli my zablądzimy? - zapytał Sutherland. - Co będzie, jeżeli wpadniemy w zasadzkę? Co on ma wtedy zrobić?

- Nigdy nie mówiłem, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania - odparł Brock.

- Nie znasz żadnych odpowiedzi, ty tępa stara pierdoło - szydził Sutherland.

- Posłuchajcie - powiedział Brock. - Sprawdzimy tylko ten drugi rejon. Tylko tyle. Jesteśmy już tak blisko i możemy to zrobić. - Podał Frizzellowi mapę i wskazał ich drugi punkt docelowy. - Zaprowadź nas tam. Słuchaj, Landis, powinniśmy być z powrotem za około trzy albo cztery godziny. Trzymaj się.

- Słowa pociechy od starego sierżanta.

- Zamknij się, Sutherland.

Siedzieli w milczeniu w bunkrze aż do zmroku. Wtedy wyszli na deszcz i ruszyli na wschód. Frizzell szedł przodem. Sutherland chwiał się pod ciężarem karabinu maszynowego.

Po godzinie przeszli przez rozległą polanę i zagłębili się w gąszcz po drugiej stronie. Kolejne poszukiwania też nic nie dały.

Brock zebrał ich razem pod drzewem, otarł deszcz i pot z twarzy.

- Podejmiemy ostatnią próbę. Każdy pójdzie w inną stronę. Wyznamy azymut i będziemy szli w tym kierunku przez trzydzieści minut. Jeżeli nic nie znajdziecie, każdy wraca tutaj. Potem się wycofujemy.

Sutherland poderwał się gniewnie.

- Daj spokój. Nic nie znajdziemy. Może tu nic nie ma, a jeżeli się rozdzielimy, nigdy się znowu nie spotkamy.

Brock zwrócił się do Coneya.

- Co o tym myślisz?

Coney pokręcił głową ze znużeniem.

- Nie wiem. Jestem tak cholernie zmęczony, że nie mogę normalnie myśleć. Scott chyba ma rację.

- Frizzell?

Frizzell leżał na ziemi, oddychając ciężko. Był zbyt zmęczony, żeby otworzyć oczy.

- Nie wydaje mi się słuszne, żeby tak rezygnować, ale... Obiecujesz, że to ostatnia próba?

- Jeszcze tylko trzydzieści minut.
- I trzydzieści minut z powrotem - dorzucił Sutherland. - Oczywiście, jeżeli znajdziemy drogę powrotną. Potem jeszcze dwie godziny z powrotem do Landisa, a potem jeszcze osiem godzin wędrówki do naszego wzgórza.

- Więc cóż znaczy dodatkowe trzydzieści minut? - zapytał Brock.

- Dobrze... Dobrze - powiedział Frizzell. - Ale tylko tyle. Nie więcej.

- Coney?

- Zgoda - powiedział z westchnieniem.

- Ciebie nawet nie pytam, Sutherland. Rozkazuję. Podnieś dupę i znikaj - powiedział Brock, wskazując kierunek.

Sutherland patrzył na niego i nie ruszył się.

- Jeżeli nie masz rozumu w tej pieprzonej głowie, to idź. Ja zostaję tutaj. Wpatrywali się w siebie. Oczy Brocka zwięzły się tak bardzo, że Sutherland

myślał, że w ogóle je zamknął. Zobaczył jednak, że Brock sprężył się nagle, aż całe jego ciało zadrżało. Instynktownie wstał.

Głos Brocka był lodowaty, a Sutherland odwrócił wzrok.

- Więcej ani słowa. Idź.

Sutherland poszedł. Brock wskazał kierunek Coneyowi i Frizzellowi i patrzył za nimi, jak odchodzą. W końcu wyznaczył azymut dla siebie i ruszył między drzewa.

Coney szedł prosto na północ. Zatrzymał się co kilka minut, sprawdzając kierunek. Z początku bał się, ale stopniowo przyzwyczaiał się do działania w samotności. Odgłosy nocy stały się znajome i zdał sobie sprawę, że idąc w pojedynkę robi mniej hałasu. Dziwne, ale wydawało mu się, że jest bardziej czujny i mniej odsłonięty.

Dwukrotnie zdawało mu się, że słyszy jakiś ruch, ale w obu przypadkach nic się nie stało. Po dwudziestu minutach zatrzymał się na odpoczynek. Oparł się o pień drzewa i nasłuchiwał. Jedynym odgłosem, jaki słyszał, był szum deszczu przesączającego się przez kopułę liści. Położył karabin na ziemi i podniósł twarz do góry. Deszcz się uspokajał. Roztarł krople na twarzy i przeczesał palcami włosy. Na chwilę się rozluźnił.

Siedział pod drzewem przez kilka minut. Nie chciało mu się ruszyć.

Siedząc tak samotnie na ziemi niczyjej zobaczył nagle swoje życie. Mam żonę, dziecko, mam swoje życie, pomyślał. Nie mam nic więcej. Nie mam nic, za co inny człowiek chciałby mnie zabić. To co mam, zupełnie mi wystarczy. Prawie roześmiał się. Co ja tu robię?

Prostota tego odkrycia wydała mu się śmieszna. Przeciągnął się pozwalając, żeby obmywał go deszcz.

- Nie pójdę dalej - powiedział. Zadrżał, kichnął i wytarł nos.

Natychmiast, zaledwie kilka metrów przed nim, rozległ się odgłos odbezpieczanego karabinu.

Coney znieruchomiał. O Boże, jęknął w myślach. Wietnamczyk przed nim krzyknął jakieś polecenie wystraszonego głosem.

Serce Coneya waliło wściekle, gdy tulił się do ziemi. O mało co nie wlaź na czujkę. Jego myśli kołowały szaleńczo. Starał się wymyślić jakieś wyjście. Jeżeli zacznie uciekać, dostanie kulę w plecy, ale z drugiej strony nie mógł tu tak tkwić, bo go znajdą. Myśl o dostaniu się do niewoli wywołała mdłości. Krzaki przed nim lekko się poruszyły. Czyjaś stopa rozgniała liście.

Panie Boże, błagam, spraw, żeby się oddalił, modlił się.

Kroki się jednak zbliżały. Coney zobaczył sylwetkę nieprzyjacielskiego żołnierza, oddaloną o niecałe siedem metrów i zbliżającą się z wysuniętym do przodu karabinem.

Przez chwilę widział żołnierza, spiętego, przerażonego, młodego chłopaka przeszukującego gęszcz rozbieganym wzrokiem. Coney chciał wywołać w sobie szal bitewny, ale chociaż śmierć była tak blisko, nie potrafił wzbudzić w sobie nienawiści. Przygryzł wargi. Boże, błagam cię, Boże.

Usłyszał oddech Wietnamczyka. Zobaczył, jak karabin zadrżał w jego dłoniach i lufa zaczęła zwracać się powoli ku niemu.

W tym momencie jakiś sygnał rozległ się w jego głowie i przepędził wszystkie myśli. Jakaś niewiarygodna siła wybuchła w jego wnętrzu. Zerwał się wytrącając karabin z rąk żołnierza i wbił mu bagnet w gardło.

Wyrwał ostrze, wbił je jeszcze raz kierując ku dołowi i uderzając z całą siłą. Znowu wyciągnął bagnet i tym razem uderzył go w pierś. Ostrze trafiło na żebro, ale kiedy Coney poruszył się,

ześlizgnęło się z kości i ugrzęzło w sercu.

Żołnierz raz odetchnął głośniejsz i znieruchomiał.

Na twarz Coneya trysnęła krew i zalała mu ręce. Usłyszał, jak płynie, i poczuł jej zapach. Chciał ją wytrzeć, ale jeszcze bardziej ją rozmazał. Wyrwał ostrze z ciała, chwycił karabin i zaczął biec.

Po przejściu półtora kilometra w kierunku wschodnim Brock nie znalazł niczego. Zatrzymał się wreszcie wśród kępy krzaków, przeklinał deszcz i nieprzyjaciela, który mu się wymykał. Nie zostanie bohaterem. Jedyne, co przyniesie z patrolu, to bąble na nogach od przemoczonych butów.

Sutherland miał rację. Nie jest nikim więcej, jak tylko tępym starym dożywot-niakiem, którego czas minął. Służył w Korpusie prawie dwadzieścia lat i walczył w dwóch wojnach. Nie czuł się stary, ale wiedział, że jest już w podeszłym wieku. Co takiego powiedział porucznik? „Twardy, ale kochany stary sierżant”. Przecież zaledwie wczoraj był jeszcze taki młody jak Sutherland.

Westchnął w poczuciu, że jest nieszczęśliwy. Podniósł karabin i przyglądał się kroplom wody, które osiadły na metalu. Starł je i uśmiechnął się, bo mu się przypomniało, jak dawno temu, kiedy miał siedemnaście lat i ledwo co wstąpił do Korpusu, w obozie rekruckim kazano mu biegać dookoła placu ćwiczeń z karabinem w górze w jednej ręce, a drugą ręką trzymać się za krocze i wołać: „To mój karabin, a to mój fiut. Jedno do walki, drugie do zabawy”.

Wiedział, że to jest jego ostatnia wojna. Nigdy nikomu o tym nie powie, ale, Boże, jak on będzie za nią tęsknić. Co będzie robić? Był już za stary na cokolwiek innego.

I tu Sutherland miał rację. Nie będzie w stanie znaleźć normalnej roboty w normalnym świecie. Co będzie robić? Sprzedawać buty?

Cholerny Sutherland. Niech go diabli wezmą. Niech diabli wezmą jego młodość i szyderstwa. Niech diabli wezmą ich wszystkich - Coneya, Frizzella, Sutherlanda, Landisa i porucznika. Niech ich diabli wezmą za to, że są młodzi. To niesprawiedliwe. On też powinien być młody. Chciałby jeszcze powojować, popić i popieprzyć sobie, i nigdy się nie zestarzeć.

Bóg nie powinien nikogo uczynić sierżantem, pomyślał. Wszyscy powinniśmy pozostać kapralami.

Wytrzeł oczy i zrozumiał, że to nie jest deszcz. Poczł się głupio.

Wstając z pewną trudnością, splunął w kierunku, gdzie najwyraźniej nie było nieprzyjaciela, i zawrócił.

Sutherland przeszedł zaledwie kilkaset metrów i zaraz się zatrzymał. Słyszał tylko deszcz szumiący wśród drzew. Patrzył w ciemność i uważnie nasłuchiwał. Potem usiadł na ziemi, otulił się kurtką i oparł o drzewo.

- Pieprzę to - powiedział do siebie.

Panowała zupełna czerń. Siedział długo, nasłuchując odgłosów nocy. Było mu zimno. Czł się zmęczony i wystraszony.

Wtedy, jak zawsze kiedy był sam, przyszli do niego umarli. Starł się przypomnieć sobie każdego z nich, ale nie mógł. Przypominał sobie po kolei ich nazwiska, ale był pewien, że niektóre przeoczył.

Zadrzał i skulił się bardziej. A ja? Co będzie, jeżeli i ja umrę? Jak długo będą o mnie pamiętać? Ile czasu minie, zanim stanę się „tym biednym sukinsynem”, martwym i zapomnianym?

- O Boże, nie pozwól, żebym umarł - powiedział, drżąc.

Potem rozparł się wyzywająco pod drzewem. Nie umrę - powiedział do siebie. Niech inni szukają żółtków. Głupie sukinsyny. Głupie, tępe sukinsyny.

Ogarnęło go nagle poczucie winy. Etyka, jaką mu wpojono, pobudziła wyrzuty sumienia. Zaczł się wstydzic.

- Cholera - mruknął, wstając.

Stał przez chwilę. Byłoby inaczej, gdybym to robił dla moich rodziców albo dla mojej żony, albo dla mojego kraju, naprawdę dla mojego kraju. Ale to... Chcą, żebym umierał za nic...

Zaczł płakać, zagubiony i nękany poczuciem winy, strachem i żalem. Potem wytarł twarz i ruszył dalej.

Landis był przemoczony i zmarznięty. Żałował, że nie ma czegoś do uśmierzenia bólu. Masowanie nie pomagało.

Chłupał zdrową nogą w kałuży i wyglądał przez wejście do bunkra.

Pomyślał o swoim samochodzie, o złym, czarnym, groźnym samochodzie.

Pomyślał o swojej matce, a nawet o ojcu, który zwykle sprawiał mu lanie.

Pomyślał o dziewczynie, o tej jedynej, a potem o innych.

Pomyślał o życiu. Desperacko pragnął żyć, chociaż jeszcze nie wiedział co zrobi ze swoim życiem. Będzie jeździć samochodem. Napije się Coli. Zje frytki. Pozna dziewczynę. Całe dni będzie spędzał na plaży nad oceanem. Noce będą chłodne, a nie mokre i zimne. Noga nie będzie go boleć.

Był zadowolony, że kapelan obiecał mu zbawienie, ale nie wydawało mu się to nadzwyczaj ważne.

Pomyślał o Martinie i o innych chłopakach. Chciałby już do nich wrócić. Chciałby, żeby byli z nim teraz.

Wtedy usłyszał hałasy.

Krzaki na zewnątrz bunkra rozstały się. Usłyszał kroki wielu stóp. To nie Coney, Frizzell, Sutherland i Brock.

Słuchał.

Zbliżali się. Usłyszał ich głosy.

To był nieprzyjaciel. Znaleźli go.

O Boże! Tak bardzo chciał żyć! Zbliżali się.

Byli tuż przed bunkrem.

Teraz wiedział, że już nigdy nie będzie mieć samochodu, swojego wspaniałego, czarnego, złego, groźnego samochodu. Nigdy już nie zobaczy swojej matki. Nie zobaczy nikogo.

Byli tuż przy wejściu.

Spojrzał na swoją poranioną nogę. Poczul istnienie ciała. Kochał swoje ciało. Dotykał ramion, nóg.

Wchodzili.

Podniósł karabin.

Frizzell już miał zawrócić, kiedy natrafił na rozległą polanę, która ciągnęła się przez jakieś pięćset metrów.

Po drugiej stronie polany, wśród drzew, pojawiło się słabe światło i zaraz znikło. Miał je już zignorować jako złudzenie, kiedy pojawiło się znowu. Było ich nawet więcej.

Znalazł. Wiedział, że znalazł.

Coney pędził między drzewami. Kiedy dotarł do polany, powitała go podniesiona lufa karabinu Sutherlanda.

- Jezu! Dawno nie słyszałem takiego hałasu. Przywiąż tego swojego pieprzonego słonia do jakiegoś drzewa.

- Gdzie jest Brock?

- Ty wróciłeś pierwszy. Dlaczego uciekałeś?

- Musimy stąd zniknąć. Właśnie zabiłem jednego. Nadziałem się na czujkę. Szedł w moją stronę, więc go zabiłem.

Coney oparł się o drzewo i oddychał ciężko. Skórę na twarzy miał napiętą od zaschniętej krwi. Całe ręce też miał pokryte skrzepniętą krwią. Jej zapach wywoływał mdłości.

- Musimy stąd zniknąć. Wkrótce go znajdą.

- Kogo znajdą?

Na dźwięk tego głosu zerwali się i odskoczyli, ale zaraz lżej odetchnęli, kiedy okazało się, że to Brock się odezwał.

- Kogo znajdą? - powtórzył Brock.

- Zabiłem jednego z nich - powiedział spokojnie Coney. - Jakiś kilometr stąd. Nadziałem się na czujkę. Zobaczył mnie. Zabiłem go bagnetem i zostawiłem ciało.

Brock wypił duży łyk z manierki.

- Byli tam inni?

- Nie widziałem nikogo. Po prostu na niego wlałem. Jeszcze krok, a zastrzeliłby mnie.

- Może tam jest punkt koncentracji? Czy widziałeś cokolwiek? Pokręcił głową.

- Gdzie to było?

Coney wskazał na północ.

Sutherland odtrącił rękę Coneya i zaczął warczeć na Brocka.

- Co się z tobą dzieje? Musimy stąd zniknąć. Tu wkrótce zaroi się od żółtków. Pieprzyć ten punkt koncentracji. Wyprowadź nas stąd.

Brock zapatrzył się w las, a potem skinął głową.

- W porządku. Poczekamy na Frizzella i wracamy.
Sutherland opadł na ziemię, co przyniosło mu wielką ulgę. Przesiedzieli jeszcze dwadzieścia minut w napięciu i w milczeniu, zanim dostrzegli Frizzella poruszającego się między drzewami.
Brock gwizdnął cicho i Frizzell podbiegł do nich podniecony.

- Znalazłem. Były tam światła. Dużo. Brock spojrzął na zegarek.
- Ile czasu potrzeba, żeby tam dojść?
- Może godzinę.

Brock zaczął zbierać swoje rzeczy.

- W porządku. Idziemy.
- Dokąd?
- Żeby znaleźć to, co widział Frizzell. Mamy czas. Nawet jeszcze nie minęła północ.
- A co z tym zabitym żółtkiem? - wybuchnął Sutherland. - Na pewno już go znaleźli. A co z Landisem? On tam tkwi zupełnie sam. Jeżeli Coney natknął się na czujkę w takiej odległości, to ile czujek mają bliżej swojego rejonu? A radio, dupku? Nie mamy kontaktu radiowego.
- Mógłbym doprowadzić cię do polany, ale potem... Scott ma rację. Czujki będą wszędzie.
- No i ten facet, którego zabiłem - wyszeptał Coney. - Jeżeli go jeszcze nie znaleźli, to znajdą wkrótce.
- A Landis? Co z Landisem? - powtórzył Sutherland. - Powiedzieliśmy, że o tej porze wrócimy.

Brock spojrzął po kolei uważnie na każdego z nich.

- Nasze rozkazy nakazują znaleźć miejsce koncentracji. Może Frizzell właśnie je znalazł. Musimy wiedzieć, jak duża jest koncentracja, jakie tam są jednostki i jakie mają uzbrojenie. To jest przecież nieprzyjaciel. Wiecie, że chce zdobyć nasze wzgórze, a potem Khe Sanh. Cała sprawa wydaje mi się prosta. Oni są naszym wrogiem, a ja jestem żołnierzem piechoty morskiej. Możecie robić, co się wam podoba. Ja idę.

Sutherland omal się nie załamał z wściekłości i zawodu.

- Jesteś najbardziej tępym skurwysynem, jakiego w życiu spotkałem.
- Nieprzyjaciel nie wie, gdzie jesteśmy - powiedział Brock. - Może nie znajdą ciała aż do rana, a nawet jeżeli już je znaleźli, nie będą wiedzieli, gdzie nas szukać. A Landis? Przecież on nigdzie nie pójdzie. Będzie na nas czekać.

Brock wzruszył ramionami i ciągnął dalej cichym głosem.

- Trudno mi wytłumaczyć, ale to jest tak, jak porucznik kiedyś powiedział w czasie pierwszej akcji. Dobrze to pamiętam. Powiedział, że nie mógłby sam siebie znieść, gdyby odpuścił. Sutherland miał rację. Jestem starym dożywotniakiem, ale to znaczy, że muszę iść.

Ruszył w kierunku, który badał Frizzell.

- O Boże - jęknął Sutherland. - Co za gówno. Czy to się naprawdę dzieje? Coney uśmiechnął się.
- Wydaje mi się, że kiedyś widziałem coś takiego w kinie.
- Mam nadzieję, że zastrzelili tamtego porucznika - powiedział Sutherland.
- Chodź - odezwał się Coney, podnosząc karabin. - Przecież wiesz, że musimy iść.
- Tak - włączył się Frizzell, kładąc rękę na sercu. - Trudno mi to wyjaśnić, ale cóż, jesteśmy z piechoty morskiej - dodał z udaną powagą.

Coney i Frizzell ruszyli za Brockiem

- Wy dupki - syknął Sutherland. Odczekał krótką chwilę, a potem pobiegł za nimi.

XXX

- Mayday! Mayday! - krzyknął Magnuson do mikrofonu. - Wicekról spada.
Helikopter spadł o dwieście metrów w ciągu kilku sekund, zanim Magnuson zdołał odzyskać kontrolę nad sterami i spróbował autorotacji.

Podał przez radio pozycję z taką dokładnością, na jaką tylko było go stać.

- Kawaleria na koń i na ratunek. Jesteśmy nad terytorium nieprzyjaciela. Potem odwrócił się do Ridleya.

- To na pewno przewód paliwa - powiedział ze złością. - Nie dochodzi do silnika.

- Nie przyszło mi do głowy skontrolować go przed startem - odparł Ridley. - Co się mogło stać?

- Nie wiem, ale dokładnie to sprawdzę, jeżeli uda mi się posadzić tego grata bez pożaru.

Magnuson bał się pożaru tak samo jak momentu lądowania, ponieważ problem z przewodem paliwowym mógł oznaczać, że paliwo wycieka i może zapalić się przy wstrząsie.

- Trzymajcie się, panowie - zawołał do interkomu. - Zatrzymamy się w Delcie, niezgodnie z programem, i trochę pozwiedzamy. Będziecie mieli okazję rozprostować nogi. Prosimy złożyć stoliki i zgasić papierosy. Z przyjemnością służyliśmy panom tego wieczoru i mamy nadzieję, że pomyślicie o nas układając plany przyszłych podróży. A teraz trzymajcie się mocno za dupy i pożegnajcie się z nimi, ponieważ... spadamy.

Wyłączył mikrofon i zwrócił się do Ridleya.

- Kurwa mać! Czy to woda pod nami, czy tylko pola ryżowe? Nic nie mogę zobaczyć.

- Nic tylko czerń, Jimbo.

- Możemy mieć tylko jedno podejście. Myślę, że to ryżowiska, a to oznacza groble, a to oznacza z kolei, że nie będę mógł gładko posadzić tego grata. Trzymaj się, Jack! Teraz!

Helikopter leciał z dużą szybkością i zderzenie z ziemią wywołało gwałtowny wstrząs. Maszyna szarpnęła się kilka razy, uderzyła w groble i wreszcie zatrzymała się, przechylona na bok, z jedną łopatą wirnika zarytą w błoto.

Marshall nic nie rozumiał z całej tej szarpaniny. Nawet nie zauważył, kiedy się zatrzymali, bo natychmiast znowu był w ruchu. Został dosłownie poderwany z siedzenia i wywleczony, wypchnięty czy też wyciągnięty z helikoptera. Nie był pewien, co się właściwie dzieje.

Jakaś silna ręka wypchnęła go przez drzwi. Wylądował w wodzie do pół łydki. Nogi się pod nim ugięły, ale ręka trzymająca go za kark zmusiła go, żeby biegł dalej.

Potem ręka objęła go w pól i popychała z taką szybkością, że jego nogi ledwie dotykały ziemi. Starał się nimi poruszać, ale nie mógł dotrzymać tempa. Potem został rzucony na ziemię, zapadł się w wodę i błoto. Zanim jednak zdążył się podnieść, jakiś ciężar spadł na niego.

- Nie ruszać się! - wrzasnął Mead.

Ruszać się? - pomyślał. Nie mogę nawet oddychać. Kiedy właśnie przyszło mu do głowy, że już dłużej tego nie wytrzyma, Mead zerwał się i uniósł głowę Marshalla, ciągnąc go za kołnierz koszuli.

- Wie pan, jak z tego strzelać? - zapytał, wciskając mu do rąk *M-16*.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Mead nagle chwycił karabin, odbezpieczył i znów mu go podał.

- Wystarczy tylko pociągnąć za spust. Niech się pan stąd nie rusza. Wracam za chwilę.

Zniknął.

W połowie drogi do helikoptera Mead natknął się na Romera. Pułkownik siedział na ziemi i masował nogę. Widać było, że jest trochę oszołomiony.

- Czy wszystko w porządku, sir?
- Tak. Gdzie ambasador? Mead gestem wskazał kierunek.
- Niech pan zostanie tutaj, sir. Sprowadzę innych. Magnuson klęczał przy maszynie, starając się zajrzeć pod spód.

- Ty kurewska cipo! Ty zdraдлиwa suko! - przeklinał. Mead chwycił go za ramię i pociągnął.
- Panie poruczniku. Powinien pan odejść od helikoptera.
- Coś się stało z przewodem paliwowym. Chciałbym wiedzieć co.
- Niech pan o tym zapomni, sir. Mamy większy problem. Żółtki. Za chwilę tu się od nich zaroi. Strzelą do maszyny z rusznicy przeciwpancernej. Musimy zorganizować obronę.

Z ciemności wynurzył się kulejący Ridley.

- Czy uda się go postawić równo? Magnuson pokręcił głową.

- Siedzi za głęboko w błocie. Nigdy nie uda się nam wyswobodzić łopaty wirnika.

Mead wskoczył do wnętrza maszyny, żeby zabrać karabiny i kamizelki przeciwodłamkowe, które zostawili Marshall i Romer.

- Czy jest tu przenośne radio?

- Nie. Nie ma - odparł Magnuson. - Podaliśmy pozycję. Niedługo zaczną nas szukać.

- Czy są jeszcze jakieś karabiny, granaty albo rakiety sygnałowe? - dopytywał się Mead, wychodząc z maszyny.

- Są w kabinie pilotów. Zaraz je wezmę - powiedział Magnuson.

Kiedy wyszedł z maszyny, ruszyli przez ryżowisko. Zabrali ze sobą Romera i zgromadzili się wokół Marshalla.

- Coś się stało z przewodem paliwowym - wyjaśnił Magnuson. - Nie wiem, czy pękł czy się zatkał. Może paliwo było wadliwe czy coś w tym rodzaju... W każdym razie paliwo nagle przestało dochodzić do silnika. Przez cały czas, kiedy spadaliśmy, utrzymywaliśmy kontakt radiowy, ale może upłynąć parę godzin, zanim nas znajdą. Tyle tylko mogę powiedzieć.

- Chciałbym zwrócić uwagę, sir - odezwał się Ridley do Marshalla - że porucznik dokonał niesłychanej sztuki lądując. Niewielu pilotów potrafiłoby wylądować bezpiecznie helikopterem z pułapu kilkuset metrów po ciemku, bez silnika i przyrządów.

- Tak - zgodził się Marshall czując ulgę, która graniczyła z euforią. To był omen. Został ocalony, żeby wypełnić misję. Uda mu się zakończyć wojnę.

- Jestem zachwycony, że wciąż jestem w jednym kawałku. Przez chwilę myślałem, że to już koniec. Wydaje mi się, że nawet kapral Mead myślał, że... jak byś to powiedział, kapralu?

- Że jesteśmy załatwieni, sir.

- Wspaniały efekt - zartował Romer. - Nie mógł nas zabrać na masakerę, więc na zakończenie rozbił maszynę. Ani przez chwilę nie udało się panu mnie oszukać, poruczniku - uśmiechnął się. - No, może przez chwilę, kiedy spadliśmy jakieś trzysta metrów. Mój lunch chyba wciąż unosi się gdzieś tam w powietrzu.

Marshall bez szczególnego niepokoju rozejrzał się po ciemnym krajobrazie.

- Więc czekamy, dopóki nas nie znajdą? Inni spojrzeli po sobie.

- To nie takie proste - powiedział Magnuson. - Widzi pan, sir, MACY wie, że spadliśmy, i z grubsza znają miejsce. Natychmiast rozpoczną operację ratunkową.

- Może nie - powiedział Marshall. - Może każą mi tu gnić za karę.

- Ale, sir, możemy być pewni, że nieprzyjaciel już rozpoczął poszukiwania. Oni podsłuchują rozmowy radiowe i wiedzą, że spadliśmy. Poza tym mają oczy. Mogli nas zobaczyć. Mogą być już blisko.

- Tak, sir - odezwał się Mead. - Powinniśmy się rozdzielić. Teraz mogliby skończyć z nami jednym granatem. Musimy utworzyć linię obronną. Nie możemy znajdować się jednak zbyt daleko od siebie, żeby nas nie załatwili jednego po drugim. Potrzebujemy też hasła. Mnóstwo niesamowitych rzeczy może się wydarzyć po ciemku. Słyszysz się jakieś głosy i można przysiąc, że ktoś się do nas skrada. Jest całkiem możliwe, że powystrzelamy się nawzajem.

- Ja przespałem całe swoje szkolenie w piechocie - powiedział Magnuson. - Dajcie mi karabin i powiedzcie, co mam robić. Jestem pilotem, a nie piechociarzem.

Romer miał najwyższy stopień, a poza tym był oficerem piechoty, ale wiedział, że doświadczenie Meada jest w tej sytuacji nieporównanie cenniejsze od jego wykształcenia.

- Proponuję, żeby zrobić tak, jak radzi kapral. Dlaczego nie obejmiecie dowództwa i nie

rozmieścicie nas, jak uważacie za stosowne?

Marshall sam chciał to zaproponować, instynktownie ufając Meadowi w polu bardziej niż Romerowi, ale nie odezwał się pierwszy. Zdawało mu się, że jakaś siła przepływa do jego rąk z broni, którą trzyma. Ogarnęło go stare znajome uczucie i przycisnął karabin do piersi. Czuł się pewnie i ogarnęło go niepokojąco przyjemne podniecenie.

Mead był zaskoczony zaufaniem ze strony Romera.

- Tak jest, sir - powiedział, a potem zwrócił się do pozostałych, jakby był dowódcą niewielkiego patrolu.

- Niewiele możemy zrobić. Musimy siedzieć i czekać. Żółtki zobaczą zarys helikoptera na tle horyzontu. Nie będą jednak wiedzieć, czy zginęliśmy, jesteście ranni, czy też poszliśmy sobie. Będą musieli zgadywać, co się z nami dzieje, mimo

to będą się zbliżać, oczywiście z wielką ostrożnością. My z kolei nie wiemy, z której strony się pojawią. Rozmieścimy się więc w prostej linii w odległości około pięciu metrów jeden od drugiego, a ludzie, którzy znajdą się na końcach linii będą zwróceny w przeciwnych kierunkach.

- Nie zrobimy kręgu? - zapytał Ridley.

- To zbyt niebezpieczne. Możemy się nawzajem ostrzelać. Linia prosta jest lepsza, a i tak możemy bronić się przed atakiem z każdego kierunku. Niech każdy tylko pamięta, kto jest obok niego. Nie strzelać, dopóki naprawdę nie będziecie musieli. Jak tylko zaczniemy strzelać, błyski wystrzałów zdradzą naszą pozycję i wtedy oni nas ostrzelają. Mam kilka granatów, więc przekażcie do mnie wiadomość. Wtedy rzucę granat tam, gdzie wydaje się wam, że coś słyszycie. W ten sposób nie będą wiedzieli, gdzie jesteście. Czy ktoś chce granat? Mam sześć.

Romer, Magnuson i Ridley wzięli po jednym. Mead sprawdził ich karabiny, rozdał amunicję, upewnił się, czy umieją obsługiwać broń, a potem wyznaczył im stanowiska.

- Może ustalimy jakieś hasło? - zapytał.

- Fiut - powiedział Magnuson.

- A może Dolores? - zaproponował złośliwie Romer.

- Niech będzie Dolores - orzekł Mead. - Przynajmniej będziemy mieli o czym myśleć.

- Nie chciałbym, żeby wasze myśli gdzieś błędziły, kapralu i poruczniku - powiedział Marshall. - Lepiej skoncentrujmy się na ratowaniu mojej dupy.

Roześmiali się, a potem zapadła cisza. Każdy z nich miał świadomość, że ich sytuacja nie jest najlepsza.

Marshall cofnął się pamięcią o piętnaście lat, kiedy to po raz ostatni siedział w ten sposób w Korei. Wtedy było znacznie zimniej i bardziej się bał. Bał się nie dlatego, że zagrożenie ze strony nieprzyjaciela było większe. Zrozumiał, że teraz jest starszy, więc śmierć już go tak nie przeraża. Istniały znacznie gorsze rzeczy. Wówczas o tym nie wiedział. Wtedy za bardzo myślał o sobie. Był zbyt młody.

Siedział na polu ryżowym ze skrzyżowanymi nogami, trzymał karabin na kolanach i starał się przeanalizować swoje uczucia. Nie. To uczucie, które go teraz opanowało, nie było strachem. Obudziła się w nim długo uśpiona świadomość, że żyje, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego faktu od czasu, kiedy leżał wśród śniegów Chosin, ściskając karabin i czekając, aż zabije nieprzyjaciela. Przeciągnął palcami wzdłuż lufy i osłony języka spustowego. To uczucie było zwierzęce i wspaniałe, wolałby go jednak nie odczuwać.

Wśród grupki siedzącej na polu ryżowym tylko Mead wiedział naprawdę, jakie grozi im niebezpieczeństwo i miał świadomość, że życie Marshalla oraz życie ich wszystkich zależy od niego. Porucznik Magnuson sprowadził helikopter na ziemię. Mead nie mógł pojąć, jakim cudem, ale teraz to on musi ich ocalić.

Rozpaczliwie pragnął uratować Marshalla, nie po to, żeby udowodnić swoje umiejętności, ani też dlatego, że to jego obowiązek, ale dlatego, że Marshall był dla niego miły i dobry. Teraz on mógł zrobić coś dla Marshalla.

Rozpatrywał wszystkie możliwości i nagle zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Tak siedzieć to była najniebezpieczniejsza rzecz, jaką mogli zrobić. Przecież

nieprzyjaciel znajdzie ich, jak tylko odkryje, że w helikopterze nikt nie zginął. Jestem głupi, pomyślał.

Wietnamczycy przede wszystkim przyjdą obejrzeć helikopter. To będzie najlepszy moment, żeby ich zaskoczyć. Jeżeli nieprzyjaciel podsłuchiwał rozmowy radiowe, wie, że Wicekról to ktoś ważny.

Będą się śpieszyć, żeby zdążyć przed ekspedycją ratunkową.

- Cholera! Jak tylko zobaczą, że wszyscy ocalili z wypadku, zaczną przetrząsać teren i będą ich szukać, aż nie znajdą, a Mead wiedział, że nie potrwa to długo. W walce z jednostką Wietkongu nie będą mieli żadnych szans.

Poczłogał się wzdłuż linii obronnej w stronę Magnusona.

- Dolores - szepnął.

- Pieprzę ją - powiedział Magnuson.

- Musimy pójść do helikoptera - powiedział Mead. - We dwóch. Magnuson był jedynym, któremu ufał. Jeżeli ktoś tak jak on pilotuje helikopter, na pewno nie przestraszy się ani nie wpadnie w panikę.

- Żółtki pójda prosto do helikoptera. Musimy ich tam zaskoczyć, a nie czekać, aż przyjdą do nas.

- Zmieniłem zdanie - powiedział Magnuson. - Chcę, żeby pułkownik Romer objął dowództwo.

Mead poczołogał się do innych i powiadomił, że wyruszają z Magnusonem, żeby utworzyć zasadzkę koło helikoptera. Potem zmienił stanowiska Marshalla, Romera i Ridleya.

Podkradli się z Magnusonem do maszyny i znaleźli stosowne miejsce w odległości około piętnastu metrów od helikoptera, które zapewniało im dobrą osłonę i dobrą obserwację. Usiedli ramie przy ramieniu, trzymając karabiny na kolanach.

- Wiesz, jak rzucać granat? - szepnął Mead.

- Trzeba wyciągnąć zawleczkę, policzyć do pięciu i rzucić.

- Odpuść sobie to liczenie do pięciu. Będziemy musieli odskoczyć jak najdalej. Wracamy biegiem, jak tylko powiem. Nie zapomnij hasła. Oni tam są w strachu i mogą cię załatwić, więc jak będziesz biegł, wrzeszcz „Dolores”.

- Czy możesz sobie wyobrazić, że ten dupek też robił do niej podchody - powiedział Magnuson o Romerze. - I jeszcze sprawdził moje akta.

- Pan ją zerznął, sir? - zapytał Mead.

- Nikt nie rżnie Dolores - powiedział Magnuson. - To fachowiec. Mogłaby przyjąć torpedę w cipę, a gaśnicy nawet by nie zauważyła. Gdyby była tu z nami, podniosłaby ten helikopter biorąc do buzi rurę wydechową.

- Piloci zawsze zgarniają najlepsze. - Mead zaśmiał się cicho.

- Bzdura. Dziś rano ledwo się dowlokłem na lotnisko. Zupełnie mnie wykończyła. Uciekłem, kiedy zrobiła sobie minutę przerwy, żeby ostudzić cipę.

Magnuson umilkł nasłuchując, badając powietrze, czy nie wyczuje jakiejś zmiany, ale Mead, przyzwyczajony do nocnych zasadzek, natychmiast zorientował się, że w pobliżu jeszcze nie ma nieprzyjaciela. Odgłosy nocy uspokoiły go. Żaby rechotały, owady brzęczały. Nic nie ucichło ani nie objawiało zaniepokojenia.

- Skąd pan wiedział, że przyjechałem ze Strefy Zdemilitaryzowanej, sir? - zapytał Mead. Dręczyło go to od pierwszego spotkania, zaraz potem jak widział

Magnusona schodzącego ze schodów - z pewnością po spotkaniu z Lordem. -Wiem, że moich akt pan nie czytał. Magnuson milczał przez chwilę.

- Lukę Bishop to mój przyjaciel. Spotkałem się z nim w Da Nang tuż przed przyjazdem do Sajgonu. Powiedział, żeby cię pozdrowić - zamilkł na chwilę. -A może pożegnać...

- Zna pan porucznika Bishopa? To dobry oficer.

- Lukę Bishop to zupełnie przegrana sprawa. Boże, żebyś go widział w Da Nang. Byłem pewien, że nas zaaresztują.

- Porucznika Bishopa?

- Na uczelni Lukę grał w futbol i latał za dupami. Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek się uczył. Wtedy, w Da Nang, wyglądał jak półtora nieszczęścia. Co wyście tam z nim zrobili?

- To tylko wojna, sir.

Magnuson pokręcił głową, rozglądając się.

- Tak. Zaczynam rozumieć. Wojna wciąga - powiedział ironicznie.

Milczeli przez chwilę, nasłuchując uważnie, ale w powietrzu i wśród nocnych odgłosów nie zauważyli żadnej zmiany.

- A co z Lordem? - zapytał Mead niespodziewanie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Magnuson odwrócił się tak, że mógł spojrzeć Meadowi prosto w oczy. Ich twarze oddalone były od siebie zaledwie o kilka centymetrów. Przyglądali się sobie przez

minutę.

- Wyciągnij mnie stąd żywego, to ci powiem. Usiądziemy razem i pogadamy. Obiecuję. Jestem ci to winien.

- To wtedy się wyrówna, sir. Ja jestem winien panu za bezpieczne lądowanie.

- To należy do moich obowiązków. Cholera, rozmawiamy jak na filmie - dodał z uśmiechem.

Nagle Mead położył dłoń na ręce Magnusona i ścisnął ją mocno, odwracając go w stronę helikoptera.

Magnuson nie widział i nie słyszał nic, ale zauważył niewiarygodną przemianę, jakiej podlegał Mead. Mógł prawie namacalnie wyczuć jego napięcie i jakąś wielką narastającą w nim siłę, a równocześnie, ku jego zdumieniu, Mead stał się nagle rozluźniony i swobodniejszy, i jakby lepiej pasujący do otaczających ich trzcin.

- Co się dzieje? - szepnął.

- Idą. Czuję ich.

Magnuson wciągnął nosem powietrze.

- Myślałem, że pierdnąłeś. Mead roześmiał się.

- Jest pan w porządku, poruczniku. Chodzi o to, co oni jedzą. Zawsze ryby. Dlatego można ich wywachać. Oni nas też czują. Uważają, że śmierdzimy. To dlatego, że jemy tyle mięsa. Oni są jednak pod wiatr, więc nas nie wywęszą. Skoncentruj się. Wąchaj.

Magnuson spróbował. Mead miał rację. Można było ich wywachać. Dolatywał do nich wyraźny zapach ryb. I nagle nastąpiła jakaś zmiana. Nastąpiła nagła cisza. Słyszeć było tylko chłopot wskakujących do wody żab.

- Wyciągniesz mnie z tego, dobrze?

- Tylko rób, co mówię.

- To mów szybko i zrozumiale. Sram w portki ze strachu.

- Oni też - powiedział Mead.

- Mam nadzieję.

Magnuson trząsał się tak, że był pewien, iż nieprzyjaciel usłyszy, jak się pluszcze w ryżowisku. Nie będą mógł się ruszyć, pomyślał. Potem Mead położył mu rękę z tyłu na szyi i ten mocny, zdecydowany chwyt uspokoił go. Równocześnie Mead skierował jego głowę nieco w lewo od helikoptera. Magnuson skinął głową, widząc dwie sylwetki skradające się przez bagno. Mead puścił go. Jego szepł był przepełniony pewnością siebie i uspokajający, jak jego chwyt.

- Wyślą po dwóch ludzi z każdej strony. Sprawdź, a potem przywołają resztę. Jak tylko wszyscy zbiorą się razem, żeby naradzić się, co robić dalej, rzucaj granat w helikopter. Staraj się go trafić. Zrobisz to, jak ci powiem, a potem biegnij tak szybko, jak tylko umiesz. Przy odrobinie szczęścia, ta kupa złomu wybuchnie.

Magnuson zaczął gmerać przy granacie. Był pewny, że upuści go w błoto albo, co gorsze, zawleczka wypadnie z jego drżących palców i granat wybuchnie mu na kolanach. Nic dziwnego, że Lukę Bishop jest szurnięty, przeleciało mu przez głowę. Wtedy znowu poczuł na sobie rękę Meada - uspokajającą go i kierującą jego głowę w prawo. Dokładnie tak, jak Mead powiedział, pojawiło się jeszcze dwóch żołnierzy skradających się z drugiej strony.

f

Z przerażeniem i podziwem obserwował precyzyjne jak w balecie sekwencji ruchów obu zespołów nieprzyjaciela. Pomimo strachu mógł dostrzec piękno płynących ruchów sylwetek na zaciemnionej scenie, skradających się w kierunku ogromnej, uśpionej bestii. Wstrzymał oddech, kiedy zbliżyły się do czarnego smoka; i nagle poczuł się, jakby był jednym z nich i mógł zrozumieć ich strach. ?

Najpierw poruszał się jeden, potem drugi, potem razem, aż spotkali się przy uszkodzonej maszynie. Okrzyki ją szybko, potem zajrzeli do środka i odsunęli się. Jeden z nich zawołał coś cichym głosem.

- Rany boskie - szepnął Magnuson, kiedy może ze trzydziestu żołnierzy podniosło się nagle z ciemnego bagna i zaczęło się zbliżać do helikoptera.

- Przygotuj się - szepnął Mead.

Jednostka Wietkongu zebrana przy helikopterze ustalała podział na grupy pościgowe i określała kierunki poszukiwań. Gdzieś z oddali zaczął dobiegać ryk helikopterów śpieszących na ratunek.

- Teraz! - powiedział Mead, wyciągając zawleczkę ze swego granatu, rzucając i wyciągając

następną zawleczkę, zanim jeszcze Magnuson zdążył wykonać rzut. Mead rzucił swój drugi granat i zaczął biec o ułamek sekundy za Magnusonem, słysząc uderzenia granatów o helikopter i plusk trzeciego wpadającego w błoto.

Dobiegły do nich zmieszane okrzyki nieprzyjaciela. Gruchnęły serie z *Kalaszni-kowów*. Rozległy się wrzaski.

- Dolores! - krzyknął Mead i rzucił się na ziemię, chwytając Magnusona za kostki i przewracając go. W tym momencie rozległy się trzy nagłe wybuchy, po których nastąpiła ogłuszająca eksplozja poprzedzona błyskiem oślepiającego, przenikliwego światła, gdy eksplodował zbiornik paliwa helikoptera.

Ziemia zadrżała. W powietrzu zaświstały odłamki, płomienie buchnęły na dwadzieścia metrów w górę.

Mead usłyszał wrzaski, leżąc przekręcił się i obejrzał za siebie. Dostrzegł płonące sylwetki wyskakujące spośród płomieni i rzucające się w pokryte wodą bagno. Powietrze wypełniły krzyki.

• Omiótł ich żar i musieli zasłaniać oczy przed oślepiającym blaskiem. Wydawało się, że to okruh słońca płonie na ryżowisku przed nimi.

Prawie natychmiast helikoptery na horyzoncie zbliżyły się i ryżowiska oświetliły snopy światła z reflektorów.

Mead patrzył, jak żołnierze Wietkongu zbierają pośpiesznie swoich rannych i wycofują się w stronę wioski, i linii drzew widocznej w oddali na południu.

Nagle Marshall zerwał się. Może sto metrów przed sobą zobaczył oświetlone blaskiem pożaru sylwetki trzech Wietnamczyków. Zbliżali się do helikoptera od tyłu, a teraz stali nieruchomo w ostrym świetle.

Byli tak blisko, że Marshall mógł dostrzec szok i strach, malujące się na ich twarzach. W momencie kiedy ruszyli do ataku, poderwał broń do ramienia i wystrzelił krótką serię.

Kiedy pociski rzuciły pierwszego żołnierza w tył, Marshall skierował lufę w stronę drugiego i znów strzelił, a potem opróżnił magazynek do trzeciego.

Zanim jeszcze skończył strzelać, Mead zerwał się i popędził do przodu. Znalazł ich w błocie. Dwóch leżało twarzą do ziemi. Wszyscy byli martwi. Trafieni w pierś.

Kiedy wrócił, Marshall wciąż stał z twarzą nieruchomą jak maska. Oddał w milczeniu karabin Meadowi, spojrzął na swoje ręce i wytarł je o spodnie.

- Jezu... - zaczął Mead.

Marshall spojrzął na ciała, a potem przeniósł wzrok na Meada.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Ależ, sir...

- Ani słowa - powiedział Marshall, a potem zwrócił się do pozostałych. - To jest rozkaz. Rozumiecie?

- Sir, załatwił pan wszystkich - powiedział Mead z podziwem. - Prosto w pierś. Mogli nas dostać. Ocalił nas pan. To, co pan zrobił...

Marshall pokręcił głową.

- Nie chcę żebyś cokolwiek mówił. Nigdy. Naprawdę. To rozkaz. Ja... Ja... -umilkł, patrząc w mrok. Nie był w stanie oddać słowami swoich uczuć. Nie był nawet pewien, jakie są te uczucia.

Co wtedy czuł? - zastanawiał się. Nic. Nie pamiętał żadnych uczuć. To było instynktowne działanie. A jak się czuje teraz? Nie czuł ani radości, ani podniecenia. Raczej wielki żal. Miałem nadzieję, że te czasy minęły, pomyślał. Nawet nie chciałem wiedzieć, że wciąż jestem zdolny do czegoś takiego.

Nic się nie zmieniło, pomyślał ze smutkiem. Zabijanie trwa nadal. Spojrzął na swoje ręce. Guadalcanal, Chosin, a teraz tutaj.

Zwrócił się do pozostałych, czując, że winien jest im wyjaśnienie. / - Nie przypuszczam, żeby prezydent był zadowolony, gdyby dowiedział się, że jego ambasador, człowiek, którego wysłał, żeby zbadał jakie są możliwości zakończenia wojny, wdawał się w strzelaninę z nieprzyjacielem na ryżowiskach.

To mogłoby... skomplikować sprawę. Trudno byłoby mi prowadzić negocjacje, gdyby nieprzyjaciel wiedział, że ja... - nie mógł dokończyć. Nie chciał wypowiedzieć słowa „zabiłem”. Nie chciał o tym myśleć. Już nigdy.

- Nigdy już nie chcę o tym słyszeć - powiedział. - Nigdy o tym nie będziecie mówić. Czy to

jasne?

Skinęli głowami. Noc pulsowała grzotem wirników helikopterów zbliżających się z północy.

Mead odpiął od kurtki rakietę sygnałową i wystrzelił ją. Nad ich głowami pojawił się błysk zieleni i zaczął łagodnie opadać w dół. Zanim zdążył wystrzelić kolejną rakietę, kilka maszyn porzuciło pościg za nieprzyjacielem i zawróciło ku nim. Zaczęły krążyć. Po chwili pojawiły się inne i trzy wylądowały, podczas gdy reszta pozostała w górze, oświetlając reflektorami cały teren.

Z olbrzymich helikopterów *CH-47 Chinook* wysypywały się na ryżowiska drużyny piechoty morskiej i szybko ruszały ku nim.

- Czy wszystko w porządku? - zawołał oficer, przekrzykując ryk silników. - Gdzie Wicekról?

Marshall wysunął się do przodu.

- Czy wszystko w porządku, sir?

- Tak - powiedział Marshall. - Wszyscy czują się dobrze. Oficer chwycił go za ramię.

- To proszę za mną, sir. Zabieramy was stąd.

Oficer polecił dwóm drużynom pozostać na ziemi i poszukać rannych żołnierzy nieprzyjaciela, a potem poprowadził Marshalla i pozostałych do helikoptera, który wystartował, zanim zdążyli zapiąć pasy.

Żołnierze patrzyli z zaciekawieniem na Marshalla i na resztę.

- Jak wam się udało wydostać żywcem z tego gówna? - zawołał jeden z żołnierzy.

Kilku z nich w dowód uznania podniosło w górę kciuki. Inni zaczęli klaskać.

Marshall próbował nie myśleć o niczym, ale obraz tych żołnierzy Wietkongu na chwilę przed śmiercią wrył mu się w mózg. Nie będę o tym myślał, postanowił i odegnał obraz, skupiając się na spotkaniu z Północnymi Wietnamczykami. Musi się odbyć, tym bardziej teraz. Ten rozlew krwi musi się skończyć.

Czego będzie żądać nieprzyjaciel? Na co Johnson jest gotów się zgodzić? Czego może żądać od Północy i na co oni mogą się zgodzić?

Gadanie. Będzie niekończące się gadanie. Argumenty i kontrargumenty, propozycje i wybiegi. Strony będą gadać, podczas gdy młodzi ludzie będą umierać.

Przede wszystkim natychmiastowe przerwanie ognia. To jest najważniejsze. Trzeba skończyć to bezsensowne zabijanie. Przerwać bombardowanie. Przerwać zabijanie.

W wyobraźni wciąż jeszcze formułował propozycje, kiedy helikoptery zbliżały się już do Sajgonu i zaczęły schodzić do lądowania na Tan Son Nhut.

Gdy Marshall wysiadł z helikoptera, zobaczył dużą grupę wyższych oficerów czekających na niego na asfaltowym lądowisku.

- Jezu - mruknął do siebie, ale podszedł do nich zupełnie spokojny. Potem odwrócił się do helikoptera, gdzie zebrała się załoga i żołnierze.

- Dziękuję - powiedział. - Wykonaliście wspaniałą robotę. To były tylko ćwiczenia, ale jestem pewien, że gdybyśmy znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie, moglibyśmy całkowicie na was polegać.

Roześmiali się z uznaniem.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział i skinął na Magnusona, Meada, Romera i Ridleya, żeby przyłączyli się do niego i poprowadził ich do czekających oficerów, i urzędników Departamentu Stanu.

- Chciałbym, żeby ci ludzie otrzymali odznaczenia nie za to, że mnie uratowali, chociaż im się to udało, ale za niezwykłą odwagę. Nie wiem, jak udało się porucznikowi Magnusonowi posadzić na ziemi ten helikopter, a to co potem zrobili on i kapral Mead, było po prostu bohaterskie. Sami zatrzymali cały oddział nieprzyjaciela. Potem trzech żołnierzy nieprzyjacielskich zbliżyło się do nas od tyłu i pułkownik Romer i chorąży Ridley zastrzelili ich. Ich ciała znajdziecie kilkadziesiąt metrów od naszych stanowisk.

Na koniec zwrócił się do swoich towarzyszy.

- Nie wiem, co mam powiedzieć, bo jak właściwie ma się dziękować za życie? - Ucisnął każdemu rękę, a potem otoczył jednym ramieniem Meada, a drugim Magnusona i zwrócił się do generała z dwiema gwiazdkami na ramionach.

- Pragnę szczególnie pochwalić kaprała Meada i porucznika Magnusona.

- Pochwalić ich? - zażartował Romer. - Ja myślę, że powinno się ich postawić przed sądem, sir. Najpierw jeden rozbił helikopter, a potem drugi wysadził go w powietrze.

- To prawda. Celowe zniszczenie własności państwowej. Myślę, że można by potrącać koszt helikoptera z ich poborów. A teraz, panowie... i Dolores - powiedział Marshall, widząc swoją sekretarkę stojącą za pułkownikiem Waggonerem.

- Jezu - szepnęła Magnuson do siebie widząc, że Dolores wpatruje się w niego z niepokojem i bezwiednie wbija paznokcie w ramię pułkownika.

- Dolores - powiedział Marshall. - Ty też nas ocaliłaś. Byłaś naszym tajnym hasłem. Jestem pewien, że już leżelibyśmy tam z poderżniętymi gardłami, gdyby nie ty. A teraz, jeżeli nam wybaczycie, zakończymy ten dzień. Jutro zrobimy sobie wolne. Niech nikt nie przychodzi do pracy.

Uklonił się wszystkim i podszedł do limuzyny zaparkowanej koło samolotów.

- Zabieramy się stąd, Stokes.

Wszyscy patrzyli za oddalającym się samochodem. Generał zwrócił się do Romera i pozostałych.

- Zanim zaczniecie wasze wakacje, chciałbym przeprowadzić z wami małą odprawę, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Może uzupełnicie trochę naszą wiedzę na temat tego, co się tam, kurwa, działo.

Minęły prawie dwie godziny, zanim pozwolono odejść Meadowi. Romer i Magnuson jeszcze tam zostali.

Złapał przed bramą taksówkę i wysiadł przed swoim domem tuż przed drugą w nocy. Minęło prawie dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy wczoraj rano pojechał do ambasady.

Po zapłaceniu kierowcy stał przez chwilę na chodniku, zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Nagle zobaczył Bernarda Lacouture'a biegnącego w jego stronę wzdłuż ulicy.

- Jezu - mruknął.

- *Cheril* - Lacouture podbiegł wymachując chusteczką, a potem zatrzymał się zaniepokojony. - Co ci się stało? Całe ubranie masz mokre! I podarte! Czy wszystko w porządku? Czy nie jesteś ranny? Ojej! Ojej, czy nie krwawisz?

- Dobrze się czuję - powiedział Mead chrapliwie. - Widzi pan, panie La...

- Bernard.

- Tak, Bernardzie. Widzisz, jestem skonany. Nic mi się nie stało. Naprawdę. Tylko się zamoczyłem. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale... czy możemy pogadać kiedy indziej?

Lacouture nerwowo skubał chusteczkę.

- Oczywiście. Nie powinienem być cię niepokoić. Ja tylko... chciałem się z tobą zobaczyć. Chciałem dowiedzieć się, czy to prawda... że moglibyśmy być przyjaciółmi.

Wyglądał na tak smutnego i nieszczęśliwego, że Meadowi zrobiło się go żal.

- Jasne - powiedział. - Tylko w tej chwili jestem tak zmęczony, że ledwo stoję. Czy możemy spotkać się kiedy indziej? - Położył rękę na ramieniu Lacouture'a. - Obiecuję.

Wspiął się po schodach. Lacouture patrzył za nim. Wciąż czuł na ramieniu siłę jego uścisku, ale wiedział, że był to dotyk przyjazny. Poczuł się szczęśliwy. Może to okaże się prawdą?

Jak tylko Mead otworzył drzwi do swojego pokoju, Sung zerwała się ze śpiwora rozłożonego w rogu pokoju. Palilo się światło, a pokój był jeszcze bardziej zmieniony niż poprzedniego dnia. Na stole leżał obrus i stał wazon z kwiatami. Na oknie wisały nowe zasłony, a na podłodze leżała mata.

Kiedy go zobaczyła, podniosła ręce do ust.

- Jesteś ranny? - spytała.

Jej widok nappełnił go wielkim szczęściem. Chciał ją chwycić i przytulić, ale zamiast tego cofnął się wstydliwie.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Ale twoja twarz i... - Spojrzała na jego brudny i podarty mundur. Podszedł do lustra. Jego twarz i włosy były pokryte błotem. Spojrzał na siebie.

Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby został ranny w walce.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

Chciał usiąść, ale uznał, że jest zbyt brudny. Zobaczył, że jego buty zostawiają błotniste ślady.

- Przepraszam - powiedział, patrząc na plamy. - Lepiej będzie, jak zdejmę buty. Krępował się rozebrać przy niej, chociaż nie mógł pojąć dlaczego. Zdjął kurtkę i trzymał ją w ręku, nie wiedząc, gdzie ją ma położyć.

Wreszcie wzięła mu ją z rąk i poczekała, aż zdejmie buty. Postawiła je w kącie. Wzięła od niego spodnie, a on szybko przeszedł przez pokój, żeby włożyć suchą bieliznę.

- Chcesz coś zjeść? - zapytała. - Albo napić się? Kupiłam trochę herbaty z tych pieniędzy, które

mi dałeś.

- Nie, dziękuję - powiedział i nie mógł opanować ziewnięcia. Położył się na śpiworze. - A ty jak się czujesz?

- Znacznie lepiej - powiedziała, stojąc nadal po drugiej stronie pokoju i trzymając jego ubranie.

On jednak już nie słyszał. Spał.

Była prawie trzecia, kiedy Magnuson dotarł do swojej kwatery po złożeniu dokładnego raportu o wydarzeniach całego dnia, włącznie ze wszystkimi postojami, potwierdził to, o czym mówił Marshall. Opowiadał to trzem oddzielnym grupom - wojsku, Departamentowi Stanu i wywiadowi.

Wziął gorący prysznic i właśnie się wycierał, kiedy usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

Och, nie, pomyślał sądząc, że to Dolores, ale mimo wyczerpania dostał erekcji, zanim podszedł do drzwi.

Wilson Abbot Lord wsunął się do pokoju, zamknął za sobą drzwi i odwrócił się do Magnusona. Zauważył erekcję, którą ten usiłował zasłonić ręcznikiem.

- Wydaje mi się, że spodziewałeś się kogoś innego - powiedział Lord. - Może panny Toland?

- Jezu, czy mówili o tym w wiadomościach? Wydaje mi się, że cały Wietnam wie.

Lord podszedł do fotela i usiadł.

- Pogadajmy chwilę, poruczniku - powiedział, wskazując na sofę naprzeciwko. Magnuson owinął się ręcznikiem i usiadł.

- Powiedz mi, co się stało z tym helikopterem. Może wiesz lepiej ode mnie, pomyślał Magnuson.

- Przewód paliwowy - powiedział. - Mogło być wszystko. Takie rzeczy się zdarzają. Wadliwe paliwo, przeciek, problem elektryczny. Tego nie można stwierdzić, jeżeli nie zbada się maszyny.

Lord skinął głową.

- Oszczędź sobie skromności. Powiedz mi, jak bardzo dopisało ci szczęście, że wylądowałeś bezpiecznie?

- Że wylądowałem? To nie było szczęście. To była umiejętność. Jestem dobry, a poza tym nie mam ochoty umierać.

- Ilu pilotów potrafiłoby zrobić to samo co ty? Magnuson wzruszył ramionami.

- Niewielu. To, że nie było później wybuchu, to czyste szczęście, a to że wydostaliśmy się cało, to też nie szczęście, tylko kapral Mead. Bez niego, albo z kimkolwiek innym, Wietkong by nas załatwił na amen.

- Było gorąco? Magnuson roześmiał się.

- Prezydent był o piczy włos od utraty swego specjalnego wysłannika.

Czy wszyscy piloci tak rozmawiają? - zastanawiał się Lord, myśląc o Jeffie Gibbonie.

Twarz i głos Lorda były spokojne. Trochę go niepokoił rozwój wypadków, ale nie bardzo. Potknięcia zdarzały się tak często w tej robocie, że były raczej regułą niż wyjątkiem. Plan się nie udał. Teraz będzie trzeba wprowadzić w życie plan awaryjny. Musi oprzeć się na Lacouturze, licząc na to, że uda mu się zorganizować

spotkanie. Nie może zaryzykować kolejnego „wypadku” z helikopterem. Tym razem sam dopilnuje przeprowadzenia planu. Dopilnuje osobiście każdego szczegółu.

Najpierw musi dorwać Bui Cao Kima. Śledził Kima i odkrył, że to on przynosi wiadomości od Lacouture'a do komunistów. Zbyt dużo wiadomości. To i pewność siebie Lacouture'a budziły podejrzenie, czy aby Lacouture go nie oszukuje. Odpowiednio zmotywowany Kim powie Lordowi wszystko, ale potrzebny jest do tego Magnuson.

- Zgłosił się pan do mnie z doskonałymi referencjami, poruczniku. Teraz zobaczymy, czy na nie zasłużyłeś. Będę miał dla ciebie specjalne zadanie.

Powiedział to tak lodowatym głosem, że Magnuson natychmiast zrozumiał, co Lord ma na myśli.

- Nigdy nikogo nie zmuszam - powiedział Lord. - Więc powiedz, zgadzasz się? Jakbym miał jakiś wybór, pomyślał Magnuson.

- Tak, sir - powiedział.

- Dobrze. - Lord kiwnął głową wstając i jednocześnie kierując się do drzwi. -Bądź przygotowany na lot następnej nocy. Nie rób żadnych planów na wieczór.

Uśmiechnął się chłodno.

- Miłych snów, poruczniku.

Marshall obudził się następnego dnia dopiero po dziesiątej. Był obolały i poobijany, jeszcze przez godzinę pozostał w łóżku.

Kiedy zeszedł na dół w towarzystwie służby, otoczony luksusem, dzień wczorajszy wydał mu się jak jakieś dziwaczne przedstawienie w technikolorze, bardziej odpowiednie na sobotni poranek dla dzieci. Tylko bolące mięśnie świadczyły o tym, że to się rzeczywiście zdarzyło.

Śniadanie podano na porcelanowej i kryształowej zastawie. Na stole stały świeże kwiaty. Drzwi do ogrodu były otwarte. Wiatrak pod sufitem wytwarzał chłodny powiew i roznosił woń tysiąca kwiatów.

Z ambasady przysłano dla niego pocztę. Przeglądał ją leniwie, aż natrafił na kopertę z obrazkiem przedstawiającym żołnierza Sił Specjalnych, zaadresowaną ołówkiem i wysłaną z Fort Bragg. Rozerwał ją.

Drogi Tato,

Jak tam wojna? Czy wygrywamy? Czy myślisz, że zostanie ktoś jeszcze, żebym mógł go zabić albo ocalić, kiedy tam dotrę?

Szkolenie rekruckie nie było tak okropne, jak się obawiałem. Było to raczej znęcanie się psychiczne niż wysiłek fizyczny, a ponieważ wychowałem się w atmosferze wojny psychologicznej, byłem lepiej przygotowany niż inni (oczywiście żartuję).

Najlepszym dziesięciu procentom w obozie Han możliwość wyboru. Ja wybrałem Siły Specjalne. Nie ma sensu zatrzymywać się w pół drogi. Prawda?

Jak dotąd szkoła nas jak zwierzęta. Jemy owady i takie różne rzeczy, nauczyłem się mnóstwa dosadnych nowych słów i powiedzeń, których pewnie nigdy nie poznałbym w Brown, co dowodzi, że nie wszystko można zdobyć za pieniądze.

Po szkoleniu rekruckim pojechałem do domu na kilka dni, ale mama tylko płakała i za każdym razem, kiedy wchodziłem do pokoju, zalewała się taa.Tn z powodu mojej ogolonej głowy. Dałem w łeb Chrisowi, kiedy powiedział, że moja głowa przypomina mu jego prawe jajo, ale Sara stwierdziła, że raczej przypomina lewe jajo jej chłopaka (nadał Bosco), więc wyjechałem i chyba nie wrócę, dopóki wojna się nie skończy. Czy wiesz, kiedy to może nastąpić?

Do zobaczenia wkrótce. Zostaw dla mnie trochę komunistów.

Twój w Chrystusie i po amerykańsku,

P<yan

- O mój Boże - powiedział do siebie Marshall składając list i wkładając go pod inne. Potem przeczytał go jeszcze dwukrotnie. Siły Specjalne. Głupi sukinsyn. Niech go diabli wezmą! Nie zgadzam się i tyle. Nie dopuszczę do tego!

Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się.

Co może zrobić? Rozejrzył się bezradnie.

Nic nie może zrobić.

Co by to było, gdyby to Ryan był w Delcie wczoraj w nocy? Nigdy by nie przeżył, pomyślał Marshall. Będzie gdzieś wśród nocy, przerażony i samotny, a nieprzyjaciel będzie się zbliżać...

Ryan. Jego syn.

O mój Boże, pomyślał. Zielone Berety. Głupi, głupi sukinsyn. Zginie.

Nich go diabli wezmą!

Ale to się nie stanie i tyle. Nie dopuści do tego.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do generała Trana w kwaterze głównej armii południowowietnamskiej.

Adiutant poinformował go, że generała nie ma. Prosił, by pozostawić numer. Generał skontaktuje się po powrocie.

Zanim zdążył podejść do stołu, żeby napić się kawy, zadzwonił generał Tran.

- Po tym, jak obtańcowałem swojego adiutanta i poleciłem mu, by informował wszystkich, że mnie nie ma, ten idiota potraktował moje polecenie dosłownie. Widać nie rozumie, co znaczy słowo „wszystkich”. Co mogę zrobić dla pana, ekscelencjo?

- Ktoś chce się ze mną spotkać. Z panem też. Podano mi słowo, które podobno ma jakieś znaczenie. To słowo brzmi „piskliwy”.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Tak długa, że Marshall zaczął obawiać się, iż ich rozłączono.

- Obawiam się, że ta linia nie jest bezpieczna - odezwał się wreszcie Tran.

- A jaka linia jest bezpieczna? Ale to słowo chyba coś znaczy.

- Tak - przyznał Tran. - Ono coś znaczy tylko dla... jednego, innego człowieka.

- I co mu pan powie?
- Nie jestem pewien, czy mnie usłyszysz, a nawet jeżeli tak, czy będę miał ochotę z nim rozmawiać.

Znowu nastąpiła długa chwila ciszy.

- La Goulue - powiedział wreszcie z rezygnacją i nutką goryczy.

- La Goulue? - powtórzył Marshall. - Po francusku?

- Tak.

- Dziękuję, generale - powiedział z wdzięcznością. - Skontaktuję się z panem. Sprawy zaczynały się ze sobą wiązać, pomyślał Marshall. Poczul w sercu jakieś

ciepło. Lacouture'owi można zaufać. Jego propozycja spotkania jest rzetelna. Przedstawi Johnsonowi coś konkretnego. Może będzie można wprowadzić natychmiastowe zawieszenie broni. A Ryan? Będzie ocalony. Serce biło mu radośnie.

Kiedy Marshall odłożył słuchawkę, wyjął z portfela wizytówkę Lacouture'a i wykręcił numer.

- *Allo, allo* - padła natychmiast odpowiedź wygłoszona z takim entuzjazmem, że Marshall aż się uśmiechnął. Przynajmniej jeden człowiek w Sajgonie jest szczęśliwy, pomyślał.

- *Monsieur Lacouture?*

- Ach, ekscelencja. Witam. Jak to miło, że pan zadzwonił.

- Mam odpowiedź. Brzmi ona „La Goulue”.

- *Pardon?*

- La Goulue. Nastąpiła chwila ciszy.

- *Bien.*

- Czekam na szybką wiadomość - powiedział Marshall i odłożył słuchawkę.

Lord przesłuchał nagraną rozmowę i zapisał hasło.

La Goulue - po francusku obżartuch. Nie musiał nawet sprawdzać w słowniku

Siedział nieruchomo przy biurku, koncentrując się na zapisanym słowie. Odegnął od siebie wszystkie inne myśli. - La Goulue - powiedział cicho, jakby smakując brzmienie. Co się z tym słowem kojarzyło? Pozwolił swobodnie biec myślom i obserwował je jakby z zewnątrz, gdy słowo przenikało w najdalsze zakątki jego umysłu w poszukiwaniu wspomnień i skojarzeń.

Coś ono znaczyło. Jakieś niewyraźne, zadawnione wspomnienie, jak dawno pozostawiony ślad.

Kobieta. Tak. Kobieta. Nie mógł sobie jednak przypomnieć. Próbował się skoncentrować na różnych typach. Kobieta otyła, nimfomanka, narkomanka... Nie. To nie jest właściwy trop. Skojarzenie jest bardziej ulotne. Mniej narzucające się.

Wstał. Przypomni sobie. Na ogół, kiedy był już tak blisko, zawsze sobie przypominał. Nie będzie się śpieszyć.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

Do pokoju wszedł Jeff Gibbon. Wyglądał na skruszonego i zaniepokojonego. Lord wskazał mu krzesło, a sam usiadł za biurkiem.

- Pierwszy raz mi się zdarzyło, żebym coś spieprzył - powiedział Gibbon.

- To nie twoja wina. Często tak się dzieje. Musisz do tego przywyknąć. Pilot zdołał wylądować. Kapral piechoty morskiej przepędził oddział Wietkongu. Nie można cię winić, że czegoś takiego nie przewidziałeś.

Gibbon skinął głową.

- Dziękuję, ale przykro mi, że pana zawiodłem.

- Nie szkodzi. To był w zasadzie mój plan alternatywny. Teraz zostaje rozwiązanie, które i tak stawiałem wyżej. Wrobiłem Lacouture'a w zorganizowanie spotkania Marshalla z Wietnamczykami z Północy. Ma to być jednak zasadzka. Marshallowi tylko wydaje się, że uda się na rozmowy pokojowe. Lacouture osiągnął już to, że Marshall połknął przynętę. Ten mały żabojad wykonał dobrą robotę.

Lord rozparł się w krześle, a rysy jego twarzy wyostrzyły się.

- Może nawet za dobrą. Poszło mu zbyt łatwo, a komuniści okazali się zbyt chętni. Armia północnowietnamska nigdy się szybko nie angażuje. Są za ostrożni. W tym przypadku jednak nastąpiła szybka wymiana zaszyfrowanych wiadomości, która wskazuje, że chcą spotkać się z Marshallem. Myślę, że Lacouture gra na dwie strony.

Lord uśmiechnął się nieznacznie.

- Widzisz, ja o mało co też nie spieprzyłem roboty przez to, że nie wziąłem pod uwagę tego, że armia północnowietnamska może chcieć spotkać się z Marshallem, zamiast przygotować na niego zasadzkę. Tak pochłonęły mnie moje plany i strategia, że o mało co nie zapomniałem o ich planach i strategii. To zupełnie tak, jakby grało się w szachy, nie zastanawiając się nad ruchami przeciwnika. Grasz w szachy, Jeff?

- Troszeczkę - odparł Gibbon z leciutką ironią.

- Aha, musisz być dobry. Niedługo zagramy.

- Co ma pan zamiar zrobić z podwójną grą Lacouture'a? - zapytał Gibbon.

- Jeszcze nie jestem pewien, czy gra na dwie strony. Muszę to sprawdzić. Muszę wepchnąć kogoś do jego łóżka, żeby wyszeptał mu najskrytsze tajemnice. - Spojrzał ostro na Gibbona. - Zrobiłbyś to, Jeff?

Gibbon przełknął, ale nie odwrócił wzroku.

- Gdyby pan mi kazał. Lord uśmiechnął się.

- Mam już kandydata, ale w każdym razie dziękuję. Żeby się upewnić, czy Lacouture nie prowadzi podwójnej gry, zgramę Bui Cao Kima, który przekazuje wiadomości tam i z powrotem.

- A co ja mam zrobić? - zapytał Gibbon.

- Tymczasem nic, ale pewnie będę cię potrzebować. Możesz być bardzo pomocny, bo będę mógł się przed tobą wygadać - powiedział szczerze. - To dobrze mieć się przed kim zwierzyć, Jeffrey.

Mead obudził się nagle. Spojrzał na zegarek i zerwał się, odrzucając śpiwór i pędząc do kąta, gdzie zostawił ubranie.

Była pierwsza po południu. Jezu! - pomyślał. Przespałem cały dzień. Postawią mnie przed sądem. Waggoner da mi za to w dupę.

Ale gdzie się podziało ubranie? Co się stało z butami? Podniósł je w zdumieniu. Były wyczyszczone, ale nie tak wyglansowane jak on to robił, i były wilgotne. Uderzył się w czoło. Przypomniał sobie wczorajszy dzień i fakt, że nie musi dzisiaj meldować się w ambasadzie.

Odwrócił się i zobaczył Sung siedzącą przy stole i reperującą jego podarte ubranie. Spoglądała na niego z pewną powściągliwością. Postawił buty na podłodze, podszedł do stołu i usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Dziękuję - powiedział. Opuściła głowę.

Wyjął jej ubranie z rąk.

- Nie musisz tego robić. Nie podniosła głowy.

- Ja... nie mam nic innego do roboty. - Uśmiechnęła się lekko. - Nigdy nie potrafię powiedzieć właściwej rzeczy. Powinnam była powiedzieć, że robię to z przyjemnością.

- Nie. Nie powinnaś była tego powiedzieć. Mów tylko to, co czujesz, i rób tylko to, na co masz ochotę. Nawet jeżeli nie masz nic do roboty, nie robić nic jest lepsze niż czyścić facetowi buty i naprawiać jego ubrania.

- Czy twoja matka nie robiła tego dla twojego ojca?

- Tak, ale nie powinna była, a ja nie chcę, żebyś była jak moja matka. Wstał i poszedł do drugiego kąta, w którym ustawione były puszkami z żywnością i paczki kawy. Wziął parę puszek i kawę.

- Chciałabyś gdzieś pójść dzisiaj? Nie muszę iść do pracy. Chciałabyś gdzieś pójść?

Podniecony znowu usiadł naprzeciw niej.

- Możemy pójść do śródmieścia albo nad rzekę. Może do zoo? Co o tym myślisz? Byłaś już w zoo?

Pokręciła wstydliwie głową, wciąż jej nie podnosząc.

- No to pójdziemy do zoo. Oczywiście jeżeli będziesz chciała. Chciałabyś pójść . ze mną? A może wolisz nie iść?

W dalszym ciągu głowę miała spuszczoną, a potem z wahaniem dotknęła palcem swojej podartej bluzki.

- Moje ubranie jest...

- Mówiłem, żebyś kupiła nowe ubranie. Dałem ci pieniądze. Wskazała na jego spodnie leżące na podłodze.

- Włożyłam ci pieniądze do kieszeni. Nie mogłam wziąć twoich pieniędzy, żeby kupić sobie ubranie.

- Głupstwa gadasz - powiedział. - Chciałem powiedzieć, że pragnąłem, żebyś kupiła sobie ubranie. Ja pieniędzy nie potrzebuję. Nigdy ani grosza nie wydaję. Niczego nie potrzebuję.

Wstał znowu i nagle poczuł się bardzo szczęśliwy.

- A poszłabyś, gdybyś miała ubranie? Świetnie byśmy się bawili. Tam są zwierzęta nawet głupsze niż ja.

Roześmiał się. Nigdy jeszcze nie słyszała jego śmiechu. Uśmiechnęła się do niego.

- Wspaniale - powiedział. - Może pożyczysz coś od Hań, żebyśmy mogli pójść. Później kupię ci jakieś ubranie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sung odsunęła się szybko i schowała do kąta.

- Tak? - krzyknął Mead.

Drzwi uchyliły się i do pokoju wsunął głowę Jim Magnuson. Mead zerwał się.

Magnuson rozejrzał się, uśmiechnął się do Sung i odezwał się przepaszajaco do Meada.

- Przepraszam, że cię tak nachodzę, ale obiecałem ci rozmowę. Myślałem, że dzisiaj będzie odpowiednia pora. Cholernie trudno cię znaleźć. Żaden z twoich kolegów w koszarach nie chciał mi podać twojego adresu. Dlaczego wszyscy są tacy podejrzliwi w stosunku do oficerów? Zaprosisz mnie do środka czy nie? Jezuu, co za piękna kobieta!

Zamknął za sobą drzwi.

Mead był zbyt zaskoczony, żeby cokolwiek powiedzieć. Wreszcie odezwał się do Sung.

- To jest porucznik Magnuson. On jest... My razem pracujemy czy coś w tym sensie, tylko że on jest oficerem.

Skinęła głową Magnusonowi i zwróciła się do Meada:

- Pójdę odwiedzić Hań.

Kiedy wyszła, Magnuson gwizdnął cicho.

- Chcesz się zamienić? Daję Dolores i mój stopień porucznika. Mead uśmiechnął się.

- Nie, sir. Dziękuję.

- Cholera! Najlepsze zawsze trafia się kapralom.

- Proszę usiąść, sir. Czy mogę coś zaproponować? Magnuson pokręcił głową.

- To nie zajmie nam dużo czasu. Nie chcę cię odciągać od ważniejszych spraw. Naprawdę mi przykro, że tak się wpakowałem, ale myślę, że powinniśmy pogadać.

Mead dał mu znak, żeby usiadł. Patrzyli na siebie przez dobrą chwilę. Wreszcie Magnuson odezwał się.

- To będzie trudne, ponieważ żaden z nas nie może nic powiedzieć, a w tej robocie nie powinno się nic mówić i nie powinno się nikomu ufać.

Magnuson pochylił się nad stołem.

- Po wczorajszym mam zamiar jednak ci zaufać.

Znowu milczeli przez chwilę, ale nie odwracali od siebie wzroku. Wreszcie znowu odezwał się Magnuson.

- Mam zrobić coś i nie jestem pewien, czy mam ochotę to zrobić. Mead nie zmienił wyrazu twarzy tylko patrzył na niego.

- Ja też - powiedział wreszcie.

- Nie jestem pewien, czy to słuszne.

- Ani ja - odpowiedział Mead. Magnuson skinął powoli głową.

- Może nie powinniśmy się w tej chwili posuwać dalej. To jest początek, żeby dać sobie sygnał, że obydwaj jesteśmy w grze i może nawet po tej samej stronie. - Poprawił się na krześle. - Myślę, kapralu, że wdepnęliśmy w większe gównno. Wielka szkoda, że musieliśmy zniszczyć helikopter. Naprawdę chciałem zobaczyć ten przewód paliwowy.

- Czemu, sir?

- Ponieważ istnieje jeszcze jedna możliwość poza zanieczyszczonym paliwem i awarią układu

elektrycznego. Ktoś mógł w nim grzebać, ale tego nigdy się nie dowiemy.

- Kto mógłby to zrobić, sir?

Magnuson patrzył na Meada uważnie.

- Właśnie tu musimy być szczególnie ostrożni i to próbuje zrobić. Chciałbym rozszyfrować tę grę i zorientować się kto jest po której stronie.

Magnuson wstał i wyciągnął rękę.

- Mam szczerą nadzieję, że gramy w tej samej drużynie. Myślę, że tak jest. Wtedy wykaraskamy się z tego, jak zeszłej nocy. Musimy jednak być bardzo ostrożni i zanim cokolwiek zrobimy z tych rzeczy, których robić nie chcemy, myślę, że powinniśmy pogadać.

Uścisnęli sobie ręce i Magnuson poklepał Meada po ramieniu.

- Do zobaczenia jutro. - Zatrzymał się przy drzwiach. - Jesteś pewien, że nie chcesz zamiany? Dorzucę mój helikopter.

- Kurczę, nie, sir!

- Nowy helikopter. Stoi na lotnisku. - Uśmiechnął się i wyszedł.

Mead usiadł z powrotem. Dość długo siedział nieruchomo. Czy naprawdę ufa Magnusonowi? Co on miał na myśli, mówiąc o przewodzie paliwowym? Kto mógłby w nim grzebać? Kto chciałby zabić Marshalla?

Potrząsnął głową, próbując opanować zamęt w głowie. Nie wiedział, co ma myśleć.

Ufał Lordowi. Coś jednak było nie tak. Wydawało mu się, że ufa Magnusonowi, ale z kolei Magnuson robił jakieś dziwne aluzje. Wiedział, że Lacouture jest zepsuty. Instynkt jednak podpowiadał mu, że można ufać temu dziwnemu małemu Francuzowi.

Jedyna rzecz, jakiej był pewien, to to, że pragnie chronić Marshalla. Teraz jednak pojawiło się niepokojące pytanie. Chronić go przed kim? Nagle wszystko się pogmatwało i nie był już pewien, kto właściwie jest nieprzyjacielem.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Sung w jasnoniebieskim *ao dal* pożyczonym od Hań.

Uśmiechnął się na jej widok, ponieważ druga rzecz, której był pewien, to to, że się zakochał. Zerwał się na jej widok.

- Boże, ale ty pięknie wyglądasz - powiedział. Opuściła głowę.

- Za minutę będę gotowy. Zaraz się ubiorę.

Nagle znowu był szczęśliwy. Wszystko stało się nieważne wobec możliwości ; przebywania z nią i pójścia razem do zoo.

XXXI

Frizzell doprowadził ich do skraju polany. Cała czwórka rozdzieliła się. Mimo padającego drobnego deszczu mogli dostrzec migocące między drzewami światła, niecałe pół kilometra od nich.

Brock wiedział, że właśnie o to chodziło, ale koncentracja była większa, niż się spodziewał, i prawdopodobnie większa, niż się spodziewano w Khe Sanh.

Taka duża jednostka musiała się otoczyć kordonem czujek i placówek nasłuchu. Brock wiedział jednak również, że najpewniej nie spodziewano się, że nieprzyjaciel zapanuje tak daleko na północ. Obawiano się głównie zwiadu powietrznego i przypadkowych bombardowań.

Pracę rozpoczęli chyba po zapadnięciu zmroku. Teraz musieli więc być zmęczeni i nieuważni. Śpieszyli się, by skończyć przed świtem. Brock oceniał, że teraz jest najlepszy moment, by działać.

Zebrał ich wokół siebie.

- Chcę przekroczyć polanę. Myślę, że będziemy bezpieczni.

- Czy poza tym, że jesteś stary, jesteś jeszcze ślepy? - syknął Sutherland. - Mamy co trzeba. Frizzell ich znalazł. Misja zakończona.

Coney kiwnął głową, że się zgadza z Sutherlandem.

- Tam jest mnóstwo żółtków, sierzancie. Załatwią nas, jeżeli podejdziemy bliżej.

- Musimy wiedzieć, ilu ich tam jest.

- Cztery tysiące sześciuset dwunastu. Właśnie policzyłem - powiedział Sutherland.

- Posłuchajcie - obstawał przy swoim Brock. - To jest ważne. Nagle to się stało wielką sprawą. Nawet nie przypuszczam, żeby w Khe Sanh mieli pojęcie, ilu ich tu jest.

- Zgadzam się, że to wielka sprawa. To widać. Wrócimy i powiemy im. Powiemy, że tu jest mnóstwo żółtków. Powiemy im, że zebrał tu wielką pieprzoną armię. Ja jestem kapralem i widzę, że szykuje się wielka chryja. Myślę, że jakiś pieprzony generał też się tego domyśli.

- Generałowie będą chcieli wiedzieć, ilu ich jest, z jakich jednostek i jakie mają uzbrojenie.

Sutherland przysunął twarz do twarzy Brocka.

- Jeżeli są tak kurewsko ciekawi, mogą przyjść tutaj i zobaczyć sami. Mogą też sobie przy okazji pomierzyć kutasy. Ja widziałem już dość. Teraz skończ z tym gównem i wyprowadź nas stąd.

Brock opierał się.

- Podejdziemy bliżej. Zobaczymy dokładnie, co się tam dzieje, a potem ty i ja osobiście opowiemy o tym dowódcy w Khe Sanh. W ten sposób wykonamy naszą robotę i ocalimy dupy wielu chłopaków. Czy chcesz iść przodem, czy też ma to zrobić Frizzell? W każdym razie od tej chwili będziesz zawsze szedł przede mną, żebym mógł na ciebie uważać, gdyby ci przyszła ochota strzelić mi w plecy. Nie przypuszczam, żebyś to zrobił, ale na wszelki wypadek, Sutherland, ponieważ cię

znam, ponieważ byłem na dwóch pieprzonych wojnach, ponieważ mam ochotę jeszcze zobaczyć się z żoną i ponieważ mam równie dużą ochotę żyć jak ty. Sutherland zacisnął usta.

- Niech Frizzell idzie przodem.

Nagle Frizzell zatrzymał się zdezorientowany w połowie drogi przez polanę. Deszcz nasilił się i nie widział już światła.

- Co się dzieje? - zapytał Brock przysuwając się do niego. Frizzell rozejrzał się dokoła zagubiony.

- Nie wiem. Ja tylko... - zamknął oczy i potrząsnął głową starając się oprzytomnieć.

Rozejrzał się szybko i ogarnęła go panika. Dotknął ręką twarzy. Była lepka. Coś w nim krzyczało, ostrzegało. Nagle sparaliżował go strach. Brock dał znak Sutherlandowi.

- Przejmij prowadzenie.

Przez chwilę Sutherland stał na środku błotnistej polany i przed oczami pojawił mu się obraz śmierci. Zimno, pustka, przerażenie. To wszystko czekało na niego wśród drzew. Nie mógł się ruszyć

z miejsca. Ścisnął karabin tak mocno, że aż ręce mu drżały. Wtedy zobaczył trumnę.

Daleko pośród drzew zobaczył ją wyraźnie przed sobą. Nie mógł przed nią uciec. Wciąż na niego czekała. Zamknął oczy, a jego ręka powędrowała do amuletu wiszącego na szyi. Poglądził go gwałtownym ruchem, a potem otworzył oczy.

Trumna zniknęła. Odetchnął z ulgą. Panika minęła. Wzrok się wyostriżył. Usta się zacisnęły. Całe ciało rozluźniło się, jakby zlewało się z mrokiem i terenem. Ruszył bez wysiłku, znikając w ciemnościach.

Poruszał się tak szybko, że inni ledwo mogli za nim nadążyć, i nawet, kiedy przekroczyli polanę, nie zatrzymał się, klucząc bez chwili wahania między drzewami.

Zatrzymał się nagle i rozłożył ręce na znak, żeby się kryli. Natychmiast przypadli do ziemi i przez chwilę Brock nic nie mógł usłyszeć oprócz swojego ciężkiego oddechu. Oparł głowę na wilgotnej ziemi.

Dobiegały ich odgłosy kopania, potem głosy ludzkie. Brock bał się unieść głowę, ale po chwili opanował się i rozejrzał. Wszędzie dokoła paliły się latarnie. Byli tak blisko, że znowu chciał przypaść do ziemi. Był zbyt przestraszony, żeby wypowiedzieć choć słowo albo się poruszyć. Sutherland wprowadził ich w sam środek nieprzyjaciela.

Nie mogli nawet poszukać lepszej osłony. Brock wiedział, że nieprzyjaciel wkrótce ukryje się, ale obawiał się, że jakiś żołnierz natknie się na nich szukając schronienia. Nie mieli wyboru. Musieli czekać, aż nadejdzie dzień.

Głosy żołnierzy Wietkongu i odgłosy kopania uspokoiły Brocka. To, że pracują i przeklinają, upewniło go, że nie podejrzewają ich obecności. Jednak przed świtem radio nieprzyjaciela ożyło i Brock mógł ocenić po brzmieniu głosu radiooperatora, że coś się wydarzyło.

Przez radio padły ostre, gniewne rozkazy, które zostały przekazane pracującym.

Nastąpiła cisza, a potem nastąpiły przyciszzone, niespokojne rozmowy.

Stało się jasne, że znaleziono ciało wartownika, którego zabił Coney.

Było już za późno, żeby przeszukać teren. Horyzont zaczynał się rozjaśniać.

Brock zastanawiał się, co nieprzyjaciel może zrobić teraz, kiedy wie już, że patrol działa w tym rejonie. Czy pozostawią czujki na otwartym terenie, żeby ich poszukiwały? Czy zorganizują zasadzki? Czy się ukryją?

Wiedział, że zgadywanie jest daremne. Nie jest oficerem i nie może nawet na chwilę przestawić się na obmyślanie strategii, czy też podejmowanie decyzji taktycznych. Nigdy nawet nie wiedział dokładnie, co ma zamiar zrobić porucznik. Zawsze było coś, czego on, Brock, nie wziął pod uwagę.

Dokładnie znał swoje ograniczenia. Jest tylko sierżantem, który nie powinien dowodzić patrolom za liniami nieprzyjaciela w Strefie Zdemilitaryzowanej. Popułnił grubo błąd narażając patrol w ten sposób. Zdał sobie sprawę, że powinien był zawrócić, jak tylko Frizzell zlokalizował miejsce koncentracji.

Nie powinien był też zostawiać Landisa. Biedny sukinsyn jest prawdopodobnie przerażony. Tępy osiemnastolatek - okaleczony i pozostawiony w bunkrze w samym środku terenu opanowanego przez nieprzyjaciela.

Nie przemyślał też sprawy zabitego wartownika. Teraz to rozumiał. Patrole amerykańskie nigdy nie docierały tak daleko na północ, a tu nagle w toku tajnej operacji nieprzyjaciel znajduje jednego ze swoich żołnierzy z poderżniętym gardłem.

Jezu, pomyślał, a co będzie, jeżeli nieprzyjaciel zorientuje się, że nie mają radia i nie mogą nikogo zawiadomić o miejscu koncentracji?

Zaczęła go ogarniać panika. Co się stanie, jeżeli znajdą Landisa i zniszczone radio, i powiążą to z martwym wartownikiem? Oczywiście, że skojarzą. Żołnierz pozostawiony ze względu na ranę w nodze i porzucone radio. Nie było sposobu, żeby przekazać wiadomość do Khe Sanh.

Wystarczy, że poczekają, aż patrol wróci po rannego. Wtedy zabiją ich wszystkich. Nie będą musieli ich szukać.

Opuścił głowę na piersi. Cholera. Co mam robić? Nigdy nie powinienem był tu przychodzić. Należało się wycofać, jak tylko Coney zabił wartownika.

Landis. Jęknął w duchu na myśl, co z nim zrobią, kiedy go znajdą.

Ciało znaleźli dopiero przed chwilą. Jeżeli znaleźli Landisa wcześniej, po prostu go zabili. Jeżeli znajdą go teraz... O Boże, pomyślał, musimy do niego wracać.

Tego jednak właśnie się po nich spodziewano. Będą czekać. Cholera, zaklął. Co ma zrobić? Co

zrobiłby porucznik Bishop?

Głosy nieprzyjacielskich żołnierzy stały się głośniejsze. Domyślał się, że się kłócili.

Brock nigdy w życiu nie oczekiwał świtu z takim utęsknieniem.

Jezu, pomyślał nagle. Co będzie, jeżeli nie ukryją się za dnia? Może bez względu na zabitego wartownika podejmą ryzyko i będą dalej pracować? Może będą liczyć na to, że przy takiej pogodzie nie pojawi się zwiad lotniczy?

I znowu Sutherland miał rację. Pieprzeni piloci nie będą latać przy takiej pogodzie. Będą siedzieć w swoich klimatyzowanych pokojach w kwaterach dla oficerów albo pójdą się upić do kasyna. Skurwysyny.

Zdał sobie sprawę, że jest całkiem skołowany. Niech to cholera weźmie. Jeżeli miałem tak dużo myśleć, powinienem być zostać oficerem. Sierzanci nie muszą tyle myśleć i tak się martwić.

Głosy przestały się kłócić. Padły nowe rozkazy. Rozpoczęła się jakaś gorączkowa działalność. Rozległ się hałas odkładanych narzędzi i szelest krzaków.

Maskowali swoje prace. Wycofywali się do kryjówek.

Niektórzy szukając kryjówek przeszli o niecałe dziesięć metrów od patrolu, chociaż większość odeszła ku północy. Brock uznał, że pozostawiono tylko nielicznych dla zabezpieczenia prac i że najbliższa godzina będzie najlepsza na wycofanie się, ponieważ wartownicy będą mniej uważni, bo będą odpoczywać po nocnej pracy, jeść i rozmawiać.

Brock odczekał dziesięć minut od chwili, kiedy ostatni żołnierz zniknął, i dał znak do wymarszu.

Skradali się w odstępach dziesięciu metrów jeden od drugiego. Nawet w słabym świetle i pomimo prób maskowania podjętych przez nieprzyjaciela mogli rozpoznać dużą bazę. Zbudowano magazyny amunicji, które już w połowie wypełniono pociskami moździerzowymi. Jeszcze groźniej wyglądała skonstruowana z gałęzi drzew i krzewów kopuła, osłaniająca prawie ukończone stanowiska wyrzutni rakiet średniego zasięgu. Dalej wśród liści ukryto broń przeciwlotniczą, a jeszcze dalej mieścił się duży skład ryżu.

Nieprzyjaciel najwyraźniej gromadził broń i zapasy na jakąś większą akcję. Był to główny punkt koncentracji i zaopatrzenia do generalnego, jak się wydawało, ataku na Khe Sanh. Zaledwie niewielka część tego, co już tu zgromadzono, wystarczyłaby do zajęcia ich pozycji na wzgórzu.

Brock nie wiedział, jakiej wielkości jednostka tu się skoncentrowała, ale mógł ocenić po ilości broni i zaopatrzenia, jakie zgromadzono, że musi to być przynajmniej pułk, co odpowiadałoby wielkością jednostce piechoty morskiej broniącej Khe Sanh.

Kiedy poruszali się po terenie, każdy z nich zabrał coś, co mogło się przydać wywiadowi. Brock znalazł list i jakiś papier ze znakami. Sutherland podniósł parciany pas z nazwiskiem i nazwą jednostki. Coney zerwał nalepkę ze skrzyni z amunicją, a Frizzell zbierał drobiazgi, takie jak porzucony papieros, czyli coś, czego prawie nigdy się nie znajdowało i co świadczyło, że jednostka jest bardzo dobrze zaopatrzona, także papier po racjach żywnościowych oraz ołówki.

Przeczesał teren zajęło im pół godziny, a potem Brock wskazał na Sutherlanda i wykonał gest w stronę południa.

Sutherland ruszył naprzód, a oni szli za nim jeden za drugim przyśpieszając kroku, w miarę jak oddalali się od miejsca koncentracji.

Przeszli ponad półtora kilometra, kiedy Brock zebrał ich pod drzewem.

- Musimy pogadać, bo to dotyczy nas wszystkich. Jestem pewien, że znaleźli ciało. Myślę, że właśnie o tym rozmawiali przez radio.

- Też tak pomyślałem - powiedział Coney.

- Trzeba się teraz zastanowić, co z Landisem. Jeżeli go znaleźli, mogli powiązać jego i faceta, którego załatwił Coney, i będą wiedzieli, że przyjdziemy, żeby go zabrać.

Brock popatrzył wprost na Sutherlanda.

- To znaczy, że mogą tam na nas czekać.

Cała trójka spojrziała niepewnie na Brocka, jakby nie rozumieli, o czym mówi.

- No, to co? - zapytał wreszcie Coney.

- Chcę powiedzieć, że mogli już zabić Landisa albo trzymają go i przygotowują na nas zasadzkę, kiedy tam dotrzemy. Chciałbym, żebyście zdawali sobie z tego sprawę.

Frizzell przyjrzał mu się uważnie.

- Chyba nie proponujesz, żebyśmy go tam zostawili?

- Nie. - Brock znowu spojrzął na Sutherlanda. - Chciałem się tylko upewnić, czy wszyscy w

pełni rozumieją niebezpieczeństwo.

- Rozumiem - powiedział Sutherland. - Czekasz, że powiem, żebyśmy o nim zapomnieli i ratowali własne dupy. Posłuchaj, Brock, to przecież ja mówiłem już dawno, że powinniśmy po niego wrócić.

Pokiwał wolno głową.

- Tak. Martwię się o własną dupę i chcę ją uratować. Ale nawet gdybyś to ty . siedział w tej jaskini, to bym po ciebie wrócił, i to nie dlatego, że jestem bohaterem, ale... dlatego, że tak się faceta nie zostawia, nawet jeżeli to jest sierżant, doży-wotniak i tępy dupek.

Wyciągnął palec w stronę Brocka.

- Pieprzę cię. Ja pójde przodem i doprowadzę was tam, a jeżeli na nas czekają, nigdy nas nie zobaczą, ponieważ ich ominę. Sprawdzenie miejsca koncentracji, jak . ty to zrobiłeś, to jedno, ale zostawienie kumpla to coś innego, więc staraj się ' - dotrzymać tempa, stary, bo ruszamy.

Chwytał karabin i ruszył szybko między drzewa. Coney i Frizzell szli za nim i Brock musiał biec, żeby ich dogonić.

Sutherland zatrzymał się tylko dwukrotnie, żeby rzucić okiem na kompas. Brock nie miał pojęcia, gdzie się znajdują, ale kiedy zrozumiał, że Sutherland prowadzi ich szerokimi zygzakami, wiedział, że są coraz bliżej.

Sutherland nie zwalniał kroku i posuwał się z bezbłędną pewnością w stronę ukrytego bunkra.

Wreszcie zatrzymał się i dał im znak, żeby się rozdzielili. Odczekał chwilę, a potem ruszył naprzód, sygnalizując, że mają go osłaniać. Zbliżał się do bunkra od tyłu.

Obserwowali go, jak porusza się niezmiernie powoli, zatrzymując się co chwila i badając otaczające zarośla. Potem cofnął się i zawrócił podchodząc od innej strony.

Brock zobaczył niepokój na jego twarzy.

Podczołgał się znowu powoli i zatrzymał się, żeby zbadać każdy listek.

W końcu wrócił i poprowadził ich dalej od bunkra.

- Byli tutaj. - Pokazał im garść liści. - Widzicie? Pogniecione. Widziałem też odciski butów żółtków. Są inne niż nasze. Byli niedawno, bo po pewnym czasie liście odzyskują swój kształt, a te są wciąż jeszcze pogniecione. Przyjrzyjcie się. Jest na nich rosa. To nie deszcz. Krople są inne. To znaczy, że byli tu w nocy albo już sobie poszli i nie zauważyli go, albo go znaleźli i czekają w bunkrze.

Brock tylko patrzył na liście, zdumiony i przerażony.

- Sierżancie, niech pan powie, co mamy robić. Brock przetarł twarz dłonią i potrząsnął głową.

- Co myślicie, chłopaki?

- Co mamy do stracenia, jeżeli go zawołamy? - zapytał Coney. Brock pokręcił głową.

- Jeżeli nie wiedzą, że tu jesteśmy, to lepiej, żeby się nie dowiedzieli. Wtedy nie moglibyście wytrzymać tego, co by z nim zrobili. Tak postępowali w Korei. Przyprawiali jeńca blisko naszych linii i torturowali go, dopóki nie umarł. Odchodziliśmy od zmysłów, słysząc te krzyki. Nie. Nie możemy go zawołać.

- Pójde do niego - powiedział Frizzell. - Osłaniajcie mnie.

- Nie. Ja pójde. - Sutherland zatrzymał go gestem ręki. Brock kazał im usiąść na ziemi.

- To ja spieprzyłem robotę. Ja pójde. Jeżeli coś się stanie, znikacie. Zrozumiano? Nie tkwicie tutaj. Ktoś musi wrócić, pokazać na mapie miejsce koncentracji i opowiedzieć, co tu się dzieje. To jest najważniejsze.

Ruszyli wszyscy, a potem Brock wysunął się naprzód i zaczął zbliżać się do bunkra.

Przez cały czas, odkąd brał udział w wojnie, jeszcze nigdy tak się nie bał, jak w tej chwili. Bał się nie o siebie, bał się tego, co może znaleźć w bunkrze.

Zbliżał się do kryjówki od tyłu z lewej strony. Kiedy już był przy niej, oparł się o ścianę i słuchał. Tak natężył słuch, że słyszał pulsowanie własnej krwi, ale poza tym ani jednego dźwięku oprócz brzęczenia owadów i szumu wiatru w gałęziach krzewów.

Minął róg bunkra i podczołgał się do wejścia, ukląkł i znowu słuchał.

Wreszcie, tuż przy samym wejściu, zaczął szeptać cicho.

- Landis? Matt? Tu Brock.

Nie było odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz głośniej. Cisza.

Dopiero teraz zobaczył odciski butów nieprzyjaciela i krew przed bunkrem.

Zamknął oczy i odwrócił się. O Boże, jęknął w duchu. Spraw, żeby to nie była prawda. Smużka krwi prowadziła od bunkra i urywała się nagle, jakby ktoś otarł zakrwawione ręce o spodnie.

Nabrał powietrza w płuca i skoczył do wejścia bunkra z karabinem przy biodrze.

Zobaczył Landisa natychmiast i odwrócił się, żeby odpędzić ten widok. Potem jednak spojrzął znowu i stał tak przez dłuższą chwilę, i tylko patrzył. Wreszcie podszedł do ciała.

Landis siedział oparty o ścianę. Głowę miał odchyloną do tyłu, a genitalia wetknięto mu w usta. Odpięta koszula odsłaniała wielką ranę na piersiach na wysokości serca. Rozdarłe spodnie odsłaniały inną krwawą ranę, gdzie odcięto mu genitalia.

Brock ukląkł przed nim.

- O Boże! - jęknął. Wtedy weszli pozostali.

- Jezu - szepnął Coney.

- Skurwysyny - syknął Sutherland. Przepchnął się do przodu i wyjął genitalia z ust Landisa.

Frizzell ukląkł przed ciałem i dokładnie je obejrzał.

- Nie zabili go - powiedział. Podniósł leżący obok ciała karabin i obmacał ziemię dookoła. Znalazł łuskę. - Zastrzelił się, zanim go dostali. Pokroili go później.

- Pieprzone zwierzaki - powiedział Sutherland.

Brock wstał, podszedł do wejścia i oparł głowę o ścianę. Sutherland zbliżył się do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Musimy zmywać się stąd, sierżancie.

Brock odwrócił się. Patrzyli na siebie długo, aż wreszcie sierżant zamknął oczy i zaczął płakać. Łzy płynęły także z oczu Sutherlanda. Ten pokręcił głową i odezwał się głosem przerywanym łkaniem:

- To nie twoja wina. To ta pieprzona wojna.

- Pomóż mi - powiedział Coney do Frizzella. - Poniosę go pierwszy. Razem zarzucili ciało na ramiona Coneya. Frizzell podniósł karabin i podszedł do wejścia.

- Chcesz, żebym poprowadził? - zapytał Sutherlanda.

Ten skinął głową i pociągnął Brocka za ramię. Wyszli z bunkra. Frizzell prowadził. Za nim szedł Brock, a dalej Coney niosący Landisa. Sutherland zawahał się, wchodząc między drzewa. Odwrócił się i spojrzął na bunkier, teraz ledwie widoczny wśród zarośli. Chciał odtworzyć sobie obraz tego, co się stało. Nieprzyjaciel zbliżający się do Landisa, jego strach i samotność, ostatnia sekunda z lufą przyciśniętą do piersi, pociągnięcie za spust, a potem już nic.

Nie chciał, by ten obraz znikł mu sprzed oczu. Nie chciał, by dzungla pochłonęła ten bunkier na zawsze. W końcu jednak odwrócił się i pośpieszył za innymi. Upłynęło niewiele czasu, kiedy trzeba było się zatrzymać, żeby inaczej ułożyć ciało. Trup zaczął sztywnieć. Stawał się coraz trudniejszy do niesienia, a oni byli już coraz bardziej zmęczeni. Wreszcie zatrzymali się na odpoczynek. Nie mieli czym przykryć ciała. Położyli je po prostu na ziemi obok siebie.

Sutherland starał się odwracać wzrok, ale jego oczy same wracały do nieszczęsnej postaci leżącej nieruchomo u jego stóp i pokrytej owadami pasącymi się krwią. Ta belka mogła przecież spaść na niego albo na każdego z nich. Każdy z nich mógł zginąć. Sutherland to rozumiał. Kwestia przypadku. Szczęście lub jego brak. Już nigdy, postanowił, nie pozwoli nikomu wystawiać swojego życia na niebezpieczeństwo. Nie miał zamiaru skończyć jak Landis. Zamknął oczy i poprzysiągł sobie, że zabije pierwszego sukinsyna, który będzie chciał mu spieprzyć sprawę. Nagle jedno oko Landisa otworzyło się. Frizzella przeszył dreszcz, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to jakiś owad dostał się pod powiekę.

Podszedł do zwłok, odpędził owady i zamknął oko, opanowując dreszcz wywołany dotykiem twardego martwego ciała. Potem usiadł ponownie po przeciwnej stronie.

Przypomniawszy sobie nagle, czego nauczone go na temat śmierci. Jeżeli człowiek zmówił „Akt skruchy”, grzechy będą mu odpuszczone. Jeżeli w ostatnich momentach życia żałował szczerze, będzie zbawiony. A co z nieżyjącymi? Czy jest już za późno na zbawienie, jeżeli dusza opuściła ciało? Co będzie, jeżeli Landis umarł, nie oczyściwszy się z grzechów? Boże, to byłoby niesprawiedliwe karać go po śmierci. Nie po tym, co mu się stało.

Frizzell zaczął się modlić. Odmawiał modlitwę? za modlitwą za Landisa przez całą powrotną drogę.

Coney wiedział o samochodzie Landisa. Wszyscy o nim wiedzieli. Miała to być zła czarna bestia. Tak o nim mówił. Wiedział jednak o Landisie niewiele więcej. Pochodził z Florydy. Uprawiał ćwiczenia fizyczne. Lubił raczej żywnościowe, jakie dostawali, i wymieniał papierosy na masło orzechowe. To było prawie wszystko.

A co wie o innych chłopakach? Co oni wiedzą o nim? Co to by było, gdyby to oni jego nieśli? Czy to miałyby dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Właśnie. Kto by się przejmował, gdyby to on zginął? Na pewno jego żona. Debby żałowałaby go. Tego był pewien. Za dużo ich kiedyś łączyło, żeby nie czuła żalu. Znajdzie sobie jednak kogoś innego, zapomni i taki będzie koniec. Jej życie będzie toczyć się dalej. A mały? Nie będzie czuć nic. Będzie znał go tylko z opowiadań.

Wtedy pomyślał o człowieku, którego zabił. Już prawie o nim zapomniał. Kto się o niego martwił? Matka pewnie będzie płakała. Chyba był zbyt młody, żeby mieć żonę. A koledzy? Zapomną pewnie o nim tak samo szybko, jak zapomną

O Landisie.

Boże, jakże żałował, że go zabił. Nawet wobec śmierci Landisa i tego, co mu zrobili, żałował, że zabił tego żołnierza. Wciąż czuł w dłoni dotyk bagnetu

I wrażenie, jakie odczuwał, kiedy jego ostrze zagłębiało się w ciało. Wciąż brzmiał mu w uszach cichy śmiertelny jęk. O Boże, pomyślał, nie chcę żyć z takim wspomnieniem.

Jak mam z tym żyć? Czy zapomnę kiedyś o tym, tak jak zapomnę Landisa? Mam nadzieję, że tak.

Brock pozostał w tyle jako osłona, a Frizzell objął prowadzenie. Jego smutek i poczucie winy były przytłaczające. Czuł się załamany i stary. Zmuszał się, żeby nadążyć za innymi. Wcale by się nie zmartwił, gdyby go zostawili.

Popęłnił tyle błędów. Landis nie musiał zginąć. Mógł go przecież uratować. Zadawał sobie tortury bez ustanku to rozważając - raz po razie - za każdym razem z innej strony.

Ile razy spojrzął na ciało, przebiegał go dreszcz. Wiele by dał, żeby stało się inaczej.

Czuł się bardzo stary, a Landis wyglądał tak młodo. Chłopiec. Był tylko chłopcem, pomyślał Brock.

Spojrzał na Sutherlanda, Frizzella i Coneya. Oni są na to za młodzi, pomyślał. Nie powinni tego wszystkiego oglądać tak wcześnie. Są za młodzi, żeby oglądać śmierć.

Czy po tym wszystkim wciąż jeszcze będą młodzi?

W końcu przyszła jego kolej, żeby nieść ciało. Niósł je przez resztę drogi, aż do ich wzgórze.

XXXII

- La Goulue - powtórzył Bui Cao Kim Lacouture'owi. Lacouture skinął głową i popchnął Kima końcami palców.

- Przyjdź do mnie z odpowiedzią niezależnie od tego, jak późno wrócisz. Potem Lacouture przywołał go z powrotem.

- Boję się Wilsona Abbota Lorda - szepnął. - Uważaj, czy nie jesteś śledzony. Rozstali się wśród tłumu na ulicy Tu Do. Był wczesny wieczór i chociaż Cholon,

miejsce, gdzie miało się odbyć spotkanie, był odległy zaledwie o kilka kilometrów, droga miała zabrać Kimowi wiele godzin, zanim klucząc nie upewni się, że zgubił tego - ktokolwiek by to był - kto mógł go śledzić, i nie nabierze wystarczającej pewności, że może powędrować pod adres, który mu wskazano.

Uznał, że go śledzono. Było tam trzech Wietnamczyków z Wydziału Specjalnego, który współpracował z CIA. Szli za nim. Byli jednak młodzi i nie stanowili zagrożenia dla Kima, który od trzydziestu lat działał na ulicach Sajgonu i Cholonu. Zgubił ich w ciągu pierwszej godziny, ale w dalszym ciągu robił uniki, kluczył i zmieniał trasę jeszcze przez dwie godziny, zanim zastukał do drzwi rozpadającej się, cuchnącej i zaśmieconej budy na obrzeżach Cholonu.

Otworzył mu stary, z wyglądu chory człowiek i wprowadził do ubogiego pokoiku oświetlonego jedną świeczką.

Mężczyzna w nędznym podartym ubraniu poczłapał do połamanego stołu i usiadł na rozchwianym krześle.

W słabym migocącym świetle Kim przyglądał się chudemu, zniszczonemu mężczyźnie, który wyglądał, jakby już stał nad grobem i w ostatniej chwili udało mu się cofnąć. Kim starał się nie trząść ze strachu przy tym człowieku. Był to generał Xuan Tien Khanh we własnej osobie. To nie mógł być nikt inny. Wielki generał nie powierzyłby tak ważnej misji człowiekowi tak słabemu jak ten.

Kim opuścił oczy z szacunkiem przed godnością i autorytetem, jakie emanowały od tego człowieka, mimo jego ubożego stroju i nędznego otoczenia. Starzejący się człowiek siedział pełen godności, niczym potężny mandaryn.

Kim zamknął oczy. Nie chciał, żeby to był generał Khanh. Teraz poznawał rzeczy, których wolałby nie znać. Nawet podejrzenie o taką wiedzę już oznaczało niebezpieczeństwo, a jej posiadanie stawiało go w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

- La Goulue - wyszeptał wreszcie potulnie.

Mężczyzna przyjął to słowo, jakby się go spodziewał. Mruknął coś potwierdzająco, a następnie powiedział z lekko rozmarzonym wyrazem twarzy, potwierdzającym przypuszczenia Kima:

- Nhay Dam.

Potem mężczyzna wstał, wykonał gest oznaczający koniec rozmowy - tak delikatny, że aż przerażający, i Kim uciekł z szopy.

Była prawie druga nad ranem, kiedy wspiął się po schodach domu Lacouture'a i cicho zapukał.

Lacouture otworzył zamki i lekko uchylił drzwi.

- Nhay Dam - wyszeptał Kim prosto w zaspaną twarz Francuza.

- Nhay Dam? - powtórzył Lacouture. Kim skinął głową.

Lacouture mruknął coś, czego Kim nie zrozumiał, wręczył mu zwitek banknotów i zamknął drzwi. Kim zniknął w mroku.

Kim spał niespokojnie. Dręczyła go posiadana wiedza. Rano jednak poczuł się lepiej, a światło słońca, pieniądze, które otrzymał, i pewność, że zgubił śledzących go, poprawiły mu nastrój.

Wiadomość została przekazana. Otrzymał zapłatę. Nikt nie wie o spotkaniu. Uznał, że jest bezpieczny.

Wyjął ze zwitka jeden banknot, a resztę ukrył. Poszedł na targ nie niepokojąc się zbyt. Chciał kupić trochę jarzyn na zupe, specjalną zupe, którą chciał uczcić swój sukces, musiał znaleźć właściwą kapustę i marchew.

Anonimowy tłum na targowisku dodał mu pewności. Z łatwością poruszał się wśród ścisłu znajdując to, czego właśnie szukał, i tak był zadowolony z ceny, jaką udało mu się wytargować, że nawet nie poczuł się nadmiernie zaniepokojony, kiedy pochwyciło go dwóch policjantów. Z początku myślał, że to pomyłka. Najbardziej denerwował się tym, że zabiorą mu kapustę albo że gdzieś ją zgubi.

Policja, która miała utrzymywać porządek i zajmowała się wszystkim - od kierowania ruchem po rutynowe dochodzenia kryminalne, była w zasadzie nieskuteczna. Nękali i zatrzymywali ludzi, ale łatwo ich można było przekupić i wcale nie byli tak groźni jak wojsko czy też Wydział Specjalny.

Kim nie przestraszył się, kiedy policjanci go zatrzymali, ponieważ już wcześniej miał z policją do czynienia. Papiery miał w porządku i za każdym razem szybko go wypuszczano. To było kolejne nękanie albo pomyłka w identyfikacji, więc nie opierał się ani nawet nie protestował, ponieważ wiedział, że to i tak nic nie da. Wyjaśni wszystko w komisariacie. Teraz tylko pilnował swoich warzyw.

Zanim jednak wyprowadzono go z targowiska, już zrozumiał swój błąd. Policjanci, którzy go zatrzymali, chociaż byli w zwyczajnych białych mundurach, wywodzili się albo z wojska, albo z Wydziału Specjalnego. Byli zbyt młodzi i zbyt twardzi jak na zwykłych policjantów i postępowali w sposób zbyt zdecydowany, i profesjonalny. Prowadzili go trzymając w bolesnym uścisku, nie dając żadnej szansy ucieczki. Kiedy próbował się wyrwać, ściśnięto go za szyję tak mocno, że zaczął się obawiać, iż mu skręcą kark, ale to i tak było niczym w porównaniu z bólem w ramieniu, które mu wykręcono do tyłu i przyciśnięto do pleców.

Jego zatrzymanie nie wywołało niczyjego zainteresowania. Kiedy prowadzono go przez tłum, ludzie rozstępowali się obojętnie, a potem wracali do swoich zajęć. Wepchnięto go na tylne siedzenie czekającego samochodu i zanim zdążył usiąść, a samochód ruszył, trzeci mężczyzna wbił mu w ramię igłę strzykawki.

Jego następnym wspomnieniem było szarpanie. Budzono go. Wyprowadzono go w kajdankach i z zakneblowanymi ustami z jakiegoś wilgotnego pokoju w mrok nocy i wtłoczono do bagażnika samochodu. Jakiś mężczyzna przyjrzał mu się, nachylił się nad nim i brutalnie rozchyłając wargi obejrzał jego zęby, a potem skinął głową.

Chociaż wciąż oszołomiony narkotykiem, Kim był pewien, kiedy już zamykano bagażnik, że ten mężczyzna to amerykański szpieg, z którym spotykał się Lacouture.

Wilson Abbot Lord wierzył w Wydział Specjalny. Inni w CIA nie podzielali tej wiary, uważając, że agenci wietnamscy są niekompetentni, a jeżeli nawet są kompetentni, to na pewno również skorumpowani. W dodatku najprawdopodobniej pracują na dwie strony, także na rzecz Północy. Lord wiedział, że Wydział Specjalny jest penetrowany przez komunistów, ale istniała grupa agentów, z którymi pracował i których uważał za godnych zaufania. Grupa ta składała się z ludzi takich jak on. Ich negatywny stosunek do komunizmu opierał się na fundamencie znacznie mocniejszym i trwalszym niż zasady i ideologia. Była to osobista nienawiść ludzi, którzy sami ucierpieli z rąk komunistów z armii północnowietnamskiej albo z Wiet-kongu, lub potracili rodziny. Jak do tej pory nie było żadnych problemów czy trudności we współpracy z tymi partnerami. Aresztowanie Kima załatwiono tak samo sprawnie jak wszystkie inne prośby, które do nich kierował. Byłby nawet zdziwiony, gdyby w bagażniku samochodu był ktoś inny, a nie Kim, chociaż, oczywiście, musiał sprawdzić zęby, żeby upewnić się całkowicie.

Lord wjechał do bazy Tan Son Nhut uniknąwszy przeszukiwania samochodu, chociaż został zatrzymany przez wartowników przy stanowiskach samolotów, jego specjalna przepustka i dowód osobisty zostały sprawdzone, i pozwolono mu jechać dalej w głąb lotniska, gdzie stały maszyny Air America.

Zatrzymał się przy helikopterze.

Z kabiny wyskoczył Jim Magnuson i podszedł do samochodu.

- Dobry wieczór, panie Lord.

- Dzień dobry, poruczniku - poprawił go Lord. - Jest już po północy. Pomóż mi.

Lord otworzył bagażnik. Wyciągnęli Kima i wepchnęli do sześciuosobowej kabiny dla żołnierzy, gdzie przykuli go w pobliżu drzwi.

- Znasz procedurę? - zapytał Lord.
- Tak - powiedział Magnuson patrząc, jak Lord wyjmuje z kieszeni skórzany futerał. Otworzył go i w światłach pasa startowego ostre narzędzia chirurgiczne zalśniły groźnie.
- Jezu - szepnęła Magnuson.
- Wszystkie potrzebne, poruczniku - powiedział Lord obojętnym głosem. Trzymał futerał tak, żeby Kim mógł go zobaczyć. Wyjął z niego parę szczypiec dentystycznych.
- Może będziemy musieli zoperować pana Kima - powiedział po francusku. Magnuson odwrócił się, żeby nie patrzeć na przerażenie malujące się na twarzy
Wietnamczyka.

Na początku, w czasie pierwszych misji, starał się ukryć to, że jest wrażliwy. Zmuszał się, żeby obserwować tortury i nie ujawniać odrazy, jaką czuje. Za trzecim razem przestał obserwować. Teraz nie mógł tego znieść.

Myślał, że już skończył z tym w Da Nang. Chyba Air America miała dość pilotów w Sajgonie, którzy mogliby wykonać tego rodzaju misję. Ale on był wystarczająco zorientowany, żeby nie stawiać pytań ani nie sprzeciwiać się, kiedy Lord wydawał

mu polecenie przygotowania maszyny o północy i podał plan lotu zakładający przelot nad Morze Południowochińskie.

Jasne, że znał procedurę, ale teraz było inaczej, bo jeszcze nigdy nie pracował z nikim tak wysokiej rangi i nigdy w pojedynkę. Zazwyczaj działała trzy- lub czteroosobowa grupa. Wszystko poza tym przebiegało tak samo. Przerażenie w oczach Wietnamczyka i zimna determinacja w oczach Amerykanina. To, co Magnuson dostrzegł na twarzy Lorda, nie różniło się wcale od tego, co oglądał na twarzach innych w Da Nang. Zimne zdecydowanie, w którym nie było ani współczucia, ani okrucieństwa. Głębokie przeświadczenie o słuszności, jakie się maluje na twarzach wiernych w czasie nabożeństwa niedzielnego.

- No to lecimy, poruczniku - powiedział Lord, wsiadając do kabiny razem z Kimem.

Magnuson nie dostrzegł okrucieństwa w oczach Lorda, ale dostrzegł je Kim. Nie było to sadystyczne okrucieństwo. Kim tak często w życiu spotykał się z okrucieństwem, że potrafił odróżnić jego rozmaite odcienie. Było to okrucieństwo zrodzone z nienawiści i chęci zemsty.

Kim słyszał o tym Amerykaninie i wiedział, że istniał tylko jeden sposób na uratowanie życia. Trzeba było przekonać Lorda, że żywy będzie dla niego bardziej przydatny niż martwy.

Pomimo przerażenia Kim wciąż był zdolny do trzeźwego myślenia. Wiedział, że pozostały mu zaledwie minuty życia i że te ostatnie minuty mogą być straszne.

Został złapany i tyle. Taki jest los. Tamta stara kurwa też o tym wiedziała, kiedy otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Teraz przyszła kolej na niego. Tamta stara kurwa dobrze rozegrała swoją grę i sprytnie się targowała o swoje życie. Teraz stanął wobec Amerykanina, który zamierza go zabić niezależnie od tego, czy uzyska interesujące wiadomości, czy nie.

Kim nie miał wątpliwości, że Lord miał zamiar go zabić niezależnie od tego, co obiecywał.

Słyszał o nocnych lotach helikopterów i o tym, że ich pasażerowie nigdy nie wracali. Starał się nie drzeć, leżąc tak skulony ze strachu na pokładzie maszyny.

Ze śmiercią zadawaną przez Japończyków czy Francuzów stykał się już wcześniej wielokrotnie. To jednak było bardziej przerażające. W tamtych przypadkach śmierć zależała od kaprysu inkwizytorów. Ta, która mu teraz groziła, była wykal-kulowana i z góry przesądzona. Ten człowiek naprawdę chce go zabić. Chce go wyrzucić z maszyny do morza.

Co mam zrobić? Co mam zrobić? - wirowało mu w głowie. Zostanie zabity, chyba że, pomyślał, przekona Amerykanina, iż może mu dostarczyć jeszcze cenniejszych informacji. Jeżeli rozegra tę sprawę po mistrzowsku i obieca pomoc, może przeżyje.

Nie miał jednak pojęcia, czego Amerykanin chce się dowiedzieć. Jak ma się okazać przydatny, skoro nie wie, czego się od niego oczekuje?

W głowie kłębiły mu się myśli i ze strachu ledwie mógł oddychać. Wiedział, że Amerykanin chce się dowiedzieć o Khanhu. Zadrżał. Musi być bardzo ostrożny.

- Ma pan naprawdę piękne zęby, panie Kim. Gratulacje. Nigdy jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego, ze względu na charakter pańskiej pracy, obstawał pan przy czymś, co dekonspirowało pana momentalnie. Dlaczego?

Lord usunął knebel z ust Kima i czekał na odpowiedź.

Kim uważnie wsłuchiwał się w jego słowa, a szczególnie w intonację, chociaż miał pewne

trudności ze zrozumieniem jego francuskiego. Zrozumiał jednak pytanie. Wiedział też, że musi na nie odpowiedzieć, a także że z tym człowiekiem nie może udawać głupiego żółtka czy prostego wieśniaka.

Spróbował odezwać się, ale z jego suchych zdrętwiałych warg wydostał się tylko zduszony dźwięk.

- To wszystko, co mam - udało mu się wreszcie wykrztusić. Lord skinął głową.

- To niezwykle, że udało ci się zachować je w obozie japońskim, że ci ich nie wybili albo że ci nie wygniły. To samo z Francuzami. Może właśnie dlatego przeżyłeś. Skoncentrowałeś się na trosce o nie. Dały ci jakiś cel. Miałeś po co żyć.

Kim przyglądał się oczom i ustom Lorda. Jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Okrucieństwo zniknęło, a może skryło się pod maską profesjonalizmu.

- Może i tym razem cię uratują - powiedział Lord. Podniósł lśniące instrumenty dentystyczne do oczu Kima. - Chciałbym, żeby pan skoncentrował się na swoich zębach, panie Kim. Będę zadawać panu pytania. To będzie jak egzamin. Jeżeli odpowiedź będzie niewłaściwa, wyrwę panu jeden ząb. Jeżeli wszystkie odpowiedzi będą prawidłowe, jeżeli zda pan egzamin, zachowa pan swoje zęby w idealnym stanie.

Po co więc ten lot helikopterem? - pomyślał Kim. Gdyby była to tylko kwestia tortur, można to było załatwić wszędzie, nawet w tej ciemnicy, gdzie mnie trzymali po narkotykach.

Silnik ruszył. Łopaty wirnika drgnęły i zaczęły się obracać. Maszyna ożyła z rykiem.

- Najpierw łatwe pytania - powiedział Lord wymachując szczypcami. - Piskliwy?

- Generał Tran - powiedział Kim bez wahania.

- O tym wiem, panie Kim. Chcę wiedzieć, co znaczy to słowo. Jakie ma znaczenie?

Kim nagle poczuł mdłości. Amerykanin wie wszystko, co Kim zrobił, i będzie się pytać o to, czego nie wie. Kim mu się na nic nie przyda. Los szydzi z niego.

- Wiem tylko to, co myśli Francuz. Lord czekał.

- To jest przezwisko generała Trana. Kiedy był w Hanoi, studiował pod kierunkiem generała Giapa. Gdy zadawano mu pytanie, głos mu się zmierśzał i piszczał jak mysz.

Lord patrzył i czekał, ale Kim nie chciał mówić więcej ani omawiać szerzej tego, co już powiedział. Powiedział wszystko, co wie, i odpowiedź będzie albo przyjęta, albo nie.

- La Goulue? - powiedział Lord po dłuższej chwili.

Znajdujący się już na dużej wysokości helikopter zawracał, pozostawiając za sobą miasto i blask jego świateł. Było ciemno i zimno, a maszyna drżała od wibracji łopat.

- Wiem też tylko to, co myśli Francuz. Rozmawia ze mną, jakby rozmawiał z ptakiem w klatce. Nie oczekuje odpowiedzi, tylko głośno myśli.

Oczy Lorda były nieprzeniknione. Nie było w nich nawet śladu niecierpliwości, ale Kim wyczuł, że tym razem przekroczył swój czas na udzielenie odpowiedzi.

- La Goulue - tak nazywał się francuski tancerz w Paryżu. Lord strzelił palcami tak szybko i głośno, że Kim zamilkł.

- Toulouse-Lautrec. „Moulin Rouge”. - Lord uśmiechnął się, ale nie był to ciepły uśmiech. - Starzeję się, panie Kim, albo staję się niedbały. Powinienem być o tym pamiętać. Teraz siedzę tutaj i rozmawiam z panem tak samo jak Francuz. On ma jednak rację. La Goulue właśnie był tancerzem. A jakie jest, jego zdaniem, powiązanie z tym drugim słowem kodu?

- Francuz mówi, że wiele, wiele lat temu była taka sławna tancerka w Hanoi. Ona też używała tego imienia. Uważa, że tylko ci, którzy byli w Hanoi czterdzieści lat temu, mogą o tym wiedzieć.

- Generał Tran wtedy tam był i studiował pod kierunkiem Giapa?

- Tak.

- Kto jeszcze był w tym czasie w Hanoi i studiował pod kierunkiem Giapa? Kto mógłby wiedzieć, jak Tran odpowiadał na pytania i kto mógłby wiedzieć także o La Goulue?

To było pytanie retoryczne. Lord wiedział, kto tam był. Znalazł to w aktach generała Trana.

Kim też wiedział, że było to pytanie retoryczne. Teraz wyznaczona została linia. Jego życie się ważyło. Albo musi tę linię przesunąć, albo się od niej cofnąć.

- Jest jeszcze jedno słowo.

W oczach Lorda błysnęło zainteresowanie, ale i cień podejrzenia.

- Nhay Dam.

- Zakodowana odpowiedź?

- Tak.

- Co myśli o tym Francuz?

Kim próbował nie trząść się, ale było bardzo zimno, a wyglądając przez okno zobaczył poruszające się światła daleko na horyzoncie. Lecieli ku morzu. Kim odwrócił się do Lorda.

- Nie powiedział mi, ponieważ tylko przekazałem mu kod dziś bardzo wcześnie rano, zaraz jak wróciłem - powiedział szybko.

Lord nie mówił nic przez dłuższą chwilę. Cisza panowała tak długo, że Kim znowu odwrócił się do okna. Światła na dżonkach i sampanach były znacznie bliżej.

- Co znaczy Nhay Dam?

- Myślę, że jest to nazwa lokalu, gdzie ludzie tańczą i piją. Wiele lat temu, kiedy byli tu jeszcze Francuzi, istniało takie miejsce w Sajgonie. Ta nazwa jest jakoś powiązana ze sposobem, w jaki Francuzi tańczą.

- Czy to może być lokal w Hanoi, gdzie tańczył La Goulue?

- Może Lacouture wie. Pewnie tak, ale dziś rano nie rozmawiałem z nim dłużej. Tylko przekazałem mu to słowo.

- A kto ci to słowo podał?

Kim wiedział, że ta odpowiedź zadecyduje o tym, czy będzie żyć czy nie. Miał teraz to samo uczucie jak tamtego ranka, kiedy dowiedział się od tej starej kurwy o ważnym Amerykaninie. Poczł wtedy, że stoi przed jaskinią smoka. Teraz

było nawet gorzej. Bestia poruszyła się i utkwiała w nim swoje ogniste czerwone ślepie. Kim czuł jej palący oddech i wstrętny odór śmierci.

Twarz Lorda przybliżyła się. Jego oczy lśniły.

Czy powinien się wykręcić i powiedzieć: „Nie wiem. To był stary, chory człowiek, ale chyba ktoś ważny”. A może zaryzykować? „Powiedział mi, że jest generałem Khanhem”.

Światła łodzi znalazły się już prawie pod nimi. Dotarli do wybrzeża.

Co ma zrobić? Ogarniała go panika.

Do tej pory Wietkong już wie, że Amerykanie go zatrzymali. Oni wiedzą wszystko i wszędzie mają szpiegów. Co mu zrobią? Będą go torturować, żeby dowiedzieć się, co powiedział Amerykanom. Potem go zabiją.

Otworzył z przerażeniem oczy. Amerykanin zabije go jednak wcześniej, żeby Wietkong nigdy nie dowiedział się, co on zeznał.

Umrze. Zobaczył, że smok się śmieje. Ta decyzja zapadła już dawno temu. Nigdy nie miał żadnej szansy.

Nagle twardy gumowy klocek wepchnięto mu do ust. Nie mógł oddychać. Został przyparty do ławki. Kolano naciskało mu na pierś. Głowę odchyłono do tyłu. Poczł niewyobrażalny ból i wilgoć w ustach. Krew spływała mu do gardła. Klocek wyjęto mu z ust, ale ból stał się jeszcze większy. Język znalazł przerwę, gdzie kiedyś tkwił ząb. Kiwał głową w tył i w przód, w tył i w przód i jęczał, ale nie z bólu.

- Za wolno, panie Kim. Kto to był?

Kim tylko potrząsnął głową i jęczał dalej. Jakie to teraz ma znaczenie? Nie ma już nic. Przepadła jedyna rzecz, jaka miała dla niego znaczenie. Teraz już nic go nie obchodziło. Pomyślał o obozach japońskich i o wszystkim, co tam zniósł. Przypomnił sobie, jak nacierał dziaśła ostrymi częściami roślin i czyścił zęby pumeksem. We francuskim obozie dla internowanych też był bity. Nigdy nie jadł mięsa w ryżu, jakie im dawano. Płukał usta po tym wstrętnym jedzeniu i czyścił zęby. Później znosił ból i cierpienia, upokorzenia i poniżenia, ale zawsze miał zęby. Jedyna rzecz, jaką miał.

- Za wolno, panie Kim. Za wolno.

Lord znowu wcisnął mu w usta gumowy klocek, przycisnął mu pierś kolanem i wyrwał szczypcami następny przedni ząb. Wyciągnął mu klocek z ust i wytarł krew z ręki o koszulę Kima.

- Jeszcze raz, panie Kim. Kto przekazał wiadomość dla Lacouture'a?

To też było pytanie retoryczne, bo Lord wiedział, że to mógł być tylko jeden jedyny człowiek. Wiedział też, że Khanh nigdy nie zdradziłby Kimowi swojej tożsamości. Kim mógł się tylko domyślać, a Lordowi domysły nie były potrzebne.

A więc Khanh żyje. Doniesienia o jego śmierci były sprytnym wybiegiem, który się powiodł. Wiadomość o śmierci Khanha podbudowała Południowych Wietnamczyków. Tylko wiadomość o śmierci Giapa albo Ho Szi Mina byłaby dla nich lepsza.

Dlaczego ujawnił się po tych wszystkich wysiłkach, mających na celu przekonanie nieprzyjaciela, że zmarł? Wymieniane słowa kodu miały oczywiście udowodnić, że żyje. Dlaczego?

Dlatego, że chciał się spotkać z Marshalllem. Jego oferta była szczerą. Podejmował ogromne ryzyko, by zorganizować spotkanie.

Lacouture prowadzi podwójną grę. Teraz już był tego pewien. Spotkanie miało rzeczywiście się odbyć. Komuniści nie zamierzali zabić Marshalla. Mieli z nim negocjować i płacili Lacouture'owi za zorganizowanie spotkania. Lacouture wykorzystał jego, Lorda, żeby wyciągnąć korzyści z pobytu Marshalla. To przecież on sam powiedział Lacouture'owi o słabym punkcie Marshalla, o jego synu. Bardzo sprytnie, pomyślał Lord. A to skurwysyn!

Marshall też da się w to wciągnąć i nigdy nie przejrzy tej gry. Uwierzy w każdą historyjkę, jaką będą chcieli mu wcisnąć. Jakieś tam kliwne gadanie o ratowaniu ludzkiego życia. Tak. Oczywiście, pomyślał z wściekłością. Wzruszająca historia

O ratowaniu synów, a on, Lord, sam dostarczył im przynęty. Cholera! Sam powiedział Lacouture'owi, że to słaby punkt Marshalla.

Niech to diabli! - zaklął jeszcze raz. Mógł sobie nawet wyobrazić tę scenę. Khanh powie mu, że sam stracił synów i nie może już znieść dłużej nieszczęść po obu stronach. Marshall uwierzy w każde słowo. Będzie wylewać łzy nad zabitymi synami. Jego pieprzone liberalne serce będzie krwawić, a potem pojedzie do Waszyngtonu do prezydenta i opowie mu o tajemnym spotkaniu z dowódcą polowym nieprzyjaciela. Powie też, że jeżeli Johnson pójdzie na pewne niewielkie ustępstwa, na przykład wycofa część wojsk albo zaprzestanie bombardowań, wtedy na pewno będzie można wynegocjować porozumienie, zwycięstwo za pokój i Johnson będzie miał zapewniony wybór na następną kadencję.

Sprytnie, sprytnie skurwysyny! Wszystko pięknie powiązane z pokojowymi pomrukami z Paryża i plotkami na temat negocjacji szeptanymi do uszu takich wrażliwych głupków jak Palmę w Szwecji czy też przekazywane w dyskrecji każdemu dziennikarzynie.

Spotkanie się rzeczywiście odbędzie, a on sam pomógł je zorganizować. Zrobił im prezent.

Prawie im się udało.

Roześmiał się nad ironią całej sytuacji. Nie do uwierzenia! Obiecywał zapłacić Lacouture'owi, żeby zorganizował spotkanie z komunistami. Obiecywał zapłacić mu za zorganizowanie zabójstwa Marshalla przez komunistów, podczas gdy oni uważali to zabójstwo za ostatnią rzecz, jaką chcieliby zrobić. Ufał, że komuniści zabiją Marshalla, kiedy oni przede wszystkim chcieli, żeby żył i żeby zawiózł ich zatrute jabłko do Waszyngtonu.

Komuniści stworzyli sytuację, w której nie mogą przegrać. Gdybyśmy uznali, że Khanh nie żyje, uszpiłoby naszą czujność i stworzyli sobie idealną sytuację do ataku. Gdybyśmy wierzyli, że Khanh żyje, mogliby skłonić Marshalla, a może

1 Waszyngton do ustępstw, których armia północnowietnamska nigdy nie osiągnęłaby w wyniku działań wojennych.

Arcydzieło sztuki, przyznał Lord. Pięknie wyrzeźbione kule z kości słoniowej wewnątrz pięknie wyrzeźbionych kul z kości słoniowej. Co za umysł musiał to stworzyć, pomyślał z podziwem.

Cóż za idioci z nas, że nie doceniamy nieprzyjaciela, myślał dalej. Oni są sprytniejsi niż my. To było diaboliczne i złe. Żerowali na naszych słabościach i dobrych intencjach, wykorzystując każdy wybieg, żeby nas pokonać, licząc na łatwowierność uczciwych ludzi.

Czy udałoby mu się przekonać o tym Marshalla? Czy udałoby mu się przekonać choćby jednego przeciwnika wojny lub liberała? Nigdy. Czy Wietnam musi upaść, a i Kambodża też, zanim się czegoś nauczą? Czy też trzeba będzie, żeby padła Afryka i Ameryka Łacińska, i cały ten Trzeci Świat wraz z Malezją i Filipinami? Wszystko już dojrzało do tego, aż pewnego dnia nadejdzie czas próby.

Czy oni tego nie widzą?

Cóż. On, Wilson Abbot Lord, zna nieprzyjaciela. Nie dopuści do tego. Powstrzyma Marshalla.

I rozliczy się z tym skurwysynem Lacouturem.-

Zna nieprzyjaciela. Walczył z nim przez dwadzieścia lat i tylko rzadko, bardzo rzadko udawało mu się ugodzić go dotkliwie.

Teraz jednak może.

I robi to.

Magnuson zaczął walić pięścią w przegrodę kabiny. Był to znak, że helikopter znalazł się nad rejonem zrzutu i będzie krążyć, dopóki Lord nie zastuka w przegrodę.

Lord wyrzwał przez okno. Światło księżyca odbijało się od wody. Niebo było czyste i usiane gwiazdami. Było mu zimno.

Noc zupełnie taka jak tamta w Korei, kiedy złapali Brenta Harwooda, związali, drutem kolczastym i wrzucili do morza.

O, tak. Zna dobrze nieprzyjaciela.

Pochylił się nad Kimem.

- Nadszedł czas zapłaty, panie Kim - powiedział ze złością.

Kim go nie słyszał. Nawet go nie; widział. Zaledwie poczuł tępe uderzenie w głowę metalową pałką. Osunął się do przodu, podtrzymywany jedynie kajdankami, a kiedy Lord zdjął kajdanki, opadł na podłogę kabiny.

Lord odsunął drzwi i wypchnął ciało. Widział tylko mały, ciemny, spadający kształt koziółkujący w locie.

Uderzenie o wodę zabije go. Złamie każdą kostkę w jego ciele. Lord żałował, bo wolałby, żeby rekiny zjadły go żywcem.

Uderzył w przegrodę kabiny i helikopter natychmiast zawrócił w stronę brzegu.

Kiedy wylądowali, Lord wyskoczył z maszyny bez słowa i poszedł do samochodu.

Miał przed sobą mnóstwo pracy. Musi rozliczyć się z Lacouturem.

Magnuson pozostał w maszynie, dopóki Lord nie odjechał, a następnie sprawdziłabinę pasażerską. Na brezentowym siedzeniu i na podłodze było tylko trochę krwi. Nie było ani moczu, ani ekskrementów, jak to się zdarzało wiele razy w przeszłości.

Co zrobił albo co wiedział ten mały stary człowieczek z pięknymi zębami, żeby zasłużyć na coś takiego? - zastanawiał się Magnuson.

Wiedział, że to musi mieć coś wspólnego z ambasadorem Marshallem. Lord osobiście wplątał w to Magnusona, a równocześnie go wypróbował. Następnym zadaniem będzie niechybnie sam ambasador. Magnuson był tego pewien. Jaki ma wybór? Co mu zrobią, jeżeli odmówi lub jeśli zagrozi ich ujawnieniem?

Poszedł do hangaru po kubek z wodą i mydło, i zmył krew.

Na podłodze znalazł dwa zakrwawione zęby. Owinął je w chusteczkę i schował do kieszeni kombinezonu. Kiedy wszystkie ślady zostały zatarte, umył ręce i wrócił

rl\ /iAr^lmmr

XXXIII

Lacouture'a ogarnęła panika. W szaleńczym pośpiechu pakował do pudła cenne figurki z kości słoniowej i jadeitu, klęcząc na jedwabnym chińskim dywanie na środku salonu w swoim mieszkaniu położonym w eleganckiej części Sajgonu.

- Ale co to da? Co to da? - jęknął i opadł bezsilnie na dywan.

Bui Cao Kim nie odzywał się od trzech dni. Oczywiście nie żyje. Nieszczęsny, nieszczęsny mały żółtek. Pozwolił się złapać i zabić, pomyślał w rozpacz. Dowiedział się o tym w godzinę po zatrzymaniu Kima, ale prawie cały dzień zajęło mu upewnienie się - przy wykorzystaniu własnych źródeł - że nie został zaaresztowany przez policję, chociaż mundury by na to wskazywały, i że nikt nie wie, gdzie się podział i kto go przetrzymuje.

To musieli być Amerykanie. Kto inny mógłby się interesować tym starym głupkiem? Lacouture wiedział, że za tym stoi Wilson Abbot Lord, i że na pewno wyciągnął z Kima wszystkie informacje, jakich potrzebował, a potem go zabił. Głupi, głupi żółtek.

Kochał Kima i lży kapąły mu z oczu na dywan. Im obu udało się przeżyć. Przetrwali okupację japońską i znali się od trzydziestu lat. Byli jak bracia, więc lkał myśląc o drogim, kochanym, małym człowieczku.

Pewnie go torturowali. Wyrwali mu wszystkie zęby. To było w stylu Lorda. A potem go zabili.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł lzy. Kto zanieś wiadomość generałowi Khanhowi? Musi się dowiedzieć o tym, co się stało. Co zrobi, kiedy dowie się, że cały plan został prawie zdemaskowany? A co się stanie z nim, z Lacouture'em teraz, kiedy Lord prawdopodobnie wszystko już wie?

Cholerny żółtek. To była wina Kima, że dał się złapać. Na targu w środku dnia! Zasłużył na to, żeby mu wyrwali wszystkie zęby jeden po drugim!

Westchnął głęboko i zaczął wypakowywać figurki z pudła. Nie mógł ani uciec, ani się ukryć. Nigdy mu się to nie uda, jeżeli Amerykanie albo komuniści są na jego tropie. Nawet gdyby jakieś nieprawdopodobne szczęście pozwoliło mu wydostać się stąd, nigdy nie zdoła wywieźć swoich rzeczy, swoich skarbów, całego swojego życia.

Wilson Abbot Lord zniszczy wszystkie. Roztrzaska je na drobne kawałki, a on będzie musiał na to patrzeć. To podobne do niego. Sadystyczny potwór. Zmusi Lacouture'a, żeby się przyglądał, jak będą niszczone jego dzieła sztuki, i będzie się śmiał rozbijając jedno po drugim.

Lacouture zadrzał na tę myśl i przycisnął do piersi żurawia z nefrytu pochodzącego z początków dynastii Ming. Potem chwycił konika z lapis lazuli i trzymał go otulając dłońmi.

Położył obie figurki delikatnie na dywanie i rozejrzał się z rozpaczą po pokoju. Nie. Nie będzie w stanie nic ocalić. Obrazy i stare zwoje pergaminu, porcelana i rzeźby ze świątyń, cenne buteleczki z aromatami liczące prawie siedemset lat, zbierane jeszcze przez jego matkę. Monety i stare zegary ojca, wyroby z laki

i emalii, a nawet jedwabne szaty wyszywane złotą nicią, które kiedyś należały do cesarza.

Nie zniesie tego. Przepadnie wszystko co posiadał i co cenił. Myśl o tym była gorsza niż sama śmierć.

Wstał ciężko i podszedł do gramofonu. „Cyganeria” go uspokoi. Płyta była stara i okropnie podrapana, a sam gramofon też już się rozpadał, obracał się nierówno, ale nie przeszkadzało mu to i nie przychodziło mu do głowy kupno nowego. Czarny rynek był zavalony wspaniałymi urządzeniami, które dawały piękny dźwięk, ale były takie brzydkie! Tylko plastik i lśniący metal z gałkami, guzikami i światełkami. Wydawały się mu zbyt mechaniczne i techniczne. Zimne jak roboty. Bardzo japońskie. Lacouture nie miał w domu nic japońskiego, nawet japońskiej sztuki. Nie słuchał nawet „Madame Butterfly”, chociaż kochał operę, a szczególnie Pucci-niego.

Piskliwe, ostre tony wypełniły pokój, ale on słyszał tylko piękno i bogactwo muzyki. Wypełniały go od wewnątrz, a to, co słyszał sercem, nie mogło już być udoskonalone nawet przez najdroższe stereofoniczne wzmacniacze świata.

Zaczął mruzczyć, a potem nawet śpiewać i wszystkie nieszczęsne problemy z Amerykanami i komunistami zniknęły. Poczul się podniesiony na duchu, jakby przebywał w innym świecie, dopóki nie tknęła go nagle myśl, że Lord zniszczy też jego nagrania. Bestia!

Zdjął igłę z płyty. Tego już za wiele! Wszystkie jego cenne nagrania - Caruso, Puccini, Verdi, Mozart, Donizetti! Zatoczył się, widząc wyimaginowany obraz płyt rzucanych o ścianę i rozpryskujących się na tysiące kawałków. Jego Wagnery! Nudne, nie kończące się. Ale niektóre momenty! Okruchy płyt sypały mu się na głowę. Podniósł ręce, żeby się zasłonić.

Nie! Nie dopuści do tego. Lorda trzeba powstrzymać. On, Bernard Lacouture, będzie bronić sztuki przed taką profanacją. Ocali skarby. Powstrzyma Lorda.

Ale co może zrobić? Jak? Jak uratować spotkanie z Khanhem?

Zakładał najgorsze. Zawsze tak robił. To był najbezpieczniejszy sposób. Kim nie żyje, a przed śmiercią powiedział Lordowi dość, żeby ten się zorientował, że Khanh żyje, i że Lacouture organizował prawdziwe spotkanie pomiędzy generałem a Marshalllem, a nie zasadzkę, mającą na celu zgładzenie ambasadora. Lord będzie wściekły.

Marshall był głównym celem Lorda i pozostanie nim nadal, przy tym sprawa będzie jeszcze pilniejsza, bo Lord będzie usiłował nie dopuścić, by spotkanie się odbyło. Marshall jest człowiekiem zgubionym. Praktycznie jest już martwy i on, Lacouture, nie może nic na to poradzić. Nie może przecież pójść do Marshalla i powiedzieć mu, że jego własna CIA ma zamiar go zamordować. Kto mu uwierzy? Jakie ma dowody? A nawet jeżeli Marshall mu uwierzy, co to da? Spotkanie zostało zdemaskowane i nie dojdzie do skutku. Lord i tak wygra.

Khanh teraz nigdy nie zaryzykuje spotkania, chyba że będzie można zapewnić ścisłą tajemnicę lub Lord zostanie usunięty i przestanie stanowić zagrożenie.

A on? Serce mu zadrżało na myśl o wściekłości Lorda.

Lord dostanie apopleksji. Będzie chciał się zemścić. Tortury i poniżenie. Cierpienie, okaleczenia, śmierć.

Istnieje tylko jeden sposób, żeby powstrzymać Lorda. Musi zostać usunięty. To ocaliłoby Lacouture'a i rozwiązało dylemat, przed którym stanęli Marshall i Khanh. Niech odbędą swoje spotkanie, a on, Lacouture, dostałby wtedy pieniądze. Pojedzie do Cannes razem ze swoimi skarbami.

Ale jak? Czy ma się wdać w strzelaninę z Lordem w kowbojskim stylu na ulicach Cholonu? Nie wyobrażał sobie siebie wspinającego się po ścianach i dachach, żeby zastawić na niego zasadzkę w ciemnej uliczce.

Nie może też zlecić zabicia go. Wiadomość o tym dotarłaby natychmiast do Lorda, a poza tym kto byłby tak głupi, żeby zabić agenta CIA i narazić się na pewną śmierć oraz zemstę tylko dla pieniędzy Lacouture'a?

Nie może walczyć z Lordem i potężnym aparatem CIA. Zaryzykował i przegrał. Jaki ma wybór? Lord nigdy nie grał szczerze. Nigdy by Lacouture'owi nie zapłacił. Nigdy też nie dopuściłby do tego, żeby współnik takiego morderstwa żył sobie nadal. Dlatego Lacouture był zmuszony zawrzeć porozumienie z komunistami. Poza tym raczej lubił Marshalla i może, ale tylko może, taki człowiek mógł doprowadzić wojnę do rozsądnego końca.

Nie. Nie. Nie wolno dopuścić do tego, żeby Lord wygrał. Musi istnieć jakiś sposób.

Kim mógł mu pomóc. Kim ryzykowałby swoje życie dla niego. Drogi Kim ze swoimi śmiesznymi zębami.

Łzy spłynęły mu po pyzatyh policzkach.

Kim nawet mógł nazwać przyjacielem. Tak. Kim był jego jedynym przyjacielem.

Wstrząsnęły nim łkania. Nie miał żadnych przyjaciół. Nikt go nigdy nie lubił, nikt nie przyjdzie na jego pogrzeb. Cóż za hańba, cóż za poniżenie być tak pochowanym - bez przyjaciół, bez nikogo, kto odprowadziłby trumnę do grobu i kto odczuwałby po nim żal.

To było zbyt straszne. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł łzy.

Żeby chociaż miał kogoś, do kogo mógłby pójść, kogoś, kto mógłby go wysłuchać i pomóc.

Złożył ręce na kolanach i siedział nieruchomo.

Dzikus powiedział, że będzie jego przyjacielem. On z niego nie drwił. Lacouture ocenił z oczu i tonu głosu, że Dzikus mówił szczerze, że jest delikatny i dobry pomimo swojego sposobu bycia i

wyglądu.

Tak. Mógłby pójść do Dzikusa. Mógłby z nim porozmawiać, opowiedzieć mu wszystko. On by go wysłuchał.

Ale czy by pomógł?

Lacouture schował chusteczkę do kieszeni, usiadł wygodniej na fotelu w stylu Ludwika XV, oparł ręce na poręczach i pogrążył się w myślach.

Nie był pewien, czy Mead da się przekupić. Może... Jeżeli miałby dość czasu, po wielu pochlebstwach, namowach i odpowiedniej ilości alkoholu i narkotyków może w końcu udałoby się zaciągnąć go do łóżka, ale tylko raz. Jednakże przekupić go, żeby zabił, żeby zamordował innego Amerykanina? To nie wchodzi w rachubę, nawet gdyby mu zaproponowano nie wiadomo ile pieniędzy.

Nie. Mead nie zrobiłby tego za pieniądze. Dla kraju, dla rodziny, dla religii, dla jakiegokolwiek rzeczy, którą szanuje. Zrobiłby to też dla swojej kobiety i dla

przyjaciół. Z tego Dzikusa nie mógłby zrobić homoseksualisty, ale może mógłby zrobić mordercę.

On już jest mordercą, zastanawiał się Lacouture, i wygląda na to, że jest bardzo doświadczony.

Głaskał poręcze fotela i wpatrywał się w jadeitowego psa stojącego naprzeciw na komodzie w stylu cesarstwa.

Tak. Dzikus to była jakaś nadzieja. Jego jedyna nadzieja.

Wstał szybko i pobiegł do swojej gotowalni. Włożył kamizelkę i marynarkę, chwycił swój modny trzydziści lat temu słomkowy kapelusz z szerokim rondem i po zamknięciu wszystkich drzwi wyszedł z domu, i zatrzymał taksówkę.

Dwadzieścia minut później wysiadł przed domem, w którym mieszkał Mead, i wbiegł po schodach.

Kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, otworzył ostrożnie drzwi i zajrzał do środka.

Młoda Wietnamka stojąca przy oknie spojrziała na niego ze strachem i cofnęła się do kąta.

- Przepraszam - powiedział po francusku. - Szukam Amerykanina, który nazywa się Roń Mead. Czy on tu mieszka?

Kiedy nie odpowiedziała, powtórzył pytanie po wietnamsku. Tylko patrzyła na niego ze strachem.

- Wiem, że tu mieszka - powiedział Lacouture po wietnamsku, zamykając drzwi za sobą i zdejmując kapelusz. Otarł czoło chusteczką i usiadł przy stole.

- Dokładnie tak, jak opowiadał Kim - powiedział do siebie po francusku, nie przypuszczając, że dziewczyna rozumie, ponieważ musiała być niemowlęciem w okresie, kiedy Francuzi opuszczali Indochiny, i młodzież już prawie nie mówiła po francusku. - Piękna jak księżniczka. Piękna niewolnica z książęcego rodu na łasce Dzikusa.

Strach Sung nieco ustąpił. Ten dziwny, mały, tłusty człowieczek nie wydawał się groźny.

- Czego pan chce? - zapytała po francusku.

- Ojej! - powiedział. - Jaka piękna francuszczyzna.

Zerwał się. Brzmienie ojczyściego języka obudziło w nim rycerskość.

- Siadaj, moja droga. Przepraszam za to wtargnięcie. Jest jednak niezmiernie ważne, żebym skontaktował się z panem Meadem. Aż trudno sobie wyrazić jak bardzo ważne. To kwestia życia lub śmierci. Niestety mojego życia albo mojej śmierci.

Nie zbliżyła się, ale już się nie bała.

- Nie ma go tu - powiedziała.

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym tu na niego zaczekał? To bardzo ważne.

- Nie wiem, kiedy wróci. Czasami w ogóle nie wraca na noc. Nigdy nie wiem, kiedy wróci.

- Ale muszę się z nim natychmiast zobaczyć. - Lacouture zmartwił się bardzo i usiadł. Zaczął wachlować się kapeluszem.

- Może zostawi pan dla niego wiadomość. Przekażę.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedział ze łzami w oczach. Wytarł je chusteczką. - Przepraszam. Jestem naprawdę bardzo zdenerwowany.

Wskazał jej krzesło stojące przy stole.

- Usiądź, proszę. Nie wypada, żebym ja siedział, kiedy ty stoisz, ale ja jestem zbyt zdenerwowany, żeby stać, więc ty musisz usiąść.

Skinęła głową. Usiadła wyprostowana z rękami złożonymi na kolanach.

- Jesteś naprawdę piękna, a twój francuski jest doskonały. Mówisz tak dobrze jak ambasador. Gdzie się uczyłaś?

- W domu.

- Ach - powiedział rozumiejąc sytuację. - Twoja rodzina była bardzo bogata, prawda? Przyszli komuniści i musiałaś uciekać. Skąd pochodzisz, kochanie?

- Z Ban Me Thuot.

- Wspaniałe miejsce.

- Zna je pan? - zapytała, okazując zainteresowanie po raz pierwszy od czasu opuszczenia burdelu.

- O tak. Byłem tam wiele razy. Moja rodzina też była bardzo bogata. Urodziłem się tutaj. Kiedy byłem młody, ojciec często zabierał mnie do Bań Me Thuot. Miał tam dużą plantację kauczuku, a także był przedstawicielem firmy Michelin i kupował kauczuk od Wietnamczyków. Prawdopodobnie mój ojciec znał twój dziadka albo nawet i ojca. Jakie to ciekawe!

Milczał przez chwilę, zatopiony we wspomnieniach.

- To było piękne miejsce, a ludzie wydawali się tam bardziej szczęśliwi niż gdzie indziej. Pamiętam, że jeździłem na rowerze po okolicznych wioskach i polnych drogach, ale to było bardzo dawno temu. Nie byłem tam od lat.

Lacouture wyciągnął wizytówkę z kieszeni kamizelki.

- Musimy się kiedyś spotkać. Napilibyśmy się kawy na tarasie w „Continentalu”. Chętnie pokażę ci piękniejsze miejsca Sajgonu. Będą ci się podobały. Chciałabyś przyjść? Jestem pewien, że pan Mead nie będzie miał nic przeciw temu. Chyba nie będzie o mnie zazdrosny.

Wsunął jej wizytówkę w dłoń.

- Nawet się nie przedstawiłem. Nazywam się Bernard Lacouture, a tu jest mój adres i numer telefonu.

- Ja nazywam się Sung Le Vinh.

- I pomyśleć, że to pan Mead doprowadził do naszego spotkania. Amerykański żołnierz, stary francuski dżentelmen i piękna wietnamska księżniczka.

Zarumieniła się lekko i spuściła głowę.

- Napijemy się kiedyś razem kawy, prawda? Mamy sobie tyle do powiedzenia. Chciałbym usłyszeć coś o Bań Me Thuot, chociaż może wspomnienia są dla ciebie zbyt bolesne?

Wciąż trzymała głowę opuszczoną.

- Twoja rodzina została zabita? - zapytał.

- Tak - powiedziała cicho. Westchnął.

- Jakie to przykre. To straszna, straszna wojna. My, to znaczy Francuzi, sprowadziliśmy takie straszne nieszczęścia na ten kraj. Może ta wojna szybko się skończy.

- To samo mówi Roń. Mówi, że człowiek, dla którego pracuje w ambasadzie, próbuje zakończyć tę wojnę. Czy myśli pan, że naprawdę tak się stanie?

Lacouture złożył starannie swoją chusteczkę i wsunął do kieszeni.

- Wielu ludzi próbuje zakończyć tę wojnę - powiedział gładko z dobrodusznym wyrazem twarzy. - Potrzeba jednak bardzo potężnego człowieka, takiego jak ambasador Marshall, żeby ją zakończyć.

- Roń mówi, że to bardzo miły człowiek. Lubi go. Lacouture starał się nie okazywać swojego zdumienia.

- On rzeczywiście jest bardzo miły i taki szczerzy.

- Pan go zna?

- Tak. Byłem u niego w domu parę dni temu. Chyba wypilem za dużo szampana.

- Roń mówi, że ma bardzo piękny dom, wiele służby i jest miły dla każdego.

- To prawda. Nie rozumiem jednak, dlaczego pana Meada nie było razem z ambasadorem. Może dlatego, że spotykamy się tylko na stopie towarzyskiej i zawsze poza ambasadą.

- Chyba tak. Roń stanowi jego ochronę osobistą i jeździ z nim tylko w sprawach służbowych.

- Rozumiem - powiedział Lacouture, znowu wyciągając z kieszeni chusteczkę i ściskając ją mocno w rękę.

Mój Boże, pomyślał. To nie może być prawda. Chciał pochwycić jej rękę i ucałować z wdzięczności.

Nagle wyprostował się. Mój Boże! Lord jego też zabije! Osobista ochrona Marshalla będzie

przecież z nim razem na spotkaniu z generałem Khanhem. Jego Dzikus zostanie zabity! A Lord spiskuje z nim, żeby tego dokonać. Zły do gruntu skurwysyn. Jego Dzikus, a zarazem opiekun tej miłej dziewczyny, ma być też zamordowany!

Był zbyt roztrzęsiony, żeby powiedzieć cokolwiek, kiedy rozległo się głośnie walenie do drzwi, które zaraz się otworzyły. Lacouture zerwał się przerażony.

Potężny młody mężczyzna, nagi, tylko w slupkach, stał w drzwiach trzymając karabin.

Lacouture zapiszczał i o mało co nie spadł z krzesła.

- Co to, kurwa! - krzyknął Bili Catton, otwierając kopniakiem drzwi na całą szerokość i wchodząc do pokoju z karabinem wymierzonym w Lacouture'a.

- Co to za duppek? Wstawaj!

Lacouture zerwał się, przytrzymując się stołu w obawie, że zemdleje.

- Co tu się dzieje? Sung, czy wszystko w porządku? - Catton szybko przeszedł przez pokój i wbił lufę karabinu w żołądek Lacouture'a.

Sung zerwała się.

j - W porządku, Bili. On mi nic nie zrobi. To znajomy Rona. Catton przyglądał się drżącemu człowiekowi stojącemu przed nim.

- Bardzo wątpię. Kto ty, kurwa, jesteś, tłusta dupo?

l Lacouture zupełnie zaniemówił, ale po chwili udało mu się wykrztusić kilka

Isłów.

j - To prawda. Znam pana Meada z ambasady.

- Ja też pracuję w ambasadzie, glisto, i pamiętałbym, gdyby ktoś taki tam przychodził. Wyglądasz jak goblin z jakiejś bajki. - Mocniej nacisnął lufą brzuch Lacouture'a i zwrócił się do Sung.

- Najpierw żółtki, a potem jakieś glisty. Co tu się dzieje?

- On przyszedł spotkać się z Ronem, Bili. Zna ambasadora Marshalla. Catton szybko opuścił karabin.

- Och. - Potem rozejrzał się podejrzliwie dookoła. - A gdzie jest Roń?

- Wciąż w pracy. Powiedziałam panu... Lacouture'owi, że to może jeszcze długo potrwać. Rozmawialiśmy po francusku, a on opowiadał mi o okolicach, gdzie kiedyś mieszkałam.

- Tak. Tak - wtrącił się szybko Lacouture. - Zresztą i tak już wychodziłem. Powiedziałem panie... Vinh, żeby powtórzyła panu Meadowi, że byłem, i żeby mu przekazała wiadomość. Powiedziałem jej, że jest niezmiernie ważne, żebym mógł zobaczyć się z nim natychmiast. To ma coś wspólnego z ambasadorem Marshalllem. - Wskazał ręką na stół. - Widzi pan, dałem jej swoją wizytówkę. - Chwytał ją i podał Cattonowi, który spojrzał na nią i wsunął za pasek spodenek.

- Ja ją zatrzymam i mu przekażę.

- Ależ oczywiście - powiedział Lacouture, sięgając po następną wizytówkę. - Dam panie Vinh inną. Najważniejsze jest, żeby wiadomość dotarła do pana Meada.

Następnie wyprostował się z całą godnością, na jaką go było jeszcze stać.

- W takim razie już pójdę. Miło było poznać panią, panno Vinh. Będę z przyjemnością myśleć o naszym następnym spotkaniu. Do widzenia panu - zwrócił się do Cattona, omijając go z daleka i pośpiesznie zmierzając do drzwi.

Catton patrzył za nim, a potem zwrócił się do Sung z szerokim uśmiechem na twarzy, podnosząc karabin i naciskając na spust. Rozległ się tylko niegroźny trzask.

- Przyszedłem pożyczyć trochę oliwy. Czyszczę karabin. Gdzie Roń trzyma swoje przybory do czyszczenia?

Rzucił wizytówkę Lacouture'a na stół.

- Mam nadzieję, że ta mała wesz nie jest nikim ważnym.

Lacouture musiał oprzeć się o ścianę w korytarzu prowadzącym do wyjścia. Czuł się tak oszołomiony, że bał się, iż gotów jest spaść ze schodów. Nie był jednak pewien, czy to oszołomienie wywołane było strachem, widokiem nagiego ciała Cattona czy też wiadomością o Meadzie i ambasadorze Marshallu.

Kiedy wytoczył się przed budynek i wszedł do taksówki, opadł na tylne siedzenie i polecił kierowcy jechać przed siebie. Musiał się uspokoić i wszystko przemyśleć.

Musi skontaktować się z Meadem. Czy on pomoże? Czy ta kobieta przekaze wiadomość?

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby przetrzeć twarz, ale zamiast tego zacisnął na niej zęby.

Nikt mi nie pomoże, rozpacział. Wszyscy mną pogradzają. Jak ten młody człowiek mnie

potraktował!

Ale nie. Dzikus jest inny. Jest miły. Pomoże. Musi pomóc.

Teresa Hawthorne stała przed budką wartownika zbudowaną z kuloodpornego szkła przed ambasadą amerykańską. Od wielu dni próbowała bez powodzenia

skontaktować się z Marshalllem. Nigdy go nie było w biurze, kiedy dzwoniła, a ponieważ nie miała telefonu, nie mogła zostawić swojego numeru.

Wyczuwając niechęć sekretarki po tych telefonach Teresa niepokoiła się, czy połączy ją, nawet gdyby Marshall był na miejscu. Postanowiła więc skontaktować się osobiście.

Wszędzie szukała Lin, ale nikt jej nie widział.

Ojciec Dourmant też nie był w stanie pomóc.

- Nie udaje mi się zainteresować tą sprawą nikogo w parafii - powiedział. - Nikogo nie obchodzi ani twoja klinika, ani te dzieci. Nie mogę skłonić biskupa, żeby przyznał choćby symboliczną sumę. Muszę podkraść ze skarbonki na biednych.

Siedziała w gabinecie, a on człapał po kuchni, przygotowując herbatę.

- Nie są bez serca ani pozbawieni uczuć, ale bardziej interesują się sierotami katolickimi albo normalnymi wietnamskimi sierotami, których ojcowie zginęli na wojnie, a matki w zamachach bombowych lub zmarły na jakąś chorobę. Takich są tysiące. Nie mają dokąd pójść i nie otrzymują żadnej pomocy od władz. Na każde z twoich sierot przypadają setki tamtych. Tragedia nie jest ani większa, ani mniejsza, ale twoje problemy wydają się mniejsze i mniej znaczące ze względu na ilość.

Przeszukał w większości puste pudełka po herbacie, wziął jedno i poszedł do kuchenki.

- Pewnie wróciła do burdelu - powiedział - a niemowlę wyrzuciła na śmietnik.

- Jestem pewna, że tego nie zrobiła, i myślę, że prędzej by umarła, niż wróciła do burdelu.

- Umrze, jeżeli nie będzie miała się z czego utrzymać. Potrzebuje pieniędzy na jedzenie, a dla kobiety takiej jak ona nie ma innego sposobu zarabiania. W burdelach nie mają żłobków. Będzie musiała pozbyć się dziecka, zanim tam wróci.

Teresa opuściła głowę i zaczęła cicho płakać. Stary ksiądz nie zwracał na nią uwagi i rozstawiał na stole filiżanki swoimi poskręcany reumatyzmem rękami.

- Mam już siedemdziesiąt trzy lata - powiedział. - Widziałem tyle nieszczęść, cierpień i zła, że Bóg mógłby poświęcić albo nawet się zawstydić. Wiesz, nic z tego nie rozumiem. Nie rozumiem tego ani trochę lepiej dziś niż pięćdziesiąt lat temu, kiedy byłem młodym księdzem.

Rzucił na stół łyżeczki. Jedna odbiła się i spadła na podłogę.

- Cholera - powiedział, schylając się i stękając z wysiłku. Podniósł łyżeczkę, wytarł ją o sutannę i znowu rzucił na stół.

- Przejmuję się jednak tak samo dziś jak pięćdziesiąt lat temu. Nie jestem uodporniony na cierpienie, które widziałem. Moje serce nie jest zatwardziałe. Nauczyłem się jednak, że niewiele mogę zrobić, i że to nic nie daje, jeżeli będę krzyczał i wygrażał pięścią Panu Bogu. Nie podoba mi się, jak ten świat jest urządony. Ja nie dopuściłbym do tego, żeby istniały na nim ból i cierpienie, ale niestety zmiana czegokolwiek nie leży w mojej mocy. Nie jest też w twojej, moja droga, więc przestań płakać i przynieś czajnik, bo ja mogę oblać nas oboje wrzątkiem.

Teresa pociągnęła nosem, wytarła oczy i poszła do kuchni po wodę.

Ksiądz usadowił się powoli na krześle.

- Nie podoba d się świat boży, więc odrzucasz Boga. Mnie też Jego świat się nie podoba i nie rozumiem tego, co On robi, ale wierzę w Niego. To nie robi Bogu żadnej różnicy. To jest tylko kwestia naszego dobrego samopoczucia. Jeżeli o mnie chodzi, to już dawno temu postanowiłem, że nie będę z nim walczyć. Nie mógłbym wygrać, a nawet gdybym wygrał, tak jak ty myślisz, że wygrałaś odrzucając Go, to co bym właściwie wygrał? Zrozumienie? Spokój?

Zaczął dmuchać w filiżankę, żeby ostudzić herbatę.

- Ja wybrałem trudniejszą drogę. Wierzyć niezależnie od wszystkiego. Bez wątplenia będę za to nagrodzony.

Roześmiała się i też zaczęła dmuchać w filiżankę.

- Ksiądz myśli, że wybrałam łatwiejszą drogę?

- Tak. Ty zrezygnowałaś. Łatwo jest wierzyć, kiedy wszystko idzie gładko. Hiob był ciężko doświadczany nie bez powodu.

- To sofistyka, ojcze.

- To wszystko jest sofistyką, moja droga. - Uśmiechnął się. - Z tego się utrzymuję i robię to,

oczywiście, dla zbawienia. Karma, grzech pierworodny i przeznaczenie - to wszystko jest to samo. Wschodnie pogodzenie się z losem i rezygnacja oraz zachodnia wiara i determinizm są do siebie podobne jak dwie krople wody. Tak samo jest z życiem i śmiercią. Chwilę temu zaledwie i miliardy lat wcześniej nie żyłem i również za chwilę - już na zawsze - będę martwy. Nie ma się co przejmować tą króciutką przerwą pomiędzy tymi okresami. To samo odnosi się do Lin i jej nieszczęsnego maleństwa. Chodzi mi o to, moja droga Tereso, że nie powinnaś wszystkiego traktować jako sprawy osobistej, ponieważ te różne działania nie są skierowane przeciwko tobie i nic nie możesz na to poradzić. Odpuść trochę, moja droga. Nie możesz pomóc Lin, ale możesz pomóc innym. Wracaj do nich.

Teresa nie mogła jednak zrezygnować z Lin i jej dziecka, więc stała teraz przed budką wartownika.

- Czym mogę pani służyć? - zapytał wartownik z piechoty morskiej.

- Chciałam się widzieć z ambasadorem Marshallem.

- Czy pani jest umówiona?

- Niestety, nie.

- Przykro mi, ale musi pani dostać przepustkę z jego biura. Inaczej nie mogę pani wpuścić. Mam szczegółowe instrukcje co do tego. Pani może zadzwonić do jego biura i poprosić o przepustkę.

- Nic z tego nie będzie. - Pokręciła głową.

Już chciała odejść, ale przypomniała sobie Meada i zawróciła.

- Może mi pan pomóc. Jest taki młody człowiek, który pracuje jako ochrona osobista ambasadora. Nie pamiętam, jak się nazywa. To taki duży mężczyzna. Większy niż pan i bardzo groźny.

Wartownik uśmiechnął się.

- Tak. Znam go. To Roń Mead.

- O, właśnie! Kapral Mead. On mnie zna. Kiedyś uderzyłam go w twarz, ale to było nieporozumienie oczywiście... Czy mógłby pan zatelefonować do niego? On mi pomoże. Wiem, że tak.

- Cóż, proszę pani... Nie powinienem. - Spojrzał w jej proszące oczy, a potem sięgnął po telefon.

- Jasne, że zadzwonię do niego. Przepraszam... Pani nazwisko?

- Teresa Hawthorne. Dziękuję bardzo.

Wartownik powiedział coś do słuchawki, poczekał chwilę, a potem znowu się odezwał. Nie słyszała rozmowy, zobaczyła tylko, że wartownik uśmiechnął się, i wiedziała, że rozmawia z kapralem Meadem. Odłożył słuchawkę i odezwał się do niej przez okienko.

- Powiedział, żebym na panią uważał. Podobno ma pani niezły prawy sierpowy. Zejdzie za chwilę. Może pani tam poczekać.

- Dziękuję bardzo. To bardzo miło z pana strony. - Przeszła do zewnętrznego holu i usiadła.

Pięć minut później zobaczyła go idącego przez hol wewnętrzny w stronę budki wartownika. Żołnierz wskazał mu ją, a potem otworzył automatyczną bramkę. Mead pchnął ją i podszedł do Teresy.

Zerwała się z krzesła, a on zasłonił się rękami w udanym przestרחu.

- Jak to miło z pana strony, że zechciał pan zejść - powiedziała, wyciągając rękę na powitanie. - Bardzo dziękuję.

- Dzień dobry, panno Hawthorne. Jak się pani ma?

- Świetnie. Dziękuję. Przepraszam, że pana niepokoję, ale nie znam tu nikogo, kto mógłby mi pomóc.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Muszę się spotkać z ambasadorem Marshallem. To bardzo ważne.

- Próbowала pani do niego dzwonić?

- Wiele razy, ale jego sekretarka zawsze mówi, że go nie ma.

- Zgadza się. To Dolores, to znaczy panna Toland. Ona nikogo nie dopuszcza.

- Muszę z nim porozmawiać. Czy może pan przekazać mu wiadomość?

- Jasne. Teraz?

- To on jest?

- Tak, proszę pani. Pójdę i powiem, że pani tu jest. Czy to wszystko?

- Tak. To wszystko. - Uśmiechnęła się. - To cudowne, że może pan zrobić to dla mnie.

- Żaden problem. Czy pani chce wejść na górę? Mogę panią wprowadzić.
- Och, nie. Poczekam tutaj. Dziękuję bardzo.
- Na pewno? Dobrze. Zaraz wracam.

Wszedł do biura i powiedział sekretarce, że musi na chwilę wejść do ambasadora.

- Tam jest pułkownik Waggoner - próbowała protestować, nie podniósłszy głowy.
- To tylko chwilka - powiedział, przechodząc przez sekretariat.
- Czeka! - zawołała, ale już go nie było. Zapukał do drzwi Marshalla. Otworzył Waggoner.
- Jesteśmy zajęci - powiedział, widząc Meada.
- Tak, kapralu? - odezwał się Marshall zza biurka. - Proszę wejść. O co chodzi? - zapytał wiedząc, że Mead nie przeszkadzałby, gdyby sprawa nie była ważna.
- Panna Hawthorne próbowała się z panem skontaktować, sir. Mówi, że to bardzo ważne.
- Oczywiście. - Marshall sięgnął po telefon.
- Nie, sir. Ona jest na dole.
- Dobrze. Niech tu przyjdzie. Albo nie - powiedział spoglądając na zegarek. -Pójdziemy na lunch. Jestem jej to winien. Tą sprawą zajmiemy się później, panie pułkowniku. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest dobra, miła restauracja, do której moglibyśmy pójść.

Waggoner wzruszył ramionami.

- Nie wiem, sir. Ja zwykle jadam u „Brinksa”. Może „Continental”?
- Znam jedną, sir - powiedział Mead. - Francuska.
- Świetnie. Jak się nazywa?

Mead zaczął się jąkać pod gniewnym spojrzeniem Waggonera.

- Cóż, sir... taka śmieszna nazwa. Po francusku... Coś jak... - odwrócił wzrok. - Coś jak Cock Oil, sir.

Waggoner zamknął oczy.

- Nie przypuszczam, żeby pan ambasador zechciał tam coś zjeść - powiedział.
- Nie. To naprawdę ładne miejsce. Na zewnątrz jest kurczak na drzewach. Taki złocisty...

Marshall zmarszczył brwi, a potem uśmiechnął się rozwiązawszy zagadkę

- „Coq d'Or”.

- Tak, sir. Właśnie tak.

- Cock oil, Jezu - powiedział Waggoner.

- Cudownie - uśmiechnął się Marshall. - Proszę przekazać panie Hawthorne, że zaraz schodzę. Niech kierowca podjedzie samochodem. Wy tłumacz mu, gdzie jest ta restauracja, dobrze?

- Tak jest.

Odezwał się brzęczyk wewnętrznego telefonu. Marshall wduśił przycisk

- Tak, Dolores?

- Przyszedł pan Lord, panie ambasadorze.

- O cholera! Zupełnie zapomniałem - powiedział i spojrzął na Meada. - To zajmie mi tylko kilka minut. Poproś pannę Hawthorne, żeby poczekała.

- Proszę, niech pan Lord wejdzie - odezwał się do telefonu.

Mead i Waggoner wyszli razem. W sekretariacie minęli Wilsona Abbota Lorda. Lord ukłonił się Waggonerowi i zignorował obecność Meada. Zapukał do drzwi gabinetu Marshalla i wszedł do środka.

XXXIV

Marshall wstał, uściśnął rękę Lordowi na powitanie i wskazał gestem na fotele stojące po drugiej stronie pokoju. Obydwaj usiedli.

To było ich pierwsze bezpośrednie spotkanie. Przyglądali się sobie, jawnie oceniając się nawzajem. Obaj byli pewni siebie i rozluźnieni. Kiedy Marshall otrzymał od Lacouture'a wiadomość zawierającą hasło Nhay Dam, zadzwonił natychmiast do generała Trana i powtórzył mu te słowa.

Tran zawahał się.

- Tak. To on - powiedział z dziwną mieszaniną gniewu i smutku, jak to ocenił Marshall.
- Jest pan pewien?
- Tak.

Tym razem nie było ani chwili wahania.

- Czy spotka się pan z nim?
- Zastanowię się nad tym - odpowiedział Tran.

Zanim zadzwonił ponownie do Lacouture'a, żeby mu przekazać wiadomość o gotowości spotkania się z Khanhem, Marshall poprosił CIA o informacje o Francuzie. Powiadomiono go, że przekaze je Wilson Abbot Lord.

Lord był tym człowiekiem, przed którym ostrzegano go w Waszyngtonie. Przypomnił sobie, co mu powiedział absolutnie poważnie Andrew Maynard.

- Uważaj, Brad. On wierzy.

Chociaż Lord figurował jako urzędnik konsularny, Marshall wiedział, że jest starszym agentem CIA, i podejrzewał, że Lord działa niezależnie od rezydenta i podlega bezpośrednio Langley.

Widząc niewymuszoną i zupełnie nie skrywaną pewność siebie Lorda, Marshall uznał, że Maynard ma rację. To mógł być niebezpiecznie potężny wróg.

- Dlaczego tak poważne zainteresowanie tak błahą sprawą? - zapytał Marshall.
- Firma denerwuje się, kiedy ambasadorowie zadają się z małymi rzeźmieszkami i najemnikami.
- Wiedza o tym, że uważacie na wszystko, uspokaja - powiedział oschle Marshall.
- Telefony są po to, żeby słuchać - odpowiedział swobodnie Lord. - Telefon Lacouture'a jest na podsłuchu od lat. Nawet trudno było znaleźć wolne miejsce, żeby założyć podsłuch. Francuzi, Wietkong, Wydział Specjalny. Kiedy na nagranych taśmach znalazły się zakodowane rozmowy z kimś z ambasady, zainteresowało to nas.
- Proszę opowiedzieć mi o Lacouturze - odezwał się Marshall. Lord podał mu grubą teczkę.
- Obaj mamy lepsze rzeczy do roboty niż przeglądać te papierzyska, ale zostawię je panu, żeby mógł pan rzucić na nie okiem.
- Proszę omówić tylko najważniejsze rzeczy.

Lord rozsiadł się wygodnie w fotelu. Po wysłuchaniu rozmowy Marshalla z Tranem wiedział, że to, co powie teraz Marshallowi, może zadecydować o tym, czy Marshall upoważni Lacouture'a do zorganizowania spotkania.

- Bernard Lacouture ma sześćdziesiąt dwa lata - zaczął nieco rozwlekłym tonem. - Jest inteligentny, wygadany, zna się na sztuce, a także jest sprytnym biznesmenem i potrafi manipulować ludźmi. Jest dobrze sytuowany i jeszcze pomnaża swoje dochody handlując informacjami, i knując różne intrygi. W ciągu minionych lat dostarczał informacji Surete, Japończykom, partyzantom walczącym z Francuzami, armii północnowietnamskiej, patryzantom Wietkongu, Południowym Wietnamczykom i nam. Jego sympatie polityczne są... zmienne. Typowy oportunistą. Jego preferencje seksualne obejmują młodych chłopców i mają masochistyczne odchylenie. Wykorzystujemy go jako drugorzędne źródło w celu potwierdzenia pogłosek i sprawdzenia źródeł pierwotnych. Przetrawił

wszystkie przewroty i wszystkie reżimy głównie dlatego, że jest niegroźny. To taka mucha, która w zasadzie nie zasługiwałaby na, jak pan to nazywa, poważne zainteresowanie, gdyby nie wymieniała zakodowanych wiadomości z osobistym przedstawicielem prezydenta. Jego podstawowymi kontaktami są handlarze narkotyków i agenci wywiadu niższego szczebla, tacy, którzy uwielbiają wymieniać skryte uściski dłoni i nosić sztuczne wąsy.

- A ten kod? - zapytał Marshall z uśmiechem.
- Takie słowa, jak „piskliwy”, „La Goulue” i „Nhay Dam”.
- Co one znaczą?

- Mam nadzieję, że mi pan to wyjaśni - powiedział Lord, wruszając ramionami.
- Nie wiem, co one znaczą - powiedział Marshall ze wzrokiem utkwionym w Lorda. - A pan na pewno nie wie?

Lord nie odwrócił wzroku.

- Wyobrażam sobie, że to jest jakaś próba skłonienia pana do spotkania z północnowietnamskim przedstawicielem „wysokiego szczebla”, żeby omówić negocjacje pokojowe. Tak to zazwyczaj się dzieje.

- Zazwyczaj?

Lord wyglądał na znudzonego.

- Północni Wietnamczycy podejmują wszelkie wysiłki, żeby powstrzymać bombardowanie Północy i rozpocząć negocjacje dotyczące wycofywania wojsk. Nie będą chcieli przepuścić okazji wykorzystania kogoś takiego jak pan.

Marshall pochylał się do przodu, nie mogąc pohamować gniewu.

- Kogoś takiego jak ja? Wykorzystać?

Lord był zadowolony, że epitety dotknęły Marshalla. Chcąc jeszcze bardziej go podrażnić, tylko wruszył ramionami, jak gdyby spisek nieprzyjaciela i łatwowierność ambasadora były zbyt oczywiste, żeby się nimi przejmować.

- A kto, pańskim zdaniem, jest tym północnowietnamskim przedstawicielem „wysokiego szczebla”?

- Generał Xuan Tien Khanh.
- Myślałem, że on nie żyje. Lord znowu wruszył ramionami.
- Tak uważa MACY.
- A pan nie?

- Nasze oceny wywiadowcze nie zawsze są zgodne. Jego śmierć byłaby bardzo wygodna. My wolimy nie ufać dobrym wiadomościom, które nie mogą być potwierdzone.

- A więc co pan radzi?

- Nie jestem w stanie nic panu radzić, ekscelencjo.

- Gdyby jednak pan był w stanie?

- Ostrzegłbym pana. To dotyczy pańskiego osobistego bezpieczeństwa i prosiłbym o rozważenie możliwości, że jest pan manipulowany w celu osiągnięcia korzyści militarnych i politycznych.

Marshall rozparł się w fotelu i zastanawiał się przez chwilę.

- Jest pan w Wietnamie od dłuższego czasu. Dłużej niż jakikolwiek inny przedstawiciel.
- Przypuszczam, że jest tu kilka osób, które były dłużej, ale ja też jestem tu długo. Wiele lat.
- Czy możemy wygrać tę wojnę, panie Lord?

- My musimy wygrać tę wojnę, panie Marshall - powiedział Lord spokojnie, z rozmysłem rezygnując z jakichkolwiek tytułów.

- A jak możemy to osiągnąć? - pytał dalej Marshall.

- Czy pan jest naprawdę tym zainteresowany?

- Ja nie zadaję retorycznych pytań, panie Lord. Jeżeli może mnie pan oświecić na temat możliwości wygrania tej wojny, z przyjemnością przekażę pańską receptę prezydentowi.

- Wysłać więcej ludzi i sprzętu. Pozwolić wojskowemu prowadzić tę wojnę tak, jak oni uważają za właściwe, zaatakować kryjówki nieprzyjacielskie.

- To nic nowego, panie Lord - powiedział obojętnie Marshall.

- Czy tego pan poszukuje, panie ambasadorze? Nowego rozwiązania? Rozwiązania, które pozwoliłoby uniknąć dalszych ofiar? Czegoś szybkiego i bezbolesnego, wygodnego i taniego? Nie, ekscelencjo. Nie znam takich rozwiązań. Moje rozwiązanie wymaga poświęcenia, zaangażowania i wytrwałości. Wszystkie zasady tego wymagają.

- Ach, tak - powiedział Marshall, wpadając w jego ton. - A tymi zasadami są demokracja i niepodległość, poparcie dla miłującego wolność rządu Wietnamu Południowego, który jest oddany sprawie prawdy i sprawiedliwości, co sobie niezmiernie cenimy.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł pułkownik Waggoner.

- Przepraszam bardzo, ale otrzymaliśmy w tej chwili wiadomość z Waszyngtonu, że prezydent Johnson będzie chciał z panem rozmawiać. Połączenie nastąpi za pięć minut. Będzie pan musiał zejść do „bańki”, czyli do centrum łączności.

- Cholera - powiedział Marshall, patrząc na zegarek. - Proszę posłać kogoś i powiedzieć pannie Hawthorne, że się spóźnię.

Wstał.

- Dziękuję, że zechciał poświęcić parr swój czas, i za rady, panie Lord. Nie podali sobie rąk. Lord tylko skłonił głowę i wyszedł z gabinetu.

Dobry, ściśle kontrolowany występ, pomyślał Marshall, patrząc na wychodzącego Lorda, z wyjątkiem pomyłki w sprawie „piskliwego”. Tego słowa nigdy nie użyłem przez telefon w rozmowie z Lacouturem. Było użyte w rozmowie w cztery oczy w willi. Użył je raz w rozmowie telefonicznej z generałem Tranem. Najwyraźniej Lord założył też podsłuch w telefonie Marshalla. Czy będzie się wahać przed podjęciem jakichkolwiek innych działań? - zastanawiał się.

Nie on, uznał Marshall. Jest tak niebezpieczny, jak ostrzegał go Maynard. Nie zawaha się przed niczym, pomyślał. Nie powstrzymają go ból, ofiary ani liczba zabitych. Jest śmiertelnie niebezpiecznym fanatykiem, nieubłaganym wrogiem każdego, kto nie podziela jego zasad. Jest człowiekiem, którego nie wzruszy młodość ani synowie ginący za te zasady.

To on jest nieprzyjacielem, skonkludował Marshall. Jego determinacja, by spotkać się z przedstawicielem Północy w celu poszukania sposobu zakończenia wojny, jeszcze się pogłębiła i zdecydowanym krokiem wyszedł z gabinetu, żeby porozmawiać z prezydentem.

Lord też był z siebie zadowolony. Z pewnością ktoś tak inteligentny i spostrzegawczy zwróci uwagę na błąd z „piskliwym”. To spowoduje, że jego brak zaufania do CIA i chęć podjęcia negocjacji pokojowych skłonią go do upoważnienia Lacouture'a do zorganizowania spotkania.

Działania słabych ludzi są tak łatwe do przewidzenia, pomyślał. To czyniło ich jeszcze łatwiejszym celem. Tacy ludzie jak Marshall są prawdziwymi wrogami wolności i demokracji. Krwawiące serca, których nie stać na utrzymanie twardego kursu, pokonanie przeciwności, prowadzenie długiej i brutalnej walki. Tacy ludzie mają usta pełne frazesów na temat zasad, ale nie są gotowi do poświęceń w imię tych zasad. Tacy ludzie za nic mają poświęcenie innych.

To on, Lord, od początku miał rację. To spotkanie tylko go w tym utwierdziło i umocniło go w twardym postanowieniu, by powstrzymać Marshalla.

Z niższego piętra zadzwonił do Gibbona z telefonu w holu. Gibbon zgłosił się, podając swój numer wewnętrzny.

- Jeff, będzie ważna rozmowa z Waszyngtonem. Chcę mieć jej nagranie natychmiast na biurku. Rozumiesz? - odłożył słuchawkę.

Pozostawał tylko problem Lacouture'a. Tę sprawę załatwi sam.

W „bańce” na dole, w najpilniej strzeżonym pomieszczeniu ambasady, w jej elektronicznym pępku, poprowadzono Marshalla przez pomieszczenia wypełnione sprzętem łączności i wprowadzono do dźwiękoszczelnej kabiny.

- Gdzie jest telefon? - zapytał, spodziewając się znaleźć telefon kodujący, do jakiego zdążył się przyzwyczaić w innych ambasadach.

- Ambasador Bunker korzysta z tego urządzenia do rozmowy z Białym Domem - powiedział urzędnik z ambasady. - Proszę tylko usiąść w środku, sir, i rozmawiać. Po skończeniu rozmowy proszę wcisnąć ten guzik, a drzwi się otworzą.

Zapaliło się czerwone światelko.

- Właśnie łączymy rozmowę, sir.

Marshall zamknął drzwi i usiadł przed biureczkiem w niewielkiej budce wybitej dźwiękoszczelnym materiałem.

- Bradley! Jesteś tam, Bradley? - ryknął w budce głos Johnsona. Marshall o mało nie spadł z krzesła.

- Jezu! - krzyknął Marshall. - Niech ktoś to przyciszy!

- Co? - ryknął Johnson. - Co mówisz, Bradley?

O Boże, pomyślał Marshall. Nikt mnie nie słyszy. Zrozumiał, że głośniki są tak wyregulowane ze względu na wiek Bunkera. Zasłonił uszy rękami.

- Nie, panie prezydencie. Mówiłem do kogoś innego.

- Kto jeszcze tam jest? - krzyczał Johnson. - A gdzie ty jesteś? W rozmównicy publicznej?

- Nie, sir. To zwykle nieporozumienie. Czym mogę służyć, sir?

Głos prezydenta zniżył się do szeptu, który wciąż brzmiał donośnie w kabinie.

- Pomóż mi, Bradley. Wciąż czekam na jakąś wiadomość od ciebie. - Powiedział to takim tonem, jakby od lat siedział obok telefonu, który się nie odzywał.

Walnął pięścią w stół.

- Mam ten cholerny raport PPWW przed sobą i nie wiem, co mam robić. Twierdzą, że potrzebują więcej ludzi, więcej czołgów i więcej wszystkiego. Chcą wszystkiego, może z wyjątkiem Lady Bird* w mundurze i obwieszonej granatami. Bradley! Co mam robić? Przecież miałeś mi pomóc. Przecież cię tam posłałem, żebyś rozpieprzył cały ten bajzel. - W głosie prezydenta zwyciężyły ból i poczucie zdrady.

- Widziałem raport DWWPBP, panie prezydencie. Mam do niego poważne zastrzeżenia. Jeden z autorów raportu odbył ze mną inspekcję w terenie, żeby stwierdzić poprawność wniosków. Jutro też jadę w teren i będę mógł udzielić szczegółowej odpowiedzi, kiedy wrócę. Sytuacja nie jest aż tak krytyczna, żeby nie można było odwlec decyzji na pewien czas. - Czy to znaczy, że Lady Bird może przestać się pakować?

- Tak, sir.

- No, to już pewna ulga. Wiesz, że Westmoreland i Bunker są tu, w Waszyngtonie. Westmoreland wystąpił przed Kongresem i wszystkich natchnął duchem walki. Naciska na mnie z tym WWPP, więc musiałem zadzwonić i sprawdzić, co się tam dzieje, bo ty się nie odzywasz. Czy ty cokolwiek robisz, Bradley? Wisi nade mną ten twój szantażujący mnie dokument, a czas ucieka. Przecież masz mi pomagać, Bradley.

- Robię, co mogę, panie prezydencie. - Marshall myślał, czy nie wspomnieć o możliwym spotkaniu z generałem Khanhem, ale wołał nie rozbudzać bezpodstawnych nadziei. Jednakże teraz, bardziej niż kiedykolwiek, był zdecydowany spotkać się z przedstawicielem armii północnowietnamskiej.

- Mam nadzieję, że wkrótce będę miał jakieś konkretne, dobre wiadomości - powiedział.

- Po to cię wysłałem - odparł Johnson. - Śpiesz się, Bradley. Wilki się zbliżają - powiedział, jakby już je widział na trawniku przed Białym Domem. - Prasa mnie ukrzyżuje.

Marshall natychmiast wyobraził sobie te rozkrzyżowane ręce i Johnsona krzywiącego się z bólu od wbijania gwoździ.

- Więc ten raport PPWW to zwykle gówno. Czy to chcesz mi powiedzieć, Bradley?

- Tylko sugeruję, żeby pan nie śpieszył się z decyzją. W najbliższym czasie przekażę moje zalecenia.

- W porządku, Bradley. Zaczekam. Liczę na ciebie, Bradley. Wszystko jest w twoich rękach - powiedział, jakby lada chwila miała nadsygnąć Apokalipsa. -

I Dak To - zagrzmiął. - Chcę wiedzieć o Dak To.

- Dak To? - zastanowił się Marshall. Wiedział, że trwają tam walki, ale nic więcej o tym nie słyszał.

¹ * Lady Bird Johnson (ur. 1912), żona prezydenta Johnsona [przyp. red.].

- Tam jest koniec świata - krzyczał Johnson, ale zaraz jego głos przeszedł w szept. - Westmoreland skraca swój pobyt tutaj. Wiem, że to w związku z Dak To. Oczywiście nikt mi o tym nie mówi, ale jestem przecież tylko wodzem naczelnym i kimś, kto o wszystkim dowiaduje się ostatni.

- Dowiem się wszystkiego dla pana, sir - powiedział Marshall. - Jeżeli tam jest aż tak źle, to może jednak niech Lady Bird się pakuje - dodał z powagą.

Johnson ryknął śmiechem.

l*.

- Powiedz mi, co się tam dzieje! - wrzasnął i odłożył słuchawkę. i* Marshall wytoczył się z kabiny. W uszach czuł bolesne dzwonienie. l

- Przepraszam, że musiała pani czekać - powiedział Marshall do Teresy, witając się z nią serdecznie. - Cieszę się bardzo, że pani pamiętała, że obiecałem jej lunch.

- Wziął ją pod rękę i poprowadził na zewnątrz do samochodu. - Kapral Mead będzie osobiście odpowiedzialny za jedzenie. To on zaproponował tę restaurację.

Na schodach zatrzymała się.

- Ależ nie - powiedziała zakłopotana. - Ja... Ja tylko chciałam... Panie ambasadorze... Ja...
- Proszę mówić mi Brad. Ktoś musi nazywać mnie po imieniu. Już od tygodni nie usłyszałem swojego imienia. Zaczynam myśleć, że istnieję wyłącznie jako osobistość.

Okropnie się zmieszała.

- Chciałam tylko porozmawiać przez chwilę. Dzwoniłam... ale... lunch... |

- Nie jadła pani jeszcze, prawda? J

- Nie, ale...

- Ja też nie. Będziemy mogli porozmawiać. Dopilnuję, żeby pani wróciła do swoich świętych obowiązków bez niepotrzebnej zwłoki.

Poprowadził ją do samochodu i pomógł wsiąść.

- Co u pani słyhać? Jak się ma ojciec Dourmant? Jak tam klinika?

- W porządku - powiedziała, wciąż zaskoczona szybkością, z jaką się toczyły wydarzenia. - Wszystko jest w porządku. No, prawie wszystko. - Roześmiała się.

- Wie pan, za każdym razem kiedy czuję się zniechęcona, dzieje się coś, co powoduje, że zaczynam się czuć lepiej. Ojciec Dourmant powiedziałby pewnie, że to dzieło boże, ponieważ On działa sobie znanymi dziwnymi sposobami.

- Jeżeli pani ma na myśli mnie jako narzędzie Boga, rzeczywiście Jego sposoby są niezmiernie dziwne.

Samochód wyjechał z terenu ambasady, a oni prowadzili swobodną rozmowę w czasie krótkiej przejażdżki. Kiedy zatrzymali się przed restauracją, Marshall i Teresa wysiedli.

- Co byś nam polecił, kapralu? - zapytał Marshall.

- Kaczka jest bardzo dobra, sir. Podają ją w czymś, co wygląda, jak dżem pomarańczowy.

- Wspaniale. Może poczekacie tutaj? Chyba restauracja może podać wam coś do jedzenia? Albo może kierowca coś zorganizuje. Będziemy tutaj koło godziny.

Kierownik sali powitał ich z szacunkiem. Widział samochód, którym przyjechali. Poprowadził ich do stolika w głębi sali.

Zamówili. Teresa nie chciała pić wina. Opowiedziała mu o zniknięciu Lin.

- Ojciec Dourmant przypuszcza, że może wróciła do burdelu, ale ja tak nie sądzę. Przypuszczam, że ona naprawdę chce spalić dziecko przed ambasadą amerykańską.

- Czy mogę w jakiś sposób pomóc w jej znalezieniu? Teresa pokręciła głową.

- Bezdomna kobieta z dzieckiem w Sajgonie? Takich kobiet są tysiące. Ona może być wszędzie, gdzieś w zaułkach albo nad rzeką. Jest tak ciepło, że nawet nie potrzebuje żadnego schronienia. Nie. Nie można jej znaleźć.

Marshall wypił łyk Chablis i próbował ją pocieszyć.

- Nawet gdyby zamierzała podpalić się razem z dzieckiem przed ambasadą, nie uda jej się to. Ochrona tu jest bardzo sprawna i zatrzymają ją, zanim cokolwiek zdąży zrobić.

- Tak pan myśli?

- Tak. Ambasada jest bardzo dobrze strzeżona i dodatkowo wietnamscy policjanci stoją wszędzie, na każdym rogu. Poza tym, nie wystarczy buteleczka płynu do zapalniczek, żeby się spalić. Będzie potrzebować dużej bańki benzyny. Wydaje mi się, że ci mnisi buddyjscy, którzy się palili, korzystali z pomocy. Był tam ktoś, kto niósł benzynę, oblewał ich i podpalał. Chyba jesteśmy strasznie gruboskórni, że możemy o tym tak rozmawiać, ale myślę też, że kobieta z dzieckiem na ręku nie będzie w stanie zorganizować samospalenia.

Teresa powstrzymała uśmiech.

- To rzeczywiście brzmi okropnie, ale mam nadzieję, że może ma pan rację. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

- Żaden taksówkarz nie wysadzi jej przed ambasadą z bańką benzyny. Nie wydaje mi się też, żeby mogła ją tak nieść przez miasto w dodatku jeszcze niosąc dziecko.

- Udało się panu sprawić, że poczułam się lepiej - powiedziała.

- Ostrzegę wszystkich ludzi z ochrony. Będą na nią uważać, gdyby próbowała zrobić coś takiego. Polecę, żeby ją zatrzymali i przekazali z powrotem do pani. Czy tak będzie dobrze?

- Wszystko, co pan mówi, jest takie proste. Władza to wspaniała rzecz.

- Może być wspaniała - powiedział Marshall - ale rzadko tak jest. Podobne sprawy rzadko kiedy są proste. Ostatecznie odesłanie Lin z dzieckiem do pani niczego nie załatwia.

- Znowu mnie pan zmartwił.
- W takim razie przestańmy rozmawiać o wojnie. Może zechce pani zaproponować temat?
- Może o pańskiej rodzinie? Proszę mi opowiedzieć. Pan musi za nimi bardzo tęsknić.
- Rzeczywiście tęsknię, ale to panią znudzi. Uśmiechnęła się.
- Całe dni spędzam w towarzystwie chorych kobiet i dzieci. Nie mam przyjaciół i nie mam z kim porozmawiać. Jest tylko, ojciec Dourmant. Nigdy nie byłam w takiej restauracji, a nawet nie znałam nikogo takiego jak pan. Jak mogę się nudzić?

Marshall przyglądał się jej przez chwilę.

- Pani Tereso, może jednak powinna pani wrócić do klasztoru - powiedział łagodnie - i to niezależnie od tego, czy wierzy pani w Boga czy nie. Pani nie nadaje się do prawdziwego świata. Jest zbyt surowy. Nie chciałbym, żeby pani cierpiała. Opuściła głowę zakłopotana.

- Jeżeli chodzi o moją rodzinę, to mam żonę i troje dzieci. Moja żona jest również świętą. Nie jest taka eteryczna jak pani. Jest typem świętej, która lubi rządzić. „Zrób to... Zrób tamto... To będzie dobre dla ciebie... To pomoże biednym... Wielorybom... Drzewom, czy czemuś innemu”. Jest może raczej dobrą królową niż świętą. Jest cudowną matką i bardzo miłą osobą.

Umilkł na chwilę.

- A może jednak świętą. Nie jestem zbyt dobrym mężem.
- Widzi pan - powiedziała Teresa. - To wcale nie jest nudne. Zaraz mi pan powie, że był pan strasznym, niewiernym mężem i miał mnóstwo kochanek, i że pańska żona wytrzymała przy panu mimo tego wszystkiego.

Roześmiał się i dał znak kelnerowi, żeby podał więcej wina.

- Pani miała być eteryczna, ale zapomniałem, że pani jest świętą ze slumsów i ma do czynienia z prostytutkami, żołnierzami, narkotykami i dziećmi z nieprawego łoża.

- Czy wciąż kocha pan żonę?
- O tak, a także ją podziwiam i szanuję, ale zamiast przetrwać wszelkie trudności i napięcia małżeńskie, łatwiej było wdawać się w jakieś bezmyślne afery. Nie byłem zbyt zdyscyplinowany.
- Czy ona to zrozumiała?

- Boże, nie, ani nie zapomniała, ani nie przebaczyła. Jest na to zbyt silna i zbyt inteligentna. Ma swoje życie i swoje sprawy, cele i przedsięwzięcia, i całkiem nieźle sobie żyjemy. Nasze stosunki są bardzo dojrzałe i racjonalne, ale pozbawione uczucia.

- To niedobre i przykre.
- A dzieci? Mój Boże, wcale nie powinienem o nich mówić. Doprowadzają mnie do szału. Chyba teraz wrócę do willi i zaleję się w trupa.

- Jestem pewna, że ma pan wspaniałe dzieci.

- Słowo „wspaniałe” nie bardzo do nich pasuje. Ryan rzucił uczelnię i wstąpił do Sił Specjalnych. Pojawi się tu lada chwila, prawdopodobnie tylko po to, żeby zostać zabitym. Chris ma piętnaście lat i jest homoseksualistą, chyba że tylko udaje, chcąc, żeby w ten sposób znalazł się w domu wariatów, a Sara... Sara ma szesnaście lat... i jest zморą swojego ojca.

- Ja też byłam zморą mojego ojca - przyznała Teresa. - Byłam wielka i nieatrakcyjna. Nigdy nie miałam chłopaka. Nigdy nie chodziłam na randki. Przepraszam... Byłam raz, ale to wynikało z zakładu z jego strony.

- To tylko zły sen, a nie zморa. Sara jest zморą. Jest piękna i bardzo pociągająca, silna, uparta i niezależna. Wszystkie moje dzieci są takie.

- Wygląda na to, że i pan, i żona wykonaliście dobrą robotę.
- Byłoby znacznie lepiej, gdyby były głupie, brzydkie i posłuszne. Wtedy byłoby wspaniale.
- Pan chyba tak nie myśli.
- W tej chwili właśnie tak myślę. Nie mogę pogodzić się z tym, że Ryan tu przyjeżdża. Gdyby coś mu się stało...

- I dlatego tak bardzo stara się pan doprowadzić do zakończenia wojny? \

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Przypuszczam, że to się przyczynia do zwiększenia moich wysiłków, ale nie... Chcę zakończyć tę wojnę, ponieważ jest zła. To był wielki błąd. Chcę ją zakończyć, ponieważ nie jesteśmy w stanie jej wygrać. Zginie jeszcze więcej dzieci. Pojawi się jeszcze więcej dziewczyn takich jak Lin. Chyba pani nie przypuszcza, że możemy wygrać?

- Nawet nie rozumiem, co znaczy słowo „wygrać”. Nie przypuszczam, żeby było lepiej, kiedy tu przyjdą komuniści. Nie wyobrażam sobie, że zaopiekują się sierotami.

- Co zrobicie pani i ojciec Dourmant?

- Ojciec Dourmant to staruszek. Nie powinien już pracować tak ciężko jak w tej chwili. Myślę, że kościół skieruje go do jakiegoś domu starców.

- A co będzie z panią, Tereso?

- Nie wiem. Będę tu pracować tak długo jak się da. Potem... zobaczę.

- Zapotrzebowanie na świętych jest ogromne. Jest tyle miejsc, dokąd może pani pojechać. Indie, Afryka, Ameryka Środkowa. Na pewno nawet w Ameryce Północnej są miejsca, gdzie panuje bieda, ignorancja i choroby.

- Nie powinien pan ze mnie żartować - powiedziała trochę urażona.

- Nie powinienem. Trochę chciałem panią podrażnić. Przepraszam. To chyba dlatego, że nie rozumiem ludzi takich jak pani, ludzi, którzy spełniają dobre uczynki.

Roześmiała się.

- Są ludzie, którzy popełniają złe uczynki.

- Jasne, że są. Wszyscy, których znam, kierują się chciwością i egoizmem lub liczą na nagrodę w tej czy innej formie. Prawie zupełnie nie mam do czynienia z ludźmi poświęcającymi się, którzy nie są samolubni.

- Ma pan bardzo przynębiający pogląd na temat ludzi - powiedziała ze smutkiem.

- Jestem dyplomatą. W tym zawodzie optymizm nie popłaca. Głupiec zostaje unicestwiony szybko razem ze swoimi zasadami.

- Nie myślę, żeby ludzie byli aż tak źli.

- To pogląd raczej niezwykły u kogoś, kto widział to, co pani widziała, i kto 'zajmuje się tym, czym się pani zajmuje.

- Dzieci nie są złe. Kobiety też nie. Żołnierze też prawdopodobnie nie są źli. Powiedział pan o kapralu Meadzie, że to bardzo miły chłopak, chociaż zabił wielu ludzi. On jest miły. Szkoda, że pan nie widział, jaki był uprzejmy i szczery wobec mnie. Przypuszczam jednak, że mógłby mordować, gwałcić i rabować.

- Z pewnością nie chciałbym stanąć mu na drodze - przyznał Marshall, myśląc o nocy w Delcie.

- Ale to wy - mówię w przenośni - wysłaliście go tu, żeby robił pewne rzeczy. Jestem pewna, że w kraju nie mordowałby. Pracowałby, ożeniłby się, wychowywałby dzieci. Myślę, że większość ludzi jest w zasadzie miła i dobra. Oni po prostu trafiają na złą drogę, tak jak pan ze swoim małżeństwem i swoją niewiernością.

Odwrocił wzrok. Trafił na złą drogę. Czy to do niego pasuje? Nie. Nagle poczuł się znużony, zbrukany przez świat i przez wszystko, co robił. Zawiódł na tyle sposobów.

Czuł, że ona potrafiła go przejrzeć na wylot, przeświecić jak czysty promień światła, zobaczyć wszystkie skrzywienia, zniszczenia, zgniliznę. Będzie dla niego

miła, ale sama należy do innego wymiaru. Jego świat to pozory, bywalcy przyjąć, królowe i politycy. Ona rozwinęła się z dala od takiego świata. Była istotą lepszą, delikatniejszą. On zaś tkwił w miejscu, był ograniczony, nie rozwijał się.

Teresa go przerażała. Catherine nie. Catherine, mimo całej swojej dobroci, była częścią tego świata. Teresa unosiła się jakby ponad tym wszystkim. Należała do regionów czystego ducha, do których udawało mu się dosięgać rzadko i tylko na krótką chwilę.

Kiedy tak patrzył na nią przez stół, zapragnął, żeby nie tylko go lubiła, ale też, żeby zabrała go do tego swojego świata.

Złożyła serwetkę, którą trzymała na kolanach.

- Czasami myślę, że przyjemnie byłoby mieć męża i dzieci, i dom, gdzie gotowałabym dla nich i opiekowała się nimi. Nie brakuje mi jednak tego i jestem szczęśliwa.

Położyła serwetkę na stole i uśmiechnęła się.

- Ostatecznie dobre uczynki dostarczają zadowolenia. Są same w sobie nagrodą. Odwróciła wzrok, widząc, jak przygląda się jej z uwagą.

Jednak brakowało jej tego. W tej chwili brakowało. Chciała mieć męża i dzieci. I miłość. Za tym najbardziej tęskniła. Mieć kogoś, kto by ją kochał. Chciałaby zapomnieć o tych wszystkich bzdurach na temat dobrych uczynków, poświęceń i wyrzeczeń. Gdzie jest miłość?

Ojej, pomyślała. Miłość. Zarumieniła się.

Ale tego właśnie chciała, a jej myśli krążyły teraz wokół tego mężczyzny. Jest dobry i silny, łagodny i wyrozumiały. Prowokował ją do uśmiechu. Jeszcze nikogo takiego nie spotkała. Gdyby poznała kogoś takiego wcześniej, to może byłby i dom, i dzieci. Gotowałyby i sprzątała. Kochałaby i byłaby kochana.

Co jednak taki mężczyzna mógłby w niej dostrzec? Brzydka i ograniczona, nieatrakcyjna, szkapowata i całkiem prosta. Nie potrafiła się dobrze ubrać ani prowadzić błyskotliwej rozmowy. Nie mogłaby przyciągnąć takiego mężczyzny.

To wszystko jest nierealne. Westchnęła i podniosła wzrok. Wciąż na nią patrzył.

Restauracja opustoszała. Pozostali tylko oni dwoje.

Siedział w milczeniu i bardzo chciał ją dotknąć.

- Czy miałaby pani ochotę na coś jeszcze? Może deser albo kawę? - zapytał zamiast tego.

- Nie mogłabym już zjeść nic więcej. Nigdy nie jadam takich potraw. To był naprawdę wspaniały lunch. Dziękuję bardzo.

Kiedy Marshall poprosił o rachunek, Teresa posmarowała masłem bułki, które pozostały jeszcze w koszyczku, i schowała je do torby.

- Ciekawa jestem, czy te biedne chłopaki zdobyły coś do jedzenia. Siedzieliśmy tu bardzo długo.

Marshall wstał.

- Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy. Mówiliśmy tylko o mnie. Następnym razem chciałbym usłyszeć coś o pani. Czy zgodzi się pani?

- Z wielką przyjemnością - odpowiedziała bez wahania, patrząc na niego. Przytrzymał jej krzesło. Stali blisko siebie.

- Dziękuję - powiedział.

- Następnym razem ja zapraszam i ja wybieram restaurację.

- Nie. Ja - sprzeciwił się Marshall. - To kapral Mead dokonał wyboru, ja jeszcze „nie miałem okazji.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Teresa podała bułeczki Meadowi i Stokesowi.

- To był doskonały wybór, kapralu - powiedział Marshall. - Dziękuję bardzo, że mi poleciłeś to miejsce.

Otworzył drzwi Teresie i poczekał, aż usiądzie.

- Proszę odwiedzić pannę Hawthorne, tam gdzie powie. Ja wrócę z kapralem Meadem do ambasady - powiedział do Stokesa.

- Nie mogę pana tak wykorzystywać - zaproponowała Teresa.

- Nalegam - powiedział Marshall. - Poza tym muszę się trochę przejść, żeby mi wino wywietrzało z głowy. Było mi bardzo miło i dziękuję, że pani się zgodziła przyjęć moje zaproszenie. Jak tylko dowiemy się coś o Lin, natychmiast panią zawiadomimy.

Pomachał jej i ruszył chodnikiem, a za nim podążył bardzo zaniepokojony Mead. Zatrzymali się na rogu, czekając na możliwość przejścia przez ulicę.

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. To bardzo ważne - powiedział Marshall.

- Tak, sir?

Marshall sięgnął do portfela, wyciągnął z niego wizytówkę i trochę pieniędzy. Podał je Meadowi.

Ruszyli przez jezdnię. Mead musiał wyęczać słuch, żeby coś zrozumieć.

- Chciałbym, żebyś dziś wieczorem poszedł pod ten adres. Masz się upewnić, że cię nikt nie śledzi. Pod tym adresem mieszka ten Francuz, który o mnie pytał. Pamiętasz?

- Tak, sir. Ten, który rozmawiał z Dolores.

- Właśnie. Nazywa się Bernard Lacouture. Nazwisko jest na wizytówce. Chciałbym, żebyś mu przekazał, że powiedziałem „dobrze”. Będzie wiedział, o co chodzi.

- Mam mu tylko powtórzyć „dobrze”?

- Tak. On ma zorganizować spotkanie, w którym chcę wziąć udział. Powiedz mu, żeby był bardzo ostrożny przy komunikowaniu się ze mną, i niech nie korzysta z telefonu.

- Czy pański telefon jest na podsłuchu? - zapytał Mead, przypominając sobie Lorda wychodzącego z biura wcześniej tamtego ranka.

- Jestem pewien, że tak. Nie chciałbym, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

- Czy to wszystko, co mam zrobić, sir?

- Tak. Przykro mi, że wciągam cię w te sprawy, ale nie mam nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Przekaż mu tylko wiadomość tak, żeby nikt was nie widział.

- Kto mógłby mnie obserwować, sir?
- Pewnie ci sami ludzie, którzy założyli podsłuch w moim telefonie. Ci, którzy nie chcą, żeby doszło do tego spotkania.
- Czy to spotkanie może być niebezpieczne, sir? Marshall wymijał przechodniów na chodniku.
- Są rzeczy ważniejsze niż osobiste bezpieczeństwo. Chyba to rozumiesz. Poza tym, będziesz wszędzie, tam gdzie ja. Cóż mi się może stać?
- Czy mam się zameldować u pana dziś wieczorem po przekazaniu wiadomości, sir?
- Nie. Wystarczy, że poinformujesz mnie dyskretnie jutro, ale nie w biurze ani w samochodzie. Jestem pewien, że tam też jest podsłuch. Uważaj również dzisiaj. Niechętnie ciebie w to mieszam, ponieważ to może być niebezpieczne.
- Poradzę sobie, sir.
- Proszę mi wierzyć, kapralu, że mam do ciebie pełne zaufanie. Powierzam ci zadanie, które jest niezmiernie ważne, nie tylko dla mnie czy też dla prezydenta Johnsona, ale także może ocalić wiele istnień ludzkich. Obawiam się jednak, że są osoby, które nie chcą, aby moja misja zakończyła się sukcesem.
- Proszę się nie martwić. Przekażę mu wiadomość, sir.

Tak, pomyślał Marshall. Mead przekaze wiadomość Lacouture'owi, ale to co się stanie później, już nie jest takie pewne. Lacouture jest bystrym człowiekiem, czy jednak da sobie radę z Wilsonem Abbotem Lordem, to zupełnie inna sprawa.

Mead idący obok niego był podniecony i pełen dumy. Cieszył się, że ambasador Marshall ufa mu tak bardzo, ale też czuł się zaniepokojony, ponieważ to wszystko było tak pogmatwane. Lord, Zjawa, powiedział mu, że Lacouture jest nieprzyjacielskim agentem i planuje zabić Marshalla. Lord wie wszystko. Jest przecież z CIA. Dlaczego miałby kłamać? Czy Lacouture oszukuje Marshalla? Czy on, Mead, powinien powiedzieć Lordowi, co robił Marshall, żeby ochronić go przed nim samym? Ambasador często robił niebezpieczne rzeczy, tak jak choćby teraz, kiedy szedł sobie główną ulicą Sajgonu, gdzie w każdej chwili mógł podjechać na motorze agent Wietkongu i zastrzelić go.

Nie miał powodu, żeby nie ufać Lordowi. Jak dotąd Lord miał rację we wszystkim. Wszystko, co przewidywał, wydarzyło się naprawdę. Mead chciałby wiedzieć, co ma robić. Nie był dość inteligentny, żeby to rozgryźć. Marshall, Lord, Lacouture byli znacznie bardziej inteligentni niż on. Mógł zdać się tylko na własny instynkt, ale nie miał pewności, czy może zaufać komukolwiek. Wszystko było tak, jak powiedział Lord. Wtedy też miał rację, że to, co wydaje się rzeczywistością, może wcale rzeczywistością nie być.

Chciał tylko zrobić właściwą rzecz, ale skąd mógł mieć pewność, co jest właściwe? Chciał, żeby znalazł się ktoś, do kogo mógłby pójść i komu mógłby zaufać, ktoś, kto mógłby mu powiedzieć, co ma zrobić.

Nagle z wielką tęsknotą pomyślał o Sung. Może jej zaufać. Wiedział, że może. Nigdy przedtem nie był zakochany. Czy na tym to polega? - zastanawiał się. Taki nagły przypływ tęsknoty, nawet pozbawiony aspektów seksualnych. Pragnienie, żeby po prostu z nią być. Właśnie w tej chwili. Wtedy wszystko będzie w porządku. Mógłby sobie wówczas wszystko spokojnie przemyśleć.

Tak właśnie zrobi, postanowił. Najpierw pojedzie do domu. Dopiero potem do Lacouture'a. Przedtem wszystko sobie przemyśli i zadecyduje, czy ma powiedzieć Lordowi.

Właśnie wtedy Marshall zszedł na jezdnię i zatrzymał taksówkę. Pojechali do ambasady.

XXXV

Była prawie siódma i już robiło się ciemno. Mead dotarł do domu. Pokonał schody wielkimi skokami i z radością otworzył drzwi.

- Hej, Sung... - zneruchomiał w progu. Przy stole siedział Wilson Abbot Lord i patrzył na niego. Sung stała po drugiej stronie pokoju przy oknie.

- Pozbądźcie się jej - powiedział Lord, wskazując na Sung. - Musimy pogadać, kapralu.

- Pójdę do Hań - powiedziała Sung, obchodząc pokój tak, żeby cały czas być jak najdalej od Lorda.

- Siadajcie - zaczął Lord, kiedy już wyszła. - Powiedziałem wam, że potrzebuję pewnych informacji. Chciałbym je otrzymać przed końcem wojny, a nie wtedy, kiedy wam będzie wygodniej, kapralu.

- Tak jest - powiedział nerwowo Mead. - Próbowałem, ale...

- Tłumaczenia są do dupy, kapralu. Każdy ma jakieś wytłumaczenie. Nie jestem zainteresowany waszymi tłumaczeniami, tak samo jak nie jestem zainteresowany waszym życiem osobistym.

- Tak jest.

- Prosiłem o pomoc, ale to nie była prośba, kapralu. Oczekiwałem od was pewnej informacji. Teraz mówię, musicie ją zdobyć dla mnie. Natychmiast. Jeżeli to znaczy, że macie wleźć do łóżka temu sukinsynowi, to macie tam wleźć. Rozumiecie? To jest pierwsza liga, męska gra, a wy jesteście na zagrywce. Jasne? Moim zadaniem jest bezpieczeństwo narodowe. Traktuję je bardzo poważnie. To jest znacznie ważniejsze od tego, czy macie ochotę czy nie, żeby ten sukinsyn pottrzymał was za kutasa. To znacznie ważniejsze niż życie jednostki, niezależnie od tego, kim ona jest. Czy rozumiecie?

- Tak jest - powiedział Mead wyraźnie onieśmielony. Lord pochylił się przez stół i wpatrywał się w Meada.

- Chcę to powiedzieć jasno, żeby nie było żadnych nieporozumień. Ta francuska glista pracuje dla komunistów. Płacą mu. Zrozumieliście? Jest płatnym agentem komunistycznym. Chce zwabić ambasadora Marshalla na tajne spotkanie z komunistami. Stara się przekonać ambasadora, że ma się odbyć oficjalne spotkanie w celu rozpoczęcia rozmów pokojowych mających doprowadzić do zakończenia wojny. Obawiam się, że mu się to uda i ambasador da się nabrać mimo naszych ostrzeżeń.

Mead chciał powiedzieć Lordowi, że to się już stało, ale ten uciszył go gestem.

- Ambasador to dobry człowiek i na pewno nie jest głupi. Ma dobre intencje, ale czasami, kiedy się czegoś bardzo chce, tak jak on chce zakończyć tę wojnę, to ta ochota może wpłynąć negatywnie na zdolność oceny sytuacji. Wiecie dobrze, że nie powinien latać sam po Cholonie i lekceważyć zasad bezpieczeństwa. To samo dzieje się w tej chwili z Lacouture'em. To jest niebezpieczne. Powiedzcie mi, kapralu, byliście przecież w Strefie Zdemilitaryzowanej i znacie nieprzyjaciela. Czy oni są zainteresowani rozmowami pokojowymi? Czy wyobrażacie ich sobie negocjujących w celu zakończenia wojny? To są te same skurwysyny, które wysyłają

zwiadowców i podkładają ładunki wybuchowe pod nasze zasieki. Walczyliście z nimi. Czy myślicie, że są zainteresowani tym, żeby usiąść do stołu i uzgodnić kompromis z ambasadorem Marshalllem?

- Nie, sir - przyznał Mead.

- Właśnie. Zwabią go na spotkanie i zabiją albo wezmą do niewoli. Jak to będzie wyglądać? Osobisty przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych schwytyany przez nieprzyjaciela. Przy okazji wy też tam się znajdziecie.

Mead skinął głową. To miało sens. Lord znowu ma rację. Jak zawsze. To prawda, że organizowano spotkanie, i że Marshall się na nie zgodzi.

- Nie mam zamiaru do tego dopuścić, kapralu. Nie obchodzi mnie to, czy ambasador chce uczestniczyć w tym spotkaniu. Nie pozwolę mu. To jest obowiązek najwyższej rangi. Nie pozwolę, żeby ambasador dostał się do niewoli albo został zabity. A wy mi w tym pomożecie.

- Tak jest.

- Rozmawiałem dzisiaj z ambasadorem i ostrzegałem go w sprawie Lacouture'a, ale wątpię, żeby go przekonał. Wydaje się, że jest zdecydowany spotkać się z komunistami i ma zamiar to przed nami ukryć. Uda się na to sekretne spotkanie z nimi i zrobi wszystko, żeby nam uniemożliwić chronienie go. Wy, jeden żołnierz piechoty morskiej z karabinem, nie będziecie w stanie uratować go, gdy otoczy was tysiąc żołtków. Możecie to jednak zrobić wcześniej i jeden jedyny macie tę szansę, ponieważ w wyniku wyjątkowego szczęścia i zbiegu okoliczności ta glista Lacouture zakochał się w waszej dupie.

Mead odwrócił wzrok zakłopotany.

- Może nieprawda?

- Chyba... tak, sir. Tak mi się wydaje.

- Widzicie, kapralu, w tej robocie korzysta się z tego, co można mieć. Nie zawsze wszystko jest łatwe i wygodne. To nam spadło z nieba i jest to nasza jedyna szansa, żeby dokładnie dowiedzieć się, co jest grane. Musicie skłonić Lacouture'a, żeby wam to powiedział, i nie obchodzi mnie, jak to zrobicie... Ale to zrobicie. Zdobędziecie tę informację, nawet jeżeli będziecie musieli zerznąć mu dupę albo on wam. Gówno mnie to obchodzi. Macie zdobyć informację i już. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Muszę wiedzieć, gdzie ustalono spotkanie, kiedy i z kim. Jasne? Kto, gdzie, kiedy. Powtórzcie.

- Kto, gdzie, kiedy, sir.

- Macie jakieś pytania, kapralu? Mead potrząsnął głową.

- Ile mam czasu, sir, na zdobycie informacji? - zapytał niepewnie.

- Mało. Najprawdopodobniej Marshall teraz przekazuje wiadomość Lacouture'owi, potwierdzając, że gotów jest spotkać się z komunistami. Lacouture przekaże tę wiadomość komunistom, a oni będą musieli wybrać miejsce i wszystko przygotować. Potem dadzą sygnał Lacouture'owi. To potrwa może trzy albo cztery dni. Nie dłużej niż tydzień. Musicie się więc śpieszyć. Musicie uwieść tego sukinsyna tak, żeby wam wszystko powiedział.

- Tak jest.

Mead był zbyt oszołomiony, żeby powiedzieć cokolwiek innego, a także żeby powiedzieć Lordowi, że to właśnie on zanieś wiadomość do Lacouture'a.

- Rozumiemy się? - zapytał Lord, wpatrując się w Meada.

- Tak jest. Lord wstał.

- Dobrze. A więc nie ma potrzeby, żeby wywierał nacisk. Nie będę musiał uciekać się do żadnych drastycznych środków, na przykład do pogroźek. Jestem zadowolony, ponieważ bardzo tego nie lubię. Lubię rozsądek i inteligencję, a nie siłę i gwałt. Trzeba użyć siły, jeżeli nie można przekonać i jeżeli zawodzi intelekt. Cieszę się, że nie ma to miejsca w tym przypadku, bo mogłoby być niemiło.

Lord spojrzął na drzwi, a potem z powrotem na Meada. Jego wzrok był zimny i zły.

- To taka piękna kobieta.

Zmusił Meada do opuszczenia wzroku, a potem wyszedł, zamykając cicho drzwi za sobą.

Mead zdobędzie tę informację. Lord był tego pewien. Oczywiście jeżeli będzie jakakolwiek informacja. Po śmierci Kima komuniści odwołają spotkanie w obawie, że wszystko się wydało. To nie miało najmniejszego znaczenia tak długo jak Marshall będzie uważać, że spotkanie jest nadal aktualne, ponieważ on, Lord, będzie miał w zasadzce własnych ludzi. Wydział Specjalny winien mu jest wiele i ostatecznie biorą jego pieniądze. Było jednak bardzo ważne, żeby wiedzieć, co zostało przekazane między Marshalllem i Lacouture'em, tak by jak już zostaną ustalone czas i miejsce, znaleźli się tam jego ludzie, a nie armia północnowietnamska.

Wszystko zaczyna układać się w spójną całość, pomyślał Lord. Dodatkowa forma nacisku w postaci kobiety Meada czyniła sprawę jeszcze prostszą.

Trzydzieści minut. Wyliczył, że tyle czasu upłynie, zanim Mead pojedzie do Lacouture'a. Spojrzął na zegarek, żeby móc sprawdzić, czy naprawdę umie przewidywać, a potem znalazł sobie miejsce nieco dalej na ulicy, gdzie będzie mógł poczekać bez obawy, że zostanie zauważony.

Żałował, że nie może dostać się do wnętrza domu Lacouture'a, żeby móc zobaczyć tę scenę. Głupi *Marinę* i przerażona mała glista. To będzie cyrk.

Po wyjściu Lorda Mead siedział zupełnie nieruchomo przez kilka minut, starając się uporządkować myśli.

Czy ma jakiś wybór? Nie. Musi zrobić dokładnie to, co mu Lord kazał.

Chociaż jakoś nie bardzo ufał Lordowi, widział jednak, że to, co mówił, ma sens. To było podobne do ambasadora Marshalla, tak dać się złapać w pułapkę. Lord miał rację. Żółtki nie są zainteresowane roszczeniami pokojowymi. Chcą wygrać. Jedyna część opowiadania Lorda, która go niepokoiła, dotyczyła Lacouture'a. Nie mógł wyobrazić sobie małego, zabawnego Francuza w roli komunistycznego agenta. Lacouture sam się przyznał, że sprzedaje i kupuje informacje, co prawdopodobnie oznaczało, że tym razem dostał jakieś pieniądze od komunistów, ale to bardziej przypominało sytuację Hań, która żyła z żołnierzami, żeby przeżyć, a nie dlatego, że miała na to ochotę.

Jeżeli Lacouture organizuje spotkanie Marshalla z komunistami, robi to tylko dla pieniędzy, a nie po to, żeby zabić Marshalla.

Ale co on, Mead, naprawdę wie? Nie miał racji w żadnej sprawie. Zawsze zgadywał niewłaściwie, a teraz właśnie miał przekazać wiadomość od Marshalla, która prawdopodobnie stanie się przyczyną jego śmierci lub niewoli.

Dzięki Bogu, że są tacy ludzie jak Zjawa, pomyślał. Ludzie naprawdę bystrzy, którzy wiedzą, co się dzieje. Bez nich nigdy nie wygralibyśmy. Ludzie tacy jak ja nie są dość przebiegłi, a ludzie tacy jak Marshall mogą być zbyt łatwo oszukani i wprowadzeni w błąd. Nikt jednak nie może oszukać Zjawy.

Rzeczy takie... jak z Lacouture'em. Homoseksualizm był mu tak obcy jak geometria. Nie mógł sobie tego po prostu wyobrazić. Jak mężczyzna może interesować się ciałem innego mężczyzny? W ogóle nie potrafił zrozumieć, jak mogli się całować i przebywać ze sobą podobnie jak mężczyzna z kobietą. Przekraczało to jego wyobraźnię do tego stopnia, że nawet nie czuł obrzydzenia. Zabijanie było straszne, ale znał zabijanie i mógł je zrozumieć. Kradzież, kłamstwo czy inne złe uczynki mógł zrozumieć, ale homoseksualizmu nie. To było jak napastowanie dzieci. Słyszał, że to się zdarzało, ale w żaden sposób nie potrafiłby niczego takiego zrobić.

Lord jednak kazał mu iść do łóżka z Lacouturem. Czy się na to zgodzi? Czy potrafi go dotykać albo czy pozwoli, żeby Lacouture go dotykał?

Musi jednak zdobyć informację. Musi ocalić Marshalla. Z dnia na dzień jego sympatia do Marshalla rosła. Lord nie powinien grozić Sung, chociaż Mead wiedział, że Lord mówił poważnie. Nie miał wątpliwości, że Lord skrzywdzi Sung, jeżeli on nie zrobi tego, czego Lord żąda.

Westchnął i oparł głowę na rękach. Wolałby nie być wmieszany w to wszystko. To przekraczało jego możliwości. Każdy go wykorzystywał, a on nic z tego nie rozumiał.

Nagle drzwi się otworzyły i weszła po cichu Sung. Stała za nim, a potem z wahaniem wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak - powiedział, nie podnosząc głowy. - Nie jestem na to dość sprytny. Chciałbym, żeby wszyscy się ode mnie odpiępryli i dali mi spokój.

- To nie jest dobry człowiek - powiedziała. Mead pokręcił głową.

- Nie. Chyba nie. Ale ostatecznie dobrzy ludzie nie przyjeżdżają na wojnę, prawda?

- Ty przyjechałeś, a przecież ty jesteś dobry.

Podniósł głowę. Uśmiechnęła się lekko. Był tak wzruszony, że odwrócił się na chwilę, a potem zaraz przyjął dawną pozycję i oparł głowę o jej bok.

- Już nic nie wiem - powiedział. - Nie wiem, co mam robić. Poglądziła go lekko po głowie.

- Musisz zrobić to, co uważasz za słuszne, Roń.

- Ale ja nie wiem, co jest słuszne - powiedział udręczonym głosem.

- Tobie zawsze bym zaufała, zrobisz właściwą rzecz niezależnie od tego, co to będzie... Ale nigdy nie zaufałabym temu człowiekowi - dodała po chwili.

- Czy był dla ciebie nieprzyjemny? - zapytał podnosząc głowę. Pokręciła głową.

- On tylko na mnie tak popatrzył. Wolałam tamtego.

- Kogo?

- Och - powiedziała zakłopotana. - Zapomniałam.

Wyciągnęła wizytówkę Lacouture'a z kieszeni bluzki i podała mu ją. - Ten człowiek przyszedł dziś wcześniej. To taki dziwny człowiek, ale podobał mi się. ' Podniosła rękę do ust, starając się

powstrzymać śmiech.

- Przyszedł do ciebie. Prawie płakał. Był taki zdenerwowany. Powiedział, że musi się z tobą zobaczyć, i że to bardzo ważne. Rozmawialiśmy i wtedy przyszedł Bili. Był prawie nagi i miał karabin, i ten mały człowieczek o mało co nie spadł z krzesła, tak się przestraszył, a Bili był dla niego bardzo nieprzyjemny.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedział Mead z uśmiechem.

- To Francuz. Prosił, żebym ci powtórzyła, że to bardzo ważne. - Podobał ci się? - zapytał Mead zaciekawiony. Zastanawiała się przez chwilę, a potem skinęła głową.

- Tak. Wydawał się miły.

- Jak ja? - zapytał z uśmiechem.

- Nie sądzę, żeby był taki jak ty - powiedziała, też się uśmiechając. - Ale myślę, że jest miły.

- O czym rozmawialiście?

- O Wietnamie. On tu był prawie przez całe życie. Zna moje strony rodzinne - Bań Me Thuot. Może nawet jego ojciec znał mojego dziadka. Dobrze mówi po wietnamsku. Wydawał mi się... dobry.

- Zaufałabyś mu?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę. - Mniej niż tobie, ale bardziej niż tamtemu drugiemu. Mead odetchnął głęboko i wstał. I co dalej? - myślał. Też bardziej lubił Lacou-ture'a niż Lorda i nawet bardziej mu ufał, a jednak Lord powiedział, że jest on komunistycznym agentem i będzie próbował zabić Marshalla. W co ma wierzyć? Przytulił Sung do siebie. Nie zeszywniała ani się nie skrzywiła. Nie odwzajemniła jednak uścisku. Trzymał ją tak przez dłuższą chwilę, pochylił głowę i przytulił twarz do jej włosów.

- Boże, nie mam ochoty wychodzić - powiedział, tuląc ją mocniej. - Nie mam ochoty tego robić.

Nic nie powiedziała, ale widząc jego zatroskanie i to, że musi się z tym borykać sam, podniosła rękę i objęła go.

Pocałował ją we włosy i cofnął się. Chwycił karabin i podszedł do drzwi. - Zobaczymy się później - powiedział.

Kiedy wysiadł z taksówki przed domem Lacouture'a, dwukrotnie przespacerował się do rogu ulicy i z powrotem, był tak rozkojarzony, że nie zauważył Lorda obserwującego go z samochodu.

Wreszcie wszedł do nieskazitelnego ogrodu i zapukał do drzwi. Nie było żadnej reakcji, ale Mead czuł, że ktoś jest w środku. Słyszał jakieś słabe odgłosy i zauważył, że zasłona w oknie drgnęła. - Panie Lacou... Bernardzie, to ja, kapral Mead.

Natychmiast coś zaczęło chrobotać przy drzwiach. Otwierano nieskończoną ilość zamków. Nagle drzwi stanęły otworem i wypadł z nich Lacouture. Chwycił Meada i trzymał mocno.

- Och, panie Mead. Drogi panie Mead. Przyszedł pan. Wiedziałem, że pan przyjdzie. Pan jest taki miły, taki wspaniały! Przyszedł pan, żeby mnie ocalić.

Mead stał sztywno, nie wiedząc co robić, ale nie odepchnął Lacouture'a. Lacouture wciąż go trzymał. Trząsł się cały, a kiedy podniósł wzrok, Mead zauważył, że jest przerażony i że pewnie płakał.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

Lacouture szybko się rozejrzał, wciągnął go do środka i zamknął wszystkie zamki. Kiedy skończył, chwycił się za pierś i odwrócił do Meada. Klasnął w ręce ze szczęścia.

- Przyszedłeś. Przyszedłeś mnie odwiedzić. - Przytulił do siebie Meada pełen wdzięczności, a Mead zmusił się, żeby stać spokojnie.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Po prostu wiedziałem. Tak się niepokoiłem, ale przez cały czas wiedziałem, że przyjdiesz.

Chwycił Meada za rękę.

- Twoja kobieta jest bardzo miła - Lacouture klepnął go w ramię. - Musisz być dla niej dobry. Mówię poważnie. To urocza osoba. - Znowu klepnął Meada w ramię. - To nie kurwa.

- Wiem - powiedział Mead, starając się powstrzymać śmiech. - Przecież ci mówiłem.

Lacouture pogroził mu palcem przed twarzą.

- Musisz być dla niej dobry i nie uganiaj się za dziwkami - powiedział i dźgnął go palcem w krocze. - Trzymaj go w portkach. Wyjmuj tylko dla niej.

- Ty też jej się podobałeś - powiedział Mead. Lacouture przyłożył rękę do serca.

- Naprawdę? - wyciągnął chusteczkę i otarł oczy. - Ona jest urocza.

- Jezu - powiedział Mead. - Jestem tu zaledwie od minuty, a ty już płaczesz.

- Ja zawsze płaczę.
- Wiem.
- Niektórzy ludzie powinni płakać. Gdybyś był na moim miejscu, też byś płakał.
- Czy to coś pomaga?
- O, tak! - powiedział Lacouture uszczęśliwiony. - Tylko dzięki temu mogę znieść to wszystko.
Chwycił Meada za rękę i poprowadził przez hol.
- Chciałbym ci pokazać wszystko w moim domu. Wszystkie moje skarby. Czy jadłeś coś? Nakarmię cię. Świetnie gotuję. Potrafię zrobić... no, te... frytki. Aha. Karabin. Musimy coś z nim zrobić. Wstaw go do stojaka na parasole. Napijesz się? - krzyknął Lacouture, klepnawszy się w głowę.
- Co ze mnie za gospodarz! Czego się napijesz? Szampana?
- Piwo wystarczy.
- E tam... Mam wspaniałego szampana. Równie dobry jak szampan ambasadora. Czy tamtego też piłeś? - Pogroził Meadowi palcem, a potem uszczypnął go w policzek. - Tak. Myślałeś, że nie wiem. To dlatego nie chciałeś rozmawiać o swojej pracy.
- Nie wiesz czego?
- Nie przypuszczałeś, że wiem, że jesteś ochroną osobistą ambasadora Marshalla.
- Jasne, że wiedziałem. Myślałem, że właśnie dlatego przysłałeś tego żółtka do mnie do domu... No wiesz, tego z zębami. Myślałem, że chcesz dotrzeć do ambasadora Marshalla za moim pośrednictwem.
- Nie - powiedział Lacouture. - Interesowałem się tylko tobą, jak ci już powiedziałem. Twoim ciałem. Dopiero później dowiedziałem się, że pracujesz dla ambasadora Marshalla.
Odwrócił się zaniepokojony ku drzwiom i opadł na krzesło. Znowu wyciągnął chusteczkę.
- A Kim, biedny, drogi Kim nie żyje. Zamordowany.
- Ten żółtek?
- Tak. Głupi mały żółtek - załkał Lacouture. - Był moim przyjacielem. - Wił się na krześle.
- Kto go zabił? - zapytał Mead, siadając obok. Lacouture podniósł głowę. Oczy mu błyszczały.
- Najbardziej zły człowiek na świecie. Odrażająca postać. Ta sama osoba, która chce zabić mnie.
- Kto to jest?
Lacouture pochylił się i chwycił Meada za rękę.
- Mówię prawdę. On chce mnie zabić. Dlatego przyszedłem do ciebie. Po pomoc. Powiedziałeś, że będziesz moim przyjacielem.
Lacouture rozpaczliwie ścisnął dłonie Meada i patrzył na niego prosząco.
- Czy żartowałeś sobie ze mnie? Wyśmiewałeś się? Powiedziałeś, że będziesz moim przyjacielem. Nie mam przyjaciół. Nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić o pomoc. Pomóż mi. Proszę. Jestem głupim, zwariowanym, odrażającym pedałem, ale pomóż mi. Proszę.
- Jezu - powiedział zakłopotany Mead, starając się wyswobodzić rękę. Lacouture trzymał go jednak mocno.
- Pomożesz mi?
- Tak. Jezu! Dobrze, pomogę ci.
Lacouture podniósł rękę Meada do ust i obsypywał je pocałunkami, dopóki Mead mu ich nie wyrwał. Opadł na krzesło, trzymając się ręką za serce.
- Ty nie wiesz, co to znaczy tak bardzo się bać. Ty jesteś odważny. Jesteś bohaterem. Ja nie. Ciągłe się trzęsę. Spójrz na moje ręce. Nie mogę nawet utrzymać kieliszka. Przejżdża samochód, a ja już się chowam. Kiedy zapukałeś do drzwi, o mało nie zemdlałem.
Mead odwrócił się, żeby ukryć uśmiech.
- Nie śmieję się ze mnie. To prawda. Ludzie odważni mogą patrzeć śmierci w oczy. Dla nich wszystko jest inne. Kiedy byłem małym chłopcem, uciekałem przed wszystkimi i wszyscy się ze mnie śmiali. Nie mogłem nic na to poradzić. Ojciec mój wstydził się, ale nic nie mogłem na to poradzić. Byłem strasznym tchórzem. Bałem się wszystkiego i wszystkich. Przede wszystkim bałem się tego, że ludzie będą się ze mnie śmiali, bo taki jestem. Nie chciałem stać się przedmiotem żartów.
- Ale z tym się już uporałeś - powiedział łagodnie Mead. - Byłeś dzielny z tymi twoimi cechami. Na to potrzeba odwagi.
Lacouture podniósł wzrok.
- Jesteś bardzo mądrym człowiekiem - powiedział z westchnieniem. - Nie wiem, czy byłem dzielny. Nauczyłem się po prostu z tym sobie radzić. Pogodziłem się z tym. Nauczyłem się znosić

śmiech i żarty.

Pokręcił głową.

- Zawsze byłem tchórzem pod innymi względami. Nie potrafiłem się bić. Nie potrafiłem nikogo skrzywdzić. Prędejm bym się rozplakał. Teraz rozumiesz, dlaczego jest dla mnie takie straszne to życie w ciągłym strachu. Nie mogę już tego wytrzymać. Dlatego przyszedłem do ciebie. Jesteś taki odważny i silny, i powiedziałeś, że będziesz moim przyjacielem...

- Kto chce ciebie zabić? Kto zabił żółtka? - przerwał mu Mead. Zegar zaczął bić. Lacouture jęknął i odwrócił się gwałtownie.

- Najstraszniejszy człowiek. Mówię prawdę. Prawdziwie zły człowiek. On mnie przeraża.

- Kto? - dopytywał się Mead.

Lacouture rozejrzył się nerwowo, jak gdyby bał się wymówić nazwisko.

- Wilson Abbot Lord - wyszeptał wreszcie, cały się trzęsąc.

- Kto?

- Wilson Abbot Lord. Nie znasz go, ale to straszna postać. On jest z tej waszej CIA. Zabił biednego Kima, a teraz chce zabić mnie.

Lacouture był zbyt zdenerwowany, żeby zauważyć zdziwienie Meada.

- Dlaczego chce cię zabić?

- Bo... To takie skomplikowane, ale ci powiem. Musisz o tym wiedzieć, bo on chce też zabić ambasadora Marshalla i, *cheri* - dodał znów chwytając Meada za rękę - zabije także i ciebie.

- Mnie? - roześmiał się Mead.

- Tak! Śmiejesz się, ale nie wiesz, jaki ten świat jest zły. Nigdy nie wiadomo, co ludzie mogą zrobić. Dla niektórych zabijanie nie znaczy nic. Życie nie ma żadnego znaczenia. Ponieważ my jesteśmy inni, ponieważ troszczymy się i mamy uczucia, uważamy, że wszyscy inni też je mają, ale tak nie jest. Ludzie zabijają z zachłanności lub dla zdobycia czegoś dla siebie. Tacy ludzie są niebezpieczni, ale tylko wtedy, jeżeli masz to, czego oni chcą, albo staniesz im na drodze. Są też jednak ludzie, którzy zabijają, ponieważ w coś wierzą i usprawiedliwiają swoje morderstwa jakąś słuszną sprawą.

Lacouture zadrżał.

- To są prawdziwi mordercy i prawdziwie źli ludzie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Jeżeli się kogoś zabija w gniewie lub z zazdrości... - wzruszył ramionami - możemy to zrozumieć. To straszne i złe, ale możemy zrozumieć emocje. Jeżeli zabija się kogoś dla pieniędzy, dla zysku - to także jest straszne i tacy ludzie zasługują na gilotynę, ale i to możemy zrozumieć. Wszyscy jesteśmy zachłanni i rozsadzają nas ambicje.

Podniósł palec przed twarzą Meada.

- Ale mordować innych z przekonania, dla sprawy lub dla idei... to najgorsze, bo w tym przypadku nie widzi się zła i nie ma się poczucia winy. Przeciwnie, to

prowadzi do samozadowolenia i daje poczucie słuszności. Można zabijać ludzi za wszystko - religię, kraj, dlatego, że nie lubi się Żydów, homoseksualistów albo Cyganów. Tu nie ma żadnej różnicy. Zabija się ludzi, ponieważ są muzułmanami, ponieważ czytają inne gazety albo dlatego, że noszą sandały. Mówi się: Ja mam rację, a ty nie, więc jestem usprawiedliwiony, zabijając". Przestępcy, którzy zabijają dla zysku, nie wywołują wojen, nie mordują tysięcy i milionów kobiet, dzieci i młodych mężczyzn. Robią to święci i prorocy, przywódcy i politycy, tacy ludzie jak Wilson Abbot Lord.

- W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego on chce zabić ciebie, ambasadora Marshalla i mnie.

Lacouture wstał.

- Teraz musimy porozmawiać! Muszę powiedzieć ci parę rzeczy, o których nie powinieneś wiedzieć, bo są niebezpieczne, ale o których musisz się dowiedzieć. Najpierw jednak napijmy się. Poczuję się znacznie lepiej, odkąd tu jesteś. Może nawet będę w stanie coś zjeść. Nie jadłem nic od kilku dni, taki byłem wystraszony.

Pociągnął Meada za rękę, żeby wstał.

- Pokażę ci moje skarby, wszystkie moje piękne rzeczy, chociaż wiem, że nic cię to nie obchodzi i że będziesz się nudzić.

- Nie - powiedział Mead, wstając i rozglądając się uprzejmie dokoła. - Chciałbym zobaczyć twoje rzeczy. Nigdy nie widziałem tak dużej ilości towaru.

- Dziel sztuki - pouczył go Lacouture, wskazując szerokim gestem pokój. - Piękno. Skarby... Ale

najpierw szampana.

Poprowadził Meada do kuchni i pokazał ręką na lodówkę.

- Będziesz musiał otworzyć butelkę. Powiem ci jak.

Wyciągnął kieliszki, a potem pokazał Meadowi, jak delikatnie wyjąć korek.

- A teraz skarby - powiedział, kiedy oba kieliszki były już napełnione. - Każdy ma dla mnie jakieś specjalne znaczenie - zaczął Lacouture, oprowadzając Meada po domu. - Nie mam ich jednak komu pokazywać.

- Wszystko jest bardzo piękne - powiedział Mead.

- Niektóre są bardzo stare. Liczą setki lat.

Mead podniósł jeden z przedmiotów i trzymał go delikatnie pełen podziwu.

- Ty, oczywiście, wybrałbyś coś takiego - powiedział Lacouture z uśmiechem. - To jest sztylet. Nazywa się *ko*. Jest z brązu, z jaszczurką ręką, wyłożoną turkusami. Ma około trzech tysięcy lat.

- Trzy tysiące?

- Tak. Pochodzi z okresu dynastii Yin w Chinach. Jakies dwanaście wieków przed Chrystusem.

Mead odłożył sztylet ostrożnie na stół, ale Lacouture znowu mu go podał.

- Weź, proszę - powiedział. - Należał do jakiegoś wojownika kiedyś bardzo dawno temu. Ty go powinieneś mieć.

- Panie La... Bernardzie. Nie mogę tego wziąć. Jezu, co miałbym zrobić z czymś takim?

- Zadzgać Wilsona Abbota Lorda! - Lacouture roześmiał się. - Nie. Ale to pasuje do ciebie.

Naprawdę.

Wziął sztylet z rąk Meada i wsunął mu za pas munduru.

- *VoM*. Widzisz. Jakby dla ciebie stworzony.

- Naprawdę nie mogę... Lacouture rozłożył ręce.

- Te rzeczy do nikogo nie należą. To prawda, że je zebrałem. Technicznie biorąc są więc moje, ale naprawdę...

Lacouture podniósł duży przedmiot z brązu.

- To jest waza do wina w kształcie bawołu. Ma dobrze ponad trzy tysiące lat, a to jest jaszczurka kadzielnica. Na co mi one? Żeby wsypać tam moje prochy?

Odstawił wazę i pokręcił głową.

- Te rzeczy sprawiały mi przyjemność, ale nie są moje. Były u mnie. Sprawowałem nad nimi pieczę przez krótki czas. To jest tak jak z ziemią. Cóż za okropny pomysł uważać, że my, którzy jesteśmy tu przez kilka krótkich lat posiadamy ją na własność, i że to chwilowe panowanie daje nam prawo bombardować ją, zanieczyszczać i niszczyć.

Dotknął ramienia Meada przeproszającym gestem.

- Wybacz mi, że cię nudzę. Mead pokręcił przecząco głową.

- Nie. Ty i ambasador Marshall jesteście najinteligentniejszymi osobami, **jakie** znam. Lubię was słuchać... Nawet jeżeli nie wszystko rozumiem. Po prostu... Jest przyjemnie słuchać kogoś, kto mówi jak ty, i go rozumieć.

Lacouture popatrzył tylko na niego, a potem opuścił głowę.

- Oddałbym ci wszystko, co mam.

Rozejrzał się po pokoju i westchnął, a potem znów spojrzął na Meada.

- To wszystko jest piękne. To jest sztuka. Brąz, jaszczurka, klejnoty... ale też i metal, i kamienie.

Zimne i pozbawione życia.

Wyciągnął rękę i dotknął policzka Meada, a potem musnął jego usta palcem. Mead nie poruszył się.

- One są niczym w porównaniu z miłością i uczuciami. Nie ma w nich ciepła. Nie można ich nawet porównać do pocałunku, choćby krył on niewierność.

Cofnął się i podniósł starą wytartą lalkę.

- To jest najważniejsza rzecz, jaką mam.

- Też wygląda na bardzo starą - zauważył Mead. Lacouture uśmiechnął się.

- O, tak. Jest bardzo stara. Bawiłem się nią, kiedy byłem mały. To jest Pierrot. - Przytulił lalkę do piersi i ucałował delikatnie. - Z oka spływała mu łza. Wytarłem mu ją dawno, dawno temu, kiedy byłem małym chłopcem. Kochałem Pierrota bardziej niż cokolwiek innego. Nie mogłem znieść tego, że jest smutny. W dalszym ciągu kocham go bardziej niż inne moje skarby. Rozmawiam z nim, powierzam mu wszystkie moje sekrety i marzenia. On też do mnie mówi. Jestem tego pewien.

- Miałem takiego misia - powiedział cicho Mead. Przez chwilę
zaden z nich się nie odzywał. Wreszcie Lacouture westchnął ciężko,
- To jest zbyt smutne. Napijemy się jeszcze szampana? - Popędził do kuchni po butelkę.
Napełnił kieliszki po brzegi i podniósł swój do góry. /
- Twoje zdrowie. Nie! Moje zdrowie. *
- Czy on naprawdę chce cię zabić? - dopytywał się Mead.
- Tak! Zaraz ci wszystko opowiem.
Lacouture posadził Meada na krzesło, przysunął drugie i usiadł.
- Powiem ci wszystko, ale ostrzegam. Ta wiedza jest niebezpieczna. Poprawił się na krzesło,
rozejrzał dokoła i zaczął opowiadać.
- Mówiłem ci, że jestem szpiegiem, ale nie takim szpiegiem prawdziwym, tylko osobą, która
kupuje i sprzedaje informacje. Jestem tutaj od zawsze. Urodziłem się w Wietnamie. Znam wszystkich.
Mówię wszystkimi językami. Nie jestem zaangażowany w politykę. Może będzie ci trudno w to
uwierzyć, ale widzisz - ja nie jestem po niczyjej stronie. Staram się po prostu prowadzić życie
najlepsze, na jakie mogę sobie pozwolić. Nie jestem ani Amerykaninem, ani komunistą, ani
Wietnamczykiem i uważam to wszystko za głupie.
- W porządku. Tyle rozumiem - powiedział Mead.
- Ludzie zwracają się do mnie, ponieważ jestem po środku. Komuniści przychodzą po informacje
- sprzedają im. Kiedy ludzie chcą przekazać wiadomość innym, przychodzą do mnie, ponieważ jestem
po środku i wszyscy wiedzą, że naprawdę nie jestem po żadnej stronie. Jestem jak kurwa. Wszyscy
przychodzą do mnie po usługi. Ja biorę ich pieniądze, ale nie muszę ich kochać.
- To też rozumiem - powiedział Mead. Lacouture zniżył głos i podniósł ostrzegawczo rękę.
- Teraz ta niebezpieczna część. Niebezpieczna dla ciebie. Bardzo ważny komunista chce spotkać
się z ambasadorem Marshalllem. Zgłosili się do mnie, żebyrn nawiązał kontakt. Zwróciłem się do
ambasadora Marshalla. Kim przynosił wiadomości. Ja nie bardzo mogę skradać się tam i z powrotem
po zaułkach.
- Dlaczego komunista chciałby się spotkać z ambasadorem Marshalllem? - Mead poszukiwał
jakiejsz niespójności w opowiadaniu Lacouture'a. Komuniści to wrogowie. Lord nie jest wrogiem.
Lacouture wzruszył ramionami.
- Może mają propozycje pokojowe? Może chcą uzyskać jakieś ustępstwa od Amerykanów?
Może ten komunista nie zgadza się z komunistami z Hanoi? Przecież w waszym kraju też są ludzie,
którzy są przeciwni tej wojnie. Może wśród komunistów też są tacy?
- A może chcą zabić ambasadora albo go złapać? Lacouture zamachał ręką przecząco.
- To by nie miało sensu. Co by to im dało? - Pochylił się na krzesło. - Sam pomyśl i powiedz mi,
jaką korzyść odnieśliby Północni Wietnamczycy zabijając ambasadora Marshalla lub biorąc go do
niewoli? Czy Amerykanie zakończyliby wojnę? Czy zapłaciliby okup? Amerykanie wpadliby raczej w
furię, prawda? Pewnie zaczęliby rzucać więcej bomb, przysyłać więcej ludzi i walczyć z większą
zaciętością.
Mead zmarszczył brwi. To miało sens. Kiedy słuchał Marshalla, myślał, że to
on ma rację. Kiedy słuchał Lorda, wierzył w to, co mówił tamten. To, co mówi
teraz Lacouture, brzmiało rozsądnie i trzymało się kupy. Jaki cel miałyby pojmanie
albo zabicie Marshalla? Wojna toczyłaby się dalej. Marshall był ważny, ale Mead
rozumiał, że nie odegrałoby to żadnej roli, gdyby mu się coś stało, tak samo jak
gdyby stało się coś z generałem Westmorelandem. Zastąpiono by go po prostu innym generałem.
Przynajmniej pod tym względem kaprale i generałowie są równi, pomyślał.
- Komuniści nie skrzywdzą ambasadora Marshalla - ciągnął dalej Lacouture. -Oni chcą się z nim
spotkać. Mogą wszystko wygrać, jeżeli się z nim spotkają i wszystko stracić, jeżeli coś by mu się
stało. Ambasador Marshall chce się z nimi spotkać z tego samego powodu. Ma nadzieję zakończyć
wojnę i wynegocjować pokój, i liczy przy tym na to, że uzyska od nich pewne ustępstwa.
Lacouture postukał się w piersi.
- Chciałbym, żeby się spotkali głównie dlatego, że dostanę pieniądze za zorganizowanie
spotkania, ale także z tego powodu, że chciałbym, żeby wojna się skończyła. Pamiętaj, że to także i
mój kraj. Tu się urodziłem.
- Więc dlaczego ten facet z CIA chce zabić ciebie i ambasadora Marshalla? Lacouture przez
dłuższą chwilę wpatrywał się w Meada.

- Jesteś taki przystojny - powiedział pełen zachwytu. - I taki sympatyczny -dodał ze smutkiem. - Zastanawiam się, co się z tobą stanie po wojnie? Kiedyś marzyłem, że zabiorę cię ze sobą na Riwierę. - Westchnął ciężko. - Nigdy nie dowiedziałem się, co się stało z Jacquesem, tym legionistą, o którym ci opowiadałem. Ciekaw jestem, jaki jest los wojowników, kiedy kończy się wojna. Czy Jacques się zestarzał? Trudno to sobie wyobrazić. Czy stał się tłusty i niechlujny, i ma jakąś ciężką pracę, nieudane małżeństwo i nieszczęśliwe dzieciaki?

Lacouture wyciągnął chusteczkę i otarł oczy.

- Ty też, *cheri*, jesteś taki młody i piękny. Co czas zrobi z tobą? Chce mi się płakać, kiedy o tym pomyślę. Gdzie będziesz za dwadzieścia lat, mój śliczny chłopaku? Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy. Może ożenisz się z tą piękną, dobrą dziewczyną, będziesz miał ładne dzieci i miły dom.

Zaczął jednak płakać, bo nie mógł sobie wprost wyobrazić, że tak mogłoby się stać.

Mead poruszył się niepewnie. On nie myślał o najbliższej przyszłości, nie sięgał wyobraźnią do tego, co będzie za dwadzieścia lat.

- No i co z tym zabiciem ciebie, i pana Marshalla? - nalegał. Lacouture głośno wytarł nos i odłożył chusteczkę.

- Słuchaj uważnie, *cheri*, i myśl intensywnie. Jeżeli komuniści chcą doprowadzić do tego spotkania i ambasador Marshall chce się z nimi spotkać, i ja chcę, żeby się spotkali, to kto nie chce, żeby to spotkanie się odbyło? Kto chciałby uniemożliwić ambasadorowi Marshallowi spotkanie z komunistami? Kto chciałby powstrzymać go od rozpoczęcia negocjacji pokojowych?

- Ktoś, kto nie chce, żeby wojna się skończyła, albo ktoś, kto obawia się, że Marshall... zostanie wyprowadzony w pole lub zrobi błąd. - Wypuścił powoli powietrze z płuc. - Ktoś, jak...

- Pan Lord. CIA. *Yoila*.

- Czy to rzeczywiście możliwe? - wyrzucił z siebie Mead prawie ze zgrozą.

- Aha! - roześmiał się Lacouture. - Zapytaj go, co zrobił z moim biednym Bui Cao Kimem.

- Czy on go naprawdę zabił? Dlaczego?

- Dałbym za to głowę. A dlaczego? - Postukał się w czoło. - Wiem, jakimi drogami krążą myśli Lorda. Mogę wyobrazić sobie, co on zamierza zrobić. Potrzebuje wiadomości o spotkaniu z komunistami, a Kim właśnie wrócił ze spotkania z nimi. Musi wiedzieć o spotkaniu, żeby móc zorganizować tam zabójstwo Marshalla, a potem obciążyć winą komunistów. Z Marshalla robi idiotę, który im zaufał.

Lacouture aż podskoczył na krześle.

- Mnie chce zabić dlatego, że wiem o tym wszystkim. A skąd o tym wiem? A stąd, że to on, Wilson Abbot Lord, przyszedł do mnie miesiąc temu i sugerował, żebym wprowadził w błąd ambasadora, że odbędzie się jakieś spotkanie. A potem będzie go tam można zabić. Lord zaproponował mi milion dolarów, żebym to zorganizował, i z początku myślał, że mu pomogę. Plan prawdopodobnie przewidywał, że helikopter ambasadora zostanie celowo uszkodzony albo zestrzelony, a najgorsze było to, że ty też miałeś być na pokładzie. Ja, który byłem w tobie zakochany jak wariat, przyłożyłbym się do twojej śmierci.

Ach, to o tym mówił porucznik Magnuson, kiedy wspominał o przewodzie paliwowym, pomyślał ze zdumieniem Mead. Helikopter był celowo uszkodzony. Marshall i wszyscy na pokładzie mieli zginąć. Lord? Czy to możliwe?

Lacouture zadrżał.

- Widzisz, do dzisiaj nie wiedziałem, że pracujesz dla ambasadora Marshalla, dopóki twoja słodka przyjaciółka mi tego nie powiedziała.

- Rzeczywiście nie wiedziałeś?

- Nie! Interesowało mnie tylko twoje ciało. To ty wskoczyłaś do taksówki, którą jechałem. Nie zatrzymywałem jej dla ciebie, nie zaaranżowałem tego. Tak właśnie było. Wysłałem Kima, żeby się czegoś o tobie dowiedział. Potem proponowałem ci pieniądze, a ty powiedziałaś, że będziesz moim przyjacielem. Tego jeszcze nikt nigdy mi nie powiedział. Przez całe moje życie nikt mi nie zaproponował, że zostanie moim przyjacielem. To dlatego przyszedłem do ciebie. Chciałem się upewnić, czy rzeczywiście jesteś moim przyjacielem i czy mi pomożesz.

Mead nie odzywał się przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową.

- Jezu, to dla mnie zbyt skomplikowane. Lacouture jęknął i poderwał się na krześle.

- Co? Nie pomożesz mi? O Boże, co ja zrobię?

- Nie... Nie - zaprzeczył Mead. - Chciałem tylko powiedzieć, że to wszystko takie zagmatwane.

Widzisz... jestem tylko kapralem. Nie jestem bystry. Cholera! Jestem zwykłym cymbałem, a to wszystko... - Zerwał się z krzesła. - Do diabła! Nie wiem, co robić. Nie wiem, w co mam wierzyć. Pieprzę to!

Lacouture skulił się na krześle. Był przerażony, kiedy Mead gniewnie spojrział na niego.

- Jezu - powiedział Mead, kręcąc głową i siadając. - Nic ci nie zrobię. Pomogę ci, ale nie wiem jak.

Lacouture zerwał się i chwycił go za rękę.

- Pomożesz? Naprawdę pomożesz? - Obsypał dłonie Meada pocałunkami. - Przestań! Teraz muszę ci coś powiedzieć. Mam dla ciebie wiadomość od ambasadora Marshalla. Mówi, że jego telefon jest na podsłuchu, więc wysłał mnie, żebym ci przekazał ją osobiście. - Wyjął z kieszeni wizytówkę, którą mu dał

Marshall, i pokazał ją Lacouture'owi. - Powiedział, żebym ci przekazał słowo „dobrze”. Chodziło o spotkanie. Miałem ci przekazać, że chce uczestniczyć w tym spotkaniu.

- A więc wiedziałeś wszystko, o czym ci opowiedziałem? Mead pokręcił głową.

- Wiem tylko tyle, co pan Marshall powiedział mi dziś po południu, czyli że organizujesz spotkanie, i że chce wziąć w nim udział. Powiedział również, że są tacy, którzy nie chcą, żeby uczestniczył w tym spotkaniu, ale nie przypuszczam, żeby spodziewał się, że chcą go zabić. Powiedział tylko, że spotkanie to jest ważne i może doprowadzić do ocalenia wielu ludzkich istnień, i że są tacy, którzy nie chcieliby, żeby jego misja się powiodła.

- No, tak. Ma rację. Tą osobą jest Wilson Abbot Lord. Musisz mu o tym powiedzieć.

- On chyba już o tym wie - powiedział Mead spokojnie. - Wie, że jego telefon jest na podsłuchu, a może nawet i samochód. On jest naprawdę cwany.

- Tak. Inteligentni ludzie często podejmują niepotrzebne ryzyko, nie zdając sobie sprawy, jakie to może być niebezpieczne. Inteligentni dobrzy ludzie często nie doceniają inteligentnych złych ludzi.

- Co powinienem powiedzieć mu o spotkaniu?

- O spotkaniu? Nie będzie żadnego spotkania. Wilson Abbot Lord już tego dopilnował. Zamordował Bui Cao Kima, mojego posłańca. Jak mam przekazać wiadomość komunistom? Myślisz, że będą skłonni się spotkać, że będą chcieli wysłać swojego wysokiego przedstawiciela teraz, kiedy Lord i CIA o tym wiedzą?

Lacouture znowu opadł na krzesło.

- Wszystko przepadło. Teraz już nigdy nie zobaczę tych pieniędzy. Lord wsączył w to wszystko swój jad. On jest bardzo przebiegły. Nie chciał, żeby Marshall spotkał się z komunistami. I teraz on rzeczywiście się nie spotka, ponieważ będą obawiali się zasadzki.

- Czy mam powiedzieć panu Marshallowi, że spotkania nie będzie? Lacouture zamyślił się. Wydobył chusteczkę i otarł czoło. Potem zaczął się nią

wachlować. Myślał intensywnie, machając chusteczką coraz prędeziej i prędeziej.

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie będzie żadnej odpowiedzi. Postaram się nawiązać kontakt z komunistami i dowiedzieć się, czy w dalszym ciągu są zainteresowani spotkaniem.

Wzruszył ramionami.

- Może będą chcieli, może nie. Spóbuje jutro. Może jakoś uda mi się uratować moje pieniądze. Tyle pieniędzy... Cała moja emerytura w Cannes. - Uśmiechnął się smutno. - Miałem cię zaprosić, żebyś pojechał ze mną. Miałem takie wspaniałe plany i marzenia. Nigdy się nie ziszczą.

- Czasami marzenia się spełniają.

- A twoje?

- Ja... Ja chyba nie mam żadnych marzeń. Chyba nie. No, może jedno... Związane z Sung. Mam taką nadzieję, że... No, może się spełni.

Lacouture skinął głową.

- Mam nadzieję.

: Schował chusteczkę. - Moje marzenia nigdy się nie spełniają - powiedział obojętnym głosem.

- Nie mogą się spełniać. Marzyłem o rym, żeby być kochanym, żeby ktoś się mną opiekował. Marzyłem, żeby mieć przyjaciół.

- Jestem twoim przyjacielem - powiedział łagodnie Mead.

- Tak. Ty jesteś - przyznał Lacouture. - Jesteś wielkim przyjacielem.

- Będę się starał ci pomóc.

- Dziękuję.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Lacouture odczuwał przytłaczającą siłę i męskość Meada. Zamknął na chwilę oczy, a potem zajął Meadowi w twarz.

- Czy zrobiłbyś dla mnie coś szczególnego? - zapytał. Mead milczał długo.

- Tak - powiedział wreszcie.

- Czy zostałbyś ze mną na noc? - zapytał niepewnie. - Proszę. Tak się boję. Nie spałem od wielu nocy. - Pochylił się na krzesło. - Proszę, zostań. Nie będę cię niepokoić. Możesz spać w moim łóżku. Ja będę spać na podłodze albo na kanapie. Obudzę cię rano, żebyś zdążył do pracy. Zrobię śniadanie. Tylko zostań, żebym mógł się przespać. Proszę.

- Dobrze - powiedział Mead, kiwając głową. Lacouture złożył ręce.

- Zostaniesz! Och, cudownie! Jesteś taki miły... Taki dobry.

- Ale muszę rano wstać. Muszę być w ambasadzie koło siódmej.

- Zaraz nastawię budziki. Będzie tak, jakby były wszystkie dzwony Notre Dame. - Zaczął biegać po pokoju i nastawiać zegary. - Może byś coś zjadł albo jeszcze czegoś się napił? Co mogę zrobić dla ciebie?

- Już nic - powiedział Mead. - Jest prawie północ, a jeżeli mam wstać przed szóstą, trzeba iść spać.

- Oczywiście. Zaraz ci wszystko pokażę. - Poprowadził Meada przez pokoje. - Tutaj jest łazienka. Tu ręczniki i mydło. Szczoteczka do zębów! Aha. Nowe są w tej szufladzie. I pasta do zębów. Jest wszystko, czego możesz potrzebować. Tu jest sypialnia.

- Jezu - powiedział Mead. - Jeszcze nigdy nie widziałem takiego łóżka. Wygląda jak... Jak żaglowiec.

- To jest łóżko z baldachimem. Podoba ci się?

- Jest jakies takie... Różowe... - Nacisnął materac. - Będzie wygodnie.

- Ja będę spać tutaj. - Lacouture wskazał na obitą aksamitem kozetkę.

- Nie wiem, czy się tam zmieścisz - wyraził wątpliwość Mead.

- Będzie wspaniale. Wyśpię się cudownie. Twoja obecność sprawia, że wszystko jest w porządku. - Rozejrzył się z niepokojem. - Tylko że nie mam dla ciebie nic, w co mógłbyś się przebrać. Żadna pidżama nie będzie na ciebie pasować.

- Ja nie używam pidżamy - powiedział Mead, ale zaraz poprawił się. - Będę spać w bieliźnie.

- To cudownie - powiedział Lacouture, krzątając się po sypialni, wybierając prześcieradło i koc na kozetkę. - Nie spałem ani chwili od trzech dni. Taki byłem przerażony. Nasłuchiwałem najmniejszego hałasu z ulicy.

Przygotował swoje prowizoryczne posłanie, wyciągnął jedwabną pidżamę i spojrzał nerwowo na Meada.

- Chcesz iść pierwszy do łazienki?

- Tak. Muszę się odlać i umyć zęby.

Kiedy Mead wrócił, Lacouture był już przebrany w pidżamę i leżał przykryty na kozetce.

Mead podszedł do okna i wyjrzał.

- Może powinieneś założyć tu kraty. Okno wychodzi wprost na ulicę. Każdy może tu wleźć.

- Kraty nie powstrzymają Wilsona Abbota Lorda - odparł Lacouture.

Mead rozejrzył się po ulicy. Panował spokój. Przy krawężniku stało kilka samochodów, ale nie udało mu się zobaczyć, czy ktoś jest w środku. Zrzucił kurtkę, zdjął buty i zsunął spodnie.

Lacouture zadrżał na ten widok.

- Jesteś piękny - szepnął.

Mead był zaskoczony. Odwrócił się, ale nie wiedział, co ma powiedzieć. Zakłopotany podszedł do kontaktu i zgasił światło. Potem położył się do łóżka.

Czekający na zewnątrz Lord zauważył, że gaśnie światło w sypialni. Odczekał kilka minut, uruchomił silnik i odjechał. Jutro, pomyślał z zadowoleniem, Mead przekaże mu informacje. Potem pozbędzie się Lacouture'a na zawsze.

Mead bardzo długo nie mógł zasnąć. Lacouture kręcił się, żeby znaleźć wygodną pozycję.

- Panie La... Bernardzie, ty nie możesz tam spać. Na litość boską, chodź do łóżka.

- Ale...

- W porządku - powiedział Mead.

- Zostanę po mojej stronie - powiedział Lacouture, niosąc swoje koce i poduszkę przez pokój. Potem wsunął się do łóżka i skulił na skraj.

Wreszcie Mead zasnął, ale budził się kilka razy na odgłos płaczu i jęków Lacouture'a.

Leżał na plecach zupełnie rozbudzony. Odwrócił się i zobaczył, że Lacouture drży we śnie.

Ludzie nie powinni żyć w strachu, pomyślał. To okropne widzieć człowieka, który tak się trzęsie. Na świecie jest tyle smutku. Sung i Lacouture, i wszyscy ci zabici.

Wszyscy przyszli do niego i zobaczył ich w chwili śmierci. Usłyszał ich krzyki i wrzaski, zobaczył ludzi, których zabił, i tego żołnierza w tunelu, który prosił

o śmierć.

Boże, pomyślał. Nic z tego nie rozumiem. W co mam wierzyć. Co mam robić? Co powiedzieć Lordowi, a co Marshallowi? Jak mogę pomóc Lacouture'owi? Co się stanie z Sung?

Cholera, powiedział do siebie bezgłośnie. Wolałby nigdy nie iść na wojnę. Wolałby nigdy nie dorastać.

Nagle, ku własnemu zaskoczeniu przypomniał sobie swojego misia. Głaskał go

1 przytulał tak często, że futerko zupełnie mu się wytarło. Nie myślał o nim od lat. Nie wspominał swojego dzieciństwa od bardzo dawna.

Leżąc tak w ciemnościach uprzytomnił sobie, że jego wiedza jest tak bardzo ograniczona i że tak wielu rzeczy nie rozumie.

Obok niego Lacouture krzyczał i łkał ze strachu.

Przyciągnął go bliżej i pozwolił, żeby oparł głowę na jego piersi. Lacouture westchnął i przytulił się do niego.

Mead objął go. Patrzył na głowę śpiącego i zdał sobie sprawę, że chociaż tak mało wie, nie ma w tym nic złego.

Potem on też zasnął.

XXXVI

Frizzell i Sutherland siedzieli razem na stoku wzgórza zwróconym w stronę pozycji nieprzyjaciela i wpatrywali się w mroczną równinę. Była prawie północ, nie chcieli im się jednak spać.

- Marzę prawie, żebyśmy nadal chodzili na patrole - odezwał się Frizzell. - Byłbym wtedy bardziej zmęczony.

- Ja jestem zadowolony, że już więcej nie wychodzimy poza zasięgi - powiedział Sutherland. - Raczej niech żółtki tu przychodzą. Nie mam ochoty do nich chodzić.

- Ale to takie kurewsko nudne. Oglądałem te pisma z nagimi babkami tam i z powrotem już setki razy. Ile razy można przyglądać się tej samej cipie?

- Ja mogę się przyglądać bez końca.

Frizzell patrzył na niebo. Nagle coś mu się przypomniało.

- W jednym z czasopism Carvera był artykuł o sprawach naukowych. Trochę się tym interesuję. Myślałem nawet o takim skróconym kursie - to znaczy, żeby móc skończyć szkołę średnią.

- Co ci to da?

- Byłbym kimś. Człowiek musi coś robić. W każdym razie w tym artykule były rzeczy, o których nawet Coney nie wiedział. Biedny sukinsyn. Ma służbę w bunkrze. Kiedy ja miałem służbę zeszłej nocy, niewiele brakowało, a zastrzeliłbym Brocka. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś tak chrapał. Nie wiem, jak porucznik to wytrzymuje.

- Ostrzał z moździerzy jest mniej głośny - roześmiał się Sutherland. - Głupi dożywotniak. Co było w tym artykule?

- Mnóstwo rzeczy. Sprawy, o których człowiek nigdy by nie pomyślał.

- Na przykład, co?

- Dobrze. Zobaczmy, czy będziesz umiał odpowiedzieć choć na jedno pytanie. W którą stronę obraca się Ziemia?

- Nie rozumiem.

- W którą stronę Ziemia się kręci? Na wschód czy na zachód?

- Na wschód.

- Masz rację.

- Tak? - powiedział Sutherland zaskoczony i zadowolony.

- Obraca się wokół osi z zachodu na wschód.

- No widzisz. - Wyprostował się. - Zapytaj mnie jeszcze o coś.

- Dobrze. Dlaczego zegar słoneczny nie zapewnia dokładnego pomiaru czasu?

- Ponieważ czasami pada.

- No, tak. A jakie są inne powody?

- Słońce nie świeci w nocy.

- Tak. A jeszcze dlaczego?

- No, co? Przecież podałem ci dwa powody.

- Jest jeszcze jeden.

- No, dobrze. Jaki?

- Ponieważ Ziemia krąży po orbicie eliptycznej. - Jakie to ma znaczenie?

- Nie wiem, ale taka jest odpowiedź. To było głupie pytanie. Zapytaj mnie jeszcze o coś. - Nie potrafię niczego więcej sobie przypomnieć. Sutherland położył się na plecach i patrzył w gwiazdy.

- Chodziłem na taki kurs kiedyś w szkole. Kroiliśmy żyby.

- Po co?

- Nie wiem. Po prostu kroiliśmy te małe skurwiele. Nie masz pojęcia, co one mają w środku.

Mieliśmy się nauczyć o wszystkim, co tam jest. - Pokręcił głową na samo wspomnienie. - Ale śmierdziały. Nie znoszę martwych rzeczy.

Frizzell milczał przez chwilę. Myślał o zabitych i o księdzu.

- Jak ty uważasz, Scott? Co się dzieje z umarłymi?

- Odsyłają ich do kraju.

- Nie. Chodzi mi o to, czy idą do nieba, czy gdzie? Sutherland pokręcił głową.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić. Granie na harfie i śpiewanie. Kto by się chciał pakować w takie gówno. W niebie powinno być dużo dziwek i żarcia. - Stęknął i usiadł. - Człowieku, żarcie! Hamburgery i frytki. I śniadanko. Człowieku, świeże jajko i bekon. Gotów byłbym zabić kogoś, żeby zdobyć bekon.

Frizzell popatrzył na niego chytrze, a potem odwrócił się.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałem. Mógłbym dla ciebie trochę zdobyć - powiedział obojętnie.

Sutherland podniósł głowę.

- Co? Bekon?

- Jasne. Poprosiłbym dziadka, żeby przysłał trochę nasion. Tutaj by wyrosły. Sutherland tylko patrzył na niego.

- O czym ty, kurwa, gadasz?

- O bekonie. Moglibyśmy trochę posadzić.

- Posadzić?

- Jasne. A jak myślisz, skąd się bierze bekon?

- Ze świni, tępaku!

Frizzell wybuchnął śmiechem. Chwycił się za brzuch i padł na ziemię.

- Och, mój Boże!

- Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie. Ze świni! - Przekręcił się na bok, dusząc się ze śmiechu. - Bekonu nie robi się ze świni.

Sutherland popatrzył na niego podejrzliwie.

- Z czego, w takim razie?

- Naprawdę nie wiesz?

- Oczywiście, że wiem. Ze świni.

- Jezu, Scott, błagam cię, nigdy nie mów tego innym chłopakom, bo zdechną ze śmiechu.

- Więc z czego?

- Z krzewu. Z krzewu bekonowego.

- Nabierasz mnie! - wrzasnął Sutherland. - Bekon nie rośnie na krzewach. Oszukujesz.

- Posłuchaj. Znam się na rolnictwie. Skąd pochodzisz? Z Los Angeles. Co ty możesz wiedzieć o gospodarstwie? Bekon to produkt roślinny, tak samo jak kukurydza i pszenica.

- Nie wierzę ci.

- Przysięgam na Boga. Mój dziadek ma setki takich. Sadzi je każdej wiosny. Rosną na krzakach. Takie paski. Przy zbieraniu trzeba je odrywać od gałązek. Mają twardą skorupkę, ale są maszyny, które ją zdzierają jak z orzeszków.

Sutherland milczał. Zastanawiał się przez chwilę i próbował wyobrazić sobie krzew bekonowy. Frizzell jest za głupi, żeby go nabierać, ale... Gdzie słyszał o bekonie? Patrzył Frizzellowi prosto w oczy, rozważając możliwości.

- To co się robi w takim razie ze świni? - zapytał wreszcie.

- Kotlety schabowe, szynkę i to gówno, które mamy w puszkach - pieczeń wieprzową.

Sutherland znów przyglądał mu się przez kilka minut.

- Jesteś pewien co do bekonu?

- Oczywiście. Sadziłem i zbierałem tysiące. Kto ci powiedział, że robi się go ze świni?

Sutherland starał się przypomnieć sobie coś na temat bekonu.

- Nie wiem - przyznał wreszcie. - Po prostu zawsze myślałem, że się go robi ze świni.

- Mnóstwo chłopaków, którzy nie pochodzą ze wsi, nie ma pojęcia o takich rzeczach. Ja za to nie wiem nic o miastach. Zginąłbym w Los Angeles.

Sutherland znów mu się przyjrzał.

- Chyba tak - powiedział niepewnie.

Frizzell odetchnął głęboko i położył się. Podłożył ręce pod głowę i patrzył na gwiazdy.

- Wiesz, jutro jest Święto Dziękczynienia. Bardzo je lubiłem. Drzewa zmieniały wygląd. Wszystko było chłodne i świeże. Dynie. Kurczę, pamiętasz dynie? Zawsze mieliśmy wspaniałą kolację. Przyjeżdżały moje wszystkie ciotki i wujowie. Mieliśmy wielkiego indyka. Mama zaczynała go piec wcześniej rano. Przez cały dzień czuliśmy zapach. Siedzieliśmy dokoła stołu, a dziadek wypowiadał błogosławieństwo. Coś bełkotał, czego nikt nie rozumiał. Wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy wdzięczni, a nie takie tam gadki jak zwykle, kiedy się mówiło cokolwiek, żeby mieć z głowy.

Frizzell zadumał się nad miłym wspomnieniem.

- To było naprawdę coś niezwykłego. Czy ty się kiedykolwiek tak czuleś, Scott? Sutherland zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Ale to brzmi sympatycznie - dodał jakby na pocieszenie. - W moim domu nie działo się nic niezwykłego w Święto Dziękczynienia. Ten dzień nie różnił się niczym od innych. Taki sam hałas i wrzaski.

- Nigdy nie jedliście indyka?

- Moja mama nawet gówna nie potrafiłaby ugotować. Nie mogę sobie wprost wyobrazić, co by zrobiła z indykiem. Nie umiała nawet przysmażyć bekonu.

Milczał przez dłuższą chwilę.

- Les? - odezwał się wreszcie.

- Co?

- Oszukiwałeś mnie z tym krzewem bekonowym. Frizzell zamknął oczy i uśmiechnął się do gwiazd.

- Tak.

- Wiedziałem o tym przez cały czas - powiedział Sutherland, kiwając głową.

Bishop patrzył z podziemnego bunkra przez noktowizor na księżycowy krajobraz oświetlony blaskiem gwiazd. Było dość światła, by dostrzec łańcuch wzgórz wznoszących się po drugiej stronie równiny. Z obrazu wiała wrogością i grozą. Nie zauważył najdrobniejszego ruchu. Miał pewność, że nieprzyjaciel nie będzie dziś podchodził do jego pozycji. Była prawie pełnia, a równina nie dawała żadnego schronienia.

Odłożył noktowizor i przetarł oczy. Za jego plecami Coney sprawdzał placówki przez radio, a w kącie głośno chrapał Brock zwinięty na śpiworze.

Bishop przyklęknął, żeby zapalić kostkę suchego paliwa pod menażką. Robił kawę. Kiedy woda się zagotowała, wsypał kawę rozpuszczalną, zamieszał i podał menażkę Coneyowi.

Coney pokręcił głową i wskazał ręką na Brocka.

- To mi wystarczy, żeby nie zasnął, sir. Bishop roześmiał się.

- Kiedyś będę musiał wezwać wsparcie lotnicze, wtedy wreszcie nie będzie go słyszeć.

Podniósł noktowizor i znowu spojrzął na równinę. Coney przyglądał mu się.

- Czy myśli pan, że zdobędą naszą pozycję, sir?

- Nie wiem - powiedział Bishop. - Jestem tylko porucznikiem - dodał, lekko się uśmiechając.

Coney czuł, że Bishop jest wyczerpany, i zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nim ciąży. Był przecież tylko niewiele starszy od niego, a na jego barkach spoczywał los ich wszystkich.

- Panie poruczniku - odezwał się wśród mroku bunkra. - Ja... Ja wiem, że pan... - przerwał nie wiedząc, jak się wyrazić. - My... My wszyscy wiemy, że pan się stara... Cholera - zakończył nie potrafiąc sformułować, tego co myśli, i pokręcił głową.

Bishop jednak zrozumiał. Odłożył noktowizor, ale nie odwrócił się.

- Dziękuję - powiedział spokojnie. Coney skulony oparł głowę na kolanach.

- Boże, ile głupich rzeczy zrobiłem w życiu. - Głos mu się załamał. - Chciałbym to wszystko naprawić - powiedział zamykając oczy. - Chciałbym zobaczyć moje dziecko, panie poruczniku.

Bishop nie odwrócił się. Wiedział, że dostrzeże łzy, a ponadto chciał ukryć swoje.

Wypuścił powoli powietrze z płuc.

- Mam nadzieję, że zobaczysz - powiedział, zawierając w tych słowach marzenia ich wszystkich i całą ich obawę o życie.

Nagle ożyło radio.

- Brawo Jeden, tu Brawo Sześć. Coney podał Bishopowi mikrofon.

- Brawo Sześć, tu Brawo Jeden.

- Brawo Jeden. Wystawić placówkę nasłuchową na następną noc.

- Brawo Sześć, to nie jest konieczne. Nie możemy wysunąć się dalej niż pięćset metrów do przodu. Zasięki i tak wychwycą najmniejszy ruch.

- Brawo Jeden, dlaczego muszę powtarzać wszystko po dwa razy? Ma być jutro wystawiona placówka nasłuchowa. To Święto Dziękczynienia. Żółtki będą zakładać, że nie jesteśmy czujni.

- Brawo Sześć, nie przypuszczam, żeby żółtki miały pojęcie, co to jest Święto Dziękczynienia.

- Brawo Jeden, powtarzam po raz ostatni. Jutro wystawić placówkę nasłuchową. Bez odbioru. Brock przekręcił się na drugi bok i nastawił ucha.

- Ten gość któregoś dnia zostanie generałem. Tak przechytrzyć żółtków w sprawie Święta Dziękczynienia! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Oni na pewno tylko czekają na jutrzejszy dzień. To pasuje do tych przebiegłych, małych sukinsynów. Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak mogli przegapić Halloween i Walentynki. Chcieli prawdopodobnie uspić naszą czujność. Przebiegłe małe sukinsyny. Nikt nie wykołuje kapitana Willisa.

- Zamknij się, sierżancie.

- Tylko podziwiam jego sposób myślenia. Oficerowie są znacznie mądrzejsi niż my wszyscy razem wzięci. Pewnie dzięki nauce w koledżu. To trzeba mu przyznać. Myślę, że właśnie dlatego pozostanie pan na zawsze porucznikiem. Panu takie skojarzenia nie przychodzą do głowy. Najwyższy czas, żeby pan zaczął ćwiczyć swój umysł, panie poruczniku.

Następnego wieczoru Bishop włożył kurtkę, przypasał na plecach radio, sprawdził karabin i wziął dwa dodatkowe magazynki. Brock obserwował go z kąta.

- Co teraz, panie poruczniku? Bishop poczercił twarz i ręce.

- Idę na placówkę nasłuchową.

- Pan?

- Nikogo nie wyślę w Święto Dziękczynienia, żeby siedział tam za drutami. I tak nic się nie będzie działo. To zwykła bzdura.

- Ale rozkaz...

- Właśnie. Ktoś musi pójść. Posiedzę tam sobie. Cholera, to tylko pięćset metrów. Jeżeli coś się zacznie dziać, przybiegnę w ciągu minuty.

- Nie powinien pan tego robić, panie poruczniku.

- Po prostu przenoszę punkt dowodzenia o pięćset metrów do przodu. To będzie równocześnie punkt nasłuchowy i punkt dowodzenia.

- Jezu, panie poruczniku... Wiem, wiem, że taki jest rozkaz. Podniósł się, włożył kamizelkę przeciwodłamkową i chwycił karabin.

- Dokąd się wybierasz?

- Na punkt nasłuchowy. - Pokręcił głową z obrzydzeniem. - Oficerowie są kurewsko zwariowani. Powiadomili placówki o swoim wymarszu, a potem zeszedli po stoku wzgórza i przeprawili się przez labirynt potykaczy, i flar.

Siedzieli przez dwie godziny, wywołując przez radio placówki i wpatrując się w pustą równinę.

- Wesołych Świąt, panie poruczniku - powiedział Brock o północy. Bishop roześmiał się.

Brock pokręcił głową.

- Jak już jesteśmy przy tym temacie, to też Wesołych Świąt Bożego Narodzenia.

Zanim Coney i Sutherland poszli spać do bunkra, Frizzell wyciągnął spod stosu swoich rzeczy niewielką paczkę i powoli ją rozpakował. Pieszczotliwie pogłaskał małą puszczykę indyka.

- Skąd to masz? - zapytał Coney.

Frizzell otworzył puszkę i powąchał zamykając oczy, żeby nacieszyć się aromatem.

- Mama mi przysłała. Chowałem ją na tę okazję.

- Kupię ją.

- Nie sprzedaję.

- Daj spokój. Muszę zjeść trochę indyka. Zona nic mi nie przysłała.

- No to co?

- Kupię ją od ciebie. Dam dziesięć dolarów. Dwadzieścia dolarów. No, Frizzell, to ma dla mnie wielkie znaczenie.

Frizzell trzymał puszkę pod nosem.

- To jest znacznie lepsze od pieczeni wieprzowej.

- Jesteś dupek.

- Dlaczego miałbym ci sprzedać?
 - Prawdziwi kumple nie sprzedają sobie rzeczy - odezwał się Sutherland z kąta.
 - W porządku - powiedział Coney. - W takim razie daj mi. Gdybyś był prawdziwym kumplem, to byś mi dał, Frizzell.
 - Prawdziwi kumple nie prosiliby o coś takiego - odparował Frizzell. Otulił puszkę dłońmi. - Uwielbiam Święto Dziękczynienia - powiedział z prostotą.
- Podał puszkę Coneyowi. Coney popatrzył na Frizzella.
- Ty dupku - powiedział wreszcie. Potem podzielił mięso na trzy części, podał Sutherlandowi i Frizzellowi.

XXXVII

Mead dotarł do ambasady dopiero po ósmej. Przepasany fartuchem Lacouture krzątał się bez końca, robiąc śniadanie, nakrywając do stołu, przynosząc różne dzemy i wszelkiego rodzaju pieczywo, nalegając też, żeby Mead się najadł przed wyjściem.

Potem Mead ugrzązł w korku.

Kiedy dotarł do biura, Dolores Toland odezwała się słodziutko, ale bardzo głośno.

- O, kapral Mead. Co pana sprowadza? Czyżby był remanent w kantynie?

- Gdzie byliście, u diabła! - krzyknął pułkownik Waggoner, który wyszedł z gabinetu słysząc głos Dolores. - Tutaj dzień pracy rozpoczyna się o siódmej. Czy mieliście jakieś inne zadania? Czy wasze obowiązki przeszkadzają wam w życiu towarzyskim? Bardzo mi przykro, że was niepokoję.

- Przykro mi, sir. Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

- Wiem, że nie macie. Waszym zadaniem jest ochrona ambasadora Marshalla, a to znaczy, że musicie być przy nim. Czy wiecie przypadkiem, gdzie teraz jest?

- W gabinecie, sir? - zapytał Mead, wskazując gestem w stronę biura. Waggoner pokręcił głową.

- Nie. Osobisty przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych jest w tej chwili na lotnisku Tan Son Nhut i czeka na was. Kierowca pojechał wcześniej, żeby was zabrać, ale nie było was ani w koszarach, ani w waszej norze w mieście i nie można było was znaleźć. Ambasador leci rano do Cam Ranh. Myśleliśmy, że byłoby dobrze, gdybyście mu towarzyszyli.

- Do Cam Ranh, sir?

- Tak, kapralu, a potem na Płaskowyż Centralny. Ambasador ma bogaty program i musi w tym miesiącu odwiedzić wiele miejscowości. Popełniliśmy błąd, że nie skonsultowaliśmy z wami jego planów, więc kierowca pojechał po ambasadora bez was. On już jest na lotnisku, podobnie jak pułkownik Romer, pilot i helikopter. Wszyscy na was czekają. Oczywiście zaproponowałem, żeby pojechali bez was, a ja bym was postawił przed sądem, ale ambasador powiedział, że poczeka. Czy zgodzicie się pojechać teraz na lotnisko?

- Przepraszam, sir. Nie wiedziałem.

- A czy wiedzieliście, że macie tu być codziennie o siódmej, żeby pojechać po ambasadora?

- Tak jest.

- No, i?

- Nie mam usprawiedliwienia, sir - powiedział Mead, stając na baczność. Waggoner pokręcił głową.

- Jezu. Wyglądacie, jak łajza. Nie ogolony, buty i mosiężne części wyposażenia nie wyczyszczone... Gdzieście, do cholery, byli?

Przypomniał sobie obecność Dolores.

- Już dobrze. Zapomnijcie o goleniu. Zabierajcie tyłek na dół. Tam czeka na was samochód, żeby was zabrać na lotnisko.

- Tak jest - powiedział Mead, ruszając ku drzwiom, ale zaraz się zatrzymał. - Czy zostajemy tam na noc, sir?

- W Cam Ranh? Zostaniecie tam cały tydzień.

- Cały tydzień?

- Czy to wam nie odpowiada, kapralu?

- Ależ nie, sir - powiedział Mead i wyszedł.

Och, nie, myślał biegnąc korytarzem i zjeżdżając windą. Cały tydzień. Co będzie z Sung? Nic jej nie powiedziałem. Co ona zrobi? Kto się nią zajmie? Nie ma żadnych pieniędzy. Nic nie ma. A Lacouture? A Lord? Miał się spotkać z Lordem. Lord groził Sung, jeżeli nie dostanie informacji. Jezu, powtórzył w myślach zrozpaczony.

Musiał przekazać wiadomość Sung, żeby się nie niepokoiła. Lacouture będzie musiał poczekać, a Lord dowie się, co zaszło. Pieniądze, myślał gorączkowo. Musi przekazać trochę pieniędzy dla Sung. Miał tylko pięć dolarów w asygnatach.

Z wartowni piechoty morskiej zadzwonił do koszar. Billa Cattona tam nie było, ale zastał innego kumpla, który obiecał, że pojedzie do niego do domu i powie Sung, co się stało, i da jej trochę pieniędzy.

- Zwrócę ci po powrocie. Obiecuję.

- Żaden problem. Kryjemy cię - powiedział jego przyjaciel.

- Musicie się nią zaopiekować - powiedział Mead wartownikowi - bo inaczej zatłukę ciebie i Cattona po powrocie.

- Co ona ma takiego? Magiczną cipę? Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś tak wpadł z kretesem.

- Podniósł ręce, żeby uspokoić Meada. - Spokojnie. Tylko żartowałem. Dostanie forszę. Wszystko będzie w porządku.

Mead wybiegł na zewnątrz i zeskoczył ze schodów, biegnąc do samochodu. Ruszyli, jak tylko wsiadł. W tym samym czasie samochód Wilsona Abbota Lorda wjeżdżał na teren ambasady.

Lord zobaczył limuzynę ambasadora odjeżdżającą z Meadem, ale bez Marshalla. Po pierwszym telefonie uzyskał informację o wyjeździe Marshalla w teren.

Chociaż Dak To nie figurowało w programie ambasadora, Lord wiedział, że on tam pojedzie, a wizyta w tym miejscu klęski militarnej wystarczy, żeby zdyskredytować raport DWWPBP. Marshall skłonił Johnsona, żeby odwzględnił decyzję w sprawie zaleceń raportu, wyłącznie mu to sugerując. Teraz Lord rozumiał, jaki wpływ ma Marshall na prezydenta, a jego zdecydowanie negatywna opinia przekreśli nadzieję na nadesłanie posiłków.

Chociaż liczył się z wpływami Marshalla, był jednak zaskoczony reakcją prezydenta oraz żartobliwym stylem ich rozmowy. To on, Lord, miał rację w sprawie Marshalla. Jest najgroźniejszym człowiekiem w Wietnamie. Trzeba go powstrzymać za wszelką cenę.

- Cholera - zaklął głośno, co mu się rzadko zdarzało. Chciał uzyskać informacje o Lacouturze od Meada, ale teraz było już za późno, żeby się z nim spotkać. Nie może czekać aż tydzień do jego powrotu. Musi natychmiast dowiedzieć się, co Lacouture zamierza zrobić, i sam zorganizować „spotkanie” pomiędzy Marshalllem a armią północnowietnamską. Marshalla trzeba zdyskredytować i zabić.

Dobrze byłoby wiedzieć, czego dowiedział się Mead, ale to nie było aż tak bardzo istotne. Mógł przecież uzyskać te informacje bezpośrednio od Lacouture'a. Będzie to

bardziej przykre, ale jeżeli załatwi to osobiście, nie zaistnieją żadne nieporozumienia, a uzyska dodatkową satysfakcję z tego, że się odegra. Czekał na to z niecierpliwością.

Mead wgramolił się do helikoptera i zsalutował wszystkim ze skruszoną miną.

- Bardzo przepraszam, sir, że musieliście panowie na mnie czekać. Nie mam usprawiedliwienia.

- Nie masz? - uśmiechnął się Marshall. - To na pewno musi być jakaś ciekawa historia, kapralu.

- Proszę mówić głośno, kapralu - odezwał się Magnuson przez interkom. - Pułkownikowi Romer - dodał złośliwie - jeżeli się tak pan interesuje działalnością pozasłużbową innych, to powinien pan sprawdzić dziewczynę kaprala Meada. Przy niej Dolores wygląda jak coś, co pies zjadł i zwrócił. Jestem zaskoczony, że się w ogóle pojawił. Ja bym został.

Mead zrobił się purpurowy. Tymczasem Magnuson uruchomił silnik i maszyna ożyła.

Mead zapiął pasy i skoncentrował uwagę na swoich butach.

Marshall przyglądał mu się z rozbawieniem. Był pewien, że Mead skontaktował się z Lacouturem i przekaże mu wiadomość, jak tylko znajdą się sami. Zanim wrócą do Sajgonu w przyszłym tygodniu, Lacouture będzie w stanie zorganizować spotkanie. Będzie to oznaczać, że muszą spędzić święta Bożego Narodzenia w Sajgonie, ale to nie miało znaczenia, jeżeli zaistnieje szansa zawarcia pokoju. W czasie rozmowy telefonicznej wyczuł frustrację i desperację Johnsona. Bardzo chciał mu pomóc. Zdawał sobie sprawę jak trudne warunki postawił prezydentowi. Ma zrezygnować z ubiegania się o ponowny wybór, jeżeli nie wycofa oddziałów zgodnie z zaleceniem Marshalla. Nawet jemu samemu pachniało to nieco hipokryzją. W związku z tym spoczywa na nim teraz obowiązek zrobienia wszystkiego, żeby pomóc zakończyć tę wojnę. Ta wyprawa w teren powinna ułatwić mu zdobycie informacji, jakich potrzebuje Johnson, pomyślał. To, co zobaczy w Dak To, pozwoli mu wyrobić sobie u źródła pogląd na to, jak toczy się wojna.

Wiązał wiele nadziei z tym wyjazdem w teren, ponieważ udało mu się zawrzeć porozumienie z

Westmorelandem przewidując, że będzie się trzymać planu podróży, w zamian za co Westmoreland nie będzie mu organizować żadnych wymyślonych imprez.

- Rozkazałem wszystkim, żeby nie robili żadnych specjalnych przygotowań. Jeżeli uzna pan, że starano się przedstawić nieprawdę, proszę mi natychmiast dać znać, a postawię dowódcę przed sądem - powiedział mu Westmoreland.

Patrząc przez okno helikoptera, który leciał nad dżunglą ciągnącą się aż do wybrzeża, Marshall nie mógł sobie wyobrazić, że już za parę dni będą święta Bożego Narodzenia. Święta to rodzina, dzieci, Ryan, który wkrótce będzie latać nad tą samą dżunglą, a wydaje się, że jeszcze zaledwie wczoraj pisał z radości na widok trzykołowego rowerka, który przyniósł Święty Mikołaj. Boże, pomyślał Marshall, pracowałem nad tym rowerkiem ileś tam godzin, żeby zmontować go zgodnie z niezbyt zrozumiałą instrukcją.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Siedzieli na dywanie obok choinki, wszędzie rozrzucone były części rowerka, które zdawały się w ogóle do siebie nie

pasować, i narzędzia w takich ilościach, że można by z ich pomocą zbudować Chryslera.

Boże, pomyślał znowu i uśmiech zniknął z jego twarzy. Ryan, Ryan, przecież ty nie możesz iść na wojnę.

Jednakże wojna tocząca się na ziemi była w tej chwili tak samo nierealna jak święta Bożego Narodzenia.

Helikopter dotarł nad Morze Południowochińskie i zawrócił na północ wzdłuż wybrzeża. Biała plaża wyglądała jak wstążka oddzielająca zieleń dżungli od lazurowych wód morza. Był to wspaniały widok. Scena jak z jakiegoś rajy nad Pacyfikiem. Chatki kryte strzechą i maleńkie wioski rybackie były jedynymi oznakami życia i wydawały się równie oddalone od wojny jak wyspy Polinezji.

Zdał sobie sprawę, że wpatrywał się w krajobraz chyba przez ponad godzinę, bo nagle zauważył zmianę. Pojawiły się oznaki działalności ludzkiej. Plamy oleju na wodzie, jakieś odpady metalowe i plastikowe, śmieci i lepianki, i normalne zanieczyszczenia związane z istnieniem wielkiego portu.

W miarę jak helikopter zbliżał się do ogromnego kompleksu wojskowego rozciągającego się nad zatoką Cam Ranh, Marshall z niedowierzaniem patrzył na to, co w ciągu mniej niż pięciu lat stało się z tą senną wioską rybacką położoną nad głębokimi wodami dobrze osłoniętej zatoki. Powstała tu baza wojskowa, w której żyło dwadzieścia tysięcy żołnierzy, ciągnąca się na przestrzeni dwudziestu czterech kilometrów i sięgająca dziewięć kilometrów w głąb lądu. Był to teraz drugi co do wielkości port Wietnamu i trzecie co do wielkości lotnisko.

Po przyjeździe nie było żadnych ceremonii ani kompanii honorowej. Tylko wyżsi oficerowie Armii i Marynarki powitali Marshalla i powiadomili go, że nie poczyniono żadnych przygotowań w związku z jego wizytą i że może oglądać wszystko, kiedy zechce.

- Rozmawiałem przed chwilą przez telefon z generałem Westmorelandem - powiedział admirał. - Nikt mi nie groził sądem wojennym od czasu, gdy byłem chorążym.

Wskazano im kwatery w budynku dla wizytujących oficerów, z wyjątkiem Meada, który miał być zakwaterowany po drugiej stronie bazy razem z żołnierzami.

- Nie widzę sensu posiadania ochrony osobistej, która ma być zakwaterowana trzy kilometry ode mnie. Chyba znajdzie się dla niego jakieś miejsce, z którego mógłby chociaż przybiec na wezwanie. Poza tym trzeba na niego uważać. Jeden z nas będzie musiał go budzić co rano. Nie możemy sobie pozwolić, żeby odlot znowu opóźnił się o godzinę.

Mead czekał w pokoju Marshalla, podczas gdy szykowano dla niego kwatery, a inni rozpakowywali się.

- Powinieneś grać w pokera, kapralu, albo zostać dyplomatą. Nie mogę wyczytać nic z twojej twarzy. Czy widziałeś się z panem Lacouture?

- Tak, sir. Przekazałem mu wiadomość. Będzie próbować zorganizować spot-j kanie. Powiedział, że przekaże panu wiadomość.

- Dziękuję.

Mead nie opowiedział mu o strachu Lacouture'a, o zniknięciu Kima ani o tym, co Lacouture powiedział o Wilsonie Abbocie Lordzie. Nie mógł zdobyć się na

oskarżenie Zjawy. Poza tym, opierałby się tylko na zarzutach Lacouture'a, ponieważ nie miał żadnych dowodów.

To, co miał powiedzieć Lordowi, budziło jego wielkie obawy i był zadowolony, że nie spotka go jeszcze przez tydzień. Musi to dokładnie przemyśleć.

Przez resztę popołudnia Marshall zwiedzał port, gdzie rozładowywano cztery tysiące ton ładunków dziennie, obejmujących wszystko - od pocisków i bandażu po aparaturę stereofoniczną i komiksy. Żołnierze mogą być daleko od kraju - powiedziano mu - ale służby zaopatrzeniowe przywożą tu ich kraj, wszystko, z wyjątkiem matek i dziewczyn. Powiedziano mu, że amerykańskie oddziały w Wietnamie otrzymywały najlepsze zaopatrzenie w historii wojen i Marshall nie wątpił, że to prawda. Zwiedził Meadowgold - mleczarnię i fabrykę lodów. Zwiedził kantyny, kluby, ośrodki wypoczynkowe i pralnie.

Przez cały czas zwiedzania bazy zastanawiał się nad nieprzyjacielem. Gdzie się podział? Czy ukrył się pod ziemią i jest zaopatrywany przez pieszych tragarzy przemykających ścieżkami przez dżunglę?

W porcie widział rozładunek wielkich statków i wyobrażał sobie bosych tragarzy z pociskami artyleryjskimi na plecach biegnących leśną ścieżką. Słyszał prawie odgłos uderzeń ich stóp o ziemię i ciężkie oddechy podczas biegu.

Obraz ten nieco uległ zmianie następnego dnia, kiedy uzyskał informacje dotyczące działań powietrznych. Powiedziano mu, że nieco wcześniej w tym roku, kiedy nastąpiła sześciodniowa przerwa w bombardowaniach, nieprzyjaciel wykorzystał ją przerzucając na południe szlakiem Ho Szi Mina dwadzieścia pięć tysięcy ton zapasów. Dzielne dostawy Wietnamczyków przewyższyły zdolność przeładunkową portu z zatocze Cam Ranh.

CIA stwierdziła, że bombardowania były nieskuteczne. W ciągu ubiegłego roku zestrzelono prawie tysiąc samolotów, a nieprzyjacielskie M/C-/- okazały się teraz tak groźne, że ponad połowa spośród setek samolotów Sił Powietrznych zmuszona była zrzucić bomby, nie osiągając celu. Nawet przy najbardziej optymistycznych ocenach skuteczności bombardowań, nieprzyjaciel przerzucał zaopatrzenie w ilościach pięciokrotnie przewyższających zapotrzebowanie jego sił na południu.

Chociaż statystyki były oszłamiające, a tonaż zrzucanych bomb nie do wyobrażenia, jedno tylko porównanie przemówiło do wyobraźni Marshalla. Ponocono koszty w wysokości dziesięciu dolarów, żeby zadać Północy straty wartości jednego dolara.

Marshall przyznał się później Romerowi, że był naiwny wyobrażając sobie bosych nieprzyjacielskich żołnierzy biegnących ścieżką przez dżunglę.

- Oni chcą, żeby wszyscy tak myśleli - powiedział Romer. - Niczym Dawid i Goliat. Tymczasem Dawid ma rakiety ziemia-powietrze, M/C-/- i wysoce wydajny system transportowy. To Jane Fonda wyobraża sobie Sabu biegnącego nago ścieżką przez dżunglę. Tymczasem Sabu prowadzi ośmioosiową ciężarówkę załadowaną przy użyciu podnośników widłowych gdzieś w Laosie albo w Kambodży.

Wcześniej następnego ranka cała grupa odleciała do Nha Trang, gdzie stacjonowały Siły Specjalne.

- Mój syn właśnie pisał, że jest w Zielonych Beretach - zwierzył się Marshall Romerowi w czasie lotu.

- Jezu, co pan zrobił temu dzieciakowi? - zapytał Romer. - Nawet ja ze swoim zwariowanym ojcem trzymałem się zwyczajnej piechoty. Może nawet nie powinien oglądać pan tego, co się tutaj dzieje. Zresztą i tak nie powiedzą panu, co oni tutaj właściwie robią, a już na pewno niczego panu nie pokażą.

Marshall spojrzał na niego pytająco.

- Oni stali się prywatną armią CIA. Niektóre jednostki działają normalnie, ale większość przypomina oddziały SS. To chyba stało się przyczyną spadku prestiżu Zielonych Beretów. Zaprzędali się CIA albo przynajmniej tak ich się postrzega. W każdym razie bardzo ściśle współpracują.

- Armia nie lubi Sił Specjalnych, prawda?

- To zwykła historia elity. Kiedy prezydent Kennedy utworzył Siły Specjalne, wszyscy chcieli się do nich dostać. Każdy marzył tylko o tym, by nosić zielony beret i skakać ze spadochronem. To było takie męskie i romantyczne. Uderzyło im to do głowy, i ściągnęli na siebie wiele niechęci. Są w dalszym ciągu lubiani w Hollywood i przez propagandę, ale jeżeli chodzi o awans, to ślepa uliczka. Nie zalecałbym tego pańskiemu chłopakowi jako wstępu do kariery.

Marshall roześmiał się.

- Powiedziałem mu to w nieco bardziej bezpośredniej formie. O ile pamiętam, użyłem takich słów, jak „idiota” i „cymbał”. Dokładnie sobie nie przypominam, bo wtedy wpadłem w szal.

- No, cóż, przynajmniej pozna pan jego dowódców i zobaczy pan wspaniałych młodych

Amerikanów, z którymi będzie działać. Będzie mógł pan porozmawiać o zakwaterowaniu, wyżywieniu, o rozrywkach i wyposażeniu szpitali...

- Jeżeli powie pan jeszcze jedno słowo, oddam pana pod sąd wojenny. Mówiąc poważnie, proszę nie wspominać, że Ryan tu przyjedzie. Nigdy by mi tego nie wybaczył.

Podobnie jak w głównej kwaterze MACV, po przyjeździe Marshall odniósł wrażenie, że znalazł się na planie filmowym, z tym, że to co tutaj zobaczył było jeszcze bardziej dziwaczne. To już nie było kino, tylko teatr, uznał Marshall. Teatr kabuki z jeszcze dziwniejszymi kostiumami i makijażem, z przesadnymi ruchami i gestami. Nikt tu nie chodził. Kroczyli, stąpali albo w jakiś sposób wykonywali ruchy, jakby się skradali. Nikt nie rozmawiał. Krzyczeli albo porozumiewali się na migi.

Zupełnie jak w domu wariatów! Marshall nie mógł przestać myśleć o tym, że jego syn znajdzie się tu już za sześć tygodni.

Powitano go elegancko. Wszystko robiono tu elegancko. Nie zaprowadzono do kwatery, nie zapytano, czy chciałby odpocząć czy też umyć się, tylko natychmiast zabrano go na zwiedzanie rejonu.

Magnuson został w helikopterze. Romera i Meada szybko oddzielono od Marshalla i skierowano do innego dżipa, a Marshallowi towarzyszyło trzech oficerów Sił Specjalnych.

Pierwsze co uderzyło Marshalla, był wzrost żołnierzy. Nigdy nie widział tylu wysokich mężczyzn naraz. Podziwiał też ich świetną kondycję fizyczną. Kolejne wrażenie wywarło na nim morale. Entuzjazm i duch żołnierzy nie były, jego zdaniem, na pokaz specjalnie dla niego. Były autentyczne. Ci ludzie wierzyli w swoją robotę i lubili ją.

Obejrzał rejon ćwiczeń. Zobaczył walkę wręcz, pozorowane ataki na wioski, zasadzki i ćwiczenia w pokonywaniu przeszkód w postaci zasieków z drutów kolczastych i wbitych w ziemię zaostrzonych drzazg bambusowych. To rzeczywiście byli twardzi młodzi ludzie.

Późnym popołudniem odwiedzono ich do kwatery. Kiedy wchodzili po schodach budynku oficerskiego, natknęli się na dwóch młodych mężczyzn w mundurach bez dystynkcji. Śmiali się i popychali, ale kiedy zobaczyli Magnusona, zatrzymali się i zaczęli do niego wołać.

- Hej, Jimbo, gdzie się podziewasz? Dawno cię nie widzieliśmy. Prowadzisz jakąś operację specjalną?

Magnuson szedł za Marshalliem i Romerem, tak że tamci nie mogli dostrzec jego uciszających gestów, ale Mead je zauważył. Magnuson dawał im do zrozumienia, żeby się oddalili. Natychmiast zrozumieli i poszli sobie.

- Miło cię było widzieć, Jimbo. Może zobaczymy się w klubie? Wpadniesz? \$

- Co to za duchy? - zapytał Romer, kiedy już tamci odeszli. *

- Chłopaki, których poznałem - odpowiedział Magnuson niechętnie.

- Skąd pan zna takie postaci, panie poruczniku? Przyleciał pan podobno z Da Nang. Skąd pan więc zna facetów z CIA z Nha Trang?

- O co panu chodzi, panie pułkowniku? - zapytał Magnuson, wyraźnie dotknięty.

- To było chyba proste pytanie, poruczniku. Chciałbym wiedzieć, na czym polega pańska znajomość z facetami tego typu?

- Jakiego typu, sir?

- Z agentami, duchami, pracownikami CIA, szpiegami, z facetami tego typu, poruczniku. Chciałbym wiedzieć, skąd się bierze znajomość.

- Nie wydaje mi się, żeby to była pańska sprawa, panie pułkowniku, tak samo jak to, z kim sypiam. To, co pan powinien wiedzieć, jest w moich aktach.

Romer zaczął schodzić ze schodów w stronę Magnusona i przez chwilę wydawało się Meadowi, że zaraz dojdzie do bójki. Marshall jednak przerwał scysję.

- Panowie, może będziecie rozwiązywać swoje problemy w czasie wolnym od zajęć.

Romer zawrócił i znowu zaczął wchodzić po schodach.

- Jeszcze o tym porozmawiamy, poruczniku.

Magnuson przewrócił oczami w stronę Meada, kiedy Romer nie mógł go już widzieć, i wzruszył ramionami.

- Zamiast marnować czas na oficjalnym obiedzie, panie ambasadorze - powiedział najwyższy stopniem oficer Sił Specjalnych - chcielibyśmy, żeby pan zobaczył jak najwięcej naszych operacji. Nasze główne działania odbywają się nocą.

- Już brałem udział w nocnej zasadzce, panie pułkowniku. To było w zeszłym tygodniu w Delcie. Wystarczy mi podniecających chwil na dłuższy czas. Dziękuję - odpowiedział Marshall.

- Nie mieliśmy niczego takiego na myśli. Chcieliśmy zaproponować lot helikopterem do jednej z naszych baz wypadowych. Współpracujemy ściśle z personelem miejscowym...

- Z personelem miejscowym? Ma pan na myśli Wietnamczyków?

- Tak, sir. Głównie plemiona górskie. To jest absolutnie bezpieczne i myślę, że ciekawe. Może pan wybrać miejsce. Zaskoczmy ich. Zobaczmy, jak to wygląda naprawdę. Zobaczmy, jak nasi młodzi żołnierze współpracują z tub... z Wietnamczykami. Kolację będziemy mogli zjeść w terenie. Nie będzie wykwintu jak tutaj, ale myślę, że będzie panu smakować.

- No, cóż. Jestem tutaj, żeby zobaczyć możliwie jak najwięcej. Jedźmy.

- Świetnie, sir. Ponieważ nasi piloci lepiej znają teren, polecimy jednym z naszych helikopterów i na pewno nie będzie pan potrzebował swojej ochrony osobistej, sir. Nie wydaje mi się, żeby był potrzebny żołnierz piechoty morskiej, kiedy ma pan nas.

- Zgadza się na wszystkie pańskie propozycje, pułkowniku. Jestem pewien, że porucznik Magnuson i kapral Mead i tak woleliby tu zostać. Na pewno znajdą coś do roboty.

- Dobrze. W takim razie pojedziecie tylko pan i pułkownik Romer. Za pół godziny? Czy zdąży pan?

- Będę gotów.

Mead zmartwił się, kiedy Marshall powiedział mu, że ma zostać w bazie.

- Gdzie jak gdzie, ale przede wszystkim powinienem panu towarzyszyć w terenie, sir.

- Tak, ale myślę, że Zielone Berety mogłyby być urażone, gdybym zabrał ze sobą ochronę osobistą z piechoty morskiej. Może im się wydawać, że uważam, iż nie będą w stanie mnie obronić.

- Tak, sir, ale...

- Wolałbym, kapralu, żebyś został tutaj. Idź do klubu, wypij parę piw. Dziś już nie jesteś na służbie. Nie wdawaj się tylko w bójki, żebyś nie skrzywdził któregoś z Zielonych Beretów. Jeżeli czujesz potrzebę opiekowania się kimś, to miej oko na porucznika Magnusona.

- Na mnie, sir? Właśnie miałem zamiar uzupełnić zaległości w lekturze, a może nawet pójść do kościoła.

- Świetnie. Niech pan weźmie ze sobą kaprala Meada. Zobaczmy się rano. Dokładnie pół godziny później pułkownik zajechał dżipem, zabrał Marshalla

i Romera na lotnisko. Zaprowadzono ich do baraku z blachy i przedstawiono im innego oficera Sił Specjalnych oraz funkcjonariusza CIA.

- Przygotowaliśmy krótką odprawę, żeby pan wiedział, czego należy oczekiwać, a potem polecimy, panie ambasadorze - powiedział pułkownik, wydobywając laminowane mapy i rozkładając je na stole.

- Generał Giap powiedział, że zajęcie Płaskowyżu Centralnego rozwiąże cały problem Wietnamu Południowego. Tę strategię Giap stosował od lat. W ten sposób pokonał Francuzów. To właśnie ten rejon nazywa się Płaskowyżem Centralnym. Żyją tu trzydzieści cztery prymitywne plemiona, które Francuzi nazywają *montag-nards* - górale. Oni zawsze bronili się przed naporem Wietnamczyków i dawni cesarze pozostawiali ich w spokoju. Francuzi też nie mieli z nimi wiele do czynienia. Górale pozostali wyraźnie odrębną grupą.

- Odrębną, ale nie spójną - włączył się agent CIA. - Wciąż walczyli pomiędzy sobą. Wiele z tych plemion jest zdecydowanie wrogich wobec siebie. W 1946 roku komuniści

podjęli wielki wysiłek, żeby przeciągnąć górali na swoją stronę. Tysiące ściągali na północ, przeszkolili i zrobili z nich nauczycieli oraz personel medyczny, a potem odesłali ich z powrotem jako agentów politycznych. Chociaż tu komuniści odnieśli pewne sukcesy, nie udało im się przewyciężyć konfliktów międzyplemiennych.

Zabrał głos trzeci mężczyzna i wygłosił najwyraźniej dobrze przygotowane przemówienie.

- Niestety, rząd Wietnamu Południowego nie odniósł sukcesów we współpracy z góralami. Ich podejście było zbyt ostre i wkrađa się też korupcja. Poza tym przedstawiciele rządu mieli brzydki zwyczaj wyrażania się o góralach *moi*, czyli dzikus.

- Podjęliśmy wysiłki pięć lat temu - włączył się gładko agent CIA. - Osiągnęliśmy duże postępy, szczególnie we współpracy z plemieniem Rhade, które pan wkrótce odwiedzi, i z plemieniem Hre. Stosujemy metodę polegającą na współżyciu z nimi, przyswoiliśmy sobie ich zwyczaje i staramy się do niczego ich nie zmuszać. Tę walkę wygrywamy. Nawet górale popierający komunistów zaczynają

zdawać sobie sprawę, że zwycięstwo Północy doprowadzi prawdopodobnie do zniszczenia ich kultury i że Południe może zapewnić im lepsze warunki autonomii.

- Niestety, największe kłopoty mamy z Wietnamczykami z Południa. Mamy cholerne problemy z przekonaniem władz i wojska, żeby szanowali ich prawa plemienne i własnościowe.

Marshall skinął głową.

- Sytuacja nieco podobna do tego, jak traktowaliśmy naszych własnych *moi*. -Agent CIA uśmiechnął się.

- Właśnie staramy się nie dopuścić, żeby tutaj powtórzył się Little Big Horn. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, sir?

Marshall pokręcił przecząco głową.

- Może będę miał po wizycie.

- No, to chodźmy, panowie - powiedział pułkownik wskazując ręką drzwi. Marshall rzeczywiście nie potrzebował ochrony osobistej z piechoty morskiej,

z czego szybko zdał sobie sprawę. Eskortowały ich dwa helikoptery, każdy wiozący pluton Zielonych Beretów. Nastrój był tak męski i bojowy, że Marshall zwrócił się do pułkownika:

- Może powinniśmy zrezygnować z tej wizyty i zamiast tego polecieć do Dak To. Słyszałem, że 173. Dywizja Spadochronowa ma poważne kłopoty.

- Głupie sukinsyny - powiedział pułkownik z pogardą. Zanim jednak zdołał powiedzieć coś więcej, włączył się agent CIA.

- To jest współzawodnictwo między formacjami. Pan pułkownik uważa, że Zielone Berety mogłyby prędzej doprowadzić do zwycięstwa.

- Czy jest tam aż tak źle? Agent CIA wzruszył ramionami.

- Słyszałem, że to dość zażarta bitwa.

Wygląda na to, że Johnson nawet lepiej ocenił rozmiary klęski, niż sam przypuszczał. Sprawdzi to jutro.

Kiedy wylądowali w bazie w górach, Marshall poczuł się zupełnie tak, jakby się znaleźli się w jakimś pierwotnym świecie gdzieś w czasach prehistorycznych.

Podczas gdy młodzi górale wyposażeni przez Siły Specjalne chodzili w mundurach w kolorach ochronnych, mieli plecaki, karabiny, buty, nauczyli się posługiwać radiem i kierować ogniem artylerii, starsi mężczyźni i kobiety, a także dzieci chodzili prawie nago i wyglądali jakby żywcem ich wyjęto z epoki brązu i paciorków, malowania i tatuowania ciała, przesądów i magii.

Marshall siedział przy ognisku w maleńkiej wiosce składającej się z krytych strzechami chat w otoczeniu palących fajki mężczyzn i kobiet, wysłuchiwał opowieści o bogach i demonach dżungli, podczas gdy nieco dalej helikoptery czekały, żeby go zabrać z powrotem do bazy.

Po krótkim czasie wszystko zaczęło tracić dla niego sens i nie potrafił się skoncentrować na tym, co do niego mówią. Obrazy powstające w jego umyśle były zbyt wyraźne. Naloty, liczenie ofiar, szlak Ho Szi Mina, komuniści, demokracja -wszystko to ulatywało gdzieś w przestrzeń wraz z dymem obozowego ogniska, wokół którego nagie dzieci i kobiety z odsłoniętymi piersiami i spiłowanymi do dziaśel zębami, a uszami rozciągniętymi przez ozdoby z kości słoniowej - przyglądały mu się z zainteresowaniem, od czasu do czasu podnosząc wzrok na helikoptery na łące.

Wrócili bardzo późno. Marshall nie zapytał o nic po wylądowaniu. Kiedy zasypiał, w uszach brzmiała mu muzyka gongów i trzciniowych piszczałek.

Magnuson uderzył pięścią w drzwi pokoju Meada i władował się do środka.

- Pójdziemy i zorganizujemy coś do picia. Odczep swój winkiel kaprala i zajrzemy do klubu oficerskiego. Nikt się nie zorientuje i gówno ich to będzie obchodzić. Zadbaj tylko o to, żeby wrócił bezpiecznie na kwaterę.

- Tak jest, sir.

- I skończ z tym „sir”. Dziś wieczór nie mamy stopni. Chcę się zalać. Nie muszę jutro latać, a ty nie musisz pilnować ambasadora. Jeszcze jedna rzecz. Nie chcę, żeby ci faceci, których dziś widzieliśmy, gadali z nami.

- To nie pańscy przyjaciele?

- Już nie. Skończyłem z tym gównem. Dość mam już tego pieprzenia się z CIA. Mead pochylił się bliżej i wciągnął powietrze nosem.

- Pan już się napił.

- Tak jest. Czy myślisz, że oficerowie nie piją? Jezu, powinieneś być zobaczyć Luke'a Bishopa.

Ledwo mógł ustać na czworakach.

- Może lepiej nie chodzić do żadnego klubu, panie poruczniku. Możemy tu przynieść butelkę, posiedzieć i...

- ...opowiadać sobie historyjki szpiegowskie. Opowiesz mi o Wilsonie Abbocie Lordzie, kapralu?

- Opowiem, jeżeli pan opowie, panie poruczniku.

- Wygląda na to, że spędzimy fajny wieczór, Roń.

- Damy sobie radę, Jimbo. Jeżeli jesteś najlepszym przyjacielem porucznika Bishopa, wydaje mi się, że mogę ci zaufać.

- A jeżeli ty ocaliłeś jego bezwartościową dupę, to ja mogę zaufać tobie, Roń. Magnuson podszedł chwiejnie do drzwi.

- Idę po butelkę.

- Możemy pójść do twojego pokoju.

- Nie. Tam jest pewnie podsłuch, podobnie jak u Marshalla i u Romera. Nie wiedzieli jednak, że i ty będziesz tu mieszkać, więc nie mieli czasu założyć go u ciebie. Poza tym nie chciałbym zarzygać sobie pokoju.

Wrócił po kilku minutach, wymachując butelką burbona. Podał ją Meadowi.

- Zaczynaj. Ja już jestem do przodu. Poza tym, chciałbym usłyszeć coś o tej dziewczynie, z którą mieszkasz.

- A opowiesz mi o Dolores?

- Nie ma nic do opowiadania. Pieprzy się, bierze do buzi, lubi mieć to w tyłku. Używa brzydkich wyrazów. Normalka. Poza tym jestem żonaty. - Podniósł palec bez obrączki. - Prawda?

- Tak jest w twoich aktach.

Mead wypił duży łyk z butelki i podał ją Magnusonowi, który podniósł ją do ust i łyknął solidnie. Podawali tak sobie butelkę przez kilka minut, nie odzywając się. Wreszcie Magnuson podszedł do umywalki i przyniósł plastikowe kubeczki.

- Musimy nieco zwolnić, bo wysiadziemy, zanim zdążymy sobie cokolwiek opowiedzieć. Powiedz mi, czy naprawdę jesteś bohaterem?

- Tak jest w moich aktach. Magnuson roześmiał się.

- Akta kłamają. W moich nie ma nic o CIA, Ronnie.

- W moich też.

- No, to pogadajmy o tym, czego nie ma w naszych aktach.

- Kto pierwszy?

- Ja jestem starszy, ba, jestem nawet pieprzonym oficerem.

- Żonatym pieprzonym oficerem.

- Właśnie - powiedział Magnuson, podnosząc środkowy palec. - No, to ja zaczynam. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem, tylko Luke'owi. Niech to zostanie między nami.

- Rozumiem.

Magnuson popatrzył na niego przez chwilę, wypił łyk z kubeczka i zaczął opowiadać.

- W Da Nang latałem w kilku misjach dla CIA. Potem opowiedział Meadowi, co robił.

- W październiku dostałem rozkaz, że mam się udać do Sajgonu. Akurat wtedy Lukę przyjechał ze Strefy Zdemilitaryzowanej.

- Dlaczego ciebie wysłali?

- Nie mam pojęcia. Dopiero jak przyjechałem do Sajgonu, dowiedziałem się, że mam być pilotem ambasadora.

- Widziałem ciebie wtedy w ambasadzie. Wracaleś z gabinetu Lorda.

- Tak, wiem. Powiedział mi, że wybrano mnie, ponieważ będę potrzebny do „specjalnych” zadań, ale nie powiedział, co to za zadania. Dał mi tylko do zrozumienia, że lepiej będzie, jeżeli będę współpracować. Widzisz, na tym polega kłopot. Jak już raz się wdepnie w gówno, nie upłynie wiele czasu i trzymają cię za jaja. Wtedy robisz wszystko - wystarczy, że lekko nacisną. Nigdy nie padło słowo na ten temat, ale od początku czułem, że celem ma być ambasador, że po

to mnie ściągnięto, żebym dokonał „zrzutu”. Potem, po naszej małej wyprawie do Delty, Lord oznajmił mi, że ma dla mnie specjalne zadanie. Właśnie wtedy wpadłem do ciebie i powiedziałem, że powinniśmy porozmawiać, zanim zrobimy coś, czego nie chcemy zrobić.

- A czego nie chciałeś zrobić?

- Już to zrobiłem. - Magnuson znowu złapał butelkę i napił się z niej. Potrząsnął głową i opadł na łóżko. - O Jezu, a już myślałem, że to się skończyło.

Znowu poderwał się. Na jego twarzy malowały się na przemian furia i ból.

- Mam dwadzieścia dwa pieprzone lata. Pochodzę z Oklahomy. Tam grałem w futbol. To było moje życie. Teraz jestem tutaj, w tym pieprzonym kraju i zrzucam ludzi z samolotu w imię... Czego? Demokracji? Wolności? Pieprzę to. Za parę miesięcy wrócę do domu i do żony. - Znowu podniósł palec, na którym nie było obrączki. - I będę prowadzić wygodne życie... Jakie? Agenta ubezpieczeniowego? Może trafię robotę w liniach lotniczych. Wspaniałe osiągnięcia zawodowe. Specjalność: zrzucanie żółtków do Morza Południowochińskiego.

Pokręcił głową.

- Lord chciał żebym właśnie to zrobił. To było jego specjalne zadanie dla mnie tamtej nocy. Jakiś biedny stary żółtek srający ze strachu, którego przesłuchiwał. Biedny stary smutas w obszarpanym ubraniu... Poruszający widok... Jedno zapamiętałem... Ten stary pierdoła miał piękne zęby.

Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyciągnął chusteczkę. Rozwinął ją i rzucił jeden zęb Meadowi, który go złapał w powietrzu.

Mead trzymał na dłoni ząb, na którym pozostały ślady krwi.

- Jezu - powiedział i odrzucił ząb Magnusonowi. - Znałem go. Magnuson spojrział na ząb.

- Czy można po jednym zębie ocenić, kto to był?

- Co się z nim stało? - zapytał Mead.

- Wpadł do morza. Zginął śmiercią marynarza. Przepraszam. Nie powinienem żartować, jeżeli to był twój przyjaciel.

- Nie był moim przyjacielem. Po prostu wiem, kto to był.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Mead chwycił butelkę i wypił z niej dwa duże łyki.

- Tak - powiedział. - Muszę to komuś opowiedzieć.

Wyznał całą historię o Kimie, Lacourrze, rozmowach z Lordem i wreszcie o spotkaniu, które Lacouture miał zaaranżować dla Marshalla.

Kiedy skończył, Magnuson nie odezwał się ani słowem przez długi czas, potem wziął butelkę i wypił łyk.

- Jezu - powiedział wreszcie, ocierając usta rękawem kombinezonu. - Mnie wrobili w wyrzucanie żółtków do morza, a ciebie w sypianie z pedałami. - Przyłożył rękę do serca. - Coś mi podpowiada, że to jest złe. - Podniósł butelkę. - Czy może to tylko alkohol?

- Nic z nim nie robiłem - powiedział Mead tłumacząc się. Magnuson podniósł ręce do góry.

- Nic mnie nie obchodzi, co podnieca różnych facetów.

- Cholera!

Magnuson roześmiał się.

- Nie chodzi o to, co zrobiłeś, ale o to, co chcieli, żebyś zrobił i co ty byś zrobił. Nie przejmuj się tym. Ostatecznie to ja zabijam ludzi dla tych skurwysynów.

- Co powinniśmy zrobić? - zapytał Mead. - Już nie mogę trzeźwo myśleć. Czy powinniśmy powiedzieć ambasadorowi?

Magnuson podniósł głowę.

- Trudno mi się skupić. Co dobrego wyniknie z tego, że mu powiemy? Najwyżej staniemy przed sądem. Ja za zbrodnie wojenne, a ty za postępowanie wbrew naturalnemu porządkowi, i zostaniemy załatwieni przez CIA. Oni są mściwi.

- Tak. Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale musimy coś zrobić.

- Najpierw musimy się zorientować, co Lord zamierza zrobić. Wydaje mi się, że chce zabić Marshalla.

Mead opuścił głowę.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Chodzi mi o...

- To jest nasz rząd, to my jesteśmy ci dobrzy i tego rodzaju gówno. Tak?

- No... Tak... Chyba tak... Chcę powiedzieć, że wierzę w mój kraj. Nie znam się na wielu sprawach, ale... Cholera - powiedział wycierając oczy rękawem, a kiedy podniósł głowę i spojrział na Magnusona, płakał. - Wiesz, przyjechałem tutaj, kiedy miałem osiemnaście lat. Zabijałem ludzi dla mojego kraju. Jednego faceta w tunelu zabiłem gołymi rękami. Ten sukinsyn wykrwawiał się na śmierć. Wybuch granatu wyrwał mu połowę twarzy. Ja... Ja nie chcę tego więcej robić. Chcę wrócić

do domu, nawet jeżeli jest to biedna farma mojego starego w Arkansas.

Magnuson odetchnął głęboko, pokręcił głową i odwrócił wzrok.

- Człowieku, mamy jeszcze bardzo dużo życia przed sobą. - Wstał, podszedł do Meada i poklepał go po ramieniu. - To tutaj nie ma nic wspólnego z naszym krajem. To jest po prostu zwykłe gówno.

Pochylił się tak, że jego twarz znalazła się na tej samej wysokości, co twarz Meada.

- Hej - powiedział zmuszając Meada, żeby na niego spojrział. - Wszystko dobrze się skończy. Fajnie, że sobie pogadaliśmy. Teraz działamy we dwóch. Możemy pokonać tego skurwysyna. Dwóch żołnierzy piechoty morskiej przeciwko temu dupkowi. Nie ma szans. Jutro wykombinujemy, co należy zrobić.

Wziął butelkę i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

Rano Marshall powiadomił dowódcę Sił Specjalnych, że skraca swoją wizytę.

- Widziałem wszystko, co powinienem zobaczyć. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie i chciałbym pogratulować panu dobrej roboty. Jest jednak wiele innych miejsc, które też zamierzam zobaczyć, a mam bardzo mało czasu. Bardzo panu dziękuję.

Wysłał Romera, żeby obudził Magnusona i powiadomił o zmianie planów. Romer znalazł Magnusona leżącego nago na łóżku i zięjącego alkoholem. Potrząsał nim, dopóki go nie obudził.

- Poruczniku, ściągnij dupę z łóżka. Wyjeżdżamy za pół godziny. Magnuson patrzył na niego nic nie rozumiejąc.

- Co?

- Myślę, że znajdzie pan Dak To, poruczniku.

- Co?

- Dak To, poruczniku. Ambasador chce tam lecieć natychmiast. Znajdzie pan to miejsce?

- Jezu - mruknął Magnuson. - Nie wiem, czy będę w stanie znaleźć helikopter.

- Ja pana doprowadzę do helikoptera, a pan pokona resztę drogi. To jest wojna, poruczniku. Idziemy! - ściągnął Magnusona z łóżka i wepchnął pod prysznic. Odkręcił kran z zimną wodą i zasunął drzwiczki kabiny, żeby Magnuson nie mógł wyjść.

- Niech pan wytrzeźwieje, poruczniku. Dak To czeka.

XXXVIII

Kiedy Wilson Abbot Lord otrzymał wiadomość z placówki CIA w Nha Trang, że Marshall jest w drodze do Dak To, zrozumiał, że musi działać natychmiast.

Dak To oznaczało największe niepowodzenie militarne. Nieprzyjaciel rzekomo nie był w stanie przeprowadzić większej ofensywy, ale podjął ją w Dak To i mimo silnego kontrataku wspieranego ciągłymi nalotami oraz ostrzałem artyleryjskim -nie można go było wyprzeć. Lord uważnie śledził przebieg walk.

Wiedział, że Marshall złoży raport prezydentowi Johnsonowi, który i tak już był zaniepokojony wcześniejszym atakiem pod Con Tien i potężną koncentracją nieprzyjaciela w okolicach Khe Sanh. Teraz uwagi Marshalla będą miały dla Johnsona jeszcze większe znaczenie.

Lord zdawał sobie również sprawę, że po wizycie w Dak To Marshall będzie jeszcze bardziej skłonny spotkać się z Północnymi Wietnamczykami. Jest więc absolutnie konieczne, żeby on, Lord, zaaranżował to spotkanie przed powrotem Marshalla do Sajgonu.

Resztę dnia spędził na przygotowaniach. Wczesnym wieczorem wziął magnetofon i pojechał na drugi koniec miasta do modnej dzielnicy, w której mieszkał Lacouture. Zaparkował kilka ulic dalej.

Po upewnieniu się, że Lacouture jest w domu, i kiedy zobaczył go przez zasłony krążącego nerwowo po pokoju, Lord podszedł do drzwi i zapukał.

Wyćwiczonym głosem, który, jak wiedział, był podobny do głosu Meada, odezwał się szeptem i z wahaniem, jak to robił Mead.

- Panie Lacou... Bernardzie, to ja, kapral Mead.

Rozległ się szcęk pośpiesznie otwieranych zamków i drzwi otworzyły się.

- Och, kapral Mead, drogi kapral Me... - Lacouture pisnął, kiedy Lord jednym pchnięciem otworzył szeroko drzwi i podstawił mu pod nos pistolet.

- *Bon soir, Monsieur*. Przepraszam za to oszustwo, ale musimy pogadać.

- Ty! Jak śmiesz! Ja...

Lord odepchnął go, uderzając pistoletem w czoło i zamknął za sobą drzwi.

- Nie zaprosił mnie pan do środka, *Monsieur* Lacouture. Cóż za brak dobrych obyczajów. Och, jakie piękne mieszkanie. Ile dzieł sztuki. Co za zbiór. Musi pan być z niego bardzo dumny.

- Czego pan chce! - krzyknął Lacouture z furią. - Morderco! Wiem, że zabiłeś Kima.

Lord w dalszym ciągu lustrował pokój chłodnym wzrokiem.

- Tak. To bardzo przykre. Biedak wypadł z samolotu.

Lacouture gwałtownie wciągnął powietrze, ale zaraz opanował się, poskromił swój strach i starał się zachować godność.

- Czego pan chce? Pan jest złym człowiekiem. Nie będę z panem współpracować. Lord sięgnął po wazę stojącą na komodzie i zaczął podrzucać ją jedną ręką.

- Naprawdę wspaniała. Okaz muzealny. Ojej! - Upuścił wazę na podłogę, gdzie rozprysła się na marmurowych płytach.

Lacouture w dalszym ciągu panował nad sobą.

- Wiedziałem, że zrobi pan coś takiego. Dobry Boże, ale po co? - pokręcił głową. - Cóż jednak znaczy dla pana sztuka? Albo ludzie? Albo kraj? Albo życie?

- Bardzo wiele znaczy - powiedział Lord spychając sztukę porcelany z epoki Ming z biurka. - Właśnie dlatego jestem tutaj.

- Tak na pewno mówili hitlerowcy w czasie Kryształowej Nocy. Lord uśmiechnął się.

- Niech pan sobie nie pochlebia i niech mi pan oszczędzi tego taniego mora-lizowania. Pan, któremu moralność w ogóle jest obca, gotów jest pan sprzedawać wszystko wszystkim.

Lord chwycił figurkę z lapis lazuli i cisnął nią o przeciwległą ścianę. Rozbiła się na drobne

kawałki.

- Niech pan przestanie. Nie mogę tego znieść. Dlaczego pan od razu mnie nie zastrzeli i nie skończy z tym?

- Potrzebuję pańskiej współpracy. Myślałem, że mieliśmy układ. Piskliwy, La Goulue, Nhay Dam - dodał szyderczo. Chwycił jadeitową kadzielnicę i roztrzaskał na marmurowej posadzce. - Niech mi pan opowie o drogim kapralu Meadzie. Czy dobrze się go rznąło? A może on zerznął ciebie?

- Jesteś wstrętny - powiedział spokojnie Lacouture.

- Jestem wstrętny? Ty zbrojeńcu! - Chwycił misę z okresu dynastii Tang pokrytą lśniąco polichromowaną polewą i rzucił nią o ścianę. - Pieprzysz się z chłopcami, a mnie nazywasz wstrętnym? Wiem, że Mead spędził noc w twojej sypialni.

powiedz.

Lacouture ukląkł, żeby pozbierać skorupy.

- To miało ponad tysiąc dwieście lat - powiedział, wciąż nie mogąc uwierzyć w stratę.

Lord cisnął seledynową misą o ziemię.

- Opowiedz!

Lacouture patrzył bezradnie na powstałe wokół zniszczenia. Lord go zabije. Był tego pewien, ale ku swojemu zdziwieniu wcale się nie bał. Bardziej martwił się

o swoje skarby. Były ważniejsze i bardziej wartościowe niż on sam. Wszystkie te piękne dzieła sztuki zostaną zniszczone. Wszystko, co kochał i podziwiał, zostanie roztrzaskane. Cóż w porównaniu z tym znaczyło jego życie? Nie chciał żyć w świecie, w którym nie będzie jego skarbów. Nie chciał żyć tam, gdzie deptano sztukę i piękno.

Nie chciał umierać. Będzie mu żal. Życie jest takie zabawne. Kochał wszystko

i wszystko sprawiało mu radość, i bawiło go. Tyle rzeczy. Rogaliki, kawa i gazety. Intrygi i chłopcy. Wszystko było wspaniałe.

Zaczął płakać - nie ze strachu, ale z żalu za tym wszystkim, co straci. Nie za dziełami sztuki i pięknem. One przetrwają. Żal mu było frywolnych drobiazgów.

Płakał. Nie pojedzie do Cannes. Nigdy już nie zobaczy swojego Dzikusa. Drogi kapral Mead. Co to za słodki chłopak. Trzymał go w ramionach i pocieszał. A tutaj ten Lord. Zły. Zły człowiek chciał zrobić z tego coś brudnego i brzydkiego. Jego drogi Dzikus! A co Lord jemu zrobi? On będzie następny, pomyślał Lacouture. Lord jego też zabije.

Nie. Nie pozwoli na to. Nie może ocalić siebie, ale może zrobić coś dla swojego Dzikusa. Dla niego okaże się dzielny. Nagle stanęła mu przed oczami piękna scena z filmu i omal nie zaczął płakać znowu. Pamiętał ją doskonale. Była taka wzruszająca. Ronald Coleman w roli Sydneya Cartona mówiący: "Jo jest najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem".

Lacouture otarł łzy z oczu.

- Tak. Był tutaj. Spędził noc w moim łóżku. Jak pan to nazywa, dobrze go było rznąć. Jest bardzo piękny. Chyba najpiękniejszy z mężczyzn, których znałem, ale jest bardzo głupi. Niczego się nie dowiedział. Nie uzyskał żadnych informacji, które pan chciał poznać. Biedak bardzo się starał, ale to było zbyt oczywiste.

- Tak myślałem - powiedział Lord. - Taki bystry człowiek jak ty od razu mógł go przejrzeć. On przeciw tobie. To nie był wyrównany mecz. Czy chociaż miał przyjemność?

- Nie. On woli kobiety. Nawet nie miał orgazmu, mimo że bardzo się starałem.

- I niczego się nie dowiedział?

- Obawiam się, że niczego, co mogłoby się panu przydać. Dlatego myślałem, że to znowu przyszedł kapral Mead, żeby jeszcze raz spróbować.

- No, to ci się nie udało, i to pod wieloma względami. - Oparł lufę pistoletu na siedemsetletnim zwoju z czasów dynastii Yuan przedstawiającym zarośla bambusowe i ptaki, i pozostawił długie rozdarcie.

- A teraz powiedz mi o spotkaniu, które zorganizowałeś.

- Nie ma spotkania. Zadbał pan o to zabijając Kima. Czy myśli pan, że generał Khanh zgodzi się teraz na spotkanie?

Lord roześmiał się.

- Nie, tylko że Marshall o tym nie wie, prawda? Wyciągnął z kieszeni magnetofon i postawił go na stole.

- Ale pan mu powie o tym spotkaniu.
- Bez łapówki? - zapytał Lacouture z sarkazmem.
- Nie, panie Lacouture. Żadnych pieniędzy. Obawiam się, że już na to za późno.
- A więc co otrzymam w zamian za współpracę?
- Trochę dłuższe życie. Zostanie też trochę nie zniszczonych rzeczy. - Kierowany nieomylnym instynktem podszedł do gramofonu. - Wiesz, że nigdy nie ceniłem sobie opery. To jest moja wada, ale jednak... O! Tę słyszałem. Jraviata". Strasznie nudna. - Złamał płytę na kolanie i wziął następną. - Wagner. To naprawdę jest okropne. - Rozbił płytę na podłodze. - My zrobimy własne nagranie, dobrze?

Wydobył następną płytę.

- Caruso. O, tak. Bardzo sławny i w bardzo dobrym stanie. - Podniósł płytę nad głowę.

- Nie! Nie Caruso!

Lord zawahał się, odłożył płytę na bok, wziął następną i rzucił nią o ścianę.

- Zrobimy własne nagranie, ale tylko ty będziesz mówić. Powiesz: „Spotkanie jest umówione na piątek, dwudziestego trzeciego grudnia o czwartej po południu nie opodal Hong Ngu przy granicy kambodżańskiej. Współrzędne" - o, masz tutaj napisane. Przeczytaj.

Lacouture wziął od niego kartkę, nie spuszczać z oka pistoletu i swoich płyt. Przeczytał tekst.

- Jeszcze raz. Tym razem nie tak histerycznie. Masz taki głos, jakby ci ktoś przystawił pistolet do głowy. Przeczytaj to tym swoim eleganckim francuskim, którym tak pięknie posługujesz się w odróżnieniu ode mnie. Wiem, że nie znosisz mojego francuskiego.

Chwycił kolejną płytę i rzucił nią o ścianę.

- Denerwuje mnie pan i nie mogę czytać. Niech pan przestanie ciągle czymś rzucać! - krzyknął Lacouture.

- Przeczytaj ładnie, bo zniszczę wszystko, co jest w tym cholernym pokoju. Lord zaczął chodzić szybko, żeby znaleźć coś odpowiedniego. Jego wzrok padł na Pierrota. Chwycił go.

- Co to jest? Chyba nie okaz muzealny?

Lacouture jęknął i podbiegł do niego, wyrwał mu lalkę z ręki i mocno przytulił do piersi.

- Ach, rozumiem - sztychł Lord. - Zabawka z lat dziecińczych. Może cię uspokoi i lepiej, żeby tak się stało, bo podrę ją na strzępy. To twoja ostatnia szansa, Lacouture. Czytaj.

Trzymając z miłością lalkę, Lacouture przeczytał tekst z kartki.

- Już lepiej. Jeszcze raz. Lacouture przeczytał.

- Bardzo dobrze. Teraz nagranie.

Lord włączył magnetofon i podał go Lacouture'owi, który spokojnie powtórzył tekst z zamkniętymi oczami. Gładził pieszczotliwie lalkę. Lord wyłączył magnetofon, przewinął taśmę i przesłuchał ją.

- Świetnie - powiedział. - To się bardzo przyda. - Wskazał na resztę płyt i na inne przedmioty w pokoju. - Żeby wykazać ci moją wdzięczność i udowodnić, że nie jestem złym człowiekiem, oszczędzę resztę tych przedmiotów.

Nagłym ruchem podniósł pistolet do czoła Lacouture'a i pociągnął za spust.

Pocisk przebił mózg i rzucił Lacouture'a do tyłu. Lacouture runął na biurko, strącając wszystko na podłogę. Leżał na plecach z otwartymi oczami i z dziurą w czole. Jego ręce wciąż ścisnęły lalkę.

Lord rozejrzał się z chłodną obojętnością, podniósł kartkę i schował ją do kieszeni razem z magnetofonem. Wsunął pistolet do kabury, wyszedł z domu i spokojnie ruszył ulicą w stronę samochodu. Wkrótce odjechał.

Późnym rankiem zadzwonił do biura Marshalla naśladować akcent i zniewieściały głos Lacouture'a.

Dolores Toland odebrała telefon i od razu rozpoznała rozmówcę jako tego okropnego Francuza, który tak często dzwoni.

- Czy jest ambasador Marshall? Mówi Bernard Lacouture. Rozmawiałem już z jego ekscelencją. On oczekuje wiadomości ode mnie.

- Tak. Wiem, kim pan jest - powiedziała Dolores z nieukrywaną pogardą. - Ambasadora Marshalla nie ma i nie wiem, kiedy będzie.

- Mam dla niego wiadomość. To jest bardzo ważna informacja, której nie mogę przekazać przez telefon ani sekretarce. Wysłałam ambasadorowi taśmę. Będzie

zaplombowana, tak że natychmiast zorientuje się, gdyby ktoś przy niej manipulował. Wysyłam ją natychmiast po zakończeniu tej rozmowy do ambasady przez specjalnego gońca. Proszę zadbać, żeby ambasador otrzymał ją zaraz po powrocie. Mogę panią zapewnić, że gdy ambasador wysłucha taśmy i okaże się, że było jakieś opóźnienie w jej przekazaniu, nie chciałbym być na miejscu pracownika, który do tego dopuścił. Czy pani rozumie, co powiedziałem?

Dolores ledwo mogła się pohamować.

- Tak - powiedziała z wściekłością, a kiedy skończył rozmowę, trzasnęła słuchawką.

Czterdzieści pięć minut później wartownik z piechoty morskiej przyniósł taśmę. Powiedział, że przesyłka została dostarczona przez oficjalną wietnamską służbę kurierską. Powiedział też, że przesyłka została prześwietlona i zawiera kasetę magnetofonową.

Pieczeń była nienaruszona. Dolores schowała przesyłkę do sejfów.

XXXIX

- Niewątpliwie wczoraj wieczorem byliście razem na nabożeństwie z porucznikiem Magnusonem - powiedział złośliwie Romer do Meada, który siedział ze zboląłą miną w rzucanym podmuchami helikopterze zmierzającym do Dak To.

Marshall ukrył uśmiech. Jego pilot i ochrona byli tak wyraźnie skacowani, że czuł dla nich litość, tym bardziej, iż sam przecież powiedział poprzedniego wieczoru, że nie będzie ich dziś potrzebować.

- Czy jest pan pewien, że będzie mógł lecieć? - zapytał Romera, kiedy zobaczył Magnusona i kiedy zauważył, że Mead próbował wejść przez zamknięte drzwi.

- Niech pan nigdy nie zdradzi się z tym, że to ja powiedziałem, sir, ale to wspaniały pilot. Prawdopodobnie po pijanemu lata lepiej niż inni na trzeźwo.

Marshall zauważył, że Romer jest niezwykle podniecony i zapędza wszystkich na pokład helikoptera, dogląda wszystkich szczegółów, ponagla i popędza i bez przerwy przy tym coś mówi.

Marshall nie widział jeszcze nikogo, kto by tak niecierpliwie czekał, aż znajdzie się na polu bitwy. Czy działo się tak dlatego, że nigdy jeszcze nie uczestniczył w walce, czy była to ta sama dynamika, która stała się przekleństwem jego ojca?

- zastanawiał się. Rzeczywiście coś go dręczyło. Ten człowiek był w stanie wyjątkowego podniecenia. Całkowicie panował nad sobą i był w pełni władz umysłowych, ale nie sprawiał wrażenia zupełnie normalnego. To wyglądało na coś więcej niż przyływ adrenaliny. Może to był ten czynnik konieczny, dzięki któremu ktoś staje się wybitnym dowódcą wojskowym, coś, co jest więcej niż charyzmą i zwykłą odwagą, co wynosi wodza na wyżyny sztuki, - tak jak Aleksandra, Wellingtona czy Napoleona.

- Wicekról prosi o zezwolenie na lądowanie w Dak To - powiedział Magnuson, cedząc słowa, jakby to go okropnie nudziło.

Romer polecił Magnusonowi, żeby pozostawił włączony interkom i żeby w ten sposób wszyscy mogli słyszeć wymianę zdań. Odpowiedź była natychmiastowa i zdecydowana.

- Nie ma zezwolenia, Wicekról. Nie ma zezwolenia. Odpowiedź odmowna.

- Wicekról podchodzi z kierunku Sierra Whiskey. OCP około dziesięciu minut

- kontynuował Magnuson tym samym zmęczonym tonem.

- Podchodzimy z południowego zachodu. Orientacyjny czas przylotu za dziesięć minut - wyjaśnił Romer Marshallowi z radością w głosie.

W głosie kontrolera lotów natomiast brzmiała furia zmieszana z histerią.

- Odmowa. Powtarzam. Odmowa. Nie ma zgody na lądowanie. Nie możesz lądować, Wicekról. Lądowisko gorące. Powtarzam. Lądowisko gorące.

- Lądowisko jest pod ogniem - powiedział Romer, wychylając się, by wyrzeć przez okno.

Mead, który dotąd siedział osowiały w kącie, nagle ożywił się. Zdjął hełm z głowy, usiadł na nim i wsunął magazynek do karabinu. - OCP dziewięć minut - powiedział Magnuson, tłumiąc ziewanie.

W radio odezwał się inny głos tchnący autorytetem.

- Tu kontrola lotów. Lądowisko jest pod ogniem. Nie ma zgody na lądowanie. Czy nie rozumiecie, co się do was mówi? „Pod ogniem”, znaczy ostrzał ostrą amunicją, a odmowa oznacza, że macie zabierać stąd swoje dupy.

- Siedem minut - powiedział Magnuson. - Hej, widzę dużo dymu. Co się tam dzieje? Urządzenie grilla?

Romer roześmiał się i poklepał karabin.

- Ty dupku! - rozległ się wrzask w radio. - Osobiście cię zastrzelę.
- Wicekról, tu Thor - odezwał się nowy, przywykły do rozkazywania głos w radio. - Jesteś w moim rejonie. Nie znam twojego sygnału wywoławczego. Zidentyfikuj się i podaj cel swojej misji.
- Zrozumiałem, Thor - powiedział Magnuson, wiedząc, że rozmawia z dowódcą brygady albo dywizji, generałem noszącym jedną albo dwie gwiazdki, a może nawet więcej. - Wicekról jest osobistym przedstawicielem USA Jeden. Nie prosimy o lądowanie w Dak To, tylko je nakazujemy.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem głos odezwał się znowu.

- Zrozumiałem, Wicekról. Widzę was. Jestem na wschód od was około dwieście metrów wyżej. Czy widzicie mnie?

Magnuson spojrział ku wschodowi i zauważył kilka helikopterów na nieco większej wysokości.

- Zrozumiałem, Thor. Widzę was.

- Lećcie za mną na lądowisko.

- Teraz gównem wpadnie do wentylatora - oznajmił Magnuson przez interkom.

- Zanim wylądujemy, już będą wiedzieli w MACY. A tak przy okazji, słyszałem przez radio dużo rozmów z helikopterami ewakuującymi rannych. Musieli ponieść duże straty.

Kiedy wylądowali piętnaście minut później w bazie położonej już poza zasięgiem nieprzyjacielskiego ognia moździerzowego, generał z dwiema gwiazdkami na hełmie podbiegł, żeby ich przywitać. Towarzyszyło mu kilku wyższych oficerów. Nerwowe rozmowy przez radio pozwoliły mu upewnić się, że sygnałem wywoławczym osobistego przedstawiciela prezydenta jest rzeczywiście Wicekról i że chociaż oczekiwany jest w Pleiku, mógł zboczyć do Dak To.

- Jak mam się zwracać do tego sukinsyna? - warknął generał Anthony Scarpoli.

- Jak, u diabła, mam prowadzić wojnę, jeżeli mi się tu płaczą cywile?

- Mów do niego panie ambasadorze albo ekscelencjo. MACY zaleca rozdać cywilom broń i posłać ich na pierwszą linię.

- Panie ambasadorze, co za niespodzianka - powiedział generał, ściskając Marshallowi dłoń. - Zdawało mi się, że oczekują pana w Pleiku.

W dali słychać było nieustający ryk artylerii i wybuchy pocisków moździerzowych. Nawet w tej odległości od linii frontu w powietrzu unosiły się chmury dymu.

- W Pleiku nie ma walk - odpowiedział Marshall.

- Bardzo mi miło, że możemy panu dogodzić - stwierdził Scarpoli, wcale nie usiłując ukryć sarkazmu.

Marshall uśmiechnął się.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, panie generale, że na polu walki nie może być nic gorszego niż wizytujący dygnitarz...

- Gorsze mogłoby być więcej oddziałów nieprzyjaciela - powiedział z kamienną twarzą Scarpoli.

- Ja będę tylko obserwować - ciągnął dalej Marshall. - Nie jestem tu po to, żeby oceniać albo ferować wyroki. Prezydent polecił, żebym udał się do Wietnamu i zapoznał go z moimi wrażeniami. Ponieważ dzisiaj tutaj toczą się walki, a nieprzyjaciel rzadko wdaje się w otwartą bitwę, chciałem to zobaczyć.

Generał skinął głową.

- Dokonamy przelotu nad rejonem walk, a oficer z G-3 zapozna pana z sytuacją.

- Dziękuję bardzo, ale nie chciałbym panu przeszkadzać, skoro pan dowodzi bitwą.

- Panie ambasadorze, nawet prezydentowi nie pozwoliłbym przeszkadzać sobie w krytycznej sytuacji i gdyby nagle moja obecność była konieczna lub jeżeli uznałbym, że trzeba wracać, to wrócimy. MACV jasno sprecyzował pańską rangę, ale to jest moje pole bitwy i będzie tak, jak ja zdecyduję.

- W takim razie świetnie się rozumiemy, panie generale. Mam tylko jedną prośbę. Chciałbym, żeby pułkownik Romer nam towarzyszył. Jest moim asystentem do spraw wojskowych.

- Miło pana poznać, panie pułkowniku - powiedział generał, ściskając mu dłoń. Potem zlecił jednemu z oficerów, żeby przygotował nocleg dla grupy.

- Panie ambasadorze... - zaczął Mead.

- Myśli pan, że będę potrzebować ochrony osobistej, panie generale? - zapytał Marshall.

- Kapral Mead martwi się o moje bezpieczeństwo.

- I słusznie, ale nie przypuszczam, żeby był potrzebny w czasie tego lotu,

a poza tym, gdybym miał zabrać jeszcze kogoś z pańskiej ekipy, to potrzebował-

bym *Jumbo Jeta*.

Kiedy tylko Marshall i Romer odlecieli z generałem Scarpolim, Magnuson i Mead wdrapali się do kabiny helikoptera i zasnęli.

Informacja przedstawiona przez G-3 była związła. Dwa tygodnie temu cztery pułki armii północnowietnamskiej, oceniane łącznie na dwanaście do piętnastu tysięcy ludzi, otoczyły miasteczko Dak To. Walki były bardzo zacięte i dopiero teraz szala zaczęła się przechylać na stronę Amerykanów. Wojska północnowietnamskie okopały się na okolicznych wzgórzach i w dobrze przygotowanych bunkrach.

Straty były wysokie po obu stronach. Zginęło siedemdziesięciu pięciu Amerykanów i było prawie czterystu rannych. Straty armii północnowietnamskiej oceniano na trzy razy większe.

Najbardziej zacięte walki toczono o Wzgórze 875, utrzymywane przez Północnych Wietnamczyków. Silne naloty nie skłoniły ich do opuszczenia pozycji, a atak batalionu spadochroniarzy nie powiódł się.

- Załatwimy tych skurwysynów - powiedział Scarpoli - nawet gdybym miał rozgnieść to pieprzone wzgórze na placek.

Z helikoptera Marshall mógł dostrzec rozległe zniszczenia spowodowane przez prawie trzysta lotów bojowych B-52 i dwa tysiące ataków samolotów szturmowych

Intruder, sto pięćdziesiąt tysięcy pocisków artyleryjskich, napalm i defolianty, Okolice przemieniła się w burą pustynię.

Marshall widział wyraźnie pole bitwy. Był to górzysty teren z nieprzyjacielskimi umocnieniami na wierzchołkach wzgórz. Widział Amerykanów rozwijających szyki do ataku.

- Nie mogę zorientować się, co oni chcą zrobić - powiedział Marshall. - Jak pan to wyjaśni, panie generale?

- Wyjaśnić co? Atak północnowietnamski na Dak To? Sukinsyny chcą zdobyć miasto. Pozwoli im to postawić nogę na Płaskowyżu Centralnym.

- Ale przedtem nie próbowali utrzymać żadnego terenu. Takie postępowanie wiązałoby ich siły i zmusiłoby ich do przejścia do obrony. Nie rozumiem tego ataku. Przedtem byli w ofensywie. Defensywa jest sprzeczna ze wszystkim, co do tej pory robili.

Scarpoli coś mruknął.

- Myślę, że spodziewali się zająć Dak To bez większych trudności i nie przewidzieli, że będziemy mogli szybko przerzucić siły. Potrafimy przerzucić pułk w ciągu kilku godzin. Oni potrzebują na to wielu dni, a nawet tygodni. Popelnili błąd w ocenie, a potem nie byli w stanie wycofać się wystarczająco szybko. Patrol czy pluton może szybko się wyślizgnąć, ale piętnaście tysięcy ludzi z całym sprzętem i zaopatrzeniem nie może po prostu zniknąć. Utknęli. Poza tym, podczas gdy żołnierze północnowietnamscy doskonale potrafią walczyć, a ich strategia jest w zasadzie bez zarzutu, popełniają błędy i raczej niechętnie zmieniają pierwotne plany.

- Czy myśli pan, że nieprzyjaciel spieszył sprawę pod Dak To? - zapytał Romer.

- Nie. Nie myślę. To są świetni żołnierze. Moi ludzie też są świetni, a nie mogą wykopać Północnych Wietnamczyków z tego cholernego wzgórze. Ich oficerowie są niezli, a dowodzenie ogólne doskonałe. Przegrają, ale przegrać bitwę to jeszcze nie znaczy spieszyć sprawę. Gdybym to ja przegrał, gdybym nie potrafił ich przepędzić przy użyciu środków, jakie mam do dyspozycji, to by było spieszenie sprawy.

- Czy nie myśli pan, że to jest zamierzony scenariusz? - zapytał Marshall. - Czy nie jest to plan zmierzający do wyciągnięcia nas z rejonów, których bronimy, i zmuszenia nas do prowadzenia walk w miejscach w sumie mało znaczących? Chodzi mi o to, co się stanie, jak już wygramy pod Dak To. Czy wszyscy wracają na poprzednie pozycje, czy też zakładamy tutaj większą bazę i staramy się ją utrzymać?

Scarpoli roześmiał się z uznaniem.

- Studiował pan strategię, panie ambasadorze - pokręcił głową. - Nie potrafię dać odpowiedzi na pańskie pytania. Nikt nie potrafi. Generał Westmoreland ma wyrobioną opinię na temat tego, co zamierza zrobić generał Giap. Inni wyżsi dowódcy nie zgadzają się z generałem Westmorelandem, ale nikt właściwie nie wie, co robi Giap. Wszyscy tylko zgadujemy. Niektórzy nie zgadną. To też jeszcze nie oznacza spieszenia sprawy. Inni odgadną właściwie.

- A jak pan przypuszcza?

- Chce pan, żebym moją karierę uzależnił od zgadywanki? - Generał uśmiechnął się. - A więc

powiem panu, jaka jest moja przemyślana opinia. Aktywność nieprzyjaciela bardzo się nasiliła tutaj i w rejonie I Korpusu. Znosi się na coś poważnego. Con Tien zaatakowano kilka miesięcy temu. Teraz Dak To. W przyszłym miesiącu będzie Khe Sanh, a potem jeszcze coś innego. Czy pan wie dokładnie, gdzie jesteśmy?

Wskazał ręką ku zachodowi.

- Trzydzieści kilometrów w tym kierunku jest Laos, a tam - dodał, wskazując nieco bardziej na południe - Kambodża. To niedaleko. Nieprzyjaciel może znaleźć tam schronienie, może odpoczywać i lizać rany, a zaraz potem może znowu zaatakować. Co my możemy zrobić? Jeśli zbombardujemy Laos i Kambodżę, przeniosą się do Chin.

- Bez większego przekonania odnosi się pan do naszych dalszych działań w Dak To, panie generale - powiedział Marshall.

- Panie ambasadorze, przepędzimy Północnych Wietnamczyków z Dak To za kilka dni. Khe Sanh nie padnie. Oni nas stamtąd nie przepędzą. W ten sposób nie będzie Północnych Wietnamczyków w Dak To, ale my będziemy w Khe Sanh.

Spojrzał na Marshalla z przebiegłą miną i wrzucił ramionami.

Marshall roześmiał się. Tak. Zrozumiał. My, generałowie, możemy wygrywać bitwy. Możemy ich pokonać pod Dak To. Możemy utrzymać Khe Sanh. Ale po co? Co zyskamy? To jest pańska wojna, panie ambasadorze, panie prezydencie. To jest wojna wszystkich cywilów - do wygrania albo do przegrania. My, generałowie, możemy rozgnieść na placek tę górę albo nawet wszystkie góry. Możemy utrzymać to wzgórze albo wszystkie wzgórza, ale to jeszcze nie przyniesie wygranej. Wojna będzie wygrana albo przegrana w Waszyngtonie i w ogóle w Ameryce. Zwycięstwo albo klęska będą wynikiem politycznej decyzji polityków, podjętej zgodnie z ich wyobrażeniami o tym, czego oczekują wyborcy.

Aby upewnić się, czy Marshall zrozumiał, co miał na myśli, Scarpoli dodał:

- Nigdy nie pokonalibyśmy Niemców, gdybyśmy zatrzymali się w Normandii. Wciąż tkwilibyśmy w Normandii, a Hitler siedziałby w Berlinie. Nigdy nie pokonalibyśmy Japońców, gdybyśmy nie zbombardowali Hiroszimy. Wciąż tkwilibyśmy na Iwo Dżimie, a cesarz siedziałby w Tokio.

- Wciąż tam siedzi, generale.

Znowu przebiegły uśmiech pojawił się na twarzy generała, a towarzyszyło mu wzruszenie ramion i rozłożenie rąk.

- To była decyzja polityczna. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Oczywiście. - Marshall spojrział na zniszczone tereny pod nimi i westchnął. - Myślę, że ten rejon był kiedyś zamieszkały. Co się stało z ludźmi?

- Przesiedleni. Władze regionalne i prowincjonalne wyznaczyły im tereny i tam ich przewieźliśmy.

Marshall patrzył na tłące się ruiny. Bitwa o Dak To trwać będzie może jeszcze tydzień, pomyślał. Potem nieprzyjaciel wycofa się, a Amerykanie też odejdą. Ludzie zaczną powracać powoli, ale zniszczenia przetrwają do końca życia tych, którzy jeszcze wczoraj żyli tu w spokoju i zadowoleniu. Może i dwóch generacji nie starczy, by ziemia znów stała się żyzna.

Kiedy wrócili do bazy, Marshall stwierdził, że jego kwatera może nie jest luksusowa, ale też i nie prymitywna. Zjadł na kolację befsztyk, obejrzał film i przespał się w wygodnym łóżku, chociaż sen zakłócał mu ciągły ostrzał pozycji nieprzyjacielskich.

W czasie śniadania Scarpoli powiedział, że dowódca batalionu na Wzgórzu 875 ma zamiar przypuścić natarcie na większą skalę.

- To wcale nie jest związane z pańską wizytą - wyjaśnił Scarpoli. - Ja sam nie zaryzykowałbym takiego przedsięwzięcia pod obserwacją prezydenta, ale to on tam rządzi. Nie mieszam się do działań podejmowanych przez dowódców batalionów, chyba że mam po temu znaczące powody. On uważa, że nieprzyjaciel został wystarczająco zmiekkczony po nocnym ostrzale.

Marshall skinął głową.

- Wyobrażam sobie, że tam nikt nie spał ostatniej nocy. Scarpoli uśmiechnął się z przesadnym współczuciem.

- Mam nadzieję, że pan spał spokojnie.

Romer był w euforii w związku ze zbliżającym się atakiem i szybko postarał się, żeby mogli prowadzić obserwację z mniejszej odległości.

- Nie chcę podchodzić bliżej - powiedział Marshall. - Nie mam zamiaru, a i moja misja też nie przewiduje tego, żebym wdawał się w walkę wręcz z nieprzyjacielem.

Romer nie zgadzał się z argumentacją Marshalla.

- Ma pan okazję zobaczyć nasze oddziały w akcji. Do tej pory widział pan tylko negatywne zjawiska - powiedział, patrząc gniewnie na Magnusona. - To będzie klasyczny atak piechoty przy wsparciu lotniczym przeciwko silnie umocnionemu nieprzyjacielowi. Będzie pan w pancernym wozie piechoty poza zasięgiem ognia, ale na tyle blisko, żeby zobaczyć akcję.

Romer rozgorzał takim zapałem i tak nalegał, że Marshall ustąpił.

- Zabiorę jednak moją ochronę osobistą.

Wkrótce Marshall, Romer i Mead znaleźli się wśród konwoju pojazdów opancerzonych toczącego się po skalistym terenie w stronę Wzgórza 875, w towarzystwie plutonu piechoty, eskortowani dodatkowo przez młodego porucznika, który strasznie się denerwował tym, że ma pod opieką osobistego wysłannika prezydenta.

- Czy nie możemy dotrzeć jeszcze bliżej? - próbował się targować Romer, kiedy porucznik rozmieścił swój oddział na pozycjach obronnych na szczycie wzgórza w pewnej odległości od terenu działań.

- Jeśli podejmiemy jeszcze bliżej, może być niebezpiecznie - powiedział porucznik Gould.

- Ambasador mógłby zostać w Ameryce i zobaczyćby więcej w dzienniku CBS, panie poruczniku - sztychł Romer.

- No, cóż. Moglibyśmy podjechać nieco bliżej, panie pułkowniku.

- Lepiej byłoby, gdyby pan nas zawiózł znacznie bliżej, poruczniku. Chciałbym, żeby ambasador zobaczył walkę. Chciałbym, żeby poczuł zapach krwi żółtków.

Kiedy zmieniali stanowisko, rozpoczął się ostrzał wzgórza.

- Przygotowanie artyleryjskie - powiedział Romer do Marshalla. - Atak rozpocznie się, jak tylko ogień ustanie.

Ciągłym poganianiem Romerowi udało się zmusić porucznika do zajęcia stanowiska na wyżynie sąsiadującej ze Wzgierzem 875. Otwierało się stąd doskonałe

pole do obserwacji, ale pozycja mogła się znaleźć pod ogniem nieprzyjaciela, a nawet mogła zostać zaatakowana.

Zgodnie z przewidywaniami Romera atak rozpoczął się, jak tylko ogień artylerii ustał. Marshall mógł wyraźnie zobaczyć przez lornetkę linię żołnierzy rozwijającą się do ataku.

Ogień nieprzyjacielski stał się miazdzący, kiedy tylko drużyny i poszczególni żołnierze ruszyli w górę stoku. Zobaczył, jak znoszono rannych. Ogień broni maszynowej i artylerii był ogłuszający.

Marshall odwrócił wzrok od wzgórza i obserwował otaczających go ludzi. Tak byli pochłonięci walką, że nawet podświadomie uchylali głowy przed ogniem nieprzyjacielskim skierowanym przeciwko ich towarzyszom. Marshallowi wydawało się, że ma przed oczyma jakiś groteskowy turniej, jakieś mordercze igrzyska starożytne, ale przerażająco rzeczywiste, a on sam obserwuje je z obojętnością, z jaką bogowie obserwowali zmagania pod Troją.

Odwrócił się i ze zdumieniem stwierdził, że Mead siedzi w kucki i obserwuje go, z pozoru zupełnie nie zainteresowany walką toczącą się na sąsiednim wzgórzu i obojętny.

Ich oczy się spotkały. Dyplomata i wojownik starający się jeden drugiego przeniknąć do głębi. Co tamten myśli? Co czuje? Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie. Monarcha i wojownik, berło i miecz oceniające się nawzajem w obliczu krwawych zmagania.

Wtem nad ich głowami przemknęły z rykiem samoloty atakujące wzgórze. Nastąpiła seria niewiarygodnych wybuchów. Nagle zebrani na wzgórzu wydali okrzyk niedowierzania.

Zwolniona zbyt wcześnie dwustupięćdziesięciokilogramowa bomba spadła między atakujące oddziały amerykańskie, nieopodal dowództwa batalionu. Krzyki rannych słychać było nawet z tej odległości.

Gnana przerażeniem grupa żołnierzy północnowietnamskich zbiegła ze szczytu wzgórza po przeciwnym stoku i pędziła w kierunku wzniesienia, gdzie stała garstka obserwatorów.

Romer aż podskoczył.

- To jest nasza szansa! Za mną! - Podbiegł do najbliższych żołnierzy i siłą zmuszał ich do powstania. - To rozkaz! Do ataku!

Poszczególne drużyny oglądały się na swego porucznika, ale Romer podbiegł do Goulda i zaczął popychać go do przodu.

- Rusz tych sukinsynów! Do ataku!

Popychając, a potem ciągnąc za sobą porucznika, zaczął szybko zbiegać ze wzgórza.

Widząc, że dwóch oficerów wybiegło na spotkanie przeciwnika, żołnierze zerwali się i ruszyli za nimi.

Marshall podszedł do szczytu stoku i patrzył w dół. Mead stał koło niego. Jak dwaj bogowie obserwowali szaleństwo rozgrywające się u ich stóp. Żołnierze nieprzyjacielscy, i tak już w panice, zobaczyli Romera i idących do ataku Amerykanów. Zawrócili i zaczęli biec w górę stoku gonieni z furią. Coraz głośniejsz rozlegał się jazgot broni maszynowej.

Nieprzyjaciel uciekał, dopóki nie znalazł kryjówek. Wtedy zaczął odpowiadać ogniem. Atak Romera utknął w miejscu. Teraz Amerykanie szukali kryjówek i obie strony zaczęły się gwałtownie ostrzeliwać.

Marshall obserwował to wszystko przez chwilę, a potem odwrócił się i zaczął oglądać opuszczony wierzchołek wzgórza i pojazd.

- Chryste - powiedział z obrzydzeniem. - Nie umiałbym prowadzić takiego pojazdu. A ty? - zapytał, wskazując na transporter.

Mead pokręcił głową.

- Nie, sir. Wrócą za kilka minut. Przy takim ostrzale szybko zabraknie im amunicji. Po kilku minutach ogień osłabł, a potem słychać było już tylko pojedyncze

strzały. Zobaczyli, że poszczególni żołnierze zaczynają cofać się i wbiegać zygzakami na wzgórze.

- Nie widzę pułkownika Romera - powiedział Marshall.

- Pewnie pobiegł aż na sam wierzchołek - powiedział Mead. - To było bardzo niebezpieczne - dodał krytycznie.

Wreszcie zobaczyli ostatniego wycofującego się żołnierza - Romera biegnącego w ich kierunku.

Kiedy dobiegł na wzgórze, tryskał wprost radością.

- Już prawie mieliśmy tych skurwysynów! Żeby było więcej amunicji, zdobylibyśmy to całe cholerne wzgórze.

Jeszcze przez godzinę przyglądali się bitwie. Atak został powstrzymany i nieprzyjaciel utrzymał wzgórze. Helikoptery ewakuowały rannych.

- Widziałem już dość, panie poruczniku - powiedział Marshall ze smutkiem. - Chciałbym wrócić do bazy.

Tego wieczoru otrzymali informacje o przebiegu bitwy. W wyniku wybuchu przedwcześnie zwolnionej bomby zginęło trzydziestu amerykańskich spadochroniarzy. Wielu z nich zostało przedtem rannych i wycofanych do rejonu nieopodal dowództwa batalionu, gdzie spadła bomba.

Generał Scarpoli nie starał się ukryć rozmiarów klęski.

- To jest najgorsze, co mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć w czasie walk. Marshall odwiedził zdziesiątkowany batalion. Widział pobojuwisko i wiedział, że słowa tu nie wystarczą.

- Mnie też jest przykro - powiedział, kiedy ściskali sobie ręce. - Wyjeżdżam. Nie potrzebuje pan dodatkowych kłopotów w postaci mojej obecności, panie generale.

- Sprawa została całkowicie spieprzona - powiedział Scarpoli, smutno kręcąc głową.

- Obawiam się, panie generale, że sprawa została spieprzona nie tutaj ani na tym się nie skończy.

Na lądowisku Marshall powiedział Magnusonowi, że odlatują. Nie powiedział dokąd-

- Możemy wrócić do Sajgonu na wieczór, sir, jeżeli pan zechce, ale będziemy tam późno.

- Dobrze - powiedział Marshall. - Wracajmy.

Może Lacouture'owi udało się zorganizować spotkanie. Boże, mam nadzieję, pomyślał. Ta wojna musi się skończyć.

XXXX

Magnuson wylądował na lotnisku Tan Son Nhut parę minut przed pierwszą.

- Myślę, że należy się nam wolny dzień - powiedział Marshall, polecając wszystkim, by nie zgłaszali się do pracy dnia następnego.

Mead towarzyszył Marshallowi do willi, a potem wezwał taksówkę. Chciał wrócić do domu, ale bał się, że może nie zastać tam Sung, więc wybierając niepewność postanowił zobaczyć, czy wszystko jest w porządku u Lacouture'a.

Nie miał możliwości przekazać mu wiadomości, że wyjeżdża, a przecież minęło już sześć dni. Wiedział, że Lacouture denerwował się przez cały czas. Nie zostanie na noc, niezależnie od tego, jak bardzo by Lacouture o to prosił. Sprawdzi tylko, czy ten mały Francuz jest bezpieczny i czy ma wiadomości dla Marshalla.

Kiedy wysiadł z taksówki, zauważył, że w domu pali się światło. Podeszedł do drzwi i głośno zapukał.

- To ja, panie La... Bernardzie. Sierżant Mead. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukał znowu.

- Tu kapral Mead, Bernardzie!

Wciąż nie było odpowiedzi. Wziął za klamkę i ku jego zdumieniu **drzwi** otworzyły się, chociaż miały tak wiele zamków. Wsunął głowę do środka.

- Bernardzie! Panie Lacouture!

Wtedy zobaczył w holu rozbitą wazę.

- Jezu - mruknął. Odbezpieczył karabin i wszedł ostrożnie do środka. Wszędzie leżały porozbijane przedmioty. Teraz już wiedział, co znajdzie. Idąc powoli i trzymając przed sobą karabin wszedł do salonu zsypanego rozbitą porcelaną, ceramiką i połamanymi płytami gramofonowymi. Na środku salonu zobaczył Lacouture'a.

Ukląkł przy ciele. Było zimne i sztywne. Lacouture nie żył od kilku dni. Pochylił głowę.

- Jak mi przykro - szepnął.

Widząc, że Lacouture ściska w rękach lalkę, wyobraził sobie jego śmierć. Zobaczył wyraźnie cierpienie i morderstwo z zimną krwią. W oczach stanęły mu łzy.

- Skurwysyn - powiedział do zmarłego. - Dostanę go. Obiecuję ci. Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Była prawie trzecia, kiedy wrócił do domu.

Przez dłuższą chwilę stał na chodniku przed budynkiem. Obawiał się wejść do środka.

Może odeszła, pomyślał. Może Lord ją skrzywdził.

Spojrzał w ciemne okno. Proszę. Proszę, żeby ona tam była. Proszę, żeby się jej nic nie stało.

Kiedy otworzył drzwi, w pokoju było ciemno. Usłyszał jakiś ruch. Podniósł karabin i zapalił światło.

- Nie ruszać się! - krzyknął kierując karabin w stronę, skąd dochodziły odgłosy.

Sung krzyknęła ze strachu i zasłoniła głowę rękami. Mead upuścił karabin i podbiegł do niej.

- Nie chciałem cię przestraszyć. Przepraszam. Wszystko w porządku? Drżała. Osunął się przed nią na kolana.

- Przecież nie zrobiłbym ci krzywdy. Ja tylko... Ja tylko bałem się o ciebie. O Boże! Jak ja się cieszę, że tu jesteś.

Objął ją ramionami i mocno przytulił. Siedziała sztywna i spięta, ale w jego objęciach powoli odprężyła się.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziała cicho.

- Przepraszam.

Wstał i znowu ją przytulił.

- O Jezu! Ale się cieszę, że cię widzę. - Pocałował ją. Nie zareagowała, on jednak wcale się tym nie przejął. - Bałem się, że odejdziesz albo, że coś ci się stanie.

- Powiedziałam ci, że tu będę.

- Tak, ale tak bardzo chciałem, żebyś była, że obawiałem się, że to się nie sprawdzi. Tak przecież jest. Jeżeli czegoś bardzo chcesz, to się nie sprawdza.

Cofnął się o krok.

- Wyglądasz... O Jezu, wyglądasz pięknie. Opuściła głowę.

- Dziękuję.

Znowu podniosła na niego wzrok.

- Ty za to wyglądasz... na zmęczonego.

- Tak - przyznał. - Chyba tak. To był kurewski... Chciałem powiedzieć ciężki dzień. Czy wszystko jest w porządku?

- Tak - powiedziała. - Twoi przyjaciele przynieśli jedzenie i pieniądze. Byli bardzo mili. Mamy dużo różnych rzeczy. Jesteś głodny? Zrobić ci coś do jedzenia?

Pokręcił tylko głową, wciąż pod wrażeniem jej urody i tak szczęśliwy, że czekała na niego.

- Nie. Nie mógłbym nic zjeść. Chryste, jestem skonany!

Nagle poczuł się zupełnie wyczerpany. Opuściły go resztki energii. Z westchnięciem ulgi osunął się na śpiwór.

Zasnął w ciągu sekundy. Zaledwie poczuł, że zzuwa mu buty i zdejmuje ubranie* Nie widział już jej, gdy obserwowała śpiącego z zakłopotaniem, ponieważ nią rozumiała swoich uczuć. Nigdy przedtem nie lubiła żadnego mężczyzny.

Obudził się dopiero po południu. Jęknął i przeciągnął się. Spojrzał na nią przez szerokość pokoju i zauważył swoje starannie złożone ubranie i buty leżące w kącie^ Zorientował się, że jest nagi, i szybko przewrócił się na brzuch, żeby ukryć erekcję.

- Zrobiłam kawy - powiedziała, przynosząc mu kubek.

- Dziękuję.

wypił łyk, ale szybko odstawił kubek.

- Za gorąca? - zapytała z troską.

- Nie.

- Niedobra? Uśmiechnął się.

- Nie pijesz kawy, prawda?

- Wolę herbatę.

Postawił kubek na podłodze.

- Będę musiał nauczyć cię, jak się robi kawę. Ta jest trochę za mocna. Wyciągnął do niej rękę i skłonił, żeby usiadła koło niego na śpiworze. Pozwoliła mu się objąć, ale nie reagowała.

- Tak bardzo cię potrzebuję - powiedział, przyciągając ją bliżej i opierając głowę na jej piersiach. - Boże, jak ja cię potrzebuję. Było tak źle.

Niepewnie podniosła rękę i zaczęła go gładzić po głowie. Spojrzał w górę na jej twarz. Uśmiechnęła się delikatnie. On też się uśmiechnął, a potem objął ją za szyję, pochylił jej głowę i dotknął ustami jej ust. Cofnął się i spojrzał jej w oczy.

- Nie sprawię ci bólu - powiedział.

Skinęła głową i zaczęła powoli rozpinać bluzkę.

Pochylił się i całował jej piersi obejmując ustami sutki, drżąc pod wpływem ich dotyku i ciepła.

Zsunęła spodnie i położyła się spokojnie obok niego. Patrzył przez dłuższą chwilę na jej ciało, nie mogąc zdobyć się na to, by go dotknąć. Bał się, że sprawi jej ból.

Potem powoli wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Oczy miała zamknięte, ale nie zaciśnięte kurczowo ze strachu. Końcami palców dotknął jej szyi, a potem pochylił się, żeby ją pocałować.

Chciał działać powoli i delikatnie. Powstrzymywał się, ale dotyk jej ciała, jej zapach i tak długi czas, jaki upłynął odkąd był z kobietą, oraz siła jego pożądania sprawiły, że nie mógł już się dłużej opanować. Przyciągnął ją do siebie gwałtownie, przytulił mocno, a potem położył się na niej.

Rozłożyła dla niego nogi i wszedł w nią szybko. Była sucha, co spowodowało gwałtowne ukłucie bólu, ale nie odezwała się, kiedy w nią wchodził i poruszał się jeszcze długo po orgazmie. Oczy miał zaciśnięte, a na twarzy wyraz ni to bólu, ni przyjemności. Nie mogła się zorientować.

Wreszcie otworzył oczy i przeżyła wstrząs, widząc kryjącą się w nich niemal zwierzęcą namiętność, ale prawie natychmiast zastąpił ją wyraz zakłopotania i prośba o wybaczenie.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem tak... Tyle czasu upłynęło... Cofnął się i położył obok niej. Leżał przez chwilę spokojnie, ale zaraz jego ręce

zaczęły pieścić jej ciało i przytulił się do niej. Jego usta dotykały jej ucha i drażnił je delikatnie językiem.

Leżała bez ruchu. Pieścił leciutko językiem jej usta, a potem policzki i szyję, delikatnie nagryzając skórę.

Uniósł się na kolana i pochylił nad nią. Całował jej piersi i ssał sutki, łagodnie je pociągając.

Poddawała się wrażeniom z zamkniętymi oczami, starając się wyswobodzić ze wspomnień o wszystkim, co się wcześniej zdarzyło, i pozwalając sobie cieszyć się tym, co jak instynktownie przeczuwała, było możliwe.

Kiedy jego usta zaczęły przesuwać się niżej i dotarły do brzucha, zaczęła się lekko kołysać. Gdy przesunął się jeszcze niżej, rozsunęła nogi i podniosła kolana.

Powoli przesuwał się coraz niżej pieszcząc ją językiem i wreszcie, kiedy wsunął język do środka, wciągnęła gwałtownie oddech, zaskoczona niespodziewaną przyjemnością. Ukrył twarz między jej nogami, a ona chwyciła go za włosy i przytulała do siebie, napierała na niego ciałem.

Odepchnęła wreszcie jego głowę i chwyciła za ramiona wciągając na siebie. Pomogła mu wejść do środka, wydając lekki okrzyk, kiedy się zagłębiał. Wycofał się prawie zupełnie, ale ona wygięła się ku górze szukając go, i wreszcie chwyciła go za biodra, wciągając w siebie, trzymając go mocno i napierając na niego. Trwał przez chwilę bez ruchu, podczas gdy ona dalej napierała na niego, a potem rozpoczął łagodne, głębokie falowanie, coraz szybsze i szybsze, ona zaś drżała w spazmach, aż w końcu ich dzikość wyrównała się. Wreszcie eksplodował w niej powtórnie, a ona zadrżała gwałtownie i obydwójce opadli na śpiwór.

Przez długą chwilę leżeli bez ruchu. W końcu odwrócił się do niej.

- To jest chyba najszczęśliwszy moment w moim życiu - powiedział. Spojrzała na niego, zakłopotana swoimi uczuciami i reakcją. Potem odwróciła

wzrok i zaczęła patrzeć w sufit.

- Jesteś jedyną dobrą rzeczą, jaka mnie spotkała - ciągnął dalej. - Jedyną dobrą rzeczą w całym moim życiu.

- Nie, Roń. To nie może być prawda - powiedziała, odwracając się do niego.

- To prawda. Nie mam nic ani tu, ani gdzie indziej. Ty jesteś jedyna. Dlatego właśnie tak się bałem, że ojedziesz. Nie chciałem cię stracić. Nie zniósłbym tego. Nie po tym wszystkim.

Podparł się na łokciu i patrzył na nią.

- Naprawdę jesteś jedynym dobrym zdarzeniem w moim życiu. - Odetchnął głęboko. - Czy wiesz, co robiłem, odkąd tu przyjechałem? Zabijałem ludzi. Właśnie tak. Zabijałem ludzi.

Zamknęła oczy na dźwięk tych słów i odwróciła głowę, ale zmusił ją, by znowu na niego spojrzeła.

- Jestem zwierzę takie samo jak te skurwysyny, które zabiły twoją rodzinę. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Taki właśnie jestem. Tępe zwierzę, które zabija ludzi. Na tym polegało moje życie tutaj. Nie mogę tego dłużej znieść.

Głos jego nasilał się. Brzmiała w nim gorycz. Jeszcze go takim nie widziała. Wskazał ręką na swoją torbę leżącą w kącie.

- Gdzieś w tej pieprzonej torbie jest medal, który osobiście wręczył mi prezydent Stanów Zjednoczonych. Wysłali mnie ze Strefy Zdemilitaryzowanej do zatoki Cam Ranh. Prezydent popatrzył na mnie obojętnie, uścisnął mi dłoń, a potem wygłosił przemówienie. Wsłuchiwałem się w każde słowo. Same bzdury. On nie wierzył w to, co mówi. Ja nie wierzyłem. Nikt nie wierzył. Żółtki też nie wierzyły. Po co on to mówił? Stałem tam przyprowadzony specjalnie jak jakiś głupi pies, i słuchałem tych bzdur, w które nikt nie wierzył, a potem jak psa odesłano mnie do budy. Dobry Roń. Miły Roń. Hau, hau. Wszystko już widziałem. Przez dziewięć miesięcy w Strefie Zdemilitaryzowanej rozumiałem wszystko. Rozumiałem, czym jestem. Tępym zwierzęciem.

Pojęła jego niezmierny ból.

- Dlaczego tutaj przyjechałeś? - zapytała łagodnie. Zaśmiał się szyderczo.

- Nie miałem innego wyboru. Pochodzę z Arkansas, Sung. Mój ojciec to pieprzony rolnik pracujący na cudzej ziemi. Mieszkaliśmy w chałupie z blaszanym dachem i bez toalety. Jedliśmy jak świnie. Cholera, równie dobrze mogliśmy być żółtkami. Ty prawdopodobnie żyłaś jak królowa w porównaniu ze mną. Mówisz lepiej. Ja ledwo umiem czytać. Jestem tępakiem, Sung. Mówię ci. Znam tylko dwie książki - Biblię i książkę o królu Arturze, którą czytała mi babka. Takie historie o rycerzach, damach, honorze i przygodach. Marzyłem o tym ciągle, kiedy byłem dzieckiem. Miałem w

głowie tylko rycerzy i przygody. Kiedy jednak przyjechałem tutaj, stwierdziłem, że nie ma żadnych rycerzy, tylko tępi żołnierze, a wszystkie damy okazały się kurwami. Król Artur zaś zwykłym dupkiem.

Milczał przez chwilę.

- Mam mnóstwo różnych medali - powiedział cicho. - Dlatego właśnie trafiłem do ambasady. Jestem bohaterem, a w polu bali się mnie. Sami stwierdzili to, o czym już wiedziałem, że nie przeszkadza mi zabijanie. Czasami nawet je lubilem.

Patrzyła uważnie na jego twarz. Nagle zamknął oczy i opuścił głowę. Kiedy znowu je otworzył, zobaczyła w nich łzy.

- Teraz nienawidzę zabijania. Boże, nie chcę być taki. Kiedy tu przyjechałem, byłem zwykłym dzieciakiem. Wierzyłem w różne rzeczy. Teraz już nie jestem dzieckiem i już w nic nie wierzę. To tak jak stwierdzić, że nie ma Boga, że nie ma w kogo wierzyć, tylko w siebie. Myślałem, że wiem, co to znaczy być mężczyzną. Myślałem, że to znaczy być żołnierzem piechoty morskiej, że to znaczy pieprzyć się z dziewczynami. I pieprzyłem się, ale potem przestałem, bo sobie uprzytomniłem, że zwierzę też właśnie tak postępuje.

Przytulił ją do siebie.

- Tak było do tej chwili. To nie było jak zwierzęta. Właśnie dlatego jesteś tym najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Tylko to nie było zwierzęce. Dlatego właśnie nie mógłbym znieść, gdybyś odeszła.

Prawie płakał.

- Widzisz, ja chcę przestać. Chcę się zmienić. Nie chcę już więcej zabijać ludzi, ani ich ranić. Chcę... Chcę kochać. Ty jesteś tą jedyną osobą, którą mogę kochać. Budzę się w środku nocy, bo śni mi się krew. Będę miał koszmary do końca życia. Nigdy się z tym nie pogodzę. Nie chcę być tylko taki. Chcę także, żeby przydarzyło mi się coś dobrego i uczciwego.

Opuścił głowę i odetchnął głęboko.

- Nie chcę umrzeć tutaj, Sung. Chodzi mi o taką śmierć wewnętrzną. Nie pozwól mi, Sung.

Chwycił ją za rękę i zajrzał jej w oczy.

- Chcę, żebyś wyszła za mnie. Zgadzasz się?

- Wyjść za ciebie? - szepnęła, patrząc na niego. Milczała przez dłuższą chwilę, a potem uśmiechnęła się i dotknęła jego twarzy. - Roń, nie możesz ożenić się ze mną. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. - Nigdy nie przypuszczałam, że uda mi się spotkać kogoś takiego jak ty. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem, ale nie możesz się ze mną ożenić. Musisz wrócić do domu, znaleźć śliczną amerykańską dziewczynę i mieć urocze dzieci. Ja... Ja nie mogę wyjść za ciebie. Tu jest mój kraj. Wietnam.

- Bzdura - powiedział. - Nie ma już Wietnamu. Nie chcę ożenić się z nikim innym tylko z tobą. Dlaczego nie miałabyś przyjechać do Ameryki?

Roześmiała się, widząc jego gniew, taki autentyczny, a zarazem całkiem niegroźny. Przecież nigdy by jej nie skrzywdził.

- Ale co ja bym robiła w Ameryce?

- Byłabyś moją żoną.

- A co robi żona?

- Nie wiem. Nigdy nie miałem żony. Myślę, że jest zajęta.

- Och, Roń. To niemożliwe.

- Możliwe, do cholery! Posłuchaj. Ja ci nie opowiadam, co będzie w przyszłości, tylko proszę, żebyś wyszła za mnie.

Odwróciła głowę i patrzyła na blask za oknem. W jej oczach pojawiły się łzy. Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek w życiu będzie szczęśliwa, ale teraz była. Właśnie w tej chwili. To nie ważne, że to co mówił Roń, nigdy się nie sprawdzi, ale w tej chwili przeżywała właśnie to, o czym on mówił - miłość.

- Wiem, że to jest ważna sprawa i że wszystko wyszło tak nagle, ale mówię poważnie. Chciałbym, żebyś o tym pomyślała.

Odwróciła się do niego.

- Tak. Pomyślę o tym.

- Pomyśl o tym poważnie.

- Tak. Poważnie. - Uśmiechnęła się.

Przysunął się do niej przyciskając swoją erekcję do jej uda.

- Teraz, kiedy jesteśmy zaręczeni, kiedy już niedaleko ślub, musimy się lepiej poznać.

Przygniótł ją sobą. Jego usta szukały jej ust, a ona wykręcała się, chichocząc. Trwało te jednak tylko przez chwilę i zaraz sama poszukała jego ust.

XXXI

Mead nie widział Marshalla przez następne trzy dni. Ambasador przebywał bez przerwy na odprawach w sztabie, a potem wracał do willi.

Przez ten czas Mead siedział w biurze albo załatwiał sprawy dla pułkowników Romera i Waggonera.

Pewnego razu, kiedy był sam z Waggonerem, zdenerwowany poruszył sprawę małżeństwa i zapytał, czyjej zgody potrzebuje.

- Ożenić się? - zapytał Waggoner. - Zgoda dowództwa? Nie potrzeba. Kiedy wróćcie do kraju, będziecie się mogli ożenić, z kim zechcecie. Kogo to obchodzi? Jak ma na imię? - zapytał nieco łagodniejszym tonem.

- Sung Le Vinh, sir. I to jest problem, sir. Widzi pan, ona nie jest tam, tylko tutaj.

- Ona jest żółtkiem? Chcesz się ożenić z Wietnamką?

- Tak. To Wietnamką, sir.

- Nie ma siły, kapralu. Niemożliwe. Zapomnijcie o tym.

Mead poszedł do koszar piechoty morskiej i rozpoczął starania drogą służbową.

- Nie próbuj tego numeru ze mną»po raz drugi, Mead - powiedział sierżant Robson Holman. - Przychodzisz do mojego biura po zezwolenie na ślub z żółtą żdziwą? Naćpałeś się?

- Chcę to załatwić formalnie, sierżancie - powiedział spokojnie Mead.

- Nie masz nic lepszego do roboty, na przykład pocałować w dupę ambasadora albo podlizać się panom pułkownikom, zamiast w ten sposób marnować mój czas?

- Proszę o pozwolenie złożenia wniosku na piśmie, panie sierżancie. Holman wyszedł zza biurka i przysunął twarz do twarzy Meada.

- Z pewnością pozwolimy wam złożyć taki wniosek, kapralu. Dostaniecie papier i ołówek, żeby wszystko napisać. Chciałbym ci jednak powiedzieć, pierdolcu, że osobiście dopilnuję, żeby cię załatwiono odmownie. Wiedziałem, że jesteś głupek, ale żeby chcesz ożenić się z żółtkiem, cholera! Właściwie powinienem wyrazić zgodę i pozwolić ci ożenić się z jakąś nędzną kurwą i zabrać ją do Stanów. Znalazłaby tam robotę. Mogłaby chodzić po nabrzeżu w Camp Pendelton z materacem przypasanym do pleców. Troszczę się jednak o twoje interesy, Mead, i mam pewne obowiązki wobec moich ludzi. Nawet wobec takiego ścierwa jak ty. Nigdy nie ożenisz się z żółtkiem.

Holman pokręcił głową z obrzydzeniem.

- Nie lubię cię, Mead. Myślę, że jesteś zasraniec, ale jednak myślałem, że masz więcej rozumu. Co się z tobą dzieje? Nigdy przedtem nie zamoczyłeś knota, a teraz kiedy już to zrobiłeś, chcesz się ożenić z kurwą?

- Ona nie jest kurwą, panie sierżancie.

- Jasne, że nie. Założę się, że jest księżniczką. Gdzie ją spotkałeś? To wszystko będziesz musiał napisać, głupolu. Gdzie nastąpił kontakt?

- W porządku. Spotkałem ją w burdelu, ale...

- Znikaj stąd, Mead.

- Proszę o pozwolenie na rozmowę z dowódcą.

- Jasne, zasrańcu. On już z tobą pogada.

Mead jednak nic nie załatwił z dowódcą. Major był uprzejmy, nieco rozbawiony, ale stanowczy.

- Czy wiecie, ile takich wniosków otrzymuję, kapralu?

- Nie, sir.

- Około trzech miesięcznie. Żołnierz idzie w miasto, podrywa jakąś cipę, która go fascynuje, traci głowę i nagle jest zakochany. Suzy, która została w Zadupiu Górnym gdzieś w Tennessee, nie potrafi brać do buzi i pieprzyć się jak ta, a przecież o to głównie w życiu chodzi, prawda? Żołnierz

postanawia więc ożenić się z tą cudowną maleńką dziewczyną, która po angielsku potrafi powiedzieć tylko „postaw mi drinka” i „masz fajnego kutasa”. Mama w Zadupiu Górnym dostaje ataku serca, kiedy jej słodki chłopczyk, którego posłała do piechoty morskiej, wraca do domu z wymalowaną damą ze wschodu pod parasolką.

Przesunął papiery po biurku w stronę Meada.

- A więc nie, kapralu. Nie wydam zezwolenia ani wam, ani nikomu, kto znajduje się pod moją komendą. Jesteście dorosłym mężczyzną i zgodnie z prawem powinniście mieć możliwość robić to, na co macie ochotę, ale jesteście w obcym kraju, a kobieta, z którą chcecie się ożenić, jest obcą obywatelką. Obowiązują więc was reguły i przepisy Departamentu Stanu oraz polityka Korpusu Piechoty Morskiej. Wszystko to ma za cel ocalić was przed waszym kutasem. Zapomnijcie o tym. Poza tym, kutas żołnierza piechoty morskiej nie może się zakochać. To tylko maszyna do pieprzenia. Zajmijcie się swoimi obowiązkami, kapralu, zapomnijcie

o miłości i moralności. Odmaszerować.

Mead był oszołomiony. Wszyscy traktowali to jak żart. Jego przełożeni mieli w tej sprawie ostatnie słowo. Nie mógł ożenić się bez ich zgody. Nie mógł zabrać Sung ze sobą z powrotem do Ameryki. Nie wziął pod uwagę możliwości odmowy. Znalazienie kogoś, kogo mógł pokochać, kogoś takiego jak, Sung i skłonienie jej, żeby chociaż uśmiechnęła się do niego, żeby chociaż zastanowiła się nad tym, czy wyjdzie za niego za męża, wydawało mu się niemożliwe.

Co teraz zrobi? Był zrozpaczony.

Ci, którzy byli panami jego losu, powiedzieli „nie”. Zasady i przepisy pokonały go. W jego świecie obowiązywało ściśle posłuszeństwo. Nawet mu nie przyszło do głowy pójść po pomoc do ambasadora Marshalla. Marshall był dla niego miły, ale należał do świata prezydentów i generałów. Jego świat był światem potęgi i władzy, myśli i idei, rzeczy wielkich. Mead nie przypuszczał, żeby znalazło się w nim miejsce dla kaprali i ich kobiet albo dla miłości.

Mead nawet nie mógł zdobyć się na opowiedzenie Marshallowi o Lacouturze

1 Lordzie. Opowiedziałby, gdyby Marshall wspomniał o Francuzie, ale Marshall nie nawiązywał do tego tematu. Mead nie rozumiał nic z tego, co się tu działo. To wszystko przekraczało jego zdolność pojmowania.

Tej nocy, cierpiąc z powodu tego, co mu mówili o Sung, i nie mając odwagi spotkać się z nią, poszedł do miasta i upił się.

Marshall kilkakrotnie przesłuchiwał taśmę nadesłaną przez Lacouture'a. Uznał ją za autentyczną, chociaż w głosie Francuza wyczuwał napięcie i odnosił wrażenie, że Lacouture czytał z kartki. Chciał sprawdzić autentyczność wiadomości, ale nie

mógł tego zrobić bez zdekonspirowania spotkania. Nie mógł zatelefonować do Lacouture'a i nie chciał skorzystać z pośrednictwa Meada, ponieważ zbyt rzucił się w oczy. Będzie musiał zaufać wiadomości nagranej na taśmę.

Instynkt ostrzegał go i nakazywał ostrożność. Wielokrotnie poddawał krytyce swoją ocenę sytuacji. Czy go oszukują? Czy nie za bardzo pragnie tego spotkania? Czy może sam się oszukuje?

Wreszcie podjął decyzję. Nic nie ma znaczenia. Musi zaryzykować to spotkanie. To jest najlepsza, a może nawet jedyna szansa zawarcia pokoju. Jakie znaczenie ma wobec tego jego bezpieczeństwo? Czy powinien wahać się, powodowany ostrożnością i strachem?

Będzie polegać na swoim rozeznananiu. Pojedzie na to spotkanie i nikomu o tym nie powie.

W oczekiwaniu na spotkanie przygotowywał swoje sprawozdanie dla Johnsona i chodził na odprawę do MACY.

Poinformowano go, że Dak To jest już bezpieczne. Nieprzyjaciel został pokonany. Stracił przy tym trzystu dwudziestu dwóch ludzi a około tysiąca było rannych. Chociaż Wzgórze 875 nie zostało zdobyte, nieprzyjaciel uciekł przed ciągłym ostrzałem artyleryjskim.

- Dokąd się wycofali? - zapytał Marshall.

MACY uważało, że prawdopodobnie do Khe Sanh, ponieważ wydawało się, że tam właśnie nieprzyjaciel przygotowuje większe uderzenie. Wywiad donosił o nasileniu się ruchu samochodów ciężarowych szlakiem Ho Szi Mina i o koncentracji sił wzdłuż Strefy Zdemilitaryzowanej. Przy tym pojedynczy patrol piechoty morskiej wysłany z placówki pod Khe Sanh doniósł o dużym rejonie koncentracji w samej Strefie Zdemilitaryzowanej. Raport informował również o tym, że jeden z żołnierzy zginął w akcji na patrolu.

Znowu czyjs syn, pomyślał Marshall przeglądając krótki raport. Nawet nie podano nazwiska.

Odnotowano tylko: jeden zabity. Trzymając w ręku kartkę, zastanawiał się przez moment nad tą śmiercią. Kim był ten człowiek? Jakie miał marzenia? Kogo osierocił? Generał Westmoreland kontynuował jednak rozważania na temat Khe Sanh, więc Marshall odłożył raport na bok.

- Khe Sanh będzie stanowić główny sprawdzian - przepowiadał Westmoreland, który miał nadzieję, że tam właśnie zniszczy Giapa. - Gotów jestem zaryzykować moją karierę i oświadczam, że Khe Sanh nie padnie nigdy.

- W takim razie będę tam bezpieczny - powiedział Marshall z uśmiechem. - Zamierzam wkrótce odwiedzić tę bazę.

Generał Abrams pochylił się do Westmorelanda.

- Może powinniśmy zmienić strategię i pozwolić im zdobyć wzgórze - powiedział półgłosem. - Kiedy planuję pan wizytę? - zwrócił się z niewinną miną do Marshalla.

Po odprawie Marshall poprosił Westmorelanda o załatwienie dowództwa batalionu dla pułkownika Romera.

- Zajmę się tym osobiście - powiedział Westmoreland.

Po powrocie do ambasady Marshall zatelefonował do żony i dowiedział się, że Ryan zakończył swoje szkolenie w Siłach Specjalnych i przyjedzie do domu na święta Bożego Narodzenia, a potem zostanie wysłany prosto do Wietnamu.

- Nie możesz go zamknąć w jakiejś komórce? - zapytał.

- Myślałam, że zakończysz tę wojnę.

- Próbuję, na litość boską, ale zamknij go na wszelki wypadek.

- Jestem pewna, że po tym szkoleniu będzie potrafił rozwalić drzwi gołymi rękami, Brad. Potem w szale może zmasakrować nas wszystkich.

- Catherine, dzwonię, żeby ci złożyć najlepsze życzenia świąteczne, a nie żeby wysłuchiwać twoich histerycznych wyskoków.

- Mój syn wyrusza na wojnę w Zielonych Beretach, rozumiesz, Brad! W Zielonych Beretach! Mój syn, który był zropaczony, kiedy zdechły rybki w akwarium, i chował głowę za każdym razem, kiedy pojawiała się Zła Królowa w „Królowie Śnieżce”. Mój syn, Brad! Moje dziecko! Nie obchodź mnie, jaki kretyński kawał szmaty będzie nosić na głowie. Moje dziecko wyrusza na spotkanie ze śmiercią, a ty mówisz, że histeryzuję!

- Mam nadzieję, że będziesz miała miłe święta, Catherine.

- Zamknę go w piwnicy.

- Przywiąż go łańcuchami, Catherine. Użyj tych samych łańcuchów, którymi miałaś przykuć się do bramy Białego Domu. Pamiętasz?

- Brad?

- Tak, Catherine?

- Umrę, jeżeli coś się z nim stanie.

- Ja też, Catherine. Roześmiała się.

- Tak łatwo cię wzruszyć, Brad. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby nieprzyjaciel miał z tobą jakieś kłopoty.

- Nie jest tak diaboliczny jak ty, Catherine. To zwykli mężczyźni.

- W takim razie ja powinnam być tam, a nie ty.

- Zawsze tak twierdziłem. Zadzwoń w święta. Może ktoś odbierze.

- Czekaj cierpliwie. Możemy być w ogrodzie. Będziemy uczyć się walki wręcz od Ryana.

- Do widzenia, Catherine.

- Do widzenia, Brad.

Dobry Boże, pomyślał odkładając słuchawkę. Ryan będzie tutaj za niecały miesiąc. To wszystko nadciągało nieuchronnie jak fatum. Zupełnie jak by to była jakaś grecka tragedia, w której on i Ryan są postaciami. Wszystko z góry zostało przewidziane, zakończenie ustalone, a ich losy od dawna określone. Odgrywali tylko swoje role.

Lord z prawdziwą satysfakcją obserwował, jak Marshall spokojnie rozgrywa swoją grę. Ambasador nie dał nikomu żadnych wskazówek co do swoich planów i zamierzeń. Lord jednak rozgryzł go. Marshall połknął przynętę i pojedzie na spotkanie.

Człowiek mniej pewny siebie lub mniej doświadczony niż on naciskałby mocniej. Lord wiedział, że Gibbon na przykład, gotów by był przykręcić śrubę jeszcze mocniej lub pomachać dodatkową przynętą, ale to tylko odstraszyłoby Marshalla.

Czekanie zawsze okazywało się najtrudniejsze. Cierpliwość była najbardziej męcząca, ale największymi drapieżnikami są nie te zwierzęta, które atakują w biegu, tylko te, które podkradają się do ofiary z największą cierpliwością.

- Ci, którzy stoją i czekają, nie tylko służą, Jeffrey. Oni także żyją dłużej i lepiej się odżywiają.
- Jestem pewien, że Milton myślał dokładnie o tym - powiedział Gibbon.
- Zaskakujesz mnie. Szpieg obeznany z literaturą?

Teraz Lord będzie tylko czekać. Południowowietnamski Wydział Specjalny miał już w na miejscu ludzi wyposażonych w raketę z głowicą termolokacyjną, żeby zestrzelić helikopter Marshalla. Na ziemi pozostaną dowody wskazujące na obecność Wietnamczyków z Północy. Wydział Specjalny miał dług wobec CIA za pomoc w zabiciu braci Diem. Teraz po prostu spłacał go.

Rankiem dwudziestego trzeciego Marshall rozpoczął normalny dzień pracy, ale na krótko przed południem polecił Romerowi, aby powiadomił Magnusona, że ma przygotować helikopter do startu za godzinę.

- Dokąd pan leci, sir?
- Lecę tylko ja, panie pułkowniku.
- Ale czy mogę zapytać dokąd, sir? Ktoś powinien o tym wiedzieć.
- Nie, panie pułkowniku. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Podam porucznikowi Magnusonowi miejsce przeznaczenia już po starcie. Rozkazuję panu zachować milczenie i ścisłą tajemnicę. Nie chcę, żeby ktokolwiek zorientował się, że mnie nie ma.

- Nie uważam, żeby to było rozsądne, sir.
- Może i nie jest, ale takie są moje rozkazy.
- No cóż, sir. Proszę zabrać przynajmniej kaprala Meada na wypadek, gdyby coś się stało.
- Nie będę go potrzebować, panie pułkowniku.
- Jestem pewien, że nie, ale wszyscy wiemy, iż dobrze jest mieć go pod ręką na wszelki wypadek.

- Dobrze. Proszę mu powiedzieć, żeby był gotów do wyjazdu za pół godziny. Romer przeszedł przez korytarz do pokoiku Meada.

- Szykujcie się. Coś się dzieje. Ambasador startuje za kilka minut i nie mówi nikomu, dokąd leci. Wcale mi się to nie podoba. Przygotujcie się na wszystko. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Mead miał tyle tylko czasu, żeby sprawdzić karabin i amunicję, zanim ambasador wyszedł. Ledwie skinął mu głową, a nie przywitał się jak zwykle. Milczał i pogrążony był w głębokiej zadumie w czasie jazdy na Tan Son Nhut.

Lord był już w bazie lotniczej, kiedy Gibbon powiadomił go przez radio, że Marshall wyjechał z ambasady.

Lord wiedział, że od tej chwili powinien pozwolić, by sprawy biegły swoim torem, ale nie mógł oprzeć się chęci stanięcia po raz ostatni oko w oko z Marshall'em. Chciał też, żeby widziano go, jak się sprzeciwia planowanemu lotowi,

i w ten sposób odcina się od tego, co się miało stać. No i przykręcić śrubę do końca, przyglądając się, jak Marshall połyka przynętę.

Na lądowisku Magnuson zsalutował Marshallowi i zameldował, że helikopter jest gotów do startu.

- Dokąd lecimy, sir?
- Powiem, jak będziemy w powietrzu.

Właśnie w tym momencie Lord wjechał na pas startowy i zatrzymał samochód przed helikopterem. Dał znak Magnusonowi, żeby zaczekał, podszedł do drzwi kabiny i odsunął je. Mead podskoczył na jego widok i mocniej ścisnął karabin.

- Panie ambasadorze, chciałbym zaprotestować przeciw temu lotowi. Marshall, oburzony bezceremonialnością tego człowieka, spojrzął na niego zimno.

- To chyba nie pańska sprawa protestować przeciw czemukolwiek, co ja robię, panie Lord.
- Złożyłem formalny sprzeciw wobec tej misji - powiedział arogancko Lord. - Jest niebezpieczna i nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych.

- Kim pan jest, że mi pan dyktuje, co leży w interesie kraju, a co nie? - warknął Marshall.

Lord uśmiechnął się zadowolony.

- Ten Francuz i Północni Wietnamczycy wystawili pana. To spotkanie, na które pan się udaje, to

tylko sztuczka. Nabrali pana. Zabiją pana. Przyjechałem, żeby temu zapobiec.

- Przyjechał pan, żeby mnie powstrzymać od zawarcia pokoju - odparł Marshall. Pohamował się jednak zaraz, uprzytomniwszy sobie, że dopuścił, by jego gniew się ujawnił. - Przyjąłem pański protest do wiadomości - powiedział krótko. - Jedziemy.

- Jakie spotkanie, sir? - zapytał z niepokojem Mead, siedzący obok Marshalla. - Czy właśnie tam jedziemy? Na to spotkanie, które miał zorganizować pan Lacouture?

- Tak, kapralu - powiedział Marshall, zakłopotany tym, że cały plan został ujawniony. - A teraz do widzenia, panie Lord.

- Nie ma żadnego spotkania, sir - powiedział szybko Mead. - Pan Lacouture nie żyje, sir. On nie zorganizował żadnego spotkania.

- Co? - zapytał Marshall, odwracając się do Meada, nie będąc pewien, czy dobrze słyszy.

- Chciałem panu powiedzieć - zaczął się jąkać Mead - ale pan wcale... to znaczy... myślałem, że pan...

Lord zrozumiał, że przeliczył. Serce mu zamarło. Pogwałcił własną zasadę, by nie działać pod wpływem impulsu. Wiedział, że teraz musi się delikatnie włączyć, żeby przerwać rozmowę, zanim jego rola zostanie ujawniona.

- Oczywiście, że jest spotkanie, kapralu. Lacouture je zorganizował, ale ambasador miał być zabity.

- Ty kłamliwy skurwysynu. To ty zabiłeś Lacouture'a, kiedy byliśmy w Dak To. Marshall był zupełnie dezorientowany. Co tu się dzieje?

- Mam przecież taśmę od Lacouture'a, kapralu. Została doręczona w dniu naszego powrotu. Dolores rozmawiała z nim.

- On już wtedy nie żył. To jest fałszywa taśma. Pan Lord zabił go wcześniej. Lord pokiwał głową z pogardą.

- Co za wspianiałą intrygę uknuł pan, panie ambasadorze, I to jak fachowo! Tajne spotkania, jakieś dziecinne hasła, dziwaczni posłańcy i tępy kapral organizujący prezydenckie negocjacje.

Marshall, wytrącony z równowagi, starał się zrozumieć, co się dzieje. Martwił się, że tak mało pozostało czasu do spotkania i patrzył to na Lorda, to na Meada.

- Panie ambasadorze, ja... powinienem był panu powiedzieć, ale tego wieczoru, kiedy poszedłem do pana Lacouture'a po naszym powrocie z Dak To, on już nie żył, sir. Nie wiedziałem, co mam zrobić i...

Lord wzruszył ramionami.

- Pański ochroniarz dobrze znał pana Lacouture'a, który był komunistycznym agentem, panie ambasadorze. Spędzał z Lacouturem dużo czasu. Byli ze sobą blisko. Lacouture płacił kapralowi Meadowi żeby z nim sypiał. Utrzymywali stosunki homoseksualne.

- To pieprzone kłamstwo! - wrzasnął Mead, zrywając się z miejsca.

- Panie ambasadorze - odezwał się Magnuson przez interkom. - Kapral Mead powiedział mi o nocy, którą spędził z tym Francuzem. On mówi prawdę.

Marshall patrzył to na Meada, to na Lorda. Wiedział, że oczywiście Mead nie kłamie, ale rozumiał także, iż Lord nie chce, żeby to spotkanie się odbyło. Dlaczego więc chce go skłonić, żeby nie jechał? Dlaczego ostrzegał go przed zasadzką, jeżeli ma nie być spotkania? Spojrzał na zegarek. Nie było już czasu. Musi wyruszyć natychmiast albo spóźni się na spotkanie.

- Panie Lord - powiedział, uznając, że może uda mu się uporządkować ten cały zamęt po drodze. - Rezerwuję sobie pańskie usługi w imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ma pan mi towarzyszyć. Proszę zapiąć pas. Startujemy, poruczniku.

Lord jakby zawahał się przez sekundę, ale potem ze spokojem zastosował się do polecenia.

- Dokąd, sir? - zapytał Magnuson, kiedy już byli w powietrzu.

- Hong Ngu przy granicy kambodżańskiej. Współrządne siedem osiem cztery osiem siedem sześć pięć.

Mead odpiął pas i przykucnął przed Marshalllem.

- Przekazałem pańską wiadomość panu Lacouture'owi, sir.

- I zostałem na noc - szydził Lord.

- Tak. I co z tego? - powiedział Mead z furją, a potem odwrócił się do Marshalla i proszącym głosem upominał się o zrozumienie. - Tej nocy, kiedy wróciliśmy z Dak To, pojechałem do niego do domu. Mieszkanie było zdemolowane, a on nie żył. Mówił mi wcześniej, tego wieczoru, kiedy mu

zaniósł wiadomość od pana, że nic z tego nie będzie, bo CIA zabiła żółtka, który działał jako posłaniec, i w związku z tym Północni Wietnamczycy będą się bali uczestniczyć w spotkaniu. Powiedział, że będzie próbował coś zorganizować, ale wątpił, czy mu się to uda. Potem go zabito. Pan Lord go zabił. Zabił także tego żółtka, posłańca.

Lord roześmiał się i wyciągnął nogi przed siebie.

- To jest po prostu groteskowe. Czy wszystkie pańskie misje dyplomatyczne są takie dziwaczne, ekscelencjo?

Marshall nigdy w życiu nie nienawidził nikogo tak, jak w tej chwili nienawidził Lorda. Nie mógł jednak zorientować się, jaką partię Lord rozgrywa.

- To prawda z tym żółtkiem - odezwał się znowu Magnuson przez interkom, - Pomogłem go zabić. Kilka dni przed lotem do Dak To pan Lord kazał mi lecieć nad Morze Południowochińskie i tam go zrzucił. Pracowałem dla CIA w Da Nang> Latałem z nimi. Dlatego wysłano mnie, żebym był pańskim pilotem, sir. Nie wiem, o co w tej chwili chodzi, sir, ale na pańskim miejscu raczej zaufałym kapralowi Meadowi, a nie panu Lordowi.

- Nie lećmy tam, sir - powiedział Mead. - Zawróćmy. j Lord założył przed sobą ręce i uśmiechnął się.

- Właśnie dokładnie o tym mówiłem. Po to przyjechałem na lotnisko. Marshall spojrzął na Meada, potem na Lorda i znowu na Meada.

- Wierzę we wszystko, co mi mówisz, kapralu, ale muszę zaryzykować to spotkanie. Pokój, a nawet najmniejsza szansa osiągnięcia pokoju są ważniejsze niż cokolwiek innego. Poza tym pan Lord jest tak bardzo przeciwny temu spotkaniu, że może rzeczywiście zostało ono zorganizowane.

Mead pokręcił głową.

- To też jego sztuczka, sir. Lecimy prosto w zasadzkę.

- Muszę podjąć to ryzyko - upierał się Marshall. - Jeżeli to jest zasadzka, pan Lord też zginie. Nie ma to jednak znaczenia. Nasze życie też nie ma znaczenia, jeżeli istnieje możliwość osiągnięcia pokoju.

Poklepał przyjaźnie Meada po ramieniu i gestem wskazał mu, by wracał na miejsce.

- Lecimy do wyznaczonego punktu, poruczniku - powiedział Marshall, odwracając się i wyglądając przez okno. Cały wysiłek skupił na tym, żeby zachować spokój i powagę.

Lord rozsiadł się wygodnie i zamknął oczy. Popełnił błąd i teraz za niego zapłaci. Nie powinien był wystawiać na próbę swego szczęścia. Mimo tego jednak wszystko dobrze się skończy. Helikopter zostanie zestrzelony, Marshall będzie zdyskredytowany, a jego misja nie powiedzie się.

Skupił myśli nad sposobem ocalenia się, ale wiedział, że nie ma takiego sposobu bez ocalenia Marshalla i jego misji.

Wiedział, że popełnił głupi błąd. Fatalny błąd, ale jeżeli taka ma być jego cena, zapłaci ją. Był prawie zupełnie zrelaksowany. Śmierć nie była czymś, na co nie był przygotowany. Już wiele razy był gotów na śmierć. Narażał swoje życie od dwudziestu lat i teraz nadszedł jego czas. Nigdy nie miał żadnych złudzeń co do niebezpieczeństw związanych ze swoim zawodem. Wiedział, że prędzej czy później jego szczęście się odwróci.

Siedzący naprzeciw niego Marshall analizował wszystko, co właśnie usłyszał. Najprawdopodobniej nie ma żadnego spotkania. Uznał, że lecą prosto w zasadzkę. Może jest głupi i dał się wrobić Lacouture'owi i Północnym Wietnamczykom albo CIA. Wszystko jedno komu. Może jednak, tylko może, istnieje szansa na zawarcie pokoju. Czy ryzykowałby życie dla takiego celu? Jeżeli miałby poświęcić życie, by zagwarantować bezpieczeństwo innym, czyniłby to bez wahania. Ale nie jest to możliwe. Musiał zaryzykować i prawdopodobnie straci życie na próżno. Gotów był

r

jednak to uczynić dla samej możliwości ocalenia istnień ludzkich, niezależnie od tego, jak niewielka jest ta możliwość.

Spojrzał przez okno na zieloną, rozmazaną ziemię w dole. Może lecę ku śmierci, pomyślał. Kiedyś przed laty, płynąc łodzią desantową - też myślałem, że płynę ku śmierci na Guadalcanal. Wciąż pamiętał, jak bardzo wtedy się bał. Teraz nie bał się wcale.

Mead obserwował obydwu i był zdumiony ich spokojem. Rozumiał, że obaj są gotowi zginąć. Obaj są absolutnie przekonani, że mają rację. Nie byli gotowi na kompromis. Sam jednak nic nie mógł zrobić. Znalazł się w pułapce.

Lecieli przez prawie godzinę w milczeniu. Ani Marshall, ani Lord nie wykazywali nawet

najmniejszych oznak napięcia czy niepokoju.

- Będziemy nad Hong Ngu mniej więcej za dziesięć minut - odezwał się Magnuson.

Lord ziewnął i przeciągnął się. Marshall odwrócił się od okna, czując poruszenie w kabinie.

- Myślałem dzisiaj o Miltonie - powiedział Lord. - Czy pamięta pan lekcję płynącą z „Raju utraconego”?

- Duma, czyż nie tak?

- Właśnie.

- Czy ta sama lekcja spotka nas tutaj? - zapytał Marshall.

Lord uśmiechnął się, ponieważ myślał dokładnie o tym samym. To jego własna дума spowodowała upadek. Gdyby nie jego дума, nie znalazłby się na pokładzie helikoptera.

- Wszystkie dobre nauki są takie banalne, prawda?

- Niech mi pan powie, panie Lord, jaką osobę gra pan w scenariuszu opartym na „Raju utraconym”?

- Ponieważ pan widzi siebie jako sprawiedliwego Boga, ja chyba muszę być Szatanem.

Marshall pokręcił głową i uśmiechnął się leciutko.

- To zbyt zarozumiałe, panie Lord, i zbyt melodramatyczne, co jest zwykłym błędem fanatyków. Obawiam się, że jesteśmy mało znaczącymi aniołami mającymi odegrać drugoplanowe role.

- Pięć minut - powiedział Magnuson przez interkom.

- Musi pan zawrócić, panie poruczniku! - wrzasnął Mead. - Lecimy prosto w zasadzkę.

- Nie przejmuj się, kapralu - powiedział Magnuson spokojnie. - Ja pilotuję tego grata.

Marshall spojrzał na Lorda.

- Mój syn jest w drodze do Wietnamu - powiedział. Lord wytrzymał jego wzrok.

- Mój syn już tu jest - powiedział.

- Och - odezwał się Marshall ze smutkiem. - Jakie to dziwne... ojcowie walczą zamiast synów. - Uśmiechnął się. - Może jednak nie jesteśmy mało znaczącymi aniołami, tylko archaniołami.

- Dwie minuty - powiedział Magnuson.

- Robię to dla mojego syna - powiedział Marshall.

- A ja dla mojego - odparł Lord. - Ta wojna jest słuszna i może być wygrana. Marshall pokręcił głową.

- Jest niesłuszna i nie może być wygrana.

- Minuta.

- Jesteśmy nieprzejednanymi wrogami - powiedział Lord. Marshall skinął głową.

- Walczący archaniołowie, Hektor i Achilles, i tak dalej, i tak dalej. Ma pan rację, panie Lord. To wszystko jest rzeczywiście niezwykle banalne.

- Jezu - odezwał się Mead, przyciskając twarz do szyby.

- Silniejsze przekonania mają nie ci, którzy są gotowi w imię tych przekonań zabijać, ale ci, którzy są gotowi za nie umrzeć - powiedział Lord, poprawiając się w fotelu.

- Właśnie - przyznał Marshall robiąc to samo. - To jest najstarsza lekcja ze wszystkich. Starsza o wieki od Kaina i Abla.

- To ta sama historia - powiedział Lord, wpatrując się w Marshalla. - Duma. Marshall wytrzymał jego spojrzenie.

- Miłość - powiedział z naciskiem.

- Chyba obaj macie gówno zamiast mózgu - powiedział z furią Mead. Marshall uśmiechnął się blade.

- To jest najstarsza historia - powiedział. - Historia samego stworzenia.

- Jesteśmy nad celem - zameldował Magnuson. Nagle Mead coś zobaczył.

- Jezu Chryste! Rakietę! Wystrzelili w nas rakiety!

Magnuson również ją zobaczył. Błysk ognia i chmura dymu na ziemi, a potem smuga pozostawiana przez mknący w górę pocisk.

Wyłączył silnik i równocześnie wduśił przycisk odpalający flarę.

Helikopter runął w dół. Rakietę poszukująca źródła ciepła mignęła koło nich z wyciem i pomknęła za flarą wystrzeloną przez Magnusona. Dogoniła ją w ciągu kilku sekund i wybuchła w ogromnej kuli ognia.

Magnuson natychmiast uruchomił silnik i łopaty wirnika, ustabilizowane auto-rotacją, natychmiast ruszyły. Maszyna zaczęła się wzbijać. Magnuson zawrócił w lewo, wyprowadzając

helikopter poza zasięg ognia.

- Rachunek się wyrównał - powiedział Magnuson spokojnym głosem do Meada. - Widzisz, nie jesteś jedynym cholernym bohaterem na tej pieprzonej wojnie.

- Widzi pan, ekscelencjo - powiedział gładko Lord do Marshalla. - Mówiłem, że lecimy w zasadzkę, którą przygotowali Lacouture i Wietnamczycy z Północy.

- Ty kłamliwy sukinsynie! - wrzasnął Mead. - To ty ją przygotowałeś!

- Ja, kapralu? To przecież ja ostrzegałem ambasadora. To ja przyjechałem na Tan Son Nhut, żeby sprzeciwić się temu lotowi. To ja powtarzałem mu w kółko, że chcą go zabić.

- To nie był nieprzyjaciel. To ty!

- Kapralu - powiedział słodko Lord. - To wszystko jest wymysłem waszego ograniczonego mózdzku i wybujałej wyobraźni. Tego nie można udowodnić. Moje protesty i ostrzeżenia są w aktach w ambasadzie.

- Ty skurwysyński morderco! - krzyknął Mead, rzucając się na Lorda, wbijając mu kolano w żołądek i ściskając dłońmi szyję. - Zabiję cię!

Lord nie mógł się poruszyć i wiedział, że jego kręgi szyjne za chwilę pękną. Spojrzał przerażony na Marshalla, ale ambasador tylko się przyglądał. Mead mocniej zacisnął ręce dławiąc ostatnie iskierki życia.

- Nie - powiedział Marshall w ostatniej chwili. - Nie, kapralu - powtórzył głośniej.

Mead jednak nie puszczał.

- Przestań! - Marshall usłyszał swój krzyk. - Puść go! Mead cofnął się i spojrzał na Marshalla.

- Ten skurwysyn zasłużył na śmierć bardziej niż ktokolwiek inny - powiedział z furią. - Niech pan pozwoli mi go zabić.

Marshall pokręcił głową.

- Wtedy nie będziemy lepsi niż on.

Lord upadł do przodu, oddychając ciężko i trzymając się za żołądek. Po chwili jednak wyprostował się. - Wcale nie jesteście lepsi - powiedział z goryczą.

Marshall odwrócił się do okna i zamknął oczy. Opanowała go rozpacz. Przegrał. Nie uda mu się zakończyć wojny.

Narastał w nim gniew. Otworzył oczy i z wściekłością spojrzał na Lorda.

- Sam powinienem cię zabić.

- Jesteś za słaby - sztychł Lord.

Mead obserwował Marshalla z fascynacją. Zauważył, jak odzyskuje panowanie nad sobą i zmusza się do zachowania spokoju. On sam też przeżywał to wiele razy i dzięki temu właśnie żył. Marshall odetchnął głęboko i usiadł wygodniej.

- Nie, panie Lord. To pan jest słaby. Fanatycy to słabi i zdesperowani ludzie. To, w co pan wierzy, jest złe. To, co pan robi, jest złe. Trzeba skończyć Z zabijaniem i proces ten zacznie się właśnie tutaj. Zdobył pan punkt, panie Lord - ciągnął dalej z zimną determinacją - ale jeszcze nie wygrał pan meczu. Zniszczę pana. Dopilnuję tego.

Odwrócił się do okna. Jego nadzieje rozwiały się. Nie osiągnie sukcesu. Znowu głęboko odetchnął. Spróbuje jeszcze raz.

Była w tym iskierka nadziei. Nie można się poddawać. Trzeba wciąż próbować. Postanowił, że spróbuje.

- Wracamy do Sajgonu - powiedział do Magnusona.

XXXII

Lord patrzył, jak niszczarka pożera jego ostatnie dokumenty. Była czwarta rano. Stał samotnie w korytarzu, sprząając swój gabinet. Za kilka godzin odlatywał do Stanów. Przedtem pocałował leżącego w kołysce syna, nie zatrzymując się przy nim dłużej, zapakował kilka rzeczy i powiadomił Ahne, że wyjeżdża.

- A więc żegnamy się - powiedziała.
- Nie.
- Tym razem nie wrócisz, Wilson. Uśmiechnął się.
- Przecież wyjeżdżam pięć albo sześć razy w miesiącu. Dlaczego myślisz, że tym razem nie wrócę?

- Ponieważ pakujesz rzeczy, których wcześniej nigdy nie zabierałeś. Ubrania można wszędzie kupić - powiedziała, podnosząc żółtą kopertę pełną fotografii. -Przeszłości jednak nie kupisz w żadnym sklepie.

- Och, Ahne - powiedział, przytulając ją.
- Wiem, że nie zrobiłbyś tego, gdybyś nie musiał - powiedziała. - Wiedziałam też, że pewnego dnia to się stanie.

Cofnęła się nieco i spojrzała mu w oczy.

- Damy sobie radę. Nie martw się. Wrócę do mojej rodziny. Opuścił głowę, a potem pokręcił nią przecząco.

- Zapomniałem, jak się płacze - powiedział.

Maszyna wypluła ostatnie strzępki papierów. Szumiała cicho na jałowym biegu, czekając na następną porcję.

Za plecami Lorda otworzyły się drzwi. Podniósł głowę, ale nie odwrócił się. Nikt nigdy nie wchodził do jego gabinetu bez pukania. Przebiegł go dreszcz. Odwrócił się.

We drzwiach stał Gibbon, patrząc na niego wzrokiem kobry.

Żaden z nich nie odzywał się przez prawie minutę.

- I ty, Brutusie - powiedział wreszcie Lord.

Gibbon zamknął drzwi i oparł się o nie z lodowatym wyrazem twarzy.

- Nie, panie Lord. Traktuje mnie pan niesprawiedliwie. Jestem Antoniuszem. Gibbon wyciągnął z marynarki pistolet i trzymał go luźno w ręku.

- Kiedyś powiedział mi pan, że mam prawo odmówić wykonania rozkazu, i że czasami to jest nawet mój obowiązek.

Podszedł do biurka Lorda i położył broń na blacie. Lord wypuścił powoli powietrze z płuc.

- A więc przyszedł rozkaz - powiedział, uśmiechając się słabo. - Stąd płynie kolejna lekcja, Jeffrey. Nie wolno popełniać błędów.

- Tę lekcję już poznałem, panie Lord.

Mina Gibbona nie uległa zmianie. Nie odrywał oczu od Lorda.

- Jestem wobec pana lojalny. To ma dla mnie znaczenie.

- Dla mnie też, Jeff.

- Przykro mi, że to się tak skończyło, panie Lord.

- Co takiego? - powiedział Lord z lekkim szyderstwem w głosie. - Wykształcony, poddający się uczuciom szpieg? Tak nie wolno. Myślę jednak, że to także wiesz.

Pokręcił głową.

- Wiesz, najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że mi się udało. Dobrze przysłużyłem się tym, którzy... - Spojrzał na pistolet. - Osiągnąłem to, czego chcieli.

- Z tego też płynie lekcja, panie Lord.

- Jaka to lekcja?
- Trzeba pamiętać o tym, co splywa w dół. Rzadko to jest lojalność. Przeważnie gówno.
Lord uśmiechnął się.
- Kiedyś o tym wiedziałem. Musiałem zapomnieć. A więc Marshall zadzwonił do Johnsona, Johnson zadzwonił do Langley no i... - skinął głową w stronę pistoletu - wszystko zaczęło splywać w dół i zatrzymało się na tobie.
Gibbon pokręcił głową.
- Nie. Ominęło mnie. Zatrzyma się gdzie indziej, na kimś, kto ma odmienne poczucie lojalności.
- Powinienem być się tego spodziewać, ale szczerze mówiąc nie spodziewałem się.
Lord nagle stał się jakby starszy i po raz pierwszy bezbronny. Jego wyprostowana dotychczas sylwetka przygarbiła się.
- Dałeś mi... odroczenie egzekucji. Krótkie odroczenie. - Westchnął. - Nigdy nie spodziewałem się, że odejdę w ten sposób. Wiem jednak zbyt wiele. Będą się martwić, że mógłbym... ujawnić swoją wiedzę.
Znow się wyprostował.
- Odmowa wykonania tego rozkazu była dobrym posunięciem w twojej karierze, Jeffrey.
Gibbon uśmiechnął się zimno.
- Wiem, ale i tak ktoś wykona tę robotę.
- A ty wyjdiesz z tego bez skazy. Lojalny. Będą d ufać.
- Właśnie.
Lord skinął głową.
- Byłeś dobrym uczniem, Jeffrey. Wyłączył niszczarkę.
- Wszystkie dowody są zniszczone. Zostałem tylko ja, ale też zostanę zniszczony przez... Bombę w samochodzie? Przez zabójcę w ciemnej uliczce? Truciznę? Ciekaw jestem, ile czasu im to zajmie. Przypuszczam, że niewiele.
Gibbon skinął głową.
- Tak przypuszczam. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?
- A zrobiłbyś? - Lord popatrzył mu w oczy.
- Tak. - Gibbon nie odwrócił wzroku. Lord opuścił głowę.
- Dziękuję - rozejrzał się po pokoju. - A więc to wszystko.
- Może Marshall jednak wygrał? - powiedział Gibbon. Lord zastanawiał się przez chwilę.
- Nie - powiedział. - Pozbył się tylko mnie. Kto mnie zastąpi? Ty? Dlaczego nie będzie to zmiana na lepsze?
Oczy Gibbona błysnęły.
- Może jednak to będzie zmiana na lepsze. Lord uśmiechnął się.
- Powiesz mi o tym, kiedy się spotkamy w piekle. Gibbon roześmiał się.
- Czy to tam wszyscy trafimy? Czy tam trafiają szpiedzy?
- Mam nadzieję. Nie chciałbym przebywać przez całą wieczność ze świętymi. A ty? Spojrzał na pistolet leżący na biurku, zimny i ostateczny.
- Nie potrafisz mi powiedzieć, kiedy to może nastąpić?
- Chyba prędzej niż później. Przypuszczam, że bardzo szybko. Przypuszczam, że twoje ostatnie bezpieczne chwile skończą się wraz z opuszczeniem ambasady.
Gibbon wyciągnął rękę i spojrzał Lordowi głęboko w oczy.
- Do widzenia, panie Lord. Wyszedł, zamykając drzwi za sobą.
Lord patrzył przez dłuższą chwilę na pistolet. Wreszcie wyszedł z pokoju i ruszył pustym korytarzem. Minął budkę wartownika z piechoty morskiej i zawahał się, zanim wyszedł na zewnątrz.
Stał długą chwilę u szczytu schodów patrząc w noc. W końcu poddał się bólowi, który kontrolował od tak wielu lat. Jęknął cicho i kulejąc zaczął schodzić po schodach w mrok.
Marshall odczuwał tylko niewielką satysfakcję z powodu nagłego wyjazdu Lorda, ponieważ zdawał sobie sprawę, że Lord zdobył coś więcej niż punkt. Może wygrał nawet cały mecz.
Co przywiezie Johnsonowi z tej misji? Argumenty przeciwko wnioskowi płynącemu z raportu DWWPBP, jakieś osobiste spostrzeżenia i radę, by zakończyć wojnę. Nic nowego. Johnson wysłał go, żeby znalazł drogę wyjścia. Prezydent nie potrzebuje danych ani argumentów. Chce mieć gotowe rozwiązanie, a on, Marshall, takiego rozwiązania nie ma.
Święta Bożego Narodzenia sprawiły, że mógł się oderwać od swoich problemów. Żeby rozerwać

się, chodził na przyjęcia i spotkania, ale potem zamykał się w swoim biurze. Nie mógł pozwolić Lordowi zwyciężyć. Musiał przywieźć Johnsonowi coś istotnego. Jakie miałby prawo moralne żądać od prezydenta ustąpienia, jeżeli sam nie będzie mógł zaproponować sposobu zakończenia wojny?

Zastosował logikę prawniczą i wciąż analizował tę wojnę od nowa, raz z wojskowego, raz z politycznego punktu widzenia, ale ciągle wracał do tego samego punktu. Wojny nie można było wygrać bez drastycznej eskalacji, a to oznaczało zaatakowanie Północy. Johnson będzie musiał się stać albo najeźdźcą, albo gołąbką pokoju. Nie może dalej wlec się tym tunelem, szukając jego wylotu, obciążony rosnącą ilością trumien i prześladowany przez armię kalek, wrogiej młodzieży i narkomanów.

Tego nieprzyjaciela nie można pokonać. Tego sojusznika, którego wspierali, nie można wesprzeć. Prędzej czy później prezydent będzie musiał zawrzeć pokój. Lepiej zrobić to teraz i lepiej będzie, jeżeli to zrobi Johnson, pomyślał Marshall.

Jego plan znalezienia pośrednika zawiódł. Nie miał czasu na szukanie innego. Przez chwilę bawił się myślą czy nie skorzystać z pomocy Teresy Hawthorne lub ojca Dourmanta w poszukiwaniu kontaktu z komunistami. To może jednak narazić ich na niebezpieczeństwo. Chociaż Lord zniknął, wśród pracowników CIA są na pewno inni, którzy podzielają jego poglądy i nie cofną się przed morderstwem dla ich obrony, działając w obronie tych poglądów przekonani, że leży to w narodowym interesie.

Marshall wiedział, że każdy jego krok będzie obserwowany i że potężne grupy, przeciwne jego stanowisku zabezpieczą się przed tym, by nigdy nie nawiązał kontaktu z generałem Khanhem ani z kimkolwiek innym w celu rozpoczęcia negocjacji zmierzających do zakończenia wojny.

Jedyna szansa osiągnięcia pokoju to przekonanie Johnsona, żeby natychmiast rozpoczął negocjacje pokojowe. Marshall czuł, że może mu się to udać, ale tylko wtedy, kiedy trwać będzie pat militarny. Jeżeli Północ zaatakuje i zmusi Johnsona do obrony, prezydent nie zgodzi się na żadne ustępstwa.

Będzie trzeba koniecznie osobiście przedstawić sprawę Johnsonowi, zanim sytuacja militarna się pogorszy.

Jak się spodziewano, warunki zawieszenia broni na okres Bożego Narodzenia i Nowego Roku zostały dotrzymane. Generał Westmoreland był przekonany, że również przestrzegany będzie rozejm na święto Tet. Marshall uznał więc, że ma jeszcze trochę czasu, żeby zakończyć misję w ciągu kilku tygodni, przygotować raport i obejrzeć groby cesarskie w Hue. Obiecał to Lacouture'owi. Tymczasem Ryan przyjedzie do Wietnamu. Będzie mógł się z nim zobaczyć.

Marshall już prawie kończył misję, kiedy otrzymał pilny telefon z Białego Domu.

Gdy zeszedł do centrum łączności, polecił zmniejszyć moc, zanim wszedł do kabiny dźwiękochłonnej.

- Jestem pewien, że tę ostatnią rozmowę słyszano aż w Hanoi - powiedział.

- Bradley! Jesteś tam, Bradley! - ryczał Johnson.

Dobry Boże, pomyślał Marshall. Po co te wszystkie urządzenia techniczne? Johnson mógł wyjść przed Biały Dom, a on przed ambasadę i też by się słyszeli.

- Tak, panie prezydencie. Jestem. Jak się pan ma?

- Źle, Bradley. Bardzo, bardzo źle. Dlaczego do mnie wcale nie dzwoniś, Bradley? - biadolił Johnson. - Czekam i czekam na wiadomości od ciebie, a ty się wcale nie odzywasz. Przecież wiesz, że te telefony są za państwowe pieniądze.

- Nie dzwoniłem, sir, bo niedługo wracam. Zamierzałem spotkać się z panem osobiście.

- Wracasz! - krzyknął Johnson. - Co to znaczy? Nie możesz wrócić! Co teraz? - zastanawiał się Marshall.

- Sir? - udało mu się tylko wydusić z siebie.

- Bradley, to jest Apokalipsa!

- W Waszyngtonie? - zapytał Marshall z niedowierzaniem.

- W Khe Sann! - wrzasnął Johnson.

- W Khe Sanh? - powtórzył Marshall.

- Tam jest koniec świata odległy od ciebie o mały spacerek, a ty o tym nic nie wiesz, Bradley? Co ty tam robisz?

- Panie prezydencie - powiedział spokojnie Marshall. - Myślę, że ktoś przesadził informując pana o sytuacji w Khe Sanh. Nieprzyjaciel przeprowadza koncentrację wzdłuż całej Strefy

Zdemilitaryzowanej, ale nikt tutaj nie przypuszcza nawet, żeby Khe Sanh mogło paść. Generał Westmoreland przerzucił dodatkowe piętnaście tysięcy żołnierzy do I Korpusu. W ten sposób siły nieprzyjacielskie i amerykańskie stały się mniej więcej równe - po czterdzieści tysięcy ludzi.

- A co z tymi oficerami nieprzyjacielskimi przebranymi w mundury piechoty morskiej? Zostali zastrzeleni tuż przy zasiekach. Co oni tam robili? - zapytał prezydent i zaraz tubalnym głosem sam udzielił sobie odpowiedzi. - Prowadzili zwiad! Szykują się do ataku! Powtórzy się Dien Bien Phu. Wiem, że tak będzie!

- Panie prezydencie - powiedział cierpliwie Marshall. - Generał Westmoreland niczego bardziej nie pragnie niż zmasowanego ataku na Khe Sanh. Jest bowiem przekonany, że może utrzymać tę pozycję. Myślę, że Kolegium Szefów Sztabu zgodzi się z tą opinią. Czy nie starali się pana uspokoić?

- Nie. Przyłożą tu trzy razy dziennie. Mówią mi, że wszystko wygląda świetnie. Głaszczą mnie po głowie, jakbym był biednym zbłąkanym psem, którego ma się uspić. Ja jednak widzę, co tam się dzieje. To jest drugie Dien Bien Phu. My tutaj szykujemy się do oblężenia.

- Zdawało mi się, że Północni Wietnamczycy są pod Khe Sanh, a nie w Ogrodzie Różanym Białego Domu.

- Bradley - powiedział Johnson z żalobną nutką w głosie. - Nie śmieję się ze mnie. Decydują się losy mojej prezydentury.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytał Marshall zrezygnowany.

- Jedź tam. Powiedz mi, co się tam dzieje. Nie mogę ufać nikomu prócz ciebie, Bradley. Oni tam są przy zasiekach przebrani w nasze mundury, a Kolegium Szefów Sztabu wmawia mi, że wszystko jest w porządku. Sukinsyny! Boję się przymknąć oczy w nocy nawet na chwilę, bo jeżeli dalej wszystko będzie tak szło, to któregoś dnia obudzę się w łóżku z Ho Szi Minem.

Głos Johnsona przeszedł w szept, jakby zdradzał jakąś tajemnicę.

- Ale to nic. Załatwiłem tych sukinsynów.

- Kogo? - dopytywał się Marshall.

- Kolegium Szefów Sztabu. Kazałem im stwierdzić na piśmie, że Khe Sanh nie padnie. Każdy z generałów ma to podpisać. Jeżeli nawet Khe Sanh padnie, ja ocalę prezydenturę, a oni dadzą dupy.

- Co więcej mogę zrobić? Czy pan chce, żebym też coś podpisał?

- Bradley, nie śmieję się ze mnie. Robię, co mogę. Czy wiesz jaki ciężar na mnie spoczywa? Cały Wolny Świat. Muszę walczyć z ubóstwem, nieszczęściami, chorobami i dyskryminacją. Starzy, chorzy i cierpiący, biedni i głodujący szukają u mnie pomocy. A ja potrzebuję twojej pomocy, Bradley. Jedź do Khe Sanh zamiast mnie. Nie mogę spać, bo martwię się o tę cholerną bazę. Mam niestrawność z powodu tego cholernego wzgórze. Musisz tam pojechać w moim imieniu.

- Panie prezydencie, myślę, że byłbym bardziej pomocny, gdybym wrócił. Już skończyłem tu swoją misję. Mam dla pana konkretne propozycje i sugestie. Wiem, jak pan może się z tego wyplątać, ale muszę porozmawiać z panem osobiście. Istnieje sposób na tę wojnę.

- Wiem, że istnieje! - wrzasnęła Johnson. - Jeżeli Khe Sanh padnie, wojna będzie skończona. Będę pierwszym prezydentem, który poniesie klęskę. Będą się ze mnie wyśmiewać. Będę obrzucany obelgami. Nie zniosę tego.

Nastąpiła absolutna cisza.

Boże, pomyślał Marshall. Czyżby dostał ataku serca?

- Bradley... - Głos prezydenta był zduszony do szeptu i brzmiał, jakby mówiący z trudem podnosił się z podłogi i włókł do fotela. - Nie mogę skupić myśli, kiedy to wciąż wisi nad moją głową. Musisz tam pojechać i opowiedzieć mi, co się tam dzieje. Nic innego nie ma znaczenia. To jest najważniejsza bitwa od czasu Yalley Forge. Lady Bird jest już gotowa do wyjazdu.

Chryste, pomyślał Marshall, kręcąc głową.

- W porządku, panie prezydencie. Pojadę.

- Bradley, nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. To było straszne. Wszyscy mówią tutaj o Khe Sanh. Piszą o tym wszystkie dzienniki i tygodniki. Nie mogę spać po nocach. Snuję się po korytarzach jak duch Lincolna. Widzę tych wszystkich zabitych chłopaków... - Jego głos zwiastował bliskość wybuchu. - Nienawidzę tej pieprzonej wojny.

- Tak, sir. Wiem. Sądzę, że nie powinien pan martwić się zbytnio o Khe Sanh. Myślę, że oceny militarne są zgodne z prawdą. Khe Sanh nie padnie. Pojadę tam jednak dla pana i jeżeli pojawi się

choćby najmniejsza wątpliwość co do tego, czy baza przetrwa, natychmiast się z panem skontaktuję.

- Dziękuję. Potem szybko wracaj. Powiesz mi, jak skończyć tę wojnę. Wysłucham cię, Bradley. Obiecuję, że cię wysłucham.

Połączenie zostało przerwane.

Marshall siedział nieruchomo dobrą minutę. Rozumiał obsesję Johnsona na temat Khe Sanh i wiedział, jak trudno mu jest skupić się na czymkolwiek innym, kiedy oczekuje na tę większą bitwę. Marshall zdał sobie jednak sprawę, że teraz wszystko wymknęło mu się z rąk. Nie jest w stanie przedstawić prezydentowi sprawy przed świętem Tet. Teraz wszystko zależy od nieprzyjaciela.

Wrócił do biura i polecił Romerowi, żeby przygotował wyjazd do Khe Sanh.

Tego ranka, kiedy skończyli się kochać i leżeli spokojnie koło siebie, Sung powiedziała Meadowi, że spóźnił się jej okres.

- Nie chciałam tego przed tobą ukrywać. Musiałam ci od razu powiedzieć.

- Jezu - powiedział, odwracając się do niej, ale uważał, żeby jej nie dotknąć, jakby obawiał się ją uszkodzić. Jego pierwszą reakcją była radość, zaraz potem przyszedł jednak strach i niepokój. Dziecko, pomyślał. Byłby zachwycony mogąc mieć z nią dziecko. On przecież wkrótce wyjedzie. Co ona zrobi sama z dzieckiem w Wietnamie?

- Jezu - powiedział. - Co my zrobimy? Co ty chciałabyś zrobić?

- Myślałam... że będziesz mógł mi pomóc. Czy gniewasz się?

- Czy się gniewam? Nie. Oczywiście, że nie. Chciałbym, żebyśmy mieli dziecko, ale... może byłoby lepiej gdybyśmy go nie mieli.

- Tak - przyznała. - Myślę, że nie byłoby dobrze, gdybyśmy mu dali życie tutaj.

- Ja... Ja się rozejrzę... Dobrze? Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Udał się prosto do Teresy Hawthorne, celowo nie zabierając karabinu, żeby nie przstraszyć kobiet.

Krążył wokół kliniki przez dłuższy czas. Nabral jednak odwagi i wszedł do środka.

Powiedziano mu, że Teresa jest w kuchni.

Kiedy wszedł, zobaczył ją siedzącą przy stole i pijącą herbatę z ojcem Dour-mantem.

- O, kapral Mead - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Miło cię widzieć. Ojciec Dourmant podniósł ręce do góry, jakby się poddawał.

- Jestem nieuzbrojony. Tereso, powiedz mu, że nie mam broni. Mead zaczął się cofać.

- Nie chciałem przeszkadzać. Przepraszam. Nie wiedziałem, że pani jest zajęta. Przyjdę trochę...

- Siadaj - powiedziała. - Tylko pijemy herbatę. Znowu się uśmiechnęła.

- Wyglądasz znacznie lepiej bez karabinu. Prawda, proszę księdza?

- Prawie go nie poznałem - mruknął ksiądz.

- Nie... Przyjdę później. - Mead zaczął się jękać, wciąż się cofając.

- Siadaj - warknął ojciec Dourmant. Mead usiadł.

- Co u ciebie słychać? - zapytała Teresa. - Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. Nie mogę zostać dłużej. Ja...

- Napij się herbaty - powiedział ksiądz kategoriycznym tonem i posunął w jego stronę filiżankę.

Teresa naląła mu herbaty. Mead siedział ze spuszczoną głową. Teresa i ksiądz wymienili uśmiechy.

- Co cię do nas sprowadza?

Wypił łyk, potem drugi, potem jeszcze trochę. Cały czas siedział ze spuszczoną głową. Wreszcie odezwał się, jakby mówił do filiżanki.

- No, cóż... Chodzi o to, że... mam kłopot. Nie chodzi o mnie... Ale ta dziewczyna... Ona...

- Rozumiem - powiedziała Teresa. - Jest w ciąży. Mead zarumienił się.

- Tak jakby...

- Tak jakby? - zapytał ksiądz.

Mead podniósł wreszcie głowę i odetchnął głęboko.

- Chodzi o to, że na razie tylko przypuszcza. Spóźnił się jej okres, no i... -zwiesił głowę nad stołem. - To jest okropne. Nie mogę o tym mówić.

Teresa roześmiała się.

- Ależ, kapralu Mead. Po co to zakłopotanie. - Szerokim gestem wskazała na klinikę. - Tutaj to nic niezwykłego. Co możemy dla ciebie zrobić?

Mead, nieszczęśliwy, podniósł głowę.

- Nie wiem. Widzi pani... Ja... Ja ją kocham. Naprawdę. Chciałbym się z nią ożenić, ale nie mogę. Chodzi o to, że mi nie pozwalają, i dlatego... Nie wiem, co mam robić.

Teresa skinęła głową.

- Więc myślisz o...

Ojciec Dourmant zatkał sobie uszy.

- ...aborcji?

- Chyba tak - powiedział. - Myślę, że nie powinna urodzić dziecka, kiedy będzie sama, a przecież nie pozwolą mi zabrać jej ze sobą do Ameryki. Chciałbym ją zabrać... Ja... Ja naprawdę ją kocham, ale moi przełożeni mówią, że to niemożliwe, bo ona jest Wietnamką.

- Tak - powiedziała Teresa. - Wiem o tym. Oni po prostu nie zgadzają się na takie małżeństwa.

- Dlaczego? - zapytał ojciec Dourmant. - Co to ma wspólnego z narodowością? Myślałem, że tylko nienawiść i zabijanie stanowią część problemu narodowości. Miłość nie ma nic wspólnego z granicami państwowymi, podobnie jak religia, skoro już o tym mówimy.

Teraz Teresa zatkała uszy.

- Nie ma nic wspólnego - powiedział ksiądz. - Nie żyłem tak długo na darmo. A ty, cholerny głupku - zwrócił się do Meada sięgając do kieszeni sutanny, wyciągając kilka paczuszek i rzucając mu je na kolana - używaj ich na przyszłość. Oczywiście oczekuję od ciebie całkowitej wstrzeźliwości, ale w przypadku, gdy już zejdziesz ze ścieżki cnoty, na litość boską, używaj prezerwatyw.

Mead zebrał je z zakłopotaniem i trwał dalej ze schyloną głową, jak skarczone dziecko.

- Dlaczego nie przyślesz jej do mnie? - spytała Teresa. - Porozmawiam z nią. Obydwoje z nią porozmawiamy z ojcem Dourmantem. Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy i że uzyska... pomoc medyczną, jeżeli będzie tego chciała.

Mead wstał.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję. Postaram się, żeby przyszła. Jeżeli chodzi o pieniądze... Załatwię wszystko.

Teresa uśmiechnęła się.

- Na razie bym się o to nie martwiła.

Mead wycofał się, dziękując im przez całą drogę, aż do drzwi. Tego wieczoru powiedział Sung o klinice, zapisał jej adres i nazwisko Teresy Hawthorne.

- Pojadę z tobą, jeżeli będziesz chciała, ale może będziesz wolała pojechać sama. To naprawdę mili ludzie.

- Pojadę - odparła. - Dziękuję.

Potem powiedział jej, że znowu wyjeżdża na kilka dni z ambasadorem.

- Martwię się, że muszę cię tak zostawić, ale... Muszę jechać kiedy mi każą. Zostawię ci dużo pieniędzy i... Dasz sobie radę? Jesteś w ciąży, no i... Może mi się uda z tego wykręcić. Nie powinienem zostawiać cię tak...

Uśmiechnęła się.

- Wszystko będzie w porządku. Będę tu, kiedy wrócisz.

Marshall siedział sam w salonie, trzymając w rękach kieliszek wina. Była prawie dziewiąta. Smutny i przygnębiony, odczuwał po raz pierwszy od dłuższego czasu samotność.

Potrzebował kogoś, komu mógłby się zwierzyć, na kogo mógłby zrzucić swój ciężar i z kim mógłby się podzielić swoim smutkiem, kogoś kto kiwałby głową ze zrozumieniem i współczuciem.

Uśmiechnął się nad swoim litowaniem się nad samym sobą i podniósł do ust kieliszek. Przecież obchodzi go jednak to wszystko! Chciał zakończyć te nieszczęścia i cierpienia bardziej niż kiedykolwiek. Chciał ocalić wszystkich synów. Miał takie wielkie nadzieje, a teraz są one jak wino spływające strużkami po ściankach kieliszka.

Do pokoju wszedł służący i stał w milczeniu przy drzwiach, dopóki Marshall nie podniósł wzroku.

- Przyszła jakaś pani. Nazywa się Teresa Hawthorne. Marshall był zaskoczony. Odstawił kieliszek na stół i wstał.

- Proszę wprowadzić.

Wyglądził ubranie i poprawił krawat.

Służący wprowadził Teresę do pokoju, a potem zamknął za sobą podwójne drzwi. Teresa zatrzymała się zaraz po wejściu do salonu, nieco oszołomiona bogatym wnętrzem.

Marshall podszedł do niej szybko, bardzo szczęśliwy i pełen rozbudzonych nagle oczekiwań.

- Jak miło panią widzieć - powiedział, zatrzymując się przed nią i niepewnie wyciągając rękę na powitanie.

Ujęła jego dłoń. Obydwoje podświadomie odwrócili wzrok, kiedy ich ręce się spotkały. Marshall pierwszy cofnął rękę.

- Cieszę się, że pani przyszła.

- Dziękuję, że pan mnie przyjął. Czy nie przeszkadzam?

- Rozproszyła pani tylko mój smutek. Litowałem się nad sobą. Pani jest aniołem miłosierdzia.

Zarumieniła się, wygładziła sukienkę, ale nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Potem podniosła dłonie do ust, żeby ukryć uśmiech.

Tak głupio zachowywała się przed tą wizytą, pomyślała. Martwiła się o swój wygląd. Przymierzyła wszystkie swoje pięć sukienek. Układała i zmieniała fryzurę. Nawet musnęła różem policzki. Ojciec Dourmant odwiedził ją tuż przed jej wyjazdem z kliniki.

- Chyba jesteś zakochana - powiedział, jak tylko ją zobaczył.

Jej rumieniec był czerwieńszy niż róż, którym zabarwiła policzki.

- To głupie - powiedziała.

- Miłość nigdy nie jest głupia, Tereso - powiedział z uśmiechem. - To jest piękna rzecz. Ludzie tacy jak ty powinni kochać i być kochani.

- Ależ, proszę księdza!

- Dlaczego się do tego nie przyznasz?

- To nie miłość. To tylko takie... przyjemne uczucie.

- Wystarczy.

- Jestem stara - powiedziała. - I niezbyt ładna. Ksiądz roześmiał się.

- To nie ma nic wspólnego z miłością. Jesteś uroczą kobietą, Tereso - dodał z uśmiechem. - Bardziej uroczą niż jakakolwiek kobieta, którą widziałem.

Była bardzo zakłopotana.

- Widzisz - powiedział. - To jest miłość.

- Niech ksiądz przestanie! Teresa opuściła ręce.

- Przyjechałam, bo... Miałam powód. Marshall uśmiechnął się.

- Wolałbym, żeby pani przyjeżdżała odwiedzić mnie bez powodu. - Wskazał jej krzesło i podprowadził do niego. - Czy mogę pani coś zaproponować? Jakiś alkohol? Może kawy? Proszę wybierać.

Zawahała się.

- Może być jakiś alkohol - powiedziała wreszcie.

- Wino?

- Świetnie.

Nalał jej kieliszek, a potem usiadł na krześle naprzeciwko.

- Cieszę się, że pani przyszła. Siedziałem i litowałem się nad sobą. Zupełnie zgłupiałem, a tymczasem pani i ta klinika... Wstyd mi.

Roześmiała się.

- Niech pan nie zaczyna znowu z tą świętością. To niewłaściwe i wprawia mnie w zakłopotanie. Każdy z nas znajduje swoje miejsce w świecie i robi, co może. Ja znalazłam swoje miejsce w Wietnamie i jestem szczęśliwa. I bardzo zajęta.

Uśmiechnęła się wesoło.

- Właśnie dlatego jestem dziś tutaj. Długo nad tym się zastanawiałam, bo to co powiem, to właściwie zdrada czyjegoś zaufania, mimo że nie proszono mnie o zachowanie tajemnicy. Myślę jednak, że powinien się pan o tym dowiedzieć.

- O czym?

- Odwiedził mnie kapral Mead. Marshall roześmiał się.

- Był u pani? Boże, ten chłopak wszędzie się wkręci. Czego chciał od pani?

- Jest zakochany.

- Kapral Mead? Trudno sobie wyobrazić, że żywi on jakieś subtelniejsze uczucia.

- To bardzo miły chłopak. Wiedziałam o tym od początku. Nawet ojciec Dourmant jest tego samego zdania. Zakochał się w Wietnamce, no i ona jest... Jak on to powiedział?... Jakby w ciąży.

- Boże - powiedział Marshall, kręcąc głową. - Skąd on bierze tyle energii.

- Jest młody. Młodzi ludzie mają mnóstwo energii. Marshall westchnął.

- Wierzę pani na słowo. Młodość to dla mnie już zatarte wspomnienia.

- Wcześniej mówił pan coś innego. Sądząc po tych wszystkich pańskich nie-wiernościach, uważam, że zostało panu jeszcze dużo energii...

- Zaczyna pani mówić jak moja żona, a poza tym rozmawialiśmy o kapralu Meadzie.

- Chciałam tylko, żeby pan o tym wiedział. Przyszedł do mnie po pomoc. Powiedziałam mu, żeby przysłał dziewczynę do mnie. Porozmawiamy z nią - ja

 i ojciec Dourmant - i zaopiekujemy się nią możliwie jak najlepiej. On chce się z nią ożenić - powiedziała otwarcie.

- Tak?

- Mówi, że jest zakochany. Wiem, że to wszystko jest skomplikowane, ale może, tylko może, zechce mu pan jakoś pomóc? Przydałaby mu się jakaś ojcowska rada, a pan mógłby tę rolę świetnie odegrać.

- Dziękuję - powiedział niby surowo. - Właśnie o czymś takim marzyłem. Odgrywać rolę ojca wobec dwudziestoletniego chłopaka z przyjaciółką w ciąży. Oczywiście, że z nim porozmawiam - dodał z uśmiechem.

Poczuła się bardzo szczęśliwa.

- Wiedziałam, że zechce pan pomóc. Pan jest taki miły.

Zawstydziała się i spuściła głowę, pochylając się nad kieliszkiem. Wreszcie podniosła wzrok i zobaczyła, że Marshall przygląda się jej uważnie.

- To był właśnie powód mojej wizyty. - Dopila wino i zaczęła wstawać. - Myślę, że powinnam już pójść.

- Nie - powiedział, zrywając się. - Proszę jeszcze zostać. Stali naprzeciw siebie.

- Tereso... - powiedział. Podeszedł do niej. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli. Wreszcie dotknął jej włosów.

- Jesteś piękna - szepnął. Opuściła głowę i uśmiechnęła się.

- Czy to próba uwiedzenia? Pokręcił przecząco głową.

- Z tobą nie wiedziałbym od czego zacząć. Nie żartuj ze mnie, Tereso.

- Nie żartuję. Nikt nigdy mnie nie uwodził. Roześmiał się.

- Mówisz, jakby to było coś niemoralnego. Zastanawiała się.

- Teraz już nawet nie wiem, co jest moralne, a co nie. Może to ja jestem niemoralna.

- Nie - zaoponował. - Ty jesteś ponad tym wszystkim. Jesteś supermoralna. Objął ją delikatnie.

- Kocham cię - powiedział cicho. Opuściła głowę i uśmiechnęła się.

- Ciągle w kimś się zakochujesz.

- Nie - powiedział, głaszcząc jej włosy i wodząc palcami po policzkach. - Jeszcze nigdy nikogo tak nie kochałem.

- A twoja żona? - szepnęła.

- Tak. Kochałem ją. Wciąż ją kocham. Ale - westchnął - tyle się już wydarzyło... Tyle nagromadziło się obciążeń, tyle bólu i ran. Ta miłość ma wiele blizn. Ale to...

Uniósł jej twarz i dotknął ustami jej ust. Był to najdelikatniejszy, najdłuższy pocałunek i kiedy się cofnęli, patrzyli sobie w oczy, jakby szukając głębi, ale tej głębi nie można było zmierzyć.

Wziął ją za rękę i pociągnął delikatnie, wyprowadzając z pokoju. Weszli po schodach na górę.

W sypialni było ciemno. Jedynie z ogrodu wpadał łagodny blask przez otwarte weneckie okno.

Wyszła na balkon. Kwiaty bugenwilli, oleandrów i orchidei zwieszały się nad stawem jak chmurki nad spokojnym morzem, lśniąc w blasku księżyca. Zachłusnęła się tym pięknem.

- Taki powinien być świat - powiedziała.

- Nie - szepnął, stając koło niej i biorąc ją w ramiona. - Świat powinien być taki jak ty.

- To byłby ogromny ciężar, gdyby tak było - powiedziała, zamykając oczy i opierając się o niego.

Czuła się bezpieczna w jego ramionach, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie myślała w tej chwili o żadnych zmartwieniach ani troskach. Nie musiała nikim się opiekować ani nikogo pocieszać. Ta chwila należała tylko do niej i była wspólna.

Było spokojnie i ciepło, cała miłość, jaką kiedykolwiek odczuwała, wezbrała w niej nagle. Przed oczami stanęła jej na moment wizja innego życia, życia wypełnionego miłością, dziećmi i domem, wizja świata, którego nigdy nie doświadczyła, i którego nie zazna nigdy. To jednak nie było ważne. Miała tę swoją chwilę. To było jak oderwanie się od prawdziwego świata, wyzwolenie od smutku i

walki. I nie miało znaczenia, że chwila ta nie będzie trwać długo.

On nie zostawi swojej żony. Ona nie opuści kliniki. Morze, które otworzyło się przed nią, wkrótce zamknie się znowu, ale w tej chwili panował spokój i zadowolenie. To był rzut oka na inny świat, jak to spojrzenie na piękny ogród. To nie był świat rzeczywisty. Wciąż trwała wojna, przynosiła cierpienia i ból. W tej chwili jednak ogród ten był rzeczywisty jak spokojny atol otoczony przerażającym morzem.

Ogród był piękny, ale poza jego murami czyhały wszystkie okropności świata. Mimo to czuła się w nim dobrze, ponieważ rozumiała jego istotę, która nie była tymczasowa, która przetrwa wszystkie chwasty i zarośla, i wszystkie pory roku.

To co miała w sercu, też przetrwa - wiecznie triumfująca istota miłości i piękna.

Jakież to miało znaczenie, że ten ogród kiedyś zginie lub że ta chwila się skończy? W tym momencie trwała, a mężczyzna był miły i dobry. Chwili tej nie mogła przekreślić tylko dlatego, że jest krótkotrwała.

Jej serce było przepelnione szczęściem. Czuła, że żyje i że kocha. Chciała dawać i brać. Wiedziała, że jej horyzonty się rozszerzą i wzbogacą. Odwróciła się do niego.

Stali i patrzyli na ogród, a ich usta prawie się dotykały.

- Nigdy nie kochałem się ze świętą - powiedział. - Jak to się robi? Dotknęła palcem jego ust.

- Delikatnie.

Oparł czoło o jej głowę.

- Ze czcią - szepnął.

Znów się pocałowali - bez pośpiechu i bez pożądania. To było ponad pośpiechem i pożądaniem, ale z poczuciem, że ich dusze zbliżają się i są tak blisko siebie, jak tylko serca i ciała zbliżyć się mogą.

Poprowadził ją do łóżka skąpanego w łagodnym świetle wpadającym z ogrodu.

Rano nie czuli się skrępowani i nie milczeli. Przy śniadaniu rozmawiali i śmiali się, jakby znali się od lat. Dopiero kiedy skończyli śniadanie, zapanowała smutna cisza, bo za drzwiami czekały klinika i wojna.

Odprowadził ją do samochodu, ale ona stwierdziła, że woli wziąć taksówkę.

- Rozumiem - powiedział, pochylił się i pocałował ją w policzek. - Czy muszę ci mówić, ile dla mnie znaczysz? - Pokręcił głową, dając sam sobie odpowiedź. -Do widzenia - powiedział i odprowadził ją do bramy.

Tego popołudnia Marshall znowu zaczął zastanawiać się nad wyprawą do Khe Sanh. Uważał, że ważniejszy byłby powrót do Waszyngtonu. Jeżeli Wietnamczycy zaatakowaliby w święto Tet, Johnson nie zgodzi się na negocjacje. Wojska nie zostaną wycofane i pokoju nie będzie.

Im więcej myślał o Khe Sanh, tym większego nabierał przekonania, że to tylko straszak mający na celu odwrócenie uwagi od innych rejonów. Jeżeli tak jest rzeczywiście, Johnson pakuje się prosto w pułapkę, a on, Marshall, razem z nim.

Zadzwoił do generała Trana i zapytał, czy nadal uważa, że atak Północnych Wietnamczyków jest bliski.

- Bardziej niż kiedykolwiek. Potwierdzają to przechwycone dokumenty, a ruchy i koncentracja wojsk wskazują z kolei na to, że ataki będą skoordynowane z powstaniem w miastach. Westmoreland ma te dokumenty. Uważa jednak, że zostały podrzucone, by go wprowadzić w błąd. Ja uważam, że zawierają prawdę, ponieważ jednocześnie przerzucana jest żywność, zaopatrzenie i amunicja.

Marshall uzgodnił spotkanie z Westmorelandem na wczesne popołudnie i wyraził swoje zaniepokojenie możliwością ofensywy podczas święta Tet. Westmoreland odrzucił ją, stwierdzając kategorycznie, że nieprzyjaciel nie jest w stanie przeprowadzić potężnych ataków na terenie całego kraju. W wyniku takich ataków poniósłby ogromne straty, na które nie może sobie pozwolić. Główne zagrożenie kierowało się przeciw Khe Sanh, ale Khe Sanh nigdy nie padnie.

- Prezydent się... niepokoi - powiedział Marshall. Westmoreland roześmiał się.

- Jesteśmy w tej sprawie w stałym kontakcie.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedział Marshall. - Starałem się go uspokoić, ale chce, żebym osobiście na to popatrzył. Powiedziałem mu, że nie uważam tego za konieczne, ale nalegał. Bardziej niepokoję się ofensywą w czasie święta Tet.

- Nadmiernie się pan... niepokoi - powiedział Westmoreland.

Rankiem w dniu wyjazdu Marshalla do Khe Sanh patrol z tej bazy zbliżał się do Wzgórza 881 i dostał się pod nieprzyjacielski ogień z broni maszynowej. W ciągu minuty zginęło dwudziestu

żołnierzy. Kiedy już piechota morska zebrała siły i gotowa była do natarcia na wzgórze, dowódca bazy Khe Sanh odwołał atak.

O drugiej po południu przy zasiekach pojawił się północnowietnamski oficer z białą flagą. Oficer ten, w stopniu porucznika, oświadczył, że uciekł od komunistów i przekazuje kompletne plany działań, które wskazują, że duże siły nieprzyjaciela przygotowują się do ataku na Khe Sanh i zajęcia północnych prowincji oraz Hue, dawnej stolicy kraju. Atak miał się rozpocząć wkrótce po północy.

Wiadomość przekazano natychmiast Westmorelandowi, który zaraz skontaktował się z Marshalllem i przekonał go, żeby opóźnił wyjazd.

Tej nocy rozpoczął się ostrzał zewnętrznych placówek pod Khe Sanh. Trzydzieści minut później, gdy tylko ostrzał ustał, trzystu północnowietnamskich żołnierzy

zaatakowało Wzgórze 861, nieco ponad trzy kilometry od głównej bazy. Używając materiałów wybuchowych i pod osłoną ognia z broni maszynowej, przebili się przez zasieki.

Piechota morska przpuściła kontratak i w okopach doszło do walki wręcz, aż wreszcie żołnierze północnowietnamscy wycofali się o piątej rano.

Dwadzieścia minut później grad pocisków spadł na Khe Sanh. Rakieta nieprzyjacielska trafiła w główny magazyn, wysadzając w powietrze tysiąc pięćset ton amunicji, niszcząc helikoptery na lądowisku i rujnując budynki.

Inna rakieta trafiła w skład pojemników z gazem łzawiącym i wkrótce cała baza była spowita jego oparami.

Požary szalały godzinami. Zniszczone zostały duże odcinki pasa startowego. W ciągu kilku pierwszych godzin oblężenia zostało zniszczonych ponad dziewięćdziesiąt procent zapasów amunicji w bazie.

Następnego dnia do bazy dotarło zaledwie piętnaście procent z planowanych dostaw, które miały wynosić sto sześćdziesiąt ton.

Zaledwie po jednym dniu oblężenia sytuacja w Khe Sanh stała się groźna.

Wiedząc, że Johnson będzie szalał, Marshall - nie zważając na niebezpieczeństwo i ostrzeżenia Westmorelanda - zdecydował się polecieć w rejon walk.

Ze względu na odległość Magnuson zabrał ich samolotem do Dong Ha, gdzie mieściło się dowództwo 3. Dywizji Piechoty Morskiej. Tam, po odprawie wyjaśniającej sytuację militarną w północnych rejonach objętych działaniami I Korpusu, Marshall wsiadł do helikoptera, żeby przyjrzeć się z lotu ptaka pozycjom wzdłuż Strefy Zdemilitaryzowanej.

Strefa Zdemilitaryzowana wyglądała jak spalona ziemia. Płaski i piaszczysty teren u wybrzeża morskiego stawał się bardziej skalisty i pofałdowany bliżej granicy Laosu. Wzdłuż Strefy Zdemilitaryzowanej ciągnęła się sieć baz, z których piechota morska prowadziła działalność patrolową, usiłując przerwać infiltrację z Północnego Wietnamu. Bazy rozmieszczone na najwyższych wzgórzach wydały się patrzącemu z góry Marshallowi prymitywnymi fortami ziemnymi, w których oblężeni rozbitkowie trwają niczym na obcej planecie.

Khe Sanh była najdalej wysuniętą na zachód i ostatnią w łańcuchu baz. Tylko kilka kilometrów dzieliło ją od granicy z Laosem. Potężne wzgórze wyrastało z ogołoconej z roślinności równiny, otoczonej jeszcze wyższymi wzgórzami.

Dzień był pochmurny i chłodny, kiedy helikopter Marshalla wylądował. Dowódca bazy, pułkownik Lownds, mężczyzna średniego wzrostu, o kilka lat starszy od Marshalla, w hełmie i w kamizelce przeciwodłamkowej, powitał go krótko, w pośpiechu i zaraz poprowadził do okopu ciągnącego się wzdłuż pasa startowego.

Niewiele sekund później kilka pocisków artyleryjskich przeleciało z wyciem ponad ich głowami i wybuchło poza linią zasieków.

Marshall usłyszał chór przekleństw, a wyjrawszy z okopów zobaczył czerwone majtki powiewające na prowizorycznie ustawionym maszcie.

- Majtki Maggie - wyjaśnił pułkownik Lownds.

- Tak - powiedział Marshall, przypominając sobie chorągiewkę podnoszoną na strzelnicy w przypadku pudła. Tradycyjny i upokarzający znak, który często oglądał w obozach rekruckich przed wielu laty.

- Jak dotąd to najlepszy wynik - powiedział Romer do Lownds. - Jednak można liczyć na piechotę morską, jeżeli chodzi o zdobywanie Oscarów w filmach.

Lownds uśmiechnął się.

- Tak, ale mamy też tutaj wspaniałe role drugoplanowe grane przez Północnych Wietnamczyków. Oceniamy ich ilość na dwadzieścia do czterdziestu tysięcy ludzi. To nie jest zbyt uczciwe, bo jest nas tutaj tylko sześć tysięcy. Ogromna przewaga liczebna.

- Jak często ostrzeliwują bazę? - zapytał Marshall.

- To już ósmy dzień. Jednego dnia wystrzelili pięćdziesiąt pocisków, a następnego pięćset. Średnio kilkaset dziennie. Zobacz pan, jak to wpływa na ludzi, kiedy przejdziemy się po bazie. Można do nich mówić, ale nie jest się pewnym, czy słyszą. Nazywamy to „zatopieni w dali”. Od ośmiu dni codziennie spodziewamy się zmasowanego ataku. Świadomość, że gdzieś tam za linią zasieków kryją się tysiące żołnierzy nieprzyjaciela gotowych do szturmów, szarpie nerwy. Wszyscy czuwają w nocy, bo nieprzyjaciel atakuje tylko nocą. W ciągu dnia, kiedy chcemy sobie pospać, rozpoczyna się ostrzał artyleryjski i raketowy.

- Więc oblężenie przynosi straty.

- Jak każde oblężenie. Piechota morska nie jest na to przygotowana. Jesteśmy siłą ofensywną. Kopanie okopów i budowanie umocnień z worków z piaskiem jako sposób na wojnę, nie jest uznawany przez nasz Korpus. Nienawidzę tego siedzenia na tym cholernym wzgórzu i czekania na tych sukinsynów, żeby zaatakowali, kiedy będą mieli ochotę. Chcę wyjść w pole i ich załatwić.

- Czy baza zostanie zdobyta? - zapytał otwarcie Marshall.

- Panie ambasadorze, każda pozycja może zostać zdobyta, jeżeli nieprzyjaciel gotów jest poświęcić wystarczającą liczbę ludzi. Ja jednak się nie przejmuję. Musieliby rzucić przeciwko nam trzy dywizje. Zostaliby zdziesiątkowani. Żaden dowódca tak by nie postąpił, a szczególnie dla czegoś tak mało znaczącego jak to okropne miejsce.

Marshall rozejrzał się po spustoszonej, tonącej w tumanach pyłu wzgórzu.

- To rzeczywiście okropne miejsce, prawda?

- Istne zadupie, sir, ale jest moje i go nie oddam.

- Czy mogę to przekazać prezydentowi?

Lownds popatrzył na Marshalla i powiedział wprost:

- Tak, sir. Może mu pan to powiedzieć.

- Właściwie to już mu to powiedziałem, ale on jest trochę... Marshall zaczął szukać odpowiedniego słowa, bo „rozhisteryzowany” nie było najlepsze dla opisanie naczelnego wodza oficerowi polowemu dowodzącemu oblężoną pozycją. - Zaniepokojony - powiedział wreszcie Marshall.

- Nie ma tu ani jednego człowieka, który myślałby, że Khe Sanh może zostać zdobyte. Wiem, że wszyscy dokonują porównań z Dien Bien Phu, ale nie ma tu żadnego podobieństwa. Francuzi byli kompletnie odcięci i nie mieli wsparcia powietrznego ani artylerii. My panujemy w powietrzu i mamy potężne wsparcie artyleryjskie. Praktycznie jesteśmy nie do zdobycia, chyba że rzucą wszystko na szalę. Ale to mało prawdopodobne.

- A więc, panie pułkowniku, niech pan pokaże mi to swoje wzgórze nie do zdobycia.

Przez resztę dnia Marshall oglądał bazę i obszedł całą ponad trzykilometrową linię obrony obsadzoną przez dwa bataliony piechoty morskiej, Siły Specjalne i oddziały specjalne Wietnamu Południowego.

Umocnienia obejmowały okopy głębokie na przeszło dwa metry, ciągnące się kilometrami. Khe Sanh wyglądało jak jakieś prymitywne podziemne miasto lub fortyfikacje z pierwszej wojny światowej. Ziemia zorana bombami, ludzie przyszarzali, niebo wiecznie szare od dymu wybuchów i wszędzie worki z piaskiem. Khe Sanh wyglądało jak zrobiona przed pięćdziesięciu laty fotografia z frontu zachodniego.

Rozmawiając z ludźmi Marshall dostrzegł to „zatopienie w dali”. Oczy puste i prawie bez wyrazu, które ożywiały się nagle, by skupić całą uwagę na dalekich pasmach wzgórz, gdzie ukrywa się nieprzyjaciel.

Po wielogodzinnej wędrówce po pozycjach bojowych, po obejrzeniu przygotowań obronnych i pół ostrzału, Marshall zaczął myśleć tak samo jak Westmoreland i Lownds, że Khe Sanh nie zostanie zdobyte. Nieprzyjaciel musiałby atakować pod górę na otwartym terenie, walcząc z nieprzyjacielem w okopach, mającym miażdżącą przewagę powietrzną i wsparcie artyleryjskie.

Westmoreland oczywiście chciałby, żeby armia Północnego Wietnamu zaatakowała, pomyślał Marshall. Byłoby to jednak największe głupstwo, jakie by nieprzyjaciel mógł popełnić, a przecież jak dotąd nieprzyjaciel głupstw nie popełniał.

Po co więc ta potężna koncentracja sił pod Khe Sanh? Cóż innego mogła oznaczać jak nie próbę zmylenia przeciwnika! Czyż nie była to taktyka odwracania uwagi od innych celów?

Lownds uchylił się od odpowiedzi na pytanie Marshalla na ten temat.

- Nie jestem kompetentny, żeby rozważać ogólną strategię armii północnowiet-namskiej. Ja widzę jedynie swój teren operacyjny i wydaje mi się, że nieprzyjaciel poważnie myśli o zdobyciu tego wzgórza.

Tego wieczoru Marshall rozmawiał przez radio z Westmorelandem z podziemnego centrum dowodzenia bazy Khe Sanh.

- Myślę, że sytuacja jest pod kontrolą - powiedział Marshall.

- Czy mogę to przekazać prezydentowi? - zapytał generał.

- Bardzo proszę. To, co się dzieje tutaj, wcale mnie nie martwi. Niepokój budzi możliwość ataków gdzie indziej podczas święta Tet.

- Uważnie śledzimy bieg wydarzeń, panie ambasadorze. Jesteśmy pewni, że ataku nie będzie. Tet to największe święto wietnamskie. Północ zwróciła się z prośbą o zawieszenie broni w tym okresie. Uszanują je.

To powinno zapewnić mu tyle czasu, ile potrzebuje, pomyślał Marshall. Będzie w stanie uspokoić Johnsona w sprawie Khe Sanh i nalegać, żeby negocjował z pozycji siły.

- Czy spodziewa się pan, że Północni Wietnamczycy będą honorować zawieszenie broni w czasie święta Tet?

- W przeszłości honorowali. Dla nas tutaj jednak to będzie normalny dzień. -Lownds uśmiechnął się. - Mógłbym dać ludziom przepustkę na noc, ale nie wiem, dokąd mieliby pójść albo co robić.

- Gdzie jest Wzgórze 742? - zapytał Marshall.

Pytanie nie było przypadkowe. Pytał się Meada o jego dawny oddział, który obiecywał odwiedzić. Mead poinformował go, że pluton zajmuje Wzgórze 742.

- Widać je stąd. Leży nieco dalej niż Wzgórze 861. Ta placówka jest wysunięta najdalej na północ. Tam stacjonuje pluton.

- Dlaczego nie był zaatakowany tej nocy, kiedy prawie zdobyto 861? Przecież jest bardziej odizolowany i ma mniej obrońców.

Lownds wzruszył ramionami.

- Może właśnie z tego powodu. Może chcieli zdobyć większą placówkę. Porucznik Bishop oczywiście powiedziałby, że to dlatego, że nieprzyjaciel nie odważyłby się jego zaatakować. Tam właśnie dowodzi Bishop. To dobry oficer. Oni już tam swoje przeszli i może to prawda, że Wietnamczycy wolą ich zostawić w spokoju. Słyszał pan o złotym Lucky Luke'u?

Marshall pokręcił głową.

- To ulubieniec całego Khe Sanh. To cała historia! Gdzieś poza linią zasieków siedzi wietnamski strzelec wyborowy. Ten mały sukinsyn ma karabin maszynowy kalibru .50 i zwykły karabin i strzela do wszystkiego, co się rusza. Całe szczęście, że ciągle pudłuje, bo inaczej wszyscy bylibyśmy już martwi. Waliliśmy do niego ze wszystkiego, co mamy, z moździerzy, z działka bezodrzutowego, a ostatnio zamówiliśmy nalot napalmem. Nikt by tego nie przeżył. Wszystko tam się gotowało. Cały teren płonął przez dziesięć minut. No i co się stało? Jak tylko dym się rozwiął, Lucky Luke znowu do nas strzelił. Wszyscy wiwatowali. Dosłownie wszyscy. Ja też. Teraz się o niego martwimy. Nie chcielibyśmy, żeby coś mu się stało.

- Jasne, że nie. Mogliby zastąpić go kimś, kto lepiej strzela.

- Taki jest nasz złoty Lucky Luke. Może oni myślą to samo o poruczniku Bishopie i jego ludziach. A tak na marginesie - on też ma na imię Luke.

Następnego popołudnia, po niespokojnym śnie przerywanym pociskami przelatującymi nad bazą, Marshall polecił Magnusonowi, żeby przygotował helikopter do startu. Był spokojny, że Khe Sanh jest bezpieczne, i pewien, że niczego więcej się nie dowie, zostając tu dłużej.

- Zatrzymamy się na Wzgórze 742 - powiedział Marshall Magnusonowi, który wiedział, gdzie znajduje się pluton Bishopa.

- Wrzuciłem do helikoptera sześć kartonów piwa, sir. Studiowaliśmy razem z Bishopem.

- W takim razie będzie to pamiętna wizyta dla ciebie i dla kaprała Meada. Helikopter odleciał po południu z Khe Sanh, nie podając nikomu miejsca przeznaczenia.

Po przelocie nad zewnętrznymi placówkami, dla ostatniego rzutu oka na pozycje obronne,

maszyna Marshalla zaczęła zbliżać się do Wzgórza 742.

- Brawo Jeden, Brawo Jeden - powiedział Magnuson przez radio po włączeniu interkomu, żeby wszyscy mogli słyszeć rozmowę. - Tu Wicekról. Czy mnie słyszysz?

- Wicekról, tu Brawo Jeden Alfa. Słucham.

- To sierżant Brock - powiedział podekscytowany Mead.

Głos Magnusona był jak zwykle znudzony, prawie lekceważący.

- Zrozumiałem, Brawo Jeden Alfa. Wicekról ląduje za jakieś dwie minuty. Nastąpi cisza.

W podziemnym bunkrze na Wzgórzu 742 zaspany Lukę Bishop otworzył jedno oko i zerknął na sierżanta Brocka, który przerzucał papiery, żeby stwierdzić do kogo należał ten sygnał wywoławczy. Nie mógł go znaleźć.

- Kto to, kurwa, jest Wicekról?

Bishop ziewnął i przekręcił się na drugi bok.

- Nie mam pojęcia. To ani kompania, ani batalion, ani pułk, ani dywizja. Pieprzę go.

Brock włączył mikrofon.

- Jaką masz sprawę, Wicekról? Mamy teraz sjęstę. Spływaj, jeżeli to nic ważnego.

- Zrozumiałem, Brawo Jeden. Rozwozimy piwo. Mamy dla was sześć kartonów zimnego piwa.

Czy mamy zajrzeć później?

- Odpowiedź negatywna, Wicekról. Możecie lądować natychmiast.

Brock rzucił mikrofon i wpadł na Bishopa, który właśnie się zerwał ze śpiwora. Obydwaj, tylko w slipkach, przepychali się na schodach prowadzących do wyjścia.

Wszyscy na wzgórzu wysłuchali tej rozmowy na sieci łączności plutonu i wybiegli z bunkrów na powitanie helikoptera, który już zniżał się nad wzgórzem.

XXXIII

Ludzie stojący na wzgórzu odwrócili się plecami, chroniąc twarze przed piaskiem niesionym podmuchem. Kiedy silnik zamilkł, z maszyny wyskoczył podpułkownik Armii w wykrochmalonym mundurze.

- Cholera - mruknął pod nosem sierżant Brock. - Czy zgubił się pan, sir? To jest placówka piechoty morskiej.

- To można zauważyć - odpowiedział Romer. - Armia zazwyczaj chodzi ubrana. Który gołas jest najwyższy stopniem?

Bishop wysunął się do przodu.

- Ja, sir. Porucznik Lukę Bishop. Czy pan jest Wicekról, sir?

- Nie. Wicekról to ambasador Marshall, osobisty przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych - wskazał gestem na Marshalla wysiadającego właśnie z helikoptera. - To jest Wicekról.

Na wzgórzu zapadła kompletna cisza.

Wtedy Magnuson wyskoczył z kabiny i zdjął hełm.

- Hej, Lukę! Jak leci? Ambasador Marshall chciał się dowiedzieć, dlaczego przegrywamy wojnę. Powiedziałem mu, że krótka wizyta tutaj wszystko mu wyjaśni. Cieszę się, że mnie nie rozczarowałeś.

Zwrócił się do Marshalla.

- Czy widział pan, sir, choć raz w życiu taką bandę obdartusów?

Bishop otworzył usta, ale zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się Marshall.

- Właściwie, to jesteśmy tutaj z powodu kaprała Meada. Powiedział, że chce odwiedzić kumpli.

Mead wyskoczył z kabiny, uśmiechając się szeroko.

- O, kurczę! - krzyknął Sutherland. - To jest Mead!

- Przywieźliśmy też trochę piwa - powiedział Marshall. - Przywieźlibyśmy również mundury, gdybyśmy wiedzieli, że ich potrzebujecie.

Bishop rozejrzał się po swoich ludziach. Prawie wszyscy byli w bieliźnie.

- Sir... Mamy mundury... - zaczął się jąkać. - Tylko że w dzień... Jest tak gorąco, więc my...

Marshall podszedł do stojących, przywitał się, a potem zaczął wyjaśniać.

- Panowie, nazywam się Bradley Marshall. Jestem tutaj na prośbę prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale ta konkretna wizyta jest zupełnie nieoficjalna. Proszę spocząć.

Nikt się nie ruszył. Nikt nie miał pojęcia, co należy zrobić. Magnuson zajrzał do maszyny i wyciągnął skrzynkę piwa.

- Odpręż się, Lukę. Wszystko jest w porządku. Chryste, wyglądasz jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy widziałem cię ostatni raz.

Odwrócił się do Meada.

- To było wtedy, kiedy chodził na czworakach po Da Nang. Sam jeden rozpieprzył w drzazgi cały burdel. Lukę, naprawdę wyglądasz okropnie. Musisz chyba zmienić miejsce zamieszkania.

Bishop był zbyt zaskoczony, żeby wykonać najmniejszy ruch. Trzymał piwo w ręku i patrzył na Marshalla.

Marshall wziął puszkę od Magnusona i otworzył ją. Wypił duży łyk, żeby zmniejszyć napięcie, a potem rozejrzał się po wzgórzu.

- Chyba się trochę przejdę - powiedział. - Nieprzyjaciel jest w tamtym kierunku, prawda? - Wskazał w stronę Strefy Zdemilitaryzowanej, a potem ruszył w stronę przeciwną.

- Pójdę z panem, sir - powiedział Romer, chwytając puszkę piwa i biegnąc za nim. Jak tylko się oddalili, wszyscy rzucili się na piwo, a potem zebraли się wokół

Meada.

- Porucznik ma rację - powiedział Mead. - Wyglądacie jak kupa nędznych obdartusów.
- Tak? - Sutherland beknął, dopił jedno piwo i sięgnął po drugie. - Nie jemy normalnego jedzenia i nie mamy dostępu do żadnej cipy. Prowadzimy tu wojnę, nie tak jak ty, biurowy wojak.

- Hej - zawołał Mead. - Kogo my tu widzimy? Widzę Coneya i Frizzella, Martina, Whitleya i Dorlandera. Gdzie jest Landis? A Opieńki? Wyjechali?

Opowiedzieli mu, co się stało z Opieńkiem, Landisem i innymi.

Kiedy żołnierze głośno rozmawiali, Bishop odciągnął Magnusona na stronę.

- Kim on jest, do diabła, i co tu robi?

- Marshall? Przecież ci powiedział.

- Jak długo tu zostanie?

- Nigdy nie wiadomo, co zechce zrobić. Mógłbym ci opowiedzieć historie, w które nigdy byś nie uwierzył. Tak trzęsie ich stołkami... - Roześmiał się. - Zaproś go na nocleg. Pewnie się zgodzi. Będziemy mogli pogadać. Opowiem ci kilka prawdziwych wojennych historii. Jestem pieprzonym bohaterem, Lukę. Może nawet dostanę medal. - Przyłożył rękę do piersi i pokręcił głową. - Człowieku, nie masz pojęcia, przez co przeszedłem. - Przytrzymał się obiema rękami za krocze i uśmiechnął się. - To było piekło, Lukę.

- Nie chcę o tym słuchać, Magnuson. Złap kilka piw, zanim wszystko zniknie, a ja sprawdzę, co się dzieje z ambasadorem. Nie powinien tak chodzić samopas. Co to za pułkownik, który mu towarzyszy?

- To jego asystent. Jeszcze go nie rozgryzłem. Czasami jest w porządku, a czasami sztywniak. Słyszałeś kiedykolwiek o „Wściekłym” Romerze?

- To ten generał z drugiej wojny światowej?

- Tak. To jego syn. Ma właściwe poczucie humoru, ale czasami robi się z niego straszny kutas. Miałem z nim kilka starć. Traktuje to całe wojskowe gówno bardzo poważnie. Marshall trzyma go w ryzach.

- Jak mam do niego mówić? Panie ambasadorze?

- Możesz mówić tak albo ekscelencjo, ale to zbyt oficjalne. Ja do niego mówię „sir” albo „panie Marshair.

- Dobrze. Zaraz wracam. Sierżant Brock się tobą zajmie. Zajmuje się porucznikami już chyba ze sto lat. Hej, sierżancie, opowiedz porucznikowi Magnusonowi kilka swoich historii ze służby w piechocie morskiej. Osobiście zdobył pałace Montezumy i lądował na plażach Trypolisu, Jim. To chodząca historia.

Kiedy Bishop ich dogonił, Marshall i Romer stali na podwyższeniu w okopie i patrzyli na pasmo wzgórz za równiną.

- Tam jest nieprzyjaciel, sir - powiedział Bishop.

- Czy kiedykolwiek tam chodzicie? - zapytał Romer.

- Chodziliśmy. Teraz tam jest zbyt niebezpiecznie. Zbyt łatwo mogliby nas odciąć. Od czasu koncentracji nieprzyjaciela otrzymaliśmy rozkazy, żeby nie oddalać się od zasieków dalej niż na pięćset metrów.

Marshall przyglądał się Bishopowi odpowiadającemu na pytanie Romera. Był tylko niewiele starszy od Ryana. Miał w sobie wciąż tę świeżość i gotowość, których wojna nie zdążyła jeszcze przytłumić. Jego mięśnie były tak napięte, że zdawało się, iż za chwilę skóra mu pęknie. Marshall od razu zauważył jego wyczerpanie i towarzyszące mu stale psychiczne napięcie. Nie dostrzegł jednak ani śladu „zatopienia w dali”.

- Zapytałem pułkownika, dlaczego Wietnamczycy nie próbowali zdobyć waszego wzgórza tej nocy, kiedy zaatakowali Wzgórze 861. Powiedział, że pan uważa, iż nieprzyjaciel nie odważy się was zaatakować. Czy to prawda?

Bishop uśmiechnął się.

- No cóż, sir. Jesteśmy tylko grupą żołnierzy, którzy robią wszystko, żeby ich pozycja nie została zdobyta.

- A dziś w nocy? Czy zaatakują nas? Romer spojrzał uważnie na Marshalla.

- Co znaczy „nas”, sir? Przecież nie może pan zostać tutaj, panie ambasadorze.

- Dlaczego? Czy nie ma dość miejsca? Chyba nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy tutaj zanocowali, panie poruczniku?

- Cóż, sir. Nie mam nic przeciwko temu... Tylko u nas jest dość prymitywnie, sir.

Marshall rozejrzał się, a potem uśmiechnął.

- Lubię... proste warunki. Poza tym, będzie pan miał okazję pogadać z porucznikiem Magnusonem, a kapral Mead odwiedzi swoich przyjaciół. Jestem mu to winien. Właściwie, to jestem to winien i panu, panie poruczniku.

- Mnie? Jakim sposobem?

- Rozumiem, że to pan wysłał kaprala Meada do Sajgonu.

- Tak, sir.

- No właśnie. Przydzielono go jako moją ochronę osobistą. Conajmniej dwukrotnie ocalił mi życie. Przynajmniej o tylu przypadkach wiem.

- Tak, sir. Mnie też ocalił życie.

Bishop zobaczył Frizzella skradającego się przez wzgórze z naręczem puszek piwa.

- Hej, Frizzell! - krzyknął. - Tylko dwa piwa. Ty i tak jesteś zbyt młody, żeby pić cokolwiek. Zalejesz się i spadniesz ze wzgórza. Żółtki nawet nie będą musieli przychodzić po ciebie na górę.

Frizzell upuścił puszkę i pośpiesznie zaczął je zbierać.

- Tak, sir. Chciałem wypić tylko dwie, a resztę schować na później.

- Czy nie przysyłają piwa regularnie? - zapytał Romer. - Słyszałem, że przydział wynosi po dwa piwa na każdego.

- Może i tak jest - przyznał Bishop. - Jeżeli to prawda, są nam winni całe morze piwa. Nigdy nie słyszałem, żeby jednostki połowe dostawały piwo. Myślę, że dotyczy to tylko służb tyłowych.

Marshall skinął głową.

- Zauważyłem, że wojna zupełnie inaczej wygląda w Da Nang, Cam Ranh i Sajgonie. Myślę jednak, że zawsze tak się dzieje. Walczyłem trochę w czasie drugiej wojny światowej i w Korei, zawsze żywiliśmy głęboką pogardę dla służb tyłowych. Tak samo pewnie było pod Troją i pod murami Jerycha.

- Zapytam sierżanta - powiedział Bishop. - On pewnie tam był. Marshall roześmiał się.

- Sierżanci nigdy się nie zmieniają, prawda? To osobny żywioł.

Popatrzył na Bishopa i przypomniał sobie siebie z czasów wojny koreańskiej przed dwudziestu laty. Porucznicy też nie, dodał w duchu.

Zobaczył Frizzella znikającego w bunkrze. Ani szeregowi.

Spojrzał na równinę i nagle ogarnął go smutek. Nic się nie zmienia. Zupełnie nic. A młodzi ludzie wciąż giną.

- Dobrze by było, gdybym skontaktował się z kimś i powiedział, gdzie jestem - zwrócił się do Bishopa.

W bunkrze dowodzenia Bishop powiadomił przez radio dowódcę kompanii, że Wicekról zatrzymuje się u niego. Poprosił o przekazanie wiadomości do batalionu.

Kilka minut później radio zatrzeszczało.

- Brawo Jeden, tu Smok Sześć.

- Jezu, to dowódca pułku. Jeszcze nigdy się do nas nie odezwał - powiedział Brock.

- Smok Sześć, tu Brawo Jeden. Odbiór.

- Rozumiem, że macie gości. Wicekról i tak dalej.

- Potwierdzamy, Smok Sześć.

- Wiecie, kto to jest Wicekról i tak dalej?

- Potwierdzamy, Smok Sześć.

- Dobrze. Czy mogę z nim rozmawiać? Bishop podał mikrofon Marshallowi.

- Halo? - powiedział Marshall, włączając mikrofon.

- Halo po tej stronie też - powiedział lekko Lownds. - To, co mówiłem o bezpieczeństwie i odporności pozycji, dotyczyło moich pozycji, a nie miejsca, gdzie pan się znajduje. Zalecałbym, żeby pan zmienił swoją kwaterę na noc.

- Dziękuję - powiedział Marshall. - Martwi mnie tylko, że jestem zbyt elegancko ubrany. Poza tym czuję się całkiem bezpiecznie.

- Będę musiał przekazać wiadomość do Mike Alpha Charlie Victor. Marshall spojrzał pytająco na Bishopa.

- MACV, sir.

- Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia. Do widzenia. Bishop roześmiał się.

- Boże, generał Westmoreland...

- Zesra się ze strachu - wtrącił sierżant Brock. - Najmocniej przepraszam, sir.
- Generał Westmoreland i ja doskonale się rozumiemy - stwierdził Marshall. - On doskonale wie, że zajmuję wyższe stanowisko niż on.

Rozejrzał się dokoła.

- Co teraz będziemy robić? Napelniać worki piaskiem?
- Właściwie, sir - powiedział Bishop - to nie mamy nic do roboty. Tak tylko siedzimy i czekamy, aż żółtki zdecydują się nas zaatakować. Bronimy się. Oni się wycofują. Wtedy znowu czekamy... - Wzruszył ramionami. - Tak to tutaj wygląda. Przez resztę czasu siedzimy i słuchamy, co truje sierżant Brock.

- A dzisiaj?

- Wszyscy będą chcieli pogadać z Meadem. Chciałbym się dowiedzieć, jak Jim... to znaczy porucznik Magnuson sobie radzi.

- Niech opowie panu o Dolores - powiedział Romer.

- A sierżant może opowie ambasadorowi, jak to było pod murami Jerycha. Nagle przeleciała nad nimi nawała pocisków. Wszyscy skulili się instynktownie, ale salwa była wystrzelona przez stronę amerykańską. Nastąpiła seria wybuchów wśród wzgórz przed nimi. Bishop roześmiał się.

- Tej nocy będziemy chyba w najbezpieczniejszym miejscu w Wietnamie. Boją się, że coś się stanie panu ambasadorowi, więc będą prowadzić stały ostrzał stanowisk nieprzyjaciela. Chyba możemy wziąć wolne na tę noc.

Wyglądało na to, że Bishop ma rację, bo ataki artyleryjskie i lotnicze prowadzono tylko z małymi przerwami.

Marshall nie chciał, żeby czuli się skrępowani jego obecnością. Było mu duszno w bunkrze, więc wychodził często, żeby pospacerować po wzgórzu albo posiedzieć na wzniesieniu i popatrzeć na wzgórze, gdzie czaił się nieprzyjaciel.

Atmosfera na wzgórzu była spartańska, ale oczyszczająca. Położył się na piasku i patrzył w niebo. Już można było dostrzec pierwsze wieczorne gwiazdy. Zamknawszy oczy, wsłuchiwał się w docierające do niego śmiechy i dźwięki z odbiorników tranzystorowych. Wszystko wydawało mu się takie niewinne, ale zaraz znowu rozpoczął się ogień artylerii. Widać było wybuchy pocisków na odległych wzgórzach.

Siedząc tak samotnie pod gwiazdami, myślał o przeszłości, kiedy młody i przerażony tak samo patrzył na niebo nad Pacyfikiem tuż przed lądowaniem na plażach, zastanawiając się, czy zginie i czy ciało jego będzie pływać twarzą do dołu jak tyle innych ciał. A później, drżąc z zimna i kuląc się pod pałatką pod Chosin, patrzył w mrok z pełną świadomością, że zaledwie kilka uderzeń serca dzieli go od pogrążenia się w ostateczną otchłań.

Bishop przyszedł i usiadł przy nim. Wysłuchał już historii Magnusona i wypił znacznie więcej piwa niż przewidziane dwie puszki na osobę.

Siedzieli obok siebie w milczeniu i Marshalla opanowało wrażenie, że siedzi ze sobą znacznie młodszym. Było to niezwykle uczucie, bo wydało mu się, że on sam jest tylko wyblakłym duchem, który przysiadł przy młodszym mężczyźnie, że to Bishop jest istotą pełną życia i energii, ale tylko przez krótki czas, a niedługo i on stanie się duchem, a inny młody mężczyzna usiadzie na tym miejscu, i tak to będzie się powtarzać, wszyscy będą tak siedzieć na tym wzgórzu nad ciemną równiną, niczym armia duchów wojowników.

Przez krótką chwilę zazdrościł Bishopowi. Chciał, żeby to było jego wzgórze i jego ludzie. Chciał znowu być młody i, cholera, znowu zapragnął być wojownikiem. To pragnienie pulsowało w jego krwi i przepajało powietrze, które wdychał. Niewiarygodne, przemożne pragnienie, prymitywne i atawistyczne.

To pulsujące w nim uczucie wywołało dreszcz.

- To beznadziejne - powiedział i roześmiał się głośno.

- Co takiego, sir? - zapytał Bishop z szacunkiem.

Marshall rozłożył ręce gestem obejmującym równinę poniżej. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Myślałem o wojnie, panie poruczniku - powiedział wreszcie.

- Tak, sir?

- To straszna rzecz. Boże, jakie cierpienia i nieszczęścia przynosi... - Przed oczami stanęły mu

zmiażdżone ciała zabitych pod Chosin i napęczniałe ciała zabitych na Guadalcanal.

Bishop przypomniał sobie martwe ciała leżące u jego stóp i oderwaną głowę Millera.

- Tak, sir. To prawda. Marshall odwrócił się do niego.

- Ale najstraszniejszą rzeczą jest to, że... ja uwielbiam i gotów jesteś w każdej chwili wrócić do wojaczki.

Bishop nie spodziewał się tych słów, ale uśmiechnął się.

- To samo powiedział mi sierżant, tylko może nieco innymi słowami. Powiedział coś takiego, że wojna to jak pierwsza żona. Obie mogą sprawić, że ci staje.

Marshall roześmiał się.

- No właśnie. Najczystsza prawda wypowiedziana ustami sierżanta piechoty morskiej. - Pokręcił głową ze smutkiem. - To jest przekleństwo nas wszystkich... i naszych dzieci - dodał z westchnieniem, wstając. - Pójdę może odwiedzić stanowiska. Chciałbym trochę pogadać z ludźmi.

- Będą chyba zbyt skrępowani, żeby panu cokolwiek powiedzieć, sir.

- Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, jak łatwo umiem skłonić ludzi, żeby ze mną zaczęli rozmawiać.

Pierwszy bunkier, do którego podszedł, należał do Frizzella, Coneya i Sutherlanda. Kiedy wsunął głowę do środka, zerwali się nerwowo.

- Czy macie, chłopaki, coś do jedzenia? - zapytał. - Nikt mnie niczym nie poczęstował od czasu, kiedy tu przyjechałem. Umieram z głodu.

- Mamy tylko zwyczajne racje żywnościowe, sir.

- Czy coś z nimi nie tak? To, że smakują jak gówno, to oczywiste. Pytałem, czy coś poza tym nie tak.

Roześmiali się.

- Nie, sir. Poza tym, co pan już wie, są w porządku. Mamy wieprzowinę i wołowinę. Tak przynajmniej jest na nich napisane. Mamy też fasolę z parówkami i szynkę z groszkiem.

- Poproszę wołowinę - powiedział Marshall, wchodząc do bunkra i siadając pod ścianą z worków z piaskiem. Wziął nożyk i ku ich zaskoczeniu zręcznie otworzył puszkę. - To samo jedliśmy w Korei. Szynkę z groszkiem nazywaliśmy „szynką z zajebańcami”. Jak to się teraz nazywa?

- Tak samo, sir - powiedzieli, siadając.

- Właśnie to powiedziałem porucznikowi Bishopowi. Nic się nie zmienia. Wygarniał mięso z puszek do ust. Potem wypił sok.

- Sir, co właściwie robi ambasador? - zapytał Frizzell z wahaniem.

- Jeszcze sam dokładnie nie jestem pewien - odparł Marshall. - Wciąż się nad tym zastanawiam. Dużo trzeba słuchać. Widzicie, prezydent Johnson prosił mnie, żebym tu przyjechał i zobaczył, co się tu naprawdę dzieje. Potem mam wrócić do Waszyngtonu i mu opowiedzieć.

- Pan rzeczywiście zna prezydenta Johnsona, sir? - zapytał Coney.

- Tak. Klnie jeszcze gorzej niż wy. Strasznie chce mi się pić. Macie coś, chłopaki? Frizzell wyciągnął jedną z puszek piwa, które zdobył.

- Proszę, sir.

- Dziękuję. Obiecuję, że zorganizuję dla was jeszcze więcej.

Wkrótce cała trójka rozmawiała z Marshalllem całkiem swobodnie. Po pewnym czasie bunkier wypełnił się innymi żołnierzami, którzy dowiedzieli się, że ambasador w nim jest. Rozmawiali i popijali piwo.

- Niech ktoś pójdzie do porucznika Bishopa i powie mu, że potrzebujemy tu więcej piwa. Przywiozłem sześć kartonów, czyli sto czterdzieści cztery puszki. Wypada po pięć puszek na osobę. Nikt się tym nie zaleje, a ja chcę dostać swoją porcję.

Marshall rozejrzył się po zatłoczonym bunkrze.

- Co wy normalnie robicie, żeby zabić czas? Gracie w karty? Rozległ się okrzyk zadowolenia i pojawiły się talie kart.

- Jakie są stawki? - zapytał.

- Nie możemy ograbić pana z pieniędzy, sir.

- Oho, jesteście zawodowcami? Jednak zaryzykuję.

Usiedli dużym kołem i prowadzili grę na zmianę, a Marshall rozmawiał z nimi o ich wrażeniach i niepokojach, słuchał o ich problemach i troskach, i powoli wygrywał od nich pieniądze.

W Wietnamie było dużo narkotyków, ale nie na froncie. Każdy, kto ćpałby, zostałby

prawdopodobnie zabity przez innych za to, że naraża ich życie.

Były też problemy rasowe, ale nie na froncie.

- Tutaj, na wzgórzu, mogę nazywać Williamsa Czarnuchem - powiedział Sut-herland. - On może mnie nazywać białym śmieciem i wszystko jest w porządku, ponieważ mamy ważniejsze sprawy na głowie, na przykład to, że żółtki rozpieprzą nas na kawałki. Na tyłach będziemy okazywać sobie szacunek, bo inaczej zaraz wzięlibyśmy się za łby.

W czasie gry Marshall czuł, że kilku żołnierzy uważnie mu się przypatruje. Nie było w ich wzroku wrogości, ale spojrzenia wydawały się badawcze, jak gdyby to on znał wszystkie odpowiedzi na nurtujące ich wątpliwości i problemy. Obawiał się, że wkrótce ktoś zada mu pytanie, na które nie było odpowiedzi: - „Dlaczego?”

Pierwszym, który to zrobił, był Martin. Swoje pieniądze przegrał już chyba godzinę wcześniej i od tego czasu wpatrywał się w Marshalla, nie zmieniał wyrazu twarzy, nawet kiedy Marshall spoglądał na niego i uśmiechał się.

Grali prawie do jedenastej wieczorem, póki Sutherland, ostatni, który pozostał w grze, wreszcie się poddał. %

Marshall zgarnął pieniądze.

- Pozwoliliście mi wygrać, chłopaki, prawda? To bardzo miłe z waszej strony.

- Czy pan oszukiwał, sir? - zapytał Coney.

- Pewnie właśnie w ten sposób został ambasadorem - powiedział Sutherland z goryczą. - Wygrał stanowisko w karty.

Marshall roześmiał się.

- Panowie, grywałem w karty, jeszcze zanim wyście się urodzili. Może trudno wam to uwierzyć, ale jestem starszy niż wasz sierżant.

Odpowiedział mu chór żartobliwych okrzyków.

- Czy ktoś z was urodził się przed rokiem 1942? Widzicie? Wtedy byłem starszym szeregowym w piechocie morskiej i grałem w pokera jak wy teraz. Po prostu wcześniej zacząłem. - Wskazał na rozkładówki wiszące na ścianach bunkra. - My też wieszaliśmy takie obrazki. Może były nie tak bardzo rozebrane jak te, ale i tak miały zakryte właśnie te rzeczy, o których wy śnicie co noc. My też o nich śniliśmy. Mieliśmy matki i ojców, żony i dziewczyny. Także byliśmy samotni, tęskniliśmy za domem i baliśmy się.

W bunkrze panowała zupełna cisza. Nagle odezwał się Martin.

- Sir, zginął mój najlepszy kumpel. Nazywał się Matt Landis. Chciałbym wiedzieć, dlaczego zginął. Chciałbym wiedzieć, czy on zginął za cokolwiek.

W końcu padło to straszne pytanie.

Popatrzył na Martina, potem na innych. Wszyscy siedzieli w ciszy i czekali na odpowiedź.

Zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć. Tłukły mu się w głowie tylko słowa Kiplinga: „Teraz wszystkie moje kłamstwa wyszły na jaw i muszę stanąć twarzą w twarz z ludźmi, których zabiłem. Jakaż historyjka może mnie teraz ocalić wśród moich gniewnych i oszukanych dzieci?”

Czekali z uszanowaniem.

Marshall zamknął oczy. Kiedy je otworzył, oni wciąż czekali.

- Dam wam okropną odpowiedź - powiedział. - Nie wiem. Mój syn, mój najstarszy syn, jest dokładnie w waszym wieku. Kocham go bardzo. On też przyjeżdża do Wietnamu. Chyba nawet w tym tygodniu. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby go zatrzymać. Wrzeszczałem na niego i prosiłem. Chyba nie zniósłbym, gdyby mu się coś stało. Ale gdyby coś się stało, zadawałbym sobie to samo pytanie, które wy teraz zadajecie mnie. I też nie znalazłbym odpowiedzi.

Odetchnął głęboko i oparł się o worki z piaskiem.

- Wydaje mi się, że każdy sam musi znaleźć odpowiedź na to pytanie. To jest jak religia, a może nawet jak kobiety. Wasza wiara w Boga jest prawdopodobnie nieco inna niż moja. To, w co ja wierzę, różni się od tego, w co wierzą wszyscy inni. Nie umiem powiedzieć, czy to, w co ja wierzę, jest słuszne, tak samo jak nie mógłbym powiedzieć, że kobieta, którą wybrałem, jest odpowiednia dla wszystkich albo że twoja dziewczyna jest lepsza niż dziewczyna kogokolwiek innego.

Patrzył uważnie na zebranych w bunkrze.

- Nie podoba mi się ta wojna. Nie chcę, żeby mój syn tu przyjeżdżał. Nie chcę, żebyście wy tu byli. Czy wasz przyjaciel zginął za cokolwiek? Mam nadzieję, że tak,

choćby dlatego, że coś z niego żyje w was. Każdy człowiek, który umiera, może żyć dalej w nas.

Możemy nosić go w sobie, uczyć się od niego, możemy znaleźć odpowiedź na pytanie, które zadajecie na wiele różnych sposobów, i uznać, że może jego śmierć miała jednak jakieś znaczenie. Jeżeli dojdziecie do wniosku, że odpowiedź brzmi „nie”, że ta wojna jest zła, możecie go zachować w pamięci i zadbać, żeby to już nigdy się nie powtórzyło, żeby już nikt nie zginął na innej równie złej wojnie. Pokiwał głową ze smutkiem.

- Od dłuższego czasu obawiałem się, że ktoś zada mi to pytanie. Chciałbym umieć dać wam lepszą odpowiedź. Chciałbym potrafić powiedzieć wam jakieś wspaniałe rzeczy na temat poświęcenia i chwały, ale nie potrafię. Wybaczcie mi.

Wstał i zaczął szykować się do wyjścia.

- Pańskie pieniądze, sir - odezwał się ktoś.

Odwrócił się i spojrzał na kupę banknotów ułożonych koło miejsca, gdzie siedział.

- Czy możecie mi zrobić zaszczyt? Kiedy zejdziecie z tego zasranego wzgórza, kupcie za tę całą forszę piwa i zalejcie się w trupa.

Romer stał na wzniesieniu i patrzył na równinę oświetloną blaskiem księżyca.

- Piękna noc, sir.

Stali przez chwilę w milczeniu. Równina z jej pagórkami wyglądała jak spokojne morze.

- Tak, pułkowniku - powiedział Marshall. - Dobranoc. Romer prawie nie zauważył, że Marshall odszedł.

To właśnie wciągało jego ojca, pomyślał Romer. Teraz zaczynał rozumieć. To było piękne i cudowne. Wcielił się w ojca, a on przecież był wojownikiem z dawnych czasów. Romer wiedział, że jego ojciec w to wierzył. Był przekonany, że jest urodzonym wojownikiem. Często powtarzał, że dusze zmarłych wojowników żyją w nim, że od niepamiętnych czasów przemierzał pola bitew i że krew dawnych rycerzy pulsuje w jego żyłach. Śmiał się z ojca, ale to jednak była prawda. Teraz kielkowało w nim to samo uczucie. Czuł obecność swojego ojca. Był tuż koło niego. Patrzył wyzywająco na równinę, czekając na początek bitwy.

Romer miał poczucie, że jakaś mistyka spowija to wzgórze i tę równinę.

Za sobą słyszał rozmowy i śmiechy żołnierzy. Czuł obecność duchów wojowników tu obok siebie w okopach.

Zrozumiał ojca i jego miłość. Czuł tę samą miłość w sobie. Tu jest jego miejsce.

Rano, po zaskakująco długim i dobrym śnie, Marshall zjadł z apetytem to, co jedli żołnierze, wyczyścił zęby palcem i prawie z niechęcią myślał o odjeździe.

Na krótko przed startem Romer odciągnął go na bok.

- Mam do pana wielką prośbę, sir, chociaż jedną moją prośbę pan już spełnił, załatwiając mi dowództwo batalionu.

Stali nieopodal miejsca, gdzie rozmawiali wczoraj wieczorem. Dzień był pochmurny i chłodny.

- Chciałbym zostać tutaj przez te dwa dni, które pan spędzi w Hue. Tam nie będzie mnie pan potrzebować. Przecież pan będzie tylko zwiedzać, a ja wolałbym zostać tutaj.

- I co pan będzie tu robić? - zapytał Marshall. Romer wskazał na równinę i na leżące za nią wzgórza.

- To trudno wytłumaczyć. Podoba mi się tutaj. Nie jestem zainteresowany zabytkami Hue. Nie lubię starych pałaców i świątyń, a poza tym chciałbym zebrać nieco doświadczeń, zanim obejmę dowództwo batalionu. Będę lepiej rozumiał ludzi i działania małych jednostek.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Marshall. - Ja tu już nie mam nic do roboty. Chciałbym zobaczyć jeszcze kilka zabytków. Zgadzam się. Proponuję jednak, żeby pan to uzgodnił z porucznikiem Bishopem i jego przełożonymi.

- To chyba nie będzie stanowić problemu.

- W takim razie wszystko w porządku, pod warunkiem że... jak by to delikatnie wyrazić?

- Żebym trzymał się na uboczu i nie wbieprał się w nie swoje sprawy.

- Właśnie tak. To wzgórze porucznika Bishopa.

- Doskonale to rozumiem. Jestem tylko obserwatorem.

- Dobrze. Porucznik Magnuson przyleci tutaj pojutrze i zabierze pana przed naszym odlotem do Sajgonu.

Po ostatnim spacerze wokół umocnień Marshall podziękował Bishopowi i Broc-kowi, i wsiadł do helikoptera.

Żołnierze przyszli odprowadzić Meada, po uściskach dłoni i przyjacielskim przekomarzaniu się

między Bishopem a Magnusonem helikopter wystartował.

- Co się stało z pułkownikiem Romerem? - zapytał Mead.
- Zostanie tutaj parę dni, a my w tym czasie będziemy zwiedzać Hue. Mead wyjrzał przez okno i patrzył na szybko oddalające się wzgórze. Miał tak zmartwioną minę, że Marshall musiał go lekko postukać w ramię.
- Wszystko będzie w porządku. To święto Tet. Zawieszenie broni. Nic się nie stanie.

XXXIV

- Co, u diabła, z nim zrobimy? - zapytał Bishop sierżant Brock, kiedy Romer wyszedł z bunkra, żeby obejrzeć linię zasieków.

Bishop wzruszył ramionami.

- On jest tutaj, żeby się przyglądać.

- Tak? Moja teściowa zawsze tak mówiła.

- Która teściowa, sierżancie? - zaszotał Bishop. - Masz ich chyba z osiem, prawda?

- Moja pierwsza teściowa. - Zamilkł na moment, wspominając. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Pokręcił głową. - Cholera! To była teściowa! Czy opowiadałem, już panu o niej, panie poruczniku?

- Tak, oczywiście, sierżancie. A co z naszymi innymi kłopotami, jak życie i śmierć, żółtki i wojna? Zupełnie o nich zapomniałem.

- Powiniennem być domyślić się, jaka jest Laurie, moja pierwsza żona, kiedy taka jest jej matka. - Wyciągnął ostrzegawczo rękę w stronę Bishopa. - Nigdy nie żeń się z dziewczyną, zanim nie sprawdzisz jej matki.

- Czy uważasz, że powiniennem być ją zerznąć, sierżancie? To znaczy matkę?

- Staram się dać panu dobrą radę, panie poruczniku - perorował dalej Brock

- Niech pan nie będzie cwaniaczkiem z wyższej uczelni. W żadnym razie nie polecam zerznięcia mamuśki. To właśnie stało się ze mną. Miałem wtedy tylko siedemnaście lat, a mamuśka chyba trzydzieści dwa, kiedy przyjechała z wizytą.

- Chyba wolałbym tego nie słuchać, sierżancie.

- To lekcja życia, panie poruczniku.

- Gdybym chciał takiej lekcji, włączyłbym radio i posłuchał country and westerny. Właśnie przyszło mi do głowy, sierżancie, że całe pańskie życie jest jak country and western.

- Te piosenki są prawdziwe, panie poruczniku. One wcale nie są zmyślane.

- Wiem i zawsze obawiałem się, że spotkam kogoś żywcem wyjętego z tych; piosenek, a teraz, cholera, muszę przesiedzieć sześć miesięcy właśnie z kimś takim w podziemnym bunkrze.

- To lepsze niż małżeństwo. Jak już wspominałem, mamuśka Laurie siedziała w swoim pokoju, dopóki Laurie nie poszła do pracy, po zakupy albo choćby sprawdzić, czy w skrzynce nie ma listów. Wtedy wybiegała, łapała mnie, przewracała i pieprzyła mnie, aż myślałem, że mi uszy odpadną. Wie pan, jak niektóre kobiety szaleją i podskakują na człowieku jak seria z karabinu maszynowego? Z mamuśką Laurie to było tak, jakby cię zerznęła motorówka. Jej cipa potrafiła obedrzeć moją kutasę ze skóry.

Bishop patrzył na niego.

- Co to ma wspólnego z pułkownikiem Romerem?

- Już to mówiłem. Przypomina mi moją teściową. On nas tu zerznie.

- Nie - powiedział Bishop. - Nie chciał jechać do Hue i oglądać świątyń. Z ambasadorem pracował całe miesiące. Wydaje mi się, że to dla niego po prostu urlop. Zostanie tutaj tylko dwie noce. Opowiedz mu kilka swoich historyjek, sierżancie, to szybko wyjedzie. Opowiedz mu tę historię o teściowej, to natychmiast wyruszy do Hue na piechotę.

Bishop pochylił głowę, a potem zaczął wybijać rytm na skrzynce z amunicją. - Na piechotę do Hue. To może być przebój.

Brock pokręcił głową.

- Pan tu siedzi już zbyt długo, panie poruczniku.

- I zostało mi już niewiele. Jeszcze miesiąc i już mnie tu nie będzie.

- A gównu. Jeżeli pan przeżyje, będzie pan tu siedział dłużej niż żółtki.
- Mówię, że odejdę z plutonu. Awansuję. Dowódcą plutonu wystarczy być przez sześć miesięcy, a to już za chwilę tyle będzie, sierzancie.

- Wie pan, jaki ma pan problem, panie poruczniku? Pan nie potrafi nigdy powiedzieć nic ciekawego. Ja właśnie dlatego muszę opowiadać te moje historie. Muszę wypełnić pustkę.

- Piechtą, piechtą, piechtą do Hue - podśpiewywał Bishop. - *Rock... rock... rock and...* - uchylił się przed rzuconą puszką wieprzowiny.

- Nie podoba mi się, że on tu jest - upierał się Brock. - Będzie chciał pójść na przedpole. Zobacz pan. Zaraz zacznie domagać się, żebyśmy wysłali patrol.

- Spodziewałem się tego, sierzancie. Pozwolę mu pójść. Wyślę go z trzema ludźmi. Będą siedzieć pięćset metrów od zasieków, a -my będziemy mieć trochę spokoju.

Brock odchrząknął i Bishop wiedział, iż oznacza to, że sierżant się wkurzył, bo sam o tym nie pomyślał.

- Chce zobaczyć akcję? Dobrze. Rozumiem to. Wyślę go z chłopakami i niech siedzi tam całą noc. Nigdzie nie może pójść. Rozkaz wyraźnie mówi pięćset metrów i ani kroku dalej. Wszyscy będą zadowoleni.

- Niech pan da spokój z tym rozumieniem go. I tak jest już źle, że mamy tu jakiegoś mądrałę, który chce się bawić w harcerzyka.

Bishop w dalszym ciągu bębnił w skrzynki z amunicją.

- Piechtą, piechtą, piechtą do Hue. *Rock... rock... hej... Hue.* Brock rzucał w niego puszkami. Bishop osłaniał głowę.

- Kogo pan z nim wyśle? - zapytał sierżant.

- Coneya, Frizzella i Sutherlanda. Już oni go utemperują! Brock milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, panie poruczniku. Ja jestem sierżantem i ledwo mogę sobie z nimi poradzić. On jest tylko pułkownikiem i nigdy sobie z nimi nie poradzi.

- Wcale nie chcę, żeby sobie z nimi radził. Chciałbym, żeby to oni sobie z nim radzili, żeby go nie poniosło. Czy myślisz, że Sutherland pozwoliłby mu poprowadzić patrol na wzgórze albo do Strefy Zdemilitaryzowanej? Nie chcę, żeby oddalali się bardziej niż na pięćset metrów. Oni nie pozwolą mu się gdzieś tam powlec.

Brock znowu chrząknął, włączył radio i nastawił je głośniej. Akurat grali jedną z jego ulubionych piosenek country and western.

* * *

- Phu Bai - powiedział Magnuson przez interkom. - Lądujemy za kilka minut.

- Czy możemy najpierw przelecieć nad miastem? - zapytał Marshall.

- Tak jest, sir - powiedział Magnuson i helikopter zawrócił w lewo.

- Phu Bai jest dużą bazą - opowiadał Magnuson, jakby był przewodnikiem turystycznym. - Położona jakieś dziesięć kilometrów od Hue przy szosie numer jeden. To ta droga, którą widać pod nami.

Marshall wyglądał przez jedno okno, Mead przez drugie. Magnuson leciał na tyle nisko, że dokładnie widzieli kraj poniżej, pola uprawne i sosnowe lasy prawie nietknięte wojną.

Hue lśniło w słońcu. Połączone dachy pagód i świątyń odbijały blask, a pałac cesarski rzucał błyski, jakby był z kryształu.

Magnuson wzbił się około dwieście metrów wyżej i zawiesił maszynę nieruchomo, żeby mogli się nacieszyć pięknym krajobrazem. Widać było płataninę lagun oddzielających miasto od Morza Południowochińskiego, rozciągającego się zaledwie pięć kilometrów na wschód od Hue, i szmaragdowe góry zwane Parawanem Królów po zachodniej stronie. Przez miasto wiała się Rzeka Perfumowa i kierowała się ku morzu, mijając groby cesarskie rozrzucone wśród zieleni około dziesięciu kilometrów od miasta.

- Właśnie tam chcę pojechać - powiedział Marshall.

- Będzie pan musiał pojechać samochodem albo popłynąć łodzią, sir. Helikopter stanowi zbyt łakomy cel.

- W porządku - powiedział Marshall. - Wracamy do Phu Bai.

Powitanie w Phu Bai było jak wszystkie inne. Pełne uszanowania spotkanie z wyższymi oficerami i propozycje pokazania bazy. Marshall wyjaśnił, że jego wizyta ma charakter nieoficjalny i

jedyna rzecz, o jaką prosi, to środek transportu, żeby mógł zwiedzić miasto oraz grobowce.

- Czy będzie pan życzyć sobie przewodnika, sir? Kogoś, kto oprowadzi pana po pałacach cesarskich i świątyniach?

- To byłoby bardzo miłe. Dziękuję.

- A uzbrojona eskorta? Marshall pokręcił przecząco głową.

- Jest ze mną kapral Mead. Czy myślicie panowie, że jest tu aż tak niebezpiecznie i że potrzebuję eskorty?

- Hue jest chyba najbezpieczniejszym miastem w kraju - powiedział dowódca bazy. - Szczególnie w czasie Tet.

- Czy spodziewacie się jakichś kłopotów?

- Nie, sir. To jest Święto Nowego Roku Księżycowego. Największe tutejsze święto. Dzień dzisiejszy i jutrzejszy to czas na ostatnie zakupy i przygotowania. Na targu będą tłumy. Będą kupować ośmiornice, wino ryżowe i słodycze. Będzie wtedy można swobodnie zwiedzać cytadelę i pałace. Obowiązuje zawieszenie broni. Nie zaatakują. To byłoby tak, jakbyśmy my atakowali w czasie Świąt Bożego Narodzenia. To się po prostu nie przydarzy.

Po południu Marshall rozpoczął zwiedzanie miasta w lśniącej czarnej limuzynie prowadzonej przez wietnamskiego kierowcę i w towarzystwie uczonego przewodnika, który okazał się istną zmorem dla zwiedzającego. Przepelniony dobrą wolą

i energią, posiadający ogromną wiedzę i gadatliwy, dumny z historii i kultury, przemieniał się ze służalca w tyrana, nie dając Marshallowi czasu na zastanowienie się czy podziwianie.

Nie zaprowadzi Marshalla do cytadeli. Cytadelę należy oglądać tylko rano. Nie zawiezie go do grobów cesarskich, bo można je zwiedzać dopiero po obejrzeniu cytadeli. Zamiast tego obwoził Marshalla po niezliczonych świątyniach i pagodach opowiadając historię miasta.

Chociaż o Hue mówi się jako o starożytnym mieście, jego znaczenie polityczne i kulturalne wzrosło dopiero po roku 1802. Gia Long wybrał Hue na stolicę, ponieważ leżało w jednakowej odległości od Hanoi i Sajgonu, stolic Tonkinu i Kochinchiny. Była to stolica wybrana w drodze kompromisu między bardzo różniącymi się od siebie ludami północy i południa.

Niezależność Wietnamu była jednak krótkotrwała. Francuzi pojawili się w 1847 roku i do 1883 roku skolonizowali cały kraj. Ostatni cesarz z dynastii Nguyen, Bao Dai, który mieszka obecnie w Paryżu, abdykował w 1955 roku.

Wreszcie, pod wieczór, przewodnik wręczył Marshallowi kilka książek i doradził mu przestudiowanie ich przed jutrzejszym zwiedzaniem cytadeli i grobowców.

Kiedy wrócili na kwaterę w Phu Bai, Marshalla bolała głowa, więc poprosił, żeby przysłano mu kolację do pokoju, i odwołał poranne zwiedzanie z przewodnikiem, prosząc jedynie, by samochód z kierowcą czekał na niego o dziewiątej. Jutro był ostatni dzień przed świętem Tet. Marshall zdecydował się zwiedzać sam, żeby mu nikt nie przeszkadzał.

- Jestem ciekaw, poruczniku - powiedział Romer, siedząc w podziemnym bunkrze i popijając kawę - dlaczego nie wysła pan nocą patroli i nie robi zasadzek?

Bishop spojrzał porozumiewawczo na Brocka.

- Widzi pan, sir - wyjaśnił - są ograniczenia co do tego, jak daleko możemy wychodzić poza zasieki. Takie są rozkazy z pułku i dywizji. Nie boję się ataku z zaskoczenia. Wietnamczycy nie mogą się dostać na mój teren tak, żebym ja o tym nie wiedział. Mamy tyle drutu kolczastego i pułapek, że nawet Houdini by się nie przedostał. Bardziej boję się frontalnego ataku. Jeżeli coś takiego by się zdarzyło, patrol poza drutami stworzyłby nam tylko problemy, bo musiałbym zatroszczyć się o jego bezpieczne wycofanie, zanim mógłbym otworzyć ogień do nieprzyjaciela.

Brockowi, słuchającemu z drugiego końca bunkra, wydało się to tak rozsądne, iż zaczął obawiać się, że Bishop przedobrzył i Romer przestanie nalegać, żeby wyjść za druty, zostanie w bunkrze i będzie im zwracać głowę przez cały czas.

- Czy coś by się stało, gdybyśmy jednak wysłali patrol?

- Nie mogę wysłać patrolu, sir. Patrol oznacza ruch, a jak już powiedziałem, nie wolno oddalać się na więcej niż pięćset metrów od zasieków. Jednak możemy zorganizować zasadzkę albo placówkę nasłuchową.

Romer chwycił przynętę.

- Chciałbym tam posiedzieć, panie poruczniku. To lepsze niż siedzenie tutaj.

- Jak to, sir? - zapytał Brock.

- Chyba nie muszę wam tego tłumaczyć - uśmiechnął się Romer.

Obaj mężczyźni byli w tym samym wieku, ale kiedy Brock uciekł z domu mając siedemnaście lat, żeby walczyć w Korei, Romer kończył szkołę i przygotowywał się do rozpoczęcia studiów. Brock ożenił się i rozwiódł, i mógł opowiadać historyjki o teściowej, zanim Romer ukończył drugi rok studiów.

Brock poznał setki oficerów. Bishop był może pięćdziesiątym podporucznikiem, pod którego rozkazami służył. Znał tyle samo dowódców kompanii i batalionu. Widział jak awansowali, a kilku z nich zostało generałami. Rozumiał pragnienia Romera i jego ochotę wyjścia za zasieki. Nie podzielał tych uczuć ani ich nie podziwiał, ponieważ nie potrzebował nic udowodniać komukolwiek, ale oficerowie tacy jak Romer musieli. W każdym razie znał wielu oficerów, którzy - podobnie jak Romer, a nawet w jeszcze większym stopniu - odczuwali przymus zamaskowania jakichś gnębiących ich własnych niedociągnięć.

- Mogę wysłać z panem trzech ludzi, sir - powiedział Bishop - ale musi pan stosować się do reguł działania. Nie wolno nam oddalać się na więcej niż pięćset metrów od zasieków. Mam taki rozkaz na piśmie. - Wskazał na stos papierów, w którym nigdy nie można było znaleźć książek kodowych, sygnałów wywoławczych ani innych ważnych dokumentów.

- Rozumiem, poruczniku. Chciałem tylko zobaczyć, jak to jest, zanim wyjadę. Siedziałem w Sajgonie tak długo, że już zaczęło być mi wstyd. Pobyt tutaj w Strefie Zdemilitaryzowanej wywiera jakiś dziwny wpływ na człowieka.

- W porządku, panie pułkowniku - powiedział Brock. - Porucznik też to rozumie.

- Powinniście wyjść za godzinę - powiedział Bishop. - Pójdę i powiem ludziom, których wyznaczam. Pokaż pułkownikowi mapę, sierżancie. Pokaż, gdzie mogą zająć stanowisko. Przygotuj też ewentualne wsparcie artyleryjskie.

Bishop wyszedł z bunkra i, nie śpiesząc się, powędrował przez wzgórza. Noc była chłodna i ciemna. Księżyc nie było, a gwiazdy też nie rozświetlały nieba.

- Panowie - powiedział, wybrawszy trzech mieszkańców bunkra - waszą misją dziś w nocy, jeżeli jej się podejmiecie, będzie...

- Nie podejmiemy się - powiedział Sutherland.

Bishop położył rękę na sercu tak, jakby odmowa głęboko go zraniła.

- Chcecie zawieść nasz kraj? Chcecie sprawić zawód mnie, waszym matkom, żonom i dziewczynom? I tym wszystkim cipom? - dodał, wskazując na rozkładówki wiszące na ścianach.

- On się robi bardziej miękki z dnia na dzień - powiedział Coney do Frizzella.

- Wszyscy trzej zostaliście wybrani do wypełnienia specjalnego zadania. Za godzinę macie zabrać tego pułkownika za druty, posiedzieć z nim parę godzin, a potem wrócić.

Wszyscy trzej tylko patrzyli na niego.

- Dlaczego? - zapytał wreszcie Sutherland.

- Ponieważ on tam chce pójść. Nigdy przedtem nie siedział w zasadzce. Myśli, że to będzie dla niego ciekawe doświadczenie. W przyszłym tygodniu ma objąć dowództwo batalionu. Chce się uczyć.

- Pierwsza rzecz, jakiej powinien nauczyć się ten tępy kutas, to siedzieć w bezpiecznym miejscu, a nie wyłazić za druty - stwierdził Sutherland.

- To nie najlepszy pomysł, żeby tam iść - powiedział Coney z powątpiewaniem.

- Masz rację, ale nie jest też niebezpieczne. Nie wysyłałbym was, gdyby on nie chciał tam iść, ale on naprawdę chce. Może mu to dobrze zrobi. Może nauczy się, że to wcale nie jest potrzebne, więc kiedy będzie rządził gdzie indziej, nie będzie wysyłał ludzi za druty.

Bishop przysiadł koło nich.

- Nie wysyłałbym was, gdyby to było niebezpieczne. Nie ryzykowałbym waszego życia dla czegoś takiego, ale nie zauważono nieprzyjaciela ani żadnych jego ruchów. Radio milczy. Panuje spokój. W grę wchodzi tylko pięćset metrów. Czy macie pojęcie, jak to daleko pięćset metrów?

- Jak stąd do piekła.

- No niezupełnie tak. Piekło jest odległe o tysiąc pięćset metrów. Taka jest odległość do wzgórz. Pięćset metrów to tylko jedna trzecia tej odległości i tylko tak daleko możecie odejść. Zabraniam wam iść dalej. Jak już wyjdziecie poza zasieki, macie przejść tylko pięćset kroków. Normalnych kroków, Sutherland, a nie małych kroczków. Tam przesiedzicie noc. To tyle. Macie tam pozostać kilka godzin. Jeżeli będziecie mieli ochotę, możecie zrobić mu przedstawienie - niech się podekscytuje. Możecie powiedzieć, że czujecie zapach żółtków albo ich słyszycie. Możecie się trochę pobawić. Nie

oddalajcie się jednak bardziej niż na pięćset metrów od zasieków. On może mieć ochotę pójść dalej. Dlatego właśnie was wybrałem. To przecież pułkownik. Jeżeli poślę z nim innych, jeszcze ich zastraszy i zmusi do zrobienia czegoś, czego nie powinni robić. Wy na to nie pozwolicie, prawda?

- Jasne - powiedział Coney. - Nie ma siły. Nie oddalę się od drutów bardziej niż... Jak pan powiedział, panie poruczniku?... Pięćdziesiąt metrów?

- Pięćset metrów. Za to będzie nagroda. Patrzyli na niego zdziwieni.

- Będziecie mogli wybrać sobie nagrodę. Albo ja zaśpiewam dla was moją nową piosenkę, którą właśnie skomponowałem pod tytułem „Pieczęta do Hue”, albo sierżant opowie wam historię o swojej teściowej.

- Jezu - powiedział Coney. - Zostaję z pułkownikiem za drutami.

- Za godzinę - powiedział Bishop, podniósł się i stanął tak, żeby się znaleźć naprzeciw jednej z rozkładówek i trafić nosem w krocze sfotografowanej dziewczyny.

- Znam tę dziewczynę - powiedział pociągając nosem. - Tak. To na pewno ona.

Romer zrobił cały pokaz z czyszczenia i oliwienia karabinu, przypasywania granatów i przyciemniania twarzy, tak że Brock musiał wyjść, a kiedy trójka żołnierzy zameldowała się w podziemnym bunkrze na odprawę i zobaczyła go, ledwo mogła zapanować nad śmiechem. Romer wyglądał, jakby miał zaatakować Hanoi. Z powagą uściślił każdemu dłoń.

- Kto bierze radio? - zapytał Bishop.

- Ja - powiedział Coney.

- Kto idzie przodem?

Frizzell i Sutherland popatrzyli na siebie i wzruszyli ramionami. Bishop rzucił monetę. Sutherland wygrał, więc Frizzell musiał iść przodem.

Bishop pokazał im pozycję zasadzki i jeszcze raz ostrzegł, żeby nie oddalali się bardziej niż to przewidziane.

- Przez cały dzień był spokój, ale wiecie, chłopaki, co to oznacza. Nic. To już prawie święto Tet. Nic dziś nie zauważyliśmy ani nie mieliśmy żadnych ostrzeżeń, ale o ile wiem i o ile generał Cushman wie, tam może siedzieć z tysiąc żółtków gotowych do czynu. Są pytania?

- Chciałbym dokładnie zrozumieć sprawę tych pięciuset metrów - powiedział Sutherland.

- Chyba wszyscy to już rozumieją - powiedział Bishop. - Sygnał wywoławczy będzie... Czy są jakieś propozycje?

- Peggy - powiedział Romer. - To imię mojej żony. Zapadła chwila ciszy. Potem odezwał się Frizzell.

- Sir, nie możemy używać imienia dziewczyny. To jest...

- Jest taki przesąd, panie pułkowniku - powiedział Bishop. - Nikt nie wie, skąd się wziął, ale w tym plutonie imiona żeńskie jako sygnał wywoławczy zawsze były tabu, podobnie jak morele. Jestem pewien, że w innych oddziałach używają ich bez żadnych zastrzeżeń. Tam są pewnie inne przesady i zakazy.

- No, to niech ktoś wybierze inne - powiedział Romer z humorem, wcale się nie przejąwszy.

Pozostali byli jednak zaniepokojeni. Tabu zostało naruszone, chociaż tylko na moment, ale jednak zakaz został złamany. Patrzyli na siebie zdenerwowani.

- Dodgersi - powiedział Bishop szybko, żeby rozładować napięcie i zrobić przyjemność Sutherlandowi, który pochodził z Los Angeles.

- Tygrys - powiedział Coney, który był z Detroit.

- Ty niesiesz radio, więc niech będzie Tygrys - zgodził się Bishop. - Meldować się co pół godziny. Powrót o czwartej zero zero. Teraz jest 21.47. Odmaszerować.

Wyszli z bunkra i na zewnątrz sprawdzili radio, skontrolowali sobie nawzajem karabiny i wyposażenie. Potem ruszyli w dół stoku w kierunku przerwy w zasiekach. Frizzell szedł przodem, za nim Coney i Romer, a na końcu Sutherland.

Cała trójka traktowała tę wyprawę jak żart, dopóki nie nastąpiła gafa Romera, która zmieniło wszystko, naruszając tabu. Nagle sprawa stała się poważna, i kiedy nad nią się zastanawiali, widzieli ją w coraz czarniejszych barwach. Zawsze tak było, że sprawy obracały się na gorsze, kiedy się tego najmniej spodziewano. Zawsze się coś popieprzyło, choćby sprawa wydawała się prościutka. To może być zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy Perez czy Bowman, czy Miller, czy Opieniek, czy Tolson zostali załatwieni. Przyszło znikąd.

Sutherland czuł to wyraźnie. Lubił porucznika Bishopa, a nawet mu ufał, ale ten patrol został

przez niego wymyślony jako żart i zabawa dla pułkownika. Dla Sutherlanda to jednak nie była zabawa. Tu w grę wchodziło jego życie.

Po śmierci Landisa Sutherland poprzysiął sobie, że nie pozwoli, by ktokolwiek igrał z jego życiem.

Dla żółtków to też nie była zabawa. Oni tam czekają i chcą go zabić.

Za drutami czai się śmierć. Widział ją wyraźnie oczyma wyobraźni. Wrzeszcząca czaszka wypatrująca go, przyzywająca. Śmierć była realna. Była straszna, obrzydliwa i nieodwracalna.

Czuł ucisk amuletu wiszącego na szyi. Pocierał go, aż stał się gorący. Kiedy go puścił, poczuł jego ciepło na piersi. Zamknął oczy na dłuższą chwilę. Potem je znowu otworzył.

Znowu zobaczył trumnę. Błyszczała srebrzyście. Czekala z otwartym wiekiem. Natychmiast zamknął oczy i chwycił za amulet.

Doszli do zasieków. Pozostała trójka już przez nie przeszła. Sutherland wahał się tak długo, że Frizzell i Coney zawrócili. Czekali na niego w napięciu, wsłuchując się w noc.

- Musimy iść - powiedział wreszcie Frizzell.

- Oni tam czekają - ostrzegł Sutherland.

Znowu na niego czekali, wiedząc, jakie znaczenie ma to, co człowiek odczuwa, ufając jego instynktowi przeżycia, zwłaszcza że to był Sutherland, który łatwo nie poddawał się strachowi.

- On nam przyniesie nieszczęście - dodał Sutherland.

- On nie wiedział - sprzeciwił się ostro Coney. - Naprawdę nie miał nic złego na myśli.

- Tak - przyznał Frizzell. - Może on się nie liczy. Nie jest jednym z nas. Sutherland wciąż się wahał. Słuchał uważnie tego, co Marshall odpowiedział

Martinowi. Jeżeli ten człowiek uważa, że wojna jest zła, co z tego wynika? Dlaczego tu jest? Dlaczego ryzykuje życie? To, że nosisz w sobie zmarłych, to tylko słowa. Co dobrego wynikało z tego dla Landisa, Millera czy Opieńka albo dla kogokolwiek innego? Zabity to zabity, a zabity to znaczy, że go nie ma.

On nie miał zamiaru skończyć w ten sposób. Nie chciał zginąć dla żartu w czyjejs zabawie.

Spojrzał na druty. Trumna tam wciąż czekała.

- Nie - powiedział.

- Musisz. - Coney pociągnął go za rękę.

- Daj spokój, Scott - syknął Frizzell. - Wszystko będzie dobrze.

Zaczął go ciągnąć, aż wreszcie Sutherland ustąpił i przemknął między drutami w ciemności, ale wciąż słyszał chichot czaszki i trumna wciąż czekała. Był tak blisko śmierci jak nigdy przedtem. Był tego pewien.

Ruszyli. Frizzell szedł przodem, kierując się w dół stoku i ku zachodowi, żeby od tyłu zbliżyć się do miejsca wyznaczonego na zasadzkę.

Zazwyczaj posuwali się szybko i pewnie, bo dobrze znali teren, ale tej nocy Frizzell skradał się powoli, bo czuł, że coś nie jest w porządku. Nie chodziło tylko o to, co powiedział Romer. Noc była jakaś inna. Było ciemniej. Coś unosiło się w powietrzu. Nawet ziemia tchnęła wrogością.

- Cholera - szepnął Coney. Też wyczuwał jakąś groźbę. Kiedy obejrzał się na wzgórze, nie mógł go dostrzec.

Niezależnie od tego, ile razy Sutherland zamykał oczy, nie mógł pozbyć się obrazu trumny.

Noc była taka ciemna, że tracili orientację. Nie można było dostrzec charakterystycznych punktów w terenie. Nie widzieli ani łańcucha wzgórz, ani ich wzgórze. Byli tak odcięci i odizolowani, jakby znajdowali się w przestrzeni kosmicznej.

Kiedy zbliżyli się do miejsca wyznaczonego na zasadzkę, Frizzell ruszył sam do przodu, żeby je sprawdzić. Chociaż zostawił ich zaledwie trzydzieści metrów za sobą, z trudnością znalazł ich w powrotnej drodze.

Napięcie nie minęło, kiedy już zajęli stanowiska. Nie mogli zapanować nad sytuacją. Niczego nie widzieli. Nie dostrzegali niczego znajomego. To było jak próba pozostawiania znaków na wodzie. Czuli się jak w zawieszeniu, niczym pajak wiszący na cieniusieńkiej nitce nad niezmierną głębią.

Romer nie miał pojęcia, że towarzysze jego wyprawy czują się inaczej niż w czasie innych patroli. To był jego pierwszy patrol i on sam odczuwał jedynie podniecenie. Niczego, co przeżył dotychczas, nie można było porównać z tymi doznaniem, z poczuciem wystawiania się na niebezpieczeństwo, ze świadomością ryzyka i bezsilności. To było przytłaczające wrażenie. Każdy nerw jego ciała wibrował. Umysł i ciało osiągnęły pełną koncentrację. To była sama treść istnienia,

oczyszczona i wydestylowana. Sam wśród czarnego wszechświata. Nie w harmonii z nim, ale w jakiś przerażający sposób odseparowany. Jedyna istota we wszechświecie, a zarazem cały wszechświat.

Oszołomienie rosło. Rosło w nim też poczucie potęgi, tak że ledwo mógł usiedzieć.

Normalne uspokojenie, jakie następuję po zajęciu stanowisk, jakoś nie ogarnęło innych członków patrolu. Im dłużej siedzieli, tym bardziej byli niespokojni. Wydawało się im, że w powietrzu wisi jakaś groźba.

Nie czuło się obcych zapachów. Nie docierały do nich żadne dźwięki.

To nie był nieprzyjaciel.

Sutherland odczuwał to wyraźnie. Tu nie chodziło o żółtków, ale o coś znacznie gorszego. Nie o nieprzyjaciela tylko o NIEPRZYJACIELA, coś strasznego i okropnego, jakąś siłę, furię, która ich przytłaczała, jakąś boską potęgę miażdżącą swoją brutalnością.

Sutherland drżał przed tą potęgą. Był samotny. Czuł, że jest również istotą bezcielesną, ale nie rosło w nim uczucie potęgi. Truchlał przed potęgą, która nad nim zawisała.

Po dwóch godzinach Romer już nie mógł się opanować. Nieprzyjaciel się nie pojawił. Będzie musiał go poszukać.

- Chodźmy - powiedział nagle, aż wszyscy podskoczyli. - Tu nic się nie będzie działo.

Myśleli, że chce wracać na wzgórze, i Coney sięgnął po radio.

- Muszę ich zawiadomić, że wracamy, bo inaczej posiekają nas na kawałki.

- Nie wracamy, tylko idziemy dalej - powiedział Romer.

- Co? - odezwał się Sutherland. - Nie idziemy - dodał szybko.

- Tylko trochę w stronę łańcucha wzgórz. Oni tam są.

- Jasne, że oni tam są - przyznał Sutherland. - Dlatego właśnie nie idziemy.

- Panie pułkowniku - szepnął Coney. - Nie możemy iść dalej. Już oddaliliśmy się na maksymalną odległość.

- Sir - powiedział Frizzell, nachylając się bliżej. - Zaprowadziłem was na odległość pięciuset metrów, a może nawet kawałek dalej. Porucznik zabronił oddalać się bardziej. Jest wciąż jeszcze wcześnie. Siedzimy tu dopiero dwie godziny. Może jeszcze przyjdą.

- Poza tym - dodał bezceremonialnie Sutherland - jak się już raz zastawi zasadzkę, to się jej nie przenosi. Siedzi się dopóki nie trzeba będzie wracać.

- Chcę się przesunąć bliżej pasma wzgórz - powiedział Romer tonem wyższego oficera, nie przyzwyczajonego do pouczenia przez szeregowych, o połowę młodszych od siebie.

- Sir, nie możemy - zaczął przekonywać Coney. - Nie wolno nam. Poza tym, Scott ma rację. Nie można przenosić zasadzki, jeżeli już raz się ją zastawi. To jest zbyt niebezpieczne. Nieprzyjaciel, jeżeli gdzieś tutaj jest, zauważy ruch. Trzeba po prostu czekać, aż się pojawi.

- Przez większość nocy tylko się siedzi i nic się nie dzieje. - starał się go przekonać Frizzell. - Prawie nigdy nie ma kontaktu, sir. Zdarza się może raz na pięćdziesiąt patroli. Tak to zwykle jest.

- Oni tam są - powiedział Romer z naciskiem. - Wiemy, gdzie są i nie będziemy czekać, aż przyjdą, ale pójdziemy do nich. Nikt nie czeka, aż go ktoś kopnie w jaja, bo wtedy jest już za późno, żeby się bronić. Pójdziemy tam i załatwimy ich.

Cała trójka milczała prawie przez minutę. Zmiana pozycji zasadzki nie stanowiła problemu. Starali się obmyślić sposób uniknięcia tej niebezpiecznej sytuacji. Byli żołnierzami z poboru, a on podpułkownikiem. Sutherland mógł pyskować Brockowi, nawet sprzeczać się z porucznikiem, ale podpułkownik to zupełnie coś innego. Jeżeli podpułkownik wydałby rozkaz, to Sutherland nie mógłby go zakwestionować.

Wiedzieli, że za chwilę pułkownik wyda rozkaz, i to rozkaz błędny, niebezpieczny i prawdopodobnie niezgodny z prawem, ale w każdym razie rozkaz, i jeżeli odmówią jego wykonania, ryzykują sąd wojenny. Byli szeregowymi i kapralami, a on jest wyższym oficerem. Komu Armia przyzna rację? Jakie mają szansę, jeżeli ich sędziami będą inni wyżsi oficerowie?

- Będiesz prowadzić - powiedział Romer do Frizzella. - Idziemy w stronę łańcucha wzgórz.

- Cholera... Nie - powiedział Sutherland. - Nie idziemy.

- To jest rozkaz, żołnierzu - powiedział Romer z groźbą w głosie.

- Słuchaj, ty głupi fiucie...

- Scott - syknął ostrzegawczo Frizzell. - Nie możemy, panie pułkowniku. My...

- Powiedziałem, ruszamy - warknął Romer. - Przyjmuję pełną odpowiedzialność.

- Ty zwariowany sukinsynie - warknął z furią Sutherland. - Gównu mnie obchodzi twoja

odpowiedzialność. Jak tylko się ruszymy, zostaniemy załatwieni. Czy nie możesz wbić sobie tego do swojej pieprzonej głowy?

Romer wyciągnął rękę i chwycił Sutherlanda za kark, podnosząc go i wypychając ze stanowiska w stronę łańcucha wzgórz.

Sutherland chciał wrócić na miejsce, ale Romer popchnął go znowu tak, że stracił równowagę i przewrócił się.

Romer stanął nad Coneyem i Frizzellem.

- Ruszać się! - rozkazał twardo.

Zanim jednak zdążyli zrobić lub powiedzieć cokolwiek, usłyszeli szcęk odbezpieczanej broni, a potem głośny huk. Ciało Romera runęło obok nich, rzucone energią kinetyczną pocisku.

Chwilę później Sutherland zjawił się koło nich, padł na ziemię i wystrzelił długą serię w ciemność.

- Ognia! - krzyknął do Coneya i Frizzella. Strzelali na ślepo, nie zastanawiając się.

- Tygrys! Tygrys! Tu Brawo Jeden. Tu Brawo Jeden. - Radio ożyło z trzaskiem.

- Kontakt! Kontakt! - krzyknął Coney do mikrofonu. Potem strzelał dalej, dopóki nie musiał zmienić magazynka.

- Gdzie oni są? - dopytywał się Frizzell. - Ilu? Nic nie widzę.

- Tam nic nie ma. - Sutherland przestał na chwilę strzelać. - To ja zastrzeliłem sukinsyna.

Strzelajcie.

Chwycił karabin Romera i pociągnął za język spustowy. Nic się nie stało.

- Zacięty! Głupi zajebaniec!

- Chryste, Scott - powiedział Frizzell. - Zabiłeś go!

- Kurwa, jasne!

- Tygrys, tu Brawo Jeden! Meldować o sytuacji - zażądał Bishop.

Coney spojrział na Sutherlanda. Patrzyli na siebie przez niekończącą się sekundę. Coney wduśił przycisk mikrofonu.

- Przydusili nas ogniem z obu stron. Mamy przynajmniej jednego rannego. Musimy się wycofać.

Prosimy o zgodę i pomoc medyczną.

Frizzell i Sutherland wypalili jeszcze kilkakrotnie.

- Wstał. Mówiliśmy mu, żeby się nie podnosił, ale zdawało mu się, że coś usłyszał, i podniósł się. Jak tylko wstał, strzelili. Wtedy my otworzyliśmy ogień. Zgadza się, czy nie? - zapytał Sutherland.

- Jasne - powiedział Frizzell. - Jezu, należało mu się to. Chciał iść dalej. Popychał Scotta.

Musimy go popierać, Dermie. Jesteśmy kumplami i mamy pakt. Pamiętajcie?

- Tak, wiem - zgodził się Coney. - Ale musimy mieć dobrą historijkę. Coś słyszeliśmy. Tak? Jakiś hałas, ruch. Nagle pułkownik zgłupiał. Chyba chciał ich dostać. Mówiliśmy mu, żeby czekał, i wtedy go załatwili, a my zaczęliśmy strzelać. Wszyscy musimy powtórzyć to samo i nic nie dodawać.

- Tak. Tak. Rozumiem - powiedział Sutherland.

- Les, opowiedz, co się stało. Frizzell powtórzył historię.

Nagle rozległ się huk wystrzałów mózdzierzowych od strony łańcucha wzgórz.

- O kurwa! - krzyknął Sutherland. - Biegiem! Zobaczyli błyski wystrzałów!

- Bierzcie go! - krzyczał Coney, zrywając się i chwiejąc pod ciężarem radiostacji. - Ostrzał nieprzyjacielski! Ruszamy! - wołał do mikrofonu.

Frizzell chwycił Romera, przerzucił go sobie przez ramię i zaczął biec. Pierwsze pociski mózdzierzowe nie sięgnęły miejsca zasadzki, ale podmuch przewrócił Frizzella. Przygnieciony ciałem Romera nie mógł się podnieść.

- Pomóżcie! - wrzasnął.

Sutherland zjawił się natychmiast i uniósł ciało. Frizzell podniósł się i zaczęli biec razem, wlokąc trupa. Wśród wzgórz rozległy się kolejne wystrzały z mózdzierza, a za ich plecami grzechot ognia z broni maszynowej.

- Cholera! - krzyczał Coney. - Są za nami! Padnij!

- Nie! - zaprotestował Sutherland. - Mózdzierze! Biegiem!

<_ \$

Pociski mózdzierzowe spadły dokładnie w miejscu zasadzki. Dokoła gwizdały odłamki.

- Powiedz im, że wracamy od przodu! - wołał Frizzell. - Nie damy sobie rady drogą okrężną. Niech nie strzelają.

- Brawo Jeden, Brawo Jeden. Tygrys wraca. Nie strzelać. Idziemy od przodu. Mamy jeszcze ze sto metrów. Nie strzelać.

Już widzieli zasieki. Dzielili ich od nich szerokość boiska piłkarskiego. Nieprzyjaciel już jednak przestał ostrzeliwać miejsce zasadzki i przy każdej salwie przesuwiał punkt celowania o sto metrów.

- Odmowa! Odmowa! - krzyczał Bishop. - Moździerze was osiągną! Nie uda się wam. Zwrot w lewo! Już!

Natychmiast zmienili kierunek i pobiegli ku wschodowi, ale czuli się, jakby biegli w wodzie. Pod ciężarem, który dźwigali, nogi zagłębiały się w piach. Pociski wybuchły. Podmuchał ich na ziemię. Zerwali się jednak natychmiast i biegli dalej na wschód, okrążając wzgórze.

Następna seria pocisków wybuchła bezpośrednio wśród zasieków, tam gdzie znaleźliby się, gdyby chcieli uciekać na wprost. Oni jednak byli już bezpieczni, osłonięci stokiem wzgórza. Artyleria z Khe Sanh zaczęła ostrzeliwać pasmo wzgórz. Pociski kalibru 105 i 150 mm wybuchły falą pomarańczowych i czerwonych rozbłysków, niszcząc pozycje nieprzyjacielskie i zapędzając załogi moździerzy do podziemnych kryjówek.

Dowlekli się do zasieków od tyłu. Brock i kilku innych wybiegli im na spotkanie, żeby pomóc.

- Kto jest ranny? Kto jest ranny? - krzyczał Brock.

Nie mogli rozmawiać. Padli na ziemię, przewrócili się na plecy i oddychali ciężko.

- To pułkownik! - zawołał z ulgą Martin, a Brock i inni przyklękli przy nich i wypytywali.

- Czy wszystko w porządku? Czy jeszcze ktoś jest ranny? Jezu, myśleliśmy, że tym razem was załatwią.

Klepali ich po plecach i tarmosili radośnie.

- Oni tam byli - odezwał się Sutherland przerywanym głosem. - Zbliżali się. Mówiliśmy mu, żeby siedział cicho, ale on się zerwał. Chciał ich dopaść i zgłupiał. Jak tylko wstał, dostał. Wtedy my zaczęliśmy strzelać i...

- Daj spokój - powiedział Brock. - Wracajcie na stanowiska. Może będą chcieli nas zaatakować. Wracajcie na wzgórze. Niech dwóch zanieś go do bunkra.

Później, kiedy już ostrzał ustał i minęło zagrożenie atakiem nieprzyjaciela, Bishop wezwał całą trójkę do bunkra.

Każdemu kazał opowiedzieć całą historię i słuchał nie mówiąc nic. Nie zadawał żadnych pytań. Potem ich zwolnił.

Siedzieli w swoim bunkrze i nerwowo palili papierosy.

- Nie uwierzył nam - powiedział Sutherland.

- Tylko gapił się na mnie - potwierdził Frizzell z drżeniem. - Wiedział, że to wszystko bzdura. Jak myślicie? Co on zrobi? Denie, przecież mogą nas za to powiesić. Co on zrobi?

Coney zaciągnął się głęboko papierosem i zgniół go.

- Nic. Nic nie robi. Trzymamy ze Scottem, a on będzie trzymać z nami. O to właśnie chodzi. - Westchnął i oparł się zmęczony o ścianę bunkra, - Biedny pułkownik. Tylko z nim nikt nie trzymał. Biedny zajebaniec był zupełnie sam - pokręcił głową. - Jezu, Scott...

Sutherland opuścił głowę.

- Przepraszam - powiedział wreszcie. - I dziękuję. Zsunął z palca pierścień Coneya, symbol ich paktu.

Coney wziął go do ręki. Był pokryty zaschniętą krwią. Trzymał go w dłoni przez chwilę, a potem odrzucił Sutherlandowi.

- *Semper fi** - powiedział.

- Tak - dodał Frizzell. - Wciąż jesteśmy kumplami. Przetrwamy to. Jestem tego pewien.

- Co o tym myślisz, sierżancie? - zapytał Bishop, kiedy cała trójka opuściła bunkier.

Brock pokręcił głową.

- Jestem tylko tępym dożywotniakiem, panie poruczniku. Ja nie myślę. Czy pan ma zamiar myśleć?

Bishop przetarł twarz i przeczesał palcami włosy.

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie mam zamiaru myśleć. - Westchnął. - Z tego nie wyniknęłoby nic dobrego.

- Z myślenia nigdy nic dobrego nie wyniknęło dla mnie, panie poruczniku. Jeżeli kiedykolwiek próbowałem myśleć, zawsze wychodziło nie tak.

- Niech go cholera weźmie - powiedział Bishop gniewnie. - Nie powinien był nam tego robić.

Wcale nam to nie było potrzebne. Skurwysyn... W ogóle nie powinien był się tu pokazywać. Do diabła! - powiedział z furią, kręcąc głową. Był również wściekły na siebie, że do tego dopuścił, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli, że była wojna i że wszystko to się wydarzyło, że tylu zginęło i że teraz będzie miał o jednego więcej na sumieniu do końca życia.

- Niech pan o tym zapomni, panie poruczniku - powiedział Brock. Wstał, podszedł do stosu pustych puszek po żywności, wyłowił jedną i podał Bishopowi.

- Morele - powiedział. - On je zjadł. Mówiłem mu, żeby nie jadł. Powiedziałem mu, że to nie przesąd. On się tylko śmiał, panie poruczniku.

Brock odrzucił puszkę.

- Był skazany, panie poruczniku. Może to wina jego starego, a może moreli, ale był skazany.

Bishop wstał. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem. Przy wejściu do bunkra odwrócił się.

- Czy to wszystko, sierżancie? Czy to tylko sprawa moreli? Brock wzruszył ramionami.

- Panie poruczniku, to ma taki sam sens jak cokolwiek innego.

* Z amerykanizowaną formą dewizy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, od łacińskiego *semper fidelis* - zawsze wierni (przyp. red.).

Bishop popatrzył na niego, potem odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach. Torba ze zwłokami leżała przy ścianie bunkra. Spojrzał na nią, a potem wspiął się na szczyt wzgórza. Noc była czarna. Łańcuch wzgórz niewidoczny. Nieprzyjaciela też nie było widać.

- Morele - powiedział cicho w ciemności. Westchnął. Tak. W tym prawdopodobnie było tyle samo sensu, ile w cymkolwiek innym.

Xxxxv

Ogrody pałacu cesarskiego były zapuszczone. W stawach pływało zieleń, a woda była zatęchła. Mury obronne i wieżyczki wymagały naprawy. Czerwień i złoto dekoracji wyblakły i zmatowiały, a jednak Marshall nie uznał cytadeli za smutną ani przygnębiającą.

Pałac nie okazał się ruiną, chociaż był zaniedbany i opuszczony, jak gdyby jego mieszkańcy wybrali się w długą podróż, a służba była zbyt zmęczona i stara, żeby utrzymać go w dobrym stanie.

Przyjechał do cytadeli późnym rankiem i stwierdził, że prawie nikogo w niej nie ma. Była wigilia święta Tet, ale chyba w ogóle przychodziło tu mało ludzi. To nie pomnik dawnej chwały, pomyślał. To nie świątynia pamiątek ani symbol nadziei. Pałac się nie liczył. Wyblakł tak samo w sercach i umysłach ludzi jak wyblakły i poszarzały jego kolory.

Marshallowi pałac się podobał. Był wzorowany na pałacu cesarskim w Pekinie. Nie był zbudowany z takim rozmachem i nie był tak duży, ale robił wrażenie komfortowego, a jego dekoracje, spirale i grzbiety dachów oraz ceramiczne smoki pełzające po dachach i gzymsach nie sprawiały wrażenia ostentacji, tylko raczej perfekcyjnego uzupełnienia pełnej przepychu budowli. To tak jak z biżuterią Faberge - w miniaturze jest doskonała, powiększona - stałaby się wulgarna.

Po przekroczeniu fosy Marshall spędził kilka godzin w cytadeli. Najpierw obejrzał jedno z trzech koncentrycznie usytuowanych miast w obrębie murów obronnych.

Po obejrzeniu Miasta Stołecznego przeszedł do Miasta Królewskiego, położonego wewnątrz drugiego pierścienia murów obronnych, spacerował po wybrukowanych uliczkach i zaniedbanych ogrodach wokół Pałacu Duchów Sześciu Cesarzy, Świątyni Pokoleń oraz pawilonów Wspaniałości Księżycy i Chwały Słońca. Zatrzymał się dłużej na mostku nad stawem i obserwował pluskające karpie, błyski promieni słonecznych w ich migotliwych łuskach i odbicia świątyń na powierzchni wody.

Chociaż wcale tego nie planował, było prawie dokładnie południe, kiedy trafił do serca cytadeli, do Tu Cam Thanh, Purpurowego Zakazanego Miasta wewnątrz trzeciego pierścienia murów, gdzie w absolutnym odosobnieniu mieszkali cesarze wraz z rodzinami i konkubinami. Tu wznosił się Thai Ho - Pałac Idealnego Spokoju, jak czerwonozłoty płomień lśniący w słońcu południa. Jego stromy pozłacany dach zdawał się płonąć, a z pysków smoków wydobywały się języki ognia.

Po drugiej stronie dziedzińca stał imponujący Pałac Długowieczności, rezydencja królewskich matek.

Mead z szacunkiem trzymał się w pewnej odległości od Marshalla. Był zadowolony, że może wygrzewać się w promieniach słońca. *M-16* zwisał mu z ramienia. Nie potrafił wyobrazić sobie życia, jakie tu kiedyś istniało. Dla niego to wszystko wyglądało jak pocztówka.

Marshall wyczuwał jednak to życie. Prawie słyszał szepty pałacowych intryg niesione przez wiatr między gałęziami drzew i zamykając oczy - by lepiej się

skupić - przywoływał życie oraz barwy, jakie tu istniały jeszcze nie tak dawno temu. Widział ruchy wachlarza z piór, którym stojący obok eunuch chłodził cesarza. Kiedy tak stał na rozgrzanych słońcem stopniach pałacu, przeniósł się w czasie w erę szczęśliwości i pokoju, kiedy to mandaryni odziani w brokatowe szaty sprawowali władzę nad urzędnikami zarządzającymi krajem w imieniu władcy, którego potęgą pochodziła od niebios i przed którym zwykli śmiertelnicy padali na twarze.

Cesarze spacerowali po tych samych ogrodach. Marshall czuł to prawie namacalnie. Ich szaty wlokły się po ścieżkach oczyszczonych tak, by ich myśli czy też wrażenia wzrokowe nie zostały

pokalane ludzką niedoskonałością. W dyskretnej odległości za nimi szli gwardziści z włóczniami, boso i w żółtych szatach. Ten kolor został zastrzeżony dla świty cesarskiej.

Teraz on był tutaj sam. Zagraniczny wysłannik w opuszczonym pałacu, a jego własny gwardzista rzucał z nudów kamyczki do stawu.

Rozglądał się dokoła ze zdumieniem. Cesarze i mandaryni odeszli. Zniknęli eunuchowie. Nie było konkubin. Smoki patrzyły na niego z góry z udaną srogością.

- Czy podobało ci się? - zapytał Marshall Meada, kiedy wychodzili z Purpurowego Zakazanego Miasta.

- Czy naprawdę ludzie tutaj mieszkali, sir? - zapytał Mead.

- Tak. Naturalnie. Wydaje mi się, że cesarzowa matka wciąż żyje i mieszka gdzieś w Hue. Słyszałem, że była to sekutnica, ale jeszcze całkiem niedawno mieszkała w tamtym pałacu - powiedział, wskazując na Pałac Długowieczności.

Marshall pokręcił głową.

: - Jak mamy zmienić kraj, który jeszcze dwadzieścia lat temu był rządzony : przez cesarzy, którzy z kolei mieli eunuchów i konkubiny?

- Myśli pan, że nam się to uda, sir?

Przy bramie obydwaj zatrzymali się i obejrzeni. Nawet w swoim wyblakłym majestacie pałac był wspaniały, egzotyczny i zupełnie obcy.

- A ty, kapralu?

- Myślę, że nie.

Po powrocie do samochodu otworzyli paczkę z żywnością, którą przygotowała kantyna.

- Robi się późno, ekscelencjo - powiedział kierowca. - Może powinien się pan wybrać do grobowców jutro. Dojedziemy tam najwcześniej koło czwartej. Drogi są bardzo złe i nawet jeżeli zatrzyma się pan tylko na krótko, zanim wrócimy, będzie już ciemno.

- Nie. Muszę jechać dzisiaj - powiedział Marshall. - Nie zostaję tu długo. Wiem, że jutro jest Tet i chciałbyś wrócić do domu, i do rodziny, ale jeżeli nie zobaczę grobowców dziś po południu, nie zobaczę ich nigdy.

- Wszystkich i tak nie zdąży pan zobaczyć, ekscelencjo. Jest ich zbyt wiele i nie znajdują się w tym samym miejscu.

- Tak. Wiem. Chcę zobaczyć tylko dwa - Minh Manga i Tu Duca. Słyszałem, że są najbardziej godne uwagi.

Z powodu zbliżającego się święta na drogach panował niewielki ruch, w dodatku kierowca wyraźnie się śpieszył, tak że bardzo szybko znaleźli się w pobliżu

grobowca Minh Manga, drugiego cesarza z dynastii Nguyen. Był on zdecydowanie przeciwny obcej interwencji i zapoczątkował politykę neutrumowania kontaktów z Zachodem. Jego formalne wykształcenie konfucjańskie sprawiło, że nie był tolerancyjny wobec chrześcijaństwa i rozpoczął prześladowania misjonarzy, co doprowadziło do konfrontacji pomiędzy Francuzami i Wietnamczykami.

- Stąd musi pan pójść na piechotę - powiedział kierowca. - Jest jeszcze dość daleko, ale nie mogę dojechać dalej samochodem.

Spojrzał nerwowo na zegarek.

- Proszę się śpieszyć.

Marshall i Mead wysiedli z samochodu i wąską ścieżką zaczęli się wspinać na niewielkie wzgórze.

- Mój Boże - powiedział Marshall, kiedy doszli do szczytu i ujrzeni widok rozciągający się przed nimi.

Na brzegach Rzeki Perfumowej płynącej poniżej rozciągała się jedna z najpiękniejszych scen, jakie w życiu widział. Od razu zrozumiał, że powinien był przybyć tu drogą wodną, tak jak cesarze przybywający z Hue.

Koło przystani na brzegu rzeki rósł zagajnik figowców bengalskich, otwierający się na Jezioro Skrzącej Się Jasności w kształcie półksiężyca. U jego brzegów wznosiły się pawilony o czerwonych kolumnach, otwierające drogę do cmentarza właściwego, na którym rozrzucone były liczne świątynie i kapliczki otoczone ogrodem uformowanym w kształcie chińskiego ideogramu oznaczającego wieczność.

- Czy to jest grób? - zapytał Mead.

- Tak - powiedział Marshall - ale także coś więcej. Cesarze sami budowali swoje grobowce. Przyjeżdżali tu jeszcze przed śmiercią. Czasami mieszkali tu jak w wiejskim pałacyku. Właśnie to wyczytałem wczoraj wieczorem.

Zeszli w dół do cmentarza, ale Marshall zorientował się, że dokładne zwiedzenie miejsca zajmie im całe godziny. Teren był zadbane, co z pewnością wymagało pracy wielu ludzi. Nie spotkali jednak żywego ducha.

- Jest pochowany pod tym wzgórzem - wskazał Marshall. - Tam, gdzie rośnie tyle splątanych drzew.

Słońce zachodziło właśnie za wzgórze i Marshall wpatrywał się w ten niezwykły widok splątanych drzew, które zarosły cały wierzchołek wzgórza. Wyglądały na nieokiełznane i dzikie, jakby natura wybuchała z ziemi, starając się chwycić niebo. Wiedział, że wkrótce słońce obniży się i będzie wydawać się, że zaplatało się w sięgające ku niemu pnie i gałęzie drzew, a nocą księżyc również zostanie schwyty. Poniżej zaś, oplątany korzeniami, spoczywał martwy cesarz.

Ten widok aż zaparł mu dech w piersiach. Człowiek, ziemia, niebo, słońce i księżyc - wszystko splątane i stanowiące jedno w pełnej harmonii.

Marshall patrzył tak długo, oszołomiony bogactwem i głęboką wymową tego, co ma przed oczami, wiecznością przedziwnie utrwaloną w zagajniku na wzgórzu, że nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu i dopiero kroki Meada na żwirze przypomniały mu, że musi już iść. Przez całą drogę powrotną oglądał się jednak i doczekał chwili, w której drzewa sięgnęły i nareszcie schwytały płonącą kulę słońca. Ściągną ją w dół i nie wypuszczą aż dopiero jutro.

- Zbyt długo - narzekał kierowca, kiedy wsiedli do samochodu. - Nie mamy czasu, żeby pojechać do innego grobowca.

- Musimy - powiedział Marshall. - Muszę zobaczyć jeszcze jeden. Kierowca trzepnął ręką w zegarek.

- Za późno. Wkrótce się ściemni, ekscelencjo. Nie można jeździć po okolicy po ciemku. To zbyt niebezpieczne. Dziś w nocy...

Kierowca był bardzo zdenerwowany. Bardziej zdenerwowany, niż powinien, myślał Mead. Marshall jednak nic nie zauważył.

- Nieważne - powiedział Marshall, wyjmując portfel i podając kierowcy kilka banknotów o wysokich nominałach. - Zawieź mnie do następnego grobowca.

Zanim dojechali do grobowca Tu Duca, czwartego cesarza z dynastii Nguyen i ostatniego władcy niepodległego Wietnamu, już prawie zapadał zmierzch.

- Trzydzieści minut - powiedział kierowca. Zniknął gdzieś jego uniżony ton i Mead aż się najeżył, oburzony jego sposobem zachowania. Marshall dalej nic nie zauważył. Szedł ścieżką.

Pojawił się tu we właściwym momencie. Sam cesarz wybrałby tę chwilę, pomyślał. Teraz cienie są najdłuższe i ciągną się przez cały teren, a ostatnie gasnące błyski słońca migocą na wodzie.

Piękno zapierało dech w piersiach i przez chwilę Marshall rzeczywiście wstrzymał oddech, podziwiając pozłacane pawilony i świątynie porzrucane wśród sosnowego lasu i poprzedzielane licznymi zatoczkami. Człowiek i natura schwytani w momencie oddzielającym dzień od nocy. Znowu dostrzegł tę samą ideę -człowiek, ziemia, czas - wszechświat ujęty w jednym obrazie o idealnej harmonii.

Szedł ścieżką prowadzącą w dół w kierunku grobowca. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Przyciągały go piękno i tajemniczość tego miejsca.

Tutaj też nie było nikogo. Byli zupełnie sami.

Marshall przeszedł po zadaszonym mostku nad zatoczką i minął bramę z brązu, za którą wśród drzew stały świątynie. Przeszedł przez wybrukowany, czysto zamieciony dziedziniec, ale w momencie kiedy zaczynał wspinać się na schody wiodące do grobowca, Mead zatrzymał go.

- Chryste! - odwrócił się na pięcie i zaczął biec.

- Co się stało? - zawołał za nim Marshall.

- Samochód! Ten skurwysyn chce nas zostawić. Niech pan tu poczeka. Mead przebiegł przez bramę i mostek, wspiął się na wzgórze i zniknął mu

z oczu.

Marshall stał przez chwilę na schodach, patrząc za nim, a potem rozejrzał się wokół.

Tu jest pięknie, pomyślał, ale nie bardzo mam ochotę zostać tu na noc w opuszczonym grobowcu gdzieś na pustkowiu.

Zaczął iść w stronę bramy i w zapadającym zmierzchu zobaczył wracającego Meada. Po jego wściekłych ruchach zorientował się, że kierowca odjechał.

- Sukinsyn! - wołał Mead z drugiej strony mostu. - Aż trudno uwierzyć, że nas tu zostawił. - Odjechał, sir. Zniknął - powtórzył stając przed Marshalllem. W jego głosie wciąż brzmiało niedowierzanie.

- Czy chociaż zostawił jedzenie? Umieram z głodu.

Mead patrzył na Marshalla zdumiony. Nie wiedział, jakiej reakcji ma się spodziewać, ale w każdym razie nie oczekiwał takiego spokoju. Wreszcie uśmiechnął się.

- Nie, sir. Ten skurwysyn nie zostawił nawet jednej kanapki. Marshall rozejrzał się spokojnie dookoła.

- No, dobrze, kapralu. W jaki sposób zamierzasz mnie z tego wyciągnąć? Mead rozejrzał się po okolicach grobowca, po otaczających ich drzewach i ciemniejącym niebie.

- No, cóż, sir. Wydaje mi się, że jedyna rzecz, jaką możemy zrobić, to siedzieć cicho.

- Nie myślałeś o powrocie na piechotę?

- Nie, sir - powiedział Mead zdecydowanie. - Droga to ostatnie miejsce, na którym chciałbym się znaleźć w nocy. Nie mamy wielkiego wyboru, sir. Lepiej poczekajmy tutaj, dopóki ktoś się nie pojawi. Dostać się można tu tylko przez most, chyba że zdecydują się przepłynąć przez zatokę.

- Niepokoisz się, że może się tu pojawić Wietkong?

- Tak, sir. Przez całe popołudnie kierowca był niezwykle zdenerwowany. Wcale nie chciał tu przyjeżdżać. Wydaje mi się, że on o czymś wiedział. A to że pana tu zostawił... Chodzi mi o to, co mógłby powiedzieć, kiedy zjawiłby się samochodem w Phu Bai bez pana? On wcale nie pojedzie do Phu Bai ani teraz, ani nigdy.

Marshall myślał przez chwilę.

- Czyli że nikt nie wie, gdzie jesteście.

- Tylko kierowca wie, no i ten, komu on o tym powie. Ten, komu on powie, będzie musiał przejść przez ten most, a ja tu będę czekać. Problem polega na tym, że mam tylko dziesięć magazynków, czyli około dwustu naboji. To nie wystarcza, żebyśmy mogli stawić zdecydowany opór.

Marshall wstał i uśmiechnął się.

- Kapralu Mead, myślę, że gdyby Custer miał ze sobą ciebie z tymi dwustoma nabojami, to jego ostatnia bitwa skończyłaby się zupełnie inaczej, a on sam zmarłby w zapomnieniu ze starości.

Marshall wcale się nie niepokoił ani się nie bał. Ta sytuacja nie dawała się nawet porównać z katastrofą helikoptera w Delcie. Zawrócił i przeszedł przez bramę.

- Myślę, że pójdę i popatrzę na grób Tu Duca, póki jeszcze coś widać. Może będziemy mieli szczęście i okaże się, że ktoś zostawił jakieś ofiarne jedzenie, bo inaczej spędzimy tu długą noc na głodniaka.

Nie było jednak żadnych potraw ofiarnych, tylko przed ołtarzem z czarnej i czerwonej laki płonęło kadzidło. Nie widział też nic ze szczytu świątyni, bo zrobiło się zupełnie ciemno, więc wkrótce wrócił do bramy z brązu, gdzie Mead zbudował niewielkie stanowisko obronne, wykorzystując kamienie i deski wyrwane z płotu.

- Może powinienem zrobić coś z tym mostem - zastanawiał się na głos. - Czy myśli pan, że powinienem go zniszczyć, żeby nikt nie mógł przejść na drugą stronę? Bylibyśmy znacznie bezpieczniejsi - powiedział, zwracając się do Marshalla.

Marshall nie wyczuwał w mroku żadnego niebezpieczeństwa. Sytuacja wydawała mu się prawie absurdalna.

- Czy naprawdę myślisz, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? Wydaje mi się, że tu w ogóle nikogo nie ma w okolicy, a jeżeli kierowca był agentem Wietkongu, mógł przecież zorganizować cokolwiek w ciągu dnia. Ostatecznie jest Tet. Może po prostu chciał wrócić do domu. Wszyscy mówią, że nie wchodzi w rachubę, żeby nieprzyjaciel zaatakował podczas święta Tet.

- Jasne - powiedział Mead. - W takim razie zniszczę ten most. Marshall usiłował go powstrzymać.

- Nie możesz go jakoś zabarykadować albo założyć pułapki? Nie chciałbym niszczyć tego miejsca. To święty grobowiec.

Mead zastanowił się, a potem skinął głową.

- Mógłbym założyć pułapkę używając granatu. Jeżeli ktoś będzie przechodzić przez most,

zniszczy go. Potrzebowałbym trochę drutu.

Nagle przypomniał sobie płot.

- Wiem, gdzie znajdę drut.

Założenie pułapki zajęło mu pół godziny. Potem wrócił i położył karabin, kierując go lufą w stronę mostu.

- To będzie długa noc - powiedział wreszcie zadowolony i usiadł, gotów rozpocząć czekanie. - Dopiero dziewięta trzydzieści. Jeżeli chce się pan przespać, to proszę.

- Dziwne, ale właściwie nie jestem zmęczony - powiedział Marshall, a potem roześmiał się. - A pułkownik Romer nie chciał z nami jechać, bo myślał, że będzie nudno.

- Mogę się założyć, że on tam ich wszystkich doprowadza do szaleństwa - powiedział Mead.

- Jestem pewien, że tak, ale ten twój porucznik wyglądał na takiego, co potrafił sobie poradzić nawet z pułkownikiem. Sierżant też. Wszyscy mi się bardzo podobali. Tam jest sporo fajnych ludzi. Przykro mi, że kilku twoich przyjaciół zginęło.

Mead nie mówił nic przez dłuższą chwilę. Potem westchnął.

- Najlepiej znałem Opieńka. Przyjechaliśmy prawie w tym samym czasie. Nie przypuszczałem, że coś mu się może stać. Landis też był dobry chłop. Ciągłe mówił o samochodzie, który sobie kupi. Miał być czarny. Śmiałyśmy się, że to będzie karawan. - Westchnął. - No i tak się skończyło.

Oparł łokcie na osłonie, którą zbudował, i patrzył na most.

- To nie jest w porządku, sir - powiedział cicho.

Marshall nie odpowiedział. Patrzył na młodego człowieka obok siebie, a potem na zarys cesarskiego grobowca za nimi. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby w tym momencie powiedzieć.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższy czas. Wreszcie odezwał się Marshall.

- Nie mogę wyobrazić sobie tutaj mojego syna. - Roześmiał się cicho. - Jestem wobec niego niesprawiedliwy. Na pewno. Ojcowie zawsze tacy są. Jednakże gdyby był tutaj zamiast ciebie, chyba bym się zastrzelił.

- Czy rzeczywiście tu przyjeżdża, sir?

- Może nawet już jest. W Zielonych Beretach. Nie mogę sobie tego wyobrazić. To nie jest w porządku. Rodzice zawsze widzą swoje dzieci jako bezradne i bezbronne. Zawsze byłem zdumiony, że wrócił do domu zdrow i cały, nawet kiedy wychodził do

sklepu. Zawsze pamiętamy wszystkie nasze głupie wyskoki, a nie możemy wyobrazić sobie, że nasze dzieci mogą same dać sobie radę w świecie.

- Jestem pewien, że da sobie radę, sir.

- Nie wiem - powiedział Marshall. - Jest zupełnie inny niż ty. Mead uśmiechnął się.

- Nie wątpię - powiedział.

- Nie, nie - powiedział szybko Marshall. - Chodziło mi o to, że... on nigdy nic nie zrobił. On nie będzie wiedział, co trzeba zrobić. Nie jest głupi, oczywiście, tylko że on nigdy nie musiał nic robić. Nie jest rozpieszczony. Nasze dzieci nie są rozpieszczone i wcale nie robię im zarzutu z tego, że miały łatwe życie. Miały dobre stopnie i nie stwarzały nam problemów. Dopiero ostatnio. Ale gdyby musiały pracować albo walczyć o przetrwanie, jestem pewien, że dałyby sobie radę. Bóg to widzi, że nasze dzieci okazały się lepsze od dzieci wielu naszych przyjaciół.

Mead uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że mój stary też nie mógł mnie sobie tutaj wyobrazić, chociaż pewnie specjalnie się nie przejmował. Może nawet zapomniał, że tu jestem.

- Ale widzisz, środowisko, z którego wyszedłeś, prawdopodobnie lepiej przygotowało cię do życia tutaj. Biedny Ryan. On wyobraża sobie, że to jest zabawa. Nie ma pojęcia, jak to jest. Mój Boże, on nawet nie potrafił rzucać piłką baseballową. Jak, u diabła, ma służyć w Zielonych Beretach? - dodał z irytacją.

- Chyba jest pan dla niego zbyt surowy, sir.

- Nie! Nigdy nie potrafił rzucać piłką. Chris też nie. On to zupełnie inna, smutna historia. - Pokręcił głową. - Zastanawiam się, co ja takiego złego zrobiłem... - mruknął do siebie.

- Ile on ma lat, sir? - zapytał Mead.

- Chris? Ma piętnaście lat.

Mead nie powiedział nic i w kłopotliwej ciszy Marshall poczuł, że musi wyjaśnić.

- Wydaje mi się, że jest homoseksualistą - powiedział cicho.

- Rozumiem - powiedział Mead. - Jest wiele gorszych rzeczy - dodał po chwili milczenia.
- Wiem, że tak jest, kapralu. To mnie właściwie nie martwi. Nie chcę tylko, żeby był nieszczęśliwy. Nie chcę, żeby którekolwiek z moich dzieci było nieszczęśliwe. To dlatego tak trudno być ojcem, kiedy widzi się dzieci cierpiące lub rozczarowane, odrzucone albo niezauważane, albo, broń Boże, wyśmiewane czy poniżane - spuścił głowę. - Albo zabite.

Opuścił głowę jeszcze niżej.

- O Boże, tego bym nie zniósł. Tak się boję.

Mead nigdy nie widział Marshalla w takim stanie. Zewnętrzny spokój i pewność siebie znikły, rozpadły się. Mead był tym bardzo poruszony i chciał coś zrobić lub powiedzieć, żeby go uspokoić.

- Tak bardzo chciałem zakończyć tę wojnę. Tak bardzo chciałem pomóc, ale nie osiągnąłem nic.

- To nie pańska wina, sir.

- Ależ tak. Dopuściłem do tego. Nie powiedziałem ani słowa dawniej, kiedy jeszcze wszystko można było powstrzymać. Wiedziałem, ale nie zrobiłem nic.

Siedziałem cicho i dopuściłem do tego, że wszystkie te nonsensy i głupie slogany stały się oficjalną polityką. Nie mówiłem też nic, kiedy ludzie zaczęli ginąć. Dopiero kiedy to zaczęło dotyczyć mojego syna... Ryan wcześniej niż ja dostrzegł, jak nikczemna jest ta wojna. Był ode mnie mądrzejszy i dzielniejszy, a teraz może z tego powodu zginąć.

Marshall podniósł głowę. Miał łzy w oczach. Roześmiał się gorzko.

- Jak mógłby tu przeżyć, jeżeli nie będzie umiał rzucić granatem? Wiem, że nie potrafiłby założyć pułapki na tym moście. Prędeż sam by wyleciał w powietrze. Głupi sukinsyn - dodał gniewnie. - Niech go cholera weźmie za to, że tu przyjeżdża.

Uśmiechnął się.

- Może Catherine zamknęła go w piwnicy. Catherine to moja żona. Ona potrafiłaby coś takiego zrobić.

Pokręcił głową.

- Czy wiesz, że zawsze chciałem, żeby moi synowie grali w futbol? Czy to nie kretyństwo? Chciałem, żeby moi synowie byli normalnymi chłopakami i bawili się piłką. Nigdy tak się nie stało.

Spojrzał na Meada.

- Ty oczywiście grałeś w futbol?

- Tak, sir. Marshall westchnął.

- Ale mojego tatę wcale to nie obchodziło. Nie był na żadnym moim meczu. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedział nam coś miłego, a szczególnie mamie. Nie zauważał nas albo wrzeszczał i bił każdego, kto się nawinął.

- Przynajmniej nauczyło cię to szybkiego reagowania. Może rzeczywiście tak jak twój ojciec, ja też powinienem był łać dzieciaki przez pewien czas. Żony także. Tylko że z Catherine udałoby się to tylko raz.

Mead roześmiał się.

- Pańska żona wygląda na równą babkę, sir. Jest chyba silna i interesująca.

- Jasne, że tak jest. To świetna i bardzo dobra kobieta. Zdecydowanie za dobra dla mnie. Pierwsza by ci to powiedziała.

Mead milczał przez chwilę, a potem odetchnął głęboko.

- Mój stary nigdy nie powiedział nic dobrego o mojej matce. Może wszystko było w porządku, kiedy byli młodzi, ale tak długo, jak pamiętam, po prostu traktował ją... jak gówno.

Pokręcił głową i starał się powstrzymać łzy napływające mu do oczu.

- Nie zasłużyła na to. Była zawsze dobra. Nigdy nie narzekała. Chciałem powiedzieć, że nigdy nic nie mieliśmy, a ona... Ech, tam... - Wytarł oczy i roześmiał się. - Myślę, że powinniśmy uważać, sir. Jeżeli obaj będziemy płakać, żółtki przejdą przez most, a my nawet tego nie zauważymy.

Marshall uśmiechnął się.

- Przecież założyłeś pułapkę. Czy zrobisz coś dla mnie, kapralu Mead? - dodał łagodnym głosem.

- Co takiego, sir? - zapytał Mead bez wahania.

- Pozwól mi sobie pomóc.

- Jak, sir?

- Nie byłem w stanie nic tutaj zrobić, skończyć z tą wojną, ani nawet pomóc pannie Hawthorne w jej klinice. Pozwól przynajmniej, żebym zrobił coś dla ciebie.

Marshall odetchnął głęboko.

- Ułatwiłbyś mi wszystko, gdybyś mnie poprosił o pomoc, ale to nie byłoby w twoim stylu, więc muszę teraz ja prosić ciebie. Panna Hawthorne opowiedziała mi o twojej wizycie u niej.

Mead poderwał się.

- Nie powinna była...

- Chciała pomóc i kiedy spotkaliśmy się, opowiedziała o twojej dziewczynie. Mead odwrócił głowę zakłopotany.

- Powiedziała, że ją kochasz i że chcesz się z nią ożenić. Mead nie mógł zdobyć się na to, żeby spojrzeć na Marshalla.

- Tak, sir.

- Dokładnie to przemyślałeś? Mead odwrócił się do niego.

- Tak, sir - powiedział z powagą. - Rozmawiałem o tym ze wszystkimi i wszyscy reagowali tak, jakbym był jakimś napalonym gówniarzem, który nic nie rozumie, i że to jakaś kurwa... Ale ona nie jest kurwą... Ona jest... Kocham ją. Jest inteligentna. Mówi po angielsku lepiej niż ja. Jest miła i dobra. Nie jest kurwą. Jej rodzina została zabita i...

Marshall położył mu rękę na ramieniu.

- Chcesz się z nią ożenić?

- Tak, sir - powiedział z naciskiem. - Kocham ją.

- Świetnie. Przynajmniej tu mogę coś zrobić.

- Może mi pan pomóc, sir? Marshall roześmiał się.

- Tak mi się wydaje. Ambasador nie przydaje się na wiele, ale przynajmniej powinien być w stanie załatwić ślub - powiedział z powagą. - Myślę, że mogę pociągnąć za parę sznurków i załatwić ci zgodę na ślub.

Mead był zbyt wzruszony, żeby cokolwiek powiedzieć. Próbował się odezwać, ale za każdym razem wydawał tylko jakieś nieartykułowane dźwięki.

- Jest tylko jeden mały kłopot, kapralu.

- Co takiego, sir?

- Musisz nas stąd wyciągnąć. Panna młoda jest w Sajgonie, a pan młody i drużba diabli wiedzą gdzie.

- Drużba? Pan byłby gotów... - znowu zaczął coś bełkotać.

- Miałem nadzieję, że mnie poprosisz. - Znowu dotknął jego ramienia. - Bardzo chcę ci pomóc.

Więcej. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

Spojrzał na niebo. Wschodził księżyc w pierwszej kwadrze. Pierwszy księżyc Roku Małpy.

- Chciałbym być w stanie pomóc wszystkim. Chciałbym, żeby wszyscy byli szczęśliwi. Chciałbym, żeby ta wojna się skończyła, żeby mój syn przeżył. Chciałbym, żeby wszyscy cieszyli się pokojem i szczęściem. Wystarczy mi jednak, jeżeli pomogę zakochanym - jednemu mężczyźnie i jednej kobiecie. To już jest dużo. - Uśmiechnął się. - Może to nawet najważniejsze.

Rozejrzał się w mroku i jego wzrok spoczął na grobowcu za nimi.

- Nie poradziłem sobie lepiej niż biedny Tu Duć - powiedział. - Utracił cesarstwo, unikając walki. Oddał je Francuzom i od tego czasu jego spadkobiercy walczą o wolność. Jak rozumiem, był dobrym człowiekiem, bystrym i inteligentnym, i próbował tylko zyskać trochę czasu dla swojego narodu. Z pewnością nie chciał pogрузić kraju w niewolnictwie i wojnie na sto lat.

Marshall odwrócił się do Meada i uśmiechnął się.

- Obiecuj mi, że nie będziesz słuchał polityków i nie będziesz bił żony. Mead roześmiał się.

- Obiecuję, sir.

- No to więcej nie mogę wymagać. Pewnie będziesz miał szczęśliwe życie. -Spojrzał na zegarek. -Już po pomocy. Wesołego Tet, kapralu. Dla mnie przynajmniej jest to dobra wróżba.

- Dlaczego, sir?

- Wietnamczycy wierzą, że powodzenie w nadchodzącym roku zależy od tego, kogo pierwszego spotkamy po rozpoczęciu święta Tet. Uważam, że ty oznaczasz bardzo dobrą wróżbę.

- Pan też, sir.

- W takim razie będziemy mieli dobry rok - powiedział Marshall. - Trudno wyobrazić sobie lepszy początek. - Rozejrzał się i uśmiechnął. - Może jednak mógł być lepszy, a może nie. - Ziewnął. - Chyba zmęczyło mnie to gadanie.

- Dlaczego pan się nie prześpi, sir? Obudź pana jeżeli coś się będzie działo.

- Dobrze. Tylko nie zostaw mnie tu samego. Obudź mnie, jak poczujesz się zmęczony. Wiele nie zdziałam, ale przynajmniej zauważę, jak most będzie wylatywał w powietrze.

Marshall położył się na ziemi, poszukując najwygodniejszej pozycji. Nawet nie miał czasu, żeby zdziwić się, że tak prędko zasnął.

Przez dłuższy czas Mead pławił się w swoim szczęściu. Rozgrzewał się myślami o Sung. Starał się przewidzieć przyszłość, zgadnąć, jak będzie wyglądać życie z nią, jakie będą ich dzieci, jak będzie wyglądać ich dom. Jednak nie potrafił. Nie przejmował się tym. Nigdy nie starał się przewidzieć przyszłości i nigdy nie planował, bo miał niewielki wpływ na swoje życie. Pewne rzeczy po prostu się zdarzały. Nigdy nie spodziewał się spełnienia swoich pragnień. Landis mógł godzinami opowiadać o swoim samochodzie. Mógł opisać każdy szczegół i powiedzieć dokładnie, co zamierza zrobić. W swoich marzeniach traktował to jako rzeczywistość. Mead jednak tego nie potrafił. Już od dzieciństwa miał tak niewielkie oczekiwania, że prawie nie przeżywał żadnych nadziei i marzeń.

A jednak to, o czym po raz pierwszy w życiu marzył, miało się ziścić. Nigdy tak naprawdę nie przypuszczał, że się zakocha. Myślał, że nie jest zdolny do miłości. Znalazł jednak kogoś, kogo pokochał w tym okropnym miejscu w odmęcie wojny, a ona... Może go nie kocha, ale to nic. Może pewnego dnia... Ożeni się z nią... Tylko tak daleko sięgały jego plany. To wystarczało. To było i tak więcej, niż oczekiwał. O tym marzył.

Nagle poczuł, że zbliża się niebezpieczeństwo.

Zerwał się i chwycił karabin.

Coś się działo. Coś słyszał. Coś wyczuwał. Odbierał jakieś impulsy. Narastała dziwna, wielka, przytłaczająca siła. Powietrze stało się jakby przesycone elektrycznością. Nigdy jeszcze nie czuł takiego napięcia, ale nie potrafił go określić. Było bezpostaciowe i wszechogarniające. Zapowiadało natychmiastową groźbę.

Spojrzał na zegarek. Była 3.25.

Potem usłyszał konkretne dźwięki. Odgłosy ludzi na wodzie i na brzegu. Słyszał przyciszone głosy i rozkazy.

Już miał obudzić Marshalla, ale głosy zaczęły się oddalać wzdłuż rzeki w stronę Hue.

Dokładnie o 3.40 niebo rozjaśniło się wybuchami, a ziemia zaczęła drzeć od eksplozji.

Marshall obudził się nagle. Usiadł i spojrzał na horyzont rozświetlony wybuchami.

- Co u... Czy już zaczęli świętować? Mead pokręcił przecząco głową.

- To nie są fajerwerki, sir. To artyleria. Działa kalibru 122 mm. Takie mają żółtki.

Na horyzoncie pojawił się ogień. Płomienie buchały na trzydzieści metrów w górę. Pociski wybuchały nieprzerwanie.

- Mój Boże! - powiedział Marshall. - Atakują miasto. Niszczą je.

Nawet z tej odległości wybuchy były ogłuszające. Potem ogień artylerii ustąpił wybuchom pocisków moździerzowych. Słysząc też było wystrzały z broni ręcznej, co oznaczało, że piechota atakuje miasto.

Strzelanina nie ustawała, to nasilając się, to słabnąc. Przez cały czas horyzont płonął od wybuchów.

- Zdobędą miasto - powiedział Mead. - Tam jest co najmniej dywizja żółtków, a my mamy zaledwie trochę piechoty morskiej w Phu Bai. Na pewno nie zdążą na czas, o ile w ogóle dotrą do miasta.

- Nie rozumiem - powiedział Marshall.

- Słyszałem ruchy wojsk od strony rzeki. My jesteśmy na południe od Hue. Phu Bai też. Zrobią zasadzkę na każdy oddział próbujący dostać się do miasta.

- A więc on wiedział - odezwał się Marshall. - Mówię o kierowcy.

- Tak. Teraz pewnie obsługuje jeden z moździerzy.

Odgłosy walki osłabły dopiero o świcie, ale wciąż dobiegał do nich huk wystrzałów z broni ręcznej. Potem, około ósmej, walki znowu nasiliły się i salwa grzmiała za salwą, mieszając się z nieustającym jazgotem broni automatycznej.

- Generał Tran miał rację - powiedział Marshall. - Całkowicie oszukali MACY, zgadzając się na zawieszenie broni w czasie Tet. Teraz to już koniec.

- Koniec wojny? - zapytał Mead z niedowierzaniem.

- Nie - powiedział Marshall z rezygnacją. - Koniec szans na pokój i wszelkich nadziei na jego zawarcie. Wojna będzie się jeszcze długo ciągnąć. Prezydent nie będzie chciał teraz nikogo słuchać.

Straty będą kolosalne.

Marshall wsłuchiwał się w odgłosy walki. Potem odwrócił się i przeszedł przez dziedziniec w stronę grobowca. Długo siedział przed wejściem z rękami na kolanach i z opuszczoną głową.

Mead wiedział, że znaleźli się w pułapce. Nie mogą się stąd ruszyć. Muszą jedynie czekać, aż ktoś ich uratuje. Przez cały ranek walka nie ustawała.

- Jeżeli Północni Wietnamczycy zajmą cytadelę, potrzeba będzie tygodnia walk wręcz, żeby ich stamtąd wykurzyć - powiedział Mead.

- Ktoś nas chyba przedtem znajdzie - wyraził nadzieję Marshall.

- Nikt nie wie, gdzie jesteśmy, oprócz tego żółtka, kierowcy.

Nagle w dole rzeki rozległ się hałas lecącego na małej wysokości helikoptera. Po kilku chwilach zobaczyli nad drzewami znajomą czarną maszynę, niebezpiecznie wystawioną na każdy możliwy atak. Wydali okrzyk ulgi i radości.

Mead wbiegł po stopniach grobowca i dawał sygnały. Marshall pozostał na dziedzińcu i machał rękami.

Magnuson posadził maszynę na środku dziedzińca. Kiedy Marshall i Mead biegli do helikoptera, zauważyli, że jest podziurawiony kulami.

Magnuson poderwał maszynę, zanim jeszcze Mead zdążył się usadowić.

- Skończyliście zwiedzanie? - zapytał przez interkom. - Nie chciałem was poganiać.

Zapinając pasy, Mead zauważył pod fotelami zieloną torbę ze zwłokami.

- Co się stało? - zapytał Marshall z twarzą przyciśniętą do szyby. Oddychał ciężko. Zanim jednak Magnuson zdążył odpowiedzieć, zaczął zadawać następne pytania. - Jak nas znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? To może zabrzmie głupio, panie poruczniku, ale dziękuję.

- Teraz jestem ci winien za dwa razy - zawołał Mead, przekrzykując huk silnika.

- No, to się wyrównało - powiedział Magnuson. - A może przestaniemy grać w tę pieprzoną grę?

- Oczywiście - odezwał się Marshall. - I niech pan pomyśli, poruczniku, jaki prezent chciałby pan dostać na pożegnanie. Cokolwiek pan zechce.

- Dziewczynę kaprała Meada.

- Za późno - roześmiał się Marshall. - Kaprał się żeni. To jest mój prezent dla niego. Wybierz sobie inny, i to nie kobietę, bo jesteś już żonaty. Pułkownik Romer miał rację. Ja też czytałem twoje akta. Gdzie jest Romer? To by mu się bardzo podobało.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem helikopter przechylił się w lewo, żeby mogli dokładnie przyjrzeć się Hue.

- Nie mogę podejść bliżej, ale chyba widzicie cytadelę? Tam powiewa flaga północnowietnamska. Ostatniej nocy zdobyli miasto. Zaatakowali także inne miasta. Nawet Sajgon. Dostali się też do ambasady i zabili kilku wartowników. Uderzyli wszędzie, tylko nie pod Khe Sanh. To pieprzona katastrofa.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy? - zapytał Mead.

- Powiedzieliście, że jedziecie oglądać grobowce. Przelatywaliśmy nad jednym. Pamiętacie? Powiedziałem wtedy, że bezpieczniej będzie pojechać samochodem albo łodzią. Kiedy poinformowali mnie w Phu Bai, że nie wróciliście - są przerażeni - poleciałem wtedy na zwiedzanie. Wiecie, ile jest tych grobowców? To jest szósty, który sprawdziłem.

- Czy dlatego cię tak podziurawili?

- Podziurawili? - zdziwił się Magnuson z kamienną twarzą. Mead odpiął pas, wstał i zajrzał do kabiny.

- Czy wszystko w porządku, panie poruczniku? Nie jest pan ranny?

- Draśnięcie. Dobrze jednak, że nie miałem drugiego pilota. Skasowali cały fotel. Mead odsunął drzwi kabiny pilotów. Wszędzie była krew.

- Jezu!

Magnuson odwrócił się. Twarz miał białą jak kreda.

- Wszystko w porządku. To tylko powierzchowna rana.

- Bzdury, panie poruczniku - powiedział Mead, siadając na miejscu drugiego pilota. W drzwiach i szybach było pełno przetrzeliń.

- Spływaj z mojej kabiny, ty tępy piechociarzu! To zły omen. I zamknij te drzwi.

Mead zamknął drzwi, żeby Marshall nie mógł zajrzeć do środka.

- Da pan sobie radę, panie poruczniku? Magnuson podniósł rękę i wskazał na tydkę.

- Wszystko jest w porządku. To lekka rana. Po prostu dużo krwawię. Słabe krzepnięcie. A teraz spieprzaj stąd.

- Co się stało z pułkownikiem Romerem? Magnuson pokręcił głową.

- Na wzgórzu. Poprowadził patrol. Zostali zaatakowani.

- Kto jeszcze?

- Tylko on. Kiedy po niego wczoraj poleciałem, jego ciało było już w Dong Ha i czekało na transport do kraju. Powiedziałem im, że zawiozę je do Sajgonu. Ambasador pewnie by tak wolał. Poleciałem na wzgórze, żeby dowiedzieć się, co się stało. Długo gadałem z Luke'em, z porucznikiem Bishopem. Tak między nami to myślę, że była to wina Romera. Myślę, że mu się to należało.

- Kropnął go któryś z chłopaków?

- Luke tego nie powiedział. Oficjalnie to ostrzał nieprzyjacielski z zasadzki.

- A poza tym wszystko jest w porządku? Wczoraj ich nie zaatakowali? Magnuson pokręcił głową.

- Nie padł ani jeden strzał. To wszystko była zmyłka. Grałeś w futbol, prawda? Mówię ci, że to była zmyłka. Ominęli Khe Sanh. Bishop i twoi kumple byli bezpieczni, przynajmniej wczoraj.

Skrzywił się i przejechał ręką po udzie.

- Jezu - jęknął Mead. - Czy na pewno wszystko w porządku, panie poruczniku? - dodał troskliwie.

- Teraz już tak. Żle było koło czwartego grobowca - powiedział, pokazując na okno. - Tam była masakra. Zaatakowali kompanię piechoty morskiej idącą z Phu Bai. Potem przygwoździli drugą kompanię idącą na odsiecz. Wszędzie leżą zabici *Marines*. Żółtki trzymają Hue i szybko nie oddadzą. To będzie walka o każdą ulicę i każdy dom. A teraz stąd spływaj - warknął na Meada. - Piechociarz w kabinie to gorzej niż niefart. To przekleństwo. A poza tym, kapralu, nawet gdybym nie był w porządku, czy potrafiłbyś to poprowadzić?

Mead spojrzał na dziesiątki wskaźników i instrumentów.

- Nie, sir.

- Idź do kabiny pasażerskiej i opowiedz mu o pułkowniku Romerze. Mead zajrzał przez drzwi. Marshall spał, oparty o okno.

- Jeszcze nie muszę wracać. On śpi.

- Dlaczego sam się nie prześpisz? - zapytał Magnuson. - To będzie długi lot. Maszyna jest rozklekotana, ale doleci.

- Niech się pan nie śpieszy, sir - powiedział Mead, wychodząc z kabiny pilotów. Magnuson zatrzymał go jeszcze na chwilę.

- Gratulacje. Kiedy ślub?

- Jak tylko wrócimy, sir. Magnuson uśmiechnął się.

- W takim razie pośpieszmy się - powiedział i zwiększył obroty wirnika nośnego.

XXXXVI

Zanim helikopter wylądował na Tan Son Nhut w Sajgonie, ambasada została uznana za bezpieczną.

O 1.30 w nocy oddział partyzantów zaatakował pałac prezydencki, ale został odparty przez wartowników. Napastnicy wycofali się do budynku mieszkalnego po drugiej stronie ulicy. Tam zabili dwóch amerykańskich żandarmów i zabrali im broń.

O 2.30 inna grupa zaatakowała ambasadę USA. Ze względu na zawieszenie broni z okazji święta Tet tylko dwóch żandarmów pilnowało głównej bramy w murze wysokim na dwa i pół metra otaczającym teren ambasady. W budynku było trzech wartowników z piechoty morskiej.

Partyzanci zabili żandarmów i ruszyli w stronę budynku. Dwaj żołnierze ledwo zdążyli zatrzaskać ciężkie tekowe drzwi, ale prawie natychmiast hol rozorały rakiety przeciwpancerne. Trzeci żołnierz został odcięty na dachu tylko z pistoletem i sześcioma nabojami. Udało mu się jednak połączyć przez radio z dowództwem ochrony i zawiadomić ich o ataku. Wkrótce przybyły posiłki i zabito lub pojmano wszystkich napastników.

Chociaż partyzanci Wietkongu i żołnierze północnowietnamscy zaatakowali wiele celów na terenie miasta, a także przypuścili szturm trzema batalionami na bazę Tan Son Nhut, już rano Sajgon był bezpieczny. Nieprzyjaciel ustanowił jednak przyczółek na Cholonie i rozpoczął systematyczny ostrzał miasta.

Wkrótce przed świtem samotna kobieta, która jakby nie zdawała sobie sprawy z toczących się w mieście walk, zbliżała się do ambasady amerykańskiej. Na plecach miała przytroczone dziecko, a w rękach niosła ośmiolitrową bańkę benzyny.

- *Nam Mo A Di Da Phat* - powtarzała w kółko buddyjską modlitwę o łaskę na zmianę z *Nam Mo Amita Buddha* - modlitwą „Powrót do Wieczystego Buddy”.

Lin musiała zatrzymać się często ze względu na ciężar, który dźwigała. Była bardzo osłabiona.

Zebranie na ulicach, żeby uzbierać dość pieniędzy na benzynę i bańkę, zajęło jej prawie miesiąc. Dwa razy okradły ją zebrzące dzieciaki, a zazwyczaj to, co wyzbrała w ciągu dnia, zaledwie starczało na jedzenie, żeby i dziecko utrzymać przy życiu. Udało się jej jednak w końcu uzbierać dość, a święto Tet było idealnym momentem na dokonanie ofiary. Było to wielkie święto religijne, a łaskawy Budda przychylnie oceni jej czyn.

Kiedy zbliżała się do ambasady amerykańskiej, ogień z broni ręcznej nasilił się, ale zaskoczyło ją to, że nigdzie nie było kamer telewizyjnych. Spodziewała się, że będą tłumy, jak to miało miejsce, kiedy palili się mnisi buddyjscy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego przychodzili dla mnichów, a dla niej nie.

Lin nie bała się śmierci. Uznała, że tak będzie lepiej dla dziecka i dla niej. Ich życie nie miało znaczenia, ale znaczenie miała ich śmierć. Świat ich zauważy. Jej czyn będzie miał wielkie znaczenie. Była tego pewna. Nie rozumiała jednak, dlaczego nie ma kamer telewizyjnych.

Już tylko jedna przecznica dzieliła ją od ambasady. Wtedy zobaczyła pojazdy opancerzone, kordon policji i wojska.

Zrozumiała, że chcą ją zatrzymać, więc zaczęła biec niosąc w objęciach bańkę z benzyną.

Usłyszała krzyki. To na nią krzyczeli. Potem ruszyli w jej kierunku.

Zatrzymała się i zaczęła otwierać bańkę.

Żołnierze zatrzymali się i cofnęli, kiedy pochyliła się nad bańką. Zaczęli krzyczeć, żeby przestała, ale ona ani myślała słuchać. Nagle rozległy się strzały. Raz i drugi poczuła niezmierny ból. Pociski uderzały w chodnik krzesząc iskry. Buchnął płomień i objął ją całą. Miała tylko dość czasu, żeby sięgnąć za plecy, chwycić dziecko i utulić w ramionach.

- Poważna klęska nieprzyjaciela - powiedział Westmoreland Marshallowi na popołudniowej

odprawie. - Chcieli zająć kraj i nigdzie im się nie udało.

- A Hue? - zapytał Marshall.

- To się wkrótce skończy. Pozostały tylko działania oczyszczające.

- Khe Sann? Westmoreland westchnął.

- Wygląda na to, że to było dla odwrócenia uwagi. Generał Tran miał rację. Nigdy nie planowali generalnego ataku. Gdybym jednak nie wzmocnił tej bazy, to by ją zdobyli.

- A więc sytuacja bez wyjścia - powiedział Marshall. Jak ta cała wojna, dodał w myślach. - Wyjeżdżam za dwa dni. Pierwszą rzeczą, o jaką prezydent zapyta, będzie ofensywa Tet.

Westmoreland uśmiechnął się żałośnie.

- Jesteśmy w stałym kontakcie. On działa pod wrażeniem, że tutaj wszystko się zawaliło. Obawiam się również, że taki sam obraz przedstawią środki masowego przekazu. Będą twierdzić, że to poważna porażka Stanów Zjednoczonych. Najbardziej obawiam się tego, że uznane to zostanie za wielkie zwycięstwo nieprzyjaciela. Tak jednak nie jest, panie ambasadorze. Muszę przyznać, że nas zaskoczyli. Co osiągnęli? Udało im się wywiesić swoją flagę na cytadeli w Hue. Żadne inne miasto nie padło. Nie sprowokowali powstania ludności. Pozostała ona wierna rządowi Wietnamu Południowego. Stracili tysiące ludzi, nie zyskując niczego.

- Zyskali poczucie siły i zwycięstwa - powiedział Marshall.

- Poczucie jest kształtowane przez doniesienia prasowe. To co zrobią z tego środki masowego przekazu, zostanie uznane za werdykt historii. Jeżeli osoby kształtujące opinię publiczną i prasa doniosą, że nieprzyjaciel zwyciężył, wówczas prezydent i ludność pogodzą się z tym, mimo istnienia dowodów, że stało się coś zupełnie innego. Musi pan opowiedzieć prezydentowi, co się tutaj naprawdę stało. Nieprzyjaciel przeprowadził ataki w całym kraju. Padło tylko Hue. W innych miejscach został odparty. Jeszcze gorsze dla niego okazało się to, że armia południowo-wietnamska i¹ ludność pozostały lojalne wobec rządu Wietnamu Południowego.

- Rozumiem, panie generale, ale mam wątpliwości co do tego, jak prezydent i opinia publiczna będą interpretować te wydarzenia. Niestety, zarówno prezydent, jak i społeczeństwo zbyt często byli informowani, że już widać światło w tunelu,

i że zwycięstwo jest bliskie. Nie będą chcieli już w to wierzyć. Zrozumieją, że wciąż jeszcze czeka nas długa droga. Kiedy synowie zaczynają ginać, kiedy do kraju docierają trumny, ludzie pilniej przysłuchują się słowom i sloganom. Waży się słowa przeciwko trumnom, a tu waga jest bardzo duża, panie generale. Więcej pustych słów w najmniejszym stopniu nie zmieni wyniku. Jedna trumna jest cięższa niż wszystkie slogany, a słowa nie wypełnią ani jednego grobu.

Westmoreland wyglądał na strapionego i zaniepokojonego. Ofensywa nieprzyjaciela wyraźnie zaszokowała go. Marshall mógł wyobrazić sobie, pod jakim naciskiem z Waszyngtonu ciągle się znajduje.

- Przekażę pańskie poglądy prezydentowi - powiedział Marshall - i poprę pańską opinię, że ofensywa Tet nie była zwycięstwem nieprzyjaciela, ale zanim wyjadę, chciałem prosić pana o dwie przysługi. Na Cholonie mieszka pewna Amerykanka, Teresa Hawthorne. Prowadzi klinikę dla pozamałżeńskich dzieci żołnierzy amerykańskich. Chciałbym, żeby ona i te dzieci zostały uratowane.

- Załatwione - powiedział Westmoreland. - A druga?

- Mój syn Ryan przyjechał tu niedawno. Jest w Zielonych Beretach. Chciałbym się z nim zobaczyć przed wyjazdem.

Westmoreland wykazał szczerą troskę.

- Oczywiście, ekscelencjo. Ryan Marshall? Siły Specjalne? Zajmę się tym natychmiast.

- Dziękuję. Nie będę pana więcej niepokoić, panie generale. Dziękuję za pomoc i zrozumienie. Życzę szczęścia i sukcesów.

- Sung, wyjdiesz za mnie? - zapytał Mead, kiedy leżeli wyczerpani na śpiworze. - Właściwie to nie proszę cię, tylko ci mówię, że się pobierzemy i pojedziesz ze mną do Ameryki za kilka dni, a jeżeli nie będzie ci się podobać w Ameryce albo ja ci się nie będę podobać i zmienisz zdanie, wtedy będziesz mogła się rozwieść i wrócić.

Sung roześmiała się i pociągnęła go za włosy na piersi, a potem przesunęła ręką po brzuchu i podbrzuszu.

- Jesteś jak niedźwiedź - powiedziała.

- Czy słyszałaś, co powiedziałem?

- Oczywiście. To było chyba najdłuższe zdanie, jakie kiedykolwiek wypowiedziałeś.

- No i?

Pociągnęła go za włosy rosnące wokół pępka.

- To takie dziwne miejsce, żeby rosły włosy.

- Cholera! Usiadła.

- Mówisz poważnie? Czy to prawda?

- Tak - powiedział, siadając przed nią i biorąc ją za rękę. - Proszę, wyjdź za mnie. Chciałem powiedzieć... Cholera... Nigdy nie potrafię tego powiedzieć. To moje długie zdanie przedtem... Chciałbym, żeby to było na zawsze, ale wiem, co czujesz... Chodzi mi o to, że wiem, że nie jestem wystarczająco dobry dla ciebie i, do diabła, może znieawidzisz Amerykę. Jeżeli nam się nie uda, obiecuję, że pomogę ci wrócić.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś słodki. Chyba nigdy nie znalazłabym mężczyzny takiego jak ty w Bań Me Thuot. W każdym razie nie takiego kosmatego.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie?

- Tak. - Skinęła z powagą głową.

Krzyknął z radości, pocałował ją, a potem znowu ułożył się na śpiworze.

- Może jutro? - zapytał Marshall Meada. - Pojutrze wyjeżdżam. Załatwiłem wszystko z władzami {migracyjnymi i z wizą. Nie będzie żadnych komplikacji. Wszystkie formalności zostały uchylone - badania lekarskie, wywiady, dokumentacja rodzinna. Musi tylko podpisać formularz, no i oczywiście wyjść za mąż. Może jutro?

- Tak, sir. Jak pan sobie życzy.

- Załatw formalności na parterze i powiedz mi, gdzie i kiedy. Przyniosę szampana. Może panna Hawthorne będzie mogła przyjść. Mają ją wyciągnąć z Cholonu.

- Kto, sir?

- Armia.

- Oni spieprzą robotę. Przepraszam, sir, ale na pewno tak będzie. Pojadę.

- Pan młody nie powinien ruszać na misję bojową, kapralu. Niech Armia to załatwi.

- Sir, to wszystko zawdzięczam panie Hawthorne. Muszę jechać. Proszę, sir.

- Naprawdę nie chciałbym, żebyś jechał, tak jak nigdy nie powinienem był pozwolić Rornerowi zostać tam na wzgórzu. Jeżeli by ci się coś stało, ja...

- Dam sobie radę, sir. Żenię się. Nie dopuszczę do tego, żeby mi się teraz coś stało. Muszę wyciągnąć stamtąd pannę Hawthorne.

Armia była zadowolona, że do nich dołączył, bo dokładnie wiedział, gdzie jest klinika, i znał jej rozkład wewnętrzny, ale jak tylko zbliżyli się do Cholonu, zdali sobie sprawę, że walki są znacznie bardziej zacięte niż im powiedziano na odprawie.

Cholon stał się wielkim polem bitwy. Ulice poprzegradzano barykadami. Żołnierze Wietkongu odpalali rakiety i rozpoczynali ostrzał z granatników, jeśli tylko dostrzegli jakikolwiek ruch. Strzelcy wyborowi przygwoździli oddziały południowo-wietnamskie i amerykańskie.

Dowódca oddziału dwukrotnie wzywał posiłki przez radio. Musieli poczekać na przybycie bojowych wozów piechoty, samobieżnych dział 40 mm i na więcej broni maszynowej.

Przedarli się wreszcie na ulicę, gdzie mieściła się klinika, zajęli stanowiska obronne na sąsiednich skrzyżowaniach. Mead wbiegł wraz z innymi do środka.

Kiedy żołnierze wpadli do kliniki, wybuchła panika. Teresa Hawthorne, przerażona, myśląc, że to nieprzyjaciel wtargnął i chce wymordować kobiety oraz dzieci, stanęła w przejściu wraz z dwiema pielęgniarkami.

- Wszystko w porządku, panno Hawthorne! - wrzasnął Mead. - Przyjechaliśmy zabrać was stąd. Musi pani nam pomóc. Niech pani powie tym kobietom, żeby zabierały dzieciaki i wychodziły do ciężarówek.

Teresa zaczęła protestować, ale Mead chwycił ją i położył jej dłoń na ustach.

- Cholera! Niech pani nic nie mówi. Proszę tylko powiedzieć wszystkim, żeby wsiadali do ciężarówek! Jeśli pani tego nie zrobi, wyprowadzimy je siłą. Jak będziemy zwlekać, zginą ludzie. Niech pani powie wszystkim, żeby się, kurwa, zamknęły i wychodziły. Natychmiast!

Teresa, zaskoczona, spojrzała na niego karcąco. Nikt jeszcze do niej tak się nie odzywał i nie zatykał jej ręką ust.

Mead uspokoił się trochę i spojrzał na nią niemal błagalnie.

- Pani Hawthorne, niech pani pozwoli się ocalić, jak nam polecono. Niech pani powie wszystkim, żeby zabierały swoje rzeczy i szły do ciężarówek. Proszę zaufać mnie i ambasadorowi Marshallowi.

Odwrociła się i zaczęła mówić coś szybko po wietnamsku. W ciągu kilku minut kobiety ruszyły do ciężarówek, niosąc dzieci i swoje skromne tobołki.

- Muszę sprowadzić ojca Dourmanta - powiedziała Teresa ruszając do drzwi. Mead chwycił ją za ramię.

- Panno Hawthorne, nie może pani. Nie mamy czasu. Musimy stąd zniknąć. Te ciężarówki to wspaniały cel.

- Nie ruszę się stąd bez niego - powiedziała kategorycznie.

- Cholera - zaklął Mead, a potem zawołał do żołnierzy, że wraca za kilka minut. Próbowali go zatrzymać, ale Teresa już pobiegła, więc on pogonił za nią.

Była wstrząśnięta zniszczeniami na ulicach. Wszędzie szalały pożary. Dym wzbijał się na setki metrów w górę. Wszędzie leżał gruz i rozbite szkło.

Zacząła biec, ale zaraz zatrzymały ją pobliskie odgłosy wybuchów bomb mózdzierzowych i ogień z broni ręcznej.

Mead naglił ją do pośpiechu, trzymając za łokieć. Biegli zaułkami i bocznymi uliczkami, dopóki nie znaleźli się koło kościoła. Teresa otworzyła furtkę od ogródka na plebanii, po czym wbiegła po schodach do drzwi niewielkiego domku.

- Ojcie Dourmant! - zawołała, waląc do drzwi. Nie było odpowiedzi. Znowu zapukała.

Mead uderzył ciałem w drzwi i wyważył je. Wbiegł do środka z uniesionym karabinem. Przepchnął się przez kuchenne drzwi.

- *Sacre Dieu!* - wykrzyknął ojciec Dourmant, rozlewając filiżankę herbaty na stół, przy którym siedział.

Teresa wpadła do kuchni tuż za Meadem.

- Niech ojciec się pośpieszy. Przysłali po nas samochody. Całe miasto się pali. Ojciec musi jechać z nami.

Ksiądz spojrział na nich, jakby obydwójce oszaleli i zaczął wycierać rozlaną herbatę.

- Ojcie... - zaczęła znowu Teresa.

- Moja droga Tereso. Bardzo mi miło, że przyszliście po mnie - ty i Gunga Din, ale jestem całkiem zadowolony i bezpieczny tutaj. Ja nie...

Mead podszedł do niego i podniósł go.

Ojciec Dourmant zaczął krzyczeć i protestować, ale Mead przerzucił go sobie przez ramię i ruszył do drzwi, podawszy Teresie karabin.

- Niech pani to potrzyma i niech mu pani powie, żeby się zamknął. Proszę. Mead wybiegł z drzwi plebani, niosąc walczącego z nim księdza. Teresa biegła za nim, trzymając karabin na odległość ramienia od siebie.

- Czy płaczesz na ślubach? - zapytał Teresę Marshall.

Stali w sali recepcyjnej ambasady, pośpiesznie przygotowanej na tę uroczystość.

- Byłam tylko na dwóch ślubach i wtedy nie płakałam. A ty?

- Staram się nie płakać, ale nie wiem, jak to będzie dzisiaj. Wydaje mi się, że tylko z trudem panuję nad sobą. Gdybym zaczął płakać albo coś bełkotać, powstrzymaj mnie. Jak tam dzieci?

- Bardzo dobrze. Kobietom to wszystko nie mieści się w głowach. Mieszkamy w jakiejś bursie. Toalety są czynne. Jest dużo jedzenia i wody. Nie wiem, jak mam dziękować. Słyszeliśmy o walkach na Cholonie. Nie wiem, co by się z nami stało, gdybyśmy tam zostały.

- Kiedy to się skończy, pewnie was tam odeślą z powrotem - powiedział Marshall. - Uplynie jednak jeszcze trochę czasu. Tymczasem traficie do biurowatycznego rozdzielnika zaopatrzenia.

- Tak. Odwiedzili nas już lekarze i pielęgniarki. Ojciec Dourmant utyskuje, bo zobaczył na własne oczy, że są też dobrzy Amerykanie.

- Zdziwiony jestem, że zgodził się udzielić ślubu - zmienił temat Marshall. - Trudno powiedzieć, żeby to była idealnie katolicka młoda para.

- Ona jest urocza, prawda?

- Śliczna - przyznał Marshall. - Kapral Mead miał rację twierdząc, że mówi po angielsku lepiej od niego. Bardzo się z tego cieszę. Wydaje mi się, że jest to jedyna ważna rzecz, którą tu załatwiłem.

Chciał jej dotknąć, przytulić mocno, być przy niej bardzo blisko, ale było to niemożliwe.

- Dziękuję za całe dobro, jakie się tu przydarzyło - szepnął. Była zaskoczona, ale nie spojrzała na niego.

- Jeszcze się zobaczymy - powiedział.

Wtedy dopiero na niego spojrzała i uśmiechnęła się, ponieważ wiedziała, że to prawda.

Ojciec Dourmant wyszedł z sąsiedniego pokoju, a za nim Mead w mundurze polowym i Sung w białym *ao dai*.

Na środku ustawiono stół, który miał służyć jako ołtarz, a dalej stały rzędy krzeseł dla gości - wszyscy pracownicy z biura Marshalla, przyjaciele Meada, Hań i kilka innych Wietnamek.

- Nie będę odprawiał mszy - powiedział ojciec Dourmant do zebranych. -Będzie to... skrócona wersja sakramentu.

Spojrzał na Meada.

- Czy jesteś katolikiem?

- Nie, sir.

Ojciec Dourmant zmarszczył brwi i zwrócił się do Sung.

- A ty jesteś katoliczką?

- Nie - powiedziała. Ksiądz skinął głową.

- To dobrze. Nie mógłbym dać ślubu katoliczce z niekatolikiem, ale nie znam żadnych przepisów zabraniających udzielenia ślubu dwojgu niekatolikom. Proszę zatem powstać, kiedy połączę tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim pod okiem miłującego, czujnego i prawdopodobnie osłupiałego naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Kiedy ceremonia się skończyła i ojciec Dourmant pobłogosławił ich, Magnuson ' zawołał - Pocałuj pannę młodą! a kiedy Mead zastosował się do polecenia, wszyscy i zaczęli do nich podchodzić i gratulować. Otwierano butelki szampana, a służba z willi Marshalla roznosiła przekąski.

- Mam dla was prezent - powiedział Marshall do Meada i Sung, podając im kopertę. - Taki prezent na miesiąc miodowy.

Mead otworzył kopertę. Były w niej dwa bilety lotnicze.

- Żaden luksus - powiedział Marshall. - Nawet nie pierwsza klasa. Po prostu dwa miejsca na lot MAC do Ameryki. Twoja tura służby tutaj właśnie się skończyła.

Wybuchły oklaski. Wszyscy życzyli im szczęścia. Wypito całego szampana. Zjedzono wszystkie zakąski. Marshall zauważył, że Teresa Hawthorne miała jednak łzy w oczach i sam przez chwilę był bardzo szczęśliwy.

Pod koniec uroczystości porucznik Magnuson z zabandażowaną nogą, nieco kulejąc, podszedł do Meada.

- Nie mam dla was prezentu. Kantyna była zamknięta. Podobno trwa jakaś wojna. Tu macie mój adres w Stanach. Niełatwo poddaję się sentymentom, ale chciałbym, żebyśmy byli w kontakcie. Marzę o tym, żeby zapomnieć o tej pieprzonej wojnie, chcę jednak niektóre rzeczy zapamiętać i nigdy nie chciałbym stracić kontraktu z tobą i Luke'em Bishopem. Kiedyś spotkamy się i pogadamy o tym wszystkim. Zalejemy się i będziemy opowiadać sobie mnóstwo historii. Nie będziemy nawet musieli kłamać, prawda?

- Nie, sir, ale pewnego dnia sami nie będziemy mogli w nie uwierzyć. Uścisnęli sobie ręce.

- Czy mogę pocałować pannę młodą? - zapytał Magnuson.

- Nie, sir.

Magnuson uśmiechnął się, pochylił i pocałował Sung delikatnie w policzek. Tuż przed zakończeniem przyjęcia Mead zostawił Sung i podszedł do Teresy, j

- Chciałem tylko podziękować pani, panno Hawthorne. To wszystko zawdzięczam pani.

- Skądże - powiedziała z uśmiechem.

- Ależ tak.

Chwylił jej rękę i ścisnął mocno, nie zdając sobie z tego sprawy. Mówił z wielkim przekonaniem.

- Ustawiła mnie pani na całe życie. Pani i pan Marshall. Bardzo chciałbym móc coś dla pani zrobić.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Poczuła w sobie wielki przypływ miłości i radości.

- Ależ już pan zrobił, panie Mead - wytarła łzy. - Zawsze płaczę na ślubach. Spojrzała na nią ze smutnym, rozmarzonym uśmiechem.

- Słyszałem, że płacz pomaga.

Dotknęła jego ręki.

- Pomaga, kapralu Mead. Bardzo pomaga.

Marshall nerwowo spacerował po salonie dla ważnych osobistości na lotnisku Tan Son Nhut. Przez okno widział swój samolot. Kończono załadunek. Do ładowni

wsuwano pojedynczą srebrną trumnę. Zabierał ciało Romera do Waszyngtonu. Pogrzeb miał się odbyć na cmentarzu Arlington. Pułkownik będzie pochowany obok prochów swojego ojca.

Czy zginął przez ojca? - zastanawiał się Marshall. Czy popychało go jakieś poczucie niedoskonałości, czy też, jak jego ojciec, pragnął zyskać chwałę i sławę? Może. Czy była jednak w tym przypadku jakaś różnica w porównaniu z innymi trumnami odsyłanymi do kraju? Też zginęli z powodu swoich ojców, z powodu ich milczenia i pogodzenia się z losem, sloganów i głupoty. W każdym razie byli martwi.

A Ryan? Przecież to jego, Marshalla, wina, że się tu znalazł. To on, jego ojciec, dopuścił do tego. To ojcowie wywoływali wojny, żeby synowie na nich walczyli.

Przyjechał do Sajgonu pewnego pięknego dnia rozświetlonego słońcem. Wyjeżdżał, kiedy część miasta płonęła i dym buchał w niebo. Wietkong ciągle trzymał się na Cholonie.

Flaga Północnego Wietnamu wciąż powiewała nad cytadelą w Hue. Mijał piąty dzień „oczyszczania”.

Wstępne szacunki strat spowodowanych przez ofensywę Tet podawały czternaście tysięcy zabitych osób cywilnych. Liczba rannych była dwukrotnie większa. Liczba uchodźców powiększyła się o pół miliona. Zniszczenia sięgały setek milionów dolarów. Zniszczenia w niektórych miastach prowincjonalnych, jak Hue, Ben Trę, Bań Me Thuot i Da Lat, były nie do naprawienia.

Ktoś zapukał do drzwi. Odwrócił się i zobaczył młodego człowieka w mundurze Zielonych Beretów. Wysoki, szczupły i muskularny, gładko ogolony i z krótkimi włosami. Jego wygląd był mu zupełnie obcy, z wyjątkiem ciepłego, pełnego skruchy uśmiechu.

- Tato?

Zachwiał się i przytrzymał się krzesła.

- A więc matka jednak nie zamknęła cię w piwnicy.

- Nie, ale zrobiła wielkie przedstawienia. Płakała, mdlała, łkała. „Nigdy cię nie zobaczę! Nigdy cię nie zobaczę!”. Jezu, co za sposób żegnania się z synem idącym na wojnę. Niezwykły dowód zaufania. A ty, tato? Czy też urządzisz przedstawienie?

Marshall tylko patrzył, a potem pokręcił głową.

- Nie mam tyle energii. Twój stary jest wykończony, Ryan. Podeszli do siebie i Marshall objął syna.

- Postaram się być dzielny, chociaż, gdyby to mogło cokolwiek zmienić, krzyczałbym i mdlał jak twoja matka.

Cofnęli się i przyglądali się sobie.

- Nie wyglądasz dobrze, tato. Jesteś zmęczony.

- Słuchaj, to cud, że w ogóle się ruszam. Jeszcze kilka dni i wracałbym w ładowni. - Westchnął ciężko. - Ty za to wyglądasz wspaniale. - Pokręcił głową. - Bardzo dobrze ci w tym mundurze, ty ośle.

Ryan roześmiał się.

- Tak już lepiej.

- Gdzie stacjonujesz?

- W Nha Trang.

- Wolalbym tego nie słyszeć.

- Wywołałeś tam całkiem niezłą sensację, tato.

- Trzymaj się z dala od CIA, Ryan. To szaleńcy. Ryan uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Czy masz jeszcze jakieś rady?

- Mnóstwo. Czy ich posłuchasz? Czy to coś pomoże?

- Tyle samo co zemdleń. Marshall znowu przytulił syna.

- Och, Ryan, Ryan. - Oparł głowę na jego ramieniu. - Chyba jednak nie będę dzielny. Boże! Uwważaj na siebie. Proszę... Proszę...

Cofnął się. Teraz już łkał otwarcie, wcale się nie wstydział.

- Kocham cię bardziej niż własne życie. Bardziej niż cokolwiek. Jeżeliby coś ci się stało, chyba nie będę chciał żyć. Chętnie bym ci zdarł z głowy ten śmieszny mały berecik, zabrał ci karabin i... zajął twoje miejsce w Nha Trang - dodał, śmiejąc się przez łzy.

- Hej... Twoje przedstawienie jest prawie tak samo dobre jak mamy.
- Przestań! Nie waż się śmiać z mojej tragedii. To jest najgorsza chwila mojego życia. Jak możesz się z tego śmiać?

Ryan roześmiał się.

- Tato, ja naprawdę mam zamiar wrócić do domu. Nie chcę zepsuć tego całego melodramatu, ale zamierzam przetrwać. Będę w domu za rok.

Marshall stał pochylony i zbolaty naprzeciw syna. Ryan poklepał go po ramieniu.

- Dam sobie radę, tato. Wreszcie Marshall podniósł głowę.

- Wiesz, zaczynam wreszcie rozumieć historię Boga, który tak umiłował ten świat, iż pozwolił ukrzyżować swojego Syna i patrzył, jak jest torturowany i zabijany. Tylko w Jego przypadku, ponieważ był wszechmocny, wiedział, że wszystko dobrze się skończy. Wiedział, że nastąpi wspaniałe zmartwychwstanie i wniebowstąpienie. On mógł się tym pocieszyć. Sama idea jednak pozostała - to ogromne cierpienie, ból i ofiara ojca.

- O, mój Boże - powiedział Ryan. - Ja zostanę zabity, a ty staniesz się bolejącą ofiarą? Ja zginę, a ty będziesz tragiczną postacią? Oszczędź mi tego. Jeżeli zostanę zabity, to nie chcę, żebyście z mamą rzucali się na moją trumnę, obrabowując mnie z mojej tragedii. Nie psujcie mi mojej sceny finałowej. Powiedzmy sobie jasno: to jest moja pieprzona śmierć.

- Przestań, cholera, mówić w ten sposób.

- To ty zacząłeś.

Patrzyli na siebie gniewnie przez chwilę, a potem roześmiali się obaj jednocześnie.

- Lepiej wróć do domu - powiedział Marshall - bo inaczej nigdy ci tego nie wybaczę.

Ryan wyciągnął rękę.

- Do widzenia, tato.

Marshall odetchnął głęboko, opanował się i ucisnął dłoń syna. Chciał jesisz coś powiedzieć, ale się rozmyślił, odwrócił się i wyszedł.

Skinął głową salutującej kompanii honorowej. Wspiął się po stopniach do samolotu i usiadł. Celowo nie patrzył w okno i celowo nie myślał o trumnie w ładowni. Tymczasem samolot kołował, wystartował i zaczął lecieć w kierunku morza.

Inny samolot stał na pasie startowym. Był opóźniony ze względu na start samolotu prezydenckiego. Mead i Sung siedzieli obok siebie.

Czekali, nie odzywając się. Sung, zdenerwowana, ścisnęła lalkę, którą od niego dostała.

Wreszcie zezwolono na start.

Kiedy samolot kołował, nie trzymali się za ręce, ale siedzieli sztywno jak na starej fotografii. Prawnuczka ostatniego cesarza Wietnamu i syn robotnika rolnego z Arkansas. Patrzyli przez okno, za którym umykała ziemia.

KONIEC